Mirosław Lewandowski
Maciej Gawlikowski

GAZ NA ULICACH

*

Kraków 2011

Patroni honorowi:

Stanisław Kracik
Wojewoda
Małopolski

Małopolska

Marek Sowa
Marszałek
Województwa
Małopolskiego

Niezależny Samorządny Związek Zawodowy
Solidarność
Region Małopolski

Wojciech Grzeszek
Przewodniczący
Zarządu Regionu
Małopolska
NSZZ „Solidarność”

Patroni medialni:

RZECZPOSPOLITA

UWAŻAM RZE

TYGODNIK POWSZECHNY

TVP KRAKÓW

Rebelya.PL

MIROSŁAW LEWANDOWSKI MACIEJ GAWLIKOWSKI

GAZ NA ULICACH

KPN w Krakowie

Stan wojenny

1981-1982

poligrafia dar point

Recenzent: prof. dr hab. Tomasz Gąsowski

Projekt okładki: Miłosz A. Lodowski

Na okładce wykorzystano fotografie Andrzeja Stawiarskiego
(na pierwszym planie Marek Bik)

Redakcja i indeks: Magdalena Musiał

Korekta: Anna Strakowska

Skład, obróbka zdjęć i przygotowanie do druku: Leszek Jaranowski

Wydawca: Dar-Point Leszek Jaranowski www.darpoint.pl

Koedycja: Muzeum Historii Polski w Warszawie www.muzhp.pl
Fundacja Wolności

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca S.A.

Copyright © Mirosław Lewandowski, Maciej Gawlikowski

Zapraszamy na stronę: www.gaznaulicach.pl

Mimo starań nie udało się ustalić autorów wszystkich zdjęć prezentowanych w książce. Nie udało się także kompletnie opisać wszystkich fotografii. Jeżeli ktoś rozpoznał swoje zdjęcie w tej książce albo też rozpoznał swoją twarz na jakiejś fotografii, proszony jest o kontakt z autorami poprzez Forum POLONUS (którego jeden z autorów książki jest administratorem) – www.polonus.mojeforum.net

Każdy, kto kupił wcześniej tom I, może zamówić po promocyjnej cenie niniejszy tom oraz kolejne tomy książki poprzez Forum POLONUS (adres internetowy – wyżej) z bezpłatną wysyłką do domu.

ISBN: 978-83-927061-2-0

Wstęp

Polska opozycja, która ukształtowała się w drugiej połowie lat siedemdziesiątych minionego wieku, a następnie okrzepła za sprawą solidarnościowej rewolucji z lat 1980-1981, była fenomenem w skali całego imperium sowieckiego. O ile bowiem w innych krajach bloku, a w ZSRS w szczególności, mieliśmy zwykle do czynienia z nielicznymi dysydentami, to nad Wisłą ruch opozycyjny szybko nabrał naprawdę masowego charakteru. Wprawdzie jedyne całościowe szacunki liczby osób zaangażowanych w aktywny sprzeciw wobec systemu były wówczas sporządzane przez Służbę Bezpieczeństwa, a stosowana przez nią metodologia daleka była od doskonałości, to jednak pozostaje faktem, że w Polsce – i pośród państw bloku sowieckiego tylko w Polsce – ich liczbę do 1980 r. podawano w setkach, a później już w tysiącach. W połowie dekady lat 80. aktywność większości środowisk opozycyjnych osłabła, ale wraz z wejściem w dorosłe życie kolejnych roczników młodzieży, szczególnie ostro kontestującej szarą rzeczywistość PRL, nastąpiło jej odrodzenie.

Z tysięcy ludzi, którzy w czasach komunistycznej dyktatury odważyli się zaangażować w działalność opozycji, tylko nieliczni doczekali się dotąd jakiejś formy podziękowania. Dla jednych było nim otrzymanie odznaczenia państwowego, dla innych zaś udokumentowanie ich aktywności w formie opracowania historycznego. Dlatego wciąż pozostaje bardzo wiele do zrobienia na polu upamiętnienia dziejów opozycji niepodległościowej w PRL.

Ponad dwadzieścia lat po upadku rządów komunistycznych historia opozycji w powojennym 45-leciu wciąż jeszcze pełna jest białych plam. Do jednej z największych należy historia Konfederacji Polski Niepodległej – nie tylko pierwszej od lat czterdziestych opozycyjnej partii politycznej, ale i takiej, która już w swojej nazwie eksponowała jako strategiczny cel odzyskanie przez Polskę pełnej suwerenności, utraconej najpierw za sprawą wspólnego ataku III Rzeszy i ZSRS w 1939 r., a później dyktatu jałtańskiego z 1945 r.

KPN z pewnością zasługuje na całościową monografię, opisującą działalność tej partii w całej Polsce i to zarówno przed, jak i po 1989 roku. Aby jednak takie syntetyczne opracowanie stało na odpowiednio wysokim poziomie, potrzebne są gruntowne badania

regionalne. W ich nurt wpisuje się drugi już tom przygotowany przez Mirosława Lewandowskiego i Macieja Gawlikowskiego o dziejach KPN w Krakowie. Tym razem autorzy wzięli na warsztat szczególnie dramatyczny okres stanu wojennego. Nie są zawodowymi historykami, ale jako uczestnicy i bohaterowie opisywanych wydarzeń, z powodzeniem zachowali niezbędny dystans, opierając podstawową narrację na około siedemdziesięciu relacjach działaczy Konfederacji i innych osób zaangażowanych w działalność opozycyjną w stolicy Małopolski. Zgromadzone informacje skonfrontowali nie tylko z istniejącą już literaturą przedmiotu, ale i licznymi materiałami Służby Bezpieczeństwa, uzyskanymi w IPN. To właśnie tą drogą, żmudnej konfrontacji dokumentów z pamięcią świadków, można dziś odtworzyć przybliżony obraz wydarzeń sprzed trzydziestu lat. Nie wolno jednak zapominać, że nie wszystko udaje się ocalić od zapomnienia ani też wyjaśnić w sposób definitywny. Ta prosta prawda jest, niestety, czasami z trudem przyjmowana do wiadomości przez odbiorców opracowań historycznych, którzy po prostu przeceniają możliwości badaczy.

Książka Lewandowskiego i Gawlikowskiego jest nie tylko oparta na szerokiej bazie źródłowej, dowodzącej dużej pracowitości autorów, ale i dobrze napisana. Przeczytałem ją z prawdziwą przyjemnością, znacząco poszerzając mój stan wiedzy na temat dziejów KPN w Krakowie czasów stanu wojennego, ale i losów ludzi, z których część dane mi było przed laty poznać. Należy im się ze strony Polaków – zwłaszcza najmłodszych, będących beneficjentami wolności, zbyt często uważanej przez nich za stan oczywisty i gwarantowany – pamięć i szacunek. Cykl o historii krakowskiej KPN to znakomity przykład, jak można i należy to robić.

Antoni Dudek

Od autorów

Dwa lata po wydaniu pierwszego tomu z cyklu „KPN w Krakowie" oddajemy do rąk Czytelników tom drugi. Pierwotnie miał on obejmować lata 1981-1985, ale okazały się one tak obfite w wydarzenia, że niemożliwe stało się objęcie ich w całości jednym tomem. Zdecydowaliśmy się opisać w tej części wyłącznie okres od 13 grudnia 1981 r. do 31 grudnia 1982 r., czyli od wprowadzenia stanu wojennego do jego zawieszenia. Wprawdzie stan wojenny formalnie zniesiono 22 lipca 1983 r., jednak koniec roku 1982 jest wyraźniejszą cezurą niż połowa roku 1983. Z końcem roku 1982 wszyscy internowani wyszli na wolność (z wyjątkiem tych, którym postawiono zarzuty popełnienia przestępstw) i formalnie uchylona została większość przepisów stanu wojennego (choć równocześnie część represyjnych regulacji prawnych wprowadzono do ustawodawstwa zwykłego).

Zawartość tomu podzieliliśmy na cztery rozdziały, umownie odpowiadające czterem porom roku. Nazwa pory roku określa zarazem dominujące nastroje społeczne w Krakowie i w Polsce w danym czasie: zimowy okres przerażenia i strachu, wiosenna nadzieja i wzrastający opór społeczny, intensywne walki uliczne latem oraz niemniej gorąca jesień, która z czasem przeszła w okres smutnej rezygnacji. Kilka podrozdziałów nie zmieściło się w tej konwencji, bo obejmują dłuższy czas lub dotyczą szerszego aspektu. Włączyliśmy je do rozdziału 5.

Większość materiału zgromadzonego w książce dotyczy bezpośrednio działań krakowskiej KPN (pierwsze cztery rozdziały oraz duża część rozdziału piątego). W wielu wypadkach konfederaci uczestniczyli jednak w wydarzeniach, które miały szerszy wymiar niż tylko kapeenowski (strajki, pobyt w obozach internowania i więzieniach, Solidarność podziemna, demonstracje uliczne). Przyjęliśmy wówczas założenie, że – aby wydarzenia te były zrozumiałe dla każdego Czytelnika tej książki bez potrzeby sięgania do innych źródeł – opisujemy ich szerszy kontekst. W takim wypadku sięgaliśmy wybiórczo do istniejących opracowań lub gdy takich nie było – samodzielnie wyszukaliśmy źródła (relacje ustne, materiały SB). W podobny sposób przedstawiliśmy kilka środowisk niebędących częścią KPN, ale związanych z Konfederacją – zwykle przez ścisłą współpracę z KPN (konspiracja szkolna, „Zomorządność", pacyfiści, Akcja na rzecz Niepodległości).

Osobne podrozdziały poświęciliśmy też wybranym, ważnym dla Krakowa wydarzeniom z roku 1982, które nie są związane z KPN, ale których omówienie uznaliśmy za istotne dla lepszego zrozumienia kontekstu historycznego opisywanych tu wydarzeń (stan wojenny z perspektywy zwykłego obywatela PRL, sprawa Filoska, tragedia Włosika). Wiele uwagi poświęciliśmy pracy operacyjnej SB, zwłaszcza pracy operacyjnej w areszcie śledczym, co – jak się zdaje – stanowi nowość w literaturze przedmiotu. Tematem naszej pracy jest więc przede wszystkim działalność krakowskiej KPN, jednak stała się ona książką o stanie wojennym w Krakowie, widzianym z perspektywy krakowskiej Konfederacji.

W wielu wypadkach opisujemy działania ludzi odgrywających w tamtym czasie w Krakowie ważną rolę, a dziś wykluczonych z kolejnych wersji oficjalnej polityki historycznej. Czy działania „wykluczonych" (nie tylko osób, ale całych środowisk) były istotne? Naszym zdaniem tak. Demonstracje, walki uliczne, napisy na murach, druk i kolportaż bibuły – wszystko to stanowiło widoczny znak oporu społecznego wobec stanu wojennego i było ważniejsze z punktu widzenia politycznego od kolejnych apeli intelektualistów, komunikatów różnych komisji i komitetów, czy też budowy bardzo zakonspirowanych – w teorii – struktur. Naciski przywódców Zachodu czy Jana Pawła II na ekipę Jaruzelskiego, na Sowietów, dotkliwe dla całego bloku wschodniego sankcje międzynarodowe, wisiałyby w próżni, gdyby nie widoczny sprzeciw wobec wojskowych rządów w Polsce. Podważał on wiarygodność oficjalnych twierdzeń władz PRL, wedle których po złamaniu strajków grudniowych 1981 r. sytuacja w kraju szybko normalizowała się, a społeczeństwo pogodziło się z nową sytuacją.

Naszym zdaniem bardzo istotny dla sytuacji w Polsce A.D. 1982 był też proces kierownictwa KPN, przede wszystkim dzięki postawie oskarżonych. Tymczasem oficjalna wersja historii całkowicie pomija to wydarzenie (np. nie ma o nim ani słowa w popularnych książkach „Wojna polsko-jaruzelska" Andrzeja Paczkowskiego czy „Solidarność w podziemiu" Jerzego Holzera i Krzysztofa Leskiego; także na popularnej stronie internetowej www.13grudnia81.pl w dziale „Sprawy karne" pominięto skazanych w stanie wojennym przywódców KPN).

Czy historia widziana z perspektywy „wykluczonych" jest fałszywa? Czy wersja oficjalna powinna być jedyną obowiązującą? A może obie te wersje i obie te perspektywy są równoprawne?

Zawsze, gdy badacze zajmują się historią najnowszą, pojawia się tendencja do skupiania się na tych, którzy dziś odgrywają istotną rolę w polityce czy w kulturze, także wtedy, gdy ich działania przed kilkoma dekadami nie były tak istotne, jak tych, którzy dziś znaleźli się na marginesie życia publicznego. Zjawisko to było określane w II RP mianem „czwartej brygady". Staraliśmy się napisać książkę, która idzie pod prąd tej tendencji. Świadomie nie respektujemy obowiązującej hierarchii ważności.

Zakres naszej książki wychodzi poza Kraków jedynie wyjątkowo. Z jednej strony, trudno było w pracy pominąć proces kierownictwa KPN czy sytuację Konfederacji w innych obszarach, jeżeli chciało się ustalić miejsce krakowskiej KPN na tle innych struktur partii. Z drugiej – było to zadanie bardzo trudne z powodu braku publikacji na ten temat. W rezultacie, pisząc o I procesie KPN, musieliśmy sami robić kwerendę w archiwach, bo jedyna obszerna publikacja na ten temat ukazała się w czasach PRL jako materiał propagandowy i jej przydatność jest z natury rzeczy bardzo ograniczona. Podobnie brak

jest opisu działalności KPN w wielu regionach Polski. Konfederacja Polski Niepodległej jest bardzo rzadko samodzielnym tematem publikacji historycznych, a w opracowaniach całościowych jej rola jest zwykle marginalizowana.

Dostępne źródła dotyczące bezpośrednio KPN (zwłaszcza KPN w Krakowie) staraliśmy się wykorzystać w całości. Nie jest ich dużo. Mamy zaledwie kilka publikacji o charakterze ogólnym, do których należą: tekst Marcina Orskiego opublikowany w „Studiach Rzeszowskich" w roku 2000, opracowanie Grzegorza Waligóry i Grzegorza Wołka w 7. tomie pracy zbiorowej „NSZZ Solidarność 1980-1989" (pod red. Łukasza Kamińskiego i Grzegorza Waligóry), artykuł Grzegorza Waligóry o KPN w 12. numerze „Biuletynu IPN" z 2009 roku oraz mająca charakter wspomnieniowy, popularna w zamierzeniu autorów książka Andrzeja Anusza i Łukasza Perzyny „Konfederacja. Rzecz o KPN". Całość uzupełniają dwie publikacje z czasów PRL, które z jednej strony zawierają liczne propagandowe przekłamania, ale z drugiej – są dużo bardziej szczegółowe niż wymienione wyżej publikacje wydane po 1989 r. Są to: „KPN. Kulisy, fakty, dokumenty" Mariana Reniaka (czyli Mariana Strużyńskiego) oraz „Konfederacja Polski Niepodległej. Próba analizy krytycznej" Wiesława Rehana.

Podstawową pozycją przedstawiającą działalność KPN w poszczególnych obszarach jest praca zbiorowa pod red. Michała Wenklara „Konfederacja Polski Niepodległej na drodze do wolności", w której pominięto jednak kilka ważnych konfederackich obszarów (Gdańsk, Wrocław, Poznań, Kielce). Niestety, niektóre artykuły w tym tomie bazują niemal wyłącznie na materiałach SB, są jedynie ich kompilacją i streszczeniem, bez poważnej próby skonfrontowania tych zapisków z innymi źródłami. Konsekwencją jest „esbecka perspektywa" przy opisywaniu działalności Konfederacji, której swoistym ukoronowaniem jest artykuł koncentrujący się na tajnych współpracownikach rozpracowujących KPN w jednym z Obszarów i omawiający ich działalność jedynie na podstawie zachowanych materiałów SB (co trudno uznać za opis działalności KPN w tym Obszarze). Przyczynkiem do historii Obszaru II KPN jest starannie przygotowana praca Marcina Kasprzyckiego z 2009 roku „Konfederacja Polski Niepodległej w Krakowie 1979-1990. Wybór dokumentów". Regionalnych struktur dotyczą też publikacje nie mające charakteru naukowego: Piotra Opozdy „Bez aliansów. Przyczynek do historii Konfederacji Polski Niepodległej na Lubelszczyźnie" oraz Łukasza Perzyny „Jak z pierwszej brygady. Opowieść o Andrzeju Ostoi-Owsianym". Całość uzupełnia publikacja Piotra Plebanka z 2011 roku „SB wobec Leszka Moczulskiego w latach 1969-1977. Analiza i wybór dokumentów", która jednak wprost nie dotyczy Konfederacji, ale okresu wcześniejszego.

***

Rzetelne opisanie tych zaledwie 12 miesięcy działalności krakowskiej Konfederacji wymagało zebrania przez nas obszernego materiału źródłowego. Obejmuje on około 200, nierzadko wielotomowych, jednostek aktowych ze zbiorów IPN (w wykazie źródeł podaliśmy ich około 130 – tylko te, do których znajdują się w tekście bezpośrednie odniesienia), relacje ustne około 70 osób, głównie ze środowiska krakowskiej KPN, ale także np. funkcjonariuszy SB i WSW, którzy KPN rozpracowywali, grubo ponad 100 numerów prasy podziemnej, która ukazywała się w Krakowie w 1982 r. (z bogatych zbiorów

Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego), wspomnienia i zapiski nieżyjących już działaczy. Dociekanie prawdy, momentami wymagało od nas dziennikarskiego śledztwa, podczas którego musieliśmy bohaterów wydarzeń sprzed 30 lat szukać nawet setki kilometrów od Krakowa.

Wzorem wielu znanych i doświadczonych historyków zrezygnowaliśmy w naszej pracy z utrudniających lekturę przypisów, charakterystycznych dla prac akademickich. Mimo to każde wykorzystywane przez nas źródło jest skrótowo zaznaczone w tekście, a wykaz źródeł zamieszczony na końcu książki umożliwia ustalenie pochodzenia każdego cytatu czy też przywoływanej przez nas czyjejś opinii.

Bardzo dużą wagę przywiązujemy do tego, aby zebrany przez nas materiał został zaprezentowany w formie możliwie atrakcyjnej dla Czytelnika. Chcemy, aby Czytelnik miał wrażenie uczestniczenia w opisywanych wydarzeniach wraz z jej bohaterami, aby poznał i przeżywał ich emocje. Stąd możliwie często oddajemy głos naszym bohaterom, rezygnując z własnych opisów. Za każdym razem staraliśmy się potwierdzać prawdziwość relacji ustnych w innych źródłach, choć nie zawsze było to możliwe.

Nie ukrywamy, że piszemy o wydarzeniach, w których sami braliśmy udział. To jednak sytuacja, w jakiej jest większość historyków średniego i starszego pokolenia zajmujących się historią najnowszą. Czy udało nam się zachować obiektywizm i niezbędny dystans? Każdy z Czytelników musi sam to ocenić.

***

Przy wydaniu tego tomu bezinteresownej pomocy udzieliło nam wielu ludzi dobrej woli. Wszystkim Im dziękujemy!

Szczególne podziękowanie raczą przyjąć:

- Rafał Dyrcz – naczelnik krakowskiego archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, bez którego fachowych rad nie rozwikłalibyśmy wielu zagadek kryjących się w esbeckich aktach; za jego pośrednictwem dziękujemy także za pomoc wielu archiwistom IPN;
- Miłosz A. Lodowski – autor projektu okładki;
- Leszek Jaranowski – stary opozycjonista, drukarz „Hutnika" i innych tytułów podziemnej prasy, nasz wydawca, który służył pomocą w wielu sprawach;
- Andrzej Stawiarski – artysta fotografik, uczestnik wielu Marszów Szlakiem I Kompanii Kadrowej w latach 80., za udostępnienie wykonanych przez siebie zdjęć z tego okresu;
- Jakub Bodziony oraz Stanisław Iskra – działacze NZS w latach 80. – za udostępnienie wykonanych przez siebie zdjęć z 1982 roku, ze zbiorów krakowskiego KOS;
- Magdalena Mikulec, za przekazanie nam pamiętnika swojego zmarłego męża Waldemara Mikulca;
- członkowie i sympatycy Konfederacji Polski Niepodległej, którzy udostępnili swoje zdjęcia i archiwalia,
- Władysław Gauza – założyciel i szef Biura Informacyjnego KPN w Oslo w latach 1979-1981, który wsparł projekt materialnie;
- Grzegorz Hajduk – za dużą pomoc i wykonanie zdjęć;

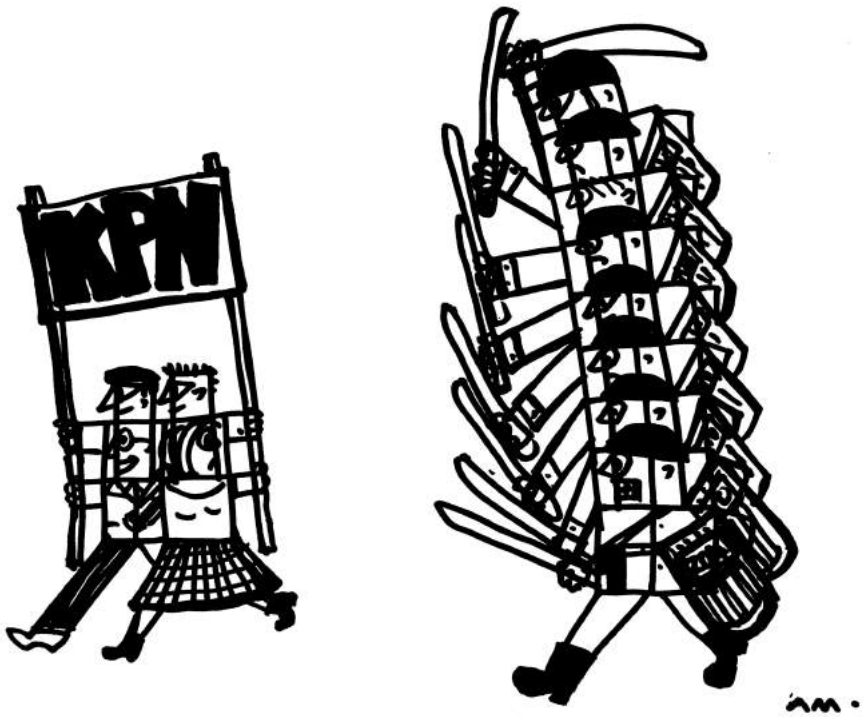
● Lech Mikulski, który udostępnił zdjęcia i cenne informacje o Zbigniewie Konradzie Makusz-Woroniczu „Niedźwiedziu";
● Jerzy Parusel – redaktor naczelny pisma „Przyroda Górnego Śląska" i dyrektor Centrum Dziedzictwa Przyrody Górnego Śląska, który udostępnił zdjęcia i materiały dotyczące Zbigniewa Makusz-Woronicza, przekazane Centrum przez Tadeusza Buchalczyka;
● płk Bogdan Koźbiał – dyrektor Aresztu Śledczego w Krakowie przy ul. Montelupich oraz ppłk Robert Bartyzel – zastępca dyrektora, którzy wyrazili zgodę na wykonanie zdjęć w areszcie;
● insp. Andrzej Rokita – małopolski komendant wojewódzki policji, który wyraził zgodę na wykonanie zdjęć w komendzie.
● Stanisław Gaworczyk – burmistrz Nowego Wiśnicza, który udostępnił zimowe zdjęcia więzienia z archiwum Urzędu Miasta;

***

W pierwszym tomie serii „ROPCiO i KPN w Krakowie" znalazł się, niestety, błąd. Napisaliśmy, że Andrzej Czuma został zwolniony z internowania „na święta Bożego Narodzenia 1981", podczas gdy w rzeczywistości decyzja o jego zwolnieniu ma datę o rok późniejszą. Nie był więc Andrzej Czuma jednym z pierwszych zwolnionych z internowania, ale jednym z ostatnich. Niestety, ta błędna data widnieje na stronach internetowych Biura Lustracyjnego Instytutu Pamięci Narodowej oraz portalu edukacyjnego IPN.

Andrzeja Czumę oraz Czytelników przepraszamy za powielenie błędnej informacji.

Mirosław Lewandowski
Maciej Gawlikowski



Rys. Adam Macedoński

Rozdział 1.
ZIMA

Akcja „Jodła” 13
Na Mogilskiej 32
Pierwsze dni wojny polsko-jaruzelskiej 45
Strajk w HiL 72
17 grudnia 1981 roku w Krakowie 93
W Nowym Wiśniczu 99
„Wigilia na Syberii” 118
TTKAB i CKAB 127
Początki podziemnej poligrafii 163

Akcja „Jodła”

Stanisław Kuś (członek Zarządu Regionu Solidarności Małopolska): *Sygnały ostrzegawcze przychodziły do Zarządu Regionu od dawna. Różni ludzie informowali nas, że coś się szykuje, że są ruchy oddziałów wojska. Można powiedzieć, że spodziewaliśmy się uderzenia. Sądziłem, że przyjdzie ono w Boże Narodzenie, kiedy zakłady pracy są opustoszałe. 12 grudnia 1981 r. na piętrze powyżej naszej siedziby przy Alejach zamelinowali się jacyś intruzi, podobno ubecy. Poszliśmy wieczorem i ich przegoniliśmy. Do domu wróciłem późno po tej akcji. Położyłem się spać, dzieci już spały, żona się kąpała.*

Marek Bik: *Przyszedłem do Zarządu Regionu w sobotę, gdy było już ciemno. W drzwiach minąłem się z parunastoma ludźmi w kaskach. Zapytałem kogoś, co się stało. Okazało się, że piętro wyżej, gdzie były jakieś biura, do których prowadziła ta sama klatka schodowa co do Zarządu Regionu, są zamknięte pokoje. Sprzątaczki nie mogły tam wejść, aby posprzątać. Przez dziurkę od klucza podglądnęły, że w środku są ludzie, którzy najwyraźniej chcieli zostać tam na noc. Wezwano ekipę Solidarności z Huty, która ich wyprowadziła.*

***

Z „Dziennika ewidencji decyzji-poleceń kierownictwa sztabu KW MO w Krakowie”:

12 grudnia 1981 roku, sobota:

17.30 – *zarządzono alarm 777 „Gama”.*

17.35 – *powiadomiono płk. mgr. A. Trzybińskiego* [komendant wojewódzki MO w Krakowie] *i wysłano samochód po Komendanta. (...)*

17.45 – *wydano polecenie mjr. Korzeniowskiemu* [naczelnik Wydziału II SB –kontrwywiad] *przystąpienie do przygotowań akcji krypt. „Azalia”* [zajęcie ośrodków radia i telewizji].

17.50 – *uruchomiono Wydział „T”* [technika operacyjna]. *(...)*

18.01 – *wprowadzono w stan pełnej gotowości ZOMO.*

18.20 – *polecono Naczelnikom stosownych Wydziałów przystąpić do organizowania zespołów do internowania.*

19.14 – *ppłk Szafarski* [naczelnik Wydziału V – ochrona gospodarki] *otrzymał polecenia, aby w porozumieniu z ppłk. Jurczakiem przygotował dobre grupy operacyjne, które zagwarantują prawidłowe zrealizowanie określonych zadań w siedzibach KRH, ZR Małopolska. W skład tych grup winni wchodzić doświadczeni, sprawdzeni w praktycznym działaniu funkcjonariusze (m.in. 2 pracowników techniki operacyjnej i oficer dochodzeniowo-śledczy). (...)*

20.45 – *polecono ppłk. Opialowi wydanie określonym funkcjonariuszom stosownej ilości łomów. (...)*
23.30 – *grupy operacyjne udały się do wyznaczonych miejsc celem dokonania zatrzymań – internowania.*

***

Zygmunt Łenyk: *12 grudnia 1981, grubo przed północą, ktoś zapukał do drzwi. Udając listonosza, który przyszedł z pilnym telegramem, domagał się wpuszczenia. Do tego czasu nigdy SB nie była u mnie o tak późnej porze. Domyśliłem się, że mam do czynienia ze szczególnego rodzaju interwencją. Wiedziałem, że takie pukanie za chwilę musi rozlec się u wielu działaczy KPN, a może nawet Solidarności i NZS. Żeby ostrzec znajomych, chwyciłem za telefon. Niestety, sygnał był już wyłączony. Nie miałem wątpliwości, kim jest rzekomy listonosz. Żona powiedziała mu, by telegram włożył pod wycieraczkę i poszedł precz. Wówczas rozległo się: „Tu milicja! Proszę otworzyć".*

Po chwili rozległ się huk łomu walącego w drzwi. Drzwi były dość miękkie i sprężynowały, nie było łatwo je wyłamać. Walczyli z nimi 45 minut. Mój syn, 3-letni Szymek, głośno płakał, 14-miesięczna Aśka obudziła się od huku, ale nie zwracała na tę akcję większej uwagi. Gdy drzwi puściły, pięciu funkcjonariuszy, w tym jeden z pistoletem maszynowym, wtargnęło do mojego mieszkania.

***

24.00 – *sprawdzono stan aresztów – polecono w maksymalnym stopniu przygotowanie ich do realizacji określonych zadań.*
0.30 – *mjr A. Korzeniowski melduje, że grupy operacyjne do realizacji zadań w akcji „Azalia" – gotowe od godziny.*
0.31 – *otrzymano informacje, że łączność miejska i międzymiastowa przestała działać od godziny.*
0.35 – *płk W. Działowski* [zast. szefa KW MO ds. SB] *melduje sztabowi MSW, że łączność międzymiastowa unieruchomiona.*
1.35 – *płk Trzybiński łączy się i rozmawia z tow. K. Dąbrową* [I sekretarz KK PZPR]...

***

Stanisław Kuś**:** *Koło północy usłyszałem dzwonek do drzwi. Przez wizjer zobaczyłem gościa w czerwonym kasku motocyklowym i samych cywili. Mówili, że są z milicji, ale postanowiliśmy im nie otwierać. Nic to nie dało, bo w godzinę później wyważyli drzwi. Z żoną i synem staraliśmy się je utrzymać, ale podważyli je od dołu metalowym prętem, wysunęli z zawiasów, a przy okazji u góry ułamali kawałek. Poszło im łatwo, bo drzwi w bloku były z płyt paździerzowych. Od jednego z atakujących czuć było alkohol. Powiedzieli, że szukają Stanisława Kusia i kazali mi iść ze sobą. Żona mówi: „Nie idź!". Wolałem pójść dobrowolnie, bo obawiałem się, że jak będę stawiać opór, to wezmą mnie siłą i jeszcze pobiją albo zrzucą ze schodów, żeby mi połamać kości. Jeden z tych cywili poradził mi: „Niech pan weźmie ze sobą ciepłą bieliznę, bo nie wiadomo, kiedy pan wróci". Wzięli mnie na komisariat przy ulicy Szerokiej. Tam już byli znajomi. Do rana całe pomieszczenie się zapełniło.*

Michał Żurek: *Byłem w swoim mieszkaniu na osiedlu Kościuszkowskim. O pierwszej w nocy do drzwi zaczęła dobijać się milicja. Nie wpuściłem ich do środka. Drzwi miałem*

okute blachą, wzmocnione przez specjalne bolce antywłamaniowe. Dodatkowo z pomocą córki i żony zastawiłem je szafą. Początkowo próbowali wyłamać drzwi łyżkami samochodowymi, ale nie udało się. Pojechali po łomy i kilofy. Żona cały czas krzyczała przez okno, że bandyci i złodzieje się włamują. Dzięki temu paru znajomych, którzy zobaczyli milicję, zdołało uciec. Minęło przeszło trzy godziny zanim wdarli się do środka i mnie zabrali. Dostałem tylko raz, kolbą między łopatki. Przewieźli mnie na komisariat na osiedlu Zgody.

Ryszard Majdzik: *Tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego, w Regionie Małopolska ogłoszono pogotowie strajkowe. Pełniłem wtedy funkcję regionalnego komisarza strajkowego. Tymczasem, 12 grudnia 1981 r., członek Prezydium ZR Leszek Kuzaj, bez konsultacji z pozostałymi członkami Zarządu Regionu, odwołał pogotowie, informując o tym w regionalnych, wieczornych wiadomościach TVP. Tego dnia pojechałem jeszcze do mojego Elbudu, gdzie 90 proc. załogi należało do Solidarności, aby odwołać pogotowie. Czuliśmy, że coś się może wydarzyć. Razem ze Zbyszkiem Sikorskim poszliśmy do Borku Fałęckiego i ostatnim pociągiem o północy wróciliśmy do domów w Skawinie.*

Czterdzieści minut później do mojego mieszkania zaczęli się dobijać zomowcy. Przyszli po mnie i ojca. Próbowali dać nam do podpisania decyzje o internowaniu, ale odmówiliśmy. Nigdy nie podpisywaliśmy żadnych esbeckich papierów. Powiedziałem, że to bezprawne i mają się wynosić. Wtedy jeden z nich pchnął mamusię na kaloryfer, co wywołało naszą wściekłość i rozpoczęła się kilkuminutowa bójka. W obronie stanął nawet mój brat, który nigdy nie angażował się w politykę. Rzucił się na nich pies, targając ich za spodnie. Wkrótce ściągnęli posiłki i otoczyli cały blok. W mieszkaniu było ze dwudziestu mundurowych, nie licząc cywili. Cała ta awantura została nagrana na kasetę magnetofonową, ale zabrali ją na drugi dzień. W końcu wrzucili nas pobitych do suki i wywieźli. Śpiewaliśmy po drodze hymn narodowy, Rotę i różne antykomunistyczne pieśni.

Przywieźli mnie z ojcem na dziedziniec komendy przy ul. Siemiradzkiego. Byliśmy jedynymi zatrzymanymi tylko w bieliźnie. Tak staliśmy jakiś czas na kilkunastostopniowym mrozie. Dopiero w celi, po paru godzinach, Krzysiek Dawidowicz dał nam swoje zapasowe kalesony i tenisówki.

Nie znamy okoliczności zatrzymania Emilii Afenda-Dadał, ale z meldunku ppor. SB Ryszarda Burzawy z 22 grudnia 1981 r. wynika, że także i w tym wypadku nie poszło milicji łatwo: *Konieczne było użycie siły fizycznej bądź sprowadzenie dodatkowych sił interwencyjnych (Ryszard Majdzik i Emilia Afenda-Dadał), gdyż wymienieni wznosili prowokacyjne okrzyki, np.: „Bandyci! „Złodzieje!”, wzywali pomocy od okolicznych mieszkańców itp.*

Po niektórych przyjechali dopiero rano.

Romana Kahl-Stachniewicz: *Było około godziny 9. Już wiedziałam o stanie wojennym. Kiedy mnie zabierali, jeden z esbeków stwierdził, że pewnie nie na długo, ale że to będzie zależało ode mnie, kiedy wyjdę. Zapewniłam więc męża, że jeżeli rzeczywiście będzie to ode mnie zależało, to nieprędko wrócę. Zdawałam sobie sprawę, że będą chcieli za szybkie zwolnienie mnie czegoś w zamian – na co nie będę mogła się zgodzić. W domu została półtoraroczna córka, 11-letni syn, mąż oraz schorowana i spanikowana mama.*

W samochodzie, którym mnie wieźli, zapytałam, czy ośrodki internowania znajdują się w Polsce, czy poza granicami. Powiedzieli, że w Polsce jest dość miejsca na to, by nas wszystkich pozamykać. Ucieszyłam się, że nie jedziemy na Sybir. Wszystko było możliwe...

Pojechaliśmy na komendę MO przy Batorego. Tam przez kilka godzin byłam namawiana przez esbeka, żebym podpisała lojalkę. Po kilku godzinach zrezygnowano, nazywając mnie wyrodną matką i przewieziono do Komendy Wojewódzkiej na Mogilską. Tam

znów byłam poddawana przez kilka godzin zmiękczaniu. Tym razem namawiającym był wojskowy. Gdy przekonał się, że rozmowa ze mną prowadzi donikąd, wyszedł. Jakiś czas upłynął na oczekiwaniu. Pilnował mnie młody esbek. Późnym popołudniem zwiózł mnie do podziemia, na tak zwany dołek, czyli do aresztu.

***

Stan wojenny został wprowadzony 13 grudnia 1981 r. uchwałą Rady Państwa *z uwagi na zagrożenie żywotnych interesów państwa i narodu, w celu zapobieżenia dalszemu upadkowi dyscypliny społecznej oraz stworzenia warunków skutecznej ochrony spokoju, ładu i porządku publicznego, a także zapewnienia ścisłego przestrzegania przepisów prawa i poszanowania zasad współżycia społecznego.*

Podstawą prawną tej uchwały był dekret Rady Państwa o stanie wojennym wydany tej samej nocy, i to z naruszeniem postanowień Konstytucji PRL.

Na podstawie artykułów tego dekretu mogli zostać internowani *obywatele polscy mający ukończone lat 17, w stosunku do których ze względu na dotychczasowe zachowanie się zachodzi uzasadnione podejrzenie, że pozostając na wolności, nie będą przestrzegać porządku prawnego albo prowadzić będą działalność zagrażającą interesom bezpieczeństwa lub obronności państwa.* Dekret stanowił, że postępowanie w sprawach o internowanie ma prowadzić oraz decyzje o internowaniu wydawać komendant wojewódzki Milicji Obywatelskiej, na którego obszarze działania przebywa albo przed ukryciem się przebywała osoba, której dotyczy to postępowanie. Dekret przewidywał, że postępowanie w sprawie o internowanie może być prowadzone bez udziału osoby, której dotyczy. Decyzję o internowaniu miano wręczać w momencie zatrzymania. Podlegała ona natychmiastowemu wykonaniu. Internowany miał prawo składania skargi do ministra spraw wewnętrznych, ale złożenie skargi nie wstrzymywało wykonania tej decyzji. Dekret stanowił, że do internowania stosuje się odpowiednio przepisy kodeksu karnego wykonawczego w zakresie nadzoru penitencjarnego i tymczasowego aresztowania, co oznaczało, że internowani mają pozycję prawną taką jak tymczasowo aresztowani.

Większość internowanych tej nocy zabrano z domów. Akcja była prowadzona często brutalnie, wyłamywano drzwi do mieszkań, używano przemocy fizycznej.

W ten sposób ziściła się przepowiednia z hasła Komitetów Obrony Więzionych za Przekonania:
„Dziś – Moczulski, jutro – Wałęsa, następnym będziesz Ty".

***

Niektórzy zdołali uniknąć internowania tej nocy.

Krzysztof Bzdyl: *Mieszkałem wtedy przy ul. Włoskiej, na drugim piętrze w bloku. Przed 23 wróciłem z drugiej zmiany z MPK w Łagiewnikach. Dwójkę małych dzieci – 9 lat i 2 lata – żona wyjątkowo zostawiła u swojej mamy.*

Będąc w pracy, około 20, albo trochę później, miałem sygnały z Zarządu Regionu, że dzieje się coś niedobrego. Proszono mnie o przysłanie pracowników MPK do usunięcia intruzów z Zarządu Regionu. Odesłałem dzwoniącego do Huty Lenina, bo byłem sam jako dyspozytor, a kierowcy w terenie. Wiedziałem też, że w biurach MPK zgromadzono aktyw partyjny i ormowców. Któryś z kierowców powiedział mi, że mają broń i straszą rozprawą z KPN-em i Solidarnością. Wiedziałem, że przygotowywany jest atak, ale mogła to być tylko wojna nerwów, która toczyła się od dłuższego czasu. Nie uważałem tego za „godzinę zero". Wróciłem do domu. Na poniedziałek byłem umówiony z Michałem Żurkiem na

zajęcie siłą rozgłośni radiowej i telewizyjnej. Michał miał być odpowiedzialny za tę akcję i w szczegóły nie wchodziłem. Myślałem, że jeżeli komuna uderzy, to tuż przed świętami, czyli za tydzień. Położyłem się spokojnie spać.

Koło godz. 2 usłyszałem dobijanie się do drzwi. Wiedziałem, że to może być tylko bezpieka. Światła nie świeciłem. Wstaliśmy cichutko i podszedłem do judasza. Na korytarzu było ciemno. Wróciliśmy do pokoju i szeptem się naradzaliśmy. Pukania nie ustawały. Żona chciała otworzyć, bo mówiła, że może stało się coś niedobrego z dziećmi albo z jej mamą. Wytłumaczyłem jej, że to niemożliwe, że to na pewno bezpieka. Byłem pewny, że to zaczęło się zapowiadane przez komunę uderzenie. Potem pukania ustały. Jeszcze kilka razy później wracali i pukali do drzwi. Zerkając przez zasłony, zobaczyłem cywili po obu stronach bloku i zmieniające się samochody – to wszystko w czasie kilku godzin, do 8 z minutami, kiedy te samochody odjechały. Wreszcie ubezpieczany przez sąsiadów wydostałem się bezpiecznie z domu.

Dlaczego nie wyłamali drzwi? Chyba nie byli pewni, gdzie jestem, gdzie mieszkam. Może lepszych fachowców wysłali po ludzi ważniejszych ode mnie?

Jan Pacula: *Przyszli po mnie do mojej mamy, do której często jeździłem z powodu jej choroby, i chyba myśleli, że ja tam mieszkam. Wystraszyli mamę i zabili jej dużego psa, który pilnował domu. Mnie nie znaleźli.*

Stanisław Tatara: *Około 6 rano wpadł Wojtek Oberc, mówiąc, że ogłosili stan wojenny i żebym wiał z domu. Zdążyłem trochę się ogarnąć i zacząłem pakować sprzęt do powielania oraz resztki wydawnictw, które miałem w mieszkaniu. Na to nadszedł mieszkający w pobliżu Jan Szelest, kolega z Fadomu, a zarazem członek KPN, który pomógł mi to wszystko upchać do dużego, wściekle wiśniowego jak na złość nesesera. Odprowadził mnie na postój taksówek, bo komunikacja miejska nie działała i dalej sam pojechałem na Dworzec Główny. O dziwo, było tam całkiem spokojnie, milicji nie było widać, pasażerów kręciło się niewielu, zdawać się mogło, że to zwykły mroźny, zaspany, niedzielny poranek. Pojechałem pociągiem do Wieliczki, a stamtąd taksówką do wsi Siercza, gdzie mieszkała moja ciotka. U niej w stodole ukryłem całą zawartość walizki.*

Tatara został jednak internowany tego dnia. Przez nieostrożność sam wszedł w ręce bezpieki.

Tatara: *13 grudnia po południu umówiłem się z Szelestem pod kinem „Kijów”. Chciał wiedzieć, czy udało mi się bezpiecznie wrócić, bo uzgodniliśmy, że w poniedziałek ogłaszamy w KPB strajk. Z Dworca Głównego pieszo dotarłem pod kino „Kijów”. Ponieważ miałem jeszcze trochę czasu, postanowiłem zobaczyć, co się dzieje pod Zarządem Regionu „Solidarności”. Szedłem drugą stroną alei Krasińskiego i zobaczyłem w przejściu pod budynkiem dużą grupę milicjantów czy zomowców, która otaczała dwie osoby – jakiegoś mężczyznę z kobietą. Po tym, jak udało mi się bezpiecznie przewieźć „trefne” materiały, czułem się luźno i pewnie.*

Gdy tylko znalazłem się przy nich, to kobietę i mężczyznę wypuścili, a mnie natychmiast otoczyli, zabrali mi dokumenty i zatrzymali. Jakiś tajniak stwierdził, że mają otworzyć sejf Zarządu Regionu i procedura wymaga, aby niezależny świadek z ulicy podpisał protokół, że to tylko formalność i potem pójdę do domu. Oświadczyłem, że się nie zgadzam i protokołu nie podpiszę. Zażądałem zwolnienia, na co esbek oświadczył, że mowy nie ma, bo wszyscy, których dotychczas próbowali wziąć, odmówili, a on ma już tego dość. Odpowiedziałem, że ja też nie podpiszę, tym bardziej że jestem chory i muszę jak najszybciej położyć się do łóżka. On na to – „Ależ podpisze pan, podpisze...”. Ponownie zaprzeczyłem. Otoczony przez kilkudziesięcioosobową grupę zomowców, tak że nie miałem szans na

ucieczkę, zostałem wprowadzony do holu budynku Zarządu Regionu. Tam esbek zaczął mnie wypytywać, gdzie byłem i dokąd idę, po co mi walizka, którą kazał mi otworzyć, aby sprawdzić, co w niej mam. Wymyśliłem jakąś bajkę o wyprawie po wędliny na święta. Z liczną obstawą ZOMO zaprowadzili mnie na górne piętro do niedużego pokoju, gdzie była kasa pancerna. Kiedy szliśmy schodami i po korytarzach, wszędzie chrzęściło szkło z porozbijanych gablot i drzwi. Esbek usiadł po jednej stronie stojącego pod ścianą stołu, a mnie kazał usiąść po drugiej. Ociągając się, odpowiedziałem, że tracą czas, bo i tak nie podpiszę żadnego protokołu, na co esbek: „Podpisze pan, podpisze i pójdzie do domu".

Po czterdziestu kilku minutach uporali się z kasą za pomocą wiertarki. Byłem zły na siebie, że dałem się tak głupio złapać. Wiedziałem, że w wypadku odmowy zostanę zatrzymany, a po sprawdzeniu aresztowany. Ponieważ odmowa podpisania protokołu nie przeszkodziła w otwarciu kasy, doszedłem do wniosku, że jedyną szansą, aby uniknąć aresztowania i dotrzeć nazajutrz na strajk, jest podpisanie protokołu. W rozprutej kasie znajdowały się pieniądze w różnych walutach. Sprawdziłem protokół dokładnie i go podpisałem. Sprowadzili mnie na dół. Już byłem przy drzwiach wyjściowych, gdy jakiś starszy ubek kazał mi się zatrzymać, pytając, co tu robię i co mam w walizce. Powiedziałem, że byłem podpisać protokół otwarcia kasy i znowu powtórzyłem bajkę o wyprawie po wędlinę. Nie dał za wygraną, mówiąc, że muszę z nimi jechać na komendę na Mogilskiej, bo to był tylko prowizoryczny protokół i że tam wszystko się wyjaśni. Zrozumiałem, że wpadłem.

Na Mogilskiej posadzili mnie w dyżurce, gdzie czekałem około godziny. Panował duży ruch, przychodzili myśliwi, którzy zdając broń, psioczyli i głośno przeklinali komunę. W końcu esbecy ustalili kim jestem. Przyszedł po mnie tajniak, który zabrał mnie windą do pokoju, gdzie z uśmiechem na ustach wręczył mi decyzję o internowaniu, mówiąc: „Aleś nam się pan nawinął!". Próbowali mnie przesłuchiwać, ale odmówiłem odpowiedzi na wszystkie pytania z wyjątkiem jednego. Zdenerwowało to troszkę przesłuchującego mnie esbeka. Powiedział: „Jak pan taki niegrzeczny, to może porozmawia pan z moim kolegą". Wszedł wysoki, dobrze zbudowany esbek z pistoletem na szelkach. Zdjął go i położył przede mną na biurku, co spowodowało, że roześmiałem się na głos, coś mu żartobliwie powiedziałem i przestali mnie straszyć. Trafiłem do celi, gdzie spędziłem noc.

***

13 grudnia 1981 roku, niedziela:

1.30 – *płk Działowski otrzymuje telefon, że u Gila lokatorzy zatarasowali drogę i grupa operacyjna nie weszła – czeka na posiłki. Bezzwłocznie udają się dodatkowe siły osobowe.*

1.47 – *ppłk* [Józef] *Kaim* [naczelnik Wydziału „B" – obserwacja] *melduje płk. Działowskiemu, że pluton ZOMO wyjechał do Gila.*

1.48 – *płk Działowski otrzymuje telefon, że funkcjonariusze Nawrocki i Żak złożyli broń i udali się do domu. Płk Działowski wydał stosowne polecenia Wydziałowi Kadr w tej sprawie.*

1.50 – *płk Działowski konsultuje z płk. Trzybińskim sprawę funkcjonariuszy, którzy złożyli broń i nie udali się do służby. Zadecydowano, że kadrowiec odbierze im legitymacje i ściągnie ich na rozmowę. (…)*

2.25 – *płk Działowski melduje Sztabowi MSW, że akcja przebiega na ogół spokojnie.*

2.35 – *telefon, że Gil ma zamiar skakać z balkonu z III piętra.*

2.40 – *konsultacja płk Działowski – ppłk Jurczak* [LWP]. *Postanowiono, aby z da-*

chu weszli nasi funkcjonariusze z plutonu taterników i żeby sprawę tą skonsultował płk Jurczak z Komendantem Straży Pożarnej płk. Feliksem.

3.05 – *płk Trzybiński – płk Działowski – ppłk Jurczak podejmują decyzję odnośnie Gila i Ciastonia, którą przekazują ppłk. Jurczakowi i dodają, aby płk Feliks też wysłał swoich strażaków.*

3.08 – *mjr* [Jan] *Nogieć* [naczelnik Wydziału Śledczego] *podaje, że jest 25 zatrzmanych.*

3.09 – *mjr Nogieć melduje, że Gil i Ciastoń zeszli z balkonu do mieszkania i konferują przez drzwi z funkcjonariuszami.*

3.15 – *mjr Nogieć melduje, że 30 osób już zatrzymano.*

***

Przeznaczeni do internowania byli tymczasowo więzieni w różnych miejscach. Kobiety i część mężczyzn trafiła do aresztu Komendy Wojewódzkiej MO przy ul. Mogilskiej. Inni do aresztów w dzielnicowych komisariatach milicji w Krakowie.

Radosław Huget: *Wzięli nas do nyski razem z siostrą. Mnie wysadzili przy Siemiradzkiego, Bożena pojechała dalej. Mam do dziś list depozytowy numer dwa z 13 grudnia 1981 r. Czyli musiałem być drugą osobą (a chyba nawet pierwszą), którą przywieźli tego dnia na Siemiradzkiego. Już na dzień dobry usłyszałem głos jakiegoś ubeka zza zamkniętych drzwi: „Huget! Pojedynka, kurwa!”. Tam siedziałem jedną noc. Ten areszt był już od dawna nieczynny i było strasznie brudno. Nie było kanalizacji w celach, tylko kubły na nieczystości. Brak wentylacji powodował, że smród był nie do opisania. Do spania były takie katafalki jak przy Batorego. Wsadzili mnie rzeczywiście do jedynki, ale z jakimś wariatem, który całą noc przestał przy drzwiach, zamiast się położyć. Bał się wszystkiego. Ciągle mówił do mnie: „Zgroza!”. Ja mu odpowiadałem: „Co z tego, że zgroza. Jak jest zgroza, to się prześpij. Zobaczymy, co będzie rano”.*

***

3.18 – *informacja, że część działaczy „Solidarności” z Gdańska uciekła. Płk Trzybiński – płk Działowski wydają polecenie stosownym służbom i WRD* [Wydział Ruchu Drogowego MO] *(samochody, pociągi). (...)*

3.30 – *płk Trzybiński otrzymał telefon, aby tow. Kubiak* [sekretarz KC PZPR i członek Biura Politycznego] *przybył do KK PZPR (środek transportu załatwia ppłk Kaim). (…)*

4.02 – *akcja „Bruzda” – skoszarować oddziały zwarte ORMO.*

4.03 – *akcja „Dukat” – przystąpić do powołania rezerw osobowych i środków transportu.*

4.04 – *akcja „Elewator” – przystąpić do zabezpieczenia obiektów gospodarki żywnościowej.*

4.05 – *akcja „Tarcza” – ochrona rodzin funkcjonariuszy MO i SB i aktywu partyjnego.*

4.06 – *akcja „Epoka” i „Ekspres” – fizyczna ochrona obiektów gospodarki narodowej, zabezpieczenie obiektów na obszarach kolejowych.*

4.07 – *akcja „Enigma” – kontrola urządzeń poligraficznych.*

4.08 – *akcja „Gwarek” – wstrzymać wyjazdy za granicę i ograniczyć przyjazdy.*

4.09 – *akcja „Hajduk” – ograniczyć swobodę działania pracowników placówek dyplomatycznych.*

4.10 – *akcja „Hamulec" – ograniczyć działalność korespondentów.*
4.11 – *akcja „Hetman" – wzmocnić ochronę konsulatów.*
4.12 – *akcja „Harfa" – ograniczyć swobodę przedstawicieli firm zagranicznych.*
4.13 – *akcja „Hektor".*
4.14 – *akcja „Heban".*
4.15 – *akcja „Kabina" – zorganizować wojewódzką cenzurę.*
4.16 – *akcja „Kabel" – wyłączenie rozmów zagranicznych.*
4.17 – *akcja „Kadet" – ograniczenie ruchu telegraficznego.*
4.18 – *akcja „Kama" – sprawa wyłączenia telefonów.*
4.19 – *akcja „Lokata" – wycofać broń palną.*
4.20 – *akcja „Model" – nadzór nad wycofywaniem urządzeń nadawczo-odbiorczych.*
4.21 – *akcja „Trapez" – ochrona własnych obiektów.*
4.22 – *akcja „Osada" – wstrzymać urlopy.*
4.23 – *akcja „Estela" – wzmocnić służby patrolowo-obchodowe.*
4.30 – *Ciastoń melduje płk. Działowskiemu, że z braku łączności jedna osoba poniosła śmierć, po prostu nie było możliwości powiadomienia Pogotowia Ratunkowego, a wiadomość z radiowozu podano już po zgonie.*
4.35 – *płk Trzybiński udaje się do I Sekretarza KK PZPR.*
4.36 – *płk Działowski o godz. 5.00 – zarządzić akcję „Grota" i alarmem „Beta" sciągnąć wszystkich funkcjonariuszy na godz. 10.00, którzy nie przybyli na I alarm*
4.38 – *płk Działowski – o godz. 6.00 ppłk Kuźnia zapozna aktyw KW MO z akcją „Notes" – o stanie wojennym i zadaniach funkcjonariuszy.*
5.10 – *ppłk Szot melduje, że Olsztyn zatrzymał Syryjczyka. (…)*
5.22 – *kpt.* [Kazimierz] *Śpitalniak* [Wydział V – ochrona gospodarki] *rozlicza z wyników akcji „Jodła" Naczelników Wydziałów numerowych SB.*
5.23 – *płk Trzybiński łączy się z Gajewiczem* [I sekretarz KK PZPR] *i postuluje w rozmowie, aby ostrzegł Konsula Francji i USA o nieporuszaniu się, gdyż może grozić im niebezpieczeństwo.*
5.30 – *płk Działowski rozmawia z płk.* [Edwardem] *Rodziewiczem z KW MO Tarnów* [zastępca komendanta wojewódzkiego ds. SB] *i prosi o powiadomienie kierownictwa Zakładu Karnego w Wiśniczu, aby spowodowało warunki i pomieszczenia dla osób internowanych.*
5.35 – *płk Działowski wydaje polecenie oficerowi dyżurnemu, aby powiadomił Kierowników jednostek KW MO w Krakowie o potrzebie wysłuchania o godz. 6.00 w programie I Polskiego Radia wystąpienia Premiera PRL.*
5.36 – *płk Działowski otrzymuje informację cyt. „W Ostródzie zatrzymano Sikorę i Jurczaka".*
5.42 – *płk Działowski otrzymuje telefon, że Krakowska Telewizja zabezpieczona jest przez wojsko.*
6.00 – *wysłuchano przemówienia Premiera.*

***

Fragmenty wystąpienia telewizyjnego Jaruzelskiego z 13 grudnia 1981 r.: *Jak długo można czekać na otrzeźwienie? Jak długo ręka wyciągnięta do zgody ma się spotykać z zaciśniętą pięścią? (…) Dalsze trwanie obecnego stanu prowadziłoby nieuchronnie do katastrofy, do zupełnego chaosu, do nędzy i głodu. Surowa zima mogłaby pomnożyć straty, pochłonąć liczne ofiary (...). Trzeba powiedzieć: dość! Trzeba zapobiec, zagrodzić drogę konfrontacji, którą zapowiedzieli*

otwarcie przywódcy „Solidarności” (...). Instynkt samozachowawczy narodu musi dojść do głosu. Awanturnikom trzeba skrępować ręce, zanim wtrącą ojczyznę w otchłań bratobójczej walki.

***

6.50 – *płk Działowski melduje Sztabowi MSW i podaje, że zatrzymano 70 osób.*
7.00 – *z KK PZPR przybył płk Trzybiński i zapytał płk. Działowskiego o siły osobowe, (...) wyjaśnić dlaczego Gil nie został zatrzymany, uczyni to ppłk Szafarski. (...)*
7.02 – *kpt. Śpitalniak apeluje, aby do akcji „Klon” ruszyć w sposób maksymalny. Siły mundurowe winny chronić cywilnych funkcjonariuszy realizujących zadania w akcji „Klon”. (...)*
7.05 – *płk Działowski otrzymuje informację, iż do godz. 7.00 12 grup nie powróciło z akcji internowania. (…)*
7.46 – *płk Działowski informuje Prezydenta, że Dyrektor Kazberuk nie ma ochoty przyjechać do urzędu i odmówił przyjazdu kierowcy.*
7.47 – *płk Działowski poleca mjr Majer cyt. „funkcjonariusz, który oddał legitymację, ma się zgłosić do Wydziału Kadr w dniu 14 grudnia 1981”,*
8.00 – *mjr Nogieć melduje płk. Działowskiemu, że internowano na punktach etapowych 70 osób, które dowieziono do Wiśnicza.*
8.20 – *płk Działowski rozmawia z Dyrekcją Zakładów Karnych w Rzeszowie – pyta ilu internowanych może przyjąć Zakład Karny w Wiśniczu – odpowiedź – ponad 40.*
8.43 – *płk Trzybiński oświadcza płk. Działowskiemu, że jeśli któryś z funkcjonariuszy zatrzyma Gila, otrzyma nagrodę w wysokości 7.000 tys. zł.* [tak w oryginale]
9.00 – *dzwoni tow. Gajewicz i prosi o oddelegowanie oficera do jego pomocy – płk Działowski oświadcza, że wyjechał już odpowiedni oficer. (…)*
10.18 – *płk Działowski konsultuje z tow. Gajewiczem sprawę imprez sportowych – odpowiedź – odwołuję wszelkie zawody (interwencja ppłk. Kantka – chodziło o mecz I ligi w siatkówce Wisła – Widzew Łódź).*
11.00 – *płk Działowski melduje gen. Stachurze o sytuacji i wynikach akcji: 72 osoby zatrzymane na 147 planowanych, 40 osób wytypowanych do internowania przebywa poza Krakowem...*

18 grudnia 1981 r. dyrektor Departamentu III MSW płk SB Henryk Walczyński wysłał szyfrogram do wszystkich zastępców wojewódzkich MO ds. SB, w którym nakazywał: *Pomimo wprowadzenia stanu wojennego stwierdzono dalszą działalność członków Konfederacji Polski Niepodległej, w związku z tym bezzwłocznie należy:*

- *Objąć działaniami kryptonim „Jodła” nie internowanych dotychczas członków KPN.*
- *Podczas zatrzymania dokonywać przeszukań w celu ujawnienia materiałów dokumentujących przestępczą działalność. Przejęcie tych materiałów należy dokumentować procesowo. Wydziały śledcze winny dokonać analizy zakwestionowanych materiałów i – jeżeli istnieją podstawy – wszcząć postępowanie karne.*
- *Z zatrzymanymi przeprowadzić rozmowy, w których zmierzać należy do: ujawnienia wszystkich okoliczności związanych z działalnością KPN, pozyskania osobowych źródeł informacji, podpisywania oświadczeń o lojalności.*
- *Osoby, które podpiszą takie oświadczenia lub wyrażą zgodę na podjęcie współpracy*

z SB, należy zwolnić – pozostałe internować.
– *Uzyskane w wyniku podjętych działań materiały, szczególnie oświadczenia o lojalności (rozbudowane treściowo), wykorzystać dla celów propagandowych w porozumieniu z wydziałem V departamentu III.*



Kolumna milicyjno-wojskowa na ulicach Krakowa. Stan wojenny został wprowadzony 13 grudnia 1981 r. uchwałą Rady Państwa z uwagi na zagrożenie żywotnych interesów państwa i narodu, w celu zapobieżenia dalszemu upadkowi dyscypliny społecznej oraz stworzenia warunków skutecznej ochrony spokoju, ładu i porządku publicznego, a także zapewnienia ścisłego przestrzegania przepisów prawa i poszanowania zasad współżycia społecznego. Podstawą prawną tej uchwały Rady Państwa był dekret Rady Państwa o stanie wojennym wydany tej samej nocy, i to z naruszeniem postanowień Konstytucji PRL.

Fot. SB

Nie wiadomo, jakie przesłanki skłoniły centralę SB do wysłania powyższego szyfrogramu. Wiadomo natomiast, że w następstwie cytowanego polecenia dodatkowo internowano w Krakowie przynajmniej jednego członka KPN – Jacka Swałtka.

Halina Swałtek: *Mojego męża zabrali 18 grudnia 1981 r. Przyszło kilku tajniaków i jeden zomowiec. Męża nie było w domu. Od 16 do 21 siedzieli u nas, robili rewizję i czekali na męża. Pamiętam, jak jeden z nich powiedział: „Jak by milion ludzi wystrzelać w Polsce, to by był porządek". Jak mąż przyszedł, to go wzięli. Na drugi dzień poszłam do komisariatu przy ul. Zamoyskiego zapytać o niego, to mi powiedzieli: „Jeśli jest żywy, to będzie na Mogilskiej". Rzeczywiście, jak poszłam na Mogilską, to okazało się, że męża internowali. W tym czasie byłam w ciąży. Ledwo wyszedł z internatu, to się urodziła córka.*

***

Marcin Kasprzycki podaje (ilekroć powołujemy się na publikację tego autora bez podania tytułu, to chodzi o „Konfederację Polski Niepodległej w Krakowie 1979-1990. Wybór dokumentów"), że w Krakowie internowano 15 konfederatów. Byli to: Kazimierz Apanowicz, Krzysztof Bzdyl, Krzysztof Gąsiorowski, Bożena Huget, Radosław Huget, Romana Kahl-Stachniewicz, Ryszard Kuś, Stanisław Kuś, Zygmunt Łenyk, Jerzy Mohl, Jacek Swałtek, Stanisław Palczewski, Stanisław Tatara, Kazimierz Zmarlik, Michał Żurek.

Kasprzycki wymienia także nazwiska czworga innych internowanych – byłych działaczy KPN, którzy nie działali już w Konfederacji: Emilii Afenda-Dadał, Mieczysława Majdzika, jego syna – Ryszarda Majdzika oraz Adama Macedońskiego. Tak więc spośród 10 członków-założycieli KPN z Krakowa, internowano 6, pomijając: Stefana Dropiow-

skiego, Michała Muzyczkę, Stanisława Tora i Ryszarda Zielińskiego. Tor już w tym czasie nie żył, Muzyczka i Dropiowski zerwali kontakty z KPN jeszcze przed Sierpniem i zrezygnowali z działalności publicznej.

Natomiast po Zielińskiego, jak sam później opowiadał, w nocy z 12 na 13 grudnia przyjechała bezpieka, zawieziono go do Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Jako przewodniczący Unii Chrześcijańsko-Społecznej w Krakowie, działającej oficjalnie organizacji, wszedł w skład prezydium Obywatelskiego Komitetu Ocalenia Narodowego (OKON), obok przedstawicieli: PZPR, ZSL, SD oraz PAX.

Powyższe wyliczenie internowanych działaczy krakowskiej KPN jest jednak niepełne, bo wielu działaczy KPN było równocześnie członkami „Solidarności” i trudno dziś rozstrzygnąć, czy zostali internowani jako działacze „Solidarności”, czy jako działacze KPN. Chodzi tu przede wszystkim o internowanych pracowników krakowskiego MPK: Stanisława Dyląga (ur. 1943, ślusarza, pracownika MPK Czyżyny, wiceprzewodniczącego KZ „Solidarności”, organizatora strajku w MPK), Aleksandra Staszczaka (ur. 1941, przewodniczącego KZ „Solidarności” w MPK), Krzysztofa Szczybalskiego (ur. 1952, motorniczego, internowanego po strajku w AGH). Internowanymi członkami KPN byli także: Adam Grudziński (ur. 1946, pracownik AGH, drukarz w Sekcji Informacji ZR „Solidarność” Małopolska), Zbigniew Śmigielski (ur. 1948, rolnik) oraz Janusz Starkiel (ur. 1952, kierowca, baza transportu AGD „Domgos”). Liczba internowanych od 13 do 18 grudnia krakowskich konfederatów (lub byłych konfederatów) wynosiła więc co najmniej 25 osób, na ogólną liczbę 220 internowanych z ówczesnego województwa krakowskiego (jak podaje Ewa Zając). Jeżeli uznać za wiarygodne dane SB, szacujące liczebność KPN w Krakowie przed 13 grudnia 1981 r. na około 200-250 osób, to internowany został co najmniej co 10 członek Konfederacji.

W całym kraju internowano 272 działaczy KPN (Cecuda), choć jak widać na przykładzie Krakowa, są to zapewne liczby zaniżone. Najwięcej na Śląsku, bo tam najwięcej nowych ludzi wstąpiło do KPN w latach 1980-81. Dotyczyło to zwłaszcza górników. Do 22 grudnia 1981 r. w całym kraju internowano co najmniej 5179 osób (Glicksman). Konfederaci stanowili więc niewielki odsetek (ok. 5%) wśród wszystkich internowanych w tym czasie. Należy jednak pamiętać o tym, że „Solidarność” była ruchem masowym, a KPN partią kadrową. Stąd liczba internowanych działaczy KPN (której liczebność pod koniec 1981 r. Rehan szacował na 1,5 do 3 tysięcy członków, w większości przyjętych dopiero w 1981 r.) stanowiła dla niej o wiele większe osłabienie niż internowanie kilku tysięcy działaczy 10-milionowego Związku. Zwłaszcza że w przeciwieństwie do przywódców „Solidarności”, kierownictwo KPN większą część okresu od Sierpnia do Grudnia spędziło w więzieniu. Stan wojenny był więc dla Konfederacji ciosem o wiele silniejszym niż dla „Solidarności”.

***

Nieoczekiwanie 11 grudnia 1981 roku na wolności znalazł się Leszek Moczulski.

Leszek Moczulski (ilekroć cytujemy wypowiedzi Leszka Moczulskiego, bez zaznaczenia, że chodzi o inne źródło, pochodzą one z książki Antoniego Dudka i Macieja Gawlikowskiego – *Leszek Moczulski. Bez wahania): Wszyscy w KPN czekali na stan wyjątkowy – spodziewano się, że będzie bardzo brutalny. Z obawy o moje losy powstał pomysł, aby mnie w ostatniej chwili wyciągnąć z więzienia. Nie miałem o tym pojęcia. Tymczasem Majka po wyczerpującej głodówce w naszej obronie* [zob. tom I] *wylądowała w szpitalu na reanimacji, a następnie na stole operacyjnym. Przeleżała kilka miesięcy i wyszła nie całkiem*

zdrowa. W grę wchodziła jeszcze jedna operacja. Teraz postanowiła to wykorzystać. Szpital załatwiono jej aż na Śląsku, bo tam byli jacyś nasi lekarze. Położyli ją na oddział i wysłali od razu pismo do naczelnika więzienia, popierające wniosek o parodniową przepustkę związaną z ciężką operacją żony. Bezpieka sądząc, że cała ta operacja to lipa, zadecydowała: pokroją Moczulską – puścimy męża; wcześniej nie ma mowy.

11 grudnia rano Majka poszła pod nóż, a lekarze natychmiast wysłali do więzienia depeszę, że jej stan jest ciężki. Niespodziewanie dla wszystkich wieczorem tego samego dnia wyszedłem. Ponieważ nikomu nie dali znać, że mnie puszczają – i to w dodatku bez pieniędzy – pojechałem do domu sam, na gapę, autobusem. Przez całą drogę obserwowałem przez okno duże plakaty z symbolem KPN. Gdy wysiadłem, obejrzałem je z bliska. Była to robota ubecka, a pełna treść brzmiała: Koniec Polski Niepodległej. W domu dowiedziałem się, że na niedzielę Gąsiorowski zwołał do Katowic Radę Polityczną i Centralne Kierownictwo Akcji Bieżącej. Wybrał to miejsce, licząc się z szansą zwolnienia mnie na operację Majki.

Jak wynika z meldunku operacyjnego ppor. Andrzeja Anklewicza (Wydział III-2 KS MO) z 12 grudnia 1981 r., *po zwolnieniu Leszka Moczulskiego z aresztu śledczego został on poddany obserwacji przez Wydział „B" KS MO.*

Leszek Moczulski: *W drodze do Katowic, Waldkowi Dziumakowi, prowadzącemu samochód, udało się zgubić bezpiekę. Na Śląsk dotarliśmy późno, koło północy. Podjechaliśmy w pobliże domu, w którym mieszka Teresa Baranowska, gdzie mieliśmy się zgłosić. Tuż przed klatką schodową minęliśmy kilku facetów wyglądających na bezpieczniaków. Z zachowaniem dużej ostrożności, inną klatką schodową przeszliśmy do mieszkania Baranowskiej; drzwi były wyłamane, ze środka zaś dobiegały głośne rozmowy esbeków. Awaryjnym kontaktem był namiar na mieszkanie pewnego lekarza. Dotarliśmy tam po drugiej w nocy, już 13 grudnia i śmiertelnie zmęczeni położyliśmy się spać. Rano zamiast jakiejś muzyki obudziły nas szumy i trzaski wydobywające się z radia. Włączyliśmy telewizor – nie było już wątpliwości, co się stało. W ciszy wysłuchaliśmy Jaruzelskiego. Pomimo nocnych aresztowań udało się zebrać jakimś cudem ocalałych z pogromu działaczy i odbyło się planowane posiedzenie mocno już przerzedzonej Rady Politycznej oraz CKAB-u.*

Jak wspomina dziś Moczulski, w zebraniu tym nie wziął udziału Krzysztof Gąsiorowski, który już około północy został zatrzymany przez SB w siedzibie śląskiej „Solidarności". Zatrzymanie to odbyło się w dramatycznych okolicznościach. Jak podaje Andrzej Paczkowski, *około 30 osób przebywających w siedzibie zarządu stawiało opór – użyli gaśnic przeciwpożarowych, zablokowali drzwi, ale gdy milicjanci wybili w nich wyrwę i wrzucili granaty z gazem łzawiącym, związkowcy się poddali.*

Tymczasem za Leszkiem Moczulskim SB wysłała list gończy. 13 grudnia 1981 r. o godzinie 10.40 wszystkie komendy wojewódzkie MO dostały teleks: *Na polecenie sztabu MSW zarządzam poszukiwania krajowe za Robertem Leszkiem Moczulskim* [Tu następują dane osobowe poszukiwanego]. *Ostatnio był widziany w województwie katowickim.(...) Poruszał się czerwonym fiatem 125p.* Podpisano: płk Marian Grabowski. Z akt krakowskiej SB wynika, że był to pierwszy tego typu teleks wysłany po wprowadzeniu stanu wojennego. Po kilku godzinach rozesłano wiele kolejnych w poszukiwaniu działaczy, którzy uniknęli internowania, m.in. Jerzego Sychuta ze szczecińskiej KPN. Spośród działaczy krakowskiej Konfederacji poszukiwano Bogdana Długogórskiego.

Krzysztof Król w książce Andrzeja Anusza i Łukasza Perzyny wspomina, że jego pobyt w Katowicach 13 grudnia 1981 r. był związany ze zwołanym tam II zjazdem Niezależnej Federacji Młodzieży Szkolnej, której Król był współtwórcą.

Szerzej o Federacji Młodzieży Szkolnej napisał Marek Wierzbicki:

W tym okresie [chodzi o lata 1980–1981] *(…) przy wsparciu Ruchu Młodej Polski, Konfederacji Polski Niepodległej, Niezależnego Zrzeszenia Studentów i Solidarności „uczniowskie komitety odnowy społecznej” tworzono także w szkołach średnich na terenie całego kraju (...). Zajmowały się np. propagowaniem patriotyzmu, tradycji narodowej, podstawowych wartości ogólnoludzkich i praw obywatelskich, jak również działaniami na rzecz likwidacji monopolu PZPR w wychowywaniu dzieci i młodzieży oraz usunięcia ideologii marksizmu-leninizmu z programów nauczania i wychowania. Promowały także samokształcenie, organizowanie życia kulturalnego i rozrywek w czasie wolnym. Liczba ich członków była w sumie niewielka, niemniej sympatyzowała z nimi znaczna część środowiska uczniowskiego. Pod koniec roku szkolnego 1980/1981 pojawiła się inicjatywa zjednoczenia wszystkich organizacji uczniowskich w ogólnopolską federację (...). W obecności 150–200 delegatów ugrupowań młodzieżowych z całego kraju, 12 i 13 września 1981 r. w Gdańsku powołano Federację Młodzieży Szkolnej, która rozpoczęła starania o rejestrację w sądzie. Organem prasowym nowej formacji stało się – ukazujące się poza zasięgiem cenzury – czasopismo „Uczeń Polski”, zaś wydawnictwem „Wprost” . W zamyśle twórców FMS miała pełnić rolę związku zawodowego uczniów, reprezentując to środowisko wobec władz; struktura ta nie doczekała się legalizacji. Prowadziła jednak jawną działalność w szkołach, korzystając ze słabości aparatu władzy. Po dwóch miesiącach (14 i 15 listopada 1981 r.) doszło w niej do rozłamu, wynikającego przede wszystkim z konfliktu personalnego pomiędzy członkami prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego FMS: Grzegorzem Biereckim z Gdańska (przewodniczącym OKZ) oraz Tomaszem Sokolewiczem z Warszawy. W rezultacie od listopada 1981 r. działały dwie organizacje: Federacja Młodzieży Szkolnej i Niezależna Federacja Młodzieży Szkolnej. Na 13 grudnia 1981 r. zaplanowano zjazd, który miał doprowadzić do ponownego połączenia zwaśnionych organizacji, na przeszkodzie stanęło jednak ogłoszenie stanu wojennego.*

Podane wyżej informacje wymagają doprecyzowania. „Uczeń Polski” był pismem ukazującym się od 1979 r., w tym czasie związanym z ROPCiO.

Krzysztof Król: *Warszawski FMS był kierowany przez grupę kilku rzeczników (m.in. Sokolewicz, Maciej Ślesicki, Katarzyna Bachanek, Justyna Duriasz, Inga Walc, ja). Z KPN tam byłem związany tylko ja. Byłem wtedy w takiej grupce pod nazwą Młodzieżowy Front Niepodległościowy. Wydawaliśmy ulotki wzywające do uwolnienia Leszka Moczulskiego, wydrukowaliśmy Raport Katyński O'Malleya, kolportowaliśmy dużo bibuły. To była właśnie warszawska młodzieżówka KPN. Byliśmy wszyscy w FMS, ale to były odrębne byty. Warszawski FMS był bardziej związany z KOR.*

Krzysztof Król (z książki Anusza i Perzyny): *Rano 13 grudnia w schronisku młodzieżowym, gdzie kwaterują KPN-owcy, szybko okaże się, że nigdzie nie można się dodzwonić. Telefony nie działają, więc włączamy telewizor: stan wojenny. Trafiliśmy do Sławomira Skrzypka. Mieszkał z rodzicami tuż przy dworcu. To był najlepszy punkt kolportażu w Katowicach, bo najbardziej bezpieczny, droga z pociągu do punktu kolporterskiego była najkrótsza. Spotykają się i zastanawiają, co dalej robić. Może wracać z całą bibułą do Warszawy? Pojawia się też pomysł, żeby zgodnie z instrukcją „Solidarności”, dotyczącą postępowania w sytuacji zagrożenia związku, trafić do większego zakładu pracy. – Opatrzność czuwała nad nami, że tego wariantu nie wybraliśmy, bo najbliżej była kopalnia Wujek – przyznaje Krzysztof Król. – Zastanawialiśmy się też nad hutą Baildon. Skończy się jednak na decyzji powrotu do domu. Nie w pełnym jednak składzie. W okolicach mieszkania późniejszego prezesa Narodowego Banku Polskiego – Skrzypka, przyszły reżyser filmowy Maciej Ślesicki*

robi zdjęcia zomowców. Najmniejszy w grupie, biega najwolniej, więc właśnie jego złapią.

Poszedłem na otwarte spotkanie z Leszkiem Moczulskim, które miało być w pomieszczeniu przy szpitalu, w którym (jak się później dowiedziałem) leżała Majka – żona Leszka. Wraz z kolegami (było nas ze 6 osób) poszliśmy tam i nieoczekiwanie okazało się, że mimo wprowadzenia stanu wojennego Leszek Moczulski na to spotkanie przybył! Było kilkanaście osób. Poza ludźmi, którzy przyszli wraz ze mną, nie znałem innych uczestników. Nie wiem, czy tam byli jacyś członkowie Rady Politycznej, ale na pewno były tam osoby starsze, z którymi Leszek był po imieniu.

Krzysztof Łojan podaje, że dzień wcześniej w siedzibie MKZ Katowice przy ul. Stelmacha o godz. 18.00 spotkali się: Gąsiorowski, Teresa Baranowska, Henryk Strzódka, Józef Zajkowski, Józef Lencz, Bernard Ziomko, Andrzej Roczniok oraz dwóch działaczy z Bielska-Białej, dwóch z Opola i trzech z Częstochowy o nieustalonej tożsamości. Ci z nich, którzy nie zostali internowani, pewnie byli na spotkaniu, o którym mowa wyżej.

Król: *Z tego, co pamiętam, Leszek mówił, że wprowadzenie stanu wojennego nie jest zniszczeniem szachownicy, ale zrzuceniem z niej figur. Przewidywał, że uderzenie komunistów trafi w próżnię, bo „Solidarność" nie jest przygotowana na stawienie czynnego oporu, a więc te zmagania się przeciągną. Będą oczywiście ofiary, aresztowania, ale to nie będzie Powstanie Styczniowe. Mówił, że jeśli nie przekształci się to w powstanie zbrojne, to nie dojdzie do wymordowania elity.*

Jak wynika z wypowiedzi Króla na II Kongresie KPN w 1984, która została nagrana przez SB i zapisana w aktach kontrolno-śledczych obu procesów kierownictwa KPN, wytyczne Moczulskiego dotyczące centralnej działalności Konfederacji, przekazane Królowi 13 grudnia 1981 r. w Katowicach, obejmowały następujące elementy:

1) Konfederaci powinni włączyć się w ruch oporu „Solidarności" i dążyć do jego przekształcenia w ruch o charakterze niepodległościowym.

2) Konfederacja nie powinna wykonywać gwałtownych ruchów politycznych. Uzasadnieniem tej decyzji było to, że cała czołówka KPN siedziała w więzieniu i nie było na wolności nikogo, kto mógłby podejmować decyzje wiążące członków Konfederacji.

3) Po zwolnieniu z internowania Krzysztofa Gąsiorowskiego, kierownictwo KPN winno było mu się podporządkować, ale Gąsiorowski miał działać zgodnie z pisemnymi instrukcjami wysyłanymi z więzienia.

Leszek Moczulski: *Zdecydowałem się stawić na rozprawę sądową; kolejny termin wyznaczony był na poniedziałek, 14 grudnia. Oczywiście, wiedziałem, że oznacza to powrót do więzienia. Ta decyzja rodziła się przez całą niedzielę; omawialiśmy ją wspólnie, wysłuchałem opinii licznych osób, ale ostateczne rozwiązanie musiałem wybrać samodzielnie. Na postanowienie o powrocie, przyznaję, że niełatwe, wpłynęło wiele przyczyn. Cały czas głosiliśmy, że to my działamy zgodnie z prawem, a totalitarne władze łamią ustalone przez siebie normy; ucieczka przed procesem zadałaby kłam temu, co mówiliśmy. Ukrywając się, bez przygotowanego stanowiska kierowania, łączności itd., skazałbym się na niebyt. Całą energię poświęciłbym na uciekanie przed bezpieką. To nie miało sensu. Ironia losu polegała na tym, że takie gniazdo podziemne było gotowe, ale człowiek, który je przygotował – całkiem niezależnie od sieci KPN – zmarł nagle tuż przed stanem wojennym. Był to ppłk „Niedźwiedź". Los przeciął tę drogę.*

***

„Niedźwiedź" to Zbigniew Makusz-Woronicz (ur. 1916), tajemnicza i barwna postać, o której była już wzmianka w tomie I. Jego życiorys mógłby posłużyć jako fabuła do kilku

filmów sensacyjnych. Niestety, umierają ostatni świadkowie, którzy mogliby opowiedzieć jego dramatyczne dzieje: służba w przedwojennym kontrwywiadzie, działalność konspiracyjna w Armii Krajowej w czasie II wojny światowej, działanie na zlecenie Leopolda Okulickiego w 1945 r. w Pruszkowie (bezpośrednio przed aresztowaniem generała przez Smiersz) i próba samobójcza, aby ratować ukochaną kobietę, powojenna walka z bronią w ręku z komunistycznym reżimem, proces, trzykrotny wyrok śmierci zamieniony na dożywotnie więzienie (1953), po wyjściu z więzienia tresowanie dzikich zwierząt, którymi Makusz otaczał się w leśniczówce w Rzędowie na Opolszczyźnie. A także jego konspiracyjna współpraca z nurtem niepodległościowym i długotrwała przyjaźń z Leszkiem



Zbigniew Makusz-Woronicz. Moczulski: *Zawodowy i nałogowy oficer wywiadu ofensywnego, przed wojną dowódca placówki oficerskiej II Oddziału w Tarnowskich Górach (płytki wywiad na Śląsk), podczas wojny w wywiadzie AK (m.in. szef wywiadu Obszaru Południowo-wschodniego, lwowskiego), po wojnie WiN. Wiosną 1945 r. Makush – jako "kpt. Wir"– organizował siatkę w byłych środowiskach konspiracyjnych, podejmujących teraz służbę w WP, między innymi w organizacji PAL. Komendant PAL Stanisław Pieńkoś – „gen. Skała" szukał, na polecenie osławionego gen. NKWD Iwana Sierowa, kontaktu z polskim podziemiem, a ponieważ znał fakt wcześniejszej – jak sądził – służby Makusha w AK, przekazał mu informację o propozycji rozmów. „Wir" zameldował o tym natychmiast gen. Okulickiemu – „Niedźwiadkowi" wraz z oceną, że jest to najpewniej prowokacja. Kierownictwo podziemia propozycję rozmów jednak przyjęło, ale zgodnie z ostrzeżeniami Makusha przecięto natychmiast kanał wojskowy, uruchamiając cywilny (przejął go Józef Stemler-Dąbski – „Dąbrowski", zastępca dyrektora departamentu informacji Delegatury Rządu). Aby zamknąć drogę do Okulickiego, podczas przesłuchania przez Sierowa i Pimienowa 13 marca 1945 r., „Wir" zażył truciznę, ale natychmiastowa akcja sowieckich lekarzy uratowała mu życie. Wkrótce zresztą sprawa stała się bezprzedmiotowa, bo gen. Okulicki wraz z wicepremierem Jankowskim i przewodniczącym Rady Jedności Narodowej Pużakiem sami zgłosili się 27 marca do kwatery Sierowa.* Woronicz i Moczulski znali się i przyjaźnili od dawna. Do śmierci w listopadzie 1981 Woronicz po kryjomu działał w KPN. W okresie karnawału Solidarności pomagał budować jawne struktury partii na Śląsku Opolskim. Z archiwum Lecha Mikulskiego

Moczulskim, aż do śmierci w 1981 r. Jako naród, jako wspólnota, bezpowrotnie tracimy fantastyczną historię człowieka, który brawurowo przeszedł przez ten trudny okres naszych dziejów. Niebawem jedynym źródłem wiedzy o „Niedźwiedziu" będą zachowane materiały UB na jego temat i nie będzie to wiedza ani pełna, ani prawdziwa. Makusz przez kilkadziesiąt lat prowadził podwójne życie, zakładał wiele masek. Jak relacjonuje Maria Moczulska, gdy umierał na raka, ze łzami w oczach prosił, aby ujawnić w nekrologach jego przynależność do KPN. Umierał więc tak, jak żył – jako żołnierz Polski Niepodległej. Nie doczekał wolnej Polski, ale przynajmniej miał tę satysfakcję, że przed śmiercią mógł zdjąć maski, za którymi ukrywał się niemal przez całe swoje życie.

***

Wróćmy do rozważań Leszka Moczulskiego: *Innym powodem* [powrotu do więzienia] *była wiara, że pozostał ośrodek kierowniczy „Solidarności". Stworzyć konkurencyjny – to szkodliwa w takich warunkach dwutorowość. Zgłosić się tam? Jak ich odszukać – jak przyjmą człowieka, o którym wszyscy wiedzą, że siedzi w więzieniu, a który niejasno tłumaczy, że puścili go w przeddzień stanu wojennego, bo miał chorą żonę! Nikt by w to nie uwierzył. Ja sam też nie. Nikt nie lubi siedzieć w kryminale, ja również. Jednak po chłodnej analizie zrozumiałem, że, niestety, politycznie nie mam wyboru. Wracając do więzienia, uzyskiwałem więcej, niż pozostając na wolności.*

Przewodniczący KPN rozważał także przeprowadzenie jakiejś spektakularnej akcji. Moczulski: *Rozważałem to. Bardzo atrakcyjny wariant, osobiście bardzo satysfakcjonujący. Zamknąć się w okopach Świętej Trójcy i bronić do ostatka. Wraz z klęską przechodzi się do legendy, do Nieśmiertelności. Gdybym był przekonany, że przegraliśmy, że wszystko skończone, uczyniłbym tak z pewnością. Ale nie przegraliśmy – stan wojenny przybliżał nas do niepodległości. Byłem o tym przekonany. Konsekwentnie trzymaliśmy się jasnej linii politycznej: na przedzie masowy ruch „Solidarność", a my w drugim rzędzie. Czas KPN dopiero miał nadejść. Wszystko rozwijało się zgodnie z przewidywaniami, także z tą tezą „Rewolucji bez rewolucji", za którą tak bardzo krytykowano mnie w 1981 r. Zakładałem mianowicie, że pierwszy masowy ruch społeczny zostanie rozbity przez władze, a dopiero drugi, choćby był słabszy, spowoduje upadek totalitarnego systemu. Nie było powodu do zmiany strategii politycznej. Ja wiem, zarzuca mi się to nieraz, że takie myślenie jest w pewnym sensie nieludzkie, bezwzględne jak komputer, ale trzeba przecież rozdzielić wyliczenia i uczucia. Wracałem do więzienia z jedną tylko obawą – żeby ktoś nie wezwał w imieniu KPN do walki zbrojnej. Byłaby to głupota prowadząca do straszliwej klęski, o konsekwencjach tak licznych i ponurych, że wolę nawet o tym nie mówić. Szedłem tam też z przekonaniem, że mimo największych strat KPN przetrwała uderzenie władz.*

Krzysztof Król („Bez wahania"): *Kiedy 13 grudnia spotkałem się z Leszkiem w Katowicach, powiedział, że wraca do Warszawy na proces. Na pytanie, jak ocenia to, co się stało, odparł, że jeśli uda się stworzyć silny ruch oporu wobec stanu wojennego, to będzie to widoczne w ciągu kilkunastu godzin. Wówczas władza zmuszona zostanie do szybkiej kapitulacji. Alternatywą wobec tego jest brak natychmiastowego przeciwdziałania „Solidarności" i w konsekwencji pełny sukces władz. Inaczej mówiąc, Leszek przewidywał, że rozgrywkę wygra ten, kto pierwszy zada cios nokautujący. Na koniec dał mi namiary na kilka osób w Warszawie, z poleceniem przekazania im decyzji władz Konfederacji o potrzebie włączenia się do jednolitego nurtu oporu. Podkreślał przy tym, że nie wolno dopuścić do podejmowania działań wiążących się z użyciem przemocy.*

Dopiero po załatwieniu w Katowicach wszystkich spraw organizacyjnych Leszek Moczulski spotkał się w szpitalu z żoną, a następnie, nie śledzony przez SB, wrócił do Warszawy.

W stolicy milicja już poszukiwała Moczulskiego, o czym świadczy notatka dzielnicowego sierżanta MO Jerzego Zajera z 14 grudnia 1981 r., znajdująca się w aktach SOR „Oszust”: *W toku wykonywania czynności służbowych ustaliłem, że poszukiwany Leszek Moczulski, zam. w Warszawie (…) w dniu dzisiejszym był w domu i oświadczył dozorcy (…), że udaje się do sądu wojewódzkiego, a następnie do zakładu karnego, ponieważ kończy mu się termin przepustki (...).*

Nieoczekiwanie powrót przewodniczącego KPN do więzienia miał bardzo dramatyczny przebieg. Moczulski: *Z Katowic wróciłem przepełnionym pociągiem, załatwiłem jeszcze kilka spraw i pojechałem tramwajem do sądu. Postanowiłem stawić się, jak gdyby nic się nie stało, na rozprawę. Przed gmachem sądu była rozstawiona bezpieka, w tym tajniacy zajmujący się KPN, z pewnością mający ochotę, aby mnie złapać. Byłem na to przygotowany; przedostałem się do środka bardzo skomplikowaną drogą przez zaplecze gospodarcze. Udało się. Trzeba było widzieć miny zarówno sądu, jak i tajniaków, gdy zobaczyli mnie już na sali rozpraw. Nikt poza adwokatami początkowo się nie zjawił, wszyscy byli przekonani, że nie dojdzie do rozprawy. Ściągnięto szybko skład sędziowski i prokuratorski. Złożyłem do protokołu serię protestów. Najpierw w związku z zamachem stanu, jakim było wprowadzenie stanu wojennego, co zakwalifikowałem jako przestępstwo z art. 123 kk* [przestępstwo polegające na działaniu w porozumieniu z innymi osobami, które zmierza do pozbawienia niepodległości, oderwanie części terytorium, obalenie przemocą ustroju lub osłabienie mocy obronnej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – pod takim zarzutem stał sam Moczulski i inni sądzeni członkowie pierwszego kierownictwa KPN] *i zapowiedziałem, że Jaruzelski i wspólnicy zostaną za to ukarani przez sąd Rzeczypospolitej.*

Sędziowie siedzieli bladzi i nieruchomi, tylko sekretarka protokółowała z wyraźną satysfakcją (...). Wszystko to odbywało się w absolutnej ciszy. Sąd przez chwilę też milczał, najwyraźniej nie wiedząc, co zrobić; ostatecznie odroczył rozprawę, nie wyznaczając nowego terminu. Poinformowałem jeszcze osłupiałych i przestraszonych sędziów, że moja przepustka z więzienia kończy się dopiero za kilka godzin, a następnie wyszedłem z sali. Poszliśmy z adwokatami na dół, do sądowej kawiarni.

Po wejściu zobaczyliśmy tłum ludzi – sędziów, prokuratorów, adwokatów. Nie było gwaru, wszyscy rozmawiali ściszonymi głosami, panowała atmosfera dużego napięcia. Moje pojawienie się wywołało duże poruszenie. Usiedliśmy przy jakimś zwolnionym dla nas stoliku, kelnerki bez zamówienia przyniosły kawę. Rozpoczęła się dyskusja: co dalej? Do kawiarni w sądzie wchodzi się przez coś w rodzaju antresoli; w konsekwencji sala jest położona dużo niżej. Nagle ten podest zapełnił się mundurową milicją. Z tego niebieskiego tłumu wyszedł jeden jedyny funkcjonariusz i, w absolutnej ciszy, ruszył przez całą salę w kierunku naszego stolika. Zasalutował, zażądał mojego dowodu osobistego, po czym wycedzi: „Pójdziecie ze mną”. „Dajcie mu chociaż wypić tę kawę!” – wykrzyknął Edek Wende, jeden z moich obrońców. Milicjant nic nie powiedział, a ja nie śpiesząc się, dopiłem kawę. Później wstałem, pożegnałem się z adwokatami i ruszyłem wolno za funkcjonariuszem. Nagle stała się rzecz nieoczekiwana: prawie cała sala wstała, wszyscy zaczęli bić brawo. Nieznani ludzie, koło których przechodziłem, podawali mi ręce. To był szok – po raz pierwszy w życiu spotkałem się z taką owacją. Tylko kilka osób, w tym mój dawny kolega z tego samego roku prawa, a wtedy już sekretarz POP PZPR w sądzie, siedziało, nie potrafiąc zdobyć się na podniesienie głowy i spojrzenie mi prosto w oczy.

Chwilę później znalazłem się w grupie milicjantów. Niektórzy z nich byli pijani. Bicie zaczęło się już na schodach prowadzących w dół do cel dla aresztantów. Gdy dowlekli mnie na miejsce, cała ta sfora rzuciła się na mnie ponownie, a któryś wykrzyknął: „ Powiesić skurwysyna na kracie! Złapali mnie w kilku i zaczęli podnosić do góry. Był to chyba jedyny moment w moim życiu, kiedy marzyłem, żeby wreszcie zabrała mnie bezpieka. Jeden z milicjantów przyniósł kawał sznura. Wtedy wbiegło kilku esbeków. Pamiętam wysokiego, potężnego funkcjonariusza, podającego się za starszego sierżanta, który nadzorował nas często na sali sądowej. Teraz chwycił mnie pierwszy, za nim inni, i dosłownie wyrwali mnie z rąk milicjantów. Następnie wepchnęli do jakiejś celi, zaryglowali drzwi i zaczęli pilnować. Słyszałem głośne domagania się milicjantów, żeby ich do mnie dopuścić, oraz ciche, niezrozumiałe odpowiedzi esbeków. W celi była ławka. Ponieważ całą poprzednią noc nie spałem, położyłem się na niej i chyba natychmiast zasnąłem.

15 grudnia 1981 r. ppor. Anklewicz zameldował: *w dniu 14 grudnia 1981 L. Moczulski został zatrzymany na terenie Sądu Wojewódzkiego w Warszawie i osadzony w Areszcie Śledczym MSW przy ul. Rakowieckiej.*

Maria Moczulska opuściła szpital w Tychach na początku 1982 r. i po powrocie do Warszawy znalazła się pod ścisła obserwacją SB, o czym meldował zwierzchnikom ppor. Anklewicz: *W godzinach rannych 22 stycznia dotarła pociągiem pod kontrolą pionu B do Warszawy. W związku z faktem zwolnienia w/wym. ze szpitala Wydział III-2 KS MO podjął działania zmierzające do stałej kontroli operacyjnej figurantki* [W terminologii SB „figurant" to osoba sprawdzana, kontrolowana lub rozpracowywana w sprawie operacyjnej]. *Kontrola ta będzie prowadzona przez osobowe źródła informacji, środki techniki operacyjnej oraz pion B. Jednocześnie przewiduje się przeprowadzenie z wymienioną rozmowy ostrzegawczej mającej na celu uprzedzenie figurantki o ewentualnych konsekwencjach prawnych prowadzenia działalności na rzecz KPN w warunkach stanu wojennego.*

***

Władze PRL, a także władze Związku Sowieckiego, wiązały duże nadzieje z internowaniem działaczy KPN. Świadczy o tym fragment uchwały Biura Politycznego Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego z 13 grudnia 1981 r., przesłanej towarzyszom z kierownictwa „bratnich partii" i sowieckim ambasadorom (za W. Bukowskim): *Jak wam wiadomo, przyjaciele, władze polskie proklamowały stan wojenny, ogłosiły utworzenie Wojskowej Rady Ocalenie Narodowego i izolowały najbardziej skrajne elementy z „Solidarności", Konfederacji Polski Niepodległej i innych ugrupowań antysocjalistycznych...*

Znamienne jest wymienienie w tej uchwale nazwy KPN (jako jedynej organizacji obok „Solidarności"). Dowodzi to, jak duży niepokój u sowieckich towarzyszy wywoływała niewielka organizacja, głosząca jawnie i otwarcie niepodległościowy, antykomunistyczny program, i jak dużą rolę przywiązywano w Moskwie do jej likwidacji.

***

Równolegle z akcją „Jodła" prowadzona była akcja „Klon", czyli rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze z działaczami „Solidarności" i innych niezależnych organizacji oraz z wybranymi duchownymi. W toku tych rozmów nakłaniano do podpisywania oświadczeń czy zobowiązań o przestrzeganiu prawa (tzw. lojalek), a także prowadzono akcję werbunkową. Część tych, którzy odmówili podpisania lojalek lub zobowiązań do współpracy, została internowana.

Jak podaje Paczkowski, w skali kraju w akcji „Klon” do 22 grudnia 1981 r. wezwano na rozmowy profilaktyczne ponad 6,3 tys. osób, z czego ponad 400 internowano, bo odmówiły podpisania lojalek. Autor nie podaje, ilu pozyskano do tajnej współpracy.

Z oceny sytuacji operacyjno-politycznej w środowiskach i obiektach ochranianych przez Wydział III (rozpracowywanie środowisk krakowskich wyższych uczelni i placówek naukowo-badawczych) KW MO w Krakowie: *W wyniku prowadzonych rozmów w akcji „Klon”, na dzień 29 stycznia 1982 pracownicy Wydziału III uzyskali 23 oświadczenia-zobowiązania o współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Stan ten dotyczy terminu od 13 grudnia 1981 do 29 stycznia 1982. Formalnie do dnia 29 stycznia br. w tutejszym Wydziale „C” zarejestrowano 10 tajnych współpracowników, dokonując sukcesywnej rejestracji z liczby wyżej podanej. Pozyskano i zarejestrowano następujących TW: „Bór”, „Gabriel”, „Wacek”, „Barbara”, „Andrzej”, „Krzysztof”, „Velasquez”, „Boguś”, „Marek”. Z przyczyn obiektywnych (wyjazd do miejsca zamieszkania, czynności sprawdzające i opracowujące itp.) nie dokonano rejestracji pozostałych pozyskań. Ze względu na powierzchowność wstępnych opracowań postanowiono niektóre z pozyskanych źródeł zarejestrować jako kandydatów na TW. Stąd też aktualna sytuacja w tym zakresie przedstawia się następująco:*

1. *KTW ps. „Stanisław” (…) – student I roku WSP, jednostka perspektywiczna, posiadająca możliwości operacyjne w zakresie zainteresowań Wydz. III,*
2. *KTW ps. „Wiktor” (…) – środowisko młodzieży akademickiej UJ, jednostka perspektywiczna, rozwojowa,*
3. *KTW ps. „Kałamarz” (…) – jednostka rozwojowa,*
4. *KTW ps. „SB” (…),*
5. *KTW ps. „BM” (…).*

Z w/wym. jednostek TW i KTW, dwie planowane są do przekazania do Wydziału V w m. ze względu na ich miejsce pracy i brak możliwości zapewnienia dopływu informacji z ochranianych przez nas środowisk (TW ps. „Boguś”, KTW ps. „Kałamarz”). Z pozostałych jednostek największe nadzieje wiązane są z TW ps. „Wacek” ze względu na jego umiejscowienie w gronie byłych działaczy „Solidarności” i NZS-u.



Kolumna milicyjno-wojskowa na ulicach Krakowa. Grudzień 1981 r. Fot. SB

Brak jest informacji, aby w akcji „Klon" udało się SB zwerbować kogokolwiek z krakowskiej KPN. Wiemy, że przynajmniej jeden z działaczy KPN – Witold Toś – został wówczas wytypowany jako KTW, ale rozpoznanie SB było tu całkowicie nietrafione i werbunek się nie powiódł.

Na Mogilskiej

Duża część krakowskich internowanych trafiła do Komendy Wojewódzkiej MO przy ul. Mogilskiej 109. Tutaj byli przesłuchiwani i więzieni w milicyjnym areszcie. Także później większość opozycjonistów pochwyconych przez SB trafiała do tego gmachu.



Komenda Wojewódzka MO w Krakowie przy ul. Mogilskiej 109. *Na jesieni 1981 r. rozpoczęła się przeprowadzka komendy wojewódzkiej z Placu Szczepańskiego 5 do nowych obiektów, z których wyróżniał się 10-piętrowy blok zwany „Hiltonem", a który stoi do dziś jako siedziba Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie i Delegatury Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Krakowie (ABW zajmuje najwyższe piętro, które wcześniej należało do SB, a potem UOP).*

Fot. Maciej Gawlikowski

Grzegorz Hajduk: *W miejscu, gdzie w połowie lat 70. XX w. rozpoczęto budowę nowej siedziby Komendy Wojewódzkiej MO w Krakowie, były koszary zaborców i obóz jeniecki. Na początku listopada 1918 r., po rozpadzie Austro-Węgier, przebywający tam jeńcy z armii rosyjskiej, serbskiej i włoskiej opuścili obóz, który podporządkowano polskim władzom wojskowym. Wkrótce też do Obozu Internowanych nr I na Dąbiu zaczęli napływać jeńcy i internowani ukraińscy z ogarniętej wojną polsko-ukraińską Galicji Wschodniej, od lutego 1919 r. zaś – także jeńcy z wojny polsko-bolszewickiej. Ministerstwo Spraw Wojskowych w połowie grudnia 1919 r. zwolniło do miejsc zamieszkania część osób pochodzących z Galicji. Pozostałych jeńców i internowanych ukraińskich zwolniono wiosną 1920 r. Pozostałości koszar do dziś można oglądać od strony ul. Mogilskiej – to te murowane „niskopienne" budynki. Są one świetnie widoczne na zdjęciach satelitarnych Krakowa, tworząc jakby zamknięte rewiry.*

Miejsce nowej siedziby wybrano chyba nieprzypadkowo. Do centrum blisko, dosłownie 3-4 minuty samochodem. Równie szybko można dojechać do Nowej Huty, która z każdym rokiem swojego istnienia „dojrzewała" do okazania swojego antysocjalistycznego oblicza. Kompleks budynków komendy od północnego wschodu i wschodu osłonięty był potężnym jak na Kraków parkiem (Park Kultury i Wypoczynku założony w 1966 r. o powierzchni ok. 60 ha; krakowskie Błonia i Planty razem mają 43 ha), od południa klubem sportowym, od zachodu rzeczką Białuchą i zakładami przemysłowymi, które miały własną Straż Przemysłową.

W sąsiedztwie było mało niepożądanych budynków mieszkalnych, pod ręką znajdowały się linie kolejowe – jedne z tych nitek PKP, które na planach Krakowa z lat 70. nie występują. Taka tajność. Ale... na planie komunikacyjnym Krakowa z 1990 r., wydanym przez Centralny Ośrodek Informacji Turystycznej Oddział Kraków (opartym na materiałach PPWK), też nie ma tych „supertajnych", choć od wielu lat widocznych dla satelitów, szlaków kolejowych. Linię kolejową, która biegła (i biegnie) wzdłuż ulicy Fabrycznej, niemal dotykając ul. Mogilskiej, albo linię kończącą się w Państwowych Zakładach Zbożowych przy ul. Wieczystej po zmilitaryzowaniu przedsiębiorstw leżących w tych miejscach można wykorzystać np. w celu niekontrolowanego wywozu więźniów i zaopatrzenia dla sił milicyjnych i wojskowych.

Na jesieni 1981 r. rozpoczęła się przeprowadzka komendy wojewódzkiej z placu Szczepańskiego 5 do nowych obiektów, z których wyróżniał się 10-piętrowy blok zwany „Hiltonem", a który stoi do dziś jako siedziba Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie i Delegatury Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Krakowie (ABW najwyższe X



Komenda Wojewódzka MO w Krakowie. *Miejsce, gdzie rozpoczęto budowę KW MO w Krakowie wybrano chyba nieprzypadkowo. Do centrum – blisko, dosłownie 3-4 minuty samochodem, rozległa powierzchnia – od płn.-wschodu i wschodu osłonięta potężnym jak na Kraków parkiem (powierzchnia zbliżona do Błoń Krakowskich), od południa akwenami i klubem sportowym (boisko też się przydaje w ćwiczeniach), od zachodu rzeczką Białuchą i zakładami przemysłowymi (które miały własną Straż Przemysłową); mało niepożądanych budynków mieszkalnych w sąsiedztwie, pod ręką linia kolejowa - jedna z tych nitek PKP, które na planach Krakowa np. z lat 70. nie występują (vide mapa Krakowa wydana przez Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych, Warszawa 1978). Taka tajność.*

Fot. Maciej Gawlikowski

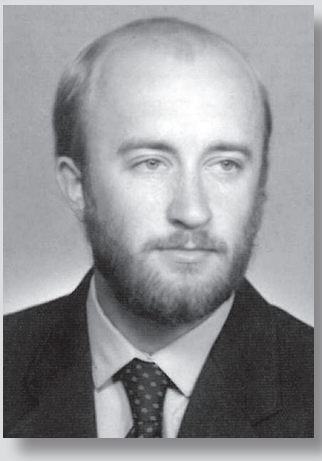
piętro, które wcześniej należało do SB, a potem UOP). W przylegającym do „Hiltona" niższym budynku – na trzecim piętrze, wydział śledczy. Na parterze i w podziemiach pomiędzy tymi budynkami – areszt.

Warto poznać ten gmach bliżej, poczuć atmosferę tego posępnego miejsca, poznać zwyczaje, które w nim panowały. Naszym głównym przewodnikiem po gmachu jest nieżyjący już Waldemar Mikulec, wówczas student polonistyki UJ.

Jerzy Mohl: *Waldek był członkiem NZS-u i mocno sympatyzował z KPN-em. Wielokrotnie pisał dla nas teksty ulotek, a kilka razy organizował przepisywanie matryc, które służyły do druku. Parę razy wybrał się nawet z nami na demonstrację. W jego pokoju w DS „Olimp", gdzie mieszkał razem z żoną Magdą, był punkt wymiany książek z drugiego obiegu oraz coś w rodzaju „salonu dla zadymiarzy", gdzie następowała wymiana relacji z różnych odcinków frontu. W przypadku Waldka potwierdzała się zasada, że szeregowi działacze NZS-u współpracowali z KPN bez żadnych problemów i nie było poważnych różnic politycznych między nami.*

Mikulec (jak to wynika z jego pamiętnika) został przypadkowo zatrzymany przez MO w poniedziałek, 14 grudnia 1981 r. w Krakowie koło kina „Kijów" na al. Krasińskiego. Przewieziono go do komendy przy ul. Siemiradzkiego, a następnie na Mogilską, gdzie został internowany.

W czasie internowania robił notatki, które kilka miesięcy po wyjściu na wolność spisał w formie pamiętnika. Pamiętnik ten przetrwał do dziś i dzięki pomocy jego przyjaciela, Jerzego Mohla i uprzejmości wdowy po nim, Magdaleny Mikulec, został nam udostępniony.



Waldemar Mikulec – w 1981 r. student polonistyki UJ, członek NZS. Internowany za udział w manifestacji KPN 29 listopada 1981 roku. Autor cennego pamiętnika, który zawiera zapis przeżyć z aresztu przy ul. Mogilskiej i obozów internowania w Nowym Wiśniczu i w Załężu. *Mimo iż Waldek był członkiem NZS-u mocno sympatyzował KPN-em i później wielokrotnie „na zlecenie" pisał dla nas teksty ulotek, a kilka razy organizował przepisywanie matryc, które służyły do druku. Parę razy wybrał się nawet z nami na demonstrację. W jego pokoju w DS „Olimp", gdzie mieszkał razem ze swoją żoną Magdą, był punkt wymiany książek z drugiego obiegu oraz coś w rodzaju „Salonu" dla „zadymiarzy", gdzie następowała wymiana relacji z różnych odcinków frontu. Mogę śmiało powiedzieć, że w przypadku Waldka potwierdzała się zasada, iż tzw. „doły" NZS-u współpracowały z KPN bez żadnych problemów, a ewentualne różnice polityczne nie miały żadnego znaczenia.*

Z archiwum Magdaleny Mikulec

„Wizytę" w gmachu zaczynamy od opisu esbeka, który przesłuchiwał Mikulca: *Mordę tego ubeka pamiętam doskonale. Tłusty jak ryba, kilka podbródków, bródka, ale bez bokobrodów i wąsy, świdrujące oczy z ruskimi brwiami, włosy czarne, krótkie, trochę pokręcone. Ubiór trochę niedbały, wskazujący na zbytnie zaangażowanie w pracę na rzecz pryncypiów socjalizmu. Wytarta marynarka, cienki sweterek, wyświechtane spodnie na grubych nogach. Stare wytarte sandały.*

Przesłuchanie na Mogilskiej trwało 6 godzin. Wypytywali Mikulca o to, co robił w NZS, z kim współpracował, w jakich działaniach brał udział, jakie funkcje pełnił. Bezskutecznie proponowali mu podpisanie zobowiązania do współpracy z SB lub zobowiązania

do przestrzegania prawa i porządku publicznego PRL. Przesłuchanie było przerywane długimi okresami bezczynności. O internowaniu Mikulca zdecydowały jego związki z KPN.

Mikulec: *Po godzinie liczenia much na suficie nagle wpadł ubek. I od razu, nawet nie siadając, rzucił:*

— Brał pan udział w jakichś manifestacjach, wiecach?

— Tak.

— Jakich?

— Pierwszomajowych.

— Co sobie pan kpiny robi, my mamy tu poważniejsze sprawy do roboty, niż zajmować się gówniarzami!

I energicznie wyciągnął z teczki, z którą się nie rozstawał, zdjęcie formatu pocztówki. Spojrzałem i ku swojemu zdziwieniu dojrzałem siebie kroczącego w marszu KPN-u z okazji 11 Listopada, spod Wawelu ku pomnikowi Grunwaldzkiemu. Szedłem dumnie w grupce znajomych przy transparencie „Uwolnić politycznych!".

— Zna pan kogoś z tej fotografii?

— Nie.

— Na pewno? Niech pan się zastanowi.

— Już się zastanowiłem.

— No to zostanie pan internowany, umieszczony w ośrodku odosobnienia w Nowym Wiśniczu.

Hasło Nowy Wiśnicz zrobiło na mnie piorunujące wrażenie. Wiedziałem, że istnieje tam potężne więzienie w zamku [w rzeczywistości więzienie w Nowym Wiśniczu jest w byłym klasztorze Karmelitów Bosych, który położony jest ok. 300 metrów od zamku Lubomirskich] *– twierdza z lochami przeznaczona dla „porządnych przestępców". Gdzieś, jak przez mgłę, przypomniały mi się sceny z Hrabiego Monte Christo. Brr...*

— Wie pan, ile może trwać stan wojenny?

— (głupia mina).

— No 5 lat, może dłużej. No to się pan pożegna ze studiami.

— Studiować można nawet po 30-tce.

— Ale nie wszyscy.

W końcu doprowadzony do rozpaczy ubek, zdecydowanie prawie że krzyknął:



Ponury korytarz w Gmachu przy ul. Mogilskiej 109. Bicia zwykle każdy się bał, znając opowieści o tym, jak traktowała ludzi bezpieka w czasach stalinowskich, a także widząc brutalność ZOMO na ulicach miasta. I kołatała jeszcze gdzieś świadomość, że może być tak, iż „jeśli im nic nie powiem, to wrócę do domu może za 5 lat!". Dziś można się śmiać z tych myśli, ale może tak robić tylko ten, kto sam nigdy nie przeżył takiej chwili. Tym bardziej, iż przecież wtedy nikt nie wiedział, że w zasadzie nie biją, nie torturują, nie zrywają paznokci...

Fot. Maciej Gawlikowski

— Cóż ja się będę z panem pierdolił... Jest pan posądzony o współpracę z KPN-em. Zaraz przygotuję odpowiednie dokumenty.

Po 30 minutach (była już chyba godzina 16) wszedł do pokoju znajomy ubek z dwoma papierami formatu A4 i A8, ze swoim kolegą, trochę sympatyczniejszym (jeżeli to słowo można w ogóle stosować do ubeków). Usiadł za biurkiem i podał mi te papiery. Była to decyzja o internowaniu nr 336, potwierdzenie doprowadzenia i zatrzymania. Rzuciłem okiem na te bezprawne dokumenty, które wzbudziły we mnie raczej litość i śmiech, a najbardziej formuła, w której wspominało się, że „pozostawanie obywatela na wolności może wpływać destrukcyjnie na otoczenie przez rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji" itd.

— Przyjmuje pan do wiadomości?

— Nie.

— No to nie. To i tak nie zmienia decyzji.

Przybyły nowy ubek stał z boku i badawczo mi się przyglądał.

— Proszę wszystko wyjąć z kieszeni, zdjąć kurtkę! – padło krótko.

Z kolei ubecy rozpoczęli skrzętnie na nakazie zatrzymania i doprowadzenia wynotowywać wszystkie dokumenty i rzeczy wartościowe. Trwało to dosyć długo, przy czym można było zauważyć, że pisanie sprawiało mojemu ubekowi niemałą trudność. Jednak gdy doszli do liczenia pieniędzy, zastanowili się i stwierdzili, że robią to niepotrzebnie. Pozbierali wszystko i rzucili krótko – „Idziemy!".

***

Z dokumentacji milicyjnej wynika, że areszt przy Mogilskiej miał 31 cel, przystosowanych dla 115 osób.

W 1982 roku jednostki MO województwa miejskiego krakowskiego zatrzymały i umieściły w aresztach ogółem 27 170 osób, to jest o 13 475 więcej niż w 1981 roku. Podwojenie liczby aresztowanych w 1982 r. to głównie wynik zatrzymywania z powodów politycznych (przestępczość pospolita w stanie wojennym znacznie spadła – w opracowanej przez krakowską KW MO „Ocenie sytuacji operacyjno-politycznej za okres od 1 do 31 stycznia 1982" napisano, że w grudniu 1982 r. w stosunku do grudnia 1981 r. przestępczość kryminalna spadła w podstawowych kategoriach o 27%).

***

Mikulec: *Szedłem z jednym ubekiem, tym który mnie przesłuchiwał. Najpierw prosto korytarzem, potem skręciliśmy ku schodom, przeszliśmy kilka pięter w dół, a potem stanęliśmy przed kratą, którą dopiero po upływie dłuższego czasu otworzył jakiś funkcjonariusz służby więziennej (był w stalowym mundurze). Ubek skinął głową i rzucił: „Odprowadzić!" – co było dostatecznie zrozumiałe dla tego blokowego. A właściwie to nie był blokowy, bo on tylko zajmował się ewidencją. Przypominam sobie, że przeszliśmy wąskim korytarzem do dosyć dużego pomieszczenia.*

Strażnik, który tam był, otworzył klatkę z krat, do której kazali mi wejść. Miała jakieś 2 na 1,5 na 2 metry, była z metalowych prętów, gęsto ustawionych obok siebie, wejście ciasne, że zaledwie się można było wsunąć. W przedniej ścianie było okienko z blatem, z tyłu wąska ławka. Urzędujący gliniarze przypatrywali mi się, jak tygrysowi w zoo, z dużą dozą zaciekawienia. Po chwili jeden zza stołu zaczął pytać o dane personalne, których nie chciałem podawać, twierdząc, że ma przecież już moje dane. Wówczas ten ostro powiedział, że na zadawane pytania należy odpowiadać. Zrezygnowałem z dalszego denerwowania gliniarza i wyrecytowałem dane personalne. Z kolei gliniarz kazał mi wyciągnąć pasek, zdjąć zegarek

i medalik, wyciągnąć sznurówki i wszystkie inne wiązadła. Zabrał to wszystko. Skrzętnie wynotował. Po kilku minutach zostałem wyprowadzony na korytarz.

Podobna procedurę przechodził Stanisław Tatara: *Za stołem siedziało kilku milicjantów, a w rogu była stalowa klatka, w której mnie zamknięto i przeprowadzając rewizję osobistą, kazano mi się rozebrać do naga. Doszło tam do rozmowy między mną a dyżurnym sierżantem, który z lękiem pytał „Co teraz w Polsce będzie?”. Pozostali również byli przejęci sytuacją. Odpowiedziałem z pewnością, że jutro nastąpi strajk generalny w całym kraju. Zauważyłem dużą niechęć dyżurnego sierżanta do esbeka, który mnie odbierał z aresztu. Gdy esbek przedstawił jakiś dokument podpisany przez siebie, sierżant dość ostro zapytał „Kim pan jest, ma pan jakiś stopień?”. Esbek odpowiedział: „Mam”, na co sierżant odpowiedział ostrym tonem: „To wpisz pan”. Potwierdzało się, że znaczna część funkcjonariuszy milicji, służby więziennej i zawodowych wojskowych sympatyzowała z „Solidarnością”, co nie zostało przez nas wcześniej odpowiednio wykorzystane.*

Mikulec: *Kolejny gliniarz rzucił pod ścianę brudny i zawszony materac, a raczej skrawek materaca wypchanego jakimiś kawałkami szmat, taki sam koc i szarą jak ziemia po deszczu poduszkę, która nieprzyjemnie chrzęściła. Wszystko to upadło przede mną dość energicznie, wzbudzając tuman jasnego kurzu.*

Brać pościel! – uciął gliniarz.

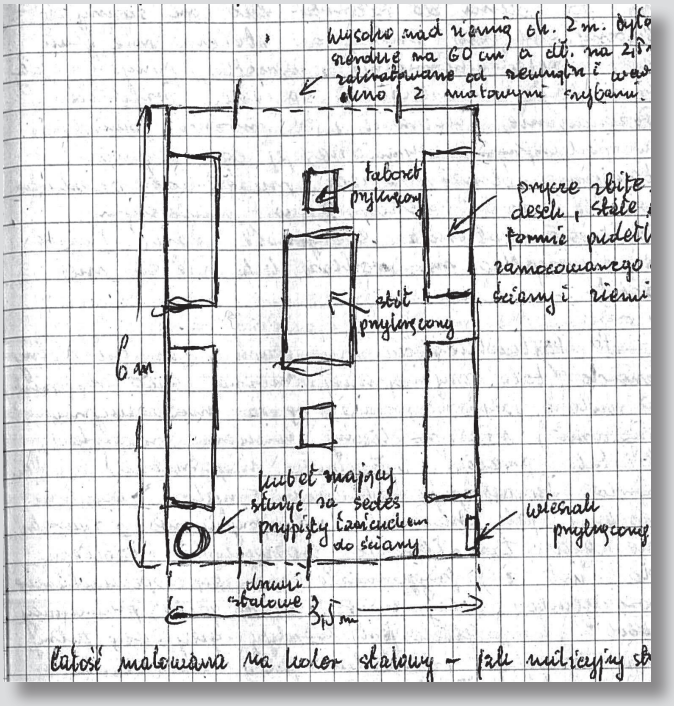
W gruncie rzeczy niewiele to przypominało pościel, a raczej barłóg, w którym nawet zwierzę nie chciałoby leżeć. Schyliłem się po te brudy, wziąłem pod pachę i z wolna zacząłem wlec się po długim korytarzu. Człapiące buty bez sznurowadeł spadały co chwilę z nóg, opóźniając i tak już leniwy marsz. Denerwowało to gliniarza, który powtarzał bez przerwy: „Szybciej! Szybciej!” – na co nie zwracałem uwagi.





Więzienny korytarz w areszcie przy ul. Mogilskiej (widok obecny – świeżo po remoncie). *Po kilku zakrętach w prawo i w lewo doszliśmy do kolejnego pomieszczenia. Jak się później okazało, była to dyżurka oddziału, na którym się mieścił areszt śledczy. Jak się mogę domyślać, był to areszt na poziomie ziemi, bo gdy wychodziliśmy na spacernik, poziomy ziemi i celi były równe. Klawisz dyżurny z pękiem kluczy na biurku wstał i podszedł do doprowadzającego mnie gliniarza, wziął jakis papier, a moim oczom ukazał się po raz pierwszy widok więziennego korytarza z mnóstwem drzwi z numerkami i światełkami trapezowymi nad drzwiami. Przy końcu zapewne izolatki, bo więcej drzwi i bliżej siebie ułożone w ścianie. Rozmowa między gliniarzem a klawiszem nie była przedmiotem mojego zainteresowania. Przed moim obliczem snuły się przeróżne wizje, czy to z filmów, opowiadań, książek, w których starałem się na próżno doszukać obrazu pt. „Cela więzienna w Polsce”.* Fot. Grzegorz Hajduk

Po kilku zakrętach w prawo i w lewo, doszliśmy do kolejnego pomieszczenia. Jak się później okazało, była to dyżurka oddziału, na którym się mieścił areszt śledczy. Jak się mogę domyślać, był to areszt na poziomie ziemi, bo gdy wychodziliśmy na spacernik, poziomy ziemi i celi były równe. Klawisz dyżurny, mający pęk kluczy na biurku, wstał i podszedł do doprowadzającego mnie gliniarza, wziął jakiś papier, a moim oczom ukazał się po raz pierwszy widok więziennego korytarza z mnóstwem drzwi z numerkami i światełkami nad drzwiami. Przy końcu zapewne izolatki, bo więcej drzwi i bliżej siebie ułożone w ścianie. Rozmowa między gliniarzem a klawiszem nie była przedmiotem mojego zainteresowania, bo przed moim obliczem snuły się przeróżne wizje z filmów, opowiadań i książek, w których starałem się na próżno doszukać obrazu pt. „Cela więzienna w Polsce".



Plan celi na Mogilskiej. *Wygląd tej nory sprawia wrażenie dość przygnębiające. Jednostka w tym pomieszczeniu jest ściśle wysterylizowana, nie można nic zrobić... chyba prócz kupki do kubełka, ale też istnieje obawa że może ochlapać woda, która tam jest na dnie. Mniejsze obawy sprawia oddanie moczu, ale i z tym były kłopoty, bowiem pokrywa od kubła była przypięta łańcuchem i aby wykonać tę czynność fizjologiczną należało pokrywę trzymać prawie, że oburącz.. Pozostawało rozmyślanie, rozmowy, często prowadzące donikąd lub spacery tuż pod oknem, gdzie było trochę wolnej przestrzeni od okna do taboretu lub od ściany do ściany. Między pryczą a stołem nie dało się przejść normalnie, wszystko pomyślane, aby nie było możliwości spaceru. Perfidia. Pozbawienie wolności i to można powiedzieć w podwójnym wymiarze jej ograniczenia, bowiem wolność osobistą niwelowało zamknięcie w celi, zaś wolność tę w mniejszym zakresie zabierała sterylność celi. Robiło się wszystko na rozkaz lub nic się nie robiło...*

Rys. Waldemar Mikulec

To, co zobaczyłem, przekroczyło moje wyobrażenia. Wiele miejsc w przypadku bezpośredniej konfrontacji rozczarowuje. Tak też było i tutaj.

Gdy gliniarz odszedł, klawisz zabrał ze swojego biurka klucze i ruszyliśmy w głąb oddziału. Zatrzymał się przy celi nr 12. Zgrzyt zamka (to odgłos, z którym się miałem nie

rozstawać przez 5 miesięcy) oznajmił początek próby prawdy i ludzkiej solidarności. Ciężkie metalowe drzwi z wziernikiem zwanym „żydem” otworzyły się i z pewną dozą wahania wkroczyłem do wnętrza celi. Za sobą usłyszałem ogłuszający łomot zatrzaskiwanych drzwi, a potem nastała cisza, przerywana tylko rozmowami w przyległych celach i odgłosami łomotu po drzwiach w innych celach.

Rozejrzałem się wokoło i pierwsze, co spostrzegłem, to pół bochenka chleba na czymś, co miało przypominać stół. Zdziwił mnie ten dość niezwykły fakt. Ale już niebawem zakłopotanie minęło, bo w mroku celi dostrzegłem stojącą postać z długą brodą. Podszedłem bliżej.

— Cześć. Jestem Waldek... – rzuciłem nieśmiało.

— Cześć. Krzysiek.

Wyciągnięte dłonie uścisnęły się, jak na pierwszy raz, nadzwyczaj serdecznie.

— Gdzie cię zwinęli?

— W pracy, w Żegludze Krakowskiej. Przyszedłem do roboty, poprosili mnie do dyrekcji... I po wszystkim. A ciebie?

— Z ulicy, koło MKZ-tu. Student UJ. Oj, posiedzimy... Dawno tu jesteś?

— Od dwóch godzin.

— Żreć coś dali?

— Kawałek chleba.

— Czerwoni – niech ich szlag trafi!

Tzw. pościel rzuciłem na to, co nazywało się pryczą. Krzysiek Krynke [ur. 1950, inżynier konstruktor, Przedsiębiorstwo Państwowe „Żegluga Krakowska”] *niestety, nie dostał tego luksusowego wyposażenia i nadaremnie się dopominał o pościel podczas całego pobytu na Mogilskiej. Nawet w ten sposób można więźniów dyskryminować.*

Przez moment zastanawialiśmy się nad naszą pozycją prawną – co to w ogóle znaczy „internowany”? Po prostu skazany, tylko bezterminowo, tak to można najkrócej wytłumaczyć. Perspektywy oglądania wolności były bardzo mgliste.

Wygląd tej nory (naszej celi) sprawiał wrażenie dość przygnębiające. Jednostka w tym pomieszczeniu jest ściśle wysterylizowana, nie może nic zrobić... Chyba prócz kupki do kubełka, ale też istnieje obawa, że można ochlapać się śmierdzącą breją, która tam jest na dnie. Mniejsze obawy sprawia oddanie moczu, ale i z tym były kłopoty, bo pokrywa od kubła była przypięta łańcuchem i aby wykonać tę czynności fizjologiczną, należało pokrywę trzymać prawie że oburącz... Pozostawało rozmyślanie, rozmowy lub spacery tuż pod oknem, gdzie było trochę wolnej przestrzeni od okna do taboretu lub od ściany do ściany. Między pryczą a stołem nie dało się przejść normalnie. Wszystko pomyślane, aby prawie nie było możliwości spacerowania. Perfidia. Pozbawienie wolności i to można powiedzieć w podwójnym wymiarze – jej ograniczenie, bowiem wolność osobistą niwelowało zamknięcie w celi, zaś wolność tę w mniejszym zakresie, zabierała sterylność celi. Robiło się wszystko na rozkaz lub nic się nie robiło....

Po kilkudziesięciu minutach już był zmrok (tak przynajmniej można było rozpoznać po kolorze, jaki rysował się za matowymi szybami, nie mieliśmy bowiem zegarków). Wziąłem się do konsumpcji chleba Krzyśka, bo nadziei na inne pożywienie nie było. Łamałem po kawałeczku, wkładałem do ust.

W chwilę potem na korytarzu dał się słyszeć ogromny łomot, coś przypominającego brzęczenie talerzy i jakichś garów. Czyżby miano nam coś rzucić do jedzenia? Kłębiły się myśli...

Zachrobotał klucz w zamku, wreszcie zgrzytnął nielitościwie tak, że aż ciarki przechodziły. Wrzaski i stuki rozlegały się coraz bliżej naszej celi. W końcu drzwi otworzyły się i ktoś powiedział: „Kolacja”. A po chwili ostro: „Pobierać!”.

Trochę niezdecydowanie wyszliśmy poza próg celi (jak się później okazało, przekroczyliśmy regulamin, bowiem nie wolno przy wydawaniu posiłków wychodzić z celi). Wręczono nam po jednej poobijanej i pokrzywionej misce aluminiowej, do której klawiszka stojąca obok wózka z kotłami, dość nonszalancko rozpięta, nalała czerwono-brunatną oleistą ciecz z kawałkami brukwi, skór, tłuszczu i kości, która niemile pachniała z parującego kotła. Klawiszka wprawnym ruchem nabierała chochlą na długim drzewcu kleistą ciecz i lała ją do naszych misek, za każdym razem dodając samarytańskie pytanie: „Dolać?". „Nie" – padało zdecydowanie z naszych ust. I dosyć zdecydowanie zawracaliśmy do naszej nory. Dodatkiem do tej zupki był chleb (2 kromki), na szczęście nie czarny, lecz biały. Drzwi szczęknęły. Krzysiek wprawdzie dość energicznie zabrał się do pochłaniania swojej porcji, lecz po kilku łyżkach zwątpił i z nienaturalnym grymasem twarzy odsunął miskę. Ja trochę podziobałem, ale również odsunąłem frykasy kuchni z ul. Mogilskiej. Zabraliśmy się do pałaszowania kromek chleba. Wątłe światło tliło się za okratowaną obudową, tuż nad drzwiami, gaszone i włączane na korytarzu przez klawisza.

Gdy zgrzytanie zamka w drzwiach cel ustało, przez moment na oddziale zapanowała względna cisza. Wnet jednak gdzieś po drugiej stronie korytarza rozpoczęły się łomotania po drzwiach, krzyki, wyraźnie można było rozpoznać kobiece głosy. Gdy hałasy nie ustawały, na korytarzu dało się słyszeć głos klawisza: „Proszę o spokój!". A chwilę potem: „Bo my was uspokoimy...".

Potęgowało to rozwścieczenie kobiet w sąsiednich celach. W chwile później jednak łomot ustał. Ciszę przerywały tylko zgrzyty zamka świadczące o zamykaniu kolejnych osób.

Nagle drzwi naszej celi otworzyły się i zobaczyliśmy wkraczającego – jak się wkrótce okazało – kolejnego internowanego, Józefa Jarzmika [ur. 1943, inżynier odlewnik, rzecznik patentowy] *z zakładów Armatury. Wymieniliśmy imiona i informacje, skąd się tu wzięliśmy. Pytaliśmy z zaciekawieniem, co słychać na zewnątrz i co mu pokazali, gdy go zamykali. Okazało się, że procedura była prawie identyczna, poza małymi wyjątkami.*

Józek przyszedł z pościelą tzn. nadziałem, jak się ją określa w gwarze więziennej. Rzucił to na pryczę i zaczął dosyć nerwowo chodzić po celi, pocierając brodę. Poinformowaliśmy go, że szkoda, że wcześniej nie przyszedł, bo właśnie jesteśmy po wspaniałej zupce. Podszedł do jednej z misek, pokręcił nosem, co miało chyba oznaczać: „Ja bym się tego nie tknął".

Zaczęła się nie klejąca się dyskusja. Mówiliśmy o sytuacji w kraju, w Krakowie, o tym, ile zakładów strajkuje. Wiadomości nie były pewne. Józek, który był najpóźniej zamknięty (w pracy przed południem) mówił, że dosyć dużo zakładów stoi, m.in. Huta im. Lenina i szereg zajezdni tramwajowych i autobusowych: Łagiewniki, Czyżyny, Huta. Reszta nie była pewna. Brak łączności dawał się wyraźnie we znaki, osłabiał informacje. Józek mówił, że do zakładów wkroczyło wojsko, narzucono komisarzy wojskowych, którzy mają nieograniczoną władzę. Internowani są prawie wszyscy przewodniczący komisji zakładowych, szczególna nagonka jest na członków KPN-u i dawnego KOR-u.

Dyskutowalibyśmy jeszcze dość długo, lecz wkrótce klawisz zaczął chodzić i gasić światło oznajmiając: „Cisza nocna!". Jedyny blask rzucała latarnia na dziedzińcu. Rozłożyliśmy naszą pościel.

Póki mieliśmy jeszcze światło, na bibułkach z papierosów zapałkami i za pomocą czarnego popiołu zacząłem pisać nasze nazwiska i imiona oraz adresy. Sądziliśmy, że w czasie transportu uda nam się gdzieś te grypsy wyrzucić w celu powiadomienia naszych rodzin. Uczyliśmy się też na pamięć naszych adresów, aby w przypadku, gdy któregoś wypuszczą, mógł powiadomić rodzinę.

Zapadaliśmy powoli w drzemkę. Świat okrywała złowroga mgła. W ciszy celi słychać było tylko chrapanie i bicie wystraszonych i niepewnych serc. Nadzieja tliła się jeszcze malutkim płomieniem, choć zrobiono wszystko, by ją zabić i zdusić.

Gdy zasypiałem tego wieczora, moje myśli biegały jak osaczona zwierzyna w klatce i szukały wyjścia z mroku kłamstwa i fałszu. Rodzina, matka, ojciec, dziewczyna, studia, Wiśnicz, co dalej – oto tematy rozmyślań, które ukoił twardy sen.

Noc minęła spokojnie. Sen miałem doskonały mimo szumów i zgrzytów zamków cel na korytarzu. Gdzieś po północy drzwi otworzył już inny klawisz (nocna zmiana), a do celi wszedł czwarty delikwent – ekstremista Choryń, kierowca autobusu z zajezdni w Czyżynach. Według niego sytuacja w Hucie jest dobra, został zatrzymany w czasie dowozu żywności do kombinatu. Manewrował po pasach, ale zablokowano mu drogę radiowozem i bał się uderzyć w niego. Zasnął bardzo szybko, widać, że był zmęczony. My również posnęliśmy. Do pobudki zostało ok. 6 godzin.

Zbudziło nas mdłe światło w celi i dudnienie kotłami i miskami na korytarzu. Była godzina 8.00, bo wtedy jest pobudka. Niedługo potem drzwi celi otworzyły się, a klawisz oznajmił:

— Toaleta! I zabrać kubeł!

Trochę się zdziwiliśmy, ale gdy klawisz wręczył klucz Krzyśkowi, dowiedzieliśmy się jak obchodzić się ze sraczem w więzieniu. Należało odpiąć kłódkę z łańcucha, który był przytwierdzony do ściany i zabrać kibelek do umywalni. Pod eskortą klawisza udaliśmy się do WC, gdzie oczom naszym ukazał się widok dość nieoczekiwany. Czysto i porządnie. Co jak co, ale kible (choć takich jeszcze nie widziałem) na Mogilskiej były w porządku. Nie były to zwykłe sedesy, lecz szerokie płaskie wmurowane w beton misy z dużymi otworami. Poszczególne kibelki oddzielały niskie murki. Zaś małe drzwiczki przypominały ruchome wejście do kowbojskiego „saloonu”. Spłukiwanie odbywało się za pomocą węża gumowego. Umyliśmy się i wróciliśmy do celi z już wypłukanym kubełkiem, który znów trzeba było przykuć do ściany. Nie tylko my byliśmy tam uwięzieni, nawet głupi kibel przykuwało się do ściany, aby przypadkiem nie nasiąkł pędem do wolności. Drzwi znów złowrogo trzasnęły i pozostaliśmy w czwórkę w tej wstrętnej norze.

Niedługo potem rozdano śniadanie – woda zabarwiona na czarno i suchy chleb. Cóż było robić, chętnie to wypiliśmy, bo był to już drugi dzień bez picia. Jedynym plusem tego napoju było to, że był ciepły. Zawsze po posiłku, gdzieś 15 minut od wydania, zabierano platery (miski) z powrotem z celi.

Po śniadaniu znowu położyliśmy się na wstrętne barłogi. Cóż można było robić poza leżeniem? Ale niedługo okazało się, że nawet tego nam nie wolno. Klawisz widocznie niedługo potem zaglądał przez „żyda” i wkroczył do celi z energicznym poleceniem:

— Nie leżeć na materacu! Łóżko należy złożyć w kostkę!

Gdyby ktoś dosłownie zrozumiał jego rozkaz, musiałby rozbić drewnianą pryczę, a to byłoby niewykonalne w tych warunkach. Usiedliśmy niezdecydowanie z Krzyśkiem i Józkiem na pryczach:

— Proszę złożyć materac i koc, bo w przeciwnym razie wyrzucimy pościel na korytarz! – dodała stojąca obok klawiszka.

Po naszych minach widocznie klawisz wywnioskował, że posłuchamy polecenia. Niestety, na Chorynia, czwartego więźnia, nic nie działało i nic go nie ruszało. Spał jak zabity.

— A ten, dlaczego leży? – padło od drzwi.

— Późno go zamknięto... Chyba jest chory... – wystękaliśmy wspólnie.

Badawcze spojrzenie padło na pryczę Chorynia, ale żadnych wiążących wniosków nie wyciągnął z tego wejrzenia. Trzask drzwi. I znów nastała cisza.

Siedzieliśmy więc sobie jak trusie. W międzyczasie siusialiśmy do kubełka i paplaliśmy bez związku. Co dalej? Jak ten Wiśnicz wygląda? Ile posiedzimy? A może zwiedzimy nie tylko polskie tiurmy, może zasmakujemy sowieckich kazamatów?

Gdzieś tuż przed południem drzwi celi otworzyły się ponownie.

– Spacer! Wychodzić!

Z ochotą przyjmowaliśmy propozycję odrobiny ruchu. Ubraliśmy się i wyszliśmy na to, co się nazywa dumnie „spacernikiem". Był to makabryczny widok, niegodny jakiegokolwiek z czymkolwiek porównania. Powierzchnia 8 na 8 metrów, ogrodzona wysokim na 3 metry murem i nakryta siatką o dosyć gęstych oczkach. Z wystających części budynków można było wywnioskować, że jest to jeden z czterech takich spacerników, bo na środku była jedna wieża strażnicza („kogut"), z której spoglądały podejrzliwe oczy klawisza. Beton, stal, beton, stal – oko niczego więcej spotkać nie mogło. Kosmiczny świat, świat umarły, co nie ma duszy, a więc skazany na zagładę.



Spacernik w areszcie śledczym przy ul. Mogilskiej (widok obecny). *Areszt śledczy przeszedł remont w zeszłym roku, by spełnić standardy unijne. Spacerniak ma teraz przebite ściany tak, że między poszczególnymi częściami można przejść (wcześniej każdy z 4 oddziałów aresztu miał swój spacerniak). Wieżyczka jest oryginalna. Z okien wychodzących na spacerniak widać było dobrze zatrzymanych. To dobre miejsce, by zrobić nieformalne okazanie np. jakiemuś TW. Bez problemu można było przez zamknięte okno pokazać jakiegoś człowieka na spacerniaku, nie będąc samemu zauważonym.*

Fot. Maciej Gawlikowski

Zaczęliśmy trochę biegać i skakać, prostując zastygłe kości. Było bardzo zimno. Skakaliśmy przez umieszczoną tam na środku skakankę. Ruch był konieczny ze względu na niską temperaturę.

Po godzinie, może niecałej, wróciliśmy do cel. Przed wejściem klawisz kazał zdjąć buty i kurtki i włożyć do szafek, które stały tuż naprzeciw cel, w zamian dostaliśmy obrzydliwe pantofle.

Siedzieliśmy nadal w letnich celach, bo kaloryfer zakratowany pod oknem nie dawał wiele ciepła. Grzał tylko tak, żebyśmy nie zamarzli.

Obiad przebiegał bez wielkich emocji. Z trudem zjedliśmy zupę i jakieś ziemniaki, dobrze już nie pamiętam menu wtorkowego, ale wiem, że też było ohydne.

Cały więc pobyt na Mogilskiej miał charakter tymczasowy. Oczekiwaliśmy tylko na transport. Jak się później okazało, nie ostatni. Pytanie, które nie schodziło z ust więźniów: „Kiedy?”, było pytaniem bez odpowiedzi. Padało w próżnię. Ale niedługo sytuacja miała się wyjaśnić. Niecierpliwość zamieniała się w strach – paniczny, gdy po południu do celi wchodził klawisz i kazał spakować rzeczy i najpierw Choryń, a potem my trzej wyszliśmy z celi. Nieznany jest mi los Chorynia, od tego momentu nic o nim nie wiem.

Zabraliśmy z szafek ubrania, buty i zaczęliśmy iść w stronę, skąd przyszliśmy. I znów znajoma kratka, znajoma procedura, depozyty, spisywania... Potem nam przedstawiają świstek do podpisu, że potwierdzamy odbiór depozytu. Zdecydowanie przy tym zaprzeczyliśmy, nic nie podpisaliśmy z racji, że żadnego depozytu nie otrzymaliśmy. Klawisz wyraźnie się zdenerwował, ale nic nie rzekł, tylko zdecydowanie odszedł od okienka. Wszystko to przebiegało dosyć sprawnie. Niedługo drzwi do klatki otworzył jakiś nowy klawisz z kajdankami w rękach. Kazał wyciągnąć prawe ręce mnie i Krzyśkowi, i zręcznym, wprawnym ruchem zatrzasnął na ręce kajdanki.

Był to dla mnie szok. Po raz pierwszy miałem kajdanki na rękach. Odtąd wiedzieliśmy, że jesteśmy dla ubeków oczkiem w głowie i że zachowane będą szczególne środki ostrożności. Nie było się co czarować. Nadzieja w tym momencie zawisła gdzieś w przestworzach.

Wyszliśmy z tej sali w kierunku drzwi, które prowadziły do obszerniejszej sali. Tam siedziało już kilku oczekujących na transport. Wydaje mi się, że był to Wiesław Mazurkiewicz [ur. 1939, pracownik HiL] *i dwóch innych mężczyzn, których nie pamiętam. Czekaliśmy bardzo krótko, nawet nie zdążyliśmy zamienić paru słów, gdy drzwi dosyć duże, prowadzące na zewnątrz otworzyły się i kilku zomowców, którzy weszli do środka, kazało nam wychodzić. Czekała na nas wielka buda na kółkach, cała szara, z wąskim wejściem, bez okien, z malutkim wywietrznikiem.*

Weszliśmy z Krzyśkiem po schodkach z trudem, bo skute ręce krępowały ruch, tym bardziej że były to ręce celowo skute na przemian, tzn. moja prawa i jego prawa (zamiast jego lewa).

Środek suki był podzielony na połowę stalową ścianą i odgrodzony od przodu przejściem. Wejścia do obu połówek zakratowane i zamykane. Wewnątrz malutkie siedzenia (ok. 20 cm), po obydwu stronach. Przerwa między siedzeniami ok. 40 cm. Do tych norek wpychano nas po dwudziestu. Tłok był niemiłosierny. W przejściu siedzenie dla eskortującego i telefon do kierowcy. Obok niego wejście do ubikacji. Wsadzono nas jako pierwszych do jednej z przegródek. Wkrótce dołączył do nas Józek Jarzmik. Budy dość sprawnie zapełniały się. Wymienialiśmy imiona, miejsca pracy lub nauki, dodawaliśmy sobie nawzajem otuchy. Broniliśmy się wspólnie przed wewnętrznym załamaniem. Spozieraliśmy nawzajem i czytaliśmy w oczach – zwyciężymy, wytrwamy solidarni i silni. „Nie złamie nas głód ni żaden frasunek...”.

Nie pamiętam dokładnie, z kim jechałem do Wiśnicza. Wiem, że w mojej przegrodzie oprócz Józka Jarzmika i Krzyśka Krynke, byli m.in. Piotrek Gajdarski [ur. 1954, pracownik HiL, instruktor kulturalno-oświatowy], *Roman Banyk, Kazio Apanowicz* [ur. 1956, inży-

nier, Petroinform Kraków, pracownik ZR Małopolska, członek KPN, zob. tom I], Romek Hnatowicz [ur. 1931, inżynier, rzecznik patentowy, kierownik informacji KZ „Solidarności" Mera-KFAP].

Czekaliśmy dość długo, ok. 1,5 godziny, widocznie transport składał się z kilku bud. Wiadomo, że Mogilską trzeba było oczyścić dla kolejnych internowanych i zatrzymanych. Nastroje wyraźnie się psuły w miarę przedłużania się postoju. Wreszcie do budy wszedł uzbrojony zomowiec i star zapalił, do wnętrza zaczęły dostawać się śmierdzące spaliny. Jak się później okazało, to działało ogrzewanie, cóż, kiedy dusiliśmy się w oparach spalin.

Dymiło się jeszcze dobre kilka minut, aż wreszcie szarpnęło i pudło potoczyło się z wolna. Przeżegnaliśmy się, niektórzy zwiesili głowy, opuścili jakby żegnali się z tym światem i przechodzili do innego. Może nawet jakby żegnali się z życiem? Budy trzęsło i kołysało przy skrętach i nierównościach terenu. Jak mogliśmy upewnić się przez nikły podgląd, jechaliśmy w kierunku Nowej Huty. Wiedzieliśmy, że celem naszej podróży jest Nowy Wiśnicz, niemniej jednak nikt temu nie dowierzał. Po głowie chodziły czarne myśli, może to podróż ‚na białe niedźwiedzie"? Kto wie?

***

Do aresztu w gmachu trafiła także Romana Kahl-Stachniewicz: *Nie pamiętam, kiedy wręczono mi decyzję o internowaniu do ręki. Wydaje mi się, że jakoś przed Wigilią. Wtedy też dano nam możliwość, by się odwoływać. Nie odwoływałam się, bo po co.*

W celi nr 11, w podziemiach, była już Teresa (Magda) Motyka [ur. 1944, sekretarka, pracownik etatowy Sekcji Kultury ZR Małopolska] *z „Solidarności".*

Cztery prycze „katafalki", wąski stół z dwoma taboretami – wszystko przytwierdzone do podłogi i pomalowane na szary, popielaty kolor. Na pryczach brudne gumowe materace. Okienko zakratowane i zamalowane na biało, gdzieś wysoko w górze. Ściany popielate. Szaro, popielato, ciemno. Wysoko nad stołem słaba żarówka. Wszystkie ściany krzywe, nigdzie kąta prostego.

15 grudnia doszła Barbara Kleszczyńska [ur. 1937, historyk sztuki, przewodnicząca KZ „Solidarności" w Pracowniach Konserwacji Zabytków], *16 grudnia – Halina Mytnik* [ur. 1935, KZ „Solidarności" AGH, we wrześniu 1981 – sekretarz Uczelnianego Komitetu Strajkowego], *20 grudnia – Inka Bodziuch* [ur. 1953, radca prawny w Krakowskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Ogólnego], *która z powodu braku miejsca spała ze mną na jednej pryczy, oraz 22 grudnia – Katarzyna Zimmerer [ur. 1961, studentka filologii polskiej UJ]. W międzyczasie, na krótko, przebywały jakieś inne kobiety zatrzymywane w czasie strajków, ale były szybko zwalniane.*

Spośród tych 21 kobiet, 6 miało małoletnie dzieci: Anna Galus – (córka 15 lat, syn 11 lat), Janina Gościej (córka 17, syn 12), Barbara Grzechynka – (córka 19 lat, syn 11 lat), Romana Kahl-Stachniewicz – (syn 11 lat, córka 1,5 roku), Teresa Magdalena Motyka (córka 14 lat), Maria Sierotwińska-Rewicka (córka 15 lat). Wśród 9 kobiet zwolnionych w grudniu 1981 r. oraz w styczniu i w lutym 1982 r. nie było jednak żadnej matki małoletniego dziecka! Jedną kobietę przewieziono do Katowic. Pozostałych 11 kobiet pojechało 30 grudnia 1981 r. do obozu internowania w Kielcach.

Kahl-Stachniewicz: *Karmiono nas chlebem ciężkim jak kamień, bez tłuszczu, kawą zbożową z bromem oraz jakąś breją, która wyglądała na niedojedzone, zmieszane resztki ze stołów milicyjno-ubeckich. To było coś potwornego. Kiedyś wpadłyśmy na pomysł, aby zgadywać, co będzie na obiad. Ulepiłam sobie kulkę z chleba, nitkę ze swojej chusty dała mi Magda, dziewczyny po kolei myślały o tym, co może być na obiad, a ja nie wiedząc, co*

pomyślały, miałam potwierdzić albo zaprzeczyć. Wahadło wskazało mi na „tak" dopiero, gdy Baśka pomyślała, że będzie to „franca z kartoflami". To może dać wyobrażenie, czym byłyśmy karmione.

Swoje potrzeby trzeba było załatwiać do nie zasłoniętego kibla zwanego przez nas „Azorem" (rano trzeba było go wynieść do pomieszczenia z umywalkami z zimną wodą, z kabinami zasłoniętymi do pasa, w których znajdowały się dziury zamiast muszli klozetowych, był też wąż z zimną wodą – by wylać z niego zawartość i go wymyć). Załatwianie swych potrzeb przy wszystkich było bardzo krępujące.

W celi było bardzo zimno. Dobrze, że miałam kożuch i czapkę futrzaną, których z siebie nie ściągałam. Baśka Kleszczyńska mówiła, że wyglądam jak prawdziwa sybiraczka.

Ponieważ znałam się trochę na masażu receptorów oraz na uruchamianiu sił obronnych organizmu, więc pomagałam bardzo chorej Halinie Mytnik, która wzięta została ze strajku na AGH z zapaleniem oskrzeli. Przy przyjmowaniu jej do aresztu odebrali jej wszystkie lekarstwa, jakie miała ze sobą. Po naszych interwencjach wzięto ją co prawda na przebadanie do lekarza więziennego, ale lekarstwa dostała dopiero w Kielcach.

Wierzę, że jesteśmy tam, gdzie nasza myśl, więc wieczorami w myślach śpiewałam Stasi kołysanki [gdy internowano Romanę Kahl-Stachniewicz, jej córeczka miała rok i 7 miesięcy]. *W ciągu dnia za pomocą wahadła i rozrysowanych receptorów, skupiałam się na stanie zdrowia moich bliskich i wyobrażałam sobie, że przekazuję im energię miłości. To mi bardzo pomagało psychicznie. W ten sposób nie byłam bezsilną ofiarą, lecz kimś od kogo coś zależy, kto jest komuś potrzebny, kto coś może i kimś, kto pomimo oddalenia i ekstremalnych warunków jest razem ze swymi najbliższymi w kontakcie psychicznym.*

Pierwsze dni wojny polsko-jaruzelskiej

Niemal wszyscy przywódcy pierwszej KPN w Krakowie zostali 13 grudnia 1981 r. internowani. Z działaczy o dłuższym stażu na wolności pozostali tylko Krzysztof Bzdyl (przez kilka dni) i Tomasz Baranek.

Baranek: *13 grudnia 1981 r. wróciłem do domu po przerwaniu druku nieaktualnych już oświadczeń i spotkałem się z Krzysztofem Bzdylem. Ustaliliśmy, co dalej robić. Odprowadziłem Bzdyla do Jacka Swałtka na ulicę Warneńczyka, skąd później poszedł do strajkujących kolegów z MPK. Podjęliśmy decyzję, że będziemy prowadzić nadal działalność jako Konfederacja Polski Niepodległej.*

Bzdyl: *Cała niedziela 13 grudnia upłynęła mi na zbieraniu informacji, które zakłady w Krakowie i ewentualnie w Polsce strajkują, jakie są reakcje ludzi na ulicach. To, czego się dowiedziałem, brzmiało fatalnie. Kilka zakładów strajkujących w Krakowie, na dziesiątki istniejących, widoczny strach u ludzi na ulicach. Już wtedy w niedzielę zdawałem sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Nie chciałem od razu iść do mojego zakładu, w którym pracowałem od około 4 miesięcy, zdając sobie sprawę, że w momencie uderzenia ZOMO byłbym w pułapce. Był to poza tym zakład zmilitaryzowany, ja stawałem się żołnierzem, a więc za odmowę wykonania rozkazu w tzw. warunkach bojowych groziła kara śmierci. Interpretacja tego przepisu zależała od komunistycznego sądu, co nie wróżyło dobrze.*

Na razie MPK strajkowało, miałem więc czas do zastanowienia. Wszyscy moi przyjaciele i, oczywiście, rodzina namawiali mnie do ukrycia się i przeczekania.

Teraz to zabrzmi śmiesznie, ale mówiono mi, że jeżeli pójdę na strajk, to zginę. Alternatywą było ukrywanie się, ale zdawałem sobie sprawę, że nie dam rady ukrywać się zbyt długo.

Wieczorem 13 grudnia poszedłem do Jacka Swałtka. Zastanawiałem się, czy iść na strajk do Kombinatu, czy też do mojego Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Łagiewnikach. Przeważyły racje za tym drugim.

***

13 grudnia, niedziela:

10.15 – *płk Działowski informuje sztab MSW, że HiL i MPK stoją.*

11.00 – *płk Działowski melduje gen. Stachurze o sytuacji i wynikach akcji: tramwaje o godz. 9.00 zjechały do zajezdni i załoga strajkuje.*

11.37 – *płk Działowski poleca ostrym wytykiem ppłk. Szafarskiemu pogłębienie rozeznania w MPK.*

19.30 – *ppłk Szafarski poinformował, że załoga w Zajezdni MPK w Woli Duchackiej nie strajkuje, a w Zajezdni w Czyżynach załoga „się łamie, czy kontynuować strajk".*

14 grudnia, poniedziałek:

2.30 – *płk Działowski przekazał ppłk. Jurczakowi prośbę Wiceprezydenta Żmudy, by patrol MO z Ruchu Drogowego pokazał się w rejonie zajezdni MPK w Woli Duchackiej i Bieńczycach i m.in. przeprowadził rozmowy z tamtejszymi sekretarzami POP Mosolejowskim i Kijowskim, co może mieć znaczenie profilaktyczne dla podbudowy przedsięwzięć antystrajkowych.*

6.15 – kpt. Kasprzyk*: MPK – pracuje tylko 1 zajezdnia autobusowa – w Bieńczycach. W innych zajezdniach nie podjęto pracy, zablokowano wyjazdy autobusami i tramwajami. W zajezdni tramwajowej w Nowej Hucie strajk okupacyjny. W zajezdniach stwierdzono oflagowanie i noszenie opasek biało-czerwonych.*

7.20 – *płk Działowski poinformował gen. Paździora – Szefa Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego, o złej sytuacji w MPK, gdzie pracownicy odmawiają przyjęcia kart wcielenia do wojska. Gen. Paździor oświadczył, że podejmie niezwłocznie interwencję w tej sprawie.*

7.45 – *mjr Pietrzyk – zajezdnia Czyżyny (autobusy): załoga podjęła strajk okupacyjny, flagi, opaski, blokada ok. 100 osób na portierni, Łagiewniki – ruszyły, Bieńczyce – wyjeżdżają, Nowa Huta – rusza (z jednej strony).*

8.15 – *zajezdnia autobusowa Czyżyny – mają 2 postulaty (przedstawione por. Mleczce): chcą rozmawiać z Komisarzem Wojskowym zakładów i dyrekcją oraz chcą uzyskać wyjaśnienia o przyczynach internowanie Żurka, Staszczaka i Ogonka. Znajdował się tam (wśród załogi) działacz KPN...*

***

Bzdyl: *W poniedziałek rano, przed 7.00 wszedłem na teren Zajezdni w Łagiewnikach. Tramwaje wyjeżdżały jeden za drugim, mimo że nie było ani śladu MO czy ZOMO. Myślałem, że w środku jest bezpieka, ale i bez bezpieki, po ogłoszeniu dekretu o stanie wojennym, ludzie potwornie się bali. Czekałem przez kilka minut i obserwowałem zajezdnię. Nie widziałem nic podejrzanego. Pożegnałem się ze Swałtkiem i wszedłem na Zajezdnię. Po drodze*

spotkałem kilku ludzi z KPN, którzy na zapytanie, dlaczego nie ma strajku, odpowiedzieli, że ludzie się boją, a oni nie mogli zebrać załogi, bo kierownik zajezdni zabrał klucze do świetlicy. Wysłałem ich do kierownika, aby mu powiedzieli, że jeżeli natychmiast nie da kluczy, to wyłamujemy drzwi. To poskutkowało. Zebraliśmy resztę pracowników, wstrzymaliśmy wszystkie pozostałe tramwaje, bramy do zajezdni zablokowaliśmy. W zajezdni były i inne odrębne zakłady MPK, które przekonane przeze mnie, też przystąpiły do strajku.

Paczkowski podkreśla, że strajk krakowskiej MPK (chodzi nie tylko o zajezdnię w Łagiewnikach, ale także w Czyżynach i w Nowej Hucie) był ewenementem w skali kraju. Poza Krakowem podobny paraliż miasta miał miejsce jedynie we Wrocławiu. Powód? *Brakowało determinacji nie tylko wśród uczestników, ale i organizatorów.*

Z uzasadnienia wyroku wydanego 12 marca 1982 r., dotyczącego Krzysztofa Bzdyla: *W dniu 14 grudnia 1981 w godzinach rannych do strajkujących dołączył oskarżony Krzysztof Bzdyl – dyspozytor z sąsiedniego Zakładu Transportu i Sprzętu Specjalnego MPK i z racji swej aktywności został dokooptowany w skład komitetu strajkowego (...). Na terenie zajezdni oskarżony proklamował strajk okupacyjny i oznajmił kierownikowi zajezdni (…), że komitet strajkowy przejmuje władzę w zakładzie. Nawet bez uzgodnienia z pozostałymi członkami komitetu strajkowego zabronił wyjeżdżać motorniczym tramwajami na miasto, mimo że byli chętni do podjęcia pracy. Następnie wraz z towarzyszącymi osobami zabrał z dyspozytorni klucze do nastawników wagonów tramwajowych, aby uniemożliwić ich wyjazd.*

Bzdyl: *Przy pomocy kilku konfederatów rozpocząłem strajk na nowo. Do wieczora ściągnąłem wszystkie wozy tramwajowe do Zajezdni, powodując całkowitą blokadę komunikacyjną miasta, bo strajkowały wtedy 4 zajezdnie, a tylko jedna jeździła. Wiedziałem, że komuna uderzy na MPK w nocy, i to jak najszybciej, bo bez transportu ludzie nie dotrą do swoich miejsc pracy. W Komitecie Strajkowym zastanawialiśmy się nad bardzo radykalną formą obrony naszej Zajezdni. Rozważaliśmy kilka sytuacji. Mieliśmy stację paliwową z dwoma zbiornikami i myśleliśmy o ich wysadzeniu, ale projekt upadł z kilku powodów, których głównym była bliskość bloków mieszkalnych. Dyskutowaliśmy też o przewracaniu wszystkich wozów tramwajowych za pomocą dźwigów, które mieliśmy. Na to też nie było zgody z różnych przyczyn.*

Najrealniejszy był projekt przecięcia różnych kabli doprowadzających prąd do zajezdni, ale nie mieliśmy fachowca, który by to potrafił zrobić. Brzmi to nieudolnie i żałośnie, ale byliśmy nieprzygotowani do stawienia oporu.

W międzyczasie, w ciągu całego dnia zachodziły z jednej strony korzystne zmiany, bo po odbytych kursach wróciły do popołudnia wszystkie tramwaje, których już nie wypuściliśmy i zabarykadowaliśmy się jeszcze szczelniej. Blokada komunikacji była już stuprocentowa.

Z drugiej strony pracownicy zaczęli powolutku uciekać, zwłaszcza jak przyszła informacja z biur administracji MPK, że w nocy uderzy na nas ZOMO i wojsko. Łączność w Polsce nie działała, ale działały wewnętrzne linie telefoniczne. Mieliśmy straż porządkową i przyszło do mnie pytanie, czy zatrzymywać ludzi siłą. Zadecydowałem, aby każdego, kto się boi, wypuścić. W nocy z 600 strajkujących zostało nas może 200. Byliśmy całkowicie bezbronni. Wiedziałem, że nie damy rady.

Był projekt, żeby sprowadzić księdza, aby odprawić mszę dla wzmocnienia ducha, ale żaden ksiądz nie przyszedł. Bali się. W świetlicy mieliśmy jednak krucyfiks, który stał na stole, za którym byliśmy my, członkowie Komitetu Strajkowego. Ułożyłem taką przysięgę na Święty Krzyż, że kiedy strajk zostanie rozbity, to przysięgamy, że nikt nie podejmie pracy, a wszyscy niearesztowani rozejdą się do domów. Było chyba koło północy, wszyscy

zgromadzili się w świetlicy i powtarzali za mną słowa przysięgi. Potem już czekaliśmy na wkroczenie ZOMO.

***

14 grudnia:

18.45 – *odprawa u płk. Działowskiego. Biorą udział: ppłk Szafarski, kpt. Kasprzyk, kpt. Filipek i por. Baran z Wydz. III-A. Płk Działowski informuje, że w uzgodnieniu ze Sztabem,* [wolne miejsce, jakby ktoś usunął słowa, prawdopodobnie: „I sekr. KK PZPR"]*, Prezydentem* [Krakowa] *i Pełnomocnikiem zostanie podjęta akcja w MPK z udziałem sił MO i wojska. Działać będzie MO, a wojsko – ochraniać. Polecenia płk. Działowskiego: towarzysze Baran, Kasprzyk, Ślusarczyk, Filipek, Więckowski i Chmurzyński utworzą 6 grup i natychmiast podejmą rozpoznanie obiektów (zajezdni) MPK. Plan działania pracowników SB na obiektach – przygotować charakterystyki pomieszczeń (wejść) i wykaz osób do zatrzymania (opracują niezwłocznie ppłk Szafarski i kpt. Kościelniak). Założenia akcji – MO i wojsko w przypadku konieczności wchodzi do obiektów przy użyciu siły. [usunięte dwa słowa] się egzekwowanie przepisów Dekretu o stanie wojny* [tak w oryginale] *i wymuszenie podjęcia pracy przez załogi. Kto z pracowników odmówi przyjęcia karty mobilizacyjnej, zostaje zatrzymany. Należy także zatrzymywać znanych prowodyrów: członków KPN i ekstremistów Solidarności. Pracownicy SB towarzyszą grupom MO i wojska w mundurach moro, jako dysponujący rozpoznaniem obiektowym i personalnym. Podobna akcja o tych samych założeniach zostanie przeprowadzona w CEBEA. Zadania SB są podobne. Do obu akcji pracownicy SB przygotują także łomy.*

22.15 – *ppłk Szafarski poinformował, że w zajezdniach MPK Wola Duchacka i Bieńczyce pracownicy pobrali karty wcielenia do wojska i załogi pracują normalnie. Ppłk Szafarski zameldował płk. Działowskiemu, że plany akcji w MPK i CEBEA będą gotowe za 20 minut.*

***

Bzdyl: *Straże mieliśmy rozmieszczone przy ogrodzeniu i około 3 nad ranem dały nam znać, że ZOMO łamie ogrodzenie i zajmuje zajezdnię. Wszyscy z całej zajezdni uciekli do świetlicy. Jakiś major kierował całą akcją. Próbowałem zapanować nad sytuacją i poprzez nagłośnienie wzywałem dowódcę ZOMO na rozmowy z Komitetem Strajkowym. Ale na sali panowała już panika. Tłum falował. Napastnicy rozbili nagłośnienie. Bili pałkami ludzi i wyciągali na zewnątrz. Zatrzymanym kazali podpisywać karty mobilizacyjne do wojska. Ja i członkowie Komitetu tych list nie podpisaliśmy. Pracownicy MPK mimo złożenia przysięgi poszli do pracy już w kilka godzin później, tylko kilku odmówiło podpisania kart mobilizacyjnych. Strajk został złamany stosunkowo łatwo*

Zawieźli nas na Mogilską. Dostałem decyzję o internowaniu. Jak dowiedziałem się później, pozostałym członkom Komitetu Strajkowego pozwolili wrócić do pracy na kilka dni. Wkrótce jednak zostali aresztowani i zobaczyłem ich w prokuraturze wojskowej na Rakowickiej, gdzie również mnie dowieźli z internatu w Nowym Wiśniczu.

***

Członkowie drugiej KPN (jak określamy, zakonspirowaną część struktur – tych, którzy wznowili działalność po Grudniu) nie zostali przez SB internowani. W tym czasie SB nie miała dokładniejszych informacji na ich temat i działała po omacku, na co wskazuje dość przypadkowe internowanie Waldemara Mikulca, jako kapeenowca,

o czym była mowa wcześniej. Dało to możliwość działaczom drugiej KPN na swobodne działanie.

Maciej Kuś: *W stanie wojennym zetknąłem się z KPN zaraz w nocy 13 grudnia 1981. Jak zamknęli ojca, pobiegłem do Marka Bika, który mieszkał najbliżej mnie. Moim najbliższym przyjacielem był Jacek Lichoń, ale on mieszkał daleko – na Woli Justowskiej.*

Bik: *O ataku władz dowiedziałem się od Maćka Kusia około drugiej w nocy. Od razu w nocy poszliśmy pod Zarząd Regionu (ode mnie z ul. Felicjanek to były 3 minuty drogi). Podeszliśmy od strony przejścia podziemnego przy DH Jubilat. Gdy zobaczyliśmy zomowców (a oni nas), zaczęliśmy uciekać i ich zgubiliśmy, bo znałem wszystkie bramy przejściowe w okolicy.*

ZOMO opanowało siedzibę Zarządu Regionu małopolskiej „Solidarności" już w nocy. Lasota, Ptasińska, Solak: *Niemal punktualnie o północy z 12 na 13 grudnia oddział ZOMO wdarł się do pomieszczeń Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność" Małopolska przy al. Krasińskiego 11 w Krakowie. W opustoszałym budynku zatrzymano jedną osobę, studenta, kontraktowego pracownika obsługującego teleksy. Pobieżnie przeszukano pokoje biurowe, zniszczono niektóre sprzęty i witryny związkowe, po czym wycofano się, pozostawiając w budynku jedynie kilku ludzi. Dopiero w poniedziałek rano, 14 grudnia, przystąpiono do gruntownej rewizji pomieszczeń, wywożenia sprzętów i archiwum.*

***

13 grudnia:

0.50 – *ppłk Kaim melduje o zabezpieczeniu pomieszczeń ZR Małopolska.*

1.05 – *płk Działowski wydaje mjr. Nogieciowi polecenie „przygotować właściwą grupę do wejścia do pomieszczeń ZR".*

1.12 – *ppłk Biel [zastępca komendanta wojewódzkiego MO ds. SB] informuje płk. Działowskiego, że 10 funkcjonariuszy umundurowanych i 5 funkcjonariuszy SB jest gotowych do wejścia do ZR.*

1.15 – *płk Działowski wydaje polecenie ppłk. Szafarskiemu, aby delegował grupę operacyjną do ZR wraz z fotografem.*

1.21 – *płk Trzybiński poleca kpt. Więckowskiemu montowanie grupy operacyjnej do ZR.*

1.22 – *płk Działowski poleca tow. Wójcikowi i tow. Kasprzykowi udanie się z dodatkowym oficerem operacyjnym na Krasińskiego* [przy al. Krasińskiego była siedziba ZR „S" Małopolska] *celem dokonania przeszukania dokładnego.*

1.23 – *Kasprzyk melduje płk. Działowskiemu, że ma 20 osób na ZR, przeszukujemy i nikogo nie wpuszczamy, unieruchomiliśmy poligrafię.*

10.16 – *płk Działowski wydaje polecenie ppłk. Szafarskiemu, aby wspólnie z por. Wójcikiem udał się do Zarządu Regionalnego i spowodował otwarcie kasy, a następnie sporządził protokół na tą okoliczność.*

11.06 – *płk Działowski otrzymuje telefon, iż na al. Krasińskiego około 100 osób rozdaje ulotki – wydaje słowne polecenie naczelnikom.*

11.11 – *ppłk Kaim melduje, że na al. Krasińskiego zebrała się 50 osobowa grupa ludzi.*

11.25 – *płk Działowski – ppłk Jurczak – wystawić posterunki MO na al. Krasińskiego.*

11.30 – *płk Działowski informuje płk. Trzybińskiego o sytuacji, m.in. że ponownie wystawiono PMO [posterunki MO] w rejonie al. Krasińskiego.*

12.40 – *płk Trzybiński na naradzie wytknął mocno fakt zdjęcia PMO spod budynku ZR Małopolska przez mjr. Wagę i mjr. Nogiecia co spowodowało nie dopuszczenie do pomieszczeń Solidarności wysłanej ekipy, która miała dokonać otwarcia kasy.*

14.00 – *płk Działowski wydaje polecenie ppłk. Szafarskiemu, aby w porozumieniu z mjr. Wagą umożliwili wejście grupie operacyjnej do pomieszczeń ZR.*
18.05 – *ppłk Biel polecił mjr. Wadze utrzymanie posterunków pod ZR i nie wpuszczać nikogo do pomieszczeń.*

***

Bik: *Następnie poszliśmy pod Uniwersytet Jagielloński, ale okazało się, że 12 grudnia 1981 r. studenci zawiesili strajk. Poszliśmy więc dalej ul. Karmelicką do Witka Tukałły. Na ul. Karmelickiej zobaczyliśmy mnóstwo podekscytowanych ubeków. Widać było, że coś się dzieje – oni wcale się z tym nie kryli. Stali na środku ulicy i palili papierosa za papierosem. Kłębiło się tam jak na targu. Wyminęliśmy ich i poszliśmy dalej. Obudziliśmy Witka. Maciek Kuś dostał od niego skarpety, bo miał założone buty na gołe nogi, a przecież był trzaskający mróz.*

Przed 13 grudnia władze małopolskiej „Solidarności" wydały instrukcję, aby w przypadku użycia siły przez władze, działacze i sympatycy Związku szli do najbliższych strajkujących zakładów pracy.

Bik: *Wybraliśmy zajezdnię MPK w Łagiewnikach. Zatrzymaliśmy taksówkę i pojechaliśmy do Łagiewnik. Kierowca taksówki kpił z nas, gdy mu powiedzieliśmy, co się dzieje, chociaż przyznał, że żaden program w radiu nie nadaje. Minęliśmy Zarząd Regionu, który był już otoczony przez samochody milicyjne. Gdy przejechaliśmy most Grunwaldzki, była godzina 6 rano i radio zaczęło nadawać. Usłyszeliśmy przemówienie Jaruzelskiego i taksówkarz, który chojrakował całą drogę i wygrażał komunie, tak się przestraszył, że nie chciał jechać dalej. Z trudem go nakłoniliśmy, żeby dojechał do Łagiewnik.*

W zajezdni byliśmy przed zawiązaniem się Komitetu Strajkowego. Pokręciliśmy się trochę po zakładzie. Gdy byłem przy bramie wjazdowej, do zajezdni przyjechał zielony fiat, wysiadł z niego jakiś oficer wojska, powiedział, że został mianowany komisarzem wojskowym i że strajk jest nielegalny. Zostawił mi także kopertę dla strajkujących. Było tam obwieszczenie o stanie wojennym i dekret przewidujący surowe kary m.in. za strajk. Ten dekret schowałem, bo bałem się, że jak go pokażę strajkującym, to większość od razu się rozejdzie. Resztę papierów zaniosłem Cześkowi Taladze – szefowi Komitetu Strajkowego w Łagiewnikach.

Strach robotników, o którym wspomina Marek Bik, może wydawać się przesadzony, ale tylko wtedy, jeżeli zapomnimy o okolicznościach tamtych dni, o nastroju zaskoczenia i przerażenia, który wówczas powszechnie panował. Zwłaszcza że treść dekretu o stanie wojennym była jednoznaczna:

Art. 46.

1. *Kto będąc członkiem stowarzyszenia, związku zawodowego, zrzeszenia lub organizacji, której działalność została zawieszona, nie odstąpił od udziału w takiej działalności, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.*
2. *Kto organizuje albo kieruje strajkiem lub akcją protestacyjną, podlega karze pozbawienia wolności do lat 5.*
3. *Kto zabiera lub używa pojazd mechaniczny w celu wykorzystania go dla przeprowadzenia strajku lub akcji protestacyjnej, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.*
4. *Jeżeli pojazd mechaniczny określony w ust. 3 stanowi mienie społeczne, sprawca podlega karze pozbawienia wolności do lat 5 i karze grzywny.*
5. *Kto w celu przeprowadzenia strajku lub akcji protestacyjnej albo w czasie ich trwania przemocą, groźbą bezprawną lub podstępem zmusza inną osobę do zaniechania pod-*

jęcia lub wykonywania pracy, podlega karze pozbawienia wolności do lat 5.

6. *Kto w celu przeprowadzenia strajku lub akcji protestacyjnej niszczy, uszkadza lub czyni niezdatnym do użytku zakład lub urządzenie albo uniemożliwia lub utrudnia prawidłowe funkcjonowanie zakładów, urządzeń lub instytucji, podlega karze pozbawienia wolności do lat 10 i karze grzywny.*

M. Kuś: *Doszliśmy do wniosku, że jesteśmy tam zbędni. Marek postanowił pojechać do zajezdni MPK w Czyżynach, a my z Witkiem wróciliśmy do swoich domów.*

Bik: *Nadeszła informacja, że Krzysztof Bzdyl został internowany, co nie było prawdą, bo zjawił się w Łagiewnikach, tylko później, już po naszym odjeździe. Ponieważ przyjechał autobus z zajezdni w Czyżynach, z grupą kapeenowców zabraliśmy się do nich. Wiedzieliśmy, że jest tam silniejsza ekipa z Konfederacji.*

Zajezdnia MPK w Czyżynach była silnym ośrodkiem KPN-u, duża część załogi należała do Konfederacji, kierował nimi Michał Żurek.

Michał Żurek: *Na czele strajku stanęli Franciszek Stożek* [ur. 1931, pracownik MPK, skazany na 1,5 roku więzienia (w zawieszeniu) za udział w podziemnej „Solidarności" i kolportaż nielegalnych pism] *i Ryszard Domagała* [Ryszard Domagała, ur. 1935, pracownik MPK, wiceprzewodniczący „Solidarności" w zajezdni MPK Kraków-Czyżyny, skazany na 2 lata więzienia za ten strajk; wraz z nim wyroki dostali: Stanisław Dyląg z KPN (4 lata) i Henryk Lewandowski (3,5 roku)]. *Przyłączyli się niemal wszyscy pracownicy. W naszej zajezdni była największa determinacja, tam przeniosła się cała Komisja Zakładowa „Solidarności" MPK.*

Tymczasem Jerzy Mohl szukał przyjaciela w strajkujących zakładach: *13 grudnia zaczął się dla mnie od odwiedzin około 8 rano mojego szkolnego kolegi Jakuba Tasiora, który przyjechał, aby mnie ostrzec, że jest stan wojenny. Jakub przyjechał na rowerze, bo komunikacja miejska nie działała. Wyciągnąłem swój rower z garażu i pojechaliśmy do Zajezdni Tramwajowej w Łagiewnikach, bo widziałem, że tam działał Krzysztof Bzdyl, a ponadto był to mocny bastion „Solidarności" i w związku z tym nasi koledzy mogą się tam zameldować. Niestety, na miejscu poinformowano nas, że oni podobno już tu byli i pojechali do Huty Lenina, bo tam zbierają się wszyscy „plakaciarze" z Krakowa.*

Autobusy MPK, wysyłane z Czyżyn, zabierały ludzi i przewoziły ich do Huty. Jak już wiemy, Marek Bik postanowił jednak zostać w Czyżynach. Mohl o tym nie wiedział i wprowadzony w błąd pojechał do kombinatu: *Jakub Tasior musiał wracać do domu, bo miał młodsze rodzeństwo, którym się opiekował, więc pojechałem sam. Po drodze wstąpiłem do domu po zaświadczenie, które miałem wydane przez Sekcję Informacji i Propagandy Zarządu Regionu, bo mogło mi pomóc przy wchodzeniu na strajk. Zaświadczenie schowałem do kierownicy roweru, a do kaptura kurtki zaszyłem legitymację KPN-u. Odczekałem aż zapadnie zmierzch, wskoczyłem na rower i pognałem do Huty. Dojechałem aleją Lenina do przecznicy z ul. Ujastek Mogilski. Dalej stała milicja i chyba żołnierze. Po lewej stronie jezdni były głębokie wykopy, ciągnęły się aż do ul. Mrozowej. Postanowiłem wykorzystać je do obejścia posterunków. Wziąłem rower na plecy i zsunąłem się do rowu. Na polu było już ciemno, ale w tym rowie to już zupełnie – jak w otworze anatomicznym mieszkańca Czarnego Lądu. Musiałem iść powoli, żeby nie narobić hałasu. Kiedy mijałem posterunek, to słyszałem ich rozmowy bardzo wyraźnie – widocznie stali tuż obok wykopu. Po około 20 minutach dotarłem do rozjazdu Ujastek-Mrozowa. Następny posterunek milicyjny był przy „Mostostalu"(jedna nyska), więc wyciągnąłem rower z rowu i pojechałem do bramy bocznej. Przy bramie pokazałem moje „papiery" i poprosiłem, aby podzwonili z pytaniem o moich kolegów. Poszukiwania trwały około 2 godzin, ale okazało się, że nikt o nich nie*

słyszał. Do godziny milicyjnej zostało mało czasu, postanowiłem więc wracać, licząc, że w międzyczasie koledzy zostawili mi jakąś wiadomość w domu. Kiedy wyjeżdżałem za bramę, robotnicy na posterunku mówili mi, że zbyt ryzykuję i że powinienem zostać z nimi do rana. Uważałem jednak, że w ciemnościach mam większe szanse.

Pojechałem na bezczelnego przez ul. Ujastek, bo po drodze była zajezdnia tramwajowa i w razie czego liczyłem, że zdążę się tam ukryć. Posterunek, który widziałem wcześniej przy „Mostostalu" został zwinięty, więc bez problemu dotarłem do wiaduktu przy Kocmyrzowskiej. W jego pobliżu dostrzegłem zomowski gazik z zapalonymi światłami i podniesioną maską. Ulica była całkowicie zaciemniona, ledwo widziałem sylwetki na tym posterunku. Jechałem bardzo szybko, bo wiedziałem, że muszę przemknąć koło nich. Kiedy dojechałem do nich, usłyszeli mnie w momencie, kiedy już ich mijałem. Parę sekund później byłem już daleko. Słyszałem jak krzyczeli: „Stój!, Stój, bo strzelam!", ale to olałem. Szansa na to, że mogliby mnie trafić z tej odległości i przy takiej widoczności, wydawała mi się nikła. Ryzyko się opłaciło, do domu dotarłem około 23. Ponieważ nie chciałem ryzykować, przenocowałem u ciotki mojej matki, która mieszkała niedaleko. Rano wróciłem do domu i postanowiłem, że zaczekam na jakiś kontakt. Około południa przyszli do mnie Bik, Kuś i jego kolega.

Bik: *14 grudnia wyszedłem ze strajku w Czyżynach po Jurka. Razem wróciliśmy na zajezdnię.*

J. Mohl: *Po odbyciu narady postanowiliśmy dostać się do Huty Lenina, bo to główna twierdza „Solidarności" i tam mogą dać nam coś do roboty. Mój brat Artur też chciał iść z nami, chociaż wcześniej nie działał dla „Solidarności" ani KPN-u (miał 15 lat). Aby dotrzeć do Huty Lenina, postanowiliśmy się rozdzielić, ja z Markiem ruszyłem piechotą, a oni pojechali autobusem (o dziwo, linia nr 138 jeździła). Do kombinatu nie dotarliśmy, bo posterunki wojskowe i milicyjne stały na wysokości Zalewu. Ponieważ zbliżała się godzina milicyjna, zawróciliśmy, ale byliśmy wyczerpani forsownym marszem i około 22 znaleźliśmy się w Czyżynach. W tej sytuacji poszliśmy do najsilniejszej placówki KPN w Krakowie, do zajezdni autobusowej, gdzie szefem był Michał Żurek. Po dotarciu na miejsce dowiedzieliśmy się, że Michała zgarnęła SB. W zajezdni, oczywiście, trwał strajk.*

W nocy z 14 na 15 grudnia na zajezdnię w Czyżynach uderzyło ZOMO.

J. Mohl: *Załoga licząca może około 200 osób była kierowana przez działaczy „Solidarności". Ponieważ byliśmy z Markiem wyczerpani, postanowiliśmy choć trochę się przespać na podłodze w jakimś pokoju biurowym. Około godziny 1.30 zostaliśmy jednak obudzeni, bo na zewnątrz coś zaczęło się dziać. Zakład otoczyło wojsko – „czerwone berety", a po kwadransie przy bramie głównej pojawiło się ZOMO. Na początku nie było ich zbyt wielu, może 30-40 ludzi i dwa gaziki z wyrzutniami, o ile dobrze pamiętam. Część załogi MPK zdążyła uciec, bo wojsko przepuściło ich przez swoją linię okrążenia, ale później kordon się zamknął i teren zajezdni został oświetlony za pomocą trzech ogromnych reflektorów przeciwlotniczych. Kierownictwo strajku było zaskoczone takim obrotem sprawy i nie wiedziało, co mają robić. Kilku członków KPN-u (znałem ich z widzenia) chciało stawiać opór. „Solidarność" się sprzeciwiła, twierdząc, że jesteśmy bez szans. Ich było więcej niż nas i oprócz benzyny i podręcznych narzędzi nie mieliśmy czym się bronić, a wzniecenie pożaru zniszczyłoby autobusy. Na domiar złego nadciągnęły dodatkowe siły ZOMO tak, że ich liczebność wzrosła do ok. 100. Kierownictwo strajku podjęło negocjacje w sprawie kapitulacji. Niektórzy próbowali się ukryć, ale później okazało się, że milicja dokładnie przeszukała wszystkie miejsca.*

Bik: *Po drugiej w nocy weszło ZOMO. Zgromadzili nas w jednym miejscu w dużej hali. Byli pod bronią. Nie było bicia. Odniosłem nawet wrażenie, że ZOMO było roz-*

drażnione i zmęczone nie mniej niż strajkujący. Każdą osobę wołali pojedynczo. Trzeba było iść popychanym lufami w szpalerze zomowców uzbrojonych w broń automatyczną. W pokoju przed komisarzem wojskowym zakładu oraz przed dowódcą ZOMO zmuszali każdego do podpisania oświadczenia, że przystępuje do pracy. Następnie kierowcom kazali od razu wyjeżdżać na trasę. Usiłowaliśmy z Jurkiem uciec schowani pod siedzeniami wyjeżdżających autobusów, ale nie dało się, bo zorientowaliśmy się, że zomowcy sprawdzają autobusy. Legitymację KPN miałem zaszytą w rękawie i na szczęście jej nie znaleźli.

Mnie zawołali wcześniej niż Jurka. Miałem dowód osobisty, bo byłem już pełnoletni. Spytali mnie: „Co tu robisz?". Skłamałem, że jestem uczniem szkoły przyzakładowej. Nie sprawdzali. Powiedzieli mi: „Złe miejsce sobie wybrałeś". Kazali mi jeszcze na coś poczekać, ale po cichu wyszedłem stamtąd.

***

Zanim wrócimy do Czyżyn, aby poznać los Jerzego Mohla, oddajmy głos człowiekowi, który stał po drugiej stronie – funkcjonariuszowi SB, por. Aleksandrowi Mleczce z Wydziału V (gospodarka). W swoich wspomnieniach zupełnie inaczej przedstawia okoliczności pacyfikacji strajku w zajezdni MPK w Czyżynach: *Teraz już dni mi się zlewają i nie wiem, czy to było wtedy [tj. 13 grudnia], czy dzień po, czy dwa, zresztą nieważne. Jedziemy z kolejnego bezowocnego patrolu, ulice puste, śnieżna biel, cisza, ani jednego człowieka. Kierowca jedzie zakosami, ulica, chodnik, skwer i znowu ulica, ślady jego opon są jedynymi, jakie przecinają śnieg.*

Skrzeczy radio, wywołują nas: — Słuchaj, jesteś w pobliżu zajezdni autobusowej w Czyżynach w Nowej Hucie, podobno rozpoczęli strajk, sprawdź i melduj. Bez odbioru.

Podjeżdżamy, zamknięty szlaban, wiszą flagi państwowe, na bramie kilkanaście osób, opaski biało-czerwone. Stajemy piętnaście, dwadzieścia metrów od szlabanu. No, właściwie już prawie wszystko wiadomo, jest strajk.

Zauważyli nas, coraz ich więcej przy szlabanie, patrzą na nas.

— To, co, jedziemy? — to Włodek, przesympatyczny kierowca. — Zaraz czymś rzucą, obiją mi samochód (teraz do takiego fiata 125 p byście nie wsiedli).

— Nie — mówię, mam jakiś wisielczy humor. — Podjedź do szlabanu, no, bliżej, jeszcze bliżej!

Przypomina mi się sierpień osiemdziesiątego i zakład mechaniczny w Kombinacie. Najważniejsze to być od nich bardziej pewnym siebie.

Podchodzę do szlabanu i przedstawiam się: „Porucznik [Mleczko] *z bezpieki. Czy możecie mnie poinformować, co się tu dzieje?".*

No i jakby piorun strzelił w pietruszkę. Wszyscy naraz zaczęli się przekrzykiwać, że strajk, że Ojczyzna, że oni do skutku, i tak dalej, i tak dalej. Jest dobrze, mówię do siebie, żaden mi nie przypierdolił.

— No, dobrze panowie. Że strajk, to ja widzę. Ale pewnie wy chcielibyście, żeby was ktoś wysłuchał. Ci, co mogliby was wysłuchać, boją się tu przyjechać, więc umówmy się: wy mi powiecie, o co chodzi, ja sobie to zapiszę i przekażę, gdzie trzeba. Tylko mówcie po kolei.

I już jest dobrze.

Pogadaliśmy, a potem im mówię: „Słuchajcie! Jeszcze tylko strajkuje kilka wydziałów na Kombinacie, a potem rzucą tu ZOMO, bo przecież nie będą trzymać zajezdni, autobusów, paliwa bez kontroli. Zastanówcie się i podejmijcie decyzję. Powiedzcie, o której mam przyjechać, żebyście mi przekazali swoje zdanie, a ja w międzyczasie przekażę wasze żądania szefom.

No, dobra, zdecydują się do — już nie pamiętam — 12 czy 14.

Wracamy do firmy, a tam już skoty gotowe do wyjazdu, komandosi, ZOMO. Melduję, co jest.

— Poczekajmy, to tylko godzina.

Wojsko absolutnie się nie zgadza (przyjechali z zielonych garnizonów, aż się palą, żeby pokazać, co potrafią), nasi też mają wątpliwości, ale trochę opóźniają.

W końcu wyjazd, są już na ulicy, kolumna marszowa, kiedy „betka" (Wydział „B" – obserwacji), która już zdążyła zorganizować „pz" (punkt zakryty) melduje przez radio: wychodzą — no i po strajku. Parę osób nie musiało przeżywać bratobójczej walki.

Funkcjonariusz SB przypisuje sobie zasługę w przerwaniu strajku w Czyżynach, twierdzi, że strajkujący zakończyli go dobrowolnie i opuścili zajezdnię. Z relacji Marka Bika i Jerzego Mohla (co potwierdzają inne źródła, zob. Lasota, Solak, Ptasińska) wyłania się zupełnie inny obraz. Strajk został przerwany nocą, w wyniku interwencji ZOMO i wojska. Meldunki operacyjne MO i SB potwierdzają, że por. Mleczko rozmawiał ze strajkującymi przy bramie, natomiast żaden nie potwierdza wersji o rozejściu się strajkujących przed otoczeniem zakładu przez siły interwencyjne. To kolejny dowód na to, jak ostrożnie należy podchodzić do takich relacji. Dodajmy, że kilka osób zostało później skazanych za kierowanie strajkiem w Czyżynach (o czym będzie jeszcze mowa).

***

J. Mohl: *Ponieważ nie miałem jeszcze wtedy dowodu osobistego, a z oficjalnych dokumentów miałem tylko legitymację szkolną, nie mogłem się podać za ucznia szkoły przyzakładowej, jak to zrobił Marek Bik. W związku z tym zostałem zatrzymany wraz z kierownictwem strajku i odwieziony do Komendy Wojewódzkiej MO przy ul. Mogilskiej.*

Miał dodatkowego pecha – na Mogilskiej znaleziono przy nim legitymację KPN. Był jedynym w Krakowie internowanym licealistą i jednym z nielicznych w Polsce (najmłodszym internowanym w tym czasie był 17-letni Andrzej Sznajder, ur. 16 lutego 1965 – internowano go 26 lutego, a zwolniono 22 marca 1982).

J. Mohl: *Po dotarciu na miejsce „buda" stanęła na parkingu i czekaliśmy około godziny na rozładunek. Wyciągali nas pojedynczo, co powodowało dalsze opóźnienie. Około 8 wylądowałem chyba na IV piętrze w pokoju, w którym było dwóch milicjantów. Akurat przymierzali „moro". Jeden był w stopniu kapitana, a drugi porucznika. Przesłuchanie było standardowe: personalia plus moja wersja, co robiłem w czasie strajku w zakładzie. W trakcie tych pogaduszek co chwilę do pokoju przychodził jakiś cywil, aż w końcu przynieśli decyzję o internowaniu (chyba nr 344 lub coś koło tego). Kapitan powiedział, że teraz to chyba czeka mnie wyjazd na „białe niedźwiedzie", a ja mu na to, że to dobrze, bo lepiej znoszę mróz niż upał. Milicjanci zaczęli się śmiać i ten kapitan wysłał porucznika po śniadanie, a kiedy tamten je przyniósł, dał mi połowę swojej porcji. Powiedział mi również, że jest z „kryminalnej" i kuzyni, czyli SB, dali mu mnie „w zastępstwie". Pamiętam, że był miłośnikiem bluesa i miał kilka kaset, bo chyba ze dwa razy zmieniał. Muszę powiedzieć, że milicjanci niespecjalnie się udzielali w tym „przesłuchaniu". Po około 3 może 4 godzinach mieli mnie odstawić do aresztu. Przed wyjściem, ten kapitan zdjął z szafy pudełko, wyjął z niego czekoladę i dał mi ją, mówiąc: „Weź, bo nie wiadomo, kiedy będziesz jadł". Wylądowałem w pomieszczeniu, gdzie przed umieszczeniem w areszcie odbywały się przeszukania.*

Znamy już to pomieszczenie w gmachu przy ul. Mogilskiej z relacji Waldemara Mikulca i Stanisława Tatary.

J. Mohl: *Musiałem zdjąć całą odzież i wykonać tzw. czwórkę narciarską. Chodzi o pozycję przypominającą przysiad, w której następuje odchylenie tułowia w tył, tak aby plecy były proste, natomiast uda i łydki tworzą kąt prosty w ugięciu kolan. Utrzymanie równowagi jest możliwe przy wyciągnięciu ramion do przodu. W czasie tej rewizji znaleźli w kapturze kurtki moją legitymację KPN- u i skwitowali to stwierdzeniem: „Ale ptaszek się nam trafił". Po zakończeniu przeszukania zostałem wsadzony do celi razem z jakimś kierowcą, a później dołączyli do nas Józef Lassota* [ur. 1943], *późniejszy prezydent Krakowa, oraz Krzysztof Pakoński* [ur. 1948]. *Zarwana noc i forsowny marsz do Kombinatu w poprzednim dniu spowodowały, że czując się bezpiecznie pod okiem władzy ludowej, zasnąłem.*

Pobudka nastąpiła późnym popołudniem. Kazali nam wyjść z celi i po skuciu nas po dwóch, wraz z innymi „parami" zapakowali do więźniarek. Transport ruszył do Nowego Wiśnicza.

***

13 grudnia wczesnym rankiem wielu odbywało nocne wędrówki po mieście. Dotyczyło to szczególnie młodzieży, która naiwnie wierzyła, że na wieść o wprowadzeniu stanu wojennego, zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami władz „Solidarności", wybuchną strajki we wszystkich zakładach.

Andrzej Załuski: *Byłem w kilku zakładach przemysłowych w Krakowie, gdzie mnie znano jako współpracownika Zarządu Regionu. W Telpodzie przewodniczący Komisji Zakładowej Leszek Zieliński poprosił mnie nieoczekiwanie, abym coś powiedział do ludzi. I ja – uczeń III klasy szkoły średniej – przemawiałem do kilkusetosobowej załogi! Potem byłem jeszcze w MPK...*

Ta scena, gdy w grudniowa noc 19-latek podnosi na duchu dorosłych mężczyzn, związkowców, którzy 13 grudnia byli zupełnie zdezorientowani i nie wiedzieli, co robić, ma w sobie coś symbolicznego i dobrze obrazuje polityczną niedojrzałość większości związkowych działaczy.

***

Po 13 grudnia 1981 r. akcję strajkową podjęli pracownicy Państwowego Szpitala Klinicznego Akademii Medycznej w Krakowie. Stało się to m.in. za sprawą działacza KPN Ryszarda Bociana.

Bocian (relacja w Stan wojenny w Małopolsce. Relacje i dokumenty; ilekroć przytaczamy publikowane w postaci papierowej relacje Ryszarda Bociana, podajemy ich tytuł): *O stanie wojennym dowiedziałem się wcześnie rano 13 grudnia od naszej sąsiadki p. Lucyny. Była to osoba bardzo nam życzliwa, z represjonowanej rodziny (ojciec przesiedział kilka lat w stalinowskim więzieniu), na której pomoc mogłem liczyć w sprawach „konspiry". Przez lata u niej przechowywałem papier czy bibułę. Obudziła nas w nowej rzeczywistości, wpadając z okrzykiem „Panie Ryśku, wojna!". Włączyłem radio, które właśnie transmitowało przemówienie Jaruzelskiego. Zapakowałem szybko plecak, zabierając niezbędne rzeczy, i opuściłem mieszkanie. Do Akademii Medycznej szedłem pieszo, bo komunikacja nie działała. Szedłem szybko przez puste ulice, od czasu do czasu zrywając plakat z obwieszczeniem o stanie wojennym. Pamiętam, że zanim doszedłem do mojego miejsca pracy, zdołałem się skontaktować z Basią Billik i Michałem Żakiem. Dotarłem do AM wcześnie rano. Pierwszą osobą, która tam była i zdążyła oblecieć wszystkie puste zakłady, była Halinka Swałtek. Niebawem ludzie zaczęli się zjeżdżać. Pod nieobecność naszego przewodniczącego „Solidarności", dra Janusza Kutyby, szefostwo związku (na kilka godzin, jak się okazało)*

przejął wyznaczony wcześniej dr Stefan Skawiński z tzw. alternatywnego składu Komisji Zakładowej. Wraz z nim pojechaliśmy do profesora Konturka, za którego zgodą zabraliśmy z jego zakładu powielacz. Z tym powielaczem przyjechaliśmy na „czerwoną chirurgię", gdzie go ukryliśmy w schowku sprzątaczki. Załadowaliśmy również cały samochód ryzami papieru z powielarni AM przy ul. Kopernika, które wydał nam jej kierownik (bardzo mi potem pomagał w podziemiu). Z tego papieru, który przejęła „Solidarność", nie udało mi się potem, niestety, wyrwać ani ryzy dla KPN. Po powrocie do AM zredagowaliśmy z Januszem Kutybą, który właśnie powrócił ze swojej „daczy" pod Nowym Sączem, rezolucję potępiającą stan wojenny, a następnie obwiesiliśmy nią szpitale i okoliczne ulice. Potem razem z chłopakami z NZS-u, m.in. Bogdanem Klichem, malowaliśmy hasła na murach w pobliżu szpitala: „Wrona skona", „Śmierć komunizmowi" itp. Z tego rozbiegania i pośpiechu pamiętam kałużę farby w sterylnym zakładzie pani profesor Jaszczowej, gdzie NZS urządził sobie bazę.

Kiedy koło południa dotarł do szpitala Janusz Kutyba, wraz z nim i sekretarzem Komisji Zakładowej „Solidarności" Tadeuszem Librowskim udaliśmy się w trójkę do dyrektor PSK p. Biczowej, aby powiadomić ją, że w szpitalu ogłoszono stan gotowości strajkowej i że przejmujemy władzę w szpitalu.

Janusz Kutyba: *Nasz komitet protestacyjny, czyli Ryszard Bocian, Tadeusz Librowski i ja, udał się w białych chałatach z biało-czerwonymi opaskami do dyrekcji na ul. Strzelecką. Przyjęła nas dyrektor szpitala i jednocześnie I sekretarz POP PZPR AM, dr Natalia Biczowa. Mimo, że mnie znała, przedstawiłem się jako przewodniczący komitetu protestacyjnego. Słuchała tego wyraźnie przerażona i nie bardzo wiedziała, co robić. Wezwałem ją więc do powstania i wtedy przeczytałem nasze oświadczenie o powołaniu komitetu, sprzeciwie wobec stanu wojennego, wezwaniu dyrekcji do podjęcia działań na rzecz jego odwołania oraz żądania, aby nas o wszystkim informować, gdyż komitet zamierza podjąć działalność zmierzającą do udzielenia pomocy medycznej ewentualnym ofiarom stanu wojennego. Już wtedy wiedzieliśmy o strajkach w zakładach pracy. Dr Biczowa wysłuchała tego w stanie szoku, nawoływała nas do spokoju, zaprzestania działalności i w końcu zemdlała. Reanimowałem ją wtedy, udzielając pierwszej pomocy. Jej współpracownicy, m.in. wicedyrektor Wojciech Pojker, szef szpitalnej komórki SB, który chodził wtedy z bronią, że nie wspomnę o sławetnym kierowniku administracji Burym, asystowali dyrektorce ukryci za szafami, podglądając, co się dzieje.*

Bocian (*Stan wojenny w Małopolsce. Relacje i dokumenty): Jeszcze w pierwszym dniu strajku przystąpiliśmy do wydawania pisemka „Wolna Gazeta Strajkowa". Zdążyliśmy wydać tylko dwa numery, które praktycznie sam napisałem. Niestety, musieliśmy zwrócić powielacz i kolejny numer już nie zdążył się ukazać. Drukował tę gazetkę Adam Szczawiński z „Solidarności" AM.*

Kutyba*: Faktycznie strajku jednak w szpitalu nie było, bo nie mogło być. Senat zawiesił zajęcia, a my nie wzywaliśmy do zaprzestania pracy. Szpital w całości był obwieszony flagami narodowymi i „Solidarności", nad wejściami widniały napisy informujące o akcji protestacyjnej przeciwko stanowi wojennemu.*

Podczas akcji porządku pilnowały wyznaczone przez nas straże. Jeden z dyżurujących przyprowadził spoconego, zdenerwowanego chłopaka z ogromnym plecakiem, który nalegał na spotkanie ze mną. Przedstawił się i szeptem powiedział: „Mam tu do przekazania dla Solidarności radiostację" i wyciągnął z plecaka skomplikowaną maszynerię. Rzeczywiście, była to radiostacja. Zastanawialiśmy się, jak ją wykorzystać, bo z jednej strony rzecz przydatna, a z drugiej „trefna". Postanowiliśmy przekazać ją strajkującej załodze Huty. Pod pozorem wezwania do chorego przewiózł ją nasz kierowca karetki. Przekazał także mój list do Mieczy-

sława Gila, którego znałem wcześniej i już wiedziałem, że stoi na czele strajku. Wkrótce z tej aparatury, jeszcze w czasie strajku kombinatu, nadano kilka audycji radia „Wolna Polska".

Naszą akcję protestacyjną zawiesiliśmy 17 grudnia, na wieść o pacyfikacji Huty, po bardzo dramatycznym posiedzeniu komitetu z udziałem ok. 20 osób. Doszło do takiego sporu między zwolennikami kontynuowania protestu a chcącymi go zakończyć, że kobiety płakały, co oddaje atmosferę tego zebrania. Dla mnie było jasne, że po upadku Huty nasz protest mógł wyglądać już tylko jak farsa. Wtedy na wniosek prof. Chłapa, zacnego i oddanego „Solidarności" lekarza, oraz dra Bogdana de Barbaro, przystąpiliśmy do działalności niejawnej.

Bocian i inni organizatorzy strajku w AM mieli dużo szczęścia. Spotkały ich represje za organizację akcji protestacyjnej, ale nie zostali za to skazani.

Bocian (S*tan wojenny w Małopolsce. Relacje i dokumenty): Za aktywność podczas grudniowego protestu zostałem po kilkunastu dniach wyrzucony z pracy. Formalnie otrzymałem „propozycję nie do odrzucenia" i musiałem sam złożyć wypowiedzenie z Instytutu Nauk Politycznych. Rektor Gryglewski umieścił mnie w bibliotece AM. Za zorganizowanie protestu w AM wytoczono nam później proces. Pierwsze rozprawy zaczęły się jeszcze zimą. Ponieważ w lecie 1982 zostałem wyrzucony z pracy także z Biblioteki AM, będąc nieuchwytny dla SB w pracy, mogłem przedłużać sprawę, nie zgłaszając się na wezwania. Na nasze szczęście nie był to tryb doraźny, więc ta zabawa mogła się przeciągać na kolejne miesiące.*

Składowi sędziowskiemu przewodniczył sędzia A. Wójcik. Wyrokiem z 22 października 1982 r. cała trójka organizatorów strajku w AM i PSK została uznana winnymi przestępstwa z art. 46 pkt 1 dekretu o stanie wojennym (kontynuowanie działalności związkowej), ale ponieważ sąd przyjął, że „dobrowolnie odstąpili oni od udziału w działalności związkowej i starali się nakłonić do tego pozostałych uczestników tej działalności", na mocy art. 46 pkt 7 dekretu odstąpił od wymierzenia im kary. Z meldunków SB wynika, że na kolejne rozprawy w tej sprawie przychodziło wiele osób (od 35 do 50), co z pewnością było formą nacisku psychicznego na sąd.

***

13 grudnia:

13.40 – ppłk Stawowy informuje, że dnia 14 grudnia 1981 o godz. 9.00 na granicy czeskiej w Bukowicach-Istebna nastąpi przejęcie 4 armatek wodnych z przeznaczeniem dla KW MO Kraków – 2, KW MO Częstochowa – 1 i KW MO Rzeszów – 1.

13.41 – płk Działowski otrzymuje telefon, że została ogłoszona godzina milicyjna.

16.45 – tow. Korzeniowski poinformował, że wszystkie redakcje krakowskie zostały rozwiązane z mocy prawa. Redaktorzy i pracownicy redakcji zostali urlopowani lub zwolnieni. Red. Regucki i Guzowski zostali upoważnieni do utworzenia nowego organu i zebranie nowego zespołu odbędzie się o godz. 18.00. W dniu 14 grudnia ukaże się nowa gazeta. Z W-wy nadejdzie „Trybuna Ludu".

18.30 – gen. dyw. Stachura przekazał następujące polecenia:

- *dokonać analizy osób internowanych, czy wśród nich nie znajdują się znani i liczący się literaci, naukowcy i twórcy. Ppłk Biel udziela informacji, że wśród zatrzymanych przez tut. KW MO nie ma takich osób;*
- *utrzymywać działaniami operacyjnymi i prewencyjnymi atmosferę strachu jaka występuje wśród społeczeństwa i tym samym paraliżować możliwość poczynań przeciwnika;*

– *należy dokonać szczegółowej analizy materiałów zakwestionowanych w Zarządzie Regionalnym i WKZ i podczas przeszukań, chodzi o wyselekcjonowanie takich dokumentów, które kompromitują Solidarność i wykazują, że dążyła ona do przejęcia władzy. Z chwilą uzyskania takich materiałów należy je pilnie przekazać do Biura Śledczego MSW, ppłk Biel z treścią tego zadania zapoznał mjr. Nogiecia i ppłk. Szafarskiego;*
– *Biuro Polityczne KC wydało dyrektywę o udziale wojska w rozwiązywaniu spraw konfliktowych. Nie chodzi tu o użycie dużej ilości wojska, lecz demonstracyjne podkreślenie, że udział oficera czy żołnierza wzywającego np. do zaniechania strajku lub innej formy protestu jest kontynuacją działań Wojskowego Komitetu Ocalenia Narodowego;*
– *działaniami represyjnymi i aresztowymi objąć także element spekulacyjny i byłych prominentów, by podkreślić zasadę, że prawo jest jednakowe dla wszystkich. Wykorzystywać takie fakty propagandowo;*
– *inspirować wykorzystanie radiowęzłów zakładowych dla podkreślenia skutków naruszeń prawa w okresie stanu wojennego. Ukazywać Solidarność od złej strony;*
– *pracownicy MO i SB bądź pracownicy, których żony (mężowie) należą do Solidarności, powinni się zdecydowanie wypowiedzieć i podjąć decyzje.*

18.40 – telefonował Prezydent Gajewicz i w rozmowie z ppłk. Bielem postulował, aby w związku ze stanem wojennym, nie zatrzymywać księży, którzy w godzinach milicyjnych spieszą z posługa religijną. Ppłk Biel przedstawił sprawę płk. M. Firgale, który wydał stosowne zalecenia.

19.15 – ppłk Biel przekonsultował z Z-cą Dyrektora Departamentu III płk. Kowalskim sprawę zatrzymania literata Juliana Kornhausera, kat 34. Płk Kowalski podzielił opinię, że osoby tej nie można zaliczyć do tej kategorii literatów, o którą chodziło gen. Stachurze.

19.40 – ppłk Biel poinformował gen. dyw. Stachurę, że wśród zatrzymanych jest literat Julian Kornhauser, gen. Stachura powiedział, że nie jest to znaczący twórca,
– *kpt. Filipek zreferował wyniki przeszukania kasy w ZR Małopolska (znaleziono 1000 dolarów),*
– *kpt. Więckowski – środowiska twórcze są zastraszone – uznają, że jest to przejęcie władzy przez wojsko,*
– *ppłk Biel – zaktywizować pracę dla poprawy rozpoznania wyprzedzającego, nawiązać kontakty z dyrekcjami zakładów dla potwierdzenia obecności, wypierać NSZZ z radiowęzłów – gdzie nie mają prawa występować,*
– *kpt. Hryniewicz – proponuje przeszukanie w drukarni PAN, gdzie są podobno karykatury tow. Breżniewa, proponuje ewent. internowanie prof. Łużnego (głosi treści antyradzieckie), w zależności od wyników rozmowy w dniu 14 grudnia,*
– *por. Wójcik – nastroje wśród internowanych w Wiśniczu są obojętne. Warunki pracy operacyjnej tam są trudne, ale można je tam podjąć.*

***

Oberc: *Gdy dowiedziałem się, że wojna, spakowałem całą bibułę, którą miałem w domu, i wywiozłem poza Kraków. Po drodze ostrzegłem Staszka Tatarę i Bogdana Długogórskiego.*

W. Słowik: *13 grudnia już o piątej rano wiedziałem, że jest stan wojenny, bo dowództwo wezwało mojego ojca* [ojciec Małgorzaty i Wojciecha Słowików był pułkownikiem

Wojska Polskiego, lekarzem, pracował w szpitalu wojskowym]. *Ubrałem się, wysłuchałem przemówienia Jaruzelskiego w telewizji i poszedłem pod siedzibę władz Regionu. Tam już wynosili papiery z budynku. Pobiegłem na strajk na AGH, ale już był spacyfikowany. Poszedłem do Marka Bika i Jurka Mohla, ale oni już byli na strajku w zajezdni MPK. Potem byłem w kontakcie z Markiem (Jurka internowali) i z Witkiem Tukałłą.*

Małgorzata Słowik: *Przed stanem wojennym brałam udział w strajku studenckim na Akademii Sztuk Pięknych. To trwało dosyć długo, chyba od pacyfikacji Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej przez ZOMO 2 grudnia 1981. Byłam wtedy na pierwszym roku studiów. Mimo że strajk był rotacyjny, prawie cały czas spędzałam na uczelni. Kierowałam jakąś sekcją w NZS-ie. 12 grudnia 1981 r. ogłoszono zakończenie strajku. Nazajutrz komitety strajkowe ze wszystkich uczelni miały się spotkać w Częstochowie. Miał także być Prymas i członkowie władz „Solidarności". Część z nas spała przy placu Matejki w ASP, a część poszła do domu, aby przygotować się do wyjazdu. Byliśmy umówieni o czwartej rano na dworcu. Ojciec rano miał mnie odwieźć, ale z powodu dużego mrozu nie zdołał zapalić auta. Zdecydowałam się pojechać tramwajem, ale tramwaje już nie jeździły. Poszłam pieszo. Na dworcu już było dziwne zamieszanie. Była tylko jedna osoba z naszej grupy, inni nie przyszli. Nie chcieli nam sprzedać biletów w kasie, a telefony nie działały. Poszliśmy więc na uczelnię. Tam się dowiedzieliśmy, że w nocy pod budynek ASP podjeżdżała milicja, ale nie weszli do środka. Potem przyjechał taksówką kolega i powiedział, że na Alejach, pod Zarządem Regionu widział samochody milicyjne i jakąś osobę wyprowadzaną z budynku w kajdankach. Ktoś powiedział: „Pewnie Ruscy weszli!". Dopiero o szóstej rano poszło w radiu przemówienie Jaruzelskiego, dowiedzieliśmy się, co się stało. Po pewnym czasie przyszli do budynku jacyś adiunkci i profesorowie i zdecydowali, że w budynku zostaną pracownicy, a studenci opuszczą gmach, bo nie ma sensu, aby tam pozostawać, skoro strajk się zakończył i na pewno zaraz przyjedzie milicja.*

Wobec zupełnego braku przygotowania „Solidarności" na rozwiązania siłowe ze strony władz, wśród działaczy opozycji panowała zupełna dezorientacja.

M. Słowik: *W poniedziałek, 14 grudnia spotkaliśmy się na ASP, aby zdecydować, co dalej robić. Były pomysły, aby wznowić strajk okupacyjny, na wzór niektórych zakładów pracy, które zdecydowały się na taką formę protestu (jak podawała Wolna Europa). Ostatecznie jednak do tego nie doszło. Potem spotkaliśmy się na UJ w gronie działaczy NZS i postanowiliśmy, że okupacja wyższych uczelni nie wchodzi w grę, ale studenci winni pomóc strajkującym zakładom pracy. Podzieliliśmy się na małe grupy i pojechaliśmy do tych zakładów, które strajkowały. Ja z drugim kolegą wybrałam zajezdnię MPK w Łagiewnikach, bo wiedziałam, że tam jest dużo członków KPN. Dali nam bardzo dużo bibuły (nie wiem, po co). Gdy przybyliśmy do zajezdni z tymi ulotkami w plecakach i weszliśmy dość głęboko na teren zakładu, to jakaś sprzątaczka nam powiedziała: „Uciekajcie! W nocy tu była pacyfikacja! Teren jest otoczony przez ZOMO! Jest pełno ubecji!". Nastrój był dość dramatyczny, bo ta kobieta opowiadała, że kogoś postrzelili i że ładowali ludzi brutalnie do samochodów.*

Dezorientację pogłębiał dodatkowo brak informacji. Zagraniczne rozgłośnie były odcięte od wiadomości. W takich warunkach głównym źródłem informacji były bezpośrednie spotkania ludzi, zwłaszcza przed i po mszach świętych.

M. Słowik: *Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Nie działały telefony. Ważną rolę odgrywały „siódemki" u Dominikanów, codzienne msze o godzinie 7 rano, gdzie przychodziło wiele osób i wymienialiśmy się informacjami.*

***

14 grudnia:

6.15 – *kpt. Kasprzyk: w Zakładach Sodowych, „Armatura", „Kabel", „Telpod", „Stomil", „Szadkowski", WSK ludzie przychodzą do pracy i podejmują pracę. W CBA – strajk okupacyjny. M. Gil podjął decyzję, aby ogłosić strajk okupacyjny w regionie. Wyrażane są opinie, że ludzie nie czują jeszcze stanu wojennego, bo nie spotkali się z restrykcjami. Nie odczuwa się ofensywnego i* [usunięte słowo] *działania patroli.*

9.00 – *Naftobudowa – NSZZ zorganizował spotkanie pracowników i prowadzi agitacje za strajkiem. Ppłk Biel – administracja winna rozwiązać zebranie, a z inicjatorami przeprowadzić rozmowy.*

9.25 – *ppłk Jurczak informuje płk. Działowskiego, że w „Montinie" Karpiński i Pilch (działacze Solidarności) nawołują do strajku. Płk Działowski wydaje stosowne polecenia ppłk. Szafarskiemu.*

9.50 – *kpt. Gazda melduje, że funkcjonariusz Wydziału III, który pod wpływem spazmowania żony oddał legitymację służbową, zwrócił się z prośbą o przyjęcie go do pracy. Płk Działowski polecił sporządzenie notatki w sprawie 5-ciu funkcjonariuszy, którzy w dniu 13 grudnia 1981 porzucili służbę wraz z wnioskiem Komendantowi Wojewódzkiemu MP w terminie bezzwłocznym.*

9.57 – *płk Działowski informuje Sztab MSW, że w Telosie przy ul. Lubelskiej w Krakowie są przygotowania do strajku, KFAP pracuje.(...)*

10.00 – *tow. Morawiec melduje się do pracy w Wydziale Śledczym. Płk Działowski wydaje polecenie mjr. Nogieciowi, aby go przyjął natychmiast.*

10.01 – *płk Furgała informuje, że w Telosie wejście do zakładu jest zabarykadowane. Przed zakładem zebrało się już około 600 osób. Płk Działowski wydaje stosowne polecenia mjr. Korzeniowskiemu.*

10.05 – *płk Działowski zapytuje ppłk. Kaima, dlaczego w stanie wojennym nie ma nikogo z kierownictwa Wydziału „B"* [obserwacja] *w dniach 13/14 grudnia 1981, a dwóch zastępców Komendanta Wojewódzkiego MO pracuje (mocny wytyk).*

12.40 – *płk Działowski otrzymuje informacje, że w CEBEA przy ul. Dzierżyńskiego w Krakowie rozpoczął się strajk okupacyjny.*

12.45 – *płk Działowski otrzymuje telefon, że w Rynku Głównym zbiera się 500-osobowa grupa głównie młodych ludzi (informacja wartownika z wieży mariackiej). Płk Działowski rozmawia z ppłk Jurczakiem, ppłk. Kaimem – polecenie delegować stosowne siły i środki.*

12.55 – *mjr Podolski melduje płk. Działowskiemu, że Armatura, Miraculum, Telpod, Zakłady Wiertnicze oraz wymienia jeszcze kilka innych – ich załogi przygotowują się i rozpoczynają strajkowanie.*

13.15 – *tow. Broniek z KK PZPR informuje płk. Działowskiego o przygotowywaniu strajku w Zakładach Szadkowskiego. Podaje nazwiska 5-ciu prowodyrów i stwierdza, że dyrektor Brzeziński nie panuje nad sytuacją,*

13.30 – *spotkanie płk. Działowskiego z konsulem Konsulatu Generalnego ZSRR tow. L. Tołoknowem.*

15.15 – *kpt. Kościelniak melduje, że pracownicy Wydziału zatrzymali 3 chłopców kolportujących ulotki. Do pomocy nie było ani na lekarstwo milicjanta. Dodał: „Coś niedobrze się dzieje".*

15.16 – *płk Działowski poprosił ppłk. Kuźnię i mjr. Preissa, aby natychmiast samochodem*

zrobili rajd po Krakowie i sprawdzili służbę realizowaną przez wystawione patrole.

15.30 – *kpt. Filipek informuje, że w Krakowskiej Fabryce Mebli załoga strajkuje (około 600 osób). Kierownictwo zakładu (m.in. Kotapka) nie panuje nad sytuacją.*

15.35 – *kpt. Kościelniak informuje, że dozorczyni posesji 57 przy ul. Mogilskiej zrywa obwieszczenia o stanie wojennym.*

***

Andrzej Izdebski (wspomnienia): *13 grudnia, po ogłoszeniu stanu wojennego poszedłem do lokalu Zarządu Regionu „Solidarności" w alei Krasińskiego. W przełączce i przy drzwiach była milicja, która odstawiła mnie z trzema innymi interesantami na ul. Siemiradzkiego, na komendę MO. Po paru godzinach pobytu w celi, wzięli mnie na przesłuchanie. Przy biurku siedział milicjant, bez dystynkcji, a więc oficer SB, a przy nim stał porucznik MO, który mnie zabrał sprzed lokalu „Solidarności". Rozmowa wyglądała następująco.*

Esbek zapytał: – „Po co pan tam przyszedł?".

Ja: – „Żeby dowiedzieć się, co mam robić" (...).

Porucznik MO: – „Czyli przyszedł pan po instrukcję działania?".

Ja: – „Można to tak określić".

[Niestety, brak kolejnej strony. Z dalszych notatek Andrzeja Izdebskiego wynika, że w areszcie milicyjnym na Siemiradzkiego spędził kilka godzin, po czym został zwolniony].

W nocy z 13 na 14 grudnia rozlepiliśmy z Żebrowskim po mieście ulotki z napisem „ZOMO - psy". Dostałem je od Wojtka Pęgiela.

***

Paweł Sabuda: *„Kto zrepecił radio?" – obudziło mnie 13 grudnia 1981 r. utyskiwanie babci, która nie mogła nastawić mszy świętej, transmitowanej w każdą niedzielę (w wyniku Porozumień Sierpniowych), o 9 rano z kościoła Świętego Krzyża w Warszawie. Leniwie zwlokłem się z łóżka i zacząłem kręcić regulatorem naszego „Grundiga". Cisza... Tylko Jaruzel coś gada, ale kto by go słuchał w niedzielę od rana. Co za gość! Zobaczmy na telewizję. „Beryl 102" nagrzewał się około minuty. Znowu Jaruzel. Dajmy mu głos... Co? Stan wojenny? Za oknem cisza. „Od trzech lat do kary śmierci" cedzi spiker. Za to, za śmo, za owo... Godzina milicyjna...*

Maciej Gawlikowski: *Obudziłem się rano. Nie ma „Teleranka" (to zabawna sytuacja, że już uczestniczyłem aktywnie w tych wydarzeniach politycznych, a równocześnie byłem jeszcze widzem „Teleranka"). Waldemar Kocoń śpiewał piosenkę „Gdy Polska da nam rozkaz", występował Jaruzelski. Całą zgromadzoną w domu bibułę (a miałem tego sporo) zapakowałem w worki foliowe i schowałem pod węglem w piwnicy. Spakowałem mały plecak i ruszyłem na piechotę pod Zarząd Regionu, na drugi koniec miasta. W swojej ciężkiej naiwności sądziłem, że tam będzie pół Krakowa! Szedłem przez zaśnieżone, puste zupełnie ulice. Tramwaje i autobusy nie jeździły. Co jakiś czas przemykał samochód wojskowy lub milicyjny. Nie widziałem tych tłumów ciągnących pod Zarząd Regionu. Dotarłem tam i zobaczyłem ze dwudziestu milicjantów w pełnym rynsztunku, nerwowo poruszających się, jakby w lekkim amoku, gromadkę dziwnych cywili – od razu widać, że ubeków, oraz kilka płaczących i histeryzujących kobiet, które mówiły, że aresztowano ich bliskich. Zobaczyłem rozwalone drzwi do budynku, przez które tajniacy wynosili jakieś papierzyska. Poplątałem się tam chwilę, ale zaczynało być niebezpiecznie, bo jakiś milicjant podszedł do mnie i zapytał: „Czego tu szukasz?". Wycofałem się na bezpieczną odległość. Zobaczyłem, że nic, kompletnie nic się tam nie wydarzy. Nie ma tłumów… Myślałem, że będzie rewolu-*

cja, powstanie. Wróciłem do domu rozgoryczony. Wolną Europę mieliśmy cały czas nastawioną na nasłuchu, ale nie mieli żadnych konkretnych wiadomości.

Jerzy Dobrowolski: *13 grudnia 1981 wybrałem się wieczorem do miasta. Chciałem zobaczyć, jak wygląda ten stan wojenny. Dotarłem do zajezdni MPK przy ul. Brożka w Łagiewnikach. Wziąłem stamtąd ulotki o trwającym strajku i zaniosłem je na UJ – gdzie kręciło się mnóstwo ludzi, jak gdyby tam również trwał strajk. To chyba moja pierwsza czynna akcja przeciw komunie. Namalowałem znak Polski Walczącej na metalowym szyldzie PZPR obok wejścia do komitetu wojewódzkiego przy ul. św. Tomasza. Pamiętam też, jak z Maćkiem Gawlikowskim zamalowaliśmy jakieś komunistyczne hasła przy rondzie Mogilskim.*

Gawlikowski: *Wygrzebałem w domu jakiś stary lakier i w nocy z 14 na 15 grudnia namalowałem napisy przy ulicy Dekerta, w pobliżu której mieszkałem. Jeden – „Solidarność żyje" – zaraz zamalowali, a drugi, pod wiaduktem, gdzie mało kto chodził – „Precz z juntą!" – przetrwał całą komunę.*

Krzysztof Fortuna: *Wszystko zaczęło się już 14 grudnia, kiedy spotkaliśmy się z Grześkiem Hajdarowiczem i Jackiem Torbiczem i zastanawialiśmy się, co robić? Znaliśmy się wszyscy ze Szkoły Podstawowej nr 34. Mieliśmy wtedy po 16 lat.*

Grzegorz Hajdarowicz: *Postanowiliśmy drukować ulotki, malować napisy na murach, chodzić na demonstracje.*

Jacek Torbicz: *Chcieliśmy coś robić i zaczęliśmy szukać jakichś kontaktów. 16 grudnia 1981, wczesnym popołudniem, poszliśmy w kilku pod Hutę Lenina i widzieliśmy, jak kombinat był otoczony dość szczelnym kordonem ZOMO i wojska. Stały transportery opancerzone. Było dużo gapiów i rodzin strajkujących, jakieś kilkadziesiąt metrów od kordonu. Kobiety coś krzyczały w stronę milicji i wojska. Był trzaskający mróz. Taki nierzeczywisty nastrój. Zomowcy ostro nas pogonili. Pobiegli w naszym kierunku i wszyscy zaczęliśmy uciekać po jakichś polach. Wywróciłem się i dość mocno potłukłem.*

Jan Godłowski: *Na naszym osiedlu Oficerskim, koło Mogilskiej, był kwartał bloków wojskowych. Postanowiłem roznieść tam ulotki. W domu zawsze było pełno „bibuły", więc nie było o ulotki trudno – przygotowałem zestaw, w którym była odezwa do wojskowych – jakaś bardzo patriotyczna i podniosła. Było to już na pewno po „Wujku" a przed Bożym Narodzeniem. Miałem w tych blokach trochę znajomych, bo chodzili ze mną do tej samej podstawówki – bałem się rozpoznania, ba, w ogóle to bardzo się bałem. Wtedy dla nas to była wojna – jeszcze nie wiadomo było, jak to się wszystko potoczy, ale na pewno krew dalej będzie się lała. W domu zorientowali się, że coś kombinuję i wzięli mnie na spytki. Nie miałem zwyczaju rodziców okłamywać, a poza tym przecież nie miałem się czego wstydzić. Wykazali pełne zrozumienie, ale stwierdzili, że muszę iść z obstawą, tzn. tata zostanie jako czujka na zewnątrz, a ja będę roznosił ulotki po klatkach. Tak też zrobiliśmy. W którejś z kolei już klatce nakrył mnie jakiś gość i chciał capnąć, ale wybiegłem przed budynek, a tam z cienia wyszedł mój ojciec i facet wycofał się, odgrażając. No, to był mój pierwszy raz – naprawdę się bałem.*

***

Gawlikowski: W *drugim dniu wojny kombinowałem co robić. Szukałem kontaktu z osobami, które znałem z Zarządu Regionu, kręciłem się po mieście i fotografowałem obwieszczenia o stanie wojennym wywieszone na płotach. Poszedłem ponownie pod budynek Zarządu Regionu. W tym budynku były chyba 4 piętra, „Solidarność" zajmowała dwa z nich, a wyżej były jakieś inne firmy. Wszedłem, ktoś mnie pytał: „A ty dokąd?". Wymie-*

niłem nazwę jakiejś firmy, która znajdowała się na tabliczce na dole. Wpuścili mnie. Wszedłem do środka. Piętra zajmowane przez „Solidarność" miały korytarze zagrodzone tylko krzesłami. Pokonałem przeszkodę. Zobaczyłem, że pokoje są splądrowane, wszystko z szaf powywalane na podłogę, każde drzwi wyłamane albo z rozbitymi przeszkleniami. Wtedy wpadłem na pomysł, że trzeba się tu dostać i uratować chociaż część rzeczy, które tam są i których jeszcze nie zdążyli wynieść. Namówiłem na to Rafała Pogodę, mojego kolegę ze szkoły podstawowej (o rok wcześniej poszedłem do szkoły podstawowej, więc od września 1981 r. byłem już uczniem liceum – I LO w Krakowie, jednak w grudniu tego roku jeszcze za bardzo nie znałem tam ludzi).

15 grudnia 1981 r. wzięliśmy po plecaku, lepszy niż moja „Smiena" aparat „Yashica" ojca kolegi i poszliśmy tam. Udało nam się wejść do budynku i skierowaliśmy się do pokoi Sekcji Dokumentacji, w której najlepiej się orientowałem i znałem układ pomieszczeń. Wskoczyliśmy tam i ładowaliśmy, co się da – jakieś książki, wydawnictwa itp. Zrobiliśmy parę zdjęć tych zdemolowanych pokoi. Przeszliśmy na drugą stronę korytarza, do pokoju, w którym zauważyliśmy stosy plakatów. To chyba była Sekcja Interwencji. Nagle usłyszeliśmy, że na korytarzu zaczął się ruch. Chcieliśmy wyjść, ale mieliśmy odciętą drogę ucieczki. Tam były przeszklone drzwi, zamknięte, ale z wybitą szybą. Usłyszeliśmy jakiegoś człowieka, który rozłożył się po drugiej stronie, postawił torbę i wyjął narzędzia. Okazało się wkrótce, że był to ślusarz, który zakładał nowe zamki. Byliśmy przyklejeni do ściany koło tych drzwi i zobaczyliśmy, jak wsunęła się ręka tego robotnika i zaczął odkręcać zamek. W tym samym momencie usłyszeliśmy kroki. Ktoś podszedł i mówi do ślusarza: „A wy, co tu robicie?". A ten odpowiada, że ktoś tam (tu wymienił imię i nazwisko) kazał naprawiać drzwi. Pierwszy powiedział: „Dobra, ale szybko!". Ewidentnie jakiś ubek albo milicjant, bo mówił władczym tonem. Ślusarz rozmawiając z tym ubekiem, wsunął głowę do środka, zobaczył nas, zdrętwiał, zrobiły mu się wielkie oczy, otworzył usta… A ja z błagalnym spojrzeniem przyłożyłem palec do moich ust, pokazując mu, aby był cicho. Facet się nie odezwał, potem zaczął dziwnie wolno mówić, schował głowę i dalej rozmawiał z tamtym. Jak tylko ubek poszedł, to dopadliśmy do drzwi i na korytarz. Powiedziałem do ślusarza: „Dziękuję panu bardzo!". Uśmiechnął się i odpowiedział: „Ech, studenty, kurwa, studenty... Znikajcie, ale jakby co, to nie było was tutaj!". Na miękkich nogach uciekliśmy.

Niestety, zdjęcia stamtąd przepadły.

Gawlikowski: *W styczniu 1982 nawiązałem kontakt z Waldkiem Czyżem, który uniknął internowania i ukrywał się. Przekazałem mu książki i broszury wyniesione z Zarządu Regionu. Dał mi namiary na znanego fotografika Staszka Markowskiego. Spotykaliśmy się w siedzibie Związku Fotografików przy ul. św. Anny. Dałem mu nasze filmy do wywołania, ale gdzieś później mu zginęły. Szkoda, bo to byłaby cenna pamiątka.*

Miałem wtedy pomysł, aby pójść jeszcze raz do Zarządu Regionu, przez dachy, ale – Bogu dzięki – kolega Rafał po tym doświadczeniu odmówił jakichkolwiek akcji ze mną. Miał dość. I całe szczęście, bo gdyby nas tam złapali, to podejrzewam, że cało byśmy nie wyszli.

Taka była atmosfera tamtych dni – dziwny nastrój, będący pomieszaniem rozpaczy, przerażenia, zaskoczenia i jakiejś niejasnej zapowiedzi oporu. Zapowiedzi, która jednak w grudniu 1981 r. nie materializowała się.

Sabuda: *Kolejne dni mijały w domu. Non stop szła Wolna Europa. Z informacji uzyskanych od ludzi, którzy przyjechali z Wiednia pociągiem, wiadomo, że na Śląsku słychać strzelaninę. Potwierdza TV. W kopalni Wujek była walka. Są zabici. To początek czy koniec? Ktoś z rodziny, przy bożonarodzeniowym spotkaniu rozszyfrował nazwę junty: WRON-a.*

Mama przyniosła z pracy bloczek na 5 litrów benzyny. Lekarze muszą jakoś dojechać do pracy. Do nowego roku szkoła zamknięta. Czy internowali kogoś z nauczycieli? Gdzie iść i co robić? Trzeba działać.

Jan Godłowski: *13 grudnia na mszę poszliśmy dopiero na 18 do Jezuitów przy Kopernika. Wracałem z mamą z kościoła, spotkaliśmy Janusza Kamockiego – zaprzyjaźnionego z nami etnografa (był w czasie wojny i po niej w leśnych oddziałach w Górach Świętokrzyskich). Stanął prawie na baczność, popatrzył mi prosto w twarz i powiedział: „Wiadomo, gdzie się na wiosnę spotykamy!". Tak! Wtedy to było oczywiste – partyzantka! No, nawet zastanawiałem się, dlaczego trzeba czekać do wiosny, przecież na pewno zacznie się coś dziać już wcześniej. W następnym tygodniu z kuchni dobiegła mnie rozmowa mojego starszego brata – Włodka (był w komisji uczelnianej NZS-u na UJ) z rodzicami. Wynikało z niej, że on z kolegami umawiają się na jakiś punkt zborny na Starych Wierchach. Jakoś było to dla mnie zupełnie zrozumiałe, że w lesie, w górach i to w Gorcach. Też postanowiłem, że jeżeli Włodek zniknie z domu, tzn. pójdzie, to ja się samodzielnie dołączę. Nieźle te tereny znałem, a jako uczeń od Pijarów i chłopak lubiący awantury, trochę z góry patrzyłem na studencików z NZS-u. Okazało się jednak, że nic – nie było oddziałów leśnych ani nawet partyzantki miejskiej. Koniecznie chciałem coś robić! Miałem wtedy 17 lat i koniecznie musiałem włączyć się do jakiejś walki.*

***

15 grudnia:

– *mjr Kostecki melduje, że w „Telpodzie" przy ul. Lipowej odprawiana jest msza. Na zewnątrz zakładu zebrało się około 200 kobiet, głównie żon pracowników zakładu, (...)*

13.10 – mjr Wadowski melduje, że na wspólnej stołówce „Energoprzemu" i Elektrociepłowni w Łęgu tworzy się komitet strajkowy, którego organizatorami są inż. Kumorek (przewodniczący Solidarności z Energoprzemu), z-ca ds. technicznych Sobczyk oraz kobieta o imieniu Stasia (informacja pochodzi od palacza c.o.),

13.20 – tow. Broniek informuje, że Janusz Dzido (przewodniczący Solidarności Węzła Kolejowego Kraków-Płaszów) aktywnie działa i warto byłoby go zatrzymać. Ppłk Lipień sprawę konsultuje z mjr. Korzeniowskim, który oświadcza, iż Janusz Dzida od 3 dni siedzi,

13.50 – kpt. Filipek potwierdza przygotowanie do strajku w stołówce „Energoprzemu",

13.55 – tow. Broniek informuje, że w KFAP do strajku nawołuje ob. Jan Kapałka, w Polmozbycie – ob. Smagowicz. Sprawę zlecono do wyjaśnienia ppłk. Szafarskiemu,

14.10 – plut. Huzar ze sztabu KW MO melduje, że w budynku głównym AGH około 30 osób zgromadziło się w pomieszczeniach na II piętrze i osoby te przygotowują środki chemiczne żrąco-parzące, które zamierzają użyć przeciwko funkcjonariuszom MO i SB w przypadku ich interwencji,

16.45 – gen. Paździor informuje, że strajk w WSK i „Telpodzie" jest zażegnany. Prosi, aby nikogo na razie nie aresztować, gdyż to zapewniono strajkującym na spotkaniu.

***

Włodzimierz Olszewski (wówczas żołnierz zawodowy): *Zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego (chyba 15 grudnia) przyszli do mnie (do wydziału technicznego, gdzie pracowałem jako starszy inżynier) żołnierze z WSW i mnie wzięli. Zaprowadzili mnie do płk.*

Ziółkowskiego (to był szef WSW dywizji). A ten zapytał mnie krótko: „Co tam w KPN-ie?". Oczywiście, zaprzeczyłem, że należę do Konfederacji. Przesłuchiwał mnie ze 4 godziny. Powiedział mi: „Kapitanie! Jest stan wojenny! Za zdradę grozi kara śmierci!". Zapytałem: „Za co? Za poglądy?". Okazało się, że nie tylko mieli moje zdjęcie z 11 listopada 1981 r. (o tym zdjęciu powiedział mi Andrzej Blacha), ale także przechwycili jakiś mój list do mjr. Herzoga (a Herzoga chyba też uważali za członka czy sympatyka KPN). W końcu Ziółkowski skierował moją sprawę do prokuratora. Puścili mnie do domu, tylko zrobili rewizję.

Następnego dnia przyszedłem do pracy. Ale gen. Marian Zdrzałka (dowódca dywizji) nie chciał mieć tego typu sprawy karnej w swojej dywizji. Powiedzieli mi tak: „Zdrzałka daje ci szansę. Nie idziesz siedzieć. Kładziesz się do szpitala. Nie zostaniesz zdegradowany. To, co wysłużyłeś, będzie ci się liczyć do emerytury". I ja na to się zgodziłem.

Na oddziale 9. (psychiatrycznym) szpitala przy Wrocławskiej było nas chyba z 50 osób w takiej sytuacji. Byli to ludzie, którzy tam trafili za niewykonanie rozkazu po ogłoszeniu stanu wojennego, którzy później musieli wojsko opuścić. Przywieźli np. lotnika z Nowego Miasta nad Pilicą. Waldek Gajek się nazywał. Latał na limkach (samolotach szkolnych). Jak ogłosili stan wojenny, powiedział, że wsiądzie do samolotu i „przypierdoli we WRON". Potem poznałem go bliżej, to był wybitny szachista. W całej Polsce tych ludzi musiało być trochę więcej niż tylko tych 50 w Krakowie, ale nie było ich dużo. Myślę, że to był odgórny rozkaz, aby nie robić procesów karnych, tylko kierować do szpitala, a potem szybko zwalniać ze służby. Niewiele było natomiast takich sytuacji, jak przypadek Staszka Dronicza, który napisał wtedy raport o zwolnieniu do cywila i go natychmiast zwolnili. Trudno się było wtedy zwolnić z wojska. W szpitalu trzymali nas ze dwa miesiące.

Jeszcze w latach 80. abp Tokarczuk powiedział w Częstochowie o tych nielicznych żołnierzach, którzy 13 grudnia 1981 r. odmówili wykonania rozkazu i „uratowali honor polskiego żołnierza". Dziś nikt o nich nie pamięta...

Potem na ten sam oddział przywieźli na kilka dni Bzdyla. Leżał sam na sali, a w drzwiach stało dwóch rosłych żołnierzy z WSW. Jemu czapa groziła za zorganizowanie strajku w zakładzie zmilitaryzowanym. Szybko go od nas zabrali.

16 grudnia Andrzej Blacha odmówił wykonania rozkazu, który dotyczył przygotowania samochodów dla ZOMO. Te auta miały jechać na Śląsk (tego dnia była pacyfikacja „Wujka"). Rozkaz wydał mu chyba mjr Bronisław Kwiatkowski, który wtedy był szefem sztabu 16. batalionu (stacjonującego przy Wrocławskiej). A Blacha był tam szefem służby samochodowej. Potem jednak ten rozkaz wykonał. Po kilku miesiącach zrobili mu sąd dyscyplinarny w jednostce, wyrzucili z wojska bez uprawnień i zdegradowali. To trwało dość długo – do lata 1982 r. Prowadziłem z nim rozmowy ideowe i liczyłem, że go wciągnę do KPN. Andrzej Blacha to był wielki patriota.

Uwaga Włodzimierza Olszewskiego o zapomnieniu tych żołnierzy, którzy po 13 grudnia odmówili wykonania rozkazu, zwraca uwagę na szerszy problem. Władze stanu wojennego umiejętnie zrobiły z tych ludzi „wariatów" (gdyby zrobiono im procesy karne, byliby bohaterami). Nieliczni jedynie zostali z wojska usunięci karnie i zdegradowani (z opisanych w tej książce: Wiesław Grudniewicz i Andrzej Blacha). Akurat oni wrócili do armii po 1989 r. Wrócił też do wojska wspomniany wyżej Stanisław Dronicz. A więc w pewnym sensie krzywdy naprawiono. Czy to zamyka sprawę?

Olszewski: *Jak ja tych ludzi z wojska, tych politruków zobaczyłem w Krypcie Marszałka Piłsudskiego w 1989 r., gdy przyszli służbowo, z kwiatami, to mi się rzygać chciało. Pisałem potem do Wałęsy, do MON, ale przecież wiadomo, w jakiej rzeczywistości żyjemy! To był groch o ścianę!*

Jak oceniać postawę tych żołnierzy, którzy 13 grudnia posłusznie rozkazy wykonali? Kim byli: narzędziem krwawego reżimu, zniewalającego Polskę, czy wzorowymi żołnierzami, którzy wykonywali posłusznie trudne rozkazy i w ten czas próby udowodnili swą lojalność wobec zwierzchników?

Problem w tym, że dziś takich pytań stawiać nie należy. A odpowiedź została już udzielona. Wspomniany wyżej mjr Bronisław Kwiatkowski w 1989 r. był już szefem sztabu 6. Brygady Desantowo-Szturmowej im. gen. bryg. Stanisława Sosabowskiego. Jego kariera nabrała przyspieszenia po 1989 r. Był na wzgórzach Golan, w Iraku, ściśle współpracował z NATO. W 2007 r. prezydent Lech Kaczyński awansował go na stopień generała broni (był jednym z nielicznych trzygwiazdkowych generałów w polskiej armii). Potem objął stanowisko dowódcy operacyjnego Sił Zbrojnych. Zginął 10 kwietnia 2010 r. w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem.

***

W grudniową noc, 13 grudnia 1981 r., funkcjonariusze aparatu władzy byli nie mniej przerażeni od działaczy związkowych i zwykłych ludzi. Potwierdzają to: relacja Aleksandra Mleczki – w tym czasie porucznika SB, a później zastępcy szefa Wydziału V (ochrona gospodarki) w krakowskiej bezpiece, oraz wspomnienia Jana Brońka – sekretarza ds. organizacyjnych Komitetu Krakowskiego PZPR. Zakres odpowiedzialności Brońka obejmował: prace instancji wojewódzkiej i niższego szczebla, kadry partyjne, funkcjonowanie administracji, rady narodowe, bezpieczeństwo, sprawy wyznaniowe, problematyka młodzieży, informacja partyjna, służba zdrowia, wymiar sprawiedliwości, media; w stanie wojennym przewodniczył Wojewódzkiemu Społecznemu Komitetowi ORMO. Broniek był więc w krakowskiej PZPR osobą odpowiedzialną za nadzór nad SB, stąd w cytowanym dokumencie SB dotyczącym wydarzeń w Krakowie w grudniu 1981 r. jego nazwisko pojawia się kilkakrotnie.

Mleczko: *Fragment poniżej, z dni wprowadzenia stanu wojennego to część oryginalnego listu* [do moich dzieci], *więc zachowuję oryginalną z niego pisownię i formy zwracania się do czytającego. Jest trochę emocjonalny, ale chyba to nic dziwnego w takim temacie.*

Początek – 12 grudnia 1981. Każdy mówiąc o tej wojnie, albo przekonuje słuchaczy, że była to wojna polsko-jaruzelska, albo wręcz przeciwnie, że była to obrona przez Jaruzelskiego polskiej państwowości.

A tymczasem nic nie było czarno-białe. Albo inaczej, nic nie było wtedy czarno-białe, teraz już tak. Historia przesądziła i nie ma co dyskutować.

Muszę was jednak rozczarować, to nie była junta wojskowo-ubecka przeciwko narodowi, ale część narodu i to wcale niespecjalnie prosowiecka, a także wcale nie mniejszościowa przeciwko drugiej części. (...)

Stoję w kolejce w aptece, dochodzi czwarta, kiedy słyszę do ucha szept „osiem, osiem, osiem".

— Rany boskie, zwariowali czy co? Przecież ja mam urlop – wyduszam z siebie, odwracając się w kierunku szeptacza (mój ówczesny przełożony). — Mam chore dzieci.

— Nie pierdol, mamy „gamę". Nie przyjdziesz — jesteś zdrajca.

Muszę wam wyjaśnić. Były trzy stopnie alarmu opatrzone kryptonimami, aby przy przekazie np. telefonicznym nie zdekonspirować działań. Było „666", tj. „alfa"; „777", tj. „beta", no i oczywiście „888", czyli „gamma" [Z dokumentów SB wynika, że alarm „gamma" oznaczony był cyframi 777, a nie 888]. *Pierwszy dotyczył kierownictwa, sprawdzian mobilności od kierownika sekcji w górę. Drugi alarm ogólny, sprawdzenie gotowości*

do działania. Trzeci za moich czasów ogłoszony tylko wtedy, zobowiązywał do wzięcia ze sobą zmiany bielizny, prowiantu lub pieniędzy na jeden dzień, środków higieny i coś tam jeszcze.

— No, co ty? — jeszcze próbowałem. Kilka minut temu miałem urlop i perspektywę odespania ostatnich miesięcy.

— To nie są ćwiczenia.

— Jak to nie ćwiczenia, to niby co, wojna ? — nie bardzo miałem już do kogo mówić.

Wykupiłem lekarstwa, zaniosłem do domu i zostawiłem was, na jak się okazało trzy dni.

Jan Broniek: *12 grudnia, cały dzień, mocno przeziębiony, spędziłem w łóżku. Słuchałem obszernych relacji z Kongresu Kultury Polskiej i ze zjazdu „Solidarności" w Oliwie. Wystąpienia brzmiały groźnie, radykalnie i bezkompromisowo. Wolna Europa atakowała władze państwowe i partię. Wydawało się, że pędzimy w przepaść. Wieczorem zadzwonił Jan Żabicki, późniejszy pełnomocnik KC ds. prasy na Kraków, i powiedział, że ma jeszcze dzisiaj, na kilka dni przyjechać do Krakowa. Poradziłem, że przecież jutro jest niedziela, więc żeby przyjechał w niedzielę wieczorem. Umówiliśmy się w KK* [Komitecie Krakowskim PZPR]. *Źle mu poradziłem. W niedzielę rano, gdy się dowiedział o stanie wojennym, autostopem dotarł do Krakowa po południu.*

Mleczko: *Przyjechałem na Mogilską. Cóż było robić w sobotę, w czasie alarmu, kiedy nikt nic od nas nie chciał. Po prostu graliśmy w karty.*

Tak zeszło kilka godzin, chyba do 22 lub 23, a może nawet później.

Potem telefony i wszyscy schodzimy do sali konferencyjnej. Siadamy, trochę nerwowo śmiejemy się. Wchodzą. Całe kierownictwo urzędu siada przy stole prezydialnym, patrzą na zegarek, odpieczętowują koperty. Uchwała Rady Państwa, coś dalej mówią… Stan wojenny na całym terytorium Polski!

Ożesz ty! Milczenie na sali, kilka mobilizujących słów, nagle wstaje Marek P. i mówi:

— Ja się nie zgadzam, nie będę, odmawiam!

— No tak, nowo przyjęty pękł – zaczyna działać solidarność grupowa.

Nawiasem mówiąc, w odróżnieniu od innych, których jedyną zasługą było gadanie, ten – jak teraz mówię – odważny facet, nie zrobił specjalnej kariery, przenieśli go do milicji, potem policji, ale mimo takiego aktu odwagi, po ćwierćwieczu jest chyba raptem naczelnikiem czy zastępcą naczelnika dochodzeniówki na dzielnicy. Może działa na innych, ambitniejszych jak wyrzut sumienia?

Już akceptujemy dosyć niepewnie wygłoszone przez komendanta słowa o areszcie domowym, o wstydzie, nie pamiętam, co… Potem jeszcze informacja o „zakazie pisania pamiętników" i: „Rozejść się do wydziałów!".

Potem nagły ruch, ogłaszają grafik wydawania mundurów moro, sprawdzenie broni, wymiana amunicji i terminy odpraw. Nagle robi się gęsto w kiblach, wszędzie śmierdzi, zaczynają się żołądkowe zaburzenia. Jak zawsze pomagają niezbyt dowcipne, ale bardzo wulgarne kawały, nonszalanckie zapowiedzi, że my to ho, ho!

Wzywają mnie. Przydzielane są obiekty. Początek standardowy. Wywiad robi swoje, tzn. cholera wie co. Kontrwywiad zajmuje obiekty telekomunikacji i transportu, głównie centrale telefoniczne, nadajnik radiowy i telewizyjny, nastawnie kolejowe. Trójki mają swoje problemy z opozycją, koncentrują się na internowaniu. IV (kler) ciekawe, co oni mogą robić w stanie wojennym, ale w sumie szczęście, że jak mnie sprawdzali kilka lat wcześniej, uznali, że mój światopogląd nie jest zbyt fundamentalistyczny. No i my, ochrona gospodarki – a przecież jutro wszystkie zakłady staną.

No i cóż trafi się szefowi analityków, to jest mnie – cholera, ale niefart, idę do Zarządu Regionu Małopolska. I tak dobrze, że nie wylosowałem grup internujących czy Kombinatu Huty Lenina.

Naczelnik zostaje, też mu się trafiło przed emeryturą – znowu wojna. Jeden zastępca szuka szefa regionu, drugi zdobywa hutę, kierownik sekcji energetycznej chyba wysłany do elektrociepłowni (w końcu zima, ciekawe jak skończyłby się tam strajk), inni odpowiednio, no to cóż mi zostało.

Naczelnik informuje: „Uważajcie, mogą mieć broń, spróbujcie zrobić to szybko, macie pluton ZOMO".

Ciarki na plecach, znowu śmierć po nich przeleciała. Pytanie, kiedy odbezpieczyć broń, jechać z taką, czy dopiero na miejscu, takie to bzdurne pytania, które akurat wtedy wydają się najważniejsze, i absolutnie nie mające odpowiedzi. No bo wsadzisz odbezpieczonego „czaka" (P-64, wyjątkowy szmelc) do kabury, podskoczysz i po jajkach, chociaż to i tak dobrze, bo maszynowe „raki" (PM-63), te to lubiły się same przeładowywać. Poznałem kiedyś klienta z plutonu specjalnego, który ćwicząc przewroty z rakiem w ręce, prawie sobie odstrzelił stopę.

No i wyjazd. Przyjeżdżamy przed siedzibę Regionu na Alejach Trzech Wieszczów. Po cichu do bramy, pukamy. Wychyla się portierka:

— Czego?

— Otwierać!

— Spadać ochlajmordy, tu nie knajpa, do domu.

— Otwieraj kobieto!

I walimy do drzwi pięściami, każde opóźnienie to może ta broń, która w nas celuje, wypali – ta broń, którą przecież „oni" mają, w końcu dostawali z Zachodu. Łokciem w szybę, ręka szuka w środku zasuwy.

— Ratunku! Milicja!

Echo się niesie po pustych Alejach.

— Cicho tam! – odpowiada z drugiej strony ulicy zaspany głos. – Tu ludzie śpią.

I nagle całe napięcie puszcza,

— Babciu, czego, jak czego, ale milicji tu dzisiaj nie brakuje, wpuszczaj nas, jesteśmy z milicji.

— No chyba, że tak.

Już jesteśmy w środku, na piętro drzwi od pokojów pozamykane.

— Dawajcie klucze!

— A co będziemy szukać kluczy – milicjant pokazuje – kopnąć na wysokości zamka i zasuwka wyskakuje!

Rzeczywiście, bardzo efektywna metoda.

Nie ma nikogo.

Nagle, pod jednymi drzwiami widać chybotliwe światło – na pewno palą papiery, pewnie skurwysyny palą te listy proskrypcyjne, miałem przecież przy dzwonku do drzwi zakreślony czerwony krzyżyk (dopiero po latach zacząłem się zastanawiać, kto go nakreślił, przecież chyba nie swoi?).

No wiec, co – jak mamusia uczyła – noga do góry, zgiąć w kolanie i wyprostować na wysokości zamka. Idealnie, drzwi odskoczyły i zatrzasnęły się z powrotem, brzdęk rozbijanego szkła i wiązanka przekleństw, z których najłagodniejsze chyba podawało w wątpliwość czyjeś pochodzenie. Delikatnie uchylamy drzwi i wot siurpryza, ten chybotliwy płomień to światło ulicznej latarni wpadające przez okno do pokoju, żeby było zabawniej, otwartego na oścież z boku.

W pokoju ludzie, którzy spokojnie weszli tymi bocznymi drzwiami wcześniej, a przede mną rozbita szyba.

Okazało się, że po kopnięciu zasuwa się urwała, wylatując przez okno zbiła szybę i wylądowała na głowie jakiegoś zomowca, który jeszcze nie skończył się kiwać – jak wojownik indiański przy ognisku – i nadal informował Kraków o swojej krzywdzie i nowym guzie na swojej głowie.

Nagle dzwoni portierka, żeby przyjść na dół. Schodzimy, a tam dwóch działaczy, przyjechali chyba z Nowego Sącza lub Tarnowa, z pełnymi plecakami bibuły. Tak pewni siebie, że przeszli przez kordon ZOMO, przez posterunek na bramie i żądają spotkania z dowódcą. Trochę dziwne jak na stan wojenny.

Żądają: „Natychmiast proszę opuścić siedzibę Regionu, bo jutro cały kraj stanie w naszej obronie". No, dla nich już się ten dzień skończył.

Melduję na stanowisko dowodzenia. Polecenie, zostawić grupę śledczą, która zabezpieczy dokumenty i majątek, niczego nie dotykać, wracać.

Broniek: *13 grudnia 1981 roku, około godziny 3 zapukał do mojego mieszkania pracownik KK (Marian Łyko – miał nocny dyżur), mówiąc, że mam się natychmiast zgłosić w KK. Po drodze zabraliśmy Franciszka Dąbrowskiego i Leonarda Żukiewicza. W komitecie był już Krystyn Dąbrowa i Władysław Kaczmarek (miał nocny dyżur). Po chwili pojawił się Józef Gajewicz, płk Ryszard Dmochowski (wojsko) i płk Adam Trzybiński (MO). Na posiedzeniu sekretariatu poinformowano nas o ogłoszeniu stanu wojennego (mamy wysłuchać przemówienia Wojciecha Jaruzelskiego o godzinie 6.00 rano). Adam Trzybiński powiedział, że zadania związane ze stanem wojennym w Krakowie są sprawnie realizowane już od godziny 23.00 dnia poprzedniego. Nie udało się jednak zatrzymać wszystkich przewidzianych do internowania działaczy Solidarności, bo nie było ich w domu, a niektórzy uciekli. Dodał, że jest to tylko kwestią czasu i wszyscy zostaną zatrzymani. Nie podał nazwisk zatrzymanych ani liczby. Nikt z nas: ani Dąbrowa, ani ja, czy też Kaczmarek, choć wchodziliśmy w skład Wojewódzkiego Komitetu Obrony (WKO), nie poznaliśmy pełnej listy internowanych. O konkretnych osobach dowiadywaliśmy się z nielegalnych druków albo wtedy, gdy nas proszono o interwencję w sprawie uwolnienia kogoś z internowania (najczęściej bezskutecznie).*

Po jakimś czasie pojawił się w gabinecie Krystyna Dąbrowy, w towarzystwie wyższych oficerów, gen. Leon Sulima. Oznajmił, że została powołana Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego, a on jest pełnomocnikiem Komitetu Obrony Kraju i komisarzem w Krakowie. Wydał prezydentowi miasta polecenie przygotowania dla siebie gabinetu, pomieszczeń biurowych dla oficerów, noclegów i wyżywienia. Zwołał posiedzenie WKO (chyba na godz. 9.00). Poprosił Dąbrowę o umożliwienie mu osobistego kontaktu z kardynałem Franciszkiem Macharskim. Telefony miejskie były wyłączone, telefon kurii zostawiono. Po krótkiej rozmowie kardynał zgodził się przyjąć generała. Niebawem doszło do rozmowy, a właściwie krótkiego spotkania. Później, po bliższym poznaniu się, Sulima powiedział mi, że Macharski przywitał go w drzwiach apartamentu, wysłuchał komunikatu o wprowadzeniu stanu wojennego i zapytał się, czy w tej operacji biorą udział Rosjanie. Po zapewnieniu, że nie, powiedział: „To dobrze!". Na tym skończyła się nocna wizyta generała w kurii (...).

Przemówienie Wojciecha Jaruzelskiego w TV o godz. 6.00 wyjaśniło wszystko, klamka zapadła. Na ulicę wyjechały czołgi. Partia nie była w stanie rozwiązać konfliktu społecznego metodami politycznymi i to ją dyskredytuje – tak myślało wielu ludzi i z aparatu politycznego, i spoza niego. Stanęliśmy więc przed ciężką próbą. Spodziewaliśmy się rozwiązania PZPR. W komitetach mieliśmy łączność „wcz" (wysokiej częstotliwości), bez możli-

wości podsłuchu – tak nam się wydawało, będącej w dyspozycji MSW (aparaty takie mieli sekretarze KK, prezydent miasta, dyrektor HiL i konsul ZSRR), telefony w gestii MO (w KK były 3 takie telefony, a po kilku dniach za pośrednictwem tej sieci sekretarzom KK włączono telefony w domu). Po przemówieniu Jaruzelskiego odbyła się telekonferencja. O sytuacji i zadaniach mówili: Kazimierz Barcikowski, Stefan Olszowski, Mirosław Milewski i Mieczysław Rakowski. Zanotowałem m.in.: „partia działać będzie w cieniu wojska", „zawieszamy działalność wszystkich redakcji, stowarzyszeń i klubów", „Wałęsa jest w Warszawie", „należy podporządkować się rygorom stanu wojennego, działać zgodnie z decyzjami komisarzy i postanowieniami instrukcji KC", „należy zorganizować pracę aparatu i instancji w myśl instrukcji", „uruchomić grupy aktywu partyjnego".

Mleczko: *Nowy dzień: to już ranek 13.12.81 Na polu biało, prószy śnieg.*

Zaczynają spływać informacje, no i przydaje się fakt, że kieruję sekcją analiz, bo z przyzwyczajenia otrzymuję więcej wiedzy niż inni. Spływają informacje, o kolejnych internowaniach, o zakładach, które podjęły strajki i o tych, które szybko je zakończyły.

To już 24 godziny na nogach, a potem widząc nasze czerwone z niewyspania oczy, poszły w świat informacje o narkotykach. Narkotyki – akurat! Jedyne, jakie miałem okazję spróbować, to jakieś próbki na zajęciach z kryminalistyki na studium podyplomowym – rzygałem jak kot, dalej niż widziałem.

Jest okazja pospać, materace na podłogę w gabinetach i pokotem, w ubraniu, bez mycia, tylko buty zdjąć i usiłować zasnąć w smrodzie skarpetek. Ale nawet ten smród wydaje się miły, kiedy czując pod powiekami piasek budzisz się, bez litości trącany nogą kolegi, który chętnie zajmie twoje miejsce.

— Czego?

— Pędź już, naczelnik cię woła.

— Co jest, szefie?

— Bierzesz dwóch ludzi, samochód i jedziecie szukać tych, co ich nie znaleźli. Tu jest lista, trzy adresy, łączność przez radio.

Ale pomysł! Szukać wczorajszego dnia! Przecież nikt rozsądny nie będzie siedział w domu, kiedy już cały kraj wie, że jest stan wojenny, zatrzymania, internowania itd. Kiedy tabuny zomowców przetoczyły się przez bloki, bo w tej całej tajemnicy planiści nie zsynchronizowali działań i nie zrobili jednolitej listy adresowej. Potem nie można się dziwić, że na klatce, gdzie np. mieszkały trzy osoby do internowania, ekipa idąc do jednej z nich, pytała drugiej, gdzie tamten mieszka i ostatecznie prawie się strzelała z drugą i trzecią ekipą, która tam przyjechała, jeszcze z tego jedni byli z wojska, inni z kryminalnej, jeszcze inni z bezpieki, a wszyscy po cywilu.

No i oczywiście nikogo żeśmy nie znaleźli, ale wycieczka nas trochę rozbudziła.

Broniek: *O godz. 9 uczestniczyłem w posiedzeniu WKO z udziałem komisarza KOK, gen. Leona Sulimy. Przewodniczył, jak zawsze, prezydent miasta Józef Gajewicz. Wysłuchaliśmy informacji i raportów o sytuacji. Niewiele można było powiedzieć poza tym, że wszyscy jeszcze przeżywają szok. Dotarła pierwsza informacja o strajkach okupacyjnych w kilku zakładach, w tym w HiL i zajezdni MPK. Organizowali je działacze Solidarności, którzy w różny sposób uniknęli internowania (np. Mieczysław Gil czy Władysław Hardek z HiL). Pojawiła się informacja o dołączeniu do strajków w hucie kilkuset studentów (dowiozły ich specjalne autobusy MPK). Wracając do komitetu, aby załatwić kilka ważnych spraw związanych z koniecznością powołania nowej gazety, w hallu KK spotkałem siedzącego marszałka sejmu Stanisława Gucwę. Był u rodziny w Brzesku i po drodze chciał rozmawiać z Dąbrową, lecz jego nie było. Marszałek był przybity i zdezorientowany.*

Mleczko: *Znowu na materace, jakiś kawał kiełbasy na gorąco, pajda chleba i kubek herbaty. Nie można zasnąć, adrenalina działa. Zaczynają się kawały i opowiadania z nocnych działań.*

Myślałem, że nasza historia z zasuwą na głowie zomowca zrobi furorę, ale wszystkich przebił opowiadacz historii internowania jednego z mocnych, lubiących kamienie i mutry działaczy. Jako że było to poza Krakowem, pojechała grupa ZOMO gazikiem z brezentową budą, a pogoda była piękna, mróz jak cholera, ślina w locie zamarzała. Na miejscu byli już koło drugiej w nocy, władowali się do izby, gdzie spali ojciec z synem.

— Zbierajcie się! Idziemy! – mówi dowódca grupy,

— Spierdalaj! – odpowiada synek, a ojciec dopowiada: – Wy nie wiecie, kim on jest, jutro cały kraj stanie,

— Ubierajcie się, jesteście internowani – jak automat kontynuuje dowódca.

— Nie będziemy się ubierać, nie zmusicie nas, bo to byłoby naruszenie naszych praw obywatelskich.

Dowódca był w typie robocopa i byle co go nie wzruszało, więc zagroził:

— Jeżeli się nie ubierzecie, weźmiemy was siłą i zawieziemy jak stoicie!

— Nie ubierzemy się!

Trudno, wzięli ich pod ręce i wrzucili do gazika. Kiedy po z górą godzinie dojechali do aresztu w Krakowie, ojciec z synem byli troszeczkę zmarznięci, ale dzielnie odmówili przyjęcia koca i gorącej herbaty, pozostając nadal w swoich nocnych strojach organizacyjnych składających się z kalesonów i podkoszulków.

Mieli pecha, bo transport do Nowego Sącza odjechał pół godziny wcześniej, więc znowu do gazika i w drogę. Konwój w zimowych mundurach mówił, że było sakramencko zimno, więc jak dojechali na miejsce, to konwojowanych musieli wyjmować z gazika i zanosić do pomieszczeń więzienia. Przyjęli koce, dali się napoić gorącą herbatą. Jako że opowiadał tę anegdotę człowiek o mimice Waldemara Pawlaka, więc nasz ryk śmiechu bardziej by pasował do śmieszniejszego opowiadania. Ale wtedy pewnie śmialibyśmy się, nawet gdyby ktoś pokiwał palcem w bucie.

Cóż może być bardziej śmiesznego, od skostniałych na mrozie ludzi w samej bieliźnie, którzy przemarzli do szpiku kości w milicyjnym gaziku? Starszy z nich, to żołnierz WiN, skazany w latach 40. na 11 lat więzienia, zaangażowany także w opozycję przedsierpniową. Jego ojca Sowieci zamordowali w Miednoje w 1940 r.

Esbek opowiadający tę historię, albo powtarzający ją Mleczko, nie opowiedzieli wszystkiego. Zabrakło sceny na przydrożnym cmentarzu, gdzie esbecy zatrzymali na chwilę samochód, wyrzucili ich na śnieg i mierzyli do nich z broni, mówiąc, że to cel podróży. A przecież starszy człowiek i jego syn musieli wtedy wyglądać bardzo śmiesznie dla oficera SB, bo byli w samych kalesonach...

Broniek: *W ciągu dnia zorganizowałem pracę pracowników politycznych KK, spotkałem się z I sekretarzami komitetów dzielnicowych, niektórych komitetów miejskich i komitetów gminnych. Jedynie chwilę spędziłem w domu. Rodzina moja była zestresowana, ale nie tylko ona, inne rodziny być może o wiele bardziej. Żona na drugi dzień nie poszła do pracy w zakładzie badawczym HiL, bo tam był już strajk okupacyjny. Kobiety zostały zwolnione z obowiązku brania w nim udziału (...).*

Zadzwonił Jan Król [późniejszy polityk UD i UW] *z PAX-u, że na ul. Gołębiej, w kawiarni „Kolorowa", pijany zomowiec zostawił w WC karabin kałasznikowa. Jan Król następnego dnia przyszedł do mnie i powiedział, że jego żona została zatrzymana przez SB, po rewizji w domu i zarekwirowaniu aktualnych materiałów propagandowych, które opra-

cowywała i kolportowała. Nie prosił o pomoc w jej uwolnieniu. Chyba wiedział, że niewiele mogę [sic!]. *Zainteresowałem się sprawą, ale oczywiście bez rezultatu. Znany kompozytor prosił o wydanie mu paszportu, bo ma koncerty za granicą. Udało się. W przypadku dyrygenta i solistki opery krakowskiej się nie udało.*

Strajk w HiL

Tadeusz Drwal (krakowski hipis związany z „Solidarnością", a pod koniec lat 80. z KPN-em)*: W stronę Huty im. Lenina poszedłem piechotą, aby przekonać się, co dzieje się na ulicach Nowej Huty. Było spokojnie, prawie jak w każdą inną niedzielę, trochę więcej milicyjnych patroli, paru żołnierzy na jakimś skrzyżowaniu, ale bez żadnego legitymowania przechodniów lub blokowania ulic. Posterunek legitymujący wszystkie samochody, ale przepuszczający bez kontroli autobusy MPK, zobaczyłem tylko na podjeździe do kombinatu, lecz i tam, przynajmniej z daleka, nie było widać zbyt wiele milicji.*

Dalej nie szedłem. Porozmawiałem z paroma osobami wychodzącymi z zakładu. Kombinat strajkował. Wielu działaczy wyłapano w domach. Mietek Gil kierował strajkiem. Większość załogi uczestniczyła. Panował spokój.

Nie wyglądało, abym przez najbliższe kilka godzin był tam niezbędny. Pojawił się jakiś autobus, jadący w stronę centrum Krakowa – pojechałem zobaczyć, jak wygląda sytuacja na mieście.

Jan Pacula, który szczęśliwie uniknął internowania, przedostał się już w nocy z 12 na 13 grudnia do Huty im. Lenina. Najpierw jednak, podobnie jak wielu innych, pojechał pod siedzibę Zarządu Regionu przy al. Krasińskiego.

Pacula*: Około północy przyjechała do mnie Halina Swałtek i Jan Skrzypek (kolega z pracy) i powiedzieli mi, że coś się dzieje, bo trwa akcja zatrzymywania przewodniczących kół zakładowych „Solidarności". Samochodem Janka pojechaliśmy w trójkę do siedziby Zarządu Regionu. Auto zostawiliśmy w bocznej uliczce i podeszliśmy od tyłu pod budynek. Gdy zobaczyliśmy, że tam już jest milicja, wycofaliśmy się. Pojechaliśmy do Tadka Piekarza, Jacka Smagowicza i do Edwarda Kubisiowskiego, aby ich uprzedzić o zatrzymaniach, oraz na Akademię Medyczną, gdzie pracowała Halina Swałtek. Ona tam została. Następnie pojechaliśmy do MPK w Czyżynach, gdzie chciałem się spotkać z Krzyśkiem Bzdylem. Poza tym wiedziałem, że MPK to był jeden z mateczników KPN-u w Krakowie, więc tam spodziewałem się zorganizowanego oporu. Rzeczywiście w tej zajezdni organizowano już strajk. Nie spotkałem jednak Bzdyla, bo ten był w zajezdni w Łagiewnikach. Z kolei Michał Żurek był już internowany. W Czyżynach porozmawiałem więc m.in. ze Stanisławem Dylągiem z KPN – jednym z organizatorów strajku w tej zajezdni. Zdecydowałem, że Janek Skrzypek, który cały czas jeździł ze mną swoim autem, ma wracać do domu (miał w zastępstwie mnie kierować „Solidarnością" w naszym przedsiębiorstwie), a ja dostałem od MPK autobus z kierowcą (był nim Kazimierz Kowalówka), aby zebrać ludzi i pojechać do Huty. Pojechaliśmy najpierw do mnie do domu (powiadomiłem żonę o mojej decyzji i za-*

brałem jakieś osobiste rzeczy), potem pod Politechnikę, skąd zabraliśmy studentów [to była jedna z nielicznych uczelni krakowskich, która w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 kontynuowała strajk studencki – pozostałe uczelnie krakowskie zakończyły ten strajk wcześniej], *a w końcu – na kombinat.*

***

Huta, a raczej cały kombinat metalurgiczny to największy wówczas zakład pracy nie tylko w Krakowie, ale w całym regionie. Trudno się dziwić, że po wprowadzeniu stanu wojennego z tym zakładem społeczeństwo Małopolski wiązało największe nadzieje na skuteczny, a przynajmniej długotrwały opór. Zjechali tam ludzie z całego Krakowa, a nawet z regionu.

Oto jak sytuację w Hucie charakteryzował ppłk Bronisław Michaliszyn w rozkazie zatytułowanym „Plan odblokowania Kombinatu HiL" z 15 grudnia 1981 r.: *W okresie poprzedzającym stan wojenny organizacja związkowa Kombinatu HiL pełniła wiodącą rolę na terenie województwa i regionu, dysponowała rozwiniętą bazą poligraficzną, wydawała własny biuletyn, wykorzystywała radiowęzeł zakładowy. W skali kraju dominowała w Krajowej Sekcji Hutnictwa „ Solidarność", miała wyraźny wpływ, na prace z zakresu „samorządów pracowniczych", prowadzone przez tzw. sieć zakładów wiodących. W składzie KRH* [Jak podaje Zając, Komitet Robotniczy Hutników został utworzony 6 września 1980 r. Gdy 15 września 1980 r. powołano Międzyzakładowy Komitet Założycielski Kraków jako wspólną reprezentację niezależnego ruchu związkowego w Krakowie, na jego czele stanął Stanisław Zawada z KRH. Z urzędu uczestniczył on w zebraniach Krajowej Komisji Porozumiewawczej, będącej Komitetem Założycielskim NSZZ „Solidarność". 24 listopada 1980 r., po awanturze związanej z akcją Zawady, który zarzucił członkom MKZ związki z KPN (zob. tom I) Zawada został zawieszony w czynnościach przewodniczącego, a następnego dnia zrezygnował z tej funkcji. Pracą KRH kierowali wówczas kolektywnie dwaj wiceprzewodniczący: Andrzej Cyran i Mieczysław Gil. Od marca 1981 r. obowiązki przewodniczącego MKZ pełnił Mieczysław Gil] *wysoką aktywność wykazywały elementy ekstremalne (S. Handzlik, J. Ciesielski) zgrupowane w Prezydium, które szereg razy uchwalały i publikowały napastliwe, antyrządowe oświadczenia bez akceptacji grupy działaczy umiarkowanych. Duży wpływ na działalność instancji związkowej mieli zatrudnieni w charakterze doradców przedstawiciele opozycji antysocjalistycznej J. Lityński i A. Mielnik* [Chodzi o Adama Michnika]. *Organizacja zapewniała ochronę i pomoc nieformalnym strukturom w organach ścigania: Prokuraturze i MO. Delegaci KRH uczestniczyli, a następnie propagowali wśród załogi założenia ideowe, deklaracje i przebieg zebrań tzw. Klubów Samorządnej Rzeczypospolitej W-S-N* [Chodzi o Kluby Rzeczypospolitej Samorządnej Wolność-Sprawiedliwość-Niepodległość, utworzone w listopadzie 1981 r. z inicjatywy lewicowej części b. KSS KOR, m.in. Jacka Kuronia, Adama Michnika i Zbigniewa Bujaka].

Związki KRH ze środowiskiem działaczy b. KOR-u potwierdza Stanisław Handzlik: J*ako Komisja Robotnicza Hutników już w pierwszych miesiącach powołaliśmy sobie doradców. Najpierw to byli ludzie z „Tygodnika Powszechnego", m.in. Krzysztof Kozłowski i Halina Bortnowska. Zwracaliśmy się też do Turowicza, ale odmówił. Zaraz potem poprosiliśmy o doradztwo grupę warszawskich KOR-owców: Adama Michnika, Jana Lityńskiego, Henryka Wujca i Konrada Bielińskiego. To była mocna grupa, która służyła nam pomocą telefonicznie, a jak trzeba było, to przyjeżdżali i naradzaliśmy się wspólnie, co zrobić w danej sytuacji. Bo czasami sytuacje nas przerastały. Myśmy nie mieli żadnego doświadczenia politycznego. Nigdy nie należałem do żadnej partii politycznej czy związku, w których mógłbym się nauczyć gier pałacowych, przydatnych w dużych organizacjach.*

Byłem pod tym względem zielony. Lepiej trochę czuli się w tej dziedzinie Mietek Gil i Edek Nowak, bo oni mieli staż w PZPR (Mietek chyba nawet jeszcze w ZMP). Większość ludzi w KRH było pod tym względem kompletnie zielonych, bo ludzie wybierali nieformalnych, lokalnych liderów, tych, którym ufali, a nie tych, którzy mieli doświadczenie.

Wróćmy do rozkazu ppłk. Michaliszyna: *W dniu 12 grudnia 1981 około godz. 22.30, po przerwaniu łączności telefonicznej i programu RTV dyżurujący w KRH HiL działacze NSZZ Solidarność J. Ciesielski i S. Handzlik podjęli wzmożoną obserwację otoczenia HiL. Po zauważeniu sił MO ukryli się, a następnie przedostali na teren Kombinatu, gdzie dołączył do nich M. Gil i inni działacze.*

Sadecki w zbiorze reportaży p.t. „Ziarna gniewu": [Handzlik] *od 10 grudnia nie wychodził z huty. Trwali w gotowości strajkowej. Późnym wieczorem 12 grudnia czekał na wiadomości z Gdańska, z obrad Komisji Krajowej. Zadzwoniła telefonistka: — Nie mogę się połączyć z innymi miastami. Zupełnie tak samo jak w Sierpniu... Wysłali żuka po członków Prezydium KRH. Z Jankiem Ciesielskim stali w oknie oczekując na samochód, któremu nie dane już było dotrzeć do huty. Zamiast żuka zjawiła się buda milicyjna. Bez świateł podjechała pod okna siedziby KRH w biurowcu przy głównej bramie Huty imienia Lenina. Dwudziestu ludzi w panterkach cicho skradało się do drzwi wejściowych. Inni zablokowali boczne wyjście na teren huty.*

Handzlik z Ciesielskim ukryli się w pokoju piętro wyżej, który przed paroma dniami dyrekcja im przydzieliła. Niewielu o tym wiedziało, nie było żadnej wywieszki na drzwiach. Wewnętrznym telefonem Handzlik zadzwonił na zgniatacz: — Proszę ogłosić strajk z powodu ataku na Związek. Strajk okupacyjny i bezterminowy.

Dyspozytorzy przekazali informację załodze całej huty. Po spenetrowaniu siedziby KRH, milicjanci odjechali. Zabrali pieczątki i dokumenty.

Z początku wydawało się, że jest to akcja lokalna, jakaś prowokacja. Wszystko stało się jasne o godzinie szóstej rano: wysłuchali wtedy komunikatu o ogłoszeniu stanu wojennego.

Jak podaje Zając, strajk w Kombinacie zorganizował 13 grudnia 1981 r. wiceprzewodniczący „Solidarności" w HiL, Marian Kania. KRH przekształcił się w Komitet Strajkowy Hutników (KSH), na czele z Mieczysławem Gilem, a następnie ukonstytuował się Regionalny Komitet Strajkowy (RKS). Ścisłe kierownictwo strajkowe (zwane „Bunkrem") stanowili: Jan Ciesielski, Mieczysław Gil, Stanisław Handzlik, Władysław Hardek, Edward Nowak.

Jak podaje Paczkowski: *Biorąc pod uwagę sytuacje po aresztowaniach i zablokowaniu łączności, wydaje się, że co najmniej część strajków – jak w Hucie im. Lenina, niektórych kopalniach czy w Hucie Katowice – była zupełnie nieźle zorganizowana.*

Warto także podkreślić, że regionalni przywódcy „Solidarności" w Krakowie, inaczej niż przywódcy Związku w innych Regionach, zanim przeszli do działalności konspiracyjnej, kierowali akcją strajkową w największym w regionie zakładzie pracy. Tymczasem, jak podaje Paczkowski: *niektórzy działacze – także z „najwyższej półki", jak Bujak, Romaszewski czy Lis – zaczęli się ukrywać i nie włączyli się do akcji protestacyjnych w zakładach pracy, które z natury rzeczy były jawne.*

***

Dramatyczne dni od 13 do 15 grudnia 1981 r., poprzedzające atak na HiL, możemy dziś prześledzić z dwóch punktów widzenia. Z jednej strony, mamy cytowany już wielokrotnie dziennik kierownictwa sztabu KW MO, z drugiej – kalendarium wydarzeń w kombinacie, zamieszczone w „Hutniku" z 20 grudnia 1982 r., pokazujące te wydarzenia z perspektywy strajkujących. Oto obie te relacje.

13 grudnia:

0.50 – ppłk Kaim melduje, że w KRH nie ma nikogo,

1.16 – płk Działowski wydaje polecenie ppłk. Kaimowi, aby „nie dopuścił do wejścia osób do KRH",

1.24 – Jurga melduje płk. Działowskiemu, że w KRH spokój,

1.25 – ppłk Kaim melduje, że obserwuje KRH,

2.55 – dyrektor HiL Rozowski informuje płk. Trzybińskiego o zbieraniu ludzi pod HiL, którzy nawołują do strajku, gdyż zatrzymano działaczy z KRH,

7.30 – ppłk Szafarski melduje płk. Działowskiemu, że część załogi HiL pracuje, a część zaczyna strajkować,

7.35 – płk Trzybiński pyta Dyrektora Pustówkę o sytuację w HiL. M.in. Pustówka podaje, że załoga nie wysłuchała przemówienia Premiera, gdyż radiowęzeł uszkodzony,

10.15 – płk Działowski informuje sztab MSW, że HiL i MPK stoją,

10.17 – płk Działowski otrzymuje informację, że HiL włączyć ma syreny. Ppłk Szafarski otrzymuje polecenie sprawdzenia tego sygnału,

10.45 – płk Działowski rozmawia z gen. Sulimą na temat rozważanej koncepcji blokowania autobusów dowożących ludzi do HiL – decyzję o blokowaniu podejmuje gen. Sulima,

11.00 – płk Działowski melduje gen. Stachurze o sytuacji i wynikach akcji: w Kombinacie HiL zmiana nocna została, a ta która przyszła też strajkuje. Łącznie około 8000 ludzi bierze udział w strajku. Cały Kombinat stoi tylko wielkie piece są podgrzewane. Pod Hutę podjeżdżają grupy młodzieży. Robimy blokady, aby nie dopuścić kolejnych samochodów – taki stan na godz. 11.00,

11.02 – mjr Podolski informuje, że z wypowiedzi Krawczyka wynika, iż studenci AGH mają wkrótce udać się pod kombinat HiL,

11.02 – płk Działowski informuje ppłk. Jurczaka, iż z polecenia gen. Stachury należy robić wszystko, aby nie dopuszczać samochodów z ludźmi pod Kombinat HiL,

11.30 – płk Działowski informuje płk. Trzybińskiego o sytuacji, m.in. że zarządził blokadę autobusów udających się do HiL,

11.36 – płk Działowski łączy się z płk. Jasińskim informuje, że blokuje się dojazdy do Huty, ale prosi o wzmocnienie patrolami wojskowymi i uzyskuje negatywną odpowiedź,

11.37 – płk Działowski poleca ostrym wytykiem ppłk. Szafarskiemu pogłębienie rozeznania w HiL. Strajkuje już około 11 tys. i z sygnałów napływających do Sztabu wynika, iż załogi innych zakładów mają w niedługim czasie dotrzeć do HiL. Wydał szereg poleceń,

11.55 – płk Działowski otrzymuje telefon, że młodzież z HiL ma wyjechać do Huty Katowice, aby zorganizować strajk. Wydał polecenie stosownym Naczelnikom Wydziałów SB,

11.56 – b. ostre uwagi miał płk Działowski do mjr. Nogiecia i ppłk. Szafarskiego co do ich operatywności i rezultatów pracy. Nie ma wniosków, koncepcji, nie wykorzystuje się w działaniach kamer filmowych, a gdyby ich użyto przed budynkiem HiL, na pewno nie zbierałyby się grupy ludzi, bo kto chciałby być utrwalony w stanie wojny,

12.00 – płk Działowski rozmawia z ppłk. Jurczakiem, aby spowodował sprawdzenie autobusów, które mają przewozić studentów AGH pod HiL, a także żywność dla strajkujących. Należy bezzwłocznie kontrolować, blokować i rzetelnie wykonywać zadania, kategorycznie egzekwować dobrą robotę.

12.15 – płk Trzybiński – niepokoi N. Huta,
12.24 – płk Trzybiński polecił ppłk. Jurczakowi włączenie ZOMO „aby blokowało docieranie młodzieży i innych osób do HiL, blokować wejście".
13.05 – płk Trzybiński informuje tow. Gajewicza o blokadzie pojazdu z ludźmi i żywnością udającym się do HiL,
13.09 – płk Trzybiński rozmawia ze Sztabem MSW i informuje, że zastosowano blokadę samochodów do HiL i zapytuje czy można ludzi udających się do pracy na II zmianę wpuszczać – uzyskuje odpowiedź, że tak.
13.14 – płk Trzybiński otrzymuje informację, że pod HiL podjechały 3 autobusy z młodzieżą, następnie rozmawia z Dyrektorem Pustówką,
13.16 – płk Trzybiński melduje gen. Stachurze: są informacje jeszcze nie potwierdzone, które mówią, iż załoga HiL przygotowuje się do 36 godzinnego strajku,
14.20 – wiceprezydent Nowak prosi, aby funkcjonariusze MO i SB rozlepili obwieszczenia na terenie HiL. Płk Działowski zaproponował, aby tą sprawą zajęli się pracownicy dyr. Pustówki,
19.35 – ppłk St. Szafarski poinformował, że Komitet Strajkowy KRH i HiL podjął uchwałę o kontynuowaniu strajku i zwrócił się z apelem do Komisji Zakładowych Solidarności, aby przekształciły się w Komitety Strajkowe. Komitet Strajkowy HiL przejmuje funkcję Zarządu Regionalnego Małopolska jako zakład wiodący,

- *płk Szafarski referuje sytuację jw. Nadto stwierdzili, że KRH posiada odrębną łączność z Katowicami. Płk Trzybiński polecił niezwłoczne przerwanie łączności,*
- *płk Trzybiński – jakie propozycje wstrzymania kolportażu uchwał KRH?*
- *płk Szafarski – na posiedzeniu KRH były kontrowersje /różnice zdań/ odnośnie uchwały. Brak jednomyślności odnośnie strajku, z pozostałych zakładów brak odgłosów.*
- *Płk Trzybiński – zabezpieczyć HiL i nie dopuścić aby studenci byli łącznikami wynoszącymi materiały z HiL.*
- *Administracja HiL nie robi nic wobec studentów znajdujących się na terenie HiL.*
- *kpt. Hryniewicz – Do HiL 2 autobusami przewiezionych zostało kilkaset studentów. W DS są pilnowane bramy. W HiL oprócz studentów są osoby z innych zakładów pracy Krakowa. W HiL stawiany jest warunek, że strajk zakończony zostanie wtedy, kiedy stan wojenny. Bramy i ogrodzenia są bardzo dokładnie pilnowane. W przypadku wejścia oddziałów zwartych robotnicy stawiają bierny opór, nie wykonując żadnych obowiązków.*
- *Łączność utrzymana jest przez HiL z innymi zakładami. Uchwała KRH będzie kolportowana w obiekcie.*
- *Mają małe zapasy żywności /2-3 dni/. Jest projekt ściągnięcia do HiL autobusów MPK. Gil zdecydował, aby nie przyjmować kart powołania, zastanawiano się nad własnymi radiostacjami. Wydziały dopiero organizują strajk. Nadto czynione są przygotowania do wygaszenia pieców martenowskich.*

Ten sam dzień w kalendarium „Hutnika":

- *W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 o godzinie 1.30 MO pacyfikuje pomieszczenia KRH. Peniącym tej nocy przy teleksie dyżur Stanisławowi Handzlikowi i Jankowi Ciesielskiemu w ostatniej chwili udaje się u uciec.*
- *13 grudnia 1982 o godzinie 2.00 od dyspozytora głównego HiL poszczególne wydziały dowiadują się o pacyfikacji KRH i podejmują decyzję o rozpoczęciu strajku.*

- *O godzinie 2.30 KRH przenosi się na Zgniatacz (…).*
- *Godzina 3.00-4.00 – straż robotnicza pojawia się przy bramie Kombinatu.*
- *Godzina 5.00 – podział Huty na cztery centra C-1. C-2, C-3, C-4 plus C-0 pełniące funkcję centrum strajkowego (Zgniatacz) (...).*
- *Godzina 10.00 – przybycie Mietka Gila do C-0 i relacja jego o uniknięciu aresztowania (…).*
- *Godzina 11.00 – przybycie pierwszej grupy studentów z maszynami poligraficznymi i zapasami żywności (do wieczora przybywa ich kilkuset).*
- *Od godziny 12.00 – zaproszeni przez nas księża odprawiają Msze Święte. Rusza poligrafia. Wysłanie pierwszych łączników.*
- *Godzina 17.00 – Komitet Strajkowy HiL, zgodnie z uchwałą Zarządu Regionu – pełni funkcję Regionalnego Komitetu Strajkowego Małopolska. Kombinat otoczony przez MO.*
- *Godziny nocne – ciągłe ruchy MO, ZOMO i wojska wokół Kombinatu. Fałszywy alarm o ataku. Barykadowanie wydziałów, spawanie bram, ustawianie zapór.*

***

Drwal: *Jeśli w Nowej Hucie w zasadzie wszyscy wiedzieli o strajku w Kombinacie, to do centrum miasta wiadomość ta z reguły nie dotarła. Nie było żadnych ulotek ani plakatów. Na przystankach kłębiły się olbrzymie tłumy ludzi, czekających na z rzadka pojawiające się tramwaje i autobusy. Patrole milicji i wojska wyraźnie omijały te miejsca. Uznałem, że ryzyko kolportowania ulotek w tramwajach przynajmniej na pętli wokół Plant jest akceptowalne.*

Odwiedziłem Bogdana, mojego zaufanego znajomego, który nie powinien był być zatrzymany ani mieć nic specjalnie ważnego do zrobienia. Był w domu. Ustaliliśmy, że najlepiej zrobić to tylko we dwóch, więc wieczorem przywiozę do niego ulotki, przenocuję, a rano je rozkolportujemy. Pojechałem na Kombinat.

Na bramie wylegitymowałem się przepustką strajkową z marca i udałem się do Komisji Strajkowej. Okazało się, że szefem prowizorycznej powielarni jest Jacek Rakowiecki, znany w Krakowie działacz NZS-u, którego chyba wcześniej nie poznałem, ale o którym dużo dobrego słyszałem. Wziąłem od niego z tysiąc ulotek, umówiłem się, że jeśli nie zostanę aresztowany, to wrócę w ciągu 24 godzin.

***

14 grudnia 1981:

6.15 – *kpt. Kasprzyk: w HiL praca ograniczona w Zakładzie Kokso-Chemicznym i na stalowni martenowskiej, na 5 wielkich pieców pracują 2, energetyka pracuje normalnie, pozostałe wydziały nie pracują. Komitet strajkowy KRH wysunął żądania: znieść stan wojenny wprowadzony bezzasadnie, zwolnić aresztowanych działaczy Solidarności, nie dopuszcza na zakład ludzi w mundurach, nie będą przyjmować kart powołania do wojska, podejmą głodówkę, gdy użyje się siły.*

7.45 – *mjr Pietrzyk: HiL – w Walcowni Zgniatacz jest ok. 1000 ludzi.*

9.25 – *ppłk Jurczak informuje płk. Działowskiego, że Gil i Hudaszek prawdopodobnie powielają ulotki wraz ze studentami w KRH w Nowej Hucie na I lub II piętrze.*

10.15 – *ppłk Szafarski melduje, że pod budynkiem administracyjnym HiL zgromadziło się już około 1000 osób, które nie dopuściły do wejścia do dyrekcji dyr. Pustówki i żołnierzy komandosów udających się w celach konsultacyjnych.*

11.30 – *oficer dyżurny SB melduje, że samochody z posiłkami regeneracyjnymi dla strajkujących w HiL zostały zatrzymane i skierowane do mjr. Nogiecia.*

13.00 – *kpt. Kasprzyk melduje, że studenci weszli na Wydziały i pod kierownictwem Gila podniecają atmosferę. Gil rozgłasza pogłoski, że Ciastonia zamknęli, gdyż miał pewne materiały na Komendanta Wojewódzkiego MO. Gil mówi, że trzeba się trzymać i nie chować. Chce robić barykady przed bramą wejściową do HiL. Gil ma do dyspozycji powielacz, zapas żywności na 3 dni. Pod HiL zgromadziło się około 1000 ludzi, prawdopodobnie w obronie Gila, który sypia na Zgniataczu. Płk Działowski polecił kompromitowanie przywódców Solidarności, a jednocześnie dołożenie maksymalnego wysiłku w celu zatrzymania Gila, Ciesielskiego i Handzlika.*

13.18 – tow. Dąbrowa dzwoni do płk. Trzybińskiego, że wycofano PMO [posterunek MO] *spod HiL.*

14.00 – płk Działowski rozmawia z tow. Dąbrową. Z rozmowy wynika, że pracownicy HiL spawają tory i tworzą barykady.

15.00 – płk Działowski osobiście przyjmuje na rozmowę mjr. Koczwarę z grupy gen. Sulima – pełnomocnika Rządu. W parę sekund później przybywa płk Trzybiński i ppłk Jurczak – brak na mieście milicji, dzisiaj będzie czyszczenie miasta. Prośba, aby było silne uderzenie ze strony MO. Mamy zablokować HiL, nie wpuszczać zmiany. Ppłk Jurczak winien zorganizować dużo silnych patroli, postawić wozy zomowskie pod bramy Huty. Gen. Stachura dał polecenie, że mamy wchodzić do zakładów w asyście wojska. Zabezpieczymy 3 główne bramy.

19.05 – płk Działowski otrzymał informację, że na teren Cementowni w Nowej Hucie weszło 5 n/n osobników (którzy nie są pracownikami zakładu) i agitują załogę za podjęciem strajku. Wydano polecenie kpt. Filipkowi, by w uzgodnieniu z ppłk. Jurczakiem udał się radiowozem MO z obsadą funkcjonariuszy MO dla sprawdzenia tychże informacji i podjęcia działania dla zatrzymania wymienionych 5 osób.

20.20 – kpt. Filipek melduje, że był w Cementowni Nowa Huta, gdzie ogłoszono strajk rotacyjny. W zakładzie przebywa ok. 170 osób załogi. Zaprzeczyli, aby w zakładzie przebywały osoby z zewnątrz i zgadzali się, aby funkcjonariusze dla sprawdzenia tej informacji weszli na zakład. Funkcjonariusze mundurowi uznali, że nie jest to celowe i konieczne, bo może wywołać nieokreśloną reakcje załogi.

21.40 – kpt Filipek powiadamia, że wg niepotwierdzonych informacji, jutro (15 grudnia br.) Straż Przemysłowa HiL podporządkuje się Komitetowi Strajkowemu oraz że w przypadku użycia siły wobec załogi HiL wysadzony zostanie wielki piec, a ponadto, że w HiL (LOK) znajduje się broń i zostanie użyta, gdyby załoga została zaatakowana przez siły porządkowe i wojsko.

14 grudnia – kalendarium „Hutnika":

- *Godzinne wiece na wydziałach z udziałem członków KRH. Przystąpienie do strajku pozostałych wydziałów. Strajkuje już cały Kombinat. Dyrekcja ogłasza militaryzację zakładu. Wobec oporu załogi następują próby wręczenia kart mobilizacyjnych. Zapada decyzja o usunięciu kierownictwa z terenu HiL.*
- *Godziny południowe – pomoc żywnościowa z zewnątrz – spontaniczne dary mieszkańców Krakowa.*
- *Godziny nocne – kolejny fałszywy alarm o podjęciu ataku. Pacyfikowana jest zajezdnia MPK przy ul. Ujastek. Dalsze wzmocnienie barykad na terenie HiL przez ustawienie beczek z benzyną, kolczatek, spawanie wagonów do szyn itp.*

***

Drwal: *Bogdan czekał na mnie ze śniadaniem w swoim mieszkaniu. Ugrzązł w mieście i sam ledwo zdążył wrócić tuż przed godziną milicyjną. Wzięliśmy ulotki i koło dziewiątej rano pojechaliśmy w rejon Plant. Tak, jak poprzedniego dnia, patrole w widoczny sposób unikały podchodzenia do zatłoczonych przystanków. Widząc zbliżający się tramwaj, mający jechać dalej po pętli wokół Plant, zaczynaliśmy szybko rozdawać ulotki, następnie wpychaliśmy się do tramwaju, tam dalej rozdawaliśmy ulotki, czasem wygłaszając jakieś krótkie przemówienia. Potem robiliśmy to samo na innym przystanku i w innym tramwaju. Gdy zostało nam około dwustu ulotek, zobaczyliśmy, że jakiś mężczyzna, na którego już wcześniej zwróciliśmy uwagę, podszedł do patrolu milicji i zaczął o czymś rozmawiać. Uznałem, że pora na rozsądek. Nadjeżdżał właśnie kolejny tramwaj. Na ławce pod wiatą zostawiliśmy ukradkiem pozostałe ulotki i wsiedliśmy do dwóch różnych wagonów. Pojechałem na Kombinat.*

Te dwa dni były tak intensywne, że opisując je w 1987 roku, gdy nie miałem dostępu do dokumentów, byłem przekonany, że strajk trwał o dzień dłużej i że dopiero następnego dnia zająłem się załatwianiem żywności dla Komisji Strajkowej. W rzeczywistości jednak wszystko odbyło się 14 grudnia.

Koło trzynastej wróciłem do Huty im. Lenina. Szybko dowiedziałem się, że Komisja Strajkowa nie miała pieniędzy, a wszystkie samochody, którymi dysponowała, znajdowały się wewnątrz Kombinatu i nie mogły go już bezpiecznie opuścić. Zastanawiałem się nad zorganizowaniem jakiejś następnej, większej akcji ulotkowej, kiedy usłyszałem, że ktoś rozważa pomysł zwrócenia się do pracowników o przynoszenie jedzenia, gdyż w Komisji Strajkowej go nie mamy.

Zupełne nieprzygotowanie Huty do akcji strajkowej nie było niczym niezwykłym. Podobna sytuacja była w większości zakładów pracy w Polsce.

Paczkowski: *Niemal nigdzie nie zostały podjęte przygotowania o charakterze kwatermistrzowskim i sanitarnym. Do reguły należał brak koców (a nocą temperatura spadała do minus 15, a nawet minus 20 stopni), medykamentów, opatrunków, żywności, zapasów wody. Jak można stwierdzić na podstawie relacji i wspomnień, tylko w nielicznych zakładach pracy zdołano w ciągu 14 i 15 grudnia zaopatrzyć pod tym względem strajkujących (...). Akcja strajkowa miała więc szanse tylko wówczas, gdyby władze powtórzyły taktykę z lata 1980, czyli ograniczyły działania agresywne do propagandy i nie oblegały zakładów.*

Drwal: *Znałem sytuację na ulicach, a po drodze przyjrzałem się także temu, jak wyglądała blokada Kombinatu. Doszedłem do wniosku, że autobusem MPK, udając „łamistrajka", można dość bezpiecznie dowieźć żywność. Przystanki MPK znajdowały się już poza kordonem, pomiędzy nimi a główną bramą krążyły tylko luźne grupy milicjantów, legitymujących dorywczo wchodzących i wychodzących. Gdyby tylko udało nam się przejechać kordon, a z reguły autobusy przepuszczano bez zatrzymywania, to te ostatnie sto pięćdziesiąt metrów pokonalibyśmy bez większych przeszkód. Rakowiecki też uznał, że jest to sensowny pomysł.*

Poszedłem do Przewodniczącego. Mietek Gil zaakceptował mój plan i podpisał mi pełnomocnictwo. Wychodząc od niego, zobaczyłem jakąś dużą grupę przechodzących studentów. Krzyknąłem: „Kto ma blisko samochód z benzyną i to co trzeba, żebyśmy nim trochę razem pojeździli?". Waldek odpowiedział, że ma małego fiata przy placu Centralnym.

Początkowo liczyłem, że żywność dostaniemy w dużym kościelnym magazynie darów znajdującym się w dość ustronnym miejscu na Prądniku. Można by ją tam załadować bezpośrednio do autobusu. Kiedy tam dojechaliśmy, okazało się jednak, że z jakiegoś powodu

magazyn jest pusty. Po dłuższych poszukiwaniach odnaleźliśmy księdza prowadzącego magazyn w Kurii Metropolitalnej. Tam jednak nie mogliśmy podjechać bezpośrednio autobusem. Pojechaliśmy na Łagiewniki, do zajezdni tramwajowej, w której mieściła się siedziba Komisji Strajkowej MPK.

W Łagiewnikach okazało się, że w zajezdni jest jeden autobus oddelegowany z Czyżyn. Na początku wzięliśmy jednak żuka, z młodym kierowcą i jeszcze jednym chłopakiem do pomocy. Tym razem Waldek maluchem jechał przed nami, aby ewentualnie próbować odwrócić uwagę jakiegoś punktu kontroli drogowej. Bez problemów dojechaliśmy do Kurii, załadowaliśmy samochód żywnością i wróciliśmy do zajezdni. Wszystko to jednak trwało i pozostało nam niewiele czasu, aby dojechać na Kombinat przed godziną milicyjną.

Tymczasem na Łagiewnikach zawieruszył się gdzieś prowadzący strajk Krzysztof Bzdyl i w Komisji Strajkowej rozpoczęła się niepotrzebna dyskusja o tym, że autobus jest niezbędny „na wszelki wypadek" i czy można go użyć do przewiezienia żywności. Bzdyl, jak się okazało, po prostu na chwilę się zdrzemnął, trwało ze dwadzieścia minut, zanim go znaleziono. Padło pytanie, kto będzie kierowcą; z kąta odezwał się jakiś starszy mężczyzna, mówiąc, że to jego przydzielono w Czyżynach do autobusu, więc go poprowadzi.

Kiedy skończyliśmy przeładowywać żywność, zostało nam pół godziny. Mieliśmy szansę dojechać tuż przed godziną milicyjną. Chłopaki z żuka powiedziały, że też z nami pojadą, aby autobus nie był zbyt pusty. Przodem raz jeszcze miał jechać Waldek. Ruszyliśmy i przejechaliśmy... sto metrów. Portier na bramie powiedział, że bramy nie otworzy i nikogo nie wypuści, dopóki mu takiego polecenia nie wyda Bzdyl, bo tą bramą żadni uciekać nie będą.

Straciliśmy następne piętnaście minut. Najpierw kazałem Waldkowi jechać do domu, po dalszej chwili powiedziałem do kierowcy, że trzeba to odłożyć do rana. Ale ten człowiek, na szczęście i w przeciwieństwie do większości, nie czekał tylko na to, aby ktoś mu wydał polecenie. Przekonał mnie, że do rana mogą już o nas wiedzieć, a „kursowy" autobus powinien także przejechać trochę po rozpoczęciu godziny milicyjnej. Pojawił się Bzdyl. Ruszyliśmy.

Autobus wyładowany był żywnością do wysokości siedzeń, tylko z przodu zostało trochę wolnego miejsca. Najpierw siedzieliśmy tam w trójkę koło kierowcy, po chwili doszliśmy jednak do wniosku, że wygląda to nienaturalnie i zdecydowaliśmy się przesunąć do tyłu. Nadal sądziłem, że kieruję „akcją", ale bardzo głupio i... szczęśliwie usadowiłem się dość daleko z tyłu. Kiedy dojechaliśmy do pierwszego przystanku w kierunku Nowej Huty, kierowca zatrzymał się. Nie miałem jak zaprotestować. Pierwszy wsiadający pasażer powiedział nam: „Jak chcecie Panowie daleko zajechać, to zmieńcie tabliczkę kierunkową, bo na STRAJK, to chyba nie będą nas chcieli przepuścić przez rogatki...". Odtąd nie miałem już zamiaru oponować i braliśmy wszystkich. „Kto jedzie do Huty, prosimy przejść do tyłu, ale po siedzeniach, bo to żywność dla Kombinatu".

Do samego Kombinatu jechały z nami jeszcze dwie lub trzy osoby. Była jednak godzina milicyjna i na podjeździe, pięćset metrów przed bramą, zostaliśmy zatrzymani przez stojący tam już od dwóch dni posterunek. Kierowca wychylił się przez okienko i zainicjował długą rozmowę z milicjantami o tych strajkujących ch.... z Solidarności, przez których nie możemy się wyspać i dojechać na czas do domu. W zaistniałej atmosferze braterstwa udało mu się uniknąć otworzenia drzwi i po chwili ruszyliśmy. Wyglądało na to, że kłopoty są już poza nami... dopóki nie przejechaliśmy następnych dwustu merów.

Na wprost podjazdu, pomiędzy przystankami autobusowymi, a bramą, którą mieliśmy wjechać na Kombinat, zamiast krążących tam uprzednio kilku patroli, stało zgrupowanych kilkuset milicjantów i przynajmniej kilkanaście samochodów – próba przejechania

musiałaby się zakończyć masakrą. Kierowca skręcił w lewo, na przystanek, zwolnił, tak, jakby miał się zatrzymać. Za przystankiem był podjazd do drugiej bramy, tam prawie nie było milicji – nic dziwnego, bo brama nie tylko była zastawiona samochodami, z których zdjęto koła, ale nawet bramka dla pieszych była przez nas zamknięta na kłódki i łańcuchy. O tym jednak kierowca chyba nie wiedział. Próbowałem krzyknąć, że musimy wysadzić ludzi i odjechać, ale on w tym momencie zaczął właśnie przyspieszać, minął przystanek, włączył klakson i pojechał w prawo, do bramy. Przebiegłem po siedzeniach. Gdy się zatrzymaliśmy, stałem już w drzwiach z pełnomocnictwem w rękach.

Nie wiem, ile to trwało. Na pewno parę minut. Dla nas prawie nieskończoność. Staliśmy pod główną bramą, po drugiej stronie było przynajmniej stu zdecydowanych na wszystko robotników, którzy nie mieli jak do nas wyjść.

Milicjanci byli całkowicie zaskoczeni. Zapewne czekali na rozkazy, a ktoś, kto miał ten rozkaz wydać, równie zaskoczony, rozmawiał jeszcze na wszelki wypadek ze swoim przełożonym. Po chwili, bardzo powoli i ostrożnie, jakaś większa grupa zaczęła zbliżać się do autobusu. Byli dosłownie kilka metrów ode mnie, kiedy otworzono furtkę i wybiegli do nas robotnicy. Milicjanci cofnęli się o kilkanaście metrów. Ustawiliśmy szpaler i zapewne w ciągu dwóch minut opróżniliśmy autobus.

Byliśmy już wszyscy w środku i miano właśnie zamykać furtkę, kiedy kierowca powiedział: „Na zajezdni potrzebują autobusu" i wyskoczył na zewnątrz. Utkwiły mu w głowie te słowa wypowiedziane niepotrzebnie przez kogoś w Komisji Strajkowej w Łagiewnikach i na chwilę poczucie obowiązku zaćmiło zdrowy rozsądek. Powinniśmy byli zatrzymać go siłą, ale jego determinacja na sekundę nas wszystkich sparaliżowała. Za nim wyskoczyli jeszcze ci dwaj chłopcy: „To my z panem...".

Przejechali jakieś pięćdziesiąt metrów. Zanim jeszcze zdążyli się zatrzymać przed zajeżdżającymi im drogę milicyjnymi nyskami – do autobusu przez wybite szyby wskakiwali już milicjanci.

***

15 grudnia:

13.25 – *inż. Dębicki (kierownik zakładu koksochemicznego HiL) informuje, że jest rozważana koncepcja zatrucia rzeki Wisły poprzez wygaszenie ciągu produkcyjnego Koksowni i spuszczenie substancji trujących do Wisły,*

14.25 – *ppłk Lipień przechodzi do gabinetu ppłk. Jurczaka i syntetycznie rejestruje robocze spotkanie, które prowadzi ppłk Jurczak z ppłk. Schabem i z ppłk. w stanie spoczynku z HiL. Analizują na mapie topografię HiL, a w szczególności ważne obiekty i punkty HiL, wjazdy i wyjazdy, miejsca do lądowania helikopterów, bramy zespawane i tory przeszkód w postaci barykad, sposoby odblokowania bram nr 1, 2, 3 oraz punkty nasilenia załogi biorącej udział w strajku. Ppłk z HiL podnosi sprawę, że konieczna i najbardziej wskazana interwencja winna była mieć miejsce w niedzielę. Ustala się rejony patroli. Jeszcze raz wraca się do możliwości sforsowania każdej z siedmiu bram. Ppłk z HiL stwierdza, że na nocnej zmianie może być od 4 000 do 5 000 załogi. Sztab komitetu strajkowego ma siedzibę na Zgniataczu. Najgorszy element załogi skoncentrowany jest na Walcowni Blach Karoseryjnych.*

14.55 – *ppłk Jurczak prosi o zanotowanie, co następuje: o godzinie 14.00, po konsultacji z gen. Zdrzałką, gen. Paździorem i płk. Trzybińskim uzgodniono ppłk. Jurczaka odpowiedzialnym za przygotowanie operacji interwencyjnej w HiL*

i nadzór nad jej dowodzeniem. Na dowodzącego siłami milicyjnymi wyznaczono płk. Stefana Losiaka, a wojskowymi ppłk. Schaba z 6 PDPD. Uzyskano potwierdzenie przerzutów drogą lotniczą 800 funkcjonariuszy WOSMO Szczytno oraz 2 kompanii ROMO w sile 200 funkcjonariuszy z KWMO Nowy Sącz i z kompanii w sile 200 funkcjonariuszy z KWMO Krosno.

15 grudnia – kalendarium „Hutnika":

– godziny ranne – próby wejścia kierownictwa do Kombinatu. Straż robotnicza odsyła ich do budynku dyrekcji (opornych – kopniakiem). Ponowne próby wręczania kart mobilizacyjnych przy wypłacie.

– Godzina 14.00 – spotkanie Mietka Gila z płk. Mazurkiewiczem o warunkach poddania Kombinatu. Groźba pacyfikacji w razie odrzucenia propozycji.

– Godzina 17.00 – Mietek Gil przedstawia warunki WRON-y przedstawicielom Komitetu Strajkowego. Po wiecach na poszczególnych oddziałach, załoga odrzuca możliwość kapitulacji bez spełnienia jej żądań, tj. odwołania stanu wojennego, zwolnienia wszystkich aresztowanych i przybycia przedstawicieli władz do Kombinatu.

***

Funkconariusz SB Aleksander Mleczko: *Mija kolejna noc, została jeszcze Huta. Poza tym właściwie spokój.*

Pacula: *W Hucie trwał strajk. Na jego czele stali: Mietek Gil, Staszek Handzlik, Marian Kania i Janek Ciesielski. Oni też prowadzili rozmowy z komisarzem wojskowym oraz z dyrekcją o zakończeniu strajku przed wejściem ZOMO. Też wszedłem do Komitetu Strajkowego, podobnie jak wszyscy inni przewodniczący komisji zakładowych „Solidarności", którzy wzięli udział w strajku Huty. W Kombinacie spotkałem też wkrótce Antoniego Piekałkiewicza z KPN, który powiedział, że strajk w zajezdni MPK w Nowej Hucie został rozbity 15 grudnia, ale jemu udało się uciec. Później rozbito też strajki w innych zajezdniach MPK (w Łagiewnikach i – na końcu – w Czyżynach).*

Piekałkiewicz: *Pracowałem w MPK jako motorniczy. Gdy 13 grudnia ogłoszono stan wojenny, wziąłem udział w strajku w zajezdni w Nowej Hucie (przy ul. Ujastek). Jeszcze przed pacyfikacją strajku przeniosłem się do Huty Lenina. Spotkałem tam m.in. Annę Gorazd, która redagowała treść ulotek drukowanych w czasie strajku. Brałem udział w ich drukowaniu.*

Pacula: *Studenci, którzy przyjechali ze mną na strajk, znali mnie ze spotkań KOWzaP-u sprzed 13 grudnia. Dlatego razem współpracowaliśmy na strajku. Wysłałem ich do skarbniczki „Solidarności" w moim zakładzie pracy i podałem im umówione hasło. Przynieśli od niej pieniądze, które przekazałem organizatorom strajku w Kombinacie. Wysłałem ich także po powielacz, który był w moim przedsiębiorstwie. Pracownicy mojego przedsiębiorstwa – wspomniany już Jan Skrzypek oraz Piotr Piekarczyk (obaj członkowie KPN) pomogli im wynieść ten powielacz. Potem wykorzystywaliśmy go przy drukowaniu „Biuletynu Małopolskiego". Ponieważ w Kombinacie nie byłem gospodarzem, przekazałem tych studentów Jankowi Ciesielskiemu. Oni mieli ze sobą jakieś części radiowe i już w czasie strajku w HiL udało się im nadać pierwszą audycję Radia Solidarność* [Jak podaje Zając inicjatorem „Radia Wolna Polska" był student fizyki UJ Stanisław Tyczyński, późniejszy założyciel Radia RMF w 1990 roku. Pierwsza audycja została wyemitowana 14 grudnia wieczorem. Było ich 6 lub 7. Nadawano bieżące informacje oraz muzykę patriotyczną. Audycje były słyszalne w promieniu 5 km od Kombinatu. Nadajnik radiowy ocalał w czasie pacyfikacji i w 1982 r. był wykorzystywany do emisji audycji „Radia Wolna Nowa

Huta". Grzegorz Majchrzak podaje, że komunikaty tego radia redagowały Anna Gorazd i Halina Bortnowska, a do ekipy należeli także Eugeniusz Koch, Wojciech Marchewczyk i Krzysztof Sajboth]. *Potem Janek wraz z nimi kontynuował prace nad tym radiem. Od maja 1982 r. były nadawane audycje, które można było odbierać w różnych częściach miasta. Sam słyszałem je dwa razy. W „Biuletynie Małopolskim" od czasu do czasu była informacja, kiedy będzie można usłyszeć audycję* [Majchrzak podaje na podstawie materiałów SB, że pierwsza audycja Radia Małopolska była nadana 6 lipca 1982].

Drwal: *Długo rozmawialiśmy w powielarni u Jacka Rakowieckiego. Koło godziny pierwszej w nocy dowiedzieliśmy się, że milicja zaczęła pacyfikować strajk w zajezdni tramwajowej MPK w Nowej Hucie, oddalonej od nas o jakieś dwa kilometry. Było już oczywiste, że nie dojdzie do żadnej próby obrony Kombinatu, że kiedy zostaniemy zaatakowani – skapitulujemy. Taką decyzję podjęła Komisja Strajkowa i niezależnie od osobistych poglądów nikt nie zamierzał jej podważać. Na Kombinacie mogłem więc przydać się tylko do tego, aby w momencie ataku uspokajać ludzi i przekonywać ich, aby nie stawiali oporu. Nie wydawało się, abym był do tego niezbędny, jeśli zaś nie było to niezbędne, wolałem tego nie robić. Rakowiecki musiał trzymać do końca powielarnię, ale jednemu ze swoich współpracowników także powiedział, żeby lepiej jechał rano robić robotę na mieście.*

Poszedłem na piętro powyżej siedziby Komisji, gdzie wcześniej spali studenci, których już także generalnie odesłano z terenu Kombinatu, aby ich nie narażać na nadmierne ryzyko. Szukałem jakiegoś śpiwora i miejsca, aby się zdrzemnąć. Stałem przez chwilę sam na korytarzu, dopijając jakąś herbatę i dopalając papierosa. Pojawiła się dziewczyna, mniej więcej w moim wieku, siedliśmy razem w kącie jakiegoś pokoju. To zdarzenie nie ma żadnej wagi historycznej, ale może w jakiś sposób oddaje atmosferę tamtych chwil, a poza tym jest jednym z moich najcenniejszych wspomnień. Rozmawialiśmy przez kilka minut. Łączyło nas wszystko. Za parę minut wszystko mogło się zdarzyć. Byliśmy dwojgiem samotnych ludzi patrzących razem w otwierającą się przed nami nieskończoność. Nagle na korytarzu ktoś krzyknął: „Potrzebna jest maszynistka! Czy jest tu ktoś, kto umie szybko pisać na maszynie?". Powiedziała: „Przepraszam, muszę iść". Odpowiedziałem: „Tak, oczywiście". Nie poznałem jej imienia, nie rozpoznałbym jej na ulicy. Wiem o niej tylko, że umiała szybko pisać na maszynie i... to coś, czego nie umiem wyrazić słowami.

Rano sam usiadłem do maszyny do pisania, przygotowałem sobie kilka pełnomocnictw, które wydawało mi się, że mogą mi być przydatne. Były tam pokwitowania na określone kwoty pieniędzy, ogólne upoważnienie do przejmowania środków finansowych i sprzętu poligraficznego, oraz upoważnienie do publikowania w imieniu Regionalnej Komisji Strajkowej, gdybym nie mógł nawiązać kontaktu z jej strukturami. Poszedłem z tym wszystkim do Mietka Gila, powiedziałem, żeby podpisał tyle, ile może. Podpisał wszystko. Wyjechałem z Kombinatu. Pacyfikacja strajku rozpoczęła się już najbliższej nocy.

***

Ppłk Bronisław Michaliszyn w cytowanym rozkazie: *Komitet Strajkowy dysponował zgromadzonymi uprzednio zapasami żywności, środkami transportu wraz z paliwem, a od dnia 14 grudnia 1981 radiostacją nadawczo-odbiorczą, pracującą w paśmie 65,5 MHz (Radio Wolna Nowa Huta).*

Wobec zgrupowanych w Kombinacie ok. 7000 osób (wg oceny dyrekcji 10-12 tys.) stosowano presję moralną w postaci przekazywania fałszywych informacji o trwających w całym kraju strajkach, traktowano opuszczenie zakładu jako nieusprawiedliwioną nieobecność

i dezercje, wobec osób niepodporządkowujących się stosowano relegowanie. Produkcję zaniechano do minimum, w ruchu ciągłym utrzymywano tylko niezbędne oddziały produkcyjne (piece, koksownia). Dyrekcji Kombinatu zabroniono wstępu na wydziały produkcyjne.

Bramy wjazdowe zabarykadowano i wystawiono pikiety. Jako barykad użyto stare pojazdy (autokary, cysterny, przyczepy). Wykonano żelazne kozły typu przeciwpancernego (wkopane w ziemię), zaspawano żelazne elementy bram, ułożono, wykonane we własnym zakresie kolczatki. Na przejazdach kolejowych ustawiono blokady z wagonów, obok barykad ułożono stosy starych opon z zamiarem ich podpalenia.

W realizacji odblokowania zakładu przyjmuje się następująca taktykę i zasady działania:

a/ wspólny Sztab operacyjny MO i WP,
b/ jednolity system dowodzenia; dowódca – oficer MO. z-ca dowódcy – oficer WP,
c/ podział terenu operacji na rejony,
d/ koncentracja sił i środków w rejonach wyczekiwania, zajęcie podstaw wyjściowych, ustalenie godz. „Z",
e/ zmasowane uderzenie sił współdziałających na teren Kombinatu (taranowanie przeszkód czołgami),
f/ siłami plutonu rozpoznania Pułku Manewrowego opanowanie, zablokowanie i sparaliżowanie łączności wewnątrz kombinatu,
g/ opanowanie hal produkcyjnych podstawowych wydziałów,
h/ zatrzymanie organizatorów strajku i osób nie będących pracownikami kombinatu,
i/ przeszukanie hal produkcyjnych i innych pomieszczeń oraz terenu,
j/ siłami WP blokowanie rejonu działań od zewnątrz,
k/ uruchomienie punktów obserwacyjno-meldunkowych,
1/ filmowanie określonych sytuacji przy pomocy kamer i aparatów fotograficznych,
ł/ blokowanie terenu przyległego do Kombinatu HiL przez funkcjonariuszy RD i KD MO.

System dowodzenia wyglądał następująco:

W organizacji i kierowaniu operacją „WIL" przyjmuje się następujące zasady systemu dowodzenia:

1. Całością zabezpieczenia kieruje Sztab sił MO i WP w składzie:
– Komendant Wojewódzki MO – płk A. Trzybiński,
– Dowódca 6 PDPD – gen. bryg. M. Zdrzałka,
– Dowódca garnizonu – gen. bryg. J. Paździor,
– Dowódca 5 Bryg. Podhal. WOW – płk B. Koczur.
2. Działaniami operacyjnymi dowodzi – Kierownik Sztabu KW MO – płk W. Działowski.
3. Działaniami sił prewencyjnych dowodzi – Kierownik Zespołu Porządku i Bezpieczeństwa – ppłk S. Jurczak.

Koordynacją działań i dowodzeniem sztabowym zajmuje się Szef Sztabu KW MO –ppłk B. Michaliszyn.

Milicja i wojsko dysponowało następującymi siłami i środkami:
– funkcjonariuszy MO – 2164 (w tym 80 WRD [Wydział Ruchu Drogowego]),
– funkcjonariuszy SB – 200,
– żołnierzy WP – 2150,
– środki transportu – 142 (MO) + 117 (WP)

– czołgi – 12,
– BRDM [sowiecki opancerzony samochód rozpoznawczy] – 5,
– SKOT [Średni Kołowy Opancerzony Transporter] – 2,
– AW [armatki wodne]– 7,
– Sekcje Straży Pożarnej – 4,
– Więźniarski – 4,
– Karetki pogotowia ratunkowego – 4,
– reflektory olśniewające – 2
– psy – 8.

Szczegółowy harmonogram działań był następujący:
1. *Koncentrację sił i środków poszczególnych rejonów wyznacza się na godz. 23.00* [15 grudnia 1981]*w rejonach wyczekiwania.*
2. *Zajęcie podstaw wyjściowych do działania – godz. 0.30.*
3. *Rozpoczęcie działań wyznacza się na godz. 1.00 na sygnał radiowy i świetlny (3 razy czerwona rakieta).*
4. *Ugrupowanie bojowe:*
– *czołgi,*
– *siły i środki MO,*
– *siły i środki WP.*
5. *Siły poszczególnych rejonów z zadaniem: wejść na teren Kombinatu z 4 kierunków bramami bocznymi. Ponieważ bramy są zabarykadowane, użyć czołgi do staranowania murów obok bram, w celu obejścia barykad, nie forsować bramy głównej Kombinatu od czoła, a odblokować ją od wewnątrz po opanowaniu terenu.*
6. *Pluton rozpoznania – opanować i zablokować węzeł łączności Kombinatu w celu sparaliżowania łączności wewnętrznej.*
7. *Pododdziały – opanować podstawowe hale produkcyjne i odizolować poszczególne wydziały oraz zatrzymać organizatorów strajku i osoby nie będące pracownikami kombinatu.*
8. *Siły WP – blokować od zewnątrz rejony działań oraz nie dopuścić do przemieszczania się pracowników na terenie kombinatu.*

W drugiej fazie, działania koncentrować na:
1. *Poinformowaniu osób zgromadzonych w halach produkcyjnych o konieczności podporządkowania się wymogom stanu wojennego, przerwania strajku i ostrzeżeniu, że w przypadku stawiania oporu zostanie użyty przymus bezpośredni.*
2. *Wszystkie osoby legitymować – zatrzymywać osoby przewidziane do internowania lub nie będące pracownikami HiL.*
3. *W pracy pozostawić jedynie osoby z nocnej zmiany, a pozostałym polecić opuścić teren zakładu.*
4. *Dokonać przeszukania pomieszczeń, hal i innych.*

Po wykonaniu powyższych zadań i zakończeniu operacji wprowadzić wokół kombinatu wzmocnione patrole 6-osobowe (MO i WP). Blokować bramy wejściowe siłami MO wspartymi wozami opancerzonymi i armatkami wodnymi (do odwołania).

***

„Hutnik" nr 39 z 20 grudnia 1982 r.:

15 grudnia, godzina 22.00 – obrady RKS, podczas których dowiadujemy się od informatora wojskowego, że został wydany rozkaz o zaatakowaniu nas tej nocy. W związku z powyższym ustalono formy biernego oporu, choć znakomita większość załogi jest za oporem czynnym.

Godzina 24.00 – potwierdzają się wiadomości o przygotowaniu decydującego ataku. Wzmożone ruchy dużych kolumn ciężkiego sprzętu z kilku kierunków (Ruszcza, Wzgórza Krzesławickie, Lubocza). Podsłuchane rozmowy między kolumnami potwierdzają, że atak nastąpi lada moment.

16 grudnia, godzina 4.15 – atak czołgów na bramie nr 2 i 3. Załoga zgodnie z instrukcją o biernym oporze gromadzi się w ustalonych miejscach, oczekując na wejście hord zomowskich. Jednakże wcześniej pacyfikowane wydziały otaczane są wojskiem i dopiero później wchodzą zomowcy otaczający załogę. Esbecy przebrani w mundury MO wyczytują nazwiska członków Komisji Zakładowych, których aresztują. Następnie odbywa się selekcja pracowników i osób z zewnątrz. Ci ostatni również zostają aresztowani.



Pacyfikacja Huty im. Lenina. *15 grudnia, godzina 24.00 – potwierdzają się wiadomości o przygotowaniu decydującego ataku. Wzmożone ruchy dużych kolumn ciężkiego sprzętu z kilku kierunków (Ruszcza, Wzgórza Krzesławickie, Lubocza). Podsłuchane rozmowy między kolumnami potwierdzają, że atak nastąpi lada moment.* Fot. SB

Godziny ranne – pacyfikacja trwa nadal. Opanowane już przez ZOMO wydziały otrzymują rozkaz podjęcia pracy. Zostaje on jednak zbojkotowany przez załogę, która udaje się na wydziały jeszcze nie spacyfikowane, aby stawić dalszy opór.

Godziny popołudniowe – docierają informacje o morderstwie górników w KWK Wujek. Próba zorganizowania wiecu po obu stronach Bramy Głównej udaremniona przez ZOMO. Zmiana popołudniowa podejmuje strajk absencyjny. Huta ciągle jeszcze walczy!

17 grudnia, godzina 15.00 – kierownicy poszczególnych wydziałów informują w dalszym ciągu strajkującą załogę o karach za nie podjęcie pracy (straszono nawet karą śmierci!!!).

Godzina 16.00 – zmiana popołudniowa próbuje kontynuować strajk absencyjny, ale ok. 17.00 rezygnuje i ruszają poszczególne wydziały.

Dość dokładny opis pacyfikacji Huty podaje Waldemar Mikulec w swym pamiętniku. Mikulec wprawdzie sam nie był w Hucie, ale znał przebieg wydarzeń od kolegów, z którymi rozmawiał w internacie.

Mikulec: *Trzeba zdecydowanie podkreślić, że głównym błędem była forma strajku – tzw. strajk kroczący. Był to kardynalny błąd. Po ogłoszeniu wojny w nocy z 12/13 grudnia 1981 zmiana poranna w niedzielę podjęła na wiecu strajk w w/w formie. Wobec braku jakiegokolwiek przygotowania aprowizacji, część ludzi rozpuszczono do domów w celu zorganizowania żywności, informacji i łączności z innymi zakładami. Brama Huty była więc bez przerwy przekraczana z różnych stron. Umożliwiło to wgląd do wewnątrz zakładu poprzez umówionych agentów (ormowców, zakonspirowanych ubeków). W ten sposób bezpieka otrzymywała dokładne informacje o strajkującym zakładzie, a mianowicie: rozmieszczenie głównych ognisk oporu (wydziałami), opisy przywódców strajkowych i najbardziej aktywnych, rozmieszczenie najsłabszych punktów oporu, tzn. nie obstawione bramy, stan liczebny strajkujących, nastroje, ewentualne przygotowania do walki itp. Informacje te były wystarczająco wyczerpujące, o czym świadczy atak sił ZOMO i wojska na Hutę z 15/16 grudnia 1981. Otóż atak i zdobywanie Huty odbywało się kolejno, wydziałami, po uprzednim zdobyciu i pacyfikacji zajezdni w Nowej Hucie, skąd internowano tylko Krzyśka Maciejowskiego, domniemanego organizatora strajku. Atak na Hutę rozpoczął się od zajęcia wydziału karoseryjnego.*

W pacyfikacji Huty uczestniczył Wiesław Grudniewicz – wówczas żołnierz zawodowy 6. PDPD („czerwone berety"): *Stanowisko dowodzenia było na rogu ul. Wąwozowej. Czołgi rozbiły bramę, ale później do Huty wkroczyli zomowcy, nie wojsko. Początkowo ludzie do nas podchodzili i rozmawiali z nami. Potem przyszedł rozkaz, żeby się wycofać, tak żebyśmy nie mieli styczności z ludźmi.*

Świadkiem wejścia sił wojskowo-milicyjnych na teren Kombinatu był Bogdan Głowacki (który w tym czasie był pracownikiem HiL i brał udział w strajku): *Stałem na autobusowym przystanku „Meksyk". Około 100 metrów dalej była brama towarowa tylko dla samochodów. Wzdłuż tej bramy biegły tory kolejowe i tam stały wagony blokując przejazd. Podjechali czołgami, rozwalili bramę i poprzesuwali wagony. Potem zatrzymali mnie, gdy przechodziłem pod wieżą węglową i zaprowadzili do świetlicy. Tam była tablica, na której było napisane – „Przetrzymamy!". Jakiś zomowiec dopisał poniżej słowa: „Zobaczymy jak długo!". Wzięli mnie na Mogilską, ale po paru godzinach zwolnili. W brudnym od pyłu węglowego ubraniu wróciłem do Huty. Ludzie w autobusie pytali mnie, skąd jadę: „Z Mogilskiej". — „Czy już weszli na Hutę?". — „Tak".*

Zabłocki zebrał w książce „Stan wojenny w Małopolsce" kilka relacji anonimowych osób z HiL z 15-16 grudnia: *Stalownia: Stanęliśmy koło szóstego pieca w głębi i kiedy pojawili się żołnierze i milicja, zaczęliśmy śpiewać, najpierw hymn, a potem „Boże coś Polskę". Żołnierze zdjęli hełmy i dwójkami stanęli na baczność. Usłyszałem jak major wojska zaczął*

się kłócić z kapitanem milicji: „Po coście nas ściągnęli? Przecież tutaj spokojnie, nikt nie ma zamiaru wysadzać pieców, jak mówiliście". I potem po prostu wojsko nie pozwoliło nas rozgonić, żołnierze wycofali się z hali, a milicjanci, których nie było dużo, po prostu uciekli, wiali jak szczury, a myśmy ich żegnali gwizdami. I tak to się skończyło (...).

Walcownia Zimna: O 3 w nocy zamknęliśmy się w naszej świetlicy. Niedługo czekaliśmy. Wpadli w hełmach, z tarczami, z karabinami gotowymi do strzału. To byli młodzi chłopcy, 18-20 lat. Nikt nie stawiał oporu. Wypędzono nas do tunelu, potem na dwór. Wszystko odbywało się na rozkaz: biegiem, biegiem, a tych, którzy nie dość sprawnie wykonywali polecenia - bito pałkami. Wypędzono nas na dwór. Było zimno, więc zaczęliśmy krzyczeć, że zmarzniemy. Pozwolili nam wrócić. Wypuszczono nas o 6 rano. Przed wyjściem musieliśmy się wpisać na listę: nazwisko, imię ojca, rok urodzenia, numer przepustki i podpis. Ale podpisaliśmy się nie przy swoich danych, tylko wzdłuż kartki, tak że utworzył się jeden długi zygzak. Taki papier nic nie znaczy. Można nim tylko się... (...).

Rurownia: (...) W nocy, w chwili pojawienia się „sił porządkowych", ludzie zachowywali się tak, jak to było ustalone wcześniej, śpiewali i modlili się. Wypadków pobicia w hali nie było. Kazali im tylko przejść z hali na stołówkę i przechodząc – trzymać ręce na karku. Tam sprawdzano legitymacje i porównywano z tymi na liście (przygotowanej wcześniej) (...). Natomiast w mniejszych pomieszczeniach, w których przy swoich warsztatach pozostali pracownicy nie chcący dołączyć do reszty, było nieco inaczej: tam zomowcy mogli działać tak, jak lubili. W warsztacie mechanicznym został spałowany robotnik (...).

Podczas odmawiania różańca przez robotników przed główna bramą żołnierze zdejmowali czapki, a do zomowców ludzie wykrzykiwali: „My jesteśmy Polacy, a wy kto?"

Ani Jan Pacula, ani Antoni Piekałkiewicz nie byli świadkami pacyfikacji Huty, bo – zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Komitetu Strajkowego – ewakuowali się z Kombinatu.

Pacula: *W nocy, gdy ZOMO przystąpiło do pacyfikacji Huty, wydano hasło do ewakuacji dla komitetu strajkowego. Ściślej rzecz biorąc, Marian Kania powiedział: „Panowie, spierdalać!". Większość tych, którzy uciekli z Huty, wydostała się z terenu Kombinatu kanałami telekomunikacyjnymi (instalatorzy, którzy obsługiwali te kanały, znali ich układ, na przykład jeden z tych kanałów wychodził na rzeczkę Dłubnia już poza Kombinatem). Tą drogą wydostali się z Huty m.in. Gil, Nowak, Handzlik i Ciesielski. Początkowo miałem iść z nimi. Ale działacz „Solidarności" z Tarnowa (członek Prezydium ZR), który przyjechał do Kombinatu samochodem (był to duży fiat) zaproponował, aby wyjechać z Kombinatu autem w kierunku na Niepołomice. Pojechałem z nim. Był z nami także Stanisław Góral (czwartą osobą w samochodzie był kierowca). Dojechaliśmy pod płot otaczający Kombinat, tam zostawiliśmy auto, przeszliśmy przez ogrodzenie i przez pola doszliśmy na piechotę do linii kolejowej. Wsiadłem do pociągu na stacji Szarów. W ten sposób wróciłem do Krakowa i zacząłem się ukrywać.*

Uciekła także większość przywódców strajku, którzy byli pracownikami Kombinatu. Sadecki: *Gdy nastąpił atak na walcownię, Handzlik wraz z Ciesielskim założyli robocze kufajki i zeszli w kanał wodny pod ciągiem zgniatacza. Od razu zmokli niemiłosiernie. Miejscami przepływali wpław. Brodzili po wodzie, błocie – po uda tonąc w dziegciu, smarze i zgorzelinie. Termometry wskazywały tej nocy minus 15 stopni!*

O siódmej rano znaleźli rurę, z której wydostawała się para. Dwa metry nad ziemią, na tej rurze, grzali się w obłoku gorącej pary i drzemali chwilę.

Od elektryka z sąsiedniego wydziału dowiedzieli się, że milicja po pacyfikacji wycofała się. Poszli więc do swoich – do Walcowni-Zgniatacz. Tam Handzlik zgolił wąsy, oraz przez

1.5 godziny stał pod gorącym prysznicem. Spotkał Edwarda Nowaka, który ukrywał się na dachu suwnicy. Wieczorem Handzlik, Nowak i Ciesielski przez bramę numer 3 opuścili Hutę Lenina.

Piekałkiewicz: *Z Huty uciekłem wraz z kilkoma osobami (byli wśród nich Eugeniusz Koch i Andrzej Marcinek) przez jakiś płot. Musiałem uciekać, bo koledzy z zajezdni w Nowej Hucie powiedzieli mi, że byłem na liście przeznaczonych do internowania. Zdecydowałem się ukrywać.*



Pacyfikacja Huty im. Lenina – hutnicy na kolanach śpiewali pieśni religijne i patriotyczne. *16 grudnia, godzina 4.15 – atak czołgów na bramie nr 2 i 3. Załoga zgodnie z instrukcją o biernym oporze gromadzi się w ustalonych miejscach, oczekując na wejście hord zomowskich. Jednakże wcześniej pacyfikowane wydziały otaczane są wojskiem i dopiero później wchodzą zomowcy otaczający załogę. Esbecy przebrani w mundury MO wyczytują nazwiska członków Komisji Zakładowych, których aresztują. Następnie odbywa się selekcja pracowników i osób z zewnątrz. Ci ostatni również zostają aresztowani.* Fot. SB

Bierny opór strajkujących w HiL był regułą w grudniu 1981 r. Jak podaje Paczkowski: *Strajkujący mieli nader ograniczone możliwości czynnej obrony, zwłaszcza gdy do rozbijania protestu użyto wojska i ciężkiego sprzętu bojowego. W stosunkowo nielicznych wypadkach robotnicy przygotowali improwizowaną „broń białą": styliska i pręty żelazne, aby w razie potrzeby trzymać na dystans zomowców szarżujących z pałkami, czy też mutry i kamienie, aby starać się ich odpędzić. W razie zmiany sytuacji te przedmioty mogły służyć do kontrataku. W kilku miejscach próbowali opanować – lub opanowali – pomieszczenia, gdzie przechowywano ładunki wybuchowe lub urządzenia mogące spowodować eksplozję czy pożary (np. tlenownię w Hucie Katowice). Gdzieniegdzie liczono, że będzie można użyć butli ze sprężonym powietrzem, acetylenem czy wysokociśnieniowych gaśnic. Nie znam wypadku, by strajkujący mieli broń (...). Podstawowym założeniem była obrona – można powiedzieć – pasywna. Miała ona polegać na osłonie zakładu pracy przed wtargnięciem wozów bojowych czy pojazdów milicyjnych oraz utrudnianiu zomowcom poruszania się na terenie przedsiębiorstwa.*

***

Oddajmy jeszcze głos Aleksandrowi Mleczce z SB: *Wracam do pracy, a tam w zasadzie sielanka. Trzeba sporządzić jakieś informacje, jakieś sprawozdania i analizy. Ale sprawozdania robi wydział śledczy odpowiadający za formalną stronę internowań i osadzeń.*

Dochodzi wieczór, zbliża się termin rozwiązania strajku w Hucie, to już 16 grudnia. Całe szczęście, że te pułki czołgowe, które forsują mur Kombinatu i jego bramy, nie muszą iść do prawdziwej walki. Przez radio słychać, że kolejno rozkraczają się, zrywają się gąsienice, zacierają silniki i co tam jeszcze.

W końcu po wszystkim, szczęśliwie obyło się w całym Krakowie bez ofiar.

Teraz jeszcze przejrzeć dokumenty w biurach Komisji Robotniczej Hutników. Robi to ekipa na co dzień zajmująca się Hutą (w końcu to jak miasto, zatrudniało wtedy ponad 36 tys. ludzi, miało 40 km ogrodzenia, własne stacje kolejowe). Oczywiście ekipa ta nie daje sobie rady, tak dużo pomieszczeń. Ja już odpocząłem, więc w rezerwy dołączam do grupy, ale właściwie w charakterze gościa.

Cały czas właściwie wszystko organizuje dział wojskowy Huty, otwierają pomieszczenia, dokonują inwentaryzacji i ewentualnie zmieniają zamki, przy tym tak usilnie patrzą nam na ręce, że w końcu dostajemy decyzję, niech się bujają z tym problemem sami. I dobrze, przynajmniej potem nikt nie powie, że zginął jakiś kalkulator czy butelka alkoholu.

Jak widać, wszyscy mieli świadomość, że przeszukania były często okazją dla zdemoralizowanych funkcjonariuszy do zwyczajnej kradzieży .

Jakie ofiary, których nie było, miał przede wszystkim na myśli Mleczko? Pewnie nie tylko ze strony strajkujących – oto słowa wypowiedziane przez niego, dzień czy dwa po 13 grudnia, które przytacza we wspomnieniach: – *Słuchaj – to do żony – musicie się wyprowadzić, tu może być niebezpiecznie. Przecież wszyscy w bloku wiedzą, gdzie pracuję, widziałaś te czerwone krzyżyki przy dzwonku do drzwi. Do tej pory im to nie przeszkadzało, ale teraz nie wiadomo, co będzie. Zawiozę Cię do mamy, posiedzicie tam parę dni. Zobaczymy, co się będzie działo.*

Uczestnicy aparatu władzy obawiali się akcji odwetowych wobec siebie i swoich rodzin, jednak żadna siła opozycyjna nie planowała działań odwetowych. Polska droga do niepodległości była – ze strony opozycji – drogą bez użycia przemocy. Obawy przed odwetem (który mogły sugerować np. krzyżyki przy dzwonkach drzwi mieszkań funkcjonariuszy władzy) były inspirowane przez tę władzę. Chodziło o zwarcie szeregów. Wiadomo przecież, że poczucie zagrożenia cementuje grupę.

***

Władza dość szybko zdała sobie sprawę, że podsycanym przez siebie strachem nie uda się na dłuższą metę utrzymać w ryzach i posłuszeństwie funkcjonariuszy aparatu przemocy. Widocznym objawem niskiego morale funkcjonariuszy MO było narastające pijaństwo, które prowadziło do drastycznego wzrostu liczby wypadków drogowych powodowanych przez nietrzeźwych funkcjonariuszy. Narastało niebezpieczeństwo niekontrolowanego użycia broni przez sfrustrowanych i pijanych stróżów porządku.

Z tego powodu gen. Czesław Kiszczak zdecydował się przywrócić w milicji nadzwyczajne metody stosowane przy stalinizacji Polski po II wojnie światowej. Po 30 latach odtworzono pion polityczno-wychowawczy, którego celem była indoktrynacja funkcjonariuszy.

Oto fragment protokołu z 16 stycznia 1982 r., z narady służbowej, która odbyła się dzień wcześniej w KW MO: *Ppłk M. Kuźnia* [zastępca komendanta wojewódzkiego MO ds. polityczno-wychowawczych]: *Pion taki działał w latach 1944-1949, po czym został*

przekształcony w pion szkoleniowy (...). W pierwszych latach powojennych, aparat polityczny odegrał dużą rolę w kształtowaniu postaw funkcjonariuszy, ich czujności i ideowości. Wielu funkcjonariuszy pionu politycznego oddało życie w walkach z podziemiem. Obecna sytuacja w niektórych aspektach jest zbieżna z sytuacją z lat powojennych, dlatego też Minister Spraw Wewnętrznych zarządzeniem nr 042/81 reaktywował działalność pionu polityczno-wychowawczego. Nowo powołany Zarząd Polityczno-Wychowawczy MSW określił zadania dla tego pionu (...). W ostatnim okresie dają się zauważyć niekorzystne tendencje w zakresie dyscypliny (…). Do 27 stycznia wszyscy Naczelnicy Wydziałów KW MO przedłożą ocenę postaw moralno-politycznych podległych funkcjonariuszy (...). Należy dokonać indywidualnej oceny potrzeby noszenia broni przez funkcjonariuszy po służbie. W wypadkach wątpliwych zalecać deponowanie broni w jednostce. Kierownicy jednostek wspólnie z Naczelnikiem Wydziału Ogólnego dokonają analizy zasadności wydawania broni emerytom MO i SB (…). Obowiązuje bezwzględny zakaz spożywania alkoholu w czasie służby oraz w pomieszczeniach służbowych (posiadany przez funkcjonariuszy alkohol musi być deponowany u przełożonych). W przypadku spożywania alkoholu przez funkcjonariuszy należy go bezwzględnie konfiskować. W związku z wypadkami samochodowymi, które ostatnio zbyt często się zdarzają, należy przeprowadzić rozpoznanie wśród funkcjonariuszy prowadzących pojazdy służbowe. W wypadku stwierdzenia skłonności do używania alkoholu przeprowadzać rozmowy lub cofać zezwolenia na kierowanie pojazdami (...).

***

Pacyfikacja Huty im. Lenina oznaczała złamanie oporu strajkowego „Solidarności" w całym regionie. Wszyscy mieli świadomość, że do żadnego strajku powszechnego już nie dojdzie.

Dramatyczne dni od 13 do 16 grudnia 1981 r. to jeden z nielicznych okresów w dziejach PRL, gdy w Krakowie trwały kilkudniowe strajki okupacyjne w kilku dużych zakładach pracy. Podobnie było jeszcze w 1980 i w 1988 r.

Jednak w sierpniu 1980 r. strajki w Krakowie (solidarnościowe w stosunku do robotników Wybrzeża) były nieliczne, krótkie i bardzo anemiczne (zob. tom I).

Strajki w grudniu 1981 r. również objęły tylko niektóre krakowskie zakłady pracy. Większość z nich, podobnie jak i w całej Polsce, rozpoczęła strajki nie 13 grudnia (bo to była niedziela), ale dnia następnego. Za Lasotą, Ptasińską i Solakiem należy tu wymienić: Hutnicze Przedsiębiorstwo Remontowe w Nowej Hucie (13-16 grudnia), Nowohuckie Przedsiębiorstwo Instalacji Stalowych „Montin" (14-16), Centrum Naukowo-Produkcyjne Mikroelektroniki Hybrydowej i Rezystorów „Unitra-Telpod" (14-16), Miejskie Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym – zajezdnie w Czyżynach, w Łagiewnikach i w Nowej Hucie (13-15), Krakowskie Zakłady Armatury (14-15), Akademia Górniczo-Hutnicza (14-15), Instytut Technologii Nafty (14-15), Państwowy Szpital Kliniczny Akademii Medycznej (14-15), Centralne Biuro Aparatury Chemicznej „CeBeA" (14-15), Przedsiębiorstwo Budowy Elektrowni i Przemysłu „Energoprzem" (15-16) oraz Wydział Konstrukcji Stalowych Krakowskiego Przedsiębiorstwa Konstrukcji Stalowych i Urządzeń Przemysłowych „Mostostal" (13-14). Jeszcze krótsze protesty przeprowadzono w kilkunastu innych zakładach pracy. To samo źródło podkreśla, że *oprócz HiL milicja interweniowała w zajezdniach Bieńczyce, Czyżyny, Podgórze, w „Unitrze-Telpodzie", „Montinie", „Armaturze", Cementowni Nowa Huta, „Chemadeksie" i „CeBeA" (zajmowały wspólny obiekt) oraz Elektrociepłowni „Łęg". W Krakowie przy użyciu siły przerwano strajki w jedenastu zakładach. W pozostałych, do zaniechania protestu wystarczyła groźba pacyfikacji.*

Rola członków KPN w tych strajkach znacznie przekraczała to, czego można było się spodziewać, biorąc pod uwagę jej liczebność w krakowskich zakładach pracy. Konfederaci odegrali kluczową rolę w strajkach w Czyżynach, Łagiewnikach oraz w AM. Byli także aktywni w najważniejszym strajku – strajku w HiL.

***

Witold Toś
Blues stróżów porządku

rozwalimy zegary
pięścią pancerną naszej armii
gdy nadejdzie zmiana warty
gdy na wysuniętych posterunkach
na przodkach
staną zaciężni samobójcy

baczność(!)

wróg uaktywnia się
generale drelichy wyprane
roześlemy patrole
rusza siła
do walki z nocą
do walki z dniem
hasło: szarówka
odzew: zmierzch

17 grudnia 1981 roku w Krakowie

Dla społecznego oporu przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego 17 grudnia 1981 r. jest w Krakowie datą graniczną. Pacyfikacja Huty, która dobiegła końca tego dnia, zakończyła okres strajków okupacyjnych. Spontaniczne i niewielkie dwie manifestacje, do których doszło 17 grudnia w Krakowie, rozpoczęły okres demonstracji ulicznych w mieście, który trwał do jesieni 1982 r. W tym czasie główną formą czynnego oporu nie były zakłady pracy, lecz ulica, a najważniejszą siłą oporu nie były kadry „Solidarności", lecz radykalna młodzież. Cechą tego okresu była spontaniczność protestu, który nie podlegał żadnemu kierownictwu i był realizowany w sposób całkowicie zdecentralizowany.

17 grudnia 1981 r. jest też z jeszcze jednego powodu datą symboliczną. Tego dnia powstało Tajne Tymczasowe Kierownictwo Akcji Bieżącej Obszaru II KPN (sama nazwa powstała później), co można uznać za symboliczny początek drugiej KPN. Ale o TTKAB będzie mowa w dalszej części książki...

W południe 17 grudnia miał miejsce wiec przed bramą Huty.

Gawlikowski: *17 grudnia 1981 pojechałem pod Kombinat. Wylądowałem na miejscu koło godziny 11. Pierwszy raz w życiu tam byłem, prawie nie bywałem dotychczas w Nowej Hucie.*

To było dla mnie wtedy kosmiczne miejsce – industrialny krajobraz, ponuro, strasznie... Nie wiedziałem, gdzie w razie czego uciekać. Wszystko było otoczone przez milicję. Kręciłem się wokół. Koło południa zebrała się spora grupa ludzi – około 200 osób. Chyba był to zapowiedziany wiec pod Kombinatem w południe, jako sprzeciw wobec nocnej pacyfikacji, albo nawet zwołany jeszcze dla poparcia strajkujących. Była sroga zima, wszyscy ciepło ubrani. Chwilę później mieliśmy już okazję się poruszać i ogrzać. Kiedy tylko zaczęły się okrzyki „Solidarność!", „Solidarność!", podjechały osinobusy pełne ZOMO, wysypało się to wszystko i dawaj na nas, z pałami. Zacząłem uciekać. Przy samym Kombinacie jest pętla MPK. Autobusy już jeździły. Stały tam dwa albo trzy pojazdy. Gdy ruszyło ZOMO, kierowcy uruchomili autobusy i bardzo wolno jechali, a my wskakiwaliśmy do nich w biegu. Ścisk robił się w wejściu. Dopadłem tego autobusu i gdy byłem już na schodkach, dostałem końcówką pały przez plecy. Nie jakoś bardzo mocno, ale to był pierwszy raz w moim życiu. Autobus wkrótce był pełny ludzi. Cały czas skandowaliśmy „Solidarność!", „Solidarność!". Ruszyliśmy w stronę centrum Huty, ale po przejechaniu 200 czy 300 metrów, ktoś krzyknął do kierowcy: „Stawaj! Stawaj! Wysiadamy, bo nas stąd wszystkich zgarną!". Pozostałe autobusy też się zatrzymały. Wszyscy wysiedli i ruszyliśmy pochodem. Przyłączali się przechodnie i było nas kilkaset osób. Cały czas skandowaliśmy. I padło hasło „Pod Arkę!".

W tych trudnych dniach kościoły pełniły funkcje miejsc, gdzie można było spotkać się z ludźmi i wymienić informacje. Były one jednak także, a może przede wszystkim miejscem, gdzie szukano wiary i nadziei, pokrzepienia i ukojenia. Było tak już od pierwszego dnia stanu wojennego.

Gawlikowski: *Gdy doszliśmy do Arki, weszliśmy wszyscy do dolnego kościoła. Wyszedł do nas ksiądz Palmowski (ja tam nikogo nie znałem, ale usłyszałem, że jego nazwisko wymieniali ludzie). Ksiądz, wiedząc, że w tłumie jest sporo ludzi, którzy martwią się o bliskich, którzy uczestniczyli w strajku, opowiedział w skrócie, co się stało w kombinacie, powiedział, że są tu z nami studenci, którzy byli w Hucie i uniknęli aresztowania w czasie pacyfikacji i oni opiszą dokładnie ten nocny atak ZOMO. To było ważne dla członków rodzin hutników, bo nie mieli o bliskich żadnych wiadomości. Wyszły dwie dziewczyny i dwóch chłopaków i zaczęli opowiadać, że w nocy do kombinatu wpadło ZOMO, że bili ludzi itd. Ksiądz powiedział, że zaczyna się tworzyć struktura pomocy ofiarom represji i ich rodzinom i zaapelował, aby przychodzić do kościoła po pomoc, ale też zgłaszać przypadki represji. Na koniec ksiądz zaapelował, aby się rozejść i powiedział: „Jeśli teraz wyjdziecie i zaczniecie pochód czy skandowanie, to was stłuką i wyłapią. Na pewno zdążyli się przygotować. Więc rozejdźcie się w niewielkich grupach". I tak się to skończyło. To była godzina 3 lub 4 po południu. Zdążyłem w sam raz na mszę do kościoła Mariackiego na 18.*

Wydarzenia, które miały miejsce w Nowej Hucie po południu 17 grudnia 1981 r., zostały zrelacjonowane w ankiecie sporządzonej przez KW MO w Krakowie:

1. Krótki opis sytuacji operacyjno–politycznej, ze szczególnym uwzględnieniem rozpoznania operacyjnego i taktycznego:

W okresie poprzedzającym wprowadzenie stanu wojennego, ZR Małopolska, w związku z rocznicą wydarzeń grudnia 1970 zalecił przygotowanie uroczystości w dniu 17 grudnia 1981, upamiętniających te wydarzenia. W tym dniu wszystkie zakłady miały zostać udekorowane flagami narodowymi z czarnym kirem, o godz. 12.00 syreny fabryczne miały ogłosić minutę ciszy. Działania takie miały być podjęte w oparciu o Instrukcję Strajkową Ogólnopolskiego i Regionalnego Komitetu Strajkowego z siedzibą w Stoczni Gdańskiej. W dniu 16 grudnia 1981 na terenie Nowej Huty ukazały się ulotki Regionalnego Komitetu Strajkowego HiL wzywające do zorganizowania dnia 17 grudnia 1981 o godz. 11.30 wiecu w Centrum Administracyjnym HiL, a o godz. 12.00 na Placu Centralnym. W oznaczonym dniu w godzinach przedpołudniowych przed bramą główną HiL zebrał się tłum 500-600 osób (większość młodzieży), o godz. 12.00 podobny tłum zaczął gromadzić się na Placu Centralnym.

2. Rodzaj operacji, założenia taktyczne działań.
Działania rozpraszające.
Założenia:
- *niedopuszczenie do liczebnego zwiększenia się tłumu*
- *eliminowanie z tłumu osób agresywnych*
- *rozproszenie zgromadzonych*
- *niedopuszczenie do ponownego gromadzenia się tłumu poprzez nasycenie newralgicznych centrów dzielnicy służbą patrolową.*

3. Zestawienie sił i środków (własnych i wspierających):
- *funkcjonariuszy MO – 120 (w tym 6 WRD)*
- *AW* [armatki wodne] *– 2.*

4. Opis przebiegu działań, czas trwania operacji, ocena i wnioski.

Dnia 17 grudnia 1981 o godz. 12.00 siły MO (przy wsparciu AW [armatek wodnych]*),*

po uprzedniej blokadzie ruchu kołowego z kierunku centrum miasta i wezwaniu tłumu do rozejścia się, rozpoczęły działania rozpraszające. Działania przebiegały bez użycia siły, pododdział stawał w ugrupowaniu bojowym (tyraliera podwójna, potrójna) i na rozkaz dowódcy ruszał w kierunku tłumu, który zachowywał się agresywnie (wznosił okrzyki w formie wyzwisk pod adresem funkcjonariuszy). Ponieważ działania te okazywały się stosunkowo mało skuteczne, podjęto decyzję o użyciu miotaczy wody, których użyto 2-krotnie wobec zgromadzonych. Skutek natychmiastowy – tłum rozpierzchł się. Analogiczne działania przeprowadzono wobec ok. 200 osób zgrupowanych na Placu Centralnym, doprowadzając do rozczłonkowania grupy i rozśrodkowania po okolicznych ulicach oraz na oś. Szkolnym – wobec ok. 300 osób. Siłami wzmocnionych patroli doprowadzono do zaniku grupowania się osób. Działania efektywne, użycie miotaczy wody zasadne. Zakończenie operacji o godz. 14.30. Czas trwania akcji 2 godz. 30 minut (w trzech miejscach, wzajemna odległość rzędu 1 km).

Działaniami dowodził Dowódca Batalionu Operacyjnego Pułku Manewrowego KW MO – mjr Janusz Marszałkowski.

***

17 grudnia 1981 r. wieczorem, w 11. rocznicę masakry na Wybrzeżu, odprawiona została w kościele Mariackim w Krakowie msza święta. Jej nastrój wszyscy uczestnicy wspominają jako niezapomniany.

Jan Godłowski: *Z grudnia 1981 pamiętam uczucie strachu, jakie towarzyszyło mi w czasie mszy w kościele Mariackim. Była to msza w rocznicę Wydarzeń Grudniowych 1970. Znowu byłem chyba z mamą, bo brat jako członek komisji uczelnianej NZS ukrywał się gdzieś. Był wieczór – noc właściwie, ale jasna, bo światło odbijało się od śniegu. Przy każdej ulicy wychodzącej z Rynku stał kordon żołnierzy. Pod hełmami mieli zielone kominiarki, na piersiach przewieszone automaty. Nie czuło się aury wrogości wokół nich – „no przecież jednak to wojsko, nie ZOMO, pewnie też czekają, żeby tylko przejść na naszą stronę". Do kościoła wejść się nie dało, taki był tłum, więc stanęliśmy przy bocznym wejściu od placu Mariackiego. Było bardzo ponuro. Doszły nas w trakcie mszy już jakieś niejasne informacje o pacyfikacjach na Śląsku. Nie wiadomo było, co dzieje się gdzie indziej. Ile jest ofiar oraz czy ci „dobrzy żołnierze" stojący w tych kordonach nie zaczną jednak do nas strzelać? Nerwy były tak napięte, że cała nasza grupka, która tłoczyła się u wejścia do kościoła, aż podskoczyła, gdy za naszymi plecami rozległ się łoskot spadającego śniegu z budynków koło kościoła św. Barbary. Podejrzliwie zerkaliśmy co chwilę w bramę prowadzącą z placu na Mały Rynek – kiedy to przejście nam odetną?*

Gawlikowski: *Prosto z Huty pojechałem na mszę świętą w kościele Mariackim. Jedno, co pamiętam – nastrój grozy. Krążyły odręcznie zapisane kartki, przekazywane z rąk do rąk, informujące o masakrze w kopalni „Wujek". Robiło to wstrząsające wrażenie. Ludzie czytając, płakali. Spowodowało to, że bardzo spadł bojowy nastrój, który był wcześniej. Wszyscy poczuli, że to nie żarty, że tu można stracić życie.*

Wojciech Słowik: *Wydaje mi się, że w miesięcznice wprowadzenia stanu wojennego w styczniu, lutym, marcu i kwietniu nie było już tylu ludzi, co wtedy. Później nie zapełniali nawet całego kościoła.*

Marek Bik: *Podczas tej mszy, na placu przed kościołem spotkałem przypadkowo Witolda Tosia. Witka znałem z KPN, poznałem go u Łenyka w listopadzie 1981. Od razu się umówiliśmy, że będziemy razem działać. Na razie się rozdzieliliśmy.*

17 grudnia:

16.47 – ppłk Kaim melduje, że w Kościele Mariackim dwóch osobników pisze ręcznie komunikat, że w wyniku działań MO i Wojska w Katowicach zginęło 6 osób. Ppłk Biel rozmawia z ppłk. Jurczakiem, aby skierował patrol MO do ppłk. Kaima, celem zatrzymania i wylegitymowania tych osób w radiowozie.

16.48 – por. Wójcik melduje się i konsultuje z ppłk. Bielem sprawę przygotowania maksymalnej ilości miejsc w aresztach przy ul. Siemiradzkiego.

17.50 – ppłk Kaim melduje, że Kościół Mariacki wypełniony jest po brzegi wiernymi, którzy także zebrali się i stoją na zewnątrz kościoła.

17.55 – płk Biel poleca ppłk. Kaimowi dokonać rozeznania, w jakim kierunku rozchodzić się będą wychodzące z kościoła osoby, czy przypadkiem nie będę gromadzić się w Rynku Głównym.

18.20 – ppłk. Kaim melduje „w obrębie Kościoła Mariackiego jest b. dużo osób, głównie młodzież".

18.25 – ppłk Biel zapytuje mjr. Majkę, jaka frekwencja w Kościele Mariackim. Odpowiedź: „Bardzo duża, około 4 tys. ludzi".

19.05 – ppłk Kaim melduje, że ludzie wychodzący z Kościoła Mariackiego rozchodzą się spokojnie w różnych kierunkach.

19.08 – ppłk Biel poleca ppłk. Kaimowi zwrócenie uwagi na ostatnią grupę wychodzącą z kościoła, która tradycyjnie lubi się gromadzić przy ul. Floriańskiej.

19.10 – mjr Majka melduje, że w Kościele Mariackim ksiądz podaje z ambony, że w czasie działań sił porządkowych w województwie katowickim zginęło 6 osób, a 60 jest rannych. Powtarza dane za komunikatem radiowym PAP.

19.20 – ppłk Biel robi ostry wytyk ppłk. Kaimowi, który wciąż meldował, że w Rynku Głównym jest spokój, a okazuje się, że w godzinach 19.07-19.11 była interwencja sił ZOMO z użyciem armatek wodnych, bowiem w Rynku Głównym wokół pomnika A. Mickiewicza zebrało się około 1 000 osób.

19.30 – ppłk Kaim melduje, że interwencja trwała do 4 minut i „w ruch szła woda, w tłumie pojawiały się tu i ówdzie krzyki: „Wojsko z nami!", „Precz z milicją!", „Zdrajca Jaruzelski!".

19.50 – ppłk Kaim melduje, że wszędzie panuje spokój.

Wojciech Słowik: *Ludzie wyszli po mszy i nie wiedzieli, co robić. Z ulicy Siennej wyjechała na Rynek sikawka i zaczęła ludzi polewać wodą, aby ich rozgonić. A był mróz minus 12 lub minus 13 stopni.*

Marek Bik: *Po mszy świętej lali ludzi wodą. Jeżeli dobrze pamiętam, lali nie tankietką milicyjną, ale wozem strażackim. Był silny mróz. Uciekaliśmy ulicą św. Jana. Żeby uniemożliwić samochodowi z wodą przejazd, w kilku mężczyzn postawiliśmy w poprzek ulicy trabanta.*

Torbicz: *Zobaczyłem ludzi przewracanych strumieniem wody. Wtedy wszyscy zaczęli uciekać.*

M. Słowik: *17 grudnia 1981 miałam tajne spotkanie w księgarni przy Rynku Głównym z człowiekiem z mojej uczelni, którego znałam z NZS. Ten człowiek dał mi ulotki, na których była informacja o zamordowaniu górników w kopalni „Wujek". Były to małe i wąskie paski papieru, tak aby zmieściły się w rękawiczce albo w butach. Trzeba było uważać, bo Rynek patrolowały wówczas nie tylko patrole milicyjne, ale także trójki ormowskie – upiorne staruchy z opaskami ORMO. Ponieważ była jeszcze*

godzina do rozpoczęcia mszy świętej miałam czas, aby te ulotki przepisać. Po nabożeństwie, gdy ludzie wyszli przed kościół, były okrzyki, a potem w górę poleciały ulotki. Nagle ktoś krzyknął: „Czołgi jadą!". Zrobiła się straszna panika. Myśmy uciekli pod Sukiennice, tam gdzie jest zejście do podziemnych toalet. Z ulicy Siennej wyjechały armatki wodne i zaczęły polewać ludzi. Strumień wody był tak silny, że przelatywał na drugą stronę Sukiennic. Byli tam żołnierze służby zasadniczej, jeżeli dobrze zapamiętałam – byli bez rękawiczek i bez nauszników (zapamiętałam ich czerwone uszy). Sformowali kordon, twarzami na zewnątrz, chyba po to, aby odgrodzić nas od ataku armatek. Woda lała po tych młodych chłopakach w mundurach, którzy stali i trzymali się za ręce i krzyczeli: „Uciekajcie! Tu was łatwo złapać!". Wtedy uciekłem ul. św. Jana. Moja siostra z Wojtkiem Pęgielem uciekli na drugą stronę Sukiennic, gdzie już było ZOMO. I tam doszło do bijatyki. Anka ciągnęła Wojtka za rękaw i w końcu uciekli ul. Szewską. W bocznych ulicach wokół Rynku było mnóstwo ludzi. I wszyscy wołali jednym głosem: „Gestapo! Gestapo!".



Górnikom Wujka - wieniec na płycie Rynku Głównego w Krakowie. Na tablicy poświęconej przysiędze Tadeusza Kościuszki na Rynku Głównym w Krakowie ktoś położył skromny wieniec kwiatów z szarfą „Górnikom Wujka". Ile minut ten wieniec leżał w tym miejscu? Minutę, dwie, czy pięć? - nieważne. Silniejsza niż strach była potrzeba wyrażenia solidarności z zamordowanymi i ich rodzinami.

***

Witold Toś
Białe sny

białe sny wwiercają się we mnie
białym wierszem
na poleskich bagnach ruska
białoruś na jej wargach
białogwardziści z AK i chłopcy z internatu
białołęka pod warszawą
biały orzeł rośnie nade mną
białym cieniem syberyjskiej jodły

białej amnestii nie będzie
na trupy
pada biały śnieg

***

17 grudnia:

20.24 – ppłk Kaim informuje, że w Rynku Głównym na pomniku Mickiewicza wywieszona jest flaga biało-czerwona, palą się dwa znicze, są wiązanki kwiatów.

20.45 – mjr Majka melduje, że po godzinie 22.00 spowoduje zdjęcie flagi z pomnika Mickiewicza.

20.48 – ppłk Kaim podaje, że w rejonie Rynku Głównego ujawniono kilka karteczek, na których wypisana jest charakterem dziecięcego pisma informacja, „że z powodu braku łączności w Krakowie zmarło 46 osób". Ppłk Lipień zalecił zbieranie tych karteczek i dostarczenie do sztabu KW MO.

20.50 – ppłk Kaim informuje, że ma 3 ulotki wypisane charakterem dziecięcego pisma na zwykłych karteczkach o treści: „Robotnicy! Mnie nie złamie partia! Trzymajcie się! Wasz Lech".

W Nowym Wiśniczu

Ludzie uwięzieni w internatach (jak powszechnie nazywano obozy internowania) nie byli przestępcami, nie można im było zarzucić, że złamali prawo, nawet tak rygorystyczne i niesprawiedliwe, jak prawo PRL. Nie mieli żadnego procesu. Nie udowodniono im żadnej winy, nawet nie próbowano. Po prostu aparat przemocy PRL uznał, że są oni niebezpieczni dla ustroju i dla stabilności rządów PZPR.

Zgodnie z rozporządzeniem ministra sprawiedliwości z 13 grudnia 1981 r., do czasu wydania rozporządzenia w sprawie regulaminu pobytu internowanych w ośrodkach odosobnienia, do wykonywania internowania stosowało się przepisy regulaminu wykonywania tymczasowego aresztowania. Dopiero 30 grudnia 1981 r. minister sprawiedliwości wydał nowe rozporządzenie, które określało osobny, nieco łagodniejszy, regulamin dla internowanych.

Największą dolegliwością dla internowanych (szczególnie na początku) była atmosfera niepewności o to, jak długo posiedzą, i czy nie będzie wywózek na Wschód, a także obawa o los rodzin, z którymi nie było żadnego kontaktu.

Internowane kobiety z Krakowa spędziły ponad dwa tygodnie (do 30 grudnia 1981 r.) w ciasnych celach gmachu przy ul. Mogilskiej.

Internowani mężczyźni byli sukcesywnie przewożeni do więzienia w Nowym Wiśniczu. Jak podają Lasota, Ptasińska i Solak, ten ośrodek dla internowanych działał od 13 do 28 grudnia 1981 r. Pełna lista uwięzionych obejmuje 124 nazwiska. Jak podaje Paczkowski, w całym kraju w stanie wojennym działało ponad 50 ośrodków takich jak w Nowym Wiśniczu.

Wśród pierwszej grupy przewiezionych do Wiśnicza byli m.in.: Radosław Huget, Stanisław Kuś, Stanisław Palczewski, Stanisław Tatara i Michał Żurek.

Kuś: *14 grudnia, koło czwartej rano załadowali nas do suki i powieźli w ciemności w nieznane. Wysadzili nas na dziedzińcu więzienia w Wiśniczu.*

Tatara: *Wsadzili mnie do nyski, którą pojechaliśmy razem z Władysławem Krupiarzem i działaczami rolniczej „Solidarności", m.in. Wiesławem Nowackim. Czuliśmy się nieswojo, gdy zobaczyliśmy, że wiozą nas na wschód.*

W Wiśniczu początkowo siedziało nas kilku w dużej celi w piwnicy, bez kanalizacji, w kącie stał kibel i duża miednica pełna brudów. U sufitu wisiała na przewodach żarówka, refleksy ognia z popękanego małego pieca odbijały się na ścianach. Umieszczone wysoko małe okno wychodziło na dziedziniec. Zaraz nawiązali z nami kontakt więźniowie kryminalni. Za pomocą papierowej dmuchawki wystrzelili z okna 3 piętra naprzeciwko kulkę

z nitką, którą trafili w nasze okno. Zrobiliśmy coś w rodzaju minikolejki linowej. W ten sposób przesłali nam list o górnolotnej treści, w którym pomstowali strasznie na komunę, a na końcu poprosili o papierosy, które im wysłaliśmy.



Brama wejściowa do ZK Nowy Wiśnicz (widok obecny). *Wyskoczyliśmy z suki i oczom naszym ukazał się widok dosyć ponury, przygnębiający. Przed nami na wprost była wielka stalowa brama, po bokach z dużymi „kogutami" - strażnicami. Po prawej stronie orzełek polski na murze okalającym więzienie. Oświetlone wszystko było dosyć dobrze. Nietrudno było się zorientować, w którą stronę trzeba kroczyć, bowiem szpaler zomowców wyznaczył doskonale ścieżkę ku więzieniu. Uzbrojeni w pałki oraz niektórzy w jakieś małe torebki, chyba maski lub pojemniki z gazem, stali pewnie na iskrzącym się śniegu, który łaskotał spojówki po mroku z budy. Na dworze była już noc. Tuż za głównym wejściem dostrzegliśmy dalszych zomowców, ale ustawionych już dość luźno i swobodnie na dziedzińcu więzienia. Widocznie tutaj już nie obawiano się tak internowanych, chroniły wysokie na 4 metry mury ze strażnicami i dobrym oświetleniem. Z daleka jakby (a było to przecież tuż zza murów) dobiegały odgłosy szczekania psów, które chwilami przechodziły w jazgot i ujadanie. Widocznie i one były chowane w nienawiści do „Solidarności".* Z archiwum Urzędu Miasta Nowy Wiśnicz

Transport do Wiśnicza niektórzy esbecy wykorzystali do znęcania się psychicznego nad zatrzymanymi.

Ryszard Majdzik: *Załadowali nas do milicyjnej budy. Po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów, wszystkim kazano wysiąść. Było to w pobliżu więzienia w Wiśniczu. W samochodzie pozostawiono tylko mnie i ojca. Chwilę później ruszyliśmy i zatrzymaliśmy się po kilkunastu minutach. Przez szczelinę dostrzegliśmy cmentarz. Wcześniej tyle razy słyszeliśmy od esbeków, że takich jak my trzeba zabić. „Synu, chyba śmierć przyszła, trzeba się przygotować" – powiedział ojciec. „Nie dam się od razu, będę uciekał" – odpowiedziałem.*

Obaj uklękliśmy i zaczęliśmy się głośno modlić. Pilnujący nas milicjant aż się wzruszył. Kilka minut później przewieziono nas na komisariat w Nowym Wiśniczu, gdzie pobrano odciski palców. Jeden z milicjantów znów powiedział: „Takich Majdzików to tylko zabić". Po czym dołączyli nas do internowanych.

15 grudnia 1981 r. do Wiśnicza przewieziono kolejną grupę internowanych, a wśród nich Jerzego Mohla i Waldemara Mikulca. Także Krzysztof Bzdyl, po zatrzymaniu go przy pacyfikacji strajku w Łagiewnikach, został przewieziony na Mogilską, a potem trafił do Nowego Wiśnicza.

Mohl: *Na miejsce dotarliśmy po zmroku. Zapakowali nas w 16 do małej celi z kiblem na odchody przy ścianie. Na kolację była rozgotowana kasza jaglana, dość słona, i czarna, niesłodzona kawa zbożowa. Wlazłem na górną pryczę, a ponieważ nie było zbyt ciepło, nie zdjąłem ubrania (do przykrycia był tylko jeden koc), zwłaszcza że nie było pościeli, tylko „capiący" siennik. Nasunąłem kaptur na twarz i zasnąłem. Na drugi dzień zaczynał się nowy etap.*

Mikulec: *Jechaliśmy więc razem, solidarnie cierpiąc i znosząc trudy podróży. Zaczęto palić pierwsze papierosy. Mówiliśmy o Wiśniczu, ile się posiedzi itd. Zaczęliśmy oglądać kajdanki – co za precyzja i zarazem perfidia. I jaka oszczędność materiału! Okazało się, że skuci byli niektórzy w naszej stronie suki – 3 pary były skute, razem z nami (tzn. ze mną i Krzyśkiem Krynke). Nie wiem, czym bezpieka kierowała się, kując akurat nas.*

W suce było raz zimno, to znów gorąco, ale pełno spalin – tak działało ogrzewanie. Czas się dłużył. Po kilku godzinach jazdy zaczęliśmy wspinać się po krętej drodze do góry. Silniki huczały przeraźliwie, budy całe się trzęsły, a my cisnęliśmy się jeden na drugiego, bo auto zdecydowanie się przechylało. Wkrótce osiągnęliśmy widocznie cel podróży, bowiem suki stanęły, motory wygaszono i zaległa względna cisza, którą przerywały odgłosy trzaskających drzwi w eskortujących nas gazikach i fiatach milicyjnych. Wysiadali zapewne ubecy.

Po jakiejś pół godzinie otwarto naszą klatkę. Trochę nas zaskoczyło, że już w samochodzie rozkuwano nam kajdany. Sprawiło mi to dużą ulgę, bo w czasie podróży przez nieuwagę zacisnąłem je sobie na ręce tak, że zaczęła trochę sinieć. Rozłączeni z Krzyśkiem wyskoczyliśmy z suki i oczom naszym ukazał się widok dosyć ponury, przygnębiający. Przed nami na wprost była wielka stalowa brama, po bokach z dużymi „kogutami" – strażnicami. Po prawej stronie orzełek polski na murze okalającym więzienie. Oświetlone wszystko było dosyć dobrze. Nietrudno było się zorientować, w którą stronę trzeba kroczyć, bo szpaler zomowców wyznaczył doskonale ścieżkę ku więzieniu. Uzbrojeni w raki i pałki oraz niektórzy w jakieś małe torebki, chyba maski lub pojemniki z gazem, stali pewnie na iskrzącym się śniegu, który łaskotał spojówki po mroku z budy.

Na dworze była już noc. Tuż za głównym wejściem dostrzegliśmy dalszych zomowców, ale ustawionych już dość luźno i swobodnie na dziedzińcu więzienia. Widocznie tutaj już nie obawiano się tak internowanych, chroniły wysokie na 4 metry mury ze strażnicami i dobrym oświetleniem. Z daleka jakby (a było to przecież tuż zza murów) dobiegały odgłosy szczekania psów, które chwilami przechodziły w jazgot i ujadanie. Widocznie i one były chowane w nienawiści do „Solidarności". Po omiecionych chodnikach kręciło się dużo pracowników więziennych o rozmaitych stopniach. Nieruchomi byli tylko zomowcy, którzy w kamiennych postawach trwali, bo taki był rozkaz. A rozkaz dla nich – rzecz święta.

Zomowiec to dziwne zwierzę. Jak głosi chodząca opowieść, jest to rodzaj choroby, która objawia się poprzez dwie rzeczy: pała wydłuża się i jaja niebieścieją. To jest zomofilia – a zachorowało już na nią ok. 130 tys. obywateli! Podobno bicie ludzi zomowcy mają już tak wpojone i zakodowane w swoim umyśle (którego zresztą bardzo mało mają), że nawet

gdy idą się wysikać, to zastanawiają się, wyjmując swoją drugą pałę – lać czy walić? Wisielczy chwilami humor ułatwiał nam przetrwanie tych chwil...

Szliśmy chodniczkami po dość dużym placu, który z dwóch stron otaczały budynki – jeden parterowy, drugi piętrowy. Obok nich zaś majaczyły kontury starego kościoła z wieżami. Szliśmy prosto, potem w prawo – tam się zatrzymaliśmy. Było nas ok. 80 osób, różnego wieku. Różne sylwetki, brody, wąsy, długie włosy, gwar rozmowy. Powitania znajomych. Była tam również ubikacja, do której ustawiła się zaraz kolejka.

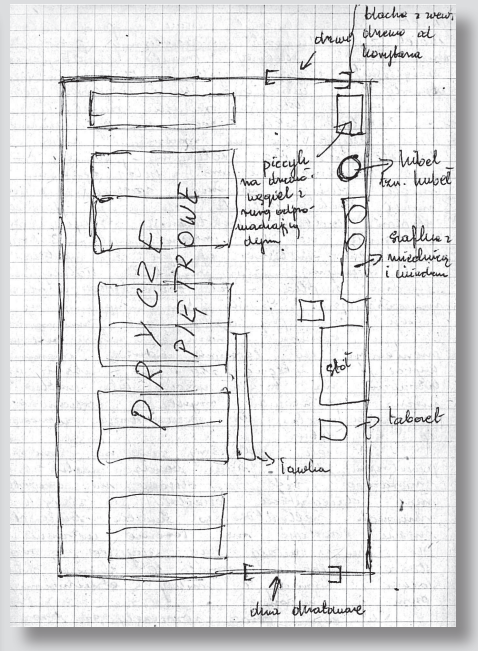
Korytarz wyglądał dosyć schludnie, była tam widocznie administracja więzienia. Staliśmy tam ok. 30 minut, rozmawiając o tym, co się stało i co będzie. Wszyscy byli jakoś dziwnie weseli i jakby przygotowani na to, co się stało. Niedługo zaczęło przybywać klawiszy w randze kapitana i jeden major. Było też kilku ubeków po cywilu, którzy kręcili się między nimi.

Ktoś powiedział: „Panowie, proszę o ciszę! Wywołani mają podać swoje dane personalne i przejść na drugą stronę!". Zaczęto czytać nazwiska, a my mieliśmy podać imię ojca, datę i miejsce urodzenia. Niektórzy odmawiali tych informacji i słusznie, przecież dokumenty zawierały te dane. Gdy posłusznie recytowaliśmy w gruncie rzeczy mało istotne słowa, to już był pierwszy sukces bezpieki – pierwsze upokorzenie.



Drzwi do celi w pawilonie parterowym (widok obecny). *Przy końcu korytarza zatrzymaliśmy się. Klawisz otworzył celę a my z niepokojem weszliśmy do niej. Potężne drzwi zatrzasnęły się za nami.*

Fot. Mirosław Lewandowski



Plan celi w pawilonie parterowym w Nowym Wiśniczu. *Apartament, w którym przypadło nam przebywać, rysował się niezbyt kolorowo. Około 20 prycz piętrowo ustawionych, ze śmierdzącymi i potarganymi siennikami stało w rzędzie po prawej stronie od drzwi. Między nimi były wąskie przejścia. Po drugiej stronie drzwi, na przeciwległej ścianie było okno z grubymi, starymi kratami.*

Rys. Waldemar Mikulec

Gdy zebrała się pokaźna grupka, wyprowadzono nas na znany już dziedziniec i podążyliśmy w okratowane drzwi. Widok był okropny – długi tunel z półokrągłym, łukowym sklepieniem i nikłym oświetleniem. Podłoga betonowa z wystającymi nierównościami. Na ścianach zacieki i brud, jakieś wzmocnienia, filary, załomy. Tak, to chyba pozostałość lochów. Duża wilgotność i nieprzyjemny fetor dawał się wszystkim dobrze we znaki. Szliśmy, oglądając te straszne rzeczy.

Zatrzymaliśmy się przy końcu korytarza. Klawisz otworzył celę, a my z niepokojem weszliśmy do niej. Potężne drzwi zatrzasnęły się. Apartament, w którym przypadło nam przebywać, rysował się niezbyt kolorowo. Około 20 piętrowo ustawionych prycz, ze śmierdzącymi i potarganymi siennikami stało w rzędzie po prawej stronie od drzwi. Między nimi były wąskie przejścia. Po drugiej stronie drzwi, na przeciwległej ścianie było okno z grubymi, starymi kratami.

Staliśmy pośrodku na wytartych, brudnych deskach. Ktoś rzucił propozycję, abyśmy się nawzajem przedstawili. Zaczęło się wymienianie nazwisk i imion oraz zakładów pracy. Ustaliliśmy, że będziemy się wszyscy do siebie zwracać per „ty", bo jesteśmy tu na jednakowych prawach i walczymy o jedno.

Dość szybko rozmelinowaliśmy się po pryczach. Jedni zajęli prycze górne, inni dolne. Wszystko troszeczkę skrzypiało, a przy tym niemiłosiernie się kurzyło. Niedługo ktoś zapukał do drzwi, najbliżsi podbiegli. Okazało się, że to kajfus [kalifaktor – więzień pełniący funkcje pomocnicze] *kazał zrobić listę i obiecał, że przyniesie nam listę internowanych z sąsiedniej celi. Na kawałkach jakichś faktur więziennych spisaliśmy szybko nasze imiona i nazwiska i daliśmy przez „żyda". Jak się okazało, klawisze szybko się zorientowali i wkrótce przybili do „żyda" szybę pleksi tak, że nie można już było nic przez niego przekazywać. Mieliśmy jednak skład sąsiedniej celi. Spacerowaliśmy po tej wilgotnej norze, oglądając ją i wtajemniczając się w arkana więziennej atmosfery i życia.*

Wnet klawisz otworzył drzwi. Przed celą stał wózek. Zaczęliśmy pobierać mandżury [toboły z pościelą] *i platery* [miski i kubki]. *Trwało to dosyć długo. Posłaliśmy łóżka. Znów drzwi się otworzyły i wniesiono duże węglarki pełne węgla, a klawisz ojcowsko rzucił: „Zapalcie sobie, żeby nie było wam zimno!". Nikt chyba się nie spodziewał takiej troskliwości. Nie traktowaliśmy jednak tego zbyt poważnie. I tutaj mieliśmy później okazję spotkać się z brutalnością. Trzeba jednak zaznaczyć dość wysoki stopień kultury i inteligencji obsługi więzienia w stosunku do nas, internowanych. Z takim stosunkiem mieliśmy się już później nie spotkać.*

Po pewnym czasie przyjechała kolacja. Mleczna zupa – taka sobie. Ale ciepła, co najważniejsze. Nie wszyscy jedli. Przy kolacji kapitan zmiany dość obiecująco oznajmił nam, że jutro zostaniemy przeniesieni do lepszych warunków: „Proszę wybaczyć te obecne, ale nie byliśmy przygotowani na takich gości". Tak krótko można streścić przydługą stękaninę kapitana więziennictwa.

W celi zostaliśmy sam na sam z powietrzem, które było bardzo suche i śmierdzące. Za oknem na oświetlonym dziedzińcu osiadały w złotych smugach reflektorowego światła białe płatki śniegu.

W celi rozpoczęły się teraz opowieści na rozmaite tematy, kawały od społecznych począwszy, przez seksualne do politycznych. Czego tam nie było? Władziu Krupiarz opowiadał swoje przeżycia na Syberii – aż ciarki przechodziły po kościach, bądź co bądź warto było o tym usłyszeć, bo nie wiadomo było, co nas może jeszcze czekać. W opowiadaniu kawałów prym wiódł Kazio Zmarlik – pękaliśmy ze śmiechu. Dodawało to odwagi i dawało chwilę zapomnienia o tym, co przeszliśmy, oraz pozwalało oderwać się od troski o to, co nas jeszcze czeka. To była nasza obrona, która się stopniowo coraz bardziej doskonaliła.

Kończyły się żarty, rozmowy cichły. Zmówiliśmy modlitwy i zaczęliśmy układać się do snu. Niektórzy bardzo szybko smacznie chrapali. I ja wkrótce zasnąłem. Świat spowiła manna snu i nocy. Zza drutów i siatek dobiegały pojedyncze szczekania psów. Dusze ludzkie unosiły się w tej celi, tworząc zwarty solidarny krąg, który – jak wierzyliśmy – nigdy nie pęknie. Próżne zakusy ubeków, ZOMO, MO i innych, aby zerwać te więzi! Te kajdany, które solidarnie razem podjęliśmy i nieść będziem, aż zajaśnieje jutrzenka wolności!

***

Mikulec: *Obudziły nas szumy na korytarzu i stuki kotłami. Zapalili światło. W celi panował nieprzyjemny fetor po nocy. Potęgował to rozpalony do czerwoności piecyk, który łapczywie pochłonął dwie węglarki węgla.*

Otworzyli celę. Zapewne była godzina 6.00 lub trochę później. Menu nie było zbyt ciekawe. Zupa o niezwykłej konsystencji i zapachu. Dostaliśmy również nieco później dwa wiadra wody na poranną toaletę. Myliśmy się kolejno, a raczej papraliśmy, bo wcale to nie przypominało mycia.

Gdzieś po dwóch godzinach do celi wszedł klawisz i kazał się spakować w celu przejścia na górne piętra do niby lepszych warunków. Zbieraliśmy mandżury, platery itp. Pożegnaliśmy kolejną celę.

Długi, znajomy korytarz, potem plac, aż wreszcie przejście między dwoma wysokimi murami, brama i wejście do kolejnego skrzydła byłego klasztoru. W czasie marszu, zza okratowanych okien ukazywały nam się sylwetki więźniów przyjaźnie machających do nas rękami. Byli to jedyni przyjaciele w tych murach. Byliśmy przecież na jednakowym statusie, tylko różniliśmy się nazwą. Oni byli więźniami, a my byliśmy internowani.

Dotarliśmy do II Pawilonu. Poszliśmy przez okratowaną z dołu i od góry klatkę schodową na piętro. Tam po wyjściu skierowano nas do celi nr 92, dalej były cele o numerach 93 i 94, świetlica i cela nr 95. Weszliśmy do naszego nowego mieszkania. Była to ogromna cela 44-osobowa, bo tyle było prycz. Trzy okna podobnie jak w poprzedniej, zza których dochodzi gwar życia wolnego (które często nazywaliśmy „duże więzienie"). Gdy weszliśmy do celi, było tam już dosyć dużo tych, których wcześniej tu doprowadzono.



Wejście na oddział w pawilonie piętrowym (widok obecny). *Długi, znajomy korytarz, potem plac aż wreszcie przejście między dwoma wysokimi murami, brama i wejście do kolejnego skrzydła byłego klasztoru. W czasie marszu, zza okratowanych okien ukazywały nam się sylwetki więźniów przyjaźnie machających do nas rękami. Byli to jedyni przyjaciele w tych murach. Byliśmy przecież na jednakowym statusie tylko różniliśmy się nazwą. Oni byli więźniami a my byliśmy internowani. Poszliśmy przez okratowaną z dołu i od góry klatkę schodową na piętro.*

Fot. Mirosław Lewandowski

Mohl: *Pojemność naszej celi była obliczona na przyjęcie 44 osób. To było „lekkie niedoszacowanie" naszych potrzeb sanitarno-higienicznych, bo przewidziano kącik sanitarny wyposażony w jeden kran ze zlewem plus jedno oczko ustępowe. Warunki bytowe były dalekie od cywilizowanych.*

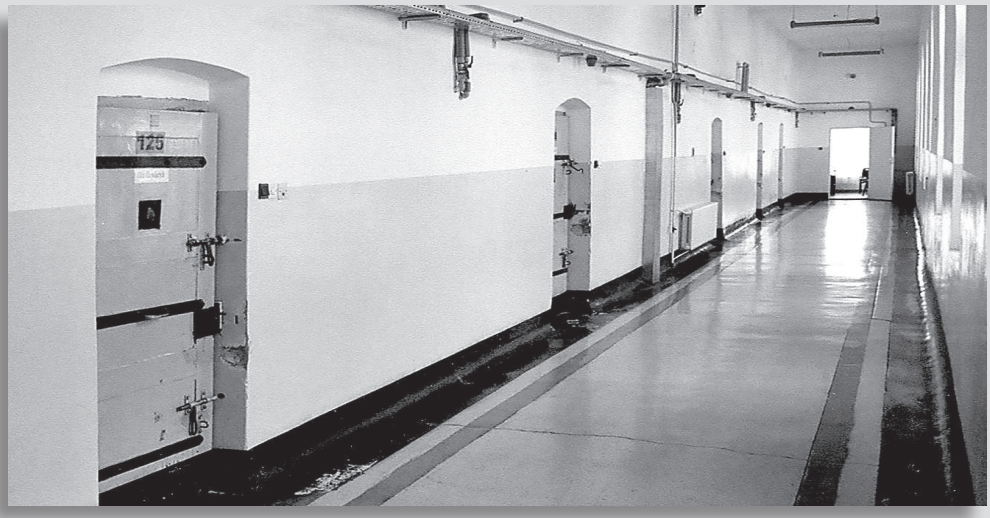
Na początku było sporo wakatów, ale w ciągu następnych dwóch dni był już prawie komplet, bo przywieźli hutników z Huty Lenina i walcowni w Bochni, a także kolejarzy, chyba z Płaszowa.

Do celi w Pawilonie II przeniesiono także i tę grupę internowanych, która przyjechała do Wiśnicza poprzedniego dnia. Tatara: *Po kilku dniach przeniesiono nas do celi na piętro, gdzie siedziało nas ponad trzydziestu, m.in. Apanowicz, Gajdarski, Gąsiorowski, Grzywacz, Krzysztof Goerlich* [ur. 1950, oceanograf, członek KZ NSZZ„S" w Instytucie Geologii PAN, członek ZR Małopolska, delegat na I KZD; zwolniony 24 grudnia 1981 r.], *Kaczmarek, Krupiarz, Lassota, Maciejowski, Małek, Mikulec, Pakoński, Staszczak, Wawrzycki, Zmarlik, Żurek. Warunki były tam całkiem niezłe, kanalizacja, centralne ogrzewanie, duże okna z widokiem na okolicę.*

Mikulec: *Zaczęliśmy się witać z osobami, które już były w celi. Zajmowaliśmy miejsca do spania. Tym razem ja ulokowałem się na górze. Miało być cieplej. Każdy nad łóżkiem miał szafeczkę, w której mógł trzymać rzeczy osobiste. Na razie nie było co w nich trzymać, bo wszystko nam odebrano. Obok mnie spał Lech Jeziorny, dalej Kazio Apanowicz, a jeszcze dalej był kibelek. Po lewej zaś ręce Jurek Mohl, z którym zaprzyjaźniłem się bardziej niż z innymi.*

Mohl: *Moja prycza (spałem na górnej) była przy samym oknie, z którego wiało straszliwie. Szyba w oknie była pojedyncza, więc od strony wewnętrznej zaczął się na niej gromadzić lód (na skutek różnicy temperatur) i po kilku dniach jego warstwa była na tyle duża, że nawiew ustał całkowicie, ale miałem wrażenie, że śpię przy otwartej lodówce.*

Na pryczy poniżej spał Krzysztof Gąsiorowski, który będąc nałogowym palaczem i mając niezbyt chyba zdrowe płuca, urządzał istne koncerty kaszlu od 3 do 6 rano każdego dnia. Mój ojciec zawsze uważał go za kapusia i prowokatora SB, a czas pokazał, że miał rację. Póki co Gąsiorowski był najwyższym funkcją działaczem KPN-u internowanym

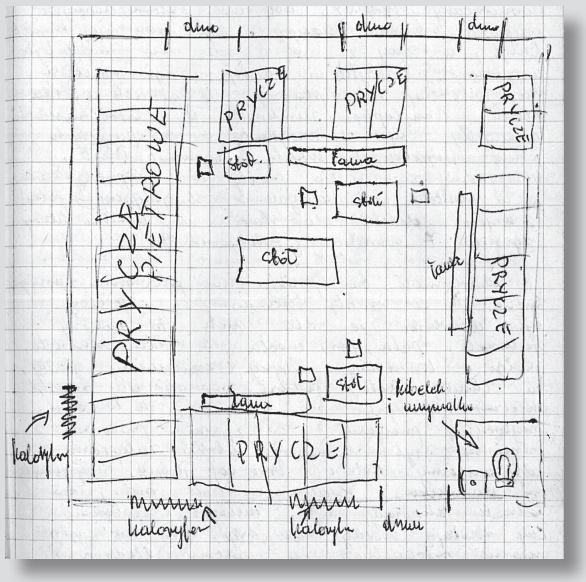


Korytarz więzienny w pawilonie piętrowym (widok obecny). Fot. Mirosław Lewandowski

w Nowym Wiśniczu, a później w Załężu. Miałem do niego stosunek uprzejmo-niechętny i nie wdawałem się z nim w żadne dyskusje, co było o tyle łatwe, że z racji moich 18 lat nie miał ze mną o czym gadać. Denerwujący był w swoim sposobie bycia (choć nie można mu było odmówić poczucia humoru), a ten jego „strój codzienny", w którym wyglądał jakby uciekł z planu zdjęciowego filmu o II wojnie światowej, to była czysta groteska. Cóż, podobno nie szata zdobi człowieka...

W pierwszym dniu pobytu w nowej celi poznałem się z Waldkiem Mikulcem, który był wówczas studentem I roku polonistyki UJ a z którym po wyjściu z internowania utrzymywałem ścisły kontakt.

Mikulec: *Cela miała wymiary 12 na 10 metrów. Połamana podłoga. Tu i ówdzie wystawały deski, na których często się potykaliśmy. Ponadto cała podłoga falowała i przesuwała się przy naszym ruchu. W tej wysokiej na 5 metrów celi były 4 żarówki, jeden kibel (ale już z sedesem) i jedna umywalka z brudną, zimną wodą. Kącik toaletowy był odgrodzony drewnianą balustradą w kącie koło drzwi. Był tam straszny brud i smród, a na ziemi warstwa śmierdzącej mazi. Kibelek często się zapychał. Można sobie wyobrazić załatwianie się 44 chłopów – oczywiście, nieunikniona była kolejka, drobienie nogami itp. Cela ogrzewana była 3 kaloryferami. Temperatura była średnia.*



Plan celi w piętrowym pawilonie w Nowym Wiśniczu. *Cela miała wymiary 12 na 10 metrów. Połamana podłoga. Tu i ówdzie wystawały sterczące deski, na których często potykaliśmy się. Ponadto cała podłoga falowała i przesuwała się przy naszym ruchu. W tej wysokie na 5 metrów celi były 4 żarówki, jeden kibel (ale już z sedesem) i jedna umywalka z brudna, zimną wodą. Kącik toaletowy był odgrodzony drewnianą balustradą w kącie koło drzwi. Był tam straszny brud i smród, a na ziemi była warstwa śmierdzącej mazi. Kibelek często się zapychał. Można sobie wyobrazić załatwianie się 4 chłopów – oczywiście nieunikniona była kolejka, drobienie nogami itp. Cela ogrzewana była 3 kaloryferami. Temperatura była średnia.*

Rys. Waldemar Mikulec

Oprócz kącika toaletowego, opłakany widok przedstawiały wszystkie sprzęty, a więc taborety, ławy i stoły. Było to strzępy przedmiotów, brudne i kalekie, zdezelowane – zapewne gdyby zamknąć tutaj naszego poetę rupieci Białoszewskiego, tworzyłby o nich piękne poematy, nobilitujące ułomność do rangi wzorów cywilizacyjnych. A może miałby rację?

Przed samym południem zaczęto nas po kolei wzywać i sprawdzać przywieziony depozyt. Wydawano również niektóre rzeczy: sznurówki, zegarki, medaliki i przybory do pisania.

Dzień toczył się normalnie. Nadeszła pora obiadu...

W celi tuż nad drzwiami były głośniki i cały czas leciał Program I Polskiego Radia. Szczekano komunikaty WRON-y, listę internowanych (oczywiście, bardzo skąpą – był na niej Krzysiek Bzdyl, a my nie; o nas nie warto było wspominać!). Politykami małej rangi

nikt się nie interesuje, wystarczy, że się ich unieszkodliwi. Najlepiej ich zamknąć. W wiadomościach pojawiały się komunikaty o strajkujących jeszcze kopalniach „Wujek", „Ziemowit" i „Piast". Wieczorem z radia poleciały okropne słowa: „Wskutek odblokowywania strajkującej kopalni „Wujek" doszło do starć, w wyniku których zginęło 7 górników [faktycznie – 9]*".*

Wiadomość ta powaliła nas jak grom z jasnego nieba. Czemu zresztą łudziliśmy się? Przecież było wiadome, że dla nich to jedyny ratunek: pała, gaz, woda, a ostateczność to czołgi i karabiny. Wszyscy zwiesiliśmy głowy. Za chwilę Lech Jeziorny poddał propozycję, aby zmówić „Wieczny odpoczynek" za górników. On to chyba najbardziej przeżywał, bo z nimi pracował i z nimi się zżył. Potem wbrew zakazom odśpiewaliśmy „Rotę" i „Boże coś Polskę". Łzy cisnęły się do oczu. Każdy zaciskał pięści. Cóż jednak one znaczyły naprzeciwko kul i czołgów? Czy zdołamy kiedyś zwyciężyć? O, nie wątp marny człowieku, bo wątpiąc błądzisz i zapierasz się sam siebie, swojego ja, swojego sumienia, a przede wszystkim musisz ulec! Znów na polskiej ziemi padły bratobójcze strzały! Okrutny tyran moskiewski rzucił na szalę ostatni atut – broń i i morderstwo! Czy zwyciężył? Pozornie, tutaj – tak. Lecz za grobem i w historiozoficznym wymiarze świata zwyciężyli górnicy! Cześć ich pamięci! Pozostaną dla nas na zawsze symbolami walki o prawdę i sprawiedliwość z despotyzmem i tyranią.

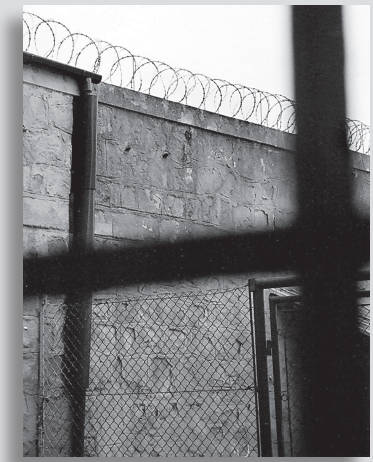
Po kolacji (mleczna zupka) rozpoczęły się rozmowy w małych grupkach na różne tematy. Lech Jeziorny mówił o „Wujku", trochę znał to środowisko, mówił, że było zdominowane przez KPN i że górnicy tego czerwonym nigdy nie zapomną.

O godzinie 21.30 zgaszono światło. Zmówiliśmy wspólną modlitwę za górników, własne paciorki i położyliśmy się spać.

Czy rodziny pomordowanych tego wieczoru też kładły głowę do ciepłej poduszki? Czy usypiały ze spokojem? Tego, co przeżywały, nikt nie jest w stanie opowiedzieć ani opisać. To tylko można było częściowo odczuć, gdy się samemu znajdowało z dala od rodziny, za grubymi okratowanymi murami, ale wśród wspaniałych ludzi.

Zza okratowanych okien dochodziło ujadanie psów, które biegały pomiędzy murami a siatką. Na obydwu ogrodzeniach były trzy rzędy drutów kolczastych – jeden nad drugim. „Jaruzel", bo tak nazwaliśmy psa, wesoło ujadał, przypominając nam, że zęby jego są dosyć ostre oraz że siatka i mur są też dosyć wysokie i niedostępne, a nad tym wszystkim czuwa jeszcze wprawne oko klawisza z karabinem.





Spacernik i widok z okna celi w Nowym Wiśniczu (widok obecny). Fot. Mirosław Lewandowski

***

Do innej celi trafił Stanisław Kuś. Warunki były podobne: *Bez żadnej kontroli osobistej zaprowadzili nas do cel. Były to duże cele, z wielkimi oknami. Pierwsze dni internowania wspominam dobrze. Po młynie, który miałem w Zarządzie przed 13 grudnia, w Wiśniczu czułem się prawie jak na wczasach! Wszedłem na pryczę pod sufitem i tam sobie leżałem, nie przejmując się niczym. Wielu tak się zachowywało. Inni jednak nie potrafili siedzieć spokojnie, chyba przez stres.*

Niestety, warunki sanitarne były ciężkie. Wielki kubeł za przepierzeniem, który trzeba było potem wynosić, wylewać, myć. Podłoga z desek.

Obsługiwali nas więźniowie kryminalni. Ktoś z nich podał nam karteczkę z napisem – „Są tu tacy, co trzymają z Wami".

Brali każdego z nas do lekarza (okazało się, że lekarzem był mój szwagier; dałem mu część moich papierów, jakie miałem przy sobie, dzięki temu się uratowały).

Mnie tam było bardzo dobrze. Można było pogadać, poczytać. Kostek Miodowicz uczył się na przykład archeologii z takiego klasycznego czeskiego podręcznika...

Mikulec: *Wiśnicz dla nas był przedszkolem więzienia, jeśli można tak powiedzieć. Jak wyglądało to przedszkole? Ot, bardzo zwyczajnie.*

Godzina 6.00 – pobudka, bardzo przeraźliwy i silny dzwonek. Wyskakiwaliśmy z łóżka jak po kuble wody. Wciągaliśmy na nogi buty, bowiem boso chodzić po zmrożonych deskach nie było zbyt przyjemnym zajęciem.

Godzina 6.30 – apel. Wchodził jakiś kapitan z kilkoma klawiszami. Ustawialiśmy się wtedy w dwuszeregu, aby oficer zmiany mógł nas policzyć i było po wszystkim. Zwykle na apelu przekazywano pisemne skargi, prośby o wizytę u lekarza lub petycje. Należy zaznaczyć, że inne cele bojkotowały tego typu ustawianie. U nas jakoś to nie przeszkadzało. Po prostu traktowaliśmy to jako sprawę drugorzędną. Tylko jeden z naszej celi ustawicznie bojkotował apel – Kazio Apanowicz. On albo spał, albo był chory i wtedy też spał. Pamiętam też jeden taki śmieszny apel, kiedy po kilkukrotnym liczeniu przez klawisza okazało się, że brakuje jednego internowanego. Zrobiliśmy głupie miny i zaczęliśmy spoglądać na siebie tajemniczo. Klawisze stawali się coraz bardziej nerwowi. I wówczas zza parkanu klozetowego rozległo się głośne pierdzenie, a klawisz stojący przy drzwiach włożył głowę za parkanik i krzyknął radośnie, jakby mu się syn narodził: „Tu jest!". Gruchnęliśmy śmiechem, który trwał długo jeszcze po apelu.

Po apelu zwykle rozpoczynała się gimnastyka poranna prowadzona przez Piotrka Gajdarskiego, krępego porucznika (bo taki stopień miał w wojsku) o wyglądzie kulturysty i – trzeba dodać – piekielnej sile. Początkowo gimnastyka szła dość ospale, lecz co dnia przybywało ćwiczących. Codziennie rano i wieczorem machaliśmy rękami i nogami, stojąc w kalesonach przy otwartych oknach. Było to ranne antidotum na atmosferę zastoju i stagnacji, jaka mogła wśród nas zapanować. Ćwiczyliśmy coraz bardziej regularnie i intensywnie do 30 minut. Silniejsi ćwiczyli dość siłowo, mocując się ze stołkami i machając po kilkanaście razy ciężkimi ławami nad głową. Robiliśmy różne zawody w składaniu na rękę. Rywalizacja była bardzo sportowa. Dawało to lepsze samopoczucie i poprawiało wewnętrzna kondycję i samodyscyplinę, uodparniało na zimno, głód czy nieżyt żołądka przy niezbyt strawnym jedzeniu.

Ważnym elementem życia celi było jej wietrzenie przy każdorazowym powstaniu jakiegoś smrodu, a takowy przy zapełniającym się dość często kubełku pojawiał się wiele razy dziennie.

Po gimnastyce było śniadanie.

Krótko o technice rozdziału żywności na cele. Otóż, prowiant suchy otrzymywaliśmy zawsze na dwa dni. A więc chleb (pół bochenka na osobę, zwykle był to chleb bułkowy, ku naszemu zaskoczeniu) i margaryna (jedna na 8 chłopów). Wydawano tę żywność po południu. Przynosił ją kalifaktor na wielkich noszach. Przeważnie był to chleb z margaryną lub czerwony salceson, wątrobianka. Z wędlinami (jeśli w ogóle te rzeczy przypominały wędliny) nie było problemu, bo lodówka była przy oknie. Mróz był tak wielki, że na wewnętrznych szybach od celi były warstwy 10-cm lodu, który tłukliśmy i wyrzucaliśmy. Lód robił się z ociekającej po szybach pary wodnej. Okna uszczelnialiśmy wolnymi materacami z prycz. Gorzej było z chlebem, który przez noc wysychał. Najwięcej kłopotów było z nożami. Początkowo wydawano nam na cele i wieczorem przed apelem zawsze zabierano. Śmieszne. Dobrze, że Piotrek Gajdarski znalazł nóż pod siennikiem poprzednich więźniów z tej celi i wtedy mogliśmy z niego korzystać. Później klawisze zaczęli zapominać o odbieraniu noży na noc i wkrótce z tego zrezygnowano, dodając nam (po naszych staraniach) drugi nóż.

Godziny wydawania posiłków były następujące.

Śniadanie: 6.30-7.00. Zawsze była to kawa czarna, ale ciepła, można jej było wziąć nawet drugą porcję do miski. Cukier wydawano wraz z prowiantem suchym, ale dawano go bardzo mało. Kto pierwszy – ten słodził. Po wydaniu kawy jedliśmy w celi zazwyczaj śniadanie. Były kolejki do noża i do cukru (jak również do kibelka i umywalki). To wszystko było celowo zaplanowane, aby wykończyć nas nerwowo.

Po śniadaniu zwykle każdy zajmował się swoimi zajęciami – w zasadzie to nie było nic do roboty, prócz grania w szachy i warcaby. Ale i do tego była kolejka. My z Jurkiem Mohlem drapaliśmy na szafkach nad głową nasze inicjały, miejsce i daty internowania i daty kolejnych dni przebytych w tej celi. Wyglądało to mniej więcej tak:

M.W. Internowany w Krakowie 14.12.1981 – po dwóch dniach aresztu na ul. Mogilskiej w Krakowie przewieziony do N. Wiśnicza

15.12. • 16.12. • 17.12... aż do 28.12.1981.

Z boku wydrapałem dwa cytaty:

„Nigdy z królami nie będziem w aliansach.
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi”

oraz

„Bo tylko własne upodlenie ducha
ugina wolnych szyję do łańcucha”.

Jurek też coś skrupulatnie skrobał, ale już nie pamiętam, co to było. Na tych szafkach zawierała się historia kilku ludzi, były imiona i inicjały nazwisk z paragrafami, na podstawie których byli skazani oraz z wymiarami kary.

Od środy nasza cela wysunęła żądania:

1) *zawiadomienie rodzin o miejscu naszego pobytu i umożliwienie kontaktu z nimi,*
2) *podanie zasad, na jakich tu przebywamy, tj. statusu internowanego,*
3) *zapewnienie fachowej opieki nad chorymi, przeniesienie ich do szpitala,*
4) *umożliwienie udziału we mszy świętej, spowiedzi i komunii,*
5) *zapewnienie prasy, biblioteki i gier rozrywkowych,*
6) *przeprowadzenie spaceru.*

Sąsiednie cele (93, 94, 96), z którymi kontaktowaliśmy się, krzycząc przez otwarte okna, wysunęły prawie identyczne żądania. Ponawialiśmy je pisemnie, jak również ustnie, na apelach. Niedługo wezwano przedstawicieli cel na rozmowy. Od nas poszedł Pakoński

i Sonik. Okazało się, że listy do rodzin będziemy mogli napisać, regulaminu jeszcze nie ma, spacery są wstrzymane, biblioteka i praktyki religijne – będą realizowane.

Wkrótce dali nam jakieś kartki papieru bibułowego i koperty. Zaczęliśmy skrobać trzęsącymi się rękami listy i kartki do rodzin. Trzeba było czekać na długopis lub flamaster, bo nie było czym pisać. Ponieważ nie mieliśmy na czym pisać ani kopert, ani długopisów – postawiliśmy sprawę wypiski. Już około 20 grudnia mogliśmy kupić przynajmniej koperty i znaczki. Poza tym do zakupu było:

– 8 paczek papierosów „Sport",
– pół kilograma cukru,
– cebula,
– herbata,
– dżemy,
– pasta do zębów i szczoteczka,
– pasta do butów,
– wkład do długopisu,
– salceson,
– 30 dag żółtego sera,
– coś tam jeszcze.

Kupić można było za cenę 250 złotych. Paragony na wypiskę wydano nam przed niedzielą, tj. 20 grudnia, lecz wypiska odbywała się celowo z opóźnieniem. Klawisze widocznie byli dobrze poinformowani o tym, że palącym w celi brakło dawno papierosów. Świadomie więc odwlekali wydanie należnych części, aby doprowadzić do rozstroju. Często w chwilach, gdy palaczom brakowało papierosów, dochodziło do ostrych spięć np. między kapeenowcami, a „Solidarnością". Wypiska była wydawana do 28 grudnia, ale i tak nie wydano chyba wszystkiego, brakowało to żółtego sera, to salcesonu itd. Najważniejsze, że otrzymaliśmy koperty i takie małe karteczki z kopertami tak, że można było powiadomić rodzinę. Wszyscy skrzętnie pisali do swoich najbliższych: ojca, matki, żony, dziewczyny, dzieci... Pisali, że żyją, żeby się nie martwili i że „Solidarność" zwycięży. Ach, jaka ciekawa byłaby księga listów z rozłąki każdego internowanego!

Ciekaw jestem mojego pierwszego listu do Rodziców. Czy oddaje on właściwie klimat tych dni? Zechciej Czytelniku sięgnąć do tych bibuł zapisanych niebieskim flamastrem i wspomnij o tych dniach brzemiennych w cierpienie i łzy. Zatop swe myśli i serce w tym dramacie, który przeżywała wówczas rodzina i Ojczyzna. Ciężko dzisiaj czyta się słowa: „Jeżeli możecie, to przyślijcie mi ciepłe skarpety, golf, chusteczki do nosa i cebulę. Bardzo ważne – przyślijcie mi książeczkę do modlenia z obrazkiem!". Wszystkie listy były opieczętowane pieczęciami: „Urząd Cenzury" i „Ocenzurowano", były rozerwane lub wręcz rozprute, jeżeli ktoś przez nieuwagę zakleił. Jako adres zwrotny podawaliśmy:

imię i nazwisko,
Zakład Karny Nowy Wiśnicz,
Tarnów.

Z Wiśnicza wysłałem dwa listy i kartkę do domu oraz dwie kartki i list do mojej dziewczyny. Nie otrzymałem żadnych listów czy też wiadomości. Żaden list nie mógł do mnie dotrzeć z dwóch względów:

– *poczta od 13 grudnia 1981 „jeździła żółwiami",*
– *bezpieka kontrolowała je w Krakowie, więc każdy list robił podwójną drogę.*

Własny wolny czas spędzałem rozmaicie. Mało spałem, choć czasami drzemałem po obiedzie godzinę lub dwie.

Mohl: *Jak już wcześniej wspomniałem, miałem wtedy 18 lat i byłem najmłodszym internowanym w naszym regionie. Początkowo nikt na mnie nie zwracał uwagi, ja też nie szukałem specjalnych kontaktów, tylko odsypiałem zaległości jeszcze sprzed stanu wojennego. Praca dla „Solidarności" na zasadzie czystego wolontariatu od września do grudnia 1981 przez 4 dni w tygodniu jako „plakaciarz", którą wykonywaliśmy z Markiem Bikiem, nieco mnie wyczerpała.*

Mikulec: *Dzięki ustawicznemu kołataniu u władz więziennych otrzymaliśmy katalog książek bibliotecznych z Wiśnicza. Była to bardzo dobra biblioteka w porównaniu z Załężem, gdzie później siedzieliśmy. Możliwość czytania książek była dla wszystkich internowanych bardzo radosną nowiną. Było w czym wybierać. Ja pożyczyłem „Historię literatury polskiej" Krzyżanowskiego i jakieś dwie filologiczne książki.*

Nasza cela grupowała także namiętnych miłośników brydża, m.in. Pakoński, Jarzmik, Lassota, którzy cierpieli bardzo z powodu braku sprzętu sportowego. Wysunęli jednak bardzo szybko koncepcję, aby każdy zakupił na wypiskę dodatkowo po kilka kartek, z których będzie można zrobić karty do gry. Na szczęście wcześniej kapitan odpowiedzialny za bibliotekę przyniósł karty biblioteczne, na których Zbylut Grzywacz wymalował karty do gry i to jakie! Otóż, każda z dam i każdy z królów były namalowane w tak niedwuznacznych pozach, że nawet podręczniki Wisłockiej z czarno-białymi scenkami, ba! nawet japońskie książki erotyczne nie mogłyby konkurować z naszymi „pornokartami". Aż miło było popatrzeć na tak piękne rysunki. Zainteresowanie kartami było wielkie. Sądzę, że najczęściej mieli je w rękach ci, którzy z brydżem nie mieli wcześniej nic wspólnego. Ale grający nie zwracali na to zbytniej uwagi. Miejmy przynajmniej taką nadzieję, że pasjonowała ich tylko gra.

Życie celi zaczęło się wyraźnie organizować. Mimo kilku sporów i zgrzytów wewnętrznych coraz bardziej integrowaliśmy się. Kierownictwo celi (które spełniało swoją rolę w momencie rozmów i pertraktacji z władzami więzienia) obejmowali w tych wypadkach Sonik i Pakoński. Oni najbardziej nadawali się do pertraktacji z terrorystami (tj. bezpieką czy ubolami – jak komu wygodniej). Poza tym coraz częściej zaczęto w celi wysuwać postulaty wewnętrznej dyscypliny, porządku i prawa.

Hasło naczelne – w żadnym stopniu nie będziemy tolerować kolaborantów i kapusiów!

Jako że – wszyscy byli co do tego zgodni – szykuje nam się dłuższe zapierdlenie, powinniśmy ten czas wykorzystać na samokształcenie. Mamy wśród siebie przecież ludzi ze znajomością języków obcych czy też specjalistów z różnych dziedzin nauki. Chodziło tylko o organizację. Wykłady prowadził Robert Kaczmarek, a prelegentami były różne osoby. Jeden wykład był przed południem (od godziny 10.00) a drugi po obiedzie (od godziny 15.30). Harmonogram ustalał Robert Kaczmarek. Gdy prelegent mówił, rozmowy w celi zamierały. Wszyscy zamienialiśmy się w słuch. Gdy coś było niezrozumiałego, to przerywaliśmy, zadając pytania.

Oto nazwiska niektórych prelegentów, tematy i główne tezy dyskusji:

Robert Kaczmarek – „O sekcji informacji w ZR NSZZ Solidarność Małopolska: System ABC, Aktualności, Goniec Małopolski". Dużo było krytyki pod adresem Roberta, że Sekcja Informacji nie funkcjonowała zbyt dobrze. Zarzucano mu również klanowość we władzach „Solidarności" i monopol na koncepcję Związku oraz bojkotowanie prasy kapeenowskiej (wynikła dosyć ostra kłótnia Kaczmarek – Bzdyl, włączył się jeszcze Kazio Zmarlik – na szczęście skończyło się tylko na wymianie zdań).

Krzysiek Gąsiorowski – „Moje przeżycia w więzieniu za czasów stalinowskich". To była świetna chwila, w której wczuliśmy się w tamtą atmosferę stalinowskiej nocy, gdy zbrodnicza ręka karała prawdę i dusiła wolność. Krzysiek z niezwykłą dokładnością opisywał

metody działania ówczesnego aparatu bezpieczeństwa. Z największym zainteresowaniem słuchaliśmy jego losów w więzieniu, w którym obecnie siedzieliśmy. Krzysiek opisał dokładnie nieludzkie metody traktowania, zbrodnie na więźniach, bicie i maltretowanie na przesłuchaniach, karcery...

Zbylut Grzywacz, profesor ASP – „O sztuce socrealizmu".

Jasiu Fricze i Wiesiek Nowacki – „Dlaczego w Polsce nie ma szynki?".

Andrzej? [prawdopodobnie – Szczepański] *pracownik AGH – „Jak się robi pieniądze na Zachodzie?".*

Piotrek Gajdarski – „Zwyczaje i obrzędy wigilijne w Polsce i na świecie".

Ja z Jurkiem Mohlem – „O ruchu samorządowym w liceach i wyższych szkołach po sierpniu 1980". Niestety, wykład ten nie doszedł do skutku, bo został zaplanowany na 29 grudnia 1981 r., a wtedy byliśmy już rozbici na małe cele w Załężu.

Lech Jeziorny – „Jak powstał NZS".

Władziu Krupiarz – „O Syberii i jej mieszkańcach" (ten wykład, niestety, również nie doszedł do skutku).

Niektóre debaty po prelekcjach miały tak burzliwy przebieg, że kończyły się zażartymi pojedynkami na słowa. Niejednokrotnie po upływie kilku godzin znów powracały na usta jak odbita fala z dna oceanu.

Niezależnie od wykładów, w celi dochodziło często do gorących dyskusji, które zapalane od jednej zapałki wybuchały nieraz wielkim płomieniem. Często inicjował je Robert Kaczmarek (który znakomicie potrafił moderować dyskusje), jednak pierwsze skrzypce wiedli zwykle Romek Hnatowicz z Wieśkiem Nowackim.

Zarówno dyskusje, jak i wykłady dawały nam podwójną korzyść – rozwijaliśmy się intelektualnie oraz zabijaliśmy czas (którego było w nadmiarze). Było to istotne, bo w więzieniu życie jest wielkim trwaniem w sobie, bo tylko ze sobą rozmawiało się szczerze. Wykłady i dyskusje miały więc duży wpływ na zdrowie psychiczne więźniów. Za kratami każdy więzień wskutek intensyfikacji procesów myślenia ma wiele skojarzeń i wrażeń, a cały jego umysł jest skupiony na słowie „jutro". Natłok wrażeń i stanów stresowych wiąże się z „błądzeniem myślowym" w postaci „stanów zapalnych" mózgu. W więzieniu objawia się to rozmaicie. Obserwowałem zachowanie ludzi, którzy nadmierni „główkowali". Prowadziło to do ich alienacji z naszej grupy i do dziwacznych zachowań:

– wielogodzinne leżenie na pryczy,

– spanie po 15 godzin na dobę,

– odsuwanie się od wszelkiego życia więziennego.

I tu dochodzimy do sedna sprawy – wykłady i dyskusje były czynnikiem emocjonalnym w więziennej monotonii. Praktycznie każdy mógł brać udział w tych sporach i walczyć o swoje.

Wydawanie michy (czyli obiad) odbywało się w godzinach 13.00-15.00. Kalifaktorzy, którzy odpowiedzialni byli za rozdzielanie miski, byli ściśle izolowani. Spali na naszym oddziale, ale kotły dostarczała im inna grupa, z którą nie mieli kontaktu. Gdy na korytarzu zabrzęczały znajome kotły z michą, wszyscy zrywali się z prycz i z platerami biegli do drzwi. Chwilę potem zgrzytał zamek i w uchylonych drzwiach ukazywał się wózek z kotłami w asyście kajfusów i klawisza z pękiem kluczy. Po napełnieniu misek wracaliśmy do celi – szybko trzeba było szukać jakiegoś miejsca do godnego żarcia (były tylko trzy stoły).

Najgorsze czekało nas jednak po jedzeniu. Tłuste miski nie dawały się w żaden sposób domyć, tym bardziej że dysponowaliśmy tylko zimną wodą. Iście dantejskie sceny działy się w naszym kąciku czystości. Chłopcy bluzgali, a tłuszcze rozciągały się równomiernie po

ściankach misek, utrwalając w kolejne warstwy. Stan ten trwał dość długo, aż zażądaliśmy ciepłej wody, która została przyznana, jako kolejny akt łaski służby więziennej i bezpieki.

Po obiedzie zazwyczaj była sjesta. Jedni odpoczywali, inni ucinali sobie drzemkę, jeszcze inni puszczali dymek, jeśli mieli co palić. Należy bowiem wspomnieć o swoistej metodzie walki z ekstremą, którą można nazwać „wojną tytoniową". Otóż gdzieś po 16 grudnia 1981r. w celi zaczęły kończyć się zapasy fajek, co też dało się szybko zauważyć, poprzez agresywne zachowanie namiętnych palaczy. Po południu oprócz zajęć indywidualnych, takich jak: czytanie, rozmyślanie, wspólne gryw karty lub szachy, rytuałem późnego popołudnia (często wieczora) były spotkania z eleganckimi „panami" z bezpieki. Różnie to nazywano: rozmowa (tak mówili klawisze), przesłuchanie, rozmowa profilaktyczna (takiej nazwy używała reżimowa propaganda), „chodzenie do ubeków" (określenie pospolite). W Wiśniczu rozmowy te miały ograniczony zasięg i obejmowały niekiedy dziwnie (losowo?) wybranych internowanych. Pamiętam, że był na rozmowie Szczybalski z MPK, bardzo długo męczono Krzysia Gąsiorowskiego (wiadomo – szef KPN Obszaru Południe) [dziś wiemy, że powody „męczenia Krzysia" przez SB mogły być inne – czy donosił on SB także na swoich kolegów z internowania?]. *Był również Kazio Zmarlik, Lech Jeziorny, Krzysiu Krynke oraz Romek Hnatowicz. Najbardziej zabawna (dla jednych) i przerażająca (dla innych) była scena powrotu do celi Andrzeja z AGH. Po wejściu do celi ze łzami w oczach oświadczył:„Cholera! Wszystko wiedzą!". Po czym udał się na swoja pryczę, z której dopiero dociekliwe pytania z sali zmusiły go do wyjścia i podzielenia się wiadomościami.*

Tatara: *Zaczęto nas przesłuchiwać. Część z nas, w tym ja, była przeciwna wychodzeniu na przesłuchania, inni uważali, że należy rozmawiać, aby się czegoś dowiedzieć. W mojej celi ustalono, żeby chodzić. Chyba tylko Kazimierz Apanowicz się temu nie podporządkował i prawie w ogóle nie wstawał z łóżka, nawet na wieczorne apele. Z naszej celi pierwszego wezwano Krzysztofa Gąsiorowskiego. Trzymali go od popołudnia do pierwszej w nocy. Wzywano następnie innych, w tym mnie. Poszedłem, ale odmówiłem odpowiedzi na wszystkie pytania. Zaproponowano mi podpisanie lojalki, obiecując zwolnienie. Odmówiłem kategorycznie. Z naszej celi tylko Andrzej Wawrzycki oświadczył, że podpisze lojalkę z jakiś bardzo ważnych powodów, których nie wyjawił. Uważałem to za niedopuszczalne, ktoś jednak lojalkę podpisał, bo kilku internowanych zostało zwolnionych przed świętami, m.in. Wawrzycki* [decyzja o zwolnieniu Andrzeja Wawrzyckiego z internowania miała datę 23 stycznia 1982 r.], *Goerlich, Grzywacz.*

Mikulec: *Bezpieka od pierwszych dni stanu wojennego rozpoczęła, oprócz zamykania ludzi, szeroką akcję inwigilacji i przekonywania „grzesznych braci". Wielokrotne rozmowy – straszenie i groźby w większości wypadków doprowadzały jeśli nie do upadku i rezygnacji powiązanej z obietnicami wyjścia z pierdla i spokojnej pracy, to zapewne do złamania początkowej hardości i pewności, których miejsce zajmowały wahanie i ostrożność w słowie.*

Sądzę, że poważny błąd popełniła „Solidarność" zarówno przed, jak i po 13 grudnia, posługując się takimi tekstami np. „Pamiętaj, że masz do czynienia z przeciwnikiem wielokrotnie głupszym i bezmyślnym!". Nie jestem zwolennikiem przeceniania bezpieki. Niemniej jednak chcąc walczyć z wrogiem, musimy go poznać i docenić.

Po kolacji najczęściej każdy robił to, na co miał ochotę. Trwało to gdzieś do 20.00, kiedy przychodził apel. Około 20.30 rozpoczynała się gimnastyka i przybierała formę zbliżoną do porannej, tyle że bardziej intensywnie.

O 22.00 gaszono światło i zasypialiśmy. Były z tym wielokrotne kłopoty. Szczególnie z powodu palenia tytoniu po nocach. Ustaliliśmy wspólnie, że do 22.00 można palić, zaś

potem jest 15 minut wietrzenia celi i sen. Niestety, regularnie te ustalenia były łamane. Pamiętam, że pewnego wieczoru Robert Kaczmarek, gdy poczuł dym po 22, zareagował bardzo ostro i zdecydowanie ruszył w stronę pryczy Kazia Apanowicza. O mały włos nie zakończyło się to pobiciem. Na szczęście pogodziliśmy skłóconych. Potem chłopcy się wycwanili i znakomicie „świecili" fajki pod kocem. Budziliśmy się wtedy w oparach dymu.

Kazio Apanowicz był najbardziej nieregularnym człowiekiem: spał w dzień, na apele nie wstawał, w nocy zaś uparcie szukał kompanów do dyskusji. Molestował Lecha Jeziornego, który gawędził z nim do późnych godzin nocnych.

W środę (23 grudnia 1981 r.) urządzono nam łaźnię, czyli „dżigi-dżago – wszyscy nago". Każdy z dużą dozą niepewności wchodził do łaźni, do której celami doprowadzano poprzez kręte korytarze. Zerkając jeden na drugiego, nieśmiało ściągaliśmy galoty, świecąc tym, co Bozia nam dała. Sama kąpiel była nie najgorsza – woda ciepła i przede wszystkim mokra. Potem wydawano bieliznę osobistą. To się bardzo ładnie nazywało, ale w rzeczywistości były to strzępy białych kalesonów z wielką pieczątką Zakład Karny i jakiś numer oraz koszula szara, ordynarna, niedoprasowana. Początkowo chodziliśmy w tych łachach, lecz wkrótce wyrzuciliśmy je.

Przez cały ten czas usiłowaliśmy nawiązać kontakt z innymi celami. Opracowaliśmy specjalny szyfr do porozumiewania się z celą nr 93. Otóż na 3 stuknięcia w ścianę otwieraliśmy okna i rozmawialiśmy, przy czym jeden zasłaniał „żyda". Na dwa stuknięcia przerywaliśmy rozmowę. Niedługo potem zrobiliśmy z połamanej deski długi kij, na którym podawaliśmy przez okno grypsy. Inny rodzaj kontaktu odbywał się przez fryzjera, który przed świętami przyszedł do celi podnieść higienę włosów (ja ogoliłem się na kolano i wyglądałem jak prawdziwy kryminalista po 10 latach odsiadki). Fryzjer przeniósł kilka grypsów do sąsiednich cel, między innymi opłatki z życzeniami wolności ducha i ciała. Trzeba podkreślić dużą sympatię kryminalistów do nas, co wiązało się prawdopodobnie z ogromną pracą, jaką zrobiła „Solidarność" na rzecz poprawy warunków życia więźniów. Więźniowie nie zapomnieli o tym w czasie, gdy ci, którzy ich bronili, znaleźli się po tej samej stronie barykady.

***

Mikulec: *Po kilku dniach zabrano do szpitala Władzia Krupiarza, który miał poważne komplikacje z żołądkiem. Niedługo potem przybył do celi Janusz Małek z NSZZ Taksówkarzy z Bielska-Białej, początkowo otoczony nimbem nieufności... Jeszcze później dotarli w nasze progi Krzysiek Naruszewicz z HiL-u oraz Andrzej Warchałowski i jeszcze jeden pracownik TVP Kraków* [Andrzej Antosz]. *Po świętach celę opuścili koledzy z „Solidarności" MPK oskarżani przez juntę o prowadzenie strajków: Bzdyl, Dyląg, Lewandowski.*

Bzdyl: *Po około tygodniu w Nowym Wiśniczu zostałem przewieziony do Krakowa i aresztowany za organizowanie i kierowanie strajkiem w MPK w Łagiewnikach w dniach 14-15 grudnia 1981 r.*

Dostałem sankcję prokuratorską, a mój czyn, jak mi to powiedział szef prokuratury w Krakowie ppłk Drabik, był zagrożony karą śmierci – odmowa wykonania rozkazu w warunkach bojowych. Odpowiedziałem mu, że to on jest odpowiedzialny za zdradę Polski i za to na pewno grozi mu kara śmierci. Zareagował na to wrzaskiem, zawołał żołnierzy i wyprowadzili mnie.

Przewieźli mnie na ul. Mogilską, a po tygodniu do aresztu przy Montelupich. Zeznań żadnych nie składałem.

Wszyscy członkowie naszego Komitetu Strajkowego stanęli przed Sądem Wojskowym i zostaliśmy skazani na kilka lat więzienia, które jako ostatni, już po amnestii, opuściłem w sierpniu 1983 r.

Bzdyl został oskarżony o to, że 13 grudnia 1981 r., *będąc pracownikiem MPK w Krakowie, przedsiębiorstwa zmilitaryzowanego na podstawie Uchwały Komitetu Obrony Kraju z dnia 12 grudnia 1981 w sprawie militaryzacji, odmówił wykonania polecenia – rozkazu upoważnionych osób funkcyjnych z kierownictwa zakładu w przedmiocie podjęcia pracy i trwał w nieposłuszeństwie do czasu zlikwidowania strajku przez organa porządkowe MO – tj. do dnia 15 grudnia 1981*. Oskarżono go także o to, że *od 13 do 15 grudnia 1981 r., będąc członkiem NSZZ „Solidarność", którego działalność została zawieszona dekretem z dnia 12 grudnia 1981 o stanie wojennym, nie poniechał działalności związkowej, lecz działając wspólnie z innymi działaczami związkowymi, zorganizował i kierował akcją protestacyjną i strajkiem okupacyjnym w Zakładzie Eksploatacji Tramwajów w Krakowie-Podgórzu*. Wyrokiem Sadu Warszawskiego Okręgu Wojskowego z 12 marca 1982 r. w trybie doraźnym Krzysztof Bzdyl dostał karę łączną trzech lat więzienia, której początek należało liczyć od dnia 15 grudnia 1981 r., tj. od dnia internowania. W uzasadnieniu wyroku napisano m.in.: *Zachowanie się oskarżonego przed popełnieniem przestępstwa, jak i w czasie postępowania przygotowawczego i sądowego, głoszone przez niego poglądy i wyrażane opinie wskazują, że postanowił on walczyć z panującym w Polsce ustrojem wszelkimi dostępnymi środkami i jest to cel jego życia.*

Wraz z nim skazani zostali: Aleksander Lepiarz, Jacek Rosiński, Andrzej Sarna (po 3,5 roku więzienia) oraz Czesław Talaga (3 lata więzienia).

Bzdyl: *Aby zobrazować, jak działała prokuratura, powiem, że nie pozwolono nam przeczytać przed rozprawą aktu oskarżenia, bo prokurator powiedział, że nie ma na to czasu. Usłyszałem, że prokurator może nam odczytać tylko najważniejsze fragmenty. Na moje stwierdzenie, że ja mam dużo czasu i chcę przeczytać wszystko, kazał mnie zabrać do celi. W wyniku tego nie znałem w ogóle aktu oskarżenia, a pozostali znali tylko jego fragmenty.* Oskarżycielem w tym procesie był kpt. Marek Gąciarz.

W wyniku wniesionej przez obrońcę Bzdyla rewizji, Sąd Najwyższy (Izba Wojskowa) zmienił zaskarżony wyrok przez uniewinnienie oskarżonego od zarzutu popełnienia przestępstwa z art. 309 § 1 kk oraz uchylenie kary orzeczonej za ten czyn i kary łącznej, w pozostałej zaś części wyrok utrzymał w mocy. Bzdyl został ostatecznie skazany na 2 lata więzienia.

30 stycznia 1982 r. trzej główni oskarżeni (Lepiarz, Rosiński i Sarna) wystąpili z prośbą o ułaskawienie i 15 maja 1982 r. uchwałą Rady Państwa zostali ułaskawieni przez warunkowe zwolnienie, z wyznaczeniem okresu próby na 3 lata.

W przypadku Bzdyla i Talagi z prośbą o ich ułaskawienie wystąpili pracownicy Zajezdni Tramwajowej MPK w Łagiewnikach. Obie prośby Rada Państwa rozpatrzyła 8 czerwca 1983 r. W stosunku do Talagi Rada Państwa skorzystała z prawa łaski przez warunkowe zwolnienie z odbycia reszty kary więzienia z wyznaczeniem okresu próby na trzy lata. Bzdylowi łaski odmówiono. Wyszedł z więzienia w wyniku amnestii w sierpniu 1983 r. (a więc siedział ponad rok dłużej niż koledzy, którzy dostali wyższe wyroki). Można sądzić, że surowe potraktowanie Bzdyla wiązało się nie tyle ze strajkiem w MPK, ile z jego wcześniejszą działalnością w KPN.

Rachunek strat krakowskiego MPK (w tym czasie najbardziej kapeenowskiego z krakowskich zakładów pracy) był wysoki. „Niepodległość" nr 21 z 18 lutego 1983 r. zamieściła „MPK-owską statystykę": *Publikujemy listę pracowników Miejskiego Przedsiębior-*

stwa Komunikacyjnego w Krakowie, którzy po 13 grudnia 1981 byli internowani, zostali skazani za udział w strajku grudniowym lub za kontynuowanie działalności związkowej.
Internowani [6 osób]:
Krzysztof Maciejowski – dyspozytor,
Krzysztof Ogorzałek – motorniczy,
Antoni Piekałkiewicz – motorniczy,
Aleksander Staszczak – motorniczy,
Kazimierz Zmarlik – mechanik,
Michał Żurek – kierowca.
Skazani za udział w strajku w grudniu 1981 [8 nazwisk]:
Krzysztof Bzdyl – dyspozytor, 2 lata, przebywa w Kłodzku,
Ryszard Domagała – kierowca, 2 lata, Kłodzko,
Stanisław Dyląg – ślusarz, 4 lata, Kłodzko,
Aleksander Lepiarz – motorniczy, 3,5 roku, Kłodzko,
Henryk Lewandowski – kierowca, 3,5 roku, Kłodzko,
Jacek Rosiński – kierowca, 3,5 roku, Kłodzko,
Andrzej Sarna – motorniczy, 3,5 roku, Kłodzko,
Czesław Talaga – operator dźwigu, 3 lata, Wrocław.
Sądzeni za kontynuowanie działalności związkowej [11 nazwisk]:
Piotr Chrupczalski – prac. łączności, 1,5 roku, Montelupich,
Kazimierz Kowalówka – mechanik, 1,5 roku, Montelupich,
Andrzej Warciał – prac. łączności, 1,5 roku, Montelupich,
Franciszek Stożek – kierowca, 1,5 roku w zawieszeniu,
Eugeniusz Zadura – kierowca, 1,5 roku w zawieszeniu,
Tadeusz Gorecki – prac. łączności, 1 rok w zawieszeniu,
Krzysztof Grotyński – prac. łączności, 1 rok w zawieszeniu.
Bogdan Kubera – mechanik, wypuszczony bez procesu,
Andrzej Sosin – kierowca, wypuszczony bez procesu,
Jacek Bandura – prac. fiz. zaplecza, uniewinniony,
Władysław Maciuga – mechanik, uniewinniony.

Życie przyniosło nieoczekiwaną pointę, dotyczącą sytuacji w tym przedsiębiorstwie. Oto artykuł („Strzał prawie w dziesiątkę") opublikowany w „Niepodległości" nr 20 z 20 lutego 1983 roku:

18 stycznia 1983 o godzinie 13 z minutami, na terenie Zajezdni Tramwajowej w Łagiewnikach (Kraków-Podgórze), postrzelił się w celach samobójczych komendant miejscowego ORMO Edward Koścień. Samobójca strzelił sobie ze służbowego pistoletu w podbródek, pocisk wyszedł z okolicy oka. Przyczyny próby samobójstwa są na razie nieznane. Życiu Kościenia nie zagraża niebezpieczeństwo.

Niedoszły samobójca, jak przystało na funkcyjnego ormowca, wyróżniał się gorliwością w ściganiu kolegów z Solidarności i KPN, których kilkunastu przebywa w więzieniach za kontynuowanie działalności związkowej. Konfederaci pamiętają go jako głównego świadka oskarżenia w procesie Radosława Hugeta [zob. tom I]. *Koścień przyczynił się do ujęcia Radosława przez MO w październiku 1981, w trakcie akcji ulotkowej na ulicy Basztowej.*

Wśród załogi MPK kolportowany jest żartobliwy komentarz do tego w sumie szczęśliwie zakończonego incydentu. Twierdzi się, że Koścień pragnął swym czynem dowieść, że jest rzeczywiście twardogłowy.

Oprócz pracowników MPK sądzeni byli także – za zorganizowanie strajku – inni internowani.

Mikulec: *Potem zabrali przedstawicieli „Solidarności" z CBA w Krakowie: Józka Lassotę, Krzyśka Pakońskiego i Janka Dolewskiego. W ten sposób ostatecznie ustalił się skład celi. Z bólem żegnaliśmy naszych braci, którzy poszli pod pręgierz surowego prawa WRON-y. Niedługo potem doszły wiadomości o drakońskich wyrokach dla działaczy „Solidarności" z MPK.*

Jan Godlewski, Józef Lassota oraz Krzysztof Pakoński zostali oskarżeni o zorganizowanie i kierowanie strajkiem okupacyjnym w Ośrodku Badawczo-Rozwojowego Przemysłu Urządzeń Chemicznych „CeBeA" w Krakowie i zostali skazani na kary więzienia w zawieszeniu.

***

Mohl: *Pewnego dnia (bodaj był to 3 dzień naszego pobytu w Wiśniczu) do naszej celi wszedł oficer Ludowego Wojska Polskiego, który przedstawił się jako komisarz wojenny czy coś w ten deseń. Był środek dnia i wszyscy byli na nogach oprócz mnie, bo zalegałem na pryczy. Kiedy ten „wroniarz" wszedł, ludzie w celi nie bardzo wiedzieli, jak mają się zachować, więc większość wstała i słuchała, co ten komisarz ma im do zakomunikowania. Ponieważ akurat odczułem konieczność udania się „za potrzebą", zsunąłem się z mojej pryczy i przedefilowałem przed tym oficerem w kalesonach i podkoszulku (w tej celi mieliśmy pościel i po dwa koce na głowę). Moja prezentacja bielizny była na tyle nieoczekiwana, że oficer LWP* [Używamy nieoficjalnej nazwy „Ludowe Wojsko Polskie", stosowanej w czasach PRL, dla zaznaczenia, że nie chodzi tu o wojsko Polski niepodległej] *zapomniał języka w gębie i nim ten niezręczny stan mu minął, byłem już w kąciku sanitarnym, a w tej sytuacji rozmowa ze mną mogła narazić go na śmieszność. Musiał powstrzymać się do momentu, kiedy opuściłem ów przybytek i dopiero w drodze powrotnej zadał mi serię pytań niczym z pepeszy: „A wy co, nie umiecie przyjąć właściwej postawy? Ile wy macie lat? Dlaczego nie słuchacie?".*

Cóż miałem robić w takiej sytuacji? Odpowiedziałem mu grzecznie, że nie jestem w wojsku, nie interesuje mnie, co ma do powiedzenia i w związku z tym idę spać, a lat mam 18, i nie jesteśmy na ty. Po wygłoszeniu tej kwestii wykonałem wejście „wymykiem" na pryczę. Komisarz wojskowy próbował, po wykonaniu niezbędnych procesów myślowych, uświadomić mi, że on tu jest władzą, ale kiedy odpowiedziałem, że przecież do więzienia już mnie nie zamknie, odpuścił sobie, bo na sali rozlegały się śmiechy.

Mikulec: *Niepowodzenie z najmłodszym z internowanych zmusiło młodego ubeka do opuszczenia celi.*

Mohl: *Oczywiście po tej całej sytuacji znalazłem się „w oku cyklonu" zainteresowania prawie wszystkich w celi, co później chwilami bywało męczące. Najbardziej jednak na mój nastrój wpływała świadomość, że moi koledzy walczą z komuną, a ja leżę na pryczy i słucham przygnębiających opowieści o aresztowaniach i o tym jak komuna rozwalała strajki.* Mikulec: *Tuż przed świętami odwieszono spacery. W efekcie byliśmy na spacerze chyba cztery razy, wychodząc na naturalny spacernik stworzony układem zabudowań. Był w kształcie długiego prostokąta. Okazało się, że więźniowie pracują tam w zakładach obuwniczych, które można było oglądać ze spacernika. W czasie spaceru przy 20-stopniowym mrozie chłopcy szaleli. Dzieliliśmy się na dwie grupy i okładaliśmy się śniegiem, ile można było. Urządzaliśmy też gimnastykę, którą prowadził Piotrek Gajdarski („Wujek Piotruś"). Spacery w znacznym stopniu poprawiły naszą sprawność fizyczną i samopoczucie, bo zgniłe powietrze celi stopniowo zasiewało w nas bakcyl starości.*

„Wigilia na Syberii”

Romana Kahl-Stachniewicz: *Najtrudniej było tuż przed Wigilią. Którejś nocy zbudził mnie szloch Magdy, która płakała, że nie wyprała firanek na święta. Te firanki to była ta kropla przelewająca czarę goryczy. Zdecydowanie łatwiej znosiłam odosobnienie. Podejmując się działalności w opozycji, byłam świadoma, że narażam siebie i swoją rodzinę na różne represje, a nawet na nagłe zniknięcie z tego świata. Dlatego też nie oczekiwałam z dnia na dzień, że mnie wypuszczą. Założyłam na początku, że jak będą nas zwalniać, to najwcześniej gdzieś we wrześniu, bo nie po to zatrzymano tak dużo ludzi, żeby ich zaraz pozwalniać. Niestety, Magda była przekonana, że wypuszczą nas na Wigilię, potem rozczarowanie bardzo źle odbiło się na jej stanie psychicznym. Natomiast Halina nie miała złudzeń, ona nawet chyba czuła ulgę, że została internowana i że nie siedzi w więzieniu z wyrokiem za strajk.*

W dzień Wigilii zwolniono Baśkę Kleszczyńską, a Halina dostała paczkę od rodziny, dzięki czemu mogłyśmy podzielić się opłatkiem. Na kracie okna przymocowałyśmy choinkę zrobioną ze sreberek z pudełek od papierosów. Papierosy otrzymywałyśmy na tak zwaną wypiskę.

Siedziałyśmy w płaszczach, kurtkach, kożuchach – opatulone czym się dało. Dzieliłyśmy się opłatkiem i zajadałyśmy się pumperniklem, prawdziwym masłem, serkiem topionym, chałką, piernikami, czekoladą, jabłkami, popijałyśmy to prawdziwą herbatą (dano nam wrzątku do zaparzenia), błogosławiąc w duchu mamę Haliny.

Nawet władze aresztu wyróżniły ten dzień, dając nam do śniadania po kostce szarego smalcu do chleba (jeśli to można było nazwać chlebem) i kawy z bromem, a na obiad do brei dodano po kawałku mortadeli, której i tak nie jadłyśmy, ze względu na post. Dostałyśmy również po prześcieradle oraz poszewce na poduszkę i koc. Ponadto pilnował nas nieordynarny strażnik, którego nazywałyśmy „aniołem”.

Dzieliłyśmy się drżącymi rękami opłatkiem, głos łamał się przy wypowiadaniu życzeń i przy śpiewaniu kolęd, łzy, powstrzymywane na siłę, czaiły się pod powiekami.

Nie miałyśmy ani papieru, ani niczego do pisania. Nie mogłyśmy z aresztu niczego wysyłać. Nasi bliscy nie mieli informacji, gdzie jesteśmy.

Każda z nas miała powody, by się wypłakać. Nie wiedziałyśmy, co z naszymi bliskimi, oni też nie wiedzieli, gdzie jesteśmy, a i sceneria szarej, ponurej celi oraz trudna do przewidzenia przyszłość nie nastrajały pozytywnie.

Halina, sama bardzo chora, zostawiła w domu niezaradną, wymagającą opieki, chorą matkę, Magda zostawiła męża i chorą córkę, z którą nie miała pojęcia, co się dzieje – gdy ją zabierano, to córka przebywała w sanatorium. Magda nie wiedziała więc, czy córka wróciła do domu i w jaki sposób, czy w domu kogoś zastała (mąż Magdy został wcielony do ROMO). Ja zostawiłam męża, dwoje dzieci, w tym młodsze mające 1,5 roku oraz schorowaną i spanikowaną matkę.

Bałam się też, jak się ułożą stosunki między mężem a mamą – nigdy nie przepadali za sobą. Nie mogłam sobie wyobrazić mojej małej Stasi inaczej, jak tylko siedzącej z gołymi nóżkami na nocniku. . Obraz Stasi na nocniku wrył mi się w pamięć, gdy esbecy zabierali mnie z domu i tak już pozostał przez cały okres internowania.

***

Mohl: *W Wigilię dostaliśmy pierwsze paczki, a w pierwszy chyba dzień świąt Bożego Narodzenia przyjechał kardynał Macharski, który chciał poznać najstarszego i najmłodszego internowanego z Małopolski. Ponieważ cele na okres wizyty były otwarte, wystąpiłem w tej opartej na metryce prezentacji z Mietkiem Majdzikiem, bo on był najstarszy.*

Mikulec: *Wigilia w więzieniu to niecodzienny obraz dla zwykłego człowieka. Nienormalność miejsca kojarzy się jednak bardzo z niewygodami betlejemskiej stajenki, gdzie również brakło ludzkiego serca i pomocy, a pozostała tylko niespełniona nadzieja i żal, że to właśnie my znowu doznaliśmy porażki. Otuchy dodawały słowa I Brygady, do których uciekaliśmy, jakby prosząc o azyl:*

„...lecz trwaliśmy osamotnieni
a z nami był nasz drogi wódz".

Już na kilka dni przed Wigilią w celi odezwało się podniecenie i ożywienie – dyskusja nad uświetnieniem tego jedynego dnia w roku, największego święta rodzinnego, które chcieliśmy nawet tu, w Wiśniczu, za grubymi kratami, przeżyć choć trochę inaczej niż zwykły więzienny dzień.

Od wczesnego poranka rozpoczęliśmy ożywione porządki i przygotowania do Wigilii. Podział na grupy czynnościowe, odpowiedzialne za poszczególne sektory celi czy też poszczególne prace (dekoracja, sprzątanie, stół, jedzenie itp.) bardzo ułatwił przygotowania, angażując prawie wszystkich do pracy. Każdy swoją cząstkę włożył w przygotowania.

Przychylni klawisze dali nam dwa białe prześcieradła, gałązki jodłowe, które uwieśiliśmy u sufitu celi. Ładnie udekorowaliśmy cele czym się dało, stoły nakryliśmy obrusami, przy każdym ułożyliśmy małą wiązankę (gałązka i opłatek).

Niezwykle miłą niespodziankę sprawiły siostry nazaretanki z Krakowa, które wszystkim internowanym wysłały paczki na święta. Dostaliśmy te paczki wieczorem w Wigilię. Nastroje wyraźnie się poprawiły, tym bardziej że paczki zawierały krzepiące życzenia otuchy i nadziei. Były obrazki ze wspaniałą modlitwą do Matki Bożej Świętojańskiej – Matki Niewolników i Więźniów oraz małe bożonarodzeniowe kapliczki.

Niektórzy z celi dostali po kilka paczek, bo rodziny dowiedziały się o losie mężów, synów i mogły dostarczyć im podstawowe rzeczy.

Zbliżała się godzina obiadu wigilijnego. Nie czekaliśmy staropolskim obyczajem na pierwszą gwiazdkę, bo uzależnieni byliśmy od obiadu, który nie my sporządzaliśmy. Obiad wigilijny bardzo nas zaskoczył. Każdy dostał pokaźnych rozmiarów rybę, ziemniaki i surówkę – dość dobrze przyrządzone.

No i rozpoczęła się właściwa uroczystość. Po modlitwie w podniosłej atmosferze w zadumie i ciszy, którą raz po raz przerywały stukające obcasy klawiszy na korytarzu, zaczęliśmy spożywać dary. Ryba smakowała. I wtedy zaczęły się życzenia. Każdy z każdym: „Zdrowia i wolności!", „Wolnej i niepodległej!", zaś radykalniejsi wołali: „Śmierć komunie!", „Na pohybel!". Łzy stawały w oczach. Atmosfera stworzona przez wszystkich drgała w najwyższych tonacjach. Życzenia tonęły w szumie rozmów i pobożnych nadziei.

Trwało to dosyć długo. Potem rozpoczęły się radosne śpiewy. Kolędy dodawały otuchy i radości. Z inicjatywy Lecha Jeziornego (jednocześnie autora wieczoru poetyckiego)

wysłuchaliśmy poezji Jana Twardowskiego ze zbiorów biblioteki w Wiśniczu. Przerywaliśmy wiersze kolędami, z których jedna brzmiała:

Pociesz Jezu kraj płaczący,
Zasiej w sercach prawdy ziarno
Siłę swoją daj walczącym
Pobłogosław Solidarność.
Więźniom wszystkim daj wytrwanie
Pieczę miej nad rodzinami
A Słowo ciałem się stało
I mieszkało między nami.

Potem czas do północy spędziliśmy na rozmowach, próbach śpiewu (zabronionego przez komendanta obozu w Wiśniczu), bo przygotowywaliśmy repertuar na północkę, gdy mieszkańcy Wiśnicza szli na mszę świętą. Trzeba tutaj zrobić małe wyjaśnienie. Gdy otworzyło się okno w naszej celi (mieszkaliśmy na I piętrze), widać było w odległości 10 metrów siatkę (o wysokości 3 metrów) zakończoną drutem kolczastym, za nią w odległości 1,5 metra mur (o wysokości 4,5 metra). Między drutami biegały wilczury. Za murem rozciągała się droga, którą ludzie szli do kościoła. Tuż przed północą, na umówiony znak wszystkie cele (tj. 92, 93, 94 i 96) otworzyły okna i odśpiewały (słabo może, bo po raz pierwszy) „Boże coś Polskę", Rotę, I Brygadę, kończąc okrzykami „Solidarność! Solidarność!". Ludzie zatrzymywali się, zbierali w grupki i sporadycznie zaczęli do nas machać i krzyczeć „Niech żyje Solidarność!". Jak się później okazało, ZOMO przeznaczone do ochrony internowanych zrobiło zwolennikom „Solidarności" bożonarodzeniowy prezent, rozpędzając gapiów.

***

Po smutnej Wigilii nastały smutne święta w internacie. Smutne, ale jak każde święta Bożego Narodzenia pełne emocji i wzruszeń.

Stanisław Kuś: *Na Boże Narodzenie koledzy zorganizowali akcję pisania do mnie kartek na święta. Dostałem około 300 pocztówek. To było krzepiące.*

Mikulec: *W Boże Narodzenie od wczesnego poranka wszystkie cele zdecydowanie zaczęły się domagać mszy świętej i spowiedzi oraz komunii. Widoczne było celowe granie na zwłokę i denerwowanie internowanych, bo przecież klawisze i bezpieka musieli wcześniej wiedzieć, że do Wiśnicza po południu w Boże Narodzenie przyjedzie kardynał Macharski. Po wysłuchaniu mszy z radiowęzła (wcześniej było, oczywiście, uroczyste bożonarodzeniowe śniadanie) oznajmiono dopiero, że po południu będzie msza święta z J.E. Kardynałem.*

Rzeczywiście (tym razem klawisze nie łgali), około godziny 17 przybyli księża i przeprowadzili spowiedź, na którą klawisze wypuszczali po dwóch z celi. Pasterze pocieszali nas, mówili o modlitwach i oporze całego narodu, o wytrwaniu itd. Niedługo potem odbyła się msza święta koncelebrowana przez kardynała. Wszyscy staliśmy na długim oddziałowym korytarzu, u którego początku odbywała się Święta Ofiara. Spotkaliśmy się z kolegami. Po raz pierwszy mogłem porozmawiać z internowanymi znajomymi, m.in. z Radkiem Hugetem – najdłużej internowanym studentem (zwolniono go dopiero w grudniu 1982 r.). Kardynał w pięknych słowach homilii zwrócił się do nas, prosząc o wytrwanie i przebaczenie, a jednocześnie nierezygnowanie z naszych ideałów.

Fragmenty kazania ks. kardynała Franciszka Macharskiego wygłoszonego 25 grudnia 1981 r. w więzieniu w Wiśniczu (tekst zredagowany na podstawie nagrania spisanego przez SB):

Będę starał się mówić dość wyraźnie i głośno, aby było słychać.

Moi bracia, musi być słychać! Dobrze musi być słyszalne dla każdego z was, słowo o nowo narodzonej nadziei! Narodził się Jezus – nadzieja nasza! Słowo, które wam przynoszę, nie jest słowem żadnego ludzkiego, choćby najmądrzejszego, programu, ludzkiej prawdy, ludzkim pomysłem. Przynoszę coś potężniejszego... Nie dlatego, żem bezradny, ale dlatego, że znaleźliśmy się na tej drodze, na której Chrystusowa sprawa zawsze była.

Droga Chrystusowa zawsze jest drogą słabości. Betlejem jest miejscem słabości. Betlejem jest miejscem niewłaściwym dla Boga, miejscem źle wybranym. W Betlejem było zimno, był głód, niepewność, brakowało przyjaciół. W Betlejem brakowało tego, co najbardziej podstawowe. Byli bezdomni ludzie, wykorzenieni, nie na swoim miejscu... Ale Betlejem nie było przypadkiem. Nie było dziełem złych ludzi. Betlejem było pomysłem Boga, który tak umiłował świat, że mu pokazał w Betlejem drogę wychodzenia ze wszystkiego, co dokuczliwe.

Kiedy my teraz, wszyscy Polacy na całym świecie, przeżywamy polskie Betlejem, jakże jesteśmy blisko tamtego Betlejem (...).

Bracia moi! Przyszedłem do was ze słowem niezłomnym, potężnym, najpotężniejszym – narodził się nam Chrystus, nadzieja nasza!

To jest próba wiary, próba miłości, ufności próba. Bo wydaje się, że wszystkiego wam brakuje, co należy do atmosfery świąt. Wydaje się, że wszystkiego brakuje...

Ale czy w żłobku serca ludzkiego braknie Jezusa?

– Nie braknie! Dłonie Maryi na powrót kładą Jezusa w żłobku serca ludzkiego. Kładą nie sprawę, ale Boga – człowieka, czyli to, co niebo i ziemia ma najszlachetniejszego. A to serce człowieka (głębia istoty ludzkiej), nie jest dla Jezusa jak żłób. Jest jak pałac, jest miejscem najwłaściwszym. Ile to razy w dostatku i przyzwyczajeniu, i w obrzędowości naszej (mówię to i do siebie, i do was), ileż to razy chodziliśmy koło wszystkiego innego, a tak mało koło Jezusa.

Bracia moi! To są wasze rekolekcje. Od was zależy, czy ta droga zaprowadzi was ku górze, ku Bogu, ku człowiekowi, ku ludzkości, ku szlachetności. Od was zależy jej kierunek... Ale człowiek na tych rekolekcjach może schodzić stopień po stopniu w gorycz, w niezrozumienie, w narastającą niewiarę, w nieufność i w brak miłości, w zaślepienie... Niech was Bóg broni!

A czegóż wam życzyć, jak nie tego, aby w Polsce było takich dni, dni pełnych cierpienia, jak najmniej. Abyście dzień po dniu, szczebel po szczeblu, wysiłkiem duchowym, siłą braterskiej solidarności chrześcijańskiej, mogli rosnąć, jak Jezus kiedyś rósł, w mądrości i w łasce u Boga i u ludzi.

Jestem z wami, bo wy macie prawo do waszego biskupa. A ja mam prawo do was. I to jest mała iskierka nadziei, że to wasze prawo do mnie, do bożonarodzeniowej mszy świętej, do spowiedzi i do komunii świętej zostało uszanowane. I uszanowane zostało moje prawo do was.

Bracia moi! Muszę trzymać się, żeby się nie rozczulać w Boże Narodzenie. Słyszycie, że się trzymam... Pamiętajcie – mówię „iskierka nadziei”, ale kto się zna na obozowiskach, ten wie, że z iskierki może i ogień powstać. W sercu ludzkim nadzieja musi panować, bo ona tylko broni człowieka przed niemądrym, przed nieprzemyślanym. Ona otwiera człowieka na głos sumienia, na głos Boga, który się w nim odzywa, oraz na głos innych ludzi.

Chciałem być dzisiaj z wami, i Opatrzność Boża sprawiła, że jestem. Wiem, że mój pobyt jest krótki. Wiedzcie jednak, że moje rozmowy i rozmowy waszych biskupów, reprezentujących społeczeństwo, dotyczyły nie tylko tej jednej bożonarodzeniowej godziny, ale wszystkich innych waszych godzin tutaj – aby było ich jak najmniej.

Moja obecność tutaj niech będzie dla was dowodem, że nie jesteście zapomniani, nie jesteście samotni, że ludzie tęsknią za wami (...).

Proszę was, w myślach i modlitwach i wy o mnie nie zapominajcie! Dochowajcie wierności Bogu i człowiekowi! Resztę wyśpiewajmy kolędą oraz modlitwą, wspólną i osobistą.

Mikulec: *Śpiewaliśmy. Ale jak śpiewaliśmy! Nie sposób tego opisać, bo język ludzki jest zbyt ubogi. Rosło serce, łzy dławiły i ściskały za gardło, a głos łamał się na najprostszej nucie, bo nie mógł konkurować z unoszącą się mgłą kadzideł i zapachem boleści. Niespełnione pragnienia, dalekie, oddalające się cele więzienne, rozłąka – wszystko razem uformowało się w jeden okrutny krzyk umęczonego narodu:*

„Ojczyznę wolną
racz nam wrócić Panie!".

Gdy z prawie 200 ust wyrwały się słowa hymnu konfederatów barskich spod sztandarów Pułaskiego i Krasińskiego, kardynał zwiesił najpierw głowę, a potem nagle ją uniósł, ale wyżej, jakby zadarł, może coś dojrzał, może raczej uwierzył, że ci, którzy śpiewali:

„Nigdy z królami nie będziem w aliansach
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi..."

zaprawdę, „choćby smoki latające" „nie ugną szyi do łańcucha" – bo „tylko własne upodlenia ducha" ugina... Znamy to z Byrona.

Było w tym coś symptomatycznego, że internowanie było ściśle powiązane z żarliwą religijnością. Na każdym kroku manifestowaliśmy swój patriotyzm, przywiązanie do tradycji i religii naszych ojców. Raziło to bardzo ubecję, nie cierpieli naszych wspólnych modlitw, mszy świętych, które jednoczyły nas w solidarnym kręgu na dobre i na złe.

Bezpieka szalała w bezsilnej niemocy. Starała się rozbić to wszystko, poróżnić nas. Jedyną metodą było zabronić praktyk religijnych. Toteż ograniczono do minimum msze święte, surowo zabraniano śpiewów, modlitw zbiorowych, raz na miesiąc pozwalano się spowiadać, aby zapobiec przenoszeniu grypsów. Księży poddawano osobistej rewizji, zakazywano im radykalnych kazań. Już w Załężu nagrywano skrzętnie każde słowo księży, a osobiście wyznaczeni klawisze (wyższej rangi, np. kapitan) chodzili za każdym jak cienie.

Wracając do bożonarodzeniowej mszy. Po rozdaniu komunii odbyły się śpiewy:

– kolędy,
– Boże coś Polskę,
– Rota,
– Pieśń konfederatów barskich,
– My, Pierwsza Brygada.

Po wyczerpaniu repertuaru księża rozdali opłatki i zaczęliśmy wspólnie się łamać z kardynałem i kapłanami. Kardynał ojcowskim gestem przygarniał każdego do serca, a wtedy wydawało się, że nic nie może nas zawrócić z drogi, którą obraliśmy.

Niektórzy z nas podeszli do klawiszy, składając im życzenia. Ja podszedłem do kapitana, który bardzo serdecznie życzył mi szybkiego powrotu do domu i spotkania z najbliższymi. Od początku pobytu w Załężu inne były stosunki między klawiszami a nami. Tutaj zaś można było dostrzec objawy niekłamanej sympatii, współczucia okraszonego bezsilnością.

Księża z kardynałem przynieśli znów paczki dla wszystkich internowanych. Nasze wyżywienie zdecydowanie się poprawiło. Korzystaliśmy coraz mniej z chleba i kaszanek serwowanych nam w więzieniu, jedząc mniej, a kaloryczniej.

Uroczystości z kardynałem zakończyły się około 19.00. Potem wydano nam paczki i w atmosferze radości i nadziei zakończyliśmy pierwszy dzień świąt.

Drugi dzień świąt minął mniej uroczyście. Nie mieliśmy już mszy świętej na żywo. Wysłuchaliśmy dwóch mszy z radioodbiornika: jednej z kościoła św. Krzyża w Warszawie, drugiej z pierdla, tj. mszy, którą kapelan więzienny w świetlicy odprawił dla kryminalistów. Poza tym nic się nie wydarzyło szczególnego. Święta minęły szybko i przyjemnie. Aż nazbyt miło, biorąc pod uwagę scenerię, w której się odbyły.

***

Jakie nastroje panowały w tym czasie wśród funkcjonariuszy SB? Wspomina, w formie listu do swoich dzieci, Aleksander Mleczko: *W końcu Wigilia. Szok. Dzwonek do drzwi, żona otwiera, ja wychodzę dopiero za chwilę do przedpokoju i widzę szwagra, jak składa swojej siostrze, waszej mamie, życzenia świąteczne. Obraca się w moim kierunku i słyszę, jak mówi, że mnie ręki nie poda, że jestem winny śmierci tych ludzi, co zginęli w czasie pacyfikacji strajków. Coś próbuję mówić, że przecież nikt w Krakowie nie tylko nie zginął, ale nawet nie jest ranny, że to, co robi Jaruzelski, to jest najlepsze wyjście z sytuacji. Przecież zaraz rozwiąże wszystkie organizacje, w tym PZPR i będzie można zacząć od nowa. Żona płacze, ja jeszcze dopowiadam, zobaczysz, przekonasz się, że to było jedyne wyjście. Potem święta jak jeszcze nigdy – mało rodzinne, ale mam was przy sobie, żyjemy!*

Świadomość pogardy ze strony dużej części społeczeństwa pomieszana z uczuciem ulgi („żyjemy!") oraz głębokie przekonanie, że to, co zrobił Jaruzelski, to było najlepsze wyjście. To zupełnie inne światy, z tym opisywanym przez naszych bohaterów.

***

Okres świąt, naturalne w takim czasie „rozklejenie" i nasilenie tęsknoty za rodziną, usiłowała wykorzystać SB do złamania Stanisława Palczewskiego. Oto jak ta sprawa jest zapisana w esbeckim podsumowaniu SOR Gniazdo (podpisał się pod nim kpt. Marek Kania): *W dniu 29 grudnia 1981 przeprowadzono rozmowę z internowanym St. Palczewskim. Dano mu do zrozumienia, że w jego sytuacji rodzinnej (żona urodziła syna w dniu 14 grudnia 1981) jest możliwość wyjścia na wolność przy złożeniu deklaracji o zaniechaniu działalności na rzecz KPN. Palczewski odrzucił to, stwierdzając, że dla moralnego wsparcia członków KPN, jego miejsce jest wśród internowanych.*

Stanisław Palczewski: *Znam ten dokument. Rzeczywiście moja żona spodziewała się w tych dniach dziecka, miałem dwoje innych, małych dzieci, chorobę w rodzinie w miejscu zamieszkania, oraz staruszkę matkę. Według SB miałem odpowiedzieć, że moje miejsce jest razem z innymi kapeenowcami. Może i ładnie to brzmi, ale jest to niezgodne z tym, jak faktycznie było. Mogę tylko dywagować, co chciano przykryć w rzeczywistości.*

Internowany 13 grudnia 1981, z Komendy MO przy ul. Siemiradzkiego, zostałem przewieziony do więzienia w Wiśniczu, skąd po świętach Bożego Narodzenia (niezapomnianych, z mszą świętą odprawioną przez kardynała F. Macharskiego) zostałem przewieziony do aresztu na ul. Mogilską w Krakowie [z „Książki wydarzeń aresztów przy ul. Mogilskiej" wynika, że było to 28 grudnia]. *Tutaj, ktoś ze znanych mi esbeków, którzy mnie zatrzymywali, zapytał, czy wiem, „jak nastąpiło rozwiązanie ciąży mojej żony". Odpowiedziałem, że nie wiem. Na to on powiedział, że dowie się. I wyszedł. Przez chwilę byłem sam. Po chwili do pokoju przesłuchań wszedł jakiś nowy nieznany mi mężczyzna i od razu nawiązał do kilkanaście dni wcześniej odbywającej się w Krakowie manifestacji* [29 listopada 1981]. *Ubek mówił, że szedł koło mnie i słyszał, jak wołałem: „Precz z komuną! Precz z PZPR! Precz z ZSRR!". Wiedziałem, że kłamie. Szedłem wtedy z Bałuką (przywódcą strajku ze Szczecina w 1970) i omawialiśmy zasady współpracy. Patrzyłem na niego, pewnie głupimi*

oczami, bo mówił dalej, a ja mu nie zaprzeczyłem i tylko taką nad nim miałem przewagę, że wiedziałem, że kłamie. Jeszcze coś tam do mnie mówił, ja na niego patrzyłem, wsłuchując się w jego ciepły, śpiewny ton głosu i pomyślałem: „Może to Rosjanin?". Czy był z KGB? Może to kiedyś archiwa wykażą.

Dopiero w Załężu [30 grudnia 12 osób, w tym Palczewski zostało przetransportowanych z Mogilskiej w Krakowie do ZK w Załężu] *dowiedziałem się już po Nowym Roku, że żona urodziła mi 24 grudnia drugiego syna – Janka Pawła. Bogu niech będą dzięki!*

***

Po świętach bezpieka zdecydowała się przewieźć internowanych do Zakładu Karnego w Załężu koło Rzeszowa. Przyczyny tej przeprowadzki opisuje meldunek majora SB Jana Nogiecia z 4 stycznia 1982 r.: *W okresie od 13 do 28 grudnia 1981 Ośrodek Odosobnienia dla Internowanych z miejskiego województwa krakowskiego zlokalizowany był w Zakładzie Karnym w Nowym Wiśniczu w woj. tarnowskim. Ciężkie warunki bytowe internowanych w tym Ośrodku oraz trudności w prowadzeniu pracy operacyjnej np. cele 25-40 osobowe, spowodowały przewiezienie w dniu 28 grudnia 1981 internowanych do Aresztu Śledczego w Załężu k/Rzeszowa.* Nogieć podał dwie przyczyny. Pierwsza jest niejako oficjalna, druga – jak się wydaje – rzeczywista. W Nowym Wiśniczu nie było dla SB dobrych warunków do prowadzenia „pracy operacyjnej".

Można przypuszczać, że celem przeprowadzenie akcji w tym terminie było uderzenie w morale internowanych, znacznie podbudowane przebiegiem świąt.

Mikulec: *Okres poświąteczny spędziliśmy na wyczekiwaniu na transport. W życiu więziennym naturalną rzeczą jest nagłe i niespodziewane przemieszczanie większych grup kryminalistów z więzienia do więzienia. Ma to na celu zapobieganie wytwarzaniu się struktur, związków i zażyłości między więźniami i rozbicie ich więziennej solidarności.*

Od kilku dni panowało przeświadczenie, potwierdzane przez niektórych klawiszy, a czasem kryminalistów, o rychłym przewiezieniu nas do nowego więzienia na wschodzie, koło Rzeszowa. Nasze obawy były uzasadnione, bowiem we wtorek zaprowadzono nas do depozytu, sprawdzono to, co posiadamy, musieliśmy oddać koce, czyli cały mandżur, platery, wydano takie rzeczy jak torby, portfele (oczywiście puste).

Sielanka Wiśnicza z wolna dobiegała końca. Kończyło się grupowe życie. Wieczorem we wtorek (29 grudnia 1981) około godziny 18 wkroczył do naszej celi klawisz i kazał nam się spakować.

Transporty internowanych po 13 grudnia 1981 były jedną z form zmuszania więzionych do uległości i lojalności wobec WRON-y. W nieludzkich warunkach, w sukach, budach – zimnych i ciasnych, przewożono tysiące internowanych z więzienia do więzienia. Szczególnie ucierpiały kobiety, które z całej prawie Polski były przewożone do obozu w Gołdapi lub Jaworzu. Jazda po 10 i więcej godzin w takiej suce jest ponad siły przeciętnego człowieka. Zdarzały się przypadki przewożenia kobiet chorych, nieznoszących jazdy, zapachu spalin, kobiet w podeszłym wieku. Gdy 20 osób upycha się do jednej połowy samochodu więźniarki, w dodatku z bagażami, praktycznie nie ma miejsca na jakikolwiek ruch nogą czy ręką, pozostaje tylko oddychanie, które również po kilkunastu minutach staje się wymianą specyficznej mieszaniny gazów, spalin i smrodu.

Po usłyszeniu wiadomości o spakowaniu się, co automatycznie wiązało się z transportem, w celi zawrzało. Ożywiły się dyskusje. Tu i ówdzie słychać było napomknięcia o „białych niedźwiedziach" i „szerokich torach". Ustaliliśmy, że nie ruszymy się z miejsca, zanim nie dowiemy się, gdzie mamy jechać. Rozpatrując ówczesne nasze położenie

– trzeba przyznać, że było to trochę śmieszne. Po pierwsze – mogli nas okłamać. Po drugie – dysponowali siłami, które swobodnie po jednym internowanym mogły zapełniać suki. Uzasadnioną wątpliwość budziła ponadto informacja o decyzji o internowaniu, że ośrodkiem odosobnienia jest ZK Nowy Wiśnicz. Siedzieliśmy w napięciu na pryczach, obok siedziały pozwijane mandżury i platery, na nogach mieliśmy ubrane glany, ale bez wiązadeł.

Gdzieś około 22 do celi wkroczyła atanda, zdecydowanie budząc trochę strachu, ale też trochę śmiechu, bo przewodził im śmiesznego wzrostu pułkownik o rosyjskim profilu. Rozejrzał się po celi i oznajmił: „Jedziecie na wschód! Będziecie mieć lepsze warunki, parkiet w celach, ciepłą wodę...". Zamarliśmy w osłupieniu, szczególnie po pierwszych słowach tej przemowy. A więc jednak! Dlaczego? Za co? Jak tam będzie? Kiedy wrócimy? – takie pytania kołatały się po głowie.

Robert Kaczmarek zachował jednak zimną krew i zdecydowanie wystąpił, mówiąc, że nie ruszymy się stąd, póki nie dowiemy się, gdzie nas przewożą, bo nasze miejsce, zgodnie z ubeckimi papierami, jest tutaj. Pułkownik, zaciągając dialektem zza Buga, zmieszał się, coś tam zaczął szeptać ze swoimi stójkowymi, a potem powiedział, że gdzieś koło Rzeszowa. Po naradzie w celi (atanda opuściła już celę) uzgodniliśmy, że nie ma sensu stawiać oporu, trzeba dobrowolnie wyjść. Podaliśmy tę wiadomość do sąsiednich cel. Niedługo potem na korytarzu rozpoczął się jakiś ruch. Szczekanie, stukot, tupanie – to wkraczały siły pomocnicze – kompania ZOMO. Drzwi do celi się otworzyły i zaczęliśmy opuszczać nasze „ulubione" miejsce.

Stanisław Tatara: *Do poważniejszego incydentu doszło w dniu, w którym mieli nas przewozić do Załęża. Rano kazali się pakować. Spakowaliśmy się, ale odmówiliśmy zgody na wyjazd, żądając sprowadzenia kogoś znanego nam z kurii i powiadomienia go przy nas, gdzie nas przewożą. Zaczęli straszyć, pojawiła się grupa zomowców, grożąc, że użyją siły. Tak minął cały dzień.*

Robert Kaczmarek, który prowadził pertraktacje z oficerami, zrezygnował z poprzedniego żądania, domagając się tylko, aby dano nam pismo, w którym zostanie określone miejsce, w które zostaniemy przewiezieni. Wyskoczyłem na środek celi, oponując przeciwko propozycji Kaczmarka, oświadczyłem oficerowi, że teraz i tak nie pojedziemy, bo regulamin zabrania transportu więźniów nocą. Chciałem zmobilizować kolegów do zabarykadowania się w celi, otwarcia okien wychodzących na pobliską drogę i alarmowania mieszkańców Wiśnicza. Argumentowałem, że nie należy ustępować władzom i godzić się na stworzenie niebezpiecznej dla nas sytuacji. Ugodowa postawa Kaczmarka i innych uniemożliwiła opór. Wtedy zagroziłem nawet, że będę sam stawiał opór, ale zrezygnowałem z tego, bo uznałem, że nie ma to sensu. Krzysztof Maciejowski odwodził mnie od mojego zamiaru, mówiąc, żebym dał spokój i się nie wygłupiał. W końcu powiedzieli nam, że jedziemy do Załęża, o czym już wcześniej wiedzieliśmy od więźniów. Internowani zgodzili się opuścić cele.

Mikulec: *Przeprowadzono nas w szpalerze znajomą trasą. Zomowcy w rynsztunku patrzyli podejrzliwie na nas, gdy spokojnie szliśmy do suk ustawionych przed bramą pierdla. W bramie wyczytywano nasze nazwiska i przechodziliśmy dalej.*

Za bramą oczom naszym ukazał się niezwykły widok. Przy wzmożonych środkach ostrożności polegających na zagęszczeniu pola przez klawiszy, gliny i zomowców stały 4 albo 5 suk, 2 gaziki, 1 nyska i duży fiat – oczywiście, wszystko z dużymi napisami MO. Pakowano nas do suk, ubijając po 15-17 do jednej połowy. Czekaliśmy około godziny, aż suki napełniono, zamknięto drzwi i transport potoczył się w ciemną noc po ośnieżonych drogach w stronę Rzeszowa.

Podróż nie była zbyt przyjemna. Gdy nerwy nie wytrzymywały, chłopcy zaczynali palić, i to dosyć intensywnie. Kłęby dymu ubijały się szczelnie w suce, nieśmiało wychodząc poprzez zakratowane, małe okienko. W dodatku włączono ogrzewanie – do wnętrza suki zaczęło nawiewać chmury śmierdzących spalin, które w pomieszaniu z dymem tytoniowym dawały piorunującą mieszankę. Mdłości zaczęły się już po godzinie. Kilku chłopców dostało torsji. Ogromny ścisk, zaduch i fetor spalin osłabiał bardzo szybko. Siedzieliśmy skuleni, wciśnięci na wąskich ławkach. Ogrzewanie wkrótce wyłączono i po jakiś 20 minutach zrobiło się tak zimno, że krew zaczęła wolniej krążyć. Temperatura otoczenia była chyba minus 25 stopni. Kilka razy przystawaliśmy na rogatkach – widocznie wojsko zatrzymywało transport do kontroli.

Około 4 nad ranem dojechaliśmy do Załęża.

Jerzy Mohl i Stanisław Tatara także zwracają uwagę na bardzo trudne warunki transportu internowanych z Wiśnicza do Załęża.

Tatara: *Sama ewakuacja wieczorem nie wyglądała przyjemnie. W ostrym mrozie, w świetle reflektorów przechodziliśmy z tobołkami pomiędzy szpalerem zomowców z psami do więźniarek, w których nas ciasno upychano tak, że nie można było ruszyć nogą. Wadliwe ogrzewanie w więźniarce kazaliśmy kierowcy wyłączyć, bo bardzo zadymiało wnętrze, powodując szczypanie w oczy i gryzienie w gardle. Czuliśmy się prawie jak w komorze gazowej. Próbowaliśmy zagadywać dwóch konwojentów, ale byli oni do nas wrogo nastawieni lub wystraszeni, bo milczeli jak zaklęci. Natomiast kierowca wydawał się życzliwy i w czasie postoju pytał, czy jest ciepło. Gdy zapytaliśmy, gdzie jedziemy, z początku nie chciał, ale w końcu powiedział „szerokie tory". Do Załęża dojechaliśmy wcześnie rano, zatrzymując się po drodze wielokrotnie.*

J. Mohl: *Jechaliśmy stłoczeni w więźniarce jak śledzie w beczce. Całonocna jazda w tych warunkach to była mordęga dla starszych więźniów. Parę razy zatrzymywaliśmy się, bo chyba obsługa i obstawa miały „parcie na wentyl". Nie wiem, czy z głupoty, czy dla wywarcia presji psychicznej, obstawa przy każdej takiej okazji przeładowywała broń, sugerując, że to już koniec, ale muszę przyznać, że nie robiło to na nas wielkiego wrażenia. Ponadto mieli dywersję we własnych szeregach, bo gdy niektórzy z nas zaczęli narzekać głośno na zimno, kierowca więźniarki powiedział, że zaraz załączy ogrzewanie, ale: „Pamiętajcie, że jak wy nas będziecie kiedyś wieźli, też ma być tak ciepło!".*

TTKAB i CKAB

Rada Polityczna KPN, obradująca w Katowicach w okrojonym składzie 13 grudnia 1981 r., zaleciła działaczom KPN włączenie się w jednolity ruch oporu, tworzony przez „Solidarność". Postanowienia te jednak nie dotarły do Krakowa (chyba nikt z Krakowa nie brał udziału w tym posiedzeniu Rady; Gąsiorowski, który był w Katowicach, na posiedzenie nie dotarł, bo wcześniej został internowany). Dlatego zdecydowano, zgodnie z zaleceniami władz Konfederacji sprzed 13 grudnia, że pozostający na wolności członkowie KPN odtworzą struktury organizacji zniszczone wskutek internowań, a KPN zachowa odrębność organizacyjną względem podziemnej „Solidarności". Z dzisiejszej perspektywy decyzja ta wydaje się trafna, bo obie organizacje („Solidarność" i KPN) miały inne cele. Roztopienie się KPN w „Solidarności" spowodowałoby także rozwodnienie maksymalistycznego programu niepodległościowego w pozytywistycznym nurcie dominującym w Związku.

Warto podkreślić, że całkowicie odmienną drogę wybrali działacze Ruchu Młodej Polski – drugiej trwałej struktury, która wyłoniła się w 1979 r. po rozpadzie ROPCiO.

Sławomir Cenckiewicz („Służba Bezpieczeństwa w walce z Ruchem Młodej Polski 1979-1988"): *18 stycznia 1982 r. Ruch Młodej Polski ogłosił zawieszenie działalności i przystąpienie do podziemnych struktur NSZZ „Solidarność". Zawieszono również wydawanie własnych oświadczeń, pisma „Bratniak", a wydawnictwo Młoda Polska oddano do dyspozycji „Solidarności". Decyzję podjął Hall po konsultacji z Dykiem, Grzywaczewskim, Grzelakiem, Modzelewską i Mirosławem Rybickim. Zdaniem por. Józefa Nadworskiego decyzja ta podyktowana była przede wszystkim organizacyjnym egoizmem i pragmatyzmem, który podpowiadał młodopolakom, że najważniejszą sprawą w warunkach stanu wojennego jest „uchronienie RMP od strat personalnych i materialnych – szczególnie bazy poligraficznej". Według niego taktyka Halla wybiegała daleko w przyszłość i doprowadzić miała do sytuacji, w której po odwołaniu stanu wojennego to właśnie RMP „pozostanie właściwie jedyną zwartą i liczącą się grupą opozycji politycznej", co z kolei stworzy młodopolakom szansę na odegranie „czołowej roli w działalności całej opozycji antysocjalistycznej w kraju". Wydaje się jednak, że sprawa była o wiele prostsza – decyzja o zawieszeniu działalności przez RMP wynikała po prostu z uznania „Solidarności" za główną siłę walczącą z komunizmem, której wszyscy w podziemiu powinni się poddać (...).*

Po powstaniu w kwietniu 1982 r. Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność" w Gdańsku utworzono jej delegaturę w postaci Regionalnej Komisji Koordynacyjnej, w której skład oprócz Bogdana Lisa, Bogdana Borusewicza, Stanisława Jarosza i Mariana Awitka wszedł także Aleksander Hall.

Działacze RMP poszli więc podobną drogą co KSS KOR, który rozwiązał się w 1981 r., a jego działacze weszli w skład kierownictwa „Solidarności", uzyskując duży wpływ na linię polityczną i taktykę działania Związku. W „Solidarności" „rozpuściła się" także grupa Andrzeja Czumy, która pozostała w ROPCiO po rozłamie w 1979 r. W ten sposób w 1982 r. KPN była jedyną organizacją opozycji przedsierpniowej, która pozostawała samodzielną siłą polityczną niezależną od „Solidarności" (chociaż współpracującą z nią).

Oryginalność taktyki KPN w stanie wojennym jest widoczna nie tylko gdy idzie o decyzję o zachowaniu odrębności organizacyjnej.

Otóż, w stanie wojennym kierownictwo KPN konsekwentnie pozostawało w konspiracji (oczywiście, nie dotyczyło to uwiezionych działaczy). Była to jednak konspiracja szczególna. Z jednej strony zupełnie sporadycznie działacze KPN ukrywali się (i nigdy nie dotyczyło to pełniących funkcje kierownicze w partii). Zupełnie inną drogą poszło kierownictwo „Solidarności" (por. historię krakowskiej RKW) czy Solidarności Walczącej (zob. dalej). Z drugiej strony – nie było w stanie wojennym wypadku, aby przywódcy KPN ujawniali się wobec władz czy też podpisywali upokarzające oświadczenia. Nie było prób „wychodzenia na powierzchnię", choć zwolennikiem takiej taktyki był w tym czasie np. Krzysztof Gąsiorowski.

Odmienną drogę wybrali działacze RMP. Cenckiewicz („Służba Bezpieczeństwa w walce z Ruchem Młodej Polski 1979–1988"): *Jednak już wiosną 1982 r. zarówno Hall, jak i wielu działaczy RMP (m.in. przebywający w Strzebielinku Arkadiusz Rybicki) miało coraz więcej wątpliwości co do prowadzenia walki podziemnej. W jakimś sensie było to na pewno wynikiem oddziaływania Wiesława Chrzanowskiego, który namawiał ukrywających się młodopolaków do wyjścia z podziemia. „Oceny Wiesława były jednoznaczne – wspominał Hall. – Normalizacja Jaruzelskiego będzie trwała lata. W związku z tym podtrzymywanie podziemia, zwłaszcza tak licznego, traci sens. Warto, żeby jak najwięcej osób się ujawniło, wróciło do domów". Chrzanowski prowadził wówczas rozmowy z wicemarszałek Sejmu PRL Haliną Skibniewską, żądając gwarancji bezpieczeństwa dla osób ukrywających się, zwłaszcza działaczy RMP. Skibniewska z kolei, wspólnie z bp. Władysławem Miziołkiem, pośredniczyła w rozmowach z najwyższymi władzami PRL, w tym z gen. Czesławem Kiszczakiem. Wydaje się jednak, że pomysł z opuszczeniem konspiracji narodził się w resorcie, a jego autorem był właśnie Kiszczak. Trudno powiedzieć, czy pierwotnie dotyczył wyłącznie młodopolaków, czy wszystkich działaczy podziemia. Z dokumentacji sprawy operacyjnego rozpracowania „Arka" wynika, że zapewnienie ministra spraw wewnętrznych z wiosny 1982 dotyczyło przede wszystkim ukrywających się młodopolaków.*

Większość działaczy RMP pozytywnie zareagowała na apel Kiszczaka i jako pierwsi w kraju, już latem 1982, zaczęli wychodzić z ukrycia. Tak postąpili m.in. Piotr Dyk, Bożena Rybicka, Maciej Grzywaczewski, Andrzej Słomiński, Marek Jurek i Grzegorz Grzelak. Mirosław Rybicki, Magdalena Modzelewska i Dariusz Kobzdej ukrywali się jednak aż do listopada 1982.

Koncepcję Chrzanowskiego popierał przebywający w Strzebielinku Arkadiusz Rybicki. Przesyłał grypsy, w których zachęcał młodopolaków do zarzucenia walki podziemnej. Bezpieka uznała to za sprzyjające jej działaniom mającym na celu dezintegrację całego podziemia. Już w pierwszych dniach lutego 1982 r. w Strzebielinku pojawił się sam por. Józef Nadworski z Warszawy, by przeprowadzić rozmowy operacyjne z członkami RMP – Leszkiem Jankowskim (działającym wcześniej w „grupie techniczno-kolporterskiej" Mirosława Rybickiego), Antonim Wręgą oraz Arkadiuszem Rybickim. Najbardziej nieprzejednany okazał się Jankowski. Wysłannik MSW był na tyle zirytowany jego postawą, że zwrócił

się do Wydziału III KW MO w Gdańsku o udokumentowanie „przestępczej działalności" Jankowskiego, by następnie pociągnąć go do odpowiedzialności karnej.

Paczkowski: *Niekiedy powrót do domu był negocjowany z SB, ale w czasie trwania stanu wojennego zdarzało się to bardzo rzadko (największe znaczenie miało ujawnienie się grupy działaczy Ruchu Młodej Polski w czerwcu 1982).*

Decyzja RMP wywołała fale krytyki ze strony liderów podziemnej „Solidarności", co odnotowano w „Konspirze". Lis: *W Gdańsku dawnych dysydentów prawie w podziemiu nie widać. Czy dlatego, że siedzieli albo siedzą w pudle? Chyba nie, skoro na przykład Ruch Młodej Polski pozostał na wolności. Na palcach jednej ręki można policzyć ludzi, którzy działali przed Sierpniem i kontynuują robotę dzisiaj: Borusewicz, Hall, może jeszcze dwóch czy trzech (...). Dlaczego nawalił RMP? Przecież mieli aparat organizacyjny i kadrę z doświadczeniem, a jednak poza Hallem i jeszcze kilkoma osobami reszta nic nie robi. Zaskakujące, lecz prawdziwe. Może wynikało to z koncepcji politycznej. Jeszcze przed Sierpniem trzymali się w swoim środowisku, nie wychodząc w zasadzie na zewnątrz. Prasę wydawali też tylko dla siebie. Związani z tradycją narodową, funkcjonowali dość specyficznie. Zresztą – jak uważam – nie dopisali, z nielicznymi wyjątkami, również w czasach „Solidarności", między innymi w marcu 1981, po wydarzeniach bydgoskich. Na początku „wojny" część z nich szybko się ujawniła i zaczęła cisnąć pozostałych, by doszlusowali. Takie równanie w dół, nie w górę. Pewnie mieli poczucie winy i w ten sposób chcieli wyleczyć kaca. Jako organizacja zgłosili akces do podziemia i jako organizacja dość rychło, bo już w czerwcu '82, wycofali tę deklarację.*

Bujak (wypowiedź z 1984 r.): *Bardzo wcześnie zostałem poinformowany, że koncepcja działania RMP-owców jest zupełnie różna od naszej. Od początku wojny sygnalizowali (zwłaszcza ich ojciec duchowy, Wiesław Chrzanowski), że nie stawiają na pracę w podziemiu, lecz na ujawnienie się i działalność w możliwie legalnych formach. Trudno ocenić realizm takiej koncepcji, lecz nie wolno jej traktować jako błahej. Po prostu – inny styl politycznego myślenia.*

***

Odnaleziony teraz tekst Mariana Guta z lat 80. tak opisuje początki Tajnego Tymczasowego Kierownictwa Akcji Bieżącej w Krakowie (autor pierwotnie ukrył bohaterów pod pseudonimami, aby nie narażać ich na represje, gdyby tekst wpadł w ręce SB; zamieniliśmy je prawie wszystkie na odszyfrowane nazwiska):

Spotykam Witolda Tosia. – *„Musimy coś zrobić" – to pierwsze słowa, jakie wypowiedział przy powitaniu. – „Wszyscy nasi jawni działacze zostali internowani. Wywieźli ich do Wiśnicza" – mówi.*

– „Nie ulega wątpliwości, że musimy" – odpowiadam. – „Ale jak ty to sobie wyobrażasz? Jak to widzisz? Masz jakiś pomysł, koncepcję?".

– „Po pierwsze – należy ustalić, kto z naszych jest na wolności. Po drugie – skontaktować się z tymi, którym udało się uniknąć internowana i porozmawiać przede wszystkim o tym, czy są zdecydowani działać w tak diametralnie różnych warunkach od tych, do których byli dotychczas przyzwyczajeni. A po trzecie – musimy się wszyscy razem spotkać. Ja to załatwię" – obiecuje. — „Wpadnę do ciebie, jak już będę miał konkretne wiadomości".

– „Powodzenia" – życzę mu, jak się żegnamy. – „Może coś wymyślę przez ten czas" – dodaję.

Wiadomości coraz gorsze. Wszystkie sprawy na tle politycznym przeszły w kompetencje sądów wojskowych. Prokuratorzy w mundurach szaleją. Sędziowie ferują wyro-

ki nawet do 10 lat. Od początku rozpoczyna się proces Rady Politycznej KPN. Tym razem nasi przywódcy staną przed sądem Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Akt oskarżenia okrutny – obalenie ustroju. Za to grozi nawet kara śmierci. Ciarki przechodzą człowieka.

Zastanawiam się nad koncepcją naszej działalności. Są dwie możliwości: pierwsza – wejście w głębokie podziemie dwóch, trzech osób, które by sygnowały swoimi nazwiskami wszystkie komunikaty i oświadczenia; druga – działalność konspiracyjna „na powierzchni". Pierwszą możliwość na początku 1982 wykorzystali działacze Związku (OKO – Ogólnopolskie Komitety Oporu, a później TKK i Regionalne Komisje Koordynacyjne). Z drugiej zaś [skorzystały] *wszystkie KOS-y i cała reszta opozycji.*

Po dwóch dniach odwiedził nas w domu Witek Toś. *Pozałatwiał wszystko tak, jak obiecał. Umówieni jesteśmy z* Wojtkiem Obercem, Ryśkiem Pyzikiem, Markiem Bikiem *i „Komandosem". Mamy się spotkać na jednej z ruchliwych ulic miasta. Idziemy. Rozmawiamy „sztafetowo", to znaczy w trakcie przechadzki na odcinku około stu metrów rozmawiam z jedną osoba, a w drodze powrotnej z drugą i tak od nowa. Wszyscy są zgodni co do jednego – nie możemy stać z założonymi rękami i milczeć! Tylko „Komandos" bardzo panikuje i wszystkich nas straszy jakąś spec-grupą jakiegoś porucznika Jaworskiego. – „Oni wszystko o nas wiedzą, a was wyłapią co do jednego. Ja się wycofuję" – szepce drżącym głosem. – „Nie chcę skończyć na Syberii". No tak. Nie wszyscy ci, którzy dotychczas pokrzykiwali, zdecydują się na kontynuowanie działalności partyjnej. W chwili obecnej najważniejszą rzeczą jest uratowanie partii. Konfederacja Polski Niepodległej musi istnieć i działać, inaczej rozpłynie się, umrze śmiercią naturalną, zniknie z politycznej mapy kraju. Zadanie na dziś, to przetrwać!*

Musimy teraz, jeszcze przed świętami, po dzisiejszym uzgodnieniu zebrać się we czwórkę w jakimś ustronnym miejscu i przedyskutować szczegóły. Toś wyznacza miejsce. Mamy dochodzić do umówionego miejsca w odstępach pięciominutowych.

W domu spokój. Do późnych godzin nocnych słucham radia.

Za pięć dni Wigilia Bożego Narodzenia [pamięć zawiodła autora, który pisał swój tekst kilka lat później – pierwsze posiedzenie TTKAB miało miejsce – wg zgodnych relacji członków TTKAB – 17 grudnia 1981 r., tydzień przed Wigilią; z kolei Gut w liście do Żebrowskiego z 9 marca 1982 r. napisał: *W trzecim dniu od momentu wprowadzenia stanu wojennego odbyło się zebranie pozostających na wolności członków KPN – Obszar II, rejon I, grupa działania II. W toku przeprowadzonego głosowania zostało wybrane 4-osobowe Kierownictwo, którego pełna nazwa brzmi: Tajne Tymczasowe Kierownictwo Akcji Bieżącej KPN Obszar II.* Ten tekst wskazywałby na 16 grudnia]. *Miasto niby żyje normalnie, a jednak na każdym kroku daje się odczuć specyficzną, wojenną atmosferę. Wzmocnione patrole ZOMO widać na każdym kroku. Dramatyczna sytuacja trwa w „Piaście" i w „Ziemowicie". Górnicy są twardzi i nieustępliwi. Milicja i wojsko spacyfikowały wszystkie zakłady pracy, w których proklamowano strajki. Szkoły i uczelnie zamknięte. Kina i teatry nieczynne. Jak nigdy, w kościołach tłok – ludzie gorliwie się modlą.*

Jestem na miejscu zbiórki. Widzę z daleka, jak Oberc *wchodzi do bramy. Odczekuję pięć minut i podążam pod wskazany adres. Dzwonię w umówiony sposób. Drzwi otwiera* Marysia Zając. – *„Proszę" – zaprasza do pokoju. Za stołem siedzą już* Toś, Oberc, Pyzik. *Jest jeszcze* Bik, *który relacjonuje wydarzenia, jakie miały miejsce podczas strajku w jednej z zajezdni autobusowych. Udało mu się uniknąć internowania. Po rozbiciu strajku, podczas spisywania personaliów podał się za ucznia szkoły przyzakładowej i tym małym kłamstewkiem wyprowadził w pole ubeków. Niestety,* Jurek Mohl *został zatrzymany i internowany; znaleziono przy nim legitymację KPN.* Marysia *częstuje nas mocną, dobrą herbatą. Duży kot syjamski wskakuje mi na kolana. Rozpoczynamy zebranie.*

– „Doszliśmy do wniosku, że ty" – to do mnie – „powinieneś poprowadzić naszą grupę" – odzywa się Toś. *Jestem zaskoczony. – „Moi drodzy, dlaczego ja?" – wzbraniam się. – „To duża odpowiedzialność. Nie myślcie, że się boję odpowiedzialności. Nie o to chodzi. Ale przecież nikt mi nie dawał wcześniej takiej kompetencji. A poza tym nie jestem pewny, czy to, co teraz robimy, nie jest sprzeczne ze statutem partii.*

– „Statut jest tymczasowy" – ripostuje ktoś z zebranych. – „I weź pod uwagę, że sytuacja zmusza nas do podjęcia działania". Na takie dictum nie mam argumentów. Zgadzam się. Jest nas w tej chwili pięć osób. Pierwsza konfederacka konspiracyjna piątka w Obszarze, a może i w Polsce. Na tym zebraniu następuje podział funkcji. Sprawę potraktowaliśmy bardzo poważnie. Osobiste predyspozycje przeważyły, że Oberc *zajmie się sprawą łączności,* Pyzik *– kolportażem,* Toś *– informacją i propagandą a* Bik *– poligrafią. Uzgadniamy termin i miejsce następnego zebrania. Spotykamy się u mnie. Każdy z nas ma być przygotowany do zebrania. Chodzi o metody działania, taktykę i strategię. Jeszcze tylko wzajemne składanie życzeń świątecznych i w odstępach pięciominutowych opuszczamy gościnne progi* Marysi Zając.

A oto relacja Guta przedstawiająca okoliczności kolejnego spotkania: *Ciągle myślę, jaki optymalny wariant wybrać. Jesteśmy za słabi, aby prowadzić działalność personalno-podziemną. Nie mamy zabezpieczonych lokali, materiałów technicznych, finansów. Pozostaje nam tylko działalność konspiracyjna. Też bardzo trudna decyzja – nikt z nas nigdy nie prowadził podwójnego życia. Będzie ciężko. Przygotowuję w tym czasie instrukcje działania obowiązującą w stanie wojennym i schemat organizacyjny grupy.*

Skontaktował się ze mną Bogdan Długogórski. *Okazało się, że był na strajku w Kombinacie. Dwa razy przedzierał się przez kordony ZOMO i wojska do miasta i kolportował ulotki (...). Po rozbiciu strajku udało mu się uciec. Cieszymy się obydwaj z tego spotkania. Zapraszam go do siebie na zebranie, informując równocześnie o naszych zamierzeniach i planach.* Bogdan *nareszcie decyduje się na wstąpienie do partii. Odbieram od niego naprędce improwizowaną przysięgę. Jest z nami na dobre i na złe. – „Przygotuj materiały na zebranie" – proszę. – „Chciałbym, abyś zrobił notatki dotyczące naszego działania. Każdy z nas robi coś takiego. Z tych wszystkich naszych przemyśleń może uda nam się zredagować podstawowe dokumenty organizacyjne, na których będziemy się opierać w naszej robocie.*

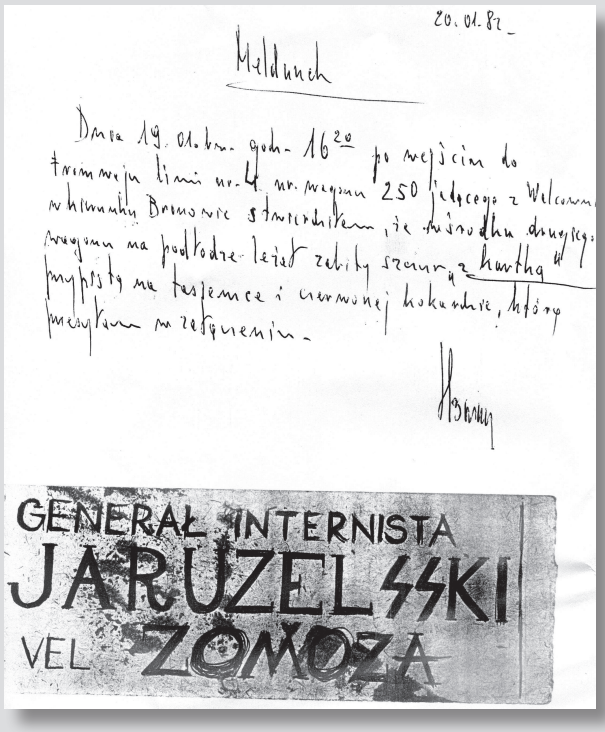
– „Rozglądnę się wśród swoich znajomych. Zobaczę, może któryś z nich zdecyduje się do nas przystąpić" – mówi przy pożegnaniu.

Nadchodzi wreszcie oczekiwany moment. Jesteśmy wszyscy. Otwieram zebranie słowami: – „Zdecydowaliśmy się podjąć działalność KPN-u w stanie wojennym. Chciałem wszystkim zebranym raz jeszcze przypomnieć o konsekwencjach, jakie mogą wyniknąć z naszej roboty. Myślę w tej chwili o więzieniu, na jakie jesteśmy narażeni w razie wpadki. Jest jeszcze na tyle czasu, że jeśli ktoś nie jest zdecydowany, może wycofać się". Nikt z zebranych nie reaguje. Widzę uśmiechy na twarzach. – „Nie po to jesteśmy tu, żeby się wycofywać" – słyszę w odpowiedzi.

– „A więc dobrze. Przejdźmy zatem do meritum" – mówię. Referuję swój punkt widzenia na sprawę, przedstawiam koncepcje działania, czytam projekt instrukcji. Przystępujemy do dyskusji. Długogórski *i* Toś *przygotowali również projekty instrukcji. Na bazie tych trzech tekstów redagujemy ostateczną wersję. Mamy już pierwszy wewnętrzny dokument* [Autora ponownie zawiodła pamięć. Instrukcja wewnętrzna TTKAB nosi datę 24 stycznia 1982 r., a więc została chyba opracowana na późniejszym posiedzeniu TTKAB. Być może na omawianym tu posiedzeniu opracowano jedynie jej projekt]. *Nanosimy poprawki do schematu organizacyjnego.* Długogórski *z* Bikiem *na równych prawach i obowiąz-*

kach poprowadzą poligrafię. Powołujemy jeszcze komórkę zajmującą się pomocą społeczną dla rodzin internowanych, na której czele stanie Marysia Zając. Oberc *przygotuje na następne spotkanie opracowane dzisiaj teksty w maszynopisie.*

Jeszcze trochę plotkujemy. Bik *ze swoimi kolegami już zaczął działać. Zdechłego szczura, który był przywiązany czerwoną kokardką, powiesili na pomoście w tramwaju. Szczur jeździł od pętli do pętli po całym mieście. Ludzie mieli frajdę. Było podobno dużo śmiechu i zabawy* [Akcja ze szczurem miała miejsce 19 stycznia 1982 r., na co wskazuje duży raport milicjanta w tej sprawie, umieszczony w aktach SB. Marek Bik musiał opowiadać tę historię o szczurze w czasie któregoś z kolejnych zebrań TTKAB]. *Osobiście nie pochwaliłem tego żartu. Jesteśmy partią polityczną i nie możemy sobie pozwalać na tego rodzaju wyskoki. Musimy postawić na dyscyplinę i nie zatracając demokratycznych form, na hierarchizację poleceń. Innego wyjścia nie ma.*



Przykład niekonwencjonalnej akcji propagandowej Marka Bika na początku 1982 r. Meldunek jakiegoś milicjanta (pisownia oryginalna): *Dnia 19 stycznia br. o godz. 16.20 po wejściu do tramwaju linii nr 4 nr wagonu 250 jadącego z Walcowni w kierunku Bronowic stwierdziłem, że w środku drugiego wagonu na podłodze leżał zabity szczur z „kartką" przypiętą na tasiemce i czerwonej kokardzie, którą przesyłam w załączeniu.*

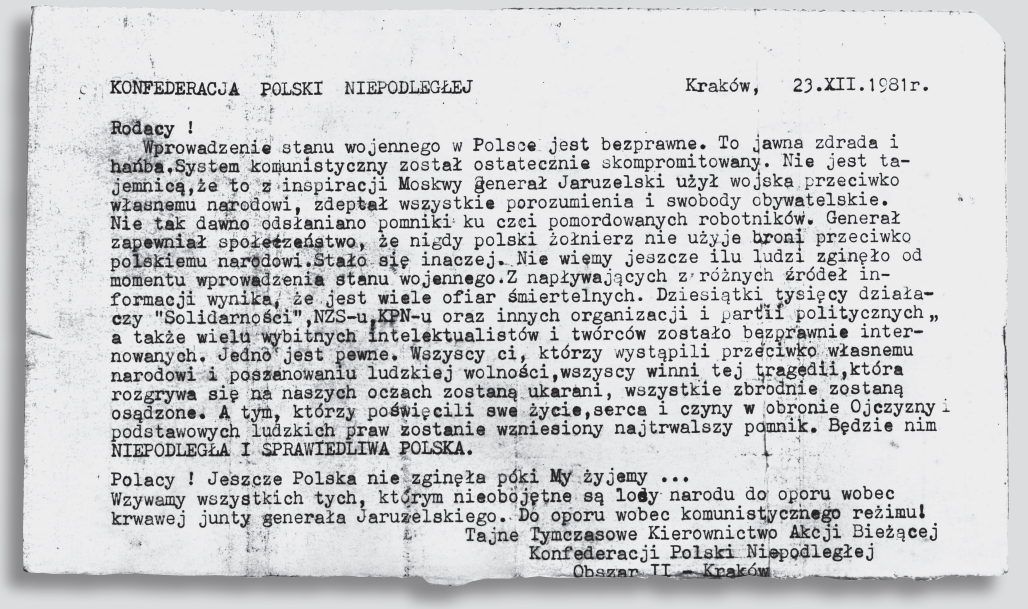
Z archiwum FCDCN

Na koniec uzgadniamy pseudonimy i rozważamy możliwości kontaktu z internowanymi. Nie ma odwiedzin w obozach, nawet dla najbliższej rodziny. Musimy czekać.

Nie posiadamy w tej chwili żadnych środków technicznych i materialnych. Startujemy od przysłowiowego zera. Dysponujemy zapałem i dobrymi chęciami, a przede wszystkim swoimi przekonaniami politycznymi – to nasz kapitał. Pada propozycja, by w pierwszą miesięcznicę wprowadzenia stanu wojennego rozrzucić w mieście ulotki kapeenowskie. Głosujemy przez aklamację. Projekt przechodzi jednogłośnie. Redagujemy wspólnie tekst ulotki. Bik *bierze na siebie wykonawstwo,* Pyzik i Toś *kolportaż. Tryby naszej, na razie, małej maszynki zaczynają się zazębiać. W pewnej chwili pojawia się problem podpisania naszej ulotki. Kierownictwo partii aresztowane, kierownictwo Obszaru internowane, jedna czy dwie osoby z hierarchii ukrywają się w dalszym ciągu. Jedynym wyjściem, jakie proponują*

zebrani, to ukonstytuowanie się Tajnego Tymczasowego Kierownictwa Akcji Bieżącej Obszaru. Tak też się dzieje. Osobiście mam pewne obiekcje, co do naszego posunięcia, którymi dzielę się z zebranymi. Obawiam się negatywnej reakcji nieobecnych jawnych działaczy, obawiam się posądzenie nas o uzurpatorstwo i o samozwaństwo.

Udało się ustalić dalsze losy tej ulotki, która była pierwszym oficjalnym dokumentem TTKAB. Jej tekst Marek Bik przekazał Jackowi Lichoniowi. Lichoń i jego siostra Barbara przeredagowali trochę jego treść, następnie Jacek zapisał matrycę białkową i oddał Markowi Bikowi. Ulotkę datowano 23 grudnia 1981 r.



KONFEDERACJA POLSKI NIEPODLEGŁEJ Kraków, 23.XII.1981r.

Rodacy !

Wprowadzenie stanu wojennego w Polsce jest bezprawne. To jawna zdrada i hańba.System komunistyczny został ostatecznie skompromitowany. Nie jest tajemnicą,że to z inspiracji Moskwy generał Jaruzelski użył wojska przeciwko własnemu narodowi, zdeptał wszystkie porozumienia i swobody obywatelskie. Nie tak dawno odsłaniano pomniki ku czci pomordowanych robotników. Generał zapewniał społeczeństwo, że nigdy polski żołnierz nie użyje broni przeciwko polskiemu narodowi.Stało się inaczej. Nie wiemy jeszcze ilu ludzi zginęło od momentu wprowadzenia stanu wojennego.Z napływających z różnych źródeł informacji wynika, że jest wiele ofiar śmiertelnych. Dziesiątki tysięcy działaczy "Solidarności",NZS-u,KPN-u oraz innych organizacji i partii politycznych „ a także wielu wybitnych intelektualistów i twórców zostało bezprawnie internowanych. Jedno jest pewne. Wszyscy ci, którzy wystąpili przeciwko własnemu narodowi i poszanowaniu ludzkiej wolności,wszyscy winni tej tragedii,która rozgrywa się na naszych oczach zostaną ukarani, wszystkie zbrodnie zostaną osądzone. A tym, którzy poświęcili swe życie,serca i czyny w obronie Ojczyzny i podstawowych ludzkich praw zostanie wzniesiony najtrwalszy pomnik. Będzie nim NIEPODLEGŁA I SPRAWIEDLIWA POLSKA.

Polacy ! Jeszcze Polska nie zginęła póki My żyjemy ...
Wzywamy wszystkich tych, którym nieobojętne są losy narodu do oporu wobec krwawej junty generała Jaruzelskiego. Do oporu wobec komunistycznego reżimu!

Tajne Tymczasowe Kierownictwo Akcji Bieżącej
Konfederacji Polski Niepodległej
Obszar II - Kraków

Pierwszy dokument TTKAB – odezwa z 23 grudnia 1981 r. przepisana na matrycy. Marek Bik przekazał tekst Jackowi Lichoniowi, który wraz ze swoją siostrą Barbarą przeredagował jego treść. Następnie Lichoń zapisał matrycę białkową i oddał Markowi Bikowi. Z archiwum Jacka Lichonia

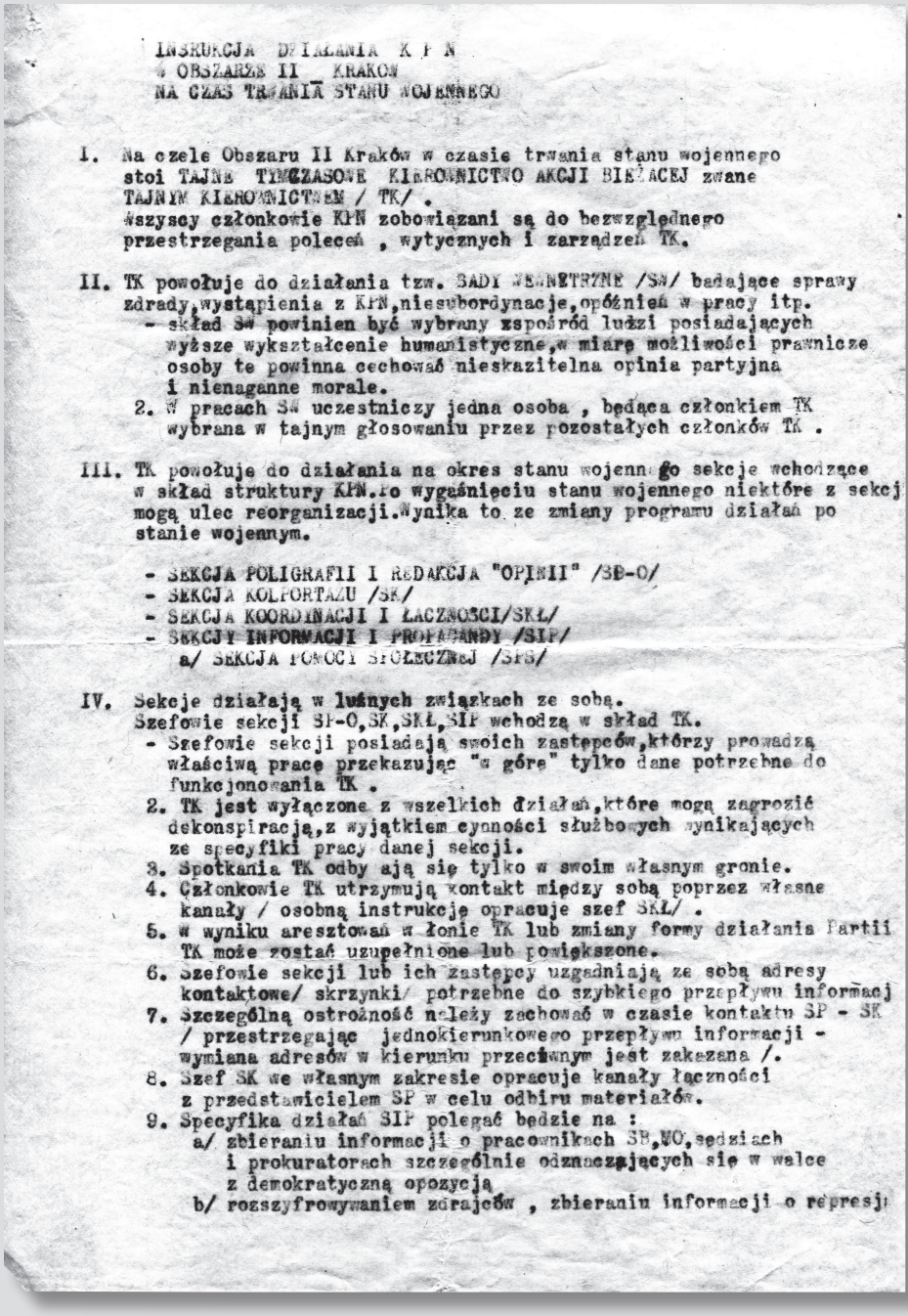
Trudno dziś ustalić, ale prawdopodobnie ta ulotka nigdy nie została wydrukowana, bo TTKAB nie miał jeszcze takich możliwości technicznych. Przepisywano ją na maszynie, przez kalkę, w nakładzie około 200 egzemplarzy. Odezwa TTKAB dostała wówczas nową datę – 28 grudnia 1981 r.

Pyzik: *Podczas pierwszego posiedzenia TTKAB, 17 grudnia, poznałem Witka Tosia. Wtedy na czele kierownictwa stanął Marian Gut.*

Łenyk: *Gut był geodetą. Poznałem go na wiosnę 1981. Zgłosił się do mnie sam. Chciał coś zrobić dla Polski, ale był bardzo ostrożny, wręcz bojaźliwy. Uważał, że SB jest wszechmocna i może każdego zniszczyć. Spotkania z nim były bardzo uciążliwe, bo musiałem mu zagwarantować bezpieczeństwo, że nikt nas nie podejrzy. Chciałem go izolować od możliwej wpadki i dać mu możliwość działania. Dlatego skierowałem go wraz z kilkoma innymi osobami, które świeżo przyjąłem do KPN (Toś, Pyzik i Oberc), do rezerwy na wypadek wpadki. Nie chciałem ich łączyć z ludźmi, którzy działali wcześniej. Taka była zresztą koncepcja Mariana.*

Ryszard Pyzik: *Był starszym od nas, cichym, stonowanym człowiekiem, typem intelektualisty. Palący bardzo dużo, szczupły, bardzo nerwowy. Gut nie miał własnego autorytetu.*

Jego autorytet był nadany – to jego wskazał Zygmunt Łenyk na przywódcę. Dostrzegam pozytywną rolę, którą odegrał Gut w tym czasie. My, młodzi, poważnie zastanawialiśmy się, jakie zająć stanowisko wobec stanu wojennego – czy wybrać model opozycji zbrojnej, czy politycznej. Marian przekonał nas do tego drugiego wariantu. Dziś sądzę, że miał rację, a rady, których nam wtedy udzielił, uznaję za cenne.



INSTRUKCJA DZIAŁANIA K P N
W OBSZARZE II KRAKÓW
NA CZAS TRWANIA STANU WOJENNEGO

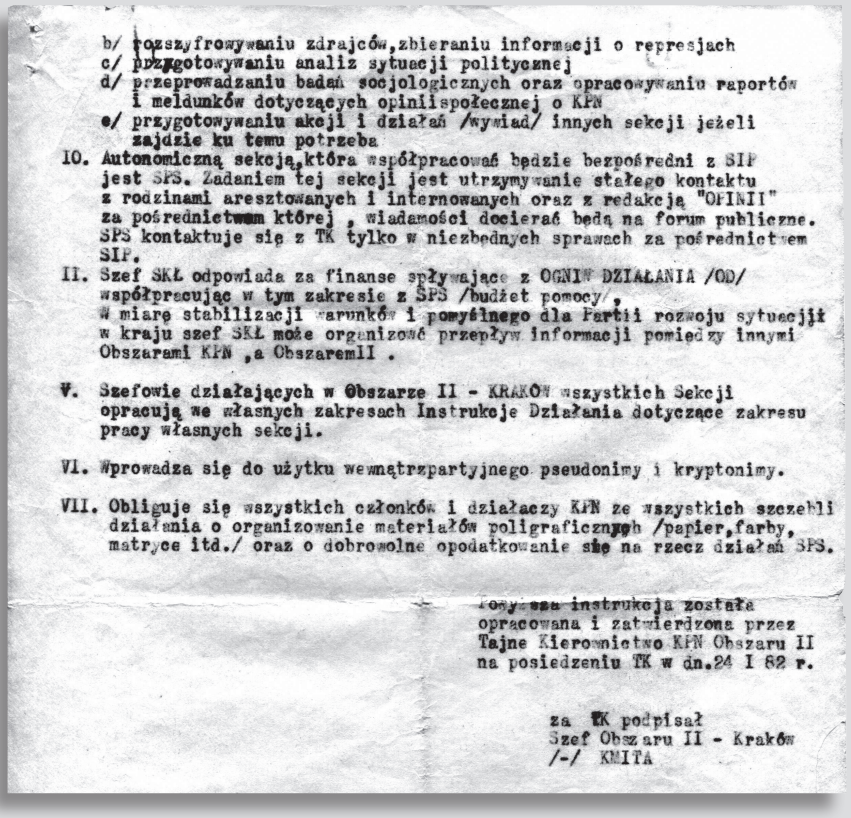
I. Na czele Obszaru II Kraków w czasie trwania stanu wojennego stoi TAJNE TYMCZASOWE KIEROWNICTWO AKCJI BIEŻĄCEJ zwane TAJNYM KIEROWNICTWEM / TK/ .
Wszyscy członkowie KPN zobowiązani są do bezwzględnego przestrzegania poleceń , wytycznych i zarządzeń TK.

II. TK powołuje do działania tzw. SĄDY WEWNĘTRZNE /SW/ badające sprawy zdrady,wystąpienia z KPN,niesubordynacje,opóźnień w pracy itp.
- skład SW powinien być wybrany zspośród ludzi posiadających wyższe wykształcenie humanistyczne,w miarę możliwości prawnicze osoby te powinna cechować nieskazitelna opinia partyjna i nienaganne morale.
2. W pracach SW uczestniczy jedna osoba , będąca członkiem TK wybrana w tajnym głosowaniu przez pozostałych członków TK .

III. TK powołuje do działania na okres stanu wojennego sekcje wchodzące w skład struktury KPN.Po wygaśnięciu stanu wojennego niektóre z sekcj mogą ulec reorganizacji.Wynika to ze zmiany programu działań po stanie wojennym.

- SEKCJA POLIGRAFII I REDAKCJA "OPINII" /SP-O/
- SEKCJA KOLPORTAŻU /SK/
- SEKCJA KOORDINACJI I ŁĄCZNOŚCI/SKŁ/
- SEKCJY INFORMACJI I PROPAGANDY /SIP/
a/ SEKCJA POMOCY SPOŁECZNEJ /SPS/

IV. Sekcje działają w luźnych związkach ze sobą.
Szefowie sekcji SP-O,SK,SKŁ,SIP wchodzą w skład TK.
- Szefowie sekcji posiadają swoich zastępców,którzy prowadzą właściwą pracę przekazując "w górę" tylko dane potrzebne do funkcjonowania TK .
2. TK jest wyłączone z wszelkich działań,które mogą zagrozić dekonspiracją,z wyjątkiem czynności służbowych wynikających ze specyfiki pracy danej sekcji.
3. Spotkania TK odby ają się tylko w swoim własnym gronie.
4. Członkowie TK utrzymują kontakt między sobą poprzez własne kanały / osobną instrukcję opracuje szef SKŁ/ .
5. W wyniku aresztowań w łonie TK lub zmiany formy działania Partii TK może zostać uzupełnione lub powiększone.
6. Szefowie sekcji lub ich zastępcy uzgadniają ze sobą adresy kontaktowe/ skrzynki/ potrzebne do szybkiego przepływu informacj
7. Szczególną ostrożność należy zachować w czasie kontaktu SP - SK / przestrzegając jednokierunkowego przepływu informacji - wymiana adresów w kierunku przeciwnym jest zakazana /.
8. Szef SK we własnym zakresie opracuje kanały łączności z przedstawicielem SP w celu odbioru materiałów.
9. Specyfika działań SIP polegać będzie na :
a/ zbieraniu informacji o pracownikach SB,MO,sędziach i prokuratorach szczególnie odznaczających się w walce z demokratyczną opozycją
b/ rozszyfrowywaniem zdrajców , zbieraniu informacji o represj



b/ rozszyfrowywaniu zdrajców, zbieraniu informacji o represjach
c/ przygotowywaniu analiz sytuacji politycznej
d/ przeprowadzaniu badań socjologicznych oraz opracowywaniu raportów i meldunków dotyczących opinii społecznej o KPN
e/ przygotowywaniu akcji i działań /wywiad/ innych sekcji jeżeli zajdzie ku temu potrzeba

IO. Autonomiczną sekcją, która współpracować będzie bezpośredni z SIP jest SPS. Zadaniem tej sekcji jest utrzymywanie stałego kontaktu z rodzinami aresztowanych i internowanych oraz z redakcją "OPINII" za pośrednictwem której , wiadomości docierać będą na forum publiczne. SPS kontaktuje się z TK tylko w niezbędnych sprawach za pośrednictwem SIP.

II. Szef SKŁ odpowiada za finanse spływające z OGNIW DZIAŁANIA /OD/ współpracując w tym zakresie z SPS /budżet pomocy/ , W miarę stabilizacji warunków i pomyślnego dla Partii rozwoju sytuacji w kraju szef SKŁ może organizować przepływ informacji pomiędzy innymi Obszarami KPN ,a ObszaremII .

V. Szefowie działających w Obszarze II - KRAKÓW wszystkich Sekcji opracują we własnych zakresach Instrukcje Działania dotyczące zakresu pracy własnych sekcji.

VI. Wprowadza się do użytku wewnątrzpartyjnego pseudonimy i kryptonimy.

VII. Obliguje się wszystkich członków i działaczy KPN ze wszystkich szczebli działania o organizowanie materiałów poligraficznych /papier, farby, matryce itd./ oraz o dobrowolne opodatkowanie się na rzecz działań SPS.

Powyższa instrukcja została opracowana i zatwierdzona przez Tajne Kierownictwo KPN Obszaru II na posiedzeniu TK w dn.24 I 82 r.

za TK podpisał
Szef Obszaru II - Kraków
/-/ KMITA

Instrukcja wewnętrzna TTKAB z 24 stycznia 1982 r. *Nadchodzi wreszcie oczekiwany moment. Jesteśmy wszyscy. Otwieram zebranie słowami: - „Zdecydowaliśmy się podjąć działalność KPN-u w stanie wojennym. Chciałem wszystkim zebranym raz jeszcze przypomnieć o konsekwencjach, jakie mogą wyniknąć z naszej roboty. Myślę w tej chwili o więzieniu, na jakie jesteśmy narażeni w razie wpadki. Jest jeszcze na tyle czasu, że jeśli ktoś nie jest zdecydowany, może wycofać się". Nikt z zebranych nie reaguje. Widzę uśmiechy na twarzach. - „Nie po to jesteśmy tu, żeby się wycofywać" - słyszę w odpowiedzi. - „A więc dobrze. Przejdźmy zatem do meritum" - mówię. Referuje swój punkt widzenia na sprawę, przedstawiam koncepcje działania, czytam projekt instrukcji. Przystępujemy do dyskusji. Długogórski i Toś przygotowali również projekty instrukcji. Na bazie tych trzech tekstów redagujemy ostateczną wersję. Mamy już pierwszy wewnętrzny dokument.*

Z archiwum FCDCN

Marek Bik: *Gut był bardzo ostrożny, co wynikało może z tego, że był dużo starszy od nas. Uważam, że za swoją oschłością ukrywał może swoją niekompetencję i niedostatki wiedzy. Miał jakiś kontakt z Łenykiem, chyba przez Marylę, żonę Zygmunta. Nieraz Gut dawał do zrozumienia, że to, co mówi, to nie tylko jego zdanie, ale także Łenyka.*

Istnienie łączności grypsowej między Gutem a internowanymi działaczami krakowskiej KPN potwierdza Gut w liście do Żebrowskiego z 9 marca: *Skład TTKAB i proponowany model działania został zaakceptowany przez internowanego członka KAB Obszaru II – Z*[ygmunta] *Ł*[enyka]. *O naszej działalności poinformowani zostali członkowie KAB Obszar II: S*[tanisław] *P*[alczewski] *i K*[rzysztof] *B*[zdyl].

Marian Gut używał pseudonimów „Kmita" oraz „Korczyński".

Witold Toś (fragment rozmowy z nim zamieszczonej w „Niepodległości" z 30 grudnia 1983 r., w której Toś wypowiadał się pod pseudonimem „Tomasz Żuliński"): *W krót-*

kim czasie siłami szeregowych członków potrafiliśmy reanimować strukturę, a nawet ją rozszerzyć i przystosować do nowych, wojennych warunków. Niemniej jednak zaskoczenie było pełne – nikt z kierownictwa Obszaru nie uniknął aresztowania czy internowania.

Na pewno byliśmy w dużo gorszej sytuacji niż „Solidarność". Nie oglądaliśmy się jednak na pomoc z zewnątrz i zaczęliśmy od kartki papieru i długopisów. Pierwsze nasze prace miały charakter wewnętrzny, tzn. opracowywanie instrukcji dla całego Obszaru, a także dla potrzeb tworzących się sekcji. Równocześnie szkoliliśmy napływających nowych ludzi, którzy wchodzili do różnych grup, zgodnie ze swoimi predyspozycjami.

W zamieszczonym wyżej tekście Gut wspomina o instrukcji wewnętrznej. Nosi ona datę 24 stycznia 1982 r.

Witold Toś – „Turnia", „Konrad" – został szefem Sekcji Informacji i Propagandy (SIP).

Z instrukcji wewnętrznej: *Specyfika działań SIP polegać będzie na: zbieraniu informacji o pracownikach SB, MO, sędziach i prokuratorach szczególnie odznaczających się w walce z demokratyczną opozycją, rozszyfrowywaniu zdrajców, zbieraniu informacji o represjach, przygotowywaniu analiz sytuacji politycznej, przeprowadzaniu badań socjologicznych oraz opracowywaniu raportów i meldunków dotyczących opinii społecznej o KPN, przygotowywaniu akcji i działań (wywiad) innych sekcji, jeżeli zajdzie taka potrzeba.*

Pyzik: *Toś miał pisać teksty. Pisaniem miał także zajmować się Gut.*

Artykuły pisali sporadycznie także: Oberc, Bik, Małgorzata Szeremeta oraz osoby związane z CKAB (m.in. Andrzej Izdebski).

Oberc: *Głównie relacjonowałem przebieg manifestacji, w których braliśmy udział.*

Bik: *Mój pierwszy tekst to było sprawozdanie z demonstracji 13 marca 1982 zamieszczone w „Niepodległości" nr 2 z 15 marca 1982.*

Małgorzata Szeremeta: *Przepisywałam na matryce białkowe teksty do pisma „Niepodległość". Czasem pisałam anonimowo krótkie doniesienia do „Niepodległości", jednakże nigdy nie podpisywałam ich swoim pseudonimem („Dewajtis"). Zajmowałam się też kolportażem bibuły dostarczanej mi przez Krzyśka Stolarczyka. Zanosiłam ją m.in. mojej ówczesnej kierowniczce z pracy Alicji Kaplicie do Wytwórni Surowic i Szczepionek – zagorzałej sympatyczce KPN-u, oraz mniej więcej szesnastoletniemu chłopcu z charakterystycznymi kręconymi włosami do posesji przy al. Kasztanowej 1* [Chodzi prawdopodobnie o Wojciecha Lubowieckiego, który mieszkał w tym domu]. *Odbierałam również od niego teksty do przepisania na matrycach, nie pamiętam już, czy były one przeznaczone do druku w „Niepodległości", czy w „Zomorządności", oraz gotowe ulotki, które przepisywałam na papierze przebitkowym.*

Zadaniem Tosia było także utrzymywanie kontaktów z mediami. Oczywiście, dziennikarze prasy oficjalnej w ogóle nie wchodzili w grę, zaś kontakty z korespondentami prasy zagranicznej w realiach stanu wojennego i konspiracji były utrudnione. Mimo to w marcu lub w kwietniu 1982 r., udało się doprowadzić do takiego spotkania.

***

Jacek Szeremeta: *W 1980 i 1981 roku zdarzyło mi się pracować „na zlecenie" w krakowskim oddziale rządowej Polskiej Agencji „Interpress".* [Polska Agencja Interpress powstała w 1967 r.; prowadziła działalność informacyjno-propagandową, wydawniczą i obsługiwała dziennikarzy zagranicznych; do 1990 r. podlegała RSW „Prasa–Książka–Ruch"; w 1991 r. została przekształcona w Polską Agencję Informacyjną]. *Dotyczyło to wyłącznie miesięcy wakacyjnych, bo od dziesięciu lat miałem pełny etat nauczycielski w XV LO. Szefem Interpressu w Krakowie był Marek Czerski, z którym poznaliśmy się, pracując*

w liceum. Marek zatrudniał mnie w agencji jako asystenta. Bezpośredni, osobisty kontakt z zagranicznymi, a także i krajowymi gośćmi i dziennikarzami w zasadzie miał wyłącznie Marek, który z reguły przebywał z nimi poza siedzibą agencji, w tzw. terenie. Mówiąc w skrócie i z dużym uproszczeniem, celem działania agencji Interpress było ułatwianie zagranicznym dziennikarzom, politykom i innym dygnitarzom odwiedzającym Polskę, kontaktu z interesującymi ich ludźmi, miejscami, instytucjami. Rzecz jasna owe osoby, miejsca i instytucje były wcześniej wytypowane przez czynniki polityczne, najczęściej wprost przez Komitet Wojewódzki PZPR, skąd szef agencji dostawał stosowne dyrektywy i gdzie składał sprawozdania ze swoich działań. Na przykład, gdy przyjeżdżała z zagranicy delegacja zainteresowana kondycją rolnictwa indywidualnego w PRL, należało obowiązkowo zawieźć ją do wzorcowego gospodarstwa rolnego spreparowanego specjalnie w tym celu w Libertowie koło Krakowa. Nade wszystko trzeba było zadbać, aby goście – szczególnie dziennikarze – nie znaleźli się tam, gdzie znaleźć się nie powinni. W zamyśle ówczesnych władz zadaniem agencji było organizowanie – w specyficzny sposób – pobytu w Polsce wszelkim, zwłaszcza niezależnym, gościom i dyskretne ich kontrolowanie, przyjmując na siebie w trakcie wizyt rolę gospodarza.

Oczywiście, z zagranicznymi gośćmi spotykali się także pracownicy KK PZPR, o czym wspomina Broniek: *W stanie wojennym przebywała w Krakowie liczna grupa dziennikarzy zachodnich, z którymi spotykał się Krystyn Dąbrowa, w towarzystwie Macieja Szumowskiego (krążyła wtedy plotka, że Szumowski jest internowany).*

J. Szeremeta: *Działania Marka Czerskiego kierującego oddziałem w Krakowie, gdy tylko było to możliwe, stały w rażącej sprzeczności z wyżej wymienionymi oficjalnymi zasadami Interpressu. Profesjonalna kontrola goszczących w Polsce należała oczywiście do Służby Bezpieczeństwa, a ta wywiązywała się z tego na ogół dobrze i trudno było ją wyprowadzić w pole.*

Wśród zagranicznych dziennikarzy byli i tacy, którzy współpracowali z polskimi służbami specjalnymi, o czym wiedzieliśmy, choć nie potrafiliśmy wskazać ich personalnie. Świadczy o tym zdarzenie, które miało miejsce w drugim półroczu roku szkolnego 1981/1982. Odwiedziła wtedy Kraków ekipa któregoś z programów telewizji szwedzkiej pod pretekstem zapoznania się z metodami nauczania w polskiej szkole średniej. Marek Czerski zaproponował im wizytę w XV LO, równocześnie znakomicie wyczuł prawdziwe intencje realizatorów materiału: chęć rozmowy z licealistami na aktualne tematy polityczne i społeczne, zbadanie nastrojów panujących wśród polskiej młodzieży. Po sfilmowaniu, na początek, prowadzonej przeze mnie lekcji matematyki, dyskretnie skontaktowaliśmy Szwedów z dwoma uczniami (Grzegorz Szatan, Jerzy Macioł), konspirującymi w nieformalnych strukturach uczniowskich, a sympatyzującymi z KPN. Jak dowiedziałem się dzień później, ekipa umówiła się z chłopcami na popołudniowy spacer wiślanymi bulwarami. Wieczorem Szwedzi zostali wydaleni z Polski, ich materiał filmowy spoczął przy ul. Mogilskiej, gdzie również był przesłuchiwany Grzegorz Szatan.

Marek Czerski swobodnie posługiwał się trzema językami obcymi, był znakomitym, sprawnym i sprytnym organizatorem, nadawał się więc – jak nikt – do pracy w agencji. Władze jednak nie zdawały sobie sprawy z tego, że wyznaje poglądy zgoła odmienne od takich, jakie należało mieć na „ideologicznym froncie". Na co dzień sprawowanie tej funkcji było bardzo trudne, bowiem Interpress miał „opiekunów". Często, gdy rano rozpoczynaliśmy pracę, odwiedzał nas funkcjonariusz SB (o ile dobrze pamiętam, nazywał się Płaszewski) i obserwował, czym się zajmujemy. Wymagał od Marka relacji z przebiegu pracy agencji. Nie ukrywał, kim jest, ale przyjął formułę przyjaznego, towarzyskiego sposobu zacho-

wywania się w czasie pełnienia służby. Mimo to skutecznie kontaktowaliśmy zagranicznych gości z atrakcyjnymi dla nich rozmówcami, na przykład z legalnie działającą redakcją „Tygodnika Powszechnego". Najczęściej byli to Jerzy Turowicz, Jacek Susuł, Krzysztof Kozłowski czy ks. Józef Tischner. Spotkania z nimi odbywały się w redakcji bądź – gdy chcieli swobodnie rozmawiać – w innych miejscach, bo pracownicy „Tygodnika Powszechnego" byli prawie pewni, że przy ul. Wiślnej zainstalowany był podsłuch. Takie przekonanie z czasem zamieniło się w pewność. Władza jakoś specjalnie nie „polowała" na kontakty z „Tygodnikiem Powszechnym", niemniej chciała być na bieżąco poinformowana.

Interpress był traktowany podejrzliwie przez świadomą część społeczeństwa. Pamiętam, że gdy w lecie 1981 byłem jako wysłannik na Wojewódzkim Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność" Małopolska w Tarnowie, zaopatrzony w identyfikator Interpressu, wielu moich kolegów z „Solidarności" dziwnie na mnie patrzyło, a niektórzy ostrzegali się nawzajem: „Uważaj, bo ten człowiek jest z Interpressu«!. Taką opinię miała ta firma i nikt nie wierzył w to, że krakowska agencja była jednak w stanie, wbrew intencjom władz, uprawiać rzetelną politykę informacyjną, że – dzięki takim ludziom jak Marek Czerski – przekazywano często na Zachód prawdziwe doniesienia z działań niezależnych środowisk w Polsce.

Także po 13 grudnia 1981 r. Marek Czerski, w tylko sobie znany sposób, organizował kontakty zagranicznych dziennikarzy z działaczami małopolskiej opozycji. W pierwszym półroczu 1982 Krzysztof Bobiński z „Financial Times" zapragnął spotkać się z przedstawicielami krakowskiej KPN. Marek poprosił mnie o pomoc, ja zwróciłem się do córki, a córka do Witolda Tosia.

Małgorzata Szeremeta: *Pierwsze spotkanie odwołano w ostatniej chwili, bo zostało „namierzone". Gdy Marek Czerski już wychodził po Bobińskiego, tuż przed uzgodnioną godziną, do Interpressu dotarła informacja, że umówione miejsce jest „spalone". Nie pamiętam, od kogo pochodziła ta wiadomość. Kolejne spotkanie doszło już do skutku.*

Jacek Szeremeta: *Czerski umówił Bobińskiego z Tosiem w „Jamie Michalika". Toś uznał, że spotkanie powinno być „ubezpieczane wzrokowo" przez dwie osoby. Roli tej podjęła się córka wraz ze mną. Nie zauważyliśmy nic szczególnego. Rozmowa Bobińskiego z Tosiem trwała około dwóch godzin. Bobiński był bardzo zadowolony. Dziękował potem Czerskiemu, a Tosia miał określić słowami: „Gorąca polska głowa – tacy są ci Polacy". Nie wiem, czy materiał z tej rozmowy ukazał się w zachodniej prasie. Sądzę, że tak, bo Krzysztof Bobiński był zbyt poważnym dziennikarzem, by marnować bezproduktywnie czas. Nawiasem mówiąc – jak podglądnąłem w czasie któregoś z przesłuchań przy Mogilskiej – nazwisko tego dziennikarza przekręcono na Bąbiński. Jak się okazało, w sierpniu 1982 r. w czasie kolejnego przesłuchania, SB wiedziała o spotkaniu Bobińskiego z Tosiem i o „ubezpieczaniu" spotkania przeze mnie i córkę. Byłem zaskoczony, bo niewielu o tym wiedziało. W innych spotkaniach z przedstawicielami podziemia organizowanych przez Marka Czerskiego nie uczestniczyłem. Wiem, że było ich sporo, najwięcej z działaczami związkowymi z Huty im. Lenina. Przypuszczam, że także z tymi, którzy się ukrywali.*

Małgorzata Szeremeta: *Pamiętam takie spotkanie ze Stefanem Jurczakiem, i inne, które „zabezpieczałam", siedząc w jakiejś kawiarni, na długo przed przyjściem Bernarda Margueritte – dziennikarza francuskiego i któregoś z ukrywających się działaczy. W sumie pamiętam pięć lub sześć takich spotkań, a spotkanie Krzysztofa Bobińskiego z Witoldem Tosiem było chyba pierwszym z tego cyklu.*

Toś usiłował też w inny sposób przekazywać informacje za granicę. Gdy ambasada USA dała ogłoszenie, że poszukuje dla swojego pracownika mieszkania w Krakowie, Toś

wysłał pocztą kopertę, na której podany był numer oferty, dotyczącej mieszkania. W kopercie znajdowały się dokumenty i prasa KPN.

***

Formalnie na czele Sekcji Poligrafii (SP) stał Bogdan Długogórski, który używał pseudonimów „Rodion" i „Zbigniew". Członkowie TTKAB nie pamiętają jednak, aby uczestniczył w zebraniach. Skupił się na wydawaniu „Opinii Krakowskiej".

Palczewski: *Już w marcu 1981 (gdy miało dojść do strajku generalnego po prowokacji bydgoskiej) przygotowywaliśmy z Gąsiorowskim drugi garnitur redakcji „Opinii Krakowskiej". Szefem miał być Żebrowski, a drukarzem – Długogórski.*

Ponieważ Żebrowski był jednocześnie szefem „Opinii Krakowskiej" i szefem CKAB (o czym dalej), więc w sposób naturalny „Opinia" była silnie związana z CKAB.

Bogdan Długogórski wydrukował pierwsze trzy (w 1982 r.) numery tego pisma. Z materiałów zebranych przez SB po wpadce drukarni przy ul. Findera wynika, że co najmniej jeden numer „Opinii Krakowskiej" Długogórski wydrukował (w kwietniu 1982 r.) w mieszkaniu Grzegorza Szatana. Pomagał mu Stanisław Papież. Z zachowanego listu Mariana Guta do Jerzego Żebrowskiego z 9 marca 1982 r. wynika, że kwietniowa „Opinia" to był numer 28. Gut pisał: *Wydajemy: „Opinię Krakowską (nr 26 – wydany, 27 – na ukończeniu, 28 – w przygotowaniu).*

Z artykułu wstępnego autorstwa „II Zespołu Redakcyjnego Opinii Krakowskiej", dotyczącego sytuacji w Konfederacji Polski Niepodległej po wprowadzeniu stanu wojennego: *Przystąpiła (…) do pracy II Redakcja Opinii Krakowskiej, wydając w styczniu 1982 kolejny 26. numer pisma. Opinia Krakowska jest najstarszym ukazującym się bez przerwy pismem niezależnym w Polsce. Jej pierwszy numer zaprezentowaliśmy czytelnikom w 1977. Była ona organem Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Od września 1979 jest oficjalnym organem Obszaru II KPN. Historia pisma, jak również rola, jaka ono zawsze odgrywało w niepodległościowym środowisku naszego Obszaru, spowodowały decyzję kontynuacji jego wydawania w warunkach stanu wojennego.*

Po wpadce drukarni „Niepodległość" w czerwcu 1982 r., SB uzyskała także informacje o drukowaniu „Opinii" przez Długogórskiego. Łenyk: *Bogdan był bardzo zdolny. Bez trudności wykonywał wszelkie prace organizacyjne, wydawnicze, poligraficzne. Wciągał do współpracy wiele osób z otoczenia. Jeden z jego kolegów wpadł, szybko się załamał i zaczął sypać. Bogdan poddany był presji zarówno przez władze szkolne, jak i przez SB.*

Zdawałem sobie sprawę, że jego wyjazd oznacza dla nas znaczne osłabienie. Bogdan uważał, że nie przerywa swojej działalności w KPN, a jedynie przenosi ją za granicę, by nas stamtąd wspierać. Bez entuzjazmu wyraziłem zgodę, życząc, by jego misja powiodła mu się jak najlepiej. Spotkanie, na którym zapadła ta ważna decyzja, odbyło się w warunkach absolutnej konspiracji i wziął w nim udział jeszcze jedynie jego bezpośredni szef – Marian Gut. Każdy docierał na nie indywidualnie z własnym systemem gubienia ogonów. Nie mogłem Bogdana zatrzymywać w kraju, gdzie młodzi ludzie z KPN nie mieli żadnej szansy na odpowiednie studia, pracę i rozwój. W Kanadzie, gdzie mieszkała jego ciotka, miał podjąć studia zgodne z jego zainteresowaniami. Odezwał się dopiero w 1989 roku radosny z powodu przemian zachodzących w kraju, zadzwonił do mnie w czasie, gdy kandydowałem na posła w wyborach kontraktowych i przesłał mi 20 dolarów na kampanię.

Z analizy materiałów operacyjnych wyłączonych z SOR „Dama" z 22 sierpnia 1984 r. wynika, że Długogórski starał się o paszport od zimy lub wiosny 1982 r.: *Nosi się z zamiarem wyjazdu z kraju, lecz otrzymuje decyzję odmowną. Odwołuje się 27 maja 1982 do*

Wydziału Paszportów tut. KW MO. Treść odwołania jest bardzo agresywna i obelżywa pod adresem funkcjonariuszy SB. Pod koniec 1982 otrzymuje zezwolenie na wyjazd emigracyjny do Kanady i wyjeżdża z kraju.

Po emigracji Długogórskiego 4. (29.) numer „Opinii" z 1982 r., który zawierał wybór dokumentów TTKAB-u i CKAB-u oraz list przewodniczącego KPN Leszka Moczulskiego do prymasa, wydrukował Bocian: *Zrobiłem go sam – głównie przedruki z prasy konfederackiej plus jakieś oświadczenia. Wydrukowałem chyba z „Kudłatym", czyli ze Sławomirem Onyszką, u Michała Żaka.*

***

Główny ciężar KPN-owskiej poligrafii w Krakowie wziął na siebie Bik. Później dołączył do niego Stanisław Papież. TTKAB szybko uruchomił nowe pismo informacyjne.

Toś w wywiadzie dla „Niepodległości" z 1983 r. (udzielonym pod pseudonimem): *Rozruch poligrafii trwał dość długo. Zaczynaliśmy od dwóch maszyn do pisania i „spirytusiaka". Dopiero w marcu 1982 roku, od wydania pierwszego numeru „Niepodległości", datuje się właściwe powstanie Sekcji Poligrafii. Nie można zapomnieć, że pomogli nam w tym koledzy z KOS-u* [m.in. Witold Tukałło, Maciej Kuś i Andrzej Załuski]. *Do tego momentu zmuszeni byliśmy korzystać z rozlatującego się powielacza spirytusowego i wspomnianych maszyn. Pamiętam jak do jednej akcji kolportażowej przygotowywaliśmy się ponad tydzień. Efekt – 400 ulotek „maszynowych" – cóż to za radość!*

Wojciech Oberc – „Abdul", „Tom" – został szefem Sekcji Koordynacji i Łączności (SKŁ). Dziś wspomina: *Moja rola polegała na utrzymywaniu łączności pomiędzy poszczególnymi sekcjami, nadzorowaniu ich pracy, udzielaniu pomocy organizacyjnej oraz pomaganiu rodzinom internowanych. Zajmowałem się także sprawami finansowymi.*

Sekcja ta winna także utrzymywać łączność z innymi organizacjami i środowiskami. Kontakty takie zostały nawiązane, o czym meldował Gut Żebrowskiemu 9 marca 1982 r.: *Nie czekając na dyrektywy, podjęliśmy szereg działań: (…) utrzymywanie stałych i bieżących kontaktów z innymi ugrupowaniami opozycyjnymi, takimi jak: „Solidarność" – Koła Oporu Społecznego, Studencki Komitet Obrony Demokracji i Akademicki Ruch Samoobrony.* Nie ma bliższych informacji o tych kontaktach. Z donosów TWC „Hiszpana" wynika, że działania te podejmował Witold Toś (co nie wyklucza aktywności Oberca w tej dziedzinie).

Na czele Sekcji Pomocy Społecznej (SPS) stała Maria Zając (która wkrótce została żoną Tosia) – „Czeremcha".

Pyzik: *Marysia razem z siostrą Witka – Anią Toś zajmowały się pomocą materialną dla rodzin internowanych. Środki pochodziły z darowizn członków i sympatyków KPN. Akcja ta trwała na początku stanu wojennego i po kilku miesiącach się zakończyła.*

Z instrukcji wewnętrznej: *Zadaniem tej sekcji jest utrzymywanie stałego kontaktu z rodzinami aresztowanych i internowanych oraz z redakcją „Opinii", za pośrednictwem której wiadomości docierać będą na forum publiczne. SPS kontaktuje się z TK tylko w niezbędnych sprawach za pośrednictwem SIP.*

Z listu Guta do Żebrowskiego (9 marca 1982 r.): *Przekazano 11 tys. złotych, słodycze i zabawki.*

Kolportaż i mały sabotaż był podstawową formą działania TTKAB. Toś (w cytowanym wywiadzie z 1983 r.): *Sytuacja Konfederacji nie była wesoła. Rada Polityczna w więzieniu. Kierownictwa Obszarów w obozach. Postawiliśmy sobie zadanie, pokazania społeczeństwu,*

że KPN mimo wszystko żyje i działa nadal. Zorganizowaliśmy zatem szereg akcji wizualnych. Kilkakrotnie kolporterzy rozrzucili ulotki po zakończonych mszach świętych pod kościołami Krakowa, a także w terenie. Wydzielone grupy malowały hasła na murach itp.

Na czele Sekcji Kolportażu (SK) stanął Ryszard Pyzik, „Igła", „Swarożyc". Pyzik: *Odpowiadałem za plakatowanie i rozrzucanie ulotek, a także za transport materiałów poligraficznych w Polsce południowej. Już 17 grudnia 1981 rozklejaliśmy pierwsze plakaty i ulotki na murach Krakowa. Do moich obowiązków należało zbieranie informacji z manifestacji w Krakowie i Nowej Hucie, a także ukrycie i zabezpieczenie archiwum KPN.*

Współpracowałem z kilkudziesięcioma osobami. Krzysztof Kwiatkowski został szefem jednej grupy kolportażu, Agata Dziadowiec i Mirosław Dziewoński – kierowali drugą grupą kolportażu. Anna Jazgar (później Kwiatkowska) – działała w grupie Witka Tosia i podobnie jak Krzysiek Kwiatkowski pracowała w Drukarni Narodowej. Moją przyszłą żonę Annę Toś poznałem tuż przed sylwestrem, kiedy odbierałem od jej brata, Witka Tosia, materiały do kolportażu. W tym czasie Ania była uczennicą klasy maturalnej w V LO w Krakowie. Było też wielu innych, ale większość kolegów i koleżanek pamiętam tylko z pseudonimów.

Prowadziliśmy akcje rozrzucania ulotek w trakcie manifestacji okolicznościowych np. pod kościołem Mariackim na Rynku krakowskim czy pod kościołami w Bieńczycach i św. Anny. Podobne akcje przeprowadziliśmy w Rabce, Chabówce, Limanowej. Drugą formą walki było rozklejanie ulotek i plakatów na murach miasta. Ulotki KPN były dostarczane do wielu miast Polski Południowej, np. do Rzeszowa, Nowego Sącza, Nowego Targu, Chrzanowa itd.

Dla naszej poligrafii organizowałem materiały, tj. farbę, papier, a także matryce z różnych źródeł, np. z Drukarni Narodowej przez Krzysztofa Kwiatkowskiego i jego brata Bogusława, z Drukarni Wydawniczej przez mojego brata Krzysztofa Pyzika, z Biura Projektów Przemysłu Nieorganicznego przez mojego ojca Tadeusza Pyzika. Muszę tu wspomnieć, że mój tata także był zaprzysiężonym członkiem KPN – wciągnąłem go jeszcze przed 13 grudnia. Pomimo złego stanu zdrowia prowadził archiwum KPN aż do swojej niespodziewanej śmierci w 1984 r.

W Sekcji Kolportażu działały dwie niezależne grupy. Na czele jednej z nich stali Mirosław Dziewoński i Agata Dziadowiec („Kaśka"), na czele drugiej – Krzysztof Kwiatkowski („Maks").

Dziewoński: *Zajmowałem się plakatowaniem, rozrzucaniem ulotek, malowaniem na murach, drukowaniem materiałów propagandowych, przekazywałem materiały kolegom z NZS, dokumentowałem fotograficznie manifestacje organizowane przez KPN, w mieszkaniu i wynajmowanym garażu przechowywałem ulotki i wydawnictwa przeznaczone do kolportażu.*

Dziewoński wymienia niektóre akcje ulotkowe, plakatowe i malowania napisów, w których brał udział w latach 1982-1984. Daje to pewną orientację w intensywności działań jego grupy:

- *19 stycznia 1982 plakatowanie i malowanie na murach dz. Krowodrza,*
- *22 stycznia 1982 plakatowanie i malowanie. Os. Widok, ul. Lea, Śródmieście,*
- *12 lutego 1982 rozrzucanie ulotek UJ i okolice uczelni,*
- *20 lutego 1982 malowanie napisów i rozrzucanie ulotek os. Bieżanów, os. Azory, os. Widok,*
- *11 kwietnia 1982 ulotki pod kościołami św. Anny i Arka,*
- *1 maja 1982 rozrzucanie ulotek Limanowa, Chabówka,*
- *13 czerwca 1982 rozrzucanie ulotek, demonstracja w Bieńczycach,*

– 24 czerwca 1982 rozrzucanie ulotek z tramwajów,
– 13 marca 1983 akcja ulotkowa Wawel,
– 16 marca 1983 rozrzucanie ulotek Bieńczyce,
– 23 marca 1983 rozrzucanie ulotek Miasteczko Studenckie,
– 16 lipca 1983 Czorsztyn akcja ulotkowa,
– 5 października 1983 Huta im. Lenina rozrzucanie ulotek,
– 5 maja 1984 akcja kolportażowa Limanowa, Chabówka, Turbacz, Nowy Targ.

Dziewoński opisuje zasady działania grup piszących hasła na murach lub klejących plakaty: *Pierwsze napisy na murach wykonywaliśmy przy użyciu szkolnej kredy. Łatwe do zdobycia, przenoszenia – nie wpada w oko. Później farba i pędzle. O sprayach wtedy nikt nie marzył.*

Akcje małego sabotażu wykonywały małe 2-3-osobowe grupy (malarz plus obstawa). Pora wieczorna przed godziną milicyjną. Plakaty dostarczał nam bodaj Toś. Tubka szkolnego kleju – wygodne i bezpieczne. Procedura jak przy malowaniu. Sprawdzenie terenu, np. czy patrol nie grzeje się w pobliskiej bramie, czujka na rogu, akcja i odskok. Wpadek nie było.

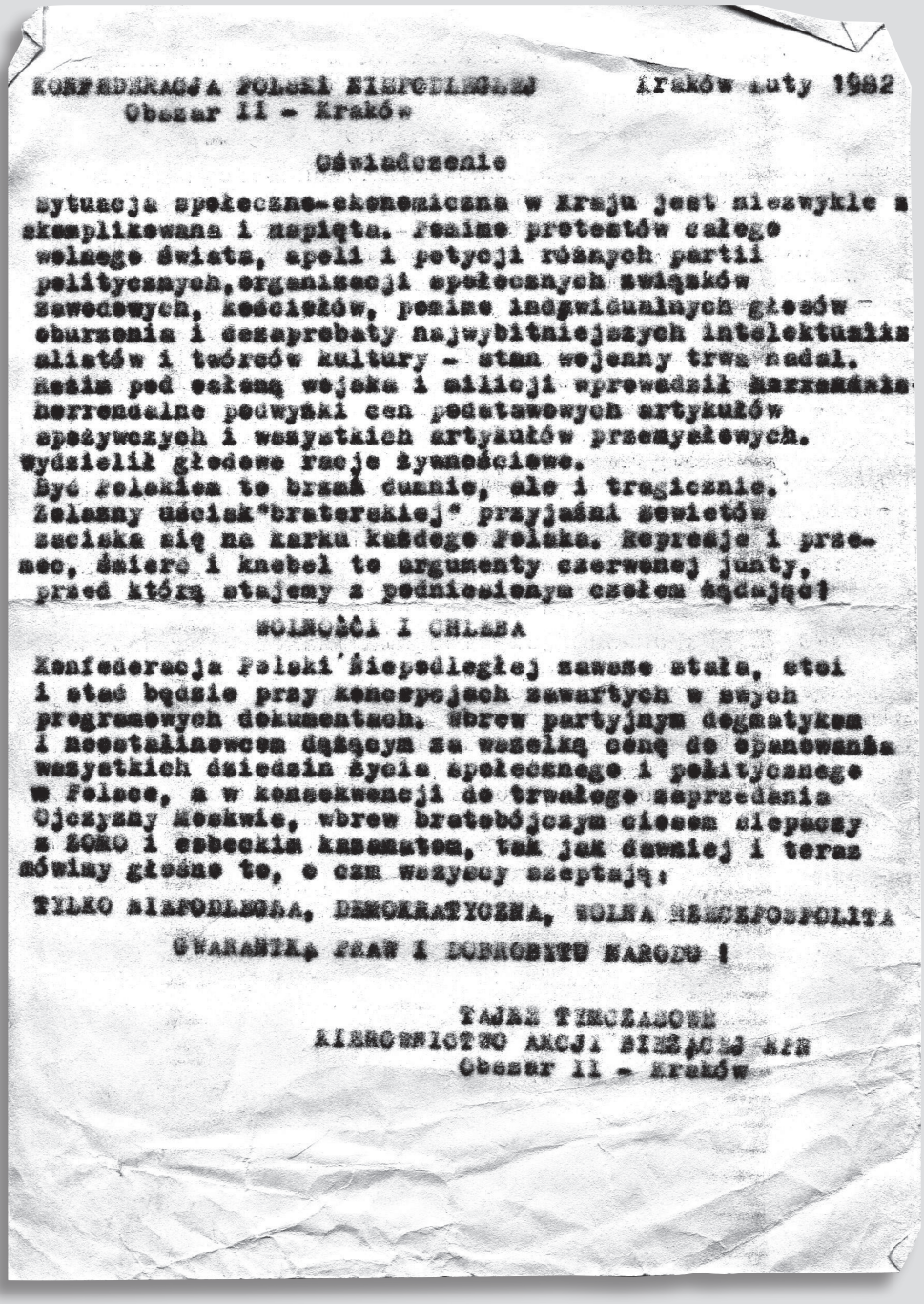
Czasami zdarzały się groźne sytuacje. Dziewoński: *Kiedyś po akcji wracam do domu. Wieczór, ciemno, mróz. Otwieram wejściową bramę, zapalam światło i staję oko w oko z pięcioma zomowcami w pełnym uzbrojeniu. Pierwsza myśl: namierzyli mnie i czekają, żeby mi na początek dolać pałami. Kolejna – uciekać. Ale brama otwiera się do środka i nie uda mi się odskoczyć. Pozostało robić dobrą minę. Twarz pokerzysty. Przeszedłem. Myślę, że chłopcy schowali się przed mrozem. Pierwsze wrażenie było piorunujące.*

O innych akcjach Sekcji Kolportażu informowała konfederacka „Niepodległość".

Z numeru 1. z 8 marca 1982 r.: *Od 10 lutego do 1 marca trwała akcja kolportażowa, której celem było rozprowadzenie 2 tysięcy ulotek wydanych przez Tajne Tymczasowe Kierownictwo Akcji Bieżącej Obszar II – Kraków. W ciągu trzech miesięcy działań w konspiracji rozprowadziliśmy na terenie Krakowa i województwa około 10 tysięcy komunikatów TTKAB, oświadczeń i apeli. Dzięki dobrej organizacji i odwadze kolporterów wszystkie akcje, jakie do tej pory przeprowadziliśmy, zakończyły się szczęśliwie. Pracują również niestrudzenie grupy „malarzy". Pod osłoną nocy wychodzą na ulice i zostawiają na murach ślady naszej walki. Zamalowywanie napisów przez ZOMO i kolaborantów nie zawsze odnosi skutek. Podkład z czarnej, „wroniej" farby świetnie służy jako tło dla wciąż nowych haseł.*

Z numeru 3. z 22 marca 1982 r.: *Sekcja Kolportażu w terenie. Kilkanaście dni temu Sekcja Kolportażu KPN przeprowadziła kolejną udaną akcję rozplakatowania i rozrzucenia ulotek z tekstem Komunikatu nr 2 Tajnego Tymczasowego Kierownictwa Akcji Bieżącej KPN – Obszaru II. Miejscem tej akcji było kilka wsi w rejonie Suchej Beskidzkiej. Milicja i kolaboranci byli bezradni. Mieszkańcy wsi z sympatią traktują działalność KPN, udzielając nam kwater i innej pomocy, bez której akcje te byłyby niemożliwe do przeprowadzenia. Dziękujemy wszystkim, którzy wspierają i propagują działania KPN na terenach oddalonych od siedziby Kierownictwa Obszaru II.*

Przy okazji tego typu akcji nieraz dochodziło do emocjonujących lub zabawnych sytuacji. Dziewoński: *Mój ojciec przez 50 lat pracował jako lekarz w Łapszach. Stąd nieraz organizowałem tam na wsi takie zjazdy koleżeńskie. Na miejscu nie rozrzucaliśmy bibuły, natomiast rozrzucaliśmy ją po drodze w Limanowej, w Rabce, w Chabówce. Kiedyś w Chabówce zasypaliśmy (ja, Krzysiek Kwiatkowski, Rysiek Pyzik) cały dworzec bibułą (może z 200 sztuk). Zatrzymano pociąg, zjechało się okoliczne ZOMO i szukali, kto by mógł tę bibułę rozrzucić. Myśmy wtedy wyciągnęli bimber z plecaka i udawaliśmy zainteresowanych czym innym niż polityka. Udało się...*



KONFEDERACJA POLSKI NIEPODLEGŁEJ Kraków luty 1982
Obszar II - Kraków

Oświadczenie

Sytuacja społeczno-ekonomiczna w Kraju jest niezwykle s
skomplikowana i napięta. Pomimo protestów całego
wolnego świata, apeli i petycji różnych partii
politycznych, organizacji społecznych związków
zawodowych, kościołów, pomimo indywidualnych głosów -
oburzenia i desperaty najwybitniejszych intelektualis
alistów i twórców kultury - stan wojenny trwa nadal.
Reżim pod osłoną wojska i milicji wprowadził kurrendalne
horrendalne podwyżki cen podstawowych artykułów
spożywczych i wszystkich artykułów przemysłowych.
Wydzielił głodowe racje żywnościowe.
Być Polakiem to brzmi dumnie, ale i tragicznie.
Żelazny uścisk "braterskiej" przyjaźni sowietów
zaciska się na karku każdego Polaka. Represje i prze-
moc, śmierć i knebel to argumenty czerwonej junty,
przed którą stajemy z podniesionym czołem żądając

WOLNOŚCI I CHLEBA

Konfederacja Polski Niepodległej zawsze stała, stoi
i stać będzie przy koncepcjach zawartych w swych
programowych dokumentach. Wbrew partyjnym dogmatykom
i neostalinowcom dążącym za wszelką cenę do opanowania
wszystkich dziedzin życia społecznego i politycznego
w Polsce, a w konsekwencji do trwałego zaprzedania
Ojczyzny Moskwie, wbrew bratobójczym ciosom ślepaczy
z ZOMO i esbeckim kastetom, tak jak dawniej i teraz
mówimy głośno to, o czym wszyscy szeptają:

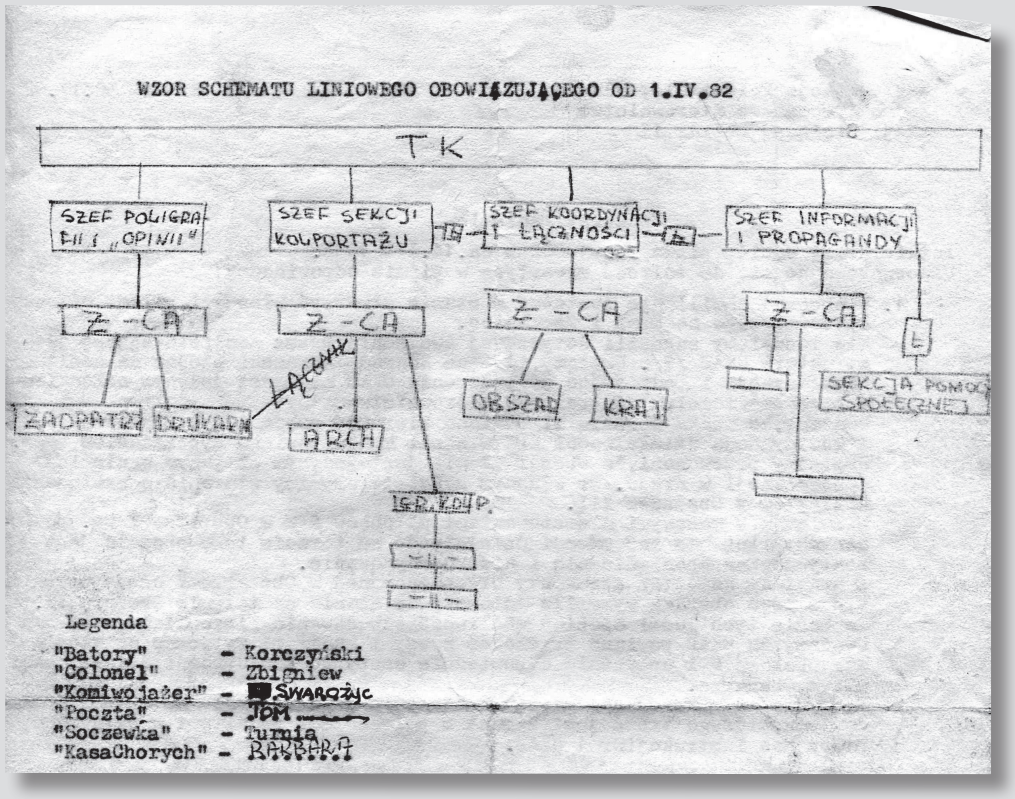
TYLKO NIEPODLEGŁA, DEMOKRATYCZNA, WOLNA RZECZPOSPOLITA

GWARANTEM PRAW I DOBROBYTU NARODU !

TAJNE TYMCZASOWE
KIEROWNICTWO AKCJI BIEŻĄCEJ KPN
Obszar II - Kraków

Odezwa TTKAB z lutego 1982 r. *Od 10 lutego do 1 marca trwała akcja kolportażowa, której celem było rozprowadzenie 2 tysięcy ulotek wydanych przez Tajne Tymczasowe Kierownictwo Akcji Bieżącej Obszar II – Kraków. W ciągu trzech miesięcy działań w konspiracji rozprowadziliśmy na terenie Krakowa i województwa około 10 tysięcy komunikatów TTKAB, oświadczeń i apeli.*

Z archiwum Ryszarda Bociana



Schemat liniowy TTKAB obowiązujący od 1 kwietnia 1982 r. *Tajne Tymczasowe Kierownictwo – kryptonim „Batory", Sekcja Informacji i Propagandy – kryptonim „Soczewka", Sekcja Koordynacji i Łączności – kryptonim „Poczta", Sekcja Poligrafii i „Opinii" – kryptonim „Colonel", Sekcja Kolportażu – kryptonim „Komiwojażer", Sekcja Pomocy Społecznej – kryptonim „Kasa Chorych".*

Z archiwum FCDCN

Dziewoński zajmował się także działaniami, które należały formalnie do Sekcji Łączności oraz do Sekcji Poligrafii: *Utrzymywałem przez łączników kontakt z NZS, przekazując wydawane przez KPN materiały do dalszego rozprowadzania. Miałem sporo kontaktów z Kościołem. Przychodziłem do klasztoru Misjonarzy na ul. Stradom, gdzie w pokoju widzeń spotykałem się z Sylwestrem Jasikiem, który przekazywał mi dobre, zachodnie matryce białkowe, puszki z farbą i tym podobne materiały poligraficzne na potrzeby naszej i enzetesowskiej poligrafii. Przy furcie podawałem nazwisko, inni zakonnicy widzieli, że przychodzę, wiedzieli kogo odwiedzam, i widzieli, że wychodzę z pełnym plecakiem. Nie wiem, czy wiedzieli, co wynoszę. Nikt nigdy mnie o to nie pytał.*

Łenyk: *Jasik bez wahania i w każdej sytuacji wspierał nasze działania od zawiązania się KPN. Głównie organizował materiały poligraficzne. Wcześniej w swojej wsi koło Radomia rozklejał własnoręczne ulotki sporządzane z nasłuchu RWE. Z zakonu wystąpił w 1985 r.*

Drugą grupą kolportażu kierował Krzysztof Kwiatkowski: *Oprócz mnie były to trzy osoby: Robert Filipek („Łukasz"), Tomasz Pawełek („Dawid") oraz „Szymon" (imienia i nazwiska nie pamiętam).*

Dostawałem około 500 egzemplarzy pisma do rozkolportowania. Zajmowało mi to około trzech dni. Nie przekazywałem go znajomym, tylko naklejałem na wystawach sklepowych, na klatkach schodowych, w windach, a nawet na budkach milicyjnych, a także rozdawałem go przypadkowym ludziom, np. w tramwaju czy w autobusie. Zależało mi, aby KPN widać było na zewnątrz, aby nasza bibuła docierała do nowych, przypadkowych ludzi. Na akcje klejenia szliśmy z reguły we trzech. Gdy kleiliśmy „Niepodległość", to jeden stał na czatach, a dwóch kleiło: jeden trzymał pod kurtką pismo, a drugi miał w kieszeni kurtki niewielki słoik z mocnym klejem (zabierałem go z Drukarni Narodowej) i pędzlem. Gdy rozdawaliśmy „Niepodległość" ludziom w tramwaju czy w autobusie, to wystarczało dwóch ludzi – jeden rozdawał pismo, a drugi go ubezpieczał. Ludzie chętnie brali bibułę i zaraz ją chowali. Nigdy nie było żadnych wpadek. Raz tylko, gdy wyjechaliśmy windą na X piętro i nakleiliśmy „Niepodległość" we wnętrzu windy, to podczas zjeżdżania w dół winda się zacięła. Trudno było wszczynać alarm, bo mieliśmy przy sobie resztę egzemplarzy pisma oraz słoik z klejem i pędzel, ale na szczęście ubezpieczająca nas osoba zainteresowała się naszą nieobecnością i ściągnęła windę na dół.

Działania, które formalnie należały do Sekcji Kolportażu, podejmował także Marek Bik: *Na początku stanu wojennego kilka razy brałem udział w malowaniu ulic. Ostatni raz, pod koniec stycznia 1982, malowaliśmy z Jakubem Tasiorem w okolicach Plant, Straszewskiego i placu Na Groblach. Trzeba to było robić jak najpóźniej, ale przed rozpoczęciem godziny milicyjnej. Przy wykonywaniu napisu „KPN" wyjechał prosto na nas zomowski star. Zdążyliśmy skończyć napis, ale trzeba było zostawić pędzel i wiaderko z farbą i uciekać. Doszedłem wtedy do wniosku, że malowanie nie ma sensu – za duże ryzyko, a na drugi dzień rano wszystkie napisy i tak były już zamalowane. Podzieliłem się tym wnioskiem z Witkiem Tukałłą. Przyznał mi rację. Po pewnym czasie przyniósł pieczątkę z wroną, stylizowaną na nazistowskiego orła. Była ona umocowana na drewnianym klocku. Brałem poduszkę do pieczątek nasączoną tuszem i stemplowałem tymi „wronami" miasto. W bramach nie było wtedy domofonów, więc wchodziłem do środka i robiłem „szlaczki" z „wron" na lamperii, na tablicach ogłoszeń – wszędzie, gdzie tylko się dało. Zrobiłem tych odcisków mnóstwo.*

Drugą taką samą pieczątką posługiwała się grupa Tomasza Baranka. Takich pieczątek było prawdopodobnie więcej.

Marek Bik: *Nie byłem członkiem TTKAB, ale brałem udział w wielu jego posiedzeniach. Spotkania były zwykle co tydzień, w różnych miejscach. Szczegóły dotyczące czasu i miejsca spotkań ustalaliśmy ze spotkania na spotkanie. Kilka razy spotykaliśmy się w mieszkaniu Wojtka Oberca, który mieszkał wówczas na poddaszu.*

Podział na sekcje w TTKAB-ie był więc umowny, bo ta sama osoba działała często w sferach, które należały formalnie do różnych sekcji. Ponadto, mimo obowiązującego zakazu, większość brała udział w demonstracjach ulicznych.

Marian Gut (fragment cytowanego już tekstu): *Święta i Nowy Rok dla tysięcy nieobecnych w domach były zapewne koszmarem. Dla nas również. Pomimo tego, że jesteśmy na wolności i działamy, wszyscy całym sercem i duszą jesteśmy tam wśród kolegów i przyjaciół.*

Nasila się fala represji i wyroków skazujących. Nie ma dnia, aby jedna jedyna gazeta nie przynosiła wiadomości o procesach i zatrzymaniach.

Zbliża się 13 stycznia – to już miesiąc. Bik *przygotował ulotki. Ileż on musiał poświęcić czasu, by na maszynie wystukać tekst w tylu egzemplarzach. Cieszymy się wszyscy. Ulotki zostaną rozrzucone po zakończeniu mszy świętej w bazylice. Ludzie dowiedzą się, że jeste-*

śmy, istniejemy. Robotę wykonają chłopcy Tosia i Pyzika. *Równocześnie dzień przed 13 do akcji wkroczą „malarze". Pomimo obowiązującej godziny milicyjnej, zgodzili się zaakcentować nasze istnienie, pisząc farbą na fasadach domów w Śródmieściu hasła konfederackie.*

Wszystkim dopisują humory. Każdy z szefów sekcji dokooptował sobie współpracowników – jest nas już 15 osób. Dopływ ludzi zdecydowanych pracować z nami jest coraz większy. Przygotowujemy nowy tekst przysięgi – adekwatny do istniejących warunków. Zbieramy pieniądze i inne materiały, które są konieczne dla naszej działalności. Długogórski *skonstruował ramkę. Ludzie przynoszą papier, farbę itd. Zamierzamy kontynuować wydawanie „Opinii Krakowskiej". Rozkręcamy maszynę coraz mocniej.*

Pierwsza nasza akcja propagandowa wypadła znakomicie. Ulotki „frunęły" w górę. W minucie zostały pochwycone przez tłum wychodzący z kościoła, a szare mury śródmiejskich kamienic pokryły się dużymi napisami: „KPN żyje!", „Precz z komuną – KPN!".

Toś (w wywiadzie dla „Niepodległości"): *Myślę, że wtedy panował większy zapał i dyscyplina, niż teraz* [czyli w 1983 r.]. *Wiele osób wskutek aresztowań, wyroków, internowań czy ostatnich ujawnień wykruszyło się ze struktur. Wówczas było nas może mniej, ale za to wszyscy bez granic oddani byli obowiązkom, które na siebie nałożyli, składając organizacyjna przysięgę. Pracowaliśmy nieraz całymi nocami, opracowywaliśmy drobiazgowo każdą, choćby najmniejsza akcję – to procentowało. Mimo przestrzegania schematu przełożony – podwładny praca opierała się na prawdziwym koleżeństwie. Poza tym, jaka wspaniała integracja ludzi z różnych środowisk! Kto przeżył czynnie ten czas, wie o czym myślę. Teraz musimy walczyć nie tylko z przeciwnikiem politycznym, ale również z ludźmi, którzy zrobili wszystko, aby nas rozbić od środka. Przykład Gąsiorowskiego mówi sam za siebie. Mimo wielu problemów nadal pozostajemy najsilniejsza strukturą krajową. Jestem pełen optymizmu co do dalszej działalności – już kilka razy udowodniliśmy, że KPN w II Obszarze jest nie do rozbicia. Próżne zachody panów z SB!*

Na wiosnę 1982 r. w skład TTKAB wszedł Ryszard Bocian – „Lech". Bocian: *Skontaktował mnie z nimi Zygmunt Łenyk, który w marcu 1982 wyszedł z Załęża. Dołączyłem gdzieś na przełomie marca i kwietnia. Zostałem wtedy drugim zastępcą Mariana Guta do spraw politycznych i poligrafii, tj. wydawania biuletynu „Niepodległość".*

1 kwietnia 1982 r. nastąpiła reorganizacja TTKAB, o czym Gut meldował Żebrowskiemu w liście z kwietnia 1982 r. (brak dokładnej daty): *Niniejszym zarządzeniem polecam: od 1 kwietnia 1982 zmianę obowiązujących w gronie* TK[KAB] *używanych dotychczas pseudonimów.*

Od 1 kwietnia 1982 wprowadzam do użytku obowiązujące kryptonimy:
Tajne Tymczasowe Kierownictwo – kryptonim „Batory",
Sekcja Informacji i Propagandy – kryptonim „Soczewka",
Sekcja Koordynacji i Łączności – kryptonim „Poczta",
Sekcja Poligrafii i „Opinii" – kryptonim „Colonel",
Sekcja Kolportażu – kryptnim „Komiwojażer",
Sekcja Pomocy Społecznej – kryptonim „Kasa Chorych".

Nowe wprowadzone kryptonimy poszczególnych sekcji działających w Obszarze obowiązują w kontaktach i pracy wewnętrznej KPN. Wszystkie wychodzące na zewnątrz komunikaty, odezwy, oświadczenia podpisywane winny być tak, jak dotychczas – obowiązuje nomenklatura przyjęta na pierwszym zebraniu grupy inicjatywnej.

W maju 1982 r. doszło do przekształcenia TTKAB w KAB Obszaru. Z „Niepodległości" nr 9 z 24 maja 1982 r.: *Komunikat. Informujemy, że na polecenie Centralnego Kie-*

rownictwa Akcji Bieżącej KPN Tajne Tymczasowe Kierownictwo Akcji Bieżącej Obszar II zostaje przemianowane na Kierownictwo Akcji Bieżącej Obszaru II (KAB). Zmiana nazwy nie wiązała się jednak ze zmianą składu osobowego tego ciała, ale miała jedynie na celu dopasowanie stanu faktycznego do postanowień Tymczasowego Statutu KPN.

***

Okoliczności powstania Centralnego Kierownictwa Akacji Bieżącej nie są znane tak dokładnie, jak okoliczności powstania TTKAB, bo szef CKAB-u – Jerzy Żebrowski – zmarł w 1995 roku, a przed śmiercią nie odebrano od niego relacji o jego działalności. Pewne światło na powstanie CKAB rzucają protokoły ujawnienia się przed prokuratorem Krzysztofa Gąsiorowskiego z 30 lipca i 1 sierpnia 1983 roku, w których Gąsiorowski zeznał: *Nie pamiętam okoliczności, w jakich poznałem Jerzego Żebrowskiego, lecz było to z pewnością jesienią 1981. Będąc zaproszony do niego do mieszkania na zebranie, ustaliliśmy, że na wypadek stanu wojennego i mojego aresztowania, on wraz z kilkoma zaufanymi mu członkami KPN, będzie firmował funkcjonowanie Centralnego Kierownictwa KPN. Dobór członków takiego kierownictwa pozostawiłem w jego rękach. Z tego, co pamiętam, w zebraniu u Żebrowskiego uczestniczyli Andrzej Izdebski oraz Witold Tukałło, lecz nie uczestniczyli oni w ustaleniach, o których mówiłem powyżej.*

Gąsiorowski swoją kompetencję do ustanowienia „warunkowego" szefa CKAB wywodził z funkcji, którą sam pełnił w KPN. W komunikacie Rady Politycznej z 1 września 1983 r. napisano: *Krzysztof Gąsiorowski został wybrany p.o. Przewodniczącego Rady Politycznej KPN 9 lipca 1981, w związku ze wznowieniem zewnętrznej działalności partii.* Na tej podstawie Gąsiorowski miał kompetencje do reprezentowania partii. Nie jest jednak jasne, czy jego kompetencje obejmowały także prawo do wyznaczenia szefa CKAB na wypadek stanu wojennego. W każdym razie w związku z internowaniem Gąsiorowskiego (13 grudnia 1981 r. – o czym Moczulski dowiedział się, przebywając w Katowicach w tym dniu), Rada Polityczna KPN (czyli w praktyce – więzieni członkowie kierownictwa partii: Moczulski, Stański i Szeremietiew) odwołała go z pełnionej funkcji. W cytowanym komunikacie Rady Politycznej KPN napisano: *15 grudnia 1981 Rada Polityczna przejęła wszystkie obowiązki i kompetencje Krzysztofa Gąsiorowskiego. Od tego czasu Krzysztof Gąsiorowski nie miał prawa do działania jako Przewodniczący Rady Politycznej, a zwłaszcza jako reprezentant Konfederacji Polski Niepodległej.* Konsekwentnie należałoby przyjąć, że wygasła chyba także legitymacja do działania, której Gąsiorowski udzielił Żebrowskiemu. Jednak z uwagi na rygory stanu wojennego i brak komunikacji, nie wiedziano w Krakowie o odwołaniu Gąsiorowskiego. Stąd Żebrowski tworząc nowy „samozwańczy" CKAB, działał w dobrej wierze, a naruszenie przez niego zasad organizacyjnych KPN było usprawiedliwione nadzwyczajną sytuacją.

Gąsiorowski (z cytowanego wyżej protokołu) o CKAB utworzonym przez Żebrowskiego: *Od 13 grudnia 1981 do marca 1982 nie wiem, w jaki sposób działało to kierownictwo.*

Nie poznamy więc z tego protokołu składu CKAB, który utworzył w Krakowie Żebrowski po 13 grudnia 1981 r. Możemy jednak podjąć próbę ustalenia tych osób.

Z CKAB współpracował Witold Tukałło: *Przysięgę do KPN złożyłem dopiero po 13 grudnia 1981 w mieszkaniu Jerzego Żebrowskiego, w obecności gospodarza, Andrzeja Izdebskiego i ks. Mazgaja. Byłem w ich grupie. Żebrowski przedstawił mi się jako szef CKAB-u. Nazwisk innych członków CKAB-u (poza Izdebskim i ks. Mazgajem) nie znałem i nie chciałem znać. Kontaktowałem się bezpośrednio z Żebrowskim.*

Relacja Tukałły wskazuje, że z CKAB współpracowali ludzie blisko związani z Żebrowskim przed 13 grudnia 1981 roku, a więc Andrzej Izdebski oraz ks. Stefan Mazgaj ps. „Kallimach". Ówczesny pseudonim Izdebskiego nie jest znany. Z materiałów SB wynika, że Żebrowski używał pseudonimów „Arkan" i „Korybut".

Bocian: *Księdza Mazgaja znali wcześniej Jerzy Żebrowski i Andrzej Izdebski. Jak mi powiedział Gąsiorowski na pogrzebie księdza Mazgaja, ksiądz miał współpracować jeszcze z ROPCiO – i wtedy poznał go Gąsiorowski. Gąsiorowski nie powiedział mi, czy wiedział, kim jest „Kallimach" wówczas w czasie ROPCiO, a następnie w KPN w 1982 roku. Jeśli wiedział, to wiedziała zapewne i SB.*

Co ciekawe, o konspiracyjnej działalności ks. Mazgaja nie wiedzieli, jak się wydaje, jego zwierzchnicy kościelni. Bocian: *Na pogrzebie ks. Mazgaja, który w latach 90. ciężko zachorował, w jego rodzinnej miejscowości w Chrzanowskiem, obecni, w tym ks. biskup Szkodoń, ze zdumieniem wysłuchali podczas mojego przemówienia nad otwartą mogiłą „Kallimacha", kim był dla ruchu niepodległościowego w Polsce w XX w. ksiądz Stefan Mazgaj – wielki polski patriota, szlachetny i odważny człowiek.*

Gdy idzie o Andrzeja Izdebskiego, to mamy dowody jego aktywności w KPN na początku stanu wojennego. Małgorzata Słowik: *Była ostra zima 1981/82. Wszyscy konspiratorzy spotykali się wówczas z reguły w kościołach. Spotykałam się z różnymi ludźmi z Konfederacji, między innymi kilka razy z Andrzejem Izdebskim w kościele Mariackim. Miałam być jego łączniczką. Andrzej Izdebski był bardzo ostrożny, aż do przesady.*

Jerzy Żebrowski i Andrzej Izdebski przygotowywali się jeszcze przed 13 grudnia do prowadzenia działalności konspiracyjnej. Stanisław Tatara: *Przed wprowadzeniem stanu wojennego mówiłem w KPN i w „Solidarności", że należy przygotowywać się na wypadek wprowadzenia stanu wojennego. Rozmawiałem o tym bardziej szczegółowo z Andrzejem Izdebskim po zebraniu u Łenyka na początku grudnia 1981. Andrzej Izdebski zapytał mnie, czy ja bym chciał brać udział w takich szkoleniach. Potwierdziłem. Pierwsze spotkanie mieliśmy na moście Grunwaldzkim. Było nas pięć osób. Zajęcia prowadził nieznany mi mężczyzna w starszym wieku, były oficer AK. Przyprowadził go Andrzej Izdebski. Był sam Andrzej, jego przyjaciel – Jerzy Żebrowski (z 12-letnim wnuczkiem) i Witek Tukałło. Odbyliśmy marsz do Tyńca, podczas którego odbywało się typowo wojskowe szkolenie.*

Palczewski: *Pod koniec 1981 Gąsiorowski zasugerował przeprowadzenie szkoleń quasi-wojskowych, abyśmy mieli w Krakowie straż porządkową. Był to chyba pomysł przeniesiony ze Śląska, gdzie takie szkolenia organizowano.*

Tukałło: *Brałem udział w ćwiczeniach. Prowadził je przyjaciel Żebrowskiego, który służył w 27. Wołyńskiej Dywizji AK. Uczył nas, jak rozpalać ogniska zimą, na co zwracać uwagę w czasie marszu dużej grupy, jak zachowywać się w lesie. Było to jakby przygotowanie do działań partyzanckich. Nie zakładaliśmy walki z Wojskiem Polskim, ale braliśmy pod uwagę interwencję sowiecką. Miały odbyć się kolejne takie ćwiczenia, ale już nie zdążyliśmy przed 13 grudnia.*

Łenyk wymienia nazwisko jeszcze jednej osoby związanej z CKAB: *Gdy pierwszy raz spotkałem się z CKAB-em, byli tam oprócz jego szefa – Żebrowskiego, jedynie Andrzej Izdebski i Albin Janik. Zresztą, chyba też u Janika miało miejsce to spotkanie. Nie dopytywałem się o skład osobowy tego gremium, bo podejrzaną rzeczą było wówczas wiedzieć więcej niż to, co jest dane. Z Albinem Janikiem kontaktowałem się na AGH, gdzie pracował. Mieszkał w Zabierzowie.*

Z charakterystyki Albina Janika sporządzonej 12 czerwca 1984 r. przez ppor. Krzyszkowskiego: *Brał czynny udział w każdej akcji organizowanej na AGH w okresie stanu wo-*

jennego. W okresie stanu wojennego w jego mieszkaniu odbywały się zebrania kierownictwa Konfederacji Polski Niepodległej z terenu Krakowa.

Łenyk: *CKAB, który utworzył Żebrowski, nie wypełnił wszystkich swoich funkcji, bo nie miał kontaktów organizacyjnych na całą Polskę. Trudno jednak się temu dziwić. Gąsiorowski nie przekazał chyba Żebrowskiemu swoich kontaktów w Polsce, a nawet gdyby to zrobił, to po wprowadzeniu stanu wojennego były one już nieaktualne, bo nasi czołowi działacze w przeważającej większości znaleźli się w więzieniach. Po 13 grudnia 1981 KPN zeszła do konspiracji i trudno mieć pretensje do Żebrowskiego, że nie nawiązał ogólnopolskich kontaktów.*

Bocian (*Stan wojenny w Małopolsce. Relacje i dokumenty*): *Ponieważ kierownicze struktury ogólnopolskie KPN praktycznie nie istniały, tu w Krakowie, chociaż nie mieliśmy takich ambicji, zmuszeni byliśmy przejąć część funkcji warszawskich, tworząc wrażenie, że jednak te centralne struktury KPN działają.*

Brak kontaktów z ośrodkami KPN poza Krakowem powodowały, że CKAB był de facto drugą strukturą krakowskiej KPN równoległą do TTKAB.

CKAB wydał kilka oświadczeń (dwa z nich opublikowano w nr. 4. (29.) „Opinii Krakowskiej" w 1982 r. – z lutego oraz z marca).

Wydanie tego pierwszego oświadczenia (w lutym 1982 r.) należy chyba uznać za formalny początek istnienia CKAB po 13 grudnia. *KPN wzywa wszystkich Polaków do organizowania powszechnego, biernego Ruchu Oporu wobec poczynań WRON i PZPR. Każda forma współpracy z komunistyczną władzą musi być traktowana przez Polaków jako kolaboracja z okupantem.*

KPN domaga się niezwłocznego zawieszenia stanu wojennego i likwidacji wszystkich wynikających z jego wprowadzenia konsekwencji (…).

Chylimy czoła przed autorytetem Kościoła Katolickiego w Polsce, którego rola nabrała rangi tak doniosłej dla dziejów Narodu Polskiego jak w momencie Chrztu Polski.

Niezbywalnym prawem ludzkim i obywatelskim Polaków jako zbiorowości jest prawo do Niepodległego Państwa, w którym Naród jest podmiotem i źródłem władzy (…).

Z walki o Niepodległą Polskę zrezygnować niepodobna (...).

Niech żyje Polska Wolna i Niepodległa, Ojczyzna sprawiedliwości społecznej i dobrobytu!

Wieczna pamięć górnikom poległym w obronie prawa do Wolności!

Marcowe oświadczenie, opublikowane także w 3. numerze „Niepodległości" z 22 marca 1982 r., dotyczyło emigracji. Wiązało się to z nagłośnioną w prasie i prowadzoną na dużą skalę akcją nakłaniania działaczy opozycji do opuszczenia Polski na stałe.

***

Jak podaje Paczkowski, do końca grudnia 1982 r. około 5 tysięcy osób wyraziło chęć wyjazdu emigracyjnego (liczba ta obejmuje także członków rodzin). Było wśród nich 36 spośród 107 członków Komisji Krajowej „Solidarności" (1/3!) i ponad 200 członków zarządów regionów. Akcję kontynuowano w następnych latach. W roku 1983 zarejestrowano ponad 2,5 tysiąca nowych wniosków. Paczkowski: *Fakt, iż tak wiele osób zgodziło się na emigrację, może świadczyć o obniżonej motywacji do działalności związkowej (czy politycznej) w warunkach zwiększonego ryzyka po wprowadzeniu stanu wojennego. Ostatecznie wyjechało bowiem około jednej piątej wszystkich internowanych, z których nie wszyscy podjęli na obczyźnie działalność na rzecz „Solidarności".*

Władze miały też nadzieje, że akcja emigracyjna spowoduje poważny exodus z PRL działaczy opozycji przedsierpniowej. Świadczy o tym fragment notatnika gen. Wiktora Anoszkina, adiutanta marszałka Wiktora Kulikowa, w którym opisał przebieg roz-

mowy naczelnego dowódcy Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego gen. Wojciechem Jaruzelskim w dniu 9 grudnia 1981 r. (tekst ten przytacza Antoni Dudek w [Biuletynie IPN]): *Odnosząc się do problemu izolacji ekstremistów z KPN i KSS-KOR, W. Jaruzelski zauważył, że byłoby dobrze, gdyby część „bandziorów" uciekła na Zachód. Szkoda, że nie mamy wspólnych granic z państwami kapitalistycznymi. Niechby uciekło kilka tysięcy, tak jak zezwolił na to Fidel* [Castro]*, wtedy byłoby nam znacznie łatwiej.* Brak jest szerszych danych, ale akcja ta w stosunku do KPN przyniosła pewne rezultaty tylko w Szczecinie (o czym w innym miejscu tej książki). Z Krakowa w 1982 r. wyemigrował tylko Bogdan Długogórski, dwa lata później Krzysztof Bzdyl.

Natomiast akcja ta powiodła się w przypadku środowiska krakowskiego SKS, które przestało istnieć – większość jego najbardziej znanych działaczy opuściła Polskę na początku lat 80., np. Bronisław Wildstein – w 1980 (wrócił w 1990), Róża Woźniakowska i Andrzej Mietkowski – w 1981 (wrócili – odpowiednio – w 1991 i w 1989), Bogusław Sonik i Józef Ruszar po zwolnieniu z internowania w październiku 1982, wyjechali w 1983 (wrócili w 1996), Liliana Batko – w 1984 (wróciła w 1996). Paradoksalnie, najbardziej znanym działaczem SKS, który w latach 80. cały czas pozostawał w ojczyźnie (choć, oczywiście, wyjeżdżał do Paryża i spotykał się ze swoimi byłymi kolegami z Krakowa), był Lesław Maleszka – TW „Ketman", „Return", „Tomek" i „Zbyszek".

***

Stanowisko CKAB w sprawie emigracji było jednoznaczne: *Wzywa się wszystkich internowanych członków KPN o nie występowanie o paszporty emigracyjne. Miejsce każdego konfederata jest tutaj, w kraju, razem z narodem, dla dobra którego podjęliśmy działania opozycyjne (...). Nikt z członków KPN, którzy teraz na drodze emigracji znajdą się za granicą kraju, nie ma prawa występować w imieniu KPN.*

Oświadczenie to zostało podpisane „za Centralne Kierownictwo Akcji Bieżącej Lech Konrad Abramski". Pseudonimem tym posługiwał się później Gąsiorowski. Świadczy to o tym, że przyjęto fikcję, iż to właśnie przebywający w obozie internowania Gąsiorowski jest formalnym szefem CKAB, zaś przebywający na wolności Żebrowski działa niejako w jego imieniu. W tym sensie krakowskie CKAB w pierwszej połowie 1982 r. nie było nowym organem (jak TTKAB), lecz (przynajmniej formalnie) było kontynuacją organu istniejącego przed stanem wojennym. Taka konstrukcja była możliwa dzięki istnieniu łączności pomiędzy Żebrowskim a Gąsiorowskim.

Na taka konstrukcję wskazują też fragmenty listu Żebrowskiego do Guta z 14 marca 1982 r.: *Za pewne nieścisłości przepraszam, ale wynikły one z braku rozeznania sprawy pomiędzy mną i* K[rzysztofem] G[ąsiorowskim] *z jednej strony, a Wami z drugiej strony. W świetle wskazówek i poleceń KG, działalność Waszą i strukturę aprobuję. Najnowsze polecenia KG brzmią...*

Gąsiorowski: *W marcu natomiast 1982 przesłałem do Żebrowskiego instrukcję w formie grypsu. Nakazałem w niej dalsze prowadzenie działalności KPN, a zakazałem wszelkiego nawoływania do strajków i demonstracji.*

Tukałło: *Żebrowski miał kontakt (za pomocą grypsów) z Gąsiorowskim, który był internowany. Z internatu Gąsiorowski napisał też jeden gryps do mnie, ale nie pamiętam już jego treści.* W aktach SOR „Konspiratorzy" nie ma żadnych dowodów ani nawet poszlak na to, że kanał ten był pod kontrolą SB. Grypsy między Gąsiorowskim, a Żebrowskim przenosiła prawdopodobnie żona Gąsiorowskiego – Barbara, która była zaangażowana w działalność opozycyjną już przed Sierpniem.

Główną formą działalności CKAB była poligrafia i mały sabotaż w Krakowie. CKAB wspierało teżwydawanie „Niepodległości" – pisma TTKAB. Z listu Żebrowskiego do Guta z 14 marca 1982 r.: *Do pomocy poligraficznej zobowiązałem łącznika.*

Łącznikiem pomiędzy CKAB, a TTKAB był Witold Tukałło, który wspomina dziś: *Z ramienia CKAB-u miałem zajmować się poligrafią. Żebrowski, który miał duże zdolności manualne (wyszywał sztandary dla byłych formacji AK), zrobił dla mnie pieczątki, które stanowiły winietę pisma „Niepodległość". Wykonał też maszynkę do produkcji ulotek. Jedyne, co na niej wydrukowaliśmy, to ulotki skierowane do wojska, które Ewa dała później Grudniewiczowi. „Białko" (matrycę białkową) zapinało się na wałek i kręciło. Problemem było dostarczenie farby do bębna. Nie zdążyliśmy tego rozwiązać, bo mnie aresztowano. Maszynka ta wpadła w ręce bezpieki w czasie rewizji w mieszkaniu Załuskiego.*

Od Żebrowskiego odbierałem też artykuły do „Niepodległości". Pisał je chyba Andrzej Izdebski, może także Żebrowski. Czasami też sam pisałem krótkie teksty do „Niepodległości" lub do „Zomorządności", ale przede wszystkim zajmowałem się wykonawstwem.

Z CKAB związana była grupa Tomasza Baranka. Baranek nie został internowany, jako jeden z nielicznych działaczy pierwszej KPN. Wobec niego SB miała inne plany. Baranek: *Dostarczono mi wezwanie na ulicę Mogilską do Komendy Wojewódzkiej MO na 8 stycznia 1982. Sądzę, że SB wiedziała o mojej przynależności do KPN od Henryka Karkoszy, z którym zetknąłem się w KOS-ie* [chodzi o Krakowską Oficynę Studentów] *w drugiej połowie 1981 roku* [zob. tom I]. *Byłem przesłuchiwany od godziny 8 do 16 przez trzech zmieniających się funkcjonariuszy SB lub wszystkich naraz. Ponadto wchodziło około dziesięciu innych osób, których celem było zapamiętanie mojej twarzy i sylwetki. Zdawali sobie sprawę, że mogę znać ludzi z KPN. Grozili mi, że wylecę przez okno jak syn Jurczyka. Przedstawili mi propozycję współpracy. Odpowiedziałem im, że się zastanowię. Zaproponowano spotkanie 15 stycznia 1982 przy rondzie Mogilskim. Na spotkaniu z SB kategorycznie odmówiłem współpracy i na tym skończyły się nasze kontakty.*

W „Notatce służbowej", którą 16 stycznia. sporządził por. Zdzisław Czopek, czytamy: *W dniu 15 stycznia 1982 spotkałem się z Barankiem Tomaszem. Głównym celem spotkania było podtrzymanie dialogu operacyjnego. Z przebiegu rozmowy wynikało, że w/w nie ma chęci na dalsze spotkania. M.in. powiedział, że względy religijne nie pozwalają mu na współpracę z naszym aparatem. Z góry zakładał, że możemy wyciągnąć w stosunku do niego jakiś konsekwencje, że może być represjonowany, ale godzi się na to. Woli być szykanowany, niż współpracować z nami"*

Baranek odnowił kontakty z KPN. Baranek: *Z końcem stycznia 1982 wpadliśmy na siebie przypadkowo z Tolkiem Piekałkiewiczem, wymieniliśmy się informacjami i bibułą.* Piekałkiewicz, po ucieczce z Huty im. Lenina w czasie pacyfikacji 17 grudnia 1981 r., ukrywał się.

Baranek: *Wraz z Tolkiem spotkaliśmy się z Marianem Gutem ps. „Korczyński". Potem widywaliśmy się już bez Piekałkiewicza. „Korczyński" polecił mi zorganizowanie grupy konfederackiej, która miała zajmować się kolportażem. Nadał naszej grupie kryptonim „Laweta", a także dał mi pismo, które opisywało konspiracyjną strukturę KPN i polecił zapoznanie z nim członków mojej grupy. Ujawnienie takiego dokumentu oraz wystraszona postawa Guta powodowała, że nie miałem do niego zaufania.*

Zarzut Tomasza Baranka wobec Mariana Guta wydaje się zasadny. Przedstawianie struktury TTKAB na piśmie powodowało ryzyko, że taki dokument wpadnie w niepowołane ręce. Rzeczywiście, jeden z dokumentów – schemat akcji kolportażowej, wpadł w ręce SB w czasie przeszukania w mieszkaniu Tukałłów 13 maja 1982 r.

Baranek: *W marcu lub w kwietniu 1982 skontaktował się ze mną Wojciech Albiński. Albiński przekazał mi, że chce się ze mną spotkać pewien człowiek z KPN, który mieszka przy ul. Francesco Nullo. Był to Jerzy Żebrowski. Żebrowski powiedział mi, że stoi na czele CKAB KPN, a jego pseudonim to „Korybut" (od Guta słyszałem wcześniej, że szefem CKAB jest „Korybut") i że chce, abym mu się podporządkował. Zgodziłem się, bo sprawiał dużo lepsze wrażenie od Guta – spokojny, opanowany, konkretny. Żebrowski miał tylko przekazać informację Gutowi, że nie będę się już z nim kontaktował.*

W tym czasie [marzec, kwiecień 1982 r.] *odbyłem kilka spotkań z Witoldem Tosiem. Uzgodniliśmy, że przekażę mu maszynę do pisania, po którą przyszedł razem z Wojciechem Obercem. Nie wiedziałem, że Toś i Oberc są członkami TTKAB.*

Wkrótce Baranek stworzył własną grupę, o czym sam relacjonuje: *Stanąłem na czele grupy do zadań specjalnych i przyjąłem ps. „Doman". Do mojej grupy, prócz Wojtka Albińskiego „Leona", należeli: Ewa Słowikowska „Basik", Piotr Sunycia „Abdank", Leszek Kozioł „Włoch". Sprawdzaliśmy bramy przejściowe w Krakowie...*

Szukanie bram przejściowych to stare ćwiczenie zadawane młodym adeptom konspiracji. Stosowane było już w czasie II wojny światowej i w konspiracji powojennej.

W latach 80. podobne zadania dawano często młodym konfederatom. Sławomir Onyszko: *Rysiek Bocian non stop mi coś wymyślał. Na przykład kazał mi chodzić ze starą książką i sprawdzać „sklepy rejonowe", tj. bramy, którymi można było przejść z jednej ulicy na drugą. W tej książce były już opisane te przejścia, ale miałem sprawdzić, czy są jeszcze aktualne (książka pochodziła sprzed kilkudziesięciu lat). Chodziło o to, aby w razie czego można było „zgubić ogon". Sporo takich ciekawych przejść znalazłem. A raz mnie jakiś cieć pogonił... Z dwóch takich przejść potem korzystałem.*

Wróćmy do relacji Tomasza Baranka: *...stemplowaliśmy zarządzenia władz oraz skrzynki pocztowe pieczęciami z wizerunkiem faszystowskiego orła trzymającego w szponach wieniec laurowy z napisem „WRON". Obstawialiśmy również odprawy CKAB odbywające się w mieszkaniu Jerzego Żebrowskiego przy ulicy Francesco Nullo. Pozostali członkowie grupy nie zdawali sobie sprawy z wykonywanego zadania, bo myśleli, że przeprowadzają ćwiczenia w rodzaju „gier wojennych". Na polecenie Jerzego Żebrowskiego sprawdzałem adresy, które mi podawał – czy dana osoba rzeczywiście mieszka pod tym adresem i jaką ma opinię. Razem z Żebrowskim wykonaliśmy dużo ulotek pieczątkowych, o nakładzie do kilku tysięcy. Autorem tych wszystkich pieczątek był Jerzy Żebrowski. Wykonywał je bardzo precyzyjnie w gumie, która służyła do celów ortopedycznych. Jako kierujący grupą do zadań specjalnych, miałem prawo brać udział w posiedzeniach CKAB, ale z tej możliwości zrezygnowałem. Uważałem, że lepiej będzie, jak będę wiedział jak najmniej i jak najmniej poznawał nowych ludzi.*

Taką samą pieczątką z „wroną" posługiwał się Marek Bik. Niektóre pieczątki wykonywał Andrzej Izdebski, na co wskazuje krótka uwaga w jego wspomnieniach: *Zajmowałem się produkcją ulotek za pomocą pieczątek wykonanych przez Żebrowskiego. Niektóre pieczątki robiłem sam po przeszkoleniu u Żebrowskiego.*

Z CKAB, prawdopodobnie za sprawą Andrzeja Izdebskiego (b. żołnierza NSZ), współpracowało środowisko b. żołnierzy AK i NSZ. Niestety, wraz ze śmiercią Andrzeja Izdebskiego w roku 2008, wiedza o tych ludziach prawdopodobnie bezpowrotnie zaginęła, bo nikt nie odebrał od Izdebskiego szczegółowej relacji. To tylko jeden z wielu przykładów na to, jak wielkim błędem jest skupianie się współczesnych badaczy na materiałach SB i zaniedbywanie gromadzenia ustnych relacji. Na naszych oczach odchodzą kolejni zasłużeni ludzie, a wraz z nimi ich bezcenna wiedza.







Przykłady pieczątek wykonanych przez Jerzego Żebrowskiego. Stemplowaliśmy zarządzenia władz oraz skrzynki pocztowe pieczęciami z wizerunkiem „faszystowskiego" orła trzymającego w szponach wieniec laurowy z napisem „WRON". Wykonaliśmy dużo ulotek pieczątkowych, o nakładzie do kilku tysięcy. Autorem tych wszystkich pieczątek był Jerzy Żebrowski. Wykonywał je bardzo precyzyjnie w gumie, która służyła do celów ortopedycznych.

Z archiwum Tomasza Baranka

W archiwum domowym Andrzeja Izdebskiego zachowały się raporty, sporządzane – jak można przypuszczać na podstawie ich treści – przez byłych żołnierzy AK i NSZ tworzących strukturę współpracującą z CKAB KPN. Były pisane na maszynie i podpisane tylko pseudonimami. W lewym górnym rogu raportów znajdowały się kryptonimy („Teatr", „Opera", „Zagroda"). Prawdopodobnie były to oznaczenia dotyczące charakteru dokumentu lub komórki organizacyjnej. Jak można się zorientować, określenie „Teatr" dotyczyło dokumentów wywiadowczych, „Opera" – dokumentów o charakterze kontrwywiadowczym, „Zagroda" – dokumentów programowych.

Są tam meldunki dzienne z obserwacji krakowskich i małopolskich ulic i dróg, pokazujące w szczegółach urywki rzeczywistości stanu wojennego, są ciekawe instrukcje dotyczące organizowania akcji małego sabotażu i przestrzegania zasad konspiracji, są bardzo przydatne w pracy konspiracyjnej opisy metod pracy SB i sposoby zabezpieczenia się przed nimi.

***

Przykłady raportów oznaczonych kryptonimem „Teatr".

Tajne. Raport specjalny 630514/S. Petarda gazowa ZOMO – budowa, użycie. Opis sporządzony na podstawie obserwacji i znalezionych części.

— Budowa. Petarda gazowa ma kształt walca o średnicy 50 mm i wysokości około 65 mm sporządzonych z tzw. pilśni grubości 4 m. Od dna do przykrywki przechodzi przez środek petardy papierowa rurka. Rurka ta średnicy 10 mm, kończy się przy podstawie ślepo, a przez przykrywkę przechodzi na wylot otwór 10 mm średnicy. Przykrywka ta jest dodatkowo zabezpieczona tekturowym krążkiem średnicy 50 mm i grubości 2 mm. Korpus rakiety jest sporządzony z niegrubego pergaminu lub materiału podobnego. Wspomniany krążek z otworem pozostaje z reguły nieuszkodzony i jest charakterystycznym dowodem (w załączeniu) użycia petard gazowych. Korpus petardy jest wypełniony dość zbitą sproszkowaną substancją gazotwórczą. Rurka natomiast zawiera zapalnik, którego głównym składnikiem jest chyba chloran potasu oraz urządzenie zapalające zapewne tarciowe. Waga petardy – około 200 gr.

— Użycie petardy. Petardę bierze się w lewą dłoń, a prawą zdziera tekturowy krążek zatyczki i pociąga za sznurek znajdujący się pod zatyczką. Petarda zaczyna syczeć i nieco dymić. Proces ten trwa chyba 4 sekundy. Do tego czasu petardę należy rzucić w kierunku celu. Substancja zapalnika zaczyna gwałtownie płonąć i w tym czasie może spowodować poparzenia lub pożar np. w mieszkaniu. Równocześnie gazy odlotowe dają odrzut i posuwanie się rakiety po bruku. Substancja zapalnika zapala substancję gazotwórczą, która z wolna się spalając, wytwarza niebieskawy gaz łzawiący cięższy od powietrza.

— Ochrona przed petardą polega na jej ugaszeniu za pomocą wody, piasku, ziemi, zadeptania lub innego odcięcia dopływu powietrza. Łzawiące oczy należy przemyć chłodną wodą, najlepiej tzw. wapienną lub esencją herbacianą. Gaz, jako cięższy ściele się przy ziemi – wychodząc na wyższe i przewiewne punkty znajdziemy się poza warstwą zagazowaną. Gaz może niekiedy na podstawie ciągu „kominowego" powietrza dostać się w górę, na klatkę schodową. Piwnic należy unikać. Jednak o ciepłej porze roku zimne powietrze zalegające w piwnicy może nie dopuścić gazu na dół.

Raport bieżący 630422 (...). Przed Kurią Biskupią zaobserwowano 3 agentów obserwujących spod kościoła Franciszkanów wejście do Kurii. Jeden z agentów stał u wylotu Brackiej, drugi naprzeciw bramy Pałacu Biskupiego, trzeci koło Plant. Obserwacja nie ma charakteru stałego i jest prowadzona raczej po godzinie 13 do wieczora. Jeden z agentów miał marynarkę w kratę. Niekiedy jest tylko jeden agent w pobliżu Plant.

***

Przykłady raportów oznaczonych kryptonimem „Opera".

Tajne. Instrukcja B (630322) – dot. metod rozpracowywania „P" przez n-pla.

– Metody rozpracowywania „P" przez n-pla można podzielić na 5 grup. Są to:

- *– metoda inwigilacji,*
- *– metoda infiltracji,*
- *– metoda technicznego podsłuchu,*
- *– metoda prowokacji,*
- *– metody statystyczne (kameralne).*

Ad 1. Metoda inwigilacji jest metodą rozpoznawania przy pomocy obserwacji osobistej przeprowadzanej przez agentów n-pla w stosunku do członków „P" lub lokali „P". Zazwyczaj stosuje się tu 3 sposoby.

Śledzenie regularne wykonywane co najmniej przez 1 agenta w stałych porach i miejscach. Agenci stoją w bramach, siedzą na ławkach, „czekają" na przystankach lub postojach, stoją w ogonkach itp., mogą także siedzieć w samochodach, nawet w taxi, naprawiają „własne" samochody, posuwają się samochodami za śledzonymi. Nierzadko używają ciemnych okularów, nawet w nocy.

Śledzenie nieregularne, podobne do śledzenia regularnego, lecz wykonywane w różnych czasach, choć zazwyczaj w tych samych miejscach. Wbrew pozorom jest to metoda bardzo skuteczna, a znacznie trudniejsza do wykrycia niż śledzenie regularne.

Profilaktyka. Należy zwracać pilną uwagę na ludzi i miejsca wyżej wskazane. Należy zmieniać możliwie kierunek marszu, środki i kierunki lokomocji. Nie podchodzić do lokali „P" w sposób widoczny, zmieniać kierunki podejścia i odejścia. W wyniku najlżejszego podejrzenia – zaniechać kontaktu. Zmieniać ubiór i swój wygląd dla każdego podejścia. Podchodzić o zmroku lub po ciemku. Sposoby te nie dają pełnego bezpieczeństwa, lecz opóźniają jedynie zdekonspirowanie.

Ad 2. Metoda infiltracji jest metodą przedostania się agentów do „P" lub w jego pobliże.

Infiltracja zawodowa jest wykonywana przez agentów etatowych, dysponujących dużymi środkami technicznymi. Może mieć miejsce w miejscu zamieszkania i daje dobre wyniki w dużych budynkach mieszkalnych. Jest to metoda bardzo rozpowszechniona i nie ma niemal bloku, w którym by takich agentów nie było. Często każde piętro ma swojego „anioła stróża". Jest to metoda bardzo niebezpieczna. Agenci ci stosują niekiedy środki techniczne (patrz pkt 3).

Infiltracja pomocnicza stosowana przez agentów niezawodowych lub konfidentów wywodzących się z „P" i szantażowanych przez n-pla. Może być wykonywana w miejscach pracy i w miejscach zamieszkania. Często są to dobrze znani koledzy sąsiedzi.

Profilaktyka. Unikać zbędnych rozmów nawet między członkami „P", a już szczególnie z ludźmi pozornie sobie znanymi. Nie operować w rozmowach służbowych nazwiskami i adresami, a tylko pseudonimami ludzi i kryptonimami miejsc (lokali). Unikać chwalenia się. Nic nie mówić lub w razie rozmowy czynić wrażenie „niezorientowanych" i dbających o swój codzienny interes. Lepiej jest zasłużyć na miano „tchórza", niż pogrzebać sprawę. Nie wolno robić wszystkiego naraz i wszystkiego osobiście. Nie pokazywać się bez koniecznej potrzeby na różnego rodzaju uroczystościach patriotycznych. Na to przyjdzie czas.

Ad 3. Metody podsłuchu technicznego. Są wykonywane przy pomocy sprzętu elektronicznego. Dziś można podsłuchać rozmowę na ulicy z odległości kilkunastu metrów, a w lokalu publicznym z kilku. Używa się podsłuchu w miejscach pracy lub zamieszkania albo przez szafę lub szufladę, także przez sufit i ściany, a zwłaszcza przez przewody wentylacyjne z wyższych pięter w dół. Ważne spotkania należy odbywać w polu, w lesie, lecz nie w ogródkach działkowych. Podsłuch telefoniczny może być dwojaki. Podsłuch rozmów telefonicznych między numerami oraz podsłuch rozmów prowadzonych w lokalu, w którym znajduje się aparat telefoniczny odpowiednio spreparowany (operacja b. prosta). Telefon, którego słuchawka jest tak w mikrofonie, jak i we właściwej słuchawce całkowicie „głucha" jest bezpieczny. Natomiast gdy po podniesieniu słuchawki i naciśnięciu widełek, daje w obu miejscach szmery, jest przygotowana do podsłuchu.

Profilaktyka. Nie prowadzić żadnych rozmów służbowych przez telefon, a nawet rozmów prywatnych z lokalami „P" (punktem wyjścia może być nawet zwykłe pytanie, np. „Czy nie zostawiłem u ciebie rękawiczek?"). Nie prowadzić żadnych rozmów w lokalu, w którym jest aparat telefoniczny. Szczególnie jest to ważne w miejscu pracy, gdzie n-pl ma dość czasu na zorganizowanie podsłuchu.

Ad 4. Metoda prowokacji. Stosowana bardzo szeroko. Polega na próbach nawiązania kontaktu z domniemanymi lub ustalonymi członkami „P" przez agentów n-pla. Najczęstszy, typowy niemal przebieg rozmowy: „Tak, poszukuję kontaktu, tak chciałbym działać" lub „Co to było wczoraj na mieście, tak mi się podoba „P", ale oni głupio działają" itp. wyciąganie „na słówka". W niektórych środowiskach, zwłaszcza młodzieżowych prowokatorzy mogą nawet zakładać „organizację". Ma wówczas n-pl dwie korzyści: agent ma wyniki, a równocześnie wyławia się najaktywniejszych ludzi. Metoda ta jest zwykle łączona z „przytajnieniem się" n-pla. Pozorne „zelżenie kursu", wycofanie jawnej obecności n-pla, ma na celu zaktywizowanie obserwowanego „P" i wyłowienie najaktywniejszych członków „P". Zastraszenie i terror psychiczny jest też nie bez znaczenia.

Profilaktyka. Nie nawiązywać kontaktów, nawet gdyby utrudniało to łączność z ludźmi rzeczywiście pozytywnymi. Był czas na działanie i organizowanie się. Teraz każdą próbę poszukiwania kontaktu należy traktować jako bardzo podejrzaną. Nie rozmawiać. Stosować profilaktykę, jak w punktach 1 i 2. Nie działać gorączkowo, by mieć ze swojej strony wyniki. Własna chwała jest niczym wobec dobra sprawy.

Ad 5. Metody statystyczne. Są to metody kameralnego opracowywania zebranego, nieraz dużego materiału. W połączeniu z topografią terenu, na którym n-pl zaobserwował jakieś akcje czy interesujące go ruchy, umożliwiają wyciąganie zaskakująco trafnych wniosków, co do składu działających grup „P", jak i lokalizacji lokali kierowniczych. Mimo małej świadomości tego faktu grupy „P" działają zazwyczaj w pewien typowy dla nich sposób i w pewnych charakterystycznych miejscach lub czasach. Zestawienie tego (nawet przy użyciu komputerów) może dać n-plowi szereg cennych wskazówek. Stąd pochodzi pewna powolność działania n-pla, zazwyczaj usypiająca uwagę „P". Dąży się przecież do likwidacji całej grupy „P", a nie wyłapywania poszczególnych ludzi, którzy zwykle niewiele wiedzą.

— Profilaktyka. Należy zmieniać metodę i miejsce akcji, a także skład grup wykonujących. Należy bezwarunkowo rozpoznać n-pla i wówczas działać.

Uwaga. Między zauważeniem pierwszych oznak zbytniego zainteresowania grupą przez n-pla, a jej likwidacją upływa zwykle około 3 miesięcy. O tym należy pamiętać.

Raport specjalny 630410/ST. Dotyczy „Niepodległości" nr 3/82 z dnia 22 marca 1982, notatka „Sekcja kolportażu w terenie": *Treść powyższego artykułu jest sprzeczna z zasadami konspiracji. Zakwestionowane zdania: „Miejscem tej akcji było kilka wsi w rejonie Suchej Beskidzkiej", „Mieszkańcy wsi z sympatią traktują działalność KPN, udzielając nam kwater i innej pomocy, bez której akcje te byłyby niemożliwe do przeprowadzenia". „Milicja i kolaboranci byli bezsilni".*

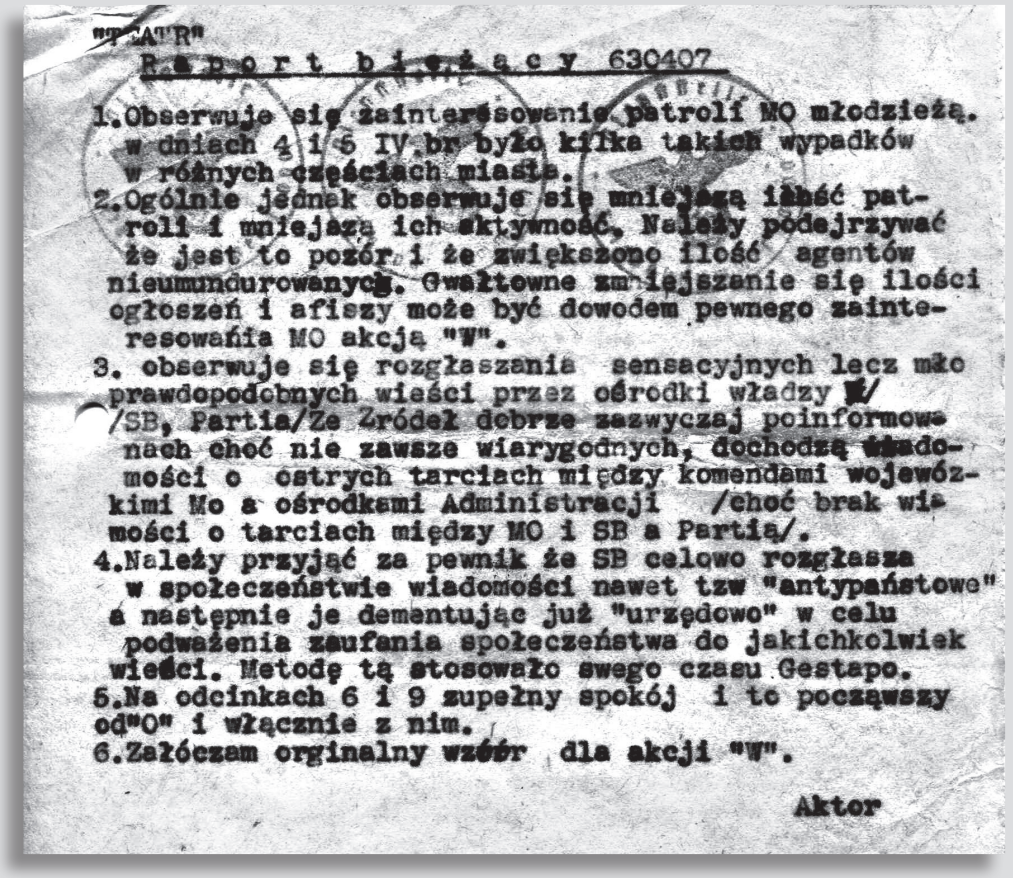
Nie wolno w pismach przeznaczonych do ogólnego użytku (w pewnych wypadkach) podawać miejsc akcji.

Podziękowanie miejscowej ludności za udzieloną pomoc jest narażeniem tych ludzi na represje.

Nigdy nie wolno lekceważyć przeciwnika.

Wspomniana notatka „spaliła teren" i jej mieszkańców. W okolicy tej być może przez długi czas nie będzie można przeprowadzić żadnej akcji, gdyż teren ten może być pod szczególną „opieką" SB. Zbytnie poczucie pewności siebie przy równoczesnym udzielaniu informacji organom ścigania graniczy ze zdradą i może tylko spowodować straty w ludziach i sprzęcie.

Uwaga. Wypadek taki jest znany z pierwszego okresu wojny, gdy ktoś ze sfer rządowych w Londynie za pośrednictwem Radia BBC podziękował polskim leśnikom za aktywną pomoc przy „przechodzeniu granicy" między zaborem rosyjskim, a zaborem niemieckim.



"TEATR"

Raport bieżący 630407

1. Obserwuje się zainteresowanie patroli MO młodzieżą. w dniach 4 i 5 IV.br było kilka takich wypadków w różnych częściach miasta.
2. Ogólnie jednak obserwuje się zmniejszą ilość patroli i zmiejszą ich aktywność. Należy podejrzywać że jest to pozór i że zwiększono ilość agentów nieumundurowanych. Gwałtowne zmniejszenie się ilości ogłoszeń i afiszy może być dowodem pewnego zainteresowania MO akcją "W".
3. obserwuje się rozgłaszania sensacyjnych lecz mało prawdopodobnych wieści przez ośrodki władzy W/ /SB, Partia/Ze Źródeł dobrze zazwyczaj poinformowanych choć nie zawsze wiarygodnych, dochodzą wiadomości o ostrych tarciach między komendami wojewódzkimi Mo a ośrodkami Administracji /choć brak wiadomości o tarciach między MO i SB a Partią/.
4. Należy przyjąć za pewnik że SB celowo rozgłasza w społeczeństwie wiadomości nawet tzw "antypaństowe" a następnie je dementując już "urzędowo" w celu podważenia zaufania społeczeństwa do jakichkolwiek wieści. Metodę tą stosowało swego czasu Gestapo.
5. Na odcinkach 6 i 9 zupełny spokój i to począwszy od "O" i włącznie z nim.
6. Załóczam orginalny wzór dla akcji "W".

Aktor

Przykładowy raport oznaczony kryptonimem „Opera”. Zachowały się raporty, sporządzane – jak można przypuszczać na podstawie ich treści - przez byłych żołnierzy AK, WiN lub NSZ tworzących strukturę współpracującą z CKAB KPN. Raporty sporządzone zostały pismem maszynowym i podpisane tylko pseudonimami. W lewym górnym rogu raportów znajdowały się kryptonimy („Teatr”, „Opera”, „Zagroda”). Prawdopodobnie były to oznaczenia dotyczące charakteru dokumentu lub komórki organizacyjnej. Jak można się zorientować, określenie „Teatr” dotyczyło dokumentów wywiadowczych, „Opera” – dokumentów o charakterze kontrwywiadowczym, „Zagroda” - dokumentów programowych.

Z archiwum FCDCN

Leśnicy zostali przez jedną stronę wymordowani, a przez drugą deportowani, bez szukania bezpośrednich uczestników przerzutu.

Notatki takie należy redagować b. ostrożnie, bo nieumiejętne mogą podważyć w społeczeństwie zaufanie do KPN i spowodować posądzenie, że KPN jest inspirowana przez SB.

***

Przykład raportu oznaczonego kryptonimem „Zagroda”.

MP.A.9 maja 1982. Zagajnik. Założenia ogólne

Celem głównym, do którego dążymy, jest odzyskanie przez Polskę pełnej wolności i niepodległości. Temu celowi winno służyć każde nasze działanie. Sukcesy działania przybliżają dzień zwycięstwa, ponoszone klęski dzień ten oddalają.

Ludzie są nieodzownym elementem każdego działania i każdej pracy. Ludzie muszą być do działania jak najlepiej przygotowani. Nie każdy człowiek nadaje się do danej pracy i danego działania. Ludzi należy dobierać według ich wrodzonych uzdolnień i nabytych umiejętności.

Każdy jednak musi urabiać w sobie poczucie odpowiedzialności osobistej i zbiorowej. Poczucie solidarności. Hasło: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego" nie może pozostać jedynie frazesem. Po prostu trzeba być we wszystkim uczciwym.

Każdy dążący do głównego celu winien się kształcić we własnym zakresie. Kształcenie musi mieć charakter wszechogarniający – humanistyczny. Kształcenie musi objąć całego człowieka: jego stronę moralną, intelektualną i fizyczną. W minionych latach, nie całkiem minionych, ośrodki rządzące Polską przez stosowanie zasady: „Divide et impera" [Dziel i rządź] *osłabiały, a niekiedy wręcz zerwały więzi społeczne. Nowa Polska będzie potrzebowała nowych ludzi. Nowych, to znaczy nie tych, którzy dziś jeszcze nie dorwali się do władzy i żłobu, a znaczy – nowych, odnowionych w swym postępowaniu. Ludzi oddanych idei niepodległości bez względu na to, czy niepodległość przyniesie im osobiste i materialne korzyści. Nowych – to znaczy ludzi znających gruntownie swój fach, ludzi pod każdym względem kompetentnych.*

Każdy musi wyrabiać w sobie odporność psychiczną i fizyczną. Każdy musi być odpowiedzialny za swoje słowa i za swoje czyny. Brak odpowiedzialności może zniszczyć wielu ludzi, zrujnować dobrą robotę i przynieść w efekcie wiele nieszczęścia. Odwaga połączona z rozsądkiem to nie to samo, co być głupim, co być bez wyobraźni. Musimy zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa i mimo zagrożenia działać.

Umieć skutecznie zagrożeniu zapobiegać. Jeśli moje nieprzemyślane działanie spowoduje klęskę Sprawy, to jest to karygodna głupota. Droga, która prowadzi do naszego celu, jest już od dawna znana. Szło nią przecież niejedno polskie pokolenie. Tutaj jedynie przypomnimy główne wytyczne.

Moralne kształcenie się polega na wyrabianiu umiejętności rozróżniania dobra od zła. Czy to się komu podoba, czy nie zasady moralności, zasady etyki sformułowało chyba w najdoskonalszej formie chrześcijaństwo, a więc w polskim wydaniu – katolicyzm. Każdy może się łatwo z tymi zasadami zapoznać. Przypomnijmy tu jedynie zasady szczególnie cenne w naszej robocie. Są to: słowność, punktualność, prawdomówność, posłuszeństwo zwierzchnikom. Niewywiązywanie się z przyjętych zobowiązań, niepunktualne (wyjąwszy bardzo ważne powody) wypełnianie tych zobowiązań są przyczyną złego działania całości, a często „wpadek" i „wsyp". Fałszywe lub tylko podkoloryzowane meldunki zwykle idące w parze z wysuwaniem swych „zasług" dają fałszywy obraz rzeczywistości ze wszystkimi tego fatalnymi, a nawet tragicznymi następstwami. Nieposłuszeństwo w wypełnianiu rozkazów często połączone z „chojractwem" i „szarżowaniem" przynosi z reguły klęskę osobistą, a co gorsza, klęskę wielu kolegów, a nawet naszej Sprawy (...).

Należy uczyć się historii Polski, w pełni polskiej. Brak podręczników? – Nieprawda. Literatury historycznej, nawet tej oficjalnie wydanej jest sporo, a w niej morze, ba ocean wiadomości. Nawet w wojennej literaturze radzieckiej. Tak, nawet tam. Literatura piękna, poezja, nawet klasyczna, może być cenną pomocą do kształcenia swego ducha, wyrabiania swej postawy ideowej.

Fizyczna sprawność i psychiczna odporność na złe warunki, na trudy, na głód, na znaczny wysiłek, nawet na ból, to ważny, choć niestety zanikający element samokształcenia. Należy tą odporność wyrabiać u siebie i u innych. Marsz pieszy jest chyba jedynym w pełni uczciwym zajęciem, jakie człowiek wykonuje w życiu. Przecież nie da się postawić ani jed-

nego kroku mniej, niż liczy ich droga od punktu wyruszenia do celu. Nie jest to tylko sprawa znoszenia tzw. ciężkich warunków. Jest to umiejętność, którą zdobywa się bardzo powoli. Nie ma złej pogody, tylko jest nieodpowiednie ubranie, nieodpowiedni ekwipunek, a tak mówią Szwedzi – ludzie bardzo surowego klimatu. Z każdych warunków winno się wrócić zdrowym. Przeziębienie czy otarcie nóg jest poważnym błędem. Należy jednak pamiętać, że w marszu nikogo nie wolno zostawić bez pomocy, bez opieki. Jaki zespół wyszedł, taki musi wrócić. Tytoń jest niepożądany, alkohol wykluczony. Kto pali, musi się nauczyć ograniczać tę potrzebę w zależności ogólnych warunków.

Działanie musi być zawsze przemyślane i celowe. Jeżeli działanie może narazić zespół czy siebie samego na nadmierne ryzyko, należy akcje przerwać. Umiejętność wycofania się z klęski jest bodaj ważniejszą niż umiejętność zwyciężania. Tę zasadę znały legiony rzymskie. Ocena sytuacji i decyzja w zespole jest obowiązkiem i przywilejem dowódcy (...).

Bądźcie gotowi, by zgodnie ze słowami generała Franciszka Kleeberga (3 października 1939) „stanąć, gdy będzie potrzeba".

***

Można tylko żałować, że ani w środowisku KPN, ani w większości innych środowisk działających w czasie stanu wojennego w konspiracji, tego typu materiały nie były szerzej kolportowane. Nie było także odpowiednich szkoleń.

Ostatecznie komórki wywiadu i kontrwywiadu istniejące w krakowskiej CKAB KPN nie odegrały poważniejszej roli. Ich istnienie dowodzi jednak, że gdyby sprawy w kraju przybrały dramatyczny obrót, gdyby powstała partyzantka miejska i opozycja zostałaby zmuszona do walki z bronią w ręku, to był potencjał do wsparcia tego typu działań profesjonalnym wywiadem i kontrwywiadem. Na szczęście historia potoczyła się inaczej.

W archiwum Andrzeja Izdebskiego zachowała się także korespondencja między Gutem i Żebrowskim. Na początku marca 1982 r. szef CKAB nawiązał łączność listowną z szefem TTKAB. Niestety, nie wiemy, w jakich okolicznościach do tego doszło. Nie wiemy też, kto pełnił funkcję łącznika (być może Witold Tukałło, który jednak nie pamięta tej sytuacji). Z treści tej korespondencji wynika, że Żebrowski występował wobec Guta, powołując się na Gąsiorowskiego. Żebrowski podchodził do nowej struktury bardzo nieufnie, obawiając się, jak można sądzić, przejęcia KPN w Krakowie przez ludzi nieodpowiedzialnych. Później jednak nabrał zaufania. Listy Guta są świadectwem trzeźwości jego umysłu i sporego profesjonalizmu. Nie można tego, niestety, powiedzieć o Żebrowskim, który (zapewne na polecenie Gąsiorowskiego) stawiał przed TTKAB zadania nierealne (np. nawiązanie kontaktów zagranicznych), które należały raczej do CKAB niż TTKAB.

Żebrowski do Guta (14 marca 1982 r.): *Waszym najważniejszym zadaniem jest stworzyć ośrodek kierowniczy KPN-u na cały kraj i zagranicę i centralne kierownictwo akcji bieżącej, którego przewodniczącym, jak już podałem, jest Lech-Konrad Abramski i jego nazwiskiem należy sygnować dokumenty KPN. Jest teraz niezwykle ważne, aby cały kraj i świat wiedziały, że istnieje i działa CKAB-KPN i kolejny p.o. Przewodniczącego Rady Politycznej Lech-Konrad Abramski. KPN musi być widać na politycznej arenie w kraju i na Zachodzie.*

Następne zadanie to dążenie do odtworzenia krajowej siatki kierowniczej KPN (obszary, okręgi). Drugi garnitur na wypadek aresztowań był przygotowany. Został jednak zdekompletowany przez nieprzewidywane aresztowania działaczy Solidarności. Nadto na skutek zaskoczenia stanem wojennym nie został na czas powiązany w całość. Należy dążyć wszystkimi siłami do objęcia wpływami terenu całego kraju. Należy dążyć wszystkimi możliwymi środkami do nawiązania łączności z internowanym kierownictwem KPN-u przez

akcję charytatywną Episkopatu. Ważne jest docieranie z dokumentami programowymi KPN do zagranicznych środków masowego przekazu, za których pośrednictwem informacja objęłaby cały kraj. Tworzyć siatkę z ludzi pewnych, ma to być siatka kadrowa. Na masie członków na tym etapie nam nie zależy. Ważne jest natomiast docieranie z propagandą do mas. KPN nie podejmuje w tej chwili żadnej akcji o charakterze dywersyjnym, sabotażowym, bojowym czy terrorystycznym. Kontynuujemy działalność polityczną w warunkach konspiracji. Widzimy jeszcze możliwość pokojowego rozwiązania kryzysu politycznego w Polsce. Warunki KPN:

Natychmiastowa likwidacja stanu wojennego i jego skutków. To jest uwolnienie wszystkich internowanych oraz skazanych za działalność polityczną czy związkową po 13 grudnia 1981 r.

Natychmiastowe przywrócenie działalności NSZZ Solidarność jako niezależnej struktury związkowej.

Przywrócenie i przestrzeganie wszystkich aktów prawnych ustanowionych lub ratyfikowanych przez PRL a gwarantujących prawa obywatelskie. Jest pilna potrzeba wydania oświadczenia sygnowanego przez CKAB o treści mniej więcej takiej: [W tym miejscu podano treść oświadczenia CKAB w sprawie emigracji, które cytujemy wyżej].

Przewidywany kierunek działań na czas najbliższy: propagowanie biernego oporu (powszechne, totalne), bojkot wszelkiego rodzaju kolaborantów i ich najbliższych rodzin. Musi to być totalna, potężna presja moralna.

Instrukcja nr 1 w pełnym brzmieniu , którą wysłałem przez łącznika, koniecznie wysłać do M[acieja] *P*[strąg]*-B*[ieleńskiego] *w RFN.*

Odpowiedź Guta z kwietnia (brak dokładnej daty): *W chwili obecnej nie jesteśmy w stanie stworzyć własnymi siłami ośrodka kierowniczego na Kraj i Zagranicę. Nie rozumiemy sugestii dotyczącej tworzenia przez nas istniejącej już struktury CKAB (?). Uważamy, iż Lech Konrad Abramski stojąc na czele Konfederacji i podpisując oświadczenia CKAB, nie jest jedynym członkiem – przedstawicielem Centralnego Kierownictwa. Uważamy, że TTKAB Obszaru II powinno kierować pracą KPN w Obszarze II, a koordynacja działalności KPN w skali kraju powinna być zadaniem CKAB. Jesteśmy przekonani, że Obszar II nie jest jedynym aktywnym ogniskiem Konfederacji w kraju. We własnym zakresie czynimy starania o nawiązanie kontaktów z Obszarem III* [Łódź]. *W związku z masowymi aresztowaniami członków KPN w Obszarze V* [Górny Śląsk] *wg posiadanych przez nas informacji działalność na terenie tego obszaru jest kontynuowana spontanicznie i nieskoordynowanie. Z uwagi na demontaż struktury organizacyjnej w Obszarze V część członków KPN z tego obszaru wyraziła gotowość działania na terenie Obszaru II* [Kraków]. *Na bazie tych ludzi widzimy możliwość odbudowania Kierownictwa Obszaru V. Uważamy, że CKAB powinno przekazać naszymi kanałami wytyczne działania dla Obszaru V i upoważnić odpowiednie osoby do koordynacji działalności w tym Obszarze (...). W związku z poleceniem przesłania instrukcji i oświadczenia do MPB informujemy: możliwości przesłania materiałów na Zachód uzależniona jest od podania nam dokładnego adresu MPB. Prosimy o załatwienie tej sprawy(!). Materiały propagandowe oraz dokumenty CKAB i TTK[AB] zostały przesłane na Zachód, lecz do chwili obecnej nie mamy potwierdzenia ich odbioru przez zachodnie środki masowego przekazu.*

W maju 1982 r. doszło do nawiązania bezpośredniego, osobistego kontaktu między TTKAB a CKAB. Za tego typu kontakty odpowiadał w TTKAB Wojciech Oberc: *W maju 1982 skontaktowałem się z Jerzym Żebrowskim, który przedstawił się jako „łącznik KG" (tj. Krzysztofa Gąsiorowskiego).*

***

SB dowiedziała się o powstaniu TTKAB z około miesięcznym opóźnieniem. Pierwszą informację o istnieniu TTKAB Obszaru II KPN – jeżeli wierzyć zachowanym w IPN dokumentom – SB uzyskała 24 stycznia 1982 r. Z meldunku ppor. Burzawy: *W dniu 24 stycznia 1982 mgr Wiesław Tondos, funkcjonariusz KW MO Kraków przekazał 1 egz. ulotki, którą ujawnił w dniu 23 stycznia 1982 w miejscu zamieszkania, tj. w windzie w bloku nr 7 przy ul. Zakątek. Ulotka była formatu A-5, wykonana metodą powielaczową o następującej treści (…). W wyniku penetracji bloku przy u. Zakątek ujawniono jeszcze 1 egz. ulotki tego samego formatu i treści. Ponadto stwierdzono, że w kilku innych windach również były naklejone ulotki, lecz zostały prawdopodobnie zniszczone przez mieszkańców bloku. Obie odzyskane ulotki w toku zabezpieczenia zostały częściowo zniszczone. Nadmienia się, że w rejonie ujawnionych ulotek KPN tj. w bloku 7 mieszka rodzina internowanego członka KPN Zygmunta Łenyka, figuranta niniejszego rozpracowania.* Treść ulotki zacytowanej w podanym wyżej meldunku SB odpowiada treści pierwszej ulotki TTKAB z 28 grudnia 1981 roku.

27 stycznia 1982 r. kpt. Kościelniak w referacie wygłoszonym w czasie narady w [KW MO], powiedział: *Mimo zawieszenia działalności NSZZ Solidarność oraz rozwiązania Niezależnego Zrzeszenia Studentów, notujemy także fakty powstawania nowych nielegalnych organizacji, które sygnują wydawane pisma i ulotki – Studencki Komitet Odnowy* [tak w oryginale] *Demokracji SKODA, Tymczasowe Kierownictwo Akcji Bieżących* [tak w oryginale] *KPN.*

W „Ocenie sytuacji operacyjno-politycznej za okres od 1 do 31 stycznia 1982" KW MO (dokument datowany na 2 lutego) napisano: *Byli członkowie pozostałych ugrupowań o charakterze antysocjalistycznym w związku z internowaniem przywódców dotychczas nie wykazują aktywności. Wyjątkiem jest prawdopodobnie osoba lub grupa członków (sympatyków) KPN, na co wskazuje fakt kolportażu kilku ulotek sygnowanych przez „Tajne Tymczasowe Kierownictwo Akcji Bieżących"* [Tak w oryginale] *oraz kilkunastu ulotek wykonanych podobną techniką z hasłami antyrządowymi sygnowanych przez KPN lub oznaczonych znakiem kotwicy „Polski Walczącej". Dotychczas nie stwierdzono, aby ich autorem był ktoś z liczących się działaczy, pozostających pod ścisłą kontrolą operacyjną.*

Kolejne ulotki sygnowane przez TTKAB, SB przechwyciła w lutym 1982 r. Jak wynika z analizy SB dot. SOR „Gniazdo" z 1984 r. *w dniu 19 lutego 1982 funkcjonariusze MO ujawnili na terenie Nowej Huty 2 egz. ulotek formatu A-4 sporządzonych przy pomocy pisma maszynowego, firmowanych przez Tajne Kierownictwo Akcji Bieżącej KPN Obszar Kraków. Treść ulotek nawiązywała do aktualnej sytuacji w kraju w związku z wprowadzeniem stanu wojennego.*

W dniu 20 lutego1982 w Dzielnicy Krowodrza ujawniono 7 egz. ulotek o identycznej treści co w Nowej Hucie, lecz formatu A-5 sporządzonych na maszynie i powielaczu.

Powstanie TTKAB Obszaru II KPN było dla SB całkowitym zaskoczeniem, po internowaniu bowiem najaktywniejszych znanych działaczy krakowskiej KPN sprzed Sierpnia, esbecy nie spodziewali się zapewne tak szybkiego odrodzenia struktur konfederackich.

SB przeprowadziła rozmowy ze znanymi sobie działaczami pierwszej KPN. Bez rezultatu. W cytowanej wyżej analizie czytamy: *Uzyskano informację, że wśród członków KPN z Krakowa, którzy nie zostali internowani, nastroje są nieprzychylne odnośnie decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego. Po przeprowadzonych rozmowach z B*[ogdanem] *Długogórskim, Waldemarem Wypaskiem, Tomaszem Wideł, Bogdanem Samborskim i M*[ichałem] *Muzyczką nie stwierdzono, aby podjęli jakąkolwiek działalność na rzecz*

KPN. Mylili się co do Długogórskiego, który działał w konspiracyjnej KPN (TTKAB i CKAB).

Informacje o TTKAB odłożono więc do teczki SOR „Gniazdo" i chyba nie poinformowano o nich Warszawy. W każdym razie w późniejszych meldunkach do Warszawy krakowscy esbecy nie „chwalili się", że w drugiej połowie stycznia 1982 r. wiedzieli o powstaniu TTKAB. Nie chwalili się, bo nie było czym. Jeszcze przez ponad pięć miesięcy (licząc od przechwycenia pierwszych ulotek sygnowanych przez TTKAB) SB nie udało się zdobyć informacji o środowisku młodych konfederatów, którzy stworzyli podziemne kierownictwo KPN w Krakowie.

Kolejne sygnowane przez TTKAB ulotki SB przechwyciła 16 marca 1982 r. Z materiałów SB wynika, że w tym samym miesiącu zastępca szefa krakowskiej SB kazał sobie przekazać materiały o Witoldzie Tosiu. Może to wskazywać, że SB sprawdziła archiwa, szukając mogących działać w podziemnej KPN i w ten sposób trafiła na Tosia.

Z notatki urzędowej ppor. Szczepkowicza (6 lipca 1982 r.) wynika, że w kwietniu 1982 r. SB przechwyciła kilka egzemplarzy kapeenowskiej „Niepodległości:

26 kwiecień br. – klub MPiK Rynek Podgórski, „Niepodległość" nr 6,

26 kwiecień br. – KZPN „Bonarka", 3 sztuki „Niepodległości" nr 6 (...),

kwiecień 1982 – Wojewódzki Urząd Cenzury w Krakowie ujawnił w liście adresowanym do Mikołaja Grabowskiego, Poznań, Teatr Polski, ul. 27 Grudnia (…) ulotkę „Niepodległość" nr 3 (bez pieczątki)

W wyniku przeszukania w mieszkaniu Tukałłów (14 maja 1982), Służba Bezpieczeństwa znalazła schemat akcji kolportażowej ulotek KPN w rozbiciu na poszczególne dzielnice Krakowa. W ten sposób dowiedziała się o pseudonimach szefów kolportażu wydawnictw KPN – „Igły" (Ryszard Pyzik) oraz „Kasi" (Agata Dziadowiec), ale nie znała ich imion i nazwisk.

Dopiero latem i jesienią 1982 r. SB udało się ustalić skład TTKAB (z wyjątkiem Mariana Guta, którego imię i nazwisko pojawia się po raz pierwszy w materiałach SB w połowie 1983 r.). W konsekwencji latem i jesienią 1982 r. niemal wszyscy członkowie TTKAB znaleźli się w więzieniu lub zostali internowani.

Łenyk: *Kolejno do więzienia poszli wszyscy przywódcy tego środowiska: Witek Toś, Marek Bik oraz Rysiek Pyzik, Wojtek Oberc i Krzysztof Kwiatkowski. Nie został zamknięty jedynie Marian Gut – ich szef, który niezwykle skrupulatnie konspirował się, zmieniał co jakiś czas pseudonimy, bardzo dokładnie zabezpieczał miejsca swoich spotkań i kontaktów.*

W papierach SB pierwsza informacja o krakowskim CKAB-ie pojawia się dopiero 31 lipca 1982 r. w dokumencie, którego autorem był kpt. Więckowski. SB nie wiedziała wówczas nawet, że siedzibą CKAB jest Kraków. Nie znała też jego składu, mimo że współpracujący z SB Krzysztof Gąsiorowski już wiosną 1982 r. wiedział o istnieniu CKAB-u w Krakowie, znał nazwiska przynajmniej niektórych jej członków (wysyłał do nich grypsy) i formalnie – był jego szefem.

Oba ciała – (TT)KAB i CKAB – istniały do czasu zwolnienia z internowania (w lipcu 1982) większości przywódców pierwszej KPN w Krakowie.

***

Ocena działań TTKAB wypada jednoznacznie pozytywnie. Młodzi, ideowi i pełni energii ludzie odtworzyli władze obszarowe KPN i podjęli aktywną działalność (ograniczoną nie tylko do terenu Krakowa). Największym ich sukcesem było regularne wydawanie pisma „Niepodległość" (o czym dalej), a także rozbudowana sieć kolportażu, która

początkowo koncentrowała się na drukowanych własnymi siłami ulotkach. Akcje ulotkowe, zwłaszcza po comiesięcznych mszach w kościele Mariackim (styczeń – maj 1982 r.) bardzo podnosiły ludzi na duchu i umacniały wolę oporu, zwłaszcza że w tym czasie i miejscu rozrzucano niewiele innych ulotek. Część członków TTKAB brała też aktywny udział w demonstracjach ulicznych (o czym dalej).

W przypadku CKAB ocena wypada nieco mniej pozytywnie, bo ciało to – wbrew nazwie – nie rozwinęło działalności poza Krakowem. Było to jednak spowodowane głównie przez okoliczności obiektywne. CKAB wspierał poligrafię TTKAB oraz prowadził własne działania małego sabotażu (grupa Baranka). Z CKAB współpracowały też profesjonalne komórki wywiadu i kontrwywiadu.

Obie te struktury różniły się znacznie wiekiem ich działaczy, co wpływało także na metody, dynamikę i profesjonalizm działań. TTKAB to głównie młodzież, a w CKAB-ie dominowali starsi, z których wielu pamiętało okres II wojny światowej lub czasy stalinowskie.

Początki podziemnej poligrafii

Na styku z krakowską KPN działała grupa, w której najstarszą osobą był Witold Tukałło. Drugą osobą z KPN związaną z tą grupą był Marek Bik. Pozostali to młodzież z krakowskich liceów, nie należąca do Konfederacji. Zajmowali się małym sabotażem, a z czasem – przede wszystkim – drukowaniem ulotek i własnego pisma. Przyjęli nazwę KOS 241.

Maciej Kuś: *Jeszcze w grudniu 1981 całe nasze towarzystwo z pisma „Vis" spotykało się w mieszkaniu Muzi Sierotwińskiej. Znaliśmy się zaledwie od miesiąca, więc nie wiedzieliśmy, na co kogo było stać. Od stycznia 1982, gdy zaczęły się lekcje, w szkole widywałem się codziennie z Markiem Bikiem i Jackiem Lichoniem. Poza nimi miałem zaufanie do Piotrka Poniedziałka (który potem drukował ze mną „Zomorządność" do samego końca) i Jarka Grycza.*

Początkowo różne teksty przepisywaliśmy na maszynie. Jacek Lichoń miał maszynę i na niej tłukliśmy przez pięć kalek różne teksty. Na przykład udało nam się przygotować w ten sposób ze setkę albo i dwie setki komunikatu TTKAB Obszar II KPN z 28 grudnia 1981. Tekst dostaliśmy chyba od Marka Bika albo Witka Tukałły, z którymi cały czas byliśmy w kontakcie.

Z Markiem Bikiem organizowaliśmy też akcje ulotkowe w środkach komunikacji miejskiej. Polegało to na tym, że jak autobus zatrzymywał się na przystanku, to naklejaliśmy na szybę ulotkę i wyskakiwaliśmy. W ten sposób rozkleiliśmy m.in. trochę oświadczeń TTKAB z 28 grudnia 1981. Planowaliśmy też włamanie do siedziby „Solidarności" w celu zdobycia jakichś maszyn do drukowania, ale to ostatecznie nie doszło do skutku.

Witold Tukałło, Marek Bik, Jacek Lichoń, Andrzej Załuski, Piotr Poniedziałek, Jarosław Grycz i ja zrobiliśmy wspólnie parę innych akcji, na przykład jakieś malowanie napisów na murach czy wywieszenie transparentu na siedzibie Zarządu Regionu „Solidarności" przy Alejach.

Jacek Lichoń: *Brałem udział w akcji malowania haseł zaraz na początku stanu wojennego, namalowałem m.in. duży napis „WRON won za Don", na ulicy, która biegnie przy Politechnice Krakowskiej. Był to budynek jakiegoś zakładu pracy chyba, ponieważ wybiegli strażnicy i zaczęli mnie gonić. W efekcie wskoczyłem do przypadkowego autobusu i znalazłem się na Azorach...*

Pamiętam też kolportaż w początkach stanu wojennego w kościołach. Sam zostawiałem po kilka ulotek w kościołach w obrębie Rynku przed samymi mszami. Jeszcze nie było rozbudowanej siatki kolportażu.

Maciej Kuś: *Nie było w naszej grupie wyraźnego szefa. To były luźne pomysły, które wspólnie uzgadnialiśmy. Witek Tukałło był od nas wyraźnie starszy, więc liczyliśmy się zawsze z jego zdaniem, ale do roli szefa nie aspirował.*

Grupa wyspecjalizowała się w podziemnej poligrafii.

M. Kuś: *W tym gronie w styczniu 1982 postanowiliśmy coś wydrukować. Chcieliśmy wydawać pismo, tym razem już nie młodzieżowe, chociaż nie mieliśmy pojęcia o drukowaniu („Vis-a" redagowaliśmy w maszynopisie, a drukiem zajmował się Zarząd Regionu). Miałem w domu parę matryc. Udało nam się też załatwić trochę farby drukarskiej. Znalazłem „Poradnik drukarza" (wydała go chyba NOWA, jeszcze przed stanem wojennym). Uczyliśmy się z niego drukowania, ale był tak napisany, że jak ktoś nie miał praktycznego pojęcia o drukowaniu z innego źródła, to ciężko było pojąć, jak to wszystko ma wyglądać.*

Pierwsza drukarnia była w piwnicy Jakuba Tasiora. M. Kuś: *Pierwsza próba druku okazała się nieudana, bo oddarliśmy matrycę i wyrzuciliśmy ją do śmieci. Byliśmy przekonani, że ta czarna kalka, która znajdowała się pod tym, co wyrzuciliśmy, to była właściwa matryca.*

W styczniu lub w lutym 1982 na mszy za Ojczyznę spotkałem Andrzeja Załuskiego. Poznałem go jeszcze przed 13 grudnia. W okresie jawnej działalności „Solidarności" razem przygotowywaliśmy „Gońca Małopolskiego" – pismo Zarządu Regionu. Raz na tydzień do siedziby zarządu przywozili nakład z drukarni i wtedy schodzili się ochotnicy. Było kilka stosów z wydrukowanymi stronami, na każdym stosie kolejne cztery strony gazetki. Trzeba było zabierać z kupek po jednej kartce i układać w całość jeden numer, a potem składać na pół. Ja przychodziłem z ojcem, Andrzej Załuski z matką. Gdy spotkałem Andrzeja w 1982, to zaczęliśmy rozmawiać o jakiejś wspólnej działalności. Myśleliśmy przede wszystkim o wydawaniu bibuły, ale nie tylko. Dzięki Andrzejowi, który miał jako takie pojęcie o drukowaniu, udało nam się pod koniec lutego 1982 wreszcie coś wydrukować.

Andrzej Załuski: *Spotkałem się z Maćkiem Kusiem, a ponieważ znałem wcześniej jego ojca, więc nie musieliśmy do siebie nabierać zaufania.*

Miałem w domu trochę materiałów poligraficznych z Zarządu Regionu, w szczególności matryce białkowe. Miałem też pożyczoną od Waldemara Czyża (pracownika Zarządu Regionu i mojego sąsiada na osiedlu) maszynę do pisania z drobną czcionką (dzięki czemu więcej tekstu mieściło się na jednej stronie). On sam nie miał nic wspólnego z „Zomorządnością", ale tę maszynę nam do naszych celów bezterminowo wypożyczył.

Zaczęliśmy drukować na prostym powielaczu białkowym. Nie pamiętam, kto zrobił ramkę.

Z czasem Maciej Kuś i jego koledzy zdobyli spore doświadczenie w drukowaniu „na ramce". Czytelnikom swojego pisma („Zomorządność" nr 4 z 1982 r.) doradzali jednak prostszą technikę powielania:

Jak zrobić:

— Farbę drukarską? Należy przygotować dowolny pigment (może być sadza z nafty, oleju jadalnego itp.). Pigment maksymalnie roztarty zmieszać, podgrzewając z pokostem lnianym lub każdym tłuszczem organicznym (olej słonecznikowy lub rzepakowy itp.). Można dodać amoniaku – wtedy szybciej wysycha. Najprostszą farbą może być tusz do stempli.

– Matryce? Najprościej z folii aluminiowej (np. turystycznej). Przy pomocy papieru ściernego. Do maszyny do pisania wkręcamy papier ścierny chropowatą stroną odwrócony do folii. Piszemy po zdjęciu taśmy barwiącej, uderzając mocno czcionkami. Papier ścierny powinien być możliwie najdrobniejszy. W miejscu uderzeń czcionek o folię powstaje szereg malutkich dziurek układających się w litery.

– Powielacz domowy? Składa się z gładkiej prostokątnej płytki (szyby) formatu trochę większego niż A4, na której mocujemy flanelę. Następnie flanele nasączamy farbą i przy pomocy plastra mocujemy matrycę. Na tak skonstruowanym powielaczu kładziemy kolejne kartki papieru i przy pomocy wałka do ciasta wykonujemy odbitki. Wałek przesuwamy zawsze od miejsca umocowania matrycy w dół. Tego typu powielacz umożliwi nam wykonanie więcej niż stu odbitek z jednej matrycy. Życzymy powodzenia!

Dział techniczny KOS 241.

***

Zasady druku „na ramce" były następujące:

Matryca białkowa to była przepuszczalna, bardzo cienka, mocna tkanina z cienkich włókien, nasączona z obu stron masą białkową. Wyglądało to jak gruba kalka przymocowana do cienkiego podkładu z tekturki. Jeśli chciało się otrzymać rysunek, to nakłuwało się kalkę (ale delikatnie, aby nie przeciąć tej środkowej warstwy), a jeśli tekst, to wkładało się matrycę do maszyny do pisania, ale bez taśmy barwiącej. Czcionka maszyny nacinała tę część białkową, a zostawał ten środek – cieniutka siateczka. Tekturowy podkład odrywało się, zostawiając tylko górny pas, który służył do mocowania matrycy do ramki czy powielacza. Farba drukarska przenikała przez nacięte miejsca i odbijała się po drugiej stronie na papierze. To była technika stosowana w powielarniach, które były w każdym większym biurze, zakładzie. W PRL panowała ogromna biurokracja, wydawano setki zarządzeń, okólników itp. Każde przedsiębiorstwo miało powielarnię, w której to „prawo powielaczowe" było drukowane. Dzięki temu był dostęp do matryc, farby. Można je było kupić w sklepie tylko za specjalnym zezwoleniem, ale były wykradane z firm. Natychmiast się stworzył podziemny rynek, gdzie można było je kupić.

Jak się już miało matrycę z napisanym tekstem, trzeba było zbić ramkę z twardego drewna, wzmocnić ją kątownikami, aby całość była sztywna, naciągnąć na to flanelę, i przypiąć pinezkami matrycę. Ramka była na zawiasach, matrycą do spodu. Pod spód ramki kładło się plik kartek papieru (które trzeba było zdobyć w taki sam sposób, jak matryce i farbę). Następnie na kawałek szyby wylewało się trochę farby drukarskiej powielaczowej, nanosiło się ją na gumowy wałek fotograficzny przez rozwałkowanie tej farby i rozprowadzało się farbę wałkiem na flaneli (od wewnątrz ramki). Podnosiło się ramkę do góry, druga osoba, która siedziała obok, wyjmowała zadrukowaną kartkę, opuszczało się ramkę i przejeżdżało wałkiem od góry, wewnątrz ramki i tak dalej.

Bardziej zaawansowana techniką był druk „na sicie", czyli sitodruk lub serigrafia. Jest to technika znacznie wydajniejsza, pozwala stosować grafikę, zdjęcia, różne czcionki, rysunki. Polegała na tym, że na sztywną ramę z drewna (albo z metalu) naciągało się sztywną tkaninę sitodrukową – bardzo gęsty, odporny na odkształcenia

szyfon, który przepuszcza farbę. Następnie na to sito nakładało się w ciemni cienką warstwą emulsję światłoczułą, suszyło i przykładało się diapozytyw makiety strony pisma czy plakatu (którą wcześniej należało napisać na maszynie, dodać rysunki i sfotografować na bardzo kontrastowej błonie na przeźroczystym podłożu – w ten sposób powstawał diapozytyw). Naświetlenie halogenem utwardzało emulsję. Później miejsca, przez które miała przejść farba, wypłukiwało się prysznicem i suszyło sito. Do tej ramki nakładało się farbę sitodrukową albo pastę komfort, albo „Bebiko" rozrobione z barwnikiem i przeciągało się raklą (czyli paskiem twardej gumy z rączką – robiło się je najczęściej z gumy do podkładów tramwajowych) przeciskając farbę na arkusz papieru.

Wydajniejszą techniką był offset, umożliwiający szybki, automatyczny druk wysokich nakładów, ale rzadko kogo było stać na tak drogie, skomplikowane urządzenie.

***

Wkrótce drukarnię z piwnicy Jakuba Tasiora przeniesiono do mieszkania Witolda Tukałły.

M. Kuś: *Pierwszą stronę pierwszego numeru pisma wydrukowaliśmy w mieszkaniu Witka Tukałły. On miał dwa pokoje. W jednym mieszkała babcia, a w drugim Witek z żoną Ewą i z córką. Na czas drukowania Aldonka poszła do drugiego pokoju. Ewa Tukałło (atrakcyjna, wysoka kobieta) akceptowała tę sytuację. Ona z nami bezpośrednio nie działała, ale – jak się później okazało – też była w konspiracji i wpadła przy okazji sprawy Grudniewicza.*

Była bardzo zaangażowana i bojowa. Do druku wykorzystaliśmy maskownicę fotograficzną. Na nią nałożyliśmy pieluchę, którą nasączyliśmy farbą i zamocowaliśmy matrycę. Aby nasączyć pieluchę farbą, trzeba było matryce delikatnie unieść, nałożyć farbę i rozprowadzić ją nożem.

Pierwszy numer naszego pisma nie nazywał się jeszcze „Zomorządność", tylko „Biuletyn Koła Oporu Społecznego 241". Dużo się wtedy mówiło o tworzeniu małych niezależnych grup zwanych „kołami oporu społecznego". My postanowiliśmy być jedną z takich grup. Nadaliśmy sobie numer, i to w miarę wysoki, co miało stworzyć wrażenie, że te koła są ze sobą powiązane i że jest ich dużo. W ten sposób powstała nazwa „KOS 241". Pomysłodawcą tej nazwy był Andrzej Załuski. Nakład pierwszego numeru nie był duży (pierwszej strony wydrukowaliśmy góra dwieście egzemplarzy), bo zaraz nam się rozsypała matryca. Początkowo drukowaliśmy we trzech: Witek Tukałło, Andrzej Załuski i ja. No i jeszcze Krystyna Załuska – mama Andrzeja.

Andrzej Załuski: *„Zomorządność" pierwotnie, według mojej koncepcji, miała być pismem satyrycznym. Miałem już gotową szczotkę (ręcznie narysowaną) pierwszego numeru takiego pisma. Potem z tego zrezygnowałem, bo zabrakło mi dowcipów, które mógłbym tam umieścić. Poza tym uznaliśmy, że ważniejszą sprawą jest informowanie społeczeństwa, niż wyśmiewanie się z komunistów.*

Udział w drukowaniu pierwszego numeru „Zomorządności" pamięta też Artur Mohl: *Z początkiem 1982 r. drukowaliśmy pierwsze egzemplarze „Zomorządności" u Witka Tukałły w jego mieszkaniu przy ul. Kazimierza Wielkiego. Tukałłę poznałem przez Marka Bika. Mieliśmy chińskie matryce, które załatwił Witek. Były słabe – wytrzymywały druk 800 sztuk i się rozlatywały. Drukowaliśmy wałkiem. Była przy tym żona Witka – Ewa.*

Witold Tukałło: *Powielaczem stała się stara pralka „Frania", z której wyjęliśmy jeden wałek. Artur Mohl pomógł nam przysposobić wałek do drukowania na ramce. Tekst na matryce przepisywałem nocą w pracy.*

Druk na ramce. Jak się już miało matrycę z napisanym tekstem, to trzeba było zbić ramkę z drewna, wzmocnić ją kątownikami, aby się to trzymało porządnie, naciągnąć na to flanelę, i przypiąć pineskami matrycę. Ramka była na zawiasach, matrycą do spodu. Pod spód ramki kładło się ryzę papieru (którą trzeba było zdobyć w ten sam sposób, jak kalkę i farbę). Następnie na szybie wylewało się trochę farby drukarskiej powielaczowej (zdobywało się ją w ten sam sposób, jak matryce – przez „dojścia"), nanosiło się ją na gumowy wałek fotograficzny przez rozwałkowanie tej farby i rozprowadzało się farbę wałkiem na flaneli (od wewnątrz ramki). Następnie podnosiło się ramkę do góry, druga osoba, która siedziała obok wyjmowała zadrukowaną kartkę, opuszczało ramkę i przejeżdżało wałkiem od góry, wewnątrz ramki i tak dalej.





Fot. Mirosław Lewandowski – zasady druku demonstruje Leszek Jaranowski, nasz Wydawca, drukarz podziemny „Hutnika", ale także niektórych wydawnictw KPN.





Druk na sicie. Jest to technika znacznie wydajniejsza, pozwala stosować grafikę, zdjęcia, różne czcionki, rysunki. Polega na tym, że na sztywną ramę z drewna (albo z metalu, ale nie mieliśmy takich) naciąga się sztywną tkaninę sitodrukową – bardzo gęsty, odporny na odkształcenia szyfon, który przez to, że jest dziurkowany (ma taka strukturę), to przepuszcza farbę. Następnie nakładało się emulsję światłoczułą w ciemni na to sito, przykładało się sfotografowaną makietę strony (którą wcześniej należy napisać na maszynie, dodać rysunki i sfotografować na bardzo kontrastowej błonie na przeźroczystym podłożu – w ten sposób powstawał diapozytyw) i naświetlało halogenem, a później miejsca, przez które miała przejść farba wypłukiwało się, suszyło i utrwalało. Do tej ramki ładowało się farbę sitodrukową, albo pastę komfort, albo „Bebiko" rozrobione z barwnikiem i przeciągało raklą (czyli paskiem twardej gumy z rączką – robiło się je najczęściej z gumy do podkładów tramwajowych).

Ewa Tukałło: *Cały dom był zabrudzony farbą drukarską. Do dziś pamiątkę tamtych dni stanowi biały, wełniany sweter Witka. Pilnowałam go jak oka w głowie, bo przecież wtedy w sklepach nic nie można było kupić, ale też bardzo zabrudził się farbą. Nie zapomnę, jak zaniosłam go do czyszczenia na ulicę 18 Stycznia. Pan w pralni zapytał surowo: „Co to za plamy?”.*



NSZZ "SOLIDARNOŚĆ"
KOŁO OPORU SPOŁECZNEGO
241
OKRĘG POŁUDNIE

ZOMORZĄDNOŚĆ

KRAKÓW 20.III.1982r. nr. 3

I CHOĆ WROGA GŁOŚNO KRZYCZE
WABIĄC KRUKI I FOGHARDĘ
I TAK SPRAWA PRZESĄDZONA
CHOĆ WROGA NIE POKONAĆ

Lista OSÓB PRZETRZYMYWANYCH w OŚRODKU ODOSOBNIENIA DLA INTERNOWANYCH w Rzeszowie - ZAŁĘŻU (aktualna w pierwszej połowie marca 82r.)

Cela 231
Piotr Duda
Jerzy Kuczera
Jan Maślanka

Cela 232
Zenon Sotwiński
Andrzej Wachałowski
Cela 205
Krzysztof Brymiarski
Jacek Dałuch
Cela 205
Konstanty Miodowicz
Jacek Świątek

Cela 206
Krzysztof Dawidowicz
Czesław Szewczuk

Cela 207
Michał Śliński
Paweł Witkowski
Edward Koch

Cela 208
Krzysztof Czerzidło
Lech Jeziorny
Kazimierz Łapkowicz

Cela 209
Mieczysław Najdzik
Jan Polkowski
Ryszard Kuś

Cela 210
Józef Dąbrowski
Aleksander Straszak
Roman Syrczak
Leszek Bętko

Cela 212
Zdzisław Kleszczyński
Adam Gruziński

Cela 213
Artur Wrocławski
Jerzy Budyn
Stanisław Górnal

Cela 214
Jan Kozita
Dariusz Rupiński
Ludwik Dzido
Wojciech Sukiennik

Cela 215
Krzysztof Gąsiorowski
Krzysztof Naruszewicz

Cela 216
Stanisław Paleszowski
Tomasz Kwaśniewski
Cela 233
Michał Cupak
Jerzy Mohl
Zdzisław Junkowski

Cela 234
Krzysztof Maciejowski
Waldemar Nałuloo
Wiesław Głowacki

Cela 235
Roman Bratowicz
Jan Wranczyk
Bernard Majdzik

Cela 236
Piotr Gajdzański
Jarosław Łodowski
Zbigniew Hobrzyk
Cela 237
Bogusław Sonik
Zbigniew Smigielski

Cela 238
Bogdan Lilak
Krzysztof Krzysztofiak
Zbigniew Solak
Jerzy Piekarski

Cela 239
Zygmunt Konyk
Ryszard Lelont
Janusz Sienkol

Cela 240
Zbigniew Szara
Wiesław Kiełb

Cela 241
Wiesław Nazarkiewicz
Władysław Murzowski
Stanisław Tatara

Cela 242
Tadeusz Górczyk
Wojciech Madelski
Kazimierz Orlik
Józef Sława
Przeniesiono na 141 p.
Jacek Rakowiecki
Aleksander Nolicki
Piotr Marzec

ZAŁĘŻE III/82

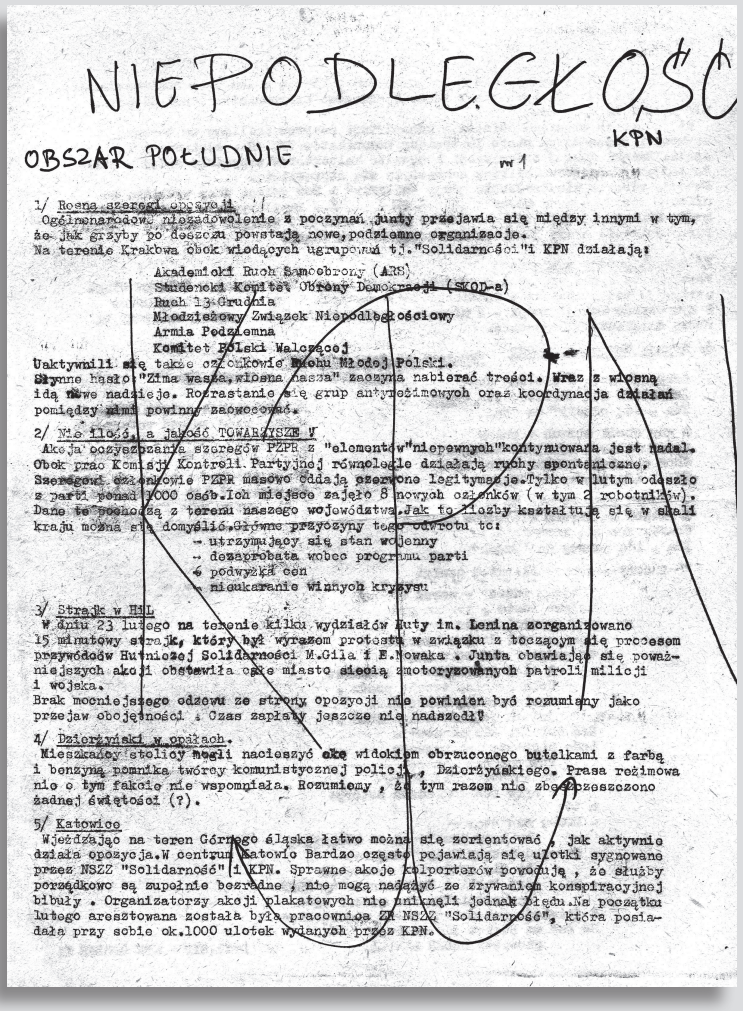
Wypadki w Obozie Internowanych w Załężu.

We wtorek 19.I.82r. o godz.15 w więzieniu w Załężu k/Rzeszowa miały miejsce następujące wypadki: Do cel 232 wkroczyło 10 funkcjonariuszy więziennych. Rzucili się na S.Tatarę i K.Miodowicza. Miodowicza przeniesiono do pojedynczej cel. Natomiast poturbowanego Tatarę zakneblowano i wyniesiono z oddziału 11 /używając gazu łzawiącego/, gdzie przebywają internowani z Krakowa. W trakcie używania przemocy pozostali internowani zaczęli walić w drzwi, domagając się zaprzestania używania siły. W tym momencie wprowadzono na oddział 19 osób, które były na spacerze. Osoby te odmówiły wejścia do cel, domagając się przyprowadzenia z powrotem Tatary. Po chwili zjawił się cywil w skórzanej marynarce i zażądał natychmiastowego wejścia do cel. Zebrani na korytarzu odmówili. Nastąpiła długa przerwa, w trakcie której za kratami korytarza zaczęły się gromadzić wyposażone w pałki i hełmy grupy funkcjonariuszy więziennych, którzy rzucili się na osoby znajdujące się na korytarzu. Siłą wyniesiono je do cel w piwnicy. Stąd wyciągnięto i zaniesiono do piwnicy niewidomego i przetrzymywanego mimo to Zygmunta Konyka. Pozostałe cele zaczęły się barykadować. Funkcjonariusze służby więziennej sprowadzili hydrant, wyposażeni w łomy zaczęli wyrwać drzwi. Wpadli do cel 237 okładając pałkami znajdujące się tam osoby: J.Polkowskiego, R.Majdzika, K.Wrzosowskiego i Kusia. Bitych, przemocą sprowadzono do piwnic, zrzucając ze schodów Kusia. Ponadto wywleczono jeszcze kilka osób i wrzucono do piwnic. W sumie umieszczono w piwnicach 30 osób. Do nieogrzewanych i wilgotnych piwnic wrzucono koce i materace. W pomieszczeniach większość internowanych odmówiła przyjmowania posiłku ogłaszając głodówkę. Dowódcy przyłączyli się do oficerowie zażądali, aby wszyscy głodujący oddali zawartość paczek ofiarowanych przez parafię Rzeszów oraz papierosy. Głodujący odmówili. Znów zaczęto grozić użyciem siły. Następnie zastosowano dodatkową szykanę wobec głodujących - nie wydano im gotowanej wody twierdząc, że jest tylko dla tych, którzy nie głodują. Następnego dnia, w środę, wszyscy wrócili do swych cel. Głodującym wydano gotowaną wodę. Wobec spotkania głodówkę przerwano.

Załęże 25.I.82r.

„Zomorzadność” nr 3 z 20 marca 1982 r. Na pierwszej stronie – informacje z obozu internowanych w Załężu koło Rzeszowa. Pierwsze numery pisma nosiły nazwę „Biuletyn Koła Oporu Społecznego 241”. Pismo ukazywało się do czerwca roku 1989. Wydano 174 numery. Wydawała je grupa osób o zmieniającym się składzie, do której nieprzerwanie należał Maciej Kuś: Ponieważ mieszkanie Tukałłów było małe i przez to niebezpieczne (w każdej chwili mógł ktoś przypadkowo do nich przyjść i od razu zorientowałby się, co my robimy), więc postanowiliśmy się przenieść do mieszkania Andrzeja Załuskiego, który mieszkał z matką w bloku w Prokocimiu, przy ul. Teligi. Też mieli dwa pokoje, ale stosunkowo rzadko ktoś ich odwiedzał. Tam drukowaliśmy przez cały marzec i połowę kwietnia 1982 r. Poza „Zomorządnością” drukowaliśmy także „Aktualności” (które przepisywaliśmy na matryce i robiliśmy niezależny dodruk) oraz pierwsze numery „Niepodległości” Obszaru II KPN. Z archiwum FCDCN

Odpowiedziałam, że nie wiem. Spojrzał spod oka: „To ja pani powiem – usłyszałam – to farba drukarska". Sweter został przyjęty do czyszczenia, ale wiedziałam, że zostałam zdekonspirowana. Teraz może wydawać się śmieszne, że przed odbiorem ze trzy dni sprawdzałyśmy z mamą okolice pralni, czy nie stoją tam esbecy. Prawdziwe zaskoczenie spotkało mnie jednak dopiero wtedy, gdy odważyłam się wejść do środka. Na pytanie o koszty czyszczenia, nieznajomy pan uśmiechnął się i odpowiedział: „Usługa gratis" i nie wziął żadnych pieniędzy.



NIEPODLEGŁOŚĆ

KPN

OBSZAR POŁUDNIE

w 1

1/ Rosna szeregi opozycji

Ogólnonarodowe niezadowolenie z poczynań junty przejawia się między innymi w tym, że jak grzyby po deszczu powstają nowe,podziemne organizacje.
Na terenie Krakowa obok wiodących ugrupowań tj."Solidarności"i KPN działają:

Akademicki Ruch Samoobrony (ARS)
Studencki Komitet Obrony Demokracji (SKOD-a)
Ruch 13.Grudnia
Młodzieżowy Związek Niepodległościowy
Armia Podziemna
Komitet Polski Walczącej

Uaktywnili się także członkowie Ruchu Młodej Polski.
Słynne hasło "Zima wasza,wiosna nasza" zaczyna nabierać treści. Wraz z wiosną idą nowe nadzieje. Rozrastanie się grup antyreżimowych oraz koordynacja działań pomiędzy nimi powinny zaowocować.

2/ Mało ilość,a jakość TOWARZYSZY

Akcja oczyszczania szeregów PZPR z "elementów"niepewnych"kontynuowana jest nadal. Obok prac Komisji Kontroli Partyjnej równolegle działają ruchy spontaniczne. Szeregowi członkowie PZPR masowo oddają legitymacje.Tylko w lutym odeszło z partii ponad 1000 osób.Ich miejsce zajęło 8 nowych członków (w tym 2 robotników). Dane te pochodzą z terenu naszego województwa.Jak to liczby kształtują się w skali kraju można się domyślić.Główne przyczyny tego odwrotu to:

- utrzymujący się stan wojenny
- dezaprobata wobec programu partii
- podwyżki cen
- niekaranie winnych kryzysu

3/ Strajk w H+L

W dniu 23 lutego na terenie kilku wydziałów Huty im. Lenina zorganizowano 15 minutowy strajk, który był wyrazem protestu w związku z toczącym się procesem przywódców Huty Solidarności M.Gila i E.Nowaka . Junta obawiając się poważniejszych akcji obstawiła całe miasto siecią zmotoryzowanych patroli milicji i wojska.
Brak mocniejszego odzewu ze strony opozycji nie powinien być rozumiany jako przejaw obojętności . Czas zapłaty jeszcze nie nadszedł!

4/ Dziedziński w opałach.

Mieszkańcy stolicy mogli naocznie zobaczyć skutki widokiem obrzuconego butelkami z farbą i benzyną pomnika twórcy komunistycznej policji , Dzierżyńskiego. Prasa reżimowa nic o tym fakcie nie wspomniała. Rozumiemy , że tym razem nic zbezczeszczono żadnej świętości (?).

5/ Katowice

Wjeżdżając na teren Górnego Śląska łatwo można się zorientować , jak aktywnie działa opozycja.W centrum Katowic Bardzo często pojawiają się ulotki sygnowane przez NSZZ "Solidarność" i KPN. Sprawne akcje kolporterów powodują , że służby porządkowe są zupełnie bezradne , nie mogą nadążyć ze zrywaniem konspiracyjnej bibuły . Organizatorzy akcji plakatowych nie uniknęli jednak błędu.Na początku lutego aresztowana została była pracownica ZR NSZZ "Solidarność", która posiadała przy sobie ok.1000 ulotek wydanych przez KPN.

„Niepodległość" pismo informacyjne Obszaru II KPN. Numer 1 z marca 1982 r. Winieta jest jeszcze pisana ręcznie. Od drugiego numeru wykorzystywano w tym celu specjalną pieczątkę, którą zrobił Jerzy Żebrowski. Pismo ukazywało się do maja 1988 roku. Wydano 62 numery, Marek Bik: *Drukować nauczył mnie Witek Tukałło. On też załatwił ramkę walizkową. To był bardzo solidny wyrób polskiego podziemnego rzemiosła. W trójkę (Toś, Tukałło i ja) w marcu 1982 r. zaczęliśmy wydawać „Niepodległość". Był to tygodnik. Miał jedną kartkę. Drukował ten z nas, kto mógł. Najpierw drukowaliśmy u Witka Tukałły w domu. Potem u naszej koleżanki ze szkoły – Marysi Ksienickiej, w jej mieszkaniu przy ul. Spokojnej.* Z archiwum FCDCN

Witold Tukałło: *Malutkie mieszkanko stwarzało nieraz groźne, a czasami śmieszne sytuacje. Kiedyś podczas drukowania do drzwi zapukali esbecy. Musiałem szybko poprosić mamę, żeby udostępniła swój pokój, bo przecież do „drukarni" nie mogłem ich wpuścić. „Rozmowa", podczas której usiłowali mnie odwieść od „działań przeciw państwu i ustrojowi", trwała ponad godzinę i nieco mnie zdenerwowała. Zakończyłem ją już w przedpokoju słowami Piłsudskiego – ‚...na gównie się zamków nie buduje". Mama, słysząc to stwierdzenie, oburzyła się bardzo, że tak niegrzecznie traktuję kolegów. Nie wiedziała przecież, kim są moi „goście". Jej oburzenie stopniało, gdy dowiedziała się, że to „koledzy" ze Służby Bezpieczeństwa.*

Sytuacja, mimo humorystycznego zabarwienia, była bardzo niebezpieczna. Przychodziło do mnie coraz więcej ludzi, mieliśmy tylko dwa pokoje, do córki Aldony również przychodziły koleżanki, więc drukowanie w takich warunkach stawało się niebezpieczne.

Kolejna drukarnia była w mieszkaniu Andrzeja Załuskiego. To, że w jego mieszkaniu mogła działać podziemna drukarnia, wynikało z postawy jego mamy – żołnierza Armii Krajowej. Andrzej Załuski: *Moja rodzina pochodzi ze Lwowa. Moja mama (Krystyna, z domu Wet-Manasterska, zmarła w 1997) zarówno pod okupacją sowiecką, jak i niemiecką była kurierką AK na trasie Lwów – Zadwórna. Przeprowadzała ludzi i przenosiła przesyłki. Potem mama miała cały czas kontakt ze środowiskiem akowskim.*

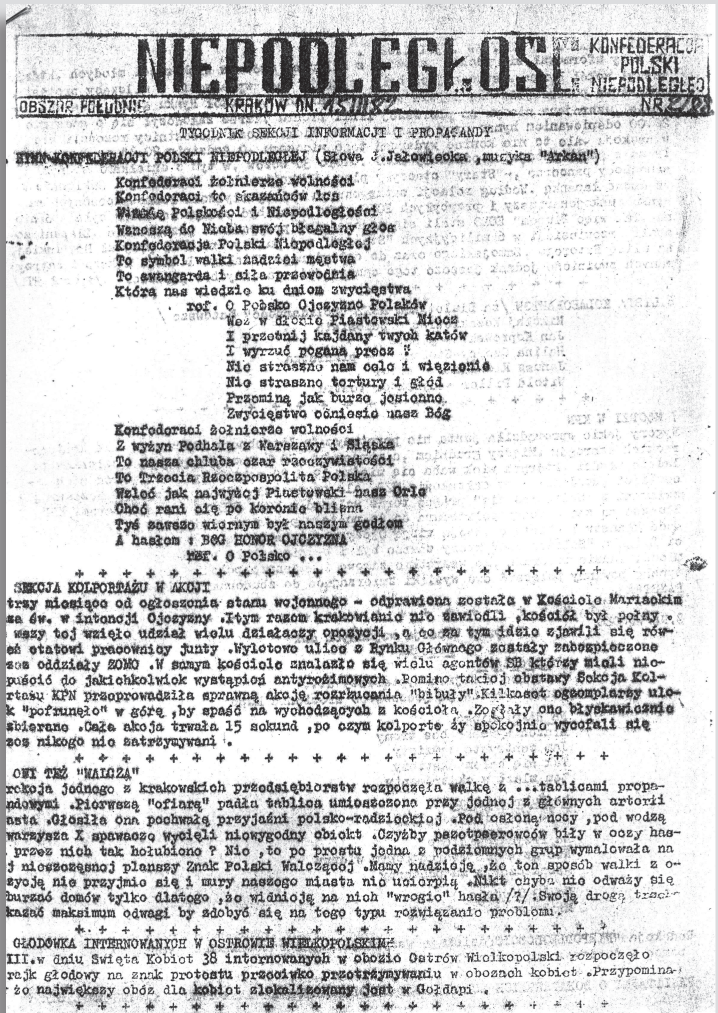
Maciej Kuś: *Andrzej Załuski mieszkał z matką w bloku w Prokocimiu przy ul. Teligi. Też mieli dwa pokoje, ale stosunkowo rzadko ktoś ich odwiedzał. Tam drukowaliśmy przez cały marzec i połowę kwietnia 1982. Poza „Zomorządnością" drukowaliśmy także „Aktualności" (które przepisywaliśmy na matryce i robiliśmy niezależny dodruk tego pisma) oraz pierwsze numery „Niepodległości" Obszaru II KPN. „Niepodległość" nie miała drukowanego tytułu, tylko używaliśmy takiego stempelka, który załatwił Witek Tukałło. Parę matryc miałem w domu sprzed stanu wojennego, kolejne załatwili Andrzej Załuski i Piotrek Poniedziałek. Teksty oficjalnych komunikatów KPN przynosił Witek, inne teksty (tak, aby zapełnić dwie strony pisma) redagowaliśmy wspólnie. Dosłownie kilka dni przed aresztowaniem Andrzeja, wyprowadziliśmy drukarnię w inne miejsce*

Wkrótce druk „Niepodległości" przejęli Marek Bik i Stanisław Papież, a Kuś z kolegami skupił się na wydawaniu i drukowaniu „Zomorządności". Młodzi ludzie dobrze przestrzegali zasad konspiracji, skoro Marek Bik wspomina: *Nie wiedziałem, kto drukuje „Zomorządność", choć z Maćkiem Kusiem widywałem się często.*

***

W 1982 r. z poligrafią KPN związani byli także inni konfederaci: Bogdan Długogórski i Edward Postawa oraz Ryszard Bocian i Sławomir Onyszko. Pierwsi dwaj zajmowali się drukowaniem dla KPN już przed 13 grudnia. Dwaj pozostali drukowali od 1982 r. – początkowo odpowiednio pisma „Solidarności" i NZS, a w drugiej połowie roku także materiały KPN.

Bocian: *Do świąt Bożego Narodzenia nie mieszkałem w domu. W związku z akcją protestacyjną w Akademii Medycznej obawiałem się aresztowania. Ten czas wykorzystałem do nawiązania kontaktów i znalezienia lokali konspiracyjnych. Przed świętami miałem już dwie drukarnie, a właściwie powielarnie – u p. Kydryńskiej przy ulicy Jabłonowskich i u Michała Żaka przy ulicy Wrzesińskiej. Do produkcji wydawnictw podziemnych przystąpiliśmy zaraz na początku 1982 roku. U pani Kydryńskiej drukowaliśmy „Biuletyn Małopolski", organ RKW. Natomiast u Michała Żaka zaczęliśmy od powielania ulotek. Drukarzem był Sławek Onyszko, jeden z filarów krakowskiej KPN w tym najtrudniejszym okresie. Sam także okazjonalnie uczestniczyłem w tym procederze.*



NIEPODLEGŁOŚĆ KONFEDERACJI POLSKI NIEPODLEGŁEJ

OBSZAR POŁUDNIE KRAKÓW DN. 15 III 82 NR 2/82

TYGODNIK SEKCJI INFORMACJI I PROPAGANDY

HYMN KONFEDERACJI POLSKI NIEPODLEGŁEJ (Słowa J. Jałowiecka, muzyka "Arkan")

Konfederaci żołnierze wolności
Konfederaci to skazańców los
Wiarę Polskości i Niepodległości
Wnoszą do Nieba swój błagalny głos
Konfederacja Polski Niepodległej
To symbol walki nadziei męstwa
To awangarda i siła przewodnia
Która nas wiedzie ku dniom zwycięstwa
ref. O Polsko Ojczyzno Polaków
Weź w dłonie Piastowski Miecz
I przetnij kajdany twych katów
I wyrzuć pogana precz !
Nie straszne nam cele i więzienie
Nie straszne tortury i głód
Przeminą jak burze jesienne
Zwycięstwo odniesie nasz Bóg
Konfederaci żołnierze wolności
Z wyżyn Podhala z Warszawy i Śląska
To nasza chluba czar rzeczywistości
To Trzecia Rzeczpospolita Polska
Wzleć jak najwyżej Piastowski nasz Orle
Choć rani cię po koronie blizna
Tyś zawsze wiernym był naszym godłem
A hasłem : BÓG HONOR OJCZYZNA
ref. O Polsko ...

+ +

SEKCJA KOLPORTAŻU W AKCJI

trzy miesiące od ogłoszenia stanu wojennego – odprawiona została w Kościele Mariackim za św. w intencji Ojczyzny. I tym razem krakowianie nie zawiedli, kościół był pełny. wszy tej wzięło udział wielu działaczy opozycji, a co za tym idzie zjawili się rów eż etatowi pracownicy junty. Wylotowe ulice z Rynku Głównego zostały zabezpieczone ez oddziały ZOMO. W samym kościele znalazło się wielu agentów SB którzy mieli nie puścić do jakichkolwiek wystąpień antyreżimowych. Pomimo takiej obstawy Sekcja Kol rtażu KPN przeprowadziła sprawną akcję rozrzucania "bibuły". Kilkaset egzemplarzy ulo k "pofrunęło" w górę, by spaść na wychodzących z kościoła. Zegłały one błyskawicznie zbierane. Cała akcja trwała 15 sekund, po czym kolporterzy spokojnie wycofali się zez nikogo nie zatrzymywani.

+ +

ONI TEŻ "WALCZĄ"

rekcja jednego z krakowskich przedsiębiorstw rozpoczęła walkę z ...tablicami propa ndowymi. Pierwszą "ofiarą" padła tablica umieszczona przy jednej z głównych arterii asta. Głosiła ona pochwałę przyjaźni polsko-radzieckiej. Pod osłoną nocy, pod wodzą warzysza X spawacze wycięli niewygodny obiekt. Czyżby pezetpeerowców biły w oczy has przez nich tak hołubione ? Nie, to po prostu jedna z podziemnych grup wymalowała na j nieszczęsnej planszy Znak Polski Walczącej. Mamy nadzieję, że ten sposób walki z o zycją nie przyjmie się i mury naszego miasta nie ucierpią. Nikt chyba nie odważy się burzać domów tylko dlatego, że widnieją na nich "wrogie" hasła /?/. Swoją drogą trzeba kazać maksimum odwagi by zdobyć się na tego typu rozwiązanie problemu.

+ +

GŁODÓWKA INTERNOWANYCH W OSTROWIE WIELKOPOLSKIM

III. w dniu Święta Kobiet 38 internowanych w obozie Ostrów Wielkopolski rozpoczęło rajk głodowy na znak protestu przeciwko przetrzymywaniu w obozach kobiet. Przypomina że największy obóz dla kobiet zlokalizowany jest w Gołdapi.

+ +

Drugi numer „Niepodległości" z 15 marca 1982 r. Winieta odbita była już charakterystyczna pieczątką z nazwą pisma, nazwą partii, miejscem wydania i dopisaną ręcznie datą oraz numerem. W podtytule dopisano „Tygodnik Sekcji Informacji i Propagandy". Numer otwierał Hymn Konfederacji Polski Niepodległej („Konfederaci żołnierze wolności..."). Z archiwum FCDCN

Gdy Sławomir Onyszko rozpoczynał druk pierwszego pisma (marzec-kwiecień 1982r.), nie był jeszcze członkiem KPN i nie miał kontaktu z Bocianem. Onyszko: *Po wprowadzeniu stanu wojennego wraz z moim kolegą z liceum – Darkiem Warpasem ps. „Łysy" – wydawaliśmy pismo podziemne „Krzyk", jako Studencka Grupa Oporu. Na początku w ogóle nie umieliśmy drukować. Widziałem na filmie „Człowiek z żelaza" jak się to robi, trochę rozmawiałem też z kolegami, którzy drukowali „Póki my żyjemy". Metodą prób i błędów doszliśmy do tego, jak się drukuje. Matryce mieliśmy od ludzi, którzy drukowali „Póki my żyjemy", ramkę zrobił nam znajomy stolarz, farbę przyniósł znajomy z drukarni. Do drukowania używaliśmy wałka fotograficznego i kawałka tkaniny, którą oderwaliśmy z prześcieradła. Matryce pisała znajoma studentka polonistyki, która przepisywała pra-*

ce magisterskie na maszynie. Przy okazji redagowała teksty, których autorami byli ludzie z AGH, nie mający doświadczenia w operowaniu słowem. Mieli nawet potem do mnie pretensje, że zmieniłem ich teksty. Nie mówiłem im, że to robiła ta studentka, tylko brałem całą „winę" na siebie. Mieliśmy lokal przy ul. Brożka i tam drukowaliśmy. Był w mieszkaniu, które wynajęli rodzice naszego kolegi z Myślenic. Jego w Krakowie nie interesowała polityka, tylko życie towarzyskie i uczuciowe, ale był na tyle porządny, że jeden pokój w wynajętym mieszkaniu przeznaczył na drukarnię podziemną. Incydentalnie pomagali nam w drukowaniu inni studenci.

Oprócz nas istniało jeszcze kilka podobnych grup studenckich: Akademicki Ruch Samoobrony (ARS) z udziałem Darka Rupińskiego wydawał „Póki my żyjemy", Marek Domagała wydawał „Kurier Studencki", a Adam Kalita – „Gazetkę Krakowską". Żadna z tych grup nie używała początkowo nazwy NZS.

Kontakt z Ryśkiem Bocianem nawiązałem przez mojego kolegę z Lubartowa (skąd sam pochodzę) – Marka Lubińskiego. Bocian wciągnął mnie do KPN. Przysięgę składałem – jeżeli dobrze pamiętam – 3 maja 1982.

Marek Lubiński: *Ryśka Bociana poznałem na którymś z zebrań Zarządu Regionu „Solidarności". Bywałem tam jako członek Konwentu NZS UJ. Potem spotykaliśmy się często na uniwersytecie, bo Rysiek pracował w Collegium Medicum, a ja studiowałem w Collegium Maius, obok.*

Kolejna drukarnia KPN mieściła się w domu Edwarda Postawy. Bocian (*Stan wojenny w Małopolsce. Relacje i dokumenty*): *W jego domu w Pychowicach przy ul. Skalica mieściła się długi czas powielarnia II Obszaru KPN. Począwszy od wiosny 1982 aż do aresztowania w 1985 robił on ogromną część naszych wydawnictw. Po wyjściu z więzienia wznowił aktywność drukarską dla KPN, najpierw w innych naszych lokalach, a pod koniec lat 80. bezczelnie we własnym domu.*

Edward Postawa: *Gdy nastał stan wojenny, zamknęli wszystkich znanych, namierzonych ludzi KPN-u, siedział też Palczewski. W styczniu 1982 żona Staszka zapytała mnie, czy bym czegoś nie podrukował. Zgodziłem się, a ona odparła, że przyśle do mnie jednego działacza. Tym człowiekiem był Ryszard Bocian.*

Po nawiązaniu kontaktu i wszelkich związanych z tym przedsięwzięciem uzgodnieniach, Rysiek przyniósł mi ramkę, udzielił instruktażu i zacząłem drukować „Niepodległość". Zacząłem od nakładu 500 egzemplarzy, a po jakimś czasie doszedłem do tysiąca. Pamiętam, że pierwszy numer był nie najlepszej jakości, lecz następny dało się już czytać. Pracowałem sam, bez pomocnika, we własnym mieszkaniu przez całe pięć lat. Dlatego nie wpadałem. Później doszedłem do takiej wprawy, że w trzy godziny drukowałem obie strony całego nakładu. „Niepodległość" była pismem II Obszaru KPN i wychodziła jako miesięcznik. Po to, żeby ukazywała się w miarę regularnie, musiałem na czas otrzymać gotowe matryce. Oczywiście, odbywało się to wszystko w warunkach konspiracji, tzn. dostarczał je Rysiek. Owszem, zdarzało się, że miewałem kontakt z kimś innym, ale bardzo sporadycznie i można powiedzieć, że Ryszard był dla mnie najważniejszym łącznikiem. Przynosił matryce, odbierał gotowe materiały, załatwiał też papier. Dzisiaj myślę, że nie działałbym tak długo, gdyby wiedziało o mnie więcej ludzi. O tych niewielu, z którymi miałem wtedy do czynienia, nie mogę za dużo teraz powiedzieć, bo w tamtym czasie wyrobiłem w sobie nawyk niezapamiętywania pseudonimów i imion, jeżeli mi się ktoś imieniem przedstawiał. Nawyk ten zresztą pozostał mi do dzisiaj. Od tamtego czasu w ogóle nie mam pamięci do nazwisk.

O mojej robocie drukarskiej wiedzieli bliscy – rodzina, niektórzy dobrzy znajomi i sąsiedzi zza ogrodzenia, ale byłem pewien, że z tej strony nic mi nie grozi. Jak się po długim

czasie dowiedziałem, miejsce drukowania „Niepodległości" do końca, do wpadki, pozostało nieznane dla bezpieki. Zdarzało się też tak, że do domu przychodzili jacyś znajomi, a ja zamknięty w pokoju odrabiałem te swoje „godziny nadliczbowe", siedziałem cicho, nie kaszlałem i czekałem aż sobie pójdą.

Później, gdy miałem powielacz, Rysiek tak się „rozzuchwalił", że drukowałem już nie tylko „Niepodległość", ale na samym początku wydawany przez prof. Kutybę „Biuletyn Solidarności Akademii Medycznej", a potem najróżniejsze pisma. Pamiętam, że nawet i „Kolejarza", a także jednorazowo gazetę zakładową z Telpodu. Dzisiaj po wielu latach mogę powiedzieć, że Rysiek dokładał wielu starań, aby mi się nie nudziło. Bo przyznam szczerze: drukowanie sprawiało mi radość! Wiedziałem, że im więcej ludzie przeczytają, tym z komuną będzie gorzej.

Janusz Kutyba: *Zaczęliśmy wydawać własny „Biuletyn Informacyjny NSZZ Solidarność AM i PSK". Przez dłuższy czas pismo drukowane było dzięki Ryszardowi Bocianowi i poligrafii Konfederacji Polski Niepodległej. Początkowo sam Bocian odbierał teksty, papier, czasem nawet z matrycami, a później przynosił nakład. W „Biuletynie" ujawnialiśmy różne wewnętrzne rozporządzenia komisarza wojskowego, a także wszystkie ataki na rektora prof. Ryszarda Gryglewskiego. Zwykle nakład wynosił 500 egzemplarzy – ryzę papieru.*

Edward Postawa: *Miałem przez cały czas kontakty z ludźmi opozycji, ale poza małżeństwem Palczewskich i Ryśkiem nikt z tego kręgu nie miał pojęcia o tym, że u mnie drukowane jest nasze pismo, ani tym bardziej o tym, że ja potrafię cokolwiek wydrukować. Dopiero po jakimś czasie wtajemniczony został Maciek Gawlikowski. On razem z grupą młodych wydawał jakieś studenckie pismo i pamiętam, że spotykaliśmy się w załatwianych specjalnie na potrzeby drukowania mieszkaniach.*

Oczywiście, żyłem ze świadomością ponoszonego ryzyka. Tak naprawdę to z wpadką liczyłem się już od wydrukowania pierwszego nakładu. Czytałem w gazetach, dowiadywałem się, chociażby i od Ryszarda, o tym, że znowu kogoś zamknęli, jakiejś kolejnej grupie dali wyroki itp. Właściwie od samego początku zakładałem taką możliwość, dlatego też starałem się na co dzień nie żyć w przesadnym strachu. Przestrzegałem, a jakże, podstawowych zasad konspiracji i nie afiszowałem się tym dodatkowym zajęciem. Do tego jeszcze położenie mojego domu (ubocze, peryferia miasta) ułatwiało utrzymywanie kontaktów. Rysiek nie miał tutaj kłopotów ze zgubieniem „ogona". W końcu na takim odludziu nietrudno zorientować się, czy za tobą nie węszą...



Rozdział 2.
WIOSNA

W internatach dla kobiet w Kielcach i w Gołdapi 175
W Załężu (I).....180
Pierwsze miesięcznice w Krakowie.....215
Pierwsze wpadki.....229
„Zima wasza, wiosna nasza!”.....266
Wpadka drukarni przy ul. Findera 310

W internatach dla kobiet w Kielcach i w Gołdapi

Romana Kahl-Stachniewicz: *30 grudnia 1982 wywieziono mnie wraz z innymi kobietami do kieleckiego więzienia na Piaskach. Oczywiście, nie powiedziano nam, gdzie nas zabierają. 11 bezbronnych kobiet jechało w suce w eskorcie samochodów milicyjnych na syrenach. Sceneria jak w filmie kryminalnym.*

W Kielcach internowano 21 kobiet, z czego 11 – z Krakowa, 1 – z Zakopanego. Pozostałe pochodziły z regionu Świętokrzyskiego.

Romana Kahl-Stachniewicz: *Więzienie w Kielcach było o wiele lepsze niż areszt na Mogilskiej. Ściany celi były żółte, łóżka piętrowe jak na kolonii, było jasno, jedzenie było nawet dość jadalne. Obiad składał się co prawda z często przesolonej zupy (chyba kucharz był zakochany) i drugiego dania, którym na ogół była kasza „z podgardlem Urbana", ale chleb był wręcz wspaniały – podobno wypiekał go odsiadujący wyrok piekarz. Zaczęły też do nas docierać paczki z Kościoła oraz od rodzin. Były już możliwe odwiedziny.*

W Kielcach nabrałyśmy bojowego ducha. O wszystko wykłócałyśmy się ze służbą więzienną. Namiętnie śpiewałyśmy piosenki, których słowa wymyślałyśmy do znanych melodii. Myśmy zdzierały wręcz gardła, żeby nasz głos był słyszany poza więzieniem, a strażnik wpadał do celi z okrzykiem „Motyka!". Nie pomagało tłumaczenie, że to my, a nie Magda Motyka, która w śpiewach nie brała udziału. Ona siedziała spokojnie w kątku i haftowała nasze bluzy więzienne. Wiedzieli, że była załamana psychicznie i w ten sposób znęcali się nad nią. Mnie Magda wyhaftowała na plecach bluzy „Internowana", a z przodu „KPN". Miałyśmy też dyżurną „kostkę" ponieważ trzeba było wystawiać wieczorem na taborecie ubrania dzienne, które odbierało się dopiero rano. Myśmy zrobiły sobie tak zwaną dyżurną „kostkę" z rzeczy, których nie nosiłyśmy. Tak więc „kostka" była zawsze gotowa do wystawienia.

Wypuszczano nas też od czasu do czasu na spacernik oraz chodziłyśmy, chyba raz w tygodniu do kąpieli. W celi miałyśmy tak zwany kącik sanitarny z umywalką oraz z muszlą klozetową. Możliwy był już kontakt z lekarzem.

W czasie mojego pobytu w kieleckim więzieniu byłam raz poddana przesłuchaniu, prawdopodobnie chodziło o wybadanie, czy zmiękłam. Wprowadzono mnie do celi, w której na pryczach pozostawione były rysunki dzieci z napisami w stylu „Tato/mamo czekamy na Ciebie, tęsknimy". Miało mi to widocznie przypomnieć, że jestem „wyrodną matką". Oficer śledczy chciał, abym podpisała lojalkę. Poinformował mnie, że mają nasze archiwum, które było w beczce. Pomyślałam, że bredzi. Nie wiedziałam, że moja koleżanka trzymała nasze archiwum na działce właśnie w beczce, więc pomyślałam, że chodzi mu o Beczkę w kościele u Dominikanów.

Poinformowałam go, że niczego nie będę podpisywać. Jedyne, co mogę napisać, to oświadczenie, że jeśli znajdę się na tak zwanej wolności, to będę przestrzegała obowiązującego prawa i zajmę się opieką nad rodzinami prześladowanych, internowanych czy uwięzionych. Napisałam takie oświadczenie. Oficer śledczy poinformował mnie, że to nie zadowoli jego mocodawców, na co stwierdziłam, że nie miałam zamiaru nikogo zadowalać oprócz siebie samej i że dla mnie najważniejsze jest, by móc patrzeć na siebie w lustrze bez obrzydzenia.

Uzupełnieniem tych wspomnień Romany Kahl-Stachniewicz jest list Bożeny Huget do brata, Radosława Hugeta (oboje zostali internowani w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r.) z 4 stycznia 1982 r.:

Kochany!

[...] *Siedzę na Oddziale V. Warunki są zupełnie znośne, tyle że WC mamy w celi za taką ok. metrową „zasłonką". Jest tu także umywalka z ciepłą i zimną wodą. Mamy celę 6-osobową, z czego 4 osoby to te, z którymi siedziałam „pod celą" już w Krakowie. A pozostałe, to Anka Szwed i Mila* [Emilia Afenda-Dadał]. *W sumie jest zupełnie znośnie, tylko jest jedna taka baba, która wszystkim psuje krew: jest ciągle niezadowolona, najmądrzejsza ze wszystkich, stale nas strofuje i ma za złe, mimo że ma dopiero niewiele po czterdziestce. Poza tym jakoś się trzymamy. Ja właściwie już w jakimś sensie się przyzwyczaiłam. Najgorsze są te tylko półgodzinne spacery. Najprzyjemniej jest, kiedy gasną światła – wtedy śpiewamy różne fajne piosenki i wygłupiamy się.*

Na razie nikt mnie nie przesłuchiwał, ale Anka była dziś wzywana do jakiegoś gościa, więc prawdopodobnie będziemy mieć to szczęście jutro. Siedzi tu ok. 900 osób (internowanych). Dziś przywieźli jakichś kolejnych ludzi.

Więzienie jest ogromne, robi wrażenie koszmarne. Po przyjechaniu kibitką (koszmar) dowiedziałyśmy się (było nas 11), że to Kielce. Ogromne gmaszysko, szczekanie psów, wszyscy z bronią. Włos nam się zjeżył na głowie! Następne atrakcje czekały nas w jakiejś takiej salce, koło magazynu (...). Obok było takie pomieszczonko z kratą, za którym miotało się dwóch chłopaków w wytłuszczonych „pidżamach" z takimi czapeczkami na głowach. Koszmar! Myślałyśmy, że nas w to także ubiorą, ale – Bogu dzięki – dali nam wszystkie nasze rzeczy z wyjątkiem forsy (na „wypiski") i rzeczy cennych (co także było wg uznania). Nikt nam już rzeczy nie kontrolował! Wypełnili 100 tysięcy arkuszy dla każdej z nas, dali koce, miski, kubki, pościel, ręczniki i polazłyśmy z betonu do cel. My mamy celę 6-osobową, reszta jest w 14-osobowej z dziewczynami z Kielc. Podobno koszmar, bo wszystkie naraz jazgoczą. Już u nas czasem trudno zdzierżyć, ale przy takiej ilości luda, to już lekki obłęd.

Wpadłyśmy w otępienie na rzeczywistość (…). Czytam jakieś niezbyt genialne książki i sporo uczę się francuskiego (...).

Radosław!

Czy już jakoś się z tym wszystkim oswoiłeś? Mam nadzieję, że siedzisz z jakimiś możliwymi ludźmi. Jeśli tak, to pozdrów ich wszystkich bardzo serdecznie.

Jeżeli Ci bardzo źle, to zastanów się, jakie ludzie mieli wyroki i w jakich warunkach je odbywali i wszystko to przetrzymywali. Więc należy mieć nadzieję, że i my wyjdziemy w dobrym stanie psychicznym.

Wiesz, [Edward] *Stachura mówił, że co człowieka nie złamie, to go wzmocni. To chyba wielka prawda.*

Mamy tu radiolę tak, że słuchamy wiadomości. Co prawda wczoraj DTV wyłączył się, jak zaczęli podawać informację o 600-leciu obrazu Matki Boskiej Jasnogórskiej, „ze względu na zakłócenia". Jak więc widzisz, cenzurują nawet dziennik!

Ogromnej radości dostarczają nam także gazety. Z nich dowiedzieliśmy się, jakie jest prawdziwe oblicze m.in. NZS-u, o ekstremistach z b. NSZZ „Solidarność" i różnych innych rewelacji.

Jedzenie jest tu koszmarne. Na śniadanie popłuczyny kawowe (bez mleka), chleb (gruby na 5 cm!) i margaryna. Na obiad zupy w większości wypadków niejadalne, na drugie jakieś okropne kasze, ryże, makarony. To wszystko przypomina bryję. Do tego jakieś straszne mięso. Na kolację zupy mleczne.

Na drugie śniadanie dają tu kawę ze śmietaną. Na szczęście Anka S. ma takie zapasy (nam też jeszcze zostały jakieś odpady), więc możemy zrezygnować z tych ichnich specjałów. Bierzemy tylko wrzątek na herbatę i chleb. Poza tym skubiemy coś na obiad, bo to „ciepłe" (ledwo). Dziś nawet pytali nas, czy bierzemy cokolwiek na obiad! Jemy pyszne rzeczy: sery żółte, topione, białe, kiełbasy suche, wiejskie, szynkę, smalec domowej roboty, mamy jakieś zachodnie margaryny, masła, konserwy rybne, mięsne, masę różnych słodyczy, tony czekolady, była kawa, ale się właśnie skończyła. Nigdy takich luksusowych rzeczy nie jadłam. Właściwie prawie wszystko to dostaje Anka. Były tutaj już u niej dwie osoby na „widzenia". Wszyscy przynoszą masę żarcia, więc zapasy starczą na minimum dwa tygodnie. Dostaje jakieś swetry (ma ich chyba 6!), bieliznę, skarpety, rajtki (dała mi, b. ładne). Wszystko to pochodzi z tzw. zrzutów. Jest b. fajna i inteligentna (mimo że b. niemiło mówiła o K.). Polubiłam ją najbardziej z dziewczyn.

Dowiadywałam się u dziewczyn z drugiej sali (jak byłyśmy u lekarza), że przenieśli Was z Wiśnicza do Załęża. Podobno warunki są bez porównania lepsze. Cholernie się z tego cieszę, kochany.

Napisz do mnie koniecznie! Co słychać i jak Ci leci? Czy uczysz się czegoś? Anka cytuje, że ludzie dzielą się na samouków i nieuków!

Nie wiem, czy słyszeliście o sankcjach zastosowanych przez Reagana wobec przyjaciół i naszych drogich władz. Serce rośnie!

To byłoby na tyle, bo za chwilę gaszą światło, a chcemy się jeszcze ochlapać w umywalce. Napisz jak najszybciej do mnie i do Mamy. Mój adres: Kielce, Areszt Śledczy – obóz dla internowanych, ul. Dzierżyńskiego 155 (cela 508).

Czy dostałeś mój poprzedni list?

Pamiętaj, że chyba najsensowniejszą definicją inteligencji jest umiejętność i tempo przystosowania się do nowych warunków. B.

***

Kahl-Stachniewicz: *Z więzienia na Piaskach w Kielcach do Gołdapi wywieziono 18 kobiet, w tym 12 z regionu małopolskiego, a 6 z regionu świętokrzyskiego.*

Oczywiście, nie powiedziano nam, gdzie jedziemy. Ze dwa dni przed wyjazdem rozeszła się wieść, że będziemy gdzieś przewożone. Koleżanki wręczyły mi mapkę Polski i poprosiły, bym określiła wahadłem, w jakim kierunku pojedziemy. Wahadło wskazywało na północny wschód na miejsce tuż przy granicy.

Podróż była koszmarna, oczywiście, w więziennej suce. Raz zatrzymaliśmy się w lesie i kazano nam udać się w las. Niektóre z nas spanikowały, myśląc, że będą nas rozstrzeliwać. Okazało się, że w lesie był klozet. Drugi raz zatrzymaliśmy się w Łomży, gdzie dano nam coś do zjedzenia. Wieczorem zatrzymała nas Straż Graniczna w lesie, wyglądało na to, że jednak zostaniemy przewiezione do ZSRR. Po jakiejś chwili przepuszczono naszą sukę i podjechałyśmy do ośrodka internowania w Gołdapi. Granica z ZSRR przechodziła przez pobliskie jezioro i w każdej chwili można się było liczyć z „wyrównaniem granic".

Gołdap to był tak zwany ośrodek wzorcowy pokazywany lekarzom z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Czułyśmy się tam o wiele gorzej, mimo że nie było to więzienie, tylko ośrodek wczasowy radia i telewizji przystosowany na ośrodek internowania. Mieszkałyśmy w celach-pokojach (na ogół po 4 osoby) z przedpokojem i łazienką. Pozornie było więcej swobody, bo pokoje były pootwierane i można było się kontaktować z innymi kobietami. Na posiłki schodziło się do jadalni. Jednak nie wolno było otwierać okien ani wychodzić na balkon. Na spacery otwierano nam tylko wewnętrzny taras, gdzie można było pospacerować lub się pogimnastykować. Przy takiej liczbie osób trudno było odróżnić ubeczki. W sumie to nie wiadomo było, jak się czuć. Niby warunki wczasowe, a zamknięcie i dookoła żołnierze z karabinami. Co kawałek budka wartownicza. No i daleko do domu. Niektóre z kobiet swoją agresję dawniej skierowaną przeciwko służbie więziennej, kierowały na siebie lub swoje współtowarzyszki. Mające skłonność do wpadania w depresję, zamykały się coraz bardziej. Nie chciały kontaktować się z innymi, nie chciały schodzić na posiłki. Zdarzyło się, że którąś wywieziono w kaftanie bezpieczeństwa.

Trzeba przyznać, że kucharki dwoiły się i troiły, by za skromne diety, jakie na nas przypadały, ugotować coś smacznego. To były prawdziwe mistrzynie, które potrafiły zrobić coś z niczego. Wreszcie jadłyśmy przy stołach nakrytych obrusami i na talerzach, a nie w aluminiowych michach.

Ubecy i komenda ośrodka z początku jedli w tej samej sali, ale oczywiście oni otrzymywali co innego do jedzenia. Basia Różycka-Orszulak (siostra Marii Moczulskiej) przez kilka dni obchodziła ich stół dookoła, notowała, z czego składa się ich posiłek, i głośno to komentowała. Nie wytrzymali i przenieśli się do pomieszczenia przy kuchni.

Ponieważ brakowało żywności, to władze więzienne zwróciły się do Kurii Biskupiej w Olsztynie o pomoc. Po jakimś czasie z Warszawy przyszły transporty z żywnością oraz środkami czystości.

W Gołdapi otrzymywałyśmy paczki żywnościowe i ubraniowe ze środkami higienicznymi i lekarstwami tak, że w sumie niczego nam nie brakowało poza wolnością, kontaktem z bliskimi i informacją o tym, co tak naprawdę się z nimi dzieje. Pomoc napływała głównie z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, z Kurii Biskupiej oraz od rodzin. Któregoś dnia z paczkami przyjechała Maja Komorowska.

Co tydzień odbywały się niedzielne msze św., które odprawiał ksiądz Smędzik, proboszcz miejscowej parafii. Ksiądz Smędzik nie tylko niósł internowanym kobietom pomoc duchową. Oprócz tego przemycał grypsy i przywoził pomoc materialną w postaci paczek, a także zaopatrywał nas w modlitewniki, medaliki, różańce itp. Często sam dźwigał te paczki.

W Gołdapi prowadzone były różne wykłady, np. z historii, psychologii. Można było uczyć się języka obcego, ćwiczyć jogę itp. Ja np. prowadziłam wykłady z radiestezji oraz masażu stóp.

Wydawane były również gazetki, w których między innymi zamieszczane były informacje zasłyszane z Radia Wolna Europa (pomimo ciągłego polowania przez SB na radioodbiorniki).

Co jakiś czas robiono nam tak zwany kipisz, czyli dokładną rewizję w pokojach-celach.

By być bliżej informacji, niektóre z nas nie omieszkały zdobywać ich w różny sposób, tak więc nawet wywoływałyśmy duchy. Już po moim wyjeździe z Gołdapi był przezabawny incydent, kiedy to spragnione informacji kobiety wywoływały duchy na korytarzu za kotarą. Siedziały przy stoliczku i jedna z nich pytała: „Duchu, powiedz, co z moim wnukiem". Na co Duch odpowiedział: „Tu jest ubol!". Gdy tak powtórzył to kilka razy, to zza kotary wychylił się podpity komendant i powiedział: „Duchu nie ubol, tylko klawisz!".

Zajmowałyśmy się czym się dało, by tylko jakoś czas mijał szybciej. Wiele kobiet robiło przeróżne rzeczy z wełny na drutach. W modzie były np. węże gołdapskie. Można było oglądać telewizor, ale nie było zbyt wiele chętnych do oglądania „gadzinówek".

Wiele kobiet chorowało. Pomagałam więc koleżankom, masując ich stopy czy trzymając ręce na głowach, na kręgosłupach, nerkach itp., ustawiałam miejsca spania...

Wspaniałą niespodziankę zrobiły mi koleżanki w dniu moich urodzin 10 lutego. Dostałam wiele prezencików, laurek, wierszyki itp. To było bardzo wzruszające, bo widać było, ile włożyły w to serca.

Z listu Bożeny Huget do brata Radosława Hugeta (internowanego w Załężu): *Gołdap, 29 kwietnia 1982.*

Radosławie! Korzystam z okazji i wykorzystuję przemiłych i kulturalnych panów z MCK, żeby Ci coś „skrobnąć". Muszę Ci zadeklarować, że mój stan (...) wrócił do „okresu krakowskiego" (...). Byłam w Węgorzewie w szpitalu (...). Tam zaopiniowano, że powinnam wrócić do Krakowa i w „mojej" klinice (...) kontynuować leczenie!!!. Ładne hece, no nie? Potwierdził tę opinię lekarz z MCK i będą wnioskować o zwolnienie mnie z internowania! [została zwolniona z obozu dopiero trzy miesiące później].

U nas pogoda polepszyła się co nieco, co wpłynęło pozytywnie na atmosferę w ośrodku. Ja mam się świetnie i (…) robię Ci coś, co Cię zaskoczy, ale na pewno będziesz zachwycony (przynajmniej musisz takiego udawać!).

Braciszku kochany! Trzymaj się dobrze, bo to wszystko ułoży się znakomicie! Tylko cierpliwości! Mam tyle dobrych pomysłów i tyle optymizmu, że tylko długofalowe niewidzenie się z Tobą dobija mnie nieco. Jednak myślę, że już niebawem zobaczymy się i zastanę Cię w doskonałej formie! Cieszę się bardzo, że mamusieńka ma się tak świetnie. Biedulka, tak mi Jej żal, że bym chętnie to wszystko … (właśnie głównie za Nią).

Całuję Cię, najdroższy, bardzo, bardzo.

Bożena.

R. Kahl-Stachniewicz: *Z Gołdapi zostałam wypuszczona 21 marca 1982 na interwencję internowanych wraz ze mną koleżanek, które zagroziły strajkiem głodowym. Chociaż decyzja o zwolnieniu była wydana już 8 marca, czyli na Dzień Kobiet, to 20 marca usiłowali mnie namówić na podpisanie lojalki – bo jak mówili – chcieli wyjść z twarzą. Oczywiście, odmówiłam, bo mnie interesowała moja własna twarz. Mimo to na następny dzień mnie wypuścili.*

Również w marcu 1982 r. została zwolniona z internowania Barbara Różycka-Orszulak – działaczka ROPCiO, później KPN z Warszawy (przez okres jej internowania jej 8-letnia córka pozostawała bez opieki najbliższej rodziny). Pozostałe internowane dwie działaczki KPN z Krakowa (Bożenę Huget i Emilię Afenda-Dadał) zwolniono dopiero w lipcu. W lipcu 1982 r. zwolniona została także z Gołdapi Teresa Baranowska – działaczka KPN ze Śląska (zob. tom I).

W Załężu (I)

30 grudnia 1981 r. mężczyźni internowani w Nowym Wiśniczu zostali przewiezieni do Załęża.

Waldemar Mikulec: *Kolumna zatrzymała się przed bramą główną. Mróz nadal nie zelżał. Spać się nie dało, bo zimno przenikało szczególnie nogi i ręce. Samochody po jakiejś pół godzinie wolno wtoczyły się za bramę więzienia. Zamykana elektrycznie brama zatrzasnęła się za nami. Z samochodu wyskoczył konwojent, domykając tylko drzwi. Powiało mroźnym powietrzem. Było około godziny 4 nad ranem. Siedzieliśmy w półmroku, żarzące się pod sufitem 2 lampki dawały zaledwie możliwość rozróżnienia sylwetek ludzkich.*

Mróz potęgował się, obejmując całą więźniarkę, wciskając się w każdy zakamarek, wypełniając każdą wolną przestrzeń. Drętwieliśmy stopniowo, mimo naciągniętych rękawic i kurtek. Zimno wzrastało. Sprzyjał mu nasz bezruch. Nie mogliśmy nawet rozprostować nóg czy rąk. Mróz łaskotał po stopach, okręcał się po kolanach, smędził i różowił policzki, a nas zmieniał w lodowy sopel koloru marchewki.

Po godzinie marznięcia, w sąsiednich sukach zaczęto się domagać wypuszczenia na pole. Zaczęliśmy i my łomotać po budzie. W chwilę później przyszedł jakiś klawisz i powiedział, że zaraz będą rozładowywać, po czym odszedł, zostawiając drzwi na pole całkiem otwarte.

Teraz dopiero była gehenna – stopniowe zamarzanie. Sądzę, że opisywanie tego zjawiska jest zbędne, tym bardziej że każdy przecież może spróbować i odczuć na własnej skórze, jak to jest przyjemnie podczas 25-stopniowego mrozu. Dodam, że naszą sukę rozładowano ok. 7.30, czyli staliśmy ponad 3 godziny na mrozie. Temperaturę proszę sprawdzić w prognozach pogody z przełomu grudnia 1981 i stycznia 1982. Około godziny 7.30 otworzono przegrody w naszej suce i wyprowadzono nas na dziedziniec pierdla.

Stanisław Kuś: *Jak nas wypuścili, to stał szpaler funkcjonariuszy więziennych. Zanosiło się na ścieżkę zdrowia, ale nie bili. Widać, chodziło im tylko o demonstrację siły.*

Mikulec: *W słabym brzasku budzącego się dnia można było dostrzec niskie kontury masywnych 4-piętrowych bloków więziennych. Ogrom więzienia, prostopadłość olbrzymich kształtów budził lęk i wprowadzał w zakłopotanie. Próbowaliśmy się rozglądać, ale popędzani przez klawiszy weszliśmy do pierwszego budynku. Długi korytarz poprzedzielany był kilkoma „zaporami" z krat (solidne pręty o średnicy 4 cm, pełne, ustawione od siebie w odległości 10-15 cm). W kratach tych drzwi otwierane były elektromagnetycznie. Wprowadzono nas do pokoju (potem okazało się, że była to jedna z sal widzeń). Było tam kilka ławek i stół. Drzwi zatrzasnęły się. Stopniowo wszyscy usypiali, gdzie kto mógł i na czym tylko mógł, kucając, stojąc, siedząc. Skutki męczącej podróży i zimno dawały się we znaki.*

Huki i stuki na korytarzu nie ustawały. Około godziny 8.00 drzwi do naszej przegrody otworzyły się i wyszliśmy z niej w sześciu, by przejść zaledwie kilka metrów i wejść do kolejnej klatki, tylko że trochę większej. Siedliśmy na ustawionych ławkach (było ich dosyć sporo). Nie wiedzieliśmy, że to była najprzyjemniejsza sala w całym pierdlu – tu odbywały się widzenia z rodzinami – żonami, matkami, ojcami, narzeczonymi. W głębi w ścianie była szyba rozsuwana, coś jak w stołówkach, do wydawania posiłków. Około 30 minut po wejściu do tej komórki, szyba odsunęła się i w okienku ukazała się głowa jakiegoś więźnia. Potraktowaliśmy to początkowo za żart, ale okazało się, że nie był to tylko gest. Zaczęto wydawać mandżur i platery, zabierając paski od spodni i wartościowe przedmioty, których nie zdążono nam jeszcze zabrać.

Oto jak wyglądał mandżur:
— dwa śmierdzące koce – szare,
— dwa prześcieradła – względnie czyste,
— poduszka z kawowym wsypem
(w środku kawałki derm i gąbek – smród nieprzeciętny
— poszewka na poduszkę,
— ręcznik (40 x 70 cm) – dosyć czysty,
— ścierka (40 x 70 cm) – dosyć czysta,
— kalesony – po kolana, białe,
— koszula – szara,
— platery z aluminium (dwie miski: płytka i głęboka),
— kubek (0,5 litra) z aluminium,
— łyżka.

Odebranie każdej rzeczy trzeba było podpisać dwa razy. Biurokracja w więzieniach pęka w szwach. Zawinęliśmy mandżury w koce i jak w piosence: „Wesoło z mandżurami wędrujemy z pierdla w pierdel..." rozpoczęliśmy naszą drogę. Jeszcze klawisze kłopocili się ze Zbyszkiem Śmigielskim, który nie chciał nic podpisywać przy pobieraniu mandżura. Ciekawy był to człowiek, założyciel Solidarności wiejskiej w Płocku, działał razem z ojcem. Internowali go u siostry w Krakowie. Ojciec od początku internowania (w Płocku) zaczął głodówkę, zwolniono go po dwóch tygodniach. Przyjechał do Zbyszka i powiedział mu wprost, że jeśli cokolwiek podpisze, to mu łeb utnie. Zbyszek stosował się ściśle do tych rad, stwarzając ogromne kłopoty administracji więziennej.

Wyszliśmy z sali, w której wydano nam mandżury i udaliśmy się za jakimś zomowcem. Wszędzie było mnóstwo grubych krat otwieranych elektromagnetycznie. Skręciliśmy w prawo i weszliśmy w długi korytarz. Przez okratowane okna dopiero teraz dostrzegaliśmy ogromne bloki po prawej i po lewej stronie. Czteropiętrowe pawilony z blendami na oknach drzemały w brzasku budzącego się dnia. Zmierzaliśmy wolno ku końcowi korytarza, znów krata, potem w prawo, oczywiście, przez kratę, na piętro. Otworzył jakiś klawisz i weszliśmy na oddział II, pawilon V.

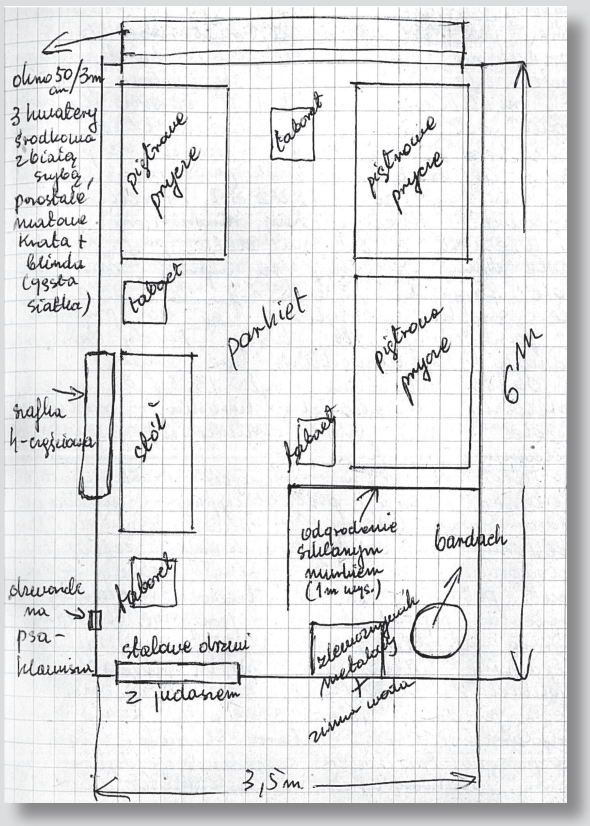
Nagle, jak sępy rzuciło się na nas kilku ZOMO-klawiszy (bardzo trudno było te dwie kategorie WRON-ich służalców odróżnić, bo mieli jednakowe mundury – moro). Przeszukali nas dokładnie, zabierając książeczki do modlenia, ostre rzeczy, teksty kolęd i pieśni. Wywracano nam kieszenie, wyrzucano zawartość paczek, które wieźliśmy z Wiśnicza. Odbywało się to w milczeniu. Następnie otworzono kratę na korytarz i weszliśmy w długi tunel, oświetlony mdłym światłem świetlówek. Po obu stronach znajdowały się drzwi do cel – masywne, z potrójnym zabezpieczeniem. Prowadził nas klawisz. Mnie z Krzyśkiem Maciejowskim otworzono celę z 234 (w niej przebywałem do 30 kwietnia). Gdy weszliśmy

do celi, byli już w niej Jurek Mohl i Wiesiek Nowacki. Uścisnęliśmy się i zaczęliśmy oglądać naszą norę.

Wielkością przypominała tę w areszcie na Mogilskiej, ale wyposażenie było inne.

Celę oświetlała stuwatowa żarówka na środku sufitu. Szczególne przygnębienie sprawiało okno, przez które cały świat wyglądał jak wycięte klatki filmu. Malutkie kwadraciki 1 na 1 cm. Pierwsze kraty były bardzo grube, okrągłe (o średnicy 3 cm). Prycze były identyczne jak w Wiśniczu, materace – też. Ogrzewanie celi zapewniał kaloryfer o trzech żeberkach. U nas w celi nr 234 dobrze grzał, ale w niektórych celach było bardzo zimno.

Stanisław Tatara: *Rozlokowali nas przeważnie po czterech w sześcioosobowych celach. Początkowo siedzieliśmy w trójkę z Konstantym Miodowiczem i Andrzejem Warchałowskim z krakowskiego ośrodka TVP w celi, gdzie jedna z szyb była wybita. Otwór zasłoniliśmy zdjętym z łóżka materacem.*



Plan celi w Załężu. *Celę oświetlała stuwatowa żarówka na środku sufitu. Szczególne przygnębienie sprawiało okno, przez które cały świat wyglądał jak wycięte klatki filmu. Malutkie kwadraciki 1 na 1 cm. Pierwsze kraty były bardzo grube, okrągłe (o średnicy 3 cm). Prycze były identyczne jak w Wiśniczu, materace – też. Ogrzewanie celi zapewniał kaloryfer o trzech żeberkach. U nas w celi nr 234 dobrze grzał, ale w niektórych celach było bardzo zimno.*
Rys. Waldemar Mikulec

Mikulec: *Drzwi od wewnątrz obite były stalową blachą 3,5 mm z „żydem" (miał nawiercone dziurki). Z prawej strony koło drzwi był dzwonek po klawisza. Podpisaliśmy go – „służba". Podłoga był parkietowa.*

Rozłożyliśmy mandżury. Wiesiek i ja na dole przy oknie. Nade mną Jurek, na wprost mnie na dole – Krzysiek. Zaczęliśmy coś gadać, ale szybko ułożyliśmy się na pryczach i posnęliśmy jak koty. Trudy transportu dawały się wszystkim we znaki.

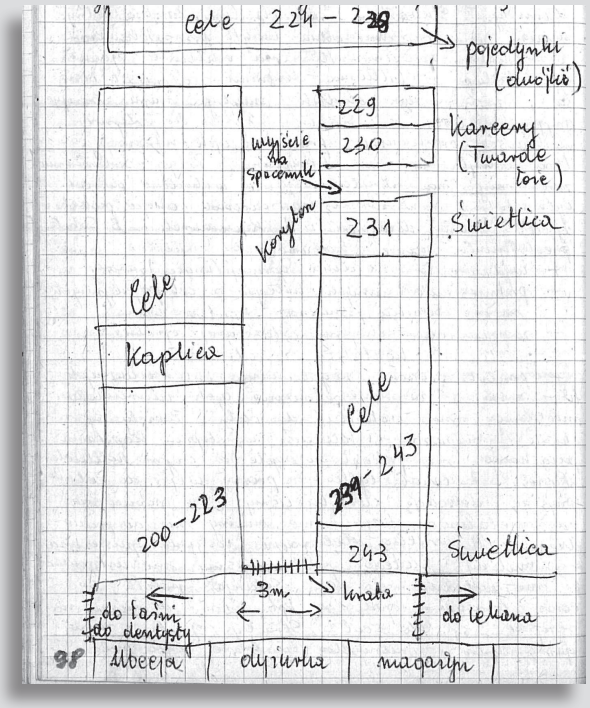
Wiesiek Nowacki urósł do rangi lidera celi. Zamknięty w sobie, odstający od grupy, czasem niezrozumiały, kłótliwy i zaczepny, uparty aż do granic. Z zawodu technik fil-

mowy, rodem z Poznania, po konflikcie z ojcem (zagorzałym marksistą) osiadł na dziko w Bieszczadach na Polanie Caryńskiej, w sąsiedztwie terenów Rady Ministrów. Zajmował się tam wypasem owiec. Po sierpniu 1980 silnie zaangażował się w niezależny ruch rolników, uczestniczył w strajkach ustrzyckich. Został internowany w Krakowie, w zarządzie NSZZ RI „Solidarność". Szczupły, długie czarne włosy spadające z okazałej środkowej łysiny wokół chudej pociągłej twarzy. Porównywano go do Gandhiego. Był bardzo dobrym kolegą. Wszystkim się dzielił, służył radą i pomocą, choć był też wybuchowy.

Krzysiek Maciejowski był rodem z Jedlicza k. Krosna. Mieszkał w Krakowie, pracował w zajezdni tramwajowej jako dyspozytor. Został internowany po rozbiciu tam strajku. Znacząco odstawał od normalnego życia w więzieniu. Większość czasu w pierdlu spędził w łóżku, z papierosem w zębach i z książką. Wstawał tylko na śniadania, obiady i kolacje.

Moim najlepszym i najbliższym kolegą – kompanem w celi w Nowym Wiśniczu i w Załężu był Jurek Mohl – wówczas uczeń 4 klasy XIV LO w Krakowie...

Korytarz miał kształt litery T, cele 231-243 i cele 200-223 przeznaczone były w zasadzie do zamieszkiwania przez 4 osoby. Jednak liczba łóżek ustawionych w celach świadczyła, że przygotowano je na więcej osób. U nas (w celi nr 234) było 6 łóżek, a w innych nawet 8. Cela 243 była podwójną celą, z której potem zrobiono drugą świetlicę. Był tam telewizor.



Plan oddziału II (krakowskiego) w ZK Załęże. *Korytarz miał kształt litery T, cele 231-243 i cele 200-223 przeznaczone były w zasadzie do zamieszkiwania przez 4 osoby. Jednak liczba łóżek ustawionych w celach świadczyła, że przygotowano je na więcej osób. U nas (w celi nr 234) było 6 łóżek, a w innych nawet 8. Cela 243 była podwójną celą, z której potem zrobiono drugą świetlicę. Był tam telewizor.*
Rys. Waldemar Mikulec

Ryszard Majdzik: *Niektórzy podpisywali lojalki, aby wyjść, tłumacząc się, że mają kogoś chorego w rodzinie – żonę czy matkę. Mój ojciec wtedy im mówił: „Tu w więzieniu mamy jedną matkę – Ojczyznę Polskę".*

W Załężu obok internowanych z Krakowa uwięzieni byli już wcześniej internowani z innych miejscowości Małopolski.

Waldemar Mikulec: *Na podkreślenie zasługuje, że Kraków, tj. oddział II pawilon V, był ewenementem w Załężu, bowiem rozbijał utarty rytuał postępowania internowanych, jaki dotąd prezentował oddział III i IV. Byli to m.in. związkowcy, studenci z rejonu Nowego Sącza, Tarnowa, Nowego Targu, Tarnobrzegu, Krosna, Sanoka, Jasła, Bieszczad i nawet Lublina. Przeciętna wieku w oddziałach III i IV była trochę wyższa niż u nas na oddziale II, a ponadto ogromnym plusem było nasze zorganizowanie i uodpornienie na różne sytuacje. Przebywanie w 40-osobowej celi w Nowym Wiśniczu było czymś diametralnie różnym niż życie w 4-osobowych. Tamci koledzy wtłoczeni w „czwórki", rozbici, pozbawienia kontaktu ze sobą łatwo ulegali groźbom, przemocy czy rządom zomowców z pałami. Nasza solidarność umocniła nas w trwaniu w wiśniczowskim stylu, w załężowskich warunkach.*

Zdziwienie obsługi i ubecji było tym większe, że buńczuczne nastroje zaczęły przechodzić z oddziału II (krakowskiego) i niczym zaraza wciskały się w cele naszych braci na III i IV piętrze. Zaczynało się od zwykłego ignorowania poleceń klawiszy, poprzez kompletne pomijanie regulaminu więziennego, aż do akcji protestacyjnych (wspólnych), wysuwania żądań i postulatów. Kto wie, czy oddział IV w późniejszym okresie nie prześcignął nas w tym ostatnim.

Tak więc stopniowo wyłamywaliśmy ząb po zębie kordonowi nakazów i przepisów, czyniąc w tym hermetycznym świecie miejsce na wolną duszą. Nierzadko przyszło to okupić raportami, pojedynczymi celami, przeniesieniem na sankcję, wstrzymaniem odwiedzin, paczek, wizyt duszpasterzy, ale na szczęście wytrwaliśmy solidarnie do końca.

***

Sytuację prawną internowanego po wydaniu przez ministra sprawiedliwości rozporządzenia w tej sprawie, co nastąpiło dopiero 30 grudnia 1981 r., przedstawia Waldemar Mikulec: *Po kilku dniach odczytano przez głośniki regulamin internowania zatwierdzony przez MSW. Co przewidywał ten regulamin? Oto plan dnia* [zgodnie z par. 26 Rozporządzenia porządek dnia w ośrodku ustalał jego komendant]*:*

6.00 – pobudka,
6.00-6.30 – ścielenie łóżka, toaleta,
7.00-7.30 – wydawanie śniadania,
7.30-10.00 – spacer,
10.00-13.00 – zajęcia własne (świetlica),
13.00-15.00 – wydawanie obiadu,
15.00-18.00 – zajęcia własne,
18.00-19.00 – kolacja,
20.00 – apel,
21.00 – gaszenie światła.

Tak miał wyglądać plan dnia, ale nie był on przestrzegany zarówno przez nas, jak i przez Służbę Więzienną.

Prawa internowanego były następujące:

- *prawo do 60 minut spaceru dziennie* [par. 19 Rozporządzenia],
- *prawo do posiadania przyborów toaletowych (nieprzestrzegane przez SW)* [par. 20 ust. 1],
- *prawo do trzech ciepłych posiłków dziennie* [par. 10],
- *prawo do 1 widzenia w miesiącu (60 minut)* [par. 28],
- *prawo do opieki lekarskiej* [par. 17 Rozporządzenia],

– *prawo składania skarg (fikcja – po prostu szkoda było papieru)* [par. 30-32],
– *prawo do ciepłej kąpieli 1 raz w tygodniu* [par. 20 ust. 2],
– *prawo do otrzymania 2 paczek po 3 kg w miesiącu* [par. 12].

Skromne to były uprawnienia. Zdani byliśmy na łaskę bezpieki i klawiszy.

Obowiązki internowanego były następujące:

– *obowiązek sprzątania celi,*
– *obowiązek wykonywania poleceń klawiszy,*
– *obowiązek wystawiania bielizny własnej na noc na korytarz wraz z butami (to od początku ignorowaliśmy),*
– *obowiązek zachowywania postawy przy apelu,*
– *obowiązek uczestniczenia w spacerze tylko w określonych grupach wydzielonych przez bezpiekę.*

Za nieprzestrzeganie tych obowiązków groziły rozmaite kary. Najwięcej karano za śpiewy i próby kontaktu z sąsiednimi celami. Szczególnie karano osoby z góry wyznaczone przez ubeków. Kary, które można było wymierzyć internowanemu, były następujące [par. 33]*:*

– *wstrzymanie widzeń (najczęściej pozbawiano nas widzeń przy wszelkiego rodzaju akcjach protestacyjnych),*
– *wstrzymanie korespondencji,*
– *raport,*
– *pozbawienie wypiski,*
– *pojedynka (od 7 dni do 3 miesięcy),*
– *twarde łoże (od 3 do 21 dni).*

Zarówno obowiązki, jak i kary wskazywały na jedno – traktowano nas jak zwykłych kryminalistów, a nawet gorzej, bowiem nas szykanowała bezpieka, podczas gdy kryminalistów pozostawiono w spokoju.

O status internowanego w jego prawdziwej wersji (takiej, jaką PRL ratyfikowała w konwencji genewskiej) walczyliśmy podczas całego pobytu w ośrodku. Postulaty były różne. Najczęściej decydowała nie siła argumentu, a argument siły, a tą, niestety, dysponowała bezpieka ze swoim zbrojnym ramieniem – zomowcami.

Tu krótka uwaga. Konwencja genewska z 12 sierpnia 1949 r., w sprawie cywili podczas wojny, ratyfikowana przez PRL, zawierająca postanowienia w sprawie traktowania internowanych, dotyczy innej sytuacji niż ta, w której znaleźli się internowani w stanie wojennym. Konwencja dotyczy bowiem wojny i internowania obywateli innego państwa. Jednak wobec braku postanowień prawa międzynarodowego, dotyczących internowania obywateli własnego państwa, część uważała, że konwencja genewska powinna mieć odpowiednie zastosowanie wobec obywateli polskich internowanych przez peerelowskie władze.

***

Do pierwszej akcji protestacyjnej w Załężu doszło już pierwszego dnia pobytu internowanych z Krakowa. Ściślej rzecz biorąc, była to kontynuacja głodówki, która rozpoczęła się w Nowym Wiśniczu.

Waldemar Mikulec: *Jeszcze w Wiśniczu (28 grudnia 1981) rozpoczęliśmy głodówkę. Nie mieliśmy jasno sprecyzowanych celów tej akcji protestacyjnej, niemniej jednak każdy z nas czuł potrzebę zamanifestowania swojego protestu poprzez taką – jedyną dostępną – formę nacisku. W Nowym Wiśniczu zaczęło głodówkę kilka osób, m.in : ja, Wiesiek Nowacki, Jurek Mohl, Kazio Apanowicz, Lech Jeziorny, Olek Staszczak, Kazio Zmarlik, Piotrek Gajdarski, Staszek Tatara. Głodówkę rozpoczęły też cele sąsiednie. Wysłaliśmy do*

komendanta w Wiśniczu oświadczenia, że bezterminowo przestajemy pobierać więzienne pożywienie.

W Załężu, w południe pierwszego dnia, zwyczajem więziennym wystawiliśmy platery na korytarz, zostawiając sobie tylko kubki. Klawisze zareagowali początkowo ze zdziwieniem, tym bardziej że na pytania „Czy głodujemy?" – nikt nie odpowiadał.

U nas w celi sytuacja była o tyle dziwna, że głodowaliśmy we trzech. Krzysiek zaś brał michę. Była to dodatkowa trudność. Podczas postu piliśmy tylko wodę podgrzewaną w kubkach na kaloryferze, bo nie przysługiwała nam wtedy kawa. Ja głodowałem 7 dni, Jurek Mohl – 9, Wiesiek Nowacki – 21. W czerwcu 1982 Wiesiek przeprowadził 50-dniową głodówkę, co było rekordem na miarę irlandzkich bojowników z IRA. Nie wspominam tu o wielu tygodniowych czy kilkudniowych głodówkach, które – jak mówił – dobrze mu wpływały na zdrowie.

W Nowy Rok w Załężu doszło do nowej akcji protestacyjnej.

Mikulec: *Trzeci dzień internowania w nowej scenerii Załęża miał być wielkim świętem. Otóż, miał nas odwiedzić z okazji Nowego Roku biskup diecezji tarnowskiej – Jerzy Ablewicz. Pobudka odbyła się około 6.00 silnym dzwonkiem, który był umieszczony na długim korytarzu. Przeraźliwe echo oraz pogłos, który tworzyły betonowe ściany, drażniły nieprzyjemnie ucho, wwiercając się aż do wnętrza głowy.*

Do celi wchodzili klawisze i pewnie rozkazywali wstawać i ścielić łóżka. Wkroczenie klawiszy do cel odbyło się zapewne z zamiarem spędzenia nas z łóżka i podporządkowania się porannym regulaminom. Oddział II jednak nie podporządkował się zarządzeniom klawiszy. Przede wszystkim większość kontynuowała głodówkę, dlatego ci tym bardziej ignorowali wszelkie regulaminy. „Służba" nie chciała jątrzyć, tym bardziej że w programie dnia była wizyta biskupa Ablewicza.

Około godziny 10 na oddziale zjawił się biskup z kilkoma księżmi i odprawił mszę świętą. Księża chodzili między nami, zbierając grypsy i listy do rodzin. Była to jedyna możliwość przekazania prawdziwych informacji. Msza odbyła się na korytarzu. Po jej zakończeniu zostaliśmy na korytarzu, nie wchodząc do cel. Była to nasza pierwsza zorganizowana akcja protestacyjna. Nasza delegacja (R. Kaczmarek i B. Sonik) przedstawiła nasze żądania:

- *wydania 3 razy dziennie wrzącej wody,*
- *przeniesienie naszych kolegów z cel pojedynczych (m.in. Sonika, Świerza),*
- *zapewnienie chorym właściwej opieki,*
- *możliwość kontaktu z rodzinami,*
- *przedstawienie regulaminu internowanych.*

W przypadku niespełnienia tych warunków postanowiliśmy nie wchodzić do cel. Zaczęły się chwile napięcia. Klawisz w stopniu kapitana początkowo nie chciał w ogóle o czymkolwiek słyszeć. Powtarzał tylko: „Proszę wejść do cel i przysłać delegację!". Wiedzieliśmy, że po wejściu za metalowe drzwi nie mamy już nic do powiedzenia, a każda delegacja zostanie wpuszczona w maliny. Dlatego postanowiliśmy nie ustępować i nie wchodzić do cel. Strachy, groźby, ZOMO, gaz, woda – wszystko to brane było pod uwagę. Wkrótce służba więzienna poddała się. Zapewne bezpieka jej na to pozwoliła (bo oni tu rządzili) i rozeszliśmy się do cel. Osiągnęliśmy (a raczej wywalczyliśmy) spełnienie pierwszych postulatów.

Po Nowym Roku do głodówki rozpoczętej jeszcze w Wiśniczu przyłączyły się kolejne osoby.

Stanisław Tatara: *Zaraz po Nowym Roku rozpoczęliśmy głodówkę protestacyjną przeciwko m.in. wprowadzeniu stanu wojennego, urbanowskiej propagandzie w telewizji*

oraz przeniesienia kilku internowanych ze wspólnych do pojedynczych cel. Głodowałem 10 dni, pozostali koledzy z celi nie głodowali.

W związku z tą głodówką w „Biuletynie Małopolskim" nr 6 z marca 1982 r. opublikowano list otwarty Adama Macedońskiego z 11 stycznia 1982 r., w którym wyjaśniał on motywy swojego protestu: *Wykładnia słowa „internowanie" mówi, że: internować można obywateli obcego państwa, które aktualnie znajduje się w stanie wojny. Jak wynika ze świadectw, wspomnień i dokumentów, obywatele polscy, którzy w czasie II wojny światowej przebywający w obozach lub ośrodkach dla internowanych w obcych państwach, mieli zagwarantowane więcej praw i możliwości niż my, internowani obecnie na terenie naszej Ojczyzny w wyniku ogłoszenia stanu wojny 13 grudnia 1981.*

Inną formę protestu wybrał Michał Żurek: *3 stycznia 1982 wraz z kolegami Leszkiem Batką i Krzysztofem Ogorzałkiem zabarykadowałem się w celi, zażądałem m.in.: przedstawienia statusu internowanego, odprawiania mszy świętej na żywo, wydłużenia czasu spacerów, przyjazdu Komisji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Lista naszych żądań zawierała 10 postulatów – reszty nie pamiętam. Klawisze i specjalny oddział do pacyfikacji więzień próbowali bezskutecznie przy pomocy łomów i kilofów wyłamać drzwi naszej celi. Trwało to ładnych parę godzin. Sprowokowany przez funkcjonariuszy więziennych nawymyślałem im. Wytoczyli mi później o to sprawę. Po kilku godzinach sprowadzono do nas naczelnika więzienia i sędziego penitencjarnego, na których wymusiliśmy odczytanie naszych postulatów przez radiowęzeł więzienny. Po uzyskaniu przyjęcia naszych żądań i gwarancji, że nie będziemy represjonowani, sami odblokowaliśmy celę. Niestety, w moim przypadku nie dotrzymali słowa i byłem na każdą noc przerzucany do innej celi. Na dzień wracałem do swojej.*

Przyczyną opisanych tu gwałtownych konfliktów w Załężu po przybyciu transportu z Wiśnicza był sposób traktowania internowanych przez Służbę Więzienną. O ile internowani z innych miejscowości początkowo podporządkowali się temu surowemu reżimowi, internowani z Krakowa nie chcieli tego uczynić.

Stanisław Kuś: *Towarzystwo w celi miałem sympatyczne, ale reżim w tym więzieniu był bardzo surowy. Traktowali nas jak kryminalistów.*

Mikulec: *Należy podkreślić próby (od początku internowania) wprowadzenia nas w reżim typowego więzienia z całym bagażem zakazów. Zdecydowane ignorowanie wszystkich tych zarządzeń (bądź to ustnych od klawiszy lub też informacji podawanych przez pierdlowe głośniki) pozwoliło na ustanowienie własnego modelu życia więziennego. Próbowano nas zastraszyć, gdzieniegdzie stosowano siłę.*

Stanisław Tatara: *Już w pierwszym dniu klawisz zażądał, abyśmy na noc wystawili przed celę złożone w kostkę ubrania. Zdecydowanie odmówiliśmy. Za naszym przykładem poszły inne cele. W końcu dał sobie spokój. Odmówiliśmy także wstawania na obowiązujące w więzieniu poranne i wieczorne apele, podobnie jak wstawania z łóżek, gdy w drzwiach pojawiał się klawisz. W ramach bojkotu więziennego regulaminu namówiłem kolegów, aby nie sprzątać celi. Po pewnym czasie zrobiło się tak brudno, że jako pierwszy ją posprzątałem.*

Służba Więzienna i SB zaskoczone akcjami protestacyjnymi po przybyciu internowanych z Krakowa poszły początkowo na ustępstwa. Wkrótce jednak doszło do kolejnej akcji protestacyjnej, sprowokowanej przez Służbę Więzienną (działającą prawdopodobnie na polecenie SB). Akcja ta miała bardzo gwałtowny przebieg.

Mikulec: *Od 10 stycznia 1982 roku prowadzono na naszym oddziale denerwującą akcję przenoszenia z celi do celi, po kilka razy na dzień. Psychiczne stresy wynikające z ta-*

kiego traktowania dawały się wszystkim we znaki. 19 stycznia 1982 akcja osiągnęła zenit. Skupiono się na osobach Staszka Tatary i Kostka Miodowicza.

Tatara: *Wszystko zaczęło się od incydentu wywołanego przez naszą celę.*

Powodem było przekwaterowanie do nas Piotra Boronia. Znałem go wcześniej i nie miałem nic przeciwko niemu, powiedziałem jednak, że nie możemy dopuścić, aby nas przenoszono z celi do celi bez naszej zgody, bo pomijając fakt, że zżyliśmy się ze sobą, stwarza to możliwość podrzucania nam agentów. Zaproponowałem, aby w razie zmuszania nas, stawić czynny opór.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy kazano mnie i Miodowiczowi spakować się, mówiąc, że będą nas przeprowadzać do innej celi. Obaj odmówiliśmy. Podczas wyprowadzania nas na spacer zostaliśmy oddzieleni od grupy spacerowej i zamknięci w świetlicy. Stamtąd kilkakrotnie każdego oddzielnie brali do pokoju przesłuchań, gdzie esbecy i funkcjonariusze więzienni starali się nas nakłonić do zmiany celi. Za każdym razem odmawialiśmy, argumentując zgodnie z moimi wcześniejszymi propozycjami, że są to szykany, próba psychicznego osłabienia nas. Oświadczyłem, że będą musieli użyć siły, gdyż będę stawiał czynny opór, a wtedy nazajutrz będzie o tym mówiła Wolna Europa i ujawniona zostanie cała kłamliwa propaganda Urbana o komfortowych warunkach, w jakich przebywamy. Pozwolono nam wrócić do celi. Pomyśleliśmy, że sprawa jest zakończona. Nagle weszło ośmiu klawiszy. Czterech z nich chwyciło stojącego bliżej Miodowicza i siłą wywlekli go na korytarz. Za moment pozostałych czterech otoczyło mnie. Położyłem się na pryczy, chwyciłem jej poręczy i oświadczyłem, że nie wyjdę i stawię czynny opór. Widząc, że zamierzają się na mnie rzucić, zdążyłem tylko głośno krzyknąć: „Biją!". Stojący naprzeciw mnie klawisz, trzymając ręce za plecami, spytał: „Kto pana bije?". Po czym błyskawicznie wyciągnął rękę w moim kierunku i strzelił mi prosto w twarz gazem.

Zabrakło mi tchu, nic kompletnie nie widziałem, czułem silne pieczenie i łzawienie oczu oraz ból w gardle. Przywarłem twarzą do poduszki, kurczowo trzymając się poręczy. Jeden z nich zaczął mi wpychać w usta ręcznik i dusić. Inni, ciągnąc mnie za włosy i ręce, oderwali od łóżka, zginając mnie w pół, zmusili do uklęknięcia na podłodze. Jeden z klawiszy włożył mi palec w usta i wtedy ugryzłem go z całej siły, a on szpetnie zaklął i cofnął rękę. Z wykręconymi do tyłu rękami duszono mnie nadal. Gdy poczułem, że stracę za chwilę przytomność, przestałem z nimi walczyć i pozwoliłem dać się wyprowadzić na korytarz, bo nikt z internowanych nie reagował na moje krzyki.

Zakneblowali mnie i trzymając za ręce, wyprowadzili na korytarz. Tam gwałtownym szarpnięciem wyrwałem się klawiszom, zerwałem knebel i zacząłem głośno krzyczeć: „Ratunku!". Złapano mnie za ręce i nogi. Usłyszeli to koledzy z innych cel i zaczęli tłuc w drzwi. Słyszałem, jak Apanowicz krzyczał: „Staszka Tatarę niosą". Zrobił się straszny łomot, a mnie znowu zakneblowali tak mocno, że naderwali mi kąciki ust. Zanieśli mnie do biura, gdzie siedziałem na krześle i byłem pilnowany przez zomowca, który w jednym ręku trzymał pałę, a drugą ręką mocno ściskał z tyłu głowy ręcznik, którym byłem zakneblowany. Siedziałem w tym pokoju około pół godziny.

Słyszałem okrzyki Adama Macedońskiego, informował obecnych na oddziale, co się dzieje. Krzyczał, że z dwóch stron korytarza zgromadzono kilkudziesięcioosobowe grupy zomowców wyposażonych w tarcze, hełmy i pałki i rozwijających węże strażackie.

Mikulec: *Na całym oddziale zawrzało. Zaczęliśmy miotać się bezsilni w celach, tłuc taboretami po drzwiach, robiąc piekielny jazgot. Przypominało to odgłosy wojenne jakiegoś plemienia z buszu. Zaczęliśmy wołać po imieniu Staszka, który, niestety, nie odzywał się. Jak się okazało, zabrano go na dyżurkę, gdzie przywiązano go do krzesła i zakneblowano usta.*

Gdy ze spacernika zaczęły powracać dwie grupy spacerowe, przez drzwi informowaliśmy je o zaistniałej rozróbie i pogwałceniu nietykalności osobistej jednego z internowanych. Postanowili nie wchodzić do cel, zanim nie zobaczą Staszka. Warunek był jak najbardziej rozsądny. Klawisze informowali, że Tatarze nic się nie stało i jak tylko wejdą do cel, to przyjdzie na oddział. Nie zgodziliśmy się na taką propozycję. Zaczęły się groźby, że w przypadku niewchodzenia do cel, zostanie użyta siła.

Wkrótce pojawili się zomowcy i klawisze uzbrojeni bojowo (hełmy, tarcze, pały). Pułkownik – dowódca ochrony – dał 5 minut na opuszczenie korytarza, nie reagując zupełnie na żądania przyprowadzenia naszego kolegi Staszka Tatary. Po 5 minutach na korytarz z dwóch stron wkroczyło ZOMO. Internowanych zepchnięto do świetlicy, skąd pojedynczo wyciągano ich i wyprowadzano na I oddział.

W międzyczasie dwie cele zabarykadowały się od wewnątrz, używając do tego łóżek, sprężyn (zaczepiając je o nawiercone dziury „żyda" w drzwiach. Była to cela Mietka Majdzika, Łenyka, Ryśka Kusia, Ogorzałka, Jeziornego, Staszczaka oraz Żurka. Rozpoczęło się otwieranie każdej celi. Gdy dotarli do zabarykadowanych, zaczęły się pertraktacje, zakończone wyważeniem drzwi za pomocą łomów. Towarzyszył temu silny głos Michała Żurka, który wyzywał ich od bolszewickich i stalinowskich sukinsynów i obiecywał urwanie głów, jak tylko wejdą do celi. Po wyważeniu drzwi zaczęto ich pojedynczo wyciągać i pałować, robiąc ścieżkę zdrowia przez korytarz i schody na I oddział. Najbardziej poturbowany był Mietek Majdzik, Rysiek Kuś (który przewrócił się na schodach) i Michał Żurek.

Tatara: *W tym czasie zmieniono pilnującego mnie zomowca, bo stukaniem pałką w drzwi prosił o pomoc. Wtedy weszło kilku z pałami. Zapytali: „Czy się rzuca?", gotowi mnie bić. Jednak pilnujący mnie uspokoił ich, wyjaśniając, że prosi o zmianę, bo bolą go ręce.*

Stamtąd kilku zomowców zaprowadziło mnie do karceru, który znajdował się w suterenie, gdzie było zimno i ciemno. Stało tylko łóżko z twardą płytą paździerzową zamiast materaca. Po jakimś czasie usłyszałem, jak do cel obok wprowadzają kolegów. Słychać było klepnięcia pałek i krzyki bitych. Ktoś krzycząc, pytał: „Gdzie jest Staszek Tatara?". Wyszedłem na poręcz łóżka i przez mały otwór pod sufitem krzyknąłem, że jestem w karcerze. Nastąpiła wymiana różnych informacji na temat tego, co się stało. Było nas tam ponad 20, głównie ci, którzy po zejściu ze spacernika nie chcieli wejść do cel, i ci, którzy w proteście zabarykadowali się w celach. Te ostatnie, jak później się dowiedziałem, grupa pacyfikacyjna otwierała za pomocą łomów.

Mikulec: *Do późnego popołudnia sprawdzano cele (czy któraś nie jest zabarykadowana). U nas w celi Jurek Mohl zasłaniał „żyda" czapką. Przerażeni klawisze uznawali to za barykadę, wzywali ZOMO i już chcieli wyważać drzwi, kiedy okazywało się, że nie ma żadnej barykady. Dwa razy dali się na to nabrać, my zaś mogliśmy się przyjrzeć rozwścieczonym i znarkotyzowanym twarzom ZOMO.*

Tatara: *Rozpoczęliśmy głodówkę. Trzymali mnie tam do następnego dnia wieczorem. Po wyjściu dowiedziałem się, że cały pawilon internowanych ogłosił głodówkę solidarnościową z nami. Żądali naszego powrotu. Przerwali ją dopiero w dzień po naszym wypuszczeniu.*

Mikulec: *Głodówka trwała dwa dni. Na drugi dzień wszystkich buntowników przywrócono do łaski, sprowadzając na macierzysty oddział. Wycierpieli tylko trochę głodu, zimna i wilgoci na karnym oddziale. Gdy otwierano na drugi dzień drzwi na obiad, mogliśmy oglądnąć pogruchotane drzwi w tych celach, które się zabarykadowały, oraz rozciągnięty wąż od hydrantu. Metody walki z buntownikami w więzieniach są dobrze opraco-*

wane, a polewanie wodą to nie tylko moda na demonstracjach ulicznych. Na drugi dzień wrócił Staszek Tatara. Umieszczono go w celi 241. Wstrzymano mu oczywiście widzenia, spacery, mszę świętą, paczki. Po tygodniu wszystko wróciło do normy.

Tatara: *Gdy wróciliśmy na swój oddział, na hasło Radosława Hugeta, koledzy z oddziału powitali Miodowicza i mnie głośnymi owacjami, panował radosny nastrój z odniesionego zwycięstwa, po czym, ku mojemu zdziwieniu i rozczarowaniu, Huget zaczął mnie namawiać, abym się już nie opierał, gdyby chcieli mnie przenosić. Dziwiłem mu się, dlatego że cały czas był on bardzo aktywny i bojowy. Niektórzy trochę się załamywali, a Huget rozładowywał atmosferę, dodając im otuchy.*

Nazajutrz po tych zajściach Wolna Europa nadała dokładną informację o nich.

O buncie w Załężu 19 stycznia 1982 r. esbecy oddelegowani do Załęża informowali naczelnika Wydziału Śledczego KW MO w Krakowie, majora SB Jana Nogiecia. Oto fragment informacji o pracy operacyjnej w ośrodku odosobnienia w Załężu z 30 stycznia 1982 r.: *W okresie minionej dekady zachowanie internowanych w stosunku do funkcjonariuszy S*[łużby] *W*[ięziennej] *stało się bardzo agresywne. Przykładem tego mogą być zajścia, jakie miały miejsce w dniu 19 stycznia br. A oto opis ich przebiegu.*

W dniu 19 stycznia br. około godz. 11 w Ośrodku Odosobnienia dla Internowanych w Rzeszowie-Załężu, dwóch internowanych (Konstanty Miodowicz s. Alfreda i Stanisław Tatara s. Franciszka) odmówiło przejścia do innych wyznaczonych pomieszczeń. Celem wymuszenia posłuszeństwa, zastosowano środki przymusu bezpośredniego. W trakcie stosowania przymusu, nastąpiła czynna napaść ze strony internowanego Stanisława Tatary na funkcjonariuszy Służby Więziennej, w następstwie czego dwóch z nich doznało lekkich obrażeń ciała (zadrapanie twarzy i pogryzienia palca). Ponadto internowani ci nawoływali głośnymi okrzykami pozostałych internowanych do zbiorowego nieposłuszeństwa.

W wyniku tego internowani przekazali powyższą informacji z Oddziału II dla tych, którzy aktualnie korzystali ze spaceru. W tym samym czasie w czterech celach tego oddziału zabarykadowali się osadzeni tam internowani. Natomiast w pozostałych celach internowani tłukli się w drzwi.

Grupa 18 internowanych (Rakowiecki Jacek, Gunkiewicz Tadeusz, Gromów Aleksander, Nelicki Aleksander, Palczewski Stanisław, Macedoński Adam, Osika Adam, Naruszewicz Krzysztof, Gąsiorowski Krzysztof, Budyń Jerzy, Wroński Artur, Góral Stanisław, Rupiński Dariusz, Dzido Ludwik, Sukiennik Wojciech, Kleszczyński Zdzisław, Boroń Piotr i Warchałowski Andrzej) powracając ze spaceru, po wejściu na oddział odmówiła udania się do swoich cel. Po perswazji i ostrzeżeniu, że w przypadku nie wykonania polecenia udania się do cel zostaną zastosowane środki przymusu bezpośredniego, funkcjonariusze SW przy użyciu siły fizycznej wymusili na w/w internowanych wykonanie polecenia udania się do wyznaczonych zastępczych pomieszczeń, które zlokalizowano na innym oddziale.

Następnie przystąpiono do likwidacji barykad wykonanych w 4 celach. W 3-ch pomieszczeniach internowani na wezwanie funkcjonariuszy SW sami usunęli barykady. Natomiast w jednym pomieszczeniu polecenia tego nie wykonano. W celi tej przebywali następujący internowani: Mieczysław Majdzik, Jan Polkowski, Ryszard Kuś i Paweł Witkowski. Wobec tego funkcjonariusze SW przy pomocy łomu sforsowali barykadę i wyprowadzili siłą w/w internowanych. W stosunku do 3-ch z nich użyto pałek gumowych.

Akcję zakończono o godz. 14.50 generalnym przeszukaniem całego oddziału.

W stosunku do wszystkich internowanych, którzy swoim zachowaniem naruszyli normy prawa karnego (art. 270, 233 i 237), Komendant Aresztu Śledczego w Załężu będzie

kierował wnioski o ściganie do Prokuratury Wojewódzkiej w Rzeszowie. O dalszym biegu tej sprawy, jak również pracy operacyjnej podamy w następnej informacji.

Jak możemy przeczytać, anonimowy esbek (podpis pod dokumentem nieczytelny) poinformował, że to Stanisław Tatara zaatakował kilku funkcjonariuszy w swojej celi.

Za wywołanie buntu SB ukarała Tatarę w charakterystyczny dla siebie sposób, rozpuszczając pogłoski, że jest on prowokatorem. O tym jednak zachowane meldunki SB-eckie milczą. Trudno się dziwić – SB nie dokumentowała tego typu działań. Tatara: *Wieńczysław Nowacki, który podobno potrafił przejść między kratami i wędrował po wszystkich oddziałach pawilonu, roznosząc wiadomości, poinformował mnie, że na górnych oddziałach rozpowszechniono plotkę, że jestem prowokatorem SB.*

Po jakimś czasie do naszej celi doszedł Józef Jarzmik i prosił mnie, bym się zgodził przejść do ich celi. Nie byłem zachwycony tym pomysłem, ale wskutek stanowiska kolegów z przykrością się zgodziłem. Przeniesiono mnie do celi, gdzie już siedzieli Wiesław Mazurkiewicz, Józef Jarzmik i Władysław Murzewski. Panowały tam zupełnie inne obyczaje. Podłoga była wypastowana na wysoki połysk, internowani mieli dyżury do sprzątania. Wszystko lśniło. Od razu przy wejściu Murzewski zdecydowanie poinformował mnie o zasadach współżycia między nimi i zaproponował, abym gołą ręką wymył muszlę klozetową. Zdecydowanie odmówiłem wymycia jej, a na sprzątanie się zgodziłem.

Pewnego dnia przyszedł tam oficer kierujący „pacyfikacją", aby mnie przeprosić. Chciał, abym mu wybaczył i podał rękę. Spytałem, czy należy do partii. Wybaczyłem mu i podałem rękę dopiero wtedy, gdy zaprzeczył.

Sprawa pacyfikacji miała jednak ciąg dalszy. SB usiłowała wytoczyć Tatarze sprawę karną. W kolejnym meldunku SB z Załęża (z 12 lutego 1982 r.) czytamy: *Z 3 wniosków o ściganie, skierowanych do Prokuratury Rejonowej w Rzeszowie, w dniu 22 stycznia br. w sprawie czynnego oporu i pobicia funkcjonariuszy SW (o czym pisaliśmy uprzednio), Prokuratura wszczęła jedno postępowanie przygotowawcze, w sprawie dot. Stanisława Tatary.*

Tatara: *Zostałem wezwany na przesłuchanie. Prowadzony przez klawisza do pokoju przesłuchań byłem przekonany, że to wezwanie bezpieki. Siedzący w pokoju na wstępie oświadczył mi, że do prokuratury wpłynęło doniesienie od jednego z funkcjonariuszy więziennych, który oskarżył mnie o pobicie 19 stycznia. Byłem zaskoczony, że to nie esbek, ale prokurator. Według zeznań owego klawisza podczas wyprowadzania mnie z celi miałem go bić, kopać i ugryźć w rękę. Zaprzeczyłem i opowiedziałem własną wersję wydarzeń. Zapytał, czy użyto gazu paraliżującego i czy straciłem przytomność. Odpowiedziałem, że nie wiem, czy straciłem przytomność, a gaz był najprawdopodobniej łzawiący. Spytałem, czy klawisz ma zaświadczenie lekarskie, tego prokurator nie był pewien. Na koniec oświadczył mi, że był zdecydowany dać mi nakaz tymczasowego aresztowania, ale po moich zeznaniach postanowił się wstrzymać i zastanowić.*

Ostatecznie SB zupełnie zrezygnowała z oskarżenia Tatary.

***

Formą oporu wobec władz więziennych były wspólne śpiewy. Miały one duży wpływ na morale internowanych.

Mikulec: *Przedmiotem sporów od początku internowania były śpiewy pieśni patriotycznych i tzw. antysocjalistycznych. Już w Nowym Wiśniczu ostro zabroniono nam jakichkolwiek śpiewów. Nie przestrzegaliśmy tego przepisu i nie doczekaliśmy się represji. Podobnie tutaj w Załężu. Zaczęliśmy śpiewać i to zaraz po przyjeździe. Pierwszy wspólny*

śpiew rozbrzmiewał w grubych murach już w czasie i po zakończeniu noworocznej mszy świętej. Zaszokowany siłą i mocą tego śpiewu był przede wszystkim personel więzienia. Ubecja była przestraszona. Zaskoczone były pozostałe oddziały internowanych. Trudno mówić, co się wtedy czuło. Pamiętam, że właśnie od tego momentu (tzn. od pierwszych śpiewów w Wiśniczu) zawsze łamał mi się głos w czasie śpiewania czy to „Roty", czy to „Boże coś Polskę", czy „Pieśni Konfederatów". Coś dławiło i ściskało w gardle, a łzy same – niczym fontanna – cisnęły się do oczu. Z trudem tłumiłem, aby nie wybuchnąć płaczem przy kolegach. Łykałem gorycz łez i bezsilność.

Śpiewy w Załężu wprowadziły ogromne ożywienie w monotonnym życiu III i IV oddziału. Po Nowym Roku śpiewy wieczorną porą do zgaszenia światła o godzinie 21 nasiliły się. Szczególną rolę miała aktywizacja i obudzenie pozostałych oddziałów, gdzie atmosfera wyraźnie siadała. Rozbrzmiewające melodie i ślubowanie, że

„nie będzie Sowiet pluł nam w twarz
ni dzieci nam tumanił..."

przyprawiał o dreszcze ubeków, którzy stukali butami, notując, która cela najgłośniej śpiewa i prowokuje. Zaczęły się raporty za śpiewy. W donoszeniu i robieniu raportów wsławił się między innymi kapral Woszczak. Najwięcej kar zebrał Rysiek Majdzik, zachowujący się z Radkiem Hugetem chyba najbardziej prowokująco wobec SW i SB.

Wieczornym śpiewom zazwyczaj towarzyszyły modlitwy i modlitwa „Wieczny odpoczynek" za ofiary wojny. Ubecja początkowo nie reagowała na nasze wspólne modlitwy i śpiewy. Ale potem zaczęto wykorzystywać internowanych kryminalistów do zagłuszania. Otóż, kazano im, aby w czasie śpiewów krzyczeli i tłukli się taboretami w drzwi. Nie było to skuteczne – kryminaliści na krótko ulegli chytrym obietnicom ubecji. Szybko zaczęli prosić nas o teksty piosenek i wierszy.

Śpiewy wieczorne to słabły, to wzmacniały się, nigdy jednak nie zamilkły. Później zaczęły się koncerty pojedynczych cel. Pracowała nad tym cela 238 w składzie Klich, Krzysztofiak, Solak, Piekarski. Oni to zazwyczaj inicjowali wieczorne śpiewy i wylansowali największe przeboje Załęża:

1) *Zielona WRON-a* [Pierwsze trzy zwrotki napisali Jacek Baluch i Krzysztof Bryniarski z celi 204. Dwie kolejne zwrotki powstały tego samego dnia. Autorem jednej z nich był Bogdan Klich. Później internowani w całym kraju dopisali kilkanaście kolejnych zwrotek]:

Szczekają gdzieś psy, ekstrema już śpi
i kończy się wolna sobota
wyrusza sznur suk
rżną buty o bruk
i do drzwi gwałtownie łomota

Ref. Zielona WRONa
dziób w wężyk szamerowany
kto nie da drapaka
Kto nie chce zakrakać
ten będzie internowany

Grudniowy wstał świt
nie wiedział nikt nic
milczały jak grób telefony

aż w radio wódz sam
ogłosił, że stan
wojenny jest wprowadzony

Ref. Zielona Wrona...

Od tego poranka
w Krakowie łapanka
szalała w bezsilnej wściekłości.
W Załężu zaś z pierdla
zrobiono internat
dla członków Solidarności.

Ref. Zielona Wrona...

Z chaosu porządek
wyłania się nowy
nowego nam trza Robespierre'a
By odciął te łapy
co władzę brać chciały –
to hasło nowego premiera

Ref. Zielona Wrona...

Świetlica spacerek
wieczorem rowerek
Albina zaś duma rozpiera
Niech siedzi ekstrema
pożytku z niej nie ma
my Polskę zbudujem od zera

Ref. Zielona Wrona...

Ta banda czerwona
znów gówno dokona
choć duma jej piersi rozpiera
czerwona zaraza
od nowa zagraża,
A niech tak jasna cholera!

Ref. Zielona Wrona...],

2) *Hymn internowanych ekstremistów* [Autorem tej piosenki był Maciej Zembaty – w przeciwieństwie do poprzedniego utworu ten tekst brzmi dziś już anachronicznie]:

Gdy się junta wystrzela,
trafi szlag Jaruzela
Orła wrona nie zdoła pokonać

Wtedy wolni związkowcy, ekstremiści, korowcy
Na premiera wybiorą Kuronia
Wtedy wolni związkowcy, ekstremiści, korowcy
Na premiera wybiorą Kuronia

Będą tańczyć wśród zgliszczy Gwiazda, Jurczyk i Michnik
wokół trumny Siwaka Albina
Na wieść o tym sam Breżniew tak potężnie się zerżnie,
Że rozpadnie się mumia Lenina,
Na wieść o tym sam Breżniew tak potężnie się zerżnie,
Że rozpadnie się mumia Lenina

Potem wszystkich czerwonych hen za Ural się zgoni
I gdy Polska narodzi się nowa
Chińczyk gorszy od Berii każe im na Syberii
Aż do śmierci komunę budować
Chińczyk gorszy od Berii każe im na Syberii
Aż do śmierci komunę budować]

3) *Hymn anarchistów katalońskich („Wyrwij murom zęby krat...")* [Chodzi o popularne „Mury" na motywach pieśni Louisa Llacha z polskim tekstem Jacka Kaczmarskiego],

4) *„Choćbyś Wojtuś sto dekretów wyrychtował..."* [Autorem słów do popularnej góralskiej muzyki był Stanisław Kaleciak – internowany inżynier z Nowego Targu].

W „Niepodległości" nr 4 z 12 kwietnia 1982 r. opublikowano słowa kolejnej pieśni z Załęża*: (Na mel. „Pieśni konfederatów barskich")*

Lepszą stworzymy przyszłość naszych dzieci
Żadne zwątpienie w sercach już nie gości
Wszak mimo nocy, jasna gwiazda świeci
Solidarności...
Krwawe się zbrodni przepełniło morze
Wkrótce wbrew partii, przeciw jej podłości
Nad polskim krajem srebrne wzejdą zorze
Sprawiedliwości ...
Jarzmo zrzucimy i sowieckim wrogom
Kalać nie damy wiary i godności
I Piłsudskiego śladem, pójdziem drogą
Niepodległości...

Ośrodek odosobnienia dla internowanych Rzeszów-Załęże 27 I 1982.

W związku ze wspólnymi śpiewami SB usiłowała doprowadzić do skazania kilku osób.

Mikulec: *Ubecja przy pomocy klawisza Woszczaka i kalifaktora Jana Nowaka ze Stalowej Woli (odsiadywał wyrok 6 lat) spowodowała donos i prokuratura wojskowa w Rzeszowie z początkiem marca 1982 przeniosła całą czwórkę* [z celi 238] *„na sankcję".*

W informacji SB z Załęża z 12 lutego 1982 r. (jej adresatem był mjr Nogieć) czytamy: *W dniu 5 lutego br. skierowano do Garnizonowej Prokuratury Wojskowej w Rzeszowie dwa wnioski o ściganie ... internowanych:*

1. Tadeusza Górczyka (...) i Zbigniewa Hobrzyka (...), którzy w Ośrodku Odosobnienia dla Internowanych w Rzeszowie-Załężu pisali i rozpowszechniali teksty (wierszy i piosenek) o treści antypaństwowej i antysocjalistycznej.

2. Jerzego Piekarskiego (...), Krzysztofa Krzysztofiaka (...), Bogdana Klicha (...) i Jerzego [właśc. Zbigniewa] *Solaka (...), którzy wyszydzali i poniżali ustrój PRL oraz rozpowszechniali fałszywe wiadomości, mogące wyrządzić szkodę interesom PRL w ten sposób, że śpiewali piosenki o treści antypaństwowej i antysocjalistycznej, w sposób wyczerpujący znamiona publiczności czynu.*

Ostatecznie przed sądem postawiono czterech „załężowskich śpiewaków" z celi nr 238. Aresztowano ich 8 marca 1982 r. Zostali oskarżeni o to, że w miejscu publicznym „przez śpiewanie piosenek o treściach antypaństwowych i antysocjalistycznych publicznie lżyli, wyszydzali i poniżali Naród Polski, Polską Rzeczpospolitą Ludową, jej ustrój i naczelne organy", tj. o przestępstwo z art. 270 § 1 kodeksu karnego.

Dowodem „przestępstwa" były m.in. nagrania magnetofonowe, które wykonał kpt. Ziobro. Zachowała się jego notatka z 2 lutego 1982 r., w której szczegółowo relacjonuje okoliczności popełnienia „przestępstwa": *Między godziną 21-ą a 22-gą w Ośrodku Odosobnienia dla Internowanych w Rzeszowie Załężu, na Oddziale II dokonałem nagrania śpiewanych pieśni przez internowanych. Nagranie utrwalono przy użyciu magnetofonu kasetowego marki „Toshiba" oraz taśmy kasetowej marki „LH SMcasette 120". Na taśmie jest utrwalona pieśń śpiewana (solo) na melodię Roty w celi Nr 235 przez Ryszarda Majdzika, zaczynająca się od słów, cyt. „nie będzie Sowiet pluł nam w twarz, ni dzieci nam tumanił...". Następnie internowani zamieszkali w celi Nr 238 Jerzy* [właśc. Zbigniew] *Solak, Bogdan Klich, Krzysztof Krzysztofiak i Jerzy Piekarski śpiewali dwie wulgarne pieśni o treści antypaństwowej. Pierwsza zaczynająca się od słów, cyt. „Gdy się hunta wystrzela trafi szlag Jaruzela..", a kończąca się na słowach „Chińczyk gorszy od Berii każe im na Syberii aż do śmierci komunę budować...". Druga pieśń na melodię kolędy zaczyna się od słów, cyt. „Bóg się rodzi a rodacy po więzieniach rozrzuceni...", a kończąca się słowami, cyt. „by się zdrajcom nie zdawało, że zawładną Polską całą a słowo ciałem się stało i z nami zamieszkało".* [Śpiew pieśni] *słyszany był na całej długości korytarza II-go Oddziału.* [Przez otwarte *okna] rozchodził się też na sąsiednie oddziały i pawilony.*

Prokurator żądał dla oskarżonych po 3 lata (sic!) więzienia.

W tej sprawie prokuratura usiłowała przesłuchiwać internowanych.

Tatara: *Wezwał mnie umundurowany prokurator prowadzący sprawę przeciwko czterem internowanym z naszego piętra, aresztowanym za śpiewanie antyreżimowych piosenek. Prokurator pytał mnie, czy słyszałem, co śpiewano, pokazując mi maszynopisy z tekstami wszystkich naszych piosenek. Powiedziałem, że nic nie słyszałem, po czym on spytał: „To znaczy nie podpisze pan protokołu?". Odpowiedziałem: „Oczywiście, że nie".*

Finał sprawy „śpiewaków" relacjonuje Waldemar Mikulec: *Przebywali w Załężu do listopada 1982. Rozprawa się nie odbywała z powodu przeciągającej się choroby nerek Klicha. W listopadzie 1982 sąd wojskowy wydał wyrok uniewinniający, uznając, że więzienie nie jest miejscem publicznym.*

Głośne śpiewy internowanych były też elementem uroczystych obchodów kolejnych miesięcznic wprowadzenia stanu wojennego oraz mszy świętych.

Mikulec: *Szczególnie uroczyście i równocześnie żałobnie obchodziliśmy 13. każdego miesiąca. Głodowaliśmy prawie wszyscy (ci tylko jedli, którzy ze względów zdrowotnych musieli) oraz wieczorem śpiewaliśmy, wszystkie 3 oddziały, pieśni przez otwarte okna i paliliśmy świeczki w oknach. Budynek trząsł się od silnego śpiewu, a dzięki widzeniom mieliśmy informacje, że słychać je było na peryferiach Rzeszowa.*

Okazją do prezentowania naszego repertuaru były przede wszystkim msze święte. Zawsze po zakończeniu śpiewaliśmy:

- *„Boże coś Polskę" (4 zwrotki),*
- *„Rotę",*
- *„Pieśń konfederatów barskich".*

Niektórzy księża byli trochę przerażeni naszym śpiewem i wkrótce zaczęli nam mówić, że władze więzienne robią trudności w posłudze kapłańskiej, jako odwet za pieśni, które śpiewamy. Dlatego prosili o nieśpiewanie po mszach. Niewiele to pomogło. Nie mogliśmy pozwolić na dyktowanie nam przez ubecję, czy i co mamy śpiewać. Toteż zawsze msza święta kończyła się stałym repertuarem.

Gdy idzie o posługę kapłańską w Załężu, to po mszy noworocznej zaczęli nas nabijać w butelkę i nie dopuszczali, aby msza była na naszym oddziale. Obawiali się kolejnej akcji protestacyjnej po wyjściu na korytarz, przecieku informacji (trwała bowiem głodówka). Bali się też nadmiernej integracji oddziału. Msze odbywały się na oddziale III i IV, a nam transmitowano bądź mszę z tamtych oddziałów, bądź z radia, nierzadko ze sporym opóźnieniem. Na oddział wpuszczono tylko księży, którzy spowiadali. Aby jednak móc się wyspowiadać, trzeba było zapisać się na odpowiedniej karteczce u klawisza. Ubecja prowadziła ścisłą kontrolę tych, którzy się spowiadali. Wiadomo było, że jest to jedyny kontakt i możliwość przekazania grypsów i listów. Niestety, nie mieliśmy pełnego zaufania do spowiadających księży. Niektórych nikt nie znał. Zdarzyła się nawet wpadka listów i grypsów. Chodziły słuchy o księżach podstawionych. Ponadto księży rewidowano przy wyjściu. Do spowiedzi wychodziło się na korytarz lub do świetlicy. Korytarz wypełniony był mrowiem mundurowych – moro, panterki, stalowe mundury Służby Więziennej. A za kratą na dyżurce przemykali cichociemni – brzuchaci ubecy zerkający ukradkiem na niepewny krakowski oddział „internistów".

Z biegiem czasu zapoznaliśmy się ze stałymi kapelanami, którzy przyjeżdżali do nas z Krakowa (ks. Władysław Palmowski i inni z Mogiły oraz z Mistrzejowic). Szczególnie wspaniały był ks. Palmowski – zawsze uśmiechnięty, odważny, wszystko zabierał i przekazywał.

W styczniu mieliśmy mszę świętą na żywo dopiero pod koniec miesiąca. Podzielono oddział na połowę (stronami korytarza) i odprawiono dwie msze w świetlicy. Całość nabożeństwa nagrywano. Robił to kalifaktor na polecenie klawisza, a ten działał na polecenie ubecji. Na korytarzu ustawiony był gęsto szpaler ZOMO-klawiszy, którzy pilnowali, aby po wyjściu z celi nie rozmawiać przez „żydy" z drugą połową cel. Atmosfera grozy i strachu zlewała się z podniosłością Eucharystii.

Tadeusz Kensy: *SB dawała klawiszom listy księży „non grata". Jednym z nich był krakowski dominikanin o. Andrzej Kłoczowski. Przyjechał kiedyś (w lutym lub marcu) do Załęża z innym księdzem. Był w cywilnym ubraniu, drobny, chudy – wpuścili. Panika wybuchła, gdy z teczki wyjął i ubrał biały habit. Widocznie były instrukcje, by dominikanów nie wpuszczać (poznając po białych habitach). Ale było już za późno i nikt „Kłocza" nie odważył się cofnąć. Ten wtedy opowiadał nam internowanym, że nasza sytuacja przypomina mu bacę z dowcipu, który się Panu Bogu „cosik, kurwa, ni podobał". Klawisze przerażeni samym faktem wpuszczenia dominikanina, słuchając tego dowcipu drętwieli do reszty.*

***

Internowani mieli utrudniony kontakt ze światem zewnętrznym. Utrudnienia dotyczyły zarówno korespondencji i paczek, jak i widzeń z najbliższymi. Z czasem następowała w tej dziedzinie pewna liberalizacja.

Mikulec: *Zazwyczaj po mszach świętych wręczano dary przyniesione z krakowskiej kurii: czekolady, tytoń, bibułki, papierosy, jabłka, cebulę. Od lutego zawsze też rozdzielano pocztę.*

17 stycznia 1982 dostałem paczkę z domu zapakowaną w pudełko, w którym jako dziecko trzymałem zabawki na choinkę. Łzy same cisnęły mi się do oczu, a jedzenie przygotowane przez mamę stawało w gardle. Jednocześnie tej niedzieli (tj. 17 stycznia 1982) wszyscy dostaliśmy paczki od rzeszowian. Na apel Kościoła o dary dla internowanych w Załężu plebanie i Kuria Przemyska były wprost oblężone. Zasypano nas ogromną ilością jedzenia. A dla nas jeszcze raz potwierdziła się maksyma, że solidarność ludzka, która rozwinęła się przez te 16 miesięcy, nie była czczym frazesem.

Sprawą niezwykłej wagi były widzenia. Była to najdrażliwsza kwestia od początku internowania. Widoczne było, że droga listowna była silnie cenzurowana, innych kanałów informacji jeszcze nie utworzono, pozostawała więc jedynie droga ustna na widzeniach, gdzie można było też przekazać grypsy. Kilka informacji było nie cierpiących zwłoki (miejsca ukrycia maszyn drukarskich, papieru, pieniędzy) i musiały niezwłocznie trafić do właściwych rąk.

Zdobyliśmy sposób na przekazywanie informacji od szczególnie inwigilowanych, którym nie zezwolono na widzenia lub jeżeli im pozwolono, to na osobności pod ścisłą obserwacją. Po prostu przekazywali oni grypsy osobom, które miały względną swobodę ruchu na widzeniu.

Widzenie trwało 60 minut z późniejszą (w marcu i kwietniu) możliwością przedłużenia do 2 godzin za zgodą komendanta (zazwyczaj podania załatwiał pozytywnie). Początkowo (tzn. w styczniu 1982) udzielano jednego widzenia i to z trudnościami. Dopiero później zezwolono na dwa widzenia, a nawet dochodziło do takich paradoksów, że Modelski poszedł się kłócić do komendanta o 7. widzenie w miesiącu.

Widzenia odbywały się w soboty, niedzielę i poniedziałki od 9.00 do 16.00. Tym, których chciano szczególnie inwigilować, udzielano widzeń po 16.00, pilnując ich wtedy w dużej sali widzeń.

W niedzielę, gdy na sali było bardzo ciasno, jeden klawisz nie miał prawie w ogóle możliwości skutecznego pilnowania.

Widzenia, choć połączone dla najbliższych z dużym wysiłkiem, miały wielkie znaczenie moralne dla internowanych.

Mikulec: *Szczególną gehennę przeżywały nasze rodziny, czekając na widzenie. Prawie wszyscy byli po nieprzespanej nocy – podróży w zatłoczonych pociągach (z przesiadkami), wymarznięci (bo zima tego roku była straszna – temperatura wahała się od minus 25 do minus 30 stopni Celsjusza), wygnieceni w kolejce po nadanie paczki, wymęczeni w kolejce po udzielenie widzenia. To, co przeżywały rodziny, mogą tylko one opowiedzieć – matki z dziećmi (od kilkumiesięcznych po starsze), matki staruszki, starzy ojcowie, żony w ciąży – całe pokolenia. Trzeba dodać, że połączenie kolejowe Rzeszów – Nowy Sącz wyglądało opłakanie i aby dojechać do Załęża, potrzeba było nieraz 12-16 godzin.*

Atmosfera widzeń była wspaniała – wszyscy czuliśmy się jedną rodziną, ściskaliśmy się, życzyliśmy zdrowia, siły, wytrwania, zwycięstwa, a rozstawione na pożegnanie palce i załzawione oczy żon, matek, ojców, wyciągnięte rączki dzieci były widokiem, którego nigdy nie zapomnimy.

Po raz pierwszy spotkałem się z ojcem 9 stycznia 1982 w Załężu. W domu przeżywano tragedię, bo do 30 grudnia 1981 nikt nic nie wiedział, co się ze mną dzieje. Najgorsze przypuszczenia zaprzątały głowy. Mówiono o mojej śmierci, o rozstrzelaniu. Inna wersja mówiła o grupie studentów i pracowników HiL, którzy zostali wysadzeni w tlenowni po

rozbiciu strajku w HiL. Jeszcze inne wersje podawały informację o rzekomym wywiezieniu nas poza wschodnią granicę. Zresztą informację tę potwierdziła wizyta 30 grudnia 1981 w Nowym Wiśniczu, kiedy to ojca poinformowano, że grupa internowanych z Krakowa wyjechała na Wschód w nieznanym kierunku. To już wystarczyło.

Pierwsze widzenie z ojcem było pełne bólu, rozpaczy i wyrzutów. Ojciec był tak roztrzęsiony, że wszelka rozmowa o naszej sytuacji była dla niego czystym fantazjowaniem. Po prostu nie rozumiał, co się stało. Rzeczywistość z trudem mieściła się w jego głowie.

Na drugie widzenie (19 stycznia 1982) przyjechała mama. Niestety, nie została dopuszczona [Właśnie w tym dniu doszło w Załężu do buntu]. *Kazano im czekać do godziny 16.00 i potem wyrzucono poza obręb więzienia. Bestialstwo! Wieczorem otrzymałem paczkę i list, że była tutaj w niedalekiej odległości, czekała, że się uściskamy razem i, niestety... Chciałem ze złości rzucić się na klawisza, który przyniósł paczkę i wydawał mi ją na dyżurce, starannie jeszcze raz przeszukując.*

Widzenia podczas każdej akcji protestacyjnej były wstrzymywane – obawiano się kontaktu i szybkiego przekazywania informacji. Gdzieś w lutym któryś z internowanych po bardzo dokładnie przeprowadzonej rewizji przy wyjściu na widzenie zapytał, w jakim celu to robią. Odpowiedź padła: „Bezpieka szaleje, bo cokolwiek się stanie w Załężu, to na drugi dzień wie już o tym Wolna Europa". Największe nasilenie kontroli i zaostrzenie rygorów bezpieczeństwa przy widzeniach i korespondencji było w lutym. Jednak osobiste rewizje, oddzielne widzenia, zaostrzona cenzura nie pomagały. Informacje docierały do właściwych rąk i świat wiedział, jaka jest sytuacja internowanych w Polsce.

Waldemar Mikulec w swym pamiętniku we wzruszających słowach dziękuje za wsparcie najbliższym, m.in. Magdalenie – przyszłej żonie: *Rozłączenie z Magdaleną przeżywałem ciężko. Cały czas stały mi przed oczami jej zapłakane oczy, błagające i jednocześnie wspierające mnie w tych chwilach. Dla nich właśnie wiedziałem, że muszę wytrwać, nie mogę ich zawieść. Wtedy właśnie, gdy nie było jej przy mnie, jej obecność czułem najbardziej. I nigdy nie kochałem jej tak, jak wtedy. Dziś, gdy wkrótce ma mi dać córkę lub syna, kocham ją równe mocno i szczerze, ale tamto uczucie zza krat było czymś niezwykłym. Była dzielną dziewczyną w chwilach, które przecież dla jej dziewczęcej psychiki był bardzo ciężkim brzemieniem. Tej miłości, którą w listach przelewała na papier, nie zapomnę jej nigdy. Nigdy też nie zapomnę tych dwóch widzeń, na które przyjechała. Nie zapomnę tego, co zrobiła dla moich załamanych rodziców. Może kiedyś po latach, gdy mnie już nie będzie, wpadną Ci w ręce, Najdroższa Magdziu, te słowa. Pomyśl wtedy o tych chwilach pełnych nadziei, ociekających tęsknotą i smutkiem, i nie płacz, bo gdziekolwiek będę, będę Cię kochał tak bardzo, jak wtedy.*

Cytujemy ten bardzo osobisty tekst nieżyjącego już Waldemara Mikulca, bo zwraca uwagę na ważną rolę bliskich i rodzin osób internowanych. Każdy z uwięzionych zostawił po drugiej stronie krat swoją Magdalenę, swoich rodziców czy dzieci – najbliższych, którzy byli dla niego źródłem siły w tym trudnym okresie.

***

Przejawem liberalizacji dyscypliny w Załężu były śluby zawierane w warunkach obozowych. Zawarli je między innymi Adam Macedoński i Eugeniusz Koch.

***

Wiele do życzenia pozostawiała opieka lekarska.

Mikulec: *Cała ta opieka zdrowotna była prowadzona wyłącznie w celach propagan-*

dowych. Najczęściej internowani korzystali z pomocy lekarza – dodajmy – lekarza specjalnego, porucznika SB. Flegmatyczność w wydawaniu diagnoz i ich mętność umacniały naszą niechęć do jakiegokolwiek leczenia się.

Szczególne problemy powstawały w przypadku, gdy ktoś poważniej zachorował. Lekarz dysponował zawsze szpitalem więziennym, ale na tym tle powstawały zatargi, bo my nie godziliśmy się na pobyt w szpitalach więziennych. Zgoda na nie oznaczałaby akceptację przez nas więziennego statusu.

Ogromne zaniedbania zdrowotne niektórych internowanych zostały dostrzeżone przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż w czasie wizytacji w marcu 1982. Orzeczenia lekarza szwajcarskiego dra Franka sprawiły, że ubecja musiała się zgodzić na hospitalizację niektórych osób i kilka zwolnień z ośrodka.

Trzymano jednak osoby z przewlekłym zapaleniem płuc (np. Łukasz Świerz – student UJ), astmatyków (np. Adam Grudziński), a przede wszystkim – sercowców. Wielu internowanych miało opinie ekspertów, którzy ostrzegali przed groźnymi skutkami w przypadku ich przebywania w więzieniu. Niestety, na niewiele się to zdało.

Bardzo miła obsługa była przy lampach kwarcowych – młody chłopak (ok. 24 lata) z Rzeszowa. Chętnie przekazywał małe paczuszki od chłopaków z celi 238, gdy przeniesiono ich na oddział śledczy. Oni też używali lamp.

Stan zdrowia internowanych systematycznie się pogarszał. Złożyło się na to kilka przyczyn:

- *— nerwowość, stres i nieustanne psychiczne rozdrażnienie (ma to destrukcyjny wpływ na organizm),*
- *— słabe wyżywienie (w efekcie choroby układu pokarmowego),*
- *— częste głodówki – kilkudniowe, tygodniowe, wielotygodniowe (np. głodówki Wieśka Nowackiego – kolejno: 7 dni, 21 dni i 50 dni czy głodówka Ryśka Majdzika – 51 dni),*
- *— brak należytego ogrzewania cel (w niektórych przy 25-30-stopniowym mrozie nie działały kaloryfery),*
- *— brak właściwej i szybkiej diagnozy oraz lekarstw,*
- *— poważny wiek niektórych internowanych, np. Krupiarz – ponad 60 lat, Hnatowicz, Mietek Majdzik – 55 lat, Mazurkiewicz – 50 lat.*

Rachunek znamy wszyscy. Śmierć Gajki Kuroń [Grażyna Kuroń została internowana 15 grudnia 1981 r. Więziono ją w Gołdapi i w Darłówku. Zwolniona została przez władze stanu wojennego w czerwcu 1982 r. ze względów zdrowotnych. Trafiła do szpitala z podejrzeniem poważnego bakteryjnego zapalenia płuc lub gruźlicy. Zmarła w listopadzie 1982 r. Jackowi Kuroniowi (siedział w więzieniu) nie pozwolono spędzić ostatnich chwil z umierającą żoną. Był z nią dzień przed śmiercią, spędzili razem cały dzień, ale wieczorem odwieziono go z powrotem do więzienia], *śmierć Adama Grudzińskiego – naszego kolegi z Załęża. Do dziś widzę jego uśmiechniętą za okularami twarz z brodą, kiedy wychodził z platerami po obiad. Pozostanie w naszej świadomości jako męczennik, jako martwy świadek naszej wspólnej sprawy. Na choroby nerek zapadli Robert Kaczmarek, Piotrek Gajdarski i inni, których nie wymieniam...*

Do śmiertelnych ofiar internowania należałoby także zaliczyć Emilię Afenda-Dadał, która – pomimo ciężkiej choroby – była internowana aż do lipca 1982 r. W internacie straciła zdrowie i po zwolnieniu z obozu nie wróciła już ani do zdrowia, ani do działalności politycznej. Zmarła 18 stycznia 1985 r. w Krakowie...

***

Mikulec: *Życie w więziennej scenerii przypomina każdego dnia podróż pociągiem ze stukiem szyn, powtarzającym się w równych odstępach czasu, stukiem, który podkreśla okropną monotonię. Monotonia może nawet zabić, są na to przykłady. Więzień pozostaje sam na sam ze swoją wyobraźnią i z celą. Ogromną rolę musi odgrywać właśnie wyobraźnia – ten własny świat wewnętrzny. Odczuwaliśmy brak dobrych książek czy gazet.*

Mimo to życie w celach bywało ciekawe i różnorodne dzięki naszej zaradności. Ogromnym kłopotem była duża porcja wolnego czasu, którym każdy z nas dysponował. Wykorzystanie go we właściwy sposób było naglącą potrzebą. Nie funkcjonowały już reguły życia zbiorowego z Wiśnicza, bo byliśmy porozbijani na małe, 4-5-osobowe grupy. Pozostawała inicjatywa każdej celi.

Jako jedna z pierwszych cel zaczęliśmy myśleć nad zrobieniem własnej więziennej grzałki. Brak gorącej wody uniemożliwiał zrobienie herbaty. Zająłem się przygotowaniem uchwytów do żarówki przy suficie, następnie Wiesiek zorganizował dwie żyletki i – wykorzystując kabel od radiowęzła – mogliśmy przygotować sobie wrzątek. Zaczął się 4-miesięczny romans z „czajem" (to parafraza tytułu książki Jana Błońskiego „Romans z tekstem"). Do dziś nie odzwyczaiłem się od picia silnej herbaty. Kłopot polegał na tym, że kabel od grzałki był bardzo krótki (ok. 30 cm). Musieliśmy gotować na dwóch taboretach, trzymając słoiki w ręczniku lub garnuszku. Było to i niewygodne, i niebezpieczne. Klawisze, gdy tylko zaobserwowali spadek napięcia lub mruganie światła, tępili wszelkie objawy piractwa elektrycznego. Z mizernym skutkiem.

Wiesiek miał karty do brydża przemycone z Wiśnicza przez Zbyluta Grzywacza. Zaczął nas szkolić w brydżu, z mizernym skutkiem. Ale zazwyczaj zasiadaliśmy do gry po apelu, aż do zgaszenia światła. W czasie głodówki Wiesiek regularnie był wzywany do lekarza. Otrzymywał od niego, prócz surowej reprymendy, witaminy w przeróżnych kolorach. Powstała myśl zrobienia warcabów.

Po zgaszeniu światła rozpoczynały się długie, wielogodzinne dysputy. Głównym wodzirejem był Wiesiek. Jego wytrwałość w opowiadaniu była imponująca. Niejednokrotnie wszyscy zasypiali, a Wiesiek mówił i mówił. Raz przebudziłem się późno w nocy i, o dziwo, dobiegał mnie głos snutej przez Nowackiego sensacyjnej opowieści.

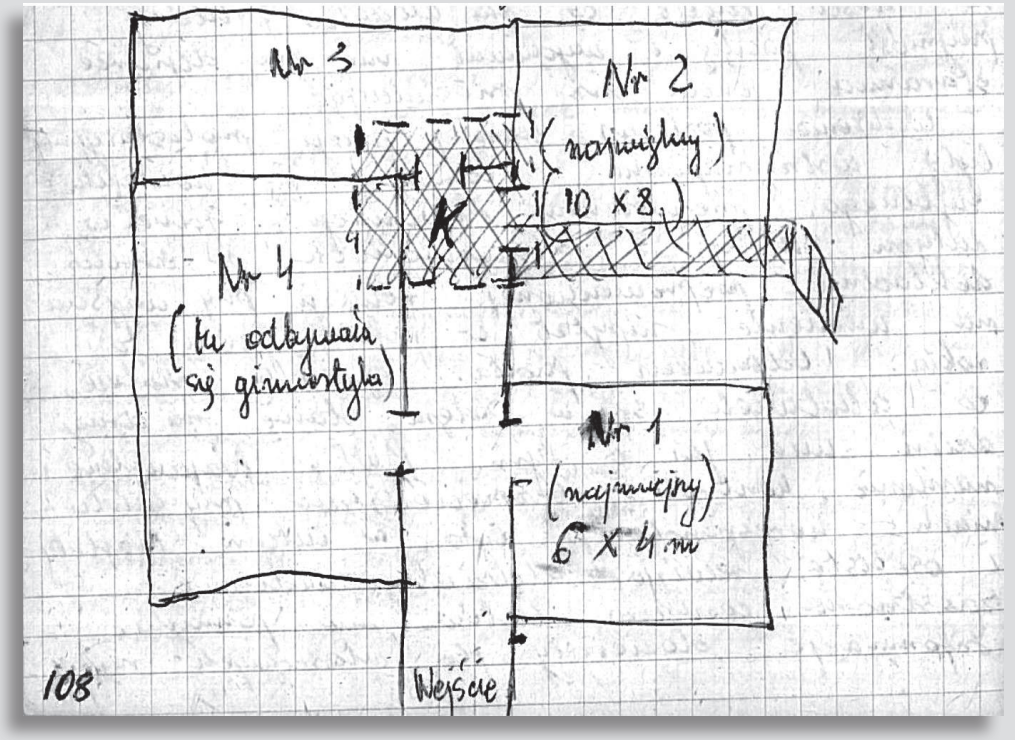
***

Władze więzienne dążyły do izolacji poszczególnych cel i utrudniały internowanym porozumiewanie się między celami. Początkowo jedyną okazją porozumiewania się był spacer.

Waldemar Mikulec: *To był jedyny moment, kiedy mieliśmy kontakt z sąsiednimi celami. Było jednak utrudnienie, bo na spacer wychodziliśmy w odpowiednio ułożonych grupach spacerowych. Łączono zwykle 2 do 5 cel. Nasza cela (234) wychodziła na spacer z celami 232, 233, 235 i 237, a na początku także z 236. Później zmieniono grafik i zamiast cel 235, 236, 237, wychodziliśmy z celą 240 (Kukla, Skóra, Koch). Po przeniesieniu Jurka Mohla do celi 218, chodziliśmy także z ludźmi z tej celi na spacer.*

Wyjście na spacernik znajdowało się za świetlicą. W styczniu i w lutym spacer odbywał się przed południem, w marcu i w kwietniu – także po południu (mieliśmy bowiem w tym czasie prawo do 2 godzin spaceru).

Spacerniki były zbudowane z betonowych płyt o grubości ok. 20-30 cm i wysokości 2,5 metra. Wszystkie, wraz z wejściem, były pokryte dobrze przymocowaną siatką. Założona była prawdopodobnie po buncie więźniów i ucieczce ze spacernika na komin kotłowni.



Układ spacerników w Załężu. *Spacerniki były zbudowane z betonowych płyt o grubości ok. 20-30 cm i wysokości 2,5 metra. Wszystkie, wraz z wejściem, były pokryte dobrze przymocowaną siatką. Założona była prawdopodobnie po buncie więźniów i ucieczce ze spacernika na komin kotłowni. W każdym spacerniku był betonowy chodnik szerokości 50 cm, zazwyczaj mniejszy niż obwód spacernika. Na szkicu spacernika kwadrat zaznaczony zakreskowaną powierzchnią oznaczony literą K to kogut – platforma metalowa nad spacernikiem, na której zawsze stał uzbrojony klawisz z krótkofalówką. Pilnowani byliśmy bardzo dobrze.* Rys. Waldemar Mikulec

W każdym spacerniku był betonowy chodnik szerokości 50 cm, zazwyczaj mniejszy niż obwód spacernika. Na szkicu spacernika kwadrat zaznaczony zakreskowaną powierzchnią oznaczony literą K to kogut – platforma metalowa nad spacernikiem, na której zawsze stał uzbrojony klawisz z krótkofalówką. Pilnowani byliśmy bardzo dobrze.

Na spacerze najczęściej w zimie (styczeń, luty) chodziło się w kółko, wdychając mroźne, świeże powietrze. Styczeń i luty były bardzo zimne, ok. minus 20 stopni.

Internowani wykorzystywali do przekazywania informacji także inne kontakty w więzieniu z mieszkańcami innych cel. Mikulec: *Miejscami kontaktów internowanych były także kąpiele, msze święte, widzenia. Niestety, nie zawsze można się było spotkać z tymi, z którymi akurat chciało się widzieć. Pozostawało więc obmyślanie* [bezpośrednich] *kontaktów między celami. Początkowo przekazywaliśmy grypsy w kopertach przez szparę między drzwiami a skrzynką w czasie wychodzenia na spacer bądź powrotu ze spaceru. W dość szybki sposób nawiązywaliśmy kontakt z sąsiednimi celami przez okna, stukając w ścianę. Narażaliśmy się jednak na możliwość przejęcia informacji. Nie wiadomo, kto mógł usłyszeć informację.*

Gdzieś po 10 stycznia 1982 przywieziono kilku rozmownych kryminalistów z Zakopanego, Nowego Targu i Nowego Sącza. Czterech z nich umieszczono w celi 233. Nawiązaliśmy z nimi na spacerze dość szybko kontakt. Powiedzieli, że gdy siedzieli w pojedynkach, to przebili w miejscach kontaktów otwory z celi do celi. Pomysł był znakomity, choć wielce ryzykowny. Powiedzieli, że mają zamiar przebić się do nas. I rzeczywiście, w któryś dzień miarowe stuki zaczęły dochodzić z 233. Wyjęliśmy kontakt z napisem „Służba" i po kilku uderzeniach wyleciała dziura średnicy ok. 10 cm. Mogliśmy podawać przez nią prawie wszystko. Najważniejsze, że można było przekazywać informacje. Z kryminalistami nie mieliśmy wielu wspólnych tematów, ale takie otwory były szczególnie przydatne między „naszymi".

Patent był gotowy i zaczęliśmy go sprzedawać. Gorącym zwolennikiem zainstalowania takiego kanału informacji był Wiesiek Nowacki. Rozpoczął opisywanie na kartkach papieru, w jaki sposób zrobić dziurę w miejscu, gdzie jest najcieńszy mur, tj. w kontakcie. Nie poprzestał na tym. Taki typ dziur dawał możliwość połączeń między dwoma celami. Należało jeszcze opracować połączenie z celą 235. Wiesiek postanowił zrobić drugą dziurę. Zawsze zresztą był zwolennikiem zdecydowanych i równocześnie niezwykłych i niezrozumiałych dla innych rozwiązań. Brak mu było tylko narzędzi do przebicia dziury. Postanowiliśmy rozmontować jedną pryczę – Wieśka. Wyłamaliśmy z niej pokaźny pręt 2,5 na 80 cm. Brakowało nam tylko czegoś ostrego. Wiesiek i z tym sobie poradził. Podczas kąpieli w łaźni złapał się rury z wodą, która umocowana była na pręcie o średnicy 0,8 mm. Oczywiście, jak to Wiesio, pręt wyrwał, ale przy okazji wyrwał też rurę z wrząca wodą. Narobił przy tym ogromnej paniki w łaźni. Ja przeniosłem pręt w skarpecie i pod spodniami. Wiesiek jeszcze rozmontował wywietrznik i zrobił dłuto. Mieliśmy już komplet potrzebnych narzędzi. Rozpoczęliśmy prace nad otworem do 235. Zaczęliśmy wiercić tuż przy barierze oddzielającej kibel. Praca szła opornie. Ponadto, co chwila musieliśmy nasłuchiwać kroków na korytarzu. Huk przy uderzeniu w ścianę na całym oddziale był ogromny. Toteż po kilku uderzeniach nasłuchiwaliśmy kroków. Klawisze zaczęli szybko chodzić po korytarzu, ale przy świetnej akustyce, mieli kłopoty z lokalizacją huku. Przy tym okropnie się kurzyło. Płyty ścienne zawierały dużo kredy. Po kilku godzinach cała cela, łóżka, stołki pokryte były grubą warstwą białego kurzu, a od drzwi do dziury wydeptaliśmy ścieżkę, biegając słuchać, czy ktoś nie nadchodzi. Najbiedniejszy był Krzysiek Maciejowski, który nie akceptował wybijania dziury. Kucie w ścianie odbywało się tuż nad jego głową. Gdy zaczęliśmy kuć, Krzysiek spał, jak zwykle zresztą. W chwilę potem przebudził się cały w bieli, a najwięcej kurzu miał w krętych, czarnych włosach. Rzucił swoje nieodłączne: „Wiesiek, ty ryży kocie" i szybko przeniósł się na moją piętrową pryczę.

Po południu przebiliśmy się do Hnatowicza, Ryśka Majdzika i Franczyka. Byli bardzo wystraszeni. Gdy chcieliśmy poszerzać dziurę, błagali, że już wystarczy. Szczególnie zaniepokojony był Romek Hnatowicz. Jako pierwsza cela mieliśmy połączenia w obie strony. Wkrótce cała nasza strona korytarza była „zradiofonizowana". Informacje szybko przechodziły z 243 do 233. Bardzo ułatwiało to koordynację wszystkich akcji, przekazywanie grypsów, bibuły. Na przełomie lutego i marca zaczęły docierać do nas „Aktualności" i małopolski „Serwis Informacyjny". Czytaliśmy z zapartym tchem.

Tak więc bez łaski bezpieki mieliśmy własny niezależny obieg informacji. Niektórzy klawisze doskonale wiedzieli o tych dziurach, ale nikomu o tym nie mówili. Ceniliśmy ich za to, dając często produkty z paczek.

Jeszcze innym sposobem kontaktowania się były apele internowanych przeprowadzane po zgaszeniu światła o godzinie 21.00. Prowadzono je w ten sposób, że każda cela podawała swój stan (nazwiska i imiona), ewentualnie zmiany w stanie celi (zwolnienia,

przybycia, przeniesienia), informacje o przesłuchaniach, represjach, rewizjach. Był to znakomity sposób informacji. Denerwował strasznie ubeków, którzy po cichu stąpali korytarzem, słuchając wyróżniających się w gardłowaniu internowanych. W prowadzeniu apeli wyróżniali się Adam Macedoński i Staszek Tatara.

***

Cały czas internowani w Załężu podlegali „pracy operacyjnej" SB. Polegała ona na inwigilacji, szykanowaniu i łamaniu ludzi. Celem SB było pozyskanie wartościowej agentury, nakłonienie internowanych do emigracji za granicę lub choćby „tylko" złamaniu ich, tak aby po wyjściu na wolność zaniechali działalności opozycyjnej.

Dziś wiadomo, jak nazywali się esbecy wykonujący w Załężu te działania. 4 stycznia 1982 r. mjr Nogieć informował Biuro Śledcze MSW: *Celem prowadzenia intensywnej pracy operacyjnej powołano decyzją Z-cy Komendanta Wojewódzkiego MO d/s Służby Bezpieczeństwa grupę w składzie:*

– kpt. Kazimierz Aleksanderek – Z-ca N-ka Wydziału IV
– kpt. Zbigniew Ziobro – Kier. Sekcji Oper. Wydz. Śledczego
– kpt. Zenon Romowicz – Inspektor Wydziału V
– kpt. Józef Czerwiński – Inspektor Wydziału IV
– ppor. Palmiron Noworyta – Inspektor Wydziału III.

Szef tego zespołu, Kazimierz Aleksanderek, służył w SB od 1972 r. Od 1979 r. był kierownikiem Sekcji Wydziału IV SB KW MO w Krakowie. Nadzorował działalność Samodzielnej Grupy „D" Departamentu IV MSW, mającej na celu dezintegrację środowisk kościelnych, także metodami niezgodnymi z prawem. Jak podaje Marek Lasota, Aleksanderek *prowadził i nadzorował te działania jako pracownik, a następnie jako Kierownik Sekcji. Zakończył działalność w tej dziedzinie, będąc zastępcą Naczelnika Wydziału. W toku realizowanych czynności wobec ks. Jancarza zlecił Wydziałowi „T" dokonanie rozeznania możliwości zainstalowania podsłuchu pokojowego w kościele administrowanym przez tego księdza. W ciągu swojej pracy wielokrotnie uczestniczył w naradach przygotowujących szeroko pojmowane działania dezintegracyjne, aktywnie uczestnicząc w rozpracowywaniu ks. Bardeckiego.* Lasota wymienia jedną z akcji, w których uczestniczył Aleksanderek . *W 1983 Wydział VI Departamentu IV w porozumieniu z wydziałem IV KW MO w Krakowie zaplanował dokonanie napadu rabunkowego na mieszkanie ks. A. Bardeckiego. W tym celu oddelegowany został do Krakowa G*[rzegorz] *Piotrowski* [późniejszy morderca księdza Jerzego Popiełuszki]*, który miał przy współudziale pracowników KW MO w Krakowie dokonać napadu.*

O ciężkich warunkach pracy kpt. Aleksanderka i jego kolegów w Załężu donosił do Warszawy mjr Nogieć w cytowanym dokumencie: *Praca operacyjna w AŚ w Załężu jest utrudniona ze względu na brak możliwości zastosowania środków techniki operacyjnej. W związku z tym praca operacyjna oparta jest na osobowych źródłach informacji (...).*

Bezpośrednie kontakty internowanych poprzez niewygłuszone ściany oraz okna utrudniają pracę operacyjną i stwarzają niebezpieczeństwo dekonspiracji TW. Część internowanych odmawia podjęcia z nami rozmów. Zachowują się agresywnie i prowokująco (...).

W trakcie rozmów część internowanych działaczy Solidarności twierdzi, że kwestią czasu jest, kiedy przejmą oni władzę w kraju. Niektórzy z nich mówią o terminie 3-miesięcznym, a inni o 2-letnim.

W przygotowaniu jest pogłębione opracowanie uzyskanych materiałów, których treść zamieszczona zostanie w kolejnej informacji, jaka zostanie przesłana do Biura Śledczego MSW.

10 stycznia mjr Nogieć złożył zastępcy komendanta wojewódzkiego MO ds. Służby Bezpieczeństwa w Krakowie płk. SB Wiesławowi Działowskiemu informację, którą ten nazajutrz przesłał do dyrektora Biura Śledczego MSW płk. Hipolita Starszaka: *Aktualnie w Ośrodku Odosobnienia dla Internowanych mężczyzn z miejskiego województwa krakowskiego, zlokalizowanym w Areszcie Śledczym w Załężu k/Rzeszowa, przebywa 88 osób, objętych intensywną pracą operacyjną, prowadzoną przez specjalnie do tego powołaną grupę. W toku jej działania, w minionym okresie, przeprowadzono rozmowy operacyjne z 66 osobami. Dialogi operacyjne nawiązano z 22 internowanymi, natomiast do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa pozyskano 6 osób.*

Praca operacyjna doprowadziła do ujawnienia nieformalnej grupy przywódczej, która obecnie inspiruje różnego rodzaju akcje protestacyjne, jak np. głodówki, barykadowanie cel itp. Ponadto rozpoczęto wydawanie nielegalnego pisemka, którego kserokopie dwóch numerów załączam do niniejszej informacji.

W skład grupy przywódczej wchodzi 19 internowanych:

1. *Huget Radosław – wrogie okrzyki, nawoływanie do buntu i nie ulegania „czerwonym", zwolennik podsycania stanu napięcia;*
2. *Batko Leszek – wrogie okrzyki, namawianie do głodówki, zwolennik bojkotu rozmów;*
3. *Skóra Jan – zwolennik akcji protestacyjnych, pisania petycji, uczestnictwo w głodówkach;*
4. *Kuś Stanisław – totalna negacja sytuacji po 13 grudnia 1981;*
5. *Majdzik Ryszard – zwolennik akcji protestacyjnych, pisania petycji, uczestnictwo w głodówkach;*
6. *Majdzik Mieczysław – zwolennik totalnej negacji wszystkiego co związane z obecną rzeczywistością;*
7. *Kukla Wiesław – inspirator manifestacyjnych zachowań, uczestnik głodówek;*
8. *Nowacki Wieńczysław – inspirator głodówki, wrogie okrzyki;*
9. *Kuczera Jerzy – ostentacyjna krytyka obecnej rzeczywistości, wrogie okrzyki;*
10. *Swałtek Jacek – zwolennik akcji protestacyjnych, pisania petycji, uczestnictwo w głodówkach;*
11. *Świerz Łukasz – pisanie petycji, uczestnictwo we wszelkiego rodzaju protestach;*
12. *Sonik Bogusław – inspirator akcji protestacyjnych i manifestacyjnych zachowań;*
13. *Tatara Stanisław – zwolennik totalnej negacji wszystkiego co związane z obecną rzeczywistością;*
14. *Żurek Michał – inspirator akcji protestacyjnych i manifestacyjnych zachowań, a także czynny w nich udział;*
15. *Macedoński Adam – inspirator perspektywicznych działań, twórca nowych koncepcji organizacji podziemia;*
16. *Gąsiorowski Krzysztof – wspieranie działań protestacyjnych, twórca koncepcji politycznych w przyszłości;*
17. *Zmarlik Kazimierz – zwolennik akcji protestacyjnych, pisania petycji, uczestnictwo w głodówkach;*
18. *Apanowicz Kazimierz – inspirator głodówek, zwolennik akcji protestacyjnych, pisanie petycji;*
19. *Solak Jerzy – inicjator akcji protestacyjnych i manifestacyjnych zachowań, pisanie petycji, uczestnictwo we wszelkich akcjach protestacyjnych.*

Warto zwrócić uwagę, że 11 spośród wymienionych wyżej 19 osób, będących wg SB członkami „grupy przywódczej" w Załężu, było w 1982 roku lub wcześniej członkami KPN. Inaczej mówiąc – według oceny SB – wszyscy internowani w Załężu konfederaci (z wyjątkiem Łenyka, ale trzeba pamiętać o jego niepełnosprawności, która utrudniała mu aktywne działania) czynnie angażowali się w opór przeciwko władzom.

Kolejna informacja mjr. Nogiecia, dotycząca pracy operacyjnej w Załężu, pochodzi z 20 stycznia 1982 r.: *W ostatniej dekadzie przeprowadzono 42 rozmowy z internowanymi. Z 31 osobami nawiązano dialogi operacyjne, a 5 dalszych osób pozyskano do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa.*

Z rozmów operacyjnych, jakie przeprowadzono, wynika, że internowani są przekonani, że po zniesieniu stanu wojennego zostanie ogłoszona amnestia, na mocy której zwolni się wszystkich skazanych za przestępstwa polityczne.

W dalszym ciągu internowani nie przestrzegają regulaminów dla nich ustalonych. Wysuwają różnego rodzaju postulaty i wnioski pod adresem władz administracyjno-państwowych oraz Ministerstwa Sprawiedliwości, któremu podlega służba więzienna.

Do najczęściej zgłaszanych należą:

1. prawo do swobodnego poruszania się pomiędzy celami w ciągu dnia,

2. prawo do udziału w praktykach religijnych, jak np. Mszy Świętej, przyjmowanie sakramentów itp.

Nie spełnienie tych, jak również innych postulatów i wniosków, daje asumpt do różnego rodzaju akcji protestacyjnych ze strony internowanych, jak głodówki itp. (…)

Oprócz podejmowania różnego rodzaju akcji protestacyjnych, grupa ta przygotowuje się do podjęcia działań, po zniesieniu stanu wojennego lub wcześniejszym uchyleniu wobec nich decyzji o internowaniu. Wstępnie zorganizowali dwie grupy kierujące działaniami związkowo-politycznymi na wolności. Pierwsza, która działać będzie jawnie, składa się obecnie z następujących osób: R. Majdzika, R. Hugeta, A. Staszczaka, S. Tatary, K. Apanowicza. Natomiast do drugiej, która pracować ma w konspiracji, należy R. Kaczmarek, B. Sonik, K. Gąsiorowski i A. Macedoński.

Na najbliższą dekadę, praca operacyjna będzie nastawiona w dwóch zasadniczych kierunkach. Pierwszym, polegającym na pozyskaniu do współpracy z SB dalszych osób oraz drugim, którego celem będzie rozpoznanie dogłębne grupy przywódczej i jej zamiarów (planów) na przyszłość.

Warto zauważyć, że druga część cytowanego wyżej dokumentu SB zawiera niewiarygodne informacje. Jakakolwiek współpraca Kaczmarka czy Sonika z Gąsiorowskim w ogóle nie wchodziła w grę. Adam Macedoński po wyjściu z internatu był jak najdalszy od uczestniczenia w działaniach konspiracyjnych. Drogi polityczne zaliczonych do pierwszej grupy, po wyjściu z internowania zupełnie się rozeszły. Nikt w późniejszych wspomnieniach nie informował o planach powołania tego typu grup. Trudno dziś ocenić, czy esbecy zmyślili informacje o dwóch grupach (np. aby wykazać się wobec zwierzchników jakimiś efektami swej pracy), czy też zostali wprowadzeni w błąd. W każdym razie to kolejny dowód przeciwko tezie, że SB nie oszukiwała samej siebie...

30 stycznia 1982 r. mjr Nogieć przygotował kolejną informację: *W ostatniej dekadzie w toku (...) działania przeprowadzono 36 rozmów z internowanymi. Z 33 osobami kontynuowano dialogi operacyjne, a 2 dalsze osoby pozyskano do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa.*

Nadal pomiędzy internowanymi a Służbą Więzienną dochodzi do różnego rodzaju drobnych incydentów. W stosunku do internowanych, naruszających regulamin, Komendant Ośrodka stosuje kary porządkowe. Jeżeli natomiast chodzi o wnioski, jakie przekazano

do Prokuratury Rejonowej w Rzeszowie w dniu 22 bm w sprawie pociągnięcia do odpowiedzialności karnej internowanych, winnych zajść, jakie miały miejsce w dniu 19 stycznia 1982 (o czym pisaliśmy poprzednio), to do chwili obecnej Prokuratura nie podjęła decyzji o wszczęciu postępowania przygotowawczego.

W dniu 30 stycznia br. z okazji tzw. „Dnia solidarności z Solidarnością", w około 80% cel, w godz. 19.00-19.30, zgaszono światła i palono lampki wykonane z tłuszczów dostępnych internowanym (masło, smalec itp) oraz śpiewano „Jeszcze Polska nie zginęła", a nadto wznoszono okrzyki „Niech żyje Solidarność!". Poza tym nie doszło do żadnych innych incydentów naruszających regulamin dla internowanych.

I jeszcze jeden meldunek mjr. Nogiecia, z 11 lutego 1982: *W pierwszej dekadzie lutego, przeprowadzono 26 rozmów z internowanymi. Z 7 osobami kontynuowano dialogi operacyjne, a 1 dalszą osobę pozyskano do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa.*

W dalszym ciągu internowani naruszają regulamin i dopuszczają się występków. Są agresywni, reprezentują postawę buntowniczą i oportunistyczną [sic!]. *W stosunku do internowanych naruszających regulamin, Komendant Ośrodka stosuje kary porządkowe.*

Waldemar Mikulec: *Bezpieka przyjmowała w dwóch miejscach. Początkowo w pokoiku lub w nie urządzonej celi w końcu korytarza prowadzącego na widzenia. Szło się tam w towarzystwie ubola. W przesłuchalni stał stolik, dwa krzesła i popielniczka. Druga przesłuchalnia była tuż obok dyżurki klawisza na oddziale II (krakowskim). Tam były dwa biurka, kilka krzeseł i telefon.*

Waldemar Mikulec relacjonuje przebieg swojej pierwszej rozmowy z esbekiem w Załężu. To, co rzuca się w oczy, to esbecka taktyka – jeśli będziesz współpracował, to możesz wcześniej wyjść z internatu. Właśnie takiemu rozbudzaniu nadziei (która później mogła prowadzić do zdrady) służyło zachęcanie internowanych do pisania odwołań od decyzji o internowaniu. Mikulec: *Miałem w Załężu pięć razy kontakt z SB. Moja pierwsza rozmowa z ubekiem (12 stycznia 1982) miała miejsce w pierwszej przesłuchalni. Ubek w stopniu kapitana (jak się później okazało, był to kpt. Ziobro) chciał wyciągnąć ode mnie jak najwięcej informacji. A więc pytał, kto organizował w Zarządzie Regionu grupy kolportujące i malujące hasła, kto dawał ulotki, z kim wychodziłem na kolportaż (nazwiska, adresy). Zbywałem go odpowiedziami ogólnymi lub mówiłem po prostu: „Nie wiem". Nie dowierzał oczywiście, był nadzwyczaj opanowany, ale stanowczy. Nie spieszyło mu się chyba. Wiedział, że spędzę tu jeszcze wiele miesięcy. Kazał mi napisać odwołanie od decyzji o internowaniu do KW MO Kraków. Skutek, oczywiście, był żaden.*

Wrażenia z rozmowy musiałem zrelacjonować w celi – słowo po słowie. Jako pierwszy z celi byłem na przesłuchaniu.

Obowiązek szczegółowego zrelacjonowania przebiegu rozmowy z SB to jedna z podstawowych zasad obowiązujących w działalności opozycyjnej w czasach PRL. Zasada ta była, jak widać, respektowana także w obozach internowania.

Mikulec opisuje w pamiętniku swoje kolejne rozmowy z esbekami w Załężu. Charakterystyczne jest, że ubecy często powracali w rozmowach do wrażliwej dla osadzonych kwestii – terminu zwolnienia z internowania. Dążyli też do tego, aby internowany tłumaczył się przed nimi ze swoich działań, a nawet ze swoich poglądów.

Mikulec: *Druga rozmowa odbyła się dokładnie miesiąc później, tj. 12 lutego 1982 w drugim pokoju, tym obok dyżurki. Za stolikiem siedział młody ubol, otyły i odrażający, który poinformował mnie, że decyzja odnośnie zwolnienia jest w mocy komendanta wojewódzkiego i odpowiedź ma nadejść lada chwila. Osobiście dodał, że nie robi żadnych przeszkód w uchyleniu decyzji.*

Trzecia rozmowa odbyła się 22 lutego 1982 z kpt. Ziobro. Wręczył mi odpowiedź na odwołanie od decyzji o internowaniu (oczywiście odmowną – „nie ustały przyczyny uzasadniające zastosowanie internowania").

Nawiązała się rozmowa odnośnie celowości stosowania tego typu represji. Ubek strzelił wywód o resocjalizacyjnej funkcji zakładu karnego i zapobiegawczej roli internowania. Według niego było to „mniejsze zło". Dyskusja zeszła na kwestie gospodarcze, w których ubek widać nie był silny, bo dał się przyprzeć do muru i nie na wszystkie argumenty miał odpowiedź. Trzeba dodać, że był dosyć uprzejmy, choć perfidny i bardzo pewny siebie. Gdy za kimś stoją czołgi, karabiny, ZOMO to inne argumenty są zbędne.

Kolejna „rozmówka" była gdzieś na początku kwietnia (daty dokładnej nie pamiętam). Kpt. Ziobro był dosyć ostry i drażliwy. Zdenerwowanie jego potęgowała moja stoicka postawa. Jako główną przeszkodę mojego zwolnienia uważał wzięcie udziału w buncie internowanych 19 stycznia 1982, kiedy to dwie grupy spacerowe odmówiły wejścia do cel.

— Jakie są podstawy mojego dalszego internowania?

— Przecież brał pan udział w buncie 19 stycznia...

— To jest kłamstwo!

— Jak, to? Przecież czytałem raport z tego zajścia i tam wymienione jest pana nazwisko. Prokurator miał wszczynać śledztwo przeciwko wszystkim buntownikom, ale jest ono zawieszone.

— Proszę mi pokazać ten raport. Kto go złożył?

— Co mi pan tu opowiada? Przecież był pan na korytarzu i odmówił wejścia do celi. A chociaż pana tam nie było, to i tak pan głodował.

— Kto panu powiedział, że to była głodówka i że to był protest? Nie ma na to żadnego dowodu. Ot, tak, nie przyjmowałem pokarmu. Miałem zapasy z paczki. Przecież nie napisałem żadnego oświadczenia, że głoduję jako protest lub o coś, jak to się w więziennych głodówkach praktykuje.

Trochę to zaskoczyło ubeka. Widać było, że to był jego koronny argument i że spełzł on na niczym, wobec mojej zdecydowanej postawy. Wywnioskowałem jednak z tej rozmowy, że nie szybko opuszczę Załęże. A moja buntownicza i lekceważąca postawa wobec ubeków i warunków, w których przyszło mi przebywać, będzie łamana za pomocą czasu (a ten dłużył się tu niemiłosiernie).

— Ponadto – dorzucił ubek – oddziałowi donoszą o niewłaściwym zachowaniu na oddziale.

Na to nie byłem przygotowany. I muszę przyznać, że ten nieprawdziwy argument zaskoczył mnie. Nigdy bowiem nie dawałem upustu swojej złości w stosunku do Służby Więziennej. Jak wielu internowanych, uważałem, że nasze stosunki z SW powinny być oparte na zasadzie obojętności. Bowiem SW, jak wiadomo, była pod naciskiem pilnującej jej na każdym kroku bezpieki. Osaczeni, przestraszeni, w zetknięciu z opryskliwością i odrażającym stosunkiem nas internowanych do nich, stawali się nieznośnymi woźnymi, nie reagującymi na żadne prośby, dzwonki i łomotania. Oczywiście, zdecydowanie lekceważyliśmy i lżyliśmy klawiszy kapusiów, takich jak kapral Woszczak.

Na zarzut ubeka zareagowałem gwałtownie. Skarżyć na mnie mógł tylko Woszczak, bowiem z nim wdawałem się w dwuznaczne polemiki, ale jego już 1,5 miesiąca nie było na oddziale.

— Wtedy ubek sięgnął po argument ostateczny.

— Czy nie ma pan przypadkiem chrypki? Ma pan bardzo dobry głos. Słyszę go co wieczór.

— Nie narzekam. Śpiew to nasza obrona przeciwko marazmowi i warunkom.

— No tak, tylko że to, co wy śpiewacie... Wie pan, czym to grozi?

— Proszę pana, ryzyko jest zawsze. A wielu z nas nie ma już dużo do stracenia. Poniżyliście nas wystarczająco. Komu najbardziej ubliżacie, to chyba wiecie? Te metody do niczego was nie zaprowadzą.

Szczerość w rozmowie z ubekami wielokrotnie rozmiękczała ich i sprawiała, że przybierali pozy ludzkie. Rozmowa, którą opisuję, dowiodła jednego – czystej demagogii Ziobry, który swoimi nieprawdziwymi argumentami wybielał siebie, czyniąc wyłącznie mnie, winowajcą mojego losu. Rozmowa pozostała bez konkluzji i wniosków.

Esbecy stosowali też w Załężu bardziej perfidne metody. Mikulec: *Nękanie rozmowami było najczęstszą polityką uboli. Przesłuchania, a raczej nękania i drażnienia psychiki. Były też inne sposoby, np. Piotrkowi Boroniowi kazano się spakować, następnie przeniesiono go na I oddział i tam przesłuchiwano go całą noc. Wrócił nad ranem. Takie metody przyprawiały o psychiczne rozstrojenie, kończące się czasem załamaniem.*

Część internowanych odmawiało uczestniczenia w rozmowach z SB. Stosowano wobec nich kary regulaminowe. Mikulec: *Należy podkreślić, że ubole stosowali szczególne „tortury" dla znienawidzonej przez siebie tzw. superekstremy. Na naszym oddziale wyróżnieni według tej taryfy byli: Boguś Sonik, Majdzikowie – ojciec i syn, Michał Żurek, Radek Huget, Jan Polkowski, Czesiek Szewczyk, Adam Grudziński, Romek Pyrczak. Nadzwyczajne ich traktowanie sprowadzało się do osadzania ich w pojedynkach, pozbawiania widzeń (lub skracania ich czasu trwania), niedostarczania korespondencji. Wymienieni zazwyczaj nie rozmawiali z ubekami, tzn. nie chodzili na ich wezwania, lekceważyli ich zupełnie. Nic dziwnego, że opuścili ośrodek dopiero w październiku lub listopadzie 1982.*

Ewenementem wśród tej doborowej ekstremy był Huget, który za niecenzuralne wyrażanie się do ubeków zapłacił internowaniem do listopada 1982 . Zawsze powtarzał do klawiszy: „Panowie! Ubecja to jest Wersal! Wpuście mnie tylko do nich, a ja już sobie wszystko załatwię!". Kiedy spacyfikowano oddział 19 stycznia 1982, Radek wezwał klawisza i powiedział: „No to teraz się Wersal skończył! Teraz weźmiemy uboli za mordy!". Miał zwyczaj, kiedy szliśmy do łaźni, otwierać drzwi do pokoju ubeków i mówić: „Ty, cichociemny, coś taki smutny? Siedzisz tu i siedzisz...". Wyliśmy wtedy ze śmiechu. Tupetu nie brakowało mu nigdy. Kiedyś byliśmy na dyżurce, to było 3 marca. Właśnie przyjechał jakiś funkcjonariusz więziennictwa z Warszawy i wszedł do świetlicy. Radek grał w brydża. Gdy zobaczył ubola wchodzącego do świetlicy, rzucił: „Ty, co tak wchodzisz jak dżigi-dżago? Co tak machasz tymi płetwami? Siadaj, wujek". Ubeka zatkało, a my ryknęliśmy śmiechem.

Zarówno z materiałów SB, jak i ze wspomnień niektórych osadzonych wynika, że wśród internowanych byli współpracownicy SB.

Stanisław Tatara: *Zauważyłem, że Jerzy Kuczera po powrocie z kilkudniowej przepustki bardzo się zmienił. Wydawał mi się załamany. Zagadnąłem go, co się stało. Powiedział mi w zaufaniu, że nikomu nie mówił o starciu z Janem Małkiem, który podawał się za członka „Solidarności" taksówkarzy z Bielska-Białej. Ponieważ Małka podejrzewano o kontakty z SB, skontaktowano się z „Solidarnością" z Bielska. Stamtąd przekazano Kuczerze informację, że Małek nie jest taksówkarzem, lecz porucznikiem milicji. Będąc sam na sam z Małkiem w celi Kuczera, były bokser Hutnika, wygarnął mu to prosto w oczy i chciał go uderzyć pięścią w twarz, ale zreflektował się, że może go niechcący nawet zabić, uderzył więc w pierś. Małek wywrócił się i po tym incydencie natychmiast zwolniono go z internowania* [Decyzja o zwolnieniu Jana Małka z Załęża nosi datę 23 marca 1982 r.].

Na Kuczerę i jego rodzinę wywierano silne naciski, straszono ich, co spowodowało, że Kuczera całkowicie przestał być aktywny.

Oskarżeniom, które przytacza Tatara, zdecydowanie zaprzecza w swoich pamiętnikach Waldemar Mikulec, którego zdaniem podejrzenia wobec Małka były nieuzasadnione. Sprawa wymaga zbadania, jednak historia ta potwierdza, że wśród internowanych było przekonanie, że niektórzy z nich współpracują z SB.

Stosunek funkcjonariuszy Służby Więziennej do internowanych był, wg Waldemara Mikulca, dostateczny. *Zachowanie i stosunek klawiszy do nas, poza małymi wyjątkami, można określić jako umiarkowany. Zapewne było to zachowanie odbiegające od kultury i taktu. Sądzę, że było to wynikiem rutyny, której klawisze nabierają z biegiem lat. Dla nich każdy, kto wpada do celi, jest taki sam, bez wyjątków. Reguły i zasady, które stosują, obowiązują wszystkich. Zazwyczaj dość łagodnie, czasem nawet serdecznie, odnosili się do nas szeregowi oddziałowi. Byli oni w stopniu od kaprala do starszego sierżanta. Czarną owcą był tutaj kapral Woszczak – wyjątkowa szuja. Pozostali często z nami rozmawiali, opowiadali wiadomości z „dużego więzienia"* [tak nazywano PRL w stanie wojennym], *chętnie przychodzili na każde zawołanie, na każdy dzwonek, pozwalali iść po ciepłą wodę na dyżurkę itp. Wszyscy oni okropnie bali się ubeków, którzy ich ściśle pilnowali i wydawali im polecenia. Na specjalnych odprawach po wprowadzeniu stanu wojennego wszyscy klawisze dostali wskazówki odnośnie postępowania z „wrogami socjalistycznego państwa". Wszelkie słabości z ich strony były szybko dostrzegane i natychmiast usuwano ich z oddziału dla internowanych. Dlatego niektórzy pozwalali na spacery czy odwiedziny sąsiednich cel tylko wówczas, kiedy na dyżurze nie było ubeków. Do najbardziej zaufanych klawiszy należał plutonowy Zenek (nazywaliśmy go Benek) i stary sierżant, niski z owalną twarzą (nazwiska nie znaliśmy). Ten ostatni informował nas o rewizjach przy wyjściu na widzenia.*

„Wychowawców" (tak ich nazywali kryminaliści) przedstawiano nam jako komendantów. Było ich chyba trzech: dwóch kapitanów i porucznik. Zawsze obojętni i bardzo ważni. Pilnowali nas przy mszach świętych. Szczególnie dużo pracy mieli przy głodówkach, prowadząc perswazyjne rozmowy z głodującymi. Ich rola była – jeśli nie fikcyjna, to śmieszna, bo wszystkim i tak rządziła bezpieka. Komendant niejako firmował jej nadużycia. Urzędował chyba w czwartki. Przyjmował wtedy skargi i zażalenia oraz prośby. Zazwyczaj istotne żądania załatwiał negatywnie.

Niektórzy z klawiszy brali udział w pacyfikacji naszego oddziału. Byli takimi hybrydami satyrami: pół klawisza, pół zomowca. ZOMO pojawiło się dwa razy na naszym oddziale: na początku stycznia (w czasie głodówki) i 19 stycznia.

Praca operacyjna SB w Załężu nie była wyjątkiem. Podobne działania były podejmowane przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa w innych obozach. Szczegółowo opisał je Sławomir Cenckiewicz (*Oczami bezpieki)* na przykładzie obozu w Strzebielinku. Na 491 osób, które były tam zamknięte w stanie wojennym, rozmowy operacyjne przeprowadzono z 306 osobami, zwerbowano 29 osób (6%). SB prowadziła działania dezinformacyjne, dezintegracyjne i podejmowała różnorodne gry operacyjne, które polegały np. na zróżnicowanym traktowaniu grup internowanych, co prowadziło do konfliktów, czy też na sugerowaniu, że niektórzy współpracują z SB.

***

W wielu wypadkach zwolnienie z internowania było poprzedzane przepustką. Jak się wydaje, taka przepustka była jakby próbą dla internowanego. Jeżeli próba wypadała negatywnie, to zwolnienie odwlekało się w czasie.

Waldemar Mikulec: *Moje 4 widzenia z „tatusiami ubekami" nie nastrajały mnie optymistycznie. Podejrzewaliśmy, że grupa studentów opuści kraty dopiero po czerwcu, aby rok akademicki nam przepadł i abyśmy musieli powtarzać.*

Tymczasem 16 kwietnia nagle zostałem wezwany na rozmowę z ubekiem. Znów posągowy Ziobro z nierozłącznym papierosem w palcach.

— Chce pan stąd wyjść?

— Każdy chciałby.

— Więc pan wyjdzie.

— Hmm... (z uśmiechem). Kiedy?

— Dzisiaj. Dziadek panu umarł. Dostałem dzisiaj telegram i od razu wystąpiłem o przepustkę dla pana w KW MO. Dzisiaj przyszła odpowiedź pozytywna.

— ...

— Chce pan jechać na pogrzeb?

— Oczywiście

— Tylko bez wygłupów. Wie pan, jest pan młody, żeby panu nie odbiło, jakieś ukrywanie się, działalność podziemna... Jeszcze wszystko przed panem. Skończy pan studia, ułoży sobie pan życie... Niech pan tylko się nie wygłupia. W Komendzie Wojewódzkiej przygotowana jest decyzja zwolnienia pana z internowania. Do dwóch tygodni zostanie pan zwolniony. Tylko bez wygłupów na przepustce. Proszę się spakować, a ja przygotuję pismo...

Rozgoryczony opuściłem pokój przesłuchań i zacząłem się pakować. Kilka rzeczy wrzuciłem do pudełka, zwinąłem mandżur, bo klawisz kazał go zabrać i ruszyłem na dwudniową przepustkę. ZK Załęże opuściłem 16 kwietnia 1982 r. o godzinie 16. Powrót – 19 kwietnia, o godzinie 16. Odliczając podróż, miałem do dyspozycji sobotę i niedzielę (17 i 18 kwietnia).

Odprowadziłem dziadka, który podobno przed śmiercią bardzo chciał ze mną rozmawiać, a wcześniej dużo się modlił o mój powrót, i musiałem wracać.

We wtorek, 20 kwietnia, ubek znów zapragnął zobaczyć moje oblicze. Tym razem było ich dwóch: Ziobro i jakaś spasła świnia z Krakowa. Okazało się, że mają dla mnie ostrą reprymendę za moje „skandaliczne zachowanie się" w czasie podróży. Rzeczywiście, podróż z Tarnowa do Nowego Sącza spędzałem w towarzystwie koleżanki z LO w Starym Sączu. W zatłoczonym przedziale wyrażałem ostre, aczkolwiek prawdziwe opinie o sytuacji w kraju i o internowanych, bo pasażerowie rychło zorientowali się, skąd powracam. Rozbiłem w puch mit o wspaniałych rekreacyjno-wypoczynkowych warunkach w ośrodkach internowania. Pasażerowie z otwartymi buziami słuchali opowieści o warunkach internowania.

— Jeżeli po zwolnieniu pana z internowania coś takiego się powtórzy, to my pana posadzimy. Lepiej, niech pan od razu powie, że ma pan ochotę robić głupoty, to my pana od razu przytrzymamy. To wszystko! – zakończył ubek.

Okoliczności zwolnienia dużej grupy internowanych pod koniec kwietnia 1982 r. Waldemar Mikulec przedstawia w sposób następujący: *Około 10 kwietnia na oddział zaczęły przeciekać informacje o zwiększonych zwolnieniach na przełomie kwietnia i maja. Ich źródłem byli klawisze oraz internowani z innych oddziałów. Jak zwykle takie plotki traktowaliśmy z drwinami i kpinami. Góral czy Urbanowicz (z grupy internowanych kryminalistów, prawdopodobnie były funkcjonariusz MO) używali określenia „masowe zwolnienia". Byli to dwaj internowani najbardziej pragnący jak najszybciej opuścić ośrodek. Szybko stało się to powodem do żartów i kpin z naszej strony. Rano, około 7 można było słyszeć na korytarzu po otwarciu cel (w połowie marca) okrzyki: „Urbanowicz! Pakować się!". Wówczas tenże w galotach wyskakiwał z celi, rozespany, z nadzieją w oczach, że oto nadeszła godzina jego wypuszczenia na wolność. Niestety – był to kolejny żart kolegów. Góral natomiast miał zwyczaj cały dzień „wisieć na pajęczynie", tzn. przesiadywał koło kraty przed dyżurką, czekając na ubeka, aby paść przed nim na kolana i prosić o zwolnienie. Te*

dwie persony budziły przede wszystkim uśmiech i drwinę. Nie było bowiem miejsca na litość w czasie internowania. Tutaj nie pomagały łzy, płacz, smutek. Aby przetrwać, trzeba było być mocnym i ufnym w słuszność reprezentowanych przez siebie idei. W przeciwnym razie czekała na każdego okropna machina złudzeń, że ludzie, za sprawą których wpakowano nas za kraty, wyciągną rękę i otrą zapłakane oblicze „nawróconego".

Dopiero po obradach Sejmu pod koniec kwietnia 1982 poczyniono kilka kroków naprzód, zwalniając w skali kraju około 1000 internowanych. Przypadek chyba sprawił, że wśród załężowskich zwolnionych znalazłem się również ja.

Przed południem 29 kwietnia 1982 spotkałem się po raz ostatni z dobrym znajomym – kapitanem Ziobrą.

— *No to już pan wie – rozpoczął jak zwykle tajemniczo Ziobro.*
— *Niby, co?*
— *Że dzisiaj pan wychodzi!*
— *Hmm... zobaczymy. Wasze słowa nie są dla mnie nic warte. Liczą się fakty.*
— *Ależ zobaczy pan...*

W tym momencie zaczęły się moralizatorsko-dydaktyczne monologi ubeka. Padały groźby, że mnie posadzą, jak tylko krzywo palcem ruszę, że w kraju działa kontrrewolucyjne podziemie, że studenci angażują się w działalność opozycyjną, żebym się nie wygłupiał, bo... i żebym nie myślał, że... itd. Opuściłem znienawidzony pokój w nadziei, że już nigdy nie spotkam się z wrednymi ubekami.

„Masowe zwolnienia" okraszone były obficie propagandą. A więc – uroczyste pożegnanie w pierdlu z komendantem ośrodka i komendantem wojewódzkim MO w Rzeszowie, przy współudziale nieodłącznej TVP i PR, które chciały zapewne pokazać widzom i opowiedzieć słuchaczom w całym kraju, jak to kochana władza patrzy na wszystkie winy przez palce i wspaniałomyślnie przebacza, dorzucając błogosławieństwo (pałą po grzbiecie). Pożegnalny festyn jednak się nie udał. Ignorancja i lekceważenie sięgnęło zenitu. Wszystkich przygotowanych do zwolnienia spędzono do wielkiej świetlicy (mieściła się ona koło rentgena), gdzie zastaliśmy oczywiście reporterów radiowych i telewizyjnych. Wkrótce wkroczyli major i podpułkownik i wygłosili przemówienia o ogromnej szansie, którą daje nam władza, skwitowane gromkim wyciem i śmiechem. Następnie zaczęły się próby filmowania. Wtedy któryś z internowanych wyciągnął wtyczkę z gniazdka i operatorzy zepsuli tylko kawał taśmy.

Gdy idzie o internowanych w Załężu członków KPN, to wszyscy – z wyjątkiem Zygmunta Łenyka – siedzieli w Załężu dłużej niż Waldemar Mikulec. Natomiast Łenyk został zwolniony w połowie marca 1982 r.

Łenyk: *Z przyczyn humanitarnych zwolniono mnie już 15 marca 1982, przewożąc na ostatnie dwa dni do więzienia przy ul. Montelupich w Krakowie.*

Jedną z przyczyn zwolnienia internowanych w kwietniu mógł być istniejący już wtedy plan internowania w maju kolejnej grupy opozycjonistów. Lasota, Ptasińska, Solak: *Dostępne dane wskazują, że najwięcej osadzonych przebywało w obozach internowania na początku 1982 roku. W następnych miesiącach ich liczba systematycznie malała, z wyjątkiem maja, kiedy to po strajkach i protestach z 1, 3 i 13 tego miesiąca okresowo wzrosła. W maju 1982 internowano wiele osób z Krakowa, Nowego Sącza, Nowego Targu i Tarnowa.*

***

W kwietniu 1982 roku nie tylko zwolniono z Załęża (i z innych obozów) pewną część internowanych, ale także zliberalizowano rygor internowania. Przede wszystkim otwarto cele.

Dla internowanych była to sprawa kluczowa, przeciwstawiali się temu ograniczeniu.

Mikulec: *Walka o otwarcie cel prowadzona była w Załężu od stycznia. Opierała się w swych założeniach na koncepcji walki wymyślonej przez Nowackiego. Otóż, rozpoczął on całą serię ukrywania się po celach i zamieniania składu cel. Powodował tym ogromne zamieszanie w pracy klawiszy, którzy z kolei donosili ubekom o trudnościach.*

Ogromne zamieszanie robił Radek Huget, który od fryzjera nauczył się otwierać zamki do cel za pomocą drutu wyjętego ze sprężyn pryczy. Dochodziło do tego, że zanim klawisze pozamykali cele za nami, Radek zniknął, nie wiadomo w której celi. Czasami potrafił otworzyć kilka cel i wypuścić więźniów na korytarz. Było to bardzo zabawne i okropnie denerwowało ubecję, która chciała za wszelką cenę utrzymać rozdział na grupy spacerowo-świetlicowe.

Tatara: *Huget nauczył mnie też otwierać kawałkiem drutu zamki w celach. Efekt był taki, że wychodząc na spacer i idąc na końcu grupy, otwieraliśmy wszystkie cele na oddziale, wypuszczając wszystkich internowanych na korytarz, co zszokowało klawisza. Wybijaliśmy w ścianach za przyciskami dzwonków otwory prowadzące do sąsiednich cel, ale Wiesiek Kukla poszedł dalej – wybił duży otwór pod łóżkiem, który umożliwiał mu przejście do sąsiedniej celi. Maskował go spuszczonymi z łóżka kocami. W czasie wieczornego apelu klawiszom nie zgadzał się potem stan internowanych w celach.*

Z czasem walka o otwarcie cel przynosiła efekty. Najpierw pozwolono internowanym na kontaktowanie się między sobą w czasie spacerów. Mikulec: *Ograniczenia spacerowe topniały stopniowo z czasem. Doszło do tego, że po zwolnieniach wydzielono cztery grupy spacerowe, w tym jedną grupę internowanych kryminalistów. W marcu na spacer wypuszczano po całym oddziale. Wtedy także przedłużono spacer do 2 godzin. Wówczas na spacernikach nastąpił podział czynności. Ze spacernika nr 1 korzystali ci, którzy chcieli spokojnie spacerować. Ze spacernika nr 2 – ci, którzy grali w piłkę. Mecze były okropnie zażarte. Przy minimalnych wymiarach boiska graliśmy trójkami do 6 bramek. Było bardzo komicznie. Ze spacernika nr 3 korzystali ci, którzy wypoczywali, opalali się. Ze spacernika nr 4 – ci, którzy biegali i uprawiali gimnastykę pod kierownictwem Piotrka Gajdarskiego. Biegaliśmy zwykle 200 razy dookoła spacernika, robiąc ok. 5 km.*

Decydujące znaczenie dla otwarcia cel miała wizytacja w Załężu przedstawicieli Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Stanisław Kuś: *Po paru miesiącach pojawiła się inspekcja Czerwonego Krzyża. Po tym otworzyli nam cele. Pościągaliśmy z domów różne sprzęty, np. żona kupiła mi gitarę, na której wszyscy grali. Radek Huget dostał z domu keyboard. Trochę osób zwolnili, więc było luźniej.*

Stanisław Tatara: *Po tej międzynarodowej inspekcji zaczęli nas lepiej karmić. Wydłużono spacery, otwarto cele, a na muszle założono sedesy. Mogliśmy się już swobodnie komunikować z siedzącymi na innych piętrach.*

Otwarcie cel umożliwiło internowanym powrót do życia towarzyskiego i wspólnych zajęć, znanych z Nowego Wiśnicza.

Tatara: *Odbywały się odczyty i wykłady prowadzone przez internowanych. Dochodziło do dyskusji, polemik, a nawet sporów na różne tematy, przede wszystkim między KPN-em a innymi środowiskami. Były różne propozycje, co do sposobów i metod walki oraz kształtu niepodległej Polski. Niezmiennie wyrażałem pogląd, że jedynym legalnym ustawodawstwem, jest to z okresu II Rzeczpospolitej, przede wszystkim Konstytucja Kwietniowa i ordynacje do Sejmu i Senatu z 1935 roku. Moje poglądy albo wywoływały sprzeciw, albo były przyjmowane bez zrozumienia i obojętnie. W czasie długich rozmów m.in. z Gąsiorowskim przedstawiłem zarys programu reprywatyzacji i prywatyzacji państwowego majątku narodowego. Powtarzam to wielokrotnie, aż do dzisiaj.*

***

Równocześnie zaczął się pogłębiać rozdźwięk między internowanymi – część opowiadała się za radykalną postawą i organizowaniem w obozie akcji protestacyjnych, jednak większość osadzonych była temu przeciwna.

Tatara: *Środowisko KPN było jednolite, zawsze wyrażało jeden pogląd, pozostali wiecznie dyskutowali, nie mogąc podjąć żadnych działań. Tadeusz Piekarz, którego przywieziono do Załęża wiosną* [Decyzja o jego internowaniu ma datę 13 maja 1982 r.]*, był zdegustowany atmosferą i chciał zmobilizować internowanych na naszym oddziale do protestacyjnej akcji głodowej. Popierałem jego propozycję, żeby przystępujący do głodówki zobowiązali się kontynuować ją co najmniej przez tydzień. Niewielu jednak chciało się na to zgodzić.*

Monotonia życia wewnętrznego powodowała też konflikty między internowanymi.

Tatara: *Pojawiały się incydenty dotyczące różnych drobnych spraw, np. starcie w świetlicy między Murzewskim, a Szewczukiem. Pokłócili się o to, który program telewizyjny oglądać.*

Nie można wykluczyć, że konflikty te były podsycane przez SB.

Tatara: *Internowano w Załężu grupę kryminalistów, waluciarzy, Cyganów. Dochodziło z tego powodu do konfliktów. Pędzili bimber, którym się upijali, doszło do bójki między nimi z użyciem noży. Jeden z nich zaatakował w świetlicy internowanego z Rzeszowa. Zrobił to, ponieważ uważał go za wtyczkę SB. Incydent zażegnał Czesław Szewczuk. Prawdopodobnie było to celowe działanie władz w celu wywołania niepokojów wśród internowanych.*

Tatara usiłował podnieść dyscyplinę wśród konfederatów, jednak nie ma dowodów na to, że przyniosło to jakieś konkretne efekty.

Tatara: *W tym czasie zabrano na proces Moczulskiego do Warszawy m.in.: Krzysztofa Gąsiorowskiego, Stanisława Palczewskiego, Michała Żurka, Zygmunta Łenyka i Radosława Hugeta. Przed wyjazdem Gąsiorowski mianował mnie szefem grupy kapeenowców pozostających w Załężu. Aby nie dopuścić do rozprzężenia dyscypliny wśród nas, zaproponowałem zebranym następującą zasadę – będziemy przeprowadzać rozmowy, każdy będzie mógł wyrazić swój pogląd, ale decyzję będę podejmował jednoosobowo. Jeżeli się na to nie zgadzają, to muszą sobie wybrać innego szefa. Zgodzili się wszyscy.*

Do Załęża przyjechał Mirosław Milewski z Biura Politycznego KC PZPR na spotkanie z internowanymi studentami. Wszyscy z wielką ochotą wybierali się na to spotkanie, chcąc go mocno zaatakować. Chciałem ich odwieść od tego, mówiąc, że to nic nie da, spłynie wszystko po nim jak woda po gęsi, że będzie powtarzał wyświechtane banały i aby nie szli na to spotkanie, bo nadarzyła się okazja, aby go zlekceważyć. Po spotkaniu Miodowicz, który był zwolennikiem rozmów z Milewskim, wrócił rozczarowany i przyznał, że miałem rację, że trzeba jednak było nie iść.

Pewnego dnia ogłoszono przez radiowęzeł, aby chętni na wyjazd za granicę zgłosili się do zrobienia zdjęć paszportowych. Niestety, część ludzi to kupiła i sporo osadzonych zgodziło się przyjąć paszporty. Byłem temu zdecydowanie przeciwny, uważając wyjazd na Zachód w takim momencie za dezercję.

Trudno mieć pretensje do Tatary, że jego postawa w ośrodku ograniczała się głównie do negacji, bo trudno było w tych warunkach podejmować jakieś rozsądne działania pozytywne.

Tatara: *Pewnego razu rozmawialiśmy w celi z Mazurkiewiczem o tym, że powinniśmy zorganizować ucieczkę. Mazurkiewiczowi dostarczono brzeszczoty do cięcia metalu. Musiało to dotrzeć do władz więziennych, bo niedługo po tym podniesiono gotowość służb więziennych, zwiększono obsadę i zjawiła się w Załężu jakaś grupa inspekcyjna. Zrobiono też rano*

„kipisz". Mieliśmy w celi cały plik podziemnych wydawnictw. Murzewski chciał je podrzeć i wyrzucić do muszli klozetowej. Nie pozwoliłem na to, wyrwałem gazetki z ręki i po otwarciu okna wepchnąłem je w szparę między tynkiem a murem, maskując wystającą wełną mineralną. Obawiałem się, że ktoś z okien naprzeciwko to zauważy. Podczas rewizji nic jednak nie znaleziono, chociaż klawisz wychylił się przez okno i patrzył w to miejsce. W innej celi, chyba Mieczysławowi Majdzikowi, zabrali radio. Podczas przeprowadzania nas do łaźni pytaliśmy konwojującego nas romowca, co się dzieje, dlaczego taki alarm? On, psiocząc na to, że został zmobilizowany do wojska, a trafił do więzienia, powiedział, że władze dowiedziały się o planowanej przez nas ucieczce. Przekazał dokładne wiadomości, ile osób liczy ochrona więzienia. Wszystko to działo się na schodach przed zamkniętą kratą, którą otworzyłem paskiem od spodni, akurat wtedy, gdy przechodziła obok komisja, a jej członkowie to zobaczyli.

Inni internowani snuli także plany ucieczki z Załęża. Kensy: *Wieńczysław Nowacki obmyślił ucieczkę. Podsłuchał go jeden taki, chyba z Siedlec (zajmował się aktywnie pocztą internowanych). Skorzystał z pomysłu Nowackiego, wyszedł z rodziną, po odwiedzinach. Pojechali razem do Rzeszowa, poszli na ciastka, na piwo, po czym głupek spokojnie wrócił do Załęża. Spalił ucieczkę Nowackiemu. Komendant ze łzami w oczach mu dziękował.*

Udaną ucieczką z Załęża mógł pochwalić się Michał Żurek z KPN. On sam opisywał tę sytuację następująco: *5 kwietnia 1982 ze względu na stan zdrowia zostałem przetransportowany do Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego w Rzeszowie. Tam cały czas pilnowali mnie klawisze i esbecy. Lekarze jednak pozwalali mi spacerować po dziedzińcu.*

W szpitalu odwiedził mnie jeden z moich znajomych, jeszcze z dawnej konspiracji, przywiózł dla mnie lekarstwa. Przez niego podałem gryps z informacją, że chcę ze szpitala uciekać i oczekuję pomocy. Na mojej sali leżał też internowany kolega Andrzej Warchałowski. Proponowałem jemu również ucieczkę. Niestety, nie zdecydował się.

Nocą z 11 na 12 kwietnia 1982 zjechałem na dół, po sznurze z prześcieradła, z sali na pierwszym piętrze. Przedostałem się przez ogrodzenie obok śmietników i znalazłem na zewnątrz. W umówionym miejscu czekał już na mnie samochód wraz z kierowcą – moim przyjacielem. Pilnujący mnie klawisze siedzieli w korytarzu szpitalnym, więc niczego nie zauważyli. W aucie przebrałem się i tak pojechaliśmy do Krakowa. Nazwiska tego kolegi nie mogę podać, gdyż mu przysiągłem, że nigdy tego nie zrobię.

Po mojej ucieczce koledzy internowani w Załężu ułożyli nawet balladę, która wiernie oddaje klimat tego zdarzenia:

Uciekł Michał Żurek z aresztu w Załężu,
nawet żona nie wie nic o swoim mężu.
Grupa śledcza przyjechała,
wypytuje o Michała,
oj dana, dana, dana, dana da!
Siedział Michał Żurek w Załężu w areszcie,
mijał czwarty miesiąc, znudził się nareszcie,
a że zdrowie mu nawala, więc go biorą do szpitala
oj, dana...

Rzeszowscy lekarze dobrze się sprawili
I na same święta Żurka wyleczyli,
Michał mówi „do widzenia",
lecz nie wraca do więzienia,
oj, dana...

– A to ci niewdzięcznik, płaci złem za dobro –
martwi się w Załężu sam kapitan Ziobro,
martwią wszystkie się ubole,
że ich Żurek wywiódł w pole,
oj, dana…

Pierwsze miesięcznice w Krakowie

Gdy minął pierwszy szok po wprowadzeniu stanu wojennego i przygnębienie bezbronnością 10-milionowego Związku, zaczął powoli budzić się społeczny sprzeciw. Protestowała przede wszystkim młodzież.

Jedną z najwcześniejszych form oporu były msze za Ojczyznę. Odprawiano je w całej Polsce. Najbardziej znane organizowane były w Warszawie w kościele św. Stanisława Kostki przez ks. Jerzego Popiełuszkę – kapelana „Solidarności" w Hucie Warszawa.

Paczkowski: *Pierwsza msza za Ojczyznę odprawiana przez ks. Popiełuszkę odbyła się dopiero 28 lutego, ale od tego czasu comiesięczne nabożeństwo stało się trwałym elementem życia duchowego i patriotycznego Warszawy (…). „U Stanisława Kostki" msze za Ojczyznę były starannie przygotowane, nie tylko pod względem duszpasterskim, ale także artystycznym. Uczestniczyli w nich aktorzy, scenografię opracowywali zawodowi plastycy. Przede wszystkim jednak sam fakt, że na mającej tak oczywiste przesłanie mszy gromadzi się tak wiele osób, był istotny dla ogólnej atmosfery społecznej: msze stanowiły widoczny przejaw poparcia dla „Solidarności" i sprzeciwu wobec władz stanu wojennego, a także świadczyły, że wielu ludzi Kościoła wytrwale wspiera prześladowany związek.* W Krakowie takie msze z oprawą artystyczną organizował ks. Kazimierz Jancarz w kościele w Mistrzejowicach, ale to było znacznie później – od 24 czerwca 1982 r.

SB dość szybko zorientowała się w taktyce opozycji. W lutym 1982 r. sporządzono nawet w Krakowie dokument, który wymieniał rocznice ważnych wydarzeń, które wg SB mogły być okazją do kolejnych manifestacji od marca do listopada. W samym tylko marcu SB dostrzegała siedem dni będących okazją do niezależnych wystąpień:

13. III – „Dzień milczącego protestu" – p-ko wprowadzeniu stanu wojennego w dn. 13.12. br. – o godz. 18.30 msza w Kościele Mariackim.
16. III – „Dzień pamięci poległych górników", rocznica wmurowania na AGH tablicy pamiątkowej marzec 68,
19. III – rocznica wydarzeń „marca 1968", – rocznica wydarzeń bydgoskich (Rulewski, Łabentowicz, Bartoszcze), – msza w intencji marszałka J. Piłsudskiego na Wawelu,
21. III – „Niedziela Palmowa" – nabożeństwa z udziałem biskupów, – rocznica samospalenia W. Badylaka w Rynku Głównym,
22. III – rocznica uroczystości pod Kopcem J. Piłsudskiego,

27. III – rocznica pierwszego 4-godzinnego strajku ostrzegawczego organizowanego przez Solidarność w sprawie bydgoskiej,
31. III – rocznica terminu niedoszłego strajku generalnego.

W kwietniu takich dat było sześć, a w rekordowym pod tym względem maju – jedenaście.

***

W pierwszą miesięcznicę wprowadzenia stanu wojennego ktoś zamówił w kościele Mariackim w Krakowie mszę świętą za Ojczyznę oraz za grudniowe ofiary.

Paczkowski: *Pierwsza miesięcznica wprowadzenia stanu wojennego (13 stycznia 1982) przypadała we wtorek i tylko w nielicznych kościołach odprawiono specjalne msze, czy to z inicjatywy proboszczów (jak w Stalowej Woli), czy na prośbę działaczy „Solidarności" (jak we Wrocławiu).*

Małgorzata Słowik: *13 stycznia było już mniej ludzi w kościele Mariackim niż 17 grudnia – można było bez trudu dostać się do kościoła. Ktoś napisał słowa dodatkowej zwrotki kolędy „Bóg się rodzi, moc truchleje", a myśmy to z koleżanką przepisały na maszynie. W czasie mszy świętej, w kościele podawaliśmy kartki z tekstem w tłum. Później te słowa stały się bardzo popularne.*

Nowa zwrotka kolędy „Bóg się rodzi" została ułożona prawdopodobnie w Nowym Wiśniczu przez anonimowego autora.

Pociesz Jezu kraj płaczący,
Zasiej w sercu prawdy ziarno.
Siłę swoją daj walczącym,
Pobłogosław Solidarność.
Więźniom wszystkim daj wytrwałość,
Pieczę miej nad rodzinami,
A słowo ciałem się stało
I mieszkało między nami.

Marek Bik: *Na tej mszy byliśmy całą grupą młodzieży szkolnej. Wraz z Artkiem Mohlem rozpoznaliśmy w tłumie brodatego ubeka. Gdy było podniesienie, Artek szepnął mu do ucha: „Teraz się klęka". Gdy ten klęknął, w paru zaczęliśmy go obmacywać. Artek wymacał kaburę pistoletu i powiedział półgłosem: „O, dziewiątka!* [broń kalibru 9 mm] *Pożycz!". Tak go drażniliśmy, aż uciekł z kościoła.*

Teren wokół był dokładnie obstawiony przez SB, która wyłapywała młodzież. Dochodziło do sytuacji, które z kolei wzbudzały wzajemne podejrzenia, gdy komuś udało się uciec z sideł SB, a ktoś inny zostawał zatrzymany.

Maciej Kuś: *Na początku 1982 r. przez Marka Bika poznałem Staszka Papieża. Papież powiedział mi, że ma możliwość druku ulotek i prosił mnie o dostarczenie jakichś tekstów. Miałem mu je przynieść na mszę za Ojczyznę 13 stycznia 1982. W czasie mszy podszedł do mnie i powiedział, że już musi wyjść. Zaproponował, abyśmy wyszli przed kościół i żebym mu dał umówiony tekst. Gdy tylko wyszliśmy i sięgnąłem do kieszeni, to momentalnie doskoczyło dwóch ubeków, którzy krzyknęli: „Milicja! Stać!". O dziwo, obaj zainteresowali się moją skromną osobą. Złapali mnie za ręce i usiłowali odciągnąć. Momentalnie zaparłem się nogami i usiadłem na ziemi, w tym błocie, i zacząłem wrzeszczeć: „Ratunku!". Wtedy otworzyły się drzwi kościoła i wyskoczył Wojtek Pęgiel* [Później aktywny działacz KPN], *którego wtedy jeszcze nie znałem. Jak ci ubecy zobaczyli, że on biegnie, to momentalnie*

mnie puścili i uciekli. Nie wiem natomiast, co się stało z Papieżem w tym czasie – nie wiem, czy wtedy uciekł, czy został złapany przez jakichś innych funkcjonariuszy. Do dziś ta sytuacja nie jest dla mnie jasna. Wyglądało to bardzo dziwnie.

Bik: *Tego dnia miałem podobną sytuację do tej, o której wspomina Maciek Kuś. Na placu Mariackim przed kościołem spotkałem kolegę – Pawła Maciukiewicza z V LO. Weszliśmy do bramy w kamienicy naprzeciwko kościoła, żeby porozmawiać. Miałem mu też dać jakieś ulotki. Na półpiętrze kamienicy stali esbecy. Gdy nas zobaczyli, któryś krzyknął: „Milicja! Nie ruszać się!". Rzuciłem się do ucieczki. Przed bramą wskoczył mi na plecy jakiś ubek i z nim na ramionach wpadłem między ludzi stojących przy drzwiach kościoła. Wtedy esbek puścił mnie i zwiał. Paweł, który widział tę sytuację, opowiadał później, że widział, jak esbek w obawie przed tłumem wyciągnął broń z kabury... Pawła zatrzymali i przesłuchali w radiowozie. Powiedział, że znał mnie z konkursu wiedzy o Piłsudskim, i że nie wie, jak mam na nazwisko.*

13 stycznia 1982 r. po mszy nie doszło do żadnej demonstracji – ludzie byli ciągle zbyt przestraszeni. Sekcja Kolportażu KPN (TTKAB) wykorzystała jednak to zgromadzenie do rozrzucenia ulotek. W akcji brał udział także Artur Mohl, który z uwagi na młody wiek nie był jeszcze członkiem KPN.

A. Mohl: *Otaczało mnie kilku znajomych (tak, żeby nie było widać, kto rzucił), a ja wyrzuciłem plik ulotek do góry. Ludzie rzucali się na ulotki, więc robiło się duże zamieszanie, w którym łatwiej było się wydostać z tego miejsca.*

Po nabożeństwie esbecy kontynuowali wyłapywanie młodzieży.

Bik: *Później, gdy ludzie opuszczali kościół, SB otoczyło wszystkie trzy wyjścia i chcieli mnie zatrzymać. Wtedy zebrali się moi znajomi, aby mi pomóc. W dużej grupie opuszczaliśmy kościół.*

Wojciech Słowik: *Po mszy staliśmy razem w grupie i rozmawialiśmy, a obok stanął tajniak i usiłował nas podsłuchiwać. Witek Tukałło od razu doskoczył do niego i zaczął go szarpać. Pogonił go. Ja bym się bał, ale Witek był wyjątkowo odważny.*

Bik: *Witek, który był z nami, dał w pysk jednemu z ubeków z komentarzem: „Ty mi tu nie udawaj cichociemnego!". Potem dziewczyny, które były z nami (Ewa Tukałło, Małgorzata Słowik i Iwona Warchał – moja koleżanka z I LO), pomogły nam odpędzić tych ubeków.*

Witold Tukałło: *Pamiętam ten incydent, o którym opowiada Marek Bik. Potem za mną szli na sam środek Rynku. Widziałem, że z drugiej strony szła kolejna grupa ubeków. Chcieli mnie otoczyć, obawiając się, że będę walczył. Zacząłem wtedy krzyczeć na nich. Krzyczała też moja żona i inni, którzy byli z nami. Zebrało się dużo ludzi i nie mogli mnie zatrzymać. Potem zdjąłem czapkę i kożuch i zostałem w samym swetrze. Kożuch zabrał ktoś inny. Wyglądałem inaczej i może dlatego udało mi się stamtąd oddalić. Gdy wyszedłem poza obręb Rynku, ubrałem się ponownie.*

***

29 stycznia w kościele Mariackim odprawiono mszę świętą za Lecha Wałęsę. Frekwencja była niska. Po nabożeństwie do żadnej demonstracji nie doszło.

30 stycznia, prezydent USA Ronald Reagan proklamował „Dzień solidarności z Solidarnością", a telewizja amerykańska nadała program, wyemitowany przez kilkadziesiąt stacji telewizyjnych z całego świata, pt. „Żeby Polska była Polską". Składał się onz wypowiedzi przedstawicieli 14 państw, wśród nich prezydentów USA (Reagana) i Francji (Francois Mitteranda), premier Wielkiej Brytani (Margaret Thatcher) i kanclerza RFN (Helmuta Schmidta). W filmie wystąpili również znani aktorzy: Henry Fonda, Kirk Douglas, a także Orson Welles i Frank Sinatra. Wszyscy wyrazili poparcie dla „Solidarności".

Tego dnia w Krakowie na niektórych osiedlach, na znak protestu przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego, gaszono w mieszkaniach światło, a w oknach zapalano świece. Adam Glicksman podaje, że akcja ta objęła aż 20% mieszkań na dużych osiedlach.

W tym czasie, z inicjatywy Witolda Tukałły, młodzi konfederaci „malowali miasto".

W. Słowik: *Malowaliśmy centrum Krakowa. Dowodził Witek. Ponadto byłem ja, Artur Mohl i jeszcze jedna osoba, której nazwiska nie pamiętam. Farbę i pędzle zorganizował Witek. Akcja trwała od godziny 20 do 22. Malowaliśmy od dzisiejszej ulicy Piłsudskiego, takim pasem, aż do ul. Krowoderskiej. Na ul. Wenecja jeszcze do dzisiaj jest ślad po napisie „Solidarność", który Witek się uparł namalować. Było to niebezpieczne, bo malowanie tego słowa, które miało dużo liter, trwało długo. O wiele szybciej było namalować kotwicę – znak Polski Walczącej albo „KPN".*

Było wtedy dużo patroli na mieście i nie było bezpiecznie. Robiliśmy tak, że jeden z nas stawał na jednym rogu ulicy, drugi na drugim i jak dawaliśmy obaj sygnał, że wolne, to oni malowali.

Gdy już kończyliśmy akcję, to spotkała nas przygoda. Weszliśmy na ul. Łobzowską. Nagle z bramy wyszedł patrol ZOMO, którego wcześniej nie zauważyliśmy. Zwrócili uwagę na mnie i na Artka, bo myśleli, że my, idąc szybkim krokiem na przeciwległe końce ulicy, staramy się od nich uciec. W ogóle nie zwrócili uwagi na pozostałą dwójkę chłopaków, którzy w siatce mieli farbę i pędzle. Spokojnie przeszli. Ja powiedziałem zomowcom, że odrabiałem lekcje z kolegą, spisali mnie i puścili. Artura zatrzymali. Okazało się, że miał nieaktualną legitymację szkolną, więc wyjęli pały i go profilaktycznie stłukli. Artur był krewki chłopak, ale ponieważ miał ręce przybrudzone farbą (czego zomowcy nie zauważyli), a ulice wokół były świeżo wymalowane, to nie chciał robić awantury. Grzecznie przyjął to pałowanie, przeprosił i poszedł.

W materiałach SB zachował się ślad po tym malowaniu. Oto „Notatka urzędowa" z 29 stycznia 1982 r.: *W dniu dzisiejszym w trakcie pełnienia służby na radiowozie „operacyjnym" o godz. 0.10 zostałem z polecenia oficera dyż. KD MO Śródmieście skierowany na ul. Kochanowskiego w związku z ujawnienie tam przez patrol pieszy napisu. Na miejscu stwierdziłem, że na murze, od którego zaczyna się ulica Kochanowskiego, wymalowany jest pędzlem, białą olejną farbą o metrowej wysokości napis „KPN" (litera P w kształcie symbolu Polski Walczącej). Będąc na ulicy Kochanowskiego, drogą radiową oficer ponownie skierował mnie na ulicę Straszewskiego, gdzie również miał znajdować się napis. Na miejscu stwierdzono, że na murze baru Wanda znajduje się namalowany farbą koloru czarnego i pędzlem napis o literach wysokich na 100 cm o treści „KPN" (litera P również w kształcie symbolu Polski Walczącej). Stamtąd zostałem skierowany na ulicę Wenecja, gdzie także miały znajdować się napisy. Na ulicy Wenecja na budynku Zespołu Szkół Mechanicznych znajdował się namalowany pędzlem, białą olejna farbą napis o wysokości liter 80-100 cm o treści: „WRONA – TARGOWICA". W odległości około 100 m na tej samej ulicy i tej samej stronie na budynku Zespołu Szkół Chemicznych znajdował się następny napis wykonany tą samą techniką i tymi samymi środkami pisarskimi o następującej treści: „Solidarność". Penetracja okolicznych ulic nie dała rezultatu. Nie zdołano natrafić na osobę mogącą wykonać te napisy. Napisy te nie zamalowano z uwagi na ich wielkość i rozległość – z uwagi na brak odpowiednich i wystarczających środków. Do zamalowania tych napisów należy skierować pracowników PGM Śródmieście. Sporządził: insp. Z. Hodura.* Na notatce jest kilka odręcznych dopisków. Pierwszy: *zapoznałem się. 29.01.1982* i nazwisko jakiegoś porucznika. Drugi: *tow. kpt. Dobron* [lub Dobrosz]. *29.I.82.* i nieczytelny podpis. Trzeci: *skierowałem do zamalowania* i jakieś cyfry i nazwisko. Czwarty (tym samym charakte-

rem pisma co trzeci): *powiadomiłem kierownika PGM*, dalej jego nazwisko i nieczytelny podpis. Piąty: *29.01.82. Ofic*[er] *dyż*[urny] *SB insp. T....* nazwisko i podpis – nieczytelne. Jak widać praca ekipy została „doceniona" przez funkcjonariuszy reżimu.

30 stycznia w kościele Mariackim odbyła się kolejna msza święta, tym razem za „Solidarność". I tym razem po jej zakończeniu ludzie rozeszli się do domów, choć młodzi konfederaci podjęli próbę zorganizowania manifestacji.

Bik: *Witek Tukałło, Witek Toś, Artek Mohl i ja usiłowaliśmy poderwać ludzi do skandowania, ale bezskutecznie. Było tylu esbeków przed kościołem, że do niczego nie doszło. Szkoda, bo Witek Tukałło przyniósł nawet amerykańską flagę. Miał ją owiniętą wokół siebie, pod kurtką.*

Tego dnia doszło do demonstracji ulicznej tylko w jednym mieście – w Gdańsku. Holzer, Leski: *Zgodnie z wezwaniami zawartymi w ulotkach sporo ludzi zebrało się, aby złożyć kwiaty przed pomnikiem Poległych Stoczniowców. Ze Stoczni Lenina wyszli pracownicy z transparentami. Milicja początkowo wycofała się, ale kiedy zgromadzeni zaczęli się rozchodzić, zaatakowała demonstrantów przy użyciu gazu łzawiącego i armatek wodnych. Zamieszki trwały w Śródmieściu do późnego wieczora.*

***

Kolejna miesięcznica, 13 lutego 1982, przypominała tę sprzed miesiąca. Msza święta, akcje ulotkowe, wyłapywanie ludzi przez SB, strach zgromadzonych i rozejście się do domów.

Wojciech Słowik: *Umówiliśmy się z Witkiem Tukałłą, że w czasie mszy w kościele Mariackim przejdziemy się na zewnątrz wokół kościoła i zrobimy rekonesans. Byłem z Tomkiem Andrusikiewiczem. Esbecy nas zauważyli i rzucili się na nas. Wyszarpałem się i wpadłem między ludzi w kościele, a Tomka złapali.*

Cała sprawa zakończyła się spałowaniem Andrusikiewicza przez SB i nieporozumieniem w jego domu.

W. Słowik: *Po mszy pojechałem pod dom Tomka i czekałem na niego prawie do godziny milicyjnej. Gdy nie przyszedł, a zbliżała się 22, poszedłem do jego rodziców i opowiedziałem ojcu, że syna zatrzymała SB. Nastraszyłem poważnie seniora. Później okazało się, że Tomka ubecy wylegitymowali, spałowali i puścili. Tylko że zamiast wprost do domu, poszedł do kolegi, aby mu to wszystko opowiedzieć. A ja go niechcący wsypałem do rodziców.*

13 lutego, podobnie jak 13 stycznia, tylko w jednym polskim mieście doszło do demonstracji. Tym razem był to Poznań. Holzer, Leski: *Tłum gromadził się pod pomnikiem Ofiar Czerwca 1956, zaś po kilku godzinach milicja rozpędziła demonstrantów przy użyciu pałek.*

***

17 lutego 1982 roku przypadała pierwsza rocznica rejestracji Niezależnego Zrzeszenie Studentów. Stała się okazją do protestów. Sprawozdanie z pracy operacyjnej Wydziału III za pierwsze półrocze roku 1982 z 28 lipca 1982 r. przesłane do naczelnika Wydziału VIII Departamentu III MSW przez naczelnika Wydziału III KW MO w Krakowie kpt. Wiesława Hryniewicza: *13 lutego 1982 przeprowadzono akcję protestacyjną na terenie miasteczka studenckiego, która polegała na wygaszeniu świateł i paleniu świec w oknach. Akcji tej towarzyszyły okrzyki, śpiewy i hałas spowodowany uderzeniami o parapety okien. Objęła ona całe osiedle studenckie, a największe jej nasilenie miało miejsce w bl. 4 i 5, zamieszkałych odpowiednio przez studentów AGH i UJ. Wydarzenia te poprzedzał kolportaż*

ulotek nawołujących do opisywanych zachowań a bezpośrednio przed nimi naciski na studentów nie chcących włączyć się do akcji.

W dniu 18 lutego 1982 zorganizowano podobną akcję, lecz o mniejszym zasięgu i ograniczoną tylko do wygaszenia świateł i palenia świec.

W dniu 18 lutego 1982 trzech studentów i jedna studentka AGH złożyli kwiaty przed tablicą upamiętniająca wydarzenia marcowe. Był to jeden z elementów planowanych obchodów pierwszej rocznicy rejestracji NZS. Przy zatrzymanej wówczas Małgorzacie Zajtz, studentce IV roku AGH znaleziono dwie szarfy z napisem „W rocznicę zarejestrowania NZS".

Z dalszej treści tego meldunku wynika, że akcje gaszenia świateł i palenia świec w oknach akademików były organizowane także od 13 do 16 marca. 13 marca *akcja trwała od godz. 21.00-21.30. W akademikach o dużej kubaturze, takich jak „Olimp", „Babilon", „Kapitol", świecące się światła sformowały kształty krzyża.* Przed każdym 13. dniem miesiąca prowadzono w akademikach kolportaż *ulotek nawołujących do udziału we mszach w intencji internowanych i „pomordowanych górników dnia 16 grudnia 1981".*

Chyba najpoważniejszą akcję protestacyjną w środowisku studenckim w 1. półroczu 1982 roku była demonstracja w AGH. *W dniu 16 kwietnia 1982 w godzinach popołudniowych został zorganizowany na terenie AGH przez działaczy ZR NSZZ „Solidarność" i nieformalne grupy b. działaczy NZS „milczący marsz" z okazji rocznicy* [?] *rozwiązania strajku okupacyjnego na AGH przez siły porządkowe. Uczestnicy tego marszu mający poprzypinane znaczki „Solidarnośc" i NZS przeszli w milczeniu spod pawilonu B-4 przed pawilon C-1, na którego dachu została umieszczona biało-czerwona flaga przepasana kirem. W noc poprzedzającą tę imprezę prawie na każdym budynku dydaktycznym wymalowano kotwice i napisy typu: „NZS", „Solidarność".*

***

Najbardziej widoczną formą oporu społecznego przeciwko stanowi wojennemu były demonstracje uliczne, które spontanicznie organizowano po mszach świętych zamawianych w intencji Ojczyzny. Ta metoda walki ma w Polsce długą tradycję. Po raz pierwszy wprowadzili ją „czerwoni" przed wybuchem Powstania Styczniowego. W latach 70. tradycje tego typu manifestacji wskrzesiło środowisko ROPCiO (zob. tom I), organizując w 60. rocznicę odzyskania niepodległości (11 listopada 1978 r.) manifestacje patriotyczne w 3 miastach PRL: Warszawie, Krakowie i Gdańsku. Tradycja manifestacji 11 listopada była kontynuowana w 1979 r. przez ROPCiO i KPN. Tego dnia odbyły się manifestacje w 4 miastach, oprócz Warszawy, Krakowa i Gdańska – także w Lublinie. W „karnawale Solidarności" takie wielotysięczne manifestacje odbywały się już w wielu miastach Polski.

Po wprowadzeniu stanu wojennego odbyło się w Krakowie kilkanaście ulicznych demonstracji, które z czasem przerodziły się w bitwy uliczne z ZOMO. Niemal każda z tych manifestacji rozpoczynała się mszą za Ojczyznę w którymś z kościołów.

Do pierwszych w 1982 roku manifestacji ulicznych w Krakowie doszło 13 marca i 13 kwietnia po mszach w kościele Mariackim. Jak trudny był to okres dla działań opozycyjnych, najlepiej świadczą fakty przytoczone przez Lasotę, Ptasińską i Solaka: *Od 13 do 16 marca na wezwania RKW do udziału w protestach przeciwko stanowi wojennemu odpowiedziały krótkimi strajkami niektóre wydziały HiL i WSK-PZL. Odzew był niewielki, ale też apel słabo rozkolportowano. Jednakże miesiąc później, po kolejnym wezwaniu RKW do kilkuminutowych protestów od 13 do 16 kwietnia, do HiL i WSK-PZL przyłączyły się*

Armatura, Kabel, CeBeA, MPK oraz Akademia Górniczo-Hutnicza i Filharmonia.

Zważywszy na te nastroje społeczne, udana akcja kolportażowa i manifestacja na krakowskim Rynku to duży sukces konfederatów. Była to pierwsza manifestacja uliczna w Krakowie w 1982 r. i jedna z pierwszych w Polsce. Paczkowski: *Aż do 13 maja uczestnictwo w tych mszach* [za Ojczyznę] *– a przychodziło na nie w niektórych miastach po kilka tysięcy osób – na ogół nie wiązało się z podejmowaniem przez opuszczających świątynie zbiorowych wystąpień. Być może pierwszym był Kalisz, gdzie poczynając od 13 stycznia, po każdej mszy odprawianej w intencji „Solidarności" w kościele Jezuitów, wychodzący z kościoła organizowali krótkotrwałą manifestację i układali kwietne krzyże.*

Z „Niepodległości" nr 2 (15 marca 1982): *W trzy miesiące od ogłoszenia stanu wojennego – odprawiona została w Kościele Mariackim Msza Św. w intencji Ojczyzny. I tym razem krakowianie nie zawiedli, kościół był pełny. We mszy wzięło udział wielu działaczy opozycji, a co za tym idzie zjawili się również etatowi pracownicy junty. Wylotowe ulice Rynku Głównego zostały zabezpieczone przez oddziały ZOMO. W samym kościele znalazło się wielu agentów SB, którzy mieli nie dopuścić do jakichkolwiek wystąpień antyreżimowych. Pomimo takiej postawy Sekcja Kolportażu KPN przeprowadziła sprawną akcję rozrzucania „bibuły". Kilkaset egzemplarzy ulotek pofrunęło w górę, by spaść na wychodzących z kościoła. Zostały one błyskawicznie pozbierane. Cała akcja trwała 15 sekund, po czym kolporterzy spokojnie wycofali się przez nikogo nie zatrzymywani.*

Pyzik: *Razem z Krzysztofem Kwiatkowskim rzucałem ulotki. Rozrzuciliśmy ich wtedy mnóstwo. Najlepszy sposób polegał na tym, że opieraliśmy się plecami o siebie i równocześnie rzucaliśmy w górę po plika ulotek. Efekt był taki, że ludzie byli przekonani, że ulotki zostały wystrzelone.*

Miesięczne sprawozdanie SB „dotyczące sytuacji operacyjno-politycznej w marcu 1982" potwierdza sukces akcji ulotkowej KPN w tym dniu: *Szersze rozmiary miał jedynie kolportaż plakatu szydzącego z hasła „Partia kieruje" oraz kolportaż wśród młodzieży ulotek KPN po nabożeństwie w Kościele Mariackim w dniu 13 marca br.*

„Niepodległość": *Po Mszy zorganizował się pochód, złożony z kilkuset osób, w większości młodych, który ruszył wokół Rynku.*

Witold Tukałło: *Czołówkę pochodu dookoła Rynku prowadziłem wraz z Markiem Bikiem i Arturem Mohlem. Był z nami chyba także Andrzej Izdebski.*

Artur Mohl: *Demonstracje rządzą się własnymi prawami. Przede wszystkim, aby sformować pochód po wyjściu ludzi z kościoła czy z pracy, musi być czoło demonstracji. To ludzie, którzy idą w pierwszym szeregu naprzeciwko zomowców. Kilka osób, które się znały i za którymi szli pozostali ludzie. W czasie pierwszych demonstracji w Krakowie, w 1982 r. formowaniem tego czoła pochodu zajmował się przede wszystkim Witek Tukałło. Mówił nam, co mamy robić. Tam byłem ja, Marek Bik, „Słoneczko"* [Artur Koszykowski, ur. 1966]*, chyba także Grzesiek Hajdarowicz. Grześka Pirowskiego jeszcze wtedy nie było z nami. Mój brat był wtedy internowany, więc na tych pierwszych demonstracjach też go nie było. Były jeszcze inne osoby, których ja nie znałem, ale które znali inni. Tukałło mówił: „Chłopaki! Trzeba zrobić czoło, żeby pociągnąć ludzi". Instruował nas, że trzeba krzyczeć, nawoływać, aby ludzie wiedzieli, w którym kierunku idziemy.*

„Niepodległość": *Wstrząsająca była sceneria tego wydarzenia. Milczący protest, bez słowa poruszająca się żółwim tempem kawalkada, a wokół Rynku gęsto rozsiane patrole, uzbrojone niczym na pierwszej linii frontu.*

M. Słowik: *W pochodzie było niewielu ludzi (może setka), sama młodzież. Na czele była grupa kapeenowska (wyraźnie zapamiętałam Marka Bika). Pamiętam, że podeszła*

do mnie koleżanka z NZS i krzyczała: „To prowokacja! Wszyscy wpadniecie! Mają was na talerzu!". Większość ludzi rozeszła się po bokach i patrzyła, co będzie, a bardzo niewielka, wręcz żałośnie nieliczna grupa szła w takim długim, ale wąskim (może trzy osoby w szeregu) pochodzie. Nie było okrzyków. Cisza. Zastanawiałam się, z której ulicy wyjadą zomowcy. Z drugiej strony wydawało mi się, że byłoby niehonorowo nie wziąć udziału w tym milczącym marszu. Obeszliśmy Rynek Główny dookoła. Nie było interwencji. Odetchnęłam z ulgą. Pod kościołem Mariackim rozproszyliśmy się.

„Niepodległość": *Marsz zakończył się o godzinie 20.00 odśpiewaniem hymnu przy Pomniku Adama Mickiewicza. Uczestnicy rozeszli się w spokoju. Ale to nie koniec wydarzeń tego wieczoru.*

O godzinie 20.15 na Rynek wpadły na sygnale specjalne oddziały ZOMO. Około 30 wozów, w tym z działkami wodnymi. Samochody pancerne, stary, otoczyły plac. W okolicach ulicy Grodzkiej i Sukiennic urządzono łapankę. Według relacji zatrzymanych, którzy słyszeli rozmowy obecnych na Rynku funkcjonariuszy i przybyłych zomowców można było być pewnym, że akcja była spóźniona. Tak więc łupem ZOMO stali się przypadkowi przechodnie. Złapani zostali przewiezieni w 6 milicyjnych starach w 4 punkty: na KW MO przy ul. Mogilskiej, na ulice Batorego, Zamoyskiego oraz do osławionego „Białego Domku". Większość zatrzymanych zwolniono jednak jeszcze tego samego dnia, a innych w niedzielę. /zebrał RTL/

***

Kolejna uroczystość patriotyczna (choć nie połączona z manifestacją uliczną) odbyła się 19 marca, czyli w imieniny Józefa Piłsudskiego, obchodzone uroczyście na Wawelu



za sprawą legionistów i środowisk akowskich co najmniej od lat 70., jeszcze w czasach przed powstaniem ROPCiO (zob. tom I).

Z „Niepodległości" nr 3 (z 22 marca 1982): *Tradycyjnym już zwyczajem odbyła się w katedrze na Wawelu uroczysta Msza Św. za dusze śp. Marszałków Rzeczypospolitej – Józefa Piłsudskiego i Edwarda Śmigłego-Rydza. Wśród licznie przybyłych mieszkańców Krakowa, znaleźli się weterani walk o Niepodległą, a także członkowie KPN, Solidarności i studenckich organizacji opozycyjnych. Mszę celebrował ks. prałat Figlewicz i ks. kapelan A. Studziński. Po mszy zebrani przeszli do krypty Marszałka Piłsudskiego, złożono wiązanki kwiatów. Uroczystość została zakończona krótką modlitwą, wystąpieniem przedstawiciela Związku Legionistów i odśpiewaniem „Pierwszej Brygady".*

***

13 kwietnia 1982 r., w czwartą miesięcznicę stanu wojennego, msza święta w kościele Mariackim rozpoczęła się o godzinie 18.30.



Rynek Główny – 13 kwietnia 1982 r. *Zomowcy pałują demonstrantów uciekających w stronę Placu Szczepańskiego. Większość osób znajdujących się w pochodzie rozpierzchła się, głośno skandując: „Gestapo!". Inni, nieliczni uczestnicy manifestacji pozostali na Rynku. I głównie nimi zajęła się ZOMO. Zomowcy kierowani przez megafon z fiata rozprawiali się po kolei z manifestantami. Trzeba im przyznać, że zachowywali się nie gorzej niż Kozacy w 1905. Masowo pałowano tych, którzy w porę nie uciekli. Zomowcy w pogoni za ludźmi zapędzali się aż pod Bagatelę.*

Z filmu SB

„Hutnik" nr 2: *Kościół był szczelnie wypełniony. Duża grupa osób musiała pozostać na zewnątrz świątyni (zbyt dużo miejsca zajmowali ci, którzy byli na służbie). Ksiądz wielokrotnie mówił podczas kazania o konieczności zawierzenia naszych spraw Bogu. Szczególne wzruszenie zapanowało, gdy opowiadał o rekolekcjach, które zorganizowali internowani w Załężu. Niektórzy płakali. Mszę zakończyło nieśmiertelne „Boże coś Polskę..".*

„Zomorządność" nr 7: *W kościele została przeprowadzona sprawna akcja ulotkowa KOS-u 241, w czasie której rozkolportowano ok. 2 tys. sztuk pisma „Zomorządność" i „Aktualności".*

Tym razem udało się doprowadzić do demonstracji, w której wzięło udział o wiele więcej ludzi niż poprzedniego miesiąca. Inaczej niż w marcu, doszło do interwencji ZOMO.

„Zomorządność": *Po mszy, która zakończyła się ok. godz. 20, wychodzący z kościoła ludzie zaczęli zbierać się w grupy. Przed kościołem miał miejsce dalszy ciąg naszej akcji kolportażowej. W górę pofrunęły ulotki nawołujące do wyklaskania tow. kolaborantki H. Czerny-Stefańskiej.*

„Niepodległość" nr 5: *Po zakończeniu w Kościele Mariackim mszy, wokół wyjścia z kościoła zaczął gromadzić się spory tłum, około 2 tys. osób. Manifestacja została sprowokowana przez samochody milicyjne, które przejechały z dużą prędkością wokół Rynku i skierowały się na tłum przed Bazyliką.*

„Zomorządność": *Gdy milicyjne samochody znalazły się w okolicach kościoła, tłum zaczął gwizdać, klaskać i skandować. W dalszym ciągu odśpiewano hymn i ludzie skierowali się w stronę ulicy Grodzkiej. Aż do dojścia pod „Hawełkę" tłum skandował i wykrzykiwał różne hasła: „Jaruzelski – zdrajca!", „Niech żyje Maria Wiktoria!"* [Córka Lecha Wałęsy urodzona w 1982 r., gdy jej ojciec przebywał w obozie internowania], *„Zwolnić Lecha!"*, *„Precz z komunizmem!"*, *„KPN!"*, *„Niech żyje Moczulski!"*, *„Wolność Polsce!"*, *„Wypuścić Lecha – zamknąć Wojciecha!".*

Najczęściej skandowano oczywiście „Solidarność!". W trakcie pochodu odśpiewano „Rotę" i „Boże coś Polskę".

„Aktualności" nr 12-13: *Kiedy czoło pochodu znalazło się na ul. Szewskiej, naprzeciw sformował się oddział ZOMO z tarczami i długimi pałkami, w hełmach. Przez chwile obie formacje szły ku sobie, nie zamierzając ustąpić. Zapanowała cisza. Nagle w pochodzie rozległo się krakanie wrony. Za chwilę krakał cały Rynek.*

„Zomorządność": *W tym momencie do protestujących dołączyli pijani klienci „Hawełki", którzy nie brali udziału we Mszy. Następnie z jednego z milicyjnych samochodów rozległ się głos (przez megafon), nawołujący tłum do rozejścia się. Ludzie jednak w dalszym ciągu pozostali na swoich miejscach.*

Wówczas nastąpił atak ZOMO. Większość osób znajdujących się w pochodzie rozpierzchła się, głośno skandując: „Gestapo!". Inni, nieliczni uczestnicy manifestacji pozostali na Rynku. I głównie nimi zajęła się ZOMO. Zomowcy kierowani przez megafon z fiata rozprawiali się po kolei z manifestantami. Trzeba im przyznać, że zachowywali się nie gorzej niż Kozacy w 1905. Masowo pałowano tych, którzy w porę nie uciekli. Zomowcy w pogoni za ludźmi zapędzali się aż pod Bagatelę. Widziano, jak esbek podłożył nogę uciekającemu – ten na skutek upadku doznał złamania ręki. Masowe były również zatrzymania. Minimum 50 osób zostało zatrzymanych.

„Aktualności": *Starcia i aresztowania trwały aż do godziny policyjnej. Po zmroku suki milicyjne wyszukiwały swe ofiary przy pomocy reflektorów i przypierały je do ścian domów. Pobito ciężko kilka osób, w tym przypadkowych przechodniów.*

„Zomorządność": *Zomowców wspierał oddział WSW. Tzw. siłom porządkowym udało się opanować sytuację dopiero ok. godz. 21.00.*

PS. Na temat zajść na Rynku piękny artykuł pt. „Komu to potrzebne" stworzył Rajca. Redakcja „Zomorządności" uważa wszelką polemikę z nieuleczalnym alkoholikiem Rajcą za zbyteczną.

„Aktualności": *Prasa reżimowa skomentowała wydarzenie, jako spowodowane przez „garstkę ekstremistów".*

Zwróćmy uwagę, że demonstracja 13 kwietnia nie była niemą, jak ta z 13 marca – tym razem skandowano okrzyki (co niewątpliwie podnosiło morale po stronie demonstrujących). Nie było jednak żadnych transparentów. Nie było też nawet prób podjęcia walki z ZOMO. Rymowany opis manifestacji krakowskiej z 13 kwietnia 1982 r. zamieszczono w „Niepodległości" nr 7 (z 3 maja 1982).

W Głównym Rynku w Krakowie
Autor wiersza nieznany

Szli w pochodzie od Mariackiego
Obok Wieszcza ku Płycie Kościuszki,
Śpiewali Marsza Dąbrowskiego
„Rotę" i „Boże coś Polskę".

W niebo wzbił się głos silny jak dzwon
Solidarność i „Wolność dla Polski",
I żołdactwo już chwyta za broń,
W imię władzy „robotniczo-chłopskiej".

Jeszcze słychać „Niech żyje Wałęsa",
Komuś w piersi załamał się głos,
Już na czoło napiera ciemiężca,
Bratobójczy zadaje im cios.

Widzę z boku jako ZOMO szaleje,
Tnie na oślep co w ręce dostanie,
Ktoś, ucieka, ktoś pada i maleje,
Słychać okrzyk – „No bij esesmanie!".

Jadą A-B posiłki dla ZOMO
„Suki", „skoty" i kto wie co jeszcze,
Pierwszy szereg od pompy szturmują
Pozostałych zaciskają w kleszcze.
W Głównym Rynku „ludowa łapanka"
Pełne budy wracają do bazy
Kraków znów ma ober Hansa Franka
ZOMOszkopów i „gapy" rozkazy.

Polskie radio nadaje swój epitet,
Że pijane bandy [tekst nieczytelny]
Chciały spalić partyjny komitet
Ale w porę zostały ujęte.
(15.IV.1982)

W czasie demonstracji doszło do próby podpalenia milicyjnego gazika, co doprowadziło do zatrzymania Stanisława Papieża. Akcja była samodzielną inicjatywą Artura Mohla.

„Hutnik": *Po zbliżeniu się do samochodów milicyjnych (zajmowały miejsce w pobliżu Hawełki) ktoś mniej cierpliwy (albo odpowiednio poinstruowany) rzucił w stronę suk najprawdopodobniej butelką.*

Bik: *Starałem się izolować Artura od jakiejkolwiek działalności konspiracyjnej. On był wtedy bardzo młody – miał 16 lat. Jego brat Jurek był internowany, jego tata po*



Rynek Główny 13 kwietnia 1982 r. po interwencji ZOMO. *Starcia i aresztowania trwały aż do godziny policyjnej. Po zmroku suki milicyjne wyszukiwały swe ofiary przy pomocy reflektorów i przypierały je do ścian domów. Pobito ciężko kilka osób, w tym przypadkowych przechodniów. Zomowców wspierał oddział WSW. Tzw. siłom porządkowym udało się opanować sytuację dopiero ok. godz. 21.* Z filmu SB

13 grudnia został „za wielką wodą" (ta odległość wtedy była o wiele większa niż dzisiaj, pod każdym względem, były nawet problemy z łącznością telefoniczną czy pocztową) i jego mama znalazła się w bardzo trudnej sytuacji życiowej. Utrzymywałem z nim jedynie kontakt towarzyski w szkole, pytałem się, co słychać u brata, ale nie wciągałem go do żadnej roboty podziemnej.

Artur Mohl: *Zrobiłem wtedy z ampułki fosforowej prymitywną bombę zapalającą. Dorobiłem lont ze sznurka i prochu (proch miałem z naboi, które znajdowaliśmy pod fortem w Hucie). Już po demonstracji, którą rozbiło ZOMO, zapaliłem lont i wrzuciłem tę bombę do odkrytego gazika milicyjnego, stojącego na rogu ul. Sławkowskiej i ul. Szczepańskiej. Był ze mną Stanisław Papież. Gazik zaczął się palić. Uciekaliśmy ulicą Szewską. Na wysokości „Zalipianek" zajechał nam drogę patrol ZOMO. Pobiegłem w stronę Collegium Novum UJ, a Papież w stronę ul. Karmelickiej. Mnie udało się uciec, choć zomowiec w pełnym rynsztunku z tarczą i pałą gonił mnie aż pod sam budynek UJ. Staszka złapali.*

Papież: *Wylądowałem na komisariacie przy ul. Batorego, gdzie mnie i innym zatrzymanym zomowcy zrobili „ścieżkę zdrowia".*

Marek Bik: *Artur coś rzucił i zapalił się gazik. O całej sprawie dowiedziałem się dopiero po fakcie. Byłem niezadowolony, bo cała ta akcja wyglądała na prowokację albo na bardzo niemądre działanie (mówiąc oględnie). Tam byli ludzie, którzy nie mieli żadnych szans obrony czy ucieczki! Prowokowanie ZOMO takimi czynami nie miało żadnego sensu! Jeżeli ktoś chciał spalić gazik, to mógł to zrobić, jak nie było wkoło ludzi, a nie wtedy, gdy na Rynku demonstruje kilkaset bezbronnych osób.*

Sprawa ta miała potem ciąg dalszy, bo Artur Mohl oskarżył Stanisława Papieża o to, że ten w trakcie przesłuchania przez ZOMO „wsypał" go.

A. Mohl wspomina to tak: *15 minut po moim powrocie do domu przyszli zomowcy razem z Papieżem. Widać było, że trochę już go zmaltretowali, to znaczy „wklepali mu". Zapytali go przy mnie, czy ja byłem razem z nim na Plantach i on odpowiedział, że tak. Na szczęście w mieszkaniu była moja ciocia, która powiedziała: „Nie! To nieprawda! Artek tu cały czas był ze mną i nigdzie nie wychodził!". Oni mnie nie rozpoznali, bo ja na Plantach*

byłem na czarno ubrany, miałem czarną czapkę, a jestem blondynem. Wszystkiego się wyparłem. Po tym incydencie powiedziałem Markowi Bikowi: „Papieża trzeba odpuścić, bo on jest cienki Bolek. On się nie nadaje do tej roboty". Ale Marek Bik i Witek Toś uznali, że nic się nie stało. Według nich Papież był nadal pewnym człowiekiem i stwierdzili, że dalej można z nim współpracować. Po prostu nie uwierzyli mi, że Staszek mnie wsypał.

Jerzy Mohl: *Na szczęście Artur miał swoją kurtkę przykrytą płaszczem w przedpokoju i gdy zomowiec kazał mu pokazać swoją kurtkę, to wyjął z szafy moją, w jaskrawym kolorze. Równocześnie ciocia i mama Artura zapewniały, że cały czas był w domu i nie wychodził. Wtedy milicjant uwierzył Arturowi, a Papież oberwał od niego za to, że wskazał zomowcom niewinnego kolegę.*

Bik: *Po 13 kwietnia 1982 długo „przesłuchiwałem" Staszka Papieża pod kątem tego, co mógł im powiedzieć, gdy go wtedy złapali. Spotkaliśmy się nad brzegiem Wisły i rozmawialiśmy kilka godzin. Staszek zapewnił, że on nie wysypał Artka oraz oświadczył, że chce dalej pracować dla podziemia. Był bardzo podniecony, bardzo się jąkał, miał problemy z tworzeniem zdań. Powiedział mi, że gazik milicyjny podpalony przez Artura stał na Rynku, koło" Hawełki" i że milicja zrobiła im zdjęcie z Pałacu Krzysztofory, gdy Artur rzucał tę bombę. Mówił, że wskoczył do tramwaju i że z tramwaju go wyciągnęli. Z tego, co mi powiedział (a wydawało mi się, że mówił szczerze), wynikało, że gdy go wtedy przesłuchiwano, to SB nie miała pojęcia o jego działalności w strukturach KPN. Chciałem wiedzieć, co SB może wiedzieć o nas. Czy pytali go o Witka Tosia albo o mnie. Zaprzeczył.*

Papież stanowczo zaprzeczał także, że wydał Mohla. Uwierzyłem mu. Wersja Artka wydawała mi się nieprawdopodobna. Nie miałem też pewności, czy Artur trochę nie fantazjuje. Byłem przekonany do innej wersji, która ułożyła mi się w ciąg logiczny.

Artur powiedział mi, że został potem wezwany na Mogilską 109. I wtedy esbek pokazywał mu zdjęcie zrobione z góry, na którym było go widać obok tego „trefnego" gazika. Wyglądało na to, że ktoś go rozpoznał. Powiedział też, że w pewnym momencie do tego pokoju weszła dyrektorka naszej szkoły (XIV LO) – Janina Dziubowa. Jak weszła, to zachowywała się tak, jakby ten pokój znała bardzo dobrze. Zdjęła płaszcz, odwróciła się i wiedziała, w którym miejscu jest wieszak. Bardzo potem na nią uważaliśmy w szkole. Może to ona rozpoznała Artura i wskazała go SB?

W każdym razie był to mój błąd, że Staszka po tym wydarzeniu nie odsunąłem. Z drugiej strony nie było ludzi i trzeba było współpracować z tymi, którzy byli chętni. Nie można było wtedy zrobić castingu na miejsce po Papieżu. Lepiej byłoby współpracować z kimś starszym, dojrzalszym, ale nikogo takiego chętnego do pracy w KPN nie znałem. Do dziś jestem też przekonany, że Staszek wtedy nikogo więcej nie sypnął. Na pewno nie sypnął wtedy ani mnie, ani Witka. Bo gdyby tak zrobił, to by SB nas zatrzymała wtedy, albo by poczekali, jak będziemy coś drukować i złapaliby nas na gorącym uczynku.

Stanisław Papież: *Zostałem mocno pobity. Być może byłem też wtedy przesłuchiwany, ale nie pamiętam. Nie pamiętam, żebym wskazał zomowcom mieszkanie Artura Mohla i pojechał do tego mieszkania z nimi. Nie pamiętam, żeby wcześniej Artek podpalili jakiś gazik milicyjny, ale jeżeli Artek tak to zapamiętał, to tak mogło być...*

Podpalenie gazika i zatrzymanie Papieża nie miało ostatecznie poważniejszych konsekwencji (poza pobiciem samego Papieża przez ZOMO), ale zwiastowało problemy związane z nieuchronnymi wpadkami, które niebawem dotknęły konfederatów.

13 kwietnia 1982 roku SB zatrzymała na Rynku Andrzeja Załuskiego, co – jak się okazało – miało dla krakowskiej KPN poważniejsze konsekwencje niż złapanie Papieża. Wie na ten temat – w następnym podrozdziale.

***

Rachunek zysków i strat pierwszych czterech miesięcznic w Krakowie był dla KPN zachęcający. Sekcja Kolportażu skutecznie i bez wpadki rozprowadziła sporo kapeenowskiej bibuły. Udało się na tyle zaktywizować ludzi (głównie młodzież), że po nabożeństwach dochodziło do kilkusetosobowych ulicznych manifestacji. Pojawiły się okrzyki. Niestety, pojawiło się także ZOMO, które odtąd rozbijało większość tego typu manifestacji aż do roku 1989. W kwietniu doszło do pierwszych wpadek. Powodem było łamanie przez młodych ludzi, zajmujących się drukiem bibuły, zakazu udziału w demonstracjach.

Marek Bik: *Po 13 kwietnia Łenyk, który wyszedł z internowania, razem z Gutem wydali mi stanowczy zakaz udziału w demonstracjach (z uwagi na mój młody wiek i ze względu na to, że zajmowałem się konspiracyjnym drukiem). Nie posłuchałem ich, bo uważałem, że tłumaczenie się: „My tu robimy ważne rzeczy, więc nie możemy chodzić na demonstracje" jest nieprzekonujące. To kto miał chodzić na demonstracje i kto miał je organizować, jak nie my? Przecież przez pierwsze miesiące 1982 w ogóle nie udawało się zorganizować w Krakowie żadnej demonstracji! W prawie milionowym mieście na msze za Ojczyznę przychodziło kilkuset ludzi, a w demonstracji gotowe było wziąć udział sto, może dwieście, Ktoś musiał ich poprowadzić! Byłem załamany, że to tak wygląda. Dlatego „czyściłem" mieszkanie i na manifestacje jednak chodziłem...*

Pierwsze wpadki

Pierwsza wpadka krakowskiej KPN miała miejsce 13 kwietnia 1982 roku. Jak już była mowa o tym wyżej – Andrzej Załuski, u którego była drukarnia „Zomorządności" (a wcześniej także „Niepodległości"), został złapany na Rynku krakowskim w trakcie rozrzucania ulotek nawołujących do wyklaskania Haliny Czerny-Stefańskiej. Akcja, w której brał udział Załuski, nie była akcją KPN.

Załuski: *Wydrukowaliśmy ulotki nawołujące do bojkotu Czerny-Stefańskiej w Filharmonii Krakowskiej. Przygotowałem około dziesięcioosobową ekipę, która pod moim nadzorem miała zająć się kolportowaniem tych ulotek 13 kwietnia 1982. To była pierwsza taka nasza akcja. Częściowo byli to ludzie zorganizowani przez Maćka Kusia, a częściowo – moi koledzy ze Szkoły Podstawowej nr 13 („grupa kapucyńska", m.in.: Tadeusz Furman, Kowalski, Maciej i Krzysztof Zielińscy). Ulotki mieli rozrzucić w kościele po zakończeniu nabożeństwa. Potem mieli natychmiast zniknąć. Opracowaliśmy cały system łączności. Każda grupa po rozrzuceniu ulotek miała po drodze do domu zadzwonić z budek telefonicznych znajdujących się po drodze do domu i poinformować, że wszystko odbyło się planowo. Podany był numer Genowefy Konopki, serdecznej przyjaciółki mojej mamy, niezwykle zaangażowanej w sprawy „Solidarności". Gdyby ktoś nie zadzwonił, to znaczyło, że został złapany przez SB i mieliśmy czas na to, aby „wyczyścić" jego mieszkanie i podjąć inne działania zabezpieczające.*

Maciej Kuś: *Andrzej Załuski i ja wzięliśmy te ulotki, jeszcze „ciepłe", i pojechaliśmy na Rynek Główny. Rozdzieliliśmy się, ja miałem ulotki schowane w skarpetkach. Nie podobało mi się na Rynku. Przyjechaliśmy za późno, aby wejść do kościoła, a przed kościołem było pełno tajniaków. Uznałem, że jest zbyt niebezpiecznie, aby te ulotki rozrzucać. Wtedy spotkałem przed kościołem Artura Mohla, który zgodził się rozrzucić moją porcję. Andrzej Załuski, niestety, zaczął te ulotki rozrzucać, o czym ja nie wiedziałem, bo przyjechaliśmy na Rynek oddzielnie. SB go namierzyła i złapała.*

Załuski: *Gdy rozdałem ulotki ludziom, to została mi w kieszeni jeszcze ich garść. Zrobiło mi się żal i postanowiłem resztę sam rozrzucić. I to był mój błąd! A wcześniej popełniłem, niestety, jeszcze jeden błąd, bo przed mszą przywitałem się z b. członkiem Zarządu Regionu, który był obserwowany przez SB. Wiem o tym, bo później na przesłuchaniu esbecy mnie o to pytali. Być może wtedy zaczęli uważniej i mnie obserwować? Sypnąłem ulotkami przed kościołem Mariackim i dosłownie poczułem na sobie czyjś intensywny wzrok. Odwróciłem się i zobaczyłem funkcjonariusza, który się we mnie wpatrywał. Nie czekając na nic, uciekłem w ulicę Floriańską. Dwóch esbeków rzuciło się za mną, ale ich zgubiłem. Potem skręciłem w ulicę św. Tomasza, a potem znowu w kierunku Rynku w ulicę św. Jana. Tam był bar kawowy* [„Śnieżka"], *do którego wyrzuciłem resztę*

ulotek i „czysty" poszedłem w stronę Rynku Głównego, aby zobaczyć, co tam się dzieje. Nie wziąłem jednego pod uwagę. Na rogu ul. św. Jana i Rynku stała wtedy budka milicyjna. I tam był punkt zborny esbeków tego dnia, o czym nie wiedziałem. Stali też ci dwaj esbecy, którzy mnie wcześniej gonili. Zaszli mnie od tyłu, złapali, wykręcili ręce i w takiej pozycji zaprowadzili w okolice ratusza, gdzie stały milicyjne budy. Parę razy dostałem pałą od zomowca po plecach i wsadzili mnie do więźniarki. Wielu innych podzieliło mój los. Po uspokojeniu sytuacji na Rynku (byłem świadkiem wielu szarż zomowców) przyszło dwóch esbeków, wyjęli mnie z budy i zawieźli osobowym samochodem na Mogilską. Tam trafiłem „na dołek". Na punkcie przyjęć, przed „zakwaterowaniem", siedziałem sobie z dwoma paniami lekkich obyczajów, które się nade mną strasznie użalały i bardzo chciały mi jakoś pomóc. I chyba to nie była podpucha, tylko słowa płynące ze szczerego serca.

Całą noc byłem sam w celi. Ponieważ Mogilską oddano do użytku w 1981, więc był tam ponadprzeciętny standard, jak na milicyjny areszt w PRL. Wszystko było jeszcze nowe, mało używane i niezniszczone. Dopiero nazajutrz dołożono mi kogoś do celi. Przyszedł też klawisz i przyniósł książki do czytania. Pierwszy raz w życiu przeczytałem „A jak królem, a jak katem będziesz". Ta lektura bardzo mnie uspokajała.

Na drugi dzień rano (14 kwietnia) zrobili u mnie w mieszkaniu rewizję. Mama w dużej mierze wyczyściła mieszkanie z materiałów pochodzących z okresu po 13 grudnia. W czasie rewizji zabrali od nas z domu całą ciężarówkę materiałów, które potem oddali, bo pochodziły sprzed stanu wojennego. Niestety, znaleziono m.in. drewnianą maszynkę do drukowania, którą ktoś wykonał wielkim wysiłkiem. To był bardziej model powielacza, niż prawdziwy powielacz. Przyniósł ją Witek Tukałło. No i znaleźli u mnie te maszyny do pisania...

Potem założyli kocioł, o czym dowiedziałem się później, po wyjściu. Mieliśmy uzgodniony specjalny system ostrzegawczy, którym był kwiatek w doniczce: jak stał w jednym miejscu, to znaczy, że wszystko jest w porządku, a jak w innym, to oznaczał, że jest niebezpieczeństwo i żeby nie wchodzić. Ale, niestety, nasi koledzy nie zwrócili uwagi na to, że kwiatek stał nie tam, gdzie trzeba i do mieszkania przyszli. Mieliśmy przygotowane na wszelki wypadek legendę w razie wpadki. Było to zresztą zgodne z prawdą. Witek Tukałło dał mi do naprawy radiomagnetofon „Maja" i w razie czego miało to uzasadniać jego przyjście i bytność u mnie. Podobną historię mieliśmy przygotowaną z Waldkiem Czyżem. Myślę, że to pomogło w tym, że – wprawdzie nie od razu, ale po pewnym czasie – zostali wypuszczeni. Sądzę, że esbecy do końca nie byli pewni, czy przypadkiem ta historia z magnetofonem nie była prawdziwa. Co do mnie, dopiero jak przyszła ekspertyza dotycząca maszyn do pisania znalezionych u mnie w domu, mieli pewność, że miałem konspiracyjne kontakty z KPN.

Witold Tukałło: *To było tego dnia, którego drukowałem „Niepodległość" wraz z Markiem Bikiem przy ul. Spokojnej. Poszedłem do mieszkania Załuskiego, który wcześniej nie zgłosił mi się na kontakt. Byliśmy umówieni na ul. Szewskiej, koło kawiarni „U Zalipianek". Załuski miał przynieść więcej „Zomorządności", bo te, które wziąłem wcześniej, już mi się skończyły. Jednak nie przyszedł. Postanowiłem sprawdzić, co się stało. Był już wieczór. Pojechałem do Prokocimia. Miałem później jechać na nocną zmianę do pracy (byłem inspektorem nadzoru) – wylewaliśmy wówczas beton na progu „Kościuszko" koło Tyńca. Mieliśmy umówiony sygnał – w razie niebezpieczeństwa miał być przestawiony kwiatek w oknie. Ale mama Andrzeja Załuskiego nie zdążyła go przestawić.*

W drzwiach przywitało mnie dwóch ubeków z rewolwerami bębenkowymi w łapie wymierzonymi we mnie. Wszedłem do środka. Nie było telefonu i porozumiewali się

z centralą za pomocą radiostacji. Zorientowałem się, że poprzedniego dnia złapali Andrzeja Załuskiego, a tego dnia, przede mną – Czyża. Jego już zawieźli na Mogilską. Ja zostałem tam do końca przeszukania mieszkania, kilka godzin. Niewiele znaleźli, bo drukarnia już została przeniesiona na Kapucyńską. U Załuskiego nie było już ramki. Znaleźli ślady farby po drukowaniu oraz jakieś ulotki (twierdziłem, że to, co znaleźli, zostało podrzucone). Nie miałem przy sobie nic „trefnego", poza listą członków PZPR w moim zakładzie pracy, która była ukryta pod okładką notesu. Jak mnie rewidowali, to jej nie znaleźli. Cały czas siedziałem przy stole u Załuskiego i nie mogłem chodzić po mieszkaniu, ale mama Andrzeja – mogła. Udało mi się jej przekazać tę listę i ona ją zniszczyła. Późno w nocy zabrali mnie osobowym samochodem na Mogilską. Tam mnie jeszcze pytali o Czyża, którego nie znałem, nie wiedziałem nawet jak wygląda.

Maciej Kuś: *Po przyjściu do domu ze szkoły byłem tak zmęczony, że się zdrzemnąłem i do Załuskich przyszedłem później (w tym czasie drukowaliśmy codziennie). I od razu zauważyłem, że w ich oknie została przestawiona doniczka, co było umówionym znakiem, że z lokalem jest coś nie w porządku. Pani Załuskiej udało się wreszcie roślinę przesunąć, kiedy ubecy przeszukiwali inny pokój. Dzięki temu nie wpadłem.*

Kocioł trwał parę dni i wpadł do niego jeszcze Waldek Czyż, który w ogóle z nami nie drukował i nie wiedział, że my drukujemy. Nawet jak przychodził do mieszkania, gdy drukowaliśmy, to w drugim pokoju przyjmowała go matka Andrzeja.

Andrzej Załuski, Witold Tukałło i Waldemar Czyż dostali sankcję prokuratorską na trzy miesiące.

Tukałło: *Cały czas mówiłem chłopakom: „Weźcie pod uwagę, że musimy kiedyś pójść siedzieć! Nie ma mowy, żeby było inaczej! Nie myślcie sobie, że będzie inaczej!".*

Aresztowanie Tukałły dobrze pamięta Wojciech Oberc: *Ewa, żona Witka, zaniepokojona jego nieobecnością, przyszła do mnie do pracy. Nasze poszukiwania nic nie dały. Tego samego dnia po południu do mieszkania Tukałłów przyszło czterech esbeków na rewizję. Znaleźli kilka wydawnictw podziemnych. Zostałem pierwszy raz spisany.*

Tak więc bezpieka przypadkowo natrafiła na Oberca. Będzie to miało konsekwencje jesienią 1982 roku, o czym dalej.

W mieszkaniu Załuskiego SB znalazła m.in. dwie maszyny do pisania marek „Olivetti" i „Colibri" oraz egzemplarze „Niepodległości" nr 1 i 4. Ekspertyza kryminalna wykazała, że matryce do obu tych numerów „Niepodległości" oraz do bibuły znalezionej przy Załuskim 13 kwietnia 1982 r., zostały wykonane na jednej z tych maszyn. SB sprawdzała także, czy nie pisano na nich matryc do innych pism, których egzemplarze wpadły w ręce bezpieki. 6 maja 1982 r. krakowscy esbecy wysłali do Warszawy zapytanie, czy w zbiorze pism maszynowych Kartoteki Dokumentów Anonimowych Zakładu Kryminalistyki KG MO nie ma innych dokumentów wykonanych na tych maszynach. Do wniosku załączono egzemplarze „Niepodległości". 12 maja przyszła odpowiedź negatywna.

Po takiej wpadce obowiązkiem kolegów było wyjaśnienie jej okoliczności oraz zorientowanie się, jakie materiały mogły wpaść w ręce SB.

Marek Bik: *Kilka dni później razem z Maćkiem Kusiem poszliśmy do mieszkania Andrzeja i rozmawialiśmy z jego mamą, która zdała nam relację. Zanim tam weszliśmy, obserwowaliśmy mieszkanie całe popołudnie, aby się przekonać, że nie jest już obserwowane przez SB i że jest bezpiecznie.*

„Śledztwo" obejmowało także inne działania, czego śladem jest zachowana w archiwum Andrzeja Izdebskiego następująca notatka napisana pismem ręcznym, niepodpisana i nieoznaczona kryptonimem:

Sprawa Tadka. 13 kwietnia spotkałem go na „O" na godz. 9.00. Po 100 m. rozstaliśmy się. 14 kwietnia 1982 rozmawiałem z nim o godzinie ca 16. Około godz. 19.00 aresztowano go w kotle w Prokocimiu N. Chyba przy ul. Teligi w drukarni. Wpadł jako kolporter. Razem aresztowani: Czyż, Załuski i…

Tego dnia (lub następnego) rewizja w jego mieszkaniu. Znaleźli na wierzchu 90 „Aktualności" z marca i rękopis relacji z kopalni „Wujek". Rewidowano również piwnice. Rewizja w mieszkaniu i w piwnicy powierzchowna. Żonie powiedzieli, żeby zgłosiła się do wojskowego sądu przy Rakowickiej, jeżeli nie wróci po 48 godz.

Następnie komórka kontrwywiadu KPN opracowała następujący dokument (odnaleziony w archiwum Andrzeja Izdebskiego):

M.P. 159. 18 kwietnia 1982.

Sytuacja własna.

Wpadnięcie w niewolę „T" [Witolda Tukałły] *wykazuje:*

- *brak sprawnie działającej łączności własnej,*
- *brak łączności alarmowej,*
- *niestosowanie się do instrukcji przez „T",*
- *niestosowanie się do instrukcji przez „R"* [nie wiadomo kim jest „R"],
- *nieistnienie własnej służby informacyjnej.*

Prawidłowy przebieg powinien być następujący:

- *sprawnie działająca łączność winna była zawiadomić o ujęciu „T" w ciągu nie dłuższym od 2 godzin,*
- *łączność alarmowa winna była dać pierwszą wiadomość w terminie do ½ godziny,*
- *zastosowanie się do instrukcji przez „T" wymagało zupełnej „czystości" jego kwatery,*
- *„R" wyłamał się z dyscypliny: w miejscach publicznych podchodził i witał się ze znajomymi, nie używał pseudonimów. Zastosowanie się „R" do jasnych rozkazów w tym względzie mogło ocalić „T".*
- *Prawidłowo działające służby informacyjne powinny były obserwować działających ludzi i poinformować o okolicznościach ich ujęcia.*

Koniecznym jest:

- *zorganizowanie łączności,*
- *posiadanie łączności alarmowej,*
- *rygorystyczne przestrzeganie instrukcji i rozkazów,*
- *odcięcie od wszelkiej łączności „R" jako „spalonego".*

W wypadku nieprzestrzegania zasad konspiracji należy przewidywać:

- *dalsze wpadki i to w terminie nie dłuższym jak dwa miesiące od podanej daty,*
- *dalsze używanie „R" przez nieprzyjaciela jako „przynęty", gdyż przez swoje nieodpowiedzialne zachowanie „R" naprowadza agentów n-pla na siatkę organizacyjną.*

Profilaktyka:

Zawiesić na dłuższy czas działalność i zerwać kontakt aż do wyjaśnienia sprawy i własnej prawidłowej organizacji. Szkoda bezsensownych ofiar. Gdy będziemy rzeczywiście potrzebni, zabraknie nam ludzi.

O ile uwagi krytyczne (przytoczone wyżej) są uzasadnione, o tyle wszystkich złapanych należy pochwalić za przytomną postawę w śledztwie. Tukałło, Czyż i Załuski do niczego się nie przyznali.

Załuski: *Na przesłuchanie wzięli mnie na drugi dzień po zatrzymaniu. Przesłuchiwał mnie jeden z tych, który był u mnie na przeszukaniu. Był agresywny i starał się mnie wystraszyć. W pewnym momencie zaczął sobie przy mnie przeładowywać broń. Drugi esbek grał rolę „dobrego policjanta" – był miły, tatusiowaty, starał się ze mną zaprzyjaźnić i pocieszyć mnie. Od czasu do czasu do pokoju wchodzili też esbecy w jakiś innych sprawach. Miałem jednak wrażenie, że bardzo zajęci byli tłumem ludzi, których zatrzymali 13 kwietnia, więc nie bardzo się na mnie skupiali. Przyjąłem zasadę, aby nie zaprzeczać faktom, którym się nie da zaprzeczyć. Przyznałem się do tego, że ktoś mi w kościele wcisnął do ręki jakieś ulotki, które potem rozrzuciłem. Twierdziłem, że nawet nie wiedziałem, co zawierały te ulotki. Na inne pytania nie odpowiadałem. Żeby nie wchodzić z nimi w ostry konflikt i nie wzbudzać ich agresji, pytałem ich: „Czy mogę nie odpowiadać na to pytanie?". Ubek zgodnie z prawem pouczał mnie, że mogę nie odpowiadać. I wtedy zgodnie z tym pouczeniem, odmawiałem odpowiedzi. Trzymałem się zasad, które wpajała mi moja mama, oraz tego, co przeczytałem w „Małym konspiratorze". Na tym pierwszym przesłuchaniu nie pytano mnie o KPN. Wydaje mi się, że dopiero po zatrzymaniu Witka Tukałły w moim mieszkaniu, pojawiły się takie pytania. Na Mogilskiej przesłuchiwano mnie chyba jeszcze raz czy dwa razy – już tego nie pamiętam.*

Po 48 godzinach przewieziono mnie do prokuratury wojskowej, gdzie przesłuchiwał mnie kpt. Marek Gąciarz. Był bardzo agresywny – krzyczał, tupał, walił pięścią w stół, a przesłuchanie zakończył słowami: „Tymi ulotkami to sobie dupę możecie podetrzeć!". Dostałem sankcję na trzy miesiące i przewieziono mnie na Monte. Tam por. Eugeniusz Malina z prokuratury wojskowej przesłuchiwał mnie zwykle raz na tydzień. Oprócz tego przesłuchiwał mnie esbek średnio co dwa-trzy dni.

Początkowo byłem oskarżony o niezaprzestanie działalności związkowej [sic!] *oraz rozpowszechnianie informacji mogących wywołać niepokój publiczny lub rozruchy.*

Witold Tukałło: *Załuski i Czyż nic nie mówili w śledztwie, zachowali się bardzo dzielnie. A ja cały czas trzymałem się tego, że przyszedłem do Załuskiego po magnetofon „Maja", który on miał mi naprawić.*

Na Mogilskiej, jak mnie przesłuchiwali, w pokoju były trzy osoby: jeden zadawał pytania, drugi mi się przyglądał, a trzeci czytał gazetę. Jak powiedziałem o tym magnetofonie, to zaczęli na mnie wrzeszczeć. Doskoczyli do mnie i zaczęli mi wymyślać. Myślałem, że mi wpieprzą. Wnerwiłem się i powiedziałem im: „Z chamami nie rozmawiam. Koniec przesłuchania!". Nic nie podpisałem i nic już nie powiedziałem. Na drugi dzień przydzielili mi oficera, który nazywał się Antoni Zasada. Był bardzo grzeczny. Na początku mu powiedziałem: „O sprawę proszę mnie nie pytać, bo ja nic nie wiem i nic nie powiem". A on na to: „Muszę pana przesłuchiwać! Taki mam obowiązek!". No i rozmawialiśmy o historii. W porównaniu z tymi ubekami z poprzedniego dnia albo w porównaniu z Wróblem (z którym kilka razy miałem kontakt), to Zasada był rzeczywiście kulturalnym człowiekiem.

Potem zawieźli mnie do prokuratury wojskowej na Rakowicką, gdzie dostałem sankcję.

Załuski: *Po kilku tygodniach dostałem zarzut podejmowania działań powodujących osłabienie zdolności obronnej PRL. Poinformował mnie o tym por. Malina słowami: „No, to teraz panu już tak wesoło nie będzie! Mina panu zrzednie!". Zarzut był związany z tym, że razem z Witkiem Tukałłą i Maćkiem Kusiem drukowaliśmy ulotki adresowane do wojska. Był tam apel, aby nie występowali przeciwko swoim rodakom. Wiem, że te ulotki były rozrzucane m.in. przez jakiegoś oficera w jednostce wojskowej przy ul. Wrocławskiej. Wtedy, po zmianie kwalifikacji prawnej zarzucanego mi czynu, Malina zaczął mnie wypytywać o tego człowieka* [chodzi o Wiesława Grudniewicza] *i o innych działa-*

czy KPN, których nazwisk już dzisiaj nie pamiętam. Wydaje mi się, że powodem tych pytań była ekspertyza dotycząca znalezionej u mnie w domu maszyny do pisania. Wynikało z niej, że na tej maszynie pisane były matryce ulotek skierowanych do wojska.

Witold Tukałło: Nie chcieli mnie wypuścić na komunię córki, a przecież żona też była w więzieniu [Ewę Tukałło zatrzymano 14 maja 1982 r. i aresztowano do sprawy Głowackiego i Grudniewicza – zob. dalej]. *Mieli nadzieję, że to jakoś mnie złamie. Chcieli połączyć z moją, sprawę ulotek dla wojska, ale się nie udało. Nie odnaleźli maszyn drukarskich, a więc nie mieli dowodów, że to myśmy je drukowali.*

Gdy siedziałem na Monte, już po wyjściu z getta, na oddziale piątym w celi naprzeciw siedział Andrzej Załuski. Zrobili mu na korytarzu w szpitalu więziennym – niby przypadkową – konfrontację z Ewą. Chcieli sprawdzić, czy się znają. Ale oni przeszli obok siebie i nie powiedzieli sobie „Cześć". Jak go potem odprowadzali do celi, to klawisz kazał mu poczekać przed drzwiami i poszedł po klucze. Załuski – wiedząc, że ja jestem w celi naprzeciwko – przez lipo szepnął mi: „Witek! Ewa siedzi!". Konfrontacja Załuskiego z Ewą wynikała stąd, że oni chcieli obie te sprawy (Głowackiego i Grudniewicza oraz Załuskiego) powiązać. Do mnie już wcześniej przychodził kapitan z WSW i pobierał odciski palców. Wtedy nie wiedziałem, o co chodzi, a potem to się wyjaśniło. Gdy wychodziłem na wolność, to oficer, który mnie zwalniał, potwierdził, że Ewa siedzi.

Witold Tukałło został zwolniony 9 czerwca 1982 roku.

Wniesiono jednak do sądu akt oskarżenia przeciwko Andrzejowi Załuskiemu.

Załuski: *Było to w połowie lipca 1982. Składowi sędziowskiemu przewodniczył sędziwy płk* [Wiesław] *Miśko* [Ten sam, który przewodniczył składowi sędziowskiemu, który skazał Szenderę na rok więzienia za namalowanie i wywieszenie karykatury Jaruzelskiego] *tuż przed emeryturą. Moim adwokatem był mec. Stadowicz, który w pewnym momencie rozprawy powiedział: „Pragnąłbym zwrócić uwagę wysokiego sądu, że dokument przeszukania mieszkania Andrzeja Załuskiego nie jest podpisany!". Gdy to się potwierdziło, mój mecenas zawnioskował o usunięcie tego dokumentu z akt procesowych. Sędzia powołał wówczas na świadków esbeków, którzy przeprowadzali przeszukanie. Rozprawę odroczono do 11 sierpnia. Zjawili się wtedy ci esbecy, ale chyba Opatrzność Boża odebrała im rozum. Nie potrafili przed sądem wytłumaczyć, w jaki sposób dokument nie został podpisany. Zaczęli opowiadać, że byli wówczas bardzo zmęczeni, bo mieli dużo pracy. Nie spali nocami, bo ciągle jeździli na przeszukania, zatrzymania, przesłuchania... A ja myślę, że prawdziwym powodem niepodpisania tych dokumentów było to, że moja mama odmówiła ich podpisania, przez co wybiła ich z rytmu i sami też zapomnieli podpisać. Potem jeszcze okazało się, że ulotki, do której kolportowania się przyznałem, nie ma w aktach sprawy i sędzia postępowanie umorzył.*

Wprawdzie 7 września 1982 roku prokurator wniósł rewizję nadzwyczajną na niekorzyść Załuskiego, ale rewizji tej „nie został nadany bieg, bowiem w świetle materiału dowodowego sprawy, brak było perspektyw jej uwzględnienia", jak napisano w uzasadnieniu.

Załuski: *O tym, że w mojej sprawie była rewizja nadzwyczajna dowiedziałem się dopiero niedawno, od IPN.*

Witold Tukałło: *Jestem przekonany, że wypuszczono mnie po 2 miesiącach, abym śledzony, doprowadził ich do drukarni, która była wtedy w klasztorze Ojców Kapucynów. Pomocni sąsiedzi ciągle ostrzegali, że jestem śledzony, więc przez panią Załuską zawiadomiłem, że muszę czasowo, na dwa, trzy miesiące zerwać kontakty, by nie spowodować większej „wsypy".*

Zabierany byłem przez SB z domu jeszcze co najmniej kilka razy, ale przesłuchania nie miały już tak ostrego charakteru, jak niegdyś. Władze już wiedziały, że nasz „moralny kręgosłup" jest niemożliwy do złamania. Aresztowania miały charakter profilaktyczny, np. przed świętami narodowymi, i siedzieliśmy zwykle 48 godzin. Kuriozalnie, nie wspominam ich źle, bo stanowiły możliwość spotkania z całą krakowską opozycją ze świata nauki i kultury. Mieli później z nami kłopot, bo nie chcieli dawać zaświadczeń do zakładów pracy, a my z kolei nie chcieliśmy opuszczać aresztu bez stosownego „usprawiedliwienia" nieobecności w pracy. Ja jakoś nie miałem problemów w moim zakładzie.

Po zwolnieniu mnie z więzienia, dyrektor musiał mnie przenieść do pracy poza Kraków, takie dostał polecenie. Pracowałem przy budowie stopnia wodnego w Oświęcimiu. Chodziło o to, abym nie miał czasu, bo codziennie dojeżdżałem do pracy półtorej godziny. Esbecy w czasie jakiegoś przesłuchania chwalili się, że to oni mi to przeniesienie załatwili.

***

Do drugiej wpadki krakowskiej KPN doszło w maju 1982 roku w wyniku donosu z marca tego roku. Zachowały się obszerne materiały SB na ten temat.

16 marca 1982 r. J. Paleczny (oficer dyżurny KD MO Kraków-Podgórze) napisał „notatkę urzędową na temat informacji uzyskanej od osoby zaufanej" o Bogdanie Głowackim, członku KPN. Czytamy w niej: *W trakcie wykonywania czynności służbowych pełnionego dyżuru Wydziałowego przeprowadziłem rozmowę z OZ* [osoba zaufana] *„RP"* [Robert Pierzycki, uczeń X LO w Krakowie], *który wręczył mi osiem egzemplarzy różnego rodzaju (...) deklaracji sygnowanych przez Konfederację Polski Niepodległej.*

Odnośnie okoliczności, w jakich wszedł [w ich] *posiadanie OZ, wyjaśnił, że w czasie częstych zresztą pobytów w kawiarni „Jama Michalika" w Krakowie nawiązał znajomość z niejakim Bogdanem Głowackim lat ok. 24, który przekazał mu wspomniane odezwy z prośbą, by je przepisał na maszynie oraz rozpowszechniał wśród swoich kolegów ze szkół średnich, których ten jest uczniem.*

Bogdan Głowacki prawdopodobnie pochodzi z Krakowa. Ma szerokie kontakty z członkami Organizacji KPN w Wałbrzychu (ma tam mieć legitymację członkowską KPN), Łodzi, Warszawie. Na terenie Krakowa nie posiada stałego miejsca zamieszkania. Przebywa na melinach. Posiada środki na utrzymanie. Jest w bliskim kontakcie z NN [nazwisko nieznane] *Wiesławem, plutonowym Wojska Polskiego z JW* [jednostki wojskowej] *przy ul. Wrocławskiej w Krakowie. Prawdopodobnie obu ich wiąże wspólna działalność w KPN.*

Głowacki bardzo często przesiaduje w kawiarni Jama Michalika. W razie potrzeby może być wskazany przez osobę informującą.

Głowacki przekazał OZ, by na terenie szkoły, do której ten uczęszcza, stworzył siatkę kolportującą załączone odezwy. Prosił też o załatwienie kilku pojemników aerozolu celem malowania napisów na murach budynków, szczególnie uczęszczanych przejść podziemnych.

Polecił również, by „domowym" sposobem wykonać kilka pieczątek o treści, którą jeszcze ma podać. Materiały, które przepisać miał OZ, mają zostać wręczone Głowackiemu w Jamie Michalika w tym tygodniu.

Głowacki po złamaniu strajku w HiL wrócił do pracy. Zaczął się ukrywać na początku stycznia, gdy dowiedział się, że wielu działaczy „Solidarności" zostało internowanych. Obawiał się internowania z uwagi na swoją przynależność do KPN oraz działalność w KOWzaP. Rzeczywiście, Głowacki był znany SB, rozpracowywany w Kwestionariuszu Ewidencyjny „Koksiarz" i odnotowany w SOR „Dama" (założonej 22 grudnia

1979 r. przeciwko działaczom PM NiD – zob. tom I). Głowacki umocnił się w decyzji o ukrywaniu, gdy w połowie stycznia dowiedział się od swojej babci (u której mieszkał), że „chodzą za nim" i przeprowadzono rewizje w jego mieszkaniu. *Miałem znajomego księdza Kłoczowskiego, dominikanina. Załatwił mi mieszkanie na Prądniku, w którym się ukrywałem. Potem mieszkałem u małżeństwa Chwałków* [To mieszkanie załatwił mu Stanisław Zamojski]. *Ukrywałem się także w mieszkaniu Marii Jaworskiej oraz u innych, ale trudno było mi żyć w ukryciu, bo jestem z natury człowiekiem aktywnym. W końcu wróciłem więc do pracy w Hucie.*

Głowacki planował ślub, co zapewne przyspieszyło decyzję o wyjściu z ukrycia. Jego pojawienie się w pracy w początku marca 1982 roku spowodowało natychmiastowy meldunek w tej sprawie do SB, złożony przez pracującego z nim w zakładzie konfidenta Wydziału V (ochrona gospodarki). 5 marca Wydział V SB zawiadomił o tym funkcjonariuszy Wydziału III-1, zajmującego się w tym czasie KPN-em.

Nieznany w tym czasie SB z nazwiska Wiesław, to plutonowy Wiesław Grudniewicz – również członek KPN. Z zachowanych materiałów wynika, że od lutego 1982 roku Wojskowa Służba Wewnętrzna rozpracowywała go w sprawie „Kotwica", jednak SB i WSW musiały już wcześniej mieć informacje o jego kontaktach z KPN. W SOR „Konspiratorzy" jest notatka służbowa kpt. Kulisia z 30 listopada 1981 r., z której wynika, że TW „Mikołaj" rozpoznał na zdjęciu Grudniewicza, jako jednego z żołnierzy, który uczestniczył w spotkaniu KPN. Jest prawdopodobne, że SB przekazała tę informację WSW. Tak więc SB i WSW miały wiedzę o kontaktach Grudniewicza z KPN jeszcze przed grudniem. Hipotezę tę potwierdza sam Grudniewicz: *W wojsku nie ukrywałem przynależności do KPN. Wiedziała o tym przynajmniej kadra z niższego szczebla dowodzenia. Kolportowałem w mojej jednostce przy Wrocławskiej ulotki KPN, także po 13 grudnia. Wojsko żyło w izolacji i chciałem ich uświadomić. Nie zdawałem sobie do końca sprawy, czym takie działania mi grożą. Nigdy moi zwierzchnicy nie wezwali mnie i nie powiedzieli, abym tych działań zaniechał. Odnosiłem wrażenie, że to było tolerowane. Przed 13 grudnia brałem udział w różnych demonstracjach w Krakowie, np. w demonstracji z 29 listopada 1981 (po moim aresztowaniu pokazali mi zdjęcia z tej demonstracji, na których można było mnie rozpoznać).*

Miałem kontakty z Głowackim, z Tosiem, z Ewą Tukałło, z Łenykiem. Kilka razy byłem w mieszkaniu Tosia w Nowej Hucie.

Łenyk: *Było tylko jedno konspiracyjne spotkanie, jakie miałem z Grudniewiczem po 13 grudnia. Pojawiłem się u niego i zaleciłem, by utworzył grupę ze znanych sobie żołnierzy i oficerów mogącą wspierać KPN. Zgodził się na to, ale nigdy jednak nie zaprezentował mi członków tej grupy.*

Z notatki z 17 czerwca 1982 roku dot. śledztwa przeciwko plut. Wiesławowi Grudniewiczowi znajdującej się w aktach kontrolno-śledczych KPN, wynika, że Grudniewicz miał pomóc ukrywającemu się Głowackiemu znaleźć nocleg w mieszkaniu Marcelego Stankowskiego (b. pracownika ZR „Małopolska"), a następnie w Wałbrzychu oraz miał pomóc Głowackiemu zdobyć „lewe" zaświadczenie lekarskie. Miał też rzekomo proponować Głowackiemu i Stankowskiemu gromadzenie broni i amunicji dla KPN, które miały być przeznaczone do grup terrorystycznych i partyzantki miejskiej. Grudniewicz miał też przekazywać Andrzejowi Chwałkowi (pracownikowi Politechniki Krakowskiej i działaczowi „Solidarności") informacje dotyczące stanu moralno-politycznego kadry i żołnierzy z 6. PDPD, co wykorzystano w „Aktualnościach" nr 9 z 22 marca 1982 r. W lutym 1982 roku Grudniewicz miał nawiązać kontakt z Ewą Tukałło (którą poznał

przez Bożenę Huget w 1981 r.), od której miał dostać do rozkolportowania w jednostce wojskowej ulotki nawołujące do nieposłuszeństwa żołnierzy rozkazom przełożonych. Grudniewicz miał też (w lutym i w marcu 1982 r.) wykonać i rozkolportować – wraz ze swoim bratem Andrzejem – ulotki sygnowane nazwą KPN, adresowane do żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego, nawołujące do nieposłuszeństwa. W marcu 1982 roku Grudniewicz miał otrzymać od Łenyka polecenie rozrzucenia ze spadochronu nad Krakowem ulotek sygnowanych przez KPN.

Ewa Tukałło: *Grudniewicza znałam już wcześniej. Spotkałam go u Łenyka.*

P*rzyszedł do mnie po 13 grudnia. Spotkał u nas dużo ludzi. Chyba domyślał się, że drukujemy. Prosił o ulotki. Dałam mu takie ulotki kapeenowskie, jakie miałam, ale jak przyszedł ponownie, to wydrukowaliśmy specjalnie dla niego ulotki adresowane do żołnierzy. Zajęli się tym Witek (mój mąż) i Andrzej Załuski. Była tam mowa o Katyniu i był apel do sumień żołnierzy, aby nie popierali stanu wojennego. Było to podpisane „Instytut Katyński". Nie było tego dużo, około 100 ulotek, bo popsuła się maszyna do drukowania i nie zdążyliśmy wydrukować więcej.*

Ze wspomnień Andrzeja Izdebskiego wynika, że to on był autorem odezwy do żołnierzy z początków 1982 roku.

Witold Tukałło: *Znałem Grudniewicza, ale nie chciałem z nim współpracować. Znałem trochę wojsko i uważałem, że próba kolportażu ulotek w wojsku jest zbyt niebezpieczna. Byłem temu przeciwny. Dlatego on skontaktował się z Ewą, która jednak na to się zdecydowała. Potem Ewa prosiła mnie, aby zrobić odezwy do wojska, dla Grudniewicza. Uległem jej prośbom. Tekst ulotki napisał Izdebski, a ja ją wydrukowałem na maszynce Żebrowskiego. Ewa dała te ulotki Grudniewiczowi. On chyba domyślał się, że ja je wydrukowałem, ale mnie nie wsypał.*

Z zeznania złożonego przez Głowackiego 15 maja 1982 roku wynika, że Roberta Pierzyckiego, który doniósł SB i spowodował wsypę, poznał przypadkowo w lutym 1982 roku, gdy ten wraz z kolegami rozmawiał w kawiarni o KPN. Głowacki przysłuchiwał się tej rozmowie, a potem się do niej wtrącił. Gdy zostali sami, *Robert poprosił mnie o skontaktowanie go z pewnymi ludźmi – chciał coś robić nielegalnego (…). Stanęło w ten sposób, że ja zgodziłem się poznać go z kimś, z kim on będzie mógł coś robić (…). Jak spotkaliśmy się w trójkę, to ja przekazałem Roberta* [Wiesławowi] *Grudniewiczowi, tj. poznałem ich i powiedziałem Robertowi, że od tej pory będzie się spotykał z Grudniewiczem. Podczas tego spotkania w „Jamie Michalikowej" przekazałem Robertowi do poczytania wiersz zatytułowany „13 grudnia", a w toalecie przekazałem mu list arcybiskupa Józefa Glempa do pana Jaruzelskiego i do Ojca Świętego oraz Deklarację Ideową Konfederacji Polski Niepodległej. Dokumenty te przekazałem mu tylko dla niego – bo on prosił mnie o takie materiały. Natomiast dałem mu także do przepisania apel (...) Organizacji Amnestii Międzynarodowej wydany jeszcze przed stanem wojennym. Powiedziałem mu, żeby to dla mnie przepisał na maszynie, bo mówił mi, że ma dostęp do maszyny. Miał to przepisać w 10 egzemplarzach. Nie miałem określonego celu. Być może, że była między mną a Grudniewiczem rozmowa, żeby dać coś Robertowi do przepisania, żeby go w ten sposób sprawdzić, czy nadaje się, czy potrafi to wykonać. W sumie Robert przepisał to w 7 lub 8 egzemplarzach i dał mi to przepisane też w kawiarni „Jama Michalika".*

Bogdanowi Głowackiemu można postawić zarzut braku ostrożności w kontaktach z 18-letnim licealistą, ale warto też powiedzieć, że po prostu miał ogromnego pecha. Wydaje się, że w tym czasie na 100 licealistów, którym by złożono podobną propozycję do tej, jaką Głowacki złożył Pierzyckiemu, kilku zareagowałoby pozytywnie, większość by

wzruszyła ramionami i odpowiedziała, że to ich nie interesuje, a może jeden poszedłby z tym na milicję. Głowacki trafił akurat na tego jednego! Nie wiemy, co kierowało Pierzyckim. Czy był reliktem z innej epoki wychowanym na opowiadaniu o Pawce Morozowie? A może był już wcześniej „osobą zaufaną" MO, ze względu na jakieś sprawy kryminalne? Wiele wskazuje na wcześniejszą współpracę, najprawdopodobniej z milicją z komendy w Podgórzu. Gdyby nie, to czemu akurat tam zgłaszałby się do oficera dyżurnego z donosem, skoro ulotki dostał w centrum Krakowa? Formalne zgłoszenie było im potrzebne do wszczęcia śledztwa, dlatego prawdopodobnie oficer prowadzący nakazał to Pierzyckiemu.

***

Odszukaliśmy Roberta Pierzyckiego, aby poznać motywy, którymi kierował się, składając donos na Bogdana Głowackiego, a następnie przystając na odegranie roli prowokatora SB. Najpierw twierdził, że nic nie pamięta, ale po zacytowaniu mu dokumentów, przyznał: *Na pewno było coś takiego, nie twierdzę, że nie. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia, bo to były takie czasy, że widocznie była taka potrzeba. Miałem takie, a nie inne podejście do państwowości i wspierałem legalne polskie władze.*

Nie wyklucza, że za donoszenie i bycie prowokatorem płacono mu, ale nie pamięta szczegółów. Nie pamięta także, czy później dalej był donosicielem MO i SB.

***

Notatkę milicyjną, na podstawie donosu Pierzyckiego, naczelnik Wydziału Kryminalnego KD MO Kraków-Podgórze polecił 17 marca 1982 roku wraz z pismem przewodnim skierować do służbowego wykorzystania przez Służbę Bezpieczeństwa.

W tym czasie Głowacki na pewno był śledzony. Zachowała się informacja operacyjna por. Czopka z 13 kwietnia: *W dniu 24 marca 1982 w kawiarni „Jama Michalika" spotkali się: NN Wiesław, Smoczyński Stanisław, Pierzycki Robert i Głowacki Bogdan. Po tym spotkaniu Głowacki Bogdan udał się na ulicę Janickiego 6, gdzie wszedł do pustostanu – mieszkania nr 88.*

Do rozpracowania Głowackiego SB postanowiło wykorzystać człowieka, który wcześniej współpracował z Radosławem Hugetem. Był to Tomasz Wideł (zob. tom I). Jak podaje Kasprzycki, 23 grudnia 1981 roku został on pozyskany przez por. Celbana jako tajny współpracownik ps. „Grzegorz".

Już 5 kwietnia 1982 roku por. SB Zdzisław Czopek meldował: *w sprawy operacyjnego rozpracowania krypt[onim] „Gniazdo" uzyskano od TW ps. „Grzegorz" oraz KO „PR"* [Kontakt Obywatelski „Pierzycki Robert"; w terminologii SB „KO" to „nieformalna i zazwyczaj nierejestrowana forma współpracy"] *informację operacyjną wskazującą, że na terenie Krakowa istnieje i działa na rzecz KPN grupa osób, do której między innymi należą:*

- *Zachara Anna,*
- *Pierzycki Robert,*
- *Głowacki Bogdan,*
- *Smoczyński Stanisław,*
- *Chwałek Andrzej,*
- *Chwałek-Dudek Elżbieta,*
- *N.N. Wiesław.*

W dotychczasowych materiałach operacyjnych nie stwierdzono, aby wymienione osoby były związane z działalnością krakowskiej filii KPN.

Z uzyskanych informacji wynika, że członkowie powyższej grupy, a w szczególności B[ogdan] Głowacki, dysponuje ulotkami firmowanymi przez KPN, które kolportuje wśród osób zaufanych przebywających w krakowskich kawiarniach. W wyniku podjętych działań przejęto operacyjnie kilka egz. ulotek, które wykonane zostały na maszynie biurowej. Z posiadanych informacji wynika, że w skład ustalonej grupy wchodzi N.N. Wiesiek, będący podoficerem zawodowym w Krakowskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej. Ma on prowadzić działalność na rzecz KPN-u w powyższej jednostce wojskowej.

Duży nacisk członkowie grupy kładą na utworzenie młodzieżowej grupy KPN, do której weszliby uczniowie szkół średnich. Mają oni bliżej nierozpoznane kontakty z byłymi członkami KPN, a w szczególności w Wałbrzychu, skąd niewykluczone, że przywożą kolportowane w Krakowie ulotki.

Tego samego dnia (5 kwietnia 1982 r.) SB założyła Sprawę Operacyjnego Sprawdzenia (SOS) „Kawiarze" (wg terminologii SB „sprawa operacyjnego sprawdzenia" to „kategoria sprawy operacyjnej wszczynana w celu wyjaśnienia zdarzeń określanych jako *wroga działalność*") . Była to pierwsza sprawa założona przeciwko krakowskiej KPN po 13 grudnia 1981 roku.

Z planu operacyjnych przedsięwzięć do SOS „Kawiarze" sporządzonego 13 kwietnia 1982 roku przez kpt. SB Józefa Kulisia oraz por. Czopka wynika, że SB ustaliła już wtedy dane personalne Wiesława Grudniewicza. A ponieważ był to żołnierz zawodowy, SB musiała wszelkie czynności wobec niego podejmować przez WSW lub przy współudziale WSW. Koordynacją współpracy SB z WSW miał się zająć osobiście p.o. naczelnik Wydziału III-1 kpt SB Andrzej Więckowski.

Z planu tego wynika, że Pierzycki przystał na odegranie roli prowokatora i spotykał się jeszcze kilka razy z Głowackim, przekazując informacje z tych spotkań esbekom. *W trakcie kolejnych spotkań Głowacki przekazał Pierzyckiemu polecenie utworzenia 5-6-osobowej grupy KPN, do której weszliby wyłącznie uczniowie szkół średnich oraz zlecił im wykonanie pieczątki symbolizującej znak Polski Walczącej wraz z napisem KPN.*

Ponadto na 2 spotkaniach Głowacki przekazał Pierzyckiemu ulotki firmowane przez KPN z zaleceniem przepisania na maszynie i rozkolportowania ich wśród młodzieży szkolnej.

Żadnych poleceń Głowackiego Pierzycki nie wykonał, a jedynie fikcyjnie oświadczył mu, że na bieżąco są one realizowane.

Głowacki chyba zorientował się, że coś jest nie w porządku, bo zerwał kontakty z Pierzyckim. Z cytowanych już wyżej zeznań Głowackiego z 15 maja 1982 r.: *Z Robertem spotkałem się jeszcze raz w kawiarni „Wierzynek"... Było to spotkanie zupełnie przypadkowe, trwało krótko. Po wypiciu herbaty rozeszliśmy się. Podczas rozmowy w „Wierzynku" Robert mówił mi, że jest w posiadaniu farby, że ma dojścia do powielacza, ale ja powiedziałem mu, że pomyślę o tym. Była to forma jego zlekceważenia. Więcej już z nim nie spotkałem się. Robert w czasie spotkania w „Wierzynku" mówił, że ma grupę młodych chłopców, którzy gotowi są do pracy.*

Uzupełnienie wymienionego wyżej planu operacyjnych przedsięwzięć do SOS „Kawiarze" z 21 kwietnia 1982 roku dowodzi, że SB działała w tym czasie zupełnie po omacku, decydując się np. na przeszukania mieszkań osób, z którymi kontaktował się Głowacki, a które nie miały nic wspólnego z KPN. Wszystko to dowodzi, jak bardzo SB i WSW zależało na zdobyciu bliższych informacji o konspiracyjnych strukturach Konfederacji. *M*[iędzy] *innymi planuje się:*

1. Dokonać pełnego rozpoznania operacyjnego ob. Stanisława Smoczyńskiego, a następnie przeprowadzić z ww. rozmowę operacyjną pod kątem ewentualnego pozyskania.

2. Przy współudziale W[ydziału] *Śledczego przeprowadzić w mieszkaniu Andrzeja Chwałka przeszukanie śledcze – również po uprzednim rozeznaniu operacyjnym.*

3. Dokonać pełnego rozpoznania operacyjnego szatniarki i toaletowej z kawiarni „Malwa", z którymi kontaktuje się B[ogdan] *Głowacki. W mieszkaniu (...) Bronisławy Dwornik* [ur. 1911; była ona babcią Głowackiego i właścicielką mieszkania, w którym mieszkał Głowacki] *przeprowadzić przeszukanie śledcze, gdyż istnieje uzasadnione podejrzenie, że B*[ogdan] *Głowacki przechowuje tam materiały propagandowe.*

4. Podjąć czynności zmierzające do rozeznania operacyjnego kelnera z kasyna nr 1 i przeprowadzić z nim rozmowę operacyjną. Wymieniony jest kontaktem B[ogdana] *Głowackiego.*

5. W porozumieniu z pracownikiem Wydz[iału] *V, tow.* [st. chor. Józefem] *Kmiecikiem, przejąć na kontakt pozostające do jego dyspozycji źródło z miejsca pracy B[ogdana] Głowackiego.*

W zależności od potrzeb na bieżąco podejmować odpowiednie decyzje i określone przedsięwzięcia operacyjne celem pełnego rozpoznania form i zakresu działania grupy B[ogdana] *Głowackiego, które w końcowym efekcie mają przynieść likwidację ww. grupy.*

Najpierw dokonano przeszukania w mieszkaniu Anny Zachary, o czym informuje meldunek por. Czopka z 1 czerwca 1982 r.: *W dniu 11 maja 1982 dokonano przeszukania śledczego w mieszkaniu Zachara Anna [...] ur. [...] 1961 w Krakowie, panna, studentka I roku UJ Wydz. Prawa, zam. Kraków, ul.* [...], *w wyniku którego zakwestionowano tzw. „Oświadczenie KPN", „Deklarację ideową KPN" oraz nieużywaną sitoramkę i matrycę. Za pokwitowaniem zakwestionowano również maszynę do pisania celem pobrania wzorów porównawczych. Po przeszukaniu z w*[yżej] *w*[ymienioną] *została przeprowadzona rozmowa profilaktyczno-ostrzegawcza, w wyniku której stwierdzono, że miała ona kontakty organizacyjne z internowanymi członkami KPN Radosławem i Bożeną Huget*[ami], *Krzysztofem Bzdylem i Michałem Żurkiem. Mając na uwadze niedopuszczenie do wzięcia przez nią udziału w planowanej manifestacji w dn*[iu] *13 maja* [19]*82 , została zatrzymana w areszcie na 48 godzin.*

Zwolnienie Zachary wydaje się zrozumiałe, bo ani przeszukanie, ani rozmowa nie przyniosły zadowalających SB rezultatów. Wiedza SB dotyczyła bowiem kontaktów Zachary z działaczami KPN przed 13 grudnia, zaś znaleziona ramka i sito były nieużywane (i pochodziły, a przynajmniej można było upierać się, że pochodziły, sprzed stanu wojennego). SB nie miała też żadnych materiałów z innych źródeł obciążających Zacharę.

***

13 maja 1982 roku WSW zdecydowały się na „realizację" sprawy, tj. na aresztowanie Grudniewicza.

Grudniewicz: *O drugiej w nocy usłyszałem dzwonek do drzwi mieszkania: „Kto tam?". „WSW. Proszę otworzyć!". Kilku w mundurach i jeden czy dwóch po cywilnemu. Nie powiedzieli, o chodzi. „Ubierajcie się. Musimy jechać do jednostki". Żony nie było w Krakowie, była u swoich rodziców w Tychach. Akurat był u mnie chrześnik (syn siostry), który miał około 4 lat. Miałem kilka dni wolnego i pokazywałem mu Kraków. Spytałem ich: „Czy zaraz wrócę, czy mam go zabrać ze sobą?". Najpierw mi powiedzieli, że zaraz wrócę, ale potem powiedzieli, żebym go ubrał. Przyjechali do mnie dwoma samochodami, więc jednym z nich – jak się później dowiedziałem – odwieźli go do mojej siostry, do Oświęcimia. Później się dowiedziałem, że powiedzieli jej, że jestem aresztowany. W jednostce tutejszy major z WSW powiedział mi, że jestem aresztowany za przynależność do nielegalnej organizacji. Do rana siedziałem w wojskowym areszcie. Nie bili mnie.*

Rano, równocześnie o tej samej godzinie, przeprowadzili rewizję u mnie w mieszkaniu, u mojej siostry i u mojej matki. Matka zdążyła spalić ulotki, które do niej zawiozłem. W moim mieszkaniu też niewiele znaleźli. Nie zrobili bałaganu, zachowywali się kulturalnie. U mnie w domu nic nie było, ale znaleźli legitymację KPN, którą miałem schowaną w odkurzaczu, koło silnika. Od razu zorientowałem się, kto mnie wysypał, bo o tym, gdzie miałem schowaną legitymację, powiedziałem tylko Knapikowi.

Z Tadeuszem Knapikiem często rozmawiałem o KPN. Miałem do niego duże zaufanie, bo razem służyliśmy w jednej kompanii. Znałem go kilka lat. Poglądy miał podobne do moich. Mówił, że też chce być w KPN. Opowiadałem mu trochę o działalności, m.in. o Głowackim i o Ewie.

Włodzimierz Olszewski: *Byłem zastępcą szefa służby samochodowej. Znałem Grudniewicza z wojska, ale z nim nie współpracowałem w KPN. Znałem też trochę Tadeusza Knapika, który był w jednej kompanii z Grudniewiczem. To była kompania łączności, Knapik był tam technikiem. Pamiętam, że razem z nim byliśmy na misji na Bliskim Wschodzie na początku lat 70. Knapik sprzedał jakiemuś Arabowi dres służbowy. Wtedy to było poważne wykroczenie. Arab chodził w tym wojskowym dresie i było straszne poruszenie. Od razu się w to WSW wmieszała (pamiętam, że był tam z nami mjr Bronisław Ryczek). Knapik szybko wrócił z Bliskiego Wschodu, grozili mu chyba degradacją i zwolnieniem z wojska, ale mu darowali.* Sprawę pamięta też ówczesny mjr Bronisław Ryczek, choć jest oszczędny w słowach: *Tam na Bliskim Wschodzie nie było gadania – facet dziś podpadał, a jutro już odlatywał do kraju.* Nie znaleźliśmy żadnych dokumentów, które wskazywałyby na to, że Knapik został zwerbowany wówczas przez Ryczka do współpracy. Nie mieliśmy nawet ich gdzie szukać, bo akta agentury WSW nie są dostępne.

***

Następnego dnia (14 maja) zatrzymano Ewę Tukałło (jej adres znaleziono w mieszkaniu Grudniewicza w czasie rewizji).

Ewa Tukałło: *13 maja 1982 poszłam z córką Aldoną na mszę do kościoła Mariackiego. Lali wodą, było bardzo niebezpiecznie. Jak wróciłam do domu, to się rozchorowałam. Miałam anginę. Brałam antybiotyk.*

Moje aresztowanie następnego dnia przez kontrwywiad wojskowy miało dość dramatyczny przebieg. Wpadli rano. Zarówno ja, jak i mama Witka, która z nami mieszkała (Anna) miałyśmy anginę. Choroba dwóch kobiet nic dla nich nie znaczyła, poniewierali nami straszliwie.

Przeszukanie w mieszkaniu Ewy Tukałło prowadzili: ppłk Tadeusz Michalczyk z zarządu WSW Warszawskiego Okręgu Wojskowego, por. Andrzej Andruszkiewicz oraz mł. chor. Marek Kuczyński (obaj z WSW w Krakowie).

Ewa Tukałło: *W czasie rewizji był dzwonek do drzwi. Przyszła Teresa Czerwińska (nasza sąsiadka) i powiedziała: „Uważaj, Ewusiu, bo tutaj jakieś podejrzane typy się kręcą pod twoim domem i obserwują twój balkon". Nie zdążyła dokończyć tego zdania, jak jeden wyskoczył i wciągnął ją do mieszkania.*

Szukali wszędzie, zaczęli nawet rozkręcać stary, przedwojenny zegar, pamiątkę mamy. Wyrzucali wszystko z szuflad, z lodówki, wywalili zawartość szafy, ściągnęli chorą mamę z wersalki. Przez cały czas przeszukania nie pozwolono nam skorzystać z łazienki, bo w ekipie kontrwywiadu wojskowego nie było kobiety, która mogłaby nam towarzyszyć. Mama straszliwie im wtedy głośno pomstowała. W szafie znaleźli ordery dziadka, Alfreda Mikeé. Na pytanie, co to jest, mama z dumą odpowiedziała: „Byłam żoną kapitana Woj-

ska Polskiego". Wtedy się trochę uspokoili. Dalszą rewizję robili już bez wyrzucania rzeczy, mimo że spieszyli się, by zdążyć przed przyjściem Aldonki (córki) ze szkoły. Po jej powrocie rewizja została zakończona i zabrali mnie do jednostki wojskowej przy ulicy Wrocławskiej. Tam było okropnie. Straszyli mnie, że ponieważ oboje z mężem siedzimy, a mama Witka ma 80 lat, to zabiorą Aldonę do domu dziecka i stracę ją na zawsze. Później przewieźli mnie na Mogilską.

Witold Tukałło: *Siedziałem już miesiąc w więzieniu śledczym na Montelupich, kiedy aresztowano moją żonę, która była w innej grupie KPN. Kiedy przyszli po nią, to prokuratorzy wojskowi nie wiedzieli, że ja już siedzę.*

14 maja 1982 roku SB zatrzymała też w pracy Głowackiego.

Nowy plan czynności operacyjno-śledczych do SOS „Kawiarze" z 24 maja 1982 roku zatwierdził sam ppłk Józef Biel. *W dniu 13 maja 1982 WSW 6 PDPD zrealizowało sprawę p*[rzeciw]*ko członkowi KPN Wiesławowi Grudniewiczowi, będącemu oficerem tejże jednostki. Przeciwko ww. na wniosek WSW Woj*[skowa] *Prokuratura Garnizonowa w Krakowie wszczęła śledztwo, stawiając mu zarzuty z art. 123* [Chodzi o przestępstwo polegające na działaniu w porozumieniu z innymi osobami, które zmierza do pozbawienia niepodległości, oderwanie części terytorium, obalenie przemocą ustroju lub osłabienie mocy obronnej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, zagrożone kara więzienia na czas nie krótszy od lat 4 lub karą śmierci] *i zastosowała środek zapobiegawczy w postaci aresztu tymczasowego.*

Ponadto Prokurator Garnizonowy w oparciu o zeznania W[iesława] *G*[rudniewicza] *przedstawił zarzuty i zastosował areszt tymczasowy wobec Ewy Tukałło (żony Witolda Tukałło zatrzymanego d*[o] *s*[prawy] *Załuskiego).*

Wykonując czynności w pomocy operacyjno-śledczej do dnia 24 maja 1982 (…) przy współudziale oficera śledczego WSW zatrzymano B[ogdana] *Głowackiego. W trakcie rozmowy operacyjnej przyznał się do działalności na rzecz KPN, co potwierdził w toku przesłuchania. Prokurator Garnizonowy zastosował w stosunku do B*[ogdana] *G*[łowackiego] *sankcję w postaci aresztu śledczego. W trakcie przeszukania mieszkania zakwestionowano materiały dowodowe wskazujące na jego działalność w KPN.*

Podejrzani w tej sprawie traktowani byli wyjątkowo bezwzględnie. Dotyczyło to szczególnie Ewy Tukałło – matki 8-letniego dziecka.

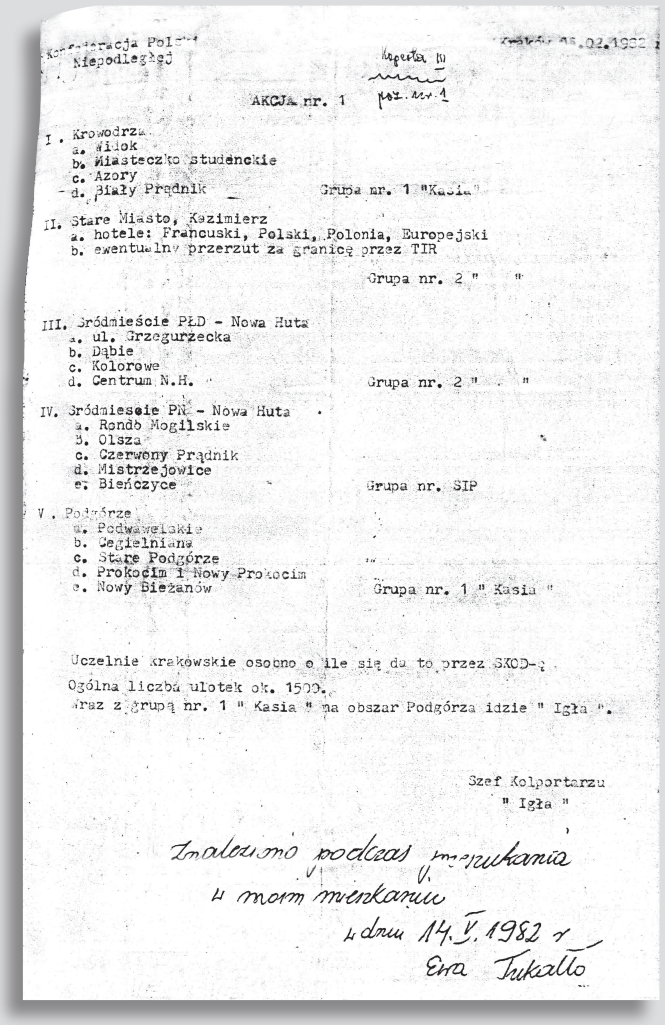
Ewa Tukałło: *Pierwszego przesłuchania nie pamiętam dokładnie, bo miałam gorączkę. Przesłuchiwało mnie kilku śledczych. Strasznie krzyczeli, grozili, że Aldonkę oddadzą do domu dziecka.*

Dopytywali się też o kartkę, którą znaleźli u mnie w domu w czasie rewizji. Dostałam ją od Witka Tosia wtedy, gdy mój Witek już siedział. Powiedziałam im, że znalazłam to poprzedniego dnia na Rynku Głównym, gdy byłam na mszy 13 maja 1982. „Kto to jest Igła?" – pytali. Cały czas pytali o „Igłę". Mówiłam im: „Nikogo nie znam! Nie wiem, kto to jest Igła".

Potem zaprowadzili mnie do jakiegoś oficera, który powiedział, że przyjechał specjalnie z Warszawy. „Generał Jaruzelski jest osobiście zainteresowany tą sprawą, bo niepokoi go, że takie rzeczy dzieją się w wojsku". Mówił też: „Na pewno się dogadamy. Będziemy o pani pamiętać".

Czynności śledcze w stosunku do Ewy Tukałło wykonywali: mjr Bronisław Ryczek (WSW w Krakowie) oraz kpt Zbigniew Dąbrowski (zarząd WSW Warszawskiego Okręgu Wojskowego).

Witold Tukałło: *Ewa mówiła po wyjściu, że ci pułkownicy z Warszawy, podejrzewający rewoltę w wojsku, byli straszni. Zabrano ją z domu tak, jak stała, dopiero później*



Konfederacja Pol[illegible]
Niepodległości

Kraków, 28.02.1982 r.

kopia do
akt. sw. 1

AKCJA nr. 1

I. Krowodrza
a. Wilok
b. Miasteczko studenckie
c. Azory
d. Biały Prądnik — Grupa nr. 1 "Kasia"

II. Stare Miasto, Kazimierz
a. hotele: Francuski, Polski, Polonia, Europejski
b. ewentualny przerzut za granicę przez TIR
Grupa nr. 2 " "

III. Śródmieście PŁD - Nowa Huta
a. ul. Grzegórzecka
b. Dąbie
c. Kolorowe
d. Centrum N.H. Grupa nr. 2 " "

IV. Śródmieście PN - Nowa Huta
a. Rondo Mogilskie
b. Olsza
c. Czerwony Prądnik
d. Mistrzejowice
e. Bieńczyce Grupa nr. SIP

V. Podgórze
a. Podwawelskie
b. Cegielniana
c. Stare Podgórze
d. Prokocim i Nowy Prokocim
e. Nowy Bieżanów Grupa nr. 1 " Kasia "

Uczelnie krakowskie osobno o ile się da to przez SKOD-y.
Ogólna liczba ulotek ok. 1500.
Wraz z grupą nr. 1 " Kasia " na obszar Podgórza idzie " Igła ".

Szef kolportażu
" Igła "

Znaleziono podczas przeszukania
w moim mieszkaniu
w dniu 14.V.1982 r
Ewa Tukałło

Dokument wewnętrzny TTKAB zarekwirowany w mieszkaniu Ewy Tukałło 13 maja 1982 r. SB dowiedziała się z niego o dwóch osobach: o „Kasi" i „Igle". Były to pierwsze informacje o podziemnej KPN, zdobyte przez SB. Każdą zatrzymaną później osobę, którą bezpieka podejrzewała o kontakty z Konfederacją, wypytywano o to kim są „Igła" i „Kasia". Tożsamość „Igły" SB ustaliła latem 1982 r., tożsamość „Kasi" dopiero w 1984 r.

Z archiwum SB

po płaszcz wrócił żołnierz. Do dalszego przesłuchania została doprowadzona na teren jednostki wojskowej. Potwierdziła swoją przynależność do KPN, ale nie przyznała się do przekazywania materiałów Wieśkowi.

Grudniewicz: *Odwieźli mnie na Mogilską. Tam trafiłem „na dołek". Przeważnie siedziałem sam, jedynie raz dokwaterowali mi na dwa dni ludzi zatrzymanych w czasie jakiejś demonstracji. Przesłuchiwali mnie codziennie przy Wrocławskiej. Byli to ludzie z WSW. Śledztwo prowadził jakiś major z Krakowa* [Bronisław Ryczek]. *Powiedział, że Jaruzelski osobiście interesuje się tym śledztwem. Przesłuchania trwały całymi dniami, przez wiele godzin. Cały czas straszyli mnie karą śmierci.*

Ewa Tukałło: *Na Mogilskiej maglowali mnie ostro. Przyprowadzili mnie do Grudniewicza, na Wrocławską. Widać było, że był bity. Miał rozcięty łuk brwiowy i ślady uderzeń na twarzy. Od dawna nie miał butów, co widać było po brudnych i pokaleczonych nogach. Dałam mu przed aresztowaniem 100 ulotek o Katyniu do rozprowadzenia w jego jednostce wojskowej. Grudniewicz wyraźnie powiedział, że mnie nie zna, na co prowadzący przesłu-*

chanie pułkownik z Warszawy krótko rozkazał: „Wyprowadzić i rozstrzelać tego gnoja!". Prosiłam, błagałam, żeby go nie zabijali. Przyznałam się wtedy do członkostwa w KPN, ale twardo zaprzeczałam, żebym cokolwiek dawała Grudniewiczowi.

Grudniewicz dziś zaprzecza, aby był w tym czasie bity i aby był na bosaka. Zaprzecza też, że oficer prowadzący śledztwo mówił, że go rozstrzela.

Fragment protokołu konfrontacji z 14 maja 1982 roku:

Konfrontację rozpoczęto o godz. 20.55, zakończono o godz. 21.10.

Wiceprokurator Wojskowej Prokuratury Garnizonowej w Krakowie – kpt. mgr Marek Gąciarz w obecności płk. mgr. Jerzego Drabika na zasadzie art. 157 par. 3 kpk dokonał konfrontacji pomiędzy: podejrzanym plut. Wiesław[em] *Grudniewicz*[em] *(…) a podejrzaną Ewa Tukałło (…).*

Pytanie do podejrzanego plut. Wiesława Grudniewicza. Kiedy i w jakich okolicznościach oraz w jakim celu otrzymał od Ewy Tukałło ulotki lub inne nielegalne wydawnictwa?

Odpowiedź: Było to w miesiącu marcu 1982 roku, na jednym ze spotkań. W mieszkaniu Ewy Tukałło otrzymałem od niej ulotki (plik ulotek pod tytułem „Żołnierze Wojska Polskiego", mogło ich być około 100 sztuk) w celu ich rozprowadzenia, rozpuszczenia wśród żołnierzy. Ewa Tukałło mówiła do mnie „o ile to będzie możliwe".

Pytanie do podejrzanej ob. Ewy Tukałło: Czy podejrzana potwierdza wyjaśnienia plut. Wiesława Grudniewicza?

Odpowiedź: Nie potwierdzam, bo ulotek wymienionemu nie dawałam.

Pytanie do podejrzanego plut. Wiesława Grudniewicza: Czy podtrzymujecie swoje wyjaśnienia odnośnie otrzymania od Ewy Tukałło ulotek adresowanych do żołnierzy.

Odpowiedź: Nie podtrzymuję.

Pytanie do podejrzanego plut. Wiesława Grudniewicza: Dlaczego w swoich wyjaśnieniach złożonych w dniu 13 maja 1982 oraz w dniu dzisiejszym w czasie prowadzonej konfrontacji stwierdziliście, że ulotki te otrzymaliście od wyżej wymienionej?

Odpowiedź: Nie wiem dlaczego tak wyjaśniałem.

***

Głowacki: *Nie bili mnie. Pytali o moją działalność. Faktów, które oni już znali, nie ukrywałem. Wypytywali przede wszystkim o Wieśka. On pracował przy wojskowych radiostacjach. Nie mogli zrozumieć, że ja wchodziłem na teren jednostki, gdzie kilka razy odwiedzałem Wieśka. Zadałem wtedy takie głupie, naiwne pytanie: „Co Wieśkowi grozi?". Gąciarz mi odpowiedział: „W najgorszym wypadku – pluton egzekucyjny". „A mnie co?". „Od 3 lat do kary śmierci włącznie". Wtedy nogi się pode mną ugięły.*

Protokół przesłuchania Bogdana Głowackiego przez prokuratora wojskowego kpt. Marka Gąciarza sporządzony 15 maja 1982 roku, tj. nazajutrz po zatrzymaniu Głowackiego, liczy 25 stron. Głowacki podał tam imiona, nazwiska i adresy tych, którzy pomogli mu w ukrywaniu się (Stanisław Zamojski, małżeństwo Chwałków, Marceli Stankowski, Maryla Jaworska), a także wymienił dominikanina o. Andrzeja, który był znajomym Chwałków i u którego przechowywał bibułę KPN, oraz lekarza, który wystawił mu zwolnienie lekarskie z pracy (L4). Podał też dane pozwalające zidentyfikować inne jeszcze osoby.

Drobiazgowa analiza akt SB pokazuje jednak, że fakty podane w protokole przesłuchania Głowackiego, SB rzeczywiście znała już wcześniej. Z teczki SOS „Kawiarze" wynika, że zaraz po założeniu tej sprawy, SB szukając informacji o Głowackim, dokonała analizy materiałów zebranych w SOR „Dama" oraz w Kwestionariuszu Ewidencyjnym

„Koksiarz" założonym na Bogdana Głowackiego już w kwietniu 1980 roku, w związku z jego kontaktami z KPN (Kwestionariusz Ewidencyjny w terminologii SB to „niższa kategoria sprawy operacyjnej, polegającej na inwigilacji [kontroli operacyjnej] osoby"). Inny dokument z SOS „Kawiarze" dowodzi, że 14 kwietnia 1982 roku naczelnik Wydziału V (gospodarka) ppłk Szafarski przekazał naczelnikowi Wydziału III-1 kpt. Więckowskiemu 9 kart dotyczących Bogdana Głowackiego. Nazwiska Chwałków pojawiają się w SOS „Kawiarze" już na początku kwietnia 1982 roku, a więc ponad miesiąc przed pierwszym przesłuchaniem Głowackiego. Źródłem informacji SB o Bogdanie Głowackim i jego kontaktach byli także TW „Grzegorz" oraz „kontakt obywatelski" Robert Pierzycki. SB miała też dane z inwigilacji Głowackiego prowadzonej przez SB i WSW od kilku miesięcy przed jego zatrzymaniem. Informacje o Grudniewiczu SB miała m.in. od żołnierza Tadeusza Knapika oraz z materiałów zgromadzonych w sprawie „Kotwica". Wina Głowackiego nie polegała więc na tym, że „sypnął" SB ludzi, z którymi się kontaktował, bo informacje o tych ludziach SB miała już wcześniej z innych źródeł. Jego błąd polegał na tym, że informacje te potwierdził do protokołu. W ten sposób SB zyskała materiał procesowy, który mógł zostać wykorzystany jako dowód w postępowaniu sądowym bez ujawniania rzeczywistych, pierwotnych źródeł wiedzy operacyjnej.

Warto pamiętać o takim mechanizmie, stosowanym przez SB, gdy czyta się protokoły przesłuchań. Bez dokładnej znajomości okoliczności sprawy, na podstawie dokumentu własnoręcznie podpisanego (który przecież wydaje się bardzo wiarygodnym dowodem) łatwo jest postawić komuś zarzut, że „sypał", że wydał SB ludzi i lokale. Tymczasem dana osoba tylko potwierdzała wiedzę, której rzeczywiste źródła SB starała się ukryć.

Oczywiście, potwierdzenie do protokołu wiedzy operacyjnej SB było błędem i nie należało tego robić, jednak ocena moralna tego błędu jest zupełnie inna niż w przypadku sypania, czyli podawania śledczym wiedzy, której nie mieli. Zwłaszcza że ludzie stojący pod poważnym zarzutem (a Głowackiemu i Grudniewiczowi postawiono zarzut, za który groziła kara śmierci) często bronili się, stosując taktykę „syp zasypane". Aby złagodzić odpowiedzialność, potwierdzali informacje, które służby zdobyły już w inny sposób.

***

Metodę „syp już zasypane" stosowali nawet tak znani opozycjoniści, jak Antoni Macierewicz czy Wojciech Onyszkiewicz (jeszcze przed swoją działalnością w KOR).

Andrzej Friszke – „Anatomia buntu": *(...) Doniesienia na niego* [Macierewicza] *złożyła 25 marca* [1968] *blisko z nim zaprzyjaźniona kp. (kontakt poufny) „Ewa". Donos był swego rodzaju dziennikiem zdarzeń, rozpoczętym 6 marca. Przewijało się w nim również nazwisko Wojciecha Onyszkiewicza, przyjaciela Macierewicza. Na tej podstawie wystawiony został wniosek o przeprowadzenie rewizji domowej i zatrzymanie Macierewicza i Onyszkiewicza. O pierwszym pisano, że „jest bliskim kontaktem A. Michnika. Wyznaje poglądy głoszone przez Kołakowskiego, Modzelewskiego i Kuronia (...) W czasie strajku okupacyjnego na UW kierował masowym przepisywaniem rezolucji. Jest też organizatorem nowej grupy studenckiej".*

Aresztowany 30 marca Macierewicz nie brał udziału w przygotowaniach do wiecu 8 marca, a charakterystyka opisująca go jako zwolennika Michnika, Modzelewskiego i Kuronia była przesadzona. W złożonych w połowie kwietnia zeznaniach Macierewicz obszernie omówił sytuację na Wydziale Historycznym UW w okresie marcowych wystąpień studenckich. Wymienił zatem osoby należące w marcu do „aktywu" na wydziale, wspominał o

swoich rozmowach z doc. Samsonowiczem, który „solidaryzował się z postulatami wysuniętymi przez studentów na zebraniu aktywu wydziału historii z Radą Wydziału historii" (w dniu 27 marca). Przyznał, że prowadził kronikę wydarzeń na wydziale, którą przepisywał na maszynie, ale tylko w jednym egzemplarzu. Przyznał się do autorstwa ulotki treści „Kraków strajkuje od tygodnia, Politechnika zaczęła dzisiaj... a my?". Zeznając 1 maja opowiedział, jak 20 marca wpadł na pomysł wydania tej ulotki i że podzielił się swoim pomysłem z Onyszkiewiczem, który obiecał mu pomóc w kolportażu. Opowiedział szczegółowo, jak sam tę ulotkę przepisywał na maszynie. Onyszkiewicz ciął kartki, po czym obaj je rozkolportowali. Na wiecu 21 marca postanowiono proklamować strajk na Uniwersytecie. Dodał jeszcze, że w połowie marca Onyszkiewicz przyniósł do niego kilkaset ulotek pt. „Robotnicy". Zeznania Macierewicza obciążały jego samego, ale też Onyszkiewicza, który nie przyznał się do rozkolportowania ulotek (twierdził, że je zniszczył). Były też kolejnym elementem obciążającym w oczach SB doc. Samsonowicza. Ostatecznie, w wyniku decyzji odstąpienia od wytaczania procesu działaczom komitetów studenckich, obydwaj zostali zwolnieni, Macierewicz 3 sierpnia). Opisane tu różne techniki obrony muszą być (i były przez kolegów) oceniane rozmaicie.

W związku z zacytowanym powyżej fragmentem książki, oświadczenie złożył Wojciech Onyszkiewicz, były członek KSS KOR: (…) *Najpierw ja potwierdziłem swoimi zeznaniami fakty, które – jak sądziłem – znane były SB, obciążając siebie i Antoniego Macierewicza. Dopiero pod wpływem moich zeznań Antoni Macierewicz po ponad miesiącu przestał zaprzeczać stawianym oskarżeniom.*

Wydaje się, że z bardzo podobną sytuacją mamy do czynienia w przypadku zeznań Bogdana Głowackiego i Wiesława Grudniewicza.

***

Zarówno Grudniewicz, jak i Głowacki bardzo szybko trafili na Monte (odpowiednio: 15 i 18 maja). Tam zostali uwięzieni „na getcie", specjalnym oddziale, o którym będzie jeszcze mowa dalej. Zostali poddani „kontroli operacyjnej poprzez agenturę celną", co wyraźnie napisał kpt. Andrzej Więckowski w „Planie czynności operacyjno-śledczych" do sprawy SOS „Kawiarze" z 24 maja.

Bogdan Głowacki: „*Na getcie" siedziałem z gościem, który rzekomo przerzucał „Kulturę" paryską. Mieli go złapać w pociągu na trasie Kraków – Tarnów. Młody, czarny, wyższy ode mnie. Potem do naszej celi trafił też więzień kryminalny – kierownik budowy, który ukradł jakąś betoniarkę.*

Jeden z tych dwóch więźniów to OZ (osoba zaufana) „Włodek". Język i forma jego donosu, złożonego por. SB Tadeuszowi Katolikowi 19 maja, sporządzonego prawdopodobnie osobiście przez „Włodka", wskazują, że był on osobą choć trochę wykształconą i przywykłą do pisania pism urzędowych. Jego uwagi i komentarze wskazują, że interesował się sytuacją polityczną i był pod silnym wpływem oficjalnej partyjnej propagandy. Donosy te nie miały dla SB dużej wartości, bo wiele podanych przez niego informacji jest nieprawdziwych (choćby o broni gromadzonej przez KPN). SB miała chyba tego świadomość. Dlatego w aktach SOS „Kawiarze" jest tylko jeden raport „Włodka", złożony na drugi dzień po umieszczeniu go w celi z Głowackim.

Oświadczenie.

Dotyczy: członka KPN Bogdana Głowackiego i innych osób z tego ugrupowania oraz z rozwiązanego KOR-u i Solidarności Region Małopolska.

Uzasadnienie:

1. Otóż B. Głowacki wstąpił w szeregi KPN-u w 1979 za namową członka kierownictwa ob. Łenyka (zam. Kraków), jak i Ryszarda Majdzika ze Skawiny, pracującego następnie w zarządzie regionu Małopolska. Jak i też za pośrednictwem tych osób poznał całe kierownictwo KPN-u i poszczególne osoby z różnych komórek z całej Polski. Ponadto B.G. był w Komitecie Obrony Więźniów [Chodzi o Komitet Obrony Więzionych za Przekonania] *na region Małopolska, wydelegowany z zarządu Solidarność. W 1980 zapoznał brata R. Majdzika ob. Zygmunta M.*[ajdzika], *który także był członkiem KPN-u i jest to do chwili obecnej aktualne (...). Po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce zebrania i przekazywanie instrukcji, ulotek odbywa się w kawiarni „Kopciuszek" w Krakowie, ponieważ kelnerki tego lokalu są sympatyczkami KPN-u, a niektóra z nich członkinią tego ugrupowania.*

2. Wiadomo mi, że B. Głowacki w 1981 zapoznał za pośrednictwem Łenyka mężczyznę w wieku 27-28 lat, żonatego, ojca dwojga dzieci, który jest wojskowym zawodowym w stopniu plutonowego w jednostce „komandosów" w Krakowie przy ul. Wrocławskiej. A jest on dowódcą plutonu łączności w tejże jednostce. W tej chwili nie wiem bliższych danych o tej osobie, poza tym, że mieszka on w Krakowie i jest członkiem KPN. Dzięki tej znajomości organizacja KPN w Krakowie była bezpośrednio informowana o posunięciach władz wojskowych, jak oraz w/w plutonowy załatwiał interesy handlowe na rzecz tej organizacji. Głównie chodziło o broń, amunicję, materiały wybuchowe i różne podzespoły do radiostacji, krótko mówiąc – części radiotechniczne (gdyż KPN chciała dysponować swą stacją nadawczą, która byłaby ruchoma i miała szerzyć propagandę na rzecz KPN, a przy tym szkalując inne ugrupowania i obecny rząd (...).

W tym miejscu pragnę zwrócić uwagę na n/w [niżej wymienione] *posunięcia tych organizacji KOR, KPN, Solidarność:*

a) Głównym zadaniem Solidarności miało być zrujnowanie gospodarki (…).

b) KOR miał za zadanie rozprawienie się z członkami Partii i Rządu (…).

c) KPN miała objąć w większości władzę za poparciem Zachodu (...).

3. Następna sprawa dotyczy B. Głowackiego i jego kolegi, ucznia liceum Roberta Pyrzyckiego [Chodzi o Pierzyckiego] *(zam. w Krakowie). Otóż w/w R. Pyrzycki – według relacji B.G. – zapoznał on go za pośrednictwem w/w plutonowego, lecz to jest nieprawdą, ponieważ kontakt z tym osobnikiem B. Głowacki nawiązał za pośrednictwem Zygmunta Majdzika ze Skawiny, ponieważ ten przekazywał ulotki dla R.P., który rozprowadzał je na terenie szkoły i swego miejsca zamieszkania. Ponadto Pyrzycki miał zorganizować tzw. „bandę", która miałaby być wykorzystywana przeciwko osobom pracującym w komitetach, wymiarze sprawiedliwości. Miały to być napady, gwałty, wypisywanie różnych obelg do popełniania morderstw włącznie (…).*

Ponadto B. Głowacki miał ścisły kontakt z członkinią KPN Jolantą Małecką zam. w Zielonej Górze, która miała i ma kontakt z zagranicznymi ośrodkami. Jest ona studentką.

***

Głowacki: *Z Monte przewozili mnie na Wrocławską, do jednostki wojskowej. Konwojowała nas Żandarmeria Wojskowa. Wydaje mi się, że chcieli mnie psychicznie spacyfikować, bo goście mieli broń. Przesłuchiwał mnie prokurator Gąciarz oraz jakiś oficer w szarym mundurze, który nie odzywał się, a tylko się przysłuchiwał* [Z protokołu przesłuchania Bogdana Głowackiego wiemy, że był to ppłk Władysław Antolak z Szefostwa Wojskowej Służby Wewnętrznej z Warszawy]. *Na Wrocławskiej byłem dwa razy. Potem przesłuchiwał mnie „na getcie" wojskowy śledczy.*

***

Także Wiesław Grudniewicz miał w celi agenta: *Dzień czy dwa byłem internowany, a potem zostałem tymczasowo aresztowany. Trafiłem na Monte, „na getto"* [Było to 15 maja]. *Chyba była to cela 121. Najpierw siedziałem sam przez jedną lub dwie noce. W ciągu dnia brali mnie na przesłuchania do jednostki woskowej i cały czas mnie wałkowali. Potem do mojej celi trafił szczupły, jakby zabiedzony człowiek, z krótką brodą, chyba szatyn, pociągła twarz, trochę niższy ode mnie.*

Musiał to być TWC (tajny współpracownik celny) „Hiszpan". Jego meldunki przyjmował por. SB Tadeusz Katolik. Są one napisane bardzo słabą polszczyzną, co – jak można przypuszczać – dość wiernie oddaje poziom znajomości języka polskiego przez agenta. Zaskakujące jest wyraźnie widoczne osobiste zaangażowanie konfidenta, który daje swoim mocodawcom rady, jak osaczyć rozpracowywanego więźnia.

Oświadczenie „Hiszpana" z 17 maja:

Dotyczy byłego plut. Grudniewicza Wiesława (…) jego działalność polegała na tym, aby zorganizował sobie grupę ludzi i nimi kierował. [Wystarczyłoby] *nawet, gdyby mu się udało na terenie swojej jednostki. Mówił, że miało to na celu, jak to określa zrobić młyn od środka w swojej jednostce. I udałoby mu się, gdyby go nie zamknęli, bo wszystko było na dobrej drodze, gdyż do chwili zatrzymania miał grupę ludzi pod sobą, tak cywili i wojskowych. Kierował nią niejaki kpt. Olszewski. Mówi, że ten kapitan musiał zniknąć z areny, gdyż groził mu prokurator. Więc poprzez znajomego psychiatrę załatwili mu, że leży na 9-tce w szpitalu – niby, że ma odchylenia. Mówi, że nawet nie zdążył mu dostarczyć materiałów dot. roku 1910* [Na pewno chodziło o inną datę; prawdopodobnie agent nie ma wiedzy o najnowszej historii Polski i z tego powodu nie zapamiętał jakiejś charakterystycznej daty rocznej, np. roku 1920] *(bliżej nie mówił, co to miało być, gdyż ten już leżał w szpitalu). (...) Więc mówi, że jak został ogłoszony stan wojenny, nie mógł nic zrobić, bo nie mógł wyjść z jednostki. Ale jak tylko rozluźniło się, żonę wywiózł do swoich rodziców, a do domu tu w Krakowie sprowadził Bogdana* [Głowackiego] (...). *Tego Bogdana ukrywał u siebie w domu przez dłuższy czas, bo on* [był] *najbliżej związany z nim i bał się, aby on nie wpadł. (...) Mówi,* [że] *gdy żona wracała, wywiózł Bogdana do Wałbrzycha, gdzie miał swego człowieka o imieniu Marek* [SB ustaliła, że chodzi o Marka Stanowskiego], *(który na stałe mieszka we Wrocławiu, a rodziców ma w Wałbrzychu, u których Bogdan się ukrywał – mieszkają gdzieś w okolicach lasu, nie podaje bliższych danych). Co się tyczy tego Marka, to pracował do stanu wojennego w fabryce tytoniu tu w Krakowie, a obecnie przebywa w Wałbrzychu. Po cichu pracuje (być może nie na swoje nazwisko). Należał we Wrocławiu do KOR-u, a potem tu w Krakowie do KPN-u. Mówi, że od niego otrzymał szereg materiałów, jak z Wrocławia* [nt] *KPN i Wałbrzycha. Nadmienia, że temu Markowi załatwił amunicję, to znaczy parę petard, naboje do TT i granaty. Sam mu zawoził do Wałbrzycha, już w stanie wojennym. (...) Następnie odnośnie profesora zamieszkałego na ul. Lotniczej, który również pomagał nie tylko w załatwieniu zwolnienia* [dla Głowackiego], *ale ukrywał Bogdana u siebie w domu. Jak również, u sąsiadki mieszkał Bogdan tego profesora. Sam profesor, mówi, (…) nie należał do KPN tylko do Solidarności, a z KPN współpracował niejednokrotnie. Dostarczał mu ulotki, jak również materiały, które sam opracowywał i pisał u siebie w domu, jak również profesorowi dostarczał ulotki do rozprowadzenia, które w części powielał u siebie w domu. Mówi, że nie zabrali mu wałka, który miał przygotowany do następnej roboty (…). Matryce po części miał z jednostki, a częściowo otrzymywał od znajomych. Matryce były* [z] *NRF. Szereg materiałów do opracowania i gotowych otrzymywał, jak również przekazywał takim osobom, jak Palczewski (zam. na Os. Widok), Gąsiorowski,*

Olszewski, babcia, która pracuje gdzieś w lokalu (u której mieszkał Bogdan), Ewa i Witold Tukałło. Następnie miał powiązania z KPN i Solidarnością w Tychach (…) za pośrednictwem teściów, którzy mu z Tych przywozili materiały i ulotki. Z kolei on jeździł do nich i odbierał. Przywoził do Krakowa i dostarczał Ewie T.[ukałło] *i Zygmuntowi Ł.*[enykowi] *i wspólnie rozprowadzali pomiędzy swoich ludzi. Podaje tu jakieś imię Kasia oraz (nie wiem, czy to nazwisko, czy pseudonim) Igła* [Chodzi o pseudonimy Ryszarda Pyzika i Agaty Dziadowiec działających w siatce kolportażu krakowskiej KPN – schemat akcji kolportażowej z ich pseudonimami znalazła SB w mieszkaniu Tukałłów w czasie rewizji 14 maja 1982 r. Grudniewicz mógł widzieć ten dokument przed swoim aresztowaniem. Mógł go znać także „Hiszpan", jeżeli SB mu go pokazała]. *Zna Załuskiego A. i Czyża W. Mówi, że to byli ludzie do wykonywania kolportażu (...). Mówi, że boi się, by żona za dużo nie powiedziała (bo* [wie] *wiele i mogłaby mu zaszkodzić), a następnie, aby* [nie powiedzieli za dużo] *Bogdan lub Pyrzowski z X Liceum* [Robert Pierzycki był uczniem tego liceum]. *(…)* [Mówi], *że zawoził do Wałbrzycha broń (bliżej nie mówi – tylko tyle, że oprócz granatów, petard, naboi – pistolet. (...).*

Wiedział również o tym, że na terenie swojej jednostki są ludzie z KPN. Miał z nimi kontakt. Z niektórymi, to znaczy mówi o sierżancie, który pracował z kpt. Olszewskim i od tego sierżanta otrzymywał informacje. Miał również przy najbliższych ćwiczeniach w skokach na powierzone mu zlecenie przez Zygmunta Ł[enyka], *podczas gdy będą lecieli nad Krakowem, wyrzucić ulotki. Mówi, że rozważali, jak ma to zrobić. Ponadto mówi, iż więcej musiał*[by] *mieć swoich ludzi wśród skoczków – wówczas to wykona (…). Niedaleko od niego mieszka z rodziny – Tadek (u którego zostawił klucze od swojego mieszkania), który pomagał również w rozprowadzaniu ulotek (bo mu dostarczał, a z kolei Tadek rozprowadzał dalej). Obawia się, by za niego się nie wzięli, bo może za dużo powiedzieć (...).*

Napisał dwa grypsy. Jeden do tego Tadka, drugi do Tukałły Witolda, ale [powiedziałem mu, że] *grypsy dać mogę 18 maja, bo w tym dniu jadę na sprawę. Koniecznie musi być to kobieta (jeżeli by było zagrywane coś), bo to niby moja kuzynka ma dostarczyć (zresztą w grypsie pisze, że mogą zaufać tej kobiecie, co to przyniesie) (...).*

Jak najszybciej [konieczna] *rewizja u rodziców żony Grudniewicza Wiesława oraz w domu profesora. No i ustalenie w Wałbrzychu tego Marka (adres zna Bogdan).*

Cały czas mówi, że wydał go chorąży Knapik, bo jemu mówił, co trzyma w magnetofonie. Co do żony Grudniewicza, to nie [można] *dać jej możliwości do zdenerwowania, bo nic nie powie.* [Trzeba] *umiejętnie ją podejść, to może dużo powiedzieć (...).*

Zamierza zeznać, że złośliwie niby powiedział na Ewę Tukałło, że od niej otrzymał ulotki, bo nie chciała z nim się przespać (aże z nią trochę kręcił). Mówi, że niepotrzebnie ją wplątał i szkoda, by siedziała i że może jak tak powie, no to ją wypuszczą.

(...) twierdzi, że swobodnie mógł się poruszać w stanie wojennym, bo miał legitymacje wojskową [i] *nie musiał mieć zezwoleń. Jak również ostrzegał, kiedy, na kogo mają robić łapanki te czerwone patrole.*

W tych samych aktach zachował się gryps Wiesława Grudniewicza do Witolda Tukałły (o którym „Hiszpan" donosił wyżej) datowany na 17 maja 1982 r. Z treści grypsu wynika, że Grudniewicz nie wiedział, że Tukałło od 14 kwietnia 1982 roku był aresztowany:

Panie Tukałło, zna mnie Pan na pewno z tego, że chodziłem do Ewy po ulotki. Nazywam się Grudniewicz Wiesław, jestem wojskowym. Wpadłem w ten sposób, że ulotki odbierane od Ewy przekazywałem dalej, a od niego dostało się wszystko w ręce SB lub WSW. On jest kapusiem. Zapamiętaj Pan nazwisko Knapik Tadeusz (...). Właśnie temu Knapikowi

powiedziałem, skąd mam te ulotki (znałem faceta dobrze, tak chociaż mi się wydawało) i przez niego dotarli do Ewy. A jeszcze znaleźli u mnie w domu adres do Ewy. Prosiłbym Pana, aby Pan zawiadomił Zygmunta [Łenyka] *o wpadce. Oni wszystko prawie wiedzą – tylko tyle, co mówiłem Knapikowi (…). Jak dawałem ulotki i broszury, to on mnie (...) wypytywał, skąd je mam i nachalnie chciał wstąpić do KPN (…). Kiedyś mu wspomniałem o Zygmuncie, to też będą wiedzieć, ale on nie wiedział o tym, że się z nim widziałem po 13 grudnia 1981. Nie wiem, czy Ewa jest na wolności, ale jak Pan jej będzie mógł przekazać, to niech Pan jej powie, żeby na rozprawie dobrze uważała, jak będę tłumaczył, dlaczego mówiłem, że mam od niej ulotki, a przy konfrontacji zaprzeczyłem o tym. Gdybym Knapikowi o tym nie mówił, to by nie wiedzieli. Ale trudno człowiek będzie miał nauczkę na później (...). Mam jeszcze jedną dużą prośbę do Pana, aby Pan jakby chciał zawiadomić kurię o mnie, bo żona moja jeszcze nic nie wie, że siedzę. Mój adres (…). Wiesław Grudniewicz.*

Dalej znajdował się adres Tukałłów oraz instrukcja dla osoby, która miała dostarczyć gryps Witoldowi Tukalle, jak trafić do jego mieszkania.

***

Oświadczenie TWC „Hiszpana" z 18 maja:

Załączam dwa grypsy dane do Tukałło Witolda, ul. (...)oraz adresowany do żony Ireny Grudniewicz, tylko nie na adres domowy, lecz na adres Dąbrowski Tadeusz, ul. (…) (to jest rodzina Grudniewiczów).

Co następuje, jeżeli mają być te grypsy zalegalizowane do akt, to:

po pierwsze – należy, aby Grudniewicz W. nie miał jak najdłużej widzenia z żoną, bo niestety wówczas nie mógłby być ze mną (bo, niestety, te grypsy miała zanieść moja kuzynka, zamieszkała w Krakowie);

po drugie – jak najdłużej należałoby jemu przeciągać wgląd do akt (jednym słowem, nie może wiedzieć odnośnie tych grypsów (...).

Natomiast trzeba mu powiedzieć, co zeznaje Bogdan Głowacki, a mianowicie, że po ogłoszeniu stanu wojennego Grudniewicz go przechowywał u siebie w domu, a następnie, że profesor z Lotniczej też mu załatwiał [metę] *u siebie w domu i znajomych był przechowywany. I co też więcej zeznał* [Głowacki]. *Wówczas Grudniewicz będzie wylewniejszy w swych zeznaniach (do mnie, oczywiście).*

Natomiast dziś, tj. 18 maja [Grudniewicz] *przekazał mi, aby ustnie zawiadomić ciotki tego Marka z Wałbrzycha (który na stałe mieszka we Wrocławiu a rodzice w Wałbrzychu), gdzie ten Marek się obecnie ukrywa i gdzie Grudniewicz woził broń, granaty, ulotki i brał stamtąd materiały oraz ukrywał tam w tym domu Bogdana Głowackiego.*

Następna sprawa – (...) [Grudniewicz] *zna i miewał kontakty z żoną Moczulskiego. Mówił, że poznał ją będąc w Częstochowie i parokrotnie przekazywał jej wiadomości tyczące się jego działalności w jednostce wojskowej, jak również od niej otrzymał materiały do ulotek, wymierzone* [w interesy państwa] *w dziedzinie wojskowej. Nie wiem, czy mówi prawdę, gdyż ogólnikowo podaje te wiadomości. Nie mogę na razie zbyt pytać, ale mam nadzieję, że powie. Musi. Resztę w dniu 19 maja opiszę, tj. jutro, w środę.*

***

Donos „Hiszpana" z 19 maja:

Nawiązując na wstępie do oświadczenia z dn. 18 maja odnośnie zamieszkujących w Krakowie dwóch ciotek Marka z Wałbrzycha (u których ukrywał się Bogdan Głowacki, jak również sam Marek) – a więc z wypowiedzi wynika, że zamieszkują one na ul. Mogil-

skiej (stary domek). Mieszkają obie razem. Grudniewicz wypowiada się, że niejednokrotnie spotykał się z tym Markiem w tym domu oraz organizował spotkania ze swymi ludźmi, jak również boi się, by nie dotarli do tych ciotek, bo one dużo wiedziały i przechowywały materiały. Bliżej nie wypowiada się, ale chce w jakiś sposób dać tam znak, ażeby uprzedziły Marka z Wałbrzycha.

Następnie chce nawiązać kontakt z Bogdanem Głowackim, gdyż przypuszcza, że on tu siedzi, by go ukierunkować, jak i co ma zeznawać.

Następnie chce swoimi zeznaniami wrobić ludzi, którzy [jak] *przypuszcza, go sypnęli. Mówi, że na przykład, będzie mówił na Knapika, że mu przynosił materiały (…).*

Następnie mówi, że zna Czyża W., który ma powiązania z Witoldem Tukałłą i Załuskim A. Wymienia – odnośnie Czyża – że dostarczył mu ulotki, jak również wykonywał dla niego materiały w stanie wojennym. Spotykał się w „Wierzynku" (jakimś lokalu) [„Hiszpan" nie zna słynnej wtedy na całą Polskę restauracji – jednej z ówczesnych wizytówek Krakowa!]. *Tam też spotykał się z Pyrzowskim* [Pierzyckim] *Głowackim i w ogóle swoimi ludźmi, jak on to określa. (...)*

Z jego wypowiedzi wynika jasno, że po prostu chciał dokonać od środka jednostki ogólne zamieszanie. Mówi sam, że dobrze szło, bo wielu z jego kolegów z kompanii miało dosyć tego czerwonego rządu, jak on to określa.

Wypowiada się jeszcze odnośnie tego, by czasami nie wzięto w obroty Zygmunta Ł.[enyka], *chociaż mówi, że jego jest pewien. Natomiast boi się, by nie zatrzymano jakiegoś Jacka (znajomego Tukałło W. i Ewy). Ustalenie tego Jacka nie sprawi kłopotu, gdyż jego nazwisko figuruje w protokole przeszukania mieszkania, kiedy zatrzymany był Witold Tukałło (wówczas w mieszkaniu był tam obecny ten Jacek* [i] *w protokole umieszczony jako świadek* [Chodzi o Wojciecha Oberca, który był u Ewy Tukałło po zatrzymaniu Witolda Tukałły i gdy przyszła SB na rewizję, musiał podpisać się na protokole, jako świadek. Jesienią 1982 r. Oberc został internowany]. *Mówi, że poznał go przez Ewę i u niej w domu się z nim spotykał i przekazywali sobie materiały i ulotki.*

Nie wiem, ale wydaje się, gdy on tak chce za wszelką cenę nawiązać kontakt z Głowackim, [to] *by popisali parę grypsów. Gdyż Grudniewicz twierdzi, że może by mu to pomogło, jak by wiedział, co powiedział Głowacki... No nie wiem. Do mnie decyzja nie zależy.*

Pomysł „Hiszpana", aby więźniowie „na getcie" pisali do siebie grypsy kontrolowane przez SB, nie został wykorzystany w tej sprawie. W aktach nie ma wzmianki o grypsach między Grudniewiczem a Głowackim. Oni sami także o tym nie mówią. Natomiast, jak przekonamy się dalej, już w lipcu 1982 roku pomysł ten był stosowany przez SB „na getcie" i umożliwił jej zdobycie cennych informacji.

***

Drugi donos „Hiszpana" z 19 maja:

Mówi, po powrocie z przesłuchania, że nie jest tak tragicznie, chociaż B. Głowacki powiedział trochę za dużo. Ale mówi, że nie powiedział takich spraw, że przez niego poznał żonę Moczulskiego, jak też, że (…) przekazywał informacje, co mówiono na odprawach (...).

Następnie mówi, co do Marka z Wałbrzycha (…) – „Ja im powiem, że nie pamiętam adresu. Może mnie zawiozą". I tu za wszelka cenę będzie próbował ucieczki (…).

Następnie boi się, by Bogdan G.[łowacki] *nie wspomniał o kapitanie, co leży w szpitalu* [Chodzi o Włodzimierza Olszewskiego]. *Mówi, że powoli wiedzą wszystko, ale twierdzi, że on sam, to za dużo nie powie i będzie kręcił. Obawia się by Bogdan G.*[łowacki] *nie wspomniał na temat drugiej Ewy, którą poznali 11 listopada wspólnie (…).*

Cały czas boi się, mówiąc – „Czy profesora nie zamknęli, bo wówczas byłoby całkiem niedobrze. A przecież ja mu zanosiłem ulotki, materiały (...).

Od tej chwili proszę powoli mu ujawniać dowody, bo mi mówi dużo. A może coś mówić w treści, co by mogło wpłynąć źle. Nie co do tego, by mnie się obawiał, ale ostrożność nie przeszkodzi.

Jak przekonamy się, ujawnianie przez WSW dowodów Grudniewiczowi doprowadziło do dekonspiracji „Hiszpana" i spowodowało konieczność przeniesienia go do innej celi.

***

Donos „Hiszpana" z 20 maja:

Załączam gryps pisany do żony, Ireny G.[rudniewicz] , *w którym każe żonie zniszczyć książkę, poprzez którą nawiązywał kontakt (to znaczy łącznicy, którzy do niego przychodzili na wymienione hasło, wyjmował książkę, sprawdzał coś i rozmawiał z nimi – bliżej szczegółów nie podaje). Mówi, że lepiej, jak żona tę książkę zniszczy, bo jakby wpadła, to „za dużo wynieśliby, te czerwone pachołki".*

Następnie Bogdan Głowacki zeznał, odnośnie Marioli, u której się ukrywał [Chodzi prawdopodobnie o Marię Jaworską]. *Grudniewicz W. boi się, by u niej nie znaleziono ich dokumentacji odnośnie działalności KPN-u, gdyż wówczas mieliby na wszystkich dowody, bo była tam lista członków (z tym, że nadmieniam, iż Bogdan miał to przenieść w inne miejsce, ale nie jest to pewne)* [Do 24 maja SB przeprowadziła rewizję w mieszkaniu Marii Jaworskiej. Listy nie znaleziono]. (...*)*

Uwaga! Być może on podaje różne wersje, by mylić. Sam się wypowiada, aby „jak najwięcej ich kręcić, by im się przedłużyło śledztwo, aby mi zdjęli tryb doraźny". Mówi – „Wiem, co zeznał Bogdan G.[łowacki], *muszę niektóre sprawy podtrzymywać, a niektóre kręcić, chociażby to, że w Wałbrzychu mieszkają rzekomo rodzice Marka (...).*

Nawiązując do kpt. Olszewskiego, obawia się, czy Głowacki nie wspomniał o nim i jaką rolę odgrywał w KPN. (...)

Uwaga! Na razie nie można mu dawać za dużo materiałów z tego, co pisze, bo może być tak, że on mnie może sprawdzać, podając jakiś szczegół, który mogę napisać. Szkoda by spalić sprawę, bo mówi dużo. Jak również odnośnie tej książki, co w grypsie pisze, na razie nie można (dopóki ze mną siedzi) wspominać.

Wydaje się, że przestrogi „Hiszpana" były spóźnione, bo Grudniewicz już zorientował się, że to donosiciel i zaczął go dezinformować, przekazując kolejne, nieprawdziwe informacje (np. to, że był w kierownictwie KPN). Być może rzeczywiście chodziło o przedłużanie śledztwa. W każdym razie SB i WSW – jak się zdaje – dały się oszukać i śledztwo zaczęło zataczać coraz szersze kręgi, o czym dalej.

Gryps Grudniewicza do żony, o którym wspomina wyżej „Hiszpan", jest w SOS „Kawiarze". Ma datę 20 maja 1982 roku.

Kochana Irenko! Jeżeli talonu nie wysłałaś, to możesz śmiało włożyć kilka paczek papierosów. Poszukaj książki z tytułem „Tirgarten" [Tiergarten – poddzielnica Berlina]. *Sprawdź, czy jest podpisana naszym nazwiskiem. Jak jest, to wyrwij tę kartkę i spal ją, a tę książkę wyrzuć w ten sam dzień, co ten list otrzymasz.*

Jeszcze jedno. Nie zapomnij o tych rzeczach, co Ci pisałem w poprzednim liście, bo po cóż ma ktoś jeszcze siedzieć [A więc nie był to pierwszy gryps Grudniewicza do żony. Poprzednich grypsów nie ma jednak w aktach].

Wyślij kartkę na adres: Chałek Andrzej, Kraków, ul. Lotnicza (…) [Chodzi o Andrzeja Chwałka]. *Napisz na niej, że zostałem zatrzymany ja i Bogdan* [SB znała adres Chwałka

już w kwietniu, na co wskazują akta SOS „Kawiarze" i już wtedy planowała przeszukanie jego mieszkania, jednak ostatecznie, rewizję w mieszkaniu Chwałków przeprowadziła wraz z WSW dopiero 21 maja, o czym dalej].

Jak wyjdę, to tym czerwonym jeszcze pokażę, co potrafię.

Całuję Cię mocno i dzieci. List zwykłą pocztą dostaniesz. Nie martw się, jakoś to będzie. Kiedyś wyjdę. Ostrzegam Cię – nie wierz tym czerwonym z SB i WSW! Wiesiek

***

Równolegle z pracą agentury celnej SB i WSW usiłowała rozbić solidarność Grudniewicza i Głowackiego, napuszczając ich na siebie.

Grudniewicz: *Sugerowali, że Bogdan mnie sypie. Potem rozmawiałem z Bogdanem i on mówił, że jemu dawali do zrozumienia, że to ja sypię. Tymczasem oni dużo wiedzieli od Knapika, któremu wcześniej sporo powiedziałem, mając do niego zaufanie.*

Powiedziałem szczerze wszystko, co sam robiłem. Ale oni już dużo wiedzieli o moich planach z Głowackim i o Ewie. Głównie o to pytali.

***

O rozpracowywaniu Grudniewicza i Głowackiego przez agenturę celną jest wzmianka w dokumentach SB, choć znaczenie informacji uzyskanych przez SB tą metodą jest pomniejszane. W cytowanym już meldunku z 1 czerwca 1982 roku por. Czopek napisał jedynie: *Od TWC ps. „Hiszpan" i OZ ps. „Włodek" potwierdzono informację, że W. Grudniewicz i B. Głowacki utrzymywali kontakty organizacyjne z n[iżej] w*[ymienionymi] *osobami: Jaworska Maria (…), Chwałek Andrzej (…), Chwałek-Dudek Elżbieta.*

Czytając dziś donosy „Hiszpana", możemy się zorientować, że SB i WSW uzyskała dzięki agenturze celnej znacznie więcej informacji, niż przyznał to por. Czopek w swoim meldunku. Inna rzecz, że Grudniewicz od pewnego momentu zaczął dezinformować służby.

***

Grudniewicz: *W czasie kolejnego przesłuchania, gdy byliśmy sami w pokoju, mjr Ryczek zapytał o mój gryps, który kolega z celi miał wysłać do Witka Tukałły. Zorientowałem się, że mam w celi kapusia, skoro ten gryps trafił na biurko Ryczka, a nie do adresata. Wtedy przestałem rozmawiać w celi i wkrótce zabrali go ode mnie.*

Wtedy „Hiszpan" trafił do celi, w której siedział Bogdan Głowacki. Głowacki: *To był ten sam więzień, z którym siedział wcześniej Grudniewicz, ustaliliśmy to później.*

W aktach brak jest donosów „Hiszpana" na Głowackiego. Być może nie udało mu się uzyskać od Głowackiego żadnych wartościowych dla SB informacji.

Grudniewicz: *Potem trafił do mnie inny więzień. Młody, niższy od tamtego, krępej budowy, który na tego pierwszego mówił, że był z SB. A potem jeszcze trzeci. Dwa lub trzy razy zmieniałem celę, ale z kolejnymi współwięźniami już nie rozmawiałem o sprawie.*

W aktach SOS „Kawiarze" nie ma już innych donosów dotyczących Grudniewicza, a w raportach SB nie ma wzmianek o takich donosach. Wynika z tego, że kolejnej agenturze nie udało się z niego nic wartościowego wyciągnąć.

***

Ewa Tukałło: *Dużo wiedzieli. Na przykład wiedzieli, że byłam zaprzysiężonym członkiem KPN. Przysięgę składałam u Łenyka, w obecności Grudniewicza i Głowackiego. Któryś*

z nich musiał o tym powiedzieć WSW. Żądali, abym im dała moją legitymację kapeenowską. Ja mówiłam: „Nie mam. Zniszczyłam ją po 13 grudnia". Wcześniej wiele opowiadałam Grudniewiczowi o „Rewolucji bez rewolucji" i oni domagali się, abym im dała tę broszurę. Wiedzieli o spotkaniach na ul. Śląskiej w Związku Niewidomych, gdzie spotykaliśmy się z Łenykiem, przygotowując uroczystości 11 listopada 1981.

Witold Tukałło: *Okazało się, że w otoczeniu Grudniewicza była wtyczka kontrwywiadu wojskowego. Ewy nie złamali, mimo że mówiono jej o zaostrzeniu moich przesłuchań i o odebraniu dziecka. Grożono jej nawet karą śmierci za próbę obalenia ustroju socjalistycznego. Najgorszy okazał się pułkownik Drabik. Dorównywał mu kpt. Gąciarz.*

Ewa Tukałło: *Grudniewicz później, w wyniku „obróbki", potwierdził, że dawałam mu ulotki, ale wielu rzeczy im nie powiedział. Na przykład wiedział, albo mógł się domyślać, że te ulotki drukował Witek – mój mąż, ale tego im nie powiedział.*

***

Tymczasem SB i WSW obejmowały wspólnym śledztwem coraz to nowe osoby. Przyczyną tego zaskakująco szerokiego zakresu i intensywności śledztwa była prawdopodobnie chęć WSW, aby za wszelką cenę ukarać wszystkich, którzy ośmielili się propagować niepodległościowy i antykomunistyczny program KPN wśród żołnierzy zawodowych. Być może dano też wiarę nieprawdziwym informacjom agentury celnej o broni, materiałach wybuchowych i planach zamachów terrorystycznych tej grupy, a także o możliwości dotarcia przez nich do żołnierzy sowieckich stacjonujących w Polsce zachodniej.

W cytowanym już dokumencie z 24 maja 1982 roku wymieniono nazwiska kolejnych osób, które zostały objęte lub miały zostać objęte działaniami operacyjno-śledczymi: *W toku śledztwa ujawniono dalsze osoby współdziałające z W. G*[rudniewiczem], *a przechodzące w sprawie krypt.„Kawiarze" prowadzonej przez tutejszy Wydział, a to: (...) Maria Jaworska, (…) Andrzej Grudniewicz, Stanisław Zamojski.*

(…) Przesłuchać ks. Andrzeja Kłoczowskiego na okoliczność jego kontaktów z B. Głowackim, w tym paczki, jaką pozostawił Głowacki w depozycie u wymienionego. Dążyć do wydania przedmiotów z depozytu.

(…) Podjąć czynności zmierzające do ustalenia i operacyjnego rozeznania całej rodziny Ewy Koćmy, będącej narzeczoną B. Głowackiego, w tym jej siostry, u której, jak wynika z informacji OZ ps. „Włodek", odbywały się spotkania członków KPN. Po ustaleniu siostry Ewy Koćmy w mieszkaniu jej przeprowadzić przeszukanie pod kątem potwierdzenia posiadanych informacji i zakwestionowania ewentualnych materiałów dowodowych.

(…) Rozeznać personel kawiarni „Kopciuszek", gdzie, jak wynika z informacji OZ „Włodek", odbywały się po wprowadzeniu stanu wojennego zebrania członków KPN, w trakcie czego były przekazywane instrukcje i ulotki. Kelnerzy kawiarni są sympatykami KPN, jedna z nich działa na rzecz tegoż ugrupowania.

(…)Zwrócić się do Wydz. III KW MO w Wałbrzychu o ustalenie i pełne rozeznanie Marka Stanowskiego, u którego Głowacki ukrywał się, zaś Grudniewicz zawoził do niego pistolet, petardy i amunicję oraz granaty. Wymieniony zostanie w najbliższym okresie zatrzymany przez WSW w Krakowie.

(...) Dokonać rozeznania operacyjnego Tadeusza Dąbrowskiego, zam. Kraków, ul. [...], *z którym aresztowany Grudniewicz utrzymywał bliżej nierozeznane kontakty organizacyjne.*

(...) Zwrócić się do KW MO w Zielonej Górze celem ustalenia i wezwania niejakiej

Jolanty Małeckiej, studentki, z którą Głowacki utrzymywał ścisły kontakt organizacyjny. Wymieniona przekazywała mu ulotki Solidarności pochodzenia zagranicznego.

(...)Przesłuchać Z. Łenyka na okoliczność jego kontaktów z Głowackim, Grudniewiczem oraz Tukałłami, którzy utrzymywali z nim ścisły kontakt organizacyjny (odwiedzali systematycznie Łenyka w jego m[iejscu] *zamieszkania).*

Zapał WSW i SB był tak wielki, że wkrótce liczba osób objętych śledztwem wynosiła 160! O rozmachu świadczą także kolejne działania SB.

Z cytowanego wyżej dokumentu z 24 maja: *Przeprowadzono w mieszkaniu Marii Jaworskiej przeszukanie, w trakcie którego zakwestionowano biuletyny firmowane przez Solidarność Małopolska i inne wydawnictwa propagandowe wskazujące, że wymieniona również działała na rzecz tegoż ugrupowania* [z meldunku por. Czopka z 1 czerwca dowiadujemy się, że materiały „zakwestionowane" u Marii Jaworskiej były legalnie wydane przed 13 grudnia 1981 r.].

Z Marią Jaworską przeprowadzono rozmowę operacyjną, w trakcie której zaprzeczyła, że działała na rzecz Solidarności i KPN. Z uwagi na fakt, że w.w. w dniu zatrzymania pozostawała na zwolnieniu lekarskim, po rozmowie została zwolniona, niemniej jednak zabezpieczono ją poprzez Wydz.„B" oraz Woj[ewódzki] *Urząd Cenzury* [Wydział „B" zajmował się tajną obserwacją osób rozpracowywanych, inwigilacją oraz wywiadem środowiskowym; „zabezpieczenie przez WUC" oznaczało, że jej korespondencja pocztowa była kontrolowana].

O powiązaniach M. Jaworskiej z konspiracyjną działalnością Solidarności świadczy fakt przekazania do tut[ejszej] Komendy przez Niemiecki Urząd Celny materiałów, które zostały zakwestionowane u ob. francuskiego Parent[a] Pierr[e'a], ur. [...] 1949 , zam. Bernecevrt (Francja)[...], który przebywał w Krakowie z darami od miasta Nancy, a któremu Jaworska przekazała różnego rodzaju listy, paszkwile, ulotki itp., z prośbą o dostarczenie do adresatów zam. w RFN i Francji. Fakt ten w pełni potwierdził informację uzyskaną z tut. Wydziału, wskazującą, że Jaworska posiada bliżej nie rozeznany kanał łącznościowy z działaczami Solidarności przebywającymi za granicą.

Tak więc Jaworskiej nie udowodniono żadnych powiązań z KPN i nie znaleziono u niej żadnych nielegalnych materiałów. Z trudem dawało się ją połączyć ze sprawą zupełnie niezwiązaną z przedmiotem śledztwa, z przekazaniem jakiemuś Francuzowi listów do Polaków zamieszkałych za granicą. Trudno się dziwić, że Jaworska została zwolniona. Mimo to – jak wynika z notatki SB z 17 czerwca – prowadzący śledztwo byli przekonani, że Maria Jaworska to „Igła" – szef sekcji kolportażu KPN w Krakowie.

Z cytowanego dokumentu SB z 24 maja: *Przeprowadzono przeszukanie śledcze mieszkania małżeństwa Chwałków, w trakcie czego zakwestionowano materiały wskazujące na powiązania wymienionych z konspiracyjną działalnością Solidarności. Przeszukanie przeprowadzono przy współudziale oficera WSW. Z E. Chwałek przeprowadzono rozmowę operacyjną, w trakcie czego sporządziła ona oświadczenie potwierdzające kontakty z B. Głowackim. Z uwagi na fakt, że jest ona matką dwojga nieletnich dzieci, została zwolniona. W dniu 22 maja 1982 ponownie przeprowadzono z nią rozmowę poszerzającą charakter kontaktów organizacyjnych z Solidarnością. W stosunku do Andrzeja Chwałka Prok*[urator] *Garnizonowy zastosował areszt tymczasowy.*

Więcej światła na rzeczywiste przyczyny zwolnienia Chwałków rzuca wspomniany już wyżej meldunek SB z 1 czerwca. Z meldunku tego dowiadujemy się także, że Andrzej Chwałek nie został osadzony w areszcie, ale zwolniony po 48 godzinach: *Na podstawie znalezionych zapisków stwierdzono, że E. Chwałek w okresie wprowadzenia stanu wojen-*

nego z ramienia Kurii Krakowskiej utrzymywała kontakty z rodzinami internowanych b. członków KPN. Ponadto w toku rozmów operacyjnych obydwoje potwierdzili, że utrzymywali kontakty tak z B. Głowackim, jak i W. Grudniewiczem. Kontakty te miały charakter organizacyjny na rzecz KPN. Chwałkowie na okoliczność swej działalności sporządzili pisemne oświadczenia. Z uwagi na fakt, że E. Chwałek jest matką dwojga nieletnich dzieci, została zwolniona, natomiast Chwałek A. został zatrzymany na 48 godz. W dn. 23 maja 1982 został przesłuchany przez oficera śledczego WSW. W trakcie przesłuchania przyznał się do działalności na rzecz KPN i kontaktów z W. Grudniewiczem i B. Głowackim. Po przesłuchaniu został zwolniony do domu.

***

Grudniewicz: *Kilka dni przed procesem, w czasie widzenia na Monte, dałem siostrze kilka grypsów. Miała je zawieźć do adresatów. Grypsy podałem jej w zapalniczce. Kiedy odkręciło się metalową część, to było trochę miejsca i tam je wsunąłem.*

Być może siostra Grudniewicza, zamiast zanieść grypsy osobiście, wysłała je pocztą. W aktach sprawy Grudniewicza zachował się bowiem jego list adresowany do Stanisława Palczewskiego. Do listu dołączono kopertę, która została zaadresowana (pismem drukowanym) na adres domowy Palczewskiego i opieczętowana pieczątką cenzury. W aktach jest także zaświadczenie Wojewódzkiego Urzędu Cenzury z 22 czerwca 1982 roku, że powyższy list, nadany dzień wcześniej przez nieznana osobę, został „wyłączony w czasie prowadzenia cenzury" bo „może stanowić podstawę do wszczęcia postępowania karnego". Z treści listu wynika, że Grudniewicz dał go w czerwcu 1982 roku w celi na Monte zaufanej osobie, która miała go przekazać Palczewskiemu. Było to krótko przed jego procesem. Grudniewiczowi nie udało się przedłużyć śledztwa i miał stanąć przed sądem wojskowym w trybie doraźnym, oskarżony o przestępstwa zagrożone bardzo surowym wyrokiem.

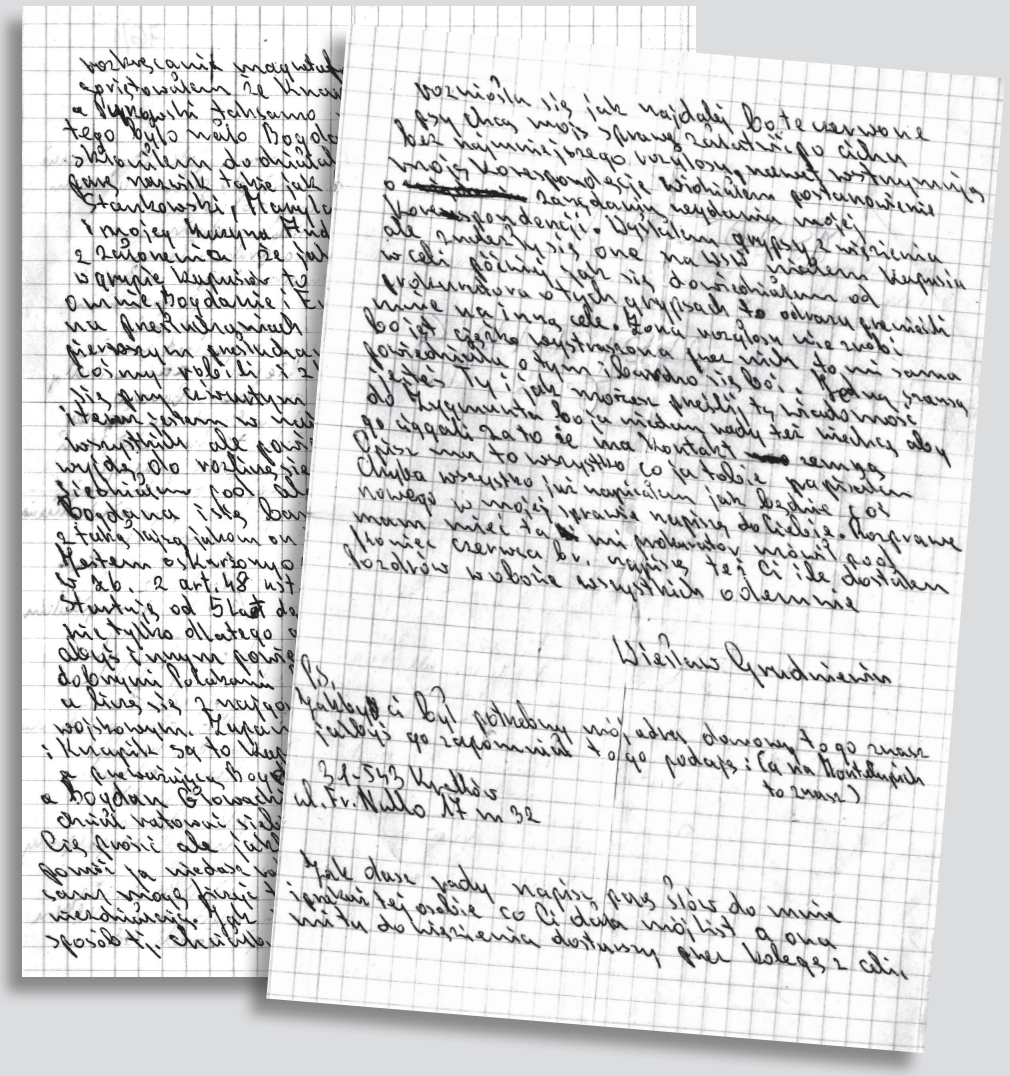
Z treści listu widać, że miał wtedy świadomość powagi swojej sytuacji:

Korzystając z okazji, że ten list mam jak Ci przekazać, piszę do Ciebie. Posłałem wiadomość do Ciebie o moim aresztowaniu, ale nie wiem czy dotarła.

Aresztowany zostałem 12 maja 1982 u siebie w domu. Po 13 grudnia 1981, jak Was internowano, próbowałem zorganizować działalność konspiracyjną i udało mi się to. Zorganizowałem ją w wojsku i poza nim. Pisałem i kolportowałem ulotki, pomagał mi w tym Bogdan Głowacki.

Bogdan zapoznał mnie z facetem o nazwisku Robert Pierzycki, zamieszkały[m] *Kraków, ul.* […]. *On chciał bardzo wstąpić do KPN-u i dlatego pytałem Bogdana czy go zna dobrze. Powiedział mi, że tak, to mu uwierzyłem, tj. Bogdanowi. Bogdan powiedział mu gdzie pracuję, jak się nazywam i mój stopień. Po moim aresztowaniu okazało się, że to był kapuś. Czytałem jego oświadczenie o naszym spotkaniu, że dostawał ode mnie i od Bogdana ulotki do rozprowadzania i do napisania.*

W wojsku kolportowałem ulotki z chor. Knapik[iem] *Tadeusz*[em] *przez prawie pół roku i myślałem, że on jest pewny, a okazało się, że był podstawiony dla* [rozpracowania] *mnie. Gdy się zorientowałem o jego podwójnej grze, było za późno. Nie zdążyłem nawet ukryć ulotek ani legitymacji. Temu Knapikowi powiedziałem, że dostałem ulotki od Ewy Tukałło, ale powiedziałem tylko o niej i że mieszka na Zakątku. Przy rewizji u mnie w domu znaleźli adres do Ewy i od razu ją też nakryli. Znaleźli u niej tak samo ulotki, tej samej treści co u mnie. Knapik oddał wszystko, co mu przez ten okres naszej współpracy przekazywałem. Pokazali mi to wszystko. Zaraz jak mnie zatrzymali, bo nie chciałem się*



Gryps z więzienia Wiesława Grudniewicza do Stanisława Palczewskiego, przechwycony przez SB. Jeden z grypsów wysłanych przez Grudniewicza za namową współwięźnia – konfidenta. Został włączony do materiału dowodowego w sprawie karnej. List został wysłany pocztą do Palczewskiego i przechwycony przez cenzurę. Z archiwum SB

przyznać, też powiedział, że moja legitymacja KPN-u jest w magnetofonie i przy rewizji zaczęli od rozkręcania magnetofonu. Wtedy to już się zorientowałem, że Knapik sypnął mnie i Bogdana.

Żeby tego było mało, Bogdan zaczął sypać, że ja go skłoniłem do działalności i sypnął jeszcze parę nazwisk, jak Andrzej Chwałek, Marceli Stankowski, Maryla (jej nazwiska nie znam) i mojego kuzyna Andrzeja Grudniewicza.

Ja wychodziłem z założenia, że jak mieliśmy z Bogdanem w grupie kapusiów, to oni wiedzieli tylko o mnie, Bogdanie i Ewie i tego się trzymałem na przesłuchaniach, ale Bogdan zaraz na pierwszym przesłuchaniu powiedział wszystko, cośmy robili i z kim.

Ja dopiero przyznałem się przy czwartym przesłuchaniu, że ich znam i teraz jestem w najgorszej sytuacji z nich wszystkich, ale powiedziałem sobie, że jak wyjdę, to rozliczę się z pewnymi osobami. Siedziałem pod celą z facetem, który znał Bogdana i się bardzo dziwił, że „współpracowałem z taką łajzą, jaką on jest".

Jestem oskarżony o przestępstwo z art. 123 kk w zw. z art. 48 ust. 1 w zw. z ust. 2 i 3. dekretu. Startuję od 5 lat do KS [kary śmierci].

Piszę Ci to wszystko, dlatego, abyś wiedział o tym, ale także, abyś innym powiedział, że i w wojsku są, tj. byli (bo ja już do wojska nie wrócę) [ludzie, którzy okazali się być] *dobrymi Polakami. Liczę się z najgorszym ze względu* [na to], *że jestem wojskowym. Zapamiętaj te nazwiska: Pierzycki i Knapik. Są to kapusie i przez nieostrożność moją, a przeważającą Bogdana, to się tak skończyło (...).*

Nie śmiem Cię prosić, ale jakbyś dał jakoś rady mi pomóc... Jak nie dasz rady, to trudno. Bo teraz zostałem sam. Mogę liczyć tylko na rodzinę, a oni dużo nie zdziałają. Jak nie dasz rady w ten, to w inny sposób. Chciałbym, aby ta moja sprawa rozniosła się jak najdalej, bo te czerwone psy chcą moją sprawę załatwić po cichu, bez najmniejszego rozgłosu, nawet wstrzymują moją korespondencję. Widziałem postanowienie o zażądaniu wydania mojej korespondencji.

Wysłałem grypsy z więzienia, ale znalazły się one na WSW. Miałem kapusia w celi. Później, jak się dowiedziałem od prokuratora o tych grypsach, to od razu przenieśli mnie na inną celę.

Żona rozgłosu nie zrobi, bo jest ciężko wystraszona przez nich (to mi sama powiedziała o tym). I bardzo się boi. Jedyną szansą jesteś Ty.

Jak możesz, prześlij tą wiadomość do Zygmunta, bo ja nie dam rady. Też nie chcę, aby go ciągali za to, że ma kontakt ze mną. Opisz mu to wszystko, co ja Tobie napisałem.

Chyba wszystko już napisałem. Jak będzie coś nowego w mojej sprawie, napiszę do Ciebie.

Rozprawę mam mieć, tak mi prokurator mówił, pod koniec czerwca br. Napiszę też Ci, ile dostałem. Pozdrów w obozie wszystkich ode mnie.

Wiesław Grudniewicz

P.S.

Jakby Ci był potrzebny mój adres domowy, to go znasz. Jakbyś go zapomniał, to go podaję (a na Montelupich to znasz) [...]

Jak dasz rady, napisz parę słów do mnie i przekaż tej osobie, co Ci dała mój list, a ona mi tu do więzienia dostarczy przez kolegę z celi.

Powyższy dokument potwierdza dotychczasowe ustalenia.

Główną przyczyną wpadki Głowackiego i Grudniewicza były dwie osoby znajdujące się w ich otoczeniu, którym oni zaufali, a które przekazały te informacje SB i WSW (Pierzycki i Knapik).

SB udało się wywołać u Grudniewicza przekonanie, że Głowacki „sypie". W ten sposób śledczy usiłował złamać solidarność Głowackiego i Grudniewicza (którzy znali się od dziecka), co jak widać – powiodło się.

Potwierdza się wniosek wynikający z wcześniejszej analizy, że Grudniewicz w drugiej połowie maja siedział w areszcie z agentem celnym, któremu udało się namówić go do wysyłania grypsów na zewnątrz więzienia.

Agent celny skutecznie umocnił w Grudniewiczu nieufność wobec Głowackiego. Z pewnością było to jedno z zadań, jakie dostał do oficera prowadzącego.

Grudniewicz nie został złamany przez WSW, na co wskazuje wzmianka o „czerwonych psach".

Ostatnie zdanie listu wskazuje, że poza siostrą Grudniewicza, ktoś jeszcze („kolega z celi") wiedział o wysłaniu tego listu, bo miał przekazać Grudniwiczowi ew. odpowiedź Palczewskiego. Niestety, Grudniewicz nie pamięta, kto to był.

***

Ewa Tukałło już 15 maja (na drugi dzień po zatrzymaniu) została przewieziona do kobiecego więzienia w Myślenicach, skąd po 5 dniach (20 maja) wróciła na Mogilską.

Ewa Tukałło: *Na Mogilskiej przesiedziałam kilka tygodni w bardzo nieciekawych warunkach. Nie zapomnę metalowej klatki, przez którą przechodziliśmy w drodze do celi i gdzie nas dokładnie sprawdzano. Była jak klatka w zoo i wracała długo w nocnych koszmarach. Od tego czasu nigdy nie byłam w ogrodzie zoologicznym.*

Siedziałyśmy bez grzebienia, bez mycia zębów i jakiejkolwiek kobiecej toalety, bez lekarstw i porządniejszego jedzenia. Moją towarzyszką z celi była Małgosia Dubiel z Żabna. Była tam jeszcze dłużej, bo cztery miesiące w tych przerażających warunkach sanitarnych. Dostała na początku jakąś brudną poduszkę. Ja już nawet tego nie miałam. Koce były tłuste od brudu i kurzu. Gdy skarżyłyśmy się na złe warunki, słyszałyśmy jedno – przecież wiecie, za co siedzicie. Biedną Małgosię zaatakowała wszawica. Teraz się nie pamięta o takich ludziach, jak ona.

Czułam się coraz gorzej. Nie pozwolili przecież zabrać z domu lekarstw, a wizyta lekarza w tych warunkach była dla nich nie do pomyślenia. To wszystko łączy mi się dziś w niespójną może całość, bo stan zdrowia był coraz gorszy. W głowie pojawiło się jakieś dziwne dudnienie i niedługo później nastąpił krwotok. Dopiero wtedy pojawił się lekarz i karetka pogotowia przewiozła mnie do szpitala w sławnym więzieniu na Montelupich [Było to 9 czerwca]. *Małgosia pozostała na Mogilskiej.*

Czy można się dziwić, że siedząca w więzieniu matka w ciągu półtora miesiąca schudła 20 kilogramów? A może bardziej dziwne jest to, że będąc w takiej sytuacji, nikogo nie wydała? Gdyby poszła na współpracę, jak zrobiło wielu innych w podobnej sytuacji, to wróciłaby do dziecka dużo szybciej... Czy Ewa Tukałło była wyrodną matką? To samo pytanie stawiali esbecy Romanie Kahl-Stachniewicz. A jakim ojcem był Stanisław Palczewski, skoro mogąc wrócić do żony, która właśnie urodziła synka, odmówił podpisania lojalki i pozostał w internacie? Śledczy z SB często grali na tej nucie, próbując wzbudzić u uwięzionych rodziców poczucie winy.

Ewa Tukałło: *Tak, jak na Mogilskiej pomagała Małgosia Dubiel, na Montelupich podtrzymywała nas na duchu Ela Zarańska z Tarnowa. Musiałyśmy się jakoś trzymać, bo SB do końca próbowała różnych sztuczek, by nas złamać lub czegokolwiek się dowiedzieć.*

W naszej celi posadzono kobietę, która nazywała się Maria Zielińska. Prowadzono ją często do lekarza, którego nam odmawiano. Wydawało się nam to dziwne, bo ta kobieta wyglądała na zupełnie zdrową. Eli Zarańskiej kogoś ona przypominała, a któregoś dnia skojarzyła. Zielińska była milicjantką z Tarnowa. Była milicyjną „wtyczką" w naszej celi.

W aktach zachowały się pisma Ewy Tukałły do wojskowej prokuratury z prośbą o zamianę aresztu tymczasowego na dozór milicyjny, aby umożliwić jej opiekę nad 8-letnim dzieckiem oraz z prośbą o widzenie z córką. Jest też prośba babci opiekującej się dzieckiem o udzielenie matce przepustki, aby mogła być obecna na Pierwszej Komunii swojej córki. Wszystkie te prośby zostały załatwione odmownie przez wojskowych prokuratorów.

WOJSKOWA
PROKURATURA GARNIZONOWA
w Krakowie
Pr.Gn.Sł.I-105/82
Pr.Gn.Sł.I-27/82

26 maja 1982 r.
30-901 Kraków

30-076

Ob. ANNA TUKAŁŁO

K R A K Ó W

ul. Zakątek Nr 3 m. 4

W odpowiedzi na pisma Obywatelki w sprawie zezwolenia na uczestniczenie Ob. Witolda Tukałło i Ob. Anny Tukałło w uroczystości religijnej ich córki Aldony Tukałło - w dniu 6 czerwca 1982 r. informuję, iż Wojskowy Prokurator Garnizonowy w Krakowie nie udzielił zezwolenia na uczestnictwo wymienionych w tej uroczystości.

Wyk. MG-kpt/MG

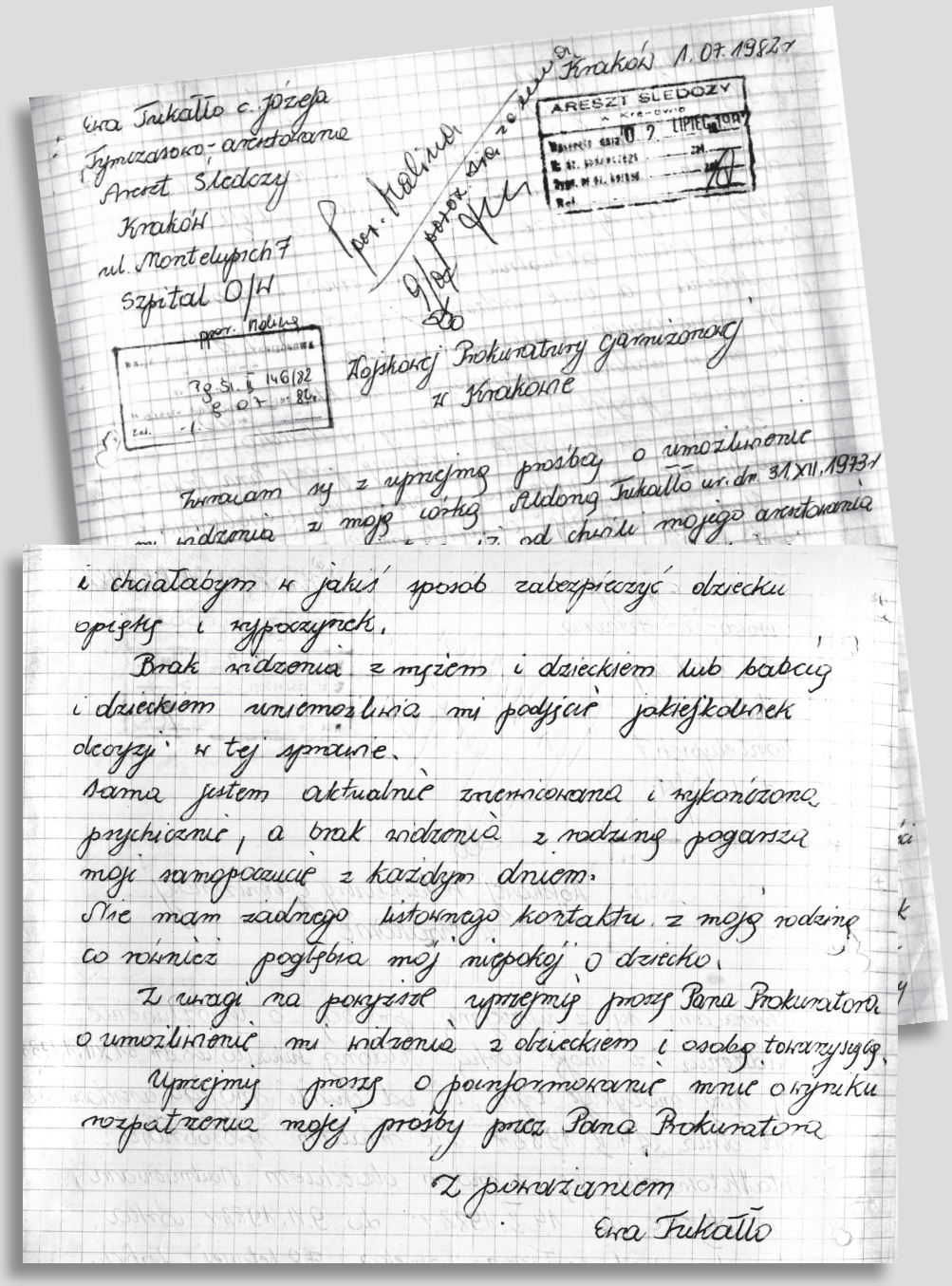
Wiceprokurator
Wojskowej Prokuratury Garnizonowej
w Krakowie



Jezu, Chryste miłosierny
Prześlij list mojej modlitwy
Do Mamusi i Tatusia
I spraw, by wytrwali,
Przetrwali i zwyciężyli -
Do wspólnoty z nami modlitwy

Modlitwa, którą mówiła
Aldonka, przed ołtarzem
w obecności zgromadzonych
w kościele wiernych. W dniu
6 czerwca 1982 r., przy uro-
czystości Pierwszej Komunii Świętej.

Pierwsza Komunia córki Tukałłów. Nie pozwolono rodzicom (w piśmie prokuratora Ewa Tukałło jest błędnie nazwana Anną) uczestniczyć w tej uroczystości. Z archiwum Ewy Tukałło



Ewa Tukałło c. Józefa
Tymczasowo aresztowana
Areszt Śledczy
Kraków
ul. Montelupich 7
Szpital O/H

Kraków 1.07.1982 r.

AREszT ŚLEDCZY
w Krakowie
0 7 LIPIEC 1982

Wojskowej Prokuratury Garnizonowej
w Krakowie

Zwracam się z uprzejmą prośbą o umożliwienie mi widzenia z moją córką Aldoną Tukałło ur. dn. 31 XII 1973 r. od chwili mojego aresztowania i chciałabym w jakiś sposób zabezpieczyć dziecku opiekę i wyżywienie.

Brak widzenia z mężem i dzieckiem lub babcią i dzieckiem uniemożliwia mi podjęcie jakiejkolwiek decyzji w tej sprawie.

Sama jestem aktualnie zmęczona i wyczerpana psychicznie, a brak widzenia z rodziną pogarsza moją samopoczucie z każdym dniem.

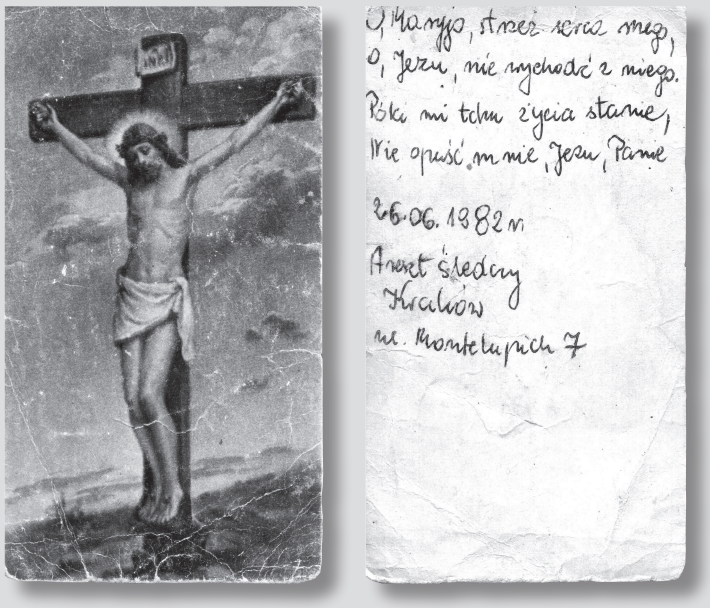
Nie mam żadnego listownego kontaktu z moją rodziną co również pogłębia mój niepokój o dziecko.

Z uwagi na powyższe uprzejmie proszę Pana Prokuratora o umożliwienie mi widzenia z dzieckiem i osobą towarzyszącą.

Uprzejmie proszę o poinformowanie mnie o wyniku rozpatrzenia mojej prośby przez Pana Prokuratora.

Z poważaniem
Ewa Tukałło

Prośba Ewy Tukałło do prokuratury wojskowej o widzenie z córką. Czy można się dziwić, że siedząca w więzieniu matka przez półtora miesiąca schudła 20 kilogramów? Mimo to nikogo nie wydała, nie poszła na współpracę. Z archiwum SB



Modlitwa.
Z archiwum Ewy Tukałło

WOJSKOWA
PROKURATURA GARNIZONOWA
w Krakowie
Pg.SI.II-146/82
13. lipca 1982 r.
30-901 Kraków

OBYWATELKA
Ewa TUKAŁŁO
ARESZT ŚLEDCZY KRAKÓW
ul. Montelupich 7
Szpital O/W

W odpowiedzi na pismo Obywatelki z dnia 1 lipca 1982 r. w sprawie zezwolenia na widzenie z córką Aldoną Tukałło ur.31.XII.1973 r. - informuję uprzejmie, że nie wyrażam zgody na takie widzenie.

15.07.82

Podprokurator
Wojskowej Prokuratury Garnizonowej
w Krakowie

Odpowiedź prokuratury na prośbę Ewy Tukałło. Witold Tukałło: *Gdy Ewa siedziała, to tylko raz miałem z nią widzenie. Załatwił mi je prokurator Malina (Drabik i Gąciarz – wyjątkowi skurwysyni – akurat byli wtedy na urlopie). O to widzenie miał później pretensje do Maliny prokurator Drabik. To była wyjątkowa ubecka menda. Gdy go kiedyś poprosiłem o widzenie z Ewą, to zaczął się drzeć na mnie: – „Takich jak ty, to się kiedyś pod ścianę stawiało!”.*
Z archiwum SB

***

W drugiej fazie śledztwa Ewa Tukałło trafiła na uczciwego prokuratora, co nieco złagodziło jej cierpienie.

Ewa Tukałło: *Bardzo pomógł mi prokurator wojskowy Malina* [Por. Eugeniusz Malina], *który dwa razy przesłuchiwał mnie na Mogilskiej. Wiedząc, że w pokoju prawdopodobnie był podsłuch, pisał mi na kartce, że Witek będzie zwolniony i że Aldonka nie pójdzie do domu dziecka.*

Witold Tukałło: *Gdy Ewa siedziała, to tylko raz miałem z nią widzenie. Załatwił mi je prokurator Malina (Drabik i Gąciarz – wyjątkowi skurwysyni – akurat byli wtedy na urlopie). O to widzenie miał później pretensje do Maliny prokurator Drabik. To była wyjątkowa ubecka menda. Gdy go kiedyś poprosiłem o widzenie z Ewą, to zaczął się drzeć na mnie: „Takich jak ty, to się kiedyś pod ścianę stawiało!".*

Ewa Tukałło: *Babcia (Anna Mikeé-Tukałło) była mimo wieku cały czas bardzo dzielna. Zajmowała się Aldonką. Mamie pomagała moja koleżanka, Lidka Szopińska. Ta pomoc była niezbędna, bo mama prawie cały czas spędzała w prokuraturze. Chodziła do prokuratury i chciała załatwić moje widzenie z córką. To się nie udało, natomiast i tak udało się jej złamać więzienne przepisy i po trzech miesiącach przekazać pierwsze artykuły sanitarne, kosmetyki i lekarstwa. Nie zapomnę, jak przyszedł do mnie prokurator Malina i powiedział: „Ja chyba zwariowałem! Podpisałem starszej pani (Annie) zgodę na paczkę, nie wiem, co z tego będzie, także dla mnie...". Rzeczywiście, sporo ryzykował. To był uczciwy człowiek.*

Witold Tukałło: *Po moim wyjściu z więzienia bardzo nam pomógł Andrzej Biernat, który mieszkał w tym samym domu, co my, w sąsiedniej klatce. Był lekarzem w szpitalu na Monte. Ewa tam trafiła po miesiącu śledztwa na Mogilskiej. Dostała krwotoku, szczękościsku, sparaliżowało jej połowę ciała. Biernat rozpoznał moją żonę w szpitalu i sam przyszedł do mnie do domu, oferując pomoc. Aby nie zauważono jego wizyt (mieszkał w sąsiedniej klatce), chodził do mnie przez piwnicę. Dzięki Biernatowi miałem z Ewą wtedy codzienny kontakt.*

***

Każdy z trójki oskarżonych w tej sprawie był sądzony osobno. Grudniewicz był sądzony najwcześniej – 29 czerwca 1982 roku: *Moja rozprawa była tajna, bez widzów. Bronił mnie adwokat, którego wynajęli rodzice. Poszło to błyskawicznie. Prokurator zażądał 25 lat. Dostałem 4.*

Po wyroku, jakiś czas jeszcze siedziałem „na getcie". Potem przenieśli mnie na górę, ale to już było krótko przed wyjazdem do więzienia do Wrocławia. W konwoju jechałem m.in. ze Staszkiem Handzlikiem.

Proces Głowackiego odbył się 2 sierpnia 1982 roku. Dostał 3 lata.

Proces Ewy Tukałło odbył się dopiero 8 września 1982 roku: *Zbliżał się termin rozprawy, a ja czułam się coraz gorzej. Stwierdzono problemy z sercem, a na trzy dni przed rozprawą pojawił się paraliż i szczękościsk. W ostatnim dniu paraliż objął całą lewą stronę twarzy, rękę i nogę. Nie nadawałam się do transportu i ze względu na stan zdrowia sprawę odroczono o tydzień czy dwa. Na sprawie, która odbyła się we wrześniu, nie mogłam mówić.*

Witold Tukałło: *Biernat w papierach zrobił z Ewy kompletną wariatkę. Zabierał ją na badania do szpitala wojskowego, gdzie robili jej jakieś prześwietlanie mózgu. W efekcie na pierwszą rozprawę Ewy nie dostarczyli z aresztu z powodu stanu zdrowia. Potem ją zwolnili, bo Biernat napisał, że dalszy pobyt w więzieniu zagraża jej życiu. I Ewa odpowiadała już z wolnej stopy, co było dla niej dużą ulgą.*

Na drugą rozprawę przyprowadzili Grudniewicza. Był po wyroku. Bezczelnie powiedziałem do żołnierzy, którzy go konwojowali: „Moja żona tu będzie sądzona, chcę z nim porozmawiać". Pozwolili mi. Usiedliśmy na ławce na korytarzu. Powiedziałem mu: „Odwołaj te wszystkie zeznania! Już po wyroku jesteś! Powiedz, że cię zmuszali, abyś obciążył Ewę. Powiedz, że te ulotki gdzieś tam znalazłeś, a oni cię bili i zasugerowali, że dostałeś je od Ewy". I rzeczywiście, on zaczął na rozprawie mówić w ten sposób, ale oni natychmiast na niego wrzasnęli i przyznał: „Te ulotki KPN dostałem od niej...". Żołnierze, którzy go konwojowali, spuścili głowy wtedy, bo słyszeli moją rozmowę z Grudniewiczem przed salą rozpraw.

Ewa Tukałło: *Na rozprawę przyszła też żona Grudniewicza. Boże, jaka to już była chora kobieta! Nie ja, ale ona była najbardziej chorą osoba na tej sali rozpraw! Grudniewicz siedział, a oni mieli przecież dwoje małych dzieci!*

Wiesław Grudniewicz: *Z Wrocławia wzięli mnie na rozprawę Ewy Tukałło. Pojechaliśmy pociągiem. Nie wiem, czemu nie odwołałem tych zeznań, które obciążały Ewę. Straszył mnie oficer z kontrwywiadu. Straszyli, że zabiorą dzieci do domu dziecka. Gdybym dziś spotkał Ewę, to bym ją prosił o wybaczenie. Bardzo ją za to przepraszam. Żałuję, że tak się stało.*

Witold Tukałło: *Mimo że Grudniewicz potwierdził te swoje zeznania ze śledztwa, to Ewa dostała wyrok w zawieszeniu. Uznano jej ograniczoną poczytalność w rozumieniu art. 25 par. 2 kk* [Przewodniczącym składu sędziowskiego, który orzekał w sprawie Ewy Tukałło, był ppłk Wiesław Miśko].

Ewa Tukałło: *Po swoim wyjściu z więzienia w 1983 r. Grudniewicz przyszedł do nas, aby nas przeprosić. Powiedział wtedy, że wyjeżdża na stałe do Szwecji. Nigdy już później nie spotkaliśmy go. To była krótka wizyta, bo Witek nie chciał z nim rozmawiać. Powiedział mu: „Dobrze, dobrze. My się nie gniewamy, ale żeby wojskowy babę do więzienia wsadził, to wstyd jest! A przecież mogłeś jeszcze to odwołać w sądzie, a potwierdziłeś, że dostałeś ulotki od Ewy".*

Rewizję prokuratora (który domagał się dla Ewy Tukałło 3 lat więzienia) Sąd Najwyższy pozostawił bez rozpoznania.

Witold Tukałło: *Pomoc dla nas zadeklarowali górale z Tymbarku: Jasiu Ubik i Piotr Zawada z Chyżówek. Ewa miała się u nich ukrywać do czasu rozprawy rewizyjnej, bo Gąciarz domagał się, aby odwiesić jej karę. Jednak Sąd Najwyższy nie uwzględnił jego rewizji.*

Za to Ewa została szybko zwolniona z pracy, bo przecież miała wyrok, była kryminalistką.

***

Bogdan Głowacki: *Nie uważam się za bohatera. Robiłem to, co wtedy trzeba było robić. Na wolności byłem może nieostrożny, może zanadto ufałem ludziom, ale żadnej szkoły konspiracji wcześniej nie przechodziłem. Przed 13 grudnia byłem przyzwyczajony do tego, aby działać jawnie.*

Nigdy nie uważałem, że w więzieniu kogoś zasypałem. Oni mieli wiele informacji, mówili to wszystko i pytali: „Było tak?". I to im potwierdzałem. Skoro oni już wiedzieli, to trudno było mi zaprzeczać. Możliwe też, że coś powiedziałem w celi do współwięźniów. Na pewno nie wysyłałem do nikogo grypsów. Nikt mi tego nawet nie proponował. Żałuję, że nie zachowałem się tak, jak na filmach o konspiracji AK-owskiej, ale nigdy nie czułem, że kogoś świadomie skrzywdziłem. Po wyjściu z więzienia utrzymywałem nadal kontakty z Wieśkiem Grudniewiczem. Wróciłem też do działalności w KPN. Skontaktowałem się szybko z Zygmuntem Łenykiem. Nigdy nikt w KPN nie dał mi odczuć, że nie ma do mnie zaufania. Działałem w Wydziale Robotniczym, pomagałem zakładać nowe struktury KPN

w Andrychowie, Jordanowie, Makowie Podhalańskim, pomagałem w organizowaniu kampanii w 1989. Gdybym uważał, że kogoś zasypałem, to głupio by mi było potem wracać do tej działalności...

Moje życie było bardzo nieciekawe. Nie osiągnąłem wiele, nie dorobiłem się niczego. Jest w nim jedno, z czego mogę być dumny – to, że mogłem zrobić coś dla Polski. Te ponad 10 lat w KPN-ie od 1979 roku to był dla mnie zaszczyt.

***

Rozmawialiśmy także z Bronisławem Ryczkiem (ur. 1937 r.) – emerytowanym pułkownikiem Wojska Polskiego, który z ramienia WSW prowadził śledztwo przeciwko Grudniewiczowi. Ryczek nie chce mówić o szczegółach swojej pracy. Nie czuje też, że robił coś niewłaściwego: *Jak się pracuje w pewnych służbach, to się nie powinno później nic pamiętać. W Wojsku Polskim była tylko jedna taka sprawa jak Grudniewicza, codzienność naszej służby była inna. Każda władza polega na przymusie. Te mechanizmy, które były wtedy, to są mechanizmy stosowane od wieków. Zawsze tak było, że wojsko było chronione przez jakieś służby i nie zawsze w białych rękawiczkach się działało. A kontrwywiad zawsze grzebie w gównie – albo coś tam się znajdzie, albo nic tam nie ma. Kontrwywiad zajmuje się głównie profilaktyką, w szerokim znaczeniu. Chodzi głównie o to, żeby wiedzieć, co się dzieje, ale czasem też trzeba ostro wkroczyć...*

Czym może uzasadnić wyjątkową brutalność tego śledztwa wobec Grudniewicza oraz Ewy Tukałło?

Ryczek: *Tam, gdzie jest rewolucja, to są tragedie. I jak ktoś robi rewolucję, to musi się z tragedią liczyć. Po prostu. A wcale nie było tak najgorzej. Pamiętam gorsze czasy niż w PRL. Wyrzuty sumienia? Dlaczego? Wobec swojego pracodawcy trzeba być lojalnym. Należało się przykładać. Tak pracowałem i miałem dobre efekty.*

***

Pierwsze dwie wpadki krakowskiej KPN w 1982 roku zakończyły się boleśnie dla ich bohaterów. Waldemar Czyż, Ewa Tukałło, Witold Tukałło i Andrzej Załuski spędzili w ciężkim areszcie po kilka miesięcy. Uwięzienie spowodowało u Ewy Tukałły poważną zapaść na zdrowiu. Cierpienia dotknęły też ich bliskich. Dotyczy to zwłaszcza 8-letniej Aldony Tukałło. Głowackiego i Grudniewicza poddano intensywnemu śledztwu, zostali skazani i spędzili w areszcie oraz w więzieniu po około półtora roku. Załamało się ich życie rodzinne i plany osobiste. Najwyższą cenę zapłaciła żona Wiesława Grudniewicza, o czym będzie jeszcze mowa w kolejnych rozdziałach tego tomu. W związku z tą sprawą przesłuchano wiele osób (głównie spoza środowiska KPN), przeprowadzono u nich rewizje w mieszkaniach, niektórzy zostali zamknięci na 48 godzin.

Obie wpadki zakończyły się jednak dla KPN, jako całości, stosunkowo bezboleśnie, jeśli nie liczyć wyeliminowania na pewien czas uwięzionych. SB nie udało się bowiem namierzyć, ani tym bardziej rozpracować, podziemnych struktur Konfederacji.

„Zima wasza, wiosna nasza!"

Popularne w pierwszych miesiącach stanu wojennego hasło przytoczone w tytule tego podrozdziału w dużej mierze sprawdziło się (przynajmniej w Krakowie) wiosną 1982 roku. Już 13 kwietnia (gdy kilkusetosobowa demonstracja na Rynku została rozbita przez ZOMO) zapowiadał, że kolejne miesiące będą „gorące". Dotyczyło to zwłaszcza początku maja, w którym były liczne okazje do zgromadzenia tłumu: 1 maja – Święto Pracy, 3 maja – rocznica uchwalenia konstytucji, 4 maja – święto hutników, 13 maja – kolejna miesięcznica.

Zwiastunem wydarzeń majowych był pierwszy „czarny marsz" w Nowej Hucie 30 kwietnia 1982 roku. Była to trzecia demonstracja uliczna w Krakowie w 1982 roku, pierwsza w Nowej Hucie i pierwsza (najprawdopodobniej w całej Polsce) z tak dużą frekwencją. Zając podaje, że organizatorem „czarnych marszów" był Komitet Ocalenia „Solidarności" (KOS) zorganizowany w HiL na przełomie stycznia i lutego 1982 r. Kierownictwo KOS tworzyły cztery osoby: Kazimierz Łapczyński, Stanisław Malara, Jerzy Ostałowski i Czesław Tondyra. KOS HiL utrzymywał ścisły kontakt z pismem „Hutnik", które ukazywało się od stycznia 1982 r. Pomysłodawcami byli: Zdzisław Jaworski i Jerzy Ostałowski. Od drugiego numeru w wydawaniu pisma uczestniczył Wojciech Marchewczyk z AGH, który wkrótce został redaktorem naczelnym.

„Hutnik" nr 5 z 2 maja 1982: *RKW Małopolska proponowała w swoich odezwach bojkot imprez 1-majowych organizowanych przez partyjnych rządców. Hutnicy przychylili się do bojkotu i postanowili przejść w przeddzień Święta Pracy w milczącym pochodzie od bram zakładu do Placu Centralnego po pierwszej zmianie. Zapewne wielu ludzi po wyjściu z Kombinatu zadawało sobie pytanie – czy uda się demonstracja? Był to sprawdzian konsolidacji załogi.*

Okazało się, że hutników niełatwo przestraszyć. Mimo widniejących w perspektywie milicyjnych samochodów, w kierunku Placu Centralnego ruszyli pierwsi odważni. Za nimi poszli następni. Po paru minutach pochód rozciągał się na przestrzeni jednego kilometra. Widok był imponujący. Wśród uczestników panował podniosły nastrój. „Serce rośnie, jak się to widzi!", „Pokazaliśmy im, co o nich myślimy!" – cieszyli się ludzie. Pochód rozwiązał się przy Placu Centralnym.

Jesteśmy przekonani, że władze zrozumiały nasz milczący protest. I jeszcze jedno. Już nie po raz pierwszy z robotnikami byli studenci.

„Zomorządność" z 15 maja 1982 r. zwraca uwagę na próbę powstrzymania marszu przez zastraszenie czoła pochodu: *Pierwszych maszerujących milicja próbowała legitymować, ale kiedy stworzył się zator, zrezygnowano z tego.*

Broniek: *W Komitecie Krakowskim był Krystyn Dąbrowa i ja. Uważaliśmy, że nie można dopuścić do użycia siły, ale decyzja należała do Kiszczaka. Dąbrowa do niego zatelefonował, sugerując, aby nie rozpraszać demonstracji przy użyciu sił porządkowych. Kiszczak się zgodził. Zostały wydane rozkazy i ZOMO jedynie obserwowało przemarsz.*

Doskonałym komentarzem do pierwszego „czarnego marszu" w Nowej Hucie są słowa ppłk. Biela na naradzie w KW MO, która odbywała się w dniu marszu, 30 kwietnia 1982 roku późnym wieczorem: *Wróg osiągnął swój cel!* Charakterystyczne jest, że już w oficjalnej „Ocenie sytuacji operacyjno-politycznej" za kwiecień 1982 r., wysyłanej do dyrektora gabinetu ministra spraw wewnętrznych, SB usiłowała bagatelizować znaczenie tego pierwszego marszu: *Próbę zorganizowania demonstracji podjęto, z niewielkim powodzeniem w Kombinacie HiL, inicjując piesze przejście małej, w stosunku do liczby zatrudnionych, ilości pracowników z Kombinatu do centrum Nowej Huty w dniu 30 kwietnia 1982.* Czas pokazał, że słowa Biela lepiej jednak charakteryzowały znaczenie tego wydarzenia niż urzędowy optymizm oficjalnego sprawozdania.

***

Paczkowski: *TKK nie odniosła się w ogóle do zbliżających się okazji – 1 i 3 Maja (…). Właśnie w tych dniach odbyły się pierwsze – liczne i jednoczesne w całym kraju – uliczne manifestacje, w znacznym stopniu o charakterze spontanicznym. Pierwszego maja w Gdańsku w kontrpochodzie – który był liczniejszy niż pochód oficjalny – wzięło udział kilkadziesiąt tysięcy osób, w Warszawie (gdzie oficjalny pochód wyglądał, jak zapisał Rakowski „dość smutno") i w Nowej Hucie, szło w pochodzie „Solidarności" po kilkanaście tysięcy; od tysiąca do kilku tysięcy osób uczestniczyło w manifestacjach w Rzeszowie, Lublinie, Szczecinie, Łodzi, Toruniu, Bielsku-Białej, Białymstoku czy Elblągu. We wszystkich dużych miastach odbyły się publiczne protesty, z reguły rozpoczynające się po zakończeniu mszy świętych. Bodaj nigdzie nie doszło do interwencji ZOMO.*

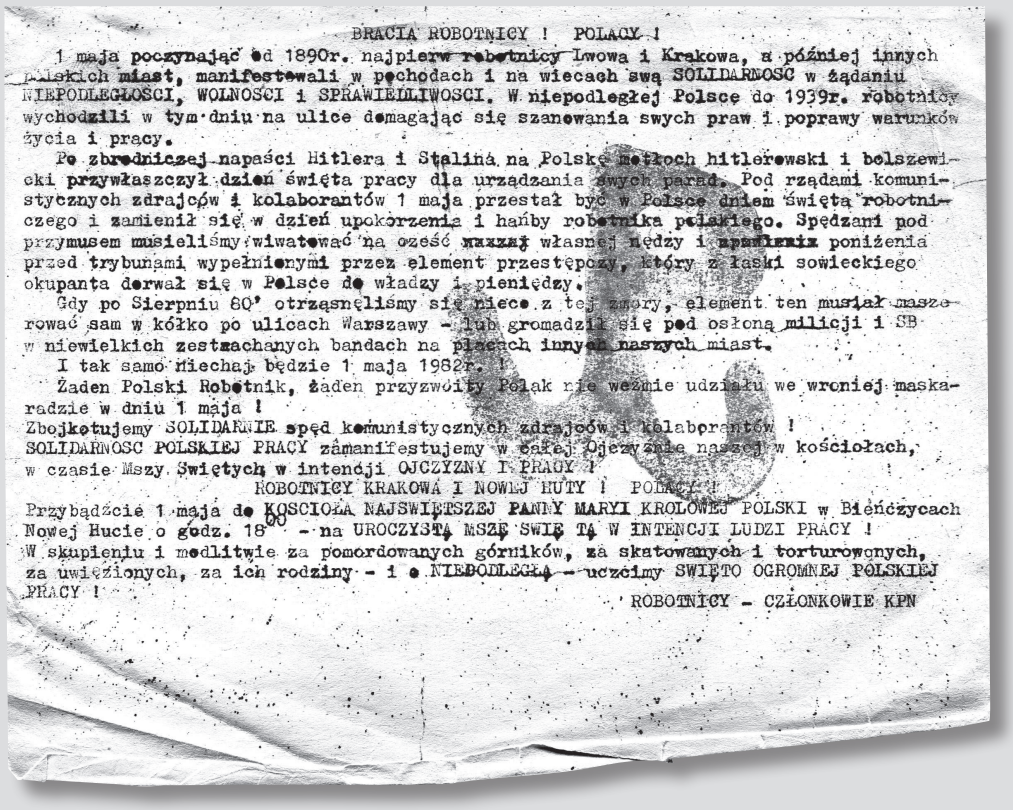
1 maja 1982 roku w Krakowie robotnicy świętowali w kościołach. Najważniejsza uroczystość odbyła się w Nowej Hucie. „Aktualności" nr 15 z 3 maja 1982: *Msza Święta w kościele NMP Królowej Polski w Bieńczycach Nowa Huta* [Arka Pana]. *Już o godzinie 17.00 zaczęły gromadzić się tłumy. Wiele osób przyszło ze znaczkami Solidarności i biało-czerwonymi chorągiewkami z napisem Solidarność. Największe wrażenie robiły poczty sztandarowe stojące obok ołtarza. Pięć sztandarów Solidarności zostało przekazanych pod opiekę Kościoła.*

„Zomorządność" z 15 maja 1982: *Ocalone sztandary, wyniesione ze strajków przyniesiono teraz tutaj, ażeby w bezpiecznym miejscu doczekały dnia wolności. Jak powiedział w kazaniu główny celebrujący* [ks. Józef Gorzelany] *„tutaj żadna świętokradcza ręka nie odważy się sięgnąć po nie, a kiedy nadejdzie dzień sądów ostatecznych nad światem, ujmiemy te drzewce i wzniesiemy je wysoko!".*

„Aktualności: *„Nie chcemy cudzej ziemi, chcemy tylko własnymi rękami rozwiązywać własne problemy. Nie chcemy być uszczęśliwiani na siłę, chcemy żyć bez kłamstwa..." – powiedział hutnik przekazujący sztandary. Odśpiewano „Boże coś Polskę", „Rotę", „Warszawiankę". Został wysłany telegram do Ojca Świętego informujący o przekazaniu sztandarów.*

„Zomorządność": *Przy pieśni „Chwalcie łąki umajone", opuszczono kościół. Na zewnątrz mundurowych nie było. Była natomiast duża ilość tajniaków. Zatrzymali oni studenta, który rozrzucał ulotki trzeciomajowe. Zatrzymanym jest Dariusz Warpas, student AGH, któremu przedstawiono trzy zarzuty: kolportaż ulotek, pobicie funkcjonariusza MO, noszenie cudzych dokumentów.*

Oficjalne uroczystości zorganizowane przez władze odbyły się w Krakowie. Z uwagi na przewidywaną nikłą frekwencję, zaniechano wtedy tradycyjnych pochodów, organizując w to miejsce wiec na Rynku Głównym). Relację zamieściły cytowane wyżej „Aktualności": *W oficjalnej manifestacji w Rynku Głównym wzmocnione przez zomowców w cywilu zgromadziło się zaledwie kilka tysięcy osób.* Tymczasem w cytowanej już oficjalnej esbeckiej „Ocenie sytuacji operacyjno-politycznej" za kwiecień 1982 r. napisano: *Wiec w Rynku Głównym zgromadził 70 tys. osób, co jest liczbą znacznie większą niż w 1981.*



BRACIA ROBOTNICY ! POLACY !

1 maja poczynając od 1890r. najpierw robotnicy Lwowa i Krakowa, a później innych polskich miast, manifestowali w pochodach i na wiecach swą SOLIDARNOSC w żądaniu NIEPODLEGŁOSCI, WOLNOSCI i SPRAWIEDLIWOSCI. W niepodległej Polsce do 1939r. robotnicy wychodzili w tym dniu na ulice domagając się szanowania swych praw i poprawy warunków życia i pracy.

Po zbrodniczej napaści Hitlera i Stalina na Polskę hołoch hitlerowski i bolszewicki przywłaszczył dzień święta pracy dla urządzania swych parad. Pod rządami komunistycznych zdrajców i kolaborantów 1 maja przestał być w Polsce dniem świętą robotniczego i zamienił się w dzień upokorzenia i hańby robotnika polskiego. Spędzani pod przymusem musieliśmy wiwatować na cześć nazzaj własnej nędzy i upodlenia poniżenia przed trybunami wypełnionymi przez element przestępczy, który z łaski sowieckiego okupanta dorwał się w Polsce do władzy i pieniędzy.

Gdy po Sierpniu 80' otrząsnęliśmy się nieco z tej zmory, element ten musiał maszerować sam w kółko po ulicach Warszawy - lub gromadził się pod osłoną milicji i SB w niewielkich zestrachanych bandach na placach innych naszych miast.

I tak samo niechaj będzie 1 maja 1982r. !

Żaden Polski Robotnik, żaden przyzwoity Polak nie weźmie udziału we wroniej maskaradzie w dniu 1 maja !

Zbojkotujemy SOLIDARNIE spęd komunistycznych zdrajców i kolaborantów !

SOLIDARNOSC POLSKIEJ PRACY zamanifestujemy w całej Ojczyźnie naszej w kościołach, w czasie Mszy Świętych w intencji OJCZYZNY I PRACY !

ROBOTNICY KRAKOWA I NOWEJ HUTY ! POLACY !

Przybądźcie 1 maja do KOSCIOŁA NAJSWIĘTSZEJ PANNY MARYI KROLOWEJ POLSKI w Bieńczycach Nowej Hucie o godz. 18^{00} - na UROCZYSTĄ MSZĘ SWIĘTĄ W INTENCJI LUDZI PRACY !

W skupieniu i modlitwie za pomordowanych górników, za skatowanych i torturowanych, za uwięzionych, za ich rodziny - i o NIEPODLEGŁĄ - uczcimy SWIĘTO OGROMNEJ POLSKIEJ PRACY !

ROBOTNICY - CZŁONKOWIE KPN

Odezwa Krakowskiej KPN przed 1 maja 1982 r. Niezależne obchody pierwszomajowe w Nowej Hucie. Już o godzinie 17.00 zaczęły gromadzić się tłumy. Wiele osób przyszło ze znaczkami Solidarności i biało-czerwonymi chorągiewkami z napisem „Solidarność". Największe wrażenie robiły poczty sztandarowe stojące obok ołtarza. Pięć sztandarów Solidarności zostało przekazanych pod opiekę Kościoła.
Z archiwum Ryszarda Bociana

***

Krakowskie tradycje niezależnych obchodów Święta Konstytucji 3 Maja, będącej w XIX wieku symbolem niepodległościowych dążeń Polaków, nie były tak długie, jak w przypadku Święta Niepodległości 11 Listopada. Nie ma informacji o niezależnych obchodach 3 Maja w Krakowie przed Sierpniem. W czasie „karnawału Solidarności" obchody takie były raz – w 1981 r. Te w 1982 r. były więc drugimi z kolei.

Przed 3 maja 1982 r. SB przeprowadziła akcję prewencyjną. Objęła ona m.in. Zygmunta Łenyka. Nie była to pierwsza tego typu rozmowa profilaktyczna SB z Łenykiem.

Tę jednak zapamiętał z uwagi na szczególną jej brutalność: *2 maja przyszedł do mnie do mieszkania jakiś ubek i strasznie wrzeszczał, że jeżeli 3 maja gdziekolwiek pójdę na demonstrację, to mi zrobi krzywdę. Do tej pory nie zdarzyło się nigdy, by jakiś funkcjonariusz SB wrzeszczał jak opętany w moim domu, strasząc małe dzieci, a może nawet i sąsiadów z okolicznych mieszkań. Zapytałem więc, kim jest i dlaczego przyszedł do mojego domu z awanturą. Wyjaśnił, że ma na imię Rysiek i jest moim przyjacielem, a przyszedł tylko dlatego, żeby mnie ostrzec i mi pomóc.*

Jak zwykle teren wokół wzgórza wawelskiego był obstawiony przez milicję i tajniaków. Pokrzyżowało to niektóre plany.

Grzegorz Hajdarowicz: *3 maja 1982 byliśmy już przygotowani do demonstracji – mieliśmy flagi i ulotki. Niestety, dwie dziewczyny z mojej ekipy (Monikę Gorgoń i Wójcikównę – imienia nie pamiętam) zatrzymała milicja. Wylegitymowali je, zamknęli na kilka godzin w „Białym Domku", ale na szczęście nie poddali ich rewizji. A one były owinięte biało-czerwonymi flagami, które miały dostarczyć nam na manifestację. Te flagi zerwaliśmy z budynków przed 1 Maja i namalowaliśmy na nich kotwice.*



Czoło pochodu 3 maja 1982 r. u wylotu ul. Grodzkiej. W katedrze na Wawelu odbyła się msza z udziałem ok. 11 tys. osób. Po zakończeniu mszy ok. godz. 20, jej uczestnicy w liczbie około 300 osób, w większości młodzież szkolna i studencka utworzyli czoło pochodu, który zatrzymując się kilkakrotnie w krótkich odstępach czasu, powodował powiększanie się grupy. Pochód śpiewając pieśni religijne, skierował się w stronę ulicy Grodzkiej. Jego uczestnicy trzymali uniesione w górę ręce z wysuniętymi dwoma palcami na kształt litery V. Kilkadziesiąt spośród osób tworzących czoło pochodu eksponowało biało-czerwone chorągiewki z napisem „Solidarność". Po dojściu do wylotu ul. Grodzkiej pochód liczył około 7 tysięcy osób. W pierwszym szeregu widoczny wyraźnie Sławomir Onyszko („Kudłaty") - czwarty od prawej w jasnej, zapiętej kurtce, z długimi, czarnymi włosami. Fot. SB



3 maja 1982 r. Pochód na wysokości kościoła św. Piotra i Pawła. Ponad głową człowieka w bluzie z napisem „Uniwersytet Jagielloński" wyraźnie widoczny jest Andrzej Izdebski z wyciągniętymi palcami w kształcie litery „V" (patrzy w obiektyw aparatu). Idący obok niego mężczyzna stara się ukryć za plecami człowieka w bluzie. Fot. SB

Krzysztof Fortuna: *Na Wawelu, jak zwykle staliśmy przed wejściem do katedry i po mszy rozrzucaliśmy wydrukowane przez nas ulotki.*

Z meldunku kpt. Wiesława Hryniewicza – naczelnika Wydziału III SB w Krakowie (4 maja 1982): *W katedrze na Wawelu odbyła się msza z udziałem ok. 11 tys. osób. Po zakończeniu mszy ok. godz. 20, jej uczestnicy w liczbie około 300 osób, w większości młodzież szkolna i studencka utworzyli czoło pochodu, który zatrzymując się kilkakrotnie w krótkich odstępach czasu, powodował powiększanie się grupy. Pochód śpiewając pieśni religijne, skierował się w stronę ulicy Grodzkiej. Jego uczestnicy trzymali uniesione w górę ręce z wysuniętymi dwoma palcami na kształt litery V. Kilkadziesiąt spośród osób tworzących czoło pochodu eksponowało biało-czerwone chorągiewki z napisem „Solidarność". Po dojściu do wylotu ul. Grodzkiej pochód liczył około 7 tysięcy osób.*

„Aktualności" nr 15 z 3 maja 1982: *Niesiono biało-czerwone flagi, śpiewano pieśni narodowe: Boże coś Polskę, Rotę, Warszawiankę, Jeszcze Polska. Hasła: „Solidarność!", „Uwolnić Lecha!". Szli wszyscy: studenci, stateczni obywatele, ludzie w każdym wieku. Pochód wciąż rósł. Dołączali do niego przechodnie.*

Raport specjalny wywiadu KPN (odnaleziony w archiwum Andrzeja Izdebskiego): *Uczestnicy schodząc w dół (koło „cegiełek"), wyciągnęli ręce w górę z palcami ułożonymi w znak V. Koło kościółka św. Idziego zaczęli wznosić okrzyki na cześć Solidarności. Przy ul. Senatorskiej zamykał Grodzką kordon ZOMO. Pochód skandując ciągle „Solidarność!" i „Zwolnić Lecha!"zaczął wołać „Targowica!", „Zdrajcy!".*

Jeszcze zanim nastąpił atak ZOMO, esbecy intensywnie fotografowali ludzi biorących udział w pochodzie.



3 maja 1982 r. Pierwszy z prawej – Sławomir Onyszko. Czwarty z prawej (obok mężczyzny zasłoniętego flagą, z połączonymi na wysokości twarzy dłońmi i torbą na przewieszonym w poprzek pasku) – Wiesław Dyląg, wówczas student AGH. Dyląg: *Chłopak trzymający flagę biało-czerwoną przekazał mi ją, wyjmując z kieszeni wcześniej przygotowane kamienie. Flaga ta, pokropiona czerwonym tuszem, zawisła później, w nocy przed 1 listopada 1982 r., na drzewie na cmentarzu w Gorlicach. Na jej tle przybiliśmy (razem z Andrzejem i Romanem Karpiami) krzyż z brzozy i drewnianą tabliczkę „Ofiarom Stanu Wojennego". Pamiętam, że członków KPN uznawaliśmy trochę za ekstremistów, ale jednocześnie za godnych szacunku.*
Fot. SB

Ryszard Bocian (relacja /w/ *Stan wojenny w Małopolsce. Relacje i dokumenty*): *Mnie, wraz z Mirkiem Lewandowskim, SB zrobiła tego dnia piękne wspólne zdjęcie. Gdy Mirka zastali u mnie w domu, kiedy przyszli mnie internować w październiku 1982, esbecy głośno cieszyli się, że złapali wreszcie „Kudłatego". Mirek nosił wówczas okazałą czuprynę – a SB skądś wiedziało, że w krakowskim KPN jest jakiś „Kudłaty". Faktycznie ps. „Kudłaty" nosił Sławek Onyszko.*

Paweł Sabuda: *Pamiętam nieprzebrane tłumy ludzi na Wawelu, wśród nich Jerzego Bińczyckiego, no i późniejszy atak zomowców na pochód usiłujący przejść przez Stare Miasto ulicą Grodzką.*

Małgorzata Słowik: *Gdy pochód był na ul. Grodzkiej, był bardzo silny atak ZOMO armatkami wodnymi. Wzięli nas w dwa ognie. Jechali przez środek ulicy i lali bardzo silnym strumieniem wody. Ludzie uciekali pod ściany budynków. Dużo mówiło się później o tym, że w pobliżu placu Dominikańskiego jakiejś starszej kobiecie strumień wody wybił oko. Były też gazy.*

Zabłocki: *Krystyna Marona wychodząc z pracy w Banku PKO na Rynku Głównym - pobita przez MO. Urazy dotyczyły twarzo-czaszki, z rozerwaniem skóry na łuku brwiowym (szycie chirurgiczne), poważnym urazem oka prawego z wylewem krwawym śródgałkowym.*

Wojciech Słowik: *Strasznie zostałem zlany wodą. Uciekliśmy w prawo, w Poselską. Przeskoczyliśmy mur i znaleźliśmy się na Plantach. Wszyscy byliśmy mokrzy, był to wyraźny dowód na nasz udział w manifestacji, więc nie było na co czekać i uciekliśmy do domów.*

„Aktualności": *Kiedy czoło pochodu znalazło się koło kościoła Piotra i Pawła, u wylotu ul. Poselskiej uformował się kordon ZOMO. Zamknięto też pobliskie ulice za kordonem. Wjechały armatki wodne. Pochód zatrzymał się. Ale ktoś zaintonował następną pieśń i ludzie ruszyli do przodu. Armatki ruszyły naprzeciwko pochodowi. Jego uczestnicy chowali się w bramach, ale ledwo samochód z armatką przejechał, znowu stawali w szeregach. Armatki atakowano, czym kto mógł: kamieniami, skrzynkami. Tłum rosnący za kordonem ZOMO skandował: „Targowica!", „Gestapo!". Tajniacy SB uczestniczący w pochodzie korzystający z ochrony armatek wodnych, co chwila wyciągali kogoś z pochodu i brutalnie wpychali do suk. Mimo to ludzie nie rozchodzili się. Na Grodzką i w okolicę ściągały wciąż nowe posiłki ZOMO.*

Zwierzęca złośliwość zomowców przechodziła wszelkie granice. Strumień wody przemoczył 80-letnią staruszkę, spokojnie przechodzącą do domu. Za chwilę wołała już ze wszystkimi „Gestapo!", „Nie jesteście Polakami!".

Raport specjalny wywiadu KPN: *Z kordonu wyjechał skot z działkiem wodnym* [w rzeczywistości działka wodne były montowane na podwoziach ciężarówek, a nie wojskowych transporterów] *i zaczęli polewać wodą pochód wołający wówczas „Gestapo!". Część ludzi schroniła się na podwórze (ogród) koło* [kościoła] *św. Piotra i w budynkach dawnego sądu (obecnie UJ) oraz do bram. Skot „strzelając" wodą, zawrócił i zaczął lać do bram. Wówczas to strumień wody przewrócił pojemnik z butelkami po mleku, wygniótł (a nie wybił) szybę wystawową przy nr (chyba) 50. Szyba, jak potem stwierdzono, wleciała do środka w całości, bez pozostawienia charakterystycznych „trójkątów" w ramie.*

Pochód zawrócił z powrotem pod kościółek św. Idziego i skierował się na ul. św. Gertrudy (obecnie Waryńskiego). Koło ul. św. Sebastiana nowy kordon ZOMO zamknął ul. Gertrudy. Na placu Bernardyńskim stał oddział ZOMO ze skotem, jednak nie atakował, być może ze względu na rozkopanie ulicy (roboty torowe) i dużej ilości leżącej luzem kostki brukowej. W czasie zajść na ul. Grodzkiej ludzie brali butelki po mleku i tłukli na bruku, aby uniemożliwić przejazd „bud" („suk"). W każdym razie ani ZOMO, ani skoty nie weszły na tak „zaminowany" teren.

Na ul. Gertrudy ludzie korzystając z powoli jadącego tramwaju ([nr] *„8") przebili się przez kordon ZOMO i skierowali się w Dominikańską. Część przeszła Planty, które nie były „obstawione". W tym czasie skandowano: „Wolna Polska!", „NZS!" i „KPN!".*

Pochód doszedł do głównego wejścia kościoła Dominikanów i tam został zatrzymany przez kordon ZOMO, stojący przed przystankiem tramwajowym. Kordony ZOMO zamykały także wejście z Grodzkiej do Rynku i Grodzką w kierunku przeciwnym. Tłum zebrał się pod kościołem dominikańskim, a z bramy klasztoru wyszedł dominikanin pertraktować z ZOMO. Nadjechał wówczas od strony kina „Wanda" skot z biegnącą za nim piechotą ZOMO. Gdy skot dojechał do wylotu ul. Stolarskiej, uderzył prądem wody widzów (około 8-10 osób) stojących pod restauracją naprzeciw przystanku tramwajowego. Wśród widzów były również duże dzieci. Następny skot nadjechał Stolarską od Małego Rynku, „strzelił" w Pasaż Bielaka i pojechał pod [kościół] *Dominikanów. Ulicą Sienną można było się bez przeszkód dostać na Rynek Główny, mimo że wszystkie inne ulice były za-*

mknięte kordonami ZOMO. Niepotwierdzone wiadomości mówią o spaleniu dwóch pojazdów MO, w tym jednego skota. Z Rynku można było wyjść Grodzką i Franciszkańską w kierunku Filharmonii. Jednak koło apteki przy wylocie Grodzkiej na Plac Wszystkich Świętych (Wiosny Ludów) (...). Plantami i ul. Poselską można było wejść na Grodzką i Grodzką w kierunku Wawelu. Koło św. Idziego stała grupa ZOMO, która głośno wyrażała niezadowolenie ze sposobu potraktowania pochodu.

„Aktualności": *Zajścia trwały do późnych godzin wieczornych. Aresztowano wielu ludzi, w tym wielu przypadkowych przechodniów, zupełnie przemoczonych. Niektórych bito podczas aresztowania. Przemoczeni rozchodziliśmy się pełni dumy. Pokazaliśmy co o juncie Jaruzelskiego myśli społeczeństwo Krakowa. Wspólny marsz i brutalna akcja ZOMO zjednoczyły wszystkich. Do zobaczenia na najbliższej manifestacji!*

Marek Bik: *We mszy nie brałem udziału, bo byłem na spotkaniu TTKAB, na Olszy przy ul. Brogi 36, zwołanym akurat wtedy, chyba też po to, żebyśmy nie szli na demonstrację. Wracając z zebrania, wysiadłem z tramwaju na ul. Dominikańskiej i natknąłem się na ul. Grodzkiej na tę część demonstrantów, którzy przebili się przez blokadę ZOMO.*

Małgorzata Słowik: *Uciekając przed atakiem, wpadliśmy większą grupą do kościoła Dominikanów. Wychylaliśmy się, coś krzycząc, a kiedy zomowcy atakowali, cofaliśmy się i zamykaliśmy drzwi. Spotkałam tam wielu znajomych. Podobna grupa schroniła się w kościele Franciszkanów.*

Gdy zrobiła się późna godzina wieczorna, wyszedł starszy zakonnik (chyba przeor) od Dominikanów i prowadził rozmowy z dowódcą ZOMO. Wynegocjował porozumienie, na mocy którego kilkadziesiąt osób schowanych w kościele opuściło budynek i przeszło pochodem (na czele szedł dominikanin) pod Pocztę Główną, a potem do Dworca Głównego. Szliśmy ulicą (nie zgodziliśmy się iść chodnikiem) z rękami wzniesionymi w górze na znak zwycięstwa. Wokół nas szedł szpaler ZOMO. Na dworcu zbiegliśmy do przejścia podziemnego i rozproszyliśmy się.

Dudek i Marszałkowski podają dodatkowe szczegóły: *Starcia szybko rozprzestrzeniły się na inne części centrum miasta. Uformowało się kilka grup manifestantów, liczących do tysiąca osób każda, które stosowały taktykę wychodzenia z kościołów (Franciszkanów i Dominikanów), skandowania haseł, budowania zapór z ławek oraz koszy na śmieci i chowania się do świątyń na widok zbliżającej się milicji. Część demonstrantów udała się później pod Pocztę Główną i na ulice przyległe do Rynku; najbardziej zaciekłe walki miały miejsce na ul. Stolarskiej, na której – obok konsulatu USA – zbudowano barykadę.*

Równocześnie nadal trwały starcia na ul. Grodzkiej, gdzie z determinacją broniła się otoczona grupa uczestników pochodu. Armatki wodne, które na wąskiej ulicy miały ograniczoną możliwość manewru, nie były w stanie złamać oporu demonstrantów (...).

W różnych częściach centrum Krakowa polowano na pojedynczych manifestantów. Ogółem zatrzymano tego dnia 64 osoby.

W tłumieniu manifestacji 3 Maja w Krakowie główną rolę odegrały pododdziały ROMO, ponieważ krakowska jednostka ZOMO została w godzinach wieczornych przetransportowana drogą lotniczą do Gdańska.

Z cytowanego wyżej meldunku pkt. Hryniewicza: *Z uzyskanych dotychczas informacji operacyjnych wynika, że środowisko naukowe i studenckie uznało manifestację jako spontaniczny wyraz opinii społeczeństwa wobec stanu wojennego mimo spodziewanej interwencji sił porządkowych. W dyskusjach podkreśla się ostre stanowisko władz właśnie w dniu 3 maja, który uważany jest za konstytucyjne święto. W tej kwestii środowisko uważa jednak, że winę za ten incydent ponoszą organizatorzy manifestacji, których upatruje się*

w kręgach związanych z RKW Solidarność i KPN, a którzy powinni ograniczyć manifestowanie swych poglądów do udziału w mszy, a nie prowokować zamieszek ulicznych.

Lasota, Ptasińska i Solak podkreślają: *Manifestacje tego dnia miały na tyle duży zasięg, nie tylko zresztą w Krakowie, że wspomniała o nich nawet prasa oficjalna, która we wcześniejszych miesiącach starała się przemilczać takie wydarzenia.*

Tymczasem w esbeckiej „Ocenie sytuacji operacyjno-politycznej" za kwiecień 1982r. (wyjątkowo obejmującej także kilka dni kolejnego miesiąca), napisano jednym zdaniem o „incydentach z siłami porządkowymi". Chyba jednak gabinet ministra nie był zadowolony z tych optymistycznych, niezgodnych z prawdą doniesień, bo w kolejnej „Ocenie", za maj 1982, znalazł się bliższy prawdy zapis: *Działania oddziałów zwartych MO oraz grup pracowników operacyjnych spowodowały rozproszenie tłumu i nie dopuściły do demonstracji w Rynku Głównym. Rannych nie było, straty materialne niewielkie (głównie rozbite szyby). Po trzech godzinach przywrócono całkowicie spokój w mieście.*

3 maja 1982 r. demonstracje uliczne i interwencje ZOMO miały miejsce nie tylko w Krakowie. Paczkowski: *Jeszcze większy zasięg* [niż 1 maja] *był zasięg protestów w dniu 3 maja, ale tym razem niemal wszędzie manifestanci zostali zaatakowani, co na ogół skutkowało wielogodzinnymi utarczkami z ZOMO.*

Liderzy podziemnej „Solidarności" mieli świadomość swojej klęski, o czym krótko wypowiadali się w „Konspirze". Lis: *Na zarzut, że rozminęliśmy się z nastrojami społecznymi, odpowiem krótko: no, rozminęliśmy się, ale czy zawsze musimy ulegać nastrojom?* Borusewicz: *Pierwszym poważnym błędem była ocena gotowości ludzi do oporu 1-3 maja 1982. Nawoływaliśmy wtedy do pozostania w domach, tymczasem ludzie wyszli na ulice. Byli bardziej radykalni niż my.*

***

Na 13 maja 1982 r. utworzona około 3 tygodnie wcześniej TKK (kierownictwo podziemnej „Solidarności") wyznaczyła pierwszą ogólnopolską akcję protestu przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Jej celem było upomnienie się o wolność dla więzionych działaczy.

Lasota, Ptasińska i Solak: [22 kwietnia] *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność" wezwała wszystkie struktury związku do piętnastominutowych strajków tego dnia o godz. 12 oraz do zatrzymania na minutę ruchu ulicznego i włączenia klaksonów. O ile protest w komunikacji się nie udał, o tyle odzew na apel o przerwanie pracy był duży. W Krakowie na krótko zastrajkowało kilkadziesiąt zakładów i instytucji, a do protestu przyłączyło się wiele szkół i kilka wyższych uczelni. W HiL przerwała pracę większość wydziałów.*

Paczkowski: *Wedle oceny MSW strajki, do których wzywała TKK, odbyły się 13 maja w 113 zakładach pracy, ale jest to chyba wielkość zaniżona. Gazetki podziemne podawały znacznie większe liczby – w samej Warszawie strajki miały się odbyć w 53 zakładach (MSW podawało, że w 27), we Wrocławiu i na Dolnym Śląsku strajkowano w ponad 30 przedsiębiorstwach i instytucjach, w Małopolsce w kilkudziesięciu, w Szczecinie, Łodzi czy w Rzeszowie w kilkunastu. Był to najbardziej masowy protest strajkowy od złamania oporu z połowy grudnia 1981, ale jego masowość polegała przede wszystkim na tym, że objął znaczną część dużych miast i aglomeracji przemysłowych. Była to więc akcja rozległa, ale jednocześnie – jeśli można tak powiedzieć – płytka. „Płytka", gdyż nie tylko trwała krótko, ale niewiele było zakładów pracy, w których pracę przerwała znacząca część załóg, tak jak to się stało w Hucie im. Lenina, w WSK w Świdniku, w Zakładach Cegielskiego w Poznaniu – gdzie „całkowicie stanęło" kilka oddziałów – czy we wrocławskim „Pafawagu".*





Rynek Główny w Krakowie, 13 maja 1982 r. Już od godzin popołudniowych wszystkie ulice prowadzące do Rynku i naokoło Plant obstawione były oddziałami ZOMO oraz esbekami i ormowcami. Skoty, działka wodne, budy, wyrzutnie gazu – to wszystko dało odpowiednią oprawę uroczystości. Jak co miesiąc o godzinie 18.30 odbyła się w Kościele Mariackim Msza Święta za Ojczyznę. Około 20. po zakończeniu Mszy, na Rynku było ponad 10 tysięcy. Jedna czwarta płyty Rynku była zajęta. Potężnie zabrzmiało „Boże coś Polskę".

Fot. Stanisław Iskra

Tego samego dnia wieczorem doszło do największej demonstracji z tych, które odbyły się na Rynku Głównym w Krakowie w stanie wojennym. Wzięło w niej udział kilkanaście tysięcy ludzi. Zarazem była to najbardziej gwałtowna demonstracja w Polsce tego dnia.

Paczkowski: *W kilku wypadkach 13 maja odbyły się też manifestacje (między innymi w Gdańsku, Olsztynie i Lesznie), ale o znacznie mniejszej skali niż te sprzed 10 dni. Wyjątkiem był Kraków.*

Przyczyny tak licznej obecności mieszkańców Krakowa na mszy świętej wyjaśnia korespondent „Zomorządności" (z 15 maja 1982): *Jak co miesiąc o godzinie 18.30 odbyła się w Kościele Mariackim Msza Święta za Ojczyznę. Tym razem kościół i cały Rynek Krakowski był szczelnie zapełniony ludźmi. Kazanie nawiązywało do zamachu na Papieża Jana Pawła II. Było rozważaniem nad tym, dlaczego właśnie spotyka to Jego, który za zadanie postawił sobie walkę o zachowanie godności ludzkiej? Wprawdzie nie padło tu słowo Solidarność, ale każdy z nas pomyślał to samo: Dlaczego? Co złego uczyniliśmy poza tą walką o godność człowieka?*

Potężnie zabrzmiało Boże coś Polskę i tym razem już dwie, jakże wymownie odśpiewane, zwrotki Roty.

Już od godzin popołudniowych wszystkie ulice prowadzące do Rynku i naokoło Plant obstawione były oddziałami ZOMO oraz esbekami i ormowcami. Skoty, działka wodne, budy, wyrzutnie gazu – to wszystko dało odpowiednią oprawę uroczystości.

„Aktualności" nr 18 z 17 maja 1982: *Około 20. po zakończeniu Mszy, na Rynku było ponad 50 tysięcy ludzi. Wychodzący z kościoła wznosili ręce na znak zwycięstwa. Na pomniku Mickiewicza pojawiła się polska flaga.*

Marek Bik: *Ludzi było może trochę ponad 10 tysięcy. Jedna czwarta płyty Rynku była zajęta.*

Według ocen SB 13 maja w Rynku zgromadziło się 12 tys. ludzi, a dominującą grupą wśród uczestników demonstracji byli studenci. W tym kontekście „Ocena sytuacji operacyjno-politycznej" za maj 1982 wymienia dwie studenckie grupy, które mobilizują studentów do akcji: Akademicki Ruch Samoobrony oraz Krakowską Komisję Wykonawczą NZS.

Grzegorz Hajdarowicz: *Byłem na Rynku z całą ekipą (kilkanaście osób), z dużą ilością ulotek i z flagami. Staliśmy na zewnątrz (było tyle ludzi, że nie mieścili się w kościele).*

Jak skończyła się msza i ludzie wyszli z kościoła Mariackiego, to zapadła taka nieznośna cisza. Każdy się bał, nic się nie działo. A ludzi było mnóstwo – niemal połowę Rynku zapełniał tłum ludzi. Staliśmy między pomnikiem Mickiewicza a Sukiennicami. Wtedy zaczęliśmy pierwsi krzyczeć „Solidarność! Solidarność", „Lech Wałęsa! Lech Wałęsa!" i podnieśliśmy ręce z palcami ze znakiem V. Potem rozwinęliśmy flagi (nie mieliśmy jeszcze drzewców). I od tego się zaczęła ta manifestacja.

Bik: *Nie było transparentów ani przemówień. Tylko skandowanie. ZOMO zaatakowała ze wszystkich stron. Byli bardzo agresywni.*

„Zomorządność": *Ludzie zgromadzeni na Rynku zaczęli skandować: „Solidarność!", „NZS!", „Wypuścić Lecha". Wjechał na sygnale samochód MO i rozległo się dwukrotnie „Rozejść się!". Po czym wjechał do Rynku ze wszystkich stron ciężki sprzęt, wyskoczyli pałowi, rozległy się strzały, na odgłos których szereg osób o słabszych nerwach wywróciło się. Ludzie w panice w pierwszej chwili nie zorientowali się, że to tylko wystrzeliwanie petard z gazami łzawiącymi. Zaczęto oglądać ludzi omdlałych, podejrzewając, że są postrzeleni. Tłum w panice uciekał, ale wszystkie drogi odwrotu z Rynku były odcięte. Płacz mało odpornych i matek, których synowie i córki też tam były, mieszał się z wyciem sygnałów milicyjnych, dudnieniem sprzętu pancernego, strzałów, z klaksonami karetek pogotowia.*





Rynek Główny w Krakowie, 13 maja 1982 r. *Wjechał na sygnale samochód MO i rozległo się dwukrotnie „Rozejść się!". Po czym wjechał do Rynku ze wszystkich stron ciężki sprzęt, wyskoczyli pałowi, rozległy się strzały, na odgłos których szereg osób o słabszych nerwach wywróciło się. Ludzie w panice w pierwszej chwili nie zorientowali się, że to tylko wystrzeliwanie petard z gazami łzawiącymi.*





Zaczęto oglądać ludzi omdlałych, podejrzewając, że są postrzeleni. Tłum w panice uciekał, ale wszystkie drogi odwrotu z Rynku były odcięte. Płacz mało odpornych i matek, których synowie i córki też tam były, mieszał się z wyciem sygnałów milicyjnych, dudnieniem sprzętu pancernego, strzałów, z klaksonami karetek pogotowia. Fot. Stanisław Iskra

Słowik: *Po ich ataku ludzie dziwacznie uciekali. Część miotała się jak w kotle. Niektórzy biegali dookoła Rynku i zachowywali się nielogicznie. Pamiętam takie obijanie się ludzi o siebie. Może dlatego, że było ich tak dużo, a zomowcy atakowali z kilku stron równocześnie?*

„Zomorządność": *ZOMO strzelało nabojami łzawiącymi do okien domów, w których chronili się ludzie. Powietrze było gęste od dymu. Milicjanci w kaskach, maskach, z tarczami i pałami, katowali kogo popadło. Wyciągano z sieni, schodów, kawiarni, domów ludzi chroniących się przed bandą rozjuszonych bestii, prawdopodobnie działających pod wpływem narkotyków i alkoholu (kilku zomowców było pijanych na pewno).*

Artur Mohl: *To były jakieś psychotropy. Pamiętam, jak jeden z zomowców walił własną głową o latarnię. A jak ludzie do nich krzyczeli: „Jesteście Polakami, tak jak my!", to oni w ogóle nie reagowali. Pamiętam też, że byli bardzo brutalni. Wyłapywali ludzi i walili ich głowami o karoserie samochodów.*

Małgorzata Słowik: *Daję głowę, że zomowcy byli wtedy naćpani. Pamiętam, jak ktoś opowiadał, że zomowiec podbiegł do latarni ulicznej i zaczął ją okładać pałką, jakby wydawało mu się, że kogoś bije. Widziałam ich z bliska. Mieli nieprzytomne oczy. Może się bali... Na twarzach mieli spuszczone plastikowe osłony.*

Pamiętam też taką opowieść od ludzi ze znajomej wsi w Bieszczadach, że tak się trafiło, że dwóch sąsiadów z tej wsi, rówieśników spotkało się 13 maja 1982 w Krakowie. Jeden był w seminarium duchownym, a drugi służył w ZOMO. Ten seminarzysta był na Wiślnej, gdzie wtedy był kościół Salezjanów i otworzył bramę, aby wpuścić tam ludzi, którzy uciekali w panice przed ZOMO. Pamiętam, że wtedy niektórzy dozorcy otwierali bramy na klatki schodowe, aby ludzie mogli się schronić, a niektórzy zamykali. Salezjanie – otworzyli. Ten seminarzysta pilnował bramy i gdy przybiegli zomowcy, to chciał ją zamknąć. I tak się zdarzyło, że jego sąsiad z tej samej wsi biegł na czele zomowców. Wpadł do bramy i mimo że seminarzysta go poznał i krzyknął do niego po imieniu, ten drugi, z ZOMO, uderzył go pałką tak mocno, że złamał mu rękę. Ta scena potwierdzałaby moje przekonanie, że zomowcy tego dnia byli pod wpływem środków.

„Zomorządność": *Znamienne były słowa osoby, którą podobnie jak mnie, dobra, życzliwa ręka pociągnęła do swego mieszkania, chroniąc przed zwierzętami: „Byłam w Oświęcimiu, jestem po trzech wyrokach, mam stargane zdrowie i nerwy, ale czegoś takiego nawet i tam nie widziałam – takich dzikich twarzy kryminalistów! Tam był wróg, a to podobno swoi". Z ust każdego, kto był w Rynku, przebija już tylko nienawiść, bo co jeszcze innego mogło nam pozostać?*

„Aktualności": *Ludzie chowali się do bram, do kawiarń i do sklepów. Inni uciekali pod ściany domów. Ci ucierpieli najbardziej. Strumienie wody wtłoczyły dwie kobiety na wystawy sklepów. Ciężko ranne, z przeciętymi tętnicami zostały znacznie później odwiezione do szpitala. Na razie ZOMO nie dopuszczało pogotowia. Wiele osób zostało zranionych odłamkami szkła z wybitych okien zabytkowych kamienic. Pałkami bito wszystkich, także kobiety z małymi dziećmi. Zomowcy byli pod wpływem narkotyków. Świadczyły o tym rozszerzone źrenice, światłowstręt i ich zwierzęce pomruki podczas bicia. Granaty z gazem wrzucono m.in. do Kościoła Mariackiego*

Bik: *Pamiętam jednak, że uczniowie Technikum Chemicznego dali mi w czasie tej demonstracji kilka ampułek o objętości około 100 mililitrów z jakąś cieczą. Rzucaliśmy tymi ampułkami w stronę ZOMO, co powodowało popłoch u zomowców. W zasadzie jednak nie było żadnych walk, tylko bicie.*

Hajdarowicz: *Były pojedyncze próby samoobrony (kosze, bruk, ale bruku było mało, bo płyta Rynku była polana asfaltem). Te próby były jednak bardzo niemrawe, bo nie było się czym bronić.*

Bik: *Zdołałem uciec ulicą Bracką, która nie była zablokowana.*

Hajdarowicz: *Nam udało się przedostać na ul. Grodzką. W okolicach placu Wszystkich Świętych jedna dziewczyna złamała nogę, bo tłum naparł, a ona nie zdążyła przeskoczyć przez betonowy kwietnik.*

Artur Then: *Uciekliśmy przez Pasaż Bielaka do kina, które się tam znajduje. Sala była zagazowana, ale musieliśmy wytrzymać, bo na zewnątrz trwało pałowanie i słychać było huk kolejnych petard. Wyszliśmy stamtąd dopiero po zmroku i przedzieraliśmy się Plantami do domu.*

Słowik: *Wszędzie gryzący gaz. Mieliśmy zapuchnięte oczy. Gdzieś byłam zamknięta z dużą ilością ludzi, w jakimś pomieszczeniu. Może to było w Sukiennicach? Pamiętam, jak strumień wody przeleciał po szkle. Ktoś uchylił drzwi i wtedy woda nas wszystkich oblała.*

Po dłuższym czasie uciekłam w ul. Sławkowską. Gdy wydawało mi się, że jestem sama na pustej ulicy, nagle ktoś zaczął strasznie krzyczeć w moim kierunku. Odwróciłam się i zobaczyłam czterech lub pięciu zomowców, którzy strzelali do mnie z ręcznych wyrzutni pojemnikami gazowymi, które zaczęły spadać tuż koło mnie. Odkopywałam te kręcące się po ulicy pojemniki z gazem i też coś do nich krzyczałam. Nie gonili mnie, tylko tak się zabawiali, strzelając do samotnej dziewczyny.

„Zomorządność": *Megafony podały w pewnej chwili – ok. godziny 22, że ludzie pozostający w domach w ukryciu mogą wychodzić przez ul. Szewską. Tam ustawił się szpaler ZOMO z pałkami i na przechodzących naiwnych posypały się razy. Skatowano nawet dziewczynę w ciąży. W Rynku młoda dziewczyna klęknęła przed jednym z zomowców, prosząc o litość, na co w odpowiedzi ten pałował ją dotąd, aż pozostała nieruchoma na ziemi.*

Franciszek Bik (ojciec Marka): *Milicja nas zagnała do bramy (róg ul. św. Jana i Rynku). Uciekliśmy na drugie czy na trzecie piętro. Tam w tej bramie było może ze stu ludzi. W mieszkaniu, do którego ktoś nas wpuścił, były trzy pokoje pełne ludzi. Gdy wychodziliśmy na dach, aby zobaczyć, czy ZOMO stoi pod bramą, to strzelali do nas gazem. Zomowcy nie weszli do bramy, ale czekali do rana i jak ludzie wychodzili, to brali ich do suk. Potem (od piątej rano) puszczali wolno, tylko ich pałowali, urządzając „ścieżki zdrowia".*

Słowik: *Z późniejszej relacji dowiedziałam się, że któryś z moich znajomych schronił się przed tą jatką na rusztowaniu przy fasadzie jakiegoś budynku i tam spędził całą noc. Położył się na deskach, aby go nie zobaczyli, bo zomowcy mieli reflektory, którymi oświetlali wszystkie budynki w poszukiwaniu ludzi. Sprawdzali też bramy i klatki schodowe, a nawet zaglądali do mieszkań.*

„Zomorządność": *Równocześnie wokół Plant i w okolicach Dworca Głównego rozgrywały się podobne sceny. Powietrze było gęste od gazów, których zapach utrzymywał się jeszcze w dniu następnym. Na dworzec wpadła grupa ZOMO i spałowała ludzi stojących w kolejkach po bilety.*

„Aktualności": *ZOMO urządziło polowanie na ludzi w całym Śródmieściu od ul. Dietla do Alei Trzech Wieszczów. Zomowcy wrzucali do tramwajów petardy z gazem, wyciągali i bili ich pasażerów (…). Petardy z gazem wrzucono do szpitala przy ul. Skarbowej. A także do budynku Poczty Głównej. Całe Śródmieście było spowite oparami gazu. Do późnej nocy bandy ZOMO biły wszystkich wracających do domów.*

„Zomorządność": *Wszystko to trwało do godziny ok. pierwszej w nocy. Był to dla Krakowa „sądny dzień" – cały czas odbywało się pałowanie. Bóg zapłać tym, którzy wyciągnęli do nas pomocną dłoń, udzielili nam schronienia, a naszym dorastającym dzieciom noclegu, chroniąc je przed szykanami.*

Marek Bik: *Niektórzy siedzieli do rana ukryci w bramach. Gazu było tyle, że pozbierałem sobie trochę pojemników, które udało mi się ugasić i schowałem je przy ul. Wiślnej. Rano o 6 poszedłem po nie z siatką. Miałem niezły arsenał.*

„Zomorządność": *W akademikach studenci wygasili światła od godziny 21.00 do 21.15, zostawiając świecące się krzyże, akcentując, że są razem z nami.*

Brutalność ZOMO wywołała powszechne protesty. Lasota, Ptasińska i Solak: *15 maja RKW wydała oświadczenie, w którym ostro potępiła brutalność milicji w trakcie rozpędzania manifestacji. Zaprotestowały też środowiska akademickie i Rada Adwokacka.*

Natomiast Komitet Krakowski PZPR poparł tę akcję sił porządkowych. Broniek: *Zamieszki te wywołały bardzo krytyczne komentarze na temat działania władz i MO. Kilkakrotnie wracaliśmy do tej sprawy na egzekutywie KK i na WKO. Ten niedobry, a dla wielu oburzający przebieg wydarzeń, został złagodzony potwierdzoną informacją, że tym razem obeszło się bez poważniejszych następstw, poza „podrażnieniem spojówek". Wytworzyła się niedobra sytuacja w MO. Z jednej strony władze, zwłaszcza centralne, domagają się stanowczych działań i przeciwdziałania łamaniu prawa stanu wojennego, a z drugiej, my krytykujemy Milicję Obywatelską. Dowódcy MO, ZOMO i funkcjonariusze poczuli się osamotnieni, bo społeczeństwo było wrogo do nich nastawione. W tej sytuacji egzekutywa KK stwierdziła, że interwencja sił porządkowych była uzasadniona i przebiegała zgodnie z obowiązującym prawem. Byliśmy później atakowani w różnych środowiskach za to oświadczenie (m.in. Rada Okręgowa ZSP protestowała przeciw brutalności sił porządkowych). Należy wspomnieć, że swoje zaniepokojenie sytuacją w Krakowie i postępowaniem niektórych funkcjonariuszy MO wyrażał szef prokuratury wojewódzkiej Henryk Sołga. Prokuratura cywilna w tym czasie miała ograniczone możliwości skutecznego działania. Dochodziło nawet do ostrych starć z Adamem Trzybińskim na spotkaniach w KK.*

Pierwsza ogólnopolska akcja TKK (15-minutowy strajk 13 maja 1982 r.) spowodowała, że na pracowników, którzy wzięli w niej udział, spadły represje. Nastąpiła też druga fala internowań działaczy „Solidarności". Nie objęła ona w Krakowie konfederatów, bo środowisko drugiej KPN było dla SB w tym czasie nieznane (o czym świadczą prowadzone po omacku działania operacyjno-śledcze w sprawie Głowackiego i Grudniewicza).

Lasota, Ptasińska i Solak: *Natychmiast po strajkach 13 maja wielu uczestniczących w nich ludzi zwolniono z pracy, wielu też poniosło konsekwencje finansowe. Brak jest kompletnych danych dotyczących skali zwolnień w zakładach pracy w poszczególnych województwach. Sankcje za protest musiały jednak podziałać zastraszająco, gdyż podobny apel RKW o strajki i protesty przeciwko stanowi wojennemu 13 i 16 czerwca spotkał się z umiarkowanym odzewem.*

Paczkowski: *Przez kilka miesięcy po złamaniu grudniowych strajków – pod wpływem represji, które temu towarzyszyły, wobec drastycznego osłabienia struktur związkowych i rozbudowy najróżniejszych form kontroli nie tylko na ulicach, ale także w zakładach pracy – strajk jako najważniejszy instrument, którym dysponowała „Solidarność", okazał się praktycznie nieużyteczny.*

***

Warto zwrócić uwagę na dzisiejsze wypowiedzi byłych funkcjonariuszy reżimu, którzy podkreślają, że decyzja o brutalnym rozbijaniu demonstracji ulicznych była błędem.

Aleksander Mleczko (oprócz funkcji zastępcy szefa Wydziału V, był też nieetatowym analitykiem Wydziału III): *Kiedy stałem się funkcjonariuszem SB i podjąłem pracę w „Grupie Operacyjnej Nowa Huta", wziąłem z archiwum materiały dotyczące wydarzeń z tych pamiętnych kwietniowych dni* [1960 roku – obrona krzyża w Nowej Hucie]. *Były bardzo ciekawe. Konfrontowały chaos i przypadkowość działań władz partyjnych, państwowych, milicji i Służby Bezpieczeństwa, ze ślepą siłą tłumu.*

Zachowywał się on jak ocean, blokowany w jednym miejscu, wnikał w inne i ogarniał poprzez słabe punkty kolejne wyspy – tu wyspy tworzone przez pojedynczych funkcjonariuszy, środki transportu etc.

Studiując później opracowania dotyczące psychologii tłumu, ze znaną wszystkim zasadą: „tłum jest silny, siłą swojego najsilniejszego prowodyra i słaby, słabością najsłabszego uczestnika" doszedłem do pewnego wniosku modyfikującego tę zasadę. Zasada ta wykorzystywana jest w działaniach dywersyjnych, w tym podejmowanychz pozycji służb specjalnych również wobec demonstrantów. Należy rozpowszechniać w tłumie plotki, pogłoski o zagrożeniu, o nadchodzącym kataklizmie, o zbliżających się przeważających siłach, które za chwilę nas zniszczą. Na pewno obok nas będzie na dziesięciu, co najmniej pięć osób „ostrożnych", by nie powiedzieć bojaźliwych, którzy bardzo szybko podchwycą te wątpliwości, uwiarygodnią je własnymi emocjami i za moment wycofując się z tłumu, pociągną za sobą innych w postępie geometrycznym. Wydaje mi się, że istnieje pewien punkt przełamania – jak w ekonomii: „break even point" – kiedy tłum ogarnia ślepota. Wówczas nie dostrzega się tego słabego koło siebie, nie reaguje na jego strach, jego wątpliwości. W tym momencie działania dywersyjne w tłumie nie mają szans powodzenia. Mało tego „są dolewaniem oliwy do ognia", bowiem pacyfikacja takiego „wątpiącego" zintegruje tłum, wzmocni pozycję tego, który pierwszy podjął neutralizację zagrożenia oraz da im poczucie siły, uczyni liderem. Nie wiem jak dużą dźwignię wówczas należałoby przyłożyć do wybranego punktu, aby poruszyć tłum w pożądanym kierunku, zneutralizować go. Za słaba go wzmocni, za silna będzie nadużyciem władzy, nawet jeżeli będzie podjęta przez władzę mającą pełną legitymację do działania. Obserwując późniejsze demonstracje przekształcające się w zamieszki, mogę powiedzieć, że gdy dochodzi już do wyjścia zintegrowanego tłumu, patrząc z pozycji służb porządkowych, zwykle lepiej jest odpuścić, nie podejmować starcia, zastosować zasadę poduszki. Prowadzić działania dezintegrujące w tłumie i pozwolić uderzać mu jak w poduszkę: na początku siła uderzenia jest duża, a potem – mimo że mamy pozory braku oporu – pięść coraz trudniej zagłębia się w pierze. Ale, oczywiście, żadna władza sobie na taki luksus nie pozwoli i każda musi popełnić błąd konfrontacji.

Kończąc wspomnienia kwietnia 1960, nadmienię jeszcze, że dwadzieścia lat później, osoby przewijające się w spisie zatrzymanych i zidentyfikowanych, aktywnych uczestników demonstracji, jak i późniejszych starć z milicją, stały się bardzo aktywnymi działaczami podziemnej „Solidarności". Sądzę (to jest opinia z dzisiaj, nie z lat osiemdziesiątych), że zatrzymania i zastosowane kary, może również pobicia (jakieś ścieżki zdrowia etc.) utwierdziły ich w przekonaniu, że system jest zły, ale też, że system nie jest aż tak mocny, by ich zniszczyć – warto więc z nim walczyć. Nawet nieświadomie udowodnili słuszność powiedzenia „co cię nie zabije, to cię wzmocni".

Opinia Mleczki była uzasadniona, biorąc pod uwagę jego perspektywę. Z punktu widzenia funkcjonariusza SB, wykonującego płynące z Komitetu Krakowskiego PZPR polecenie rozbijania manifestacji ulicznych, tego typu działania mogły wydawać się błędem. Był to jednak punkt widzenia taktyka, patrzącego na konkretne operacje milicyjne – po-

szczególne bitwy. Jednak decyzje władz partyjnych o rozbijaniu manifestacji ulicznych wydają się racjonalne (z ich punktu widzenia), jeżeli weźmiemy pod uwagę perspektywę nie pojedynczego starcia, a całej wojny. Warto spojrzeć na statystyki. W dokumencie „Sytuacja polityczno-operacyjna w okresie od 13.12.1981 do 31.12.1982 oraz prognozy jej rozwoju i podstawowe kierunki działania na najbliższy okres aparatu MO i SB województwa miejskiego krakowskiego" zwrócono uwagę, że: *w marcu 1982 r. w manifestacyjnym marszu wokół Rynku Głównego wzięło udział 150 osób, w kwietniu 1000 osób, a w maju na płycie Rynku zgromadziło się 12000 osób, głównie agresywnie nastawionej młodzieży.* Dane te wydają się odpowiadać rzeczywistości. Ta dynamika musiała robić na władzy wrażenie. W kwietniu 1982 r. liczba uczestników demonstracji po mszy na Rynku Głównym wzrosła o ponad 550% (w stosunku do marca), a w maju (w stosunku do kwietnia) – o 1100%. Gdyby władze brutalnie nie interweniowały 13 maja 1982 r., co z pewnością podziałało odstraszająco na potencjalnych uczestników kolejnych manifestacji, to 13 czerwca mógł demonstrować w Rynku Głównym tak duży tłum, że sytuacja wymknęłaby się spod kontroli.

Przy okazji widać, jaką potężną lawinę uruchomił Witold Tukałło wraz z grupą radykalnej młodzieży. Pamiętamy, że od 30 stycznia 1982 r. usiłowali oni zorganizować manifestację po mszy świętej w kościele Mariackim, a udało im się to dopiero 13 marca 1982...

Lasota, Ptasińska i Solak: *Jakkolwiek władze oficjalnie starały się bagatelizować protesty majowe, nowa fala internowań – największa od grudnia 1981 – świadczyła o tym, że wzbudziły one poważne zaniepokojenie. Do „ośrodków odosobnienia" trafiło wielu działaczy, w tym kilku byłych internowanych.*

***

Z majowego pałowania na Rynku krakowskim wynikały ważne wnioski.

Hajdarowicz: *Uświadomiliśmy sobie wtedy, że tłum ludzi ma potężną siłę, ale wtedy, gdy jest zorganizowany. To była dla nas dobra lekcja, jak nie prowadzić manifestacji. Później wykorzystaliśmy te doświadczenia w czasie walk w Nowej Hucie.*

Krakowski Rynek to było fatalne miejsce do organizowania manifestacji, bo tam był kocioł. Nie było gdzie uciekać.

Bik: *Po tych wydarzeniach przeniesiono miesięcznice do Nowej Huty, do „Arki"* [decyzję podjęła RKW]. *Tam były duże przestrzenie, co dawało szanse obrony. W Rynku Głównym szans nie było.*

Z „Analizy sytuacji operacyjnej w środowiskach rozpracowywanych przez Wydział III-l KW MO w Krakowie" z 2 stycznia 1983 roku, autorstwa naczelnika, majora Wiesława Hryniewicza: *Niepowodzenia akcji protestacyjnych w poprzednich miesiącach, organizowanych przez podziemne struktury na terenie Rynku Głównego, gdzie zostały one stosunkowo szybko spacyfikowane przez siły porządkowe, spowodowały przeniesienie miejsca tych akcji na teren Nowej Huty. Liczono się tutaj przede wszystkim z możliwością zaangażowania w nie części załogi HiL i licznej rzeszy młodzieży szkolnej podatnej na wrogą propagandę.*

Dodatkowym ważnym argumentem przemawiającym za przyjęciem takiej taktyki to postawa kleru z kościoła w Bieńczycach, znanego z radykalnych, antysocjalistycznych postaw. Terminy akcji protestacyjnych synchronizowane były z rocznicowymi nabożeństwami, co w zasadniczym stopniu wpływało na zakres rozwoju akcji poprzez włączanie się do niej osób uczestniczących w nabożeństwach.

***

W związku z nadzwyczajną mobilizacją sił przed 13 czerwca, kierownictwo KW MO w Krakowie zdecydowało się przeszkolić funkcjonariuszy z wydziałów: paszportów, „W" [perlustracja korespondencji], kadr, GMT [gospodarczy], ogólnego, finansów, inwestycji i remontów oraz szkolenia. Tematyka obejmowała wybrane zagadnienia z psychologii tłumu oraz podstawowe zasady działań rozpraszających prowadzonych przez siły zwarte MO, a także zasady wykonywania służby w patrolach wieloosobowych w rejonach przyległych do działań sił zwartych, kontrola i zatrzymywanie rozproszonych uczestników zajść ulicznych. Powstała w ten sposób „grupa odwodowa", mająca wspierać jednostki liniowe.

Znacznie groźniejsza dla demonstrantów była inna grupa specjalna – *„nieetatowa Kompania Interwencyjna złożona z funkcjonariuszy MO i SB"*.

Przed 13 czerwca powstały w niej dwa plutony – łącznie 51 (w tym 8 w rezerwie) działających po cywilnemu funkcjonariuszy, dysponujących 3 nysami, fiatem 125p i dwoma wołgami. Analizując jej skład, widać wyraźnie udział oficerów z Kompanii Wywiadowczej i Wydziału Kryminalnego znających sztuki walki. Znaleźli się tam uczestnicy bojówki, która zaatakowała 3 maja 1987 r. pokojowy pochód KPN, dotkliwie bijąc demonstrantów, m.in. Andrzej Kapko, Kazimierz Lewandowski, Janusz Ćwik i Andrzej Garncarz. W składzie Kompanii Interwencyjnej był kwiat późniejszej krakowskiej policji – wysocy rangą oficerowie pełniący funkcje szefów wydziałów, komend i oddziału CBŚ.

***

12 czerwca SB przeprowadziła akcję prewencyjnych zatrzymań potencjalnych uczestników manifestacji w Nowej Hucie. Z KPN zatrzymano w tym trybie tylko Jerzego Mohla, świeżo zwolnionego z obozu internowania.

Jerzy Mohl: *2 czerwca 1982 opuściłem mury więzienia w Załężu i pojechałem prosto do domu. Na drugi chyba dzień, w mojej szkole było rozdanie świadectw maturalnych i widać, że Służba Bezpieczeństwa pilnowała terminu mojego zwolnienia, bo się nie spóźniłem i mogłem się zameldować na ostatnim spotkaniu całej klasy niczym kawaleria w westernie – w ostatniej chwili.*

Po oficjalnym spotkaniu w klasie, odbyło się mniej oficjalne powitanie u mnie w domu z częścią klasy (z tymi, z którymi łączyły mnie bliższe więzi koleżeńskie) i jak to w życiu bywa, później każdy ruszył w swoją stronę, tym bardziej że mnie czekała powtórka IV klasy i matura dopiero za rok.

Pierwsze dni spędziłem w domu, próbując przywyknąć do innego świata niż ten, w którym spędziłem ostatnie pół roku. Postanowiłem trochę popracować przez wakacje, zdobyć jakieś własne kieszonkowe i nawiązać kontakt z chłopakami, którzy opuścili obóz internowania.

Dałem sobie za duży luz i ten brak czujności niebawem przyniósł niemiłe konsekwencje. 12 czerwca zostałem w domu sam. Moja mama i ciotka, która mieszkała piętro niżej (mój dom rodzinny jest podzielony na dwa niezależne mieszkania), poszły do pracy, a mój brat i kuzyn, którzy wtedy byli uczniami liceum, poszli do szkoły. W tym dniu MPO wywoziło śmieci, więc bramka od strony ulicy była otwarta. Na dodatek któryś z domowników zapomniał zamknąć drzwi z podwórka na klatkę schodową. Było wcześnie rano, parę minut po ósmej. Dopiero co wstałem, słyszałem przez otwarte okno, jak śmieciarze z hałasem opróżniają pojemniki. W tym hałasie nie usłyszałem, że pod dom podjechał samochód, co w normalnych warunkach mogłoby zwrócić uwagę (samochodów wówczas

było relatywnie mało a na naszej ulicy dosłownie parę sztuk). Poza tym, mówiąc szczerze, nie przewidywałem, że SB uderzy tak szybko.

Ledwo zdążyłem zjeść parę pierwszych kęsów śniadania, gdy do drzwi mieszkania usłyszałem pukanie. Niespodzianka! Wprawdzie ja nie stęskniłem się za SB, ale oni stęsknili się za mną. Było ich trzech, więc żaden opór ani próba ucieczki nie wchodziły w grę. Poinformowali mnie, że jestem zatrzymany i zawiozą mnie na komendę przy ul. Mogilskiej. Przed wyjściem z domu zdążyłem jeszcze napisać na kartce w kuchni, że jestem zatrzymany przez SB. Muszę przyznać, że esbecy nie utrudniali mi zostawienia wiadomości. Na początku twierdzili, że będę mógł zatelefonować do matki (do pracy), ale kiedy im powiedziałem, że mogą mieć zajęte linie na komendzie, wpadli w dobry nastrój, komentując, że nie opuszcza mnie poczucie humoru.

Podróż na Mogilską zajęła kilkanaście minut i po wyładunku znalazłem się na ostatnim piętrze. Po chwili do pokoju przyszedł niewysoki cywil o lekko wyłupiastych niebieskich oczach. Moje pierwsze skojarzenie było z karpiem, i tak już zostało. Później ustaliłem, że rozmawiał z moim bratem i jeszcze kilkoma chłopakami, którzy w różnych okolicznościach znaleźli się na Mogilskiej. Zaczęło się przesłuchanie, ale nim facet zdołał wykonać rytualny taniec biurowy, czyli spisać protokół, a właściwie wypełnić rubrykę dotyczącą moich danych personalnych, zdążyłem go wyprowadzić z równowagi, pytając z kim mam przyjemność. Okropnie się wściekł, że taki gówniarz śmie go pytać o nazwisko i po ostrym bluzgu, którym mnie poczęstował, był już w takim stanie, że poranną kawę mógł sobie darować.

Z moich doświadczeń wynika, że funkcjonariusze SB byli najbardziej nieodporni na olimpijski spokój, przesadną uprzejmość, w której kryła się ironia. To rozjuszało ich, a z drugiej strony nie dawało specjalnego pretekstu do stosowania przemocy.

Tak samo było i tym razem, bo kiedy przesłuchujący zakończył swoje popisy językowe, stwierdziłem, że ja się swojego nazwiska nie wstydzę. Gość wykrztusił z siebie wreszcie, że nazywa się kapitan Gubel lub Wróbel (miał problem z dykcją i mówił nieco niewyraźnie) i tak oto personalia biorących udział w przesłuchaniu zostały ustalone.

Potem już poszło dość sprawnie, bo zakomunikował mi, że skoro nie podpisałem deklaracji lojalności w Załężu, będę to musiał zrobić teraz, a jeśli nie, to wracam do pudła. Oświadczyłem mu, że niczego nie podpiszę, a do Załęża mogę wrócić, bo jest tam teraz na pewno organizowany turniej gry w „piłkarzyki", a to okropnie wciąga.

Odpowiedź wprawiła go w osłupienie i gdy złapał oddech, stwierdził odkrywczo, że się zgrywam i na pewno nie zrezygnuję z „wolności". Powiedziałem, że na „wolności" będę musiał iść w wakacje do pracy, a od września do szkoły, a w Załężu będzie pełny luz.

Dotarło. Na koniec ubek oświadczył, że ponieważ każdego 13. odbywają się demonstracje, to żeby mnie nie kusiło, zostanę zatrzymany na 48 godzin w prewencji.

Kiedy mieli mnie wyprowadzać, zapytał jeszcze „poza protokołem", czy nie szkoda mi marnować życia? – „Co was tak do tego ciągnie?". Pokazałem mu krzyżyk, który miałem na szyi i stwierdziłem, że wątpię, aby to zrozumiał. Jego wyraz twarzy utwierdził mnie w przekonaniu, że tak właśnie było.

Do aresztu odprowadził mnie jeden z tych, którzy po mnie przyjechali i kiedy podawał swoje nazwisko, dowiedziałem się, że zaszczycił mnie swoją eskortą porucznik Harańczyk. Spotkałem się później z tymi esbekami dwa razy: raz, kiedy widziałem ich, jak szykowali się do akcji w Nowej Hucie (było to przed demonstracją 31 sierpnia 1983 – stali koło kolumny ZOMO) oraz kiedy załatwiałem paszport emigracyjny dla mojego brata.

Po wyjściu z aresztu, postanowiłem, że drugiej takiej okazji na zatrzymanie mnie SB już nie dostanie. Kiedy zbliżały się trefne dni, starałem się nie nocować w domu, a jeśli już nocowałem, pilnowałem, aby wszystkie drzwi i bramka od ulicy były zamknięte, a właz dachowy sąsiedniego budynku możliwy do otwarcia od zewnątrz. Później, ponieważ korzystałem z nauk Mietka Majdzika, jak prowadzić działalność konspiracyjną, nie wpadłem już w ręce SB. A w czasie demonstracji wiedziałem, że muszę być gotowy na wszystko, aby nie musieć przeżywać umysłowych katuszy z kapitanem „Karpiem" i jego kolegami.

***

W czerwcu ze wszystkich miast Polski protestowano jedynie w Krakowie.

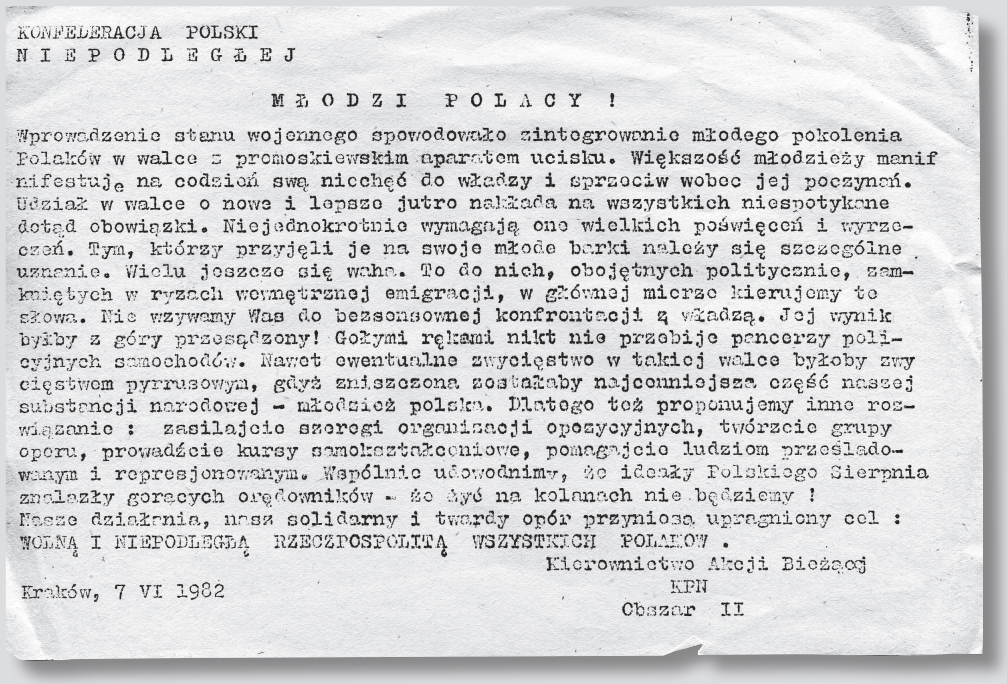
Marek Bik: *13 czerwca 1982 to była niedziela. Po mszy świętej zaraz zaatakowało nas ZOMO.*

Bik, w przeciwieństwie do nowohuckiej młodzieży, miał już doświadczenia pierwszych potyczek z ZOMO.

Bik: *Pamiętam, że pokazałem chłopakom z Huty, że pojemniki z gazem można szybko nogą przystopować, wziąć do ręki i odrzucić w drugą stronę. Pamiętam, że gdy zrobiłem to po raz pierwszy na oczach ludzi, to dostałem rzęsiste brawa.*

Bik: *W trakcie tych walk doszło do dziwnej sytuacji. Nagle dużo ludzi zniknęło. Okazało się, że była transmisja jakiegoś meczu z mistrzostw świata w piłce nożnej w Hiszpanii i ludzie poszli oglądać mecz. Po meczu z powrotem zaczęli się pokazywać.*

Rzeczywiście, 13 czerwca 1982 roku o godzinie 20.00 telewizja transmitowała mecz otwarcia mistrzostw świata Argentyna – Belgia (nieoczekiwanie Argentyńczycy przegrali 0:1).



KONFEDERACJA POLSKI
N I E P O D L E G Ł E J

M Ł O D Z I P O L A C Y !

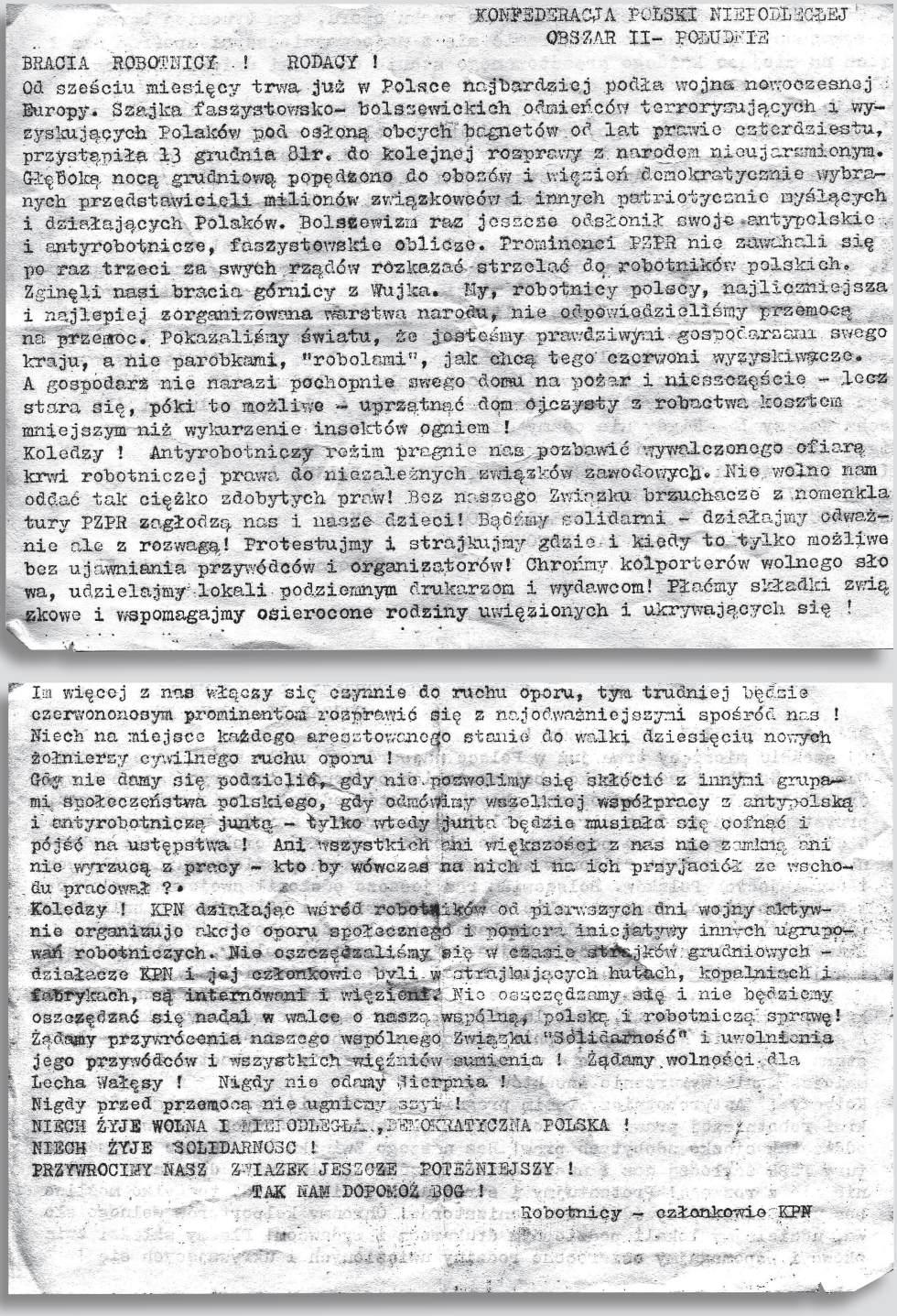
Wprowadzenie stanu wojennego spowodowało zintegrowanie młodego pokolenia Polaków w walce z promoskiewskim aparatem ucisku. Większość młodzieży manifestuje na codzień swą niechęć do władzy i sprzeciw wobec jej poczynań. Udział w walce o nowe i lepsze jutro nakłada na wszystkich niespotykane dotąd obowiązki. Niejednokrotnie wymagają one wielkich poświęceń i wyrzeczeń. Tym, którzy przyjęli je na swoje młode barki należy się szczególne uznanie. Wielu jeszcze się waha. To do nich, obojętnych politycznie, zamkniętych w ryzach wewnętrznej emigracji, w głównej mierze kierujemy te słowa. Nie wzywamy Was do bezsensownej konfrontacji z władzą. Jej wynik byłby z góry przesądzony! Gołymi rękami nikt nie przebije pancerzy policyjnych samochodów. Nawet ewentualne zwycięstwo w takiej walce byłoby zwycięstwem pyrrusowym, gdyż zniszczona zostałaby najcenniejsza część naszej substancji narodowej - młodzież polska. Dlatego też proponujemy inne rozwiązanie : zasilajcie szeregi organizacji opozycyjnych, twórzcie grupy oporu, prowadźcie kursy samokształceniowe, pomagajcie ludziom prześladowanym i represjonowanym. Wspólnie udowodnimy, że ideały Polskiego Sierpnia znalazły gorących orędowników - że żyć na kolanach nie będziemy !
Nasze działania, nasz solidarny i twardy opór przyniosą upragniony cel :
WOLNĄ I NIEPODLEGŁĄ RZECZPOSPOLITĄ WSZYSTKICH POLAKÓW .

Kierownictwo Akcji Bieżącej
KPN
Obszar II

Kraków, 7 VI 1982

Odezwa KAB-u Obszaru II KPN do młodzieży z czerwca 1982 r.

Z archiwum Ryszarda Bociana



KONFEDERACJA POLSKI NIEPODLEGŁEJ
OBSZAR II- POŁUDNIE

BRACIA ROBOTNICY ! RODACY !

Od sześciu miesięcy trwa już w Polsce najbardziej podła wojna nowoczesnej Europy. Szajka faszystowsko- bolszewickich odmieńców terroryzujących i wyzyskujących Polaków pod osłoną obcych bagnetów od lat prawie czterdziestu, przystąpiła 13 grudnia 81r. do kolejnej rozprawy z narodem nieuzbrojonym. Głęboką nocą grudniową popędzono do obozów i więzień demokratycznie wybranych przedstawicieli milionów związkowców i innych patriotycznie myślących i działających Polaków. Bolszewizm raz jeszcze odsłonił swoje antypolskie i antyrobotnicze, faszystowskie oblicze. Prominenci PZPR nie zawahali się po raz trzeci za swych rządów rozkazać strzelać do robotników polskich. Zginęli nasi bracia górnicy z Wujka. My, robotnicy polscy, najliczniejsza i najlepiej zorganizowana warstwa narodu, nie odpowiedzieliśmy przemocą na przemoc. Pokazaliśmy światu, że jesteśmy prawdziwymi gospodarzami swego kraju, a nie parobkami, "robolami", jak chcą tego czerwoni wyzyskiwacze. A gospodarz nie narazi pochopnie swego domu na pożar i nieszczęście - lecz stara się, póki to możliwe - uprzątnąć dom ojczysty z robactwa kosztem mniejszym niż wykurzenie insektów ogniem !

Koledzy ! Antyrobotniczy reżim pragnie nas pozbawić wywalczonego ofiarą krwi robotniczej prawa do niezależnych związków zawodowych. Nie wolno nam oddać tak ciężko zdobytych praw! Bez naszego Związku brzuchacze z nomenklatury PZPR zagłodzą nas i nasze dzieci! Bądźmy solidarni - działajmy odważnie ale z rozwagą! Protestujmy i strajkujmy gdzie i kiedy to tylko możliwe bez ujawniania przywódców i organizatorów! Chrońmy kolporterów wolnego słowa, udzielajmy lokali podziemnym drukarzom i wydawcom! Płaćmy składki związkowe i wspomagajmy osierocone rodziny uwięzionych i ukrywających się !

Im więcej z nas włączy się czynnie do ruchu oporu, tym trudniej będzie czerwononosym prominentom rozprawić się z najodważniejszymi spośród nas ! Niech na miejsce każdego aresztowanego stanie do walki dziesięciu nowych żołnierzy cywilnego ruchu oporu !

Gdy nie damy się podzielić, gdy nie pozwolimy się skłócić z innymi grupami społeczeństwa polskiego, gdy odmówimy wszelkiej współpracy z antypolską i antyrobotniczą juntą - tylko wtedy junta będzie musiała się cofnąć i pójść na ustępstwa ! Ani wszystkich ani większości z nas nie zamkną ani nie wyrzucą z pracy - kto by wówczas na nich i na ich przyjaciół ze wschodu pracował ?.

Koledzy ! KPN działając wśród robotników od pierwszych dni wojny aktywnie organizuje akcje oporu społecznego i popiera inicjatywy innych ugrupowań robotniczych. Nie oszczędzaliśmy się w czasie strajków grudniowych - działacze KPN i jej członkowie byli w strajkujących hutach, kopalniach i fabrykach, są internowani i więzieni. Nie oszczędzamy się i nie będziemy oszczędzać się nadal w walce o naszą wspólną, polską i robotniczą sprawę! Żądamy przywrócenia naszego wspólnego Związku "Solidarność" i uwolnienia jego przywódców i wszystkich więźniów sumienia ! Żądamy wolności dla Lecha Wałęsy ! Nigdy nie odamy dierpnia !

Nigdy przed przemocą nie ugniemy szyi !

NIECH ŻYJE WOLNA I NIEPODLEGŁA ,DEMOKRATYCZNA POLSKA !

NIECH ŻYJE SOLIDARNOSC !

PRZYWROCIMY NASZ ZWIAZEK JESZCZE POTEŻNIEJSZY !

TAK NAM DOPOMÓŻ BOG !

Robotnicy - członkowie KPN

Odezwa KAB-u Obszaru II KPN do robotników z czerwca 1982 r.

Z archiwum Ryszarda Bociana



Gazy łzawiące sporządzone są z chloroacetofenu (połączenia chloru, tlenu, węgla i wodoru) – powodował on intensywne łzawienie i pieczenie oczu, nie był on groźny dla życia bądź zdrowia – ew. przy dużym stężeniu występowały wymioty, bądź groźniejsze komplikacje, gdy ktoś był uczulony na tę substancję. Początkowo na wyposażeniu ZOMO znajdowały się dwa rodzaje granatów łzawiących – ***Ręczny Granat Łzawiący (RGŁ)*** *– miotany ręcznie, oraz granaty miotane za pomocą wyrzutni RWGŁ. W późniejszym czasie wprowadzono Uniwersalne Granaty Łzawiące (UGŁ), które zarówno mogły być wystrzeliwane z wyrzutni, jak i miotane ręcznie. Najpowszechniejsze były granaty UGŁ-200 – masa 320g, średnica 51mm – były najpowszechniej używane w pododdziałach zwartych* (tekst z www.zomoza.kgb.pl).

Fot. Mirosław Dziewoński

Paradoksalnie, właśnie ludzie, dla których obejrzenie meczu było ważniejsze od nieprzerwanego uczestniczenia w manifestacji, 13 czerwca 1982 r. potrafili stawić władzy opór. W opinii SB („Ocena sytuacji operacyjno-politycznej" za czerwiec 1982): *W zajściach uczestniczyli niemal wyłącznie ludzie młodzi.* Masy związkowe zawiodły, o czym świadczyło fiasko 15-minutowego strajku, do którego wezwała RKW. Największy zasięg miały strajki w Nowej Hucie. Od 13 do 16 czerwca trwał strajk włoski w HiL, gdzie produkcja miała spaść o 50 proc. W samym Krakowie na wezwanie RKW odpowiedziały też: Zakłady im. S. Szadkowskiego, Fabryka Maszyn Drogowych MADRO, Stomil oraz kilka mniejszych instytucji i przedsiębiorstw, gdzie na krótko przerwano pracę.

13 kwietnia, 3 maja oraz 13 maja 1982 roku ZOMO w Krakowie bezkarnie rozbijało pokojowe demonstracje, a kolejne interwencje „sił porządkowych" były coraz bardziej brutalne. Najważniejsze w obchodach miesięcznicy 13 czerwca 1982 r. w Nowej Hucie było to, że tłum zaczął się czynnie bronić. Podjął po raz pierwszy walkę z ZOMO.

„Niepodległość" nr 10 z 11 lipca 1982: *13 czerwca w Krakowie. Półrocze trwania stanu wojennego miało stać się okazją szeroko zakrojonej akcji protestacyjnej. Niestety, program ogłoszony w prasie podziemnej zaczął być modyfikowany. Spowodowało to pojawienie się sprzecznych informacji, co przy jej niedostatku, przeniesieniu tradycyjnej mszy z Rynku do Bieńczyc oraz nieszczęsnym liście biskupim, wróżyło jak najgorzej powodzeniu protestu. Mimo wszystko na mszy w Bieńczycach, bo tylko ona ostała się z całego programu, zebrało się ok. 6 tysięcy osób.*

„Aktualności" nr 22 z 14 czerwca 1982: *Już na kilkadziesiąt minut przed rozpoczęciem mszy stało się jasne, że ZOMO również nie pozostanie na Rynku. Świadczył o tym krążący natrętnie helikopter. Na wszelki wypadek o godzinie 16.30 ZOMO zamknęło wejścia do Rynku.*

„Niepodległość": *Po mszy, w stronę Krzyża* [Chodzi o Krzyż postawiony w 1960 roku w Nowej Hucie, w miejscu, gdzie miał stanąć kościół, czemu sprzeciwiały się władze



Mapa sztabowa MO przedstawiająca sytuację w Nowej Hucie 13 czerwca 1982 r. o godzinie 17.00. *Widoczne jest rozlokowanie sił milicyjnych w momencie, gdy w Arce rozpoczynała się Msza za Ojczyznę. Po zakończeniu nabożeństwa w w/w kościele, drogą radiową przekazywano spostrzeżenia dotyczące zachowania się osób uczestniczących w nielegalnej demonstracji i kierunku ich przemieszczania. Po rozproszeniu tłumu liczącego około 1000 osób w rejonie Teatru Ludowego, przekazywano na EB-23 informacje o kierunkach ucieczki uczestników zbiegowiska i o ich zachowaniu. W trakcie dalszych działań rozpraszających podejmowanych przez pododziały ZOMO przekazywano na EB-23 dane dotyczące miejsc grupowania się uczestników zajść, kierunków ich przemieszczania, zachowania oraz miejsca zablokowane barykadami zbudowanymi z ławek i śmietników.* Plan WSK KW MO

– w jego obronie wybuchły kilkudniowe, krwawe walki] *ruszył pochód. Skandowano „Solidarność", wznoszono okrzyki: „Zwolnić Lecha!", „Zwolnić Gila!".*

Na wysokości Teatru pochód został zaatakowany przez kolumnę ZOMO i rozbity na dwie części. Użyto armatek wodnych i gazów. Czołówka pochodu zdołała dotrzeć pod Krzyż. Tłum z wolna zaczął się rozpraszać. Małe grupy ludzi demonstrowały jeszcze w okolicach placu Centralnego...

„Aktualności": *Zdumiewający dla uciekających ludzi był obrazek pod Teatrem, gdy z czoła bezbronnego tłumu wyłoniła się grupka około 10 mężczyzn, która pobiegła do ZOMO w pośpiechu, wyciągając białe pałki spod marynarek. Były to ich wizytówki i dzięki nim znaleźli się po właściwej stronie barykady. Ostrzegamy na przyszłość – często chodzą w dżinsach, czasem noszą brody – szukajmy ich zawczasu, gdy pałki mają jeszcze ukryte, swym zachowaniem udają najbardziej aktywnych z nas.*

Bik: *W Hucie nie czułem się jeszcze pewnie, więc nie byłem w czołówce pochodu, który szedł w stronę Krzyża. Gdy ZOMO zaatakowało na os. Teatralnym, uciekłem na plac targowy, który jest za skrzyżowaniem (patrząc od os. Teatralnego w stronę Arki) po prawej stronie. W tym miejscu mieli też punkt zborny tajniacy. Było ich tam dużo. Ktoś nimi zaczął*

dowodzić. Mieli jakiś znak na rękach, po którym się rozpoznawali. Pamiętam, że byli mokrzy, widać zlały ich armatki wodne. Paru chłopaków, tak jak ja, zaplątało się w to miejsce przypadkowo i zaraz się stamtąd ulotniliśmy.

„Aktualności": *Część rozproszonych pod Teatrem ludzi prowadziła potyczki z oddziałem ZOMO w okolicy Placu Centralnego i w Alei Róż, gdzie ustawiono barykady z ławek i broniono się kamieniami aż do późnych godzin nocnych. Jeszcze o godzinie 21.30 widziano wyjeżdżające z Krakowa świeże oddziały ZOMO, które włączały się do akcji. Starcia trwały również wewnątrz osiedli, gdzie często za grupkami uciekających zapędzały się całe kolumny pancernych samochodów. Po zaciekłych walkach, ZOMO zdobyło pomnik Lenina w Alei Róż.*

„Niepodległość": *I wtedy następuje drugi akt tego, co komunikat PAP-owski określił później jako „zamieszki w Nowej Hucie". Następuje prowokacja. Cywilne bojówki SB w charakterze „elementów i ekstremistów" atakują kamieniami stojące na ulicach kolumny ZOMO, pociągając za sobą ludzi znajdujących się na ulicach.*

Marek Bik: *Walki uliczne to było chodzenie po kruchym lodzie. Musieliśmy uważać na tych w mundurach, ale także na tych, co stali obok nas, bo to mogli być tajniacy. W każdej chwili ktoś z tłumu mógł też oskarżyć nas o prowokację. Mógł to być ktoś działający w dobrej wierze, ale mógł też być esbekiem.*

„Niepodległość": *ZOMO zachowujące się dotychczas dość spokojnie zostaje nafaszerowane prochami i spuszczone ze smyczy. Ludzie stawili opór – walczono wręcz, rzucano kamieniami, stawiano barykady. Z okien leciały co poręczniejsze przedmioty. Atak na hotele robotnicze skończył się zdewastowaniem pobliskiego komisariatu. ZOMO biło wszystko i wszystkich. Demolowało samochody, rzucało petardy do mieszkań. Szczytowym aktem barbarzyństwa było zaatakowanie armatkami i gazem odbywającej się pod gołym niebem Mszy Fatimskiej.*



Uciekający przed ZOMO ludzie na ulicach Nowej Huty 13 czerwca 1982 r. Fot. SB

„Aktualności": *Zgromadzeni na niej wierni, w ogromnej większości dzieci, kobiety i małżeństwa przybyłe na błogosławieństwo, zostali zaatakowani przez zwyrodniałe oddziały ZOMO, tym razem używające cuchnącej niebieskiej farby do polewania (!) białych, komunijnych sukienek dziecięcych. Mimo opanowania księdza prowadzącego nabożeństwo, który nawoływał wiernych do zachowania spokoju i apelował do „sił porządkowych", tłumacząc, że tu się ludzie tylko modlą, wybuchła panika i histeria, w wyniku której pogotowie ratunkowe zabierało zszokowane dzieci i kobiety. Ludzie uciekający do wnętrza kościoła byli nadal atakowani gazami i wodą. Akcja ZOMO wyglądała na z góry zaplanowaną. Bohaterskie oddziały ZOMO tym razem bez trudu rozbiły dziecięcą ekstremę.*

„Niepodległość": *Zapalił się ołtarz. Walki przeciągnęły się do późnych godzin nocnych. W sumie aresztowano ok. 100 osób, przy czym w wielu przypadkach aresztowania dokonywali cywile biorący udział w zajściach.*

Tysiące mieszkańców Nowej Huty mogło przekonać się, jak wygląda praktyczna realizacja porozumienia narodowego. Akcja ZOMO zradykalizowała środowisko nowohuckie i stała się kolejnym dowodem na to, że ludzie boją się coraz mniej. Nie pomogło użycie jako środków zastraszenia śmigłowca, transporterów i otwartych gazików z wyrzutniami granatów.

Notatka służbowa por. Stanisława Golonki (w III RP kierował oddziałem prewencji w krakowskiej policji) z 14 czerwca 1982 r.: *W dniu 13 czerwca 1982 zgodnie z poleceniem otrzymanym od mjr. St. Wagi, wspólnie z d-cą plutonu specjalnego chor. Januszem Łabuzem* [Podkom. Janusz Łabuz jest dziś szefem NSZZ Policjantów w województwie małopolskim, pełni tę funkcję już 20 lat] *udałem się na lotnisko JW 16-16 w Balicach. (...)*

Wykonując zadania zlecone przez Sztab KW MO w Krakowie, w godz. 16.30 – 17.05 dokonano prewencyjnych nalotów nad rejonem Rynku Głównego i kościoła przy ul. Ma-



Barykada w Nowej Hucie 13 czerwca 1982 r. Rozproszony tłum rozpierzchł się częściowo z powrotem w stronę kościoła, częściowo w stronę Placu Centralnego oraz w gościnne podwórka zabudowy osiedlowej. Część rozproszonych pod Teatrem ludzi prowadziła potyczki z oddziałem ZOMO w okolicy Placu Centralnego i w Alei Róż, gdzie ustawiono barykady z ławek i broniono się kamieniami aż do późnych godzin nocnych. Fot. SB



13 czerwca 1982 r. – SKOT na ulicach Nowej Huty. Tysiące mieszkańców Nowej Huty mogło przekonać się jak wygląda praktyczna realizacja porozumienia narodowego. Fot. www.darpoint.pl

jakowskiego w Nowej Hucie. W czasie nalotów stwierdzono, że dużą frekwencją cieszy się nabożeństwo w kościele w Bieńczycach, natomiast pod Kościołem Mariackim panuje mały ruch osób. Informację tę przekazano na kanale 44 operatorowi WRD krypt. EB-23.

O godz. 17.45 zgodnie z dyspozycją otrzymaną ze Sztabu KW MO, po uzupełnieniu paliwa do pełnego stanu (900 litrów) wystartowano ponownie, udając się w rejon kościoła w Bieńczycach.

Po zakończeniu nabożeństwa w w/w kościele, drogą radiową przekazywano spostrzeżenia dotyczące zachowania się osób uczestniczących w nielegalnej demonstracji i kierunku ich przemieszczania. Po rozproszeniu tłumu liczącego około 1000 osób w rejonie Teatru Ludowego, przekazywano na EB-23 informacje o kierunkach ucieczki uczestników zbiegowiska i o ich zachowaniu.

W trakcie dalszych działań rozpraszających podejmowanych przez pododdziały ZOMO przekazywano na EB-23 dane dotyczące miejsc grupowania się uczestników zajść, kierunków ich przemieszczania, zachowania oraz miejsca zablokowane barykadami zbudowanymi z ławek i śmietników. Po godz. 18.30 uzyskano zgodę na przejście na kanał pracy zabezpieczenia operacji i informacje przekazywano bezpośrednio do Sztabu KW MO, wykonując również zlecone doraźnie zadania w zakresie rozpoznania sytuacji w poszczególnych miejscach zagrożonych.

O godz. 20.30 zakończono pracę na śmigłowcu z uwagi na przekroczenie dozwolonej ilości godzin lotu przez pilota.

Na podstawie doświadczeń uzyskanych w trakcie lotów śmigłowca nasuwają się następujące spostrzeżenia:

1. *Należy uznać, że śmigłowiec jest sprzętem nieodzownym przy prowadzeniu działań zabezpieczających i rozpraszających z uwagi na bardzo dobre warunki manewrowe i doskonałą widoczność elementów i faz działań.*
2. *W działaniach tego typu należy wykorzystywać zamiast śmigłowca Mi-2 śmigłowiec Mi-8, który posiada lepsze parametry i jest bardziej uniwersalny.*
3. *Śmigłowiec może być z powodzeniem wykorzystywany przy działaniach rozpraszających do rażenia celów naziemnych granatami z gazem łzawiącym i jako taki spełni dużą rolę jako środek wsparcia dla pododdziałów ZOMO.*

Sporządził: por. St. Golonka

Ankieta operacji milicyjnej sporządzona przez por. Leszka Drozda (st. insp. Wydz. WSK KWMO Kraków) określa założenia taktyczne, na których opierały się działania sił milicyjnych w tym dniu:
Operacja rozpruwania tłumu demonstrantów.

Założenia:
(…) – rozpraszanie tłumu w kierunkach osiedli sąsiadujących z kościołem. Szczególna uwaga na komisariat MO i hotele robotnicze usytuowane w pobliżu kościoła;
- *działania rozpraszające podejmować bezpośrednio w momencie przejścia uformowanego pochodu z kierunku kościoła w Bieńczycach ul. Majakowskiego do ul. Kocmyrzowskiej. Czoło pochodu odciąć od reszty, zneutralizować i zlikwidować;*
- *po zakończeniu bezpośrednich działań – wychwytywać prowodyrów i „aktywistów"";*
- *dla dokumentowania przebiegu działań – przygotowanie grup filmowych;*
- *dla sprawnego dokumentowania uczestnictwa osób zatrzymanych w zajściach – wydzielenie grup oper.*[acyjno]*-dochodz*[eniowych]*, do dyspozycji d-ców pododdziałów, opracwanie skrótowej notatki o zatrzymaniu (rozprowadzenie + instruktaż);*
- *przygotowanie grup dezintegracyjnych z funkcjonariuszy SB, dla rozeznania i neutralizowania nastrojów w tłumie oraz eliminowania organizatorów*;
- *przygotowanie kompanii interwencyjnej do współdziałania z dowódcą operacji;*
- *po działaniach rozpraszających, siłami ROMO zabezpieczenie rejonów działań przed próbami odtwarzania się grup manifestantów, wzmożone legitymowanie osób;*
- *niedopuszczenie do zorganizowania demonstracji przed krzyżem na oś. Teatralnym, poprzez wystawienie blokad na ul. Demakowa, Marksa, Żeromskiego i odcięcie dostępu do krzyża kordonem funkcjonariuszy;*
- *zabezpieczenie operacyjne i prewencyjne miejsc i rejonów, w których mogą zorganizować się grupy manifestujące, m. innymi miasteczko akademickie, rejon Wawelu, rejon Rynku Głównego, rejon os. Szklane Domy i os. Teatralnego (Krzyż upamiętniający wydarzenia 1960);*
- *opracowanie harmonogramu lotów śmigłowca NJW MSW, przygotowanie oficerów do lotu: określenie zadań, sposobów łączności, czasokresu i miejsc nalotów;*
- *koordynacja działań Sztabu i załogi śmigłowca*.

Podane zostało także zestawienie sił i środków milicyjnych.

Siły:
- *funkcjonariuszy ZOMO* [Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej] – *426,*
- *funkcjonariuszy ROMO* [Rezerwowe Oddziały Milicji Obywatelskiej] – 408,
- *funkcjonariuszy WRD* [Wydział Ruchu Drogowego] – 86,

– *funkcjonariuszy oper. SB – 250,*
– *funkcjonariuszy KWMO – 124.*
Razem – 1.294

Środki:

– *środków transportu – 63*
– *AW* [armatki wodne] *– 10*
– *wozów pancernych – 4,*
– *więźniarek – 5,*
– *sanitarek – 2,*
– *Sekcji Straży Pożarnej – 1,*
– *urządzeń nagłaśniających – 4,*
– *grup filmujących – 4,*
– *helikopter – 1.*





Armatka wodna polskiej produkcji – „Hydromil 1" na podwoziu Stara. *Miały trzy dysze miotające wodę – dwie pod zderzakiem i jedną na dachu. Używana powszechnie w latach 1973-83, kiedy pojawiły się nowsze modele. Jednak „Hydromila 1" można było też spotkać jeszcze pod koniec lat 80.* (www.zomoza.kgb.pl).

Fot. SB

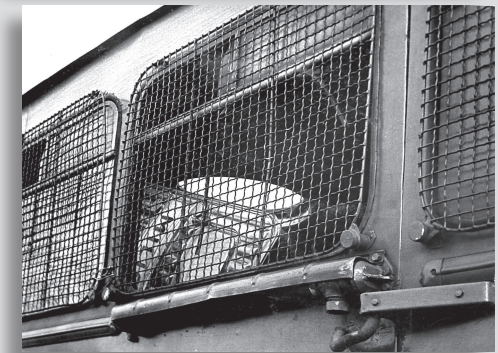


Supernowoczesna armatka wodna Steyer, *kupiona przez PRL w Austrii we wczesnych latach 70. Miała 4 dysze miotające wodę – 2 na dachu i 2 pod zderzakiem. Sporadycznie Steyery można było jeszcze zobaczyć w latach 90., lecz do dzisiaj zachowało się niewiele egzemplarzy* (www.zomoza.kgb.pl). Fot. SB



Armatka wodna polskiej produkcji, na podwoziu Jelcza (podobna do polewaczki Steyer) *pierwszy raz użyta w maju 1983 r. na Placu Zamkowym w Warszawie. Dostała oznaczenie „Hydromil 2". Miała 4 dysze miotające wodę – dwie na dachu i dwie pod zderzakiem. Miotają wodę w 3 strumieniach – zaporowy, rozpraszający i uderzeniowy. Zabierają 10 000 litrów wody. Używa się ich do dziś i mają opinię bardzo dobrego sprzętu* (www.zomoza.kgb.pl). Fot. SB





Milicyjny Star zwany popularnie „budą".
W różnych wersjach służył do transportu zomowców lub jako więźniarka. Fot. SB



Pierwszy raz w mundurach polowych zomowcy pokazali się podczas rozruchów na Wybrzeżu w Grudniu 1970 r. ***Ponieważ mundury polowe ZOMO*** *niewiele różniły się od mundurów polowych LWP, protestujący robotnicy byli „skołowani" i twierdzili, że władza specjalnie przebiera milicjantów za żołnierzy. Stąd też jednym z postulatów robotników było aby „milicjanci nie hańbili munduru żołnierza Wojska Polskiego". Było to jednak nieporozumienie. Jednakże w stanie wojennym - dla zmylenie przeciwnika – zomowcy rzeczywiście byli przebierani w mundury wojskowe. W okresie po stanie wojennym oddziały ZOMO były źle kojarzone i podchodzono do tej formacji z wrogością. Stąd często kierownictwo milicji, nakazywało ubierać ZOMO-wcom mundury wyjściowe – czyli zwykłe mundury milicyjne.* ***Kask szturmowy z przyłbicą pleksiglasową****, pierwszy raz użyte podczas zamieszek w Radomiu i Ursusie w 1976 r. Od ok. połowy lat 80-tych stopniowo wycofywane.*

Krótka gumowa pałka patrolowa – tzw. „banan"*. Używana przez wszystkie formacje milicyjne. Wprowadzona do użytku w 1956 roku i używana do końca istnienia MO. Pałki te były bardzo lubiane przez milicjantów – były lekkie, poręczne i skutecznie działały na drugiego człowieka. Bardzo rzadko zdarzyły się egzemplarze pałek koloru czarnego. ZOMO dysponowało także pałką szturmową, długości 75 cm [na zdjęciu], używaną głównie do rozpraszania tłumów. W latach 80-tych pałkę tą nazywano pieszczotliwie „lolą". Wprowadzono je do użytku później niż krótkie pałki patrolowe. Był to nieodłączny atrybut zomowców. Byli zomowcy bardzo chwalą sobie „lole" – były one wygodne w użyciu i bardzo skuteczne. Niemniej jednak trzeba było uważać – pałki te były ciężkie, a wg. specjalnego miernika uderzenia taką pałką wynosiło około 400 kg, co stanowiło potężna siłę* (www.zomoza.kgb.pl). Ze zbiorów Leszka Jaranowskiego

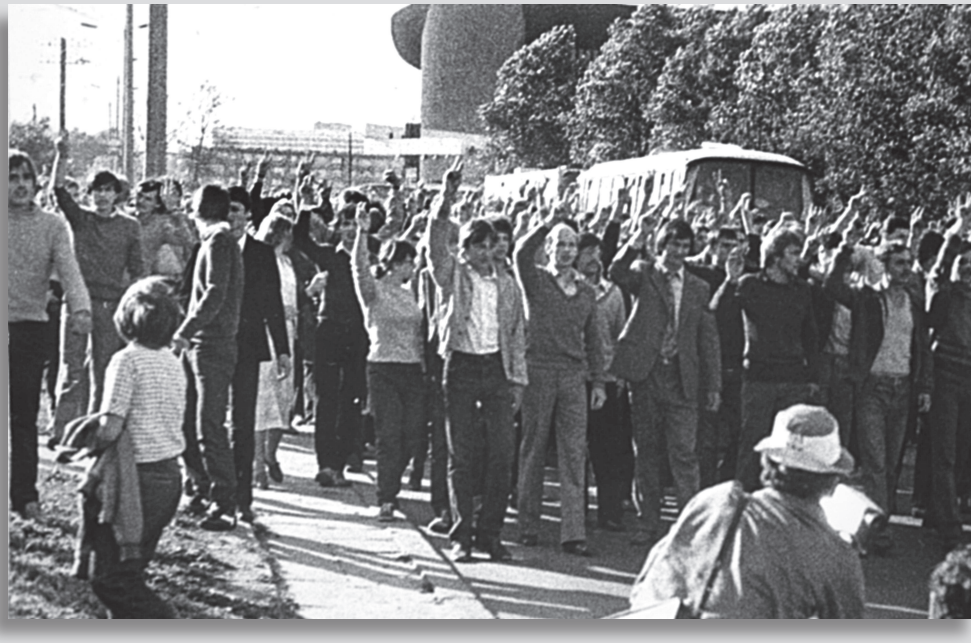
Miażdżąca przewaga była oczywiście po stronie sił milicyjnych. Nie mają nawet sensu porównania liczebności sił MO i SB oraz demonstrantów. Wyszkolone do pacyfikacji zamieszek, specjalistyczne oddziały, dysponujące nawet ciężkim sprzętem bojowym, powinny były sobie poradzić bardzo szybko z niezorganizowanym tłumem.

Cytowany wyżej por. Drozd, opisując przebieg demonstracji, podaje ważną informację pominiętą przez „Zomorządność" i „Aktualności": *O godz. 21.08, w czasie gdy część sił skierowana została na pozycje wyczekiwania, grupa około 500 osób, zorganizowana w oś. Dąbrowszczaków, zaatakowała kamieniami budynek Komisariatu IV MO Nowa Huta-Bieńczyce, mieszczącego się ok. 400 m od kościoła, wybijając szybę w drzwiach wejściowych (innych strat nie było). Rozproszenie tej grupy skoncentrowanymi siłami MO trwało do godz. 21.30.*

Straty po stronie milicyjnej (w ludziach i sprzęcie) oraz w mieniu wskazują na dużą zaciekłość walk. Z pewnością znacznie zaniżone są w cytowanym dokumencie straty po stronie demonstrantów i przypadkowych uczestników zajść.

Funkcjonariusze MO: w toku prowadzonych działań 16 funkcjonariuszy odniosło obrażenia, w tym 4 poważniejsze (rany cięte twarzy, wybicie zębów), z których 1 przebywa aktualnie w szpitalu. Pozostałe obrażenia to: stłuczenia, zadrapania, otarcia naskórka, itp.





Demonstranci w Nowej Hucie 13 czerwca 1982 r. Po uroczystej mszy zakończonej odśpiewaniem „Boże coś Polskę", zgromadzony kilkunastotysięczny tłum opuścił mury kościoła, idąc w zupełnym milczeniu, z palcami ułożonymi w znak V. Uformował się spontaniczny, kilkutysięczny pochód, który, który kierując się w stronę Osiedla Teatralnego, wznosił okrzyki: „Solidarność!", „Reżim precz!", „Zwolnić Lecha", „Zwolnić Gila". Śpiewano hymn Polski, grzmiały oklaski. W okolicach Teatru Ludowego ta pełna uniesienia pokojowa demonstracja, została brutalnie zaatakowana przez siły ZOMO, które bez najmniejszego ostrzeżenia ani wezwania do rozejścia się, wjechały w tłum armatkami wodnymi, posiłkowanymi przez ZOMO-wców uzbrojonych w karabiny z gazowymi nabojami, z których natychmiast zrobili użytek. SB





Mienie MO: w wyniku działań uszkodzeniu uległo 16 pojazdów: rozbicie kilkudziesięciu szyb, lamp, głośników, przedziurawienie nadwozia – na łączną sumę strat około 100 tys. złotych. Ponadto uszkodzeniu uległy 2 radiostacje nasobne.

Zgromadzeni: Z pomocy lekarskiej skorzystały 3 osoby (rany cięte i tłuczone głowy i twarzy na skutek uderzenia kamieniami), po opatrzeniu zwolnieni do domu.

Ogółem zatrzymano 118 osób. Z liczby tej zwolniono 54 osoby (brak dowodów winy, względy operacyjne, inne). Wobec 71 osób skierowano wnioski o ukaranie do Kolegium, które rozstrzygnęło: grzywna – 55, uniewinnienie – 2, odroczenie – 6, areszt – 1, ograniczenie wolności – 7 (1-3 miesięcy). Wobec 2 osób skierowano wystąpienia do zakładów pracy w trybie art. 40 KW. Wniesiono 2 sprawy do Sądu dla Nieletnich. Do Izby Dziecka skierowano 8 nieletnich. Wszczęto 6 dochodzeń.

Końcowe uwagi por. Drozda potwierdzają, że decyzja RKW o przeniesieniu obchodów z Rynku Głównego do Nowej Huty była trafna. *Według oceny Sztabu KW MO – teatr działań sił porządkowych, w przypadku Nowej Huty (i z założeniem ewentualnego uczestnictwa w zajściach grup robotników wychodzących z Kombinatu HiL) jest zbyt rozległy, aby siłami, którymi dysponuje KW MO Kraków, można zlikwidować wszystkie (jednocześnie wszczęte) działania manifestujących (pochody, manifestacje, awantury uliczne, demolowanie sprzętu, niszczenie chodników, budowanie barykad, itp.).*

***

Brutalność działań sił porządkowych w bezpośredniej bliskości Arki oraz ataki ZOMO na wiernych na modlitwie spowodowały interwencję arcybiskupa krakowskiego, o czym 16 czerwca 1982 roku informował płk Działowski dyżurnego operacyjnego MSW: *W dniu 16 bm kard. F. Macharski zwrócił się pisemnie do Komendanta Wojewódzkiego MO z prośbą o przyjęcie na rozmowę kanclerza Kurii ks. B. Fidelusa oraz ks. J. Gorzelanego – proboszcza parafii w Bieńczycach, celem przedłożenia przez nich sprawozdania z wydarzeń przy tym kościele w dniu 13 bm. W piśmie kardynał wyraził zaniepokojenie w związku z zajściami w dniu 13 bm. w Nowej Hucie.*

Komendant Wojewódzki MO d/s SB płk W. Działowski przeprowadził rozmowę z w/w duchownymi, w trakcie której przedstawiono im autentyczny przebieg wydarzeń (m.in. w oparciu o projekcję filmu), podkreślając, że działania sił porządkowych miały miejsce ok. 400 metrów od kościoła, po uformowaniu się pochodu i zaatakowaniu funkcjonariuszy. Kanclerz Kurii stwierdził, że przedstawiony przebieg wydarzeń jest zgodny z oceną, jaką posiada kardynał, który jest natomiast zaniepokojony interwencją sił porządkowych po nabożeństwie następnym, tj. o godz. 18-tej. Wykazano bezpodstawność zaniepokojenia kardynała, ponieważ po tym nabożeństwie interwencji nie podejmowano, umożliwiając wiernym rozejście się. Komendant podkreślił, że szczególnie niepokojącym zjawiskiem jest to, że nadal kolejne nabożeństwa wykorzystywane są do organizowania demonstracji. Kanclerz wyraził podobny pogląd i stwierdził, że Kardynał Macharski osobiście jest bardzo zaangażowany w sprawę niedopuszczenia do powtórzenia się podobnych sytuacji.

***

Klamrami spinającymi wydarzenia opisane w tym podrozdziale są „czarne marsze" hutników.

Wiosnę na ulicach, która – zgodnie z popularnym w grudniu 1981 hasłem – miała być nasza, rozpoczął 30 kwietnia 1982 roku pierwszy „czarny marsz" spod bramy Huty na plac Centralny. „Czarny marsz" 16 czerwca 1982 roku zakończył ją. Według szacun-

ków SB w marszu czerwcowym wzięło udział ok. 2 tys. pracowników HiL, do których dołączyło 500 innych osób („Ocena sytuacji operacyjno-politycznej" za czerwiec 1982).

Z „Niepodległości" nr 10 z 11 lipca 1982: *Czarny marsz krakowskich hutników. 16 czerwca godzina 14; Centrum Administracyjne Huty im. Lenina. Wychodzący z pracy ludzie nie udają się jak zwykle do domów, lecz czekają...*









Na górnym zdjęciu na poprzedniej stronie – **armatki wodne czechosłowackiej firmy Tatra**. W pierwszych dniach stanu wojennego, krakowskie ZOMO dostało w ramach „bratniej pomocy" dwie takie polewaczki od czechosłowackiej milicji. Były zupełnie nieudane konstrukcyjnie - mogły miotać wodę tylko po zatrzymaniu się, ponadto miały słabo opancerzone wieżyczki ze strzelcami. Pierwszy raz Tatr użyto w maju 1982 r. W środku – armatka wodna na podwoziu Jelcza. Z lewej – transportery opancerzone produkcji ZSRR – BTR-60. ZOMO dostało je z początkiem lat 80. Były w Polsce używane tylko przez Milicję – głównie przez Plutony Specjalne (www.zomoza.kgb.pl). Na kolejnych zdjęciach – **przejazd kolumny ZOMO z Toń pod Krakowem na miejsce akcji**. Fot. SB





Czarny marsz w Hucie, 16 czerwca 1982 r. *Rusza pochód początkowo w całkowitym milczeniu. Po pewnym czasie podnosimy do góry dwa palce prawej reki w symbolicznym geście V. Ktoś wznosi okrzyk „Uwolnić Lecha!". Pozostali podchwytują, potem skandują kolejno: „Solidarność!', „Reżim precz!", „Zwolnić Gila!". Ukrycie w okolicznych ulicach zomowcy nie reagują. Po drugiej stronie ulicy w zaparkowanych samochodach panowie z aparatami fotograficznymi... Ale co tam, nikt na nich nie zwraca uwagi. Do pochodu dołączają się mieszkańcy Nowej Huty. Ekspedientki wychodzą przed sklepy – oklaskują maszerujących. Dwudziestoletnia matka z dwojgiem dzieci staje i wznoszą ręce do góry – Victoria!* Fot. SB

„Zomorządność" nr 17 z 19 czerwca 1982: *Uczestnicy marszu mieli na sobie czarne i ciemne ubrania. Niektórzy nieśli kwiaty.*

„Niepodległość": *Rusza pochód. Początkowo w całkowitym milczeniu. Po pewnym czasie podnosimy do góry dwa palce prawej ręki w symbolicznym geście V. Ktoś wznosi okrzyk „Uwolnić Lecha!". Pozostali podchwytują, potem skandują kolejno: „Solidarność!", „Reżim precz!", „Zwolnić Gila!". Ukryci w okolicznych ulicach zomowcy nie reagują. Po drugiej stronie ulicy w zaparkowanych samochodach panowie z aparatami fotograficznymi... Ale co tam, nikt na nich nie zwraca uwagi. Do pochodu dołączają się mieszkańcy Nowej Huty. Ekspedientki wychodzą przed sklepy – oklaskują maszerujących. Dwudziestoletnia matka z dwojgiem dzieci staje i wznoszą ręce do góry – Victoria!*

„Aktualności" nr 23 z 21 czerwca 1982: *W pierwszym szeregu pojawiły się dwie dziewczyny z bukietem piwonii (…). Gdy czoło pochodu zbliżyło się do Placu Centralnego, rozległa się burza oklasków wśród demonstrujących i oczekujących.*

„Zomorządność": *Ostatnie grupy robotników dotarły na Plac Centralny ok. godziny 15.30.*

„Aktualności": *Ktoś uniósł małą flagę biało-czerwoną z napisem Solidarność. Kilkunastotysięczny pochód skręcił w kierunku pomnika Lenina, przy którym znów oklaski i gromkie okrzyki, tak jak poprzednio, a także „Zwolnić Gila!", „Zwolnić Nowaka!", potem „Wolna Polska!" i na zakręcie w ul. Armii Czerwonej „Reżim precz!". Widok milicyjnej budy i zomowców w bocznej uliczce na os. Zgody wywołał przeraźliwy gwizd i znów okrzyki, a także „Chodźcie z nami!". Pod Krzyżem na os. Teatralnym pochód zatrzymał się. W skupieniu, z uniesionymi rękami demonstranci odśpiewali „Boże coś Polskę" i hymn Polski, rzucając następnie kwiaty do stóp Krzyża.*

„Niepodległość": *Ludzie wyglądają z okien. Uśmiechy. Hutnicy idą dalej. Coraz bliżej cel marszu – kościół w Bieńczycach. Coraz bardziej rośnie napięcie – wejdą do akcji czy nie wejdą (przecież komisarz Mazurkiewicz ostrzegał, żeby nie organizować pochodu, bo ZOMO będzie interweniowało). Coraz więcej osób przyłącza się do manifestacji.*

Ludzie wchodzą do kościoła – modlą się. Za Ojczyznę, za Związek, za jego uwięzionych przywódców i związkowców, którym karze się wyrzec idei. Ksiądz przez megafon zaprasza do kościoła tych, którzy przyszli się tutaj modlić. Wchodzimy. Ksiądz Palmowski wychodzi do wiernych. Przypomina symboliczne znaczenie tego dnia – to właśnie szesnastego grudnia w brutalnym ataku ZOMO zginęli polscy górnicy. Mamy więc prawo, ale mamy też obowiązek pamiętać o tych wydarzeniach. Następnie przypomina uroczystości kościelne sprzed trzech dni, z 13 czerwca i ich tragiczne zakończenie. „Zawdzięczamy to tym, którzy byli wśród nas po cywilnemu. Gdyby dzisiaj usiłowali to samo robić, bardzo proszę, żebyście do tego nie dopuścili". Razem modlimy się. Za tych, których los przywiódł do kościoła, za deptane prawa ludzi pracy, za wolną i niepodległą Polskę. Na koniec podejmujemy potężne „Boże coś Polskę...".

Jeszcze w uszach pobrzmiewa „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie...". Jesteśmy już na ulicach miasta. Rozchodzimy się do domów.

Trzeci marsz (po 30 kwietnia, 13 maja) odbył się bez interwencji sił represyjnych. To znakomita forma protestu hutników Krakowa przeciw stanowi wojennemu uniemożliwia władzy zastosowanie przemocy. Przecież oni wkraczają do akcji tylko w wypadku nieodpowiedzialnych wybryków grupek młodocianych wyrostków.

***

„Hutnik" (nr 12 z 29 czerwca 1982) podał jeszcze jedną informację, związaną z „czarnym marszem" 16 czerwca 1982. *Staś Zawada wraz z Henrykiem Wartalskim podczas „czarnego marszu" zamiast iść z hutnikami stali w kolejce po wódkę w Pewek-*

sie. Kolaborant i zdrajca Zawada był zdrowo podchmielony. Na pytanie czemu nie bierze udziału w proteście upamiętniającym śmierć braci górników, odpowiedział stekiem obraźliwych epitetów, których tutaj nie przytoczymy. Oto człowiek lansowany na łamach gadzinowej neo-Gazety Krakowskiej przez niejakiego Hańderka na wzór działacza związkowego tak skrzywdzonego przez członków NSZZ Solidarności.

Przypomnijmy, że Stanisław Zawada stał na czele Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność". Wedle słów Jana Paculi wygrał wybory dzięki poparciu działaczy związkowych z HiL, którzy nie lubili Hardka.

Sadecki: *17 września* [1981] *Zawada z Józefem Okarmusem i Tadeuszem Piekarzem złożyli inauguracyjną wizytę I Sekretarzowi Komitetu Krakowskiego PZPR Krystynowi Dąbrowie. Nie była to wizyta hołdownicza — jak później chcieli ją widzieć niektórzy — ale kurtuazyjno-partnerska. Tego samego dnia Zawada został przyjęty przez kardynała Franciszka Macharskiego.*

Jednak, jak wspomina Jan Broniek, nie tylko Zawada spotykał się z szefami KK PZPR w okresie „karnawału Solidarności". *Wielu działaczy powstającej „Solidarności" konsultowało różne sprawy w KK. Chodziło im o to, jak twierdzili, aby nie zrobić nic, co mogłoby zaszkodzić Krakowowi (…). Do KK przychodzili (na ogół w nocy) niektórzy inni działacze, zwłaszcza z KRH, aby wyjaśnić jakieś sprawy, rozwiać swoje wątpliwości, uzyskać informacje (...). Parokrotnie przychodzili do KK Gil, Piekarz, Lassota, ostatni raz na spotkanie z Rakowskim (z udziałem Dąbrowy i moim). Na czele jednej z delegacji stał Tadeusz Syryjczyk (...).*

Zawada znany był ze swojego zdecydowanie antykapeenowskiego nastawienia (zob. tom. I).

Sadecki: *11 listopada* [1980 r.] *z inicjatywy władz miasta, delegacja „Solidarności" wraz z przedstawicielami Frontu Jedności Narodu oraz władz polityczno-gospodarczych Krakowa złożyła wieńce na Grobie Nieznanego Żołnierza. W tej uroczystości wziął udział Stanisław Zawada i kilku innych członków MKZ.*

Wieczorem tego samego dnia odbyła się na Wawelu msza święta w rocznicę odzyskania Niepodległości, po czym wyruszył nieoficjalny pochód pod pomnik Grunwaldzki. Na czele tej manifestacji kroczyli członkowie Konfederacji Polski Niepodległej, Studenckiego Komitetu Solidarności i innych opozycyjnych orientacji. Widziano tam również liczną reprezentację działaczy „Solidarności" z MKZ i struktur zakładowych. Zawada w pochodzie tym nie uczestniczył.

11 listopada jest punktem zwrotnym w karierze pierwszego przewodniczącego MKZ. Ten dzień unaocznił konflikt, który od pewnego czasu rozwijał się w łonie krakowskiej „Solidarności".

24 listopada MKZ podejmuje decyzję o zawieszeniu Stanisława Zawady w czynnościach przewodniczącego i przekazuje sprawę do komisji rewizyjnej. Następnego dnia on sam składa rezygnację, podając na łamach prasy:

„Przyczyny mojej rezygnacji i powody pozwolę sobie podać do publicznej wiadomości w czasie, kiedy uznam, że ich opublikowanie nie będzie godzić w interes organizacji NSZZ „Solidarność", jak również w przypadku prób szkalowania mnie przez Zarząd MKZ NSZZ „Solidarność" lub poszczególnych jej członków".

Okoliczności odejścia Zawady są niejasne. „Gazeta Krakowska" tak przedstawiła tę sprawę w relacji ze zjazdu regionalnego „Solidarności", który odbył się w lipcu 1981 roku w Tarnowie. „W sprawie Stanisława Zawady poszczególni członkowie MKZ przedstawili nawzajem wykluczające się wersje wydarzeń. Sam Zawada będący wówczas delegatem na

tarnowski zjazd, w jednym ze swych wystąpień powiedział między innymi: — Zarzuty do dnia dzisiejszego nie zostały przedstawione, dlatego nie mogę się bronić.

Prawda jest trudna do ustalenia - pisze sprawozdawca „Gazety" - jako że 14 uczestników pamiętnego posiedzenia listopadowego zaprzysięgło na krzyż, że nigdy nie ujawni tego, co wówczas się wydarzyło. Ta przysięga spotkała się z ostrą krytyką niektórych delegatów, którzy uznali ją za sprzeczną z zasadami jawności życia związkowego i statutem".

Relacja prasowa o tym milczy, ale w wąskim gronie działaczy „Solidarności" nie jest tajemnicą, że Zawada — podczas listopadowego posiedzenia MKZ — wyszedł wzburzony z sali obrad, zamknął się w toalecie i ponoć próbował się powiesić. I to prawdopodobnie chcieli ukryć jego koledzy, w imię dobrej opinii tworzącego się związku zawodowego.

Zupełnie inaczej całą sytuację opisuje we wspomnieniach Jerzy Kuczera: *Wieczorem 11 listopada ulicami miasta od Katedry Wawelskiej do Grobu Nieznanego Żołnierza przeszedł kilkunastotysięczny pochód mieszkańców Krakowa (...). Na czele pochodu kroczyła grupa członków KPN (...). W pochodzie jako osoby prywatne wzięła udział większość członków MKZ, bez Zawady. Po paru dniach w wielu zakładach pracy Krakowa pojawili się „agitatorzy", którzy sami będąc członkami „Solidarności" namawiali poszczególne KZ do wystąpienia przeciw krakowskiemu MKZ, motywując to faktem, że został opanowany przez KPN, co było oczywistym pomówieniem (...). O roli Zawady w tej prowokacji dowiedziałem się dopiero następnego dnia, gdy spotkała się luźno większość członków MKZ i dyskutowała na temat wewnętrznej sytuacji Związku (...). Ówczesny przewodniczący Zawada zorganizował grupę ludzi, która jeździła po zakładach pracy i w oszczerczy sposób przedstawiała krakowski MKZ, jakoby był opanowany przez KPN-owców. Grupa ta usiłowała namówić zakłady do wystąpienia przeciw MKZ, a nawet powołać „politycznie właściwy" MKZ.*

Sadecki przytacza opinię Jerzego Surdykowskiego, do 13 grudnia 1981 dziennikarza „Życia Gospodarczego", „Życia Literackiego" i „Zdania", usuniętego z PZPR w 1982 roku: — *„Dla mnie to był klasyczny konflikt między — nazwijmy to umownie — robotnikami i politykami. Zawada reprezentował grupę robotniczą, która wierzyła, że w tym kraju i ustroju można robić związki zawodowe wystrzegając się polityki. Oni mieli głęboko zakodowane, że polityka to jest takie świństwo, którym zajmuje się partia. Brakowało im wyrobienia politycznego i nie zdawali sobie sprawy, że władza może ich wykołować. Byli ufni i szczerzy. Nie mieli oporów, by rozmawiać z władzą, ani uprzedzeń. Podobnym typem był Marian Jurczyk ze Szczecina — taki solidny robotnik z nieświadomością polityczną. Jego późniejsza gorzka uwaga, że przydałoby się parę szubienic dla komunistów, była reakcją oszukanego robotnika, po wielu miesiącach rozmów z władzą, której — jak się przekonał — nie można wierzyć i która ustępuje tylko przed siłą. Być może Zawada, gdyby nie odszedł z MKZ, z czasem zachowywałby się podobnie.*

Robotnikom przeciwstawiali się „politycy". Tak określę grupę inteligencji — choć i wśród nich byli także nieliczni robotnicy — a zwłaszcza ludzi z KPN i SKS. Mieli oni radykalne poglądy. Niektórzy — typowe kompleksy podziemia: zapiekli w przekonaniach, nieufni. Mało ludzi — tak jak Michnik — potrafiło zdobyć się na tolerancję. Zresztą i tym „politykom" brakowało doświadczenia w kwestii uprawiania polityki jako gry i sztuki kompromisu. U nich dominowały kryteria ostre. Nasi — oni.

Dlatego wystąpienie w dniu 11 listopada u boku władz było dla „polityków" nie do przyjęcia. Sytuację zaostrzył sprzeciw Zawady wobec korzystania przez KPN z urządzeń poligraficznych MKZ i parę innych pomniejszych konfliktów oraz niepohamowanych wystąpień Zawady.

Nie były to tylko kontrowersje krakowskie. W podobnej sytuacji był Wałęsa. Wygrał, bo z natury jest to człowiek nieufny, dużo mówi, ale tak, żeby nic nie powiedzieć.

Zawada nieufny nie był, wprost przeciwnie: szczery i prostolinijny, a także nadmiernie gadatliwy. W tym okresie dom Zawady stał się salonem dyskusyjnym. Przychodził tam kto chciał. Staszek lubił się napić, nie żeby się urżnąć, ale poweselić. Różne tam rzeczy przy kieliszku się mówiło. Staszek był wylewny i jak zawsze ostry w sądach. Potem to powtarzano wśród ludzi z różnym komentarzem.

Opinię Syrdykowskiego możemy dziś uznać za chybioną. *W lecie 1981 r. Zawada dał się zwerbować i jako tajny współpracownik „Stasiu" został zarejestrowany pod numerem 24768* - piszą autorzy pracy „Solidarność Małopolska 1980-1981".

Sadecki, pisząc ten tekst pod koniec lat 80.. nie wiedział o powiązaniach Zawady z SB i zakładał, że Zawada działał w dobrej wierze: *Po wymuszonej dymisji jeszcze próbował się bronić, zakładać jakiś konkurencyjny MKZ, co zupełnie pozbawiło go szans odegrania jakiejś roli w Związku. Jeszcze w regionalnych wyborach w lipcu 1981 roku kandydował do Zarządu Regionu „Małopolska", lecz wybrany nie został — zabrakło mu jednego głosu!*

Odejście z MKZ mocno przeżył. To pewne. Był bardzo rozżalony.

W „Solidarności" pozostał. W Walcowni Taśm — gdzie pracował — robotnicy wybrali go swym przewodniczącym. Będzie nim aż do końca.

13 Grudnia i następne dni przebywał w Hucie. Gdy doszło do ataku ZOMO i wojska, karetką pogotowia wywieziono go za bramę.

Po rozbiciu strajku w hucie, wzięli go w swe ręce oficerowie polityczni Czerwonych Beretów. Zawada — tak samo jak Zbigniew Bujak — będąc w wojsku służył w tej formacji. Czerwone Berety są elitą, wybrańcami przeznaczonymi do specjalnych zadań. Takie przekonanie wpaja się młodym chłopcom, którzy trafią do spadochroniarzy, a potem już sami upowszechniają ten mit. Staszek też był dumny ze służby w VI Pomorskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej.

Na rozmowy z Zawadą sprowadzono dowódcę jego plutonu — obecnie w stopniu majora.

— Panie Staszku, my — Czerwone Berety, musimy uratować Polskę. W Pana ręku honor Polaków! Musi Pan wystąpić w telewizji, bo inaczej nie wiadomo, co może się stać.

Tak go namawiali, podbechtywali urażoną wcześniejszymi niepowodzeniami ambicję. Przychodzili, wzywali na kolejne rozmowy, nakłaniali.

Całą noc nie spał, naradzał się z żoną, która była przeciwna. Trwało to ze dwa dni.

W pierwszym tygodniu stanu wojennego Polska zobaczyła go na ekranach swych telewizorów.

20 grudnia 1981 wystąpił w TVP i namawiał strajkujących do przerwania protestu. Ewa Zając napisała w „Dzienniku Polskim", że za to wystąpienie dostał dwie butelki wódki, butelkę koniaku i dwie czekolady.

Oto fragmenty wypowiedzi Zawady z tego programu (cytowane za Jerzym Sadeckim): *— Przybyłem tu rozdarty wewnętrznie, tak jak jest prawie całe nasze społeczeństwo. Na mojej decyzji zaważyła tragedia kopalni „Wujek". Jestem wstrząśnięty, przypuszczam, że każdy jest wstrząśnięty przelaniem krwi polskiej. Podjąłem tę decyzję dobrowolnie, w pełni świadomie, mając jedyną motywację, że jeśli moje tu słowa w jakiś sposób zaoszczędzą komukolwiek bólu, a może krwi, a może paru łez, to będzie to wystarczająca dla mnie satysfakcja i nagroda (...).*

Gros z tych, podobnych do mnie zresztą działaczy „Solidarności", którzy na fali tych wydarzeń sierpniowych czy wrześniowych zostali wyrzuceni, niemalże bez własnego

udziału postawieni na czele tego ruchu, było spontanicznie, autentycznie zaangażowanych w tworzenie nowego związku zawodowego jako gwaranta godności tego pracownika, gwaranta uzyskania przez niego praw (...). Myśmy prowadzili działalność dla człowieka pracy, wiedząc, że jesteśmy jego reprezentantem. W momencie, kiedy zaczęliśmy dostrzegać pewne działania, no, polityczne, powiedziałbym, okazało się że zauważyliśmy to zjawisko za późno (...). Wydawało mi się, że są to niegroźne objawy, zwłaszcza, że myśmy się zgodzili z tym, że nie musimy być jednomyślni. Przecież nie chodziło o jednomyślność poglądów, chodziło o wspólny cel, a wspólny cel można osiągnąć prezentując różne poglądy. I dlatego też, w momencie kiedy sytuacja już zaszła tak daleko, po prostu zostaliśmy odsuwani, i to w skali całego kraju. Zostali ludzie z pewną praktyką, doświadczeniem, ludzie, którzy znali się na robieniu polityki, na samej technice. Myśmy byli dalej spontaniczni, prości, szczerzy a może i głupi (...).

Ja byłem pierwszym przewodniczącym MKZ-tu Kraków i w pewnym momencie, bodajże w październiku 1980 roku zauważyłem, że są już pewne działania sensu stricto polityczne. Interesowała mnie kwestia działalności politycznej na terenie Związku. To była zasadnicza sprawa. Nie przeszkadzały mi poglądy indywidualnych ludzi. Przecież myśmy w Porozumieniu Gdańskim walczyli o prawo prezentowania i wyznawania własnych poglądów, natomiast nie uważałem, żeby forum Związku było akurat właściwe do prezentowania tychże poglądów.

Telewizyjne wystąpienie Stanisława Zawady współgrało z propaganda stanu wojennego, przekonującą, że „Solidarność" może działać, ale bez doradców z KOR-u i bez dotychczasowych liderów. Na taką „Solidarność" władze były gotowe zezwolić, a Zawada, jako przedstawiciel „zdrowego robotniczego nurtu" w „Solidarności" mógł być jednym z jej liderów.

***

W esbeckiej „Ocenie sytuacji operacyjno-politycznej" za czerwiec 1982 podano, że podobny do nowohuckiego „cichy marsz" miał miejsce także w Podgórzu: *W tym dniu przeszła również grupa ok. 200 pracowników ZPE Telpod do pobliskiego Rynku Podgórskiego. Przemarsz grupy, do której dołączyło ok. 600 innych osób, odbywał się również chodnikami i z zachowaniem całkowitego spokoju.*

„Aktualności", w cytowanym numerze, podjęły próbę oceny dwóch demonstracji czerwcowych w Nowej Hucie: *Nowa Huta – czerwiec 13 i 16 – dwie demonstracje, a jakże inne w swej wymowie. Wcześniejsza zakończona długo trwającymi bezładnymi walkami z ZOMO oraz licznymi aresztowaniami i druga – w trzy dni później – wspaniała, pełna robotniczej godności, niezakłócona do końca. W czym leży różnica? Naszym zdaniem w organizacji i dyscyplinie w naszych szeregach. 13 wielu z nas uległo prowokacji, wbrew zaleceniom podziemnych władz Solidarności, które wezwały wyłącznie do udziału w Mszy Świętej w Bieńczycach i w nowennie w nowym kościele mistrzejowickim. Planowane wcześniej przez nowohucki KOS i RKW manifestacje zostały odwołane właśnie w obawie przed prowokacją. Mimo to doszło do dramatycznych zajść, natychmiast skomentowanych przez TV w typowy dla masowej propagandy sposób – Solidarność wzywa do starć z ZOMO, narażając swych członków na represje, podczas gdy organizatorzy zajść pozostają bezpiecznie w ukryciu. Ostatnia część zarzutu jest słuszna. Organizatorem była SB. I oto trzy dni później sprzed bramy Kombinatu rusza czarny marsz doskonale zorganizowany, znacznie wcześniej zapowiedziany. Każda próba prowokacji jest w nim natychmiast gaszona. ZOMO nie interweniuje. Boi się. Godność, spokój i powaga stanowią*

olbrzymią siłę tej manifestacji, siłę, która powoduje, że milicja drogowa próbuje nawet kierować ruchem dla umożliwienia bezkolizyjnego przemarszu, a oddziały ZOMO nie wychylają się z ukrycia. Tak powinny wyglądać wszystkie nasze demonstracje. Rozumiemy tych z nas, którzy 13 sprowokowani gazem, wodą i pałkami dali się ponieść wzburzeniu. Trudno jest stać spokojnie, gdy uzbrojeni najemnicy pokazują, że mogą bezkarnie deptać ludzką godność. Ale musimy sobie uświadomić, że w ten sposób nie wygramy. Nasza przewaga i siła nie tkwi w drobnych walkach wręcz, a właśnie w pełnej godności i masowej organizacji. Przeciw dobrze zorganizowanemu i zdyscyplinowanemu społeczeństwu WRON-a nie ma szans!

Ten komentarz bardzo dobrze pokazuje, na czym polegała naiwność myślenia tak przywództwa, jak i głównego nurtu „Solidarności". Echo tej postawy mamy w cytowanym tekście z lipcowej „Niepodległości", co nie dziwi, jako że Bocian w tym czasie miał bliskie kontakty z „Solidarnością".

Po pierwsze – niezależnie od ewentualnych esbeckich prowokacji, samoobrona w czasie demonstracji ulicznych była uzasadniona. Pozytywnie należy też ocenić spontaniczne, niezapowiedziane manifestacje, do jakich w tym czasie dochodziło. Bardzo krzywdząca i paraliżująca była teza, wedle której prowokatorami są ci, którzy kierują manifestacjami zorganizowanymi ad hoc lub podejmują formy samoobrony w odpowiedzi na przemoc drugiej strony.

Nietrafne było też założenie, że ZOMO dlatego nie atakowało pierwszych trzech „czarnych marszów", bo były one „dobrze zorganizowane". Wydarzenia kolejnych miesięcy dowiodły, że ZOMO nie atakowało – bo nie miało takiego rozkazu. Gdy kilka miesięcy później otrzymało taki rozkaz – to zaatakowało i żadna „dobra organizacja" temu nie zapobiegła.

Problem jest szerszy. „Bądźmy cicho, bądźmy grzeczni, unikajmy radykalnych postulatów, to wtedy władza nie będzie nas prześladować" – taki sposób myślenia doprowadził do milczącej akceptacji przez władze 10-milionowego Związku faktu, że przywódcy KPN (a także inni więźniowie polityczni) spędzili niemal cały okres „karnawału Solidarności" w więzieniu (zob. tom I). Ten sam sposób myślenia jest odpowiedzialny za nieprzygotowanie Związku do rozwiązania siłowego, które zastosowały władze 13 grudnia 1981 roku.

Skuteczna taktyka (która zresztą była realizowana, choć wbrew umiarkowanym siłom podziemnej „Solidarności") polegała na tym, aby z jednej strony nie podejmować walki zbrojnej i unikać prowokacji ze strony SB, ale z drugiej wywierać ciągłą presję na władze i dobitnie wyrażać sprzeciw wobec stanowi wojennemu, także w formie spontanicznych ulicznych manifestacji i umiarkowanych aktów samoobrony. Taka postawa społeczeństwa zmuszała władze do ustępstw oraz dawała do ręki argumenty tym siłom poza granicami Polski, które dążyły do powstrzymania sowieckiej ekspansji.

***

26 czerwca 1982 roku TKK wydała apel o zawieszenie strajków i demonstracji do końca lipca. Kamiński: *Skupieni w TKK liderzy „Solidarności", aczkolwiek różnili się, co do strategii związku, byli zgodni, co do jednego – unikania demonstracji ulicznych, jako akcji nieskutecznych i przynoszących zbędne ofiary. Podobnie traktowano strajki, stające się źródłem represji, w tym zwalniania z pracy najaktywniejszych robotników. Stąd też paradoksalna reakcja na stosunkowo udane demonstracje majowe i czerwcowe oraz zakończony dość dużym sukcesem strajk 13 maja – apel o powstrzymanie się od protestów*

do 22 lipca. Miało to być wyrazem „gotowości do porozumienia". Aczkolwiek grożono jednocześnie „sięgnięciem po różnorodne środki nacisku ze strajkiem generalnym włącznie", to dokument ten, a także inne ogłaszane w tym okresie wydają się świadczyć o usilnym dążeniu TKK do nawiązania dialogu z władzą. Było to zapewne echo postawy z jesieni 1981 r., naiwnego oczekiwania na dobrą wolę drugiej strony. Uwzględnić należy też ewentualnie docierające do liderów podziemia pogłoski o możliwej zmianie polityki władz, a także naciski Kościoła (problem wizyty Jana Pawła II).

Nie wszyscy jednak wiedzieli, że 13 lipca nie będzie obchodów kolejnej miesięcznicy. Jerzy Mohl: *Podczas jakiejś prywatki poznałem jednego z najlepiej zapowiadających się krakowskich zadymiarzy – Artka Koszykowskiego, nazywanego przez wszystkich „Słoneczko". Pseudonim zawdzięczał okrągłej, śniadej, wiecznie uśmiechniętej twarzy. Był bardzo wysoki jak na swoje 16 lat, miał ponad 190 cm, i jeśli chodzi o aktywność zadymiarską, to wykazywał swoiste ADHD. Kompan z niego był dobry, ale jego zamiłowanie do brawury, co można tłumaczyć wiekiem, czasami mogło narażać innych na niebezpieczeństwo, o czym już niebawem miałem się przekonać.*

Umówiliśmy się, że w dniu 13 lipca 1982 pojedziemy razem do Nowej Huty, i – jeśli demonstracja ruszy od strony Kombinatu – przyłączymy się do niej na osiedlu Szklane Domy. Nie pamiętam, gdzie był nasz punkt zborny, ale dotarliśmy w okolice skrzyżowania (dzisiaj alei Solidarności i ul. Struga). Nic nie zapowiadało, że jakakolwiek demonstracja może się odbyć, a mój kompan „nieco" rzucał się w oczy ze względu na swój wzrost i zbyt głośne komentarze dotyczące braku nadchodzącej zadymy.

W pewnej chwili ktoś chwycił mnie za łokieć, mówiąc: „Pan pozwoli z nami!". Wiedziałem, kto się tak zwykł zapowiadać, więc wykonałem półobrót w jego kierunku i zobaczyłem, że dwaj cywile trzymają „Słoneczko" pod ręce i ciągną go do samochodu. Wiedziałem, że teraz spróbują tego ze mną.

Na całe szczęście ja miałem jednego przeciwnika, co prawda wyższego ode mnie i nieco cięższego, ale podejrzewam, że nie miał mojej determinacji. Ponieważ wyswobodziłem się z jego chwytu za łokieć, facet postanowił, że złapie mnie oburącz za ubranie „za klapy", ale kiedy wyciągnął ręce, wykonałem zamach jak do „delfina" i uderzyłem go z całej siły w ręce na wysokości łokci. Uderzenie było tak silne, że zachwiał się i wydawało się, że upadnie, ale najwidoczniej miał o kilka receptorów równowagi więcej niż normalny człowiek. To moje uderzenie dało mi czas na odskok i zerwanie się do ucieczki.

Licząc się z tym, że jego koledzy mogą mu przyjść z pomocą, ruszyłem na środek skrzyżowania, od którego dzieliło mnie może 30-40 metrów. Ten esbek pobiegł za mną, bo widocznie postanowił się zrehabilitować przed kolegami za to, że nie zdołał mnie upolować. Na skrzyżowaniu było zielone światło dla aut jadących w stronę placu Centralnego oraz w przeciwnym kierunku, i chociaż to nie był ten ruch uliczny co obecnie, wtargnięcie pod koła jadących samochodów moje, a za mną funkcjonariusza władzy ludowej, o mało nie zakończyło się wypadkiem na dość dużą skalę. Samochody zaczęły hamować z piskiem opon, a ja gnałem, co sił w nogach, wykonując uskoki. Niestety, nie były one nagradzane przez kierujących brawami, a jedynie nerwowymi okrzykami i złorzeczeniem. Dyscyplina biegu z przeszkodami w sportach ekstremalnych nie była mocną stroną mojego prześladowcy, bo po drugiej stronie skrzyżowania miałem go z głowy.

Oczywiście, w tym dniu żadna demonstracja się nie odbyła i po pokręceniu się przez około godzinę w centrum Nowej Huty, wróciłem do domu.

Na drugi dzień spotkałem się przypadkowo ze „Słoneczkiem" na basenie i opowiedział mi, że jak go przywieźli do komisariatu na os. Zgody, to popełnili błąd przy wyładunku.

Przesadził maskę samochodu i uciekł im sprzed samego nosa. Początkowo wydawało mi się to mało prawdopodobne, ale kiedy zobaczyłem, jak biega Artur i jaką przeszkodę potrafi przesadzić na jeden raz, uznałem, że mogło tak być.

Wpadka drukarni przy ul. Findera

Najbardziej brzemienna w skutki dla krakowskiej KPN była trzecia wpadka (licząc od 13 grudnia 1981 r.) – wpadka drukarni w piwnicy przy ul. Findera (dziś ul. ks. Stefana Pawlickiego). Po kwietniowej wpadce u Andrzeja Załuskiego, właśnie tam Papież i Bik drukowali „Niepodległość".

Papież: *Drukarnię mieliśmy w piwnicy dwupiętrowego domu. Mieszkał tam mój znajomy, Wojtek Aleksandrowicz. Znaliśmy się od dziecka, więc miałem do niego pełne zaufanie. Wojtek z nami nie drukował i nie był zaangażowany w działalność polityczną. Jedynie udostępniał piwnicę, choć miał świadomość, co robimy. Brałem zawsze od niego klucze i otwierałem piwnicę. Rodzice Wojtka nie schodzili tam nigdy, byli schorowani i mało sprawni. Oczywiście, nie mieli pojęcia o drukarni KPN-u. Drukowałem sam od kwietnia do czerwca 1982. Czasami pomagał mi Marek Bik lub Witek Toś. Ponieważ oni nie znali się z Wojtkiem, nigdy nie brali od niego kluczy. Matryce dostawałem od Witka Tosia. Papier i farbę do drukowania załatwiał Marek Bik albo ja. Ramkę do drukowania wykonał Marek Bik.*

Meldunek kpt. Kulisia z 19 czerwca 1982 r.: *W dniu 19 czerwca 1982 poprzez kontakt operacyjny* [w terminologii SB oznacza to „jedną z kategorii tajnej i świadomej współpracy o uproszczonych procedurach związanych z pozyskaniem i prowadzeniem źródła, w l. 70. i 80. często stosowana wobec członków PZPR] *uzyskano informację wskazującą, że w piwnicy posesji nr 8 przy ul. Pawła Findera w Krakowie nieznani sprawcy posiadają nielegalną drukarnię, gdzie wykonują ulotki firmowane przez KPN. Na potwierdzenie swej informacji KO przekazał 4 egz. ulotek, sporządzonych na papierze formatu A-4 o różnej treści. Jak wynikało ze słów KO to w piwnicy tej adm*[inistracja] *w dniu 21 czerwca br. zamierzała przeprowadzić remont rur kanalizacyjnych, gdzie dokonywał inspekcji służbowej, w trakcie czego stwierdził, że wykonywane są tam ulotki, z których pobrał 4 egzemplarze (...).*

Z przesłuchania matki Wojciecha Aleksandrowicza (5 lipca 1982 r.): *Z piwnicy korzystał mój syn i sąsiad Dudek Józef. Klucz przeważnie znajdował się u nas w mieszkaniu. W piątek 18 czerwca zjawiło się u mnie dwóch mężczyzn i powiedzieli mi, że są hydraulikami i że będą robić hydrant do kropienia ulicy. Poprosiłam ich, by zobaczyli, czy nie można doprowadzić wody również do mojej piwnicy, a właściwie sutereny, gdyż wówczas mogła-*

bym w niej prać. Zgodzili się oglądnąć suterenę. Jako że nie miałam klucza i nie mogłam go nigdzie znaleźć, powiedziałam, by wyrwali skobel i weszli w ten sposób. Wyrwali skobel i weszli do sutereny. Panował w niej bardzo duży bałagan. Ściany były wówczas czyste. W suterenie znajdowały się różne rzeczy, między innymi: moje proszki do prania, stół, gruz po remoncie, jakieś szmaty, kanistry pana Dudka itp. Nie zauważyłam nigdzie śladów czarnej farby. W piątek po południu w dniu 18 czerwca, gdy syn przyszedł z pracy, powiedziałam mu, by poszukał klucza do piwnicy, gdyż hydraulicy mają przyjść ponownie w poniedziałek i mają coś tam robić z wodą. Wojtek powiedział mi, że poszuka klucza, lecz potem o tym zapomniał i zasnął.

Jak wynika z oświadczeń w protokole, złożonych przez świadków przeszukania piwnicy (byli to Aleksandra Aleksandrowicz i Józef Dudek) 19 czerwca rano ktoś zauważył w piwnicy hasła napisane na ścianie. Prawdopodobnie ten ktoś zawiadomił milicję.

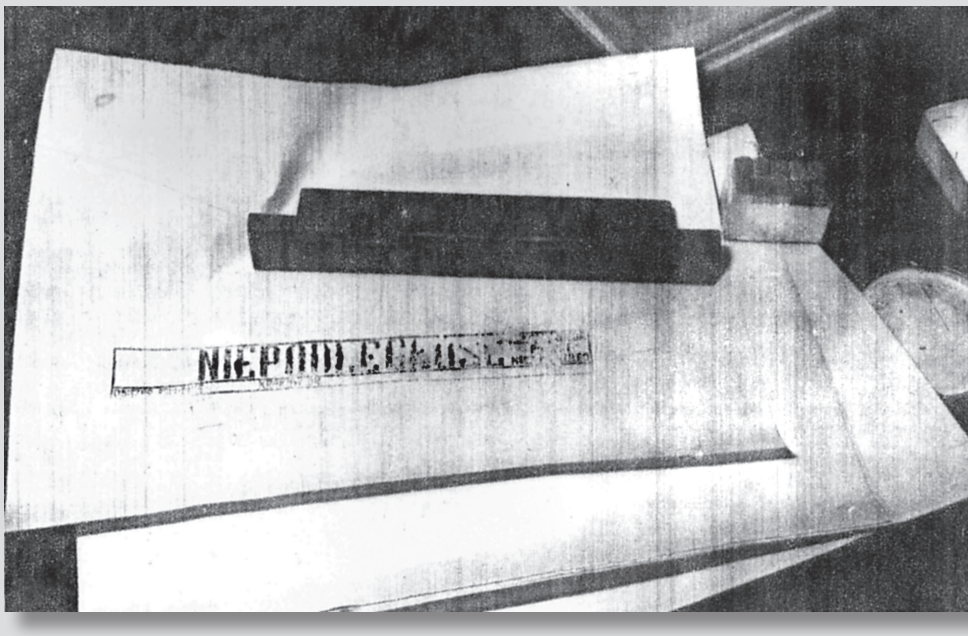


Napisy na ścianach piwnicy, gdzie znajdowała się drukarnia KPN. Bik: *W feralnym dniu, do południa byłem w piwnicy z chłopakami. Któryś z nich wymalował piwnicę antykomunistycznymi hasłami (pędzlem, czarną farbą). Te hasła na ścianie pewnie zwróciły uwagę sąsiada, który trzymał tam swoje rzeczy. Zostawiliśmy duży bałagan, przede wszystkim mnóstwo zadrukowanych częściowo kartek na podłodze. Ściany też były pomazane farbą. To był mój błąd. Z drugiej strony mieliśmy pecha. Gdyby ramka działała sprawnie i udałoby się nam wydrukować cały nakład, to byśmy jak zwykle ładnie po sobie posprzątali.*
SB: *W dniu 19 czerwca 1982 r. poprzez kontakt operacyjny uzyskano informację wskazującą, że w piwnicy posesji nr 8 przy ul. Pawła Findera w Krakowie nieznani sprawcy posiadają nielegalną drukarnię, gdzie wykonują ulotki firmowane przez KPN. Jak wynikało ze słów KO to w piwnicy tej administracja zamierzała przeprowadzić remont rur kanalizacyjnych, gdzie dokonywał inspekcji służbowej, w trakcie czego stwierdził, że wykonywane są tam ulotki, z których pobrał 4 egzemplarze.* Fot. SB

Z przesłuchania matki Wojciecha Aleksandrowicza: *W sobotę 19 czerwca przyszła do nas milicja i poprosili o klucz do piwnicy. Syn był wtedy w domu. Jako że klucza nie było w dalszym ciągu, milicja weszła do sutereny w ten sam sposób, co dzień wcześniej hydraulicy, czyli przy pomocy wyrwania skobla. Gdy weszliśmy do piwnicy, zostałam zaskoczona tym, co znajdowało się na ścianach. Było tam wiele napisów zrobionych czarną farbą. W pierwszej chwili nie wiedziałam co mam powiedzieć, po prostu „zgłupiałam".*

Papież: *Nie wiedziałem, że w tej piwnicy sąsiad Aleksandrowiczów trzymał jakieś rzeczy. Dowiedziałem się o tym później, gdy po wyjściu na wolność spotkałem się z Wojtkiem Aleksandrowiczem. Od niego dowiedziałem się, że ten sąsiad zadzwonił na milicję z informacją o naszej drukarni.*

Bik: *Byłem pewien, że lokal jest bezpieczny. Nie wiedziałem, że ktoś jeszcze korzysta z tej piwnicy poza nami. Gdybym wiedział, to byśmy tam nie drukowali, a na pewno nie zostawialibyśmy tam pieczątki z napisem „Niepodległość", którą skądś załatwił Witek Tukałło. Ta pieczątka okazała się później podstawowym dowodem w sprawie. Dzięki tej pieczątce wiedzieli, na co trafili. SB zorientowała się, że kto miał tę pieczątkę, ten kończył druk i puszczał bibułę w miasto. Gdyby nie ona, to można byłoby się wyłgać od wszystkiego.*



Pieczątka z napisem „NIEPODLEGŁOŚĆ". *Nie wiedziałem, że ktoś jeszcze korzysta z tej piwnicy poza nami. Gdybym wiedział, to byśmy tam nie drukowali., a na pewno nie zostawialibyśmy tam pieczątki z napisem „NIEPODLEGŁOŚĆ", którą skądś zaatwił Witek Tukałło. Ta pieczątka okazała się później podstawowym dowodem w sprawie. Dzięki tej pieczątce wiedzieli, na co trafili. SB zorientowała się, że kto miał tę pieczątkę, ten kończył druk i puszczał bibułę w miasto. Gdyby nie ona, to można byłoby się wyłgać od wszystkiego.* Fot. z akt sprawy karnej przeciwko Papieżowi i Bikowi.

Jak wynika z protokołu, przeszukanie w piwnicy Aleksandrowiczów przeprowadzili ppor. Leszek Szczepkowicz oraz sierż. Tadeusz Oleszak w sobotę, 19 czerwca 1982 roku o godzinie 18.00. Jak napisano w analizie SB z października 1982 r., stwierdzono, że *znajduje się tam papier oraz przybory do sporządzania ulotek w tym farba koloru czarne-*

go, pędzle, wałek, pieczątka z napisem „Niepodległość – Konfederacja Polski Niepodległej" oraz kilka luźnych ulotek. Ponadto znajdowała się tam garderoba, którą sprawcy używali przy wykonywaniu ulotek. Przedmioty te zostały zakwestionowane przez pracowników Wydz. Śledczego. W piwnicy na ścianach sporządzone były wrogie napisy jak „Wrona-skona", „PRL – fałsz, terror i obłuda", „KPN" itp., które zabezpieczono poprzez fotografię Wydz. Kryminalistyki tut. Komendy.

Papież: *Piwnica miała solidne ściany i drzwi. Miała małe okno, które wychodziło na ulicę. Wydawała mi się bezpiecznym miejscem. Gdy kończyłem (sam czy z Markiem Bikiem), to chowałem sprzęt do drukowania, przykrywałem go czymś. W feralnym dniu, do południa byłem w piwnicy z chłopakami. Któryś z nich wymalował piwnicę antykomunistycznymi hasłami (pędzlem, czarną farbą). Ja byłem temu przeciwny, ale nie miałem na to wpływu. Te hasła na ścianie pewnie zwróciły uwagę sąsiada, który trzymał tam swoje rzeczy.*

Bik: *Spieszyłem się na transmisję meczu Polska – Kamerun na mistrzostwach świata w Hiszpanii. Wyszedłem wcześniej. Zawsze wychodziliśmy osobno. Wziąłem ze sobą ramkę, którą miałem naprawić. Była tam jakaś usterka i drukowanie nam się tego dnia nie udawało. Zostawiliśmy duży bałagan, przede wszystkim mnóstwo zadrukowanych częściowo kartek na podłodze. Ściany też były pomazane farbą. Nie wiem, czemu Papież nie posprzątał piwnicy przed wyjściem stamtąd. Powinien to zrobić. Ale winę za to, że tam został bałagan, biorę na siebie. To był mój błąd. Z drugiej strony mieliśmy pecha. Gdyby ramka działała sprawnie i udałoby się nam wydrukować cały nakład, to byśmy jak zwykle ładnie po sobie posprzątali.*

Niezwłocznie po przeszukaniu w piwnicy funkcjonariusze SB zatrzymali Wojciecha Aleksandrowicza i przeprowadzili z nim nieformalną rozmowę. Z cytowanego już meldunku kpt. Kulisia: *Z uwagi na fakt, że ob. Aleksandrowicz posiadała syna Wojciecha, ur. [...] 1964 , kawaler, pracownik Krakowskiej Spółdzielni Mleczarskiej został on doprowadzony do tut. Wydziału, gdzie przeprowadzono z nim rozmowę operacyjno-wyjaśniającą, w trakcie której ten podał, co następuje. Faktycznie jego kolega Stanisław Papież od miesiąca kwietnia br. wykorzystywał ich piwnicę do sporządzania ulotek, w czym dorywczo mu pomagał. Wykonane ulotki przekazywał bliżej nieznanym osobom. Wszystkie przybory związane z wykonywaniem ulotek dostarczał Papież. Ostatnie ulotki wykonywali w dniu 17 czerwca, lecz z uwagi na zniszczoną już matrycę zaniechali w dniu tym ich sporządzania, gdyż ulotki wychodziły bardzo zamazane. W jakiej ilości i kiedy Papież wykonywał ulotki, tego nie potrafił określić, stwierdzając, że Papieżowi wypożyczył klucz do piwnicy, do której wchodził w dowolnym czasie, bez wzbudzania jakiegokolwiek podejrzenia, że się w niej znajduje. Jak stwierdzili rodzice Aleksandrowicza, co faktycznie potwierdzono w czasie śledczego przeszukania, ta piwnica praktycznie nie była przez nich używana, gdyż posiadali drugą, w której znajdował się opał i sprzęt domowy. Na powyższy temat Wojciech Aleksandrowicz sporządził własnoręczne oświadczenie, które potwierdził w dniu 20 czerwca w czasie przesłuchania na protokół.*

Bezpieka natychmiast zorganizowała kocioł.

Z cytowanej wyżej analizy z 10 października 1983: *Pracownicy uczestniczący w zasadzce w mieszkaniu i piwnicy Aleksandrowiczów zatrzymali Stanisława Papieża (...), który przybył do mieszkania Wojciecha Aleksandrowicza.*

Papież: *Ojciec Wojtka, który zwykle przesiadywał w oknie, zawołał mnie już na ulicy, żebym do nich przyszedł. I tak miałem taki zamiar, ale pewnie milicja, która – jak się okazało – była już u nich w mieszkaniu, kazała mu wypatrywać na ulicy drukarza. W kocioł nikt więcej nie wpadł.*

Pierwsze przesłuchanie Papieża na Mogilskiej nie przyniosło dla SB spodziewanych rezultatów. Jednak przeszukanie w mieszkaniu Papieża oraz skojarzenie przez SB posiadanych innych informacji pozwoliły jej mieć pewność, że Papież jest związany z KPN. Z cytowanego wyżej meldunku kpt. Kulisia: *W czasie przeprowadzonej rozmowy w tut. Komendzie, Stanisław Papież odmówił wyjaśnień na temat swej działalności na rzecz KPN, zaprzeczając, że sporządzał wrogie ulotki.*

Dokonane oględziny rąk wykazały, że pod paznokciami posiada widoczne ślady czarnej farby, którą zabezpieczono przez technika Wydz. Kryminalistyki.

W dn. 19 czerwca w mieszkaniu rodziców Papieża Stanisława przeprowadzono przeszukanie, w trakcie którego zakwestionowano kilka ulotek oraz czysty papier. Ojciec Stanisława Papieża oświadczył, że ulotki te faktycznie do ich mieszkania przyniósł jego syn Stanisław.

Z posiadanych informacji wynika, że St. Papież w dniu 13 kwietnia 1982 po wyjściu z Kościoła Mariackiego, w którym odbywało się nabożeństwo z okazji rocznicy wprowadzenia stanu wojennego, był zatrzymany przez prac. Wydz. III, przy którym znaleziono kilka ulotek KPN. Po rozmowie ostrzegawczej, w czasie której oświadczył, że ulotki wręczył mu NN mężczyzna po zakończonym nabożeństwie, został zwolniony.

Decyzją kierownictwa tut. Komendy tak Aleksandrowicz Wojciech, jak i Papież Stanisław zostali zatrzymani na 48 godzin aresztu.

Papież: *Na Mogilskiej najpierw zamknęli mnie w celi. Byłem sam.*

21 czerwca prokurator Marek Gąciarz przesłuchiwał Wojciecha Aleksandrowicza. Ten potwierdził to, co powiedział 19 czerwca funkcjonariuszowi SB. Zeznania Aleksandrowicza były sprzeczne z wyjaśnieniami Papieża. W zeznaniach tych nie było jednak mowy o jakichkolwiek innych osobach.

Z analizy por. Celbana, 21 czerwca 1982 r.: *w wyniku zeznań Wojciecha Aleksandrowicza prokurator w stosunku do Stanisława Papieża wszczął śledztwo w trybie doraźnym z art. 48 ust. 2 w związku z ust. 3 i 4 Dekretu o wprowadzeniu stanu wojennego z dnia 12 grudnia 1981* [Przypomnijmy, że zarzucany Papieżowi czyn był zagrożony karą więzienia od roku do lat 10]*, stosując jako środek zapobiegawczy – areszt tymczasowy.*

Prokurator Marek Gąciarz przesłuchał Papieża, który nie przyznał się do drukowania ulotek i nikogo nie obciążył. Zeznał, że pieczątkę z napisem „Niepodległość" znalazł w pudełku koło śmietnika wraz z kilkoma egzemplarzami pisma, którego winieta była stemplowana tą pieczątką. Wziął to do domu, a potem wpadł na pomysł, aby samemu sprawdzić, czy da się wydrukować podobne ulotki. Sam miał wykonać farbę, ramki i tylko jeden raz (17 czerwca), przez jedno popołudnie, wykonał niewielką ilość ulotek o takiej samej treści, jak te, które znalazł. Wedle jego słów było to zwykłe doświadczenie, a nie produkcja ulotek. Żadnych ulotek z piwnicy nie zabierał – wszystko, co wydrukował, zostało na miejscu. Twierdził, że działał zupełnie sam.

22 czerwca na Mogilskiej por. Marek Dwuraźny przeprowadził konfrontację Papieża z Aleksandrowiczem.

Z protokołu konfrontacji: *Wojciech Aleksandrowicz zeznaje: Znam stawionego mi w dniu dzisiejszym do konfrontacji Stanisława Papieża. Oświadczam, iż jest on moim kolegą. Stawiony mi do oczu w dniu dzisiejszym Stanisław Papież pierwszy raz stawił się u mnie po dniu 19 kwietnia 1982 i zapytał mnie o umożliwienie mi wypożyczenia piwnicy domu, w którym mieszkam w celu drukowania ulotek. Ulotki te drukował w mojej piwnicy w miesiącach: kwietniu, maju i czerwcu br. Zeznaję również, że w miesiącu kwietniu 1982 pomagałem Staszkowi Papieżowi przewozić paczki zawierające ulotki do mieszkania na*

Osiedle Piaski Wielkie lub Prokocim w Krakowie. W całości podtrzymuję zeznania złożone w dniu 21 czerwca 1982.

Podejrzany Stanisław Papież wyjaśnia: wyjaśnienia, które złożyłem w dniu wczorajszym w Wojskowej Prokuraturze Garnizonowej w Krakowie, po części mijają się z prawdą. Oświadczam, że w dniu dzisiejszym złożę dodatkowe wyjaśnienia dotyczące całej mojej działalności związanej z drukowaniem ulotek.

Z przesłuchania Papieża 22 czerwca: *Około miesiąca lutego, względnie marca 1982, dokładnej daty nie przypominam sobie, poznałem Marka Bika, zam. w Krakowie, przy ul.* […], *Marka Bika poznałem przez prawdopodobnie członka KPN, mężczyznę w wieku ok. 27, 28 lat, wysokiego, szczupłego bruneta o imieniu Witek, zam. w Nowej Hucie, os. 1000-lecia nr* […] *pierwsza klatka, III lub IV piętro* [...]. *Witka poznałem przez moją znajomą, Małgorzatę Szeremetę, zam. w Krakowie, na Woli Justowskiej, ul.* […], *numeru domu nie pamiętam. Cały sprzęt do drukowania w postaci ramek do powielania, zapisanej matrycy, papieru, farb dostałem od Marka, gdy skontaktowałem się z nim za pośrednictwem Witka* […]. *Raz drukowałem ulotki sygnowane „Niepodległość" z Markiem Bikiem. Drukowaliśmy ulotki w mieszkaniu mojego kolegi Grzegorza Szatana, zamieszkałego w Krakowie, os. Na Kozłówce nr* [...] . *Grzegorz o tym wiedział, był przy drukowaniu* [...]. *W zebraniach tych oprócz Bika i mnie uczestniczył chłopak o imieniu Krzysztof (nazwiska nie znam) oraz inni koledzy Bika, których imion i nazwisk nie znam.*

Papież: *Przesłuchiwało mnie dwóch esbeków. Nie pamiętam ich nazwisk. Jeden był spokojniejszy, a drugi, który co jakiś czas wchodził do pokoju, bardziej nerwowy. Grozili mi, że mnie pobiją. Grozili też, że mnie wyrzucą ze szkoły. Nie proponowali mi współpracy z SB. Podkreślali, że zostałem wrobiony w tę sprawę i poniosę karę za czyny innych. Przedstawili mi dość dokładnie strukturę krakowskiej KPN. Byłem przekonany, że mieli pełną wiedzę: kto, z kim i co robił. Wydawało mi się, że SB wszystko wie na nasz temat. Wymieniali nazwiska Bika i Tosia, wiedzieli, co każdy z nas robił. Odniosłem wrażenie, że oni wszystko wiedzą i chcą jedynie, abym im to potwierdził. W końcu tak zrobiłem.*

***

Czy SB mogła w połowie czerwca 1982 roku wiedzieć aż tyle o krakowskiej KPN, jak to twierdzi dziś Papież? Czy mogła wiedzieć o Biku i Tosiu?

Z meldunku por. Celbana z 28 czerwca 1982: *Na podstawie wstępnego przesłuchania w/w osób oraz posiadanych materiałów można przypuszczać, że chodzi tu o nową zakonspirowaną grupę KPN-u, nie związaną z dotychczas istniejącymi strukturami na terenie Krakowa. O istnieniu tej grupy może świadczyć fakt, że w dniu 13 kwietnia 1982 po Mszy Św. w Kościele Mariackim w Krakowie w intencji umiłowanej Ojczyzny* [sic!] *został zatrzymany podczas kolportażu ulotek pn. „Zomorządność", sygnowanych przez NSZZ Solidarność ob. Andrzej Załuski (…). W mieszkaniu zatrzymanego zostało przeprowadzone przeszukanie śledcze, w wyniku którego zakwestionowano następujące materiały: (…) „Niepodległość" nr 4/82, Konfederacja Polski Niepodległej, Kraków, dn. 12 kwietnia 1982 – Obszar południe (tytuł sporządzony w formie pieczątki, którą zakwestionowano u St. Papieża) (...).*

Plan z 7 lipca 1982: [W mieszkaniu Załuskiego] *zakwestionowano również maszynę do pisania marki „Olivetti", na której, jak stwierdzono, były sporządzane teksty ulotek (…) „Niepodległość" (…). W świetle przytoczonych dowodów stwierdzono, że istnieje organizacyjny związek między grupą Załuskiego a Papieża, co potwierdza zakwestionowana pieczątka oraz pismo maszynowe.*

[W mieszkaniu Tukałłów] *zakwestionowano schemat akcji kolportażowej ulotek w rozbiciu na poszczególne dzielnice administracyjne Krakowa. W schemacie tym figuruje skrót SIP, uwidoczniony na odzyskanych i zakwestionowanych ulotkach zatytułowanych „Niepodległość". W schemacie tym podany jest pseudonim „Igła", jako szef kolportażu oraz „Kasia", którzy do chwili obecnej nie zostali zidentyfikowani personalnie.*

Uzupełnienie do planu SOR „Konspiratorzy" z 31 lipca 1982: *Poprzez źródło operacyjne „Timur" otrzymano ulotki pt. „Niepodległość" nr 6/82 z dnia 26 kwietnia 1982, gdzie tytuł został odbity „metodą pieczątkową", identyczną jaką została odbita na ulotkach zakwestionowanych w mieszkaniu Załuskich. Z informacji przekazanych w dniu 30 kwietnia 1982 przez „Timura" wynika, że ulotki otrzymał do rozkolportowania od Witolda Tosia, który ma być szefem KPN-u na terenie Bonarki. Ma on ścisłe powiązania z działaczami NZS-u. Również do KPN-u mają należeć inni pracownicy Bonarki.*

Tak więc funkcjonariusz SB mógł rzeczywiście w czasie przesłuchania Papieża pierwszy wymienić nazwisko Tosia, mógł, jak to wspomina dziś Papież, opowiadać mu o „strukturze krakowskiej KPN", wymieniając pseudonimy „Igła" i „Kasia" oraz skrót SIP. Ale czy SB mogła kojarzyć z KPN Marka Bika? Przedstawione wyżej dokumenty o Biku nie wspominają. Wrócimy jeszcze do tej kwestii.

Bik: *Papież miał wtedy 17 lat. Zamknęli go. Znał nazwiska: Szatana, moje i Witka. Potem ja zostałem zatrzymany, a kilka dni później – Witek Toś. Młody Aleksandrowicz nie znał mojego nazwiska. Znał mnie po nazwisku Grzegorz Szatan, u którego drukowaliśmy wcześniej i którego wydał Papież.*

Papież powiedział to, co wiedział. Do tego zresztą ja się w końcu przyznałem. Za te ulotki wydrukowane u Szatana zostałem skazany... Nie wiem, jakie metody przesłuchania zastosowano wobec Papieża, jakie argumenty, ale mogli mu powiedzieć np. tak: „My wszystko wiemy. Chcesz brać całą winę na siebie? Wyjdziesz stąd za 7 lat, a oni w tym roku pojadą na wakacje. Tak, chcesz tego? Oni wszystko sypią". Wsadzili go do celi. Myślał, że będzie miał już spokój. A tu po chwili od nowa na przesłuchanie... I pewnie kazali mu po trzy razy to samo opowiadać. Nie wierzę w to, że SB znała nazwiska moje i Witka, jak podaje Papież. W zamian za to, że sypał, zmienili mu tryb. Jego sprawę wyłączono do osobnego rozpoznania. Nie był sądzony w trybie doraźnym (tak jak my), a w trybie doraźnym najmniejszy wyrok to były 3 lata.

Zeznania Papieża okazały się przełomowe w sprawie. To właśnie chciał podkreślić kpt. SB Antoni Krzyszkowski w analizie materiałów operacyjnych SOR „Konspiratorzy" z maja 1990 roku, pisząc: *Sprawa została założona 22 czerwca 1982* . Formalna data założenia sprawy jest o ponad dwa tygodnie późniejsza, jednak podstawą założenia sprawy były zeznania Stanisława Papieża z 22 czerwca.

***

Duże szczęście mieli Agata Michałek i Wojciech Słowik, którzy także drukowali w piwnicy Aleksandrowiczów. Wydaje się, że SB nie miała wiedzy na ich temat.

Wojciech Słowik: *Naśmiewali się ze mnie, bo ja jako jedyny miałem gumowe rękawiczki. Starałem się nie zostawiać śladów po sobie. Drukowaliśmy na zwykłej ramce. Jakieś dwa tygodnie później, gdy mnie tam nie było, była wsypa. Na szczęście Staszek nie znał mojego nazwiska, choć podał mój rysopis i imię – „Wojtek". W ten sposób uniknąłem tego, co spotkało Marka Bika. Wszystko skrupiło się więc na Marku i na Tosiu, którego ja wtedy nie znałem.*

Jednak, jak wynika z notatki por. Celbana z 20 stycznia 1984 roku, której jeden egzemplarz przesłano WSW, SB miała latem 1982 roku informacje o współpracy Agaty Michałek z KPN. *W/w pozostawała w naszym* [tj. Służby Bezpieczeństwa] *zainteresowaniu od miesiąca sierpnia 1982. Z uzyskanych wówczas informacji wynikało, że utrzymywała kontakt organizacyjny z Witoldem Tosiem, Markiem Bikiem i Stanisławem Papieżem – członkami tajnych struktur KPN. Z informacji tych wynikało, że jest ona córką komisarza wojskowego. Wykorzystując ten fakt, miała ona przepisywać dla potrzeb KPN-u instrukcje dla komisarzy wojskowych. Ponadto brała aktywny udział w kolportażu ulotek wykonywanych przez KPN.*

***

Przesłuchanie Papieża 22 czerwca trwało ponad 2 godziny i zakończyło się, jak wynika z protokołu, o 14.25. Z nieznanych powodów esbecy nie zatrzymali tego samego dnia osób, których nazwiska i adresy podał Papież. Także kolejnego dnia kontynuowano przesłuchanie Papieża, nie decydując się na „finalizację sprawy".

Papież: *Na drugi dzień przesłuchiwali mnie dwa razy.*

Rzeczywiście, w aktach znajdują się dwa protokoły przesłuchania Papieża datowane 23 czerwca. Wynika z nich, że pierwsze przesłuchanie rozpoczęło się o godzinie 12 i trwało 2,5 godziny, a drugie rozpoczęło się o godzinie 19. Bezpieka musiała dokładnie wypytywać Papieża o Jacka Szeremetę (ojca Małgorzaty), który był znany bezpiece jako nauczyciel zaangażowany w działalność „Solidarności" i stąd pewnie obszerne zeznania Papieża o znajomości z ojcem Małgorzaty Szeremety. Papież zeznał, że poznał Jacka Szeremetę na przełomie października i listopada 1981 roku na jakiejś imprezie kulturalnej, którą Szeremeta nagrywał. Papież przegrał potem na swój magnetofon zapis tej imprezy. Było to w mieszkaniu Szeremety. Papież podał SB opis położenia tego mieszkania (nazwa ulicy, niski numer domu, „prawdopodobnie numer 4", mieszkanie na parterze). W czasie kolejnej wizyty u Szeremety, Papież poznał jego córkę, którą potem odwiedzał w jej mieszkaniu na Woli Justowskiej. W styczniu 1982 roku Szeremeta zaproponowała Papieżowi zapoznanie z Witkiem, który działał w KPN. Do spotkania doszło na placu Wolności. Potem było kolejne spotkanie w tym samym miejscu (już bez Szeremety), a następnie Witold Toś dał Papieżowi swój adres w Hucie. Tam spotkali się dwa razy, po czym Toś dał Papieżowi adres Marka Bika, który też „coś wie o KPN" i zachęcił Papieża do kontaktu z nim.

Bik z Papieżem spotkali się w kwietniu 1982 roku, z tym że obaj znali się już wcześniej z widzenia, bo brali udział w mszach patriotycznych w kościele Mariackim. W czasie kolejnego spotkania Bik zaproponował Papieżowi druk „Niepodległości" („Powiedział, że obecnie ma maturę w swojej szkole i musi się uczyć, w związku z czym pisemka nikt nie drukuje"). Papież zgodził się. Bik poprosił też Papieża, aby ten znalazł lokal do drukowania. Papież wskazał piwnicę rodziców swojego kolegi – Wojciecha Aleksandrowicza, który był chętny do pomocy. Sprzęt do drukowania i zapisane matryce dawał Papieżowi Bik. Raz były to czyste matryce i teksty na kartce, które Papież sam wpisał na swojej maszynie do pisania.

Papież wydrukował trzy numery „Niepodległości" w kwietniu, maju i czerwcu 1982. Wydrukowany nakład odnosił do mieszkania Bika. W mieszkaniu Bika spotkał jeszcze kilka innych osób, ale znał tylko imię jednego z nich – „Krzysztofa", którego bliżej poznał. Raz spotkał przypadkowo na ulicy Jacka Szeremetę i wtedy poznał idącego z nim jego ucznia Grzegorza Szatana. Papież potem kilka razy spotkał się z Szatanem.

Powiedział mu, że drukuje „Niepodległość" i w końcu dał mu paczkę, w której było około 50 egzemplarzy pisma.

***

Dopiero następnego dnia (tj. 24 czerwca) bezpieka przystąpiła do przeszukań i zatrzymań osób, których nazwiska i adresy zostały zapisane w protokole przesłuchania Papieża. Był to już piąty dzień od wpadki przy ul. Findera. Niestety, w tym czasie Bik nie szukał kontaktu z Papieżem (w przeciwnym razie dowiedziałby się może o tym, że jest wpadka i „wyczyściłby" mieszkanie), bo umówili się, że to Papież zgłosi się do Bika po naprawioną ramkę do druku. Z tego powodu ramka była w mieszkaniu Bika, gdy przyszła do niego bezpieka.

24 czerwca 1982 roku o godzinie 6.40 SB przeprowadziła równoczesne przeszukania i zatrzymania w mieszkaniach związanej z tą sprawą czwórki: Marka Bika, Witolda Tosia, Małgorzaty Szeremety oraz Grzegorza Szatana. Tego dnia w południe zatrzymano jeszcze jedną osobę i przeszukano jeszcze jedno mieszkanie.

W akcji w mieszkaniu Marka Bika brało udział dwóch kapitanów SB: Henryk Sieniek oraz Edward Wróbel. Bik został zatrzymany. 20-letni maturzysta miał wrócić do domu dopiero po 14 miesiącach.

Bik: *Przyszli do mnie 24 czerwca 1982 po 6 rano. Rewizja trwała do 13. Rodzice poszli do pracy. Esbeków było kilku. Jeden z nich był tam na jakiejś praktyce. Wcześniej chodził z nami do szkoły (o klasę lub dwie wyżej). Siostra go poznała i powiedziała mu „Masz przewalone!". Inni esbecy chyba tego nie usłyszeli. Ten młody esbek chodził ze mną i wszystko, co znajdował, to ukrywał. Na przykład jak znalazł pod wanną tę ramkę, którą przyniosłem do domu, żeby ja naprawić, to schował ją z powrotem. Albo jak znalazł bibułę w książce, to przekładał do innej książki, już sprawdzonej. Ale za tym młodym szło dwóch starszych (widać nie ufali sobie i chcieli go sprawdzić) i wszystkie rzeczy, które on ukrył, znaleźli ponownie. Jednym z tych dwóch esbeków był Edward Wróbel.*

Rewizja była bardzo dokładna, przesuwali meble i zaglądali do zamrażalnika w lodówce. Sprawdzili nawet toaletę. Wróbel podwinął rękaw i włożył rękę do kibla aż po łokieć. Pogrzebał starannie w syfonie w muszli, wyjął, otrzepał, i nie myjąc nawet ręki, odwinął rękaw i zapiął. Wtedy pomyślałem, że jeśli mają takich ludzi więcej, to nie mamy z nimi szans!

Zabrali mnie i siostrę na Mogilską. Ją zwolnili po przesłuchaniu, a ja trafiłem do aresztu. Wiedziałem, i oni wiedzieli, że moja sytuacja jest trudna, bo znaleźli u mnie sprzęt do druku. Odmawiałem składania zeznań. Wiedziałem, że nie mogę nic mówić. Swojej sytuacji nie mogłem już poprawić. Najważniejsze było, żebym nikogo nie wydał.

Czuć było, że esbecy mają świadomość sukcesu. Wobec mnie byli bardzo mili i uprzejmi. Zero agresji. Mówili mi per „pan". Traktowali mnie nie jako wroga, ale jako zdobycz. Jak puchar, który zdobyli. Nie ujawniali, że coś wiedzą na mój temat. Dawali mi szansę, żebym sam coś im powiedział. Przesłuchiwali mnie przy otwartych drzwiach. Ciągle przychodził ktoś, żeby mnie zobaczyć. Były takie długie chwile przerwy. Na przykład przez pół godziny byłem z jednym facetem w pokoju i nic się nie działo. On pilnował mnie, chyba po to, żebym przez okno nie wyskoczył. Ja go pytałem na przykład: „Można gdzieś tutaj kupić papierosy?". On coś odpowiedział. I nic się nie działo. Próbował mnie też przesłuchiwać jakiś ważniejszy sbek (że jest ważniejszy, poznałem po zachowaniu innych esbeków wobec niego), trochę szpakowaty. Ubrany był porządnie, trochę tak w angielskim stylu (miał brązową marynarkę sztruksową z irchowymi łatami na łokciach – mało kto wtedy tak się

ubierał). Na początku rozmowy powiedział: „Oczywiście pan odmawia składania zeznań? Widzę, że z panem łatwo nie będzie". Wyglądało to tak, jakby mu nie zależało, abym szybko zaczął mówić. Nie było w nim żadnej natarczywości. Jak patrzyłem w okno w czasie rozmowy, to pytał: „Co wybiera pan drzewo, na którym chciałby mnie pan powiesić?". Takie stosowali zabawy. Dawali mi do zrozumienia: „Mamy cię! Skończyła się zabawa!". Wydawali się pewni, że wszystko ze mnie wyciągną, że jest to tylko kwestia czasu. Ponieważ Staszek Papież zaczął sypać, SB miała wystarczającą wiedzę. Teraz przypuszczam, że SB była pewna, że mnie złamie na Monte. Cały czas pamiętałem, co o metodach UB opowiadał mi Mietek Majdzik na Marszu w 1981 roku. Obawiałem się, że i wobec mnie zastosują podobne metody. Na szczęście do tego nie doszło. W tym sensie trochę SB mi pomogła, nie dociskając mnie na samym początku. Po paru godzinach zacząłem już tęsknić za tym, żeby znaleźć się w celi. Mimo łagodnej formuły przesłuchania, byłem cały czas napięty i czekałem, kiedy zabawa w „dobrego policjanta" się skończy... Potem dowiedziałem się, że tego samego dnia (i to niedaleko od ul. Findera, bo przy moście Dębnickim) SB złapała Stanisława Handzlika. Może dlatego w tym dniu było święto w krakowskiej bezpiece?

Notatka służbowa por. Dwuraźnego z rozmowy przeprowadzonej 24 czerwca 1982r. z Markiem Bikiem:

- *Nie mam nic do powiedzenia w sprawie tego, że drukowałem ulotki.*
- *Czy prowadził Ob. działalność w formie drukowania ulotek, kolportażu ich itp. po dniu 13 grudnia 1981?*
- *Odmawiam udzielenia odpowiedzi.*
- *Czy Ob. jest w dalszym ciągu aktywnym członkiem KPN?*
- *Nie, nie jestem.*
- *Czy Ob. może powiedzieć, skąd znalazła się u Ob. w mieszkaniu sitoramka?*
- *Wykonałem ją sam.*
- *W jakim celu wykonał ją Ob.?*
- *Odmawiam udzielenia odpowiedzi na to pytanie.*
- *Czy Ob. brał udział w wydawaniu lub kolportowaniu pisemka KPN „Niepodległość"?*
- *Odmawiam udzielenia odpowiedzi na to pytanie.*

Marek Bik: *Wieczorem wylądowałem w celi na Mogilskiej. Była pełna, wraz ze mną – cztery osoby. Współwięźniami byli złodzieje. Jeden, pamiętam, był leśnikiem i ukradł jakieś drewno z lasu. Inny wypytywał mnie ciągle, ale mu nic nie mówiłem. Nie było pościeli, tylko brudne koce, które dawali nam na noc. Na noc oddawało się okulary i ubrania na korytarz. Przed wpuszczeniem mnie do celi, zabrali mi pasek i sznurówki do butów. Na Mogilskiej i na Monte siedziałem w cywilnym ubraniu. W celi za ubikację służyła „bomba", czyli nieosłonięte wiadro. Chyba dopiero na drugi dzień wzięli mnie na pobranie odcisków palców.*

Z zapisów w książce wydarzeń aresztu KW MO przy ul. Mogilskiej wynika, że Marek Bik został przyjęty do aresztu (cela nr 2) 24 czerwca o godzinie 13.00. W celi było już trzech więźniów, w tym co najmniej jeden agent.

Akcją w mieszkaniu ucznia XV LO Grzegorza Szatana kierował ppor. Szczepkowicz. Znaleziono po jednym egzemplarzu: „Niepodległości" (nr 3), „Opinii Krakowskiej" (nr 26), „Aktulaności" i „Biuletynu Małopolskiego" oraz kilkadziesiąt różnych ulotek.

Jak wynika z notatki urzędowej ppor. Szczepkowicza, w czasie nieformalnego przesłuchania 24 czerwca 1982 roku, Szatan początkowo niewiele powiedział: *Stanisława Papieża znam mniej więcej od marca tego roku. Poznałem go pod jego szkołą, na ulicy Manifestu Lipcowego. Wiem, że chodzi do liceum do Pijarów. Poznanie to nastąpiło*

w taki sposób, że ja szedłem z moim profesorem Szeremetą, nauczycielem matematyki. Papież nas zobaczył i podszedł. Znali się oni wcześniej i dlatego Staszek podszedł do nas. Gdy doszliśmy do Alei Mickiewicza, Staszek wsiadł do autobusu i odjechał. Drugi raz spotkaliśmy się przypadkowo. Prawdopodobnie miało to miejsce na UJ, na wykładzie ks. prof. J. Tischnera. Potem spotkaliśmy się przypadkowo kilka razy, a raz umówiliśmy się pod „Cracovią". W trakcie tego spotkania rozmawialiśmy na luźne tematy związane ze stanem wojennym. Staszek miał bardzo dobre wiadomości, nie pytałem się, skąd wie tyle ciekawych rzeczy (...). Ostatni raz widziałem go w piątek, w ubiegłym tygodniu, na Błoniach na koncercie. Czasami Staszek dawał mi czasopismo „Niepodległość" w ilości kilku sztuk, które rozdawałem znajomym. Nie wiem nic więcej na temat Stanisława Papieża. W niedzielę dowiedziałem się od ks. Tischnera, na mszy, że była u niego matka Staszka i powiedziała mu, że syn nie wrócił na noc do domu i była u nich w mieszkaniu rewizja.

Coś musiało się następnie wydarzyć w czasie tego nieformalnego przesłuchania (prawdopodobnie esbek pokazał lub przeczytał Szatanowi zeznania Papieża i zagroził mu, że jeśli nie powie wszystkiego, to cała wina spadnie na niego) i Szatan zaczął mówić więcej: *W tym miejscu pragnę uzupełnić swoje wyjaśnienia. Daty w tej chwili nie pamiętam dokładnie, lecz było to chyba w połowie kwietnia. Spotkałem się wtedy ze Staszkiem Papieżem na Błoniach i zaproponował mi on, a właściwie poprosił mnie czy by nie mogli przyjść do mnie na kilka dni, żeby wydrukować trochę ulotek. Nie mówił przy tym, kto ma przyjść i co będzie drukowane. Powiedzieli tylko, że „mamy okres przejściowy i nie mamy gdzie drukować". Za parę dni coś znajdą i wtedy przestaną korzystać z mojej pomocy. Wyraziłem na to zgodę, nie zastanawiając się zbytnio nad konsekwencjami, jakie z tego mogą wyniknąć dla mnie. W kilka dni po tej rozmowie widziałem się ze Staszkiem Papieżem i powiedział mi, że przyjdą do mnie w sobotę. Tak, jak powiedział, w najbliższą sobotę po tej rozmowie zjawił się u mnie wraz z nieznanym mi chłopakiem w wieku około 22 lat, wysokim, z brodą i z wąsami* [Prawdopodobnie był to Bogdan Długogórski]. *„Brodacz" przedstawił mi się jako Zbyszek, lecz nie sądzę, żeby to było jego prawdziwe imię. Gdybym go zobaczył, poznałbym go na pewno. Zjawili się, jak już powiedziałem w sobotę około godziny 10 rano, w tym czasie nie było w domu rodziców. Poprosili, bym im wstawił do swojego pokoju stół i zaczęli drukować ulotki. Mieli ze sobą cały sprzęt potrzebny do drukowania ulotek oraz papier. Robili to na zmianę w ten sposób, że kładli na matrycę czysty papier i wałkiem przejeżdżali po nim, po czym odkładali na bok. Przebywali wtedy u mnie do godziny 17. Wiedziałem, że rodzice mogą przyjść około godziny 19, więc byłem spokojny. Staszek Papież razem z „Brodaczem" drukowali ulotki bez przerwy, czyli przez około 6-7 godzin. Wydrukowali stos ulotek mniej więcej na wysokość 17-18 centymetrów. Nie wiem, ile ich było dokładnie, lecz wydaje mi się, że chyba około 1000 sztuk. Przyglądałem się ich pracy, lecz w niczym im nie pomagałem. Przeczytałem tylko treść tych ulotek. Zawierały one różne wiersze. Całość zatytułowana była „Opinia Krakowska".*

Na kolejne drukowanie zjawili się u mnie za tydzień w sobotę i w niedzielę. Również wtedy nie było rodziców w domu. W sobotę zjawił się ponownie Staszek z „Brodaczem", który był wcześniej. Byli tylko około 3 godzin, gdyż coś się im zepsuło. Przyszli ponownie na następny dzień, w niedzielę, tylko że było ich już trzech. Dołączył do nich chłopak średniego wzrostu, blondyn, do którego zwracali się „Mały" [Chodzi o Marka Bika]. *Jako że musiałem wyjść, zostawiłem ich samych w mieszkaniu. Nie było mnie przez około 2 godziny. Gdy wróciłem około 12 w południe, już kończyli drukowanie. Nie widziałem, ile wydrukowali ulotek w niedzielę. Powiedzieli, że nie będą już u mnie drukować. Sprzeciwiłem się zresztą temu. Poprosili mnie więc tylko, bym przechował cały sprzęt łącznie*

z ulotkami przez około 3 dni i mieli się po niego zjawić w środę. Nie przyszli w środę, a dopiero na początku maja przyszedł Staszek i „Brodacz" i zabrali wszystko, co u mnie zostawili. Od tego czasu więcej u mnie nie byli. Jeszcze tego samego dnia Szatan potwierdził to wszystko, zeznając do protokołu.

2 lipca 1982 roku podczas przesłuchania przez por. Szczepkowicza, Papież potwierdził drukowanie „Opinii Krakowskiej" wraz ze „Zbigniewem" w mieszkaniu Szatana. Podał, że „Zbigniewa" (który nosił brodę, studiował na jednej z krakowskich uczelni i był kolegą Witka) poznał przez Bika, a „Zbigniew" i Szatan zwracali się do Bika „Mały".

***

Akcją w mieszkaniu rodziców Witolda Tosia kierował Jerzy Stachowicz. SB zastała na miejscu tylko ojca Tosia oraz jego siostrę – Annę. Podczas pobieżnego przeszukania niczego nie znaleziono. Anna Toś: *Pytali o brata. Powiedzieliśmy im, że Witek trzy tygodnie wcześniej wziął ślub i mieszka u teściów. Może tam pojechali. Ale naprawdę Witek wraz z żoną zamieszkali po ślubie na działce na obrzeżach Krakowa. To był ich miodowy miesiąc. Witek chyba wziął wtedy urlop z pracy. Dlatego nie mogli go znaleźć ani u nas, ani u jego teściów, ani w pracy. Kilka godzin po wizycie SB pojechałam do Witka i Marysi na działkę. Powiedziałam im, że byli po Witka. Był bardzo poruszony. Wiem, że poszedł później zakopać w lesie jakąś walizkę z materiałami. Po kilku dniach wrócił jednak do mieszkania rodziców Marysi. Ukrywanie się w jego sytuacji było bez sensu.*

24 czerwca rano SB usiłowała także zatrzymać Małgorzatę Szeremetę w jej mieszkaniu w domu na Woli Justowskiej.

Małgorzata Szeremeta: *Gdy przyszli do mojego domu, zastali Krzysztofa Stolarczyka i Elżbietę Tyrkę. Elżbieta była moją koleżanką z licealnej ławy. W maturalnej klasie mieszkała u mnie, bo w ten sposób wraz z rodzicami mogliśmy stworzyć jej lepsze warunki do nauki, w porównaniu z tymi, jakie miała w swoim domu. Byłyśmy ze sobą bardzo zżyte. Elżbieta formalnie nie należała do KPN, natomiast chętnie nam pomagała. Elżbietę spisali, a Krzysztofa zabrali na Mogilską. Przebywał tam chyba dłużej niż 48 godzin, bo w tym czasie moja mama zastąpiła go w roli opiekuna mojego psa. Elżbieta prawdopodobnie w ogóle nie była przesłuchiwana.*

Stolarczyk: *Bezpieka zgarnęła mnie w domu Małgorzaty Szeremety na Woli Justowskiej. Zabrali też Elżbietę Tyrkę – naszą koleżankę, która również tam była. Kiedy się dowiedziała o tym jej matka, to przyjechała na Mogilską i zrobiła taką rozpierduchę, że Elę zaraz zwolnili.*

Jak mnie wtedy przesłuchiwali na Mogilskiej, to bawili się w dobrego i złego policjanta. Jeden był grzeczny, a drugi, taki z brodą, groził mi pistoletem. Wtedy SB usiłowała mnie zwerbować, ale odmówiłem. Na pewno niczego nie podpisałem poza zeznaniami.

W południe 24 czerwca SB zatrzymała ojca nieobecnej Małgorzaty Szeremety – Jacka. Zatrzymanie nastąpiło w szkole, w trakcie zajęć lekcyjnych, na oczach uczniów. Po krótkiej rozmowie w gabinecie dyrektora, esbecy pojechali z Szeremetą do jego mieszkania, gdzie przeprowadzili przeszukanie.

W uzupełnieniu do planu SOR „Konspiratorzy" z 31 lipca 1982 roku, kpt Andrzej Więckowski napisał, że przeszukanie w mieszkaniu Szeremety *potwierdziło na podstawie znalezionych u niego materiałów jego powiązanie z działalnością opozycyjną w KPN i innych ugrupowaniach politycznych działających po 13 grudnia 1981.* U Szeremety znaleziono spore ilości pojedynczych egzemplarzy różnych wydawnictw podziemnych oraz maszynę do pisania.

Jacka Szeremetę przewieziono na Mogilską, gdzie por. Szczepkowicz przesłuchiwał go do późnych godzin nocnych.

Z notatki urzędowej z rozmowy ppor. Szczepkowicza z Jackiem Szeremetą 24 czerwca: *Wszystkie rzeczy znalezione u mnie w mieszkaniu są różnego pochodzenia; można powiedzieć, że z różnych źródeł. Można je otrzymać będąc w różnych środowiskach. Np. 13 czerwca br. byłem na rozpoczęciu uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego* [kościoła] *w Łobzowie i tam zaopatrzyłem się w większą ilość różnej literatury, którą rozdawali różni nieznani mi ludzie. Tak samo dzisiaj w nocy będąc na dworcu, gdzie odprowadzałem swoją krewną do pociągu, otrzymałem od bliżej nieznanego mi studenta ulotkę, której nawet nie zdążyłem jeszcze przeczytać. Tak więc okazji do zebrania takiej ilości różnej literatury bezdebitowej jest bardzo dużo. Jako że uważam się za intelektualistę, pisane słowo musi być przez mój umysł dokładnie analizowane. Nie zbieram tego absolutnie w celu rozpowszechniania.*

Znam chłopca o nazwisku Szatan Grzegorz – jest on uczniem mojego liceum (...). Pożyczałem mu czasem książki z zakresu filozofii, jako że ma on zamiar w przyszłości studiować ten kierunek na UJ. Książek bez debitu nie pożyczałem nigdy Grzegorzowi ani innym uczniom. Jestem pewien, że nie posiadam w swoim zbiorze nic, co by mi dał Grzegorz. Nie znam natomiast chłopca o nazwisku Papież Stanisław i nigdy nie miałem z nim do czynienia. Często nagrywałem wiele imprez na taśmę magnetofonową i udostępniałem potem tę taśmę innym ludziom, którzy się do mnie zgłaszali. Tak mogło być i w przypadku Papieża Stanisława (...).

Około północy Jacek Szeremeta został zwolniony z Mogilskiej i wraz z ciężką maszyną do pisana, którą mu oddano, wrócił piechotą do domu.

***

Kolejnego dnia, 25 czerwca 1982 roku, mjr SB Jan Nogieć (naczelnik Wydziału Śledczego) wystąpił do Wojskowej Prokuratury Garnizonowej w Krakowie o przedstawienie zarzutów Markowi Bikowi i o areszt dla niego. Tego samego dnia wiceprokurator kpt. Marek Gąciarz wydał postanowienie o wszczęciu śledztwa przeciwko Markowi Bikowi w trybie doraźnym i powierzył prowadzenie tego śledztwa KW MO w Krakowie (czyli SB). Wydał też postanowienie o tymczasowym aresztowaniu Bika na trzy miesiące. Co ciekawe (i niezgodne z prawem) postanowienie prokuratora nie zawierało uzasadnienia.

Bik: *28 czerwca 1982 był mecz Polska – Belgia. W celi nie można było mieć zapałek, i żeby zapalić papierosa, należało „siadać na klapę", czyli dzwonić po strażnika. Wtedy przychodził profos (tak się mówiło na klawiszy w aresztach milicyjnych) i dawał ognia. Jak był złośliwy, to przychodził dopiero po pół godziny. Myśmy co jakiś czas prosili profosa o ogień, a przy okazji pytaliśmy go o wynik meczu. Niestety, trafiliśmy na złośliwego strażnika, bo cały czas mówił, że jest 1:1. Słyszeliśmy okrzyki z koszar zomowskich, które były w pobliżu i po tych okrzykach, po sposobie wyrażania emocji, zorientowaliśmy się, że nasi strzelili trzy bramki. O 22 była zmiana klawiszy i nowy strażnik podał nam wynik meczu – 3:0 dla Polski.*

Wcześniej, tego samego dnia (28 czerwca) o godzinie 12.45, SB przeprowadziła przeszukanie w mieszkaniu teściów Tosia, gdzie zastali także samego Tosia, który został zatrzymany. W akcji brali udział m.in. ppor. Szczepowicz i insp. Zdzisław Celban. Znaleziono jedynie pojedynczy egzemplarz „Biuletynu Małopolskiego".

Witold Toś
„Agonia”

zmarła we mnie
cisza kwiatów
i wtedy zrozumiałem

w powietrzu usnęły pulsy wiatrów
wzgórza runęły złą lawiną
w skalne trawy czasu

gdy oddech przestał
się wdzięczyć do lustra
i wyrwanym frazom zamknąłem
powieki

zadrgały szyby
chrzęstem gąsienic
ulica zachichotała policyjnym sygnałem
k r o k i n a s c h o d a c h . . .

***

Następnego dnia, 29 czerwca 1982 roku, Tosiowi postawiono zarzuty i zastosowano wobec niego areszt tymczasowy. Pod oboma postanowieniami podpisał się tym razem prokurator wojskowy płk Jerzy Drabik. I tym razem postanowienie o tymczasowym aresztowaniu faktycznie nie zawierało uzasadnienia.

Notatka urzędowa z rozmowy przeprowadzonej 29 czerwca przez ppor. Szczepkowicza z Witoldem Tosiem: *Nie wiem, z jakiego powodu znalazłem się na KW MO w Krakowie. Nie drukowałem nigdy żadnych ulotek, ani też nikogo do tego nie namawiałem. Nie należę do KPN. Przed 13 grudnia 1981 byłem tylko sympatykiem tego związku. Nie znam Marka Bika ani też Stanisława Papieża. Nazwisko Szeremeta również nic mi nie mówi. Znałem dziewczynę o imieniu Małgorzata, lecz nie znałem jej nazwiska. Zanim się ożeniłem, chodziłem z nią przez krótki czas. Wiem, że mieszka na Woli Justowskiej, prawdopodobnie na ul. Kasztanowej. To wszystko, co mogę powiedzieć Tw powyższej sprawie.*

Ponieważ *w toku prowadzonego śledztwa Marek Bik i Witold Toś odmówili złożenia zeznań na okoliczność swojej działalności w KPN* (analiza z 10 października 1983), SB zdecydowała się niezwłocznie przewieźć ich do aresztu śledczego.

W książce wydarzeń aresztu przy ul. Mogilskiej pod datą 30 czerwca 1982 roku jest zapis, że o godzinie 8.30 „ubył ze wszystkim Marek Bik”. Kwadrans później zabrano z Mogilskiej na Monte także Handzlika, zatrzymanego tego samego dnia, co Marka Bika (o godzinie 8.45 – „ubył ze wszystkim Stanisław Handzlik”).

Mimo że na nakazie przyjęcia Witolda Tosia do aresztu śledczego w Krakowie napisano: „podejrzany nie może stykać się ze Stanisławem Papieżem i Markiem Bikiem”, Bik i Toś zostali przewiezieni do aresztu w tym samym samochodzie. Albo było to karygodne, z punktu widzenia SB, niedbalstwo funkcjonariuszy, albo była to jakaś kombinacja operacyjna, której sens nie jest dla nas jasny. Może w samochodzie milicyjnym był podsłuch?

Bik: *Wsadzili mnie do zakratowanej milicyjnej nysy, a po chwili drzwi się otworzyły i do tej samej nyski wsadzono Witka! Wtedy dopiero zorientowałem się, że on siedzi. W samochodzie nie było nikogo więcej. Zaczęliśmy ostrożnie rozmawiać: „Od kiedy siedzisz?”. Ustaliliśmy, że obaj mamy ten sam zarzut. Schyliliśmy się, niby wiążąc sznurowa-*

dła, i po cichu ustaliliśmy wersję, że znamy się z Zarządu Regionu i z działalności KOWzaP-u, ale po 13 grudnia nie kontaktowaliśmy się ze sobą.

Papież: *W areszcie na Mogilskiej siedziałem trochę ponad miesiąc. W tym czasie byłem codziennie przesłuchiwany, jeden lub dwa razy dziennie. Długi czas nadal siedziałem sam. Potem siedziałem z jakimś kryminalnym.*

Z zachowanych akt KW MO wynika, że rano 30 czerwca Papież został przewieziony do aresztu przy Montelupich, ale Papież temu zaprzecza i stanowczo twierdzi, że cały okres śledztwa przesiedział na Mogilskiej. Albo Papież nie mówi prawdy (ale dlaczego miałby to robić w tej sprawie?), albo dokumenty milicyjne dotyczące ruchu więźniów między aresztem milicyjnym przy Mogilskiej a aresztem śledczym na Monte zawierają przekłamania.

***

Na wolności pozostał Wojciech Aleksandrowicz. Kpt. Kuliś napisał w cytowanym planie z 7 lipca 1982: *Z uwagi na młodociany wiek, W. Aleksandrowicz w sprawie występuje jako świadek*. Aleksandrowicz był starszy do Papieża, który przecież wylądował w areszcie jako oskarżony, więc powody łagodności SB wobec Aleksandrowicza były inne niż napisał funkcjonariusz. Już w początkowym etapie śledztwa SB była przekonana, że Aleksandrowicz odgrywał niewielką rolę w działaniach KPN i zrezygnowała z karania go. Dodatkowo mogło to być nagrodą ze strony SB za jego postawę na początku śledztwa. Być może SB liczyła też, że odegra on rolę haczyka, na który uda się złowić jeszcze innych. Kpt. Kuliś napisał: *Przeprowadzić ponowną rozmowę operacyjną z Wojciechem Aleksandrowiczem pod kątem rozeznania, czy od jego zwolnienia, po 48 godz. od zatrzymania, usiłował ktoś z KPN nawiązać z nim kontakty sondażowe, organizacyjne itp., w szczególności z otoczenia Stanisława Papieża. Zapewnić sobie stały kontakt z Wojciechem Aleksandrowiczem w przedmiotowej sprawie.*

W planie czynności operacyjno-śledczych z 7 lipca 1982 roku nie pojawia się z niewiadomych przyczyn nazwisko Grzegorza Szatana. Powody pozostawienia go na wolności mogły być podobne, jak w przypadku Wojciecha Aleksandrowicza.

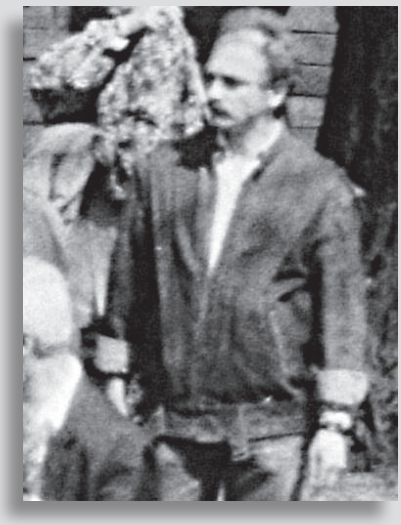
W cytowanym planie nie pada także nazwisko Małgorzaty Szeremety, ale to jest już zupełnie inna historia.

***

Małgorzata Szeremeta: *Nie jestem pewna gdzie, być może w „Piwnicy pod Baranami", poznałam Mariana (lub Marka – dziś już nie pamiętam), który – jak okazało się na koniec naszej znajomości – pracował w Komendzie Milicji Obywatelskiej przy ul. 18 Stycznia. Wyglądał dość młodo, był bardzo towarzyski, elokwentny i rozmowny. Mówił, że jest po rozwodzie, a jego była żona mieszka od kilku lat w USA.*

Małgorzata Szeremeta, opowiadając dziś tę historię, rozpoznała swojego znajomego na pokazanym przez nas zdjęciu. To Marek Kania (ur. w 1943), na początku lat 80. już kapitan Służby Bezpieczeństwa, od lipca 1980 roku zastępca naczelnika Wydziału III-1 krakowskiej SB. Wydział ten zajmował się wówczas walką z działalnością antypaństwową w kraju (m.in. rozpracowaniem KPN). Przed przeprowadzką do nowego budynku przy ul. Mogilskiej siedziba KW MO znajdowała się przy ul. 18 Stycznia (obecnie – Królewska).

Małgorzata Szeremeta: *Spotkaliśmy się kilka razy w mieście, odwiedzał mnie również w domu na Woli Justowskiej. Przyjeżdżał mercedesem, nigdy nie parkując przy mojej posesji. Nie wykluczam, że mógł być zaangażowany emocjonalnie, jednak z mojej strony znajomość ta miała wyłącznie charakter towarzyski.*



Kpt. SB Marek Kania – od lipca 1980 r.– zastępca naczelnika Wydziału III-1 krakowskiej SB. Z materiałów SB wynika, że zastał Małgorzatę Szeremetę podczas przepisywania na matryce tekstów do „Niepodległości". Szeremeta powiedziała o tym Tosiowi. Toś podejrzewał, że Kania szantażuje Szeremetę. Wkrótce jednak role się odwróciły – Toś i Stolarczyk podjęli próbę gry z esbekiem, chcąc go zmusić do przekazywania informacji o akcjach SB. Fot. SB

Z materiałów SB wynika, że Kania zastał kiedyś Małgorzatę Szeremetę podczas przepisywania na matryce tekstów do „Niepodległości". Szeremeta powiedziała o tym Tosiowi. Toś podejrzewał, że Kania usiłował szantażować Szeremetę. Wkrótce jednak role się odwróciły – Toś i Stolarczyk podjęli próbę gry z esbekiem, mającą na celu zmuszenie go do przekazywania im informacji o planowanych akcjach SB przeciw KPN. Kontakty z Kanią miał przejąć Stolarczyk.

Małgorzata Szeremeta: *Podczas którejś z wizyt Kania mógł zastać mnie w trakcie pisania matryc, bo w ciągu dnia nie miałam zwyczaju zamykać drzwi do domu, a niezamknięta na klucz bramka do ogrodu, po którym biegał ogromny pies – mieszaniec bernardyna z owczarkiem podhalańskim, nie zachęcała obcych do wejścia.*

W mojej obecności ani Stolarczyk, ani Toś nie zetknęli się z Kanią. Nie mogę jednak wykluczyć, że Kania zastał kiedyś w moim domu Krzyśka Stolarczyka, który mając koszmarną sytuację domową, pomieszkiwał u mnie.

Rzeczywiście – jak wynika z materiałów SB – po aresztowaniu Papieża to kpt. Kania powiadomił Stolarczyka o tym fakcie. Potem miał przekazać Stolarczykowi informację o tym, że Papież składa obszerne zeznania.

Stolarczyk: *Nie miałem żadnych kontaktów z funkcjonariuszem SB, który przekazywałby mi jakiekolwiek informacje. Nie pamiętam, skąd mieliśmy informację, że Papież sypie. Szeremeta wtedy „uciekła" do szpitala przed niebezpieczeństwem, a ponieważ była chora od dziecka, więc miała podstawy, żeby się położyć w szpitalu.*

Małgorzata Szeremeta: *Od Krzyśka dowiedziałam się, że Staszek sypie. Nie dochodziłam, od kogo pochodziła ta informacja. Krzysiek i Elżbieta Tyrka pomogli mi natychmiast wyczyścić dom, część bibuły spaliliśmy, część rzeczy wyniosła Elżbieta. Byłam pewna, że lada moment przyjdzie po mnie SB. „Położyłam się" w Klinice Laryngologicznej, gdzie miałam wcześniej już planowany zabieg. Pooperacyjna rekonwalescencja trwała do 6 lipca i tego samego dnia zostałam przyjęta do Kliniki Kardiologicznej kierowanej przez prof. Króla. Zaopiekowała się tam mną doc. Piwowarska, która była dobrze poinformowana, dlaczego diagnozowanie moich schorzeń powinno przebiegać szczególnie starannie, a le-*

czenie dostatecznie długo. Sekundowała jej w tym lekarka bezpośrednio mnie prowadząca, dr Śnieżek-Maciejewska. Dzięki perfekcyjnej opiece obu Pań, a także sekretarce Kliniki, co najmniej dwukrotnie została udaremniona próba namierzenia mnie przez SB, która zapewne nabrała przekonania, że dostęp do mnie jest poważnie utrudniony. W Klinice Kardiologicznej leżałam do 15 listopada 1982 r., wliczając w to pobyt w klinicznym sanatorium w Szczawnicy. Potem jeszcze ukrywałam się u kolegi mojego ojca – Wojciecha Smocznego (do kwietnia 1983). Przetrwałam w ten sposób okres, w którym zdążył przed sądem wojskowym zapaść prawomocny wyrok w sprawie Bika, Papieża i Tosia. Na sygnał przekazany mi przez mec. Andrzeja Rozmarynowicza, powróciłam po wielu miesiącach do domu i do pracy. Miałam bardzo dużo szczęścia.

O wpadce Papieża i o tym, że bezpieka jest na jego tropie, wiedział także Toś. Znał źródło przecieku. Był przekonany, że to Papież podał SB jego imię, nazwisko i adres rodziców, gdzie był zameldowany, bo takie informacje przekazał Kania. Kiedy Toś przyjechał do Stolarczyka do pracy, wywołało to u tego drugiego wielkie zdziwienie, gdyż wiedział od kpt. Kani, że Toś właśnie w tym dniu miał zostać zatrzymany. I rzeczywiście, Tosia esbecy zatrzymali w południe, w mieszkaniu teściów.

Szeremeta: *Z Bikiem spotkałam się może raz lub dwa razy na mieście. Marek nie bywał u mnie.*

Z relacji Bika wynika, że raz był w mieszkaniu Szeremety z Tosiem, ale jej wtedy nie było. Zdaniem Bika ani Toś, ani Stolarczyk, ani Szeremeta, nie znali jego adresu. Trwały już wakacje, a więc nie było możliwości skontaktować się z nim przez szkołę. Dlatego Marek Bik nie został uprzedzony o niebezpieczeństwie.

Co ciekawe, wiemy dziś, że SB miała informacje o kontaktach Kani z Szeremetą, Tosiem i Stolarczykiem, w szczególności wiedziała, że to Kania ostrzegł konfederatów o niebezpieczeństwie. Wiedzę na ten temat mieli zarówno ubecy z Wydziału Śledczego: prowadzący sprawę ppor. Szczepkowicz, por. Katolik i kpt. Ziobro oraz szef Wydziału – kpt. Nogieć, jak i szef Wydziału III-1 – kpt. Więckowski. Wszyscy oni mieli dostęp do donosów agenta celnego „Hiszpana", gdzie były na ten temat szczegółowe wiadomości. Informacja ta nie została jednak zamieszczona w tajnych meldunkach SB dotyczących krakowskiej KPN przesyłanych do Warszawy. Przeciwnie, por. Celban w raporcie z 10 sierpnia napisał, że „o aresztowaniu Papieża, organizację KPN miał powiadomić ks. Tischner". Czy jest prawdopodobne, aby ta sprawa została wyciszona w Krakowie, a kpt. Kania za współpracę z KPN nie poniósł odpowiedzialności karnej i nie został usunięty z SB? Już 27 stycznia 1982 roku w czasie narady w KW MO komendant wojewódzki płk Adam Trzybiński: *Mamy konkretne dane, że są przecieki z naszych jednostek na zewnątrz. Zapewniam, że o ile dojdziemy, kto wynosi wiadomości z zakresu naszej pracy, ten nie może liczyć na żadne pobłażanie. Skierujemy sprawę do Prokuratury i Sądu Wojskowego. Wszyscy, którzy dużo mówią, niech się nad tym zastanowią.*

Potwierdza to Celban: *Jeżeli ktoś z nas informowałby działaczy KPN o tym, co się dzieje w firmie, to za to poszedłby siedzieć! Nie byłoby litości. Ale Kania funkcjonował na innych papierach. Miał bardzo mocne plecy.*

Tymczasem sprawy Marka Kani nie skierowano do prokuratury. Od lipca 1980 r. do listopada 1989 r. niezmiennie pozostawał na stanowisku zastępcy naczelnika Wydziału zajmującego się zwalczaniem opozycji (do grudnia 1982 r. był to Wydział III, a od grudnia 1982 r. – w związku ze zamianą numeracji – Wydział III-1).

Usiłowaliśmy wyjaśnić tę zagadkę w rozmowie z kpt. Markiem Kanią, ale kiedy tylko padło pytanie na ten temat, zareagował bardzo gwałtownie i w panice zatrzasnął drzwi.

Jesteśmy skazani na stawianie hipotez. Logicznym wytłumaczeniem tej sytuacji jest przyjęcie, że znajomość kpt. Kani z Małgorzatą Szeremetą nie była z jego strony znajomością towarzyską (choć być może taki charakter miała na początku).



Marek Kania jako tajniak, w czasie wyłapywania ludzi idących na mszę na Wawelu 3 maja 1987 r. Widać, jak usiłuje uderzyć pięścią Beatę Kowalską – młodą dziewczynę z Ruchu WiP. Fot. SB

Zdaje się, że Kania w swojej pracy miał skłonności do nawiązywania kontaktów z bardzo młodymi dziewczętami, które następnie usiłował nakłonić do współpracy z SB. Już w początkach swojej kariery w SB, w 1971 roku, tak pisał na temat przesłuchiwanej w sprawie o antyrządowe napisy na murach: *Wyraziła chęć udzielenia nam pomocy (…) zgodziłem się na to, po czym odebrałem od wymienionej zobowiązanie*. Romana K. została osobowym źródłem informacji Służby Bezpieczeństwa. Meldowała oficerowi prowadzącemu: *W swoje sprawy chłopcy nie wtajemniczają dziewczyn*. Trudno się dziwić, że jej doniesienia zawierały takie stwierdzenia – nakłoniona do donoszenia dziewczyna miała... 15 lat. Jej werbunek został zatwierdzony przez zwierzchników ppor. Kani. Nie było jej dane zrobić kariery agentki, bo jak wkrótce odnotowano w aktach: *Ojciec wymienionej nigdzie jej nie wypuszcza*, w związku z czym wyeliminowano ją z sieci agenturalnej.

Gdy Kania uzyskał informacje o związkach Małgorzaty Szeremety z podziemiem, musiał poinformować przełożonych, a dalsza część ich znajomości była kombinacją operacyjną SB. To tłumaczy, dlaczego nie został ukarany i zachował stanowisko zastępcy naczelnika Wydziału, oraz dlaczego informacje na jego temat nie znalazły się w meldun-

kach dotyczących KPN – były to bowiem informacje dotyczące szczegółów pracy operacyjnej, których nie ujawniano nawet w takiej wewnętrznej korespondencji.

Należy uznać za wysoce prawdopodobne, że mieszkanie Małgorzaty Szeremety zostało natychmiast zabezpieczone przez pracowników Biura „B" (obserwacja zewnętrzna) oraz Biura „T" (technika operacyjna). W ten sposób SB mogła uzyskać szczegółową wiedzę o Szeremecie, Stolarczyku, Tosiu i Papieżu, którzy tam się spotykali. Być może pozwoliło to SB na dotarcie do Marka Bika. Jeżeli więc Papież mówi dziś, że w czasie drugiego przesłuchania przy Mogilskiej funkcjonariusz SB „wszystko wiedział" i pierwszy wymienił nie tylko nazwiska Bika i Tosia, ale wiele szczegółów ich działalności, to może mówić prawdę.

Na podstawie rozmów nagranych z podsłuchu w mieszkaniu Małgorzaty Szeremety, po przypadkowym, spowodowanym donosem, zatrzymaniu Stanisława Papieża (które być może pokrzyżowało SB pierwotne plany, zakładające stopniowe rozpracowanie całego środowiska podziemnej KPN), SB mogła szczegółowo zaplanować śledztwo.

Papież, jako najmłodszy, został przeznaczony do szybkiego złamania. Jego rola polegała na tym, aby zeznał do protokołu to, co SB wiedziała dzięki podsłuchowi i inwigilacji. W ten sposób uzyskiwano materiał procesowy bez zdradzania rzeczywistego źródła pochodzenia tych informacji.

Bik i Toś mieli zostać aresztowani i poddani rozpracowaniu przez agenturę celną. Wydawało się to proste z uwagi na młody wiek Bika oraz dokładny portret psychologiczny Tosia, który SB mogła opracować na podstawie materiałów z podsłuchu.

Sama Szeremeta musiała „zniknąć" z tej sprawy, bo gdyby składała zeznania, to mogłaby ujawnić rolę kpt. Marka Kani, a to oznaczałoby dekonspirację metod pracy operacyjnej SB i upublicznienie podczas rozpraw sądowych personaliów oficera. O kontaktach Kani z KPN mógł wprawdzie opowiedzieć na rozprawie także Toś, nie uczynił tego jednak, bo – jak wiadomo z zapisów treści jego rozmów w celi – był przekonany, że Kania rzeczywiście współpracował z KPN.

Zamierzenia te powiodły się w pełni, tym bardziej że Szeremeta miała mocne papiery dotyczące swojej choroby i – zwłaszcza gdy przebywała w Klinice Kardiologii Akademii Medycznej – trudno było ją zatrzymać czy przesłuchać.

Szeremeta: *Moja znajomość z Kanią ustała w momencie, gdy rozpoczęłam swój wielomiesięczny pobyt w szpitalach. Dopiero wtedy dowiedziałam się, że jest milicjantem. Słyszałam, że poszukiwał mnie potem, jednakże ja nie byłam zainteresowana tym, aby mnie znalazł, a pies biegał w ogrodzie już za zamkniętą bramą.*

Odmienna rola miała przypaść w tej esbeckiej układance Stolarczykowi. Jego aresztowanie było niepożądane z dwóch powodów. Po pierwsze, on także mógł zdemaskować rolę Marka Kani w tej historii. Po drugie – SB prawdopodobnie usiłowała przez niego dotrzeć do reszty członków TTKAB, a zwłaszcza do struktur kolportażu. Zamknięcie Stolarczyka całkowicie odcinałoby SB od środowiska podziemnej KPN i narażałoby na konieczność dalszych, żmudnych poszukiwań prowadzonych po omacku. Prawdopodobnie już wtedy, w czerwcu 1982 roku, SB podjęła próbę zwerbowania Stolarczyka.

***

Analiza dokumentów zebranych w IPN pozwala dziś stwierdzić, że SB logicznie powiązała informacje zdobyte po wpadce czerwcowej z informacjami o KPN uzyskanymi z innych źródeł. Pozwoliło to bezpiece powiązać wszystkie te wątki z osobą Zygmunta Łenyka.

Z planu z 7 lipca: *Wg informacji od TWC „Hiszpan", ulotki otrzymał z Tychów niejaki Wiesław Grudniewicz, które dostarczał Ewie Tukałło, Zygmuntowi Łenykowi oraz osobom posługującym się ps. „Kasia" i „Igła".*

Potwierdza to Łenyk: *Rzeczywiście, miałem z nim wtedy kontakty. Po wyjściu z internowania pojawiłem się u niego i zaleciłem, by utworzył grupę ze znanych sobie żołnierzy i oficerów mogącą wspierać KPN.*

Z planu z 7 lipca: *Stwierdzono również, że członkowie obu grup, tj. Toś i Tukałło, posiadali kontakty z Zygmuntem Łenykiem, figurantem sprawy kryptonim „Dama" – aktualnie zwolnionym z internowania z uwagi na stan zdrowia.*

Konsekwencją tych ustaleń było polecenie sformułowane w tym dokumencie: *Przeprowadzić ponowną rozmowę operacyjną z Zygmuntem Łenykiem zmierzającą do wykazania, że od chwili uchylenia decyzji o internowaniu nadal podejmuje próby działalności na rzecz KPN. Przed rozmową zostanie opracowany scenariusz rozmowy operacyjnej pod odpowiednią legendą.*

Wzmianka o „legendzie" dowodzi, że SB nie zamierzała ujawniać Łenykowi, skąd ma wiedzę o jego aktywności na rzecz KPN po wyjściu z internowania. Być może SB w ogóle nie chciała ujawniać, że ma taką wiedzę albo zasugerować, że ma ją z innego źródła niż w rzeczywistości (w ten sposób można było rzucić podejrzenia na niewinną osobę). Przygotowanie scenariusza rozmowy dowodzi, jak była ona ważna dla SB. Prawdopodobnie obawiano się, aby nie ujawnić rozmówcy stanu wiedzy SB o KPN.

Jest wiele dowodów na to, że opozycjoniści w wyniku przesłuchań zdobywali cenne informacje. Mirosław Lewandowski: *Pamiętam, jak Ryszard Bocian dokładnie wypytywał mnie o pytania, które stawiała mi bezpieka w czasie przesłuchań na Mogilskiej w 1983 roku. Dla mnie niektóre pytania były zupełnie niezrozumiałe (z uwagi na konspirację nie miałem wtedy dużej wiedzy), ale dla Bociana były istotne. Na przykład esbek pytał mnie: „Czy znasz papieża?". Ja odpowiadałem: „Oczywiście" – wyjaśniając, że chodzi o Jana Pawła II, którego znamy wszyscy, podczas gdy esbekowi chodziło o Stanisława Papieża. Pytano mnie także o znajomość z szatanem (sądziłem, że SB podejrzewa mnie o kontakty z jakąś sektą satanistyczną, nie wiedziałem, że chodzi o Grzegorza Szatana) a także sugerowano, że jestem „Kudłaty" (taki pseudonim miał Sławomir Onyszko). Pytania te niewiele mi dawały, ale wypytującemu mnie Bocianowi dostarczały cennych informacji. Z tych pytań Bocian dowiedział się, że bezpieka wie o Onyszce, ale zna tylko jego pseudonim, oraz że nie ma dokładnego rozeznania w środowisku KPN, skoro wypytuje o ludzi (Papież, Szatan), którzy w tym czasie (połowa 1983r.) już od wielu miesięcy nie mieli żadnych związków z KPN i z którymi ja nie miałem nigdy kontaktów.*

***

A jednak, mimo pewnych sukcesów w pracy operacyjnej, SB działała w dużej mierze po omacku.

Po założeniu SOR „Konspiratorzy" (co formalnie nastąpiło 5 lipca 1982 r.) „zarejestrowano do sprawy" nie tylko aktywnych uczestników działań KPN w pierwszych miesiącach stanu wojennego (czyli Marka Bika, Witolda Tosia oraz Stanisława Papieża), ale także osoby związane z KPN incydentalnie (Grzegorz Szatan, Wojciech Aleksandrowicz i Jacek Szeremeta).

Jacek Szeremeta: *Mój kontakt z kapeenowcami był właściwie wymuszony przez okoliczności zewnętrzne. Gdyby nie to, że ze względów rodzinnych czy koleżeńskich otaczały mnie osoby funkcjonujące w strukturach KPN, to prawdopodobnie sam nigdy bym się*

nie włączył do działania. Byłem wówczas zaangażowany w działalność stricte związkową, jako wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej „Solidarności" Oświaty i Wychowania w dzielnicy Podgórze. Przed wprowadzeniem stanu wojennego struktura ta liczyła ponad 1800 członków. Praca, którą się zajmowaliśmy, była żmudna, nieefektowna i nic spektakularnego się wokół nas nie działo. Co prawda przed wprowadzeniem stanu wojennego braliśmy udział w organizacji strajków solidarnościowych i tzw. pogotowia strajkowego, ale głównie trudniliśmy się uzdrawianiem ówczesnego systemu oświaty i wychowania. Także po 13 grudnia, w innej strukturze, kontynuowałem takie prace, np. mające na celu opracowanie i przygotowanie dla przyszłego Ministerstwa Oświaty projektów programów nauczania, aktów normatywnych, ważnych zarówno w pracy szkoły, jak i z punktu widzenia pragmatyki zawodu nauczycielskiego.

O słabym rozeznaniu SB w środowisku KPN świadczy polecenie zawarte w cytowanym już wielokrotnie planie z 7 lipca: *Przeprowadzić rozmowy operacyjne z wymienionymi kontaktami S. Papieża, które zostały dotychczas ustalone...* Tu wymienione zostały nazwiska dwóch kolegów Papieża, którzy nie mieli nic wspólnego z KPN oraz nazwisko Wojciech Wojtaszek – przezwisko Wojciecha Aleksandrowicza.

Charakterystyczne jest także, że już w początkowym etapie śledztwa, 31 lipca 1982 roku, jak wynika z uzupełnienia do cytowanego wyżej planu (autorem uzupełnienia jest p.o. naczelnik Wydziału III-1 kpt. Andrzej Więckowski), SB formułowała daleko idące (i w dużej części błędne) hipotezy, dotyczące np. związków KPN z niektórymi księżmi. *Z uzyskanych informacji operacyjnych od zatrzymanych Marka Bika, Witolda Tosia i Stanisława Papieża należy domniemywać, że na terenie miasta Krakowa działa głęboko zakonspirowana organizacja KPN-u, do której należą przedstawiciele różnych środowisk społecznych od robotników do pracowników nauki i kleru (…). Ujawnione kontakty Jacka Szeremety z ks. Tischnerem oraz Stanisława Papieża z ks. Małkowskim z Warszawy (ma być twórcą i szefem N.N. nielegalnej organizacji), a także z ks. Tischnerem, sugerują powiązania pewnej części kleru z nielegalnymi organizacjami.* Tymczasem chodziło tu o osobiste kontakty Papieża i Szeremety, zupełnie nie związane z Konfederacją.

Papież: *Wiem, że Jacek Szeremeta znał ks. Tischnera, bo pożyczałem od niego teksty kazań tego księdza. Ja nie znałem osobiście ks. Tischnera, ale chodziłem na msze do kościoła św. Anny, żeby posłuchać jego kazań. Znałem ks. Małkowskiego z Warszawy, nieraz do niego jeździłem do stolicy.* A może kpt. Więckowski chciał wykazać się wobec zwierzchnika jakąś szczególną skutecznością swych działań i trochę „podlał sosem" zredagowany przez siebie dokument? Może znał antyklerykalne upodobania Biela, a nawet jego osobistą niechęć do ks. Tischnera? A może chodziło jeszcze o coś innego. SB nieraz kreowała wygodne dla siebie fakty lub formułowała naciągane hipotezy. Bezpieka selekcjonowała informacje nie według kryterium prawdziwości, ale według kryterium użyteczności. A nieprawdziwa informacja o potajemnych kontaktach ks. Tischnera z KPN (tak tajnych, że nawet sam ks. Tischner o nich nie wiedział) była dla SB bardzo użyteczna np. jako środek nacisku w rozmowach z hierarchami Kościoła.

To kolejna przestroga dla tych, którzy chcą traktować akta SB jako rzetelne źródło wiedzy o faktach, bez konfrontacji tych zapisów z innymi źródłami.



Rozdział 3.
LATO

Na Monte....332
Jiri Vavrušák....388
„Śledztwo trwa”....422
Kadrówka w 1982 roku....431
W Załężu (II)....436
Samoobrona....442
Sierpień 1982 roku....451
Władze krakowskiej KPN w 2. połowie 1982 roku....478

Na Monte

Grzegorz Hajduk: *Areszt śledczy w Krakowie w latach Polski „ludowej" i obecnie, jest przy ul. Montelupich 7. Ulicę nazwano ku pamięci włoskiej rodziny kupiecko-bankierskiej Montelupich, przybyłej do Krakowa w XVI w., m.in. założycieli pierwszej poczty w Rzeczypospolitej; w Krakowie pozostał po nich dwór, późniejsza siedziba Radia Kraków oraz kamienica na Rynku Głównym pod nr 7, tzw. Dom Włoski.*

Od 1905 r. funkcjonował tam, przeniesiony z Wawelu przez władze austriackie, Rejonowy Sąd Wojskowy. Na mocy rozkazu ministra spraw wojskowych z 29 października 1919 r. powstało tam także wojskowe więzienie śledcze. Według prze-



Areszt śledczy przy Montelupich (widok obecny). Skrzyżowanie ulic: Kamiennej (w lewo) i Montelupich (w prawo). Wjazd do aresztu znajduje się przy ul. Montelupich, ok. 50 metrów od skrzyżowania. Budynek wzdłuż ul. Kamiennej stanowi krótsze skrzydło pawilonu więziennego mającego kształt litery L. Na końcu dłuższego skrzydła tego pawilonu znajdował się oddział specjalny, czyli „getto".

Fot. Grzegorz Hajduk

pisów wojskowych stan uwięzionych wojskowych nie powinien przekroczyć ok. 350-400 osób. Obok były koszary 1. Pułku Saperów.

W czasie okupacji hitlerowskiej znajdowało się tutaj więzienie Komendy Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa w dystrykcie Kraków. Oficjalna nazwa to „Polizei-gefängnis Montelupich" (Więzienie Policyjne Montelupich); zwano je też „Sichergefängnis Krakau" (Więzienie Policyjne Kraków). Polacy mówili na nie: „Montelupich", „Monte" lub – w żargonie – „Mantelupa" (ta ostania nazwa obecnie jest rzadko spotykana). W koszarach zaś rozlokowała się Orpo (Policja Porządkowa).

We wrześniu 1941 r. stan więźniów wynosił 500-600 osób i liczba przetrzymywanych nadal rosła. Z tego powodu w tym czasie w bocznym prawym skrzydle budynku Zakładu dla Ubogich im. Helclów powstał oddział kobiecy więzienia Montelupich: „Sicherheitspolizeigefängnis – Montelupich Kloster" (Więzienie Policji Bezpieczeństwa – Klasztor Montelupich) lub „Kloster"; mieszkańcy Krakowa mówili „Klasztor" albo „Helclów".

W GG „Monte" stało się w 1942 r. jedynym więzieniem, gdzie część pomieszczeń przystosowano do czynności śledczych, czyli głównie do przesłuchań. To, co się działo w pokojach zwanych Vernehmungszimmer oraz opisy mordów na Polakach i Żydach, mogą zmrozić krew w żyłach. Tak więc służby RSHA pełną parą pracowały przy ul. Pomorskiej 2 (katownia gestapo), na Monte oraz w „Klasztorze", wypluwając coraz to transporty do kacetów albo na tamten świat. Ale i czasem to było mało – w 1943 r. zaczęto usuwać z zakładu pensjonariuszy i siostry szarytki, by zrobić więcej miejsca dla SD i Sipo.

W czasie okupacji hitlerowskiej (a potem stalinowskiej) na jego terenie odbywały się egzekucje więźniów, czasem przyjmując formę masowych rozstrzeliwań. To tam już po „wyzwoleniu" przez Armię Czerwoną zamordowano strzałem „katyńskim" 14 września 1949 r. m.in. niezłomnego ks. Władysława Gurgacza SJ oraz „Żołnierzy Wyklętych" z oddziału Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowców.

O ile Historia w pewien sposób uczyniła zadość Sprawiedliwości i w 1948 r. wykonano w więzieniu 22 wyroki kary śmierci przez powieszenie na oprawcach niemieckich z KL Auschwitz (skazanych w tzw. I procesie oświęcimskim), to sowieccy okupanci i kaci z NKWD i WUBP mogli cieszyć się bezkarnością.

Dzięki wiadomościom zebranym przez Dariusza Gorajczyka z Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Krakowie można prześledzić losy Monte po wejściu do Krakowa Sowietów: tuż po wkroczeniu Armii Czerwonej więzienny gmach został zajęty na potrzeby NKWD (tu zbierano więźniów deportowanych do łagrów w ZSRS – takich transportów było co najmniej siedem), zaś w sąsiadującym kompleksie koszar zainstalowały się oddziały sowieckie. Więzienie Montelupich oddano WUBP dopiero w lutym 1946 r., przy czym pełne zasiedlenie tego więzienia nastąpiło w połowie tegoż roku.

Więźniowie polityczni byli osadzani w więzieniu św. Michała, które z uwagi na rangę Krakowa w strukturze policyjno-sądowej nazywane było więzieniem wojewódzkim. Trafiały tam bowiem osoby ze szczególnie ważnych spraw z terenu całego województwa, a także przybywały transporty więźniów spoza jego terenu. Zapewne w celu rozładowania św. Michała do funkcji więzienia przysposobiono poaustriacki fort tzw. Bastion IVa przy ul. Kamiennej 16 (tzw. Luneta Warszawska położona kilkaset metrów od Monte), jako filię św. Michała.

Żołnierzy i działaczy Polskiego Państwa Podziemnego oraz tych Polaków, których z różnych innych względów uznano za niebezpiecznych dla nowej władzy, przetrzymywano na Monte wraz z jeńcami niemieckimi i volksdeutschami. W okresie, który nastąpił po zakończeniu masowych deportacji, tj. od kwietnia 1945 r. do maja 1946 r., więzienie

Montelupich było wykorzystywane przez armię sowiecką, rozlokowaną od stycznia 1945r. w wojskowej części przedwojennych koszar przy ul. Montelupich i w gmachu zakładu dla ubogich im. Helclów. W lutym 1946 r. Sowieci przekazują więzienie WUBP (koszary w czerwcu przejmuje Dowództwo Okręgu Wojskowego w Krakowie). W tym momencie zostaje ono zaludnione więźniami i załogą likwidowanego więzienia w Bastionie IVa (w tym bastionie wykonywano także egzekucje). Podporządkowane zostaje też kierownictwu św. Michała.

Dopiero od 1 lipca 1946 r. więzienie Montelupich zostaje wydzielone jako samodzielne. Po rozbiciu więzienia przy ul. Senackiej 3, w biały dzień w niedzielę, 18 sierpnia 1946r., więźniów politycznych kieruje się do Montelupich, któremu nadano funkcje Więzienia Centralnego. Zostaje też poddane modernizacji i przebudowie w latach 1946-1947. Św. Michał w 1949 r. zostaje zamknięty. W rękach UB pozostaje Centralne Więzienie Karno-Śledcze Montelupich.



Areszt śledczy przy Montelupich – końcowa część dłuższego skrzydła pawilonu więziennego, mającego kształt litery L (widok obecny). Na parterze 6 okien oddziału specjalnego - „getta". Dwie cele mają okna przysłonięte blendami. W latach 80. blendy były na wszystkich oknach, składały się z trzech kawałków blachy, w położeniu uniemożliwiającym jakikolwiek kontakt wzrokowy więźnia ze światem zewnętrznym - nie było widać nawet skrawka nieba. W piwnicy tej części budynku była łaźnia, magazyny bielizny, pralnia. Cela, w której wykonywano wyroki śmierci, była po drugiej stronie korytarza i nie miała okna na dziedziniec. Po tej drugiej stronie budynku jest tzw. „pas śmierci" oddzielający budynek od muru zewnętrznego. Do więźnia, który by wszedł na ten pas, strażnik miał prawo strzelać.

Fot. Grzegorz Hajduk



Areszt śledczy na Montelupich – wejście na główna klatkę schodową za bramą główną (widok obecny). Za kratą, schodami i kolejną kratą jest cela przejściowa i dyżurka. Po prawej jest korytarz, który prowadzi do „getta". Fot. Grzegorz Hajduk

***

Od roku 1944 więziennictwo w Polsce podlegało Ministerstwu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a po jego likwidacji w 1954 roku – Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. W tym czasie funkcjonariusze Straży Więziennej (od 1954 – Służby Więziennej) brali aktywny udział w bezprawnych działaniach prowadzonych przez Departament Śledczy Urzędu Bezpieczeństwa. Polegały one m.in. na torturowaniu więźniów, stosowaniu prowokacji oraz innych bezprawnych metod (opartych na wzorach sowieckich) w celu wydobycia od więźniów i aresztantów informacji. Wiele relacji z okresu stalinowskiego (zarówno z więzień i łagrów sowieckich, jak i z więzień i aresztów w PRL) wspomina o więźniach-konfidentach, którzy stosowali różne metody prowokacji w celu wydobycia od współwięźniów informacji mających znaczenie śledcze.

Sytuacja zmieniła się w roku 1956. Więziennictwo (w tym areszty śledcze) zostały podporządkowane Ministerstwu Sprawiedliwości. Deklarowano rezygnację z działań pozaprawnych i przestrzeganie zasad „socjalistycznej praworządności".

Deklaracje miały niewiele wspólnego z rzeczywistością. Funkcjonowanie do końca PRL w aresztach śledczych wydzielonej części, którą zarządzała Służba Bezpieczeństwa, podporządkowana przecież ministrowi spraw wewnętrznych, a nie ministrowi sprawie-

dliwości, było jawnym złamaniem zasad prawa i nawiązaniem do stalinowskich wzorców, czego w czasach późnego PRL zwykle starano się unikać.

Pracą operacyjną w aresztach przy ul. Mogilskiej oraz przy Montelupich zajmowała się w latach 80. Sekcja Operacyjna Wydziału Śledczego, kierowana przez kpt. SB Zbigniewa Ziobrę. W krakowskiej bezpiece Wydział Śledczy funkcjonował od kwietnia 1958 r. do końca, tj. do 1990 roku. Był kontynuacją powstałego wiosną 1945 r. w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie Wydziału Więzień i Obozów oraz działającego w latach 1946-55, okrytego ponurą sławą, Wydziału Śledczego WUBP. Co charakterystyczne, podczas popaździernikowej odwilży obniżono znacznie rangę pionu śledczego. Działała tylko Samodzielna Sekcja Śledcza, ale już po roku rozbudowano ją do takich rozmiarów, że nadano jej rangę Wydziału i powrócono do dawnej, używanej w czasach stalinowskich nazwy.

Reorganizacja struktur krakowskiej bezpieki w latach 1956-57 spowodowała, że ubowcy służący w podległych jej obozach, np. tuż po wojnie w Oświęcimiu, w Centralnym Obozie Pracy w Jaworznie czy później w Progresywnym Więzieniu dla Młodocianych w Jaworznie, trafili do więziennictwa, także do aresztu przy Montelupich.

Widać tu nie tylko ciągłość metod pracy, ale też personalne związki z czasami stalinowskiego UB.

***

W Oddziale II Aresztu Śledczego, w tym samym korytarzu, co „getto", siedzieli więźniowie skazani na karę śmierci (karę śmierci wykonywano w Krakowie właśnie przy Montelupich). W „getcie" trzymano tymczasowo aresztowanych, rozpracowywanych przez Wydział Śledczy SB, których poddawano nadzwyczajnym metodom pracy operacyjnej. Przed wprowadzeniem stanu wojennego byli to głównie groźni przestępcy kryminalni (np. zbrodniarze, aferzyści), oraz podejrzani o szpiegostwo. Po 13 grudnia 1981 r. – głównie „przestępcy polityczni", tj. aresztowani działacze „Solidarności", KPN, NZS i innych niezależnych organizacji. Byli tam poddawani intensywnej inwigilacji i prowokacjom ze strony agentury celnej. Wszystko to musiało się dziać za wiedzą i akceptacją administracji aresztu śledczego. Jeśli nawet nie znali szczegółów, to musieli wiedzieć, że łamane jest tam prawo. Musieli wiedzieć np., że politycznych, w tym młodocianych, umieszcza się w celach ze skazanymi na śmierć bandziorami, musieli wiedzieć, że rozpracowuje się ich za pomocą prowokacji. Musieli wiedzieć, bo każde przemieszczenie więźnia z celi do celi odbywało się za aprobatą podległego im Działu Rozmieszczenia.

Wystarczy prześledzić losy kolejnych śledztw z udziałem tymczasowo aresztowanych, którzy trafiali do „getta", aby przekonać się, jak skuteczne były metody stosowane przez Sekcję Operacyjną Wydziału Śledczego SB. Bardzo szybko po pierwszych aresztowaniach następowały kolejne, a później wyroki skazujące. Można zaryzykować hipotezę, że te sukcesy SB zawdzięczała głównie metodom stosowanym w „getcie".

***

Działania operacyjne w „getcie" cechowała nadzwyczajna efektywność. Dlatego warto przyjrzeć się bliżej zasadom jego funkcjonowania.

Tajni współpracownicy celni (TWC) to kategoria TW, której samo nawet istnienie było ścisłą tajemnicą. Faktu istnienia takiej kategorii osobowych źródeł informacji nie potwierdza żadna instrukcja pracy operacyjnej obowiązująca w peerelowskim MSW. Jej opisu nie znajdziemy w żadnym z licznych opracowań wydanych przez IPN. Choć

wszyscy funkcjonariusze SB wiedzieli, że istnieją agenci celni, to nawet ich oficjalnie o tym nie informowano. Niektórzy dostawali jedynie od swoich szefów, do spraw które prowadzili, kopie raportów TWC przydatnych do ich pracy. Sekcja Operacyjna Wydziału Śledczego, prowadząca celną agenturę, była grupą elitarną, do której włączano zaufanych i sprawdzonych funkcjonariuszy. Dziś ich biogramów próżno szukać w opasłym tomie „Twarze krakowskiej bezpieki".

Oprócz agentów SB na Monte operowali też agenci Wydziału Kryminalnego oraz Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego KW MO (zajmowali się głównie zbieraniem informacji o przestępstwach kryminalnych) oraz – najliczniejsza grupa – agenci celni Służby Więziennej (mieli zapewnić spokój wewnątrz więzienia, informować o konfliktach między więźniami, o subkulturach więziennych czy też o planach buntów lub samookaleczeń).

W praktyce wszystkie te służby wymieniały się informacjami (np. jeżeli agent Wydziału Kryminalnego zdobył informację o działalności politycznej, to przekazywano ją natychmiast SB – przykład takiej sytuacji w następnym podrozdziale). Służby użyczały też sobie wzajemnie agentów, choć ten proces był zwykle jednostronny – SB korzystała z TWC ochrony więziennej czy agenta pionu kryminalnego, nie odwrotnie.

Z zachowanej szczątkowo dokumentacji wynika pewność, że część agentury więziennej, w tym cała agentura działająca w „getcie", podlegała Wydziałowi Śledczemu SB, choć najprawdopodobniej była formalnie „na stanie" MO (mimo że opłacano ją z funduszu operacyjnego bezpieki). Jej zadaniem było wspieranie działań śledczych SB. W warunkach stanu wojennego było to głównie rozpracowanie działaczy politycznych i związkowych. Formalna przynależność esbeckiej agentury celnej do pionu milicyjnego jest najprawdopodobniej powodem tego, że w archiwach IPN nie ma ani jednej teczki pracy TWC, ani jednej instrukcji operacyjnej na ten temat, ani jednego zapisu ewidencyjnego. Źródłem naszej wiedzy na ten temat są m.in. teczki tajnych współpracowników SB, którzy wcześniej siedzieli w więzieniu i pracowali w charakterze TWC. Przy ponownym werbunku, już na wolności, odnotowywano w aktach ich konfidencką przeszłość.

Agenci celni Służby Więziennej byli prowadzeni przez dział ochrony wewnętrznej – wyspecjalizowaną część SW, działającą wewnątrz każdego więzienia i aresztu (obok działu ochrony zewnętrznej, zabezpieczającego mury, wieżyczki, bramy, budynki). Zastępcy szefa ochrony do spraw ochrony wewnętrznej podlegali komendanci pawilonów – odpowiedzialni za poszczególne oddziały aresztu. To oni prowadzili agenturę celną SW i całą jej dokumentację. Właśnie oni te wszystkie teczki pracy agentury spalili w połowie grudnia 1989 roku w kotłowni aresztu, wraz z całą dodatkową dokumentacją pracy operacyjnej, wykonując polecenie z góry, z Centralnego Zarządu Zakładów Karnych. Obok nich, na każdym oddziale byli tzw. oddziałowi – „klawisze" zajmujący się przeprowadzaniem więźniów po terenie więzienia (na spacer, do łaźni, na przesłuchanie czy widzenie), sprawdzaniem zabezpieczeń i stanu osobowego cel.

Funkcjonariuszami SW o zupełnie innym charakterze pracy byli wychowawcy (od końca lat 60. zatrudniano absolwentów psychologii lub pedagogiki), psycholodzy oraz pracownicy kulturalno-oświatowi. W tym czasie na Monte nie było kapelana.

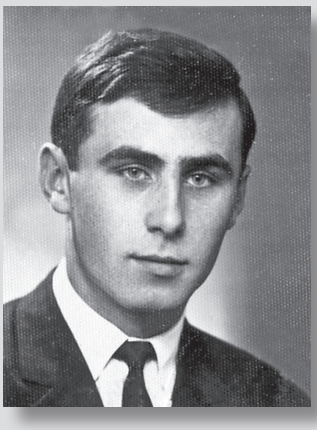
W „getcie" faktycznie rządziła SB, ale cały II Oddział, którego było częścią, był kierowany przez Służbę Więzienną. Większa część II Oddziału, w tym znajdujące się już „za blachą" cele po lewej stronie korytarza, w których siedzieli tzw. kaesiacy, podlegały w pełni Służbie Więziennej. Funkcjonariusze SB nie wchodzili do cel, nie mieli do nich w ogóle kluczy, stąd konieczność współdziałania ze Służbą Więzienną. W „getcie", obok

funkcjonariuszy SB pracowali więc na co dzień funkcjonariusze SW, zwłaszcza oddziałowi oraz wychowawca, psycholog i pracownik kulturalno-oświatowy. Ci ostatni mieli utrudnione poruszanie się po „getcie", nie byli tam mile widziani. „Getto" było tak zakonspirowane, że ta część Oddziału II nie miał formalnie żadnej nazwy. Nieoficjalnie mówiono „za blachą" lub „getto" (nazwa niemile traktowana przez szefostwo aresztu i funkcyjnych), oficjalnie nie mówiono nic, bo udawano, że tego nie ma.

W 1982 r. „gettem" faktycznie kierował por. SB Tadeusz Katolik. Jego zwierzchnikiem, szefem Sekcji Operacyjnej Wydziału Śledczego KWMO, był kpt. SB Zbigniew Ziobro, ale on w stanie wojennym rzadko gościł przy Montelupich, bo w tym czasie był odpowiedzialny za zorganizowanie i poprowadzenie pracy operacyjnej w terenie – w ośrodkach internowania, w których zamknięto opozycjonistów z Krakowa.



Kpt. Zbigniew Ziobro – szef Sekcji Operacyjnej Wydziału Śledczego KWMO. W stanie wojennym rzadko bywał przy Montelupich, bo w tym czasie był odpowiedzialny za zorganizowanie i poprowadzenie pracy operacyjnej w terenie – w ośrodkach internowania, w których zamknięto opozycjonistów z Krakowa. Więźniowie „getta" z 1982 roku nie pamiętają Ziobry, zapamiętali go natomiast internowani z Załęża. Fot. SB



Por. Tadeusz Katolik. Pod nieobecność Ziobry kierował pracą operacyjną „na getcie". Bez jego wiedzy nie działo się tam nic. Także prowokacje agentury celnej, podsłuchy, pobicia... Fot. SB

Naczelnikiem aresztu przy Montelupich w stanie wojennym był Eugeniusz Zawada (do 1984 roku), a jego zastępcami – Jan Dziewoński i Stanisław Twardowski (dwaj pierwsi pełnili wysokie funkcje w więziennictwie także w III RP). Oficerem politycznym był Jan Gross. Ustalenie personalnej obsady aresztu z 1982 roku nie jest łatwe. Dzisiejsza dyrekcja odmawia jej podania ze względu na ochronę danych osobowych, więc pozostaje żmudne odtwarzanie danych z ksiąg ruchu i innych dostępnych dokumentów. Lista może być

niekompletna. Nie ma też pewności, czy poszczególni oddziałowi lub komendanci pełnili wymienione funkcje przez cały rok 1982, czy np. tylko przez miesiąc.

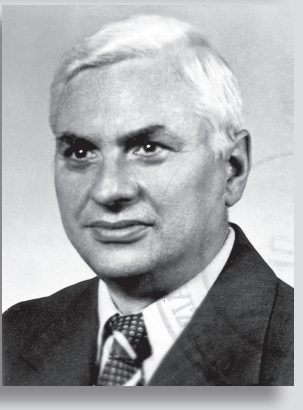
Kierownikiem Działu Ochrony był Stanisław Oleksy, jego zastępcami – Stanisław Karcz (ochrona zewnętrzna) i Stanisław Korzeniowski (ochrona wewnętrzna).

Komendantami pawilonu w „getcie" byli: m.in. Jerzy Stasiak, Günter Herzog, Włodzimierz Skirliński, Tadeusz Batiuszczak.

Jako oddziałowi pracowali: Zbigniew Godula, Piotr Grudnik, Jerzy Stasiak, Julian Prządo, Zbigniew Cacała.



Eugeniusz Zawada – naczelnik Aresztu Śledczego w latach 1980-1984. Fot. SW



Tadeusz Batiuszczak – komendant pawilonu m.in. „na getcie". Fot. SW



Zbigniew Godula – oddziałowy „na getcie". *Współpracował z esbekami. Agent celny namawiał współwięźnia: „Stary, wyślij gryps!". „A co ja z nim mogę zrobić?". „Włóż go do buta, jak będziesz wystawiał buty na noc przed celę". A potem Godula szedł, wyciągał grypsy z butów i dawał esbekom. Esbecy „na getcie" nieraz udawali wychowawców. Godula mówił do nowego więźnia, który jeszcze nie wiedział, kto jest kim w więzieniu: „Wychowawca zaprowadzi was do biblioteki". Esbek brał nowego więźnia do biblioteki i próbował od niego coś wyciągnąć.* Fot. SW

Ponadto ograniczony wstęp na „getto" mieli także: psychologowie – Maciej Szaszkiewicz i Jerzy Trebusznyj oraz pracownik kulturalno-oświatowy – Andrzej Kręcioch.

Ustaliliśmy, że współpracujący z SB w „getcie" funkcjonariusze SW byli przez nich wynagradzani i traktowani formalnie jako współpracownicy. W 1982 r. dostawali zwykle jednorazowo miesięczną wypłatę w wysokości 1500 zł. Wypłaty księgowano pod pseudonimem będącym nazwiskiem współpracownika, wziętym w cudzysłów. Ponieważ werbowanie funkcjonariuszy innej służby mundurowej (a na dodatek jeszcze członków PZPR!) jako TW, byłoby sprzeczne z zasadami obowiązującymi w SB, zaklasyfikowano ich jako OZ – osoby zaufane. To kategoria współpracy nieujęta w żadnej instrukcji pracy SB, stosowana w pionie kryminalnym oraz w wydziałach pomocniczych SB.

Do *Sprawozdania o stanie Funduszu „O"* [Operacyjnego] *Wydziału Śledczego KW MO na dzień 31 grudnia 1982* dołączono załącznik nr 2 – „Opisowa część polityki finansowej", gdzie napisano wprost: *Fundusz „O" KW MO wykorzystywany był do opłacania TWC* [tajnych współpracowników celnych] *oraz OZ* [osób zaufanych], *tj. oddziałowych zatrudnionych na Oddziale II, współpracujących z tutejszym Wydziałem*".

W dokumencie tym podano także, że w areszcie przy Montelupich „przeciętna ilość obsługiwanych TWC wzrosła do 6". To podwojenie liczby agentów w porównaniu do poprzednich lat było spowodowane uwięzieniem w stanie wojennym wielu politycznych.

W raporcie kasowym załączonym do „Sprawozdania o stanie Funduszu „O" Wydziału Śledczego KW MO na dzień 31 marca 1982" występuje 6 agentów celnych („Czernik", „Misiek", „Opel", „Jastrząb", „Daniel", „Hiszpan") oraz 3 OZ – „Zbigniew Godula", „P. Bień" oraz „Piotr Grudnik". W raporcie z 30 czerwca 1982 roku pojawiają się nowi agenci celni („Combi" oraz „Wacek") oraz nowy OZ – „Romaniuk" (nie udało się ustalić funkcjonariusza SW o takim nazwisku, mógł to być pracownik cywilny aresztu, np. zatrudniony w oddziale szpitalnym), z 30 września 1982 r. – kolejni TWC: „Tomasz", „Szmaragd", a z 31 grudnia 1982 r. następni TWC: „Rubin" i „Cichy" i OZ „Mieczysław Marewicz". Ogółem w sprawozdaniach za cały rok 1982 pojawiają się więc pseudonimy 12 agentów celnych oraz nazwiska 5 pracowników aresztu współpracujących z SB i rejestrowanych jako współpracownicy SB.

O intensywności pracy agentury celnej świadczyć mogą sygnatury wewnętrzne na donosach niektórych TWC. Pierwszy znany nam meldunek TWC „Hiszpana" z 17 maja 1982 roku nosi numer 186/82. Wynika stąd, że od stycznia do połowy maja tego roku SB otrzymywała w „getcie" miesięcznie ponad 40 meldunków. Średnia w kolejnych miesiącach była zapewne wyższa, bo w początkach stanu wojennego praca agentury nie była jeszcze tak rozwinięta, jak później.

W sprawozdaniu o stanie Funduszu „O" pojawiają się także wielokrotnie upominki o wartości 1-2 tysięcy złotych dla naczelników aresztu. Sposób zapisu, np.: *upominek dla OZ „Jan Dziewoński"* nie pozostawia wątpliwości, co do traktowania kierownictwa aresztu jako współpracowników SB. Z dokumentu wynika, że prezent od bezpieki finansowany z funduszu operacyjnego dostał także prokurator wojskowy – płk Jerzy Drabik.

Potwierdza to, że SB działała w „getcie" w Areszcie Śledczym w Krakowie za wiedzą i zgodą kierownictwa aresztu, we współpracy z prokuraturą wojskową.

***

Relacje aresztowanych w „getcie" w pierwszych miesiącach stanu wojennego dowodzą, że relatywnie łatwo było im zdemaskować agenta w celi (opowiadają o tym: Wiesław Grudniewicz, Andrzej Fischer oraz Witold Tukałło). Z drugiej strony, nawet w takim

wypadku, zanim dochodziło do demaskacji, więziennemu donosicielowi udawało się pozyskać cenne informacje (np. od Wiesława Grudniewicza, na co wskazują meldunki „Hiszpana" na jego temat). Poza tym rozszyfrowanie w celi agenta, łączyło się najczęściej z osłabieniem czujności wobec drugiego współwięźnia – nierzadko także współpracującego z SB. Mało kto przypuszczał, że w celi może być dwóch czy nawet trzech donosicieli.

Osobnym sposobem pozyskiwania informacji była prowokacja, polegająca na nakłanianiu współwięźniów do pisania grypsów do siedzących w innych celach kolegów lub na zewnątrz. Prowokator dysponował zwykle legendą, która uprawdopodobniała możliwości przekazania takiego grypsu. Korespondencja lądowała oczywiście na biurku funkcjonariusza SB, a jej treść dostarczała śledczym cennych informacji. W przypadku grypsu adresowanego na zewnątrz aresztu, SB uzyskiwała adres tego, kogo w grypsie ostrzegano, np. polecając „wysprzątanie" mieszkania. Z czasem wiarygodność więziennych konfidentów wzrastała, bo przebywając z kolejnymi więźniami politycznymi zdobywali coraz więcej informacji o specyfice środowisk opozycyjnych i coraz łatwiej było im podszywać się pod działaczy podziemia. Jak się wydaje, nastąpiła tutaj specjalizacja, polegająca na przypisaniu agenta celnego do jednego środowiska, co ułatwiało mu orientację i zrozumienie nieistotnych z pozoru wiadomości od współwięźniów. Przykładem może być TWC „Hiszpan", który umieszczany był w jednej celi z działaczami KPN (Grudniewicz, Głowacki, Tukałło, Toś, Bik). Można przypuszczać, że podobną specjalizację stosowano także w stosunku do środowiska NZS czy RKW „Solidarność". Dodatkowym ułatwienie dla agentury celnej były informacje operacyjne SB (których z każdym miesiącem przybywało) oraz – tam, gdzie to było możliwe – dysponowanie portretem psychologicznym współwięźnia i znajomość jego słabych punktów (co będziemy mogli prześledzić na przykładzie rozpracowania Witolda Tosia).

Charakterystyczne jest, że SB udało się utrzymać w tajemnicy metody pracy stosowane w „getcie" i były one stosowane z dużym powodzeniem przez cały rok 1982, mimo że czasem informacje na ten temat przeciekały na wolność. Dowodem artykuł w podziemnym „Serwisie Informacyjnym" nr 9 z 21 maja 1982 roku: *Kraków - więzienie na Montelupich. Powtarzają się doniesienia, że oddział II jest nafaszerowany kapusiami. Podaje się następujące nazwiska więźniów - kapusiów: Kucharczyk, Stasiak, Koenig, Żak. Oprócz kapusi w celach znajdują się urządzenia podsłuchowe. Że cały ten system jest dość sprawny, świadczy casus Miętki z HiL (wpadł za ulotki), który wdał się w celi w rozmowę z kapusiami i w ten sposób przyczynił się pośrednio do wpadki jeszcze jednego człowieka.* Chodziło prawdopodobnie o Jana Miętkę (ur. w 1944 r.) i Wojciecha Ciułę (ur. w 1954 r.), którzy 16 kwietnia 1982 roku zostali skazani za kolportaż „Biuletynu Małopolskiego" na kary po 3 lata pozbawienia wolności. Miętka został zatrzymany 23 lutego a Ciuła - 15 marca 1982 roku. Kolejny, obszerniejszy artykuł o metodach pracy stosowanych w „getcie" ukazał się w „Niepodległości" z 6 września 1982 roku. Wydaje się, że główną przyczyną milczenia na ten temat samych aresztowanych było skuteczne wyciągnięcie od nich przez SB „potwierdzenia" informacji z „getta" w czasie przesłuchań. Stosowali oni często taktykę „syp zasypane". Gdy orientowali się, że bezpieka dysponuje obciążającymi ich informacjami (a były to często informacje z „getta", czego SB oczywiście nie ujawniała przesłuchiwanym) potwierdzali je do protokołu i opowiadali później o „wszechwiedzy SB". Stąd, gdy dzisiaj czyta się protokoły przesłuchań w sprawach prowadzonych w roku 1982 (przede wszystkim akta dotyczące podziemnej „Solidarności"; w przypadku KPN przykładem są protokoły przesłuchań Stanisława Papieża), to znajdujemy tam zaskakująco wiele szczegółów, które podał przesłuchiwany. Gdy się z nim rozmawia, to ten zwykle

twierdzi, że jedynie potwierdził to, co SB już wcześniej wiedziała. Ukrycie tego mechanizmu było tym łatwiejsze, że SB nie tylko wobec przesłuchiwanych, ale także w swoich wewnętrznych papierach (dostępnych dzisiaj w IPN) często ukrywała prawdziwe źródła swojej wiedzy. Dobrze widać to na przykładzie KPN – większość informacji o podziemnej działalności II Obszaru Konfederacji SB uzyskała w wyniku pracy agentury celnej, zwłaszcza dzięki nadzwyczajnej skuteczności TWC „Hiszpana". Jednak, gdy czytamy raporty por. Celbana na ten temat, to o kluczowej roli „Hiszpana" nie ma ani słowa. Trudno się dziwić – Celban wolał przypisać sobie sukcesy i nie był zainteresowany w podkreślaniu roli innych. Ukrycie tego mechanizmu było też możliwe dzięki milczeniu więźniów „getta". Nawet jeżeli w pewnym momencie orientowali się, że mają w celi kapusia, to zdążyli już wcześniej przekazać mu jakieś informacje lub wysłać z jego pomocą grypsy, dostarczające SB cenne informacje. Tuż po wyjściu na wolność (a także później) było im po prostu głupio przyznać się, że dali się podejść konfidentowi w celi. Milczenie katów i ofiar powodowało, że tajemnica „getta" jest do dziś mało znana.

***

Maciej Szaszkiewicz pracował przy Montelupich jako psycholog – wychowawca. Andrzej Kręcioch – jako wychowawca kulturalno-oświatowy. Szaszkiewicz odszedł w październiku 1982 roku, Kręcioch pracował przez całe lata 80. Obydwaj w stanie wojennym utrzymywali kontakty z opozycją.

Andrzej Kręcioch: *Na parterze po prawej stronie od wejścia była krata, a za nią pokoje służbowe. Potem była druga krata i cele więźniów. Gdy idzie o pokoje służbowe, to po prawej pokój esbeków (najbliżej drugiej kraty i cel więziennych) oraz pokoje przesłuchań. Po lewej był mój punkt biblioteczny, a także dwie cele przerobione na pokoiki, które stanowiły studio i pokój nagrań. Na tych drzwiach było napisane „Radiowęzeł".*

Maciej Szaszkiewicz: *Formalnie „getto" to był normalny oddział więzienia przeznaczony dla niebezpiecznych, np. zabójców (którzy, nawiasem mówiąc, zawsze sprawiali w więzieniu najmniej kłopotów – to są na ogół spokojni ludzie). Dopiero po latach pracy zorientowałem się, że „getto" ma drugą funkcję, niejawną, o której wcześniej nie wiedziałem. A mianowicie, że jest tam drugi pion dowodzący tym oddziałem, pion ubecki. Więzienia podlegały Ministerstwu Sprawiedliwości, a nie MSW. A tu się okazywało, że w więzieniu była filia MSW. Funkcjonariusze SB, tacy jak Zbigniew Ziobro czy Tadeusz Katolik, urzędowali codziennie na tym oddziale.*

Kręcioch: *Ziobro w pewnym momencie zniknął z więzienia. Potem „na getcie" rządził Katolik i jeszcze jakiś taki młody, wysoki (185 cm) blondynek, na oko bardzo miły* [prawdopodobnie chodzi o Leszka Szczepkowicza]. *Obaj tam pracowali do końca, czyli gdzieś do 1989 lub 1990. Potem „getto" zlikwidowano i oni zniknęli z Monte.*

Szaszkiewicz: *Katolik to był taki miły, wesoły, życzliwy człowiek. Taki, jaki powinien być wzorowy ubol, bo inaczej to by nic nie zwojował. Zdarzało się, że w więzieniu, po służbie, szliśmy z ubekami do świetlicy i tam piliśmy. Przy tej okazji dowiadywałem się różnych rzeczy. A mnie, psychologowi, było może łatwiej, niż komuś innemu wniknąć w to, co taki ubek myśli i co mówi.*

W ten sposób dowiedziałem się o wykonywanych potajemnie wyrokach śmierci. Skazani na karę śmierci siedzieli właśnie „na getcie". Tylko wybrani funkcjonariusze więzienia wiedzieli, kiedy są egzekucje. Ludzie, którzy wykonywali wyroki śmierci (z reguły dwóch panów), wchodzili do więzienia nie legitymując się, o czym uprzedzał naczelnik. Szli prosto do naczelnika, a potem do gabinetu komendanta. Egzekucje były nie wcześniej niż po 100

dniach od dnia, w którym Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. Skazany był jeszcze kilka razy wzywany do komendanta, który namawiał go: „Napisz jeszcze odwołanie, napisz dodatkowe uzasadnienie". Tak mu radził. A pewnego razu, gdy więzień przychodził na taką rozmowę, to ci dwaj go łapali, zaciągali go do celi z zapadnią, gdzie się odbywały egzekucje i tam go wieszali. Wszystko to odbywało się po 15.00, gdy dzienni pracownicy poszli już do domu.

Kręcioch: *Egzekucje na Monte były już w czasach hitlerowskich i stalinowskich. Odbywały się, z tego, co wiem, w piwnicy (rozstrzeliwano też na podwórku).*

Gdy pracowałem „na getcie", to cela śmierci była także w piwnicy. Idąc od głównego wejścia, skręcało się na prawo. Po prawej była kuchnia, potem pralnia, dalej introligatornia. Po lewej była kuchnia dietetyczna, a na końcu korytarza – cela śmierci.

Gdy miałem dyżur po południu, to wiedziałem, że będzie wykonywany wyrok. Sygnałem było np. to, że w więzieniu zjawiał się prokurator, który musiał być obecny przy egzekucji. Przy egzekucji był także obecny naczelnik więzienia. Były wtedy podejmowane szczególne środki ostrożności. Np. kazano mi siedzieć przez ok. godzinę w bibliotece i z niej nie wychodzić. Strasznie przeżyłem jedną egzekucję, bo w czasie egzekucji prowadziłem audycje w radiowęźle. Tam akurat mnie zamknięto. Czułem się bardzo dziwnie, że ja tu prowadzę jakąś audycję historyczną albo puszczam muzykę, a piętro niżej wieszają człowieka. Wyroki wykonywano późnym popołudniem i wieczorem. Delikwenta wyprowadzano z celi niby do adwokata albo do lekarza. I brano go na egzekucję.

Szaszkiewicz: *Ubecy „na getcie" mieli świetne efekty, ale też mieli luksusowe warunki: podgląd, podsłuch i kapusiów... Bo w celach „na getcie" były podsłuchy, a podobno w niektórych – nawet kamery. Jednak główną robotę odwalali kapusie. Werbowali ich funkcjonariusze więzienni, tzw. komendanci pawilonów, którzy wchodzili w skład działu ochrony w areszcie. To była część Służby Więziennej ściśle powiązana z SB. Komendanci mieli za główne zadanie werbowanie spośród więźniów donosicieli po to, żeby rozeznawać nastroje w areszcie – czy więźniowie nie przygotowują jakiegoś buntu albo ucieczki. Ci ludzie często nadużywali swojej roli i wykorzystywali tych kapusiów do rozeznania, czy więźniowie nie mają jeszcze „za uszami" jakichś innych spraw. Na przykład, czy dany więzień nie popełnił jeszcze kiedyś innego przestępstwa. Mieli za zadanie zdobycie informacji o dowodach i zaraz zgłaszali to ubolom.*

Więźniowie, którzy byli w zainteresowaniu ubecji, byli umieszczani w celi na tym oddziale i otaczani kapusiami. Dobry kapuś potrafił się wkupić w łaski więźnia, którego rozpracowywał, zdobyć jego zaufanie. Jeżeli rozpracowywał opozycjonistę, to sam udawał opozycjonistę, tylko z innego regionu.

Kręcioch: „*Na getcie" w ciągu dnia nie było głośników w celach (prawdopodobnie dlatego, że utrudniałyby nagrywanie rozmów w celach). Dawano im głośniki dopiero około godziny 19.00 – na dziennik, a zabierano o godzinie 21.00. Chyba w 1983 w ogóle zrezygnowano z głośników w celach „na getcie" (być może ze strony esbeckiej agentury celnej poszła informacja, że te audycje są szkodliwe). W tym czasie odsunięto mnie też od wypożyczania tam książek. I od tego czasu z „gettem" nie miałem już kontaktu.*

Szaszkiewicz: *Główny kapuś, który rozpracowywał danego więźnia, dostawał do wglądu esbeckie akta tego człowieka. Znał wszystkie szczegóły. Najczęściej pisał codzienne raporty. Ciekawiło mnie, po co kapusie musieli pisać wszystko, co mówił więzień, a nie tylko zasadnicze rzeczy. Jeżeli nawet więzień nie był w ciemię bity i nie mówił nic istotnego, tak na wszelki wypadek, to zawsze coś gadał. Na przykład mówił, że był nad morzem na wakacjach u cioci i była heca, bo na jedną babę wylało się wino... A potem ubecy to wszystko*

o nim zbierali i jak brali go na przesłuchanie, to mówili mu tak: „Słuchaj! To, czy ty się przyznasz, czy nie, to nie ma dla nas żadnego znaczenia. Bo my i tak o tobie wszystko wiemy. My cię już od lat obserwujemy. Popatrz! Byłeś na wakacjach w zeszłym roku nad morzem u cioci i na jakąś babę wylało się wino...". Takie szczegóły mu mówili. I przesłuchiwany myślał, że oni wszystko wiedzą. Zwłaszcza, jak to było inteligentnie zrobione, to więzień się nie połapał, że sam to mówił wcześniej w celi, bo takich drobiazgów się nie pamięta. Zwłaszcza że ubecy nie mówili mu na przesłuchaniu świeżych opowieści, tylko dawniejsze. I taki więzień sobie myślał: „Jak oni o mnie takie rzeczy wiedzą, to co dopiero, gdy idzie o sprawy zasadnicze!". I zmieniał taktykę. Nie szedł już w zaparte, tylko usiłował z nimi coś ugrać. Najpierw chciał zorientować się, co oni właściwie wiedzą, a potem postanawiał się przyznać do tego, co już i tak wiedzą, żeby ukryć coś innego. Brnął coraz głębiej…

Kapusie za donoszenie mieli różne nagrody, m.in. warunkowe zwolnienie oraz wszelakie ulgi w więzieniu: paczki, widzenia, tzw. wypiskę, czyli możliwość kupna papierosów czy herbaty. A to wszystko było wtedy reglamentowane. Musiał tylko odpowiednio manewrować, żeby to nie budziło podejrzeń u innych. No i przede wszystkim w banku na koncie rosła odpowiednia kwota pieniędzy za to donoszenie. Nieduża, wręcz śmiesznie niskie stawki, ale po latach trochę się uzbierało...

Kręcioch: *Klawisz Godula „na getcie" współpracował z esbekami. Słyszałem na przykład o takim numerze. Agent celny namawiał współwięźnia: „Stary, wyślij gryps!". „A co ja z nim mogę zrobić?". „Włóż go do buta, jak będziesz wystawiał buty na noc przed celę". A potem Godula szedł, wyciągał grypsy z butów i dawał esbekom.*

Esbecy „na getcie" nieraz udawali wychowawców. Godula mówił do nowego więźnia, który jeszcze nie wiedział, kto jest kim w więzieniu: „Wychowawca zaprowadzi was do biblioteki". Esbek brał nowego więźnia do biblioteki i próbował od niego coś wyciągnąć.

Szaszkiewicz: *Ponadto SB robiła tam takie numery, że jak więzień prosił o kontakt z psychologiem, to przychodził do celi ubek i mówił: „Jestem psychologiem", poprosił o księdza, to przychodził ubek jako ksiądz.*

Kręcioch: *Wiem o jednym agencie celnym, który był tak dobry, że był zabierany przez esbeków na Mogilską. A potem wracał „na getto". Były też okresy, że on znajdował się nagle na wolności (bo go nieoczekiwanie spotkałem na Rynku)! Równocześnie miał jakieś inklinacje malarskie i potem, po kilku latach, znalazł się na IV oddziale i tam malował takie przejaskrawione obrazy, straszne knoty. Widywałem go przez całe lata 80. na Monte. To był na pewno więzień, a nie funkcjonariusz, bo widziałem jego teczkę.*

Szaszkiewicz: *Był „na getcie" jeden gość szczególnie sprytny. Miał szczególny dar, żeby wydobywać informacje od więźniów. Miał na imię Zygmunt. Siedział tam długo, co jakiś czas pod innym nazwiskiem, aby uniknąć dekonspiracji. Ciągle wracał do więzienia. Być może starali się go szybko zamknąć za byle co, bo był im potrzebny na Monte. Spotkałem go kiedyś na Plantach, już po 1989 roku, i wypowiadał się o nowej rzeczywistości jak zatwardziały komunista, jak „beton". Mówił, że to wrogowie opanowali Polskę. W pełni utożsamiał się z tymi, którym służył... Czyli poszukiwał też wyższych wartości w tym, co robił, w tym swoim łajdactwie. Tłumaczył sobie, że ten opozycjonista, na którego kablował, to wróg narodu, więc nie miał wyrzutów sumienia.*

Kręcioch: *Agenci celni byli nie tylko „na getcie". W „normalnych" celach, na innych oddziałach też byli kapusie. Tam już następowało rozluźnienie i wtedy mogli się jeszcze czegoś dowiedzieć. Zasada była taka, żeby w każdej celi był jeden przynajmniej pewny człowiek, który ostrzeże o próbie buntu czy o jakichś konfliktach, o subkulturach więziennych. Ale pewnie ci agenci celni w „zwykłych" celach donosili też na politycznych. A kiedyś pamię-*

tam, jak opróżnili cele na piątym oddziale (czyli tym na najwyższym, na trzecim piętrze), wyprowadzili ludzi na spacer i zainstalowali tam podsłuch – takie było przekonanie wśród funkcjonariuszy więziennych. To było gdzieś w 1982 lub 1983 roku. Mój przyjaciel, Piotr Szatkowski, mówił, że na tych wyższych piętrach łatwo było się zorientować, kto jest „ucho". I wtedy uważało się na to, co się mówi w celi przy takiej osobie.

Szaszkiewicz: *Więzień „na getcie" miał małe szanse wyjścia z tego zwycięsko. Miałby większe, chyba tylko wtedy, gdyby wiedział to wszystko, co teraz wiemy. Mówiło się w konspiracji, żeby nie gadać nigdy nic nikomu, ale psychicznie było to bardzo trudne w więzieniu, gdzie człowiek był otoczony wrogami przez 24 godziny na dobę. A przeżywał przecież różne rozterki, musiał mieć chwile słabości. Zwłaszcza że ubecy na przykład zatrzymywali jego żonę i opowiadali mu, co będą z nią wyrabiać, że dzieckiem nie będzie miał kto się opiekować... Poza tym więzień „na getcie" był cały czas izolowany od świata zewnętrznego. Nie było widzeń, listów, kontaktu z kimkolwiek poza śledczym i kilkoma wyselekcjonowanymi klawiszami. Ksiądz fałszywy, psycholog fałszywy... Człowiek wracał z przesłuchania do celi i myślał, że najgorsze minęło, że jest poza ich zasięgiem. A tak naprawdę, najgorsze czekało go właśnie tutaj...*

Odszukaliśmy żyjących jeszcze funkcjonariuszy SB, którzy prowadzili prace operacyjną na Monte.

Leszek Szczepkowicz, który przesłuchiwał więzionych w „getcie" konfederatów, Marka Bika i Witolda Tosia i – jak wynika z dekretacji na meldunkach agentów celnych – dobrze orientował się w metodach pracy stosowanych przez SB w „getcie": *Nie pracowałem nigdy na Monte. Nie pamiętam żadnej gry grypsami. Jeżeli tak było, to wszystko było robione u Tadka Katolika. Tadek Katolik może powiedzieć więcej. Niech pan z nim pogada. Ja o tym kompletnie nic nie mogę powiedzieć. Wymazałem te sprawy z pamięci kompletnie! Doszedłem do wniosku, że to był stracony czas. Żałuję, że poszedłem tam w ogóle do roboty.*

Tadeusz Katolik, który pod nieobecność Zbigniewa Ziobry kierował „gettem": *Ma pan tam naczelników więzienia – niech pan z nimi rozmawia. Niech pan rozmawia z moimi szefami. Ja wielu rzeczy już nie pamiętam.*

***

30 czerwca 1982 roku Marek Bik i Witold Toś zostali przewiezieni do aresztu przy ul. Montelupich. W planie czynności operacyjno-śledczych z 7 lipca 1982 r. kpt. Kuliś polecił: *Uzgodnić z Wydziałem Śledczym zabezpieczenie ich poprzez agenturę celną, przy czym uzyskane informacje będą wykorzystane do dalszego rozpracowania struktury KPN i osób działających na jej rzecz.*

Marek Bik: *Na Monte nas rozdzieli. Witka wzięli do celi przejściowej, a mnie od razu do punktu przyjęć, gdzie strażnik wypełniał specjalną obiegówkę, którą później wkładał do mojej teczki. Kątem oka zauważyłem, że na biurku obok leżała teczka z imieniem i nazwiskiem „Stanisław Handzlik". W ten sposób dowiedziałem się, że Handzlik, którego znałem, siedzi. Wszystkie rzeczy osobiste (portfel, klucze) musiałem oddać do depozytu. W klatce zwanej „tygrysówą" (o podobnej powierzchni jak winda) należało rozebrać się do naga. Do depozytu trafiła też moja bielizna, kazali mi ubrać bieliznę więzienną. Dostałem pościel i inne przedmioty niezbędne w więzieniu.*

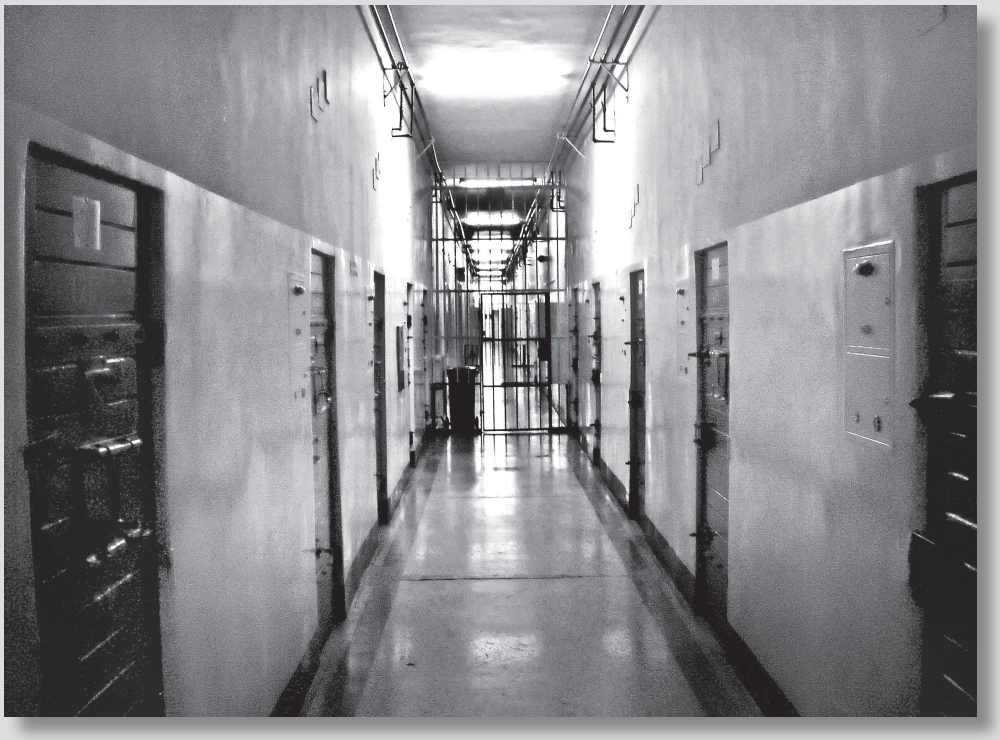
Na Monte umieścili mnie najpierw w celi nr 118, która znajdowała się na tzw. getcie.

„Na getcie" była taka izolacja, że nawet partyjna „Gazeta Krakowska" miała powycinane przez więzienną cenzurę artykuły. Gdy później byłem już na III oddziale, sprawdziłem tę samą gazetę, którą widziałem „na getcie". Byłem ciekaw, czego dotyczył ten wycięty

artykuł. Okazało się, że wycięto informację o zatrzymaniu Handzlika. Innym świadectwem izolacji było to, że przed otwarciem jakiejkolwiek kraty wewnątrz tego oddziału, prowadzący więźnia klawisz uderzał kluczem kilka razy o metalowy pręt kraty, informując w ten sposób innych klawiszy o tym, że prowadzi więźnia. To był dla nich sygnał, że należy schować innego prowadzonego więźnia, aby nie dopuścić do kontaktu między nimi. Ta sama procedura obowiązywała przy wyprowadzaniu na spacer i przy powrocie ze spaceru.

Jeżeli mówi się nieraz, że pobyt w więzieniu to jest jakby drugie życie, to pobyt w „getcie" należałoby określić jako trzecie życie. Była to też swoista nobilitacja więźnia, gdy już trafił na zwykły oddział, bo niewielu na Monte dostępowało tego zaszczytu.

„Getto" oddzielone była od klatki schodowej kratą, następnie ścianą z ocynkowanej blachy (w tej ścianie były drzwi z wizjerem), a metr dalej była znowu krata. Zaraz za nią znajdowały się pomieszczenia nie będące celami. Pierwsze pomieszczenie po prawej to był, jak się potem okazało, pokój przesłuchań, kolejne dwa pomieszczenia to były pokoje, które wyglądały jak dyżurki. Dyżurek w tej części „getta" było kilka. Następnie była krata i wchodziło się na korytarz, przy którym były drzwi do 13 cel po dwóch stronach korytarza: południowej i północnej, siedem z jednej i sześć z drugiej (plus jedna cela przerobiona na łaźnię). W celach od strony północnej siedzieli – jak się później dowiedziałem – skazani z wyrokami śmierci. Było ich tam pełno, bo 13 grudnia 1981, gdy wprowadzono stan wo



Areszt śledczy przy Montelupich – korytarz „getta" (widok obecny, od strony bocznej klatki schodowej). Przed kratą w 1982 r. była jeszcze blacha. Za nią znajdowało się 12 cel. Po jednej stronie – sześć cel, w których siedziały osoby skazane na karę śmierci i oczekiwały na egzekucję. Po drugiej – sześć cel, w których Sekcja Operacyjna Wydziału Śledczego prowadziła pracę przy pomocy podsłuchów i agentury celnej. Fot. Grzegorz Hajduk

jenny, to Jaruzelski ogłosił moratorium na wykonywanie kary śmierci. Zaczęto ponownie wieszać w 1983 roku, kiedy stan wojenny zawieszono. Z więźniami skazanymi na karę śmierci nie miałem bezpośredniego kontaktu. Raz jednak, gdy lipo mojej celi było odsłonięte, widziałem, jak czterech funkcjonariuszy wynosiło kogoś z celi naprzeciwko w kocu, tak jakby to były zwłoki. Współwięzień mi później opowiedział, że to był jakiś zabójca milicjanta w Gliwicach, który prowadził długą głodówkę, żeby go nie powiesili (nie mogli tego zrobić, póki głodował). Wynoszono go do łaźni, żeby go umyć. W celach od strony południowej siedzieli rozpracowywani (w tym czasie byłem to m.in. ja i – jak się potem okazało – także Witek Toś, Jan Pacula, Marian Stach i Kazimierz Kowalówka z KPN i z „Solidarności" oraz Staszek Handzlik czy Zbigniew Fijak z „Solidarności"). Na końcu korytarza była kolejna krata, a za nią schody, które wiodły na spacernik (więźniowie z „getta" korzystali z odrębnej klatki schodowej, niedostępnej dla „zwykłych" więźniów). Liczyłem zakratowane bramy i drzwi, które dzieliły moją celę od wolności. Naliczyłem ich osiem, łącznie z drzwiami mojej celi. Łaźnia w „getcie" była elegancka. Zbudowana była chyba na początku stanu wojennego. Był w niej tylko prysznic i umywalka. Pachniała świeżością. Do tej łaźni zawsze chodziłem sam. W porównaniu do łaźni, która znajdowała się w podziemiach, łaźnia w „getcie" była naprawdę luksusowa. Ta w podziemiach pamiętała chyba czasy gestapo – drewniane pomosty na betonowej wylewce, półmrok i ze 30 pryszniców pociąganych za sznurki, małe okienko, którym wychodziła para na zewnątrz. Do tej łaźni chodziły całe cele kilkunastoosobowe lub ponaddwudziestoosobowe.

Cele w „getcie" były trzyosobowe. Było w nich zakratowane okno, wysoko pod sufitem. Strażnik codziennie sprawdzał kratę, uderzając w nią specjalnym młotkiem na długim trzonku. Po dźwięku poznawał, czy nie jest nadpiłowana. Aby dostać się do kraty, strażnik musiał stanąć na taborecie. Mimo że okno było tak wysoko, to i tak było zasłonięte trzema blendami z ocynkowanej blachy i nawet w ciągu dnia, w lipcu, w celi musiała się palić żarówka. Prycze w celi były piętrowe, wmurowane w ścianę. Dolna to „szuflada", najwyższa – „jaskółа".

Plan dnia w „getcie" był następujący.

Pobudka ok. 6 rano. Budził nas dzwonek na korytarzu. Potem była poranna toaleta (zlew z zimną wodą był w celi). Klawisz otwierał celę, można było zabrać ubranie i ubrać się. Łóżko ścieliło się w tzw. szynę (wywijało się prześcieradło na zakładkę w taki sposób, że z obu stron koca były białe „szyny"). Koc musiał być naciągnięty, dzięki czemu klawisz poznawał, czy ktoś w ciągu dnia nie siedział albo nie leżał na łóżku (nie wolno było tego robić od apelu porannego do apelu wieczornego). Apel wyglądał w ten sposób, że drzwi się otwierały, stawał w nich oficer dyżurny i klawisz. Jeden z więźniów meldował: „Stan celi – dwóch. Obecnych – dwóch".

Około ósmej było śniadanie. Dostawało się na cały dzień jeden chleb na dwie osoby. Monte miało własną piekarnię, więc mówiono, że to dobry chleb, ale czasami się trafiało w nim na jakieś śmieci. Nie było noży, więc chleb kroiło się zaostrzonym trzonkiem łyżki. Do tego był zjełczały, żółty smalec albo margaryna. Podobno to były zapasy wojskowe, które po pół roku wojsko wymieniało. Margaryna była tak obrzydliwa, że widziałem, jak z kawałka margaryny więźniowie potrafili sobie wyhodować „mechaniczną żółtaczkę", aby trafić na oddział szpitalny. Po prostu po kilku dniach „hodowli" więzień zjadał tę margarynę, robił się cały żółty i trafiał do szpitala. Bez badań nie można było stwierdzić, czy to żółtaczka mechaniczna, czy zakaźna (typu B). A w więzieniu panicznie wszyscy się bali tego wirusowego zapalenia wątroby typu B, czyli zakaźnej żółtaczki.

Do picia dawali kawę zbożową czarną lub herbatę (albo raczej popłuczyny po herbacie, śmierdzące, obrzydliwe).



Areszt śledczy przy Montelupich – drzwi celi od wewnątrz. Widać „lipo" oraz otwieraną klapę, przez które strażnik mógł zajrzeć do celi. Fot. Grzegorz Hajduk



Areszt śledczy przy Montelupich – drzwi celi nr 118 „na getcie" (od zewnątrz). „Masz szczęście. W tej celi siedział Karol Kot" – powiedział klawisz do Marka Bika. Kot to seryjny morderca skazany na karę śmierci w 1968 roku. W 1982 w tej celi siedziało wielu więźniów politycznych – działaczy Solidarności i KPN, którzy byli rozpracowywani przez agenturę celną. Fot. Grzegorz Hajduk



Areszt śledczy przy Montelupich – widok przez lipo do celi „na getcie". W latach 80. nie było w otworze metalowej blachy z dziurkami, tylko gruba szyba.
Fot. Grzegorz Hajduk



Areszt śledczy przy Montelupich – wnętrze celi w getcie. W latach 80. prycze były trzypiętrowe. Najgorsza była najwyższa - „jaskóła", bo tam był największy zaduch, a schodzenie polegało na zeskakiwaniu z wysokości. Najlepsza była najniższa - „szuflada". W latach 80. w takiej celi trzymano często czterech więźniów. Czwarty rozkładał materac wprost na betonie („na sianku"). W latach 80. zamiast widocznej po prawej ścianki i drzwi przesuwnych oddzielających ubikację od reszty celi, była tylko tafla pleksi o wysokości ok. metra. Za kącikiem sanitarnym znajdował się niewielki stolik oraz trzy taborety. W latach 80. prycze musiały być zaścielone „w szynę", a leżenie na nich po rannym apelu, a przed apelem wieczornym, było karane. Więźniowie na małej przestrzeni mogli siedzieć na taboretach lub spacerować pojedynczo na niewielkiej przestrzeni od okna do drzwi. Blindy w oknach powodowały, że w celach było ciemno nawet w słoneczny dzień i od apelu do apelu świeciła u sufitu słaba żarówka. Stąd niektórzy mieli wrażenie, że siedzą w piwnicy.
Fot. Grzegorz Hajduk

Przed obiadem był jeszcze spacer. Spacernik był na dachu. No i do obiadu czekało się na przesłuchanie (a przesłuchania nie odbywały się codziennie). To było wyczekiwanie, nie wiadomo kiedy i o której...

Obiad był wcześnie – koło 13-14. Micha zupy i jakaś breja. Po obiedzie, zgodnie z powiedzeniem „obiad zjedzony, dzień zaliczony" była już tylko monotonia więzienna. Pod tym względem w więzieniu było podobnie jak w biurze, gdzie po 16 następuje uspokojenie. Co wieczór były komunikaty przez „betoniarę" (czyli przez radiowęzeł), w których podawano jadłospis na następny dzień. Warto było zapamiętać, co jest na obiad, aby wiedzieć, jak to wykwintnie nazwać. Na przykład obrzydliwa breja na talerzu wg jadłospisu nazywała się „risotto z jarzynami". Na podłe jedzenie nie zwracałem uwagi, bo nie spodziewałem się, że mnie będą w areszcie jakoś specjalnie karmić. Jedzenie na Monte oceniam jako nie najgorsze w porównaniu z tym, co było w więzieniu w Strzelinie, gdzie np. przez tydzień na śniadanie był ser topiony i na kolacje też był ser topiony. Żartowaliśmy wtedy, że pewnie wykoleił się gdzieś wagon z zapasami tych serków. Albo przez dwa tygodnie codziennie karmiono nas czarnym salcesonem, który wyglądał makabrycznie. Wolałem być głodny, niż tknąć coś takiego...

Po obiedzie nie było żadnych zajęć. Można było słuchać radia przez radiowęzeł (zwykle transmitowano Program 1 Polskiego Radia) albo czytać książki. Książki dostarczał klawisz. Otwierał drzwi, na podłodze leżało 10 tytułów i można było sobie wybrać trzy. Z tym, że ciągle pospieszał: „Szybko, szybko! Pospiesz się!". Potem nogami przesuwał książki do następnej celi. Jako pierwsze wybrałem „Wesele" Wyspiańskiego, którego akurat nie przeczytałem w szkole. W więzieniu przeczytałem mnóstwo książek, m.in. całego Wańkowicza.

Kolacja była około 18. Chleb, który dostaliśmy rano, kawałek smalcu, kawa albo herbata.

Wieczorem wszystkie ubrania układało się w kostkę, którą kładło się na taboret, a taboret wystawiało się na korytarz (tzw. kostka). To samo buty. Po kostce był apel. Około godziny 21 gasili światło przyciskiem, który był na korytarzu. W nocy co godzinę zapalali światło.

W więzieniu raz w tygodniu dostawało się przydział osobisty – dwa ręczniki, dwie ścierki, dwa prześcieradła, dwa koce, poduszkę, podkoszulek i spodenki. W specjalnym okienku wydawali „stare" rzeczy i dawali „nowe". „Na getcie" były to zawsze nowe rzeczy, z metką. Na innych oddziałach było inaczej. Najlepszej jakości rzeczy dostawali więźniowie, którzy budzili szacunek, a więc tacy, którzy byli np. bez oka albo „wydziarani" na twarzy, albo „ze stopniem". Pozostali mogli dostać rzeczywiście nowe rzeczy z metką (jeżeli dali więźniowi wydającemu te rzeczy paczkę papierosów) albo wyprane, ale używane już przez innych więźniów. Ci, którzy wydawali bieliznę, byli czasami złośliwi. Na przykład dostałem kiedyś bieliznę dla kogoś, kto ważył 150 kilo, a ja ważyłem 60. Zrobiliśmy wtedy taki żart z Witkiem Tosiem (gdy już siedzieliśmy razem na III oddziale w celi 259 na Monte), że weszliśmy razem do jednego podkoszulka (ja stanąłem za Witkiem, bo on był wyższy). I jak klawisz liczył więźniów na apelu wieczornym, to mu wyszło, że jednego brakuje. Liczył drugi raz i też mu się nie zgadzało. I dopiero jak wystawiłem głowę z tego podkoszulka, to zorientował się, że to żart. Ponieważ był to oficer dyżurny, a nie oddziałowy, to nie ukarał nas za to, tylko się uśmiechnął.

Ponadto w więzieniu dostawało się aluminiową łyżkę, aluminiowe „platery", czyli dwie miski do jedzenia (płaską i głęboką) oraz „kuban" czyli kubek. Potem, trochę z nudów, na platerach i na łyżce grawerowało się długopisem jakieś litery. Ja wygrawerowałem sobie „KPN". Platery myło się w zimnej wodzie i pucowało dwoma ścierkami, które dostawało się z przydziału co tydzień. Obiady były zwykle bardzo tłuste, więc dobre mycie w więzieniu polegało zwykle na dobrym wycieraniu. Dlatego ważne było przy cotygodniowej wymianie przydziału pilnowanie, żeby dostać ścierki białe, a nie ciemnoziemistoszare. Czasami trzeba się było o to wykłócać przy klawiszach z więźniami, którzy wydawali przydział, bo za swoje niedoświadczenie lub nieuwagę trzeba było w więzieniu zawsze płacić jakąś cenę. Czasami te „nowe" ścierki były tak brudne, że wolałem mieć dwa tygodnie tę samą „starą" ścierkę. Potem za papierosy załatwiłem sobie tak, że miałem podwójną zmianę i mogłem kombinować: np. gdy dali mi „nową" ścierkę mocno już zużytą, to jej nie używałem, tylko miałem drugą czystą, zapasową.

W celi była „bardacha", zwana też „jaruzelem" (ubikacja). Był to element kącika parasanitarnego, który otoczony był parawanem z pleksi o wysokości 1,20 metra, przymocowanym do metalowego kątownika.

W więzieniu prześcieradło ma dodatkowe funkcje. Obdziera się jego skraj, nasącza się tłuszczem (najczęściej tym obrzydliwym smalcem albo margaryną, które dawali do jedzenia), zwija się szczelnie, robi się specjalną konstrukcję z taboretu i pustej puszki i powstaje tzw. knot. W ten sposób w platerze (czyli w aluminiowej misce do jedzenia) gotuje się wodę na czaj – mocny napar herbaty. Jak klawisz był złośliwy to – gdy robili kipisz – za utargane prześcieradło można było dostać raport (kara więzienna polegająca na pozbawieniu korespondencji, widzeń, paczek itp). Dlatego, gdy wydawali pościel w więzieniu, to trzeba było sprawdzić, czy prześcieradło nie jest urwane, bo można było dostać karę za cudze sprawki.

Czaj można było też zagotować za pomocą żyletek (ale o te było trudniej w więzieniu, bo żyletka to jest także broń i przedmiot służący do samouszkodzeń) albo z blaszek powycinanych z konserw. Układało się trzy zapałki na krzyż, tak aby te blaszki czy żyletki się nie

stykały, wiązało się to nicią, do każdej blaszki doprowadzało się przewód. Jeden przewód doprowadzało się do górnego łóżka metalowego (w miejscu, gdzie lakier był odrapany – to było tzw. zero) i to wszystko podłączało się do lampy przy suficie (trzeba było znaleźć odsłonięty przewód). Wtedy powstawała hydroliza. Oczywiście, gotowało się w szklanym naczyniu, bo w metalowym prąd by poraził. Wymagało to nie tylko umiejętności elektrycznych, ale także akrobatycznych, bo słój z wodą trzeba było trzymać wysoko nad ziemią, blisko lampy przy suficie. Gotowanie wody na czaj było zakazane, ale klawisze to tolerowali. Widać było, kiedy ktoś robił czaj, po tym, że żarówki świeciły słabiej. Nieraz w celi aż się robiło ciemno, bo wszyscy „siadali na fazę". Czaj przygotowywało się przed apelem, gdy jeszcze był prąd w celi. Potem do słoika wsypywało się herbatę, zakręcało i zawijało szczelnie w koc. Powstawała taka smolista, gęsta ciecz. Piło się zwykle wieczorem, po wystawieniu „kostek", gdy więźniowie zostawali w samej bieliźnie (czyli w spodenkach gimnastycznych i w podkoszulku z pieczątką „ZK"). Znaczenie gotowania czaju było podwójne. Z jednej strony powodował on odurzenie podobne do wypicia kilku mocnych kaw. Człowiek był podekscytowany. Z drugiej strony był to cały rytuał, poczucie uczestniczenia w czymś, co jest formalnie zabronione, nielegalne. Na dodatek mówiło się, że „czaj lubi bajery" – więźniowie po wypiciu czaju długo nie spali, tylko rozmawiali.

***

Andrzej Fischer trafił „na getto" już 24 marca 1982 r. (cztery dni po zatrzymaniu 20 marca). Fischer: *Trzymali nas z Tomkiem Strutyńskim najpierw na Mogilskiej, a potem przewieźli na Monte, na oddział II. Przydały mi się moje doświadczenia z pierwszej wpadki* [zob. tom I]. *Odmawiałem jakichkolwiek zeznań.*

W celi miałem najpierw jednego współwięźnia. Szybko zorientowałem się, że to kapuś. Przedstawił mi się jako Kupczyk czy Kucharczyk. Mówił, że jest z Komisji Krajowej „Solidarności". Zauważyłem, jak przekazywał klawiszowi informacje na kartce pod miską przy wydawaniu jedzenia. Opowiadał, że siedział wcześniej z Tomkiem i że on się załamał i opisał bezpiece całą naszą działalność. Kupczyk miał znać treść tych jego zeznań, bo przez ramię zaglądał mu i czytał to, co on napisał. Aby to potwierdzić, opowiadał bardzo szczegółowo, do czego Tomek rzekomo się przyznał. Rzeczywiście, wszystko się zgadzało. Kupczyk opowiadał mi tak drobiazgowe informacje, że bezpieka musiałaby mieć w piwnicy kamerę, aby znać takie szczegóły. Wiedział na przykład dokładnie, gdzie leżały różne przedmioty w tej piwnicy. Potem zostałem wezwany na przesłuchanie do ubeka Dwuraźnego. Ten wyjmował z teczki powoli różne przedmioty i między innymi wyjął plik kartek papieru zapisanego ręcznym pismem. Poznałem, że to pismo Tomka, choć nie mogłem szczegółowo przeczytać tego, co tam było. Potem okazało się, że kazali Tomkowi napisać swój szczegółowy życiorys i właśnie pierwszą stroną tego pliku kartek był życiorys Tomka. Tomek, mimo że miał poważnie chorą na serce mamę , niczego im nie powiedział, ale w celi dał się podejść kapusiowi i jemu opowiedział ze szczegółami o naszej działalności. Stąd kapuś znał tyle szczegółów i stąd gra bezpieki na to, aby zasugerować mi, że Tomek sypie. Zwłaszcza że kapuś w celi przekonywał mnie: „Tomek sypie, to dostanie wyrok w zawiasach. Jak ty nie będziesz zeznawać, to nie wyjdziesz z więzienia do śmierci. Potwierdź im to, co oni już i tak wiedzą". Mówił mi też, że będzie miał wkrótce sprawę w sądzie. „Będę miał okazję przekazania grypsu na zewnątrz. Daj mi jakiś kontakt, to ostrzegę ludzi, że Tomek sypie". Nie dałem mu grypsu, ale dałem numer telefonu, na który miał zadzwonić i przekazać ustnie informację. Powiedziałem, że ten numer przekazano mi na wolności jako numer kontaktowy w razie wpadki. Numer wziąłem z gazety. Był to numer milicyjny, podany dla osób, które miały przekazać MO informacje w sprawie jakiegoś przestępstwa. Chyba chodziło

o znalezienie świadka tego zdarzenia. Kiedy Kupczyk wrócił z rozprawy, to powiedział z kwaśną miną: „Z tym telefonem to ktoś musiał cię zrobić w konia". Widać nie był pewien, czy to ja go oszukałem, czy też może ktoś mnie oszukał. W każdym razie dał mi już spokój.

Po pewnym czasie przywieźli do nas ludzi z ZNTK z Nowego Sącza, internowanych wcześniej w Załężu. Jeden z nich trafił do naszej celi i „mój" kapuś zaczął się do niego dobierać i ciągnąć go za język. W nocy usiłowałem ostrzec tego nowego więźnia przed Kupczykiem, ale ten to zauważył. Na drugi dzień rano Kupczyk rzucił się na mnie: „Sugerujesz, że ja jestem kapusiem! Ty skurwysynie!". Ciężko mnie pobił. Bił po piersiach i po głowie. Pięściami i krzesłem, które było w celi. Nie straciłem przytomności, ale pierwszy raz w życiu zobaczyłem przysłowiowe gwiazdy przed oczami. Potem w czasie wydawania posiłku Kupczyk dał kartkę strażnikowi pod miską i zabrali mnie z tej celi.

Trafiłem na drugą stronę korytarza do kaesiaków. Przez kilka pierwszych nocy nie spałem, bo obawiałem się o swoje życie. W więzieniu mówiło się, że kaesiacy zabijają współwięźniów, aby mieć nową sprawę i przedłużyć sobie życie. Potem okazało się, że to nieprawda i pobyt w tej celi wspominam bardzo miło. Ci ludzie skazani na karę śmierci byli bardzo pogodni. Wiedzieli, że zostało im niewiele życia i chcieli wykorzystać każdą chwilę. Nie wiem, za co zostali skazani. Jeden mówił, że zabił milicjanta, ale nie wiem, czy to była prawda. Do mnie, jako do politycznego, odnosili się bardzo życzliwie.

Potem przenieśli mnie na górne piętro, na normalny oddział. Wtedy już nie próbowali mnie przesłuchiwać. Siedziałem z działaczami „Solidarności" (m.in. z Adamem Kramarczykiem) [Kramarczyk to jeden z zatrzymanych 25 stycznia 1982 roku po wpadce lokalu przy ul. Długiej]. *W celi dwuosobowej było nas czterech, a w maju 1982 doszedł jeszcze jako piąty Andrzej Załuski. Jak on przyszedł, to nie można było na ziemi nawet rozprostować nóg w czasie spania, bo nie było miejsca.*

***

Andrzej Załuski trafił „ na getto" po aresztowaniu 13 kwietnia 1982 r.

Załuski: *Na Monte siedziałem najpierw „na getcie". Cele były różnej wielkości. Były tam cele dwuosobowe, ale były też cele, w których było 6 łóżek (po trzy po obu stronach). Kilka dni wcześniej siedzieli tam przywódcy „Solidarności" Gil i Nowak. Siedziałem kolejno w celach: 118, 116 i 120.*

Moimi współwięźniami byli działacze „Solidarności" z Nowego Sącza, którzy byli pracownikami Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego, oraz z Andrychowa, którzy byli pracownikami Wytwórni Silników Wysokoprężnych. Siedziałem też z pracownikiem posterunku energetycznego z Mszany Dolnej, który [17 grudnia 1981] *na odwrocie dekretu o stanie wojennym namalował karykaturę Jaruzelskiego* [którą następnie wywiesił w miejscu ogólnie dostępnym] *i za to* [już 14 stycznia 1982] *dostał karę 1 roku więzienia (którą potem mu złagodzili za dobre sprawowanie do trzech kwartałów). Nazywał się Staszek Szendera* [Prokurator zaskarżył ten wyrok do Sądu Najwyższego, domagając się… 4 lat więzienia dla autora karykatury, ale rewizja ta nie została uwzględniona].

Tam w każdej celi był konfident. Była nim zapewne ta osoba, która starała się zaprzyjaźnić, rozpytać... Taki brat-łata, który chciał wszystko wiedzieć. Jednak ich historie były niespójne, nieprawdopodobne. Ci wścibscy więźniowie byli codziennie przesłuchiwani, co było nietypowe. Innych więźniów nie przesłuchiwano tak często. Poza tym oni mieli zawsze, bez ograniczeń, w swojej dyspozycji papierosy i herbatę. Jednym ze sposób, które oni stosowali, aby zdobyć sobie zaufanie, była taka niby konspiracja, którą rzekomo tworzyli „na getcie". Jej przejawem było porozumiewanie się między celami za pomocą stukania. Nie

pamiętam, aby namawiali mnie do pisania grypsów. Może dlatego że cały czas udawałem ucznia szkoły średniej, który znalazł się tam przez przypadek i twierdziłem, że nikogo nie znam. Zachowywał się jak osoba „nie z tego filmu".

W pierwszej celi kapusiem był chyba niby-kierowca z KRH, który miał ukryć samochód i za to mieli go zamknąć (szczupły, koło trzydziestki, niewysoki, dosyć cherlawy, jeżeli dobrze pamiętam – blondyn). W kolejnej celi kapusiem był prawdopodobnie bardzo duży, otyły, ciężko ruszający się mężczyzna koło pięćdziesiątki. Nie pamiętam, jaką miał legendę, która miała go uwiarygodnić. Zdaje się, że przyznawał się, że jest więźniem kryminalnym.

Starałem się być wobec wszystkich w celi przyjazny, na zasadzie wzajemnego wspomagania się. Nie paliłem, więc dzieliłem się papierosami, które kupowałem w więzieniu na kartki. A papierosy w więzieniu to była bardzo twarda waluta. Przypuszczam, że zaskarbiłem sobie w ten sposób sympatię innych więźniów, nawet kapusiów, więc mnie specjalnie nie prześladowali. Ponadto miałem takie podejście do tej sytuacji, że w normalnych czasach nie miałbym okazji tego wszystkiego obserwować. Czułem się więc nie tyle uczestnikiem, ile obserwatorem tych wydarzeń, rozmów, zachowań się ludzi. Psychicznie takie nastawienie było bardzo pomocne.

W drugiej połowie kwietnia 1982 zostałem przeniesiony na górę na III oddział. Tam już nie miałem ani jednego esbeckiego przesłuchania. Natomiast kilka razy byłem przesłuchiwany przez prokuratora Malinę. Te przesłuchania odbywały się na dole, „na getcie", w pokoju przesłuchań. Być może wtedy Marek Bik słyszał, jak mnie przesłuchiwano. Ja tej sytuacji nie pamiętam.

Na górze spotkałem się z Andrzejem Fischerem. On już siedział w celi 203 czy 208. Była to cela dwuosobowa. Ja tam trafiłem jako trzeci.

Potem jeszcze na parę dni trafiłem na dół, „na getto", do celi kaesowców. Było to za karę, za śpiewanie w celi pieśni patriotycznych. Dotknęło to kilka osób z naszego oddziału. Trafiłem do celi z dwoma skazanymi na śmierć. Opowiadali mi, jak się robi zacierkę do oka. Należało zgnieść szkło z żarówki do postaci drobnego pyłu i zasypać tym proszkiem oko. Opowiadali też, jak się robi połyki sprężyn z łóżka. Należy je odpowiednio związać i połknąć. Potem ten sznurek zostaje przetrawiony, sprężyna się prostuje i przekłuwa żołądek. I wtedy więzień osiąga swój cel i trafia do szpitala. Nie spotkałem się z żadną agresją z ich strony, Odnosiłem wrażenie, że traktowali mnie jako urozmaicenie, pewnego rodzaju atrakcję.

***

Witold Tukałło znalazł się w „getcie" po wpadce 14 kwietnia 1982 r.: *Po kilku dniach od zatrzymania przewieźli mnie na Monte. Tam trafiłem „na getto". Początkowo byłem w celi przedostatniej od końca po prawej stronie, gdzie było już dwóch więźniów. Jeden – przystojniak, zdrowy „byczek", który miał już ślady na brzuchu po okaleczeniach – udawał kapeenowca. Cały czas namawiał mnie do pisania grypsów. Drugi mówił, że jest więziennym fryzjerem i może przekazać dalej gryps. Po kilku dniach „przystojniak" wydał mi się podejrzany – ciągle wychodził niby na przesłuchania, miał dietę, miał dużo papierosów. Napisałem więc jeden gryps do Andrzeja Załuskiego, w którym nie napisałem niczego, co mogłoby dać SB jakąś wiedzę: „Andrzej! Wpadłem u Ciebie na kotle. Trzymaj się! Mama jest z Ciebie dumna! Jeszcze nie zginęła...! Witek". „Przystojniak" zwinął kartkę, zafoliował i przekazał „fryzjerowi", który włożył ją do ust.*

Potem zabrali „fryzjera", a na jego miejsce trafił do naszej celi działacz „Solidarności" z Andrychowa – Arkadiusz Pyzio [Ur. 1947, skazany później za druk i kolportaż bibuły na

2 lata więzienia]. *Gdy w celi nie było „przystojniaka", to Pyzio zwierzył mi się, że zasypał jakąś dziewczynę. Mimo że przypuszczałem, że w celi jest podsłuch, uznałem, że muszę jakoś mu pomóc. Namówiłem go, aby to odwołał. „Jak cię wezmą na przesłuchanie, to odwołaj te zeznania, żebyś później nie miał wyrzutów sumienia!". On mnie posłuchał. Potem mi dziękował. Dziewczyna, której to dotyczyło (nazywała się Kiecana, nie pamiętam imienia), siedziała później w Myślenicach, gdy na kilka dni przewieźli tam Ewę. Ewa jej nie spotkała osobiście, ale „kryminałki" na spacerniku powiedziały jej o niej. Kiecanę w końcu puścili, Pyzio dostał dwa lata, zwolniono go w amnestii w 1983. Gdy wyszedł na wolność, przyszedł do mnie. Później Kiecana zaprosiła nas na uroczysty obiad do Andrychowa.*

Mniej więcej po dwóch tygodniach od czasu, gdy trafiłem do tej celi, gdy „przystojniak" coraz bardziej nachalnie mnie wypytywał, powiedziałem mu: „Przestań mnie śledzić, bo ja tu mam śledztwo przez 24 godziny na dobę! Nie pytaj mnie o pierdoły, bo ci nie odpowiem. Współpracujesz z SB, jesteś kapuś!". Wtedy rzucił się na mnie i zaczęliśmy się bić. Po pewnym czasie drzwi się otworzyły i klawisz zabrał mnie do celi obok (czyli ostatniej w korytarzu po prawej stronie, przy drzwiach na dodatkową klatkę schodową dla więźniów „getta").

Byłem tam już czwartym więźniem. Tymczasem do mojej pierwotnej celi trafił inny więzień, działacz z „Solidarności". Mniej więcej po tygodni, od dnia, gdy trafiłem do nowej celi, rozmawiałem z tym nowym więźniem przez rurki między celami, które osłaniały rury centralnego ogrzewania. Chyba specjalnie tak to zrobiono, żeby można było podsłuchiwać więźniów. Ten więzień, który przyszedł na moje miejsce do poprzedniej celi, zaczął mi opowiadać przez rurkę o swojej sprawie. Powiedziałem mu wtedy: „Zamknij się! Ty masz kapusia w celi tego a tego. I ja mam na pewno kapusia w celi!". Po tym, jak to powiedziałem do niego przez rurkę, to się zrobił alarm jak skurczybyk! Po półgodzinie wpadli klawisze do celi razem ze śledczym z okrzykiem: „Pogadaliście!". Powiedziałem im: „Pogadaliśmy, bo jak żeście specjalnie zostawili rurkę w ścianie, to sobie pogadałem". I wzięli mnie z tej celi do „tygrysówy" po drugiej stronie korytarza.

Tam byłem sam w celi. Sporo krat (w drzwiach i w oknie) robiło przygnębiające wrażenie. Siedziałem w niej chyba tydzień. Przez rurkę rozmawiałem z jakimś wariatem z sąsiedniej celi, który zabił całą swoją rodzinę. To był rolnik i wciąż pieprzył coś o jakiś zbożach. Już był kompletnym wariatem. Kilka miesięcy po moim zwolnieniu z więzienia przeczytałem w prasie, że go powiesili.

Kaesiaków wyprowadzali osobno na spacernik, skuwali im ręce i nogi.

Po tygodniu pobytu w „tygrysówie" zabrali mnie na wyższe piętro, na oddział piąty. Tam były duże cele. Siedzieliśmy w dwunastu. Byli tam głównie ludzie z „Solidarności" i jacyś młodociani sprawcy wypadków.

„Na getcie" przesłuchiwał mnie esbek Antoni Zasada. Nie był agresywny ani nachalny. Nawet zgodził się na moje widzenie z Ewą, które miałem dzień czy dwa przed jej aresztowaniem. Widzenie było w obecności Zasady w pokoju, który znajdował się w tym samym budynku, co szpital więzienny. Rozmawialiśmy o sprawach rodziny. Ewa tylko mi powiedziała: „Kuzyni, Marek i Maciek, martwią się o ciebie". W ten sposób zorientowałem się, że Marek Bik i Maciek Kuś są na wolności. Byłem więc już spokojny, że nie wpadła drukarnia, bo to mnie strasznie męczyło. Gdy Zasada prowadził mnie po tym widzeniu do celi (trzeba było przejść przez więzienne podwórko), to Ewa, która była już za kratą po drugiej stronie dziedzińca więziennego, krzyknęła: „Witek! Witek!" i pokazał mi ręką znak „V". A ja pokazałem jej zaciśniętą pięść. Zasada zaklął, trochę żartując: „Niech szlag trafi taką rodzinę!".

Gdy szedłem raz na przesłuchanie do Zasady, to ubecy stali w drzwiach pokoju, który znajdował się w „getcie" za kratą i przyglądali mi się. Jednym z nich był znany mi ubek

nazwiskiem Katolik. Obok nich zauważyłem w tym pokoju aparaturę podsłuchową. Zwróciłem też uwagę, że gdy kapuś w celi usiłował mnie „przesłuchać", to wyłączał radio w celi.

W „getcie" znałem jednego z klawiszy (nazywał się Kozioł) i przez niego miałem kontakt z domem. Jego żona pracowała ze mną na stopniu „Kościuszko". Raz mnie odprowadzał do kraty i opowiadał mi później, że miał nieprzyjemności, bo ktoś doniósł, że traktował mnie ze zbyt dużym szacunkiem. Przez niego przekazałem Ewie informacje dotyczące spraw bytowych: żeby wzięła moją premię z pracy i zamówiła węgiel na zimę. Później mi powiedział, że to jej przekazał i żebym się nie martwił, bo w domu wszystko jest w porządku. Bardzo mi to pomogło, bo jak się siedzi w więzieniu, to się myśli o rodzinie – jak sobie radzą. Pomógł mi też dyrektor u mnie w pracy – Stanisław Maćkała (urodzony we Lwowie, a zamieszkały w tym czasie w Oświęcimiu), mój przyjaciel. Partyjny, ale bardzo porządny człowiek. Do wyroku mógł mi zgodnie z prawem wypłacać wynagrodzenie i skorzystał z tej możliwości.

Przyszedł też do mnie lekarz więzienny, Szaszkiewicz, który wypytywał mnie o mój stan zdrowia i chciał mnie zabrać do szpitala więziennego. Ja nie chciałem. „Nie chcę iść do szpitala. Wszystko jest dobrze". Dwa dni po moim zwolnieniu z więzienia przyszedł do mnie Zygmunt Łenyk z tym lekarzem. Mnie zamurowało. Zygmunt mnie zapytał: „Znacie się?". Odpowiedziałem: „Tak. Przecież to jest esbek!". Tak powiedziałem, bo wszyscy ludzie, którzy pracowali na Monte, wydawali mi się podejrzani: „Nie obawiaj się. To mój przyjaciel. Psycholog. On nam pomaga".

***

W aktach SOS „Kawiarze" zachował się dokument, który jest świadectwem pracy operacyjnej SB w stosunku do Witolda Tukałły. Jest to wyciąg z informacji operacyjnej nr 173/82 z 10 maja 1982 roku. Niestety, nie podano pseudonimu agenta celnego. Oto jego fragment: *Wiadomo mi, że w/w Witold Tukałło, będąc na wolności miał bliski kontakt z członkiem KPN, który mieszkał w bloku koło niego. Jest to młody mężczyzna, niewidomy, który obecnie pracuje w szpitalu psychiatrycznym w Kobierzynie, jako psycholog. Po wprowadzeniu stanu wojennego był internowany w Załężu, skąd został zwolniony dzięki Kościołowi. Po powrocie podjął nielegalną pracę, polegającą na wydawaniu ulotek i udzielaniu wywiadów dziennikarzom zachodnim, mówiąc o warunkach bytowych i socjalnych, jakie panują w Załężu, o buncie, jaki miał miejsce w tym ośrodku i represjach, jakie miały stosować oddziały ZOMO. W. Tukałło miał kontakt z w/w członkiem, gdyż ten miał mu dostarczać ulotki. Ostatnio otrzymał je na początku kwietnia br., gdy był z w/w w Kobierzynie u jego koleżanki, która ma pracować z w/w niewidomym. Jest to młoda kobieta zamężna, mająca jedno dziecko, brunetka. Ze słów W. Tukałły ulotki te miały być przechowywane w pracowni psychologicznej, gdzie pracuje w/w psycholog. Ponadto w/w niewidomy był bliskim kolegą Czyża, który został aresztowany razem z W. Tukałłą, gdyż Czyż miał skontrolować* [prawdopodobnie chodziło o słowo – skonstruować] *odbiornik specjalny do słuchania stacji zachodnich. Nie wiem, na czym to miało polegać. W. Tukałło prosił mnie, gdybym miał rozmowę z psychologiem z Kobierzyna z Anną Piekarską, to mam jej przekazać słowa: „Żeby w/w niewidomy pozdrowił Krzysztofa od niego". Nie wiem, co za Krzysztof (...).*

***

Marek Bik: *W „getcie" siedziałem najpierw w celi z człowiekiem, który przedstawił mi się jako Tokarski – Wiesiek albo Zbyszek. Dokwaterowali go pierwszego dnia (30 czerwca 1982) wieczorem.*



Areszt śledczy przy Montelupich – jeden ze spacerników znajdujących się na trzecim piętrze pawilonu więziennego w kształcie litery L (w dłuższym skrzydle). Jest to kilka cel połączonych w jedną, bez murowanego sufitu (tylko kraty). Z uwagi na izolację, więźniowie z „getta" chodzili na spacer osobno poszczególnymi celami i używali bocznej klatki schodowej, tak aby nie doszło do kontaktu z innymi więźniami.. Wymiary spacernika: 15,5 na 3,75 metra.

Fot. Grzegorz Hajduk

Później okazało się, że ten sam Tokarski rozpracowywał także Mariana Stacha, tylko że jemu podał inne nazwisko. Jego zadaniem było wyciąganie od nas informacji, ale przez cały pierwszy tydzień milczałem w celi.

Moje pierwsze przesłuchanie na Monte miałem dopiero po dwóch lub trzech dniach. Przez ten czas niecierpliwie czekałem na to, co się wydarzy. Żyłem w stresie. Każdy zgrzyt zamka powodował u mnie niepokój, że to może teraz mnie zabierają. Zadawałem sobie pytanie – jak to będzie wyglądać? Różne myśli kłębiły się po głowie. Przesłuchiwał mnie śledczy esbek – ppor. Szczepkowicz, bardzo młody facet.

Z protokołu przesłuchania podejrzanego Marka Bika (2 lipca 1982, godzina 13.15): *Od kwietnia 1982 przygotowywałem się przez cały czas do matury (…). Nie zajmowałem się w tym czasie ani drukowaniem, ani kolportażem ulotek. Również przed kwietniem br. nic takiego nie robiłem. Do KPN ani nie należałem, ani nie należę. Nigdy nie drukowałem żadnych ulotek, ani nie dawałem nikomu sprzętu do drukowania. Również nigdy nikogo nie nawiałem do pracy konspiracyjnej. Sitoramka, która znajdowała się u mnie była niezdatna do użytku i zdekompletowana.*

Marek Bik: *Wyszliśmy – ja do celi, on do domu. Nie okazywał żadnych emocji, żadnego zdenerwowania. Byłem zaskoczony. Jak to? A gdzie to wyrywanie paznokci? Gdzie ściskanie jąder szufladą, siedzenie na nodze od krzesła, światło w oczy do rana, stanie na baczność 12 godzin? Nie było nawet groźby tortur. Co to jest? Zastanowiło mnie to do tego stopnia, że uznałem, że w tym musi być jakiś podstęp. Uznałem, że jest za dobrze! Zastanawiałem się, o co tu może chodzić? Pamiętałem wcześniejsze przesłuchanie przez SB na Batorego* [zob. tom I], *gdy jeden zarośnięty esbek z ryjem jak orangutan co chwila wpadał do pokoju i chciał mnie bić, a drugi esbek, o wyglądzie inteligenta, w okularkach, mówił mi,*

że wszystko w porządku, że on się ze mną dogada i wszystko załatwi. To dziwne zachowanie śledczego wzmogło moją czujność.

***

Tymczasem w sąsiedniej celi, znany nam już agent celny „Hiszpan", rozpracowywał Witolda Tosia. W aktach wyłączonych z SOR „Konspiratorzy" zachowały się donosy „Hiszpana". Wszystkie są napisane pismem maszynowym, prawdopodobnie przez por. Katolika, który je przyjmował. Niektóre są podpisane „Hiszpan", ale nie wiadomo, czy ręką „Hiszpana". Fragmenty tych grypsów udało nam się odczytać, mimo że zachowane w postaci mikrofilmu są prawie nieczytelne – pewnie tylko dlatego przetrwały akcję niszczenia archiwów SB.

Oto fragmenty donosów z 2 i 4 lipca, które dobrze pokazują naturę „Hiszpana". Ten konfident nie tylko wyciągał informacje od współwięźnia, ale także udzielał rad bezpiece, sugerował dalsze metody śledcze, niczym doświadczony oficer!

Należy niezwłocznie zająć się Adamem Nowocieniem zatrudnionym w „Bonarce". Przedstawiając Tosiowi pewne informacje z mojego oświadczenia o działalności Komitetu Pomocy dla Uwięzionych, należy tak postąpić, że wyjaśnił o tym Nowocień (...).

Można w jakiś sposób dać do zrozumienia, że były przewodniczący Solidarności w ich zakładzie na niego zeznaje. Toś boi się wyraźnie jego, mówi, że nie miał do niego zaufania.

Już 5 lipca „Hiszpan" donosił o tym, że nakłonił Tosia do pisania grypsów do osadzonego w innej celi Marka Bika.

Przebywający ze mną w celi w dniu wczorajszym, tj. w sobotę postanowił napisać gryps do Bika. W grypsie tym daje do zrozumienia Bikowi, żeby nie obciążał go (Tosia), jak to uczynił Papież. Następnie odnośnie Z. Łenyka to prosi Bika, aby nie obciążał Łenyka, pomimo że utrzymywał z nim kontakty. W grypsie wyraźnie pisze Bikowi, jak ma zeznawać (...).

Napisanie grypsu spowodowałem przez napisanie grypsu [do Tosia] *rzekomo ręką Bika. Po przeczytaniu Toś go spalił, natomiast odpowiedź załączam do oświadczenia (...).*

Uwaga! Raczej na pewno coś dojdzie, bo otrzyma odpowiedź [rzekomo od Bika] *na swój gryps. Należy na razie jeszcze zachowywać ostrożność przy przesłuchaniu, dopóki przebywa on ze mną w celi.*

Fragment kolejnego donosu z tego samego dnia:

[Witold Toś] *postanowił napisać do Bika jeszcze jeden gryps, w którym podaje, do czego może się M. Bik przyznać, a czego nie ma mówić (...).*

Uwaga! Obydwa grypsy mogą być wykorzystane przy słuchaniu Papieża, natomiast [przeciwko] *Tosiowi – nie. Jako dowody mogą być wykorzystane, dopiero gdy Toś odejdzie z mojej celi. Jeżeli zaszłaby konieczność wcześniejszego zapoznania go z tymi materiałami, to należy to robić ostrożnie.*

Ta uwaga prawdopodobnie spowodowana jest sytuacją, do jakiej doszło w sprawie Grudniewicza. Prokurator wojskowy pokazał mu grypsy, które ten wysyłał za pośrednictwem „Hiszpana" i doprowadził do dekonspiracji agenta. Wówczas Grudniewicza natychmiast przeniesiono do innej celi.

***

Marek Bik: *Gdzieś po tygodniu Tokarski powiedział mi, że ma gryps od Witka Tosia. Gryps to mała kartka papieru, powierzchni mniej więcej jednego lub dwóch biletów tramwajowych, zapisana drobnym tekstem, zwinięta w rulon, zawinięta folią przypaloną zapal-*

niczką (aby była szczelna tak, żeby można było gryps ukryć w ustach, a nawet połknąć, bez jego zniszczenia).

Na wolności prowadziłem archiwum kapeenowskie. Tam gromadziłem np. artykuły do „Niepodległości", które potem przepisywano na matryce. Na jednym z artykułów Witek Toś dopisał ręcznie „Szczęść Boże drukarzom!" Zwróciłem na to uwagę i zapamiętałem jego charakter pisma. Upominałem nawet Witka, że pisząc ręcznie na tekście do „Niepodległości" złamał zasady konspiracji. Ale mnie akurat to w więzieniu uratowało.

Dostałem ten gryps od Tosia (był starannie zafoliowany – Tokarski wyjął go z zębów czy z dupy – już nie pamiętam), to przed oczami od razu stanęły mi odręczne życzenia Witka „Szczęść Boże drukarzom!". I natychmiast poznałem, że to nie jego pismo! Teksty rzekomych grypsów od Witka brzmiały mniej więcej tak: „Powiedz wszystko, bo oni i tak wszystko wiedzą. Najlepiej się przyznać". Sprawa stała się dla mnie jasna. To nie było pismo Witka, a poza tym nie tak się z nim umówiliśmy w suce, gdy nas wieźli na Monte! Zdrowy rozsądek też mi podpowiadał, że po to mnie izolują w „getcie", cenzurują nawet partyjne gazety i nie pozwalają zobaczyć twarzy innych więźniów, aby mnie skłonić do tego, bym zaufał komuś nieznajomemu, komuś, kogo zupełnie nie znałem.

Postanowiłem jednak udawać, że wierzę, że grypsy, które dawał mi Tokarski, to grypsy od Tosia. Odpisałem Witkowi, że ja o niczym nie wiem (papier miałem z zeszytu 16-kartkowego, który miałem przy sobie – nie pamiętam, jak go dostałem) i żeby Witek powiedział prawdę, że nic nielegalnego razem nie robiliśmy. Moje odpowiedzi dla Witka foliowałem przy Tokarskim, więc on musiał potem udawać, że nie zna treści moich grypsów.

***

Fragmenty donosu „Hiszpana" z 7 lipca: *W tym grypsie Toś pisze do Bika, że nie zna W. Tukałły, co jest nieprawdą, gdyż w rozmowie wypowiadał się, że zna W. Tukałło, ponieważ jest to człowiek znający bardzo dobrze Z. Łenyka, jak też* [który] *zajmował się bezpośrednio M. Bikiem – pomagał mu w przygotowaniu się do matury.*

Przypominam sobie, jak Tukałło opowiadał mi, kiedy był ze mną na celi, że opiekował się synem swego kolegi, przy czym wypowiadał się, że dużo ten chłopak zrobił dla Solidarności oraz dla KPN. „Ale o niego mogę być spokojny. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że coś z nim mam, pomimo iż on w swojej szkole zajmował się werbowaniem uczniów do rozprowadzania ulotek (...).

Zaznaczam, że grypsy pisane do Tosia niby ręką Bika, Toś przyjmuje w przekonaniu, że to on pisze, tj. Bik (…).

Uwaga! W momencie, gdy Toś będzie miał być słuchany, to najpierw pragnę, aby funkcjonariusz prowadzący sprawę skontaktował się ze mną celem uzgodnienia niektórych aspektów dotyczących się samego Tosia, jak i jego sprawy. Jest to konieczne!

***

8 lipca miało miejsce (na Monte) kolejne przesłuchanie Marka Bika przez ppor. Szczepkowicza. Bik przyznał się wówczas do tego, co SB wiedziała na podstawie pierwszych zeznań Papieża, tj. do drukowania wspólnie z Papieżem jednego numeru „Niepodległości" w nakładzie około 300 sztuk w mieszkaniu w Prokocimiu. Z tych 300 sztuk Bik przyznał, że miał zabrać ze sobą 50, które miał rozdać znajomym. Zeznał natomiast: *Nie jest mi nic wiadomo na temat działalności Tosia w KPN.*

Marek Bik: *Potem treść tych grypsów „od Witka" trochę się zmieniła. Było tam napisane: „Musisz szybko ostrzec strukturę! Podaj szybko namiary na Korczyńskiego!". Także i te*

grypsy nie przyniosły SB żadnego rezultatu. W sumie było około 5 wymian grypsów między mną a „Witkiem". W tym czasie, niemal codziennie zabierano mnie na przesłuchanie.

***

W donosie z 8 lipca „Hiszpan" informuje, że nakłonił Tosia do napisania grypsów do ludzi z zewnątrz: [Witold Toś] *postanowił nawiązać kontakt z ludźmi przebywającymi na wolności. Napisał dwa listy.*

Jeden do ob. Zygmunta Łenyka (…).

Następny list jest dłuższy, w którym Toś [nieczytelne słowo, prawdopodobnie „każe żonie"], *aby skontaktować osobę, która dostarczy te listy, z Krzyśkiem* [chodzi o Krzysztofa Stolarczyka]. *Mówi, że Krzysiek, to jest jeden z członków KPN. Toś z nim wspólnie pracował, rozpowszechniał wrogie materiały na szkodę PRL. W liście dokładnie instruuje żonę, w jaki sposób ma skontaktować człowieka z Krzyśkiem. Najlepiej będzie, gdy osoba, która nawiąże kontakt z żoną* [nieczytelne słowo] *sama* [nieczytelne słowo, prawdopodobnie „wskaże"] *hasło, które ma później służyć przy kontakcie z Krzyśkiem. Krzysiek ten wykona każde polecenie, wydane przez żonę Tosia, tym bardziej że polecenie to przekazał – za pośrednictwem żony – sam Witek. Jak sam Toś wypowiada się, to „Krzysiek nigdy go nie zawiedzie".*

Sprawa wygląda dobrze, z tym jednak, że nie wolno niczego pominąć. Należy stosować się [do poleceń Tosia] *tak, jak w grypsie.*

Odnośnie jeszcze tego Krzyśka, to Toś częściowo opowiadał mi, że „jest to sztywny chłopak, a przy tym jednak trochę może być przestraszony, po moim aresztowaniu, bo może myśleć, że go sypię". Dlatego Toś prosił mnie, aby osoba, która nawiąże kontakt z Krzyśkiem, nie dała powodu do jakichś obaw. Toś prosi żonę, aby Krzyśkowi nakazała, aby dostarczył nie tylko statut więźnia politycznego, lecz – jeżeli posiada jakieś świeże materiały – to ma również przekazać temu czlowiekowi, który ma spotkać się z Krzyśkiem (...).

Za dużo nie mogę pytać, gdyż [nieczytelne słowa, prawdopodobnie „milczy"] *z jakichś powodów, ale mam nadzieję, że* [w końcu] *sam powie. O to* [nieczytelne słowo, prawdopodobnie „mniej"] *się boję. W odpowiednim momencie klient, tj. Toś powie.*

Uwaga! Koniecznie muszę wiedzieć, co to za człowiek o nazwisku Korczyński, abym mógł w odpowiednim momencie wykorzystać sposobność, aby uzyskać od Tosia szerszych informacji.

[Konieczne jest] *wykonanie spotkania z żoną Tosia, bo wówczas uzyska się materiały dowodowe przeciw Tosiowi. Jak się orientuję, to za wiele ich nie ma.*

Prawdziwa bomba musiała wybuchnąć na Mogilskiej, gdy esbecy zapoznali się z donosem „Hiszpana" z 9 lipca: *Co do informacji o krokach ze strony SB, to najmniej się obawiali, gdyż posiadali człowieka pracującego na Mogilskiej, który na bieżąco informował członków KPN-u, jakie podejmuje SB przedsięwzięcia, by zlikwidować działalność KPN i innych organizacji. I tak opowiada, że człowiek pracujący na Mogilskiej, znajduje się do dnia dzisiejszego. Więc podszedłem go w rozmowie, że mógłby mi pomóc niby w ustaleniu faceta (podałem mu przy tym dane fikcyjne). Wówczas Toś oświadczył mi, że nie ma problemu. Jego ludzie, na jego rozkaz wykonają wszystkie polecenia. I w tym momencie Toś napisał do Krzysztofa, aby nawiązał kontakt z człowiekiem z Mogilskiej, dając Krzyśkowi termin wykonania tego jeden tydzień. Odpowiedź miał Krzysztof dostarczyć przez człowieka, który dostarczył mu gryps. Toś wypowiada się, że to jest pewny człowiek. Ten pracownik na Mogilskiej, jak do tej pory nie zawiódł organizacji.*

Następny gryps, też adresowany jest do Krzysztofa (...). Prosi Krzysztofa w tym grypsie o jak najszybsze zorganizowanie następujących materiałów i dostarczenie je przez tego niby „Listonosza" (takie miano nadał Toś temu, co ma dostarczyć grypsy – kto je będzie dostarczał, musi dobrze znać wszystko, co mówi Toś. Dlatego należy przy kontaktowaniu się z tym Krzysztofem zachować pełną ostrożność, pod każdym względem!!). Opisuje, co ma Krzysztof mu dostarczyć, i tak: „Statut więźnia politycznego", „Memoriał" pisany przez Moczulskiego Leszka do generała Jaruzelskiego, a także List do Józefa Glempa. Między innymi w tonie rozkazującym musi dostarczyć wszystkie najnowsze materiały, jakie tylko są obecnie przez nich wydawane. Toś wyraźnie akcentuje, że Krzysztof musi to wykonać, jako jego rozkaz, ponieważ pomimo że jest aresztowany nadal czuje się jako jego przełożony. Między innymi powraca w tym grypsie, ażeby Krzysztof po wyjściu żony Tosia, jak najszybciej spowodował odkopanie torby z zawartością opisanych materiałów, ponieważ mogą ulec zniszczeniu. Po odkopaniu Toś twierdzi, że Krzysiek będzie wiedział co zrobić z zawartością.

Nadmieniam, że do oświadczenia załączam gryps [Tosia] *do Krzyśka i tak: jeden gryps wielkości kartki z zeszytu, druga kartka (mniejsza) o treści nawiązującej do załatwienia „kanałem z Mogilskiej" danych,* [dane te są] *fikcyjne (M. Dziadowczyk) – oraz mała karteczka zawierająca adres do pracy Krzyśka, jak też jego wygląd zewnętrzny.*

Sprawa jest warta, aby ją rozegrać.

W donosie z 10 lipca „Hiszpan" donosi także na jednego z esbeków z Wydziału Śledczego! *Jeszcze raz podkreślam, że Toś „Turnia" jest jednym z tych na terenie miasta Krakowa, którzy zaliczają się do czołowych działaczy KPN. Należy więc przy realizowaniu spotkań za pomocą grypsów pisanych do Krzyśka lub żony „Czeremcha" zachować ostrożność po linii rozeznania całej sprawy. Nie wiem, czy zostanie to dobrze rozegrane. Bo widzę, że na razie nie jest tak prowadzona sprawa, jak należy. Na przykład, dlaczego funkcjonariusz Dwuraźny przesłuchujący M. Bika każe mu odmawiać składania jakichkolwiek wyjaśnień? Wydaje mi się, że* [to] *do niczego dobrego nie prowadzą takie metody. Nie do mnie zresztą należy opinia. Lecz tak nie powinno być, gdyż wówczas po co mamy wydobywać materiały, jak taki człowiek mówi, że śledczy mu nie każe składać zeznań? To lepiej dla niego (mam na myśli podejrzanego). Wówczas on tym bardziej ze mną na tematy sprawy nie będzie chciał rozmawiać.*

Dwa donosy z 11 lipca potwierdzają, że „człowiek z Mogilskiej" przekazywał konfederatom ważne informacje: *Jeśli chodzi o aresztowanie Tosia, Bika, Papieża, to Toś twierdzi, że wiadomość o aresztowaniu Papieża otrzymali od ks. Tischnera* [To nie jest prawdziwa informacja. Z kolejnych meldunków wynika, że źródłem informacji był pracownik KW MO]. *Papież miał przyjść na spotkanie z Tischnerem, lecz nie zgłosił się w umówionym terminie w kościele św. Anny. Na tej podstawie ks. Tischner doszedł do wniosku, że Papież został aresztowany (...).*

Odnośnie kanału informacyjnego na Mogilskiej, to [Toś powiedział, że] *w dniu, kiedy Krzysiek poinformował Tosia o tym, że Papież – „Czesław" sypie, było to na drugi dzień po aresztowaniu Papieża. „Natomiast konkretnie* [o tym] *co zeznał Papież, Krzysiek powiadomił mnie na czwarty dzień po aresztowaniu Papieża – „Czesława".* [Nieczytelne słowa] *Gdy tylko Krzysiek dał cynk o Papieżu, wszyscy ludzie oczyścili mieszkania z kompromitujących materiałów, gdyż nie wiadomo było co ten „szmata" (ma na myśli Papieża) zezna. Uspokoili się, że za dużo nie powiedział (…).*

Odnośnie kanału na Mogilskiej Toś nawiązał w trakcie rozmowy, mówiąc iż z tym człowiekiem miał bezpośredni kontakt właśnie Krzysiek. Przy tym mówi, że w dniu, kiedy

go aresztowano, to rano w czasie pracy wyszedł na przepustkę i udał się do Krzyśka celem zorientowania się, jak wygląda sprawa. Gdy zjawił się u niego, Krzysiek okazał zdziwienie, mówiąc do niego: „To ty jeszcze jesteś, bo wczoraj mi powiedział człowiek z Mogilskiej, że będziesz aresztowany". „Gdy wróciłem [opowiedział Toś] *rzeczywiście już czekano na mnie w zakładzie. Dalej – mówi – byłem spokojny, gdyż nie posiadałem nic kompromitującego mnie. Pomimo tego zamknęli mnie. Nie spodziewałem się, że to tak szybko nastąpi.*

***

W aktach wyłączonych z SOR „Konspiratorzy" pojawiają się meldunki jeszcze jednego agenta. Jest nim TW „Combi", „będący na kontakcie Wydziału Śledczego" (jak napisał kpt Andrzej Więckowski w uzupełnieniu do „Planu" z 31 lipca 1982). Nie wiadomo, kto to był, ale z treści jego meldunków wynika, że on również siedział w jednej celi z Tosiem. Prawdopodobnie „Combi" zastąpił w celi „Hiszpana". Przy jego pseudonimie Więckowski podał tylko dwie, a nie trzy litery (TW a nie TWC), jednak w dokumentach kasowych, na które już się wcześniej powoływaliśmy, „Combi" występuje jako TWC. Prawdopodobnie chodzi więc o agenta celnego.

Meldunki „Combi" (w przeciwieństwie do meldunków „Hiszpana") pisane są ręcznie i ich czytelność jest bardzo słaba. Udało się je odczytać jedynie w części. Wiedza, o której donosi „Combi", pokrywa się w dużej mierze z informacjami, które zdobył „Hiszpan". Z donosu z 24 lipca dowiadujemy się, w jaki sposób „Combi" uwiarygodnił się wobec Tosia: *Moja legenda, jaką posługuję się w rozmowach z Tosiem brzmi: Przyjechałem do Krakowa z polecenia emigracyjnej organizacji popierającej wszelkie grupy opozycyjne w Polsce. Nakazano mi nawiązać kontakt z KPN z kierownictwem w celu przekazania* […] *czystych blankietów paszportowych i* […] *aparatów fotograficznych do dokonywania zdjęć z* […] *lub materiałów tajnych PZPR.*

Nawiązałem kontakt przypadkowy z grupą Grudniewicza i wraz z tą grupą zostałem aresztowany. Organizacja, do której należę, poprzez podarowanie KPN-owi rzeczy przeze mnie przywiezionych chce współpracować z KPN, jak i z innymi ugrupowaniami w celu koordynacji działań politycznych oraz umożliwi szerszą działalność poligraficzną, wyposażając te grupy w odpowiedni sprzęt.

Poprzez współdziałanie [nieczytelny fragment] *na rzecz KPN* [nieczytelny fragment]. *Powiedziałem, że muszę poznać strukturę organizacyjną oraz ideowo-polityczną KPN. Toś obiecał to dokładnie opisać.*

Kolejny meldunek TW „Combi" jest niedatowany i fragmentami zupełnie nieczytelny. Zawiera jednak kolejne cenne informacje o metodach stosowanych przez agenta SB. „Combi" melduje: *zgodnie z otrzymanymi instrukcjami prowadzę z Tosiem grę.* Jak wynika z odczytanych fragmentów, „Combi" przekonał Tosia, że należy do organizacji opozycyjnej, która dysponuje dużymi możliwościami materialnymi i która *ma nawiązać współpracę z KPN.* Jak się zaraz przekonamy, celem tej gry było nakłonienie Tosia do podania namiarów bezpośrednio na „Korczyńskiego".

Dalej „Combi" zapewnia, że Toś, *dzięki grypsom, które wysyła i otrzymuje, ma do mnie zaufanie.* Wynika stąd, że SB fabrykowała jakieś grypsy z zewnątrz, które dostarczano Tosiowi, umacniając w nim przekonanie, że kanał grypsowy z wolnością funkcjonuje sprawnie w obie strony.

Gdy wspomniałem Tosiowi o kserografie, który moja organizacja chce przekazać KPN, ten zapalił się do tej [propozycji] – dalsza część meldunku jest czytelna jedynie we fragmentach. Wynika z nich, że „Combi" i Toś uzgadniali szczegóły współpracy KPN

z nieistniejącą organizacją, która miała mieć możliwości przekazywania informacji do zachodnich mediów oraz miała dysponować własną siatką szpiegowską.

Z kolei – meldował „Combi" – *organizację moją interesują materiały kompromitujące PZPR* […] […] *i ZOMO, a które mogą przekazać członkowie KPN mający do takich materiałów dostęp. Toś oświadcza, że jest to możliwe i jako przykład podaje, że ludzi swoich KPN ma w takich miejscach jak KW MO, KW PZPR, poczta, itd.*

Potrzebę kontaktu z kierownictwem Obszaru II KPN umotywowałem tym, że nie możemy narażać ludzi posiadających olbrzymie możliwości techniczne i materialne na ryzyko kontaktu z osobami nieodpowiedzialnymi.

W rozmowie z Tosiem staram się, aby wszelkie pomysły dotyczące przyszłej współpracy wychodziły od niego.

Sugeruję mu niektóre sprawy przez rzucanie luźnych uwag, które Toś po przeanalizowaniu rzuca na papier. Efektem tego jest gryps Tosia do Krzyśka, a właściwie do „Swarożyca", w którym Toś informuje go o przebiegu sobotniego przesłuchania i ostrzega ludzi o tym, co SB wie od Papieża o niektórych członkach KPN i zaleca ostrożność. Uważam, że gryps ten ma kapitalne znaczenie w wypadku prowadzenia dalszych kontaktów z KPN. Raz – że ludzie, których Toś ostrzega, są już dawno [poinformowani?] *i ostrożni, a zatem nie będzie im można niczego udowodnić. Dwa – po doręczeniu tego grypsu* […] *Tosia, powinna zostać przełamana bariera nieufności wobec osoby utrzymującej kontakt z KPN. Jeżeli nie nastąpiły aresztowania wśród* […] *Tosia, to ostrzeżenie takie jest dla nich* [b. cenne?]

[…] […] […] *jest przekonany do mojej „legendy", że nawet gdybym* […] […] *na wolności, nie obawiałbym się z nim spotkać.*

Toś wierzy w możliwości mojej organizacji – napisał artykuł o KPN informujący o KPN jako partii politycznej i o działaniach KPN na polu propagandowo-ideowym. Toś wierzy, że artykuł ten ukaże się w środkach masowego przekazu na Zachodzie.

***

Polecenie mjr. Nogiecia, datowane na 13 lipca, pod donosem „Hiszpana" z 11 lipca, dotyczące „legalizacji grypsów", skierowane było do ppor. Szczepkowicza, który prowadził przesłuchania podejrzanych w sprawie drukarni przy Findera. Jak można sądzić, owa „legalizacja" miała przede wszystkim na celu ukrycie rzeczywistego źródła wiedzy operacyjnej SB o krakowskiej KPN (źródłem była agentura celna) przez potwierdzenie tych informacji w formie zaprotokołowanych zeznań podejrzanych. Dodatkowo SB uzyskiwała w ten sposób materiał procesowy, który mógł zostać wykorzystany w postępowaniu karnym. Wysiłki SB przyniosły tylko częściowy efekt.

Pierwsze przesłuchanie Witolda Tosia na Montelupich miało miejsce dopiero 13 lipca. Prowadził je ppor. Szczepkowicz w obecności prokuratora wojskowego kpt. Gąciarza. Toś zeznał m.in.: *Podczas pierwszego przesłuchania nie znałem z nazwiska ani też z imienia Marka Bika i Stanisława Papieża. Znałem ich tylko z widzenia, z pracy w MKZ. Byli oni tam plakaciarzami (…). Bywając u Gośki, kilkakrotnie spotkałem Papieża i zorientowałem się, że ma on prawdopodobnie kontakty z którąś z nielegalnych organizacji oraz techniczne możliwości drukowania materiałów (…). W związku z tym postanowiłem opracować materiały, które mogą być przydatne do ich wydrukowania (...). Wiedziałem, że materiały te będą sygnowane przez KPN. Wcześniej domyślałem się, że Papież ma kontakt z jakąś organizacja, którą później okazał się KPN.*

14 lipca ppor. Szczepkowicz przesłuchał ponownie Bika: *Powiedziałem już wszystko i nie mam nic do dodania. Wyjaśnienia złożone przeze mnie są zgodne z prawdą. Jeżeli Papież lub Toś mówią co innego, to kłamią.*

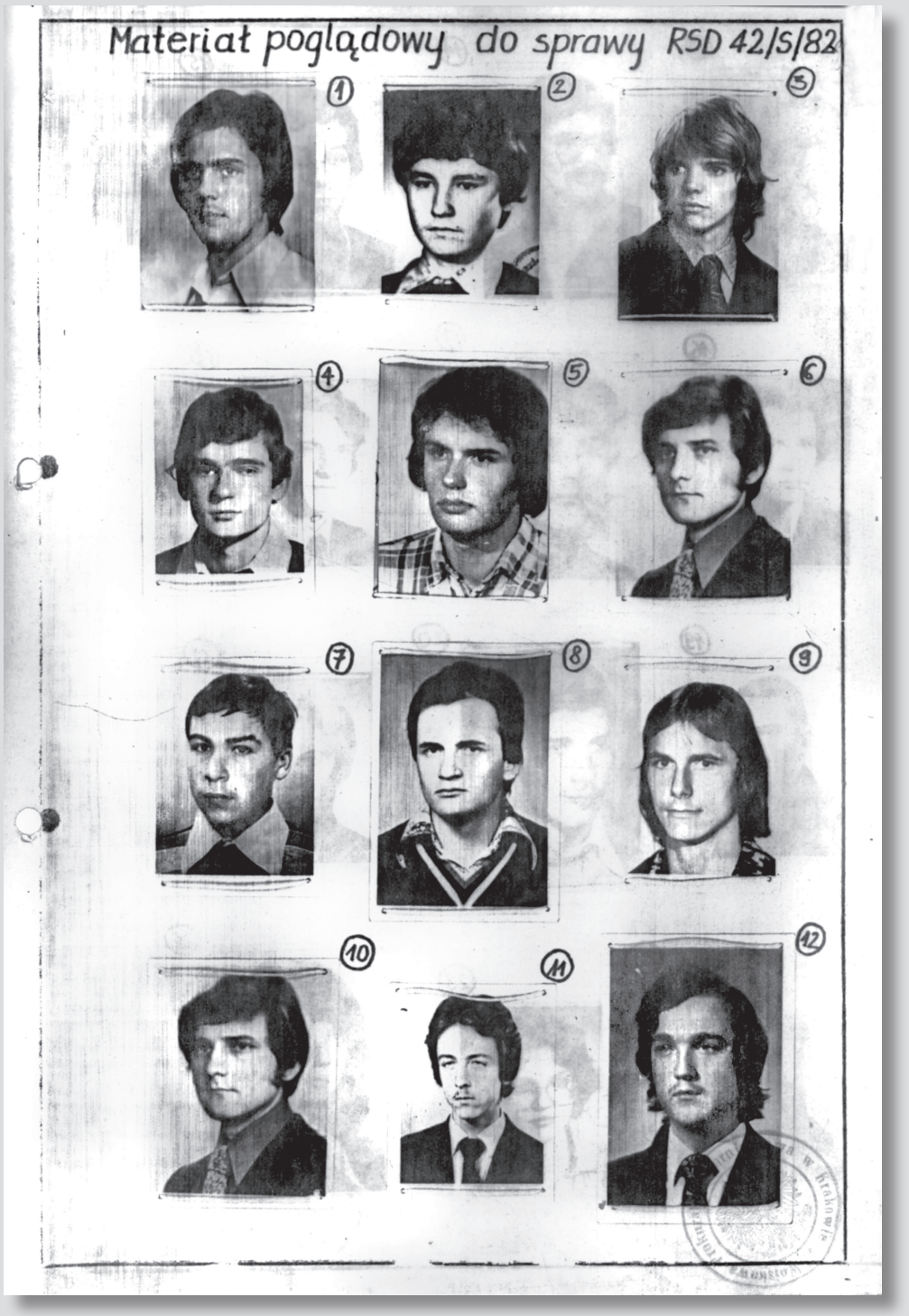
15 lipca przeprowadzono konfrontację Bika z Papieżem oraz Tosia z Papieżem. Papież podtrzymał swoje zeznania obciążające kolegów, a ci podtrzymali swoją wersje wydarzeń.

Równolegle trwały wielokrotne przesłuchania Papieża na Mogilskiej. Protokoły z tych przesłuchań w dużej części zawierają te same informacje, które Papież podał wcześniej. Można więc przypuszczać, że metoda przesłuchania, która stosował Szczepkowicz, polegała na wielokrotnym zadawaniu przesłuchiwanemu tych samych pytań i zmuszaniu go do wielokrotnego opowiadania od początku do końca tej samej historii. W czasie tych męczących, wielogodzinnych przesłuchań – jak można przypuszczać – esbek umiejętnie wykorzystywał wiedzę zdobytą przez „Hiszpana" i „Combi" na Monte i uzyskiwał od Papieża potwierdzenie na protokół informacji, które podał wcześniej „Hiszpan" lub też ich rozszerzenie czy uzupełnienie.

W czasie tych przesłuchań Papież potwierdził SB swój pseudonim konspiracyjny – „Czesław" oraz pseudonim Tosia – „Turnia", a także podał drugi pseudonim Tosia – „Konrad". Potwierdził nazwę komórki KPN, którą kierował Toś (SIP – Sekcja Informacji i Propagandy) a także podał informację, że to Toś utrzymywał kontakty z KAB. Potwierdził pseudonim „Rita" oraz podał jej imię (Małgorzata), opisał jej wygląd (około 20 lat, średniego wzrostu, długie jasne włosy, studentka AGH) oraz podał jej dokładny adres przy ul. Ujejskiego, potwierdzając, że u niej w domu odbywały się zebrania, którym przewodniczył Toś. Przyznał, że w marcu 1982 roku złożył przysięgę przed Tosiem i wtedy otrzymywał od niego zadania do wykonania. Podał także dane dotyczące innych członków KPN z grupy Tosia: pseudonim Krzysztofa – „Damian" (podał, że był on łącznikiem Tosia i informował o spotkaniach, a także przekazywał materiały do druku), Elżbieta, która nosiła pseudonim „Kruszyna" (23-24 lata, niska szatynka, zamieszkała w Łagiewnikach), „Maks" (20-22 lata, ok. 170 cm wzrostu, czarny, mieszka blisko Tosia na os. Złotego Wieku, *dokładnego numeru nie znam, byłem raz u niego z Tosiem, obecnie chyba bym tam nie trafił*), „Książę" (*chyba ma na imię Wojciech, wysoki, szatyn, raczej chudy, licealista, który w przyszłym roku ma zdawać maturę*).

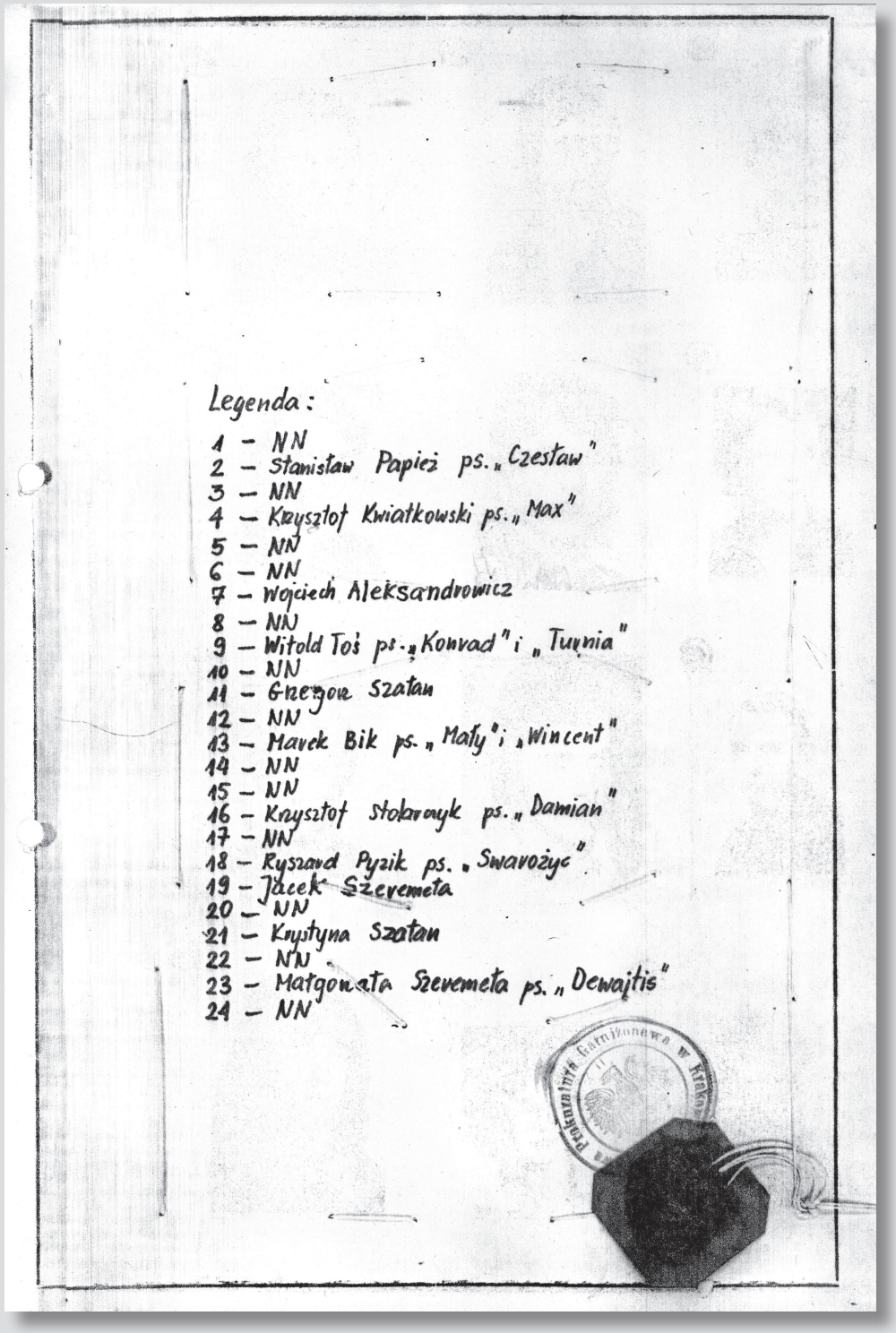
21 lipca podał także informacje o akcji ekspropriacyjnej, mającej na celu zdobycie papieru do drukowania: *Podczas jednego ze spotkań, w tej chwili nie pamiętam, gdzie ono miało miejsce, Toś powiedział, że w Filmotechnice na ul. św. Krzyża leży papier, który można bez problemu wynieść, innymi słowy można go ukraść bez żadnego ryzyka. Zaplanowaliśmy akcję w ten sposób, że ja, „Rita", „Kruszyna" i Krzysiek mieliśmy obstawić to miejsce, a Bik z osobą załatwioną przez siebie miał wejść i ukraść papier. Miało to miejsce w kwietniu lub w maju br. Całe to przedsięwzięcie był to pomysł Tosia i Bika. Za pierwszym razem nie doszło do skutku, jako że zjawiłem się tylko ja i „Rita". Na drugi termin spóźniłem się, bo miałem pracę społeczną w szkole i gdy przyszedłem na miejsce, okazało się, że jest już po akcji. Odbyła się ona z pozytywnym skutkiem. Bik pokazywał mi u siebie w domu skradziony papier. Było go na wysokość ok. 60-70 cm. Z tego, co wiem, była to tylko jedna akcja.*

23 lipca ppor. Szczepkowicz przesłuchiwał Bika niemal 4 godziny, czytając mu fragmenty kolejnych zeznań Papieża, które go obciążały. Bik nie potwierdził tych zeznań i podtrzymał w całości swoje wcześniejsze wyjaśnienia. W sprawie akcji ekspropriacyjnej „odwrócił role", tzn. przypisał Papieżowi rolę, która we wcześniejszych zeznaniach



Tablica z 24 zdjęciami, którą pokazano Papieżowi 28 lipca. Z opisu zdjęć można się zorientować, o kim SB miała wówczas wiedzę. Ze składu TTKAB, wiedzieli tylko o Pyziku. Fot. SB


13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24



Legenda:

1 – NN
2 – Stanisław Papież ps. „Czesław"
3 – NN
4 – Krzysztof Kwiatkowski ps. „Max"
5 – NN
6 – NN
7 – Wojciech Aleksandrowicz
8 – NN
9 – Witold Toś ps. „Konrad" i „Tuńnia"
10 – NN
11 – Grzegorz Szatan
12 – NN
13 – Marek Bik ps. „Mały" i „Wincent"
14 – NN
15 – NN
16 – Krzysztof Stokowyk ps. „Damian"
17 – NN
18 – Ryszard Pyzik ps. „Swarożyc"
19 – Jacek Szeremeta
20 – NN
21 – Krystyna Szatan
22 – NN
23 – Małgorzata Szeremeta ps. „Dewajtis"
24 – NN

Papież przypisał jemu. *Miałem papier u siebie w domu. Był to stary papier, który leżał od dawna u mnie w domu. Papieżowi nigdy nie pokazywałem tego papieru. W tym miejscu odczytano podejrzanemu fragment wyjaśnień złożonych przez St. Papieża w dniu 21 lipca br. zaczynający się od słów „Podczas jednego ze spotkań", a zakończony słowami „na wysokości około 60-70 cm". Podejrzany wyjaśnia. Nie brałem nigdy udziału w kradzieży papieru. Papież powiedział mi kiedyś, że wraz z dwoma kolegami z innych liceów w Krakowie skradli papier z Filmotechniki. Wcześniej, a właściwie już po tej kradzieży proponował mi, byśmy powtórzyli to jeszcze raz. Poszedłem do Filmotechniki i zobaczyłem jak jest złożony ten papier, po czym oświadczyłem Papieżowi, że nie będę brał udziału w tej kradzieży, gdyż jest to nierealne.*

Tymczasem na przesłuchaniu 28 lipca Papieżowi pokazano 24 fotografie, wśród których rozpoznał on m.in. „Maksa" (fotografia nr 4 przedstawiała Krzysztofa Kwiatkowskiego, ps. „Maks") oraz „Damiana" (fotografia nr 16 przedstawiała Krzysztofa Stolarczyka, ps. „Damian"). Papież nie rozpoznał na jednej z okazanych mu fotografii Ryszarda Pyzika.

***

Witold Toś siedział w tym czasie w celi nr 119. Razem z nim siedział Marian Stach (członek „Solidarności" i KPN, pracownik HPR). Stach był oskarżony o kolportaż bibuły solidarnościowej (art. 48 ust. 2 dekretu o stanie wojennym), choć początkowo prokuratura postawiła mu także zarzut z art. 128 par. 1 w zw. z art. 123 kk (podjęcie – wspólnie i w porozumieniu z innymi osobami – czynności przygotowawczych do urzeczywistnienia celu, którym miało być obalenia przemocą ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w nielegalnej organizacji występującej pod nazwą „Konfederacja Polski Niepodległej"). Stach wpadł w banalny i głupi sposób.

Marian Stach: *Wszystko zaczęło się kilka dni wcześniej, gdy przypadkowo w pracy, w szufladzie Haliny Bogusz, znaleziona została bibuła solidarnościowa. Jej, zdaje się, nie było w tym dniu w pracy (pracowała też w Miejskiej Służbie Porządkowej – odpowiednik dzisiejszej Straży Miejskiej), ktoś zajrzał do jej biurka i znalazł trefne materiały* [Mamy kolejny przykład donosicielstwa „zwykłych" ludzi. Przecież można było schować tę bibułę albo ją zniszczyć, a nie od razu zawiadamiać SB!].

Potem zrobili rewizję u mojego kolegi Kazimierza Kowalówki z MPK (który, tak jak ja, działał i w „Solidarności", i w KPN). Ja mu dawałem bibułę, którą dostawałem od Józefa Polaka i od Henryka Kowala. Była to bibuła solidarnościowa. Kowalówka miał chyba także bibułę kapeenowską, prawdopodobnie od Michała Żurka, z którym razem pracowali w MPK, bo początkowo usiłowano jego i mnie „podpiąć" pod KPN. Kowalówka musiał dawać bibułę między innymi Halinie Bogusz, która była siostrą jego żony.

Gdy byłem później w mieszkaniu Kowalówki (nie było go w domu – był na urlopie na Mazurach, gdzie łowił ryby), jego żona powiedziała mi, że była u nich rewizja SB i że znaleźli u nich bibułę. Zapewniła mnie, że nie powiedziała SB od kogo jej mąż brał bibułę. Gdyby mnie uprzedziła, że wiedzą o mnie, to bym dom „posprzątał". A tak, po paru dniach przyszli do mnie.

6 sierpnia 1982 przed trzecią wróciłem z pracy. Po 10 minutach – dzwonek do drzwi. Otwieram. W drzwiach stoi czterech facetów.

– *O co chodzi?*
– *Służba Bezpieczeństwa. Przyszliśmy na przeszukanie.*
– *To na pewno pomyłka.*
– *Myślisz, kurwa, żeśmy tu przyszli przez pomyłkę? Mylisz się!*

Siedzieli do 19. W pokojach nic nie znaleźli. Dopiero jak przeszli do kuchni to znaleźli bibułę. Miałem z 500 sztuk różnych ulotek, głównie „Solidarności". To już było przygotowane na obchody 31 sierpnia.

Wzięli mnie na Mogilską, a stamtąd na Monte [Stach trafił na Monte 13 sierpnia]. *Siedziałem na oddziale II w celi nr 119 razem z Witkiem Tosiem oraz z jeszcze jednym więźniem. Witek do tego drugiego więźnia miał pełne zaufanie. Ten drugi więzień wychodził każdego dnia na kilka godzin z celi. Pracował chyba w pralni. Mówił, że też jest z opozycji. Za jego pośrednictwem Witek wysyłał grypsy poza więzienie, bo ten więzień miał kogoś, kto mógł wynieść grypsy na zewnątrz.*

Tymczasem Kazimierz Kowalówka wrócił z urlopu i dostał zaraz wezwanie na Mogilską. Jak tam poszedł, to go zamknęli [Z dokumentów wynika, że było to 15 sierpnia 1982].

Po kilku dniach, już po kolacji, usłyszałem szmer pod drzwiami naszej celi i głos (nie wiem czyj), który powiedział: „Marian! Masz gryps od kolegi Kazimierza. Pozdrawia cię. Czuje się fatalnie. Prosi, abyś mu odpisał".

W grypsie było napisane mniej więcej tak: „Marian, przyznałem się, że braliśmy ulotki od kolejarza z Kozłówka. Ostrzeż tych ludzi, z którymi miałeś kontakt! Kazimierz". To, co było napisane w tym grypsie, to była prawda. Brałem ulotki od Józefa Polaka, który był pracownikiem PKP i mieszkał na Kozłówku. Kowalówka nie znał jednak jego nazwiska ani adresu.

Ten gryps przeczytał Witek i ten drugi więzień. I obaj zaczęli mnie namawiać, abym jak najszybciej uprzedził tego człowieka. Więc szybko zacząłem pisać gryps do Józefa Polaka, mniej więcej tej treści: „Józefie, ja i Kazimierz Kowalówka przebywamy na Monte. Posprzątaj mieszkanie! Marian Stach". Gdy pisałem ten gryps, klawisz zgasił światło (była już 21.00). Wtedy ten drugi więzień poprosił klawisza: „Bądź pan tak dobry i nie gaś pan światła jeszcze przez 15 minut, bo my tu mamy ważną sprawę. Trzeba ostrzec człowieka!". I klawisz zostawił nam światło na kwadrans. Napisałem ten gryps i dałem go temu drugiemu więźniowi, który miał go, przez pośrednika, dostarczyć do Józefa Polaka.

Napisałem też gryps do Kazimierza z pretensjami. Napisałem mniej więcej tak: „Szkoda, że nie powiedziałeś, co robiliśmy razem, jak mieliśmy 17-18 lat". Z Kazimierzem znaliśmy się od czasów szkolnych.

W efekcie SB schwytała jeszcze 12 osób. 29 sierpnia 1982 roku zatrzymano: Tadeusza Bagińskiego, Władysława Brzeskiego, Henryka Kowala, Andrzeja Machela, Józefa Polaka, Feliksa Rosenstraucha, Władysława Smagałę, Stanisława Wajdę. 5 września 1982 roku zatrzymany został Jan Szadziński, 20 września – Tadeusz Szyrszeń, Józef Tupta i Kazimierz Wiśniowski. Na ławie oskarżonych zasiadł Stach, Kowalówka, Kowal, Smagała i Wajda. Sprawę Polaka połączono ze sprawą Paculi i innych. Sprawy przeciwko pozostałym osobom aresztowanym w tej sprawie prokuratura umorzyła z braku dostatecznych dowodów.

Wyrok ogłoszono 3 grudnia 1982 roku. Stach dostał 3 lata, Kowalówka – rok i 6 miesięcy, Kowal i Smagała – kary grzywny. Postępowanie przeciwko Wajdzie umorzono z uwagi na brak dowodów, a Szadzińskiego, który do niczego się nie przyznał – uniewinniono. 8 czerwca 1983 roku Rada Państwa skorzystała z prawa łaski i skazanym na kary więzienia warunkowo zawiesiła resztę kary. Z wnioskiem o prawo łaski wystąpili sami skazani, a ponadto żona Mariana Stacha i kolektyw pracowniczy zakładu, w którym pracował Kazimierz Kowalówka.

Relacja Mariana Stacha potwierdza, że Witold Toś pisał w więzieniu grypsy na zewnątrz i że wysyłał je za pomocą współwięźnia, do którego miał zaufanie. Relacja ta

pokazuje także, jakie mogły być rozmiary dekonspiracji w środowisku KPN w sytuacji, gdyby kombinacja esbecka z grypsami w pełni się powiodła. W wyniku braku dostatecznej czujności członków „Solidarności", SB zdekonspirowała część siatki kolportażowej powiązanej z RKW Małopolska i aresztowała 14 osób.

***

Marek Bik: *Gdy ta gra SB nie przyniosła w stosunku do mnie żadnego rezultatu, to do naszej celi trafił jeszcze jeden więzień, który przedstawił się jako „Włodek". Był to także konfident. Sądzę, że miał za zadanie mnie rozruszać i zmobilizować do gadania. Mówił, że muszę szybko działać, bo on czegoś się dowiedział i przeze mnie inni wpadną. Nie pamiętam dokładnie, ale to były tego typu gadki. Przyniósł mi też kolejny gryps. Przy tym nowym więźniu Tokarski zgrywał inteligenta, ale był zupełnie niewiarygodny, bo miał całe ręce pocięte od samouszkodzeń. Dla mnie wyglądał na faceta, który już długo siedział, ale miał kościec inteligenta. Może zabił żonę i liczył, że dzięki współpracy z SB wyjdzie wcześniej? A Włodek miał język z knajacką naleciałością i miał typowy wygląd złodzieja. W pierwszy wieczór powiedział coś bardzo głupiego, coś, co od razu wzbudziło moją nieufność. Powiedział mianowicie, że „ma dojście do Bujaka".*

Czułem się wtedy jak w potrzasku. Ich gra była dla mnie jasna. Podjąłem ją, ale zastanawiałem się, jak wybrnąć z tej sytuacji. Jak długo jeszcze mam brać udział w tej „zabawie"? Wiedziałem, że oni mają do wykonania zadanie – mają wymusić na mnie informacje, których nie wymusił śledczy. Ale byłem coraz bardziej zmęczony tą sytuacją. Cały czas musiałem kłamać. Kłamałem przed śledczym i kłamałem przed współwięźniami w celi. Psychicznie było to bardzo wyczerpujące.

Postanowiłem to przerwać. Napisałem list do prokuratora, do którego załączyłem dwa grypsy „od Witka", które sobie zatrzymałem (przy Włodku i Tokarskim udawałem, że je targam i niszczę). Napisałem do prokuratora, że usiłuje się na mnie w więzieniu wymusić przyznanie do winy za pomocą fałszywych grypsów, a ja jestem niewinny i nie wiem, o co chodzi. List, w odklejonej kopercie (nie wolno było zaklejać listów z aresztu), wystawiłem wieczorem na taborecie przed celą, jako korespondencję.

Na następny dzień klawisz wywołał Włodka. Po pewnym czasie Włodek wrócił z grypsem, który załączyłem w liście do prokuratora. Zarzucił mi, że jestem konfidentem, bo on chce ratować KPN, a ja współpracuję z prokuraturą. Rzucił się na mnie. Wywróciłem się, trafiłem łukiem brwiowym w kant łóżka i rozbiłem okulary. Zaczął mnie okładać, ale dość fachowo, żeby nie było śladu. Skuliłem się, on mnie podniósł i dalej bił. Uderzał w taki sposób, że traciłem oddech i nie mogłem krzyczeć. Na chwilę straciłem przytomność. Gdy przestał, a ja odzyskałem przytomność, to Tokarski zaczął mi robić zimne okłady na twarz, aby nie było opuchlizny. Potem przyszedł klawisz i kazał się im obu pakować.

Przez kilka dni, gdy byłem opuchnięty, nie wypuszczali mnie na spacer ani nie brali na przesłuchanie do czasu, aż ślady pobicia zniknęły.

***

Marek Bik nie był jedyną osobą pobitą w „getcie" przez zdemaskowanego agenta celnego. To samo przecież spotkało innego licealistę – Andrzeja Fischera. Czy esbecy pracujący w „getcie" mogli o tym nie wiedzieć?

Leszek Szczepkowicz (esbek, który przesłuchiwał Bika na Monte) mówi dzisiaj: *Nic nie wiedziałem o pobiciu Marka Bika. Przecież nie byłem z nim w celi! Ja go tylko przesłuchiwałem.*

Tadeusz Katolik (esbek, który kierował „gettem"): *Nikogo nawet palcem nie tknąłem ani nikomu nie kazałem nikogo bić. Zawsze jestem daleki od takich spraw. Nigdy na nikogo nawet głosu nie podniosłem w czasie przesłuchań. Pełna kultura.*

Teraz to wszyscy są bohaterami. Sami bohaterowie... A to nie jest tak do końca prawda. Nie wszystko było tylko czarne, czy tylko białe. Nie rozumiem, jak ktoś może mieć do mnie pretensje. Ja nikomu krzywdy nie zrobiłem. Kryminaliści to są kryminaliści, oni zawsze mówią, że niewinnie zostali ukarani.

***

Marek Bik: *Potem się okazało, że mój list do prokuratora jednak doszedł, ale bez grypsów. Prokurator przyszedł dopiero po paru dniach* [z akt postępowania doraźnego, dotyczących Bika i Tosia, wynika, że było to 11 sierpnia], *gdy już zniknęły ślady pobicia. Zrobiłem sobie notatki, przygotowałem się do rozmowy z nim. Gdy klawisz wywołał mnie na przesłuchanie, to szczegółowo mnie zrewidował. Szukał, czy nie mam jeszcze schowanych innych grypsów. Przypuszczam, że nie chcieli, aby metody stosowane przez SB w „getcie", wydostały się do prokuratury wojskowej. Klawisz znalazł moje notatki i zabrał. Chciałem mu je odebrać i zaczęliśmy się szarpać. W czasie tej szarpaniny zrzuciłem mu czapkę na ziemię. Miał włosy rude jak marchew. To mnie rozśmieszyło i uspokoiło. Zupełnie się rozluźniłem. W końcu trafiłem do prokuratora. Ppłk Chwiałkowski zupełnie mnie zignorował. Powiedział, że nie interesują go nasze wewnątrzwięzienne porachunki.*

W czasie procesu na sali sądowej już nic nie mówiłem o tej sprawie, bo w ogóle odmówiłem składania wyjaśnień. Byłem zmęczony, miałem dość i chciałem, aby to się wszystko jak najszybciej skończyło.

Po pobiciu skończyły się grypsy, ale usiłowano mnie złamać w inny sposób. Spodziewałem się jeszcze gorszych rzeczy niż pobicie. Byłem trochę otępiały. Miałem świadomość, że skoro strażnik współpracuje z konfidentami, to mogą tu w „getcie" zrobić ze mną, co zechcą. Nie wiedziałem, co się wydarzy po zgaszeniu światła. Czy oni nie wrócą?

Tego samego dnia do mojej celi wrzucili typa z zajęczą wargą, spłaszczonym nosem i długimi włosami, który wyglądał trochę na podstarzałego hipisa. Przedstawiał się jako Stasiak. Nic się nie odzywał, tylko chodził tam i z powrotem. Siedziałem na taborecie i też się nie odzywałem. I tak przez cały dzień. W końcu on zaczął mówić nerwowo, niby do siebie, ale tak, że słyszałem: „O, widzę, że z tobą jest poważna sprawa! Idź się lepiej przyznaj! Mnie nie interesuje, za co siedzisz, ale lepiej zrobisz, jak wszystko im powiesz!". Podkręcał też atmosferę i mówił na przykład tak: „Ciekawe, czy kogoś będą dzisiaj huśtać?" [Huśtanie w gwarze więziennej znaczyło egzekucję przez powieszenie]. *Powiedział też: „Zaraz otworzą się drzwi. Klawisz mi powie – Do śledczego! Ja pójdę do pokoju przesłuchań. W tym czasie otworzą się drzwi, wpadnie czterech klawiszy i powieszą cię na prześcieradle na kracie. Oni to robią w 15 sekund. Ja wrócę i znajdę trupa. Zrobią śledztwo. Zapytają mnie – Jak się zachowywał? Powiem im – Był załamany. I powiem prawdę, bo ty jesteś załamany. Dlatego mówię ci, idź się lepiej przyznaj! Oni i tak wszystko wiedzą!". Po jakimś czasie otworzyły się drzwi i klawisz wywołał mojego współtowarzysza: „Na przesłuchanie!". Zostałem sam w tej klitce. Po chwili otworzyło się lipo. Udawałem, że patrzę w sufit. Czekałem, czy rzeczywiście otworzą się drzwi i oni wpadną, aby mnie powiesić, czy nie. To trwało może trzy minuty, a może pół godziny... Cały czas wmawiałem sobie, że to są ich jarmarczne występy. Jarmarczne występy i nic więcej! To była jedyna metoda obrony.*

Gdy i ten sposób okazał się nieskuteczny, przeniesiono mnie do celi nr 117. Tam siedziałem ze starszym więźniem, który miał fryzurę jak Bobby Charlton, nosił przetłuszczoną

zaczeskę, którą cały czas poprawiał, aby zakrywała mu łysinę. Do dziś pamiętam, że miał powyciągany podkoszulek, do tego brązowy garnitur z bistoru, buty „szpicory" na obcasach – przebój stanu wojennego wyrabiany przez szewców spod Kalwarii. Niechluj straszny, dbał wyłącznie o swoją zaczeskę. Używał smalcu ze śniadania do układania tych włosów z przodu. Zdemaskowałem go jako konfidenta bardzo szybko. Dostałem przez „przelotkę" informację od Witka (przelotka polegała na tym, że robiło się rulon z gazety, do środka wkładało się gryps i przeciskało się wokół rury od centralnego ogrzewania do sąsiedniej celi). Witek pisał do mnie: „Nie przyznawaj się!". Współwięzień zaczął mi zaglądać przez ramię i pytać: „Za co siedzisz?". Odpowiedziałem: „Za jakąś sprawę z Tosiem. Znałem go, ale przed 13 grudnia. A oni chcą nam wmówić, że teraz popełniliśmy jakieś przestępstwo". Mój współwięzień chodził chwilę po celi, a potem zapytał: „Długo znasz Witka?". Ponieważ wymienił jego imię, którego ja nie wymieniłem, to miałem sprawę jasną – kolejny!

Potem przenieśli mnie do celi nr 121. Tam spotkałem człowieka, który wyglądał jak karykatura Żyda – chudy, mały, czarny z garbatym nosem. Cały czas mówił o swojej kochanej żonie, o swoich kochanych dzieciach i o tym, że go wrobili. Mówił też, że zaraz wyjdzie na wolność, pojedzie na wakacje i że wolność jest piękna. Jednym słowem, chciał mnie przekonać, że kraina szczęśliwości jest na wyciągnięcie ręki – wystarczy tylko się przyznać. Mówił, że on tę drogę przyznania się wybrał, a swoją niewinność udowodni na sali sądowej. Opowiadał, że działa w porozumieniu z adwokatem. Dawał do zrozumienia, że jest także z konspiracji, tylko jest tak ważną postacią, że nie może mnie wtajemniczać, bo ja jestem za mały, aby mógł mi to wszystko opowiedzieć. Oprócz tych opowieści cały czas siedział i pisał: do żony, do prokuratora. Jak go zabierali z celi i wracał, to mówił, że był u adwokata, ale musi jeszcze coś napisać i do czegoś się przyznać prokuratorowi. Siadał i dalej pisał. I mówił: „Nie ma sensu tu siedzieć. Na wolności jest wszystko, co piękne! Chcesz? Dam ci papier i pisz. Siadaj, pisz i przyznaj się! Przyznaj się i będziesz miał wszystko z głowy. Nie można tak się męczyć, bo to źle wpływa na psychikę. A oni i tak wszystko wiedzą. Pisz do śledczego! Pisz do śledczego!". Gdy już się zmęczył tym pisaniem i gadaniem, to się modlił. Miał książeczkę do nabożeństwa i ostentacyjnie się modlił. Byłem już tak zmęczony tym ciągłym nagabywaniem, abym się przyznał, że wyjście do śledczego odczuwałem jako odprężenie i kontakt ze światem zewnętrznym. W celi czułem się kompletnie osaczony.

Pamiętam, że raz w czasie przesłuchania doszło do dziwnej sytuacji. W pokoju przesłuchań stoliki były ustawione przy jednej i przy drugiej ścianie (wchodziło się środkiem). Mnie posadzono przy stoliku po jednej stronie, a przy stoliku po drugiej stronie równocześnie przesłuchiwano inną osobę. Siedzieliśmy bokiem do siebie, ale kątem oka go widziałem (a on mnie). Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. W trakcie przesłuchania słyszałem strzępy przesłuchania przy drugim stoliku i doszedłem do wniosku, że osobą przesłuchiwaną musi być Załuski. On miał wtedy zakończenie śledztwa. Sądzę, że w ten sposób SB chciała przeprowadzić nieformalną konfrontacje między nami – chcieli wiedzieć, czy się znamy.

Cały czas odmawiałem składania zeznań, a nawet odmawiałem podpisu pod oświadczeniem, że odmawiam składania zeznań. W końcu zaczęto mi odczytywać zeznania innych, które mnie obciążały... Przesłuchiwał mnie z reguły jeden i ten sam esbek – Szczepkowicz.

Raz, w sierpniu 1982, usiłowali mnie przesłuchiwać dwaj inni esbecy. Interesowała ich Kadrówka w 1981. Pokazywali mi jakieś zdjęcia z pierwszego Marszu. Trochę sobie z nich jaja robiłem, bo prosiłem ich, żeby mi dali te zdjęcia do celi, to ja się zastanowię, kto na nich jest. Próbowali mnie zwerbować na paszport. Proponowali mi, abym ujawnił to, co wiem, poza protokołem, a w zamian dostanę paszport i zgodę na wyjazd do Stanów albo dokąd będę chciał. Kusili mnie: „Wyjedzie pan za granice i zacznie nowe życie. Nikt nie będzie

wiedział, że pan nam coś ujawnił. Jak pan odmówi, to dostanie pan co najmniej rok, nawet jak się pan dostanie na studia, to pan studiów nie skończy, a w ogóle, życie pana będzie nieciekawe". Tak mi wywróżyli...

Potem patrzyłem dość podejrzliwie na tych, którzy wyjeżdżali za granicę prosto z więzienia. Dziś się okazuje, że wielu z nich było potem agentami wśród Polonii...

Po dwóch miesiącach w getcie skończyła się ta gra i 30 sierpnia 1982 roku przenieśli mnie na trzeci oddział, który znajdował się na trzecim piętrze. Trafiłem do celi nr 259. Po pobycie w „getcie" czułem się tam, jakbym wyszedł na wolność! Jak wszedłem do tej celi, to uderzył mnie niesamowity smród – specyficzny, kwaśny smród papierosów przemieszany z oddechami ludzi. Przepełnienie było takie, że w celi sześcioosobowej siedziało nas dziesięciu – czterech spało na podłodze. Jak się rozłożyło sienniki, to nie można było wstać. Na Monte zdarzało się też, że w celi 9-osobowej było 17 osób. A były też przypadki przepełnienia sięgającego 250%! Wtedy zrozumiałem, że wcześniej, gdy byłem na oddziale II, zostałem potraktowany specjalnie – siedzieliśmy we dwóch w celi trzyosobowej! Zrozumiałem też, że wygrałem z nimi potyczkę – mimo takiego specjalnego traktowania, niczego się ode mnie nie dowiedzieli.

Kręcioch: *W 1982 r. więzienie było przepełnione. Pojemność mieliśmy 700-800 osób, a w tym czasie siedziało ich na Monte 1600-1800! Tłok był przeogromny, ludzie spali na betonie, mówiło się, że na tzw. sianku.*

Jak podaje Paczkowski, ogromne przepełnienie aresztów śledczych, zwłaszcza na Górnym Śląsku, było wówczas normą w Polsce.

***

Dokładnie w tym samym czasie co Toś i Bik, trafił „na getto" Stanisław Handzlik. Jego relacja rozpoczyna się 25 czerwca 1982 roku, gdy Handzlik po kilkunastogodzinnym przesłuchaniu trafił do celi milicyjnego aresztu w KW MO.

Stanisław Handzlik: *W celi na Mogilskiej spotkałem Stasia Maciejewskiego, który był u mnie drukarzem w Hucie (z ZR wyrzucono go za pijaństwo). Był uznawany za świetnego fachowca – drukarza. Okazało się, że współpracował z SB. Ze mną zaczął od tego, że został aresztowany, bo wzięli go za Jasia Ciesielskiego. Mówił, że ma dobry kontakt z różnymi ludźmi i może coś przekazać. Wymieniał różne nazwiska, m.in. ks. Palmowskiego. Na spacerniku nie mogłem się od niego wprost uwolnić, tak nudził. Czułem, że to prowokacja. W końcu mu powiedziałem: „Mam pomysł na Jaruzelskiego. Niech chłopaki na wydziale zbudują rakietę zdalnie sterowaną i przypierdolą w Belweder. Stary! Przejdziemy wszyscy do historii!". On na mnie popatrzył, bo nie wiedział, czy zwariowałem, czy z niego „drę łacha". W końcu powiedział: „Dobra, przekażę". Opowiadała mi potem Wiesia Ciesielska, że ją też podchodził. Koniecznie chciał złapać kontakt na Janka Ciesielskiego. Też na Mogilskiej siedział ze mną inny – wielkie chłopisko, które mówiło mi, że zna zasady wahadełka i że może rozpoznać, kiedy mówię prawdę, a kiedy kłamię. Zadawał pytania i badał, co na to wahadełko. Trochę z nim się zabawiałem i robiłem go w konia. Przestrzegał mnie przed Maciejewskim, sugerując, że to kapuś. Typowy numer.*

Szczególnie perfidne metody prowadzenia śledztwa przeciwko Handzlikowi opisuje Paweł Smoleński: *Krakowską „Solidarnością" zajmował się niezwykle gorliwy esbek* [Chodzi o Kazimierza Kasprzyka, zastępcę szefa Wydz. V krakowskiej SB]. *Dzisiaj nikt nie może nakazać mu publicznego wyznania wszystkich niegodziwości. Najbardziej zdeterminowani tropiciele agentów nie oczekują, że esbek pokaja się i poprosi o wybaczenie. Nie załatwi tu nic żaden apel nowohuckich działaczy.*

A przecież, gdyby nie on, być może w Krakowie byłoby mniej złamanych życiorysów. Lecz za to nie ma żadnej kary. W tym sensie esbek może dziś zacierać ręce i cieszyć się ostatnim, może najbardziej głośnym zwycięstwem.

Prześladowani działacze „Solidarności" nazwali go „Szczur", nie tylko ze względu na gębę, ale też wredne metody. Zapewne Szczur zaordynował, by Staszka budzono w celi po godzinie snu, a potem przesłuchiwano przez 16 godzin bez przerwy. Handzlik pamięta, że więzienie było wyjątkowo wszawe, a w radiu na okrągło i bardzo głośno leciała piosenka pod tytułem „Abrakadabra".

Na stole w pokoju przesłuchań „Szczur" zawsze stawiał szklankę z herbatą. Esbecy namawiali do picia, lecz nie wypuszczali Handzlika do toalety; niech się ten robol zeszczy w spodnie, to wtedy zmięknie.

Nie zmiękł.

Wezwali więc na przesłuchanie jego żonę, posadzili przed weneckim lustrem, a za szybą Staszek, wychudzony i zmarnowany; może wystraszona baba namówi go do kolaboracji. Grozili jej biciem, ubliżali: „Zgnoimy ciebie, zgnoimy twojego męża, dzieciaki poślemy do ochronki".

Nawet nie próbowała namówić.

Mówili więc Staszkowi: „Tę twoją ześwirowaną żonę zamkniemy w wariatkowie". A on stawał na głowie, by nie pokazać, jak bardzo boi się o najbliższych; „Szczur" nie może dowiedzieć się, gdzie ma najsłabszy punkt.

Handzlik: *Po paru dniach zabrali mnie z Mogilskiej i zawieźli na Monte „na getto". Najpierw siedziałem tam z facetem skazanym na karę śmierci w ostatniej lub przedostatniej „tygrysówce" po lewej stronie. Nazywał się Henryk Wolnicki, pochodził z Sanoka. Podobno zabił jakieś kilkuletnie dziecko. Uważał, że dostał zbyt surowy wyrok. Opowiadał mi całą tę historię. Gdyby to, co mówił, zostało dowiedzione, to rzeczywiście powinien dostać łagodniejszą karę.*

Siedział z nami jeszcze jeden facet, którego nazwiska nie pamiętam. Potem przyszedł inny, który był zwyrodnialcem, głośno onanizującym się całymi nocami. Te jego ekscesy były nie do wytrzymania. Leżałem na samej górze, on na środku, a na dole – Wolnicki. Siłą rzeczy polubiłem tego Wolnickiego. Nie widziałem w jego zachowaniu niczego takiego, czego należałoby się obawiać.

Potem przyszedł taki napakowany osiłek i zaraz chciał u nas swoje rządy wprowadzać. Spacyfikowałem go, trochę przypadkowo. On i kaesiak grali w szachy i zaczęli się o coś kłócić. Ja leżałem na łóżku i czytałem Conrada (tam na Monte był fajny gość w bibliotece, który pożyczał nam dobre książki). Wychyliłem się, żeby zobaczyć, co oni tam na dole robią i spadłem. Spadłem akurat na tego napakowanego. Przycisnęło go do ziemi. Pozbieraliśmy się. Powiedziałem mu: „Sorry! To niechcący, stary!". Ten popatrzył na mnie spode łba, ja na niego. Ale zauważyłem potem, że to go nauczyło respektu.

Kaesiak pisał listy do kurii i czasami dostawał stamtąd jakąś paczkę. Pomagałem mu pisać te listy. Raz dostał w paczce buty. Miał dużą nogę i na niego nie pasowały. Dał je temu drugiemu. Gdy ten drugi założył je i poszedł na spacer, to one mu się całkiem rozlazły. Okazało się, że to były buty dla umarłego, trumienne. Dziwna historia... Nie znając ich funkcji, pozbył się ich.

Potem dowiedziałem się, że Wolnicki nie mogąc doczekać się na informację, czy mu uchylili tę karę śmierci, pokłuł sobie źrenice agrafką. Podobno jak był sam w celi, to osiem razy uderzył agrafką w każdą źrenicę. A klawisze, zamiast wezwać pogotowie, dali go na 24 godziny do izolatki, na beton. Bali się konsekwencji, bo zostawili go samego i dopuścili, że miał agrafkę w celi. Po tym samookaleczeniu Wolnicki ledwo co widział.

W końcu mu karę śmierci zamienili na wieloletni wyrok. Byłem już na wolności, kiedy dostał przepustkę i odwiedził mnie w domu. Mówiłem mu w celi: „Jakbyś czegoś potrzebował, a będziesz na wolności, to przyjdź do mnie". I podałem adres. Przyszedł gdzieś w 1984. W czasie jego wizyty moja żona z dziećmi siedziała w drugim pokoju jak mysz pod miotłą i bała się wyjść, bo wiedziała, kto to jest. Prosił mnie o załatwienie mu Biblii (w celi podczytywał moją, kartka po kartce). Czytał z wielkim trudem. Po samookaleczeniu miał minus 18 i nosił okulary z bardzo grubymi szkłami, które mu masakrowały nos, bo były bardzo ciężkie. Pomogłem mu załatwić lekkie szkła plastikowe, które wtedy kosztowały fortunę. Wziął je, pocałował mnie w rękę i poszedł.

Później byłem w celi po drugiej stronie „na getcie". Prowadziłem tam korespondencję z Witkiem Tosiem, który był w sąsiedniej celi. Wokół rurki instalacji c.o., łączącej nasze cele, było trochę luzu. Można było tam wcisnąć kartkę zawiniętą w gazetę i myśmy do siebie coś pisali. Po przeczytaniu grypsu od Witka zaraz wyrzucałem go do bardachy. Tak samo robił Witek. Ale jeden z tych moich grypsów przechwycił gość, z którym Witek siedział. I ten gryps był nawet potem cytowany na moim procesie.

Wtedy siedział ze mną Stasiak i drugi więzień, który miał kawałek płytki tytanowej w czaszce. Ten Stasiak to była przedziwna postać. Taki Chrystusek – pociągła twarz, broda rzadka, rzadkie wąsy i prawie wyłysiały. Wzrost 170-175. Miał widoczne braki w uzębieniu. Jak mówił, to wyraźnie seplenił. Bardzo lubił czaj. Za czaj zrobiłby wszystko. Nie brali go szczególnie często na przesłuchania, ale jak nam robili kipisze (z reguły co dzień) albo przy roznoszeniu obiadów, to on mógł coś szepnąć oddziałowemu.

Kiedyś napisałem gryps przed spotkaniem z adwokatem. Wiedziałem, że nie może tam być nic konkretnego, tylko takie ogólne... On widział, że ja coś napisałem, a ja widziałem, że on widział. Wziąłem paczkę zapałek, w której było kilka pudełek, wyciągnąłem jedno pudełko z tej paczki i w to miejsce włożyłem gryps. Paczkę odłożyłem. Za jakiś czas (nie pamiętam, czy tego samego dnia, czy następnego) zrobili w celi kipisz. Zajrzałem do tej paczki z zapałkami i grypsu już nie było. No i było już wiadomo, co jest grane! Stasiak opowiadał, że przemycał jakieś materiały propagandowe przez granicę, przez Czechosłowację i w czasie tej roboty wpadł. Opowiadał, że współpracował z Marianem Kanią (o którym mówił „Marianek" czy „Maniuś"). W Czechosłowacji miał mieć dziewczynę, która miała na imię Lea. I tam u niej miał podobno metę. A w ogóle trudnił się kontrabandą.

Po kilku tygodniach wzięli mnie ponownie na Mogilską [Było to 12 lipca 1982]. *Usiłowali mnie tam trochę przygłodzić. Mnie trafił szlag, bo tam warunki były o wiele gorsze niż na Monte – przez okna szczelnie zasłonięte blendami nie było widać słońca, był utrudniony dostęp do bieżącej wody, nie było w celach w.c., tylko wiadro. I tam taki młody esbek, Stachowicz, usiłował mnie przesłuchiwać. Powiedziałem mu, że dopóki będę siedział na dołku, to nic nie będę mówił. On powiadomił swojego szefa i na drugi dzień znowu byłem na Monte* [Handzlik wrócił z Mogilskiej po tygodniu – 19 lipca].

Jak wróciłem na Monte, to Stasiak zgotował mi powitanie i opowiadał, że zrobił głodówkę w mojej sprawie.

Siedziałem kolejno w różnych celach. Przenosili mnie nawet na górę. Odezwały się problemy z kręgosłupem. Zacząłem powłóczyć lewą nogą. Ciężko było, ale w końcu dostałem się do lekarza. Przepisał mi jakieś leki i pozwolił leżeć w celi w ciągu dnia. To było ważne, bo za takie leżenie były kary: odbierali prawo do paczki, do wypiski, do korespondencji. Potem ta choroba się za mną wlokła przez całe więzienie. W warunkach więziennych to było nieszczęście.

Potem siedziałem z jeszcze jednym kaesiakiem, Oleksy się nazywał. Był z Sądeckiego. Całą rodziną rozjechali ciągnikiem inną rodzinę. Lubił grać w szachy, ale widać było, że to kawał skurwysyna.

Jeden z klawiszy „na getcie" szczególnie dawał nam się we znaki. Nazywaliśmy go „Chyży ruj", co było określeniem znanym z gry półsłówek. Kawał sukinsyna. Nigdy nie pomógł. Był rudawy, mieszkał w Kalwarii Zebrzydowskiej. Tak zaangażowany, że zaglądał mi do gęby i wpychał palce: „Pokażcie, co tam macie!". Jak był kipisz, to trzeba było się rozbierać i tyłek przed nim wypinać [Chodzi o Zbigniewa Godulę].

Jego przeciwieństwem był inny klawisz – ten, który przy przyjęciu na Monte brał ode mnie depozyt. To był pierwszy klawisz, którego spotkałem. Widziałem go tylko raz. Powiedział mi szeptem: „Niech pan się nie martwi. Tu już był Gil, był Nowak... Jak pan będzie uważał, to będzie się panu dobrze siedzieć. Tylko trzeba uważać, żeby nic nie mówić pod celą". Dopiero po paru dniach dowiedziałem się, że „pod celą" to znaczy „w celi" i że nie chodzi o to, że pod podłogą są jakieś mikrofony, tylko żeby uważać na współwięźniów.

Rozprawę miałem 3 sierpnia. Dwa tygodnie potem pojechałem do więzienia.

***

W stosunku do Stanisława Handzlika bezpieka zastosowała prowokację w postaci grypsów wysyłanych na zewnątrz. Jej przebieg i sens wymagałby szczegółowych ustaleń, na które nie ma miejsca w tym opracowaniu. Przedstawione niżej fakty nie pozwalają na zrozumienie wszystkich elementów esbeckiej gry. Dowodzą jednak, że nie tylko środowisko KPN rozpracowywano w ten właśnie sposób.

Stanisław Handzlik potwierdza autentyczność tylko jednego swojego grypsu (akurat jego treść nie zachowała się w aktach SB). Handzlik: *Wysłałem jeden gryps z „getta", adresowany do Wieśki Ciesielskiej, który oni skserowali. Napisałem jej, że bardzo się interesują J-23 (dla bezpieki to mogła być zagadka, a my wiedzieliśmy, że chodzi o Jacka Marchewczyka). Przesyłałem go przez adwokata. To już była końcówka mojego siedzenia, przed samym procesem. Ten gryps przejęła bezpieka, ale potem został doręczony Wiesi Ciesielskiej przez faceta, który miał ręce umalowane tatuażami i kazał sobie jeszcze zapłacić za to, że ten gryps zaniósł.*

Był jeszcze drugi gryps, który napisał własnoręcznie Handzlik – ten, który klawisze zabrali mu z celi (ukryty w pudełku zapałek). On również nie zachował się w aktach SOR „Znicz".

Zachowały się natomiast inne grypsy od i do Stanisława Handzlika. Prawdopodobnie zostały sfałszowane przez SB. Są to ich maszynowe odpisy, nie wiemy, jak wyglądały oryginały.

Pierwszy z grypsów jest adresowany do Stanisława Handzlika, a jego nadawcą był Marian Kania: *Staszek! Z bólem przyjęliśmy wiadomość o Twoim aresztowaniu. Sprawę i okoliczności wyjaśniamy. Organizujemy obronę. Zaprzeczaj wszystkiemu. Nie martw się o swoich bliskich. Chcemy w dniach Twojego procesu zorganizować manifestację. Obawiam się kontaktu z Władkiem. Mogę być śledzony. Co z tym, cośmy uzgodnili? Człowiek, który Ci to dostarczy, jest dobrze opłacony. Czekam na wiadomość. Trzymaj się twardo.*

Kraków 10.7.1982. Marian [„10.7" oraz „Marian" dopisano długopisem drukowanymi literami].

Handzlik: *Gryps Kani wydaje mi się fałszywy.*

Kolejny gryps to odpowiedź na gryps przedstawiony wyżej. Jego fragmenty są jakby powtórzeniem wcześniejszego grypsu (chodzi o jakieś uzgodnienia między oboma dzia-

łaczami – każdy z nich w grypsie pyta drugiego, czy to jest aktualne; jak refren powraca też zapewnienie, że ten, kto przekazuje gryps, jest osobą zaufaną i jest czy też powinien być dobrze opłacony), co może sugerować, że autor odpowiedzi nieudolnie naśladował pierwszy gryps. Najważniejszy fragment grypsu to prośba o przekazanie zaufanym kolegom treści załączonego listu (apelu). W tym grypsie jest też wzmianka, że Handzlik uchyla się od odpowiedzialności za komunikaty KRH, które były podpisywane jego nazwiskiem (co mogło wywołać nieprzychylne dla niego reakcje pozostających na wolności kolegów). Poza tym zawiera prośbę o odpowiedź, a więc sugeruje dalsze podtrzymanie łączności grypsowej.

Oto jego treść: *Marian. Piszę ten list z aresztu na Monte. Wysyłam go przez życzliwą dla nas osobę. Kanał ten powinien być dobrze opłacony, gdyż uważam, że w przyszłości do czasu wywiezienia mnie z Krakowa tak, jak Mietka i Edka, będę mógł z niego korzystać. Na przesłuchaniach pytają o Ciebie, Tadka i Władka oraz Janka i jeszcze innych z naszego grona. Trzymam się dotychczas twardo. Osobiście uważam, że powinieneś się wstrzymać z tym, o czym żeśmy rozmawiali. Jakie jest Twoje na ten temat zdanie? Chciałbym, abyś przekazał zaufanym kolegom z Kombinatu treść mojego listu.*

Skonsultuj, czy przyjąłem właściwą linie obrony. Ukrywałem się z obawy przed odpowiedzialnością za strajk w Kombinacie. Nie działałem. Nie podpisywałem żadnych ulotek.

Monte, 11 lipca 1982. S.[„11 lipca" oraz „S" napisano ręcznie długopisem].

Do tego grypsu dołączony jest apel:

Do kolegów i sympatyków NSZZ Solidarność.

W dniu 24 czerwca 1982 zostałem ujęty przez UB w Rynku Dębnickim w momencie opuszczania zatrzymanego przygodnie samochodu. Przewieziony zostałem do siedziby UB na ul. Mogilską. Po 2-ch dniach Prokurator Wojskowy przedstawił mnie zarzut z art. 46 i 48 kk. Winą za to ujęcie nie obarczam nikogo, gdyż nie posiadam na to wiarygodnych dowodów. Zalecam jednak wszystkim ścisłe przestrzeganie instrukcji zachowaniu zasad konspiracji.

W dniu 18 czerwca 1982 RKW opracowało projekt „Apelu do społeczeństwa" o zawieszeniu do końca sierpnia strajków i manifestacji. Uznaliśmy bowiem, że dotychczasowe środki i formy protestu wobec WRONy spełniły swoją rolę. Wykazały niespożytą siłę Solidarności i nieskuteczność represji. Jesteśmy „jak kamienie rzucane przez Boga na szaniec", jak powracająca fala.

Zawieszenie strajków i marszów w dniach 13 i 16 będzie dowodem naszej siły, jedności, zdyscyplinowania, sprawności organizacyjnej i odporności na prowokacje. Będzie jednocześnie dowodem naszej gotowości do porozumienia. Oczekujemy w zamian zwolnienia wszystkich internowanych i amnestionowania uwięzionych. Otworzy to możliwość zawieszenia przez Solidarność strajków na dalszy okres. Naszym obowiązkiem jest stwarzanie warunków umożliwiających godne przyjęcie Papieża Jana Pawła II w naszym kraju. Junta obawia się wizyty, gorączkowo szukając pretekstów uniemożliwiających przyjazd Papieża do ojczystego kraju. Okres zawieszenia strajków i manifestacji wykorzystujmy z całą mocą do wzmocnienia i rozbudowy struktur organizacyjnych. Zapomnijmy o waśniach i podejrzeniach inspirowanych przez UB. Przygotujmy Związek na wypadek konieczności ogłoszenia we wrześniu 1982 strajku generalnego.

Projekt apelu RKW uzgodnił z W. Hardkiem i ze mną. Tekst przesłano Tymczasowej Komisji Krajowej NSZZ Solidarności. Ze smutkiem stwierdzam, że kwestionują go niektóre regiony, nie rozumiejące wyższych racji związku.

Stanisław Handzlik. [Dopisano długopisem: */podpis jak na oryginale/*]

Stanisław Handzlik: *Już po wyjściu na wolność spotkałem się z Marianem Kanią, który*

z jakiejś książki wyjął ten gryps, niby ode mnie i spytał: „Znasz to?". Przeczytałem, powiedziałem: „Podpis jest jakby mój, ale nie wiem. Nie potrafię powiedzieć. Treść nie jest moja. Nawet po pijaku bym czegoś takiego nie napisał. Tam są jakieś idiotyzmy". Marian dał mi ten gryps na pamiątkę i opowiedział, w jaki sposób go dostał. Prawdopodobnie bezpieka liczyła, że ten gryps pójdzie w prasie podziemnej. Ale on to zachował dla siebie i nie puścił dalej. Wyczuł, że to fałszywka, bo tam były słowa „przedstawił mnie zarzut", a ja tak nie mówiłem.

Co SB chciała osiągnąć, dążąc do publikacji podanego powyżej, fałszywego grypsu Handzlika? Z pewnością konieczne jest szczegółowa analiza, na którą nie ma miejsca w tej książce, warto jednak zwrócić uwagę, że wbrew treści grypsu nie było uchwały RKW „o zawieszeniu do końca sierpnia strajków i manifestacji", w każdym razie Jan Pacula nie pamięta dziś takiej uchwały. Z treści grypsu wynika, że „projekt apelu RKW uzgodnił z W. Hardkiem i ze mną", a więc bez udziału Paculi i Ciesielskiego. Czy nie była to próba wbicia klina między członków prezydium RKW i próba skompromitowania Handzlika, a przede wszystkim Hardka?

Wprawdzie do zawieszenia strajków i demonstracji doszło już wcześniej decyzją TKK (apel z 26 czerwca), ale w tym dokumencie wyznaczony był inny, niż to podano w fałszywym grypsie, termin końcowy tego jednostronnego „rozejmu". Jak podaje Friszke („Solidarność podziemna 1981-1989") *TKK postanowiła władzom dać czas na ewentualne zweryfikowanie postawy, jednocześnie zamierzano go wykorzystać do uporządkowania i umocnienia struktur podziemia, co było niezbędne przy podejmowaniu ogólnopolskich akcji protestacyjnych. Niewiele, niestety, wiemy o szczegółach podjętych wtedy decyzji. Być może ich tłem było planowane na lipiec posiedzenie Sejmu, na którym mógłby być przedstawiony projekt kompromisu. Może też brano pod uwagę rozmowy kościelno-państwowe związane z planowaną na sierpień pielgrzymką Jana Pawła II do Polski.* W każdym razie TKK zawiesiło strajki i masowe demonstracje do 22 lipca, zaś w fałszywym grypsie Handzlika mowa jest o „końcu sierpnia". Jak łatwo się zorientować, różnica dotyczy kluczowej daty – 31 sierpnia.

W lipcu 1982 roku we władzach podziemnej „Solidarności" toczyły się gorące dyskusje o taktyce, jaką winien przyjąć Związek 31 sierpnia. Jak podaje Friszke („Solidarność podziemna") *można postawić tezę, że decyzja o wezwaniu do masowych protestów została podjęta wbrew poglądom i ocenom sytuacji doradców bliskich Kościołowi.* Być może fałszywy gryps Handzlika był jednym ze sposobów, w jaki SB usiłowała wpłynąć na TKK, aby ta zaniechała protestów w drugą rocznicę podpisania Porozumień Gdańskich.

Były też i inne sposoby, o czym pisze Friszke, omawiając znalezione w archiwum IPN we Wrocławiu sprawozdanie Ewy Kulik: *o trwających za zgodą Bujaka od lipca rozmowach „przedwojennych" członków zarządu regionu Mazowsze Stanisława Rusinka i Krzysztofa Łypacewicza z przedstawicielami kierownictwa związków autonomicznych (...). Zawiadomiony o tych działaniach Frasyniuk w liście do Bujaka ostro sprzeciwił się podejmowaniu, jak pisał, kapitulanckich inicjatyw.*

W aktach SOR „Znicz" jest ponadto gryps rzekomo od Jana Ciesielskiego do Stanisława Handzlika. Jego treść stanowi oczywistą prowokację:

Staszek! Czekałem na Ciebie. Nie przyszedłeś. Przeczuwałem, że coś się stało. Postanowiłem osobiście wyjaśnić tę sprawę. Winowajca poniesie zasłużoną karę. W odwet przygotowuję fajerwerk w Hucie i na jednym z lichych posterunków. Przyjąłem zasadę: na ile lat Cię skażą, tyle wybuchów. Niech popamiętają. A zrobię to tak, żeby móc oskarżyć ich o prowokację. Trochę przeszkadzają mi w tym inni, głównie Władek. Jestem bezpieczny. Trzymaj się mocno. Brak mi Ciebie, a ja nie mam nic do stracenia.

Janek [Podpis ręczny, długopisem, drukowanymi literami].

Handzlik: *Tego „terrorystycznego" grypsu od Janka Ciesielskiego nigdy nie widziałem. Zbyt grubymi nićmi szyte. Nie wiem, po co bezpieka go sfabrykowała.*

Prowokacja z użyciem grypsów stosowana była także wobec innych więźniów na Monte. Handzlik: *Edka Nowaka przyłapali też na jakimś grypsie. On wysyłał go przez Zdzisława Wagnera, człowieka z KRH. Edek wiedział, że Wagner zostanie wypuszczony i dał mu gryps. A gryps od razu wpadł w ręce SB.*

Także Zbigniew Fijak opowiadał w wywiadzie prasowym o agentach celnych, którzy nakłonili go do pisania grypsów już na Mogilskiej, nie zdając sobie jednak do końca sprawy z ich faktycznej roli: *To byli złodzieje, wyspecjalizowani w wyciąganiu informacji. Oni kapowali, ale jednocześnie nienawidzili tych ubeków, więc kapowali czasem na dwie strony. On mi trochę pomagał, a trochę kapował. Wysłałem przez niego grypsy. Pierwszy dotarł do domu, a drugi i trzeci nie.*

Z materiałów SB wiemy, że grypsy były wysyłane także przez innych więźniów „getta", działaczy „Solidarności", NZS i innych organizacji. Dopiero dokładna analiza każdej z tych sytuacji pozwoliłaby ustalić szczegóły prowokacji i ich skutki. Można jednak przypuszczać, że istota działań SB w każdym z tych wypadków była podobna.

Funkcjonariusze znający dobrze esbeckie areszty mówią zgodnie jedno – szansa na przesłanie stamtąd grypsu bez kontroli SB była równie wysoka, jak szansa ucieczki.

***

Na oddział II aresztu śledczego przy ul. Montelupich 7 trafił także Jan Pacula. Było to w październiku 1982 roku, gdy Stanisław Handzlik, Marek Bik i Witold Toś byli już po procesie.

Jan Pacula: *Wkrótce po przesłuchaniu przy Rakowickiej przewieziono mnie do aresztu śledczego przy Montelupich. Od razu trafiłem do „getta", do celi nr 117. W celi były już dwie osoby. Jednym był Jasiu Rojek, młody chłopak zatrudniony w Hucie* [Jan Rojek był członkiem KZ w HPR. W grudniu 1981 r. uczestniczył w strajku w HPR. 2 październiku 1982 r. został aresztowany. 11 listopada skazany na 2 lata więzienia za to, że „wychodząc z terenu Kombinatu Huty im. Lenina w Krakowie, przenosił w celu rozpowszechniania nielegalne pisma ulotne o treści zawierającej fałszywe wiadomości mogące wywołać niepokój publiczny lub rozruchy". 5 stycznia 1983 r. został ułaskawiony w wyniku decyzji Rady Państwa], *drugim był kapuś, który miał charakterystyczne długie włosy i zającą wargę* [To ten sam więzień, o którym wspominają wyżej Marek Bik i Stanisław Handzlik, używający nazwiska Stasiak]. *„Hipis" pytał się mnie, za co siedzę. Odpowiedziałem: „Człowieku, daj mi spokój! Nie wiem, za co siedzę! Niewinny jestem!". Nie przyznałem nawet, że jestem więźniem politycznym. Dopiero klawisz, wywołując mnie na przesłuchanie, powiedział: „No to chodź, solidarnościowcu" i w ten sposób oficjalnie współwięźniowie dowiedzieli się, że mam coś wspólnego z „Solidarnością".*

Jasiu Rojek mnie poznał i zadawał mi więcej pytań. Dałem mu do zrozumienia, że nie chcę z nim rozmawiać w celi i że to, co on mówi, w ogóle mnie nie interesuje. Opowiadał coś o jakichś ulotkach, które u niego znaleźli w biurku w pracy i opowiadał, że jest niewinny. Ja odpowiadałem mu: „No to dokładnie tak jak ja! Ja też jestem zupełnie niewinny. Zaraz się wyjaśni i nas wypuszczą".

Po trzech dniach wymienili kapusia. Ten nowy (wysoki, szczupły, lekko łysiejący brunet, w dżinsach „Paris", które – jak mówił – są najlepsze na świecie!) działał rzekomo w „Solidarności" w Regionie Podbeskidzie i miał być łącznikiem między tamtym regio-

nem a Krakowem. Codziennie wywoływano go z celi, a potem wracał z papierosami. Miał do tego dorobioną „legendę". Mówił, że ma brata księdza, który go regularnie odwiedzał i częstował papierosami. Miał wyrafinowany sposób wyciągania informacji. Cały dzień był spokój. Ale w nocy, gdy Jasiu szybko usypiał (miał znakomity sen), to on zaczynał opowieści, aby wciągnąć mnie w rozmowę. Miał dużą wiedzę o Staszku Handzliku, o którym opowiadał, oraz interesował go Janek Ciesielski. Był bardzo ciekawy i zadawał mi różne pytania. No to ja opowiedziałem mu, że – gdy się ukrywałem – wysłałem do Szczecina dziewczynę i jestem bardzo zadowolony z tego, co mi przywiozła. Była to informacja nieprawdziwa, którą mu podałem, aby go sprawdzić. Po tygodniu w czasie przesłuchania esbecy zaczęli mnie o tę dziewczynę i o Szczecin pytać. Wtedy miałem już pewność, że to jest „kabel". Zacząłem się śmiać w twarz esbekom: „Takie numery robicie ze mną, panowie! Ja jestem za stary, aby dać się na to nabrać! Weźcie go ode mnie!".

No i przenieśli tego kapusia do innej celi, jak się wkrótce okazało – do celi Leszka Kuzaja [Przewodniczącego „Solidarności" na UJ w 1980 roku i członka Prezydium ZR Małopolska]. *O tym, że on siedzi obok mnie w celi, dowiedziałem się kilka dni później. Kuzaj podszedł do okna (klapy – jak się mówiło) i powiedział: „W celi 118 siedzi Leszek Kuzaj!" Podszedłem do klapy i powiedziałem: „Cześć Leszek! W celi obok ciebie – Janek Pacula!". Odpowiedział: „Dwie cele dalej siedzi Tadek Piekarz". Zaraz zrobiło się jakieś zamieszanie (porozumiewanie się przez klapę było zabronione) i na tym rozmowa się skończyła.*

Za to wykroczenie wymierzyli mi jakąś karę.

Ale kilka dni później Leszek (który był niepoprawny) podszedł znowu do okna i powiedział: „Zabrali mi kabla i przenieśli go prawdopodobnie dwie cele dalej w twoją stronę". Sądzę, że poznał to po odgłosie otwieranych drzwi do cel. Wychodziło, że to musi być cela obok mojej. Gdy następnego dnia szedłem korytarzem na spacer i przed celą sąsiednią zauważyłem charakterystyczne trampki Fijaka (wiedziałem, że je nosił, bo przez pewien czas ukrywałem się w jego mieszkaniu; to były charakterystyczne trampki marki Dunlop, które Fijak kupił sobie na Zachodzie, gdy był na stypendium w Londynie – w smutnym i szarym PRL takich trampek nie było; nie wiem, czemu te trampki były przed celą w ciągu dnia, powinny być tylko w nocy). Zorientowałem się więc, że Fijak siedzi w celi z kablem. Czułem się za niego odpowiedzialny i postanowiłem go ostrzec. Gdy wracałem ze spaceru, odprowadzał mnie inny klawisz niż ten, który mnie wyprowadzał. Był to klawisz z innego oddziału. Skorzystałem z okazji i zatrzymałem się przed drzwiami do celi Fijaka. Gdy otworzył mi drzwi (myśląc, że to moja cela, skoro przed nią się zatrzymałem), szybko zorientował się w moim podstępie. Zdążyłem Fijakowi powiedzieć (wskazując na współwięźnia): „Zbyszek, masz w celi kabla!". Błyskawicznie mnie zabrali do mojej celi. Potem przyszedł oddziałowy i powiedział mi: „Pacula, masz następną karę!".

Na Monte złapałem w sumie 8 kar dyscyplinarnych za naruszenie regulaminu. Karą było np. pozbawienie wypiski (to jest prawa do robienia zakupów w sklepie co dwa tygodnie). Ponieważ wtedy nie paliłem, więc taka kara nie była dla mnie zbyt dotkliwa.

Po tym, jak ostrzegłem Fijaka, przenieśli mnie do „tygrysówy", czyli do celi po drugiej stronie korytarza, gdzie siedzieli skazani na KS (kara śmierci). W założeniu byli to więźniowie niebezpieczni. Drzwi i okna tych cel miały dodatkową kratę od wewnątrz, stąd nazwa tych cel. Gdy wydawano posiłki po prawej stronie korytarza, to brało się miskę i stawało w drzwiach celi. Można było nawet wyjść na korytarz (choć to było wbrew regulaminowi, ale niektórzy klawisze na to zezwalali). W celach po lewej stronie było to niemożliwe, bo była ta dodatkowa krata od wewnątrz. Ja siedziałem z Heniem, kaesiakiem. Drugim był

kapuś, który pilnował Henia, aby ten sobie nic nie zrobił. Heniu bowiem uważał, że został skazany niewinnie i miał skłonności samobójcze.

Na „widzeniówce" opowiadał później znajomy więzień, że gdy Heniowi przyklepali w II instancji ten wyrok, to w czasie jedzenia wydłubał sobie do zupy łyżką jedno i drugie oko.

W 1983 nie było już moratorium na wykonywanie kar śmierci. Kiedy tam siedziałem, odbyły się co najmniej dwie egzekucje. Zabrali facetów z celi, która była obok mojej. W dniu egzekucji kolacja była o 15. Chodziło o to, aby opróżnić korytarze, bo cela z zapadnią, gdzie dokonywano egzekucji, była niedaleko pomieszczeń kuchennych. Wiadomość o tym rozchodziła się szybko po „getcie", bo więźniowie kryminalni porozumiewali się między sobą za pomocą stukania. Potwierdził to też kapuś, z którym razem siedzieliśmy w jednej celi.

Trzecim więźniem w „tygrysówie" był mężczyzna nazwiskiem Kowal, skazany za kolportaż bibuły. Był bardzo zastraszony i do wszystkiego się przyznał. Zupełnie się pogubił, jakby nie wiedział, gdzie jest. Jak dostał paczkę, to nie dzielił się z kaesiakami. Ja postępowałem inaczej. Gdy byłem „na getcie" i dostałem jedną paczkę, to powiedziałem: „Panowie, jedziemy teraz na tym samym wózku, chociaż siedzimy za co innego. Proszę sobie brać, kto na co ma ochotę. To jest do zjedzenia!". Byłem dla nich git-człowiek. Bardzo szybko proponowali mi czaj.

Ponieważ do tej celi przyszedłem ostatni, więc musiałem spać na betonie. Materac rozłożyłem sobie na podłodze. Na dzień go składałem i opierałem obok ściany. Sądzę, że zrobiono to celowo. SB wiedziała, że choruję na podagrę, bo jak mnie złapali, to miałem przy sobie lekarstwa. Lekarstwa mi zabrali przy zatrzymaniu. Gdy w „getcie" nie udało im się nic ze mnie wycisnąć za pomocą kapusiów, spróbowali wywrzeć na mnie presję poprzez moją chorobę. Spałem na betonie przez 6 tygodni. Wkrótce dostałem ostrego ataku podagry. Doszło do tego, że w ogóle nie mogłem się ruszać. Nie wychodziłem na spacery.

Wtedy zabrali Henia Kowala na badania, po czym umieścili go w innej celi. Został „kabel" i dokooptowali do nas Józefa Polaka. Polak lubił gadać i być może SB doszła do wniosku, że to on mnie sprowokuje do rozmowy. Mimo że Polak był poważnie chory, nie puszczano go do szpitala. Zaczął rozważać głodówkę. Powiedziałem mu: „No to, co ci pozostaje? Walnij głodówkę i cześć! Będę głodował z tobą!". I zgłosiliśmy oddziałowemu głodówkę. Na trzeci dzień klawisz nam zapowiedział: „będziecie karmieni!". Odpowiedziałem : „Trudno".

Wtedy pojawił się naczelnik więzienia – Zawada. Znałem go z pracy, bo mój zakład zatrudniał więźniów i do moich obowiązków należało kontaktowanie się w tej sprawie z naczelnikiem Monte. Zawada już wcześniej dał mi do zrozumienia, żebym nie liczył na żadne ulgi. Przedstawiłem mu nasze żądania. Władze ustąpiły i Józef Polak w wyniku naszej głodówki trafił do szpitala.

Natomiast, gdy idzie o mnie, to później się dowiedziałem, że w mojej sprawie interweniował także kardynał Macharski. Przysłali do mnie lekarza, który mnie zbadał i zaordynował mi zastrzyki. Powiedziałem: „Nie chcę żadnych zastrzyków, bo nie wiadomo, co mi w tych zastrzykach podacie. Proszę dać mi te lekarstwa, które miałem w torbie przy zatrzymaniu!". Nie dali jednak lekarstw, ale przenieśli mnie na drugą stronę korytarza, gdzie siedzieliśmy we dwóch z kapusiem. Tyle zyskałem, że przepisano mi dietę. Miałem więc codziennie bardzo dobry chleb i plastereczek mięsa na obiad (w piątek – gotowaną makrelę).

Gdy siedziałem „na getcie", to miałem jedno widzenie z żoną. Trwało ono 15 minut. W czasie rozmowy towarzyszyli nam esbek i strażnik.

Do szpitala trafiłem dopiero wtedy, gdy został wyznaczony termin mojej rozprawy. Wtedy się okazało, że mam nie tylko podagrę, ale także, że mam fatalne EKG. W szpitalu zostałem więc przez trzy miesiące – cały proces i resztę czasu, gdy byłem więziony na Monte.

W szpitalu było już łatwiej. Żona przekupywała strażnika (dawała mu pół litra wódki, a wódka była wtedy na kartki) i dostałem kilka paczek po 7-8 kg każda (wg regulaminu paczka mogła ważyć 3 kg). „Na getcie" było to nie do pomyślenia.

***

Stanisław Handzlik: *Po pobycie w „getcie" doszedłem do tego, że nie mogłem ufać sam sobie. Popadasz w rodzaj schizofrenii i przestajesz sam sobie ufać. Boisz się, żeby w nocy nic nie powiedzieć przez sen. Wytworzył się we mnie silny odruch obronny. Potem uświadomiłem sobie, że nie można tak żyć. Nie można nic nie mówić, nie można ciągle uważać na każde słowo, nie można w ogóle nie odpowiadać na pytania współwięźniów.*

Czy to się później śni po nocach? Minęło 30 lat i już na szczęście rzadko...

***

Wróćmy do relacji Marka Bika: *Poza „gettem", w „normalnej" części aresztu, skuteczna gra przy użyciu kapusiów była praktycznie niemożliwa – wiadomość o kapusiu rozchodziła się po celach błyskawicznie. Los takiego człowieka w zwykłej celi był nie do pozazdroszczenia. Kilka miesięcy później, gdy przyjechaliśmy do Raciborza (a był z nami w budzie kapuś, nie pamiętam jego nazwiska, powiedzmy, że „Jan Kowalski"), to gdy wyszedł na dziedziniec pierwszy więzień, który tam wysiadał, od razu głośno zawołał: „Jan Kowalski jest kapusiem!". I wtedy całe więzienie ożyło. Słychać było z cel wołania: „Dawać nam go tutaj!" Całe więzienie już czekało na kapusia Jana Kowalskiego, a Kowalski nie zdążył jeszcze nawet wysiąść z więźniarki! W celi nr 259 na Monte, gdy tam przyszedłem, też było dwóch kapusiów, ale zaraz mnie o tym ostrzeżono.*

Siedziałem w jednej celi razem z Witkiem Tosiem i Marianem Stachem, ale większość więźniów to byli kryminalni. Była duża rotacja i więźniowie kryminalni często się zmieniali. Z kryminalnymi nie mieliśmy specjalnych problemów. Większość to byli jacyś drobni przestępcy, ale zdarzali się także groźni bandyci.

Na przykład siedziałem ze Staśkiem ze Starego Sącza. Był oskarżony o spalenie 6 osób. Kiedyś grał w szachy z niejakim Jaworskim, który później został ponoć skazany na 15 lat więzienia za gwałt ze szczególnym okrucieństwem na nieletniej. Jaworski był jednym z konfidentów. W czasie gry Jaworski chciał cofnąć ruch. Stasiek tak się zdenerwował, że chwycił go za szyję, aż mu oczy wyszły na wierzch i krzyczał: „Co kurwa, sześć osób zajebałem, to myślisz, że ciebie nie zajebię?". Przez trzy lata śledztwa i procesu nie chciał się przyznać do popełnienia tej zbrodni, a przyznał się w czasie gry w szachy! Potem Jaworski zeznawał na procesie Staśka i opowiedział tę historię. Stasiek został ponoć skazany w procesie poszlakowym i zmarł w więzieniu.

W celi na trzecim oddziale rozmawiałem z Witkiem o grypsach. Nie bardzo było można porozmawiać swobodnie, bo mieliśmy w celi konfidentów. Nie stawiałem Witkowi zarzutów, tylko chciałem, aby potwierdził, że wysyłał do mnie grypsy. On to potwierdził. A ponadto twierdził, że otrzymywał także grypsy ode mnie, w których miałem go namawiać do tego, aby się przyznał. Ja mu powiedziałem, że takich grypsów do niego nie wysyłałem, ale Witek mi wtedy nie uwierzył. Nie chciał wierzyć także w to, że współwięźniowie, którzy proponowali mu usługi przesyłania grypsów, to byli konfidenci.

W więzieniu na porządku dziennym były samouszkodzenia. Na dzień dobry zobaczyłem, jak jeden ze współwięźniów wbijał sobie igłę w oko. Nie wiedziałem, o co chodzi, gdy on powiedział do mnie: „Przytrzymaj mi rękę!". Przytrzymałem mu przy ścianie rękę, w której trzymał igłę, a on nabił sobie na nią oko. Chciał trafić do szpitala okulistycznego na

zewnątrz więzienia, w Witkowicach (w szpitalu więziennym nie było oddziału okulistycznego). Takich wypadków w więzieniu było więcej.

Gdy przenieśli mnie na III oddział, zaczęły się paczki i było łatwiej, gdy idzie o jedzenie. Dostałem paczkę z kurii. Rzeczami z paczki nie dzieliło się z każdym z celi, zwłaszcza później, w więzieniu, gdy siedziałem w celach 20-osobowych.

W więzieniu jest system męskiej przyjaźni, bez żadnych podtekstów seksualnych. O osobach, które są w ten sposób związane ze sobą, mówi się, że się „funflują". Na przykład na Monte miałem w celi trzech „funfli". Jednym z nich był Robert, cinkciarz. Był to młody chłopak, jeden z dwóch charakterystycznych bliźniaków, którzy handlowali walutą na linii A-B. Siedział za to, że zdemolował i podpalił klub „Oczko – 21" na rogu placu Biskupiego i ul. Łobzowskiej, co wiązało się z jakimiś porachunkami w tym środowisku. Drugim był jakiś chłopak złapany na demonstracji 31 sierpnia 1982. Nie był związany z opozycją, ale rzucał kamieniami. Gdy poszedł się za róg wysikać, to go złapali, a ponieważ miał ręce jeszcze brudne od kamieni, to dostał trzy lata. Trzecim był mój sąsiad z kamienicy, którego zamknęli za kolportaż ulotek, Andrzej Witwinowski.

Dzięki temu Robertowi poznałem potem lepiej środowisko cinkciarzy...

Byli też w celi ludzie, z którymi nie utrzymywało się stosunków. Na przykład tacy, którzy okradali współwięźniów.

Przed więzieniem prawie w ogóle nie paliłem, ale w więzieniu konfidenci mieli zawsze dużo papierosów i mnie ciągle częstowali. Pod ich wpływem zacząłem wtedy palić bardzo dużo. Była to też jakaś metoda radzenia sobie z napięciem nerwowym. Po wyroku miałem bardzo dużo papierosów i mogłem częstować innych. Położyłem raz rozpieczętowaną paczkę Klubowych na stole, a po pewnym czasie zauważyłem, że zniknęły. Powiedziałem głośno: „Nie ma moich fajek". Współwięźniowie chcieli się upewnić: „Na pewno?". Sprawdziłem za poduszką, gdzie miałem schowany zapas papierosów – nie było. Powiedziałem: „Nie ma!". Sprawa była poważna, bo papieros w więzieniu jest walutą. A w tym czasie było o nie trudno. Na wolności, na kartki, przysługiwało 12 paczek papierosów miesięcznie. Więc palacze musieli „kombinować", zwłaszcza w więzieniu. Zapowiedziałem, że nie będę częstował innych papierosami, dopóki się ta paczka nie znajdzie. A w tym czasie w celi nikt inny nie miał papierosów, tylko ja. Do wieczora zapaliłem papierosa tylko ja, Robert i ktoś jeszcze, kogo poczęstowałem, a na noc nikomu papierosa nie dałem i sam też nie zapaliłem. Wszyscy położyli się spać, nastała cisza, ale nikt nie spał. I nagle dało się wyczuć zapach tytoniu i zobaczyć smugi dymu. Nade mną spał Cygan. Słyszałem, jak ktoś się skrada i nagle usłyszałem huk. Ktoś go zrzucił na podłogę i kilku więźniów zaczęło go kopać. Wprawdzie bosymi stopami, ale jednak musiało go porządnie boleć. Podnieśli materac i pod materacem znaleźli tę paczkę. I potem już Cygan nie dostawał papierosów w ogóle.

Oddziałowym na trójce był człowiek nazwiskiem Żurek, bardzo złośliwy wobec więźniów. Gdy byłem na drugim widzeniu, przez siatkę (bo pierwsze widzenie miałem przez ściankę z pleksi i przez słuchawkę – bezkontaktowe) matka podała mi kilka papierosów przez oczko w siatce. Otóż, Żurek po widzeniu zrobił mi rewizję, zabrał mi te papierosy i powiedział: „Muszę sprawdzić, czy tam nie ma grypsów". Wziął nóż i poszatkował mi te papierosy tak, jak się kroi cebulę. Potem powiedział mi: „Teraz możesz sobie je zabrać!". Ja mu odpowiedziałem: „To ty sobie je weź!" i zrzuciłem mu te papierosy na podłogę. Myślałem, że jest po sprawie i poszedłem do celi. Ale wieczorem Żurek wywołał mnie z celi już po apelu. Na korytarzu było jeszcze dwóch funkcjonariuszy. Kazał mi skakać żabkami. Odmówiłem i wtedy kazali mi się rozebrać i wepchnęli mnie do celi dźwiękochłonnej. To jest cela w celi. Nie ma tam łóżka ani krzesła – prostopadłościan, którego podstawa

miała wymiary mniej więcej 2 na 3 metry i dwa metry wysokości. Człowiek jest jakby zamknięty w windzie. Ma świadomość, że choćby nie wiem jak krzyczał, to nikt go nie usłyszy. Można siedzieć w kucki, ale jest zimno. Można chodzić, a właściwie miotać się jak w ciasnej klatce. Z boku jest okno, przez które klawisz może cały czas więźnia obserwować. Nie wiem, ile godzin tam byłem. Potraktowałem to jako kolejne więzienne doświadczenie.

***

Monotonię więziennego życia na Monte dobrze oddają zachowane zapiski Andrzeja Załuskiego, spisane na gorąco w więzieniu (w nawisach kwadratowych dzisiejsze komentarze autora):

20 lipca: 8.00 – wyjazd na badanie w szpitalu wojskowym. 14.00 – powrót [ze szpitala], zostałem przeniesiony karnie z celi 233 (oddział III) do celi 136 (oddział II) [za śpiewanie patriotycznych pieśni w celi].

21 lipca: kipisz z „wycieczką" UFO [tak nazywaliśmy w więzieniu atandę służby więziennej przypominającą ZOMO]. Na spacerniku oglądają nas nowi funkcjonariusze – młodzi chłopcy wystraszeni bardziej niż my. Po obiedzie wizyta u naczelnika i rozmowa nt. 13 lipca [cały czas chodzi o śpiewanie pieśni patriotycznych]. Potem wizyta pedagoga, „Kojaka" [tak go przezywaliśmy, bo zdaje się, że był łysy] w celu zapoznania swoich podopiecznych.

22 lipca: na tramwajach flagi [musiałem gdzieś jechać na miasto]. Już 50 dni bez widzenia, a Malina mówił, że nie robi żadnych trudności. Ciekawe co się dzieje na wolności. Pierwszy dzień ponad setkę w więzieniu. Ciekawe ile jeszcze?

23 lipca: listy od mamy i od wujka z Warszawy. Jak dotąd to najszybsze listy, jakie dostałem, bo z 19 lipca. „Kojak" pożyczył nam gazety. Wody na herbatę dalej nie dają.

24 lipca: kąpiel na II oddziale [mieliśmy kąpiel co trzeci dzień]. Korespondencja z radiowęzłem [mam bardzo dobre zdanie o człowieku, który go prowadził; były tam bardzo ciekawe audycje, a poza tym dbał o to, abyśmy dostawali świeże gazety].

25 lipca: napisałem list do mamy (to już siódmy list, mam nadzieję, że więcej już nie będę musiał pisać!). Aktu oskarżenia dalej nie ma. To już 18 dni od zakończenia śledztwa. „Belfegor" [tak przezywaliśmy jednego z klawiszy, co nawiązywało do popularnego filmu „Belfegor – upiór z Luwru"] dał nam wody bez proszenia.

26 lipca: i znów u siebie, na 233! Triumfalny powrót na III oddział. Według słów Żurka [jeden z najostrzejszych oddziałowych, szczególnie nielubiany przez więźniów], wysilał się, żeby już się z nami nie spotkać. „Rudy" [Godula – jeden z klawiszy „na getcie"] dał nam na pożegnanie chleb. Na pół godziny dali nas na przejściówkę (cela nr 243), potem na swoje. Szybko zrobiono nam wypiskę. Mieliśmy dwa spacery: jeden na dwójce i jeden na trójce [chodzi o numery oddziałów]. Odwiedził nas wychowawca. Skończyła się izolacja.

27 lipca: obok komentarza „Uszatka" [tak przezywaliśmy Urbana, z uwagi na odstające, duże uszy] do przemówienia Reagana, nic ciekawego. Komentarz był wybitnie „uszatkowaty". Przynajmniej dowiedzieliśmy się, co mówił Reagan. Józek dostał paczkę od mamy. „Żur" wszedł do celi, pytając o Józka, a Józek na III piętrze. „Żur" się ucieszył i dał do wyboru wrzątek lub ...[nieczytelne słowo]. Wybraliśmy oczywiście brak wrzątku. Nawiasem mówiąc, przyniósł jednak trochę.

29 lipca: był mój adwokat. Powiedział, że „na sprawie" [czyli na rozprawie w sądzie] będzie jego zastępca i że może nie być mamy. Zatrzymali w sądzie mój list do mamy. Ciekawe, do czego się przyczepili. Dostałem paczkę. Akt oskarżenia w sądzie zaginął [!].

30 lipca: Józek miał widzenie z siostrą.

31 lipca: musieli naprawić siatkę [osłaniającą okno w celi] i przenieśli nas na 220 („tygrysówa"). Wymiana książek. Kaowiec przyniósł nam „Tygodnik Powszechny".

1 sierpnia: Wysłałem list do mamy (nr 8). W nim tylko i wyłącznie wiersz „Przekonanie" z Tygodnika Powszechnego z 1 sierpnia. Żurek zabrał podczas mszy świeczki. Staszek mu przygadał. Po południu Żurek przyszedł i powiedział Szenderze: „Ten zły człowiek ci wodę przyniósł".

2 sierpnia: Janka i Tadka [z WSW Andrychów] wywieźli do Ruszczy, a potem wszystkich nas trzech (czyli Staszka, Józka i mnie) przenieśli na 207 (to już moja trzecia cela na III oddziale, na II oddziale też miałem trzy cele – 118, 116, 120).

3 sierpnia: O 6 po południu dostałem akt oskarżenia.

4 sierpnia: Rozmowa z wychowawcą o kapelanie. Trzech kolegów wróciło z kabaryny. W niedziele odmówili posiłku. Przyleciał Kaligula z naczelnikiem. Dwóch dostało 7 dni kabaryny, jeden dostał 14 dni. Dzisiaj naczelnik z wielką ulgą na ich prośbę zmienił zarządzenie i ich z kabaryny wycofał. Miałem dzisiaj dyżur w celi.

6 sierpnia: Dowiedziałem się, że Tatarynowicz (na dwójce) był konfidentem. Już wiem, którzy „towarzysze" wiedzieli i korzystali z sytuacji.

***

Fragment wiersza „Przekonania" Kornela Filipowicza, opublikowanego w „Tygodniku Powszechnym" nr 31 z 1 sierpnia 1982 roku:

Moje przekonania odporne są na zniszczenie
Na ścieranie zginanie ściskanie i bicie
Na kwasy i zasady
Na temperatury wysokie i niskie
Odporne są także na cudze słowa a nawet szyderstwa
Tak nawet na szyderstwa
Bo gdy ktoś z moich przekonań szydzi
Nie niszczy ich i nie osłabia
Umacnia je tylko we mnie
(…)
Jestem człowiekiem prostym
Trwałości moich przekonań
Nie zawdzięczam wielkiej wiedzy ani wysokiemu morale
Raczej tylko uporowi i nadziei.

***

Jedną z najjaśniejszych postaci na Monte był wspomniany już Andrzej Kręcioch. Wielu aresztantów pamięta do dziś jego pozytywistyczną pracę w areszcie, postawę, która w tym trudnym okresie dawała im nadzieję i ułatwiała przetrwanie trudnych chwil. Jego relacja pokazuje, że podział na my i oni, nawet w takim miejscu jak Monte, czasami się zacierał. *Na Monte zacząłem pracować w 1979 roku. W 1982 byłem ciągle jeszcze młodym podporucznikiem. Byłem zatrudniony jako wychowawca kulturalno-oświatowy, ale faktycznie ciągnąłem dwa etaty, bo byłem także bibliotekarzem. Moja praca obejmowała cały areszt śledczy. Przed zatrudnieniem na Monte byłem zawodowym bibliotekarzem i historykiem równocześnie (na Monte przyszedłem z Biblioteki Wojewódzkiej).*

Uruchomiłem bibliotekę w areszcie śledczym. Zastałem stalinowski chłam, ale stopniowo udało mi się zgromadzić duży księgozbiór. Przez znajomości w antykwariatach

i księgarniach zdobywałem wspaniałe książki. Jak była drakońska podwyżka cen w 1982, to miałem prawdziwe łowy na dobre rzeczy. Czasami trafiały się prawdziwe „białe kruki".

Biblioteka główna była na I piętrze. Gdy szedłem „na getto", to zabierałem ze sobą tzw. tragę. To był duży wózek (nazywany też „Batorym"), na którym mieściło się ok. 180 książek. Z tym wózkiem jeździłem od celi do celi. Klawisz otwierał i wypuszczał 2-3 osoby. I w jego obecności mogłem więźniom polecać książki. Książki dobierałem, wiedząc, że „na getcie" po prawej siedzą polityczni, a po lewej – więźniowie niebezpieczni. Potem wygospodarowano jeden pokoik „na getcie" (po lewej stronie, przed drugą kratą), gdzie był punkt biblioteczny, a mnie powoli zaczęto odsuwać od kontaktów z więźniami.

W ciągu dnia dyżur w radiowęźle mieli wybrani więźniowie. To byli zwykle bardzo inteligentni ludzie. W tym czasie z reguły była retransmisja Pierwszego lub Trzeciego programu Polskiego Radia. Były naciski z góry, żeby puszczać Program I (szczególnie dziennik po godzinie 12). Woleliśmy „trójkę", np. „Powtórkę z rozrywki" o 13.10. Co najmniej raz lub dwa razy w tygodniu miałem dyżur popołudniowy, wtedy brałem mikrofon i leciałem na żywo. Gdy mnie nie było, to zastępowali mnie więźniowie pracujący w radiowęźle. Oni puszczali zwykle jakieś łzawe piosenki. Mieliśmy własną listę przebojów. Robiłem cykl audycji „Z kalendarza historycznego" – od konfederacji barskiej do 1945 roku. Dużo opowiadałem o Piłsudskim, o roku 1920. Wcześniej pisałem konspekt, który zatwierdzał naczelnik. Tam było zwykle 5 punktów. Było napisane, że będziemy mówić np. o Powstaniu Kościuszkowskim, jeszcze o czymś, będą puszczane piosenki, będzie jakiś kabaret i jakaś audycja wychowawcza. Z kabaretów szły np.: „Pod Egidą", „Elita", „Salon niezależnych", niektóre piosenki Kaczmarskiego („Murów" nie puszczałem, bo to by było znęcanie się nad więźniami), niektóre piosenki z festiwalu „Solidarności" z hali Oliwii. Miałem kasetę z Łupkowa, którą nagrali internowani, nawet z niej puszczałem niektóre rzeczy – nie te wprost przeciw komunie. Moje audycje były nadawane po dzienniku radiowym o godzinie 19, który był obrzydliwy, i po apelu. Do 21, kiedy następował capstrzyk, był spokój i wtedy puszczałem te audycje. Trwało to około 45 minut. Myślę, że te wieczorne audycje były dla więźniów atrakcyjne i dawały im wytchnienie. Wszystkie należało nagrywać, tak aby potem przełożeni mogli sprawdzić, co było emitowane. Ale czasami działałem na wariackich papierach.

Na pierwszym piętrze były gabinety dyrektorów. Kazano mi tam zrobić dekoracje: „Wymyśl coś!". Zrobiłem gazetkę ścienna o udziale Polaków w II wojnie światowej. Powiesiłem tam wiersz „Virtuti Militari" z tomu poezji „Azja – Afryka", wydanego w Palestynie 1943 roku: „Nie walczymy tylko o zwycięstwo. Jeżeli zwycięstwo nie może być dane, walczymy o prawo. Choćby o prawo pójścia pod ścianę". Dopiero po kilku latach kazano mi to zdjąć.

17 grudnia 1981 (po „Wujku") wściekłem się. Poszedłem do pokoju komendantów i powiedziałem: „Z mordercami nie chcę mieć nic wspólnego!". Odkleiłem zdjęcie i oddałem im legitymację partyjną. Potem się dowiedziałem, że pod wpływem Macieja Szaszkiewicza i Włodzimierza Skirlińskiego [szefa całej ochrony wewnętrznej aresztu] *ta legitymacja przeleżała w sejfie coś koło roku i nie zrobili z tego afery. A po roku wezwał mnie naczelnik i powiedział: „Panie poruczniku! Nie może tak być, że oficer Służby Więziennej nie jest partyjny. Albo albo. Albo pan przyjmie tę legitymację, albo pana zwalniamy". Wziąłem ją z powrotem i oficjalnie dalej należałem do PZPR. W tym współpracowałem już z Kurią Krakowską i przekazywałem jej nazwiska więźniów politycznych z Monte. Dwa razy w tygodniu chodziłem z piętra do piętra i obstawiałem klawiszy – stałem z kluczami przy kracie, a tamci chodzili od celi do celi. Miałem około 15 minut, aby przejrzeć wszystkie tzw. celówki – małe karteczki z imieniem i nazwiskiem więźnia oraz z zarzutem. Spisywałem tylko nazwiska tych, którzy mieli zarzut z dekretu o stanie wojennym*

(a więc zarzut polityczny). Polityczni siedzieli nie tylko „na getcie", ale także na innych oddziałach. Najpierw to przekazywałem do Franciszkanów (miałem tam znajomego księdza Alana, któremu ten spis wkładałem do szuflady), a potem żona to zanosiła do kurii, nie wiem komu. W końcu przekazywaliśmy spisy Elżbiecie Turnau, od której braliśmy też bibułę. W 1982 to było około 50 nazwisk. Współpracowałem też z podziemnym pismem „Mała Polska" – pisałem tam artykuły historyczne.

W 1982 lub 1983 roku kazano mi przeprowadzić szkolenie polityczne dla funkcjonariuszy SW. Wziąłem książki Moczulskiego („Rewolucja bez rewolucji") i Kuronia („Pesymizm błędnych tez"). Jeszcze nie skończyłem, jak jeden z komendantów poleciał do naczelnika Zawady i naskarżył na mnie. I od tego czasu miałem spokój ze szkoleniami. Przykład ten dowodzi, że niektórzy komendanci donosili także na funkcjonariuszy Służby Więziennej.

Były jednak granice tolerancji naczelnika. Pamiętam, że Edward Nowak napisał w 1982 roku artykuł (chyba o polskich konstytucjach) do radiowęzła. Zaniosłem to do naczelnika, żeby zatwierdził. Odmówił: „Czyś ty zwariował?!". Ale pamiętam, że gdzieś tak około 1985 r. to zaczął pożyczać ode mnie bibułę do poczytania. Z drugiej strony, mniej więcej w tym czasie zaczęli mnie odsuwać od wielu spraw w więzieniu. Byłem wtedy objęty sprawą operacyjnego rozpoznania. Podejrzewali mnie, że jestem szefem „Małej Polski".

Pewną ochronę na Monte zapewniał mi Andrzej Popiołek, który w 1982 lub 1983 roku został zastępcą naczelnika więzienia. Może uważał, że to jest wentyl bezpieczeństwa? Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Czasami koledzy ze służby mówili mi: „Fajną audycję dzisiaj miałeś!". Z władz więzienia nikt nigdy nie zwrócił mi uwagi na to, co nadaję.

***

Czy można dziś ustalić tożsamość tajnego współpracownika celnego SB o pseudonimie „Hiszpan"?

Podjęliśmy taką próbę. Zebraliśmy wszystkie informacje o „Hiszpanie" uzyskane od więźniów, którzy siedzieli na Monte i wyczytane z materiałów SB.

Pierwsza wypłata z Funduszu „O" dla „Hiszpana" jest zaksięgowana pod datą 29 marca 1982 roku, co wskazuje, że w tym czasie został pozyskany jako TWC. Jest to ostatnie wynagrodzenie dla więziennych OZI zaksięgowane w tym miesiącu, a wszystkie wpisy wykonywała jedna osoba w tym samym czasie (na co wskazuje jednakowy kolor długopisu oraz jednakowy charakter pisma). Sprawozdanie sporządzono 6 kwietnia 1982 roku, a więc zakładając, że pieniądze zostały pobrane zaliczkowo i ex post zaksięgowane na konto „Hiszpana", aby wykorzystać miesięczny czy kwartalny limit, to „Hiszpan" musiał zostać zwerbowany przed 6 kwietnia 1982 roku. Ostatnia wypłata dla „Hiszpana" nosi datę 24 grudnia 1981 roku. Każda wypłata dla niego ma miejsce pod koniec miesiąca i stanowi jakby miesięczne wynagrodzenie. Dlatego możliwe jest, że opuścił areszt w grudniu, przed 24, a tylko zgłosił się wtedy po miesięczną wypłatę. Brak późniejszych wypłat wskazuje, że po grudniu 1982 roku współpraca TWC „Hiszpana" z SB ustała. Być może współpracował dalej, ale pod innym pseudonimem i nie jako agent celny (jeżeli wyszedł na wolność, mógł współpracować jako TW pod innym pseudonimem).

Pierwsze znane nam raporty „Hiszpana" noszą daty 17, 18, 19 i 20 maja 1982 roku i dotyczą Grudniewicza, z którym „Hiszpan" w tym czasie przebywa w jednej celi w „getcie". Grudniewicz podaje, że siedział z tym więźniem mniej więcej dwa tygodnie, a więc do końca maja. Kolejne meldunki „Hiszpana" mają daty: 2, 4, 5, 7, 8, 9, 10 i 11 lipca i dotyczą Tosia, z którym „Hiszpan" w tym czasie siedział w jednej celi. W jednym z donosów, „Hiszpan" melduje, że siedzi z Tosiem od 30 czerwca 1982 roku (a więc przez pierwsze

dni pobytu Tosia w areszcie). „Hiszpan" siedział następnie kilka dni z Bikiem, ale szybko został przez niego zdemaskowany. Nie wiemy, z kim siedział „Hiszpan" od końca marca do 17 maja, od końca maja do 30 czerwca oraz od połowy lipca do grudnia 1982 roku.

Z akt SB lub z meldunków samego „Hiszpana" wynika, że na Monte siedział w jednej celi nie tylko z Wiesławem Grudniewiczem i Witoldem Tosiem, ale także z Bogdanem Głowackim, Witoldem Tukałłą i Markiem Bikiem. Nie znaleźliśmy jednak w aktach donosów „Hiszpana" na ich temat, co jest zapewne wynikiem niekompletności akt.

Grudniewicz przypomniał sobie, że więzień, który później okazał się „Hiszpanem", opowiadał mu w celi, że jest Czechosłowakiem związanym z tamtejszą opozycją.

Grudniewicz: *Więzień, przez którego wysyłałem grypsy z „getta" był Słowakiem albo Czechem. Mówił dobrze po polsku. Na tyle dobrze, że mógł uchodzić za Polaka. Miał mnie nawet w celi uczyć swojego języka, ale w końcu nie zdążył, chociaż siedzieliśmy razem ze dwa tygodnie. Mówił, że był z Karty 77 i że ma jakąś dziewczynę w Krakowie. Rozmawialiśmy o różnych sprawach. Najpierw on opowiadał o sobie i o swojej działalności, potem ja opowiadałem, jak wpadłem i co robiłem.*

Nie pamiętam, jak to technicznie wyglądało z moim grypsem, który miał niby przekazać na zewnątrz. Mówił, że ma takie możliwości. Potem powiedział, że ma rozprawę, wzięli go i już do mnie nie wrócił. Głowacki siedział z tym samym Czechosłowakiem, o czym powiedział mi już w więzieniu.

Głowacki: *Na Monte zaraz na początku siedziałem przez pewien czas z jakimś gościem, który mówił, że jest Czechem. Z rozmowy wynikało, że mieszkał w Ostrawie. Gdy opowiadałem mu o mojej podróży pociągiem z Czeskiego Cieszyna do Pragi w roku 1979 lub 1980, to on zwrócił mi uwagę, że z okien pociągu widać hutę w Ostrawie, obok której mieszkał. Miał działać w Karcie 77 i przyjechać do Polski, aby zebrać nasze doświadczenia i wykorzystać je u siebie. Przeszedł do Polski przez zieloną granicę. Na Mogilskiej esbek miał mu powiedzieć: „Nikt nie wie, że jesteś w Polsce. Dostaniesz w łeb i nikt nie będzie o tobie wiedział". Mieli go też straszyć pistoletem i grozić, że go wyrzucą przez okno (a przesłuchiwali go chyba na 10. piętrze). Na pewno to nie był Polak. Mówił z lekkim czeskim akcentem. Moim zdaniem naprawdę był Czechem. Wyższy ode mnie, w średnim wieku, szatyn. Do więzienia do Wrocławia z nami już nie pojechał.*

Grudniewicz opowiada, że „Hiszpana" zabrali, gdy zorientował się, że on jest konfidentem. Wtedy trafił do niego kolejny więzień (oczywiście, również agent), który wypytywał go o tego poprzedniego. Gdy Grudniewicz powiedział mu, że ten poprzedni był Czechosłowakiem i że był prawdopodobnie kapusiem, ten nowy więzień podszedł do kraty i krzyknął: „Czech jest kapuś!". Prawdopodobnie w ten sposób chciał natychmiast uprzedzić SB o dekonspiracji agenta – Czecha i to spowodowało, że ani Tukałło, ani Bik nie wiedzą, że siedzieli w celi z Czechem. Po prostu „Hiszpan" nie mówił im, że jest Czechosłowakiem, tylko przedstawił im inną „legendę", a ponieważ dobrze mówił po polsku, ci nie zorientowali się, że siedzą z obywatelem CSRS. Tosiowi i Bikowi „Hiszpan" przedstawił się tym samym imieniem – „Włodek". Bik dobrze pamięta, że „Włodek" mówił z charakterystycznym akcentem, który wziął za język knajacki, a być może była to wymowa polskich słów przez Czechosłowaka. „Włodek" charakterystycznie wymawiał np. słowa „wiesz" albo „rozumiesz" – miękko, jakby „wieś" i „rozumieś".

Bik dobrze też pamięta, że „Włodek" miał problemy z kręgosłupem i dlatego zaraz jak przyszedł do celi, to zażądał najniższego łóżka, choć, skoro trafił do celi jako ostatni, to zgodnie z obyczajem więziennym przysługiwało mu łóżko, które było wolne (zwykle to położone najwyżej). Bik pamięta też, że „Włodek" miał częściowy paraliż policzka.

Zapamiętał także jego pogardliwy, chamski stosunek do kobiet. Kiedyś w nocy opowiadał z rozbawieniem, jak klęcząc na kobiecie, oddał mocz na jej plecy.

Na podstawie relacji wszystkich, którzy byli w jednej celi z „Hiszpanem", można też zrekonstruować jego wygląd: szczupły, zabiedzony, ciemne włosy, wzrost 175-178 cm. Przez pewien czas nosił krótką brodę. Jego raporty są napisane nieporadnym językiem. Te, które się zachowały w oryginale, są napisane przez funkcjonariusza na maszynie i jedynie podpisane ręcznie (podpis, niestety, bardzo słabo czytelny).

Nie udało nam się ustalić jednoznacznie, ponad wszelka wątpliwość, kim był „Hiszpan" – agent, który bardzo pomógł SB rozpracować krakowską KPN w 1982 roku, przyczynił się do skazania Grudniewicza, Głowackiego, Tosia i Bika, człowiek, który pobił w celi do nieprzytomności Marka Bika. Staramy się jednak przedstawić wszystkie informacje na ten temat, jakie zdobyliśmy.

Jiri Vavrušák

Próbując ustalić tożsamość „Hiszpana", szukaliśmy śladów obecności w Krakowie, w roku 1982, Czechosłowaków mających jakikolwiek związek z opozycją czy subkulturami. Ustaliliśmy, że było ich co najmniej czterech. Dwóch z nich nie angażowało się w politykę, byli czechosłowackimi hipisami – Richard Němčok z Ostrawy i Kotouček z Mostu (niestety, nasi rozmówcy nie pamiętają jego imienia). Pozostali dwaj interesowali się polityką i byli tu znani jako współpracownicy Karty 77. Była już o nich mowa w I tomie naszej pracy, w którym znalazła się wypowiedź Stanisława Tatary: *W październiku* [1981] *odbyło się zebranie KOWzaP w PRK-9 przy al. Dzierżyńskiego (obecnie Lea), gdzie szefem KZ „Solidarności" był Jan Pacula. Obecni na nim byli, jako obserwatorzy, przedstawiciele opozycji z Czechosłowacji.*

Nie znaliśmy ich nazwisk. Świadkowie mówili, że nikt wtedy o nazwiska nie pytał, zwłaszcza obywateli CSRS, którym za wspieranie „Solidarności" groziły poważne represje.

Szukając „Hiszpana", pojechaliśmy do Aresztu Śledczego w Krakowie przy ul. Montelupich, gdzie zachowała się „Księga ruchu", w której wpisywano dane przyjmowanych do aresztu. Przejrzeliśmy ogromny tom tej ewidencji za rok 1982, szukając imion i nazwisk, które mogłyby pasować do obywateli Czechosłowacji. Pod datą 18 maja 1982 r. figuruje „Jiri Stanislav". W rubryce „uwagi" jest adnotacja, że został wpisany drugi raz, jako Jiri Vavrušák pod innym numerem ewidencyjnym i pod inną datą (16 czerwca 1982). Przy tym drugim wpisie w rubryce „uwagi" zapisano, że wpis anulowano, gdyż Jiri Vavrušák został wpisany wcześniej pod innym numerem. Rzeczywiście, kilka linijek wyżej jest trzeci już wpis Jiriego Vavrušáka, tym razem bez daty, z adnotacją, że został zwolniony z tymczasowego aresztu 15 grudnia 1982. Pod datą 18 maja 1982 r. figuruje też Milan Rajdoš, jako osoba przyjęta do aresztu śledczego. Zwolniono go 10 listopada tego roku.

Przeglądając księgi ewidencyjne aresztu milicyjnego przy ul. Mogilskiej, nie znaleźliśmy ani Jerzego Vavrušáka, ani człowieka oznaczonego jako „Jiri Stanislav". Figurował tam natomiast „Jan Kwiatkowski", zatrzymany 30 marca 1982 roku. Jak później się okazało, był to Vavrušák. 18 maja (jeśli wierzyć zapisom ewidencyjnym) wypisano go z aresztu na Mogilskiej jako Jana Kwiatkowskiego i tego samego dnia przyjęto go do aresztu na Monte jako Jirziego Stanislava.

Zapoznaliśmy się z aktami więziennymi obu Czechosłowaków, w których są dokładne ich rysopisy. Nie sposób ich ze sobą pomylić, choć obaj mają ciemne włosy. Rajdoš (ur. w 1957) jest młodszy o 9 lat od Vavrušáka (który urodził się w 1948, choć po zatrzymaniu podawał także jako lata urodzenia: 1947 i 1949). Rajdoš był dobrze zbudowany. Vavrušák był chudy, w momencie zatrzymania ważył zaledwie 58 kilogramów. Rajdoš był wyższy od Vavrušáka o 7 cm (Vavrušák ma 178 cm wzrostu). Później dowiedzieliśmy się, że Rajdoš słabo mówił po polsku (teraz mówi bardzo słabo), Vavrušák mówił po polsku bardzo dobrze (również dziś swobodnie posługuje się tym językiem).

Nazwisko żadnego z nich nie figuruje na internetowych listach uczestników Karty 77. Żaden z nich nie figuruje także w czeskim Archiwum Sił Bezpieczeństwa, a w słowackim Instytucie Pamięci Narodowej (UPN) są jedynie dokumenty dotyczące Milana Rajdoša z Koszyc, tzw. akta przesłuchań (Sygnatura: KE V, nr 5652). Pracownicy UPN w rozmowach z nami podkreślali, że nie chodzi o akta agenta, lecz osoby rozpracowywanej. Brak zapisów odnośnie Jerzego Vavrušáka w archiwach czechosłowackiej Służby Bezpieczeństwa (StB) jest bardzo dziwny, bo w 1982 r. został on skazany w PRL na 1,5 roku więzienia, a zgodnie z jego relacją, po deportowaniu do CSRS był przesłuchiwany i więziony.

Dotarliśmy do nich obu.

Milan Rajdoš mieszka w pobliżu Koszyc. Przedstawił nam krótko swoją historię. Przyjechał do Polski na paszport, legalnie. Było to w kwietniu 1981 roku. W Koszycach miał kontakt z Kartą 77. W ramach tego środowiska brał udział w różnych spotkaniach, na których dyskutowano o tym, co się dzieje w Polsce, czy na Zachodzie. Ale centrum Karty było w Czechach. Na Słowacji była tylko kolportowana literatura. To były początki, wszyscy się bali. Dlatego chciał zobaczyć, co się dzieje w Polsce. Chciał to poznać i zrozumieć, by coś podobnego zorganizować w Czechosłowacji.

Gdy wyjeżdżał z Koszyc, nie wiedział, że Vavrušák jest w Polsce. Nie znał go wcześniej i nie podróżował razem z nim. Dopiero tu dowiedział się przez osobę trzecią, że jest w Polsce też inny Czechosłowak obracający się w kręgach „Solidarności". Spotkali się pod koniec 1981 roku w Krakowie.

W Polsce był w kilku miastach: w Częstochowie, Warszawie, Gdańsku, Gdyni, Wrocławiu (gdzie miał znajomych). Spotykał się z Bujakiem i z innymi jeszcze działaczami „Solidarności".

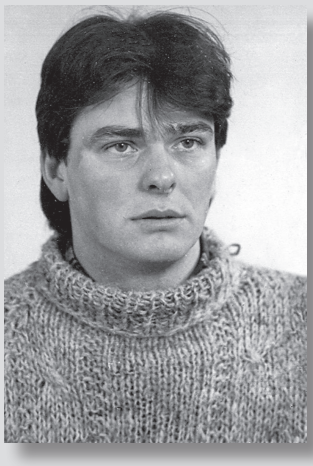
Gdy nastał stan wojenny, brał udział w różnych działaniach – w drukowaniu i w kolportażu. Załatwił sobie wizę do Francji, ale zanim zdążył wyjechać, wpadł w ręce SB. Było to w maju 1982 roku.

Najpierw siedział przy Mogilskiej, potem trafił na Montelupich. Po kilku dniach wylądował w celi z Vavrušákiem. Razem siedzieli kilka dni. Obaj Czechosłowacy mieli świadomość, że w celach mógł być podsłuch, więc rozmawiali głównie na migi. Rajdoš dostał od Vavrušáka kilka kontaktów i adresów. Vavrušák powiedział Rajdošowi, że po aresztowaniu znaleźli przy nim adresy i nazwiska ludzi, którzy działali w opozycji, i z tego powodu ci ludzie mogli mieć duże problemy. W celi Rajdoš zauważył, że Vavrušák ma przy sobie małe urządzenie, które ukrywał. To wyglądało jak miniaturo-

we radio lub magnetofon. Rajdoš później miał jeszcze w więzieniu pośredni kontakt z Vavrušákiem – przekazywali sobie informacje np. przez fryzjera. Rajdoš ma świadomość, że tam było dużo konfidentów, zwłaszcza wśród więźniów funkcyjnych, więc nie wie, czy te informacje, które otrzymywał przez pośrednika, rzeczywiście pochodziły od Vavrušáka.

10 listopada 1982 roku wyszedł z więzienia. Władze PRL nakazały mu wyjazd z Polski. Dostał na to tydzień. W Czechosłowacji zatrzymali go, przesłuchiwali i zabrali mu paszport. Po wypuszczeniu był często śledzony i nachodzony przez bezpiekę.

W Czechosłowacji Vavrušák starał się skontaktować z Rajdošem, ale Rajdoš unikał z nim kontaktu, nie ufał mu.



Milan Rajdos. Przyjechał do PRL legalnie w kwietniu 1981 r. W Koszycach miał kontakt z Kartą 77. W tym środowisku brał udział w różnych spotkaniach, na których dyskutowano także o sytuacji w Polsce. To były początki, wszyscy się bali. Chciał zobaczyć co się dzieje u nas naprawdę po Sierpniu. Chciał to poznać i zrozumieć, żeby podobny ruch organizować w Czechosłowacji. Fot. SB

Usiłowaliśmy zweryfikować tę historię.

Kontakt z Rajdošem w 1982 roku miał Marek Lasota, wówczas student UJ i działacz podziemnego NZS: *To było tuż po 13 grudnia. „Dekowałem się" przez tydzień-dwa w mieszkaniu przy ul. Smolki, gdzie przemieszkiwał Milan. Wysoki, wysportowany, kobietom pewnie bardzo się podobał. Sympatyczny facet, lubiący zabawę, ostro pijący. To nie był typ intelektualisty, ale był oczytany. Po polsku mówił dość swobodnie. Opowiadał, że coś studiował w Czechosłowacji. Był w naszym wieku. Mówił, jeżeli dobrze pamiętam, że tam mieszkał w Koszycach. Przyjechał do nas przed stanem wojennym, później nie chciał wracać do Czechosłowacji. Mówił, że przyjechał do Polski, bo stąd będzie mu łatwiej uciec na Zachód.*

Jeżeli dostał wizę francuską, to być może pomogła mu w tym jedna ze studentek, mieszkających z nami przy ul. Smolki, która pracowała w konsulacie francuskim. Szukał dojścia do drukarni, chciał się włączyć do konspiracji.

A potem gdzieś nagle zniknął. Kilka miesięcy później spotkałem go na ślubie jednego ze znajomych, w kościele Dominikanów. Przyszedł przebrany i ucharakteryzowany na kloszarda, podpierał się laską. Później mówiło się o tym, że został zatrzymany i skazany za nielegalny pobyt w PRL.

Akta sądowe dotyczące Rajdoša potwierdzają, że został złapany przez SB 10 maja 1982 roku przy wyjściu z kawiarni „Ypsylon" na ul. Karmelickiej. Miał przy sobie legitymację studencką na swoje nazwisko, podbitą przez Instytut Filologii UJ. Okazało się, że legitymacja była podrobiona, a Rajdoš w Polsce nigdy nie studiował. Równocześnie zostały zatrzymane trzy osoby: dwóch mężczyzn i kobieta. Rajdoš zeznał, że poznał jednego z zatrzymanych razem z nim mężczyzn w górach, a drugi był jego kolegą.

Zapewniał, że nie ma nic wspólnego z polityką, ale chciał uciec na Zachód. Podrobił legitymację studencką, którą kupił od jakiegoś człowieka, usuwając z niej nazwisko i wpisując swoje własne. Wkleił też swoje zdjęcie. Twierdził, że z tą legitymacją poszedł do konsulatu francuskiego, złożył wniosek o wizę francuską i dostał ją jako student zagraniczny studiujący w Polsce. Nie mógł jednak pojechać do Paryża, bo brakowało mu pieniędzy.

W wyniku przeszukania mieszkania jednego z mężczyzn zatrzymanych razem z Rajdošem, SB znalazła czyste blankiety dyplomów i legitymacji oraz bibułę. Mężczyzna ten pracował w drukarni UJ przy ul. Czapskich. Pytany, oświadczył, że zabrał te druki z pracy przez pomyłkę.

Z papierów wynika, że Rajdoš miał wcześniej wyrok sądu wojskowego armii czechosłowackiej – 10 miesięcy, z czego 8 odsiedział.

Stanął przed sądem w Krakowie i 29 lipca 1982 roku został skazany na pół roku więzienia za podrobienie legitymacji studenckiej. Odsiedział karę w całości. Wyszedł na wolność dokładnie 6 miesięcy po zatrzymaniu – 10 listopada 1982 roku. Ówczesna studentka, która dobrze go wtedy znała i występowała wobec władz więzienia jako jego narzeczona (dzięki temu mogła dostarczać mu paczki i kilka razy widzieć się z nim w areszcie), zapamiętała, że kilka dni po wyjściu na wolność musiał opuścić Polskę.

***

Pełną niedopowiedzeń historię Jerzego Vavrušáka przedstawiamy tu dokładniej, bo wiąże się z historią krakowskiej Konfederacji Polski Niepodległej.

Jiri Vavrušák dziś mieszka w Danii. Gdy przedstawiliśmy mu temat naszej rozmowy (jego pobyt w Polsce w latach 1981-1982), zareagował przekleństwem i powiedział, że to jest „trup w szafie". Taka rozmowa jest dla niego „trochę straszna", ale jest gotów, bo minęło już 30 lat od tego czasu. Powiedział, że jakieś 3 miesiące temu oglądał po raz kolejny w internecie filmy: „Człowiek z żelaza" i „Człowiek z marmuru". Widział też na Youtube komedię „Operacja Dunaj". Ma sentyment do Polski i Polaków, a w Kopenhadze spotyka się z Polakami chętniej niż z Czechami.

Przyjechał do Polski w 1981 roku, bo był idealistą. W 1968 roku wzięli go do wojska, mimo że bardzo tego nie chciał. Uciekł wtedy z wojska z bronią w ręku i walczył w Pradze, nawet podpalił parę czołgów. Został jednak złapany. Dlatego nienawidzi Ruskich, którzy strasznie Czechosłowaków gnębili. Miał tylko jedno marzenie – prysnąć z Czechosłowacji. Nie udało mu się z różnych powodów, m.in. z uwagi na brata i siostrę, którzy studiowali. Stchórzył.

Życie w Czechosłowacji było zgniłe, aż do momentu powstania Karty 77, którą Vavrušák – jak sam powiedział – podpisał, ale nie podpisał, właściwie tajnie podpisał, gdyż nie chciał jej „kryminalizować". Znaczenie tych słów wyjaśnił, odwołując się do opowiadania Jacka Londona pt. „Meksykanin" (tekst można znaleźć w internecie w polskim tłumaczeniu). Chodzi o to – opowiadał Vavrušák – że jakiś brudny Meksykanin przyszedł do rewolucjonistów w Meksyku i powiedział, że chce pracować dla rewolucji. Wzięli go za idiotę, prowokatora lub kapusia. Dali mu wiadro, szmatę i kazali mu zrobić porządek w pomieszczeniu, gdzie mieszkali. Bohater opowiadania podporządkował się tym poleceniom. Postanowił pomóc rewolucjonistom materialnie. Wygrywając morderczą walkę bokserską, zarobił pieniądze na kupno 100 karabinów. Vavrušák podkreślił, że to opowiadanie było dla niego inspiracją. W Karcie byli sami intelektualiści, którzy lekko „grafomanili". Chcieli być męczennikami, ale nie miał kto „kręcić wałkiem" – drukować na powielaczu. Nie byli w stanie i nie mieli na to ochoty. I tę rolę wziął na siebie Vavrušák.

Gdy Lech Wałęsa (o którym wypowiada się „Lechu") powiedział w stoczni „Zwyciężymy!", to Vavrušák przeszedł zieloną granicę. W Czechosłowacji odebrali mu paszport, ale on posługiwał się paszportem swojego szwagra (brata jego zmarłej żony), który miał na imię Bronislav. Na zdjęciu Bronislav był ponoć bardzo podobny do Vavrušáka. Ten paszport Bronislav dał Vavrušákowi dobrowolnie, a władzom czechosłowackim miał zgłosić, że paszport zgubił. Nie chce podać nazwiska tego szwagra, ale ci, którzy w Polsce widzieli ten paszport, zapamiętali, że był on wystawiony na nazwisko Červenka.

W czasie swoich podróży po Polsce był w Opolu, gdzie w kawiarni miał spotkać umówioną osobę. Nic z tego nie wyszło, ale pojawił się chłopak, który zaprosił go do siebie, do hotelu robotniczego. Vavrušák wszedł do jego pokoju przez okno. U niego przez dwa dni „pił tanie wino, jadł tanie żarcie i palił tanie papierosy". Trzeciego dnia ten znajomy powiedział: „Słuchaj, kochany! Ja ci dałem moją pierś, tak jak mama, ale to nie było gratis. Ja tu jestem warunkowo. Zgłosiłem się do pracy i mam prawo tu mieszkać, ale muszę przejść przez lekarskie badania, a nie mogę się im poddać". Vavrušák nie wie, dlaczego nie mógł. Może był chory? A może był narkomanem i bał się oddać krew do badania? Vavrušák poszedł za niego, z jego dokumentami, bo byli do siebie podobni. Wyniki były dobre. Wtedy ten znajomy w dowód wdzięczności wyjął ze skrytki dowód osobisty i prawo jazdy na imię i nazwisko Jan Kwiatkowski. Było to bardzo ważne, bo po wprowadzeniu stanu wojennego władze nakazały obcokrajowcom zgłaszanie się do swoich placówek i zapowiedziały, że będą transportowani do domu. Wtedy „paszport z Broneczkiem" nic mu nie dawał. Na szczęście miał w zapasie dokumenty Kwiatkowskiego, gdzie jacyś krakowscy artyści z ASP zrobili mu stemple, że jest zameldowany w Krakowie. Dwa razy go legitymowano na ulicy po 13 grudnia, i kiedy pokazał dokumenty Kwiatkowskiego, to „było dobrze".

Odwiedził Poznań, Bydgoszcz, Wrocław (w tych miastach był przelotnie, po około tygodniu). Najbardziej pokochał Gdańsk. Był na Festiwalu Piosenki Prawdziwej w Hali Oliwii w sierpniu 1981 roku. Wtedy był już w Polsce parę miesięcy (a więc przyjechał do Polski wiosną 1981 r.). W Trójmieście poznał się z pannami Stawickimi, Ewą i Anną. W starszej z sióstr, Ewie, „kochał się platonicznie". Ewa studiowała prawo. Młodsza Anna chodziła do liceum.

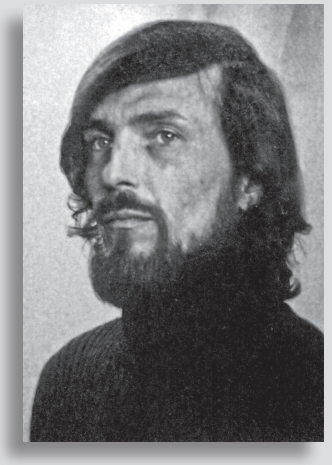
Dzięki nim „wstąpił" do Ruchu Młodej Polski (czy też „był pod jego ochroną"). Poznał Bogdana Borusewicza. Brał udział w składaniu książek – „chłopcy drukowali", Vavrušák je składał, spinał i przygotowywał do sprzedaży. W ten sposób zarabiał na swoje utrzymanie.

Pobyt Vavrušáka w Gdańsku potwierdza Anna Kołakowska (z domu Stawicka): *Rzeczywiście, przez kilka dni ukrywał się u nas. Przyprowadziła go do naszego domu moja siostra Ewa, jako uciekiniera przez zieloną granicę (poznała go na festiwalu zakazanych piosenek). Imponował nam opowieściami o praskiej wiośnie, a szczególnie tym, że, jak twierdził, sowiecki oficer wykonywał na nim wyrok śmierci. Świadectwem autentyczności tej historii miały być ślady po kuli na piersi, ale nie pamiętam, czy ja je widziałam, czy tylko widziała je moja siostra i mi o tym mówiła. Przeżył, bo Sowiet uznał, że jak za pierwszym razem go nie trafił jak należy, to dobijał go nie będzie. Po kilku dniach przekazaliśmy „Pepika" kolegom z RMP i ukrywał się na Politechnice Gdańskiej w budynku Klubu Kwadratowa, gdzie mieściła się drukarnia „Bratniaka" (pismo RMP). „Pepik" świetnie radził sobie z powielaczem i w razie potrzeby potrafił go nawet naprawić. Później wyjechał z Gdańska. Po kilku miesiącach, w czasie stanu wojennego, zjawił się u nas człowiek, który poprosił mnie o pozostawione w naszym domu dokumenty „Pepika". Nazywał się Zbigniew Trafalski.*

Także Marta Chmurska podaje informacje z 1982 roku, potwierdzające pobyt Vavrušáka w Gdańsku: *Na prośbę Jurka pojechałam do Gdańska i odebrałam od jakiejś dziewczyny zawiniątko. Tam były dokumenty Jurka*. Chmurska zna także szczegóły dotyczące podrobienia dokumentów: *Dowód osobisty pomogli Jurkowi podrobić ludzie handlujący obrazami pod Bramą Floriańską. Mieszkali w rejonie ul. Dietla (stare budownictwo, drewniane schody)*. Byli to hipisi, z którymi Vavrušák zetknął się już na Wybrzeżu.

W Gdańsku spotkał Vavrušáka Tadeusz Drwal (ur. w 1958) – hipis z Krakowa, sympatyzujący z „Solidarnością". Drwal: *Było ich trzech. Chcieli się dostać na festiwal. Pomogłem im. Dwóch już potem nigdy nie spotkałem. Natomiast z Jurkiem miałem później kontakt w Krakowie.*

Wróćmy do opowieści samego Vavrušáka. Gdy zbliżała się zima 1981 roku, dostał ostrzeżenie, że w Gdańsku będzie bardzo gorąco. Miał parę adresów „od chłopców z Gdańska". Jeden z nich, Andrzej (chodzi prawdopodobnie o Andrzeja Słomińskiego, ur. 1954, współpracownika KOR, uczestnika ROPCiO, działacza RMP, współzałożyciela gdańskiego SKS, autora i kolportera „Bratniaka") dał mu dwa adresy kontaktowe do Krakowa. W tym adres człowieka o ksywie „Hermes". Poza tym Vavrušák miał adres człowieka w Warszawie, który dwa lata wcześniej gościł u niego w Czechosłowacji przez tydzień. Odmówił teraz podania jego nazwiska. To był były żołnierz Kompanii Reprezentacyjnej Wojska Polskiego. Autostopem Vavrušák dostał się do Warszawy. Nie został tam nawet na jedną noc, bo doszło do awantury między znajomym Vavrušáka a jego szwagrem, który był właścicielem domu. Autostopem pojechał do Krakowa.



Jiri Vavrušák. Jakiś brudny Meksykanin przyszedł do rewolucjonistów w Meksyku i powiedział, że chce pracować dla rewolucji. Wzięli go za idiotę, prowokatora lub kapusia. Dali mu wiadro, szmatę i kazali mu zrobić porządek w pomieszczeniu, gdzie mieszkali. Bohater opowiadania podporządkował się tym poleceniom. Postanowił pomóc rewolucjonistom materialnie. Wygrywając morderczą walkę bokserską, zarobił pieniądze na kupno 100 karabinów. Vavrušák podkreśla, że to opowiadanie Jacka Londona było dla niego inspiracją.

Z archiwum Marty Chmurskiej

W Krakowie znalazł „Hermesa". Andrzej z Gdańska powiedział mu, że „jak będzie w nędzy, to może ten adres wykorzystać". U „Hermesa" dali mu jeść, położyli spać. A rano, kiedy otworzył oczy, zobaczył wokół siebie kilka zupełnie nagich dziewczyn. Jedna z nich pochylała się nad nim. Myślał, że umarł i że jest w raju. Okazało się, że to była hipisowska komuna.

Roman Laube (czeski hipis) po raz pierwszy przyjechał do Krakowa w sierpniu 1981 roku. Pamięta, że „Hermes" to pseudonim Lecha Krzewickiego. W latach 80. nazywali go „tata hipis". Dziś ma ponad 60 lat, nosi dredy i nadal jeździ na hipisowskie spotkania. Komuna w Krakowie to prawdopodobnie mieszkanie „Tarzana", czyli Wojciecha Micha-

lewskiego, poety, autora książki „Mistycy i narkomani", opisującej środowisko krakowskich hipisów z przełomu lat 70. i 80. Wedle Laubego „Tarzan" miał kontakt z Richardem Němčokiem i Kotoučekiem z Mostu, nazywanym „Kwetan" („Kwiatek"). Obaj byli w tym czasie w Krakowie, ale do ich spotkania z Laubem nie doszło. Komuna była na Azorach. W lecie rzeczywiście chodzili nago, ale do żadnych orgii tam nie dochodziło, choć nie brakowało związanych z tym nieporozumień.

Vavrušák poprosił hipisów, żeby go zaprowadzili do Andrzeja, którego namiary dostał od Andrzeja z Gdańska. Okazało się jednak, że ten „krakowski" Andrzej (chodzi o Andrzeja Grzywacza) jest w komitecie strajkowym studentów na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przypomnijmy, że strajk na UJ trwał od 12 listopada do 12 grudnia 1981 roku.

Vavrušák poszedł więc na strajk. Wpuścili go, mimo że była umowa między komitetem strajkowym a władzami, że nie będzie na strajku cudzoziemców. Dlatego był na strajku incognito (chociaż, na 600 strajkujących ze 400 wiedziało, kim on jest). Twierdzi, że nie spotkał tam żadnego Czechosłowaka. Vavrušák na strajku dużo drukował.

Roman Laube, czechosłowacki hipis, który do 22 lub 24 listopada 1981 roku był na strajku studentów UJ, nie spotkał tam żadnego Czechosłowaka. Słyszał jednak o przebywającym wówczas w Krakowie obywatelu CSRS, który nazywał się Jiří Jiroušek, ale mówiono na niego „Broniek". Na zdjęciu rozpoznał Vavrušáka.

Chmurska: *Jurka Vavrušáka poznałam na strajku studenckim UJ. Nie wiedziałam, jak się tam znalazł. Opowiadał dziwne historie, że był wcześniej w Gdańsku i ma jakąś kurtkę od Borusewicza. Z tego, co wiem, nielegalnie przeszedł granicę. Mieszkał wcześniej w Ostrawie. Na strajku na UJ Jurek kontaktował się ze studentem imieniem Andrzej. To on przyniósł walizkowy powielacz, na którym Jurek drukował ulotki.*

Pobyt Vavrušáka na strajku potwierdzają donosy Andrzeja Grzywacza (ur. 1956), studenta Wydziału Prawa i działacza NZS, który był tajnym współpracownikiem SB o pseudonimie „Grzegorz". Zachowały się obszerne trzy tomy jego teczki pracy, w której jest wiele dokumentów pisanych przez niego własnoręcznie. Dowodzą one, że bezpieka już przed wprowadzeniem stanu wojennego wiedziała o pobycie Vavrušáka w Krakowie i śledziła jego kontakty, choć nie znała jeszcze jego prawdziwego nazwiska.

TW „Grzegorz" – donos z 5 grudnia 1981 r., dotyczący strajku studentów UJ w Collegium Novum: *Czech (Słowak) imieniem Bronek przebywa w Polsce nielegalnie, w CSRS jest poszukiwany. Był tam kiedyś karany i jako więzień pracował w kopalni. Podobno tydzień temu opowiadał o traktowaniu więźniów politycznych w CSRS. Ma on 35 lat (...). Jest wysoki (178-180 cm), szczupły, szatyn, lekko szpakowaty, zarośnięty, ubrany niedbale. Mówi po słowacku (sam podał, że jest z Ostrawy). Zna się na obsłudze powielacza (...).Ma zamiar wyjechać przed świętami do Austrii i pozostać tam na stałe.*

TW „Grzegorz" podaje też nazwiska niektórych osób ze środowiska NZS, które miały kontakty z „Bronkiem" oraz potwierdza jego umiejętności posługiwania się powielaczem. Z donosu TW „Grzegorza" z 11 grudnia: *W czasie strajku na UJ przebywał obywatel Czechosłowacji, bliski kolega Marka Lubińskiego* [Student historii sztuki UJ i działacz NZS] *(...). Jest dobrze zorientowany w sprawach poligrafii, umie pisać na maszynie i obsługuje powielacz. Nie miał przy sobie pieniędzy. Na rocznicę wydarzeń grudniowych planuje wyjechać do Gdańska. Obecnie mieszka w „Żaczku", pok. 595 u Krzysztofa Ślusarka* [Ur. 1961, student historii UJ, działacz NZS, ewidencjonowany w archiwach SB jako tajny współpracownik o pseudonimie „4436"] . *Studenci zwracali się do niego* [nieczytelne słowo] *Bronek*. Dopisek esbeka: *Tow. Cioś, proszę za pośrednictwem „Grzegorza" umiejscowić obywatela CSRS.*

Tymczasem Vavrušák zapamiętał, że strajkujący mieli kontakt z Hutą im. Lenina. Hutnicy przywozili im jedzenie, a studenci drukowali bibułę dla hutników. Na strajk przyszedł człowiek w wojskowej kurtce – opowiada Vavrušák. Był to Jan Pacula z KPN. Jego współpracownikiem był Krzysztof Bzdyl. Obu wtedy poznał.

Pacula potwierdza, że poznał „Bronka" przed 13 grudnia, ale w nieco innych okolicznościach. Pacula: *Bronka poznałem przed 13 grudnia 1981 na zebraniach KOWzaP. Mówił po polsku, ale akcent zdradzał, że nie jest Polakiem.* Bzdyl w ogóle nie pamięta „Bronka".

Zrobili apel do Czechów, dwustronną ulotkę – opowiada Vavrušák. Miał maszynę „Olivetti" z polskimi znakami. Przepisał apel na tej maszynie, dopisując ręcznie czeskie znaki, a Bzdyl wydrukował je podobno w nakładzie około 10 000 egzemplarzy. Miały zostać przerzucony przez granicę do Czechosłowacji (Vavrušák – jak dziś zapewnia – miał wtedy kontakty w rejonie Cieszyna).

SB wiedziała o tych ulotkach, o czym świadczy donos TW „Grzegorza" z 11 grudnia: *Ślusarek przepisywał na maszynie pod dyktando Bronka tekst odezwy w języku czeskim autorstwa Bronka.*

Ulotki nie zostały jednak przerzucone do Czechosłowacji. Jan Pacula: *Tuż przed stanem wojennym wydrukowaliśmy 1,5 tys. sztuk. Po 13 grudnia żona dużą część tego musiała spalić, aby nie wpadły w ręce SB.*

Gdy 12 grudnia 1981 roku zakończył się strajk studentów UJ, Vavrušák poszedł spać do jakiegoś akademika (z cytowanego wyżej donosu TW „Grzegorza" wiemy, że był to pokój 595 w DS „Żaczek"). Gdy się rano obudził, zaczął się stan wojenny.

Bogdan Wróbel (działacz NZS): *Bronka poznałem na strajku studenckim na UJ. Był z nim Krzysztof Ślusarek. Po zakończeniu strajku Bronek spał u nas w pokoju jedną noc w akademiku. Potem zniknął. Miałem z nim później kontakt jeszcze ze dwa albo trzy razy.*

Marian Kozielski (NZS): *Twarz miał bardzo zniszczoną, postarzałą ponad wiek, czarne włosy, wąsy. Mówił po polsku, ale z czeskim akcentem, od czasu do czasu wtrącając czeskie słowa. Był na naszym strajku w Collegium Novum. Po 13 grudnia 1981 ukrywałem się razem z nim.*

Tymczasem Vavrušák opowiada, że z małą grupą studentów 14 grudnia dostał się, przez płot, na strajk w Hucie im. Lenina..

Kozielski: *Przeszliśmy pieszo do Huty Lenina i tam przystąpiliśmy do strajku. Obeszliśmy ogrodzenie, bo brama była obstawiona i przechodziliśmy przez płot. Wtedy nadjechała lokomotywa. Bronek krzyknął panicznie: „Spieprzajmy!" i błyskawicznie przeskoczył przez płot. Zobaczyłem, że w lokomotywie był tylko robotnik w kasku. Zawołałem, żeby wrócił. Trochę mu było głupio... Mówił: – Myślałem, że to zomowcy.*

Vavrušák opowiada, że w Hucie spotkał Jana Paculę i został jego pomocnikiem. Gdy miał nastąpić atak na Hutę, w grupie kilkunastu osób uciekł z Kombinatu. Mieszkał w różnych miejscach, u ludzi związanych z NZS, „Solidarnością" oraz ze środowiskiem hipisów.

Meldunek por. Ciosia oparty na donosie TW „Grzegorza" z 18 grudnia: *TW przekazał mi, że Bronek z Czechosłowacji przebywa dalej w Krakowie, ostatnio spał on u Doroty* [Maciaszek] *na ul. Jagiellońskiej (…) Byli członkowie NZS-u weszli w porozumienie z hipisami, którzy powiedzieli im, że z 3 mieszkań, które są, pewnie mogą im udostępnić 2 (jedno na Grodzkiej, drugie w okolicach ul. Miodowej* [Chodzi prawdopodobnie o mieszkanie Tadeusza Drwala] [...].

Środowisko studenckie, w którym obracał się wówczas Vavrušák, tworzyło jedną z konspiracyjnych struktur NZS, o czym na bieżąco informował SB m.in. TW „Grzegorz".

***

SB miała wówczas świetną orientację w środowisku działaczy NZS. Według „Analizy zagrożeń i oceny stanu bezpieczeństwa województwa miejskiego krakowskiego w instytucjach nadbudowy" z 2 stycznia 1983 roku, sieć TW w UJ (najsilniejszy ośrodek NZS w Krakowie) obejmowała 38 agentów, z czego 11 w środowisku naukowym i 27 w środowisku studenckim. W środowisku pacyfistycznym był 1 TW, w podziemnych strukturach NZS – 5.

Wymienienie ich imion, nazwisk, pseudonimów, wysokości pobieranego wynagrodzenia w porównaniu do średniej krajowej oraz szczegółowy przebieg kariery agenturalnej przekracza ramy tej pracy – z pewnością zrobią to wreszcie historycy zajmujący się od wielu już lat dziejami krakowskiego NZS. Wymieniamy jedynie kilku z nich – głównie tych, którzy donosili także na KPN. Są to osoby zwerbowane przez SB jeszcze przed Sierpniem. Oprócz cytowanego już Andrzeja Grzywacza (TW „Grzegorza"), tajnymi współpracownikami SB byli także: Marek Płaszewski (ur. 1960, TW „Marco", b. współpracownik SKS, student prawa UJ, członek Tymczasowego Komitetu Założycielskiego NZS UJ) oraz Piotr Mężyk (ur. 1960, TW „Wojtek", w latach 1979-1980 donosił na krakowską KPN, szczególnie na Bogdana Długogórskiego i działaczy PM NiD, choć nie był nigdy członkiem Konfederacji, student historii UJ, członek Komitetu Założycielskiego NZS na UJ).

Dodajmy, że według sprawozdania z przeprowadzonej kontroli w Wydziale III KW MO w Krakowie, w zakresie gospodarowania funduszem operacyjnym z 15 lipca 1981 roku, jeden z wymienionych wyżej „enzetesowskich" agentów (TW „Marco") był najlepiej wynagradzanym tajnym współpracownikiem Wydziału III SB w Krakowie – za przekazywane informacje do SOR „Alfa" dostał w ciągu roku 20-krotnie wynagrodzenie na łączną kwotę 45 tys. zł, wyprzedzając pod tym względem osławionego Lesława Maleszkę, który jako TW „Tomek" zarobił od SB „zaledwie" 31 tys. zł (w 35 wypłatach). Średnie miesięczne wynagrodzenie w gospodarce narodowej w 1981 roku to prawie 7,7 tys., a więc „Marco" dorabiał sobie w SB miesięcznie średnio połowę przeciętnej pensji.

Wątek działalności konfidentów bezpieki w środowisku NZS jest stale obecny w donosach … tajnych współpracowników. Równocześnie znajdujemy tam dowody, że SB za pomocą agentury skutecznie paraliżowała podziemną działalność Zrzeszenia.

Z donosu TW „Grzegorz" z 12 grudnia 1981: *W czwartek rano „Suseł" (przezwisko) opowiadał, że średnio co 15 student jest lub zetknął się z propozycją współpracy ze strony SB. Nie są tacy ludzie płatni stale, lecz na zasadzie prac zleconych. Na pewno i teraz milicja jest informowana o strajku.*

W cytowanym już meldunku z 18 grudnia czytamy: *W czasie rozmowy z Kozielskim i Ślusarkiem, mówili oni, że zatrzymani powinni podpisywać oświadczenia, jeżeli nie byłoby innego wyjścia i przyznać się do tego. Wówczas będzie można przekazywać SB informacje takie, jakie będą chcieli* […].

Z meldunku por. Ciosia opartego na donosie TW „Grzegorza" z 31 grudnia: *W dniu wczorajszym, w kawiarni Jubilatka, TW spotkał się z Jackiem Tomaszewskim* [NZS], *Piotrkiem z I roku historii (kolega Jacka). Piotrek przekazał, że uzyskał informacje od Krzysztofa Nowakowskiego* [NZS] *o tworzącej się grupie pod nazwą Studencki Komitet Obrony Demokratycznej NZS w skrócie „SKODa". Grupa osób związanych z wydawaniem Tygodnika ma odbyć spotkanie w dniu 4 stycznia, gdzie rozpatrywana będzie możliwość przystąpienia do „SKODy". Na spotkaniu takim powinien być: Jacek Tomaszewski, Kozielski, Ślusarek, Nowakowski, Piotrek „Flak" i inni, których uda się powiadomić (...). Przeka-*

załem TW, aby w wypadku znalezienia miejsca pobytu członków zarządu NZS natychmiast powiadomił telefonicznie. W wypadku uzyskania informacji o osobach ukrywających się ma również natychmiast telefonować.

Z informacji operacyjnej spisanej 14 stycznia 1982 roku ze słów TW „Wojtek": [Wiesława] *Sotwin poinformowała ich, że Rokita, Modelski, Sienkiewicz oraz ona, bardzo mocno zastanawiają się, dlaczego tak się dzieje, że każdorazowo, kiedy wszyscy wymienieni spotykają się, mają umówione spotkanie, dzieje się sprawa prawie niemożliwa, tj. bezpieka trafia bez pudła. (…) Sotwin sugerowała, że prawdopodobnie Płaszewski jest wtyczką.*

Z donosu z 4 lutego: *W gmachu na Mogilskiej na IV piętrze są kartoteki. Pracująca tam kobieta (dziewczyna) niektóre wiadomości przekazuje na zewnątrz jakiejś znajomej Jacka Tomaszewskiego (...).* [Innym charakterem pisma] *Por. Cioś: czy TW może pogłębić informacje dot. przekazywania informacji z gmachu KW MO?*

Z meldunku por. Ciosia z 13 lutego: *TW przekazał mi, że wczoraj w Krakowie przy ul. Cegielnianej 3 w prywatnym mieszkaniu (na parterze) odbyło się spotkanie z udziałem Doroty Nędzy, A. Grzywacza, J. Tomaszewskiego oraz Ryśka (wynajmuje pokój na Cegielnianej, trzech właścicieli nie ma). Rysiek poinformował wszystkich, że SKOD rozwiązał się, a na UJ istnieje kilkanaście grup niezależnych od siebie. Rysiek ma kontakt z Adamem Kalitą i wspólnie z nim oraz z Lubińskim (który ma kontakt z Bronkiem – może nawet razem mieszkają) będą chcieli stworzyć grupę. Będzie można liczyć, że Roman Marcinek, jego kolega znany Ryśkowi, Nowakowski, Majka (mieszka z Dorotą) oraz Bodzio (mieszka ze Ślusarkiem) będą pracowali w grupie. Ślusarek włączył się do grupy w Żaczku, dlatego nie można liczyć na niego.*

Z informacji operacyjnej spisanej 26 lutego 1982 r. ze słów TW „Wojtek": *Ludzie, którzy dotychczas działali w NZS-ie, nie chcą się angażować w żadne akcje, bo uważają, że środowisko jest przesycone agentami SB.*

Z donosu TW „Grzegorza" z 3 marca: [Ślusarek] *głosi pogląd, że ludzi znanych z działania w dawnych czasach trzeba niestety chwilowo odsunąć, gdyż są na pewno pod obserwacją SB, a niektórzy zapewne pracują dla milicji (już od dawna o tym świadczy znajomość SB o faktach ze strajku, z pracy NZS itp).*

Ciągle nie mamy opracowanej rzetelnej historii NZS po 13 grudnia, trudno więc ocenić, czy środowisko to było rzeczywiście w jakiś szczególny sposób infiltrowane przez SB, intensywniej niż inne środowiska, które powstały przed grudniem i usiłowały kontynuować swoją działalność po wprowadzeniu stanu wojennego. Jednak opinie liderów podziemnej „Solidarności" o tym środowisku były już wcześniej bardzo surowe, o czym świadczą wypowiedzi w „Konspirze".

Borusewicz: *Władza zastraszyła uczelnie skuteczniej niż zakłady pracy, dlatego robotnicy zorganizowali się dużo lepiej. Studenci tworzą całą masę grupek, przeważnie dyskusyjnych, które, gdy brakuje kodu przyjacielskiego, nie szukają ze sobą kontaktów. Nawet nie próbowali skoordynować poczynań w skali regionu albo wydać dobrego pisma (...). Dlaczego więc samodzielny ruch studencki wciąż raczkuje? Myślę, że można znaleźć pewną analogię do sytuacji politycznej w Afryce. Gdy jakieś państwo Czarnego Lądu otrzymało niepodległość w darze od mocarstwa kolonialnego, zawsze później miewało kłopoty z własną państwowością. Zupełnie inaczej biegły dzieje narodów czy grup plemiennych, które tworzyły struktury w walce.*

Niezależne Zrzeszenie Studentów spadło na środowisko uczelniane jako dar losu. Nagle akademicy znaleźli się we wspaniałej sytuacji: jest wolność, mogą robić co chcą, mieć wpływy na rektoraty, senaty, dziekanaty, założyć własną organizację, wystąpić z SZSP

i dalej jeździć na wycieczki zagraniczne. Wszystko dostali na tacy, bez boju i ryzyka, nic dziwnego więc, że nie wiedzieli, co z tym fantem zrobić.

Działające przed Sierpniem '80 Studenckie Komitety Solidarności też nie wytworzyły własnych form pracy. Ktoś powie – to dlatego, że pełniły funkcje pomocnicze wobec „dorosłej" opozycji: organizowały spotkania członków KOR-u z młodzieżą, kolportowały wydawnictwa NOW-ej, pomagały w TKN-ie. Ale jeżeli już jesteśmy przy czasach przedsierpniowych, to robotnicy byli jeszcze skromniej reprezentowani w opozycji niż studenci. Przełom nastąpił dopiero w Sierpniu – właśnie dlatego, że zakłady musiały walczyć.

Powoływanie się NZS-u na tradycję SKS-owską brzmiało czysto werbalnie. Ludzi związanych z SKS-ami pozostało w tym czasie niewielu (…).

Argumentacja, że my nie wspieramy studentów, jest w ogóle śmiechu warta. Tak samo, jak zarzuty, że nie dajemy im papieru, farby, pieniędzy. Jak ktoś chce działać, to działa i nie goni za forsą. Zresztą, jaka wielka forsa jest do tego potrzebna? Papier można brać przecież nawet z zeszytów szkolnych. Jeśli mi facet mówi: będę drukował, ale muszę dostać nowy zachodni powielacz, oryginalne matryce, no i na początek chociaż 50 tysięcy złotych, to ja mu nic nie dam, kompletnie. Miałem już paru klientów, na których się naciąłem. Co innego, gdy przychodzi człowiek z pewnym dorobkiem, sprawny organizacyjnie (bo umie załatwić papier), intelektualnie (bo umie pisać) i jeszcze fizycznie (bo potrafi podołać wielogodzinnemu wałkowaniu). Takiemu każdy chętnie udzieli pomocy.

I jeszcze jedna kwestia, na którą trzeba zwrócić uwagę: najgorzej z przestrzeganiem zasad konspiracji jest właśnie wśród studentów i młodzieży szkolnej. W Krakowie na przykład SB ujęła za jednym zamachem 30 osób, cały aktyw Akademickiego Ruchu Oporu, w dodatku większość wygarnięto z jednego mieszkania.

Niestety zachowanie się młodzieży w śledztwie też na ogół pozostawia wiele do życzenia.

Dopiero rzetelna i drobiazgowa praca historyków, uwzględniająca wszelkie dostępne źródła pozwoli ocenić, czy twierdzenia zawarte w „Konspirze" nie są krzywdzące. Do tego czasu trzeba je traktować co najwyżej jako hipotezy. Niestety, krakowski NZS wciąż czeka na swoją monografię.

***

W wyniku donosu TW „Grzegorza" z 21 stycznia SB poznała kolejne miejsce ukrycia Vavrušáka, jak również wiedziała, że usiłuje on kupić fałszywe dokumenty: *TW przekazał mi, że w środę 20 stycznia w godzinach wieczornych przyszedł do niego Bronek. Powiedział, że mieszkanie ma już załatwione na ul. Włodkowica 3 lub 2 nr (…). Jest to mieszkanie, które załatwiła koleżanka Jacka Tomaszewskiego. W mieszkaniu tym znajduje się papier przywieziony od księdza* [z kościoła Karmelitów] *przez Jacka Tomaszewskiego. Będzie tam prawdopodobnie mieszkał Kozielski (ma około 100 matryc). Obecnie Kozielski prawdopodobnie mieszka u Doroty Maciaszek na ul. Jagiellońskiej (...). Bronek mówił również, że ma okazję kupić dowód osobisty za 30 tys. zł. TW mówił, że nie opłaci się za tyle. Bronek jednak powiedział, że zna się na tym i może dać 30 tys. za dowód* osobisty [Niestety, donosy „Grzegorza" nie informują, skąd „Bronek" mógł mieć tak dużą kwotę pieniędzy; przeciętne miesięczne wynagrodzenie w gospodarce narodowej w 1981 roku wynosiło ok. 7500 zł, a więc cena za dowód osobisty przekraczała wysokość 4-miesięcznych zarobków]. *Przedsięwzięcia: ustalić mieszkanie przy ul. Włodkowica, wyciąg informacji do SIVB i dla tow. Maja* [Chodzi o Wydział IV SB zajmujący się rozpracowaniem Kościoła oraz o por. Mieczysława Maja, który zajmował się rozpracowaniem środowiska NZS, m.in. w SOR „Ważny"]. *Zadania dla TW: w dalszym ciągu kontrolować działania Bronka, ustalać adresy.*

SB bezwzględnie ścigała fałszerzy dokumentów, o czym świadczy reakcja na donos TW „Grzegorza" z 4 lutego, który przyjął telefonicznie kpt. Krawczyk *(*oficer dyżurny KW MO): *TW przekazał, iż na ulicy zetknął się z n/n młodym mężczyzną, który oferował mu paszport do sprzedaży. TW umówił się z nim o godz. 19.30 w kawiarni „Olimpijska", gdyż zaznaczył, że musi uzgodnić cenę z zainteresowanymi osobami.*

Omówienie informacji. Ponieważ dane przekazane przez TW wyglądały na wiarygodne, w rejon kawiarni „Olimpijska" skierowałem pracowników, którzy zatrzymali dwóch mężczyzn, odpowiadających opisowi przekazanemu przez TW (...) [Z kolejnego dokumentu wynika, że zatrzymania dokonano po wyjściu tych mężczyzn z kawiarni przy ul. Bohaterów Stalingradu na wysokości kina „Uciecha"] (...) *Zatrzymanych przekazano do tut. Wydziału Śledczego.*

Przez pewien czas Vavrušák – jak sam opowiada – znalazł się pod opieką Gienka, który był w „Solidarności milicyjnej". Chodzi o Eugeniusza Kocha. Koch ukrywał Vavrušáka przez kilka dni w mieszkaniu jakichś krakowskich aktorów. Następnie Vavrušák trafił do mieszkania Anny Zachary a potem do mieszkania Ryszarda Bociana (dokładnie nie pamięta, w jaki sposób, być może adres dostał od Zachary).

Bocian: *Bronka poznałem przed 13 grudnia 1981 na zebraniu KOWzaP-u. Był to wysoki, szczupły, barczysty człowiek, sympatyczny i dowcipny. Mówił, że jest Czechem z Ostrawy, z czeskiego Śląska, dlatego dobrze znał język polski, a do Polski „zjechał na nartach". Po 13 grudnia przyszedł do mnie do domu brudny i głodny. Wykąpał się, ogolił, podjadł. Pokazywał mi ślad na piersiach, wielkości groszku. Widać było wgłębienie i ślady po szyciu. Mówił, że to „dziabnięcie po kuli, pamiątka po 1968 roku". Potem ukrywałem go w mieszkaniu Krystyny Wassus-Kydryńskiej. Umiał drukować i po wpadce pierwszego numeru „Biuletynu Małopolskiego", organu RKW „Solidarności" Małopolska, to on wydrukował u Krystyny w mieszkaniu drugi numer tego pisma. Od niego nauczyłem się drukować.*

Kozielski: *Po strajku zamieszkał u naszej wspólnej znajomej, u p. Kydryńskiej. Spotykaliśmy się co jakiś czas (raz na tydzień). Ostatni kontakt z nim miałem w styczniu 1982. Nie wiem, co się z nim później działo. Wpadłem, zostałem aresztowany i wyszedłem w 1983 r.. Mówił, że chce wracać do Czech, ale się boi, bo był ścigany przez czeską milicję, aż uciekł do Polski.*

Antoni Piekałkiewicz: *Widziałem się z nim kilka razy. Było to na wiosnę i chyba także jesienią 1982. Na wiosnę spotkałem go – jeśli dobrze pamiętam – w mieszkaniu Krystyny Wassus-Kydryńskiej, gdzie się przez pewien czas ukrywał i gdzie ja też się ukrywałem. Umiał drukować i chyba coś drukował dla Janka Paculi.*

Vavrušák do dziś pamięta, że Bocian zaprowadził go do mieszkania Krystyny Wassus-Kydryńskiej przy ul. Ziai, gdzie ukrywał się około dwóch miesięcy.

W tym okresie Vavrušák kontaktował się nadal ze środowiskiem NZS, co umożliwiało SB jego inwigilację.

Z raportu TW „Grzegorza" z 30 stycznia: *W dniu dzisiejszym TW widział się z Bronkiem oraz z Martą z Nowej Huty (chodzą oni razem). Bronek pokazywał TW drugi numer Biuletynu Małopolskiego, którego – jak mówił – wydali 1 tys. egz. z czego 500 dla Krakowa, a pozostałe dalej. Bronek prosił TW pilnie, aby kupił mały magnetofon kasetowy oraz maszynę do pisania (walizkową)* [Niestety, donosy TW „Grzegorza" nie wyjaśniają tego, po co „Bronkowi" był mały magnetofon. Można się domyślać, że chciał kogoś potajemnie nagrać, ale w jakim celu – tego nie wiemy. Nie wiemy też, skąd „Bronek" miałby pieniądze na zakup magnetofonu i maszyny] *(...). Zadania dla TW: w dalszym ciągu kontrolować działania Bronka.* W donosie podano także dokładny adres domowy Marty Chmurskiej.

Z donosu TW „Grzegorza" z 1 lutego: *W sobotę z Bronkiem i Martą byliśmy w kawiarni na ul. Ziaji. Bronek miał drugi numer Biuletynu Małopolski* [Tu następuje obszerny opis zawartości numeru]. *Bronek potrzebuje:*

– jak najszybciej mały magnetofon kasetowy, sprawny (im mniejszy, tym lepszy),

– za dwa tygodnie – walizkową maszynę do pisania.

Dysponuje złotówkami, innych walut nie posiada. Na wypadek potrzeby zakupu w Pewexie interesował się kształtowaniem ceny dolara. Po spotkaniu Bronek z Martą udali się do DS „Piast" na poszukiwanie znajomej Marty (...). Ma duże zapotrzebowanie na papier („Więcej papieru to więcej egzemplarzy"). Potwierdził wiadomość o wpadce Gila („Nie znamy się niestety na zasadach konspiracji, więc duże straty są nieuniknione").

Przedsięwzięcia: ustalić w DS „Piast" czy Marta odwiedziła kogoś w akademiku.

Zadania dla TW: w dalszym ciągu kontrolować działalność Bronka, zaoferować mu pomoc w druku, ustalić punkt kontaktowy w wypadkach nagłych.

Innym charakterem pisma dopisano poniżej m.in.: *Na „Bronka" proszę założyć teczkę, gdzie należy zgrupować uzyskane dotychczas o nim materiały (w tym wykaz osób, które mogą potwierdzić jego pobyt na strajku w Collegium Novum) (...).* Podpis nieczytelny.

Tak więc na początku lutego SB założyła osobną sprawę dotyczącą Vavrušáka. Niestety, nie ma tej teczki wśród zachowanych materiałów SB.

W wyniku inwigilacji Vavrušáka, SB wpadła na trop Ryszarda Bociana, ale nie wiedziała jeszcze, że jest on działaczem KPN – w tym czasie Bocian prowadził intensywną działalność w podziemnej „Solidarności".

Z donosu TW „Grzegorza" z 3 lutego: *W dniu wczorajszym TW spotkał się z kolegą Bronka prawdopodobnie (wg Marty) pracownikiem Instytutu Nauk Akademii Medycznej. Rysopis: około 33 lat, 170-175 cm wzrostu, ciemne włosy, czesane na bok, niebieski sweter ze znaczkiem Matki Boskiej, szczupły, okulary, brązowa oprawa. Powiedział on TW, aby nie załatwiał nic Bronkowi, ponieważ oni mają wszystko, a Bronek nie może chodzić po mieście, gdyż jest to nieostrożne. Jest on specjalistą od poligrafii i dlatego muszą go dobrze pilnować. Teraz jest w pewnym mieszkaniu (...). Z rozmowy TW z kolegą „Bronka" można było wywnioskować, że ma on dzieci, co najmniej dwoje (...).*

Zadania dla TW: ustalić w rozmowie z Martą, gdzie przebywa Bronek, ponieważ może jest mu coś potrzebne (…).

Z donosu TW „Grzegorza" z 6 lutego: *TW przekazał mi, że był u niego kolega Bronka z AM, przyniósł 4 egzemplarze drugiego numeru Biuletynu Solidarności. 3 egzemplarze były dla Marty (Zabrała je w piątek wieczorem) a jeden do czytania dla studentów (...). Kolega Bronka powiedział, że w miarę ukazywania się kolejnych numerów Biuletynu, i ewentualnie innych materiałów, będzie dostarczał wszystko TW i łącznik będzie odbierał wszystko od niego (...).*

Zadania dla TW: (…) zaproponować koledze Bronka pomoc w roznoszeniu bibuły.

8 lutego SB ustaliła już imię i nazwisko Ryszarda Bociana. Z meldunku por. Ciosia: *Okazałem TW kilka zdjęć celem rozpoznania osób mu znanych. Rozpoznał zdjęcie Ryszarda Bociana – tego który przychodził do Bronka i który przyniósł 4 egzemplarze Biuletynu Małopolski nr 2 (...).*

Przedsięwzięcia: wyciąg dot. Bociana dla tow. Stasielaka [Chodzi prawdopodobnie o por. SB Wiesława Stasielaka].

Kolejny donos TW „Grzegorza", w którym pojawia się Bocian, nosi datę 17 lutego: *Zadania: (…) jeśli do TW przyjdzie Bocian, zapytać się co robi Bronek oraz czy nie potrzebuje pomocy.*

Z donosu TW „Grzegorza" z 24 lutego: *Po południu TW spotkał się ze Ślusarkiem, który powiedział, że powstała grupa, która ma kontakt z Bronkiem i Ryśkiem* [Bocianem] *(który dał TW Biuletyn Solidarności). W skład tej grupy wchodzą m.in.: Kozielski i kolega Ślusarka z pokoju. Będą oni mieli kontakt z przedstawicielami Solidarności i będą im podlegali. Podobno Biuletyn nr 3 jest już na ukończeniu i w przyszłym tygodniu będzie do rozprowadzenia. Grupa ta będzie m.in. pomagała w zabezpieczeniu miejsca druku. Będą mieli małe radiostacje (krótkofalówki) za pomocą których będą się porozumiewać (...).*

Przedstawicielem „Solidarności", któremu wspomniana grupa miała podlegać, był prawdopodobnie Jan Pacula, który niebawem wszedł w skład RKW.

Jan Pacula: *Kontaktowałem się z Bronkiem w czasie, gdy sam się ukrywałem. Jednak wiosną 1982 zerwałem z nim kontakty, bo zaczął się zachowywać nieostrożnie: jawnie chodził na demonstracje, spotykał się z przygodnie poznanymi studentami. Przez pewien czas ukrywał się u żony Tadeusza Jakobszego – Grażyny. Z uwagi na jego nieostrożność, wypowiedziała mu mieszkanie.*

O nieostrożnym zachowaniu „Bronka" donosił także TW „Grzegorz" w meldunku z 2 marca: *Ze względów bezpieczeństwa Lubiński nie kontaktuje się z Bronkiem.* [Mówi że] *w razie przypadkowego spotkania z Bronkiem, nie wykonywać jego poleceń, a zwłaszcza nie nabywać mu maszyn do pisania, magnetofonów itp. Bronek jest „niesforny", próbuje stale działać na własną rękę, co przysparza kłopotów jego opiekunom (...).* Z powyższego donosu zrobiono wyciąg (w 2 egz.) obejmujący informację dot. Bronka (dokładnie ten fragment, który podano wyżej). Dekretacja wyciągu: *1- N-k, 2 – t. pracy.* Wynika z tego, że meldunki na temat Bronka kierowano nie tylko do teczki, którą założono na Vavrušáka, ale także do rąk naczelnika Wydziału III SB kpt. Wiesława Hryniewicza. Być może rozpracowywanie Vavrušáka odbywało się we współpracy z czechosłowacką StB i z tego powodu materiały te były u naczelnika, który kontaktował się ze swoim odpowiednikiem w CSRS (analogicznie, jak w sprawie Grudniewicza, którego rozpracowanie przez SB odbywało się we współpracy z WSW, a kontakty SB-WSW prowadzone były ze strony SB na szczeblu naczelnika Wydziału III-1).

Z donosu TW „Grzegorza" z 8 marca: [Wg Lubińskiego] *człowiek, który przynosił do Grzywacza drugi numer Biuletynu* [Chodzi o Bociana] *to wspaniały i zaufany gość. Lubiński nie wie, czy jest już gotowy nr 3. Jedynym zadaniem „Bronka" jest przeżyć. Powinien on siedzieć w bezpiecznym miejscu, ale ten tuman wychodzi. Parę osób widziało go już w Jagiellonii* [klub studencki w piwnicach na rogu ul. św. Anny i Jagiellońskiej, w którym gromadzili się w początku stanu wojennego opozycjoniści]. *To debilizm. Dysponował on dowodem osobistym, w którym dorobił wymeldowanie i nowe zameldowanie oraz pieczątkę zatrudnienia w Krakowskich Zakładach Tytoniowych. Bronek jest w Polsce od lat .Od sierpnia do listopada 1981 przebywał w Gdańsku, potem w Krakowie. Obecnie trzeba mu przygotować lepszy dowód z pieczątką (podrobiona przez tego samego fachowca) Polskiego Związku Głuchoniemych.* Wyciąg z tego donosu dotyczący „Bronka" trafił do naczelnika Wydziału III.

Ponieważ w mieszkaniu przy ul. Ziai była także podziemna drukarnia, to Vavrušák musiał je po pewnym czasie opuścić. Wtedy przeniósł się do Marty Chmurskiej, studentki UJ, którą poznał na strajku w 1981 roku. W jego głosie czuć pewien żal, że był przerzucany z jednego mieszkania do drugiego. „Czułem się jak piłka" – mówi – „ale dziś rozumiem, że tak musiało być". Ludzie byli wtedy zmęczeni, ukrywali go już 4 miesiące i powoli zaczynali mieć dosyć tej sytuacji. Z tego powodu bardzo ceni sobie pomoc Chmurskiej, w tych trudnych dla niego chwilach. Chmurska załatwiła dla niego pomoc żywnościową w Kościele, bo nie miał ani kartek, ani pieniędzy.

Marta Chmurska: *Jurek ukrywał się u mnie w mieszkaniu. Nie byliśmy parą, pomagałam mu ze względów ideowych.*

***

16 marca 1982 roku został zatrzymany Marian Kozielski. 27 maja na ławie oskarżonych wraz z nim zasiedli: Jacek Fryźlewicz (ur. 1960) oraz Małgorzata Podsiadło (ur. 1963). Oskarżenie obejmowało jedynie druk i kolportaż ulotek oraz stemplowanie obwieszczeń władz państwowych znakiem swastyki w Nowym Targu. Kozielski dostał 3 lata więzienia, pozostali – kary w zawieszeniu. 4 lipca 1983 roku Kozielski na wniosek swój oraz rodziny został ułaskawiony uchwałą Rady Państwa, a w październiku 1983 r. – objęty amnestią.

Z donosu TW „Grzegorza" z 3 kwietnia: *K. Ślusarek był dwukrotnie* [nieczytelne trzy słowa] *wzywany na komendę. Tak samo Bodzio. Bodzia pytano m. innymi o: kto przychodził do pokoju 595, co zna o Grzywaczu, Lubińskim, Bronku, kiedy Bronek nocował w 595. Ślusarka – głównie o Kozielskiego i kontakty z nim. Obu proponowali „współpracę", co odrzucili. SB wie dużo, dysponuje zdjęciami Bronka zrobionymi ukrytym aparatem. Kozielski zagrzebany jest w całości. W związku z jego sprawą Ślusarek przypuszcza, że przesłuchanie drugiego dnia prowadził Nowy Targ. Kozielskiego ma bronić adwokat, który bronił Gila. Ślusarek zamierza jakiś czas nic nie robić, gdyż obawia się, że jest inwigilowany. Lubiński: „Historia Kozielskiego musiała się tak skończyć. Są to przykre skutki zadawania się z niewłaściwymi ludźmi". Lubiński w związku z zaabsorbowaniem rodziny i ciężką sytuacją materialną (niemniej z pracy u ogrodnika nic nie wyszło) deklaruje wycofanie się z jakiejkolwiek działalności – „Zresztą ja myślę już tylko o tym, żeby razem z żoną i córką znaleźć się na Zachodzie. Z ludźmi takimi jak Sienkiewicz, Krawczyk, a nawet Kalita i Lasota" – widywał ich ostatnio stale razem – „nie ma sensu się zadawać, bo to się może przykro skończyć. Jedyną ekipą sensowną na aktualne czasy byłby były SKS, ale wiara rozpierzchła się po całym świecie".*

Trzeba jednak przyznać, że członkowie SKS duchem byli ciągle obecni w kraju, o czym świadczy informacja operacyjna spisana 6 czerwca 1983 roku ze słów TW „Wojtka", zawierająca relację ze spotkanie z o. Kłoczowskim, który właśnie wrócił z Paryża, gdzie spotkał się z czołówką byłego SKS-u*: Przekazali pozdrowienia dla wszystkich przyjaciół w kraju oraz życzyli im wytrwałości i zdecydowania w walce z reżimem.*

Dopisek pod donosem TW „Grzegorza" z 3 kwietnia: *Zadania dla TW: udać się do Lubińskiego i zapytać go o adres M. Chmurskiej celem nawiązania z nią kontaktu.* Poniżej, innym charakterem pisma, polecenie: *Proszę przygotować rozmowę z Lubińskim.*

Z notatki oficera prowadzącego TW „Grzegorza" z 1 czerwca: *TW przekazał mi, że wczoraj, kiedy spotkał się z Dorotą Maciaszek, która powiedziała mu o zatrzymaniu na 48 Ślusarka oraz przesłuchaniu pozostałych mieszkańców pokoju. SB pytało się o „Bronka" (wiedzieli, że spał po strajku w pok. 595 w Żaczku), Kozielskiego, Grzywacza, Lubińskiego, Dorotę Maciaszek. D. Maciaszek powiedziała, aby nie chodzić do Ślusarka, ponieważ mieszkanie jest pod obserwacją. Maciaszek powiedziała również, że była w sprawie skreślenia z listy studentów u Błońskiego. Błoński powiedział jej, że gdyby nie podpadła na milicji, wówczas mógłby ją zostawić na uczelni, ale w takiej sytuacji pozostawienie jej na uczelni oznacza narażenie swojego stanowiska.*

***

Już na początku lutego 1982 roku SB była zdecydowana zatrzymać Vavrušáka. W raporcie z 4 lutego jako jedno z zadań dla TW „Grzegorza" czytamy: *Cały czas mieć na*

uwadze stworzenie takiej sytuacji operacyjnej, która doprowadzi do zatrzymania „Bronka". Doszło do tego 30 marca 1982 roku.

Vavrušák, opisując swoją wpadkę, zaczyna mówić coraz wolniej, jakby z trudem.

Andrzej z Gdańska, który mu dał adresy w Krakowie, miał tam kumpla imieniem Zenek (Vavrušák nie jest pewien tego imienia, w rzeczywistości chodzi o Tadeusza Drwala). Obaj mieli około 20-22 lata. Zenek się żenił (kilka miesięcy później wyjechał do USA). Vavrušák poszedł na ten ślub i został sfotografowany przez jakiegoś, jak to dziś określa, „prowokatora". Po weselu poszli do tego fotografa i Vavrušák mu powiedział, żeby wyciął z filmu te klatki, na których go widać. Fotograf mieszkał ok. 300 metrów od mieszkania Wassus-Kydryńskiej. Vavrušák wziął stamtąd negatywy, a gdy poszedł w kierunku Plant, po chwili został zatrzymany. Było to na tej samej ulicy, na której czekała na niego Chmurska. Idąc chodnikiem, usłyszał dźwięk silnika samochodu, który jechał obok niego wolno, na pierwszym biegu. Raz był przed nim, raz za nim. Nagle samochód się zatrzymał, wyskoczyli cywile z pistoletami w ręku, jeden uderzył go. Wsadzili go do samochodu i z wielką szybkością zabrali na Mogilską. Czuł się „poniżony, wkurwiony i przegrany".

Chmurska: *Byliśmy umówieni na ul. Manifestu Lipcowego. On nie przyszedł na to spotkanie. Zobaczyłam tylko, że niedaleko ode mnie zatrzymała się nyska milicyjna, kogoś wciągnęli i potem gwałtownie odjechali. Wtedy został zatrzymany.*

Dokumentacja zachowana w archiwach IPN potwierdza słowa Marty Chmurskiej – zatrzymania dokonali milicjanci, nie tajniacy.

***

Zanim Vavrušáka zatrzymano, odnowił kontakty z krakowskim środowiskiem hipisów.

Drwal: *W czasie stanu wojennego Bronek przyszedł do mnie pewnego dnia. Mieszkałem wówczas przy placu Żydowskim. Miałem dobre kontakty ze środowiskiem solidarnościowym: brałem udział w strajku w HiL po 13 grudnia, dostałem pełnomocnictwa od Gila do podejmowania działań w podziemnych strukturach „Solidarności", miałem kontakty z Paculą, z Lechem Dziewulskim z Zarządu Regionu. Powiedziałem paru osobom, że chłopakowi warto byłoby pomóc. Po 13 grudnia nie ukrywali go już chyba hipisi, tylko ludzie z „Solidarności", ale prosił nas, abyśmy pomogli mu załatwić lewy paszport. W tym celu przyniósł mi swoje zdjęcie, które własnoręcznie podpisał: „Jiri Jaroušek". Byłem przekonany, że to jest jego prawdziwe nazwisko. Potem straciłem go z oczu, bo na początku kwietnia 1982 zostałem internowany na dwa miesiące. W grudniu 1982 opuściłem Polskę i wyemigrowałem do USA* [Drwal wrócił do Polski we wrześniu 1988 r.]. *Do czasu mojego wyjazdu nie spotkałem już „Bronka".*

W pierwszych miesiącach 1982 roku Vavrušák musiał trafić ponownie do hipisowskiej komuny. Wojciech Michalewski „Tarzan" wspomina pobyt Czecha w Krakowie, nie podając, czy chodzi o Vavrušáka, Němčoka czy Kotoučka. Wzmianka o tym, że był to działacz opozycyjny, wskazuje jednak na Vavrušáka, bo tylko on spośród czeskich hipisów przebywających wówczas w Krakowie przedstawiał się, jako współpracownik Karty 77 (Rajdoš nie miał w Krakowie kontaktu z hipisami). Z drugiej strony informacja, że Czech wyjechał do Gdańska (już po wprowadzeniu stanu wojennego) nie pasuje do Vavrušáka, bo on wtedy (przedwiośnie 1982 r.) nie wyjechał, ale został aresztowany. Nie można jednak wykluczyć, że informacje autora o wyjeździe Czecha do Gdańska była nieprawdziwa. Wiemy też, że Vavrušák planował w tym czasie wyjazd do Gdańska i być może stąd jego zniknięcie autor książki tłumaczył sobie wyjazdem.

Oto fragment „Mistyków i narkomanów" dotyczący Czecha:

Czech to osobna historia. Przyjechał do Polski jeszcze za Solidarności, bo u nas więcej wolności. Potem, gdy wolność się skończyła, ukrywało go podziemie, ale przestraszyli się w końcu i chłopak poszedł ukrywać się u artystów. Od nich trafił do nas. Cóż, do partyzantki i stanu wojennego byliśmy przyzwyczajeni „od zawsze", więc ukrywaliśmy go.

Mimo iż z nas wszystkich miał najwięcej powodów do zdenerwowania, imponował nam swoją zimną krwią. Pamiętam, że kiedyś w czasie napadu milicji spokojnie siedział w kuchni i naprawiał piecyk gazowy. Naokoło krzyki, bicie i ogólna rozpierducha, a on dłubie flegmatycznie w bebechach junkersa. W końcu któryś z umundurowanych bandytów zainteresował się i nim.

— A pan, co tu robi?! – wrzasnął.

— Nie widać? – zdziwił się łagodnie Czech. – Pracuję. Milicjant kiwnął głową i zostawił go w spokoju (...).

Kolejny fragment książki dotyczy nalotów MO i SB po „wyjeździe" Czecha. Z kontekstu wynika, że mogło to być 12 kwietnia 1982 roku (w przeddzień 13): *Stuk! Stuk! Wstaję i podchodzę do drzwi.*

— Kto tam?

— Milicja, proszę otworzyć!

Cholera! Wiking już poszedł do pracy, a Aśka z Bolkiem na zakupy. Chwała Bogu, że nasz Czech wyjechał do Gdańska. Na chacie jest za to Zbójnik i jakiś jego kumpel, czort wie, czy od nas, czy z Solidarności. Otwieram drzwi i... oddycham z ulgą. W progu widzę sierżanta Garcię i porucznika Bańko z „antynarkotycznej" (…).

Widząc w drzwiach tłuściutką buźkę Garcii, zawołałem do mieszkańców.

— Spokojnie, to rodzina przyszła z wizytą. Zaczęło się rutynowo – sprawdzaniem śladów na rękach. Potem dokumenty i rewizja. Poszukiwany nikt z nas nie był, a i narkotyków nie znaleźli. Potem wszystkich zabrali na komendę. Zostałem ja, bo miałem być świadkiem rewizji mieszkania.

— A teraz nie róbmy się w konia – powiedziałem. – Wcale nie chodzi wam o narkotyki. Jutro jest trzynasty. Szukacie ludzi z podziemia.

— Jakie tam podziemie – skrzywił się Bańko. – Bandy chuliganów rozrabiają i tyle. A jak jesteśmy przy temacie. Masz jakieś ulotki?

— A co ja bym z nimi robił? Na skręty za grube.

Wybiegł

Na środku pokoju stała sobie tymczasem ogromna torba Zbójnika właśnie ulotkami wyładowana.

— Jak nie masz ulotek, to nie mamy czego szukać – stwierdził Bańko i popchnął torbę w kąt. – No, czas na komisariat.

— Psa mam zabrać ze sobą?

— Nie, niech mieszkania pilnuje.

Niestety, wynikła następna komplikacja. Nie miałem klucza do mieszkania. Do tej pory załatwialiśmy ten problem w ten sposób, że zawsze ktoś był w domu.

— I jak my teraz zostawimy mieszkanie otwarte? – zafrasowali się milicjanci.

— Zwyczajnie. Przymkniemy drzwi i...

— Ty możesz olać, ale jak coś zginie, to na nas będzie. Na pewno nie masz klucza?

— Nie.

— Coś mi się wydaje, że kręcisz.

— Na krzyż przysięgam, że nie.

— Z krzyżem to ty mi nie wyjeżdżaj. Niewierzący jestem.

— Przecież jak przysięgnę na honor Polaka, to od razu będzie pan wiedział, że kłamię.

— A czort z tobą. Zostań. – Poszli (...).

Gdzieś koło trzeciej wszyscy, również ci zabrani przez milicję, wrócili do domu. Była też babcia Bolka. Trochę zbulwersowana, bo kto to widział, żeby sąsiedzi widzieli, że nas milicja wyprowadza.

— Widzi pani, teraz są takie czasy, że to raczej zaszczyt niż wstyd – tłumaczę spokojnie starszej pani. Wszyscy roześmiali się, tylko Wiking był poważny.

— Wy dwaj – zwrócił się do Zbójnika i jego kumpla. – Bierzcie ulotki i zmywajcie się. Czuję, że to jeszcze nie koniec całej sprawy.

Nie zawiódł go nos. Przed wieczorem mieliśmy jeszcze jedną rewizję. Tym razem SB.

Kolejny fragment książki zaczyna się od słów: *Idzie wiosna...,* co wskazuje, że opisane wyżej wydarzenia miały miejsce na przedwiośniu.

Michalewski nie skojarzył nalotów MO i SB na swoje mieszkanie z „wyjazdem" Czecha, bo środowisko hipisów było ciągle nękane przez milicję.

***

Vavrušák dziś opowiada, że wzięli go na przedostatnie piętro na Mogilskiej i zaczęli przesłuchiwać. Wiedząc, jak bezwzględna i brutalna była milicja w stosunku do hipisów, możemy sobie wyobrazić, jak potraktowano Vavrušáka. On sam dziś, opowiadając o tym okresie swego życia, bardzo głęboko nabiera ustami powietrze. Coraz częściej wtrąca słowa z czeskiego, rosyjskiego (jak mówi – jego druga żona była Rosjanką), a nawet słowa po duńsku.

— Tragedia, owszem, była... Nie będę mówić. Przepraszam...

Jak twierdzi Vavrušák, w tym czasie (tj. w pierwszych miesiącach 1982 r.), NZS stworzyło siatkę w Nowym Sączu. Ludzi, którzy to robili, poznał na strajku na UJ. Byli tam Dorota („przepiękna babka", w której Vavrušák od razu się zakochał – chodzi prawdopodobnie o Dorotę Maciaszek) i Marek (student z Nowego Sącza – chodzi prawdopodobnie o Mariana Kozielskiego, na którego mówiono też „Marek"). Mieli tam niewielką



Jiri Vavrušák. Wzięli go na przedostatnie piętro na Mogilskiej i zaczęli przesłuchiwać. Wiedząc, jak bezwzględna i brutalna była milicja w stosunku do hipisów, możemy sobie wyobrazić, jak potraktowano Vavrušáka. On sam opowiadając dziś o tym, bardzo głęboko nabiera ustami powietrze i milknie. – *Tragedia owszem była... Nie będę mówił. Przepraszam...* Fot. SB

grupę ludzi i powielacz. Było tak, że ulotki tej samej treści były drukowane w Krakowie i w Nowym Sączu i rozrzucane tego samego dnia. Jednym z pośredników w tej działalności był Vavrušák. Właśnie wracał ze spotkania grupy. Dlatego, gdy go zatrzymano, miał przy sobie w kurtce mnóstwo bibuły. To były ulotki, które już w Krakowie zostały wydrukowane, a w Nowym Sączu miały być wydrukowane następnego dnia. Żadne dostępne źródło nie potwierdza wersji Vavrušáka. Nic nie wiadomo o żadnej NZS-owskiej konspiracji w Sączu (niebędącym miastem akademickim) i ulotkach rozrzucanych równocześnie w dwóch miastach.

Jak mówi Vavrušák – SB triumfowała! Z dwóch powodów: mieli „tego skurwysyna", jak się wyraził, i trafili na kanał łączący Kraków z Nowym Sączem.

W tym momencie opowieści Vavrušák nerwowo zapalił kolejnego papierosa. Po jego zachowaniu widać, że był bardzo poruszony. Coraz wyraźniej można też zauważyć skutki pitego w trakcie rozmowy alkoholu.

— *Dostałem w dupę* – mówi. Na pytanie, co wtedy zrobił, odpowiedział:

— *Dla mnie teraz, w tej chwili, to bardzo ciężkie... Bardzo ciężkie...*

Mówi po czesku, że pierwsze 24 godziny na Mogilskiej były dla niego dramatyczne, bo miał dowód na nazwisko Kwiatkowski. Pytali go cały czas, kim jest.

— *Zdecydowałem się, że ...* – tu w jego relacji nastąpiła długa pauza.

— *Zdecydowałem się, że będę trzymał mordę...*

Po tych słowach nastąpiła jeszcze dłuższa przerwa. Z trudem nabierał powietrze, a głos mu drżał. Przerwał opowieść.

Chmurska: *Też zostałam zatrzymana na 48 godzin, przesłuchiwali mnie. Jak przyszli po mnie, to w domu były rzeczy Jurka, w tym matryce. Na szczęście nie zrobili dokładnej rewizji, tylko rozejrzeli się i nic nie znaleźli. Pytali, w którym pokoju nocował. Pokazaliśmy im z rodzicami inny pokój i do tego, gdzie były jego rzeczy, prawie nie zajrzeli. Powiedzieli, że Jurek został zatrzymany.*

Na Mogilskiej byłam przesłuchiwana na tych wyższych piętrach, które zajmowała SB. Była tam jakaś starsza kobieta. Pokazywała mi drobiazgi, które Jurek miał przy sobie i pytała się, czy je rozpoznaję. Dopytywali się, gdzie się ukrywał, z czego się utrzymywał.

Potem go przyprowadzili i zrobili nam konfrontację. Mówił spokojnie, rzeczowo, odniosłam wrażenie, że mu zależy na tym, abym go rozpoznała. Więc go rozpoznałam.

Wypytywali mnie o powielacz. Jurek ukrywał się przez pewien czas u dziewczyny, która mieszkała w lokalu położonym w okolicach Rynku Dębnickiego. Był u niej powielacz. Potwierdziłam im ogólnie, gdzie to było, ale mieszkania nie namierzyli. Wozili mnie samochodem w tamtych okolicach, abym wskazała dom, ale powiedziałam, że nie rozpoznaję tego miejsca. Chyba nie bardzo się przykładali.

Vavrušák wspomina, że po 24 godzinach powiedzieli mu, że wiedzą dobrze, że jest Czechem i że bardzo łatwo złamać mu nogi i wrzucić go do Wisły. Wtedy zaczął się bać.

W młodości miał bardzo dobrego kolegę, rówieśnika, który się nazywał Jiri Stanislav. Razem pracowali w straży pożarnej. Ten kolega w 1968 roku zbiegł do Kanady, potem do USA, i walczył na wojnie w Wietnamie, aby dostać obywatelstwo amerykańskie. Tam miał zostać zabity 5-8 lat przed 1982 rokiem (a więc pewnie około 1975). Vavrušák powiedział bezpiece, że nazywa się Jiri Stanislav. Bardzo dobrze wiedział, że tajne służby współpracują ze sobą i że polska SB będzie pytać o niego czechosłowacką StB. Powiedział tak po to, aby wyprowadzić polską bezpiekę w pole. Podobno Czesi odpowiedzieli Polakom, że nie znają człowieka o imieniu i nazwisku „Jiri Stanislav" i że go nie chcą przyjmować do siebie.

Z akt sprawy karnej przeciwko Vavrušákowi wynika, że 30 marca 1982 roku przy ul. Manifestu Lipcowego został zatrzymany przez patrol człowiek, który legitymował się sfałszowanym dowodem osobistym na nazwisko Jan Kwiatkowski. Udawał niemowę. Miał przy sobie dużo bibuły, maszynopis zatytułowany „Proces Krzysztofa Bzdyla" i znaczek KPN. Został przewieziony na Mogilską i tam zaczął mówić (przesłuchiwał go por. Stachowicz). Powiedział, że jest Czechem, nazywa się Jiri Stanislav i podał firmy, w jakich pracował w Czechosłowacji. Powiedział, że pod koniec 1981 roku przeszedł do Polski przez zieloną granicę, ale nie pamięta, jak to zrobił, bo był wtedy pijany. Jeździł po Polsce, był w Warszawie, we Wrocławiu i w Gdańsku, w końcu przyjechał do Krakowa. Z ciekawości poszedł na strajk studencki na UJ, a po ogłoszeniu stanu wojennego był na strajku w Hucie im. Lenina. Nie podał żadnych nazwisk, żadnych rysopisów, wykręcając się niepamięcią. Bibułę, którą miał przy sobie, twierdził, że znalazł przypadkowo gdzieś na parapecie. Podczas kolejnych przesłuchań, kilka dni później, zeznał, że nie nazywa się Jiri Stanislav, tylko Jiri Vavrušák, jest rozwiedziony, ma dwójkę dzieci. Powiedział, że jest związany z ruchem hipisów i w tym środowisku przebywał we Wrocławiu.

Bezpieka potraktowała sprawę Vavrušáka bardzo poważnie, być może podejrzewając, że odgrywał on ważną rolę w podziemiu solidarnościowym. W jej wyjaśnieniu brali udział doświadczeni oficerowie SB. W Krakowie: ppor. SB Kazimierz Ślusarczyk oraz inspektor SB Jerzy Stachowicz (w III RP wysocy rangą oficerowie kierownictwa UOP i ABW), w Gdańsku – kpt. Adam Hodysz (współpracował z opozycją, w III RP szef gdańskiego UOP).

Przesłuchano także obywatela PRL, mieszkańca Krakowa, który zeznał, że poznał Czecha o imieniu Bronek w Czechosłowacji, w pociągu do Bratysławy. Dał mu kartkę z numerem telefonu i zaproponował, że go przenocuje, gdyby ten był w Krakowie. I rzeczywiście, któregoś dnia Czech zadzwonił i zamieszkał u niego. Został tam ponad tydzień. Zaraz poszedł do kina na „Człowieka z żelaza". „Wydało mi się podejrzane, że dorosły mężczyzna ma w uchu kolczyk" – zeznał Polak. Czech pokazał mu paszport wystawiony na osobę o imieniu Bronislav, nazwiska nie zapamiętał.

Przesłuchana została też studentka IV roku psychologii UJ Marta Chmurska. Na wiele pytań odmówiła odpowiedzi. Z tego, co powiedziała, wynikało że zna Vavrušáka, który w mieszkaniu jej rodziców nocował tydzień czy dwa.

„Księga ruchu aresztu przy ul. Mogilskiej" potwierdza, że Vavrušák został przyjęty 31 marca 1982 roku pół godziny po północy. Trafił do celi nr 5 pod nazwiskiem z podrobionego dowodu osobistego – Kwiatkowski. Dołączył do dwóch siedzących tam więźniów (wymienionych z nazwiska), z których jeden był znanym przy Mogilskiej i Montelupich agentem celnym, wykorzystywanym przez lata przez SB i ochronę wewnętrzną Służby Więziennej. Po 5 dniach dokwaterowano im jeszcze jedną osobę, również znaną jako TWC. Do 8 kwietnia, Vavrušák-„Kwiatkowski" był wyprowadzany 5 razy na wielogodzinne przesłuchania. Na kolejne, 10 kwietnia, wypisano go jako „Iżwi", co jest zapewne zapisem ze słuchu imienia Jiri (czytaj Jiżi). 13 kwietnia został zabrany na kolejne przesłuchanie i znów zapisano go pod nazwiskiem „Kwiatkowski". Ale gdy przenoszono go do innej celi („przerzutka na Oddział III"), zapisany jest jako „Jri". To ostatni zapis z „Księgi ruchu" dotyczący Vavrušáka. Nosi on datę 20 kwietnia 1982.

Na Mogilskiej Vavrušák – jak twierdzi – usiłował popełnić samobójstwo. Po tej samobójczej próbie stał się – jak sam mówi – osobą nietykalną. Już go nie bili, nie torturowali. Ale nadal go trzymali w piwnicy. Siedział tam kilka miesięcy (raz powiedział, że 3 miesiące, innym razem, że około 2). Stanowczo twierdzi, że w areszcie przy Mogilskiej siedział sam (co jest sprzeczne z zapisami z „Księgi ruchu" oraz praktyką aresztów).

***

Meldunek por. Ciosia oparty na donosie TW „Grzegorza" z 7 kwietnia: *TW przekazał mi, że rozmawiał ze Ślusarkiem na temat ich przyszłej działalności. Ślusarek powiedział, że SB ma „Bronka". Widziała go Anka z pierwszego roku filologii polskiej. Była konfrontowana z nim, lecz nie przyznała się do znajomości z nim.*

W teczce pracy TW „Grzegorza" jest kilka dokumentów, które – jak można przypuszczać – są śladem pewnej kombinacji operacyjnej. Jej sensu możemy się tylko domyślać, gdyż nie udało nam się trafić na dokumenty dotyczącej jej planu czy też zawierające jej analizę.

Otóż, na donosie TW „Grzegorza" z 12 maja (w którym nie ma słowa o „Bronku") jest odręczna adnotacja jakiegoś esbeka (tego samego, który wydawał polecenia dla por. Ciosia, prowadzącego TW „Grzegorza") z pytaniem: *Czy omówiono zadanie dot. Bronka i udziału we mszy?* Ta adnotacja dowodzi, że TW „Grzegorz" miał wziąć udział we mszy (z kolejnych dokumentów wynika, że chodziło o mszę w kościele Mariackim 13 maja), co wiązało się z jakimś zadaniem dotyczącym Bronka.

Z donosu TW „Grzegorza" z 14 maja wynika, że dzień wcześniej po mszy w kościele Mariackim został on zatrzymany przez SB i umieszczony na Mogilskiej w jednej celi z… „Bronkiem". W ten sposób Jiri Vavrušák przekazał znajomym studentom różne informacje oraz wydał polecenia Marcie Chmurskiej. Ponieważ Andrzej Grzywacz (czyli TW „Grzegorz") rzeczywiście przekazywał później studentom i Chmurskiej informacje dot. Vavrušáka i robił to za wiedzą i pod kontrolą SB, więc można przypuszczać, że wszystko zostało ukartowane. Jego zatrzymanie 13 maja, pobyt w celi z „Bronkiem" oraz przekazanie znajomym „Bronka" studentom informacji od niego, to realizacja planu SB. Celem tej kombinacji było prawdopodobnie uzyskanie informacji o kontaktach Vavrušáka w środowisku NZS i (lub) stworzenie fałszywej legendy o jego zachowaniu w śledztwie. Nie mamy danych i nie wiemy, czy Vavrušák wziął udział w tej kombinacji świadomie, czy też została ona przeprowadzona bez jego wiedzy. Nie wiemy też, dlaczego SB nie posłużyła się w tej kombinacji tak ulubionymi przez siebie i często stosowanymi grypsami. Być może SB chciała sprawdzić Vavrušáka przy pomocy podstawionego agenta? Może chciała też go osaczyć, przekazując mu później w czasie przesłuchania informacje, które pochodziły z jego rozmowy w celi z Grzywaczem, umacniając w nim w ten sposób przeświadczenie o wszechwiedzy i wszechmocy SB? Potwierdzeniem tej ostatniej hipotezy jest – jak to wynika z dalszej części rozmowy z nim – głębokie przekonanie Vavrušáka, że Andrzej był człowiekiem, który wydał go bezpiece.

Oto pełna treść donosu TW „Grzegorza" z 14 maja 1982 (nie jest to list od „Bronka", bo pisany jest ręcznie tym samym charakterem pisma, co inne donosy TW „Grzegorza", ale słowa „Bronka" są zapisane w 1 osobie, jest to więc jakby cytat słów „Bronka"):

Marta Chmurska, os. Piastów (…). Zgłosić się i opowiedzieć, jak doszło do spotkania z Bronkiem (to szczęśliwy traf, jest tu 15 cel i akurat tak wypadło, musieli przeoczyć w pośpiechu, bo naturalnie studenta z UJ by tu nie dano). Przekazać: Markowi Lubińskiemu – niech pacyfiści uważają [Chodzi o środowisko hipisów – co ciekawe SOS założony na to środowisko miał kryptonim „Pacyfiści" – jego figurantami byli: Tadeusz Drwal, Jarosław Kazubowski, Monika Szemberg i Krzysztof Sobieralski; niestety został w całości zniszczony]*, bo SB o nich wie. Pokazywali na zdjęciu (lub pytali) o Drwala i „Hermesa", wyparłem się znajomości. Chyba wiedzą o tym, że byłem na ślubie Drwala.*

Marcie Chmurskiej:

– dziękuję za paczki (wytłumaczyć jak przekazać w paczce gryps, ewentualnie ostrze

od scyzoryka), jest w nich wszystko, co potrzeba. Cytryn nie potrzebuję, wolę jabłka i rzodkiewki.

– W sprawie ślubu musi jechać do Warszawy, do Prokuratora generalnego, następnie na tej podstawie postarać się o dokument wyjazdowy do CSRS, gdzie siostra Bronka załatwi metrykę itp.

– Niech Marta idzie do grubej Joli z Rynku Dębnickiego i odbierze 2 kg papierosów, a Jolka niech odbierze od Janka (do którego zaprowadzi Martę Jolka) srebrną łyżeczkę, którą dał mu Bronek celem przerobienia na 2 pierścionki. Łyżeczkę (lub pierścionki) niech Marta sprzeda, bo potrzebne będą pieniądze.

– Wszystkim pozostałym osobom, do których Marta ma iść, niech przekaże, że są na mnie dwa zarzuty (nielegalne przekroczenie granicy, sfałszowanie dowodu osobistego). Do niczego innego się nie przyznam. Niech więc, jakby co, wszyscy mówią, że dowodu ani żadnego dokumentu nigdy u mnie nie widzieli. Zeznałem, że pieczątkę odzyskałem(?) sam z dowodu, który w kawiarni autentycznie wyjąłem z kieszeni pijanemu, odzyskałem (?) w WC, a następnie dowód pijaka włożyłem mu do kieszeni ponownie. Znaleziony przy mnie spis telefonów jest tylko częściowo rozszyfrowany przez milicję, która zresztą błędnie myśli, że są to telefony wyłącznie z Krakowa. Niemniej niech Marta wszystkich, z którymi się kontaktowałem, telefonicznie uprzedzi.

Osoby do kontaktu: osiedle XXX-lecia (Marta wie gdzie), „malarze" (zabrać od nich i schować maszynę do pisania), Kryśka (skontaktować się z nią pod pretekstem nauki francuskiego, opowiedzieć wszystko i konsultować dalsze posunięcia).

Bronek podejrzewa o sypanie ze strajku Tomaszewskiego i Staszka (?) oraz kogoś z wesela Drwala.

Pytał się o ludzi, z którymi kontaktował się już w stanie wojennym: Kalita, Susuł, Ślusarek, Lubiński z żoną, Anka z prawa, Rokita, Adamus.

Niech Marta (może ty i Ślusarek pomoglibyście?) zorganizuje zbiórkę pieniężną oraz sprzeda łyżeczkę, ewentualnie maszynę do pisania. Trzeba będzie ponad 100 tys. na adwokata i inne koszty. Od grubego Romka odebrać 3 dolary lub złotówki za bagnet, który mu sprzedałem. Od Lubińskiego 1 tys. zł (chyba, że jest w ciężkiej sytuacji i nie ma), które mi jest winien.

„Pod celą był ze mną chłopak w sankcji za dwa włamania do Jubilata i jedno do Peweksu (lub odwrotnie). Milicja przeszukała mu cały dom, ale słoik ze złotem jest zakopany w ziemi na podwórku".

Zatrzymali mnie we wtorek, w środę byłem umówiony ze Ślusarkiem, który pewnie na mnie czekał. Oni wiedzą, że wiem dużo o poligrafii – łącznie z adresami, ale ja im nic nie powiem. Jeśli uda się, będę (i Marta też) twierdzić, że poznaliśmy się już dawno, a ja przekroczyłem granicę, idąc właśnie do niej, bo chcemy się pobrać. Powiedz wszystkim, niech nie próbują uciekać przez CSRS do Austrii – na tamtej granicy mysz nie przejdzie, tu przewieźli już dwa autobusy złapanych na granicy CSRS – Austria a ludzie dalej lezą jak ćmy do światła.

Bronek w celi zachowuje się spokojnie, twierdzi, że przywyknął do warunków A.Ś. Żali się na „podłe żarcie" i nudę. Przez pewien czas był w celi z lekarzem zatrzymanym za kolportaż ulotek – wybitnym specjalistą od spraw sercowych i płucnych, więc rozmawiali dużo. Niestety inni współtowarzysze to byli kryminaliści o niskim poziomie inteligencji, z którymi nie ma tematu do rozmowy. Zresztą polityczni winni się trzymać z politycznymi, a nie z kryminalnymi. Dużo czasu spędza przy uchylonym oknie, z którego (jeśli stanąć ukosem do okna) widać fragment parkingu i ruch ludzi i pojazdów. Spodziewa się po za-

kończeniu śledztwa przekazania do Warszawy, a następnie ekstradycji bez rozprawy lub po rozprawie. W obu przypadkach oznacza to karę pozbawienia wolności w CSRS. Według szacunku Bronka 5-10 lat, ale po roku (najdalej 1,5 roku) Bronek ucieknie i przyjedzie do Krakowa, bo miasto i poznani tu ludzie bardzo przypadli mu do gustu. Będzie więc potrzebował pewnych kwater i dokumentów. Wg twierdzeń Bronka jedynym prawdziwym celem ewentualnego ślubu jest próba wpływu na postępowanie w sprawie Bronka (jego zdaniem rzucałoby to dla sądu inne światło na całą rzecz). O Marcie mówił, że to dobra dziewczyna, porządna, ale określeń o zabarwieniu emocjonalnym nie używał. Dopytywał się o przebieg manifestacji (3 maja, 13 maja) i o rozwój konspiracji, a także o sankcje wobec studentów działających. Chwalił sobie tłumacza (to porządny gość, Polak urodzony w Ostrawie, rozmawialiśmy o różnych miejscach w CSRS). Mówił, że przez pierwszy okres po zatrzymaniu był przesłuchiwany po trzy razy na dzień, czasem w czasie przesłuchań przykuwany do kraty (o innych szczegółach nie chciał mówić). Teraz ma już spokój, przesłuchania 2-3 razy na tydzień. Chyba wiedzą już, że nic z niego nie wyciągną.

Donos TW „Grzegorza" zapisany przez oficera prowadzącego 23 maja: *W dniu wczorajszym TW spotkał się z Lubińskim. Chciał on wiedzieć coś bliżej na temat podejrzeń Bronka, co do uczestników ślubu Drwala. Pytał się, czy będzie mógł iść z nim do Marty Chmurskiej w poniedziałek, bo chciałby załatwić Marcie kilka spraw, o które prosił Bronek (...).*

Zadania dla TW: udać się z Lubińskim do Marty i dać mu po drodze do zrozumienia, że najlepiej byłoby jechać samochodem w te miejsca, ponieważ mogliby się szybciej poruszać [Prawdopodobnie chodzi o ułatwienie SB śledzenia poruszających się samochodem].

26 maja: *Ostatnio widząc się z kimkolwiek znajomym, opowiadam o spotkaniu z Bronkiem. Reakcje są bardziej stonowane, niż się spodziewałem (Lubiński, Tomaszewski, Romek, Ślusarek). Pytania: „Jak mu tam idzie?", „Czy ciągle jest na Mogilskiej?". I to wszystko. Lubiński i Romek z trudem przypominają sobie o nieuregulowanych zobowiązaniach finansowych wobec Bronka. Żadnych propozycji kontaktu z Martą, ewentualnej pomocy. Wszyscy zgodnie mówią: „Miałeś szczęście, że nie masz* [nieczytelne słowo]" (...). *Rozmawiałem z Chmurską. Przekazałem jej dokładnie wszystko, co mi Bronek powiedział. Wszystkie miejsca, gdzie ma iść, są jej dobrze znane, ale nie pójdzie tam natychmiast, bo pewnie jest obserwowana, a kontakt Bronka ze mną mógł być zaaranżowany przez milicję celowo. O linii obrony „ślub i narzeczeństwo" Marta nic nie wiedziała* [nieczytelne słowo], *że to bardzo ważne. Zdziwiła się, że musi jechać do Warszawy, do Prokuratora Generalnego. Powiedziała, że Bronek jest zastraszony, bo rozmawiała z prokuratorem i wie, że grozi mu* [nieczytelne słowo] *2-3 lata, a nie więcej. SB widocznie straszy go na przesłuchaniach. Marta nie będzie ryzykować żadnych grypsów, ani przesyłki ukrytych w paczkach. Grozi za to utrata widzenia, korespondencji itp.*

Uzupełnienie informacji: TW nie odczuł, aby były w stosunku do niego jakiekolwiek podejrzenia tak ze strony Marty, jak i innych znajomych. TW w dniu jutrzejszym pojedzie do Marty i zaproponuje jej, aby zobaczyć się z Bronkiem w czasie widzenia. Może TW uda się coś odebrać od Bronka.

Zadania dla TW: udać się do Marty i porozmawiać z nią na temat ewentualnej pomocy dla Bronka (…). Na spotkaniu wręczyłem TW kwotę 1 tys. zł. jako wynagrodzenie za dotychczas przekazane informacje i wykonanie zadania z dnia 13 maja br [Ta adnotacja dowodzi, że kombinacja operacyjna SB związana z zatrzymaniem i umieszczeniem TW „Grzegorza" w jednej celi z „Bronkiem" zakończyła się – wedle oceny SB – sukcesem]. Poniżej, innym charakterem pisma, napisano: *Wyciąg dot. reakcji Chmurskiej proszę włączyć do teczki Vavrušáka*.

Z donosu TW „Grzegorza" z 8 czerwca: *Indagowany zarówno przeze mnie, jak i przez Lubińskiego Ślusarek – na okoliczność zorganizowania zbiórki na rzecz Bronka wymawia się brakiem czasu z uwagi na nadmiar nauki i 4 egzaminy. W efekcie oznacza to odmowę współpracy przy tym zajęciu (...).*

***

Tymczasem Vavrušák trafił do Aresztu Śledczego przy Montelupich (zapisy ewidencyjne dotyczące zarówno Mogilskiej, jak i Monte podają, że było to 18 maja 1982). Jak opowiada, trafił do cel pod ziemią, gdzie na wysokości 2,5 metra było małe okienko na podwórko. Więźniowie mówili na tę część więzienia „getto" („getto" nie jest w piwnicy, ale na parterze, jednak wiezień mógł mieć wrażenie, że jest w piwnicy).

Tu ważna uwaga. Regułą było, że więźnia umieszczano w „getcie" dla poddania go „obróbce" agentury celnej kilka dni po zatrzymaniu. Jest to psychologicznie uzasadnione – więźniowie najwięcej mówili w celi tuż po zatrzymaniu. Byli w szoku po uwięzieniu, zdezorientowani, nie mieli jeszcze wiedzy o życiu w areszcie. Tak potraktowano Grudniewicza, Głowackiego, Tosia, Bika, Fischera, Załuskiego, Tukałłę, Handzlika, Fijaka... Inaczej potraktowano Papieża, który pozostał na Mogilskiej przez wiele tygodni, ale Papież zeznawał. W tym kontekście należy postrzegać fakt, że Vavrušák był przetrzymywany na Monte przez około 7 tygodni i dopiero wtedy trafił „na getto".

— *Trzymałem pysk, nie wydałem nikogo* – zapewnia. — *Z mojego powodu nikt z ludzi, o których mówiłem wcześniej, nie został zatrzymany*.

W aktach jest podanie Vavrušáka o umożliwienie mu widzenia „z Martą", która była jedyną jego bliską osobą.

Chmurska: *Chodziłam do niego na widzenia na Monte, załatwiłam adwokata – mec. Koscha.*

Vavrušák nie pamięta ludzi, z którymi siedział w „getcie". Siedział „z siedmioma małolatami na celi, jednym recydywistą i jednym debilem". Mógłby opowiedzieć ich historię, ale ich imion nie pamięta. Jednak po pewnej pauzie i długim łapaniu oddechu, odmówił, mimo nalegań. Powiedział, że podświadomie nie chce. — *To był bardzo ciężki okres. Nie jestem w stanie...* Wspomnienie Monte jest dla niego bardzo ciężkie (nie był już tam bity przez funkcjonariuszy – widać przykre wspomnienia z Monte wiążą się z innymi wydarzeniami, o których nie chce dziś mówić).

Chmurska: *Jurek mówił mi, że jak był pod celą, to niektórzy więźniowie byli zaniepokojeni, bo on dużo sobie notował na karteczce. Mówił, że to były nazwiska ludzi, którzy byli mu winni pieniądze w Czechosłowacji. Mówił, że siedział na Monte z kryminalnymi.*

Miałam dłuższy kontakt z jednym z tych kryminalnych, z którymi siedział. To był jakiś pijaczek.

Dałam Jurkowi do więzienia Pismo Święte. On je komuś oddał. Byłam potem z Jurkiem u tego więźnia, kiedy wyszedł z aresztu. Był pulchny, niski, łysawy. Mieszkał na os. Kalinowym. U niego Jurek wypił za dużo i opowiadał o jakiejś atandzie [specjalna jednostka Służby Więziennej do tłumienia buntów] *i jakichś drągach zakończonych rozwidleniem, którymi można chwycić człowieka i przydusić go do ściany. Wtedy widziałam w jego oczach silny strach.*

Już po deportacji Jurka przyszedł do mnie do domu mały, chudy, ciemny człowiek po trzydziestce, który wcześniej siedział za gwałt. Pytał o Jurka, ale jego już nie było.

Na prośbę Jurka zaniosłam paczkę na Monte, dla innego jego kolegi z więzienia. Strażnik powiedział mi o tym więźniu (widząc jego nazwisko na paczce): – „Niech pani sobie da z nim spokój".

***

Każdy z zatrzymanych Czechosłowaków przyznał się, że podrobił własnoręcznie dokumenty. Nie było żadnych dowodów na to, że się znali. Wiadomo było, że nie działali razem. Mimo to w jednym procesie stanęli przed sądem (Vavrušák – pod zarzutem nielegalnego przekroczenia granicy i podrobienia zdjęcia w dowodzie osobistym, Rajdoš – pod zarzutem podrobienia legitymacji studenckiej). 8 czerwca 1982 roku sprawę skierowano do sądu (obie sprawy prowadził jako śledczy por. SB Leszek Szczepkowicz – ten sam, który prowadził sprawę Tosia, Bika i Papieża) i 29 lipca 1982 roku zostali skazani: Vavrušák – na 1,5 roku, a Rajdoš – na pół roku więzienia.

Vavrušákowi nie postawiono zarzutu kolportażu nielegalnych wydawnictw, nie oskarżono go o współpracę z podziemiem solidarnościowym i o druk nielegalnej prasy.

Chmurska: *Władzom czeskim mogło zależeć, by nie zrobić z Jurka politycznego, „Czecha – męczennika" i stąd brak tortur oraz politycznego procesu.*

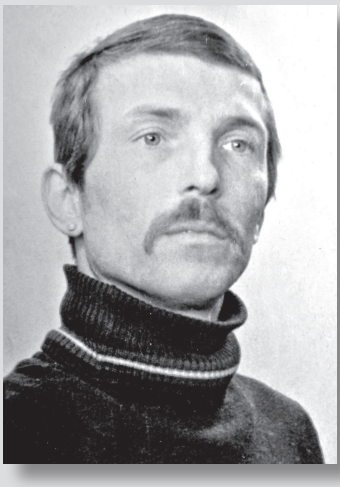
Pisała do mnie rok później jego siostra mieszkająca w Czechach. Miała na imię Pavla. Pisała, że w Czechach był później zatrzymany, ale chyba go puścili.

Pomysł ze ślubem cywilnym miał dać mu podstawę, aby mógł zostać tutaj, bo gdyby wrócił do Czechosłowacji, to mogą go czekać ciężkie przejścia – tak on to przedstawiał. Gdy poznałam go bliżej, to nabrałam wątpliwości do tej wersji. Zaczęłam podejrzewać, że prawdziwą przyczyną jego ucieczki z kraju były niezałatwione sprawy osobiste, niepłacone przez niego alimenty. Był rozwiedziony, miał dwoje dzieci – każde z inną kobietą. Pewnie to jedno z drugim było pomieszane (polityka i problemy osobiste).

Dokumenty dotyczące ślubu były w urzędzie w Krowodrzy. Konieczne dokumenty Pavla przekazała mi w Cieszynie, nielegalnie. Mimo że wszystko złożyłam w urzędzie stanu cywilnego, to ciągle pojawiały się nowe trudności.

Vavrušák twierdzi, że po 9 miesiącach kara została mu warunkowo zawieszona dzięki adwokatowi, którym był mecenas Jan Kosch. On powiedział, że może go wybronić tak, że w ogóle nie zostanie skazany. Vavrušák jednak chciał dostać wyrok w Polsce, bo bał się, że dostanie wyższy wyrok w Czechosłowacji.

14 grudnia 1982 roku Sąd Wojewódzki w Krakowie nieoczekiwanie zwolnił Vavrušáka z odbycia reszty kary (nie odsiedział jeszcze nawet 9 miesięcy z 1,5-rocz



Jiri Vavrušák. *Gdy go wypuścili, przyszedł do mnie i powiedział: – „W areszcie zwerbowali mnie i wysłali do ciebie". Pokazywał mi urządzenie do nagrywania, które mu dali: prostokątny, płaski instrument wielkości paczki papierosów, ale grubszy. „Dali mi to, żebym cię podsłuchiwał".* Fot. SB

nego wyroku), uznając go za niepoczytalnego i następnego dnia wypuścił na wolność. Co ciekawe, mimo że był skazany za nielegalny pobyt w PRL, nie został deportowany jak Rajdoš.

Wyrok wydaje się bardzo łagodny jak na realia stanu wojennego. Zarzut nielegalnego przekroczenie granicy i wielomiesięcznego nielegalnego pobytu w PRL był poważny. Dziwi brak zarzutów politycznych, mimo wpadki z dużą ilością bibuły i maszynopisami tekstów oraz wiedzy SB o prowadzeniu przez niego już po 13 grudnia działalności politycznej, np. o druku i kolportażu bibuły. Nadzwyczajny tryb zwolnienia go z więzienia i brak natychmiastowej deportacji wydają się niezwykłe.

15 września 1982 roku zastępca naczelnika Wydziału Kryminalnego KW MO w Krakowie przesłał naczelnikowi Wydziału V SB (gospodarka) KW MO w Krakowie „informację uzyskaną w ZK [Zakładzie Karnym] Kraków dot. działalności podziemia Solidarności wraz z grypsem sporządzonym w języku czeskim przez Icri [prawdopodobnie miało być Jirzi] Bronek". Grypsu nie ma w aktach, ale jest odpis donosu (pisownia oryginalna): *Informuje, że przebywający wraz ze mną w celi obywatel CSRS Irzi Vawrńsrak w czasie prowadzonych ze mną rozmów i po pozyskaniu z mojej strony jego zaufania przekazał mi następującą propozycję. Po moim wyjściu ze sprawy lub na przerwę czy też wokandę zgłoszę się do ob. Chmurska Marta zam.* [Tu adres]*, gdzie zostanę przyjęty jako „swój". Moim zadaniem będzie pełnić ważną funkcję w ruchu podziemnym Solidarności. W/w Marcie mam przekazać, aby zajęła się ukryciem matryc. Po moim wyjściu mam również nawiązać kontakt z drugim obywatelem CSRS Milanem Rajdoszem, który obecnie przebywa w tutejszym Areszcie Śledczym (wychodzi za 2 miesiące). Wraz z nim miałem zająć się stworzeniem kanału przerzutowego literatury pozbawionej debitu komunikacyjnego z CSRS do PRL. Chodziło tutaj o bazowanie na moich wiadomościach o granicy. Jako „nowy człowiek" niespalony miałem pełnić w W-wie* [Brak kontynuacji tego zdania]. *Ważne było również, że posiadam prawo jazdy ze zdjęciem w mundurze. Zostałem zarekomendowany na zewnątrz przez Vavrńsaha. W czasie jego widzenia z Martą Chmurską, jak również przez gryps, który wg słów Vavńswha poszedł na drugą stronę. Nie rozpytywałem jaką drogą, ze względu na niebezpieczeństwo odkrycia swoich zainteresowań. Jako nowosądeczanin miałem ułatwić nawiązanie współpracy kół podziemnych z Nowego Sącza z kołami krakowskimi. Faktem jest, że posiadam niejakie rozeznanie, co do kół nowosądeckich. Są to podstawowe fakty. Resztę gotów jestem z pracownikiem SB zaznajomionym w tym zagadnieniu. Do tego dołączam gryps przesłany przez Vavrńsaha dla Milana Rajdošza, który mam doręczyć w tym tygodniu, tj. od 13 września. Sporządził: Insp. Jan Jawień.*

Vavrušák twierdzi, że nie został deportowany, bo SB „wierzyła, że wznowi stare kontakty". On rzeczywiście to zrobił, ale ponieważ oni „byli nerwowi", więc w lutym 1983 roku ponownie go zatrzymali. Jak dziś mówi, dostał wybór – „Albo będziesz mówił, albo cię deportujemy!". I został deportowany do Czechosłowacji.

Vavrušák nie opowiedział nam wszystkiego o swoim zachowaniu w Krakowie po wyjściu na wolność 15 grudnia 1982 roku. Zebraliśmy z innych źródeł informacje na ten temat.

Chmurska: *Po wypuszczeniu z więzienia przebywał dosyć długo tu, w Krakowie, w klinice psychiatrycznej. Chodziło chyba o to, żeby go nie deportowali. To było naciągane. Rozmawiałam tam chyba z doktorem Gierowskim i ze starszym od niego psychiatrą, który był lekarzem prowadzącym. Jurek symulował depresję. Potem mi mówił, że lekarz zaczyna coś podejrzewać, i że coraz gorzej się tam czuje, ale nie wiem, o co chodziło.*

Vavrušák często opuszczał klinikę psychiatryczna i odwiedzał różnych ludzi. Byli to zarówno koledzy z więzienia (sami kryminaliści), jak i działacze opozycji, z którymi miał kontakt przed swym zatrzymaniem lub z którymi nawiązał kontakt po wyjściu na wolność.

Ryszard Bocian: *Gdy go wypuścili, przyszedł do mnie i powiedział: „W areszcie zwerbowali mnie i wysłali do ciebie". Pokazywał mi urządzenie do nagrywania, które mu dali: prostokątny, płaski instrument wielkości paczki papierosów, ale grubszy. „Dali mi to, żebym cię podsłuchiwał". Mówił mi, że w areszcie siedział z jakimś docentem z Akademii Medycznej. Sprawdziłem, że żadnego docenta z AM wtedy nie zamknięto. Powiedziałem mu: „Siedziałeś z kapusiem w celi!". Aż zbladł, gdy to usłyszał.*

Sprawiał bardzo wiarygodne wrażenie. Pokazywał mi różne sztuczki, które stosował, gdy się ukrywał. Na przykład potrafił tak stanąć przy ścianie, że wydawało się, że nie jest sam, ale z dziewczyną – ustawiał nogę w taki sposób, jakby to była noga innej osoby. Wrażenie było bardzo sugestywne. Później mój kontakt z nim się urwał.

Chmurska: *Nie wiem, co to było za urządzenie, które Jurek miał przy sobie po wyjściu z Monte – radiomagnetofon czy sam magnetofon. Pokazał mi je dość krótko przed drugim zatrzymaniem. Chyba nie miałam tego w rękach. Mówił o zamiarze „nagrywania ich dla zabezpieczenia siebie". Tylko tę rozmowę o zamiarze nagrywania pamiętam.*

Wiesław Mazurkiewicz: *Zimą 1982, wieczorem, przyszedł do mnie Eugeniusz Koch (którego poznałem w obozie internowania) wraz z osobami, których wcześniej nie znałem. Był to jakiś Czechosłowak z dziewczyną, Polką. Ten Czechosłowak (szczupły, wysoki, ciemne włosy) miał być członkiem Karty 77. Była mowa o tym, że wcześniej ukrywał się w Krakowie. Być może chciał jakiś kontakt ze mną nawiązać, ale nie wzbudził mojego zaufania, bo miał tatuaże na ręce. Opowiadał, że służył w komandosach. Cel ich wizyty nie był dla mnie jasny. Byli u mnie może ze dwie godziny. Byłem spięty, rozmowa się nie kleiła i starałem się odpowiadać półsłówkami. Nigdy więcej go nie widziałem.*

Chmurska: *Chodzą mi po głowie Jurkowe słowa: „Chciałem sprawdzić, czy da się nagrać". Przypomniałam sobie (a może sobie to tylko wyobraziłam?), że byłam przy tym, jak go ktoś zapytał „czy coś tam ma...". Czy przyznał się wszystkim obecnym, czy po wyjściu tylko do mnie powiedział: „Chciałem sprawdzić...", nie pamiętam. Chyba było to w mieszkaniu na os. Tysiąclecia* [Tam mieszkał w tym czasie Mazurkiewicz]. *Nie pamiętam, czy Gienek Koch był z nami, a nazwiska gospodarza nie znam. Z mieszkaniem tym kojarzę swoje ówczesne zdziwienie: „Po co tam przyszliśmy?". Rozmowa nie kleiła się, o niczym istotnym nie rozmawiano.*

***

Kim był Wiesław Mazurkiewicz? Czy był osobą na tyle ważną, z punktu widzenia SB, aby wysyłać do niego agenta z magnetofonem?

Wiesław Mazurkiewicz: *Urodziłem się przed 17 września 1939 w Stanisławowie, na Kresach. Do Polski przyjechałem dopiero w 1955, w repatriacji z ZSRS. Ponieważ nie nadano mi obywatelstwa polskiego, więc cały czas byłem obywatelem sowieckim. Pracowałem w walcowni blach karoseryjnych Kombinatu HiL na stanowisku starszego wsadowego.*

W 1980 zostałem członkiem Komisji Zakładowej „Solidarności" na moim wydziale.

13 grudnia na godzinę 6 przyjechałem do pracy w Kombinacie. Ponieważ zaczął się strajk, a ja byłem członkiem komitetu strajkowego, więc zostałem w Kombinacie i nie wróciłem już do domu. Po pacyfikacji Huty zostałem zatrzymany. Przewieźli mnie na Mogilską i 18 grudnia internowali. Nie miałem dowodu osobistego, tylko radziecki paszport. Święta spędziłem na Mogilskiej. Po jakichś dwóch tygodniach przewieźli mnie do Załęża. Tam poznałem Eugeniusza Kocha, który został internowany w styczniu 1982. Wyszedłem 7 lipca.

16 sierpnia 1982 po mszy w Arce zostałem ponownie zatrzymany przez SB. Dwa dni później dostałem sankcję na 3 miesiące i umieścili mnie na Monte. Zwolniono mnie na przełomie września i października 1982. W tym czasie miałem kontakty tylko z kolegami z pracy.

Dopiero wtedy, pod koniec 1982, poszedłem wraz z adwokatem Rozmarynowiczem i moją żoną do konsulatu sowieckiego i oddałem paszport. Zrobiłem tak, bo obawiałem się deportacji. Od tego czasu byłem bezpaństwowcem.

Dokument SB z 1982: *Wiesław Mazurkiewicz należał do bardzo aktywnych działaczy Solidarności na swoim wydziale, pełniąc funkcje członka KW NSZZ. Chętnie z własnej inicjatywy zgłaszał się do pracy do KRH, podejmując się udziału w akcjach plakatowania miasta i malowania haseł na budynkach i chodnikach w rejonie centrum administracyjnego Nowej Huty. W trakcie likwidowania strajku w grudniu 1981 nawoływał do czynnego sprzeciwu wobec sił porządkowych. Sugerował załodze podłączenie węży hydrantów do zbiorników gorącego oleju i kwasu, jakie znajdują się na wydziale oraz użycia tych środków do atakowania sił MO i LWP, przy wygaszonych światłach i odkrytych kanałach technologicznych. Propozycję tę załoga odrzuciła na rzecz biernego oporu. Na podstawie rozpoznania i przeprowadzonych z w/w rozmów stwierdza się, że jest on jednym z najbardziej aktywnych działaczy b. Solidarności spoza kierownictwa tej organizacji. Przeciwnik trudny, zdecydowanie antysocjalistyczny i antyradziecki, zwolennik akcji protestacyjnych. Odmówił podpisania deklaracji lojalności. Cele rozmowy i proponowane działania: uzyskanie informacji dot. kontaktów i powiązań figuranta, w szczególności z osobami poszukiwanymi. Proponuje się podjęcie działań operacyjnych celem potwierdzenia faktów wrogiej działalności oraz postawy, jak również celem uzyskania informacji".*

O Mazurkiewiczu będzie jeszcze mowa w następnych tomach, bo od 1984 roku działał w Konfederacji Polski Niepodległej.

***

Chmurska: *Drugi raz zatrzymali Jurka w jakiejś knajpie, chyba w „Hawełce". Formalnie był wtedy pacjentem kliniki psychiatrycznej na wielodniowej przepustce. O tym ekstradycyjnym zatrzymaniu dowiedziałam się od tych, którzy przyjechali po jego rzeczy. Widziałam się z nim na posterunku w Nowej Hucie przed ekstradycją. Ale to już było tylko pożegnanie.*

Meldunek mjr. Wiesława Hryniewicza z 18 lutego: *Dzisiaj o godz. 15.30 połączył się ze mną telefonicznie TW ps. „Grzegorz" usiłujący skontaktować się z por. Ciosiem. W toku rozmowy przekazał następującą informację: z „Grzegorzem" spotkał się w restauracji „Hawełka" obyw. CSRS „Bronek", który usiłuje od TW zaciągnąć większą pożyczkę. Ma to związek z planowanym przez „Bronka" wyjazdem na Wybrzeże i nawiązaniem kontaktów z tamtejszym podziemiem. Ponieważ „Grzegorz" chciał pilnie skonsultować z nami sprawę, jak się zachować w tej sytuacji i oczekiwał zadań, uzgodniłem z nim, aby zagrał na zwłokę i zaaranżował następne spotkanie w dniu 19 lutego 1983 o godzinie 12.00, co w tym samym miejscu. Wg relacji TW sytuacja sprzyja ewentualnemu zatrzymaniu „Bronka" i nie grozi dekonspiracją TW. O powyższym poinformowałem tow. płk. Działowskiego oraz Naczelnika Wydziału III kpt. A. Więckowskiego* [Więckowski został naczelnikiem Wydziału III w 1983].

Chmurska: *Przed samą deportacją Jurek powiedział mi, że coś wspólnego z decyzją o jego deportacji miał Andrzej, student, który mieszkał na ul. Syrokomli, którego poznałam i spotykałam u Dominikanów. Ale nie powiedział dokładnie, o co chodziło.* Dziś wiemy, że chodziło o Andrzeja Grzywacza, TW „Grzegorza", który informował SB o „Bronku" od grudnia 1981 roku.

Adnotacja por. Ciosia na końcu meldunku TW „Grzegorza" z 25 lutego 1983: *Na spotkaniu wręczyłem TW 1 tys. zł. jako zwrot kosztów poniesionych w czasie spotkania z Vavrušákiem ob. Czechosłowacji. TW przekazał mi ponadto, że kiedy przekazywał wiadomość Marcie Chmurskiej o zatrzymaniu „Bronka", sprawiała wrażenie, jakby się spodziewała tego. TW zaproponował jej pomoc w przyszłości, gdyby takiej potrzebowała. Chmurska powiedziała, że postara się jeszcze coś zrobić w tej sprawie.*

Z meldunku por. Ciosia z 28 lutego: *TW przekazał mi, że wczoraj, tj 27 bm. w godzinach rannych była u niego Marta Chmurska i zostawiła kartkę, aby TW przyszedł do niej wieczorem. TW po przyjściu do Chmurskiej opowiedział jej jeszcze raz sytuację w kawiarni i wówczas Marta powiedziała, że Bronek zatrzymany został przez Wydział III i osadzony w areszcie w Nowej Hucie. Do Czechosłowacji został przewieziony w poniedziałek. Marta prosiła TW, aby dowiedział się, jeżeli będzie miał taką możliwość, czym zajmuje się Wydział III, ponieważ ma zamiar pisać zażalenie do prokuratora i sądu. Marta mówiła również, że Bronek nie mieszkał u niej tylko w pobliżu Rynku Głównego. Podyktowane to było względami bezpieczeństwa, pomimo że „Bronek" miał zagwarantowany pobyt w Polsce do końca leczenia szpitalnego. TW proponował Marcie, aby wyjechać do Czechosłowacji na zaproszenie lub z wycieczką zbiorową. Marta nie chciała jednak rozmawiać na ten temat.* Na dokumencie odręczne polecenie innym charakterem pisma, datowane na 1 marca 1983: *Proszę przekazać do Wydziału III* [reszta – kilka słów – nieczytelna] *Chmurskiej.*

Z notatki oficera prowadzącego TW „Grzegorza" z 3 marca: *Spotkana ostatnio M. Chmurska mówiła, że ponownie dzwoniła do siostry Bronka (tzn. zamówienie rozmowy z przywołaniem) i nie ma jeszcze tam o nim żadnej wiadomości* [sic!]. *Planuje pisać skargę do prokuratora („Jestem narzeczoną, mieliśmy wyznaczony termin ślubu, mam chyba prawo..."). Prosiła, żebym – jak tylko coś się dowiem – wpadł do niej. Wczoraj w Jagiellonii spotkałem się z M. Lubińskim. W czasie rozmowy dosiadł się „gruby Romek", a potem jeszcze pewien mieszkaniec „Piasta", znany mi, ale nie pamiętam skąd (…). Rozmawialiśmy też o Bronku. Lubiński twierdzi, że to albo idiota, albo gość niepewny (...). Przedsięwzięcia: informacje dot. łączności Marty z rodziną „Bronka" do Wydz. III (…)*

Z donosu TW „Grzegorza" z 8 marca 1983: *W czwartek wieczorem (18-20) wybieramy się moim samochodem do Marty Chmurskiej (...).*

Zadania dla TW: w rozmowie z M.Ch. ustalić kontakty „Bronka" z grup, które działały ostatnio.

Z donosu TW „Grzegorza" z 11 marca: *W dniu dzisiejszym TW przekazał, że wczoraj był u Marty Chmurskiej. Marta powiedziała mu, że otrzymała telegram od siostry „Bronka" – podobno przebywa w więzieniu w Ostrawie (...). Przedsięwzięcia: inf. o „Bronku" do Wydz. III.*

Chmurska: *Dostałam potem jeden list od niego przewieziony przez kogoś z Czechosłowacji. Na tym liście był krajowy znaczek, więc pewnie ktoś przewiózł ten list do Polski i tu nadał.*

Vavrušák twierdzi, że po powrocie do Czechosłowacji trafił do więzienia, ale o tym, co się działo w Czechosłowacji, nie chciał opowiedzieć.

Byliśmy w Ostrawie. Sprawdziliśmy, że Vavrušák i jego siostra rzeczywiście mieszkali tam pod adresami, które były w dokumentach śledztwa sprzed 30 prawie lat, jednak wyprowadzili się stamtąd w pierwszej połowie lat 80. W przypadku siostry Vavrušáka nasz informator był precyzyjny – wyprowadziła się 2-3 lata po roku 1979, w którym zamieszkała pod tym adresem. Wygląda to tak, jakby wkrótce po deportacji Jerzego Va-

vrušáka z Polski na początku 1983 roku, zarówno on, jak i jego siostra, zmienili miejsca pobytu. Sąsiedzi Vavrušáka, którzy go pamiętali, reagowali na jego nazwisko i okazane im jego zdjęcia tajemniczym uśmiechem. Nie wyjaśnili jego znaczenia. Powiedzieli tylko, że po powrocie z Polski Vavrušák pracował w Ostrawie w krematorium, gdzie palił ludzkie zwłoki. A potem się wyprowadził.

Gdy zapytaliśmy Vavrušáka o pracę w krematorium, roześmiał się i zaprzeczył. Powiedział, że miał znajomych, którzy tam pracowali, ale on nie wytrzymałby psychicznie takiej pracy.

Wspomina, że jak na Monte wyprowadzono go kiedyś z celi do wychowawcy, to na korytarzu widział światła Kleparza. 12 lat temu był w Krakowie, był samotny, miał niewiele czasu, bo był przejazdem. Poszedł na Planty. Nie trafił na ul. Ziai. Potem poszedł na Kleparz i popatrzył na Montelupich. Przypomniał sobie taki żart: „Która ul. w Krakowie jest najdłuższa? – Montelupich. Bo na jednym końcu wejdziesz, a na drugim wyjdziesz, ale po 5 latach".

***

Chmurska: *Kiedy go poznałam, był bardzo chudy, mizerny. Nosił zarost i długie włosy, ale fryzurę później zmieniał. Zarost też miał nie zawsze, czasami się golił.*

Pamiętam, jak mówił o ciężkim wypadku na motorze. W efekcie miał drutowaną szczękę, tylko jednego własnego zęba i to wystającego, wyraźnie dłuższego od sztucznych. Miał też ograniczoną sprawność manualną i dlatego pisał „druczkiem", zmiany w kręgosłupie i zmniejszoną płynność chodu, częste bóle. Broda chyba miała kryć blizny.

Jurek niewiele mówił o sobie. W jego historii jest wiele niedopowiedzeń. Wydaje mi się, że jego opozycyjność wobec komunizmu była raczej hipisowskiego typu.

Z tego, co mi mówił, to miał wykształcenie podstawowe. Mówił, że jeszcze w Czechosłowacji był zapraszany na spotkania opozycyjne, gdzie wspólnie zastanawiano się nad działaniami, które należało podjąć. Czasami wydawało mi się, że bzdury mówił, że się przechwalał, np. kiedy mówił, że zajmował się komputerami.

W trakcie służby wojskowej był podobno kierowcą i uczył jazdy innych żołnierzy. Mówił, że bali się go. Miewał podobno nieregulaminowo „rozchełstany" mundur, nie poddawał się rygorom i ze względu na brak dyscypliny musiał odejść z wojska.

W 1968 r. pracował w straży pożarnej. Z jego opowieści na ten temat wnioskuję, że był dumny z tej pracy.

Mawiał „zabrali mi syna". Rozumiem, że chodzi o pozbawienie praw rodzicielskich m.in. z powodu „męskiej zabawy" z ok. 5-letnim dzieckiem przy użyciu obutej stopy, co zostało przez „nich" nazwane kopaniem.

Miał dług alimentacyjny i chyba też jakiś dług prywatny u „groźnych", jak ich nazywał. Widziałam wycinek z czeskiej gazety – list gończy: jego zdjęcie, dane personalne.

Jurek miał się za wysoce inteligentnego, przynajmniej dawniej, dopóki „oni" nie zniszczyli go.

Miał pogardliwy stosunek do kobiet. Mówił, że kura ma trzy zwoje w mózgu, a kobieta trzy i pół – te pół więcej po to, aby nie paskudziła na dywan.

Był osobowością rozchwianą, nieuporządkowaną. Niby miał się ukrywać, a pozwolił sobie na picie w restauracji (raz przy tym byłam). Był uzależniony od alkoholu. Miałam okazję takie jego picie widzieć. Jak był pijany, to zachowywał się agresywnie. Dopiero dziś mogę to ocenić, że był typowym nałogowcem.

To był człowiek, który mógł dać w gębę.

Łatwo nawiązywał kontakty, mógł budzić zaufanie. Na początku stanu wojennego dla kilku osób jego rady mogły być pożyteczne. Miał poczucie humoru, chęć i łatwość mówienia, ciekawie opowiadał „egzotyczne" historie, sporo wiedział. No i aura przygody, zagrożenia życia: przejście przez zieloną granicę, głód i jedzenie surowej wątroby, grożące śmiercią wyziębienie z opieraniem brody na szpicu noża, by nie zasnąć – zanim dotarł w bezpieczne miejsce... Było w nim coś z silnego, zaradnego mężczyzny.

Przykro by mi było, gdyby był wtyczką, ale nie byłabym zdziwiona.

Kiedyś szliśmy ulicą Ziai, blisko godziny milicyjnej, było pusto, on podpity. Przez chwilę słychać było za nami wolno jadący samochód. Jurek nie obejrzał się, nie przyspieszył kroku, mocniej zatoczył się, powiedział do mnie coś przykrego, ja prawdziwie zaskoczona, gwałtownie oburzyłam się, tupnęłam nogą i zaraz wyprzedził nas wolno milicyjny radiowóz. Z zachowania Jurka wnioskuję, że miał przećwiczone ukrywanie się. W tym przypadku zastosował „reakcję przeciwstawną", czyli sprowokował wyrazistą sytuację (moje zachowanie) jakby nikt z nas nie miał potrzeby ukrywania się, nie bał się identyfikacji.

O strachu mówił, ale nie widziałam go w bardzo emocjonalnym zachowaniu. Nic z takich reakcji, jak pot, duszność, krzyk, drżenie, płacz, energiczna gestykulacja, ucieczka. Był opanowany.

Nie wiem, czy był złym człowiekiem. Był chory, a ta choroba – alkoholizm – mocno degraduje psychikę, prowadzi ku „bestii".

***

Gdy zapytaliśmy Vavrušáka, jak sądzi, czy uda nam się zidentyfikować agenta celnego o pseudonimie „Hiszpan", roześmiał się i odpowiedział o szukaniu „czerwonej rtęci" (jest to hipotetyczna substancja mająca służyć do budowy broni jądrowej; w 1994 r. amerykański Departament Energii i Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej zaprzeczyli jej istnieniu).

Dodał jeszcze: *Nas na Monte siedziało półtora tysiąca ludzi. Minęło 30 lat. Nie uda się wam dziś ustalić, jak kto się tam zachowywał...*

***

Jak podaje Petr Blazek, w 1981 roku PRL odwiedziły ogółem 383 tysiące obywateli Czechosłowacji, z czego 380 tysięcy to wyjazdy indywidualne. Były one niewątpliwie okazją dla czechosłowackiego wywiadu do wysyłania do Polski swoich agentów.

Pracę operacyjną na terytorium PRL prowadziły tajne służby wszystkich sąsiadów Polski. W czasie „karnawału Solidarności", działania te się nasiliły. Stosunkowo najwięcej wiadomo o działaniach w Polsce służb NRD, a to dzięki dostępowi do archiwów tych służb, które w dużej mierze nie zostały zniszczone.

Jak podaje Monika Tatzscher z Instytutu Gaucka: *Do roku 1980 wschodnioniemieckie Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego nie utrzymywało na terenie Polski żadnych grup operacyjnych. Można z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że taki stan rzeczy wynikał z niechętnej postawy Polaków wobec Niemców (...). Dzięki wykorzystaniu tajnych współpracowników, zatrudnionych we wschodnioniemieckich biurach podróży, oraz innych „sił operacyjnych" w ośrodkach turystycznych, takich jak Warszawa, Szczecin, wybrzeże Morza Bałtyckiego, Zakopane i Karpacz, możliwe było kontrolowanie turystów z NRD (...). Wraz ze wzrostem wpływu sił reformatorskich na procesy polityczne i społeczne w Polsce, na przełomie roku 1980 i 1981, kraj ten z wiernego sprzymierzeńca wspólnoty państw socjalistycznych stał się niepewnym ogniwem, które zagrażało*

nie tylko jej jedności, ale także wątłej równowadze sił w Europie, a ponadto, jako przykład dla innych, stanowił zagrożenie dla wewnętrznej stabilności pozostałych krajów bloku wschodniego. Dla Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD – podobnie jak dla innych tajnych służb krajów socjalistycznych – Polska stała się terenem działań operacyjnych (…). [Erich Mielke – minister bezpieczeństwa NRD i szef Stasi] *8 września 1980 r., w porozumieniu ze stroną polską, zlecił utworzenie grupy operacyjnej w Warszawie (...). Postawiono przed nią następujące zadania: zapewnienie stałych oficjalnych kontaktów z polskimi organami bezpieczeństwa, koordynacja tajnych działań w przedstawicielstwach NRD w Polsce, łącznie z werbowaniem nowych tajnych współpracowników, rozpoznanie i opracowanie współpracowników tajnych służb w przedstawicielstwach krajów niesocjalistycznych w Polsce oraz stała analiza sytuacji wewnętrznej (...). W działalność operacyjną w Polsce, zaangażowane były także terenowe jednostki MBP NRD. Na polecenie ministra z 28 października 1980 r., w zarządzie okręgu Frankfurt nad Odra (BV Frankfurt/Oder) stworzono w Referatu II (Abteilung II) grupę roboczą „Polska". Okręgowe jednostki Ministerstwa Bezpieczeństwa w Rostocku, Neubrandenburgu, Frankfurcie nad Odra, Cottbus i Dreźnie miały koncentrować się na nawiązaniu kontaktu z sąsiednimi województwami. Dla wzmocnienia oddziałów przygranicznych, przeniesieni zostali tam doświadczeni pracownicy operacyjni (...). Do połowy lat osiemdziesiątych Grupa Operacyjna Warszawa oraz oficerowie na etatach niejawnych w przedstawicielstwach NRD w Polsce stworzyli sieć około 150 tajnych współpracowników (…). Szczególnie po wprowadzeniu stanu wojennego, Polska była skazana na wsparcie sojuszników, co m.in. przyczyniło się do zmiany w stosunkach między partnerami. Na ważnych obszarach zawierano porozumienia i zacieśniano współpracę. Nigdy wcześniej nieszczęsny sojusz obu służb bezpieczeństwa nie był tak silny, jak w przeddzień historycznego przełomu.*

Gdy idzie o działalność KGB na terytorium PRL – wiadomo niewiele, bo archiwa tych służb ciągle są tajne. Mamy jedynie pewne poszlaki. Są nimi także wypowiedzi przedstawicieli strony „partyjno-esbeckiej", którzy w tym czasie działali w Krakowie.

Broniek: *W konsulacie* [radzieckim w Krakowie], *w listopadzie* [1981], *pojawiło się wielu ludzi wyglądem przypominających raczej turystów niż dyplomatów (...). Georgij Rudow, konsul generalny (…), ujawnił w rozmowie, że we Lwowie funkcjonuje specjalny sztab propagandowy, wyposażony w nadajniki radiowe, telewizyjne i drukarnię, który będzie działał w sytuacji kryzysowej. Nie byłem w stanie zweryfikować tej informacji. Sądzę, że konsul mówił prawdę. Wiem na pewno, że w NRD, w Dreźnie, działała rozgłośnia radiowa w języku polskim (sam jej słuchałem w czasie pobytu w Lipsku w lutym 1982), w Lipsku tłumaczono „Gazetę Krakowską" na język niemiecki.*

Zdzisław Celban o działalności KGB w Polsce mówi dziś bardzo ostrożnie: *Nie wykluczam, że was* [chodzi o krakowską KPN] *także wywiad sowiecki rozpracowywał. Mieliśmy jako SB poważne poszlaki świadczące o związkach paru działaczy opozycji z tą służbą, jednak to nie byli ludzie z KPN-u. Oczywiście, dowodów na czyjąś pracę dla KGB nie mieliśmy.*

Działalność czechosłowackiej bezpieki w Polsce jest mało znana. Mamy tylko jeden obszernie udokumentowany przypadek działania na terytorium PRL agenta czechosłowackiej StB. Był to Stanislav Dvořák – agent o pseudonimie „Michał", zwerbowany 31 lipca 1981 roku. Petr Blažek: *Zachowała się jednak rozległa kolekcja dokumentów pochodzących z Zarządu X SNB dotyczących akcji „Sever"* [„Północ"], *w której w latach 1981–1984 Federalne MSW monitorowało kryzys w Polsce i prowadziło działania z nim związane. Znajduje się w niej wiele dokumentów o akcji „Červotoč"* [„Kołatek"], *w której*

StB przy pomocy Stanislava Dvořáka w latach 1981–1984 kontrolowała i ujawniała kontakty między dysydentami z Polski i Czechosłowacji.

Blažek cytuje następujący dokument StB z 30 czerwca 1981 r., wyjaśniający założenia akcji „Kołatek": *Chodzi o kontakty KOR we Wrocławiu z CSRS. Celem było podstawienie naszego współpracownika i dokumentacja tej działalności. Dobrze podstawiony współpracownik miał dobrą opinię w KOR oraz u opozycji w CSRS. Oprócz konkretnego włączenia współpracownika, chodziło też o przechwytywanie materiałów antypaństwowych przerzucanych z PRL do CSRS, do ujawnienia kanału łączności z PRL do CSRS i na odwrót, zakładanego miejsca ukrycia urządzeń poligraficznych opozycji w CSRS i do innych ustaleń.*

Więcej o samej akcji „Północ" mówił Blažek na międzynarodowej konferencji „Komunistyczny aparat bezpieczeństwa w Europie Środkowo-Wschodniej 1944/45–1989" w Warszawie 16–18 czerwca 2005 r.. Oto główne tezy jego referatu (podajemy za Mateuszem Wyrwichem): *Sztab przedsięwzięcia działał w Pradze, ale też i w kilku innych miastach Czechosłowacji (...). Jednym z zadań akcji było przygotowanie na terenie Polski stu trzydziestu działań operacyjnych. Do większych należało wydanie przez czeskie służby bezpieczeństwa StB broszury dezinformacyjnej zatytułowanej „Dokąd zmierza Polska?". Jej wydawcą miała być rzekomo jedna z luksemburskich oficyn. Publikacja, tłumaczona na kilka języków i obliczona na oddziaływanie w stronę zachodniego czytelnika, miała przekonywać, jak niebezpieczna dla Europy jest działalność Solidarności i polskiej opozycji. Wśród działań powziętych przez StB na terenie Polski prowadzone były również podsłuchy rozmów telefonicznych. Na ich podstawie powstało siedemnaście tysięcy raportów przekazanych do polskiego MSW. StB gromadziła też kartoteki „wrogich Polsce osób". Znaleźli się w nich zarówno działacze Solidarności, jak i obywatele PRL odwiedzający zachodnie ambasady na terenie Czechosłowacji. Inwigilowano także Polaków zatrudnionych na terenie CSRS. Szczególnie bacznie śledzono opozycjonistów z „Solidarności Polsko-Czechosłowackiej" i Karty 77.*

Rezydentura akcji „Sever", podobnie jak w przypadku służb bezpieczeństwa NRD, mieściła się na terenie eksterytorialnym w Warszawie, czyli w Ambasadzie Czechosłowacji. Jej przedstawiciele spotykali się często z oficerami polskiego MSW. Podczas tych narad zapadały wspólne uzgodnienia, „dla obrony socjalizmu w państwach Układu Warszawskiego". StB, podobnie jak Stasi, miała w Polsce setki swoich informatorów. Wśród nich znajdował się wysoko postawiony funkcjonariusz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej o nieustalonym do dziś nazwisku. Czesko-polska „bratnia pomoc" była bardzo wszechstronna. Czesi zajmowali się w sposób ciągły i przez kilka lat nasłuchem zarówno legalnych rozgłośni polskiego radia, jak również nielegalnych stacji radia Solidarność. Wyposażali też polskie MSW w aparaturę do pelengacji radiowej. Nie był to jedyny sprzęt do walki z polskim społeczeństwem. Do PRL z CSRS dostarczano także armatki wodne, wozy pancerne, tarcze i pałki dla ZOMO. Również petardy i granaty rozpraszające tłumy.

Akcję „Sever" ograniczono wiosną 1983 roku. Całkowicie natomiast zaniechano w czerwcu następnego roku, uznając, że jej zadania zostały spełnione, a „sytuacja w Polsce jest już ustabilizowana". Czechosłowaccy funkcjonariusze otrzymali za tę akcję sowite nagrody, medale, a także uznanie sowieckich towarzyszy. Zakończenie akcji „Sever" nie oznaczało jednak wycofania czechosłowackich służb bezpieczeństwa z terenu Polski (…). Działały one do roku 1989.

Niektóre dokumenty dotyczące akcji „Sever" zostały opublikowane w zbiorze „Przed i po 13 grudnia". „Plan działań związanych z sytuacją w PRL z 12 czerwca 1981" prze-

kazany przez gen. Vladimira Hrušeckýego (wiceministra spraw wewnętrznych CSRS) gen. Vladimirowi Stárkowi, przewidywał stworzenie samodzielnych grup w zarządach wojewódzkich SNB (Korpus Bezpieczeństwa Narodowego, którego częścią była StB – czechosłowacka bezpieka) Ostrawa, Hradec Karlowe, Usti nad Labem, Bańska Bystrzyca i Koszyce. Dokument wymienia wśród celów planowanych działań „demaskowanie i dyskredytację antysocjalistycznych sił kontrrewolucyjnych w państwie, KOR, KPN, „Solidarności" i w Kościele".

Z protokołu 4 posiedzenia sztabu akcji „Sever" z 13 lipca 1981: *Liczba agentury wysyłanej do PRL jest wystarczająca, jej zadaniowanie jednak nie ma w niektórych przypadkach wymaganego poziomu.* Sugeruje to niską ocenę pracy czechosłowackiej agentury w Polsce.

Z protokołu narady Zarządu X SNB dotyczącej akcji „Sever" z 4 sierpnia 1981 wynika, że czechosłowacka bezpieka prowadziła swoje działania na terytorium PRL częściowo w konspiracji przed polską SB i - w pewnym zakresie - także przy jej sprzeciwie. *W województwie Hradec Karlove, zwłaszcza w rejonie ziemi kłodzkiej, istniały dobre kontakty na PRL, włącznie z Wojskami Ochrony Pogranicza. Niektórzy oficerowie PRL zdradzili się z tym, wskutek czego doszło do zakazu kontaktów z CSRS, który wydał wiceminister spraw wewnętrznych PRL Krzysztoporski (...). Pracować tak, by nowe kierownictwo PZPR miało czas pokazać, jak chcą realizować to, co obiecali. Dlatego nowe akcje przeprowadzać w ścisłej konspiracji, byśmy nie dali argumentów, że nie mogą realizować zadań, ponieważ kraje wspólnoty socjalistycznej pracują przeciwko nim.*

Protokół ostatniego posiedzenia sztabu Federalnego MSW kierującego akcją „Sever", z 12 czerwca 1984 roku: *Do 30 czerwca 1984 r. materiał agenturalno-operacyjny włącznie z zaangażowanymi TW w ramach akcji „Sever" zostanie złożony na okres 5 lat do archiwum poszczególnych zarządów, a dostęp do tych materiałów będzie możliwy tylko za zgodą naczelnika jednostki (...). W razie konieczności działalność sztabu* [akcji] *„Sever" zostanie wznowiona, włącznie z centralnymi grupami operacyjnymi, grupą Zarządu Federalnego MSW i grupami przygranicznych zarządów wojewódzkich SNB.*

„Śledztwo trwa"

Po aresztowaniu Tosia i Bika pozostali członkowie TTKAB podjęli niezbędne środki ostrożności, aby zminimalizować niebezpieczeństwo związane z aresztowaniem kolegów.

Ryszard Pyzik: *Gdy wiosną 1982 wpadł Witek Toś, urlopowaliśmy całą sekcję Witka w obawie, że oni mogą być inwigilowani. Zerwaliśmy czasowo z nimi wszelkie kontakty. Drukiem „Niepodległości" zajął się Ryszard Bocian.*

31 lipca 1982 roku kpt. Więckowski w uzupełnieniu do planu SOR „Konspiratorzy" zawarł „dotychczasową ocenę kombinacji operacyjnej", w której napisał: *do prowadzonego śledztwa p*[rzeciw]*ko M*[arkowi] *Bikowi, W*[itoldowi] *Tosiowi i S*[tanisławowi] *Papieżowi podjęto przy współudziale agentury celnej kombinację operacyjną zmierzającą do potwierdzenia i rozpracowania osób wchodzących w skład nowo ujawnionej struktury KPN-u. W tym celu poprzez kanał agenturalny spowodowano przekazywanie grypsów na zewnątrz od W*[itolda] *Tosia, poprzez „Listonosza". „Listonosz" dostarczył gryps do Krzysztofa Stolarczyka oraz żonie W[itolda] Tosia – Marii ps. „Czeremcha", jak również dla Z*[ygmunta] *Łenyka, w których nadawca (Toś) zaleca prowadzenie dalszej działalności na rzecz KPN, jak też instruuje ich, co do zachowania ostrożności.* Z charakterystyki Zygmunta Łenyka z 20 września 1982 roku, którą sporządził por. Celban: *Osadzony w areszcie Witold Toś utrzymywał z nim łączność za pomocą grypsów.*

Tymczasem Zygmunt Łenyk twierdzi, że nie dostawał żadnych grypsów od Tosia.

Pyzik: *Krzysztof Stolarczyk, który był prawą ręką Tosia po 13 grudnia 1981, dostawał od kogoś rzekome grypsy od Tosia z więzienia i przekazywał je żonie Witka – Marysi, a ona oddawała je rodzicom Witka. Informacje o grypsach miałem albo od Ani – siostry Witka albo od Marysi – żony Witka. Od nich też dowiadywałem się, co było w grypsach i przekazywałem te informacje Marianowi Gutowi.*

Grypsy zawierały bardzo szczegółowe informacje oraz sugestie, aby przekazać je dalej. Ich treść przypominała artykuły do prasy podziemnej, które Witek wcześniej pisywał. Według Ani nie były pisane przez Witka, tylko zostały sfałszowane przez SB. Witek nigdy nie potwierdził, że wyszły od niego. Tylko skąd SB tyle wiedziała?

Anna Toś: *Marysia, żona Witka, po jego aresztowaniu zamieszkała u nas. Była bardzo roztrzęsiona. Staraliśmy się ją uspokoić. Przychodził też do nas Krzysiek Stolarczyk, który przynosił grypsy rzekomo od Witka. Przynajmniej jeden z nich widziałam – pisany pismem trochę podobnym do Witka, ale jednak moim zdaniem to nie była jego ręka. Grypsy były bardzo obszerne, przypominały raczej listy. Pamiętam dziś jak przez mgłę, ale wydaje mi się, że Stolarczyk mówił, że te grypsy przynosił więzień kryminalny, który siedział razem z Witkiem w celi.*

Małgorzata Szeremeta: *Podczas pobytu na Klinice Kardiologii dwukrotnie Krzysiek przyniósł mi grypsy od Witka. „Trzymaj się! Wszystko jest w porządku! Nie daj się!" – to było jego pismo. Nie odpisałam na nie, bo Krzysiek powiedział mi, że nie ma możliwości przekazania odpowiedzi. Krzysztof mówił, że grypsy od Witka przekazywał mu Włodek. To imię na pewno pamiętam, mówił: „Dostałem te grypsy od Włodka, który siedzi z Witkiem". Wynikało z tego, że Krzysiek bezpośrednio kontaktował się z Włodkiem, który nie był klawiszem, ale więźniem osadzonym razem z Witkiem w jednej celi.*

Stolarczyk: *Nie kojarzę grypsów. Nie pamiętam, abym otrzymywał i przenosił jakiekolwiek grypsy od Tosia.*

***

Dzisiejsza postawa Stolarczyka – udawanie, że nie pamięta przenoszenia grypsów od Tosia – oznacza, że w tej sprawie nie był chyba nieświadomym narzędziem w rękach SB, ale świadomym uczestnikiem kombinacji operacyjnej.

Funkcjonariusz SB, kierujący wówczas rozpracowaniem krakowskiego KPN-u, Zdzisław Celban: *Nie miałem dostępu do agentów celnych. Tych agentów miał na kontakcie Katolik. TWC przekazywał grypsy pracownikowi Wydziału Śledczego. Zrobili kombinację operacyjną spod celi, żeby wyjść na resztę tej grupy. Wzięli Marka Chrobaczyńskiego, który pracował w sekcji analitycznej* [Ur. 1951, we wrześniu 1982 r. brązowa odznaka za zasługi w ochronie porządku publicznego. Pozytywnie zweryfikowany. Od 1990 r. pracował jako nadkomisarz policji]. *Był prawą ręką naczelnika* [Więckowskiego]. *Przynajmniej w jednym lub w dwóch przypadkach nosił te grypsy. Wzięli go, bo chcieli, żebym ja wiedział jak najmniej. Mnie chcieli na bok odstawić. A ja pomyślałem: „Jak chcą tak robić, niech robią. Może coś spierdolą. I tak też się stało. W końcówce całej operacji wyłożyli się".*

Informacji Celbana, wedle której, „Listonoszem" był Marek Chrobaczyński, nie jesteśmy w stanie zweryfikować, bo Chrobaczyński nie żyje, a Stolarczyk w tej sprawie milczy.

***

Nawiązując do słów por. Celbana, można powiedzieć, że SB omawianą tu kombinację operacyjną rzeczywiście zepsuła, do czego walnie przyczynili się będący na wolności działacze krakowskiej KPN.

Członkowie TTKAB dokonali analizy sytuacji i doszli do trafnego wniosku, że grypsy te mogą być prowokacją ze strony SB.

Pyzik: *Rodzicom Witka to się nie podobało. Także u Mariana Guta treść tych grypsów budziła podejrzenia. Uważał, że grypsy zawierają za dużo informacji, zbyt wiele szczegółów o tym, co robimy. W każdym razie te grypsy przekazywane przez Stolarczyka wzbudziły nasze podejrzenia. Nigdy nie odpowiedzieliśmy na nie. Być może odpisywała coś Marysia (żona Witka) albo jego mama. Jeżeli tak, to odpowiedzi dotyczyły wyłącznie spraw osobistych, a nie organizacyjnych.*

W cytowanym dokumencie SB czytamy dalej: *W ostatnim grypsie od Krzysztofa Stolarczyka do W*[itolda] *Tosia, Krzysztof informuje go, że przez okres 2 tygodni nie będzie go w Krakowie. Po sprawdzeniu okazało się, że Krzysztof Stolarczyk pracuje i nigdzie nie wyjechał. Zachowanie Krzysztofa Stolarczyka sugeruje sprawdzanie tego kanału łączności z W*[itoldem] *Tosiem.*

Kpt. Więckowski nie napisał wszystkiego, co SB wiedziała o przyczynach zachowania się Stolarczyka. Relacja Ryszarda Pyzika wskazuje bowiem na to, że SB wiedziała,

iż konfederaci – w wyniku błędów bezpieki – zorientowali się w prowadzonej przez SB kombinacji operacyjnej.

Pyzik: *Ustaliliśmy z Marianem Gutem, że pójdę za gościem, który przynosi Krzyśkowi Stolarczykowi grypsy, aby dowiedzieć się, kto to jest. Do pomocy wziąłem Krzysztofa Buczaka.*

Wcześniej spotkałem się z Krzyśkiem Stolarczykiem (chyba było to na działce rodziców Witka) i dowiedziałem się, że spotkanie z tym pośrednikiem będzie w knajpie „As Pik" przy ul. Garncarskiej. Znałem też od niego termin spotkania.

O umówionej porze czekaliśmy przed knajpą. Nie weszliśmy do środka, bo to było małe pomieszczenie i każdy, kto tam wszedł, od razu rzucał się w oczy. Gdy z knajpy wyszedł Krzysiek Stolarczyk z pośrednikiem, który przekazywał i odbierał grypsy i rozstali się, to ruszyliśmy za tym pośrednikiem. Wtedy zobaczyliśmy, że za nami idą jacyś tajniacy. Była wielka konsternacja, zarówno po ich, jak i po naszej stronie. Postanowiliśmy zostawić tego gościa, poszliśmy w inną uliczkę i zgubiliśmy tajniaków w bramach przejściowych.

Nie wiem, co tam robili ci tajniacy. Czy śledzili Krzyśka Stolarczyka, czy tego pośrednika? A może mieli sprawdzić, czy ktoś nie śledzi któregoś z tamtych dwóch?

Po tym wydarzeniu zdecydowaliśmy skończyć z grypsami. Przekazałem Stolarczykowi polecenie, że ma nie przyjmować więcej grypsów od tego człowieka.

Prawdopodobnie w związku z tą sytuacją por. Zdzisław Celban w raporcie z 10 sierpnia 1982 roku napisał, że Ryszard Pyzik – „Swarożyc", stoi na czele Sekcji Kontrwywiadu (wcześniej SB nie kojarzyła Pyzika z tą sekcją, choć wiedziała o jego związkach z TTKAB).

Nie był to koniec wysiłków SB, których celem było dotarcie do szefa TTKAB, skoro w omawianym wyżej meldunku por. Celban napisał w osobnym akapicie (po omówieniu sprawy grypsów): *Rysuje się również możliwość nawiązania gry operacyjnej, w której planuje się wyjść na szefa KPN Obszar II w Krakowie – „Korczyńskiego".*

Celban: *Chrobaczyński wziął gryps Tosia i pojechał na spotkanie z Gutem na Plantach. Do spotkania o umówionej godzinie nie doszło. Gut byłnieufny, nie podszedł bo coś mu się spodobało. I ten idiota* [Chrobaczyński], *zamiast zwinąć żagle i pojechać do domu, poszedł do najbliższej budki telefonicznej i zadzwonił na komendę. A Gut go obserwował, stanął za nim i podpatrzył, że ten wybrał numer na 10* [czyli numer KW MO]. *I wszystko się posypało.* Wersji Celbana nie sposób dziś zweryfikować, bo dwaj główni bohaterowie opowieści – Chrobaczyński i Gut – nie żyją.

SB nie udało się także przechwycić torby z materiałami KPN, którą Toś wraz z żoną zakopali w lesie. Ryszard Pyzik: *Torbę z ulotkami i wydawnictwami wykopałem w lesie w Rajsku. Było w niej ok. 10 kg materiałów KPN-owskich sprzed i po 13 grudnia. O miejscu zakopania dowiedziałem się od Marysi, a zawartość rozprowadziłem. Trochę miałem pietra, jak szedłem to wykopać, ale załatwiłem to sam bez świadków.*

Pozostającym na wolności członkom TTKAB należy wystawić bardzo wysoką ocenę za zachowanie się w tej sprawie. Zachowali wymagane środki ostrożności, przejrzeli grę SB, zdemaskowali i zniweczyli esbecką kombinację operacyjną.

***

Fragment pisma kpt. Więckowskiego z 31 lipca 1982: *Zatrudniony w Zakładzie Karnym na Montelupich psycholog zwrócił się do pracownika Wydziału Śledczego T*[adeusza] *K*[atolika] *o nawiązanie kontaktu z Z*[ygmuntem] *Łenykiem, gdyż ten ostatni chciałby od T*[adeusza] *K*[atolika] *pewnej konsultacji. Na spotkaniu tym Z*[ygmunt] *Łenyk stwierdził, że znany mu jest zakres pracy T*[adeusza] *K*[atolika] *w SB i w związ-*

ku z tym Z[ygmunt] Łenyk ma prośbę do niego, aby w swej pracy nie był zbyt gorliwy. Zastosowanie się T[adeusza] K[atolika] do tej prośby na pewno będzie przez nich w jakiś sposób zrekompensowane.

Zygmunt Łenyk: *Kilku naszych ludzi, w tym bardzo młodych uczniów szkół średnich, trzymano w areszcie przy Montelupich. Dzwoniły do mnie niektóre ich matki i żaliły się, że ci ludzie przeze mnie (bo to ja ich przyjmowałem do KPN) łamią sobie życie.*

Miałem taką bardzo przykrą rozmowę z matką Marka Bika, do której przyszedłem po aresztowaniu Marka. Ona była bardzo dobrze nastawiona do KPN. Ale wtedy była roztrzęsiona i miała do mnie pretensje. I słusznie. Chociaż nie czułem się winny. Gdy nastał stan wojenny, zostałem internowany, a ludzie spontanicznie podjęli działalność konspiracyjną. Jak wyszedłem z internowania, to nie mogłem już ludzi oderwać od ich działalności.

Przyczyny zdenerwowania matki Marka Bika wyjaśnia następująca relacja Wojciecha Słowika: *Przyszedłem pewnego razu do domu Marka Bika, gdy on już siedział na Monte. Rozmawiałem z jego matką. Powiedziała mi: „U Marka wszystko dobrze, tylko usiadł na okularach i je sobie uszkodził". Powiedziałem: „Proszę pokazać te okulary, bo ja może mogę naprawić". Przyniosła mi je, a one były zupełnie zmiażdżone, jakby walec po nich przejechał. Poczułem straszne zimno w środku, bo wiedziałem, co to oznacza. Nie jestem naiwny. Też noszę okulary i wiem, jak wyglądają, jak się na nich przypadkowo usiądzie. Wiedziałem, co się stało – Marka ktoś nieźle musiał pobić. To było gdzieś miesiąc po jego aresztowaniu.*

Łenyk: *Podjąłem próbę, żeby jakoś pomóc naszym chłopakom na Monte. Mój kolega, psycholog Maciej Szaszkiewicz pracował w tym areszcie. Razem kończyliśmy studia. Przez niego nawiązałem kontakt z szefem SB w tym areszcie* [Z dokumentu SB cytowanego wyżej wiemy, że był to por. Tadeusz Katolik]. *Chciałem, aby te akta, które produkuje przeciwko naszym ludziom na Monte, nie obciążały ich i umożliwiły im wyjście na wolność. Postanowiłem obiecać mu „kasę", a ponadto po uzyskaniu niepodległości – stanowisko. Myślałem, że to się da jakoś załatwić, bo słyszałem, że był to człowiek wyrozumiały.*

Trzeba przyznać, że oferta Łenyka musiała się wydać więziennemu esbekowi co najmniej groteskowa. Obietnica jakiegoś stanowiska po uzyskaniu niepodległości złożona w roku 1982, gdy mało kto (a już na pewno nie ubecy) wierzył w możliwość obalenia komunizmu w Polsce w perspektywie czasowej własnego życia, musiała Katolikowi przypominać Niderlandy, które Jan Zamoyski, za namową Zagłoby, obiecał królowi szwedzkiemu! O ile, oczywiście, Katolik czytał „Trylogię". Esbek, który w areszcie rozpracował bardzo wielu opozycjonistów, musiał uznać Łenyka za niespełna rozumu albo uznał, że to jakaś prowokacja przeciwko niemu.

Łenyk: *Chciałem się z nim umówić na przystanku tramwajowym na placu Wolności i stamtąd ruszyć przez bramy przejściowe, gdzie się gubi ogony. Jednak ten ubek odmówił spotkania na przystanku, bo chyba się bał, że go porwiemy. Zaproponował natomiast spotkanie u mnie w pracy, w szpitalu. Zgodziłem się.*

Jeszcze zanim doszło do spotkania, chciałem jakoś uwiarygodnić moją propozycję korupcji i zaproponowałem mu pewną korzyść finansową w formie zadatku. On jednak odmówił, zażądał natomiast dwóch butelek alkoholu. Nie pamiętam, czy to były półlitrówki, czy też większe butelki. Zaniósł mu je Maciek Szaszkiewicz.

W umówionym dniu ten ubek przyszedł do mnie, jak się teraz okazuje z magnetofonem i nagrał po kryjomu całą rozmowę. Mnie odpowiedział, że się zastanowi i odpowie. A potem sporządził swoim szefom raport. Wszystko opisał w tym raporcie (który teraz jest w IPN), „zapomniał" tylko napisać, że dostał te dwie butelki wódki!

Odpowiedzi od niego nie dostałem. Jak się dziś okazuje, szefowie zabronili mu kontaktów ze mną. Myślę, że oni się bali, że ja przekonam tego ubeka do współpracy z nami.

Cała ta historia została opisana przez ppor. Katolika w notatce służbowej z 29 lipca 1982: *W dniu 26 lipca 1982 podczas wykonywania czynności służbowych na terenie Aresztu Śledczego w Krakowie, przechodząc korytarzem II Oddziału, podszedł do mnie funkcjonariusz Aresztu – por. Maciej Szaszkiewicz, pełniący funkcję psychologa. Por. Szaszkiewicz zapytał mnie, czy znam Zygmunta Łenyka. Gdy potwierdziłem, że znam Łenyka, Szaszkiewicz dodał, że Łenyk jest jego kolegą ze studiów i niedawno widział się z nim. Łenyk prosił go o przekazanie mi wiadomości o tym, że chce się ze mną spotkać. Zapytałem Szaszkiewicza, czy Łenyk wie, że pracuję na terenie Aresztu Śledczego. Szaszkiewicz powiedział mi, że wie, lecz nie mówił nic na temat sposobu uzyskania tej informacji przez Łenyka. Powiedziałem Szaszkiewiczowi, że umówię się z Łenykiem telefonicznie, po czym poprosiłem go o numer telefonu do Łenyka. Szaszkiewicz numer telefonu Łenyka miał odnotowany w swoim notatniku.*

O powyższym fakcie natychmiast zameldowałem swojemu przełożonemu – mjr. Nogieciowi. W dniu 27 lipca otrzymałem polecenie od mjr. Nogiecia, abym skontaktował się z Łenykiem i umówił się z nim na spotkanie.

Po telefonicznym nawiązaniu kontaktu z Łenykiem w jego miejscu pracy (szpital w Kobierzynie), w rozmowie zapytałem go o powód, dla którego chce się ze mną widzieć. W odpowiedzi usłyszałem, że chce mi przekazać swoją opinię o pewnych sprawach, o których nie będzie rozmawiał telefonicznie. Podałem w wątpliwość moje kompetencje i zapytałem, czy nie byłoby słuszne, aby swoje opinie skierował do moich przełożonych. Dodałem, że myślałem o spotkaniu raczej prywatnym. Łenyk na to odpowiedział, że on właśnie pragnie spotkać się ze mną prywatnie i porozmawiać o pewnych sprawach. Odpowiedziałem, że tak, to co innego, po czym przystąpiliśmy do ustalania terminu i miejsca spotkania. Po wymianie kilku zdań na ten temat ustaliliśmy, że spotkamy się w dniu 28 lipca 1982 ok. godz. 14.45 na przystanku autobusowym przy Al. Słowackiego w pobliżu ul. Karmelickiej, skąd mieliśmy się udać w kierunku dopiero ustalonym.

Aby nie dopuścić do wykorzystania spotkania przez Łenyka i jego ludzi do innych celów (okazanie, prowokacja, szantaż), zdecydowano się na przyspieszenie terminu spotkania przez udanie się do miejsca pracy Łenyka, odpowiednio legendując brak możliwości przybycia na spotkanie w umówionym miejscu i czasie. Dla utrwalenia przebiegu rozmowy miałem zaopatrzyć się w miniaturowy magnetofon.

W dniu 28 lipca 1982 około godziny 12.15 udałem się samochodem służbowym do Szpitala w Kobierzynie. Samochód zaparkowałem na parkingu szpitalnym, po czym pieszo udałem się na Oddział II B, gdzie pracuje Łenyk. Przed wejściem do budynku II B włączyłem magnetofon i po około 10 minutach rozmawiałem już z Łenykiem w pokoju, w którym on pracuje.

Na wstępie rozmowy powiedziałem Łenykowi, że z uwagi na polecenie wyjazdu w sprawach służbowych poza Kraków, nie mógłbym być obecny na umówionym spotkaniu, dlatego po drodze wstąpiłem uprzedzić o tym fakcie i ewentualnie porozmawiać o sprawach, które zamierzał mi przedstawić.

Łenyk zachowaniem swoim dał mi do zrozumienia, że dobrze się stało i po kilku mniej istotnych, a raczej kurtuazyjnych zdaniach przystąpił do meritum sprawy. Powiedział, że aktualnie sytuacja wojenna doprowadziła do podziału społeczeństwa na dwie antagonistyczne strony i w walce tej padają ofiarami ludzie młodzi i niedoświadczeni. Stwierdził, że zwrócił się do mnie za pośrednictwem Maćka o rozmowę, dlatego, że przypuszcza, iż stojąc

po przeciwnej stronie jako funkcjonariusz aparatu ucisku, nie jestem jeszcze zdegenerowany postępowaniem sił reżimowych. Wykonując powierzone mi zadania, w bardzo poważnym stopniu mogę mieć wpływ na dalsze losy ofiar reżimu. Jego kilku przyjaciół, m.in. Witold Toś, znalazło się w trudnej sytuacji. Przez pomówienie, a nie na podstawie zebranych dowodów, zostali aresztowani. W toku dalszego postępowania dowody przeciwko nim mogą być sfabrykowane lub uzyskane w podstępny sposób. W związku z tym prosi mnie bardzo, abym zmniejszył swoją aktywność i w ten sposób pomógł tym ludziom korzystnie wyjść z opresji. Jeśli jego propozycja zostanie przeze mnie przyjęta przychylnie i zastosuję się do jego uwag, to on i jego organizacja, której jest członkiem (KPN), będą mi bardzo wdzięczni i postarają się sowicie mnie wynagrodzić. Zaznaczył, że moje działanie ma polegać na zmniejszeniu aktywności, jednak do tego stopnia, by nie narazić się przełożonym.

Ze swojej strony okazałem zdziwienie zainteresowaniem moją osobą i oceną moich możliwości. Starałem się dać do zrozumienia, że moja praca jest niczym innym, jak prowadzeniem postępowań przygotowawczych, natomiast w Areszcie Śledczym bywam dosyć często, gdyż przesłuchuję osadzonych tam ludzi. Uwagi moje w tym względzie, nie zmieniły poglądów Łenyka, który moim zdaniem został dokładnie poinformowany o charakterze czynności, wykonywanych przeze mnie na terenie A.Ś. W dalszej rozmowie unikałem argumentów przekonywujących Łenyka o tym, że jest w błędzie. Raczej w jego wypowiedziach na temat aktualnej rzeczywistości byłem mu przychylny i dawałem do zrozumienia, że pracę swoją wykonuję nie z przekonania, jedynie dla płynących z niej korzyści. Podtrzymując z nim dialog, z myślą o ewentualnie następnych spotkaniach, powiedziałem mu, że sam aż takich możliwości – o jakie mnie prosił – nie mam, ale w Komendzie mam kolegę, który wiele mógłby pomóc. Na to Łenyk bezpośrednio nadmienił czy jest to może Marek Dwuraźny? Po czym scharakteryzował go jako pierwszego antykomunistę z okresu szkoły średniej w Krzeszowicach, który na lekcjach (historii?) w oficjalnych wypowiedziach atakował stosunki społeczno-polityczne panujące w kraju. M. Dwuraźny miał wyrazić się podczas przesłuchania Łenyka, że mimo podjęcia pracy w MO poglądów swoich nie zmienił.

Łenyk wypytywał mnie czy mam kłopoty finansowe. Mówił, że jego organizacja, choć nie jest bogata w środki finansowe, może mnie wesprzeć tak, że będę bardzo zadowolony. Odpowiedziałem, że jeżeli pomagałem komuś w przeszłości, to nigdy nie robiłem tego z chęci zysku. Łenyk mówił o pośrednictwie Maćka Szaszkiewicza w przekazaniu dla mnie korzyści. Aby ewentualnie podtrzymać ten kanał pośrednictwa, dodałem, że w przypadku potrzeby skonsumowania alkoholu dla pomyślnego załatwienia jakiejś interesującej ich sprawy, to wówczas będę prosił o dostarczenie mi tego alkoholu bądź równoważnika pieniężnego.

Odniosłem wrażenie, że Łenyk był zadowolony z przebiegu spotkania i zaproponował, że w razie potrzeby przyszłe spotkania mogą mieć miejsce w podobnych warunkach, tj. u niego w pracy. Dla zmiany moich zapatrywań na pewne sprawy związane z układem Polski ze Związkiem Radzieckim zaproponował mi przeczytanie książki, której autora ani tytułu nie zapamiętałem. Książkę tę wydano w Londynie, jest unikatem i aktualnie pozostaje w dyspozycji Maćka, który na prośbę Łenyka użyczy mi jej do przeczytania. Rozmowa z Łenykiem trwała blisko godzinę. Na dokładniejsze zapamiętanie treści tej rozmowy nie zwracałem bacznej uwagi, gdyż rejestrowałem ją na taśmie magnetycznej. W niniejszej notatce starałem się jednak przedstawić sens rozmowy i cel, dla którego Łenyk dążył do spotkania ze mną.

Nie wiemy, czemu SB nie zrobiła Łenykowi sprawy o próbę przekupstwa. Być może nawet przy Mogilskiej ktoś z szefów miał poczucie humoru i rozbawiła go absurdalność całej tej akcji.

***

Wróćmy do analizy dokumentu SB z 31 lipca 1982 roku. Kpt. Więckowski pisał dalej: *Dotychczas nie stwierdzono innej formy sprawdzenia kanału informacyjnego. Poprzez ten kanał o krypt[onimie] „Listonosz" ustalono, że faktycznie na zewnątrz istnieje głęboko zakonspirowana działalność KPN, w której m.in. działają: Krzysztof Stolarczyk ps. „Krzysztof", Zygmunt Łenyk, Maria Toś ps. „Czeremcha". Ww. osoby znają szefa KAB ps. „Korczyński".*

Kolejny fragment cytowanego tu dokumentu SB wskazuje, że mimo zdemaskowania SB zamierzała kontynuować kombinację operacyjną przy użyciu grypsów. *Kontynuując grę operacyjną poprzez TW ps. „Combi" będącego na kontakcie Wydz[iału] Śledczego, uzyskano gryps od W[itolda] Tosia, który umożliwia nawiązanie kontrolowanego kontaktu przez „Swarożyca" lub „Czeremchę" z „Korczyńskim".*

Wymieniając planowane przedsięwzięcia w tej sprawie kpt Więckowski napisał: *Celem pełnego rozeznania podziemnych struktur KPN planuje się:*

– kontynuowanie w dalszym ciągu gry operacyjnej poprzez „kanał" krypt[onim] „Listonosz", wykorzystując TW ps. „Combi",

– równolegle prowadzić zakonspirowany dialog operacyjny [Filip Musiał: *Dialog operacyjny był jedną z metod prowadzenia pracy operacyjnej, odmienną – podkreślmy – od współpracy agenturalnej. Polegał na doprowadzeniu przez SB do dobrowolnych kontaktów pomiędzy funkcjonariuszem a osobą inwigilowaną i prowadzeniu z nią tzw. rozmów operacyjnych. Ich charakter mógł być różny: sondażowy, ostrzegawczy, informacyjny, inspiracyjny itd. Dialog nawiązywano najczęściej z osobami reprezentującymi tzw. łagodną opozycję Z*[ygmunt] *Łenyk – T*[adeusz] *K*[atolik], *zmierzający do dezinformacji, udokumentowania aktualnej działalności Z*[ygmunta] *Łenyka, ustalenia kanałów kontaktowych KPN ze szczególnym uwzględnieniem kanału łączącego KPN z SB i Zakładem Karnym* [Na dokumencie jest ręczny dopisek ppłk. Biela: „zrezygnować z tego przedsięwzięcia". Głębocki pisze, że w tym przypadku SB „przerwała grę operacyjną" z niewyjaśnionych powodów. Tymczasem powody wydają się jasne - Łenyk był wielokrotnie przesłuchiwany przez SB od 1979 roku. Funkcjonariusze, którzy go nie znali, po pierwszej rozmowie wyrabiali sobie zwykle przeświadczenie, że dialog operacyjny z nim może być owocny (zob. tom I, gdzie opisaliśmy podobną sytuacją z roku 1980). Esbecy, którzy znali go dłużej (np. kpt. Kuliś), nie mieli tych złudzeń],

– dokładne rozeznanie osobowe i sprawdzenie operacyjne ujawnionego „kanału Z[ygmunta] *Łenyka" w Zakładzie Karnym (psycholog, który nawiązał kontakt z pracownikiem SB) pod kątem ewentualnego pozyskania go do współpracy* [Nie wiemy, czy SB rzeczywiście podejmowała próby zwerbowania Macieja Szaszkiewicza, ale jest oczywiste, że został on dokładnie sprawdzony],

– zastosowanie techniki operacyjnej w stosunku do ujawnionych działaczy KPN-u, a w szczególności do Z[ygmunta] *Łenyka* [Wynikałoby z tego, że jego telefon i mieszkanie wcześniej nie było na podsłuchu, co wydaje się nieprawdopodobne. Być może podsłuch zdemontowano po 13 grudnia i teraz go uaktywniono, a być może założono dodatkowe urządzenia podsłuchowe],

– przeanalizowanie materiałów operacyjnych w sprawie pod kątem wytypowania kandydatów na osobowe źródła pracy operacyjnej, umożliwiające nam dokładniejsze rozeznanie aktualnej struktury KPN oraz procesowe dokumentowanie [SB wytypowała m.in. Krzysztofa Stolarczyka i – 30 sierpnia 1982 roku został on pozyskany do współpracy z SB jako TW „Krzysztof"],

– *współdziałanie z Wydz. III i IV* [Wydział III SB zwalczał „działalność antypaństwową w Kraju", a Wydział IV – Kościół katolicki i inne związki wyznaniowe] *celem otrzymania informacji o osobach przechodzących* [w sprawie] *krypt*[onim] *„Konspiratorzy", a będących w ich zainteresowaniu,*

– *opracowanie szczegółowego schematu struktury organizacyjnej KPN z uwzględnieniem hierarchii oraz zasięgu jej działania*,

– *dokonanie analizy materiałów operacyjno-śledczych znajdujących się w WSW i Prokuraturze Wojskowej, jak również w Wydz*[iale] *Śledczym tut*[ejszej] *Komendy w sprawach prowadzonych na członków KPN celem poszerzenia posiadanych informacji o osobach działających w tej organizacji* [A więc chodziło o rutynowy przegląd zgromadzonych dotychczas akt, być może w wyniku takiego przeglądu natrafiono na zdjęcia Pyzika i Oberca z 29 listopada 1981 r., co umożliwiło SB identyfikację Oberca],

– *współdziałanie z Wydz*[iałem] *Śledczym celem prawidłowego dokumentowania materiałów procesowych działalności struktur KPN* [Chodziło prawdopodobnie o to, aby wydział śledczy nie ujawnił materiałów operacyjnych bezpieki albo nie zdekonspirował źródeł osobowych w aktach procesowych],

– *zastosowanie kombinacji operacyjnej polegającej na zatrzymaniu niektórych osób z KPN-u, uzyskując od nich „oficjalne" informacje poszerzające nasze wiadomości na temat działalności KPN, ich członków oraz kierownictwa. Powyższa kombinacja będzie miała też na celu przykrycie kanału kryptonim „Listonosz"* [Chodziło o kontynuację działań, które znamy już ze śledztwa w sprawie Bika, Tosia i Papieża. Dużą część informacji uzyskanych od TWC „Hiszpan" bezpieka uzyskiwała „oficjalnie" w postaci zeznań Papieża, „przykrywając" w ten sposób źródło TWC „Hiszpan"]. *Zakłada się także, że powyższa kombinacja zmusi kierownictwo KPN do aktywniejszej działalności organizacyjnej, a więc zwiększy dla nas prawdopodobieństwo szybszego ujawnienia i rozpracowania struktury KPN-u,*

– *w związku z tym, że TW ps. „Combi" uzyskał* [kolejny] *gryps od W*[itolda] *Tosia, umożliwiający nawiązanie kontrolowanego kontaktu przez „Swarożyca" lub „Czeremchę" z szefem KAB „Korczyńskim", planuje się zalegendowane przedsięwzięcie, polegające na tym, że osoba przenosząca gryps od W*[itolda] *Tosia dysponuje dużymi możliwościami poligraficznymi, z których „Korczyński" mógłby skorzystać, i dodatkowo jest ona osobą wtajemniczoną w działalność konspiracyjną i ze wszech miar wiarygodną. W zależności od efektu podjętego kontaktu z „Korczyńskim" będzie kontynuowana gra operacyjna celem jego ustalenia* [Osoba przenosząca grypsy od Tosia miała zapewniać działaczy KPN, że ma możliwość zdobycia papieru, farby, matryc i/lub możliwość drukowania „bibuły". W ten sposób chciała przeniknąć w głąb struktury TTKAB i dotrzeć do „Korczyńskiego". To była prawdopodobnie owa kombinacja operacyjna, za pomocą której por. Celban planował „wyjść na Korczyńskiego". Przy tym akapicie ppłk Biel dopisał: „Przedłożyć odrębny plan kombinacyjny". Niestety, znamy tego planu i nie są znane szczegóły jego realizacji. Wiadomo, że się nie powiódł. SB nie dowiedziała się w 1982 roku, kim jest „Korczyński"],

– *do prawidłowego zabezpieczenia realizacji zaplanowanych czynności została powołana grupa operacyjna w składzie: kpt. Edward Wróbel – kierownik Sek*[cji] *II, por. Z*[dzisław] *Celban – prowadzący sprawę krypt*[onim] *„Konspiratorzy", chor. J*[erzy] *Rozłonkowski – Sekcja II, plut. W*[itold] *Wiśniewski – Sekcja II.*

Z uzupełnienia meldunku operacyjnego dot. SOR „Konspiratorzy" z 17 września 1982 roku dowiadujemy się, że kontynuacja kombinacji operacyjnej SB z grypsami nie przyniosła SB nowych sukcesów i por. Celban przyznał się do porażki: *Po przejęciu ka-*

nału grypsowego, przy pomocy którego Witold Toś utrzymywał kontakt z pozostającymi na wolności członkami KPN i kierownictwem KAB, podjęte zostały czynności operacyjne mające na celu nawiązanie kontrolowanego kontaktu z szefem KPN, a tym samym personalne jego ustalenie. W tym celu spowodowano nawiązanie kontaktu grypsowego z osobą mającą kontakt z szefem KPN-u. Kontakt ten nie został jednak podtrzymany z uwagi na fakt, że osoba ta obawiała się, że jest on kontrolowany przez Służbę Bezpieczeństwa.

***

Dowodem na to, że kierownictwo KPN trafnie „przeczytało" grę SB grypsami Tosia, jest artykuł, który ukazał się w „Niepodległości" latem 1982 pt. „Śledztwo trwa" („Niepodległość" nr 13 z 6 września 1982): *Kraków, Montelupich 7, więzienie karno-śledcze, oddział II, popularnie: getto. To tutaj. Cele w większości małe, dwuosobowe. Od 13 grudnia stale zapełnione więźniami politycznymi. Ale nie tylko. Drugą kategorię więźniów na tym oddziale stanowią osobnicy, dla których określenie szuja jest zbyt łagodne. Jest to grupa kryminalistów-konfidentów. Dobrani wg specjalnego klucza. Zazwyczaj inteligentniejsi od innych pospolitych przestępców. Odsiadują zawsze wysokie wyroki. Swą krecią robotę wykonują za obiecanki skrócenia kary: „za dobre sprawowanie", „ze względu na stan zdrowia".*

Zawsze uprzejmi i uczynni dla politycznych. Chodzi o zdobycie zaufania. Ściany cel na getcie to prawdziwy szwajcarski ser. Otwory umożliwiają kontakt głosowy z sąsiednimi celami. O tej możliwości nowicjusz zostaje poinformowany przez uczynnego starego więźnia. Stary więzień proponuje również kontakt przez fryzjera, więźnia funkcyjnego, ba – ofiarowuje się załatwić kanał przerzutowy na miasto. Kapuś opowiada zawsze o swoich koneksjach z opozycją. Przypisuje sobie zasługi w działalności opozycyjnej: „Stary, ciągnę ten wóz od dawna, bo sprzed sierpnia 1980". Kret ryje dotąd, dopóki nie pozyska całkowitego zaufania więźnia politycznego. Gdy nowy, niedoświadczony więzień jest rozsądny i milczy, metoda się zmienia. Konfident przystępuje do sposobu „na ambicję" – „Myślałem, że jesteś równy gość, ludzie na mieście nic nie wiedzą o wpadce. Dlaczego nie chcesz ich ostrzec? Jak spojrzysz kolegom w oczy! Poza tym powinieneś poinformować wszystkich, że Iksiński pracuje dla esbeków". Jest to tzw. wpuszczenie szczura – podstawowa metoda paraliżowania opozycji przez SB. Jeżeli więzień-nowicjusz w dalszym ciągu nie podejmuje wątku, z reguły wychodzi na wolność po zakończeniu sankcji (oczywiście, jeżeli nie ma przeciwko niemu żadnych konkretnych dowodów).

Sytuacja radykalnie się zmienia na niekorzyść podejrzanego, gdy konfident pozyska jego zaufanie. Do akcji wkracza wówczas specjalna komórka SB. Rozmowy na tematy polityczne są nagrywane (w celach na getcie ukryte są mikrofony), kontakty ze współwięźniami – rejestrowane i skrupulatnie protokołowane, grypsy przekazywane adresatom (ci ostatni zaś – po inwigilacji – aresztowani). Tak SB fabrykuje dowody winy wobec tych osób, które konsekwentnie nie przyznają się w śledztwie do niczego i wobec których nie ma dowodów winy. Śledztwo trwa.

PAMIĘTAJ!

Nie prowadzi się rozmów na tematy konspiracji ze współwięźniem. Nie kontaktuje się ze znajomymi przebywającymi w areszcie. Nie wysyła się grypsów. Przestrzegając tych elementarnych zasad, możesz uchronić przed wyrokiem skazującym siebie i współtowarzyszy pracy konspiracyjnej.

Podpis: „Były więzień śledczy z Monte".

Ryszard Bocian: *Tekst „Śledztwo trwa" dostarczył mi Gut. Nie tłumaczył mi, skąd ma te informacje.*

Kadrówka w 1982 roku

Pierwszy powojenny Marsz Szlakiem I Kompanii Kadrowej przeszedł historyczną trasą z Krakowa do Kielc w sierpniu 1981 roku (zob. tom I).

Jerzy Mohl: *Początkowo traktowaliśmy marsz jako atrakcyjne spotkanie z historią, lecz bardzo szybko okazał się imprezą kojarzącą ludzi o określonych poglądach. Sam marsz w 1981 roku był bardziej projektem propagandowym przeprowadzonym pod skrzydłami „Solidarności", którego zadanie polegało na wskrzeszeniu idei marszów przedwojennych. Według mnie największym jego osiągnięciem było zintegrowanie środowiska niepodległościowego w Krakowie przynajmniej na poziomie znajomości personalnych. W czasie marszu poznałem bardzo wielu ludzi, z którymi później los pozwolił mi działać i od których tak wiele zależało. Część z nich była już członkami KPN, inni wstąpili później. Poznałem wtedy Wojtka Pęgiela, Staszka Tatarę, Mietka Majdzika, Wojtka Słowika i Witka Tukałłę, z którym znajomość spowodowała, że parę miesięcy później wstąpiłem w szeregi Konfederacji. Pod względem organizacyjnym marsz miał sporo niedociągnięć, a zwłaszcza nie do końca przemyślanych szczegółów, takich jak np. poruszanie się po asfalcie w upale wzdłuż E-7, co powodowało niesamowite urazy stóp uczestników. Najbardziej cierpiał Staszek Tatara, który szedł chyba tylko siłą woli, bo od trzeciego dnia przy każdym postoju po prostu padał na ziemię. Doszedł jednak do końca. Staszek to wielki twardziel i zawsze później można było na nim polegać.*

Szczególna była atmosfera tego pierwszego od II wojny światowej Marszu Kadrówki, gdzie nagle spotkały się trzy pokolenia.

Pierwsze pokolenie to żyjący jeszcze wówczas legioniści Piłsudskiego, z którymi mieliśmy spotkanie w Prandocinie.

Drugie – to pokolenie akowców i żołnierzy powojennego podziemia.

Trzecie – nasze pokolenie, urodzonych po wojnie i od początku urabianych przez komunistyczną propagandę. Staraliśmy się jednak różnymi sposobami zdobyć wiedzę o poprzednich ogniwach łańcucha pokoleń, do którego należeliśmy, aby dopiąć swoje, licząc, że będzie równie mocne.

Największe dla mnie znaczenie miało spotkanie z legionistami. Opowieści tych starych ludzi, którzy przeżyli tak wiele i byli świadkami tak niezwykłych wydarzeń w dziejach naszego kraju, a jednocześnie potrafili o tym mówić nie na koturnach i bez przygniatającego patosu, było jak antidotum na truciznę komunistycznej propagandy i zakłamania. Zakłamanie to, pomimo trwającego „karnawału Solidarności", otaczało nas ze wszystkich stron. Opowieści legionistów były najwspanialszą lekcją historii, w której uczestniczyłem. Gdy spotkanie z legionistami w pierwszym dniu dobiegło końca, następne postoje wypełniały nam opowieści akowców, równie interesujące. Kiedy dzisiaj po latach wspominam te chwile, uświadamiam sobie, jak szybko nawiązywała się międzypokoleniowa nić porozumienia,

która później pozwalała na wspólne działania, mimo często ogromnej różnicy wieku. Ta międzypokoleniowa współpraca prawdopodobnie wynikała z innego wychowywania młodych ludzi w tamtym czasie, gdzie pazur młodości nie był przeciwieństwem elementarnego szacunku dla starszych, a formuła „róbta co chceta" nie wchodziła w grę.

Do uczestników marszu w 1981 roku przemawiał Stanisław Kuś (członek Zarządu Regionu, sympatyk, a potem członek KPN). Dziś wspomina: *Zacząłem cytatem z Piłsudskiego – tak, jakbym to mówił ja sam do uczestników marszu. Dopiero potem powiedziałem, że to był cytat.*

Słowa Piłsudskiego zabrzmiały wtedy, w 1981 roku, zaskakująco aktualnie i profetycznie. Słuchający tych słów młodzi ludzie mieli prawo czuć się i czuli się „kolejną zmianą w długiej sztafecie pokoleń Polaków walczących o niepodległość". I dziś możemy powiedzieć, że podobnie jak ich poprzednicy z 1914 r., a także z 1944 r.., zdali egzamin historii. *„Odtąd nie ma ani Strzelców, ani Drużyniaków. Wszyscy, co tu jesteście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi. Znoszę wszelkie odznaki specjalnych grup. Jedynym waszym znakiem jest odtąd orzeł biały. Dopóki jednak nowy znaczek nie zostanie wam rozdany, rozkazuję, abyście zamienili ze sobą wasze dawne oznaki, jako symbol zupełnej zgody i braterstwa, jakie muszą wśród żołnierzy polskich panować. Niech Strzelcy przypną do czapek blachy Drużyniaków, a oddadzą im swoje orzełki. Wkrótce może pójdziecie na pola bitew, gdzie, mam nadzieję, zniknie najlżejszy nawet cień różnicy między wami.*

Żołnierze!

Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru, jako czołowa kolumna wojska polskiego, idącego walczyć za oswobodzenie ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż, każę tylko doświadczeńszym wśród was pełnić funkcje dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów zejść do szeregowców, czego oby nie było... Patrzę na was, jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska, i pozdrawiam was, jako pierwszą kadrową kompanię".

Co do ostatniego zdania powyższego tekstu – los zrządził inaczej. Uczestnicy tych pierwszych historycznych marszów zostali w wolnej Polsce na marginesie polskiej polityki. Dobitnym świadectwem tego zjawiska jest samobójstwo zapomnianego dziś zupełnie Wojciecha Pęgiela w roku 2005. Po piłsudczykowsku wyraził swoją pogardę dla tego obcego mu już świata, powtarzając dramatyczne gesty Walerego Sławka czy Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego...

***

W drugim powojennym marszu w 1982 roku brało udział zaledwie kilkanaście osób. Z Konfederacją formalnie było związanych pięć z nich (Wojciech Pęgiel, Andrzej Izdebski, kpt. Włodzimierz Olszewski, Małgorzata Słowik i Wojciech Słowik).

Małgorzata Słowik: *W marszu wzięliśmy udział w trójkę (ja, moja siostra i brat), Iwona Warchał, Marta Hejduga, Wojtek Pęgiel, Celina Kisiel i też z Kielc – mężczyzna, którego nazwiska nie pamietam. Piotr Boroń dołączył chyba później, bo nie pamiętam go pierwszego dnia.*

Wojciech Słowik: *Było nas zaledwie kilkanaście osób, m.in. dlatego, że wielu było internowanych lub siedziało w więzieniu (m.in. Witek Tukałło, Marek Bik i Jurek Mohl). Komendantem marszu był Wojtek Pęgiel. Z uczestników pamiętam Steckiewicza, Piotra Boronia, Andrzeja Stawiarskiego.*

Po mszy na Wawelu uznaliśmy, że w Krakowie nas na pewno wyłapią, więc rozdzieliliśmy się na małe grupki i umówiliśmy się na spotkanie przy pomniku w Michałowicach. Plecaki mieliśmy przy sobie (inaczej niż rok wcześniej – nie było wynajętej ciężarówki, która podwiozłaby nasze rzeczy).

M. Słowik: *Ktoś nas zakapował, bo SB wiedziała, gdzie się spotkamy (to nie było na Oleandrach tylko w Bibicach, skąd mieliśmy dojść do Michałowic). Część ludzi złapali wcześniej, a grupę, w której ja byłam (7, 8 osób), złapali na drodze do Michałowic. Otoczyli nas tajniacy (byli nieoznakowanym samochodem), wylegitymowali i puścili.*

W. Słowik: *W Michałowicach SB zorganizowała akcję. Szliśmy w szóstkę (moje dwie siostry, Wojtek Pęgiel, ja i jeszcze jakieś dwie osoby) od przystanku autobusowego w stronę pomnika w Michałowicach. Jakiś kilometr przed pomnikiem drogę zagrodziły nam polonezy i SB nas wyłapało. Spisali nas, przeprowadzili rozmowę pouczającą, postraszyli nas kolegiami („Macie pierwsze ostrzeżenie, drugiego już nie będzie") i wypuścili.*

Mnie udało się uniknąć spisania. Jak jeden esbek zażądał legitymacji, to powiedziałem, że już dałem drugiemu, a jak ten drugi żądał, to powiedziałem, że dałem pierwszemu. Spisywali nas bardzo długo – chyba z pół godziny. Jak już wszystkich spisali, to jeden z nich zaczął liczyć legitymacje i wtedy pomyślałem: „No, niestety. Taki sprytny to ty nie jesteś!". Ale on policzył i okazało się, że liczba dokumentów zgadza się z liczbą zatrzymanych! I oddał jednej osobie wszystkie dokumenty do rozdania. Sprawa wyjaśniła się chwilę potem – Wojtek Pęgiel dał esbekom dwa dokumenty: dowód osobisty i książeczkę wojskową. Mnie się udało, choć – niestety – spisali siostry. Już tego samego dnia ojciec został wezwany przez WSW. Następnego dnia przyjechał nasz brat z misją, aby nas wezwać do domu. Ale poszliśmy dalej.

Spisali też drugą grupę, która godzinę wcześniej była pod pomnikiem (spotkaliśmy się z nimi jeszcze tego samego dnia). A część (w tym chyba Andrzeja Stawiarskiego) zatrzymali już w Krakowie, umieścili na komendzie w „Białym Domku" i wypuścili dopiero po południu.

M. Słowik: *Jak poszliśmy dalej, to oni się wrócili i nas szukali. Chyba nas chcieli zwinąć. Schowaliśmy się przed nimi w krzakach. Andrzej Izdebski wyszedł potem z tych krzaków, aby sprawdzić, czy droga jest wolna i jego złapali.*

Włodzimierz Olszewski: *W 1982 poszedłem znowu na Kadrówkę. Zwinęli nas z Andrzejem Izdebskim w Michałowicach i zabrali na Mogilską.*

Andrzej Izdebski (wspomnienia): *W czerwcu 1982 na zebraniu* [C]*KAB-u zastanawialiśmy się nad Marszem Szlakiem I Kompanii Kadrowej. Uważałem, że to nie ma sensu. Zamkną wszystkich i na tym się skończy. Pęgiel uważał, że trzeba iść. Rozeszliśmy się bez podjęcia decyzji. Ponieważ uważałem, że do marszu nie dojdzie, porozumiałem się z rodziną z Gdańska* [i umówiliśmy się] *na pielgrzymkę jasnogórską z Krakowa. Przyjechało z Gdańska 5 osób. Wtedy dowiedziałem się, że marsz się odbędzie.*

Dojechałem do Michałowic taksówką z Ludomirem Olkuśnikiem (kolega mojego zięcia z KFAP). Ponieważ przy pomniku widać już było milicję i zatrzymanych „marszowiczów", pojechaliśmy trochę dalej i wysiedliśmy z samochodu, obserwując sytuację.

Szedłem miedzą dość daleko od drogi, ale samochód MO skręcił w polną drogę i zatrzymał się przy mnie. Wysiadł z niego cywil (jak się okazało kpt. SB Wróbel) i milicjant. Zaczęli mnie legitymować.

Wpadłem we wściekłość i zacząłem ryczeć: „Jak wam nie wstyd?! Polskie orzełki na czapkach nosicie i Polaków po drogach ganiacie".

Kpt. Wróbel: „Przymknij się pan!".

Ja: „Przymknij się, to może pan mówić do psa, nie do mnie!".

Wsiedliśmy do samochodu, w którym już był jeden złapany (jak się okazało, kpt. Włodzimierz Olszewski z „czerwonych beretów").

Olszewski spytał sierżanta, kierowcę: „Co ja panu zrobiłem, że mnie pan wozi tym samochodem?".

Ja: „Sierżantowi pan nic nie zrobił, tylko Breżniewowi, bo pan żyje. Dlatego napuszcza na pana sierżanta, żeby się powtórzyły lata czterdzieste, kiedy w lesie siedział polski partyzant, a na niego szedł milicjant Polak, ubowiec Polak i żołnierz KBW, też Polak".

Sierżant: „Myśmy zapobiegli wojnie domowej".

Ja: „Pan żartuje! Z czego Solidarność miała do pana strzelać? A pan ma z czego strzelać!".

Sierżant: „Ja nie będę do pana strzelał".

Ja: „Jak panu dadzą narkotyki, to będzie pan strzelał!".

Sierżant: „Z tymi narkotykami to lipa".

Ja: „Niech pan pomówi z ludźmi z Gdańska, to panu powiedzą, czy to lipa. Jakby mnie łapał rosyjski żandarm, to bym nie miał pretensji, ale że mnie łapie Polak, to jest dla mnie tragedia. Mam w domu atlas historyczny z portretem Piłsudskiego i Bieruta, a jak my czcimy pamięć Piłsudskiego, to wy nas łapiecie na drogach!".

Kpt. Wróbel: „Ja znam historię Polski i wiem, że Piłsudski miał przeciwników, których zwalczał".

Ja: „Pomiędzy rządem Piłsudskiego a rządem PRL jest taka różnica, że rząd Piłsudskiego powstał w Warszawie, a rząd PRL w Moskwie".

Na tym rozmowa się skończyła.

Olszewski: *Andrzeja Izdebskiego i innych zwolnili po przesłuchaniu i oni wrócili na marsz. Mnie zabrali na Wrocławską. Tam ustanowili mi dozór. Musiałem się codziennie meldować w WSW. Przez to nie mogłem opuścić Krakowa i kontynuować marszu.*

Zrobili mi także kolejną rewizję. Przeprowadzał ją mjr Ryczek (podwładny Ziółkowskiego). W mieszkaniu nic nie znaleźli, chociaż bardzo się starali. Zarekwirowali mi np. oficjalnie wydaną książkę Terleckiego o gen. Sikorskim. I wtedy Ryczek powiedział: „To teraz, kurwa, piwnica i garaż!". Garaż był na Czyżynach. A w garażu miałem kupę bibuły. Wystraszyłem się i powoli zacząłem symulować zawał serca. W końcu padłem. Ryczek się wystraszył, wezwał karetkę i zawieźli mnie na Wrocławską. No i Ryczek już do garażu nie zaglądał.

Błyskawicznie mnie z wojska zwolnili. Dostałem wilczy bilet. Nie mogłem znaleźć żadnej pracy aż do 1989. Po 1989 zresztą także miałem kłopoty..

Izdebski: *W Michałowicach oddano mi plecak i kazano wracać do Krakowa. Wróciłem jednak w pobliże pomnika, gdzie zbierali się znowu „marszowicze". Był tam m.in. Pęgiel, Małgosia Słowikówna z KPN i Andrzej Stawiarski. W sumie 5 osób.*

W. Słowik: *Po wypuszczeniu szliśmy dalej polami, starając się kluczyć, aby zgubić esbeków. To była taka zabawa w kotka i myszkę. Gdy tylko schodziliśmy z pola na drogę asfaltową, to już tam stał radiowóz i nas śledził.*

W końcu wskoczyliśmy do pociągu, który obok przejeżdżał i dojechaliśmy do Słomnik. Było po południu, na chybił trafił weszliśmy do pierwszej napotkanej parafii, aby poprosić o nocleg. Była to parafia w Prandocinie. Mieliśmy zamiar udawać, że jesteśmy pielgrzymką, ale gdy weszliśmy do pokoju, do którego ksiądz nas zaprosił, to na biurku zobaczyliśmy popiersie Piłsudskiego. Okazało się, że ksiądz był piłsudczykiem i zapalonym antykomunistą. Od tego czasu przy okazji każdej Kadrówki odwiedzaliśmy księdza w Prandocinie. Zostaliśmy na noc (spaliśmy na podłodze na plebanii).

Izdebski: *Rano wróciłem do Krakowa, dotarłem do Piotra Boronia i innych zawróconych „marszowiczów". Przywiozłem ich na wieczór do Prandocina, gdzie czekała pierwsza grupa.*

W. Słowik: *Czekając na kolegów, którzy zostali dzień wcześniej zatrzymani w Krakowie, cały dzień u księdza politykowaliśmy i jedliśmy w jego sadzie pyszne jabłka.*

M. Słowik: *Z Prandocina kolejny odcinek marszu przeszliśmy w nocy – wyszliśmy od księdza koło północy. Do Książa szliśmy prawie do czwartej nad ranem, szosą, ale jak jechało jakieś auto, to uciekaliśmy do rowu. Niektórzy kierowcy gwałtownie przyspieszali, bo myśleli, że to jakaś banda. W ten sposób zgubiliśmy esbeków.*

Izdebski: *Rano rozstałem się z nimi, bo czekali na mnie pielgrzymi z Gdańska.*

M. Słowik: *Kolejne odcinki pokonywaliśmy już w dzień, ale szliśmy polami, a nie drogą asfaltową. Spaliśmy zwykle na plebaniach, bo to dawało nam względne poczucie bezpieczeństwa.*

W 1982 roku po drodze nie było żadnych spotkań. Legioniści byli z nami tylko na Wawelu. Do Kielc dotarliśmy już bez przeszkód. Nie wchodziliśmy do miasta zwartym szykiem, ale mieliśmy tam zamówioną mszę świętą w katedrze. A potem jeszcze pojechaliśmy do Częstochowy, aby wziąć udział w uroczystościach 15 sierpnia.

Z „Niepodległości" nr 13 z 6 września 1982: *Odbył się II Marsz Szlakiem I Kompanii Kadrowej. Nie udała się SB próba rozbicia marszu już w miejscu zbiórki w Bibicach, gdzie zatrzymano m.in. Marię Mansfeld, Andrzeja Stawiarskiego, Piotra Boronia, P*[awła] *Koźmińskiego. Po zwolnieniu ich wieczorem 6 sierpnia, marsz został wznowiony. Polnymi drogami 15 jego uczestników przez Michałowice, Miechów, Jędrzejów, Brzegi, Chęciny dotarło do Kielc...*

W Załężu (II)

13 czerwca 1982 roku w Załężu rozpoczęła się kolejna fala głodówek.

Tatara: *W czerwcu uczestniczyliśmy w kolejnym zbiorowym proteście głodowym. Niektórzy z kolegów trafili do szpitala w Rzeszowie. Dla mnie efekt był taki, że w wyniku tych wszystkich głodówek „zrzuciłem" ponad 20 kilogramów.*

Relacja z Załęża w „Zomorządności" nr 17 z 19 czerwca 1982: *Na początku wojny przebywało tam 117 internowanych z Krakowa. Obecnie na oddziale krakowskim internowane są 33 osoby (25 osób od 13 grudnia plus 5 nowych).*

Część krakowian przewieziono do ośrodka w Kielcach (m.in. internowanego ostatnio Tadeusza Piekarza) w dniu 26 maja. Panujące tam warunki bytowe są gorsze niż w Załężu.

13 czerwca część internowanych rozpoczęła głodówkę na znak protestu przeciw stanowi wojennemu. Z Krakowa głodowały 22 osoby, z czego część wycofała się przed końcem głodówki, który ma nastąpić 22 czerwca. Mimo istniejącego przepisu, że po 8 dniach głodujących należy karmić, komendant obozu niewiele sobie z tego robi.

Ponadto od 1 czerwca głodówkę na znak protestu przeciw swojemu internowaniu prowadzi K. Tokarski – nie będący działaczem Solidarności ani cinkciarzem. Został on internowany, ponieważ nie pracował na państwowej posadzie. Mimo że Tokarski ostatnio poważnie zasłabł, władze obozu również i w tym przypadku nie pofatygowały się wezwać pogotowia, nie mówiąc już nawet o karmieniu głodującego i przewiezieniu go do szpitala.

Z internowanych z Krakowa w szpitalu w Rzeszowie przebywają: Bogusław Sonik – zapalenie nerwu wzrokowego, Adam Macedoński (również ze względu na wzrok) i Mieczysław Majdzik. Ponadto w szpitalu w Krakowie na ul. Mogilskiej przebywa Bogdan Klich.

Na początku czerwca z Załęża zwolniono 4 internowanych studentów z Krakowa: J. Rakowieckiego, J. Nelickiego i K. Dawidowicza z UJ oraz Srokę z AGH.

Ogólnie atmosfera w Załężu jest dobra, bardzo aktywnie działa tam poczta obozowa, w której internowani wykonują obozowe znaczki pocztowe oraz pieczątki, którymi stemplują koperty. Poza tym w Załężu internowani wykonali ostatnio odznaki „Solidarność Internowanych – więzienie Załęże". Natomiast na kratach w oknach cel „pensjonariusze" wykonują z prześcieradeł różne hasła, w ten sposób, że internowani z każdej celi wykonują w swoich „pokojach" po jednej literze. Ostatnio wykonano napis „Pamięci" i trzy krzyże. Natomiast władze więzienia, jak mogą utrudniają życie internowanym. W nieskończoność przeciąga się sprawa spacerników – miejsca spacerów dla internowanych. Poprzednie zostały zakwestionowane przez Czerwony Krzyż. (inf. wł.).

Czerwcowa głodówka w Załężu przeciągnęła się aż do początków lipca 1982 roku i była najdłuższą z głodówek, do których doszło w tym czasie w kilku obozach internowania.

Z raportu zastępcy dyrektora Centralnego Zarządu Zakładów Karnych J. Petrykowskiego z 15 lipca 1982 roku (za: www.internowani.pl): *Od pierwszych dni czerwca br. odnotowano wśród internowanych wzrastające napięcie i niepokoje w związku z upływem 6 miesiąca stanu wojennego. W tym kontekście należy rozważać podjęte w dniu 13 czerwca zbiorowe i długotrwałe głodówki w Kielcach, Łupkowie, Rzeszowie i Uhercach, które najdłużej trwały w Rzeszowie (do dnia 7 lipca br.).*

W rezultacie tej akcji protestacyjnej obóz w Załężu został zamknięty 10 lipca 1982 roku, a internowanych, których nie zwolniono, przewieziono 8 lipca do Kielc.

Jednak obóz w Kielcach zamknięto 31 lipca 1982 roku i przebywających tam przewieziono do otwartego ponownie obozu w Załężu. W tym czasie atmosfera w Załężu uległa radykalizacji.

R. Huget: *Jak byłem drugi raz w Załężu* [po powrocie z Kielc], *to był bunt. Skuliśmy ściany między celami, bo podobno ktoś tam znalazł podsłuch. Całe więzienie poszło w drzazgi. Takie dziury zrobiliśmy w ścianach, że dwóch gości pod rękę mogło przez nie przejść. Nikt nie zrobił z tego żadnej afery, bo te cele nie miały prawa tak być zbudowane. Miały mieć pręty stalowe w ścianach, ale je rozkradziono przy budowie. Tak samo rozkradzione były kaloryfery. Na przykład widać było, że na ścianie jest miejsce na 8 żeberek, a były 3. Generalnie – to było jedno z ostatnich więzień wybudowanych w PRL, więc przy jego budowie wszystkie materiały były pokradzione i więzienie nie zapewniało bezpieczeństwa tak jak powinno. Prawdopodobnie ktoś na wysokim szczeblu brał w tym udział i zatuszował sprawę.*

W rezultacie tego buntu 27 sierpnia ponad stu internowanych z Załęża przewieziono do Łupkowa (transport dotarł 28 sierpnia).

Tymczasem 25 sierpnia przywieziono do Załęża internowanych z Białołęki (gdzie internowani byli czołowi działacze „Solidarności": Władysław Bartoszewski, Andrzej Drawicz, Jan Dworak, Bronisław Geremek, Andrzej Gwiazda, Gabriel Janowski, Jacek Kuroń, Anatol Lawina, Jan Lityński, Marek Nowicki, Adam Michnik, Karol Modzelewski, Janusz Onyszkiewicz, Jan Rulewski, Henryk Wujec).

Tadeusz Kensy (przebywał na tym oddziale w Załężu, na którym zaczął się bunt): *Sierpień 1982 był w Załężu czasem wprost idyllicznym. Cele były zamykane tylko na noc, można było swobodnie chodzić między piętrami – oddziałami (chyba wtedy już tylko dwoma). Oddział IV został zlikwidowany wkrótce po powrocie z Piasków, po znalezieniu tam (prawdopodobnie) instalacji podsłuchowej. Jednak „przeniesienie" niewielkiej liczby internowanych z tego oddziału odbyło się bardzo pokojowo, wtedy po raz pierwszy (w Załężu) można się było dowolnie do cel dobierać. Nawet do łaźni w piwnicy dostęp był nieograniczony, wołało się przy kracie na „klawisza", ten otwierał kratę i internowany sam szedł sobie odizolowaną klatką schodową do łaźni, kiedy tylko chciał.*

Nagle ta idylla została gwałtownie przerwana. Byłem wtedy w jednej celi z Emilem Mastejem [działacz „Solidarności" w Jaśle] *i Antkiem Bartyńskim* [działacz „Solidarności" Wiejskiej na Rzeszowszczyźnie]. *Cele nie zostały otworzone, zaczęły się gwałtowne protesty, walenie w drzwi itd. Spirala agresji zaczęła się znów nakręcać.*

Przyczyn było kilka. Pierwsza – to zbliżająca się rocznica Porozumień Sierpniowych. Komunistyczne władze spodziewały się wielkich rozruchów w dużych „walecznych" ośrodkach miejskich. Nawet przywódcy rzeszowskiego reglamentowanego „podziemia" nawoływali do udziału w zbiorowej modlitwie – SB, zapewne nie chcąc stworzyć im kłopotliwych

sytuacji, na kilkanaście dni „internowała" ich (m.in. M. Stręka, K. Ferenca) i wywiozła do Uherców. Nic nie zapowiadało, by w Rzeszowie mogło dojść do jakiejś większej „zadymy", dlatego większość sił ZOMO z Zaczernia została wyekspediowana do Nowej Huty. 24 sierpnia po południu skierowano do Załęża dwa transporty internowanych: ze Śląska i z Białołęki, przyjechały w nocy. Być może nieotwarcie cel 25 sierpnia było tylko „rutynowym" działaniem klawiszy (nawet tak to rano tłumaczyli), zaostrzeniem stosowanym zwykle w więziennictwie po przyjęciu nowych transportów. Zdarzyła się jednak niespodzianka. SB „przejęła" wiadomość, że już w okolicy 26 sierpnia (czwartku) dojdzie w rzeszowskim WSK-PZL do strajku i protestów w związku z niedopuszczeniem przez władze do przyjazdu do Częstochowy na uroczystości 600-lecia bytności obrazu Matki Boskiej Jasnogórskiej papieża Jana Pawła II.

Nie wiem, skąd wzięła się ta informacja, czy była czymś realnie uzasadniona i kto przekazał ją SB. Być może, że np. Adaś Śnieżek opowiedział swój jakiś piękny sen swojemu przyjacielowi, powiernikowi i dźwigarowi jego „konspiracyjnej" siatki – Tadeuszowi Cebulkowi, TW ps. „Luiza". „Luiza" był poważnym agentem, cenionym przez SB i „prowadzonym" (prawdopodobnie) przez samego mjr. Ryszarda Gila, zastępcę naczelnika wydziału – więc mu uwierzyli. Ale ZOMO pojechało do Krakowa – na terenie WSK skoszarowano więc różną zbieraninę: oprócz zomowskiej „kadry", ściągnięto tam ROMO i więzienną atandę z całego okręgu.

Równocześnie w Załężu „starzy" internowani nie pogodzili się z zamknięciem cel, więzienie huczało, „z marszu" do protestów dołączyli się Ślązacy.

Kipisz – straszak przeprowadzono „własnymi siłami", część internowanych przemieszczono do innych cel. Obiecywano rychłe otwarcie cel, klawisze (w większości) bali się wchodzić na oddziały. 27 sierpnia nie podano nawet obiadu – bali się otwierać cele. Ktoś (z Chełma?) wpadł na pomysł: „kąciki sanitarne" (kible) były obudowane szklanymi kaflami (luksferami) wspierającymi się na konstrukcji z grubych ceowników stalowych zakotwiczonych głęboko w ścianie – ruszając energicznie tą konstrukcją, zaczynało burzyć się ścianę! Wkrótce cały ciąg cel na (chyba) II oddziale został w ten sposób połączony. Ktoś jakimś chytrym sposobem „namówił" klawisza (był to stary, mały „emeryt", który odszedł ze służby w czasie przenosin aresztu z zamku, nie bał się, internowani go lubili, a kalifaktorzy szanowali, bo ponoć wcześniej „umiał strasznie uderzyć"), aby otworzył jedne drzwi. To wystarczyło, większość internowanych z oddziału wyległa na korytarz. W tym samym czasie też została otworzona któraś cela na III oddziale, internowani mieli wytrychy zrobione z materacowych sprężyn – wkrótce wszystkie cele zostały otworzone, kraty między oddziałami na schodach klatki schodowej prowadzącej na spacerniak – wyłamane. Być może, że stary klawisz (jedyny, który został) też otwierał, chcąc zapobiec dalszej dewastacji. Pamiętam, że internowani przywiezieni właśnie z Białołęki byli przerażeni, u nich przez całe osiem miesięcy było spokojnie i grzecznie. Panowały tam stosunki surowe (cele otwarte tylko kilka godzin dziennie) i kulturalne (picie kawy z klawiszami było normą).

Pamiętam też, że od wyjścia na zewnątrz bloku, na wielki (zorganizowany specjalnie dla internowanych) spacerniak oddzielały już tylko lichutkie, drewniane drzwi, za którymi jednak – wyraźnie słychać było dyszenie spuszczonych więziennych wilczurów. Internowani nie odważyli się tych drzwi rozwalić. Wkrótce potem usłyszeliśmy jazgot „kogutów" na samochodach. Na okrężnej drodze przy murze pojawił się rząd (około 10) „gazików" MO i SW. Jechały powoli, robiły wiele jazgotu, ale ludzi w mundurach było niewielu. Internowani myśleli jednak, że wysiedli wcześniej, przegrupowują się na klatce schodowej i za chwilę zaatakują.

Za radą spotkanego właśnie w grupie z Białołęki Józka Ruszara – poszedłem szybko do celi i ubrałem na siebie wszystko, co miałem, żeby pałowanie mniej bolało, po czym wróciłem do Ruszara. Po jakimś czasie kraty rzeczywiście się otworzyły i weszli… kalifaktorzy, bez obstawy klawiszów, ze spóźnionym obiadem. Mówili, że nie widzieli nigdzie „sił interwencyjnych" i że w robiących tyle jazgotu samochodach byli tylko sami kierowcy.

Po jakimś czasie krata znów się otworzyła i na oddział (nie pamiętam który, ale chyba II) wszedł desperacko mocno pijany zastępca dowódcy ochrony kpt. Rybka. Było mu wszystko jedno, uśmiechał się i był bardzo grzeczny. Nie było ani słowa o buncie, żadnych gróźb. Ledwo wybełkotał, że wszystko jest OK, że nic się nie stało i nie będzie żadnego „wpierdol", tylko więzienie nie nadaje się w dużej części do dalszego zamieszkania i trzeba będzie „pójść w transport" w Bieszczady, do Nowego Łupkowa. Niedługo potem (jeszcze bardziej pijany) przyniósł listy, ale nie mógł czytać. Więc zapytał, czy ktoś jeszcze z klawiszy może bezpiecznie wejść, dostał zgodę.

Potem było wyczytywanie, pakowanie się i „budy". Podróż była spokojna, ale byliśmy „podkręceni", bo jednak spodziewaliśmy się jakiegoś podstępu i zemsty za zdemolowanie więzienia. Po kilku godzinach (samochody jechały bardzo szybko) gdzieś dojechaliśmy, „budy" przejechały przez dwie bramy (w ścianach były rzędy krótkich szpar – „napowietrzaczy", przykładając do nich oko, można było co nieco zobaczyć) i stanęły. Stały dłuższą chwilę, zaczęły się utarczki z milicjantami – konwojentami. Jednemu z nich puściły nerwy, gdy otwierając wreszcie drzwi został popchnięty i użył miotacza gazu. Sekundę potem już uciekał przed goniącymi go z wielkim krzykiem internowanymi, skoczył na siatkę (na jego szczęście „wewnętrzną", na górze było tylko trochę drutów), przewinął się, przeskoczył, dalej uciekał w kierunku głównej bramy i budynku administracyjnego. Na placu stało spokojnie kilku klawiszy, nikt nie miał nawet pały, nikt nie rzucił się milicjantowi na pomoc. Podszedł niski, chudy, rudawy porucznik z wąsem. Powiedział cicho: „Panowie, witamy w Nowym Łupkowie! Proszę wziąć bagaże i iść za mną! Pokażę, gdzie się rozlokujecie". Była piękna, letnia, ciepła noc. Świeciły gwiazdy.

9 września 1982 roku w Załężu przeprowadzono wizytację. Oto fragmenty notatki służbowej z tej wizytacji, sporządzonej 13 września 1982 roku dowodzą, że w Załężu nastąpił w tym czasie zupełny upadek dyscypliny (za stroną www.internowani.pl): *W dniu wizytacji, tj. 9 września* [19]*82 , na miejscu przebywało 69 internowanych, stan ewidencyjny wynosił 107 osób. Analizą objęto okres nasilenia negatywnych form zachowań w ostatnim miesiącu, kiedy stan internowanych wynosił ok. 180 osób.*

W czasie tym ujawniono: np. w dn. 24 sierpnia br. w czasie przeszukania sal mieszkalnych znaleziono radioodbiorniki, aparat fotograficzny, mikrofon oraz liczne ulotki propagandowe. W dniu tym internowani demonstracyjnie wystawili miski i talerze na schody, protestując przeciwko chwilowemu brakowi wody.

W dn. 27 sierpnia br. ze strony ok. 180 internowanych doszło do zbiorowego zakłócenia porządku i bezpieczeństwa w ośrodku, w czasie którego internowani zdewastowali sale mieszkalne (w niektórych salach pozrywali parkiet, wyrwali obudowy urządzeń sanitarnych, w trzech salach wybili otwory do sal sąsiednich o wymiarach ok. 80 na 80 cm, w jednej sali wybili otwór na korytarz przy futrynie drzwi, w kilku salach zniszczyli sprzęt kwaterunkowy). Funkcjonariusze nie podjęli żadnego przeciwdziałania prawnymi środkami przymusu.

W wyniku tych wystąpień 118 internowanych przemieszczonych zostało do ośrodka w Łupkowie, a po przeprowadzeniu przeszukania pomieszczeń, znaleziony został magnetofon kasetowy oraz wiele materiałów propagandowych.

Winą za tę sytuację w środku obciążono administrację obozu.

Funkcję komendanta ośrodka sprawuje naczelnik aresztu mjr W. Kroczek, aktualnie przebywający na urlopie. Zastępuje go jego zastępca mjr M. Bajda. Internowani przebywają w wydzielonym oddziale V, w którym pełnią służbę stali oddziałowi i wychowawca. Sale mieszkalne otwarte są przez całą dobę, a w godzinach 8-18.00 internowani mają nieograniczoną możliwość wykorzystania placu spacerowego. Załoga aresztu liczy etatowo 148 osób, w tym w dziale ochrony 86 funkcjonariuszy.

Stosunek komendanta ośrodka do negatywnych zachowań internowanych charakteryzuje się daleko idącą tolerancją, nie wyciąganiem żadnych konsekwencji dyscyplinarnych nawet w sprawach kierowanych do prokuratury przy jednoczesnych szerokich odstępstwach regulaminowych, zwłaszcza udostępnianiu bez ograniczeń możliwości korzystania przez internowanych z rozmów telefonicznych (ponad 200 rozmów w ostatnich 2 miesiącach).

We wszystkich wizytowanych ośrodkach stwierdzono, że większość internowanych nie czyni najmniejszych starań o utrzymanie w salach mieszkalnych porządku i czystości. Panuje w nich ogólny bałagan, nieporządek i brud. Związane jest to po części z nadmiarem osobistego bagażu oraz żywności dostarczanej przez Kościół i instytucje charytatywne.

Co ciekawe, notatka nic nie wspomina o nieprawidłowościach przy budowie więzienia w Załężu, które to nieprawidłowości umożliwiły internowanym skucie ścian między celami. Ostatecznie obóz został zamknięty ponownie 28 września 1982 roku i – jak można przypuszczać – poddany generalnemu remontowi. Ostatnich internowanych z Załęża przewieziono do Uherzec (19 osób) i do Kielc (40 osób). Tymczasem niektórzy internowani w Załężu nadal prowadzili głodówkę. Należał do nich Ryszard Majdzik. Skończyło się to szpitalem, z którego młody Majdzik (wzorem Michała Żurka) uciekł.

R. Majdzik: *Nas, najdłużej głodujących: Marka Kisza z Warszawy, Janusza Szkutnika i mnie, przewieziono do szpitala w Rzeszowie.*

Lekarze byli wstrząśnięci, gdy nas zobaczyli, tak byliśmy wychudzeni. Niestety, nie pamiętam nazwisk tych ludzi, ordynatora i lekarki, ale zachowywali się bardzo porządnie. Byli wspaniali, udzielali nam wszelkiej pomocy. Gdy zomowcy wynosili nas, wykręcając ręce i nogi, to wielu pacjentów płakało. Niektórzy modlili się za nas, krzyczeli „zostawcie tych chłopaków". Ich solidarna postawa dodawała nam sił, widzieliśmy, że ludzie są z nami.

W końcu na prośbę profesora Zbigniewa Chłapa, na początku września 1982, przewieziono nas do Krakowa, do szpitala przy ul. Kopernika. Stale namawiano nas do przerwania protestu. Dr Jacek Marchewczyk przyniósł list od przewodniczącego RKW Władysława Hardka. „Rysiek jesteś potrzebny do dalszej walki. Wierzę, że żywy" – napisał. Głodówkę zakończyłem w 51. dniu, a Janusz Szkutnik głodował dzień dłużej.

Z „Niepodległości" nr 15 z 7 października 1982: *Wg komunikatu lekarskiego z 26 września 1982 R. Majdzik utracił 18% wagi ciała, cierpiał na znaczną niedokrwistość, zanik mięśni, neuropatię, zmiany dna oka, hipotonię. J. Szkutnik: 18% utraty wagi ciała, wrzody dwunastnicy, zanik mięśni, zmiany okulistyczne, atrofia.*

Ryszard Majdzik: *Gdy w szpitalu powoli wracałem do sił, przyjaciele z Politechniki Krakowskiej, m.in. Stanisław Zamojski, Elżbieta Chwałek-Dudek i jej mąż Andrzej zorganizowali mi ucieczkę. Przyjechali po mnie samochodem Stanisław Zamojski i Elżbieta Chwałek-Dudek. Wyszedłem na spacer do szpitalnego ogrodu i przeskoczyłem przez płot. Po kilku przesiadkach trafiłem do jakiegoś mieszkania na Kurdwanowie, tam ucharakteryzowała mnie Elżbieta, farbując włosy na rudo.*

Kilka dni później wyjechałem do Warszawy, do Marka Kisza. Tam dostałem fałszywe dokumenty. Po głodówce ważyłem 38 kilogramów, nosiłem okulary. Wyglądałem jak

17-letni uczeń. Po powrocie do Krakowa ukrywałem się krótko na Kurdwanowie, aż do czasu spotkania Lesława Maleszki. Od niego dowiedziałem się, że do domu przyszła pocztą decyzja o zwolnieniu z internowania. Nie było więc sensu dalej się ukrywać.

***

Jeszcze w czerwcu i lipcu 1982 roku kolejna część internowanych w Załężu została zwolniona (ci zwolnieni po 8 lipca zostali wcześniej przewiezieni do Kielc). Dotyczyło to większości internowanych tam konfederatów (lub byłych konfederatów).

Zwolnieni z internowania i daty decyzji o zwolnieniu: Jerzy Mohl, Krzysztof Ogorzałek – 2 czerwca, Adam Grudziński i Jacek Swałtek – 14 czerwca, Kazimierz Apanowicz, Adam Macedoński, Aleksander Staszczak i Stanisław Tatara – 2 lipca, Ryszard Kuś i Kazimierz Zmarlik – 13 lipca, Krzysztof Gąsiorowski, Mieczysław Majdzik, Stanisław Palczewski i Stanisław Kuś – 23 lipca.

Co ciekawe, zdarzyło się, że internowany (zresztą związany później blisko z krakowską KPN) nie chciał opuścić ośrodka.

Tatara: *7 lipca zwolniono z Załęża dwunastoosobową grupę internowanych, w której byłem również ja oraz Wiesław Kukla. Nie zgodził się on jednak opuścić internatu. Jako powód podawał klawiszom, że nie ma gdzie wrócić i nie ma kartek na wódkę. Mnie oświadczył, że nie może wyjść, bo ma w celi schowany cały warsztat – narzędzia, farby, tusze, stemple itp. Kukla był grafikiem i robił okolicznościowe koperty, grafiki itp. Chciał przed wyjściem przekazać wszystko na zewnątrz, aby mu tego nie skonfiskowano. Prosił mnie, bym po wyjściu za mury dał znać, czy nas rewidowali. Nie wiem jak długo pozostał jeszcze w Załężu*.

Stanisław Tatara opisuje pierwsze chwile po wyjściu na wolność po ponad półrocznym pozbawieniu wolności: *Na dworzec kolejowy w Rzeszowie szliśmy objuczeni różnymi tobołami, pakunkami, zarośnięci, z przypiętymi znaczkami „Solidarności". Ludzie po drodze patrzyli na nas jak na zjawy. Przy dworcu rozdzieliliśmy się. Czterech studentów poszło po drodze do baru, gdzie przy piwie śpiewali antyreżimowe piosenki i wznosili okrzyki tak, że zwinęła ich milicja i do Krakowa dotarli z jednodniowym opóźnieniem.*

Po przyjeździe do Krakowa razem z Wieśkiem Mazurkiewiczem poszliśmy do kurii zgłosić swoje zwolnienie w Arcybiskupim Komitecie Pomocy.

Arcybiskupi Komitet Pomocy Więźniom i Internowanym (przemianowany po około dwóch latach na Arcybiskupi Komitet Pomocy) został powołany przez ks. kard. Franciszka Macharskiego 19 lutego 1982 roku. Opiekę nad komitetem sprawował ks. prałat Stanisław Małysiak. W pracach komitetu brali udział m.in.: Maria Czyż, Krystyna Gąsowska, Bogumiła Jaworska, Anna Krzysztofowicz, Wanda Lohman, Irena Łazarska, Ewa Miodońska, Tomasz Gizbert-Studnicki, Wiesław Zabłocki. Komitet udzielał pomocy prawnej i materialnej rodzinom represjonowanych, gromadził dokumentację, np. odpisy aktów oskarżenia oraz wyroków wydawanych na działaczy związkowych i opozycjonistów. Pomagał także w znalezieniu pracy zwolnionym z internowania lub więzienia oraz organizował wakacje dla dzieci z najuboższych rodzin. Działał do czerwca 1989 roku.

Samoobrona

Letnia przerwa w manifestacjach, która nastąpiła po burzliwej wiośnie w Krakowie, została pracowicie wykorzystana przez radykalną młodzież. Przygotowywano się do podjęcia samoobrony wobec brutalnych interwencji ZOMO, rozbijających pokojowe manifestacje. Przygotowania i eksperymenty, mające na celu – choć częściowe – wyrównanie sił obu stron, były kontynuowane także jesienią 1982 oraz w 1983 roku.

Działania te były prowadzone zarówno przez młodzież konfederacką (grupy, w których uczestniczyli Jerzy Mohl oraz Grzegorz Hajdarowicz), jak i przez środowiska niezrzeszone – z których niektórzy trafili potem do KPN (np. Maciej Gawlikowski i Krzysztof Kopeć).

Nie ulegało wątpliwości, że przewaga fizyczna była po stronie zomowców i młodzież licealna czy studenci nie mieli żadnych szans w bezpośredniej konfrontacji z dobrze wyćwiczonymi i uzbrojonymi funkcjonariuszami.

Artur Mohl: *Nie byliśmy dla zomowców partnerami do walki. To były wypasione byki. Mieli świetną kondycję. Ja ważyłem ok. 60 kg. Tyle samo ważył Marek Bik czy Grzesiek Hajdarowicz. Jak taki zomowiec któregoś nas uderzyłby pięścią, to chyba by zabił. Jedynym wyjątkiem wśród nas był Grzesiek Pirowski, który ważył ze 130 kg i był wysportowany. On jeden z nas mógł z nimi się mierzyć! No i robotnicy z Nowej Huty – ci też mieli masę i siłę! Dodatkowo robili sobie na walcowni metalowe pały i parytet był wtedy zachowany!*

Nie było też żadnych szans na to, aby demonstranci dysponowali sprzętem, który mógłby stanowić przeciwwagę dla armatek wodnych i wozów opancerzonych. Trwały jednak poszukiwania środków, które byłyby w stanie zatrzymać lub zniszczyć armatki, skoty, budy czy suki.

Takim najprostszym środkiem wydawały się koktajle Mołotowa, czyli butelki z mieszanką zapalającą. Były ich dwa rodzaje – butelka napełniona benzyną i zatkana szmatą, którą należało zapalić bezpośrednio przed rzutem, albo butelki z benzyną i z substancją samozapalającą. Te drugie było trudniej wykonać, ale były one bezpieczniejsze (mniejsze ryzyko zapalenia się osoby rzucającej, ręce nieśmierdzące benzyną – co było ważne w razie wpadki) oraz skuteczniejsze (płonąca butelka była lepiej widoczna dla przeciwnika).

Grzegorz Hajdarowicz: *Koktajle Mołotowa robiliśmy sami. Na początku to nie wyszło, bo użyliśmy ropy, a nie benzyny. Ja się nie znałem na tym, nie miałem samochodu, nie wiedziałem, że ropę jest trudniej zapalić niż benzynę. Benzynę załatwiał mój kolega z podstawówki – Paweł Wątroba z Gorlic. Miał dojście do jakiegoś warsztatu samochodowego. Nie stosowaliśmy samozapłonu. Wystarczała szmata, którą zatykaliśmy szyjkę butelki i zapałki.*

Artur Mohl: *Byłem uczniem w klasie biologiczno-chemicznej i miałem dostęp do różnych substancji chemicznych. Prowadziłem próby nad samozapłonem w butelkach z benzyną. W tym celu używałem chlorku fosforu, który sypaliśmy na kartkę papieru o wymiarach ok. 5 na 10 centymetrów. Tę kartkę przyklejaliśmy do butelki taśmą samoprzylepną. W butelce była benzyna zmieszana z kwasem solnym. Kwasu było bardzo mało – może pół centymetra. On się osadzał na dnie, bo był cięższy od benzyny. Najpierw wlewało się kwas, potem benzynę. Benzynę załatwiał Tukałło albo ja (miałem wujka na stacji benzynowej). Butelkę zatykało się zakrętką albo korkiem. Gdy butelka się rozbijała, to było duże prawdopodobieństwo, że kwas solny trafi na chlorek fosforu. Wskutek reakcji chemicznej zapalała się wtedy benzyna, która była w butelce. Próby wykonywaliśmy w postronnych miejscach. Wcześniej sprawdzaliśmy te miejsca, czy nie ma tam ludzi. Samozapłon działał, choć z pewnym opóźnieniem. Butelka się rozbijała, przez sekundę nie działo się nic, a potem następował wybuch.*

Jerzy Mohl: *Pierwsze próby z koktajlami Mołotowa robiliśmy z Wojtkiem Słowikiem jesienią 1982 koło kopca Piłsudskiego. Był przy tym Witek Tukałło. Wtedy używaliśmy butelek „na knota", ale to nie bardzo nam wychodziło. Knoty często gasły i benzyna się nie zapalała. Innym znów razem zapaliły się liście wokół pawilonu na Sowińcu i o mało nie doszło do pożaru lasu.*

Techniczny problem z butelkami zapalającymi się na zasadzie samozapłonu rozwiązał wiosną 1983 Witek Tukałło. Próby już udane (kilkakrotne sprawdzenie) nastąpiły na skałkach nad Wisłą w okolicy stopnia „Kościuszko". Witek tam pracował i znając teren, wiedział, gdzie taką próbę można przeprowadzić nie rzucając się w oczy. Był przy tym mój brat Artur. Tych butelek użyliśmy w boju z ZOMO dwukrotnie w Nowej Hucie. Po raz pierwszy 31 sierpnia 1983.

Witold Tukałło: *W wojsku służyłem w saperach. Należałem też do Związku Łowieckiego. W domu miałem maszynkę do kręcenie naboi, spłonki i proch. Wykorzystywałem to do samodzielnej produkcji ładunków, gdy w sklepie łowieckim nie można było kupić potrzebnego kalibru naboi. Miałem więc jakieś doświadczenie z ładunkami wybuchowymi. W stanie wojennym wkurzała mnie bezsilność ludzi na manifestacjach. Miałem już zgromadzone opiłki aluminium i nadmanganian, które były potrzebne do produkcji szedytu. Nie zdążyłem jednak tym się zająć, bo zająłem się gazetkami...*

Już po moim wyjściu na wolność, dowiedziałem się, że Jurek Mohl z kolegami robią próby z butelkami z benzyną koło pawilonu na kopcu i mają jakieś problemy. Zatykali butelki z benzyną szmatami, ale jak je rzucali, to butelka nie wybuchała. Pomogłem im wówczas, bo mnie korciły ręce do wojaczki. Miałem książkę ze wspomnieniami Franciszka Jóźwiaka – działacza Gwardii Ludowej – który podawał dokładny przepis na taki koktajl: do butelki z benzyną wlewa się 50 gramów kwasu siarkowego, a na butelkę nakleja się pod plastrem mieszankę chloranu potasu z cukrem pudrem. Jak się rzuci butelkę i ona się rozbija, to kropelki kwasu siarkowego spadają na utleniacz w postaci chlorku potasu z cukrem i następuje samozapłon. Chłopcy byli zachwyceni. Próby robiliśmy na skałkach koło Tyńca, gdzie było miejsce osłonięte z trzech stron.

Jerzy Mohl: *Witek opowiadał nam, że w młodzieńczych latach zbierał niewybuchy i usiłował przetapiać trotyl z pocisków. Chciał wyprodukować granat ręczny, który można byłoby użyć w walkach ulicznych. Podobne eksperymenty robił mój brat Artur. Były one niezbyt udane, ale raz udało mu się podpalić gazik milicyjny na Rynku za pomocą jakiegoś ładunku wybuchowego.*

Maciej Gawlikowski: *Pamiętam, jak z Jurkiem Dobrowolskim u mnie w domu, w piwnicy, rozlewaliśmy benzynę. Znalazłem wtedy wspomnienia z czasów Powstania Warszaw-*

skiego, dotyczące walk ulicznych w mieście. Czytałem dużo takiej literatury fachowej, która mnie inspirowała.

Robiliśmy już profesjonalne koktajle Mołotowa z mazutem, naftą i benzyną, zmieszanych w odpowiednich proporcjach. Naszym patentem było dodawanie do tego obrzydliwej, lepkiej i nienadającej się do druku czarnej farby drukarskiej, którą od kogoś dostałem w dużej ilości. Mieszankę barwiliśmy po to, że nawet jeśli nie doszło do zapłonu po rozbiciu butelki na samochodzie (co się zdarzało nierzadko), to czarne, tłuste mazy na szybach utrudniały im widoczność. Butelki były półlitrowe, po wódce.

Miały samozapłon, do czego wykorzystywaliśmy jakiś związek sodu, biały proszek, który kombinowałem w sklepie z odczynnikami. Mieszało się go z cukrem pudrem i naklejało jak banderolkę na butelkę za pomocą szerokiego plastra do opatrunków z nasypaną przez środek ścieżką tego proszku. A do środka, do butelki z benzyną, należało wlać bardzo delikatnie trochę kwasu, bodajże siarkowego. Po rozbiciu butelki, kwas w połączeniu z tym związkiem powodował samozapłon. Próbowałem też innego patentu – zabrałem z pracowni chemicznej ze szkoły metaliczny sód i metaliczny potas, które przechowuje się w nafcie, bo w zetknięciu z powietrzem zapalają się. Wrzucaliśmy kawałki tego sodu i potasu do środka, do butelek. Nie był to najszczęśliwszy pomysł. Raz tylko odnieśliśmy sukces. Było już ciemno. Udało się na armatkę wodną władować taką butelkę. Nie pamiętam już, kto to rzucał. Nie ja, bo miałem za słabe ręce na porządne rzuty. Tu trzeba było mocarza, żeby rzucić celnie na dużą odległość. Pięknie siadło, na tylnej ściance kabiny, rozbiło się, i… nic. Podobnie jak inne z tej serii. Minęło dobrych kilka minut. Armatka odjechała i ustawiała się w kolumnie innych samochodów. I nagle… pufff! Zapaliło się! Efekt piorunujący! Ludzie zawyli z radości!

W Nowej Hucie były stałe miejsca, gdzie podczas zadym młodzież rozlewała benzynę. Opracowano też system pozyskiwania benzyny (ta była bowiem na kartki).

Krzysztof Kopeć: *W tym czasie miałem „malucha". W roku 1983 na nazwisko mojego dalekiego kuzyna kupiłem garaż blaszany w Hucie, koło domu towarowego „Hermes". Garaż był obszerny, miał prąd w środku, położony był na uboczu. Obok był dom do rozbiórki i tylko z „Hermesa" można było niepostrzeżenie ten garaż obserwować. W blaszaku mieliśmy skład paliwowy. Paliwo było na kartki, ale zdobywałem je za łapówki przez znajomego taksówkarza. On myślał, że to na handel. Pieniądze na tę benzynę dostawałem od NZS lub od „Solidarności". Tygodniowo były to dwie beczki. W połowie działacze „Solidarności" lub NZS wykorzystywali je do jeżdżenia, a w połowie dawałem chłopakom w Nowej Hucie do koktajli Mołotowa. Nie wiem, czy byłem ich jedynym zaopatrzeniowcem. W tym blaszaku napełnialiśmy butelki benzyną i zatykaliśmy szmatami. Na jedną ekipę chłopaki brali ok. 10 butelek. Odbierali ode mnie koledzy z mojej organizacji oraz lokalne komanda z Nowej Huty, które – moim zdaniem – nie były politycznie podczepione pod żadną organizację. Były to grupy osiedlowe złożone z młodzieży szkół średnich, liczące po kilka osób. Miałem kontakt z czterema lub pięcioma takimi ekipami. W garażu miałem też ukryte matryce białkowe do drukowania oraz puszkę z nabojami (najwięcej do kbks, ale też trochę do „kałasza"). Garaż sprzedałem w 1989 roku, po Okrągłym Stole. Śmialiśmy się, że najpierw trzeba wynająć saperów, aby go rozminować. Kupiec pytał się potem, co w tym garażu się działo, że on takie dziwne rzeczy tam znajduje…*

Względy bezpieczeństwa powodowały, że nie było można iść na manifestację z butelkami z benzyną. Butelki te trzeba było wcześniej przenieść i ukryć w pobliżu miejsca, gdzie miały być potrzebne.

Artur Mohl: *Zawoziliśmy butelki na miejsce demonstracji kilka dni wcześniej i umieszczaliśmy je np. na śmietnikach.*

Hajdarowicz: *Mieliśmy to bardzo dobrze zorganizowane. Zawsze dużo uwagi przykładałem do organizacji i do konspiracji. Walczyliśmy na pierwszej linii, ale robiliśmy to tak, aby nikogo nie złapano i aby nikt się nie narażał ponad potrzebę. W tym wypadku chodziło o to, aby ktoś, idąc na zadymę, nie miał przy sobie przedmiotów, które w razie zatrzymania i rewizji przez SB, mogłyby stanowić dowód udziału w walkach, bo wtedy byłaby bieda.*

Manifestacje zaczynały się po godzinie 14 pod Kombinatem, gdy wychodziła z pracy pierwsza zmiana. Stojąc przodem do Kombinatu, po lewej stronie są ogródki działkowe. Tam mieliśmy jedną altankę, do której tydzień albo dwa tygodnie wcześniej przewoziliśmy sprzęt i amunicję. W momencie, gdy ludzie się koncentrowali po wyjściu hutników i szykowali do przemarszu w stronę Arki, to moi ludzie wyskakiwali do altanki i przynosili to. Butelki nosiliśmy w siatkach albo w plecakach.

Koktajle Mołotowa służyły nie tylko do niszczenia ciężkiego sprzętu, ale także były wykorzystywane przeciwko zomowskiej piechocie. Tu jednak bardziej skuteczną bronią okazywały się proce. Stosowane były dwa rodzaje proc: proce widełkowe (bardzo popularne) oraz proce rzymskie, zwane też z Biblii procami Dawida (stosowane rzadko).

Hajdarowicz: *Grzesiek Pirowski (którego znałem poprzez Artura Mohla) robił proce z grubego drutu. Amunicję stanowiły kulki z łożysk.*

Artur Mohl: *Mieliśmy też proce robione przez hutników. Były duże, żeby można nimi było wygodnie strzelać dużymi kulkami z łożysk, ale przez to były nieporęczne. Lepsze byłyby proce rzymskie, ale nikt nie miał czasu nauczyć się ich używać.*

Jerzy Mohl: *Stosowaliśmy proce widełkowe. W połowie września 1982 roku Grzesiek Pirowski miał już wykonany pierwszy egzemplarz „wunderwaffe" i przyszła kolej na przeprowadzenie prób poligonowych. Proca była zrobiona z pręta zbrojeniowego, gdzie wysokość widełek nie przekraczała 14 cm, a ich rozpiętość dochodziła do 20 cm. Późniejsze modele zostały wykonane z rurki stalowej. Naciąg procy stanowiły trzy gumy modelarskie o przekroju kwadratu powiązane węzłami, co mniej więcej 5-6 cm. Długość naciągu w pozycji spoczynku, to około 30 cm. Proca miała oczywiście „gniazdo" wykonane z kawałka skóry, w którym umieszczany był „pocisk". Jeśli chodzi o amunicję, to początkowo były to kulki z łożysk i nakrętki z dużych śrub, ale ostatecznie ze względu na koszty, zostały one zastąpione według pomysłu mojego brata, samorodkami rudy żelaza, którą można było znaleźć na torowiskach kolejowych wiodących do Huty. W tym przypadku nie oznaczało to zbieractwa jak popadnie, tylko kulka rudy musiała mieć określoną wielkość (mały orzech włoski), bo jeśli była za mała, to nie miała odpowiedniej siły przebicia, jeśli za duża – to zmniejszał się zasięg.*

Próby poligonowe przeprowadzaliśmy na boisku szkolnym niedaleko domu Grześka. Razem z nami w próbach uczestniczył mój brat oraz kolega Pirowskiego o imieniu Marcin (niestety, nazwiska już dzisiaj nie pamiętam).

W sprzyjających warunkach (odpowiednie gabaryty pocisku, trafienie pod kątem prostym, odpowiedni naciąg gum) można było za pomocą tej procy z odległości ok. 50 metrów przebić szybę zbrojoną. Taki idealny strzał powodował w niej dziurę niczym po kuli karabinowej.

Oczywiście, próby nie oddawały realiów walki ulicznej, gdzie uzyskanie idealnych warunków było piekielnie trudne. Ponadto trzeba było najpierw z tą procą i amunicją dotrzeć na miejsce. Najczęściej chowana była pod ubranie, zawieszana na szyi, ale miało to ten defekt, że wypychała ubranie i jeśli nie miało się kurtki, było ją widać. Te minusy nie miałyby większego znaczenia, gdybyśmy mieszkali w Nowej Hucie i prowadzili walki na własnym osiedlu bądź sąsiednim, gdzie w każdej chwili można się cofnąć z trefnym sprzętem do

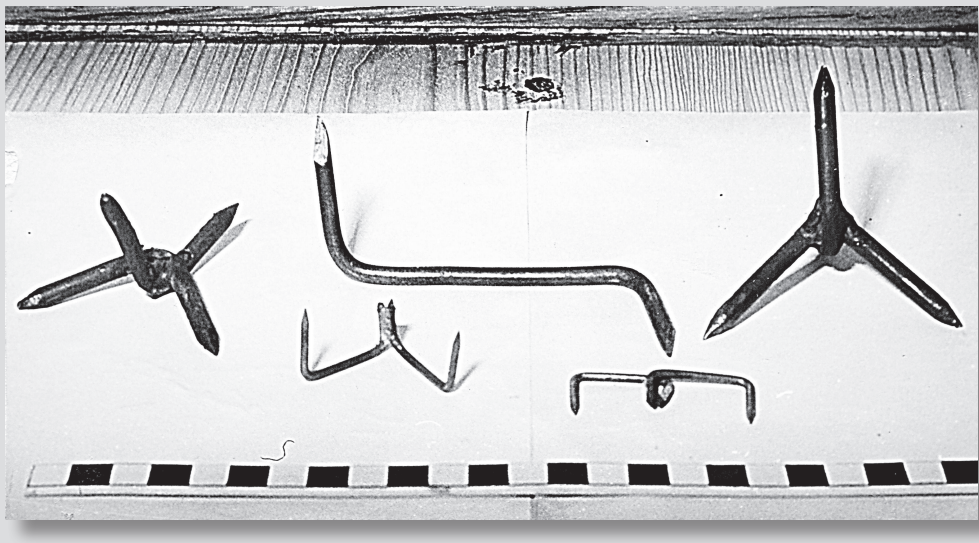
domu czy go gdzieś ukryć w bliskim sąsiedztwie. Jednak dopiero uczyliśmy się na własnych błędach.

Najważniejszą zaletą procy było to, że po zapadnięciu zmroku można było prowadzić ostrzał z miejsc zaciemnionych i w przeciwieństwie do kamieni nie wymagała rozbiegu. Niestety, proce miały też swoje minusy: ograniczona ilość amunicji i to, że cywilni esbecy polowali na samotnych procarzy.

Procę widełkową miałem ja, mój brat Artur, Grzesiek Hajdarowicz, Grzesiek Pirowski i chyba Artek Koszykowski – ale on, zdaje mi się, przeszedł na procę á la Dawid, czyli działającą na zasadzie siły odśrodkowej.

Skuteczną bronią przeciwko ciężkiemu sprzętowi przeciwnika były także metalowe kolce.

Jerzy Mohl: *W naszym arsenale były również kolce rzucane pod koła. Mogły się na nie złapać gazik, nysa lub star. Armatki wodnej, skota czy BTR-a, w zasadzie nic nie ruszało. Pamiętam, że na trzy dni przed 31 sierpnia 1982 roku Wiesiek Mazurkiewicz przywiózł mi do domu ok. 100 takich kolców z pozdrowieniami od Michała Żurka. Kolce były zrobione z prętów stalowych o średnicy 10 mm, długości około 18 cm, zaostrzonych z dwóch stron, zagiętych pod kątem prostym i zespawanych w miejscu zgięcia. Powstawał element, który bez względu na to, jak by nie został rzucony, zawsze ustawiał się jednym z 4 zaostrzo*





Kolce rzucane pod koła. *Mogły się na nie złapać gazik, nysa, lub star. Armatki wodnej, skota czy BTR-a, w zasadzie nic nie ruszało. Kolce były zrobione z prętów stalowych o średnicy 10 mm, długości około 18 cm, zaostrzonych z dwóch stron, a następnie zagiętych pod kątem prostym i zespawanych w miejscu zgięcia. Powstawał element, który bez względu na to, jak by nie został rzucony, zawsze ustawiał się jednym z 4 zaostrzonych końców pionowo ku górze.* Fot. SB

nych końców pionowo ku górze. O tych kolcach rozmawialiśmy jeszcze w Załężu, ale aby coś takiego wykonać, należało mieć dostęp do odpowiedniego warsztatu. Na całe szczęście KPN był środowiskiem zróżnicowanym i znaleźli się ludzie, którzy je zrobili. Ten, który je wykonał, pomyślał nawet o tym, że ważny jest kolor, na który zostały pomalowane. Były czarne i zlewały się z kolorem asfaltu, zwłaszcza jeśli zostały rozrzucone w miejscach zacienionych. Zostały użyte w okolicy Teatru Ludowego. Bliskie spotkanie z nimi zaliczyła nyska ZOMO, ale czy coś jeszcze, to nie wiem, choć ulica była cała „zaminowana".

Maciej Gawlikowski: *Nie pamiętam, kto robił dla nas kolce, ale były solidnie pospawane z grubych prętów. Wzór był oczywiście wzięty z oficjalnie wydanych książek o małym sabotażu w czasie drugiej wojny. Najwięcej udało się ich użyć 13 października 1983. Mieliśmy jesienią tego roku plan „zaminowania" kolcami w dniu demonstracji drogi z bazy ZOMO w Toniach, ale było to zbyt niebezpieczne, więc zrezygnowaliśmy.*

Najprostszą bronią demonstrantów w walkach ulicznych były oczywiście kamienie. Zbierano kamienie z torowisk tramwajowych albo rozbijano betonowe płyty chodnikowe – wystarczyło wyjąć jedną płytę z chodnika i rzucić ją na inne. Wadą tej broni był niewielki zasięg.

Podczas walk pozycyjnych z ZOMO rolę ruchomych tarczy dla demonstrantów pełniły duże kontenery na śmieci wyposażone w kółka. Kilka osób kryło się za taką zasłonę i przesuwało się w stronę milicji. Kiedy zomowcy znaleźli się w zasięgu kamieni, prowadzono zza kontenera ostrzał.

Hajdarowicz: *Aby uniemożliwić rozpoznanie nas, w czasie zadym chodziliśmy w maskach przeciwgazowych. Też były wcześniej zawożone do naszej altanki. Ktoś te maski załatwił, chyba ze szkoły. Grzesiek Pirowski miał najnowszą maskę, którą załatwił gdzieś z wojska. Jego maska miała pochłaniacze z boku. Wyglądał jak z filmu science fiction. Nasze maski były z rurą i pochłaniaczem noszonym w chlebaku. W chlebaku miałem jeszcze procę i kulki od łożysk – tak ze dwie garści (50, może 100 sztuk).*

Typowy strój zadymiarza nie mógł być charakterystyczny. Na przykład nie ubierałem wtedy mojej kurtki moro, tylko jakąś typową kufajkę. Zawsze też miałem czapkę na głowie, aby nie rozpoznano mnie po charakterystycznej bujnej czuprynie. Potem nosiłem nawet kominiarkę.

Nigdy nie zostaliśmy złapani, bo uważaliśmy. Byliśmy w ruchu, przemieszczaliśmy się, trzymaliśmy się razem. SB czy ZOMO łapało zwykle tych, którzy byli na obrzeżach, pojedynczo.

Gdy ktoś robił zdjęcia w czasie demonstracji, to się do niego podchodziło i mówiło: „Nie rób zdjęć! Wyjmuj film!". Jak podchodziło dwóch czy trzech chłopaków, to nikt się nie sprzeciwiał. Nieraz się tłumaczył: „Ja jestem za wami". Jak się za ostro opierał, to został wyzwany od ubeków. A jak zaczynał dyskutować, to się mu tłumaczyło: „Może ty jesteś w porządku, ale jak cię zatrzyma SB i zabierze ci film, to my jesteśmy na tym filmie". Oczywiście, wiadomo, że SB filmowała też w taki sposób, że trudno było to zauważyć lub temu zapobiec. Czasami przyjeżdżały wolno koło demonstracji samochody i mówiło się, że oni tam filmują albo robią zdjęcia.

Artur Mohl: *W czasie demonstracji nie było jednego ośrodka dowodzenia. To wszystko było zdecentralizowane, rozproszone. Było wiele niezależnych grup, które często się znały ze sobą, ale nie było żadnej hierarchii. Robiliśmy swoje, inni robili swoje. Było to chaotyczne, ale skuteczne. Może dlatego tak ciężko było zomowcom i ubekom nas rozbić.*

Hajdarowicz: *Demonstracje w Nowej Hucie nie były centralnie sterowane. Było jednak kilka grup, które nadawały ton. Moja grupa była jedną z tych, której udało się w paru demonstracjach narzucić ton.*

Gawlikowski: *Takich grupek jak ta, w której chodziłem kilka razy na zadymy, było sporo, zwłaszcza w Nowej Hucie. Masa ludzi. Były w tym też ekipy bardzo ostre, wprawione od dawna w bojach kibicowskich. Latały butelki z benzyną, ładunki wybuchowe, słoiki z kwasem, których bardzo bali się zomowcy. Były ekipy, które prowadziły wewnętrzne szkolenia ze strzelania. Zdarzyło mi się wówczas parę razy mieć broń palną w rękach. Taka była atmosfera tamtych czasów. Nie podaję nazwisk czy pseudonimów ludzi, którzy brali udział w takich ekstremalnych działaniach, bo nie wiem, czy oni życzyliby sobie, nawet dziś, aby to ujawniać. U nas jest jednak odium, skierowane przeciwko akcjom z użyciem siły, nawet jak są to akcje obronne. Etos walki non violence. W 1982 czy 1983 roku, kiedy widzieliśmy brutalne ataki zezwierzęconych zomowców, raczej podśpiewywaliśmy Kelusa: „modlitwą, modlitwą, a tu trzeba brzytwą...".*

***

Przykładem niezależnej grupy młodzieżowej, która operowała w Nowej Hucie od 1982 roku, jest ekipa, do której należał Piotr Fugiel (ur. 1965): *13 grudnia 1981 byłem uczniem Technikum Budowlanego w Nowej Hucie. Siedziba naszej szkoły znajdowała się niedaleko alei Lenina i gdy szły „czarne marsze" spod bram Kombinatu, to przyłączaliśmy się do nich za Zalewem, na wysokości naszej szkoły. Wprawdzie dyrekcja w dni, w które były manifestacje, zwalniała nas ze szkoły już około godziny 12.00 (abyśmy nie brali w nich udziału), ale jechaliśmy do domu, tam zostawialiśmy tornistry, przebieraliśmy się i przyjeżdżaliśmy pod szkołę na manifestację. Gdy pochód spod bramy Kombinatu dochodził do naszej szkoły, włączaliśmy się do niego. Jeżeli wcześniej, na wysokości Zalewu, następował atak ZOMO, to atakowaliśmy zomowców z drugiej strony. Później braliśmy udział we mszy świętej w Arce, a następnie uczestniczyliśmy w walkach, które wybuchały zwykle po mszy.*

Dość szybko przyjęto zasadę, że nie rozpoczynamy walk, tylko czekamy na atak ZOMO.

Inna zasada była taka, że staraliśmy się zawsze być na „linii frontu", czyli na czele walk, bo – paradoksalnie – tam było najbezpieczniej. Na obrzeżach manifestacji, ubrani po cywilnemu esbecy wyłapywali gapiów i kibiców, natomiast na szpicy było im bardzo trudno nas złapać.

Braliśmy udział w walkach do zmierzchu. Gdy robiło się szaro, przemieszczaliśmy się na teren naszych osiedli (w moim przypadku było to osiedle Wysokie) i tam atakowaliśmy zomowców o zmroku. Na własnym osiedlu było nam łatwiej poruszać się po ciemku, ponadto w razie niebezpieczeństwa mogliśmy ukryć się we własnych mieszkaniach. Walki na osiedlach trwały do godziny 23, a czasami nawet do 2-3 w nocy.

Stosowaliśmy różne sposoby. Gdy przejeżdżał samochód ZOMO, to wyskakiwało kilku chłopaków i rzucało na ulice kosze na śmieci. Wtedy samochód musiał zwolnić. Inni leżeli na ziemi uzbrojeni w proce i gdy samochód zwolnił, strzelali do niego. Inna taktyka polegała na tym, że gdy naprzeciwko nas stała tyraliera ZOMO, to kilku chłopaków strzelało procami w ich nogi. Oni nie mieli ochrony i uderzenie w kolana było dla nich bardzo bolesne. Wtedy obniżali tarcze, aby chronić nogi. Wówczas reszta chłopaków zaczynała rzucać w ich kierunku kamienie, celując w głowy. Raz (było to chyba w roku 1983) udało nam się na barykadzie zatrzymać skota, który zawiesił się na betonowej płycie. Przez kilka minut był pod ostrzałem kamieni i butelek z benzyną. Już zaczynały się palić opony. Włączył mu się system gaszenia ognia, ale okazał się nieskuteczny. Trzeba było uważać, bo gdy usiłowaliśmy podejść bliżej do skota, to milicjanci z wnętrza, przez specjalne otwory, strzelali do nas gazami, mierząc prosto w ludzi,

a nie w powietrze. Po około 10 minutach przyjechały milicyjne posiłki i udało im się wyjść cało z tej sytuacji. Bywało też tak, że na osiedlu było ukrytych ze 200 chłopaków, a kilku wyskakiwało na ulicę, rzucało kamieniami i prowokowało zomowców. Gdy paru z nich pobiegło za naszymi w głąb osiedla, nagle rzucało się na nich dwustu ludzi. I role się odwracały – oni musieli uciekać.

W 1983 demonstranci rozbroili kilku oficerów MO i przejęli broń krótką. Wtedy wydział kryminalny MO prowadził intensywne śledztwo i zatrzymali wielu przypadkowych ludzi w Hucie. Pytali ich, kto może brać udział w walkach ulicznych. Jeden z zatrzymanych podał milicji wiele nazwisk, m.in. moje. Od tego czasu wielokrotnie prowadzono ze mną rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze przed ważnymi rocznicami. Stosowano także prewencyjne zatrzymania na 48 godzin. Dlatego przed zadymami nie spaliśmy we własnych domach, aby nie mogli nas zatrzymać. Jednak 13 października 1985 roku zaraz na początku demonstracji wpadliśmy w kilku w ręce ZOMO. Było to wtedy, gdy milicjanci ubrani po cywilnemu, z opaskami na rękawach, uzbrojeni w pałki zaatakowali ludzi po mszy w Arce. Przewieźli nas do komisariatu na os. Zgody i tam wsadzili do cel zrobionych z prętów, tzw. tygrysówek. Mogliśmy obserwować zadymę od drugiej strony. Widzieliśmy, jak do komendy co jakiś czas wpadali pobici milicjanci, bo tłum zorientował się, kim są ludzie z opaskami i zgotował im łomot. Chcieli nas pobić, ale uratował nas oficer dyżurny, który ich powstrzymał i nie oddał kluczy do cel.

W mojej grupie było kilku, którzy zwykle uczestniczyli w walkach, natomiast na całym moim osiedlu było nas w sumie do 30 osób, które się angażowały w takie działania. Przypuszczam, że takich osiedli jak nasze było w Nowej Hucie 5-6, co daje pewną orientację w maksymalnej liczebności ekipy, która się w taką działalność angażowała. Wszyscy byli mniej więcej w moim wieku – uczniowie szkół średnich. Po pewnym czasie tworzyliśmy coś na kształt organizacji (ja byłem jej szefem), ale nie mieliśmy własnej nazwy.

Poza walkami ulicznymi zajmowaliśmy się także malowaniem na murach za pomocą farby i pędzla, zrywaniem oficjalnych plakatów, kolportowaniem bibuły solidarnościowej. Generalnie była to wszelka działalność, która mogła zaszkodzić komunie. Poza antykomunizmem nie mieliśmy wyraźnego oblicza ideowego, nie mieliśmy sprecyzowanego programu i nie prowadziliśmy działalności stricte politycznej. Ponieważ działaliśmy w Nowej Hucie, w środowisku robotniczym, więc nazwa KPN nie była u nas popularna. Nigdy nie malowaliśmy napisów KPN na murach, nie kolportowaliśmy także bibuły KPN-owskiej.

W zasadzie nie uczestniczyliśmy w demonstracjach w Krakowie. Dopiero w drugiej połowie lat 80., gdy byłem studentem historii UJ, brałem udział w demonstracjach ulicznych w Krakowie. Tam były inne warunki (małe przestrzenie, okazje do walki twarzą w twarz).

Gdy w 1984 powstała Federacja Młodzieży Walczącej, wielu z nas przyjęło jej szyld i kontynuowało walkę z komuną dotychczasowymi metodami aż do 1989 roku.

***

Część harcowników w Nowej Hucie nie była politycznie świadoma. Małgorzata Słowik: *Były takie sytuacje, że zaczynaliśmy rozmawiać i odbierałam wrażenie, że nie bardzo wiedzieli, o co chodziło. Liczyła się tylko okazja do zadymy z milicją. Inaczej było z młodymi robotnikami z Huty. Oni byli ukształtowani przez „Solidarność". Byłam pod wrażeniem ich odwagi. Szli na zomowców jakby się w ogóle nie bali, nie kalkulowali ryzyka.*

„Zomorządność" nr 32 z 1982: *Każda manifestacja jest filmowana. Raz w tygodniu wszyscy milicjanci i esbecy z Krakowa oglądają na specjalnych odprawach filmy*

i fotografie z najnowszych protestów. Szczególnie zwraca się uwagę na ludzi najbardziej aktywnych spośród protestujących. Milicjanci otrzymują nawet specjalne zestawy fotografii (ostatnio uczestnicy demonstracji zasłaniają twarze chusteczkami, co utrudnia ich rozpoznanie).

Wśród ZOMO jest dużo ofiar. Tarcze i przyłbice stanowią bardzo słabą osłonę. Szczególnie dużo szkód czynią kulki łożyskowe i z rudy żelaza wyrzucane z proc. Zomowcy mają poranione okolice szyi i pleców. Bardzo wielu zomowców było pobitych 30 września [1982]. *W akcjach przeciw ludności używani są zomowcy i czasem milicjanci, którzy jednak robią to bardzo niechętnie.*

(informacja na podstawie relacji milicjanta – naszego informatora z KW MO).

Dziś akty samoobrony podejmowane przez demonstrantów mogą kojarzyć się z aktami wandalizmu czy chuligaństwa, znanymi z działań tzw. kiboli, a przez to niektórzy mogą je oceniać krytycznie. Trzeba jednak pamiętać, że okoliczności lat 80. były zupełnie inne niż dzisiaj.

Jerzy Mohl: *W telewizji czy w radiu nazywali nas chuliganami. W „Gazecie Krakowskiej" napisali kiedyś, że nasze działania, to „atawizmy wiejskie opłotkowe". Nie przejmowałem się tymi epitetami. Nie żałuję tego, co robiłem. Żałuję tylko, że nie poszliśmy dalej, że nie realizowaliśmy jeszcze ostrzejszych akcji. Ktoś, kto myśli, że były wtedy możliwe demonstracje pokojowe, jest w głębokim błędzie. Ówczesne ZOMO działało dużo brutalniej niż dzisiejsza policja. Poza tym dzisiaj, jak policjant zbyt mocno komuś dołoży, to można go do sądu podać. Wtedy zomowcy byli bardzo brutalni i zupełnie bezkarni. Ciekaw jestem, czy zwolennicy działań bez użycia przemocy nie zmieniliby swojego stanowiska, gdyby ich w czasie interwencji ZOMO przewrócono na ziemie, położono na nich zomowskie tarcze i zomowcy by po nich skakali. Przecież nierzadko ludzie, którzy zostali wtedy spałowani przez ZOMO, są do dziś kalekami. Ja nie byłem z tych, co idą jak barany na rzeź, nie będę nadstawiał drugiego policzka.*

Witold Tukałło: *Bolało mnie, że idą na nas z pałami, a my nic nie możemy zrobić. Byłem przeciwny walce zbrojnej, bo ona nie miała sensu, ale wkurzało mnie, że zomowcy atakują bezbronnych ludzi... Wolałbym mieć co do ręki włożyć.*

Dopiero potem doszedłem do wniosku, że musimy dać się trochę obić.

Ludzie się bronili. Druga strona była od początku bardzo agresywna. Ale to, że ludzie się nie dawali bezkarnie bić i do obrony używali siły, studziło tamtą stronę. Nie czuli się bezkarni. Gdyby w tamtych czasach ludzie podczas demonstracji w Nowej Hucie nie używali siły, to tych demonstracji by nie było. Zostałyby błyskawicznie spacyfikowane, ludzie wyłapani, skopani, skatowani. Z drugiej strony, akty samoobrony powodowały u słabszych ubeków, że z tchórzostwa brali broń na akcje, mimo że zalecenia szefostwa były takie, żeby nie brać. Przykładem tego jest Augustyn, który zabił Bogdana Włosika...

Sierpień 1982 roku

Dzień 31 sierpnia 1982 roku, druga rocznica Porozumień Gdańskich, miał przynieść władzom podziemnej „Solidarności" odpowiedź na pytanie, czy koncepcja „krótkiego skoku" jest realna, zaś radykalnej młodzieży – czy środki przygotowane do podjęcia samoobrony są skuteczne.

Sytuacja w kraju była bardzo napięta, bo w odpowiedzi na „zawieszenie broni" w lipcu 1982 roku przez podziemną „Solidarność", władze przystąpiły do formowania PRON, co dowodziło, że nie chcą żadnego porozumienia i prowadzą politykę faktów dokonanych.

A. Dudek, T. Marszałkowski: *29 lipca TKK wydała oświadczenie głoszące m.in.: „Wzywamy ogniwa Związku do zorganizowania 31 sierpnia 1982 pokojowych manifestacji ulicznych pod hasłami przywrócenia działalności NSZZ Solidarność, uwolnienia internowanych, aresztowanych i skazanych, zawarcia porozumienia narodowego. Wzywamy wszystkich do udziału w tych manifestacjach". Był to pierwszy od wprowadzenia stanu wojennego apel centralnych władz „Solidarności" o wyjście w proteście na ulice. Oznaczał, że 31 sierpnia dojdzie do zasadniczego starcia, które określi skalę wpływów „Solidarności" w społeczeństwie.*

***

Zwiastunem gorącego sierpnia były wydarzenia w Szczecinie. Oto informacja Komitetu Centralnego PZPR na ten temat, którą przytacza Jan Broniek: *W dniu wczorajszym* [tj. 10 sierpnia 1982] *doszło do zakłócenia porządku publicznego w Szczecinie w związku z pogrzebem zmarłych tragicznie w wyniku samobójstwa, syna i synowej Mariana Jurczyka. W uroczystościach pogrzebowych umożliwiono udział internowanemu Marianowi Jurczykowi. Zebrany w okolicy cmentarza 2,5-tysięczny tłum wznosił wrogie okrzyki, a najbardziej agresywna grupa usiłowała odbić Jurczyka i uniemożliwić wyprowadzenie go do samochodu. Funkcjonariusze ochrony pomimo szarpania i bicia przez tłum wyprowadzili Jurczyka wraz z żoną z terenu cmentarza. Samochód wiozący Jurczyków został uszkodzony, m.in. wybito szybę i uszkodzono drzwi. Z cmentarza około 1000-osobowy tłum przeniósł się w okolice Starego Miasta. Tłum został rozproszony o godzinie 16.45".*

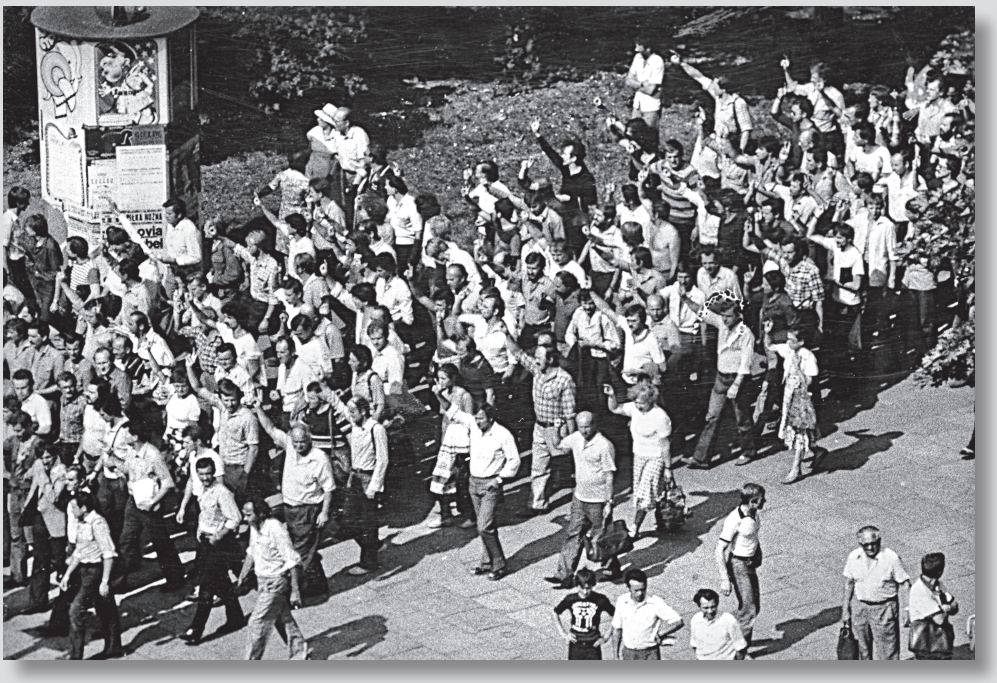
***

W Krakowie wstępem do wydarzeń 31 sierpnia 1982 roku był kolejny, czwarty już marsz hutników spod Kombinatu HiL na plac Centralny. Odpowiedzią władz na tę pokojową demonstrację była – po raz pierwszy w przypadku „czarnego marszu" – interwencja

ZOMO. Dowodziło to fałszywości czerwcowej tezy redakcji „Aktualności", wedle której przyczyną wiosennych, brutalnych interwencji ZOMO w Nowej Hucie byli esbeccy prowokatorzy, którzy zaatakowali milicję oraz wedle której ZOMO „boi się" zaatakować „dobrze zorganizowany", pokojowy marsz hutników.

Z „Aktualności" nr 31 z 21 sierpnia 1982: *13 sierpnia o godzinie 14.30 pod Bramą Główną Kombinatu w Nowej Hucie uformował się zapowiadany wcześniej marsz hutników i przedstawicieli innych zakładów pracy. Maszerowali z dumnie podniesionymi czołami w kilkutysięcznym pochodzie robotniczym pod powiewającą flagą Solidarności z czarną krępą oraz mniejszymi i większymi flagami narodowymi. Gromkim głosem skandowane hasła ściągały mieszkańców Huty z okolicznych osiedli. „Solidarność!", „Wolna Polska!", „Wolne związki!", „Zwolnić Gila!", „Zwolnić Nowaka!", „Zwolnić Handzlika!", „Reżim precz!". Na trasie marszu między Kombinatem a Placem Centralnym dołączały oczekujące tam niecierpliwie grupy i pojedyncze osoby, natomiast na Placu Centralnym zebrany tłum przywitał robotników gromkimi oklaskami.*

Ogromna większość demonstrujących skręciła w kierunku pomnika Lenina, który mijano, gwiżdżąc na znak dezaprobaty dla idei podpieranych czołgami i pałami (część zgodnie z planem rozeszła się w tym miejscu do domów). Gdy pomnik został już z tyłu, z wszystkich piersi rozległo się „Jeszcze Polska nie zginęła" i las rąk ze znakiem „V" popłynął w stronę kościoła w Bieńczycach.



Czarny marsz 13 sierpnia 1982 r. *Maszerowali z dumnie podniesionymi czołami w kilkutysięcznym pochodzie robotniczym pod powiewającą flagą Solidarności z czarną krępą oraz mniejszymi i większymi flagami narodowymi. Gromkim głosem skandowane hasła ściągały mieszkańców Huty z okolicznych osiedli. „Solidarność!", „Wolna Polska!", „Wolne związki!", „Zwolnić Gila!", „Zwolnić Nowaka!", „Zwolnić Handzlika!", „Reżim precz!". Na trasie marszu między Kombinatem a Placem Centralnym dołączały oczekujące tam niecierpliwie grupy i pojedyncze osoby.* Fot. SB





Czarny marsz 13 sierpnia 1982 r. *Na Placu Centralnym zebrany tłum przywitał robotników gromkimi oklaskami. Ogromna większość demonstrujących skręciła w kierunku pomnika Lenina, który mijano, gwiżdżąc na znak dezaprobaty dla idei podpieranych czołgami i pałami (część zgodnie z planem rozeszła się w tym miejscu do domów). Gdy pomnik został już z tyłu, z wszystkich piersi rozległo się „Jeszcze Polska nie zginęła" i las rąk ze znakiem „V" popłynął w stronę kościoła w Bieńczycach.* Fot. SB

Od dłuższego czasu obserwowano już w okolicy uzbrojone armatki wodne i gaziki z wyrzutniami gazowymi oraz oddziały ZOMO. Przemieszczały się w bocznych ulicach i powodowały co chwila korki uliczne.

Widocznie dzielni zomowcy lubią tradycję, bo i tym razem – podobnie jak 13 czerwca – atak przypuścili w okolicach Teatru Ludowego. Poszły w ruch tankietki z niebieską wodą, działka gazowe i pały. Bardziej krewcy demonstranci na widok wciąganych do bud kolegów nie wytrzymali i obrzucili nacierających kamieniami.

Gdy wyposażeni w pałki, tarcze i przyłbice zomowcy rozpoczęli obławę, część uczestników marszu z okrzykiem „Solidarność!" zdołała przedrzeć się przez skrzyżowanie w kierunku kościoła, w którym odmówiono różaniec i odśpiewano pieśni religijne.

Następnie uczestnicy modlitw rozeszli się w milczeniu. Nie ustrzegło ich to jednak przed kolejnym atakiem armatek wodnych, gazów i łapanki robionymi przez cywilów podjeżdżających prywatnymi samochodami i wspomaganych przez ubeków niewinnie dotąd siedzących na ławkach.

Aresztowano kilkanaście osób, które następnego dnia skazano na wysokie grzywny z wymianą na areszt. Wszyscy skazani zostali wykupieni.

Uwaga! U wszystkich zatrzymanych przeprowadzono natychmiastowe rewizje w mie-szkaniach. W związku z tym apelujemy – „posprzątaj" w domu i w piwnicy przed wyjściem na demonstrację!!! (inf. własna i „Hutnik" nr 21).

Relacje i komentarze krakowskiej prasy reżimowej były typowe dla oficjalnej propagandy stanu wojennego. „Dziennik Polski": *Kiedy w piątek trzynastego sierpnia zbliżała się godzina czternasta – pora zakończenia w hutniczym kombinacie zmiany, oni – ta kilkudziesięcioosobowa grupa inicjatywna lub jeśli ktoś woli – zapalna, już oczekiwała przed bramą HiL na ludzi wychodzących z pracy. Przeogromna większość załogi jak zwykle skierowała się ku najbliższym przystankom tramwajowym i autobusowym, aby powrócić do swych domów, do swoich rodzin. Tylko jakże niewielki w proporcji do tej wielotysięcznej rzeszy odsetek posłuchał wezwań do sformowania pochodu protestacyjnego, skupił się wokół jego organizatorów i niebawem ruszył w stronę Placu Centralnego. Po drodze do tej niezbyt licznej kolumny dołączali inni, przypadkowi (?) obserwatorzy. A kiedy pochód ten liczący – jak oceniają różne źródła 1,5 – 2 tysięcy osób, dotarł w sąsiedztwo Teatru Ludowego – weszły do akcji oddziały porządkowe. Po trzykrotnym wezwaniu uczestników nielegalnej demonstracji do rozejścia się – wezwaniu, którego nie posłuchano, MO użyła środków przymusu – armatek wodnych i pałek. Szczególnie agresywnie zachowywała się około 20-osobowa grupa młodych ludzi, którzy kamieniami zaatakowali zarówno milicjantów, jak i samochody wybijając w dwóch samochodach szyby. Po pewnym czasie sytuacja została opanowana, w nowohuckiej dzielnicy zapanował spokój.*

Jak nas poinformowano w ub. sobotę w Komendzie Wojewódzkiej MO w Krakowie, z grona najaktywniejszych uczestników nowohuckich zajść zatrzymano łącznie 13 osób. Na ogół byli to ludzie młodzi – tylko jeden liczył 43 lata, natomiast inni mieli po 20-25 lat. W gronie zatrzymanych był jeden uczeń, dwóch ludzi nie pracujących i nie uczących się, a reszta to pracownicy różnych zakładów – m.in. 4 z HiL, 1 z personelu medycznego Instytutu Pediatrii AM, 1 z Zakładu Maszyn Kablowych; w Nowej Hucie znaleźli się w pochodzie i zostali zatrzymani także goście z Kielc i Katowic. Sprawy 11 zatrzymanych podczas zajść skierowano na wokandy kolegiów do spraw wykroczeń. Jedna osoba została skazana na 3 miesiące aresztu, 1 sprawę przekazano prokuraturze z wnioskiem o wszczęcie postępowania karnego, 1 odroczono, a 8 obwinionych ukarano grzywnami w wysokości 6-12 tysięcy zł.

I jeszcze komentarz Adama Tenety z „Dziennika Polskiego". *I taki epilog miała kolejna krakowska „miesięcznica", zorganizowana według utartego schematu. Tym razem na miejsce akcji wybrano Nową Hutę, upatrując szansę na to, że wielotysięczny tłum ludzi wychodzących z najliczebniejszej zmiany HiL przyłączy się masowo do pochodu protestacyjnego. Lecz obliczenia te nie sprawdziły się, bo przecież iluż hutników było w tym 1,5- czy nawet 2-tysięcznym pochodzie? A i ludność nowohuckiej dzielnicy, liczącej dziś około ćwierć miliona mieszkańców, także nie poparła organizatorów zaplanowanej na gorący sierpniowy dzień akcji. Wydaje się, że ludzie mają już dość tego rodzaju zrywów szarpiących nerwy i zakłócających postępujący proces normalizowania się życia. Jest ono i tak trudne, napięte, przepełnione rozlicznymi kłopotami i zmartwieniami, brakami i niedostatkami. Do świadomości coraz szerszych kręgów społeczeństwa przenika ta prawda oczywista, że pochody protestacyjne i akcje wymierzone w ład i porządek nie są drogą, która można wyjść z otaczającego nas kryzysu. Dlatego owe demonstracje mają z miesiąca na miesiąc coraz niklejsze poparcie i oparcie w masach. W pewnym momencie muszą to także zrozumieć i ich organizatorzy. Oby jak najszybciej doszło do nich, że obrona, strategia i taktyka prowadzi tylko w jednym kierunku – donikąd...*

Poza Krakowem, 13 sierpnia 1982 roku demonstracje uliczne miały miejsce jeszcze tylko w Gdańsku, Warszawie i we Wrocławiu.

Paczkowski: *Potem zaś nastąpiła seria manifestacji związanych z rocznicami strajków z 1980: 16 sierpnia w Warszawie, 18 sierpnia w Szczecinie i Elblągu, 20 sierpnia w Ursusie, 26 sierpnia we Wrocławiu, 27 sierpnia w Łodzi, 29 sierpnia w Jastrzębiu, 30 sierpnia ponownie w Szczecinie. Wszystkie te wystąpienie były pacyfikowane przez ZOMO, dochodziło do krócej lub dłużej trwających zamieszek, dziesiątki osób były zatrzymywane, mnożyły się nakazy internowania. Akcje te prowadziły do eliminowania kolejnych najbardziej aktywnych osób, ale równocześnie podtrzymywały atmosferę napięcia i sprzyjały mobilizacji, mogły być też traktowane jako rozłożona w czasie generalna próba przed zapowiadanym ogólnokrajowym protestem.*



Patrol ZOMO na ulicach Nowej Huty. Władze poważnie potraktowały zapowiedziane na 31 sierpnia protesty uliczne, których nieplanowany wcześniej prolog nastąpił już 13. tegoż miesiąca. Zintensyfikowana została działalność Służby Bezpieczeństwa wymierzona w podziemne struktury opozycyjne.

Z filmu SB

***

16 sierpnia SB udało się nie dopuścić do „czarnego marszu", czym pochwalono się w comiesięcznej „Ocenie sytuacji operacyjno-politycznej" za sierpień 1982: *Wobec informacji, że próba demonstracji może zostać ponowiona, w dniu 16 sierpnia zaktywizowano pracę operacyjną i profilaktyczną, a w okresie zakończenia w HiL pracy na I zmianie patrole MO przystąpiły do profilaktycznego legitymowania kilkunastoosobowych grup młodych ludzi w pobliżu wyjścia z Kombinatu i przy trasie przemarszu. Wylegitymowano 150 osób, a 14 zatrzymano do wyjaśnienia (i po rozmowach zwolniono). Do marszu i zakłóceń porządku publicznego nie doszło.*

***

Im bliżej było do 31 sierpnia, tym bardziej narastało napięcie.

Z cytowanej wyżej esbeckiej „Oceny sytuacji operacyjno-politycznej" w sierpniu 1982: *Zaniepokojenie przed akcjami w dniu 31 sierpnia narastało we wszystkich środowiskach. Kolejnymi inicjatywami Solidarności zmierzającymi do konsolidacji elementów opozycyjnych były uroczystości kościelne w dniach 22 sierpnia w Kościele Mariackim i 24 sierpnia w kościele w Bieńczycach w intencji L. Wałęsy, które przebiegały jednak przy nikłej frekwencji i bez prób zakłóceń porządku publicznego.*

Inny dokument SB – „Plan zasadzek i patroli organizowanych w związku z rocznicą Sierpnia 1980" z 24 sierpnia 1982: *W dniach 30-31 sierpnia 1982 w godz. 8-15.30 w budynkach Wydziału Budownictwa Lądowego oraz Wodnego* [Politechniki Krakowskiej] *zostaną zorganizowane zasadzki na kolporterów ulotek. Do działań tych przewiduje się następujących pracowników: por. Z. Klimek, por. A. Ulman, mł. chor. A. Kłapa, plut. K. Bogdański. Będą oni wyposażeni w radiostację przenośną oraz posiadać do dyspozycji samochód służbowy z radiostacją krypt. 587.*

Ponadto poczynając od 24 sierpnia 1982 w godz. 5-8.00 oraz 20-23 wspólnie z Wydz. III-1 na terenie dzielnicy Krowodrza będą działać patrole samochodowe. Zadaniem ich będzie ujawnienie, legitymowanie i zatrzymywanie osób, których zachowanie może nasuwać przypuszczenie, iż mają związek z tymi naruszeniami prawa. Patrole zostaną wyczulone na dokładną kontrolę miejsc najbardziej zagrożonych, tj. kompleks budynków AGH, WSP, Miasteczko Studenckie, klatki schodowe przy ul. Mazowieckiej i na os. Widok.

Patrol działający w godz. 5.00-8.00 ma do dyspozycji samochód z radiostacją krypt. 581, a w skład jego wchodzą: por. E. Wróbel – Wydz. III-1 oraz ppor. A. Ćwikła – Wydz. III. Patrol działający w godz. 20.00-23.00 ma do dyspozycji samochód z radiostacją krypt. 587, a w skład jego wchodzą: szer. M. Kowal – Wydz. III-1, st. szer. Romanowski – Wydz. III oraz kierowca R. Zakrocki – Wydz. III.

Opracował kpt. Jan Krawczyk.

A. Dudek, T. Marszałkowski: *Władze poważnie potraktowały zapowiedziane na 31 sierpnia protesty uliczne, których nieplanowany wcześniej prolog nastąpił już 13. tegoż miesiąca. Zintensyfikowana została działalność Służby Bezpieczeństwa wymierzona w podziemne struktury opozycyjne. W sierpniu organa MSW skonfiskowały 250 tys. bezdebitowych wydawnictw, z tego 67 tys. w ostatnich trzech dniach tego miesiąca. 25 sierpnia wystąpił w telewizji człowiek nr 2 w kierownictwie PRL, gen. Cz. Kiszczak: „Interesów państwa i narodu – oświadczył – nikomu deptać nie pozwolimy. Jeżeli za mało było dotychczasowych lekcji, prowokatorzy odbiorą następne. Władze i organy porządku dysponują wystarczającymi i skutecznymi siłami oraz środkami dla gwarantowania spokoju i bezpieczeństwa. Ład publiczny będzie zapewniony".*

30 sierpnia ukazał się komunikat PAP grożący użyciem, w przypadku niepokojów, regularnych oddziałów wojska. Żołnierze obsadzili liczne obiekty, w tym węzły kolejowe, a do pomocy komisarzom wojskowym skierowano 6 tys. oficerów. Tego samego dnia na posiedzeniu Sekretariatu KC PZPR gen. Kiszczak informował o planach opozycji i przeciwdziałaniach podjętych przez resort spraw wewnętrznych: „Akcje uliczne planuje się w 21 miastach wojewódzkich (...) planuje się msze, a po nich próby starć z siłami porządkowymi, także w małych miastach, np. Kutno, Nowy Targ. Przeciwnik zakłada dekoncentrację sił porządkowych. Konkretne przygotowania do manifestacji czynione są w Warszawie i Wrocławiu. Np. Warszawa została podzielona w tych planach na 10 sektorów, wyznaczono łączników, grupy ochrony z pałkami, we Wrocławiu zamierzają przeciwnicy podłączyć węże strażackie do hydrantów i tarasować dojście do MZK, a także blokować place, w tym 1 Maja. (...) Podejmujemy różnorodne zamierzenia: potężną akcję propagandową i działania administracyjne, wyjaśniamy o co idzie gra. 1) Uważamy, że nie dojdzie do ogólnokrajowego protestu i manifestacji, chociaż wszystko zależy od postawy załóg, istnieje bowiem potencjał na protest i niezadowolenie. 31 sierpnia może on zostać uruchomiony, jeśli nie zachowamy czujności. (...) 4) Nie ma wielkiego zagrożenia masowymi strajkami w zakładach pracy. MSW podejmuje działania rozpoznawcze. W okresie 24 do 27 sierpnia dokonano 880 przeszukań – są dowody prowadzenia wrogiej działalności. 338 osób zatrzymano, m.in. Zbigniewa Romaszewskiego. Aresztowano 68 osób. Z 652 osobami przeprowadzono rozmowy ostrzegawcze, są internowania".

Paczkowski: *Wszystko to oznaczało, iż władza przystąpiła do największej mobilizacji sił od grudnia 1981, a to, co wydarzy się 31 sierpnia, nie tylko „Solidarność", ale także kierownictwo PZPR uznało za decydującą próbę sił, za druga walna bitwę.*

Jak już była mowa przy okazji omawiania sfałszowanych grypsów Stanisława Handzlika do Mariana Kani, SB prowadziła latem 1982 roku nie do końca rozpoznaną grę, której celem było niedopuszczenie do protestów i demonstracji w rocznicę podpisania Porozumień Gdańskich. Elementami tej gry były nie tylko te sfałszowane grypsy z Monte czy też rozmowy przedstawicieli ukrywającego się Bujaka z władzami, ale także tajna misja dwóch doradców „Solidarności". Paczkowski: *Wiesław Chrzanowski i Jan Olszewski zwracali się za pośrednictwem ks. Orszulika do Wałęsy, aby zaapelował do Bujaka o odwołanie protestów. Przewodniczący Związku uznał wprawdzie, że jest przeciwny manifestacjom ulicznym, ale „w obecnym momencie nie widzi innego wyjścia". „Ofiary, które będą – dodał – także zaowocują".* Sławomir Cenckiewicz i Piotr Gontarczyk, szczegółowo analizujący w swojej książce pobyt Lecha Wałęsy w Arłamowie i opisujący różne gry bezpieki wobec niego w tym czasie, niestety całkowicie pomijają ten wątek.

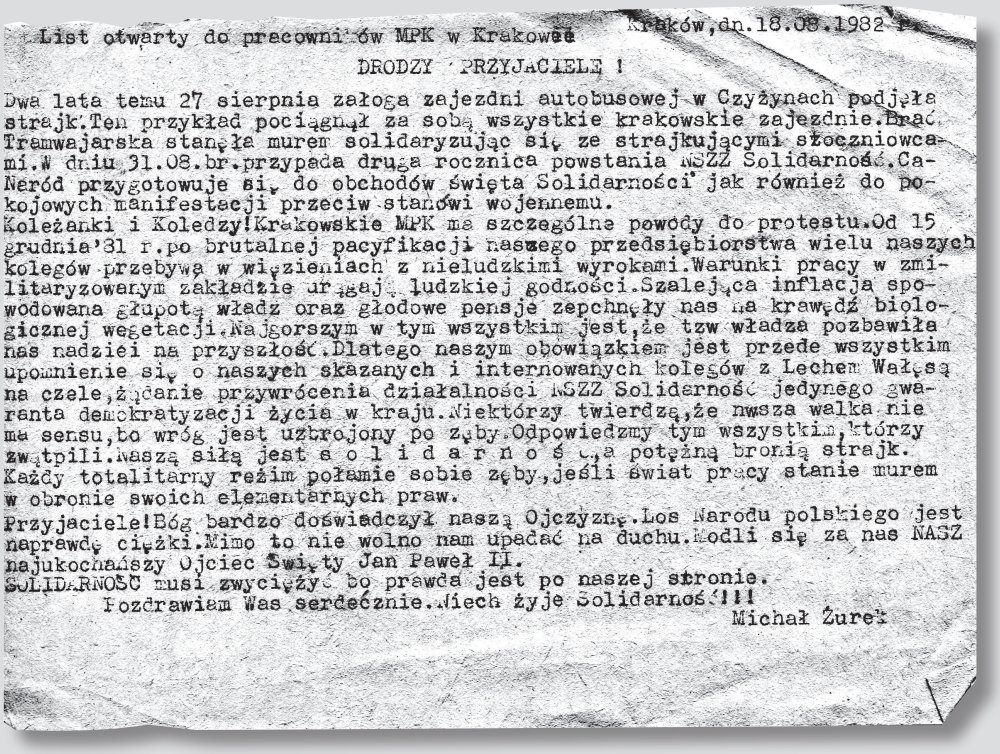
Niewiele wiemy o tym, jakimi kanałami SB przekazywała swoje sugestie wymienionym wyżej osobom, ale pewne światło na to rzucają wspomnienia Jaruzelskiego (jego słowa odnoszą się bezpośrednio do sytuacji sprzed 13 grudnia, ale – jak się wydaje – sytuacja ta trwała także po wprowadzeniu stanu wojennego): *Do pewnych kół „Solidarności" nadawaliśmy sygnały przez Barcikowskiego, Werblana, Wiatra, Gertycha, Kuberskiego, Rakowskiego, Cioska. Również Kiszczak w osobistych rozmowach oraz przez resortowe dotarcia rozpoznawał sytuację i przestrzegał. Istniały więc rozległe kontakty, przez które przekazywano alarm, że znaleźliśmy się na „krawędzi".*

W niektórych przypadkach miało to pewien rezonans. Dotyczy to m.in. rozmów, które prowadził Walery Namiotkiewicz, ówczesny kierownik Wydziału Ideologicznego KC, z mecenasem Janem Olszewskim. Znali się z okresu wspólnej pracy w redakcji „Po prostu". Potem ich drogi się rozeszły. Namiotkiewicz został sekretarzem Gomułki. Ale

jakiś kontakt chyba pozostał. W tym okresie stał się bardzo ożywiony. Aby uniknąć niepożądanego „oka i ucha" – z obydwu zresztą stron – odbywali wspólnie długie wieczorne spacery. Można powiedzieć, że Namiotkiewicz stał się swego rodzaju „łącznikiem" między mną a Olszewskim oraz jego środowiskiem. Informował mnie, co tam się mówi, jak nas oceniają, co się zamierza. Z kolei, jestem przekonany, informował Olszewskiego o tym, jak widzę sytuację, przed czym ostrzegam. To, jak sądzę, miało wpływ na stanowisko Olszewskiego i mecenasa Siła-Nowickiego, którzy zwłaszcza 11-12 grudnia [1981] *w Gdańsku wygłaszali oświadczenia mitygujące Komisję Krajową. Ale na nic się to zdało.*

Jan Olszewski w swoich wspomnieniach potwierdza znajomość z Walerym Namiotkiewiczem, ale nie wspomina o ich kontaktach w latach 80.: *Nasz krótki „romans" z Gomułką skończył się w ten sposób, że jeden z nas – Namiotkiewicz – na stałe pozostał w kręgu jego współpracowników, pełniąc rolę jego osobistego sekretarza.*

***



List otwarty do pracowników MPK w Krakowie

Kraków, dn. 18.08.1982 r.

DRODZY PRZYJACIELE !

Dwa lata temu 27 sierpnia załoga zajezdni autobusowej w Czyżynach podjęła strajk. Ten przykład pociągnął za sobą wszystkie krakowskie zajezdnie. Brać Tramwajarska stanęła murem solidaryzując się ze strajkującymi stoczniowcami. W dniu 31.08.br. przypada druga rocznica powstania NSZZ Solidarność. Cały Naród przygotowuje się do obchodów święta Solidarności jak również do pokojowych manifestacji przeciw stanowi wojennemu.
Koleżanki i Koledzy! Krakowskie MPK ma szczególne powody do protestu. Od 15 grudnia '81 r. po brutalnej pacyfikacji naszego przedsiębiorstwa wielu naszych kolegów przebywa w więzieniach z nieludzkimi wyrokami. Warunki pracy w zmilitaryzowanym zakładzie urągają ludzkiej godności. Szalejąca inflacja spowodowana głupotą władz oraz głodowe pensje zepchnęły nas na krawędź biologicznej wegetacji. Najgorszym w tym wszystkim jest, że tzw władza pozbawiła nas nadziei na przyszłość. Dlatego naszym obowiązkiem jest przede wszystkim upomnienie się o naszych skazanych i internowanych kolegów z Lechem Wałęsą na czele, żądanie przywrócenia działalności NSZZ Solidarność jedynego gwaranta demokratyzacji życia w kraju. Niektórzy twierdzą, że nasza walka nie ma sensu, bo wróg jest uzbrojony po zęby. Odpowiedzmy tym wszystkim, którzy zwątpili. Naszą siłą jest s o l i d a r n o ś ć, a potężną bronią strajk. Każdy totalitarny reżim połamie sobie zęby, jeśli świat pracy stanie murem w obronie swoich elementarnych praw.
Przyjaciele! Bóg bardzo doświadczył naszą Ojczyznę. Los Narodu polskiego jest naprawdę ciężki. Mimo to nie wolno nam upadać na duchu. Modli się za nas NASZ najukochańszy Ojciec Święty Jan Paweł II.
SOLIDARNOŚĆ musi zwyciężyć bo prawda jest po naszej stronie.
Pozdrawiam Was serdecznie. Niech żyje Solidarność!!!

Michał Żurek

List otwarty ukrywającego się po ucieczce z internowania Michała Żurka do kolegów – pracowników MPK. *W dniu 31 sierpnia br. przypada druga rocznica powstania NSZZ „Solidarność" (…). Odpowiedzmy tym wszystkim, którzy zwątpili. Naszą siłą jest solidarność, a potężną bronią – strajk.*

Z archiwum Ryszarda Bociana

Z „Hutnika" nr 23 z 2 września 1982: *Represje (…) przed 31 sierpnia 1982. W tygodniu poprzedzającym nasze święto rozszalał się esbecki terror. Przeprowadzano rewizje w domach, wzywano na tzw. rozmowy, aresztowano, internowano... (…).*

Również w całym Regionie miał miejsce istny kociokwik esbecki. Represje dosięgły dosłownie wszystkich, którzy w jakiś sposób działali w Solidarności przed 13 grudnia.

Tutaj mała refleksja. Krwawy Wojtek w swoim niechlubnej pamięci wystąpieniu w „czarną niedzielę" obiecywał (nie tylko to) abolicję, czyli puszczenie w niepamięć dla działaczy związkowych. Tak oto można polegać na słowie oficera, podobno polskiego(?).

Represje dotknęły także tych, którzy według rozeznania SB, działali w krakowskiej KPN. 30 i 31 sierpnia 1982 roku internowano trzy takie osoby (o czym dalej).

Od 30 sierpnia skoszarowano krakowskich ormowców (w obiektach Gwardyjskiego Towarzystwa Sportowego Wisła Kraków).

Z „Hutnika" nr 23 z 2 września 1982: *Akcje Solidarności przed świętem. Tak w Kombinacie, jak i w całym Regionie rozprowadzono olbrzymie ilości wydawnictw, ulotek, plakatów. Oprócz tradycyjnych sposobów kolportażu zastosowano po raz pierwszy automatyczne katapulty zainstalowane na dachach budynków przy ul. Floriańskiej i na domu towarowym Jubilat.*

Jak się zdaje nie były to katapulty, tylko popularna w latach osiemdziesiątych metoda „na marlboro", stosowana również przez konfederatów.

Jacek Torbicz: *Wkładaliśmy ulotki do woreczka związanego nylonową żyłką. Lont był z zachodniego papierosa (najlepsze do tego celu były papierosy „marlboro" – chodziło o to, aby papieros nie zgasł), przez niego przechodziła napięta żyłka podtrzymująca ładunek. Mocowaliśmy to na krawędzi dachu i zanim papieros, tląc się, przepalił żyłkę, mieliśmy czas, aby uciec. Kiedy przepalała się żyłka, ulotki się wysypywały.*

Maciej Gawlikowski: *Robiliśmy akcje w centrum, np. koło Dworca Głównego, polegające na tym, że transparent mocowało się na dachu budynku. Transparent był długi, wąski, z napisem idącym z góry w dół, zwinięty w rulon, a w środek miał włożone ulotki. Związywaliśmy go żyłką, do której przymocowywaliśmy lont, który robiłem z grubego sznurka moczonego w roztworze saletry. Kiedy lont przepalił żyłkę, to transparent się rozwijał pod wpływem swojego ciężaru i wysypywały się zawinięte w nim ulotki. Raz nam się zdarzyło, że zapalił się od lontu transparent i wstyd był straszny – rozwinęła się płonąca szmata i sypnęło tlącymi się ulotkami. Takie akcje robiliśmy m.in. z Jackiem Torbiczem i Jurkiem Dobrowolskim.*

Z „Hutnika" nr 23 z 2 września 1982: *W Rynku Głównym obok płyty Tadeusza Kościuszki wmurowano tablicę Solidarności, gdzie składane są obecnie kwiaty. Kwietny krzyż układany jest również na Błoniach w miejscu lądowania helikoptera z Ojcem Świętym* [w 1979].

Z cytowanej wyżej „Oceny sytuacji operacyjno-politycznej": *Celem utworzenia nowego ogniska zapalnego w dniu 25 sierpnia w Rynku Głównym, obok płyty T. Kościuszki wmurowano płytę RKW Małopolska, upamiętniającą rocznicę powstania Solidarności. Płytę niezwłocznie usunięto i drogą operacyjną ustalono 2 studentów Politechniki Krakowskiej, którzy dokonali tego czynu (jednego z nich oraz jednego z pomocników zatrzymano – kontynuuje się dalsze poszukiwania).*

***

31 sierpnia młodzi ludzie od godzin przedpołudniowych przemieszczali się z Krakowa do Huty, aby wziąć udział w manifestacji.

Małgorzata Słowik: *31 sierpnia 1982 ojciec kazał nam wszystkim w domu przysiąc, że nie pojedziemy do Nowej Huty na zadymę. Obawiał się, że w Hucie będzie bardzo niebezpiecznie. I zostaliśmy w domu. Ale Wojtek nie wytrzymał i pojechał. Zostawił tylko list, że Ojczyzna go wzywa... Wrócił późnym wieczorem, półprzytomny od gazów.*

Wojciech Słowik: *Rano wyszedłem z domu wyrzucić śmieci i wróciłem dopiero w nocy. Z uwagi na moją sytuację rodzinną musiałem uciec z domu, aby nikt mnie nie*

powstrzymywał. Do Huty pojechałem sam na wiele godzin wcześniej. Miałem kolegę, który mieszkał w fantastycznym miejscu – przy alei Lenina i to blisko terenów zielonych, które są położone w bezpośrednim sąsiedztwie Kombinatu. Chodziło o to, aby nie przyjeżdżać w miejsce demonstracji bezpośrednio przed nią, bo wiadomo, że wtedy ubecy wyłapywali z autobusów młodych ludzi.

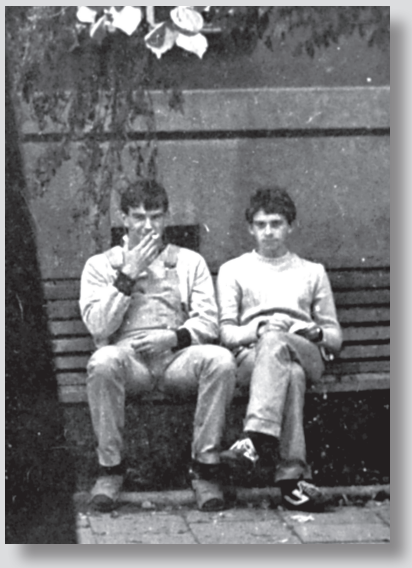
Grzegorz Hajdarowicz: *Rozchorowałem się, miałem 38,9 stopni gorączki. Wziąłem dwa razy po cztery aspiryny, zbiłem tę gorączkę do 37,8 i pojechałem do Nowej Huty. Musiałem pojechać, bo byłem łącznikiem między moją grupą a „Dziubarą" (nie znam jego nazwiska), który dowodził grupą młodych robotników z Montinu (to było przedsiębiorstwo przy Hucie Lenina). Członkowie naszych grup się nie znali, ale razem braliśmy udział w demonstracjach. Skontaktowałem moich chłopaków z ekipą „Dziubary" i przez pewien czas brałem udział w walkach.*

Jerzy Mohl: *Dzień wcześniej, wieczorem pojechaliśmy z moim bratem do Nowej Huty i ukryliśmy stalowe kolce w pobliżu jakiegoś śmietnika na osiedlu Szkolnym, bo tam zamierzaliśmy się włączyć do demonstracji, która będzie szła od Kombinatu. Poszliśmy po nie, kiedy czoło pochodu atakowane przez ZOMO, minęło Zalew.*

Manifestacja w Nowej Hucie rozpoczęła się tradycyjnym już, piątym z kolei, marszem hutników spod Bramy Głównej, który stał się odtąd nieodłącznym elementem kolejnych manifestacji ulicznych w Nowej Hucie.

Z esbeckiej „Oceny sytuacji operacyjno-politycznej": *Grupa ok. 1 500 pracowników Kombinatu w krótkim czasie zdominowana została przez młodych i bardzo młodych ludzi nadciągających z różnych części dzielnicy, których zachowanie było tym razem wyjątkowo agresywne. Widocznym było ich nastawienie na atakowanie sił porządkowych przyniesionymi kamieniami i innymi przedmiotami, a w późniejszym okresie także benzyną, i w jednym przypadku kwasem.*

Grzegorz Hajdarowicz: *Hutnicy, którzy wychodzili po pierwszej zmianie z Kombinatu, formowali pochód i usiłowali przejść w stronę Arki. Zwykle jednak nie dochodzili do kościoła, bo tuż za Zalewem stało ZOMO i dochodziło do pierwszych walk.*



„Osoby obserwujące kolumnę milicyjną koło zalewu w Nowej Hucie". 31 sierpnia 1982 r. Fot. SB



Czarny marsz – 31 sierpnia 1982 r. *Kilkanaście tysięcy maszerujących hutników pozdrawiali gorąco mieszkańcy Nowej Huty, zgromadzeni na trasie przemarszu w liczbie ok. 30 tys. Robotnicza Nowa Huta nie dała się zastraszyć nachalnemu pokazowi pordzewiałego żelastwa (skoty, amfibie, armatki wodne itp.), które w ostatnich dniach sierpnia obwożono po ulicach.* Fot. SB

Wojciech Słowik obserwował marsz hutników z oddali: *Wyszliśmy wraz z kolegą z jego domu krótko przed 14, gdy z Kombinatu wychodziła pierwsza zmiana. Staliśmy przy ostatnim skrzyżowaniu alei Lenina, przed Zalewem. Tam zobaczyłem (za skrzyżowaniem), jak nastąpiło rozbicie – moim zdaniem małej – grupy hutników, którzy tam doszli. Większość z nich została rozproszona już wcześniej. Po naszej stronie skrzyżowania stało stosunkowo niedużo ludzi. Trudno było zrobić jakąś barykadę, zwłaszcza że co chwila przejeżdżały skoty i rozganiały ludzi. Działania demonstrantów były bardzo chaotyczne i byłem tym bardzo zdegustowany. Leciało trochę kamieni od strony hutników, ale od naszej strony – nie. Ludzie jedynie stali na chodniku, krzyczeli i gwizdali. Zaraz nas zresztą definitywnie rozgonili. Potem pojawiła się armatka wodna i uderzyła w stronę hutników i gdzieś na wysokości Zalewu hutnicy zostali rozpędzeni.*

Potem był taki okres martwy, między rozgonieniem tej manifestacji po godzinie 14 na alei Lenina a godziną, o której była msza w Arce. W tym czasie było niebezpiecznie, bo ubecy wyłapywali ludzi.

„Zomorządność" nr 24/25 z 11 września 1982: *O godzinie 14.30 wyruszył spod Bramy Głównej HiL marsz protestacyjny (ok. 5 tys. osób). Gdy czoło pochodu dotarło do mostu na Dłubni, z ulicy Ujastek wyjechała kolumna ZOMO, która rozdzieliła manifestantów na dwie grupy. Pierwsza grupa została gwałtownie zaatakowana armatkami wodnymi i pociskami z gazem. Manifestanci po krótkotrwałym zamieszaniu i panice powtórnie for-*

mują czoło pochodu, który obchodzi od tyłu Technikum Hutniczo-Mechaniczne. Następnie manifestanci obrzucają kamieniami zomowskie autobusy stojące przy os. Hutniczym.

Z „Niepodległości" nr 13 z 6 września 1982: *Kilkanaście tysięcy maszerujących hutników pozdrawiali gorąco mieszkańcy Nowej Huty, zgromadzeni na trasie przemarszu w liczbie ok. 30 tys. Robotnicza Nowa Huta nie dała się zastraszyć nachalnemu pokazowi pordzewiałego żelastwa (skoty, amfibie, armatki wodne itp.), które w ostatnich dniach sierpnia obwożono po ulicach.*

Jerzy Mohl: *Nasza kolej przyszła w okolicach Teatru Ludowego. Tam zaminowaliśmy sporą część ulicy. Początkowo wydawało się, że coś z tymi kolcami jest nie tak, bo przejechała armatka wodna i trzeba było opędzać się przed nią kamieniami. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że polewaczki miały koła niewrażliwe na przebicie. Mój brat gdzieś wtedy przepadł wraz ze Staszkiem (chyba odskoczyli na inną ulicę), a ja zostałem w pobliżu naszego pola minowego.*

Po paru minutach na ulicy pojawiło się ZOMO w nysach i gazikach i chyba jakieś „budy". Jedna z nysek, która znalazła się w moim pobliżu, zaliczyła co najmniej jeden z kolców i wjechała na trawnik, zatrzymując się na chwilę. Tak zaliczyłem mój pierwszy kamienny strzał, rozwalając jej koguta na dachu. Parę sekund później chłopak o mocno kręconych włosach, w częściowo nasuniętej na twarz chuście, rozwalił płytką chodnikową szybę wraz z kratą tak, że wpadły do środka. Zapamiętałem go, a dwa tygodnie później poznałem go przez Wojtka Słowika. Był to Grzesiek Hajdarowicz.

Upolowana nyska rzuciła się do ucieczki, zaliczając jeszcze wiele trafień od innych demonstrantów, ale nie wiem, czy się przebiła ani ile jeszcze pojazdów zaliczyło nasze pole minowe.

Osiągając coraz lepsze wyniki w rzutach, dotarłem do skrzyżowania przy bieńczyckim placu targowym, gdzie spotkałem brata.

Tymczasem Grzegorz Hajdarowicz z wysoką gorączką ewakuował się z Huty. *Ok. 16, jak puścili gaz i rozbili demonstrację gdzieś na placu Centralnym, to już musiałem się wycofać, bo ledwo stałem na nogach. Zadzwoniłem po ojca i on odwiózł mnie do domu.*

„Zomorządność": *Pochód nieustannie rośnie. Nad głowami tłumu pojawiają się narodowe flagi, transparenty z napisem „Solidarność", „Nie oddamy Sierpnia!" oraz portret Lecha Wałęsy. O godzinie 16. 30 grupa ta dociera do kościoła NMP w Bieńczycach, skandując „Tu jest prawda!". Oczekujący na centralne nabożeństwo tłum, wita przybyłych oklaskami.*

Jerzy Mohl: *Wokół Arki tłum zgęstniał na tyle, że dotarcie do kościoła nie wchodziło w grę. Było może nawet 20 tys. ludzi. Postanowiliśmy z bratem pozostać na miejscu, jakieś 130 metrów od skrzyżowania, aby wysłuchać mszy. Licząc się z tym, że po nabożeństwie ZOMO będzie rozpędzało zgromadzony tłum, postanowiliśmy ulokować się przy ogrodzeniu, które ciągnęło się od placu targowego w stronę kościoła, przy którym mogła być jakaś kamienna amunicja. Nie byliśmy wcale na zewnętrznej orbicie demonstrantów słuchających mszy. Na lewo od nas w stronę skrzyżowania było dość sporo ludzi i przed nami również nie było pustki, chociaż tłum nie był zwarty.*

„Zomorządność": *W nabożeństwie brało udział ok. 10 tysięcy wiernych. Grupki ludzi napływały pod kościół do połowy mszy. W większości byli to hutnicy, których ZOMO zdołało odciąć od pochodu. Msza Święta rozpoczęła się modlitwą do Maryji Jasnogórskiej, potem aktorzy śpiewają Pieśń konfederatów barskich. Na uroczyste ofiarowanie Solidarności Matce Bożej wszyscy wstali. Mszę celebrowało 25 kapłanów. Zamiast kazania – chwila ciszy.*

W czasie pieśni „Słuchaj Jezu, jak Cię błaga lud", ludzie w akcie solidarności trzymają się za ręce. Na zakończenie „Boże coś Polskę" zebrani odśpiewują na kolanach.





31 sierpnia 1982 r. – Msza Święta w Arce Pana w Nowej Hucie. *W nabożeństwie brało udział ok. 10 tysięcy wiernych. Grupki ludzi napływały pod kościół do połowy mszy. W większości byli to hutnicy, których ZOMO zdołało odciąć od pochodu. Msza Święta rozpoczęła się modlitwą do Maryi Jasnogórskiej, potem aktorzy śpiewają Pieśń Konfederatów Barskich. Na uroczyste ofiarowanie Solidarności Matce Bożej wszyscy wstali. Mszę celebrowało 25 kapłanów. Zamiast kazania – chwila ciszy. W czasie pieśni „Słuchaj Jezu, jak Cię błaga lud", ludzie w akcie solidarności trzymają się za ręce. Na zakończenie „Boże coś Polskę" zebrani odśpiewują na kolanach.* Fot. SB

Pod koniec Mszy na skrzyżowanie koło kościoła podeszła kolumna ZOMO, tworząc podwójny kordon. Jeszcze w czasie trwania uroczystości w okolicach ul. Kocmyrzowskiej zomowcy zaczęli odpalać petardy z gazem łzawiącym.

Jerzy Mohl: *W momencie, kiedy ksiądz udzielał wiernym błogosławieństwa na zakończenie mszy, zostaliśmy od tyłu zaatakowani przez tajniaków z SB. Było ich czterech. Kiedy klęczeliśmy, jeden chwycił mnie i mojego brata za ubranie na wysokości łopatek i półgłosem powiedział: „Służba Bezpieczeństwa, nie ruszać się!". Najwidoczniej liczył, że zdrętwiejemy ze strachu, a jego koledzy dyskretnie wykręcą nam ręce i zdążą się wycofać ze zdobyczą w stronę własnych linii.*

Nie było na co czekać. Krzyknąłem do brata: „Wal!". Artur jest leworęczny i miał go w swoim zasięgu. W następnej sekundzie esbek dostał cios z pięści w czoło, a my poderwaliśmy się do przodu, krzycząc: „Uwaga! SB!". Ten, który nas złapał, wywalił się na ziemię, a jego kompan znalazł się blisko nas i wiedział, że wiemy świetnie, kim jest. Próbował ucieczki, ale podnieśliśmy takie larum, że ludzie otoczyli nas kołem i nie mógł się już wymknąć. Jego koledzy zaczęli uciekać w popłochu, a za nimi poleciały kamienie. Jeden chyba oberwał, ale podejrzewam, że ze strachu przed linczem nawet nic nie poczuł. Osaczony przez tłum esbek nie miał żadnych szans. Rzuciło się na niego kilkanaście osób tak, że powstał młyn jak w rugby, a on leżał na dnie tego zamieszania. Dopiero po chwili jakiś starszy facet zaczął krzyczeć, że on jest na dnie i ludzie szarpią się między sobą. Poskutkowało. Kiedy odsłoniła się jego postać, kilku gości wzięło go pod buty. Miał szpital murowany.

Później wielokrotnie zastanawiałem się, dlaczego zaatakowali właśnie nas i jedynym sensownym wytłumaczeniem jest to, że musieli nas namierzyć, kiedy rozrzucaliśmy kolce. W innym przypadku ryzyko, które podjęli, nie ma logicznego wytłumaczenia, bo mogli złapać kogokolwiek bliżej własnych pozycji.

W momencie gdy odbywał się ten młyn, ZOMO ruszyło od strony skrzyżowania. Chyba chcieli odbić tego osaczonego tajniaka i liczyli, że tłum się cofnie w stronę kościoła. Razem z bratem w tym czasie szukaliśmy jakiejś amunicji, bo nasza przepadła pod płotem.

Ryszard Pyzik: *Po mszy świętej w Arce ludzie odśpiewali pieśń „Boże coś Polskę" na klęczkach. Wzruszenie było takie, że aż ciarki przechodziły po plecach. Potem tłum ruszył w stronę Teatru Ludowego. Drogę zagrodziło ZOMO. Zaczęli strzelać do ludzi gazem. Tłum zareagował spontanicznie i ruszył biegiem w ich kierunku.*

Z „Niepodległości": *Rozpętało się piekło. Atak podpitych, naładowanych narkotykami bandytów ZOMO nastąpił natychmiast, gdy tylko ludzie zaczęli wychodzić z kościoła.*

Jerzy Mohl: *Kiedy zadyma się zaczęła, żadna siła nie mogła już tego zatrzymać. Tłum, praktycznie samych facetów, gdy zobaczył idących na nich zomowców z pałami i tarczami, wydał z siebie ogłuszający okrzyk: „Hurraaa!", i jak to później określono w reżimowej TV – „na stróżów porządku ruszyło kilka tysięcy gotowych na wszystko harcowników". O załapaniu się na miejscówkę w pierwszy lub drugim szeregu nie było mowy. Biegliśmy z bratem może w 7 lub 8 szeregu. Kiedy padła salwa powitalna z trzeciego szeregu zomowców (dwa pierwsze były z tarczami i pałami), w ich stronę poleciał grad kamieni i śrub, a co najgorsze niektóre z nich leciały dość płaskim torem, bo ci, co rzucali, albo nie przyłożyli się do rzutu, albo rzucili za wcześnie. Mimo że groził nam postrzał z własnych szeregów, nikt się tym specjalnie nie przejmował, i tłum pędził ku zomowcom co sił w nogach. Nie pomogły tarcze i pały ani kolejna salwa, szeregi milicji zostały dosłownie zmiecione. Ponieważ byliśmy stosunkowo daleko, szans na starcie bezpośrednie nie mieliśmy. Widziałem, jak w powietrzu fruwają fragmenty mundurów i tarcze. Kiedy dobiegałem do*

torowiska tramwajowego, zobaczyłem zomowca, który wisiał na siatce rozdzielającej linie tramwajowe.

Za skrzyżowaniem stały 3-4 „budy", i kiedy fala ludzkiej furii zepchnęła ZOMO daleko za skrzyżowanie, ich podwody zostały bez osłony, co poskutkowało natychmiastowa próbą przewrócenia „bud" wraz z zawartością. O ile dobrze pamiętam, z jedną się to udało.

Pyzik: *Zomowcy tak szybko uciekli, że autobusy, które ich przywiozły, nie zdążyły odjechać. Zdobyliśmy je. Po chwili nie miały ani jednej szyby. W środku nieoczekiwanie znaleźliśmy skrzynie z granatami z gazem łzawiącym. Zomowcy usiłowali odbić autobusy i strzelali do nas gazem, ale my się broniliśmy, rzucając do nich kamieniami oraz zdobytymi w autobusach granatami gazowymi. Było aż siwo od tych gazów, poruszaliśmy się jak w gęstej mgle.*

J. Mohl: *W momencie, gdy wydawało się, że zwycięstwo na skrzyżowaniu jest stuprocentowe, nastąpił kontratak, który wykonały dwie armatki wodne i dwa skoty, które rozpoczęły szarżę na pełnej prędkości prosto w tłum. Trudno opisać, jaka wybuchła panika, kiedy te transportery zaczęły rozjeżdżać żywopłoty, krzaki i elementy małej architektury. Jeden z nich na moich oczach dosłownie zmiótł piaskownicę koło jednego z bloków i później przemknął obok mnie w odległości około 2-3 metrów.*

„Zomorządność": *W swojej panicznej akcji „siły porządkowe" były bezwzględne: niszczono po drodze przystanki, zieleń, ogrodzenie, petardy odpalano wprost w ludzi.*

Z „Niepodległości": *Wierni zaatakowani przez armatki wodne, gaz i falangi pałkarzy, rozpierzchli się po otaczających kościół osiedlach, a część ukryła się na powrót w kościele. Ale i tam nie byli bezpieczni. Wybito granatnikami szyby w kościele, wrzucano gaz. Ludzie zaczęli się dusić.*

Jerzy Mohl: *Co prawda nie byłem w wojsku, ale jakoś instynktownie czułem, że najgorsze, co można zrobić, to uciekać na oślep. Odskoczyłem pod ścianę najbliższego budynku i czekałem aż tłum otrząśnie się z paniki. Muszę przyznać, że nastąpiło to dość szybko, w ciągu może 10 minut, co dziś tłumaczę sobie tym, że przecież większość z tych demonstrantów zaliczyła zasadniczą służbę wojskową, a to zostawia ślad w człowieku na zawsze i wyuczone w czasie jej odbywania odruchy zostają. Zamieszanie i panika, które jeszcze przed chwilą dominowały, uległy ponownej fali bojowego entuzjazmu, a demonstranci zaczęli rozbierać chodniki na amunicję i z każdą minutą coraz gwałtowniej przechodzić do kolejnego ataku.*

„Niepodległość": *Na osiedle ruszyły bojówki ZOMO – bić, aresztować, wrzucać gaz do mieszkań. Ale tym razem przeliczyli się. Robotnicza Nowa Huta nauczyła się walczyć. Najpierw wyparto ZOMO z osiedli, a punktualnie o godzinie 18.00 ruszyło robotnicze kontrnatarcie na bronione przez kilkuset zomowców skrzyżowanie Kocmyrzowskiej i Majakowskiego. Pod gradem kamieni obrona wroga załamała się natychmiast. ZOMO uciekło w panice, porzucając skota, nyskę, hełmy i niewystrzelone petardy. Robotnicy opanowali skrzyżowanie. Śpiewano hymn narodowy, skandowano – „Uwolnić Lecha!", „Uwolnić Gila!", „Uwolnić Handzlika!", „Reżim precz!". I wielokrotnie: „Solidarność! Solidarność!".*

A. Dudek, T. Marszałkowski: *Około dziewiętnastej zomowcy po raz kolejny zaatakowali silnie ufortyfikowane skrzyżowanie. Jedna z armatek wodnych, uczestnicząca w natarciu, utknęła na torowisku tramwajowym, gdzie natychmiast została podpalona. Po kilku minutach zdołała jednak odjechać, unikając całkowitego zniszczenia. Doszczętnie natomiast spalono fiata Służby Bezpieczeństwa, który utknął wśród porozrzucanych ławek i koszy. Jego załoga uciekła w ostatniej chwili.*

Jerzy Mohl: *Mimo że armatki wodne i skoty atakowały cały czas, to piesze oddziały ZOMO się nie pojawiły. Widocznie pierwsza porażka nauczyła ich pokory.*

Część demonstrantów zaczęła transportować na dachy wieżowców płyty chodnikowe i zaczęły się zrzuty z dachów. Widziałem, jak jeden ze skotów zaliczył uderzenie taką płytą w wieżyczkę. Załodze nic się nie stało, jak i zresztą samemu pojazdowi, ale hałas w środku musiał być taki, że później już nie zbliżali się do wysokich budynków.

Ponieważ straciłem kontakt z moim bratem, dalszą walkę aż do wieczora prowadziłem sam wśród kilku tysięcy innych demonstrantów. Koncentrowaliśmy się na rzutach z rozbiegu w stronę kolumny bodaj 8-10 „bud", które przyjechały od strony ronda Czyżyńskiego i usiłowały odciąć demonstrantów od centrum Nowej Huty. Oczywiście, kolumna pojazdów milicyjnych korzystała stale ze wsparcia armatki wodnej, która kursowała wahadłowo między skrzyżowaniami, oraz skota, który szarżował w naszą stronę pomiędzy bloki.

Pododdział ZOMO, który był w tej kolumnie, nie próbował nawet swoich sił w starciu wręcz, ze względu na naszą ogromną przewagę liczebną. Zadymiarzy było około 1000, a tych zomowców może 100-110. Na dodatek w naszej drugiej linii stało kilka tysięcy ludzi, którzy teoretycznie mogli się włączyć do akcji. Tak więc jedyną taktyką, którą mogli zastosować dowodzący milicją, było związanie naszych sił na osiedlu Bieńczyce i nasycenie przedpola gazem łzawiącym tak, aby nie dało się tamtędy przemieszczać.

Po stronie demonstrantów nikt nie prowadził jakiś specjalnie przemyślanych działań taktycznych. Każdy atakował według własnego uznania, walcząc w asyście najbliższych sąsiadów.

Postawa wielu ludzi z drugiej linii, zwłaszcza starszych oraz dzieci, była wspaniała. Donosili nam kamienie, żebyśmy nie tracili czasu na ich szukanie. Pamiętam, jak jakaś starsza kobieta przyniosła mi w torebce dwa kawałki płyty chodnikowej, prosząc, abym ich nie zmarnował. Zrobiłem, co mogłem, obydwa trafiły w „budę", chociaż żałowałem, że nie trafiły w żywy cel.

Ryszard Pyzik: *Złapali mnie ok. godziny 18 lub 19 – już robił się zmierzch. Dostałem kolbą od wyrzutnika gazu w zęby, aż wyleciała mi plomba. Potem wsadzili mnie do „budy". Jak „buda" się zapełniła, zawieźli nas do komendy MO na os. Zgody, a potem do komendy MO na Siemiradzkiego. Na każdej komendzie, na powitanie milicjanci organizowali nam ścieżki zdrowia. Siniaki z pleców po tym biciu zeszły mi dopiero po paru tygodniach.*

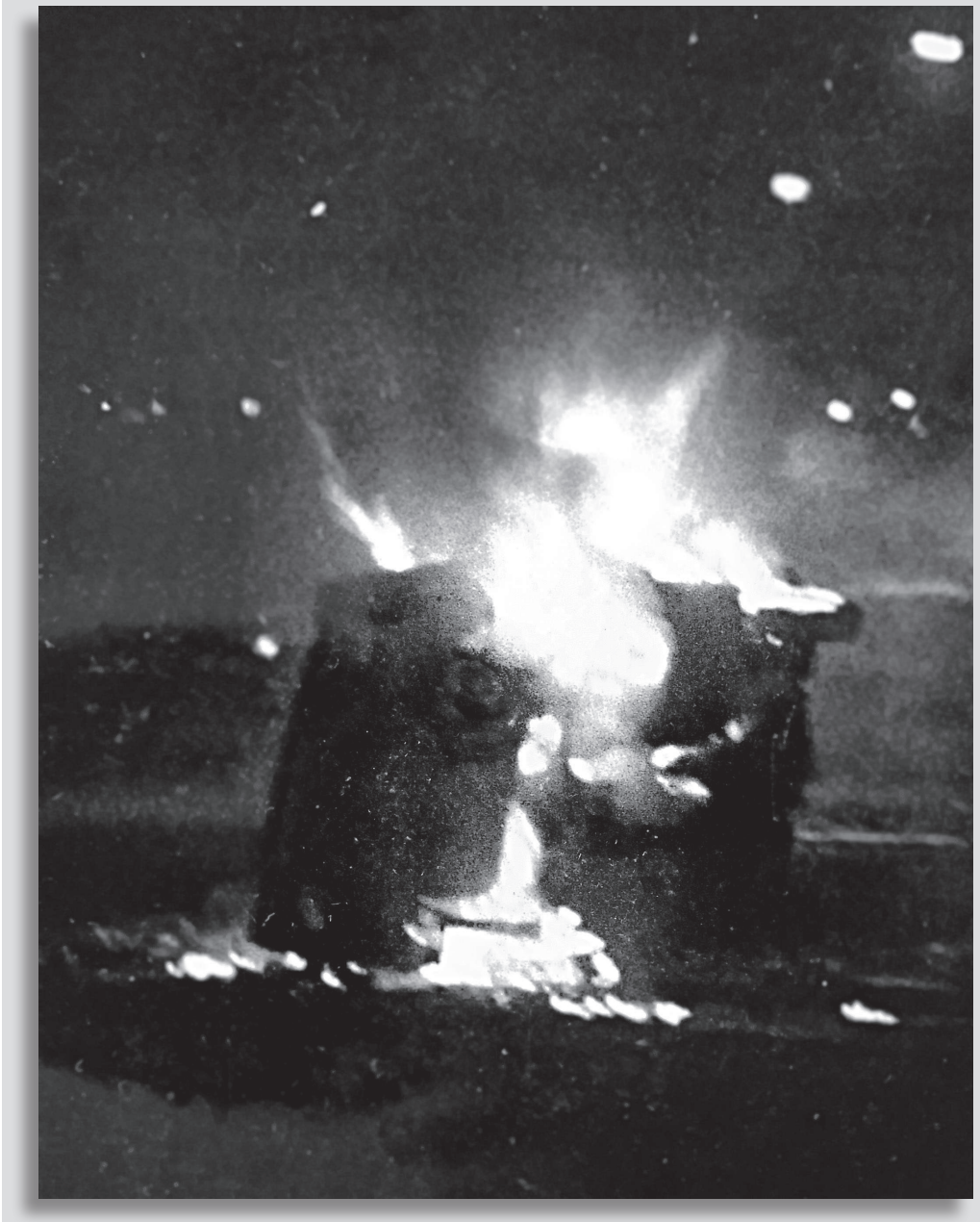
Z „Niepodległości": *Ok 20.30 mieszkańcy Os. Jagiellońskiego i hoteli robotniczych ze Złotej Jesieni w odwet za ostrzeliwanie gazem mieszkań, natarli na komisariat MO na Złotej Jesieni. W budynku, w którym znajdowali się milicjanci, wybito szyby, zniszczono milicyjny osinobus i nyskę. W czasie walki o komisariat robotnicy starali się oszczędzić stojący ok. 20 metrów od komisariatu przeszklony kiosk ruchu – nie wyleciała ani jednak szyba! Walki pomiędzy ZOMO a robotnikami na Jagiellońskim i Złotej Jesieni trwały do pierwszej w nocy. Manifestanci wzywali zomowców do opuszczenia terenu zabudowanego i kontynuowania walki na pobliskich łąkach. Akcje patroli ZOMO ograniczały się do głównych ulic. Na osiedla ZOMO już się bało zapuszczać.*

O stosowaniu przez robotników rycerskich zasad walki świadczy, że nawet w czasie najbardziej zaciętych walk obronnych manifestanci atakowali tylko agresywnie zachowujące się bojówki ZOMO. W spokoju pozostawiono przebywających w pobliżu milicjantów ze Służby Ruchu i funkcjonariuszy w wyjściowych mundurach. (…) ZOMO jak zwykle nie oszczędzało niczego, co się ruszało.

A. Dudek, T. Marszałkowski: *Do groźnej sytuacji doszło na skrzyżowaniu al. Róż i ul. Żeromskiego, gdy osłaniającym unieruchomiony transporter zomowcom zabrakło pocisków gazowych. Bronili się przed atakującym tłumem, odrzucając kamienie. W krytycznym momencie dowódca grupy rozważał użycie broni palnej, w którą wyposażeni byli ofi-*

cerowie i podoficerowie. Z pomocą zagrożonemu pododdziałowi przyszła, przejeżdżająca w pobliżu, kolumna armatek wodnych i transporterów.

Jerzy Mohl: *Po kilku godzinach takiej kamiennej młócki z naszej strony i metodycznego ostrzału za pomocą granatów gazowych ze strony ZOMO, sytuacja – mimo naszej przewagi liczebnej – zaczęła się zmieniać na naszą niekorzyść. Milicja widocznie uzyskała przewagę w innych punktach Nowej Huty i zaczęła przegrupowywać swoje główne siły*





Barykada na ulicy w Nowej Hucie po walkach 31 sierpnia 1982 r. *Byłem bardzo zbudowany, bo po raz pierwszy zobaczyłem, że ludzie potrafili oddać atakującym ich zomowcom, a nie tylko uciekać. Wcześniej te starcia z milicją były bardzo upokarzające dla nas – tylko uciekaliśmy i patrzyliśmy, aby nas nie złapali. A teraz była pierwsza demonstracja, gdzie tłukliśmy płyty chodnikowe albo braliśmy tłuczeń z podkładów tramwajowych i podjęliśmy regularną walkę.* Fot. SB

w naszą stronę. Do akcji znowu weszła dodatkowa armatka wodna oraz wyrzutnie gazów na gazikach. Dała o sobie znać przewaga działających zgodnie z planem zwartych pododdziałów nad – nawet bardzo walecznym, ale jednak chaotycznym – tłumem.

Na dodatek prowadzony wcześniej ostrzał naszych pozycji spowodował, że stężenie gazu stawało się wręcz nieznośne i trzeba się było przemieścić, oddając pozycje.

Postanowiłem przejść w stronę osiedla Kościuszkowskiego, bo liczyłem się z tym, że będę musiał się wycofać do domu przez nieużytki dawnego lotniska wojskowego, mijając po drodze samotnie stojące akademiki Politechniki, wokół których mogła się kręcić SB.

Wycofując się w tamtym kierunku, mniej więcej 200 metrów od ronda Kocmyrzowskiego w stronę dzisiejszego ronda gen. Maczka trafiłem na kolejną potyczkę z ZOMO. Tam zobaczyłem, jak granat gazowy wystrzelony z wyrzutni na gaziku trafił chłopaka, nieco starszego ode mnie, prosto w głowę. Zalany krwią padł bez przytomności. Jakie były jego późniejsze losy, nie wiem, ale widziałem, jak jakaś kobieta zaczęła mu udzielać pomocy. Milicja chyba myślała, że szybko pogoni gromady ludzi wracające z demonstracji, ale się zawiedli, bo dość skutecznie zostali obrzuceni kamieniami, a mnie nawet udało się trafić kamieniem w światło bocznych drzwi nysy, kiedy były otwarte do oddania strzału. Do domu dotarłem już po zmroku.

„Zomorządność": *Akcje przeniosły się także w inne punkty Nowej Huty, głównie do Centrum i na Rondo Kocmyrzowskie.W długotrwałych i regularnych walkach z zomowca-*

mi brała udział nie tylko młodzież. O sympatiach mieszkańców osiedli świadczyły antyreżimowe okrzyki i antymilicyjne okrzyki rozlegające się z balkonów.

(...) Zomowcy i ubole wyłapują pojedynczych uczestników starć, a także przypadkowych przechodniów. Są oni przewożeni na os. Zgody, do komendy MO.

A. Dudek, T. Marszałkowski: *Rozpraszanie przez zomowców i romowców mniejszych grup demonstrantów trwało do 23.40, kiedy to główne siły milicyjne opuściły Nową Hutę. Na terenie dzielnicy pozostały tylko wzmocnione patrole, które uczestniczyły w sporadycznych potyczkach aż do piątej nad ranem 1 września. W czasie zamieszek w Nowej Hucie pojawiła się tam także kompania z 6. Dywizji Powietrzno-Desantowej. Nie odegrała jednak żadnej roli, gdyż po obrzuceniu jej kamieniami i odniesieniu obrażeń przez kilku żołnierzy, wycofano ją z działań.*

Wojciech Słowik: *Byłem bardzo zbudowany, bo po raz pierwszy zobaczyłem, że ludzie potrafili oddać atakującym ich zomowcom, a nie tylko uciekać. Wcześniej te starcia z milicją były bardzo upokarzające dla nas – tylko uciekaliśmy i patrzyliśmy, aby nas nie złapali. A teraz była pierwsza demonstracja, gdzie tłukliśmy płyty chodnikowe albo braliśmy tłuczeń z podkładów tramwajowych i podjęliśmy regularną walkę.*

I jeszcze relacja z sali sądowej, która uzupełnia podane wyżej informacje. „Niepodległość" nr 15 z 7 października 1982: *Sąd Wojewódzki w Krakowie rozpatrywał ostatnio sprawę pracowników HiL – Krystyny Cichy i Stanisława Olchawy, zgarniętych przez SB 31 sierpnia sprzed Centrum Adm. HiL. Jedynymi świadkami oskarżenia byli dwaj SBecy – Ryszard Wykręt (zam. Kraków, ul. Smoleńsk...) oraz Bałda. Wg ich zeznań, K. Cichy*



Esbecki Fiat 125p podpalony przez demonstrantów na ul. Kocmyrzowskiej w Nowej Hucie 31 sierpnia 1982 r. *Doszczętnie spalono fiata Służby Bezpieczeństwa, który utknął wśród porozrzucanych ławek i koszy. Jego załoga uciekła w ostatniej chwili.* Fot. SB


MOF 0636


MILICJA
MOS 1587
MILICJA





Zniszczony sprzęt po walkach w Nowej Hucie 31 sierpnia 1982 r. Do filmowania demonstrantów wykorzystywano też ekipy Telewizji Kraków, stąd wśród uszkodzonych pojazdów znalazła się nysa TVP
Fot. SB

nawoływała do odbicia prowadzącego do suki chłopca, krzycząc: „Trzeba go odbić!", „Bandyci!", „Gestapo!", „S...yny!" itd. Na to zareagował drugi oskarżony – Stanisław Olchawa, który następnie podczas brutalnego zatrzymania go przez Wykręta przyłożyć miał mu pięścią w twarz. Chłopak w tym czasie uciekł. Prokurator żądał dla obojga po 3 lata. Sąd opierając się na zgodnych, logicznych i klarownych zeznaniach oskarżonych, ustalił, że esbecy działając anonimowo i brutalnie, nie mogli nie sprowokować takiego właśnie zachowania pracowników Huty. Oboje oskarżeni, zachowując się z godnością, stwierdzali, że ich zachowanie było obroną niewinnego chłopca przed bandycką napaścią. „Trudno, żebym jako matka nie zareagowała na to" – stwierdziła Krystyna Cichy. Sąd, wskazując na jaskrawą niekonsekwencję w bełkotliwych zeznaniach ubeków i biorąc pod uwagę motywację postępowania oskarżonych, uniewinnił K. Cichy, a w stosunku do St. Olchawy sprawę umorzył.

***

31 sierpnia odbyły się także nabożeństwa w innych krakowskich kościołach, a w Rynku Głównym, po mszy świętej w kościele Mariackim, doszło do starć z ZOMO.

Z „Niepodległości" nr 13 z 6 września 1982: *Kraków. Msze Św. za Solidarność odprawiono w czterech kościołach: Mariackim, Misjonarzy, Jezuitów i przy Rynku Podgórskim – wszędzie przy tłumnym udziale wiernych.*

Z „Hutnika" nr 23 z 2 września 1982: *Wokół wymienionych kościołów widziano mniejsze lub większe siły ZOMO oraz – nowość – cywilów z biało-czerwonymi opaskami na rękawach – członków OKON-ów* [OKON – Obywatelskie Komitety Odrodzenia Narodowego].

Do kościołów dochodziły zorganizowane grupy ludzi mimo łapanek w stylu czysto gestapowskim, takich jak w okolicach ul. Wrocławskiej, gdzie zgarnięto do przygotowanych wcześniej bud kilkadziesiąt osób idących w zwartej grupie. Stosowano inne faszystowskie metody. Zakłady Maszyn Kablowych „Kabel" zostały otoczone kordonem uzbrojonym po zęby zomowców. Pracowników wpuszczano pojedynczo, legitymowano i kierowano do odpowiednich środków lokomocji.

Około godziny 16.30 w Rynku Głównym, w miejscu wmurowania płyty Solidarności zebrał się wokół kwietnego krzyża kilkusetosobowy tłum, który odśpiewał „Boże coś Polskę", hymn państwowy i „Rotę" oraz wznosił okrzyki: „Uwolnić Lecha!". Kwietny krzyż zlikwidował osobiście znany w mieście ubek, dyrektor Muzeum Miejskiego, dr Edward Serwa zamieszkały w Nowej Hucie, os. Górali (...), tel. 442576. W tym czasie rozpoczęło się oczyszczanie Rynku z ludzi przez gęstą tyralierę ZOMO maszerującą przez całą szerokość. W akcji brały udział sikawki. Kiedy ZOMO zaczęło bić, lać wodę i rzucać petardy gazowe, ludzie odpowiadali im kamieniami. Ataki sił tzw. porządkowych sięgały aż do Plant – obrzucono gazami i oblano wodą ludzi czekających na tramwaj pod „Bagatelą".

Aresztowano ludzi najczęściej przypadkowych, lecz młodych. Na ofiary często wybierano ludzi pijanych, których awansowano do roli „przywódców", co miało dać obraz uczestników manifestacji – tzw. rozwydrzonych wyrostków i „urodzonych w niedzielę", niepoczytalnych pijaków.









31 sierpnia 1982 r. w Rynku Głównym w Krakowie. *Kiedy ZOMO zaczęło bić, lać wodę i rzucać petardy gazowe, ludzie odpowiadali im kamieniami. Ataki sił tzw. porządkowych sięgały aż do Plant – obrzucono gazami i oblano wodą ludzi czekających na tramwaj pod „Bagatelą”.* Fot. SB

***

Jan Broniek: *Oto mój zapis z (...) 31 sierpnia 1982.*

Godz.11.00 – w HiL, na walcowni blach karoseryjnych: trwają przygotowania do manifestacji. W „KFAP": złożono kwiaty pod dawną siedzibą „S", a 200 osób udało się do kościoła Misjonarzy.

Godz. 11.30 – w AGH: dużo ulotek „uwolnić Lecha". Podgórze: telefon o podłożonej bombie, w Krzeszowicach: załoga chodzi z przypiętymi znaczkami „S", w HiL, na W-22: flaga z kirem.

Godz. 12.30 – na wszystkich uczelniach trwa kolportaż ulotek.

Godz. 12.35 – płk Trzybiński informuje, że na os. Kalinowym straż pożarna nie zdjęła flagi z kirem, bo drabina za krótka.

Godz. 12.40 – Śródmieście: anonimowy telefon o podłożeniu bomby na Poczcie Głównej, ulotki w Nowej Hucie i Śródmieściu.

Godz.13.15 – dyrektor DOKP Stanisław Pachota poinformował, że na stacji Prokocim pijany żołnierz Krzysztof P. z J.W. [Jednostki Wojskowej] *2229 oddał serię z „kałasznikowa" do kolegów. Na szczęście, nikogo nie trafił, został obezwładniony.*

Godz. 14.00 – z WSK, „Telkom-Telos" i „KFAP" – część załóg udaje się do kościoła Misjonarzy przy ul. Dzierżyńskiego; na UJ pod tablicą ogłoszeń Solidarności złożono kwiaty; w HiL zgromadziło się kilkaset osób.

Godz. 14.15 – przed bramą Kombinatu zgromadzonych jest około 1,5 tys. ludzi.

Godz. 14.30 – ok. 2,5 tys. ludzi gotowych do wymarszu. Na trasie sporo ludzi. Rozdawane są kwiaty z samochodu. Pojawił się samochód z konsulatu USA.

Godz. 14.40 – rusza pochód ok. 2,5 tys. osób, idą chodnikiem i jezdnią. Jest już ok. 5 tys. osób. Wznoszą okrzyki i palce w kształcie litery „V". Pochód przechodzi aleją Rewolucji Październikowej. Rzucono petardę koło Urzędu Dzielnicowego (UD). Liczna grupa przeszła koło KD MO. Wszyscy udają się pod kościół w Bieńczycach.

Godz. 15.50 – około 5 tys. manifestantów pod kościołem. Milicja usiłuje rozproszyć tłum. Zatrzymano 40 osób. 6 milicjantów zostało rannych. W kościele schroniło się ok. 1,5 tys. ludzi.

Godz. 16.15 – ułożono krzyż z kwiatów koło płyty Kościuszki w Rynku Głównym; na Grzegórzkach pojawił się betonowy pomnik KPN (na wzór pomnika Grunwaldzkiego).

Godz. 16.45 – nabożeństwo w Bieńczycach trwa. Celebruje ks. Józef Gorzelany. Kazanie ostre i krytyczne wobec władz. Nagłośnienie na zewnątrz. Grupa młodzieży przygotowuje się do marszu w kierunku ul. Kocmyrzowskiej, zablokowanej przez siły porządkowe. Tłum ludzi na os. Dąbrowskiego i przy ul. Majakowskiego.

Godz. 17.15 – wkroczyła MO. Gaz i woda. Powstają barykady.

Godz. 17.45 – trwa rozpraszanie tłumu i grup młodzieży koło kościoła. Objawy paniki na ulicach. ZOMO wkracza brutalnie. Atakują nawet ludzi, którzy nie biorą czynnego udziału. Ostrzeliwują petardami okna, pacyfikują internaty (Liceum Medyczne – telefon do mnie). Jest 5 osób rannych, osiedle spustoszone, ławki połamane, trawniki stratowane, samochody MO uszkodzone. Tłum agresywny.

Godz. 18.00 – młodzież w Nowej Hucie z powrotem pod kościołem, obrzuca MO kamieniami.

Godz. 19.00 – na ul. Kocmyrzowskiej trwa wiec, są okrzyki, zbudowano barykadę z ławek i wozów tramwajowych. Barykady powstały też na os. Teatralnym. KD informuje, że jest jeden wypadek śmiertelny. Starsza kobieta doznała zawału serca. Karetka mimo przeszkód przybyła szybko, lecz było za późno. Pod Urzędem Dzielnicowym transporter

potrącił kobietę, doznała niewielkich obrażeń (...). Starcia milicji z licznymi grupami młodzieży trwały do późnych godzin wieczornych.

***

A oto, jakie odzwierciedlenie w raportach SB znalazły opisane wyżej wydarzenia. „Analiza sytuacji operacyjnej w środowiskach rozpracowywanych przez Wydział III-l KW MO w Krakowie" z 2 stycznia 1983 roku, autorstwa naczelnika tego Wydziału mjr. SB Wiesława Hryniewicza: *Próba organizacji manifestacji ulicznej w dniu 31 sierpnia br. na terenie Nowej Huty przekształciła się w agresywne zajścia uliczne. Zorganizowane grupy, w większości składające się z młodzieży akademickiej, szkół podstawowych i ponadpodstawowych oraz pracowników zakładów pracy Nowej Huty i Krakowa atakowały siły porządkowe, budowały barykady, demolowały urządzenia komunalne oraz budynki użyteczności publicznej (budynek KD PZPR, KD MO, Komisariat MO w Bieńczycach). Do podobnych zajść doszło kolejno w dniach 13 września, 30 września, 13-15 października 1982.*

Postawa i działania sił porządkowych w trakcie wspomnianych zajść stały się przedmiotem napastliwej, oszczerczej kampanii w wydawnictwach i ulotkach wydawanych przez podziemie Solidarności, b. NZS i nielegalne młodzieżowe pisma. Sukcesywnie obserwowano w kolejnych zajściach większy stopień organizacji demonstrantów i przygotowania do walki z siłami porządkowymi. Uczestnicy dysponowali butelkami z benzyną, metalowymi nakrętkami do obrzucania funkcjonariuszy ZOMO, kolcami do przebijania opon pojazdów. Rozpraszany tłum atakujących znajdował najczęściej schronienie w kościele w Bieńczycach, gdzie otrzymywał nie tylko moralne wsparcie.

Szacunki dotyczące strat, podawane w materiałach milicyjnych, mówią o 12 rannych milicjantach oraz kilku żołnierzach. Obrażenia odniosła nieznana liczba demonstrantów. Niektóre z nich były bardzo poważne. Małgorzata Słowik relacjonuje, opierając się na danych ze Szpitala Wojskowego przy ul. Wrocławskiej, do którego odwożono rannych uczestników zajść: *Wiem, że w Hucie została w czasie walk postrzelona granatem w głowę jeszcze jedna osoba (starsza kobieta), która nie jest zaliczana do ofiar stanu wojennego, bo zmarła parę dni po demonstracji. Ta kobieta zanim zmarła, opowiadała, że uratował ją jakiś nieznany chłopak, który ją wyciągnął z rąk zomowców i zaniósł, całą pokrwawioną, do karetki. Opowiadała, że jak ją zabierali do szpitala, to na jej oczach zomowcy katowali tego chłopaka. On już leżał na ziemi, a oni go bili. Kobieta ta miała pękniętą czaszkę i po kilku dniach zmarła. Ile jeszcze było takich zapomnianych ofiar?*

Dane milicyjne wskazują, że zatrzymano 259 osób, z których większość ukarano grzywnami. Kilku zatrzymanych aresztowano i oskarżono o „udział w zbiegowisku publicznym, którego uczestnicy wspólnymi siłami wielokrotnie dopuścili się gwałtownych zamachów na funkcjonariuszy MO, podejmujących działania zmierzające do przywrócenia porządku, poprzez obrzucanie funkcjonariuszy różnymi przedmiotami, butelkami z benzyną, płynami żrącymi, w wyniku czego kilkunastu funkcjonariuszy doznało różnego rodzaju obrażeń, a zniszczeniu uległ sprzęt komunalny, budynek IV komisariatu MO oraz inne mienie, tj. o czyn z art. 275 par. 2 kk". Jednym z dwóch, którzy zostali skazani za ten czyn, był 19-letni Jacek Żaba – członek „Solidarności", zatrudniony wówczas w zajezdni MPK w Nowej Hucie, współpracownik KPN. Wyrokiem Sądu Wojewódzkiego w Krakowie z 29 października 1982 roku skazano go, w trybie doraźnym, na 3 lata więzienia. 28 marca 1983 roku Rada Państwa skorzystała w stosunku do niego z prawa łaski i zawiesiła mu warunkowo resztę kary.

***

31 sierpnia doszło do demonstracji ulicznych także w innych miastach Polski. Ich skala była duża. A. Dudek, T. Marszałkowski: *Skala demonstracji ulicznych 31 sierpnia 1982 nie miała precedensu w całej historii PRL. Nigdy – ani wcześniej, ani później – w tylu miastach, jednego dnia, nie wyszło na ulice, by protestować przeciwko stanowi wojennemu tak wielu Polaków. Według danych oficjalnych, które być może ulegną w przyszłości weryfikacji, do manifestacji doszło w 66 miejscowościach na terenie 34 województw.*

Padli też kolejni zabici. W Lubinie z rąk ZOMO zginęły 3 osoby, a kilkadziesiąt zostało rannych. 2 osoby zginęły we Wrocławiu. Skala represji była poważna. Zabłocki: *Ponad 3 tysiące osób zostało ukaranych przez kolegia d/s wykroczeń aresztem lub grzywną. W trybie przyspieszonym wniesiono do sądów sprawy przeciwko stukilkudziesięciu osobom, wszczęto postępowanie w trybie doraźnym przeciwko 354 osobom, 189 internowano. Łącznie więc represjonowano w związku z wydarzeniami jednego tylko dnia, jak poinformował Kiszczak, 5 131 osób.*

A. Dudek i T. Marszałkowski podsumowują wydarzenia 31 sierpnia w Polce w sposób następujący: *Demonstracje 31 sierpnia 1982 stanowiły porażkę zarówno dla WRON, jak i dla bardziej radykalnie nastawionych kręgów opozycji. Władze przekonały się, że ponad osiem miesięcy stosowania polityki „normalizacji" nie wyeliminowało „Solidarności" ze sceny politycznej, nie doprowadziło nawet do ograniczenia zasięgu jej działania do kilku największych miast Polski. W wielu przypadkach tylko różnice w czasie odbywania się demonstracji i względnie sprawny transport umożliwiły milicji interwencję (np. ta sama grupa funkcjonariuszy tłumiła najpierw manifestacje w Dzierżoniowie, a następnie w Bielawie). Władza PZPR pozostała wprawdzie nie zagrożona, ale buńczuczne zapowiedzi Kiszczaka o udzieleniu lekcji prowokatorom okazały się fikcją, chyba że miał on na myśli polowanie na ludzi w rodzaju takiego, do jakiego doszło w Lubinie. 2 września, na posiedzeniu Sztabu MSW, szef SB gen. Władysław Ciastoń stwierdził wprawdzie, że „manifestacje w dniu 31.08 nie przyniosły sukcesów Solidarności", ale równocześnie zmuszony był przyznać, że „jeśli idzie o rozmiary zajść, to były jednak one większe od przyjmowanego wariantu optymistycznego".*

Nie jest do końca jasne, na co liczyli członkowie TKK, apelując o manifestacje w dniu 31 sierpnia. Bogdan Lis wspomina, że 2 września (wg J. Holzera i K. Leskiego było to 5 września): „...stanęła na TKK sprawa strajku generalnego. W głosowaniu wniosek przepadł stosunkiem 3:2. (...) W tych regionach, gdzie demonstracje wyszły, atmosfera była gorąca, ale przecież zginęli ludzie. Należało przyjąć, że na wypadek strajku władza zareaguje z tą samą histeryczną brutalnością: nie będzie myśleć politycznie, tylko ze strachu od razu zacznie strzelać".

Zwycięstwo w TKK linii umiarkowanej (B. Lis, Z. Bujak, E. Szumiejko) nad radykalną (W. Frasyniuk i W. Hardek) okazało się dla „Solidarności" korzystniejsze, bowiem nastroje społeczne dalekie były od poparcia strajku generalnego i ewentualny apel o jego rozpoczęcie prawdopodobnie skończyłby się porażką. Dlatego też wydarzenia 31 sierpnia traktowane jako uwertura do zasadniczego uderzenia opozycji w system komunistyczny, okazały się niepowodzeniem. Jeśli jednak przyjąć za Bogdanem Borusewiczem, że zadaniem manifestacji nie było obalenie władzy, ale „udowodnienie, że naród nie pogodził się z dyktaturą, więc protestuje", to manifestacje 31 sierpnia były największym sukcesem podziemnej „Solidarności", aż do czasu wyborów 4 czerwca 1989 .

Wydarzenia 31 sierpnia 1982 roku w Nowej Hucie przyniosły pozytywną odpowiedź na pytanie, które stawiała sobie radykalna młodzież – czy środki przygotowane do podję-

cia samoobrony są skuteczne? Ich skuteczność okazała się nadzwyczajna, co zapowiadało bardzo gorącą jesień w Krakowie.

Demonstracje 31 sierpnia zarówno w Krakowie, jak i w całej Polsce potwierdziły także, że główny ciężar oporu społecznego brały na siebie nie masy związkowe, ale młodzież.

Paczkowski: *Z doświadczeń kolejnych miesięcznic – z najbardziej udaną, majową, włącznie – można wnosić, że ruch społecznego oporu lepiej czuje się na ulicach niż w fabrykach. Pewniej i śmielej zachowuje się tam, gdzie gromadzi się kilka tysięcy, czy nawet kilkuset ludzi jednakowo lub podobnie myślących i czujących, niż w zakładach pracy, gdzie ci, którzy pozostali wierni „Solidarności", znajdowali się pod czujnym okiem nadzoru, ormowców czy partyjnych aktywistów (...). Uderzało to, że tylko w nielicznych wypadkach (jak w Nowej Hucie czy w Stoczni Gdańskiej) robotnicy wychodząc z zakładów, organizowali manifestacje lub dołączali do już trwających (...). Wśród demonstrujących uderzała obecność dużych grup młodzieży.*

Władze krakowskiej KPN w 2. połowie 1982 roku

Latem 1982 roku nastąpiła reorganizacja (TT)KAB-u, która została także wymuszona przez wpadki (w kwietniu 1982 roku aresztowano Witolda Tukałłę, a w czerwcu – Marka Bika i Witolda Tosia). W lipcu 1982 r. doszło do powołania nowego (a raczej przywrócenia starego) KAB-u Obszaru w składzie sprzed 13 grudnia, tj.: Palczewski, Kahl-Stachniewicz, Gąsiorowski i Łenyk (zob. tom I). Marian Gut został natomiast szefem Okręgu Krakowskiego, podlegającego szefowi Obszaru II. Większość członków (TT) KAB Obszaru II weszła w skład nowego KAB Okręgu Krakowskiego (Pyzik, Oberc, Stolarczyk, Bocian).

Łenyk: *Po wyjściu Palczewskiego z więzienia – nie pamiętam, kiedy dokładnie to miało miejsce – nastąpił krótki okres dwuwładzy, w którym zarówno Gut, jak i Palczewski byli szefami Obszaru. Zakończył się on uzgodnieniem, że TTKAB przestanie istnieć jako kierownictwo Obszaru, a zostanie kierownictwem okręgu krakowskiego podlegającego kierownictwu Obszaru z Palczewskim na czele.*

W KAB Obszaru II oprócz Staszka Palczewskiego była cały czas Roma Kahl-Stachniewicz, która zdecydowanie ograniczyła swoją aktywność, oraz Krzysztof Gąsiorowski, który nie był akceptowany przez środowisko i nie mógł w Krakowie odnaleźć struktur, które by go akceptowały. Byli także Krzysztof Bzdyl [który jednak w tym czasie przebywał w więzieniu] *i ja. Sytuacja tego jawnego kierownictwa sprzed wybuchu stanu wojennego była niekomfortowa i dążyłem do jej zmiany.*

Po reorganizacji władz krakowskiej KPN latem 1982 roku KAB-owi okręgu krakowskiego podlegały następujące sekcje (część z nich istniała jedynie w formie szczątkowej):

— Sekcja Informacji i Propagandy – jej szefem był Krzysztof Stolarczyk ps. „Damian" (który przejął tę funkcję po aresztowaniu Witolda Tosia),
— Sekcja Kolportażu – jej szefem był Ryszard Pyzik ps. „Igła", „Swarożyc",
— Sekcja Poligrafii – jej szefem był Ryszard Bocian ps. „Lech",
— Sekcja Finansów – jej szefem był Wojciech Oberc ps. „Abdul",
— Sekcja do Zadań Specjalnych (Pyzik: *Sekcja do Zadań Specjalnych (ZASP) miała być rozwinięciem działań w kierunku siłowym, o ile sytuacja w kraju będzie radykalna. Jej działania polegały na zbieraniu informacji o możliwości zdobycia broni i materiałów wybuchowych. Szukałem dojścia do kopalń węgla na Śląsku, gdzie mam kuzynów. Jeśli idzie o ludzi , którzy mieli wejść do tej sekcji, to idealną szkołą dla nich był kolportaż . Tam wychodziło, kto panikuje, a kto nie. Jak idzie o szkolenie, to trenowaliśmy strzelanie z broni pneumatycznej*),
— Sekcja Wywiadu – jej szefem też był Ryszard Pyzik (Pyzik: *Sekcja wywiadu miała zbierać informacje z różnych źródeł. Na początku stanu wojennego miałem dojście do Jednostek Nadwiślańskich w Warszawie. Służył tam mój brat, a jednostka ochraniała wszystkie obiekty rządowe w kraju, łącznie z ośrodkiem szkolenia wywiadu w Łańsku*),
— Sekcja Kontrwywiadu (Pyzik: *Sekcją kontrwywiadu miałem się zajmować ja. Tak naprawdę to jedyną akcją było rozpracowanie grypsów od Witka z Montelupich*),
— Sekcja Łączności z Zagranicą, o której działalności nic nie wiadomo – prawdopodobnie nie udało się nadać jej realnych kształtów z uwagi na internowania działaczy KPN w sierpniu i wrześniu 1982 r.

Przekształcenie TTKAB-u w KAB okręgu nie służyło dobrze sprawności działania tego bardzo aktywnego do tej pory ciała. Jego działalność była blokowana przez KAB Obszaru, na co zwraca dziś uwagę Oberc: *Współpraca z nowym kierownictwem zaczęła układać się coraz gorzej. Z udostępnionych przez IPN akt SB wiem, że wynikało to z działań dezintegracyjnych podejmowanych przez SB. Powstał podział między kierownictwem a pozostałymi działaczami. Napisałem wówczas list do kierownictwa, w którym przedstawiłem poglądy większości z nas, apelując o rozsądek. Mimo że mój list nie przyniósł efektu, kontynuowałem działalność.*

***

Wejście w skład KAB-u Obszaru działaczy pierwszej KPN nie wzmocniło sprawności tego organu. Starzy działacze byli już zmęczeni, przyzwyczajeni do działania w innych realiach. Poza tym byli oni znani bezpiece, nie mogli angażować się w bieżącą działalność konspiracyjną, bo pociągałoby to za sobą dekonspirację całej struktury.

Romana Kahl-Stachniewicz: *Paradoksalnie, po wyjściu z ośrodka internowania czułam się mniej wolna. Stan wojenny był koszmarem. W tak zwanej internie nic już nam nie mogli zrobić, poza pozbawieniem paczki czy wizyty, a na tak zwanej wolności w każdej chwili mogli z nami zrobić, co im się tylko podobało. Poza tym bardzo ważne stało się, kto jest kim, kto współpracuje, a komu można zaufać.*

Po internowaniu, po wykorzystaniu urlopu wychowawczego i bezpłatnego już nie wróciłam do pracy zawodowej.

W czerwcu 1982 byłam przesłuchiwana przez prokuraturę wojskową w sprawie Wiesława Grudniewicza, a później zostałam wezwana na jego rozprawę jako świadek. Po wyjściu z internowania nie chciałam się angażować w działania II Obszaru. Trudno mi było odnaleźć się w konspiracji, zwłaszcza że byłam znana bezpiece, a poza tym miałam

swoje podejrzenia co do niektórych... Byłam potrzebna w domu – zwłaszcza córce, która bardzo ciężko zniosła okres rozłąki. Dziecko potrzebowało matki i musiało się nauczyć, że można mi ufać, że nie zniknę z jej życia któregoś dnia, że może mieć we mnie oparcie. Doszłam też do wniosku, że jeśli chcę zmienić świat, to muszę zacząć wprowadzać zmiany od siebie samej. Chodziłam więc na różne kursy związane z samoleczeniem, medytacją, astrologią, numerologią, poznawaniem siebie i świata swych emocji.

Zygmunt Łenyk: *Uważałem, że zdekonspirowani członkowie KPN sprzed 13 grudnia mogą tylko wspierać konspiracyjne struktury KPN, ale nie powinni prowadzić bieżącej działalności wymagającej stałych kontaktów z osobami zakonspirowanymi. Dlatego nie wchodziłem w tajne struktury zbyt głęboko i nie ingerowałem w ich działalność. Ograniczałem się do rzadkich, bardzo mocno zakonspirowanych spotkań z przywódcami kierownictw, dając im wsparcie.*

Według mojej koncepcji, my – znani bezpiece działacze KPN, powinniśmy się spotykać jawnie, nie ukrywając swoich tożsamości, przekonań i adresów. Po prostu jawna organizacja, której nie można by zarzucić żadnej działalności podpadającej pod ówczesne regulacje prawne. Staszek Palczewski tę koncepcję popierał.

W 1982 roku trudno byłoby aktywnie działać zwalnianym z internatu działaczom KPN, bo byli pod stałą „opieką" SB. Z Łenykiem przeprowadzono w ciągu trzech miesięcy od jego zwolnienia z obozu co najmniej trzy rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze.

Pierwsza z nich miała miejsce już 17 marca 1982 r. (dwa dni po zwolnieniu z obozu). Zachowała się informacja operacyjna z tej rozmowy, która sporządził chor. SB Jerzy Rozłonkowski: *W/w do tut. Komendy przyszedł z żoną i dwojgiem dzieci. W trakcie przeprowadzonej rozmowy został poinformowany, że ze względu na jego sytuację został zwolniony z internowania. Poinformowano go, że jakakolwiek próba z jego strony powrotu do działalności przeciwko PRL, kontaktowania się z byłymi członkami KPN, Solidarności, KOR-u lub zakonspirowanymi ogniwami nielegalnych organizacji, będzie rozpatrywana z pozycji Dekretu o stanie wojennym i na mocy tego dekretu adekwatnie do działalności (ewentualnej) zostanie wymierzona mu kara. Łenyk oznajmił, że w tej chwili nie zamierza podejmować jakiejkolwiek działalności. Zamierza w najbliższym czasie wyjechać na dwa tygodnie na urlop wypoczynkowy (który ma mu załatwić w jego zakładzie pracy kolega) wraz z rodziną w góry. Po czym chce leczyć chorobę oczu w Szpitalu Specjalistycznym w Katowicach, gdzie był skierowany przez władze z ośrodka internowania, lecz ze względu na brak miejsca go nie przyjęto. W/w wyraził się, że liczył się z ewentualnością szykan ze strony SB za jego poprzednią działalność. Cieszy się, że może być razem z rodziną, ponieważ dzieci, które ma, w obecnej chwili bardzo potrzebują ojca. Ma nadzieję, że niedługo Stan Wojenny zostanie zawieszony i że będzie mógł wówczas powrócić do działalności, jak określił, „walki o wolną Polskę".*

Kolejną rozmowę profilaktyczno-ostrzegawczą z Łenykiem ppor. Burzawa odbył w jego mieszkaniu 10 maja 1982: *Poruszyłem jego obecne zachowanie w stosunku do aktualnej sytuacji politycznej, udział w imprezach o charakterze antysocjalistycznym oraz utrzymywanie w dalszym ciągu kontaktów z działaczami byłej KPN. Kategorycznie ostrzegłem go, iż jeśli nie zakończy powyższej działalności oraz dalej będzie uczestniczył w zbiegowiskach ulicznych, to bezwzględnie zostanie ponownie internowany i wróci tam, skąd niedawno wyszedł. W trakcie rozmowy figurant zachowywał się spokojnie i przyrzekł, że wykona całkowicie wyrażane przeze mnie żądania. Oświadczył, że bardzo nie chciałby być ponownie internowany a ponadto, że doskonale rozumie prawa stanu wojennego. Rozmowa z wym. trwała ok.10 minut.* Nie odniosła jednak zamierzonego przez SB skutku, bo

dwa tygodnie później Komenda Stołeczna MO informowała naczelnika Wydziału III w KW MO w Krakowie, że *Łenyk Zygmunt skontaktował się w dniu 25 maja br. z Marią Moskowicz-Moczulską. Rozmowa dot. toczącego się procesu KPN. W najbliższym czasie Z. Łenyk spodziewa się dostać kolejne wezwanie do stawienia się w charakterze świadka. Stwierdził, iż podczas pobytu w Warszawie odwiedzi Marię Moczulską.*

13 czerwca 1982 roku kpt. Kuliś i por. Celban odbyli kolejną rozmowę z Łenykiem u niego w domu, *ostrzegliśmy przed wzięciem udziału w planowanej manifestacji w Bieńczycach w dniu 13 czerwca 1982. Łenyk oświadczył, że w dniu 13 maja nie brał żadnego udziału w nabożeństwie w Kościele Mariackim i podobnie postąpi w dniu dzisiejszym. Z uwagi na wczesną porę naszej wizyty, nie angażowaliśmy się w żadną głębszą rozmowę.*

Podobną presję wywierała SB na innych działaczy pierwszej KPN.

Kahl-Stachniewicz: *Miałam obowiązek meldowania się co tydzień na Mogilskiej, gdzie przeprowadzano ze mną rozmowy ostrzegawcze. W pewnym momencie przestałam się meldować – wykorzystałam wezwanie do Warszawy na proces Leszka Moczulskiego, gdzie byłam przesłuchana jako świadek. Było akurat na ten dzień. Po powrocie do Krakowa już się nie meldowałam.*

Zwolnieni z internowania działacze angażowali się natomiast w jawne akcje protestacyjne przeciwko stanowi wojennemu. Przykładem takiej akcji była głodówka protestacyjna przeciwko stanowi wojennemu w kościele św. Barbary w Częstochowie, która trwała od 25 sierpnia 1982. Współorganizatorką głodówki w Częstochowie była Anna Walentynowicz. W aktach SOR „Konspiratorzy" jest meldunek SB o tej akcji, z którego wynika, że pod „Komunikatem" wydanym przez protestujących podpisało się 13 osób, wśród nich trzy z Krakowa: Bożena Huget, Ryszard Kuś oraz Mieczysław Majdzik. Wszyscy troje zostali zwolnieni z internowania latem 1982 roku i wszyscy byli w tym czasie (Huget, Kuś) lub w przeszłości (Majdzik) członkami KPN. Wśród uczestników głodówki był także Kazimierz Michałowski – działacz „Solidarności" i KPN z Katowic. Jak podaje w internetowej Encyklopedii Solidarności Helena Żwirska, Michałowski *po interwencji SB kontynuował głodówkę z grupą 10 działaczy Solidarności w mieszkaniu Anny Walentynowicz w Gdańsku, zatrzymany, przewieziony do KW MO w Gdańsku, nast. KM MO w Tczewie, po przesłuchaniach zwolniony, hospitalizowany w Warszawie, gdzie 4 IX 1982 zakończył głodówkę.*

***

Latem 1982 roku zwolniony z internowania Krzysztof Gąsiorowski nawiązał bezpośredni kontakt z CKAB.

Oto fragment jego zeznań, złożonych przy ujawnieniu się latem 1983 r.: *Po wyjściu z internowania, pod koniec sierpnia, względnie z początkiem września 1982 nawiązałem kontakt z Żebrowskim w celu zorientowania się w bieżącej działalności KPN. Zorientowałem się, że działalność KPN-u ograniczyła się jedynie do wydawania nielegalnego pisma „Niepodległość", sygnowanego przez TTKAB. Pismo to ukazywało się dwa razy w tygodniu w nakładzie jednego tysiąca egzemplarzy. Wychodziło też drugie pismo KPN pt. „Opinia Krakowska", lecz nie wiem, w jakim nakładzie. Przypuszczam, że z uwagi na jego obszerność, w małym. Obydwa te pisma były drukowane w Krakowie, gdzie, tego nie wiem.*

Wkrótce nastąpiła reorganizacja CKAB.

Bocian: *Na przełomie sierpnia i września 1982 na spotkaniu z udziałem Krzysztofa Gąsiorowskiego, Staszka Palczewskiego, Jerzego Żebrowskiego, Mariana Guta, ks. Mazgaja ps. „Kallimach" (nazwiska tego ostatniego wtedy nie znałem ani nie wiedziałem, że jest*

księdzem) i moim utworzyliśmy z inicjatywy Gąsiorowskiego nową strukturę – Centralne Kierownictwo Akcji Bieżącej (CKAB) KPN. Spotkanie organizacyjne odbyło się w mieszkaniu Jerzego Żebrowskiego. Szefostwo CKAB tworzyli Żebrowski, Palczewski, Bocian, Gąsiorowski i ks. Mazgaj. Aktywnie współpracował z CKAB, chociaż nie wchodził w jego skład, Andrzej Izdebski. Sądziłem, że kierownikiem CKAB zostanie jego organizator Gąsiorowski, on jednakże na szefa przeforsował kandydaturę Żebrowskiego. Wtedy sądziłem, że Gąsiorowski się miga, chcąc w razie wpadki dostać niższy wyrok.

Z cytowanego już zeznania Gąsiorowskiego wynika, że reorganizacja CKAB nastąpiła ok. półtora miesiąca później niż podaje Bocian: *Pod koniec października 1982 na terenie mieszkania Jerzego Żebrowskiego, pseudonim „Korybut", odbyło się zebranie, w którym uczestniczyli oprócz mnie i Żebrowskiego, Ryszard Bocian, pseudonim „Lech", osobnik o pseudonimie „Poraj", Stanisław Palczewski (...). Pamiętam, że na tym zebraniu Ryszard Bocian wystąpił z wnioskiem o marginalizację Centralnego Kierownictwa KPN i odciążenie takich jak ja czy Palczewski od kontaktów ze strukturami konspiracyjnymi z uwagi na to, że byliśmy znani organom ścigania. Wnioski Bociana nie przeszły, natomiast rozdzieliliśmy funkcje. I tak Bocian odpowiedzialny był za „propagandę", osobnik o pseudonimie „Łoza", który w zebraniu nie uczestniczył, miał się zająć „pomocą charytatywną", Żebrowski natomiast został koordynatorem Centralnego Kierownictwa KPN. W tym momencie w skład Centralnego Kierownictwa KPN wchodzili: ja, Palczewski, Bocian, Żebrowski oraz osoby spoza Krakowa, takie jak Teresa Baranowska, Tadeusz Wielgolaski, Andrzej Szomański. Koordynacja, jaką miał pełnić Żebrowski, polegała na pośrednictwie między mną a strukturami konspiracyjnymi KPN-u, czyli struktury podziemne KPN-u podlegały Jerzemu Żebrowskiemu.*

Porównując te dwie relacje, można przyjąć, że osobnik o pseudonimie „Poraj", o którym wspomina Gąsiorowski, to prawdopodobnie „Kallimach", czyli ks. Mazgaj. Być może Gąsiorowski nie ujawnił jego nazwiska ani SB, ani prokuraturze. Warto też zauważyć, że Bocian nic nie wspomina o tym, aby w skład CKAB-u wchodził ktoś spoza Krakowa. Prawdopodobnie kontakt z nimi miał jedynie Gąsiorowski.

Łącznikiem między CKAB-em a KAB-em Obszaru był Bocian (który należał do obu tych ciał, a poza tym był także członkiem KAB-u Okręgu).

Łenyk: *Nie wiem, jaka była rola Ryśka Bociana przy kierownictwie sprawowanym przez Guta czy przy kierownictwie sprawowanym przez Palczewskiego. Sądzę, że jego duża aktywność w tym okresie nieco wymykała się ze zhierarchizowanego systemu kierownictw. Miałem kontakt z CKAB głównie przez Albina Janika z AGH, a potem bezpośrednio z Jerzym Żebrowskim.*

Reorganizacja CKAB-u osłabiła to ciało, bo w jego skład wszedł Gąsiorowski (uwikłany we współpracę z SB) oraz Bocian (zaangażowany w działalność w dwóch innych organach KPN oraz w „Solidarności"). Na dodatek Bocian – jak dziś twierdzi – dość szybko nabrał podejrzeń wobec Gąsiorowskiego.

Bocian: *Po pierwszej prowokacji, którą Gąsiorowski zmontował mi wczesną jesienią 1982 (szczęśliwie dla nas, całkowicie dla SB nieudanej), zerwałem z nim wszelkie kontakty.*

Sytuacja, którą relacjonuje Ryszard Bocian, wiąże się z wyprawą do Warszawy jesienią 1982 roku Mirosława Lewandowskiego. Był on wtedy łącznikiem Bociana. Podobną funkcję pełnił Sławomir Onyszko, ps. „Kudłaty".

Onyszko: *Spotykaliśmy się z Bocianem na kirkucie – opuszczonym cmentarzu żydowskim na Kazimierzu, albo u Ryśka w domu. Był czas, że bywałem u niego trzy razy w tygodniu i byłem traktowany jak członek rodziny. W końcu spotykaliśmy się też w mieszkaniu Michała Żaka przy ul. Wrzesińskiej.*

Rysiek powierzał mi różne zadania. Regularnie jeździłem z jakimiś przesyłkami do Jerzego Żebrowskiego na ul. Francesco Nullo, do Andrzeja Izdebskiego (mieszkał niedaleko). Przez pewien czas jeździłem co tydzień do Warszawy do mieszkania Leszka Moczulskiego przy ul. Jaracza (byliśmy tam także razem z Mirkiem Lewandowskim). W Warszawie miałem punkt kontaktowy na AWF i stamtąd też zabierałem bibułę (np. „Tygodnik Mazowsze"). Raz przyjechałem za późno do Warszawy, zastała mnie godzina milicyjna i musiałem spać w parku koło AWF na drzewie. Z AWF jeździłem do mieszkania Leszka Moczulskiego. Zwykle miałem dla pani Marii jakąś przesyłkę od Ryśka Bociana i zabierałem dla niego jakieś materiały. Kolportowałem też bibułę kapeenowską.

Jesienią 1982 roku do Warszawy, do Karola Małcużyńskiego (syna znanego w czasach PRL dziennikarza – Witolda Małcużyńskiego), miał jechać Onyszko. Chodziło o przekazanie warszawskiemu dziennikarzowi materiałów dotyczących KPN. Wskazanym punktem kontaktowym była „Desa" w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu. Należało tam podać pewnej pani umówione hasło, którym było zdanie: „Interesuje mnie Nikifor Krynicki". Onyszko nie mógł pojechać do stolicy i przekazał to zadanie Lewandowskiemu, bez porozumienia z Bocianem. Ponieważ zrobił to w ostatniej chwili, Lewandowski pojechał do Warszawy dzień później niż to było umówione. Miał też podany adres mieszkania Karola Małcużyńskiego w bloku położonym niedaleko Wisły, do którego miał jechać, gdyby spotkanie w „Desie" nie udało się.

Mirosław Lewandowski: *Przyjechałem do Warszawy, okazało się, że w „Desie" była panika. Podszedłem do pani, która tam pracowała, podając umówione hasło, ta kazała mi odejść, mówiąc, że dzień wcześniej była tam bezpieka. Pojechałem do mieszkania Małcużyńskiego taksówką, żeby zgubić ewentualny ogon. Nie pamiętam, czy Małcużyński odebrał ode mnie przesyłkę, czy też wróciłem z nią do Krakowa, w każdym razie był poważnie wystraszony. Szczegółowo mnie wypytał, dlaczego przyjechałem dzień później niż to było pierwotnie planowane. Zorientowałem się, że poprzedniego dnia SB założyła w „Desie" kocioł. Wróciłem do Krakowa i zdałem relację Ryśkowi Bocianowi.*

Cała ta sytuacja (a także kilka innych wypraw Onyszki i Lewandowskiego do Warszawy, zwłaszcza na Jaracza, do mieszkania Moczulskich) dowodzi jednak, że Bocian utrzymywał kontakty z Warszawą. Polegały one głównie na przekazywaniu do Warszawy prasy konfederackiej z Krakowa oraz odbieraniu informacji dotyczących przebiegu procesu kierownictwa KPN w Warszawie. Zdaje się jednak, że Bocian w Warszawie nie ujawniał, że jest członkiem CKAB, które było ciałem samozwańczym. Natomiast nie udało się Bocianowi w tym czasie nawiązać kontaktów z innymi ośrodkami KPN w Polsce.

Bocian: *U Marii Moczulskiej poznałem kiedyś Adama Słomkę, jednak kontakty z Katowicami jakoś się rwały.*

Wiosną 1982 dostałem od inż. Bolesława Kościelniaka („Aleksandra"), który był inspektorem nadzoru w Elbudzie i pracował przy budowie sieci wysokiego napięcia, namiary na działacza KPN z Jarosławia o nazwisku Popowski, ps. „Orkan". Przez „Aleksandra" przekazywałem „Orkanowi" bibułę z Krakowa. Potem pojechałem do niego i spotkałem się z nim na działkach. Wysyłałem tam Mirka Lewandowskiego. Latem dostałem kartkę od „Orkana", że właśnie emigruje.

Jak podaje Marcin Bukała, Jerzy Popowski – sekretarz MKZ „Solidarności" w Jarosławiu – został 19 grudnia 1981 roku pozyskany przez SB do współpracy jako TW „Ogórek". Bukała: *Przekazywane przez niego informacje nie miały wartości operacyjnej, jego współpraca z SB miała charakter formalny i została przerwana przez Popowskiego w marcu 1982.*

Inną formą działalności CKAB-u, która także wiąże się z Bocianem, było pismo sygnowane nazwą CKAB – Warszawa.

Z „Niepodległości" nr 13 z 6 września 1982: *Ukazał się pierwszy numer centralnego organu KPN – pisma „Robotnik Polski w Walce". Zawiera m.in. list L. Moczulskiego do Prymasa Polski i Projekt Statusu Więźnia Politycznego opracowany przez więźniów politycznych z ZK w Raciborzu. Życzymy kolegom z centrali bezawaryjnego wydania 35 numerów pisma – na początek!*

Bocian: *Zredagowałem to sam. W winiecie, jako miejsce wydania, podawałem Warszawę. Drukował, podobnie jak większość naszych rzeczy, Edward Postawa. Pismo okazało się efemerydą. Wyszły dwa numery i zostałem internowany. Pisało oprócz mnie kilka osób – zapamiętałem redaktorkę dziennika „Słowo Powszechne" Ewę Gomółkówną, późniejszą żonę Mieczysława Gila.*

Inicjatywa Bociana wprowadziła w błąd nie tylko bezpiekę w 1982 roku, ale jest myląca także dla współczesnych historyków, np. dla Tadeusza Ruzikowskiego, który uznaje pismo „Robotnik Polski w Walce" za centralny organ KPN wydawany prawdopodobnie w Warszawie.

Bocian wydał także w 1982 roku obszerną broszurę „Mowy do Narodu Polskiego. Nowa Targowica", podpisaną pseudonimem „Józef Marucha-Poleski". Tekst broszury był napisany mętnym językiem, a jego przesłanie było co najmniej wątpliwe.

Działania w CKAB podejmował także Krzysztof Gąsiorowski, co znalazło następujące odzwierciedlenie w analizie SOR „Gniazdo": *Uzyskano informację, że w dniach 5-27*



„Robotnik Polski w Walce" - pismo CKAB KPN wydawane w Krakowie. Bocian: *Zredagowałem to sam. W winiecie, jako miejsce wydania podawałem Warszawę. Drukował, podobnie jak większość naszych rzeczy, Edward Postawa. Pismo okazało się efemerydą. Wyszły dwa numery i zostałem internowany.*

Fot. SB

sierpnia 1982, przebywali w Bieszczadach w wynajętych przez Kurię kwaterach członkowie KPN: K. Gąsiorowski, T[eresa] *Baranowska, T*[eresa] *Frycz ze Śląska, T*[adeusz] *Wielgoławski, Z. Paterek z Bielska-Białej oraz 2 n/n mężczyzn. Osoby te codziennie spotykały się ze sobą i w wyniku prowadzonych dyskusji ustalili, że należy dokonać zbilansowania sytuacji politycznej i nakreślić program KPN aktualny na ten okres, uwzględniający bieżące realia polityczne. Sporządzili dwa dokumenty: 1) wnioski-konstatacje-program; 2) deklarację programową KPN. Dokumenty te zostały sporządzone odręcznie przez K. Gąsiorowskiego, którego pozostałe osoby upoważniły do ewentualnych korekt i konsultacji z innymi członkami KPN. Rozważono ponadto przesłanie tych dokumentów do Sejmu i Rady Państwa ustalając, że gdyby spotkały się ze zrozumieniem, wówczas ustalono by grupę mediacyjną z ramienia KPN.*

Jeden z dokumentów przygotowanych w Bieszczadach obszernie omówił Gąsiorowski w zeznaniach przed prokuraturą, w związku z ujawnieniem się latem 1983: *Na tym zebraniu* [chodzi o krakowskie zebranie z końca października, na którym zreorganizowano CKAB] *przedłożyłem tzw. Platformę programową KPN" z września 1982, opracowaną w sierpniu w Bieszczadach. Egzemplarz tego opracowania przedłożyłem w Prokuraturze w trakcie ostatnich moich wyjaśnień (...). W opracowaniu jej uczestniczyli: ja, Teresa Baranowska, Tadeusz Wielgolaski i Zygmunt Paterek. Korzystałem, przy tym z opinii Tadeusza Frycza i Bernarda Ziomko. W tym też czasie, Teresa Baranowska przejęła funkcję szefa Obszaru Śląsko-Dąbrowskiego i pełniła ją do momentu wyjścia z internowania Henryka Strzódki, tj. do początku grudnia 1982. Materiały, na podstawie których ta „Platforma" była opracowana, znajdują się na stronach od 6 do 19 dokumentów, które dołączyłem w trakcie poprzedniego przesłuchania (...). „Platforma programowa KPN-u" została przesłana do Prezydium Sejmu i do Episkopatu Polskiego z propozycjami zniesienia stanu wojennego, ogłoszenia amnestii, przywrócenia NSZZ Solidarność w kształcie autentycznego ruchu związkowego, a nie politycznego i inne. Były tam też stwierdzenia, że KPN w pełni akceptuje polską rację stanu, za jednym wyjątkiem – nieakceptowania zapisu konstytucyjnego, dotyczącego kierowniczej roli PZPR. Zaakcentowano w tej platformie, że KPN prowadzić będzie całą swoją działalność środkami politycznymi, w ramach istniejącego porządku prawnego.*

***

Tymczasem w połowie 1982 roku Maria Moczulska, Tadeusz Jandziszak i Krzysztof Król próbowali odbudować na szczeblu centralnym kontakty między strukturami KPN w całym kraju.

Gdy w maju 1982 roku przywrócono swobodę poruszania się po Polsce (której nie było w pierwszych miesiącach stanu wojennego), warszawskie mieszkanie Moczulskich przy ul. Jaracza stało się w sposób naturalny punktem kontaktowym. Pojawiali się tam konfederaci z całej Polski. Z Krakowa bezpośredni kontakt z Marią Moczulską utrzymywał Ryszard Bocian, który jeździł do Warszawy, a także wysyłał tam łączników. U Moczulskiej pojawiali się także konfederaci z innych ośrodków, m.in. z Łodzi, o czym wspomina Zbigniew Rybarkiewicz. Ten ostatni w następujący sposób charakteryzuje rolę Marii Moczulskiej w tym czasie: *Maria Moczulska nie była członkiem KPN, ale była jedynym ogniwem łączącym Moczulskiego przebywającego wraz z pozostałymi członkami Rady Politycznej KPN w areszcie tymczasowym w Warszawie z działającymi w podziemiu strukturami KPN. Do Majki i poprzez nią do Leszka docierały informacje o wydarzeniach w kraju. To Majka, w imieniu Leszka, podejmowała często ważne decyzje personalne i orga-*

nizacyjne, wywierała naciski i sterowała KPN we właściwym kierunku. Nie będąc w KPN, była KPN – alfą i omegą. Ten, kto wówczas nie doceniał pozycji i roli Marii Moczulskiej w KPN, był głupcem.

Rybarkiewicz nie jest precyzyjny, gdy podaje, że żona przebywającego w więzieniu przewodniczącego KPN była jedynym ogniwem łączącym go ze strukturami KPN w kraju. Drugim takim ogniwem był Tadeusz Jandziszak.

K. Król: *Pablo był na wolności, ale równocześnie był oskarżonym w procesie KPN, więc miał bezpośredni kontakt na sali rozpraw z Leszkiem, Romkiem i Tadkiem Stańskim. W tym gronie zapadła decyzja, że trzeba łączyć struktury KPN, tj. odbudować zerwane kontakty między strukturami.*

Emisariuszem Tadeusza Jandziszaka został Krzysztof Król: *Nawiązałem kontakt z Tadeuszem Jandziszakiem. Gdy Pablo znalazł się na wolności w 1982 roku, przyjechał do Majki i tam się spotkaliśmy. Znał mnie z mojej działalności w młodzieżówce KPN przed 13 grudnia. Wiedział, że działałem w Niezależnej Federacji Młodzieży Szkolnej, że byłem rzecznikiem „Ucznia Polskiego" (mój adres, jako rzecznika pisma, figurował w dwóch ostatnich numerach tego pisma wydanych przed 13 grudnia). Wiedział, że przed wprowadzeniem stanu wojennego wydałem „Raporty katyńskie O'Maleya" i „Rewolucję bez rewolucji". Miał więc do mnie zaufanie, bo byłem już trochę sprawdzony. Chyba nie miał nikogo bardziej zaufanego, do kogo mógłby się zwrócić. Wielu działaczy było internowanych, niektórzy się ukrywali, inni byli utajnieni...*

Wysyłany przez Jandziszaka, często bywałem na Jaracza u Majki i ona wtedy wymyśliła, że mam bywać u nich jako narzeczony ich córki Elżbiety. Bezpieka dała się na to nabrać. Dostałem dzięki temu dwa lata wolności. Dopiero po nagraniu przez SB przebiegu II Kongresu, „docenili" mnie, i już inni oficerowie bezpieki zaczęli się mną zajmować.

Najłatwiej udało nam się odtworzyć kontakty w Warszawie. Nie zostały internowane m.in.: Majka, Iza – żona Szeremietiewa, żona i matka Stańskiego. Na wolności byli także ludzie działający w KPN niejawnie.

Pablo sam odwiedzał różnych ludzi z KPN w całym kraju i mnie wysyłał do różnych miast, podając mi adresy. Jandziszak miał kontakty z ludźmi z Wrocławia. Dotarliśmy do struktur gdańskich, czyli do Niny Milewskiej i do jej kontaktów w Gdańsku, szczególnie na stoczniowców. Mieliśmy kontakt z Poznaniem (tam była Ola Bessert, która występowała jako dziewczyna Maćka Pstrąg-Bieleńskiego), z Katowicami (gdzie bardzo wielu było internowanych, ale mieliśmy kontakt ze Sławkiem Skrzypkiem, który później wciągnął do KPN Adama Słomkę), z Łodzią (Wojtek Szostak, Ola Więckiewicz-Kozłowska, ludzie Rybarkiewicza oraz Andrzej Ostoja-Owsiany, który nie był w KPN, ale był mentorem tego środowiska, a później doradcą Obszaru III).

Sławek Skrzypek z Katowic przyjeżdżał do mnie do Warszawy już w 1982. To było okrutne, bo pociąg przybywał ok. 5 i Sławek był u mnie ok. godziny 6. Był bardzo tolerancyjny. Mówiłem mu: „A teraz połóżmy się i dośpijmy". Dawałem mu poduszkę i kołderkę, kładliśmy się spać jeszcze gdzieś na trzy godziny. Dopiero potem rozmawialiśmy.

Był problem z Krakowem. Jandziszak dał mi adres na Meiselsa do Stefana Dropiowskiego. To był pierwszy adres w Krakowie, który dostałem. Określono go jako „stary kontakt". Był to chyba maj 1982, gdy można już było jeździć po kraju. Pamiętam dosyć obrzydliwe podwórko na Kazimierzu, otoczone zewnętrznymi, drewnianymi tarasami i Dropiowskiego, który powiedział mi, że już nic nie robi w KPN.

Warto zwrócić uwagę, że Dropiowski, ewidencjonowany przez SB od 27 października 1977 r. (aż do swojej śmierci w 1989 r.) jako TW „Dunin", nie skorzystał chyba z okazji,

aby zdobyć nowe informacje o misji Krzysztofa Króla w Krakowie, co potwierdza, że nie był to agent zbyt wartościowy z punktu widzenia SB. Do podobnego wniosku można dojść na podstawie zachowanych materiałów dotyczących współpracy Dropiowskiego z SB w latach 1964-1972, obszernie omówionych w książce Romana Graczyka „Cena przetrwania? SB a Tygodnik Powszechny".

Krzysztof Król: *Kontaktu z Gąsiorowskim wtedy nie szukałem, bo on był internowany. Do Gąsiorowskiego zostałem wysłany przez Jandziszaka pierwszy raz chyba dopiero w październiku 1982, gdy on już wyszedł z internowania. Z pierwszego spotkania pamiętam tylko dwie informacje: KPN działa w Krakowie i ukazuje się pismo „Niepodległość". Moje drugie spotkanie z Gąsiorowskim musiało być wtedy, gdy była zmiana czasu, bo pamiętam, że jak jechałem do Krakowa, to nieogrzewany pociąg zatrzymał się w szczerym polu i czekał, aż czas nas dogoni. Na tym spotkaniu omawialiśmy nieszczęsny numer „Niepodległości", w którym Gąsiorowski zaatakował Majkę w związku z opublikowaną przez media PRL jej rozmową z Pruszyńskim* [Ten numer „Niepodległości" nosił datę 6 września]. *Gąsiorowski powiedział: „Przeproś Majkę, ale ja musiałem to zrobić. Przekaż Majce i Jandziszakowi, że to nie jest nic osobistego".*

Gąsiorowski był facetem niesłychanie osadzonym w historii II RP. Pamiętam, że jak podałem mu kiedyś mój adres warszawski (przy ul. Lumumby 14/26), to powiedział: „Łatwy adres – dwa pułki poznańskie". Sprawdziłem potem, że miał rację [Przed wojną stacjonowały w Poznaniu: 14. Wielkopolski Pułk Artylerii Lekkiej oraz 26. Pułk Ułanów Wielkopolskich].

Gąsiorowski chyba mnie lubił i – jak mi się wydaje – nie wydał mnie bezpiece. W sumie spotkałem się z nim może pięć, sześć razy. Usiłowałem wyciągnąć od niego jak najwięcej jego kontaktów, np. na Śląsku. Niestety, uwiarygodnił tam Joachima Bartosza, który później okazał się agentem SB.

W końcu jedynym krakowskim kontaktem, który był aprobowany przez trójkę, która siedziała w więzieniu, oraz przez Tadka Jandziszaka, był Łenyk. Jego adres dostałem jako trzeci z kolei. Dotarłem do niego w 1982 lub w 1983.

Miałem jeszcze namiary na Romę Kahl-Stachniewicz i Adama Macedońskiego, ale oni nie byli już wtedy uważani za czynnych działaczy KPN, raczej za przyjaciół – „uczciwi, wartościowi, ważni ludzie". Natomiast nie znałem z tamtego okresu w ogóle nazwiska Ryśka Bociana. Nie pojawiało się także nazwisko Bzdyla.

Z zapisu nagrania SB z przebiegu II Kongresu KPN wynika, że w czasie procesu kierownictwo KPN wysyłało z więzienia instrukcje. Pozostający na wolności konfederaci mieli się do nich stosować. Najbardziej obszerna była instrukcja zawarta w maszynopisie z 9 września 1982 roku.

Leszek Moczulski: *Na początku września zapoznawaliśmy się z aktami sprawy w związku z postanowieniem sądu o zakończeniu postępowania dowodowego. W tym czasie Tadeusz Stański, w oparciu o ustne wskazówki, które mu przekazaliśmy, przygotował pisemną instrukcję. Przekazał ją na zewnątrz przez Jurka Woźniaka, który był naszym adwokatem, a równocześnie był też członkiem KPN. Nas czasami rewidowali w sądzie, adwokatów – nigdy.*

W aktach SB jest egzemplarz tej instrukcji z odręczną adnotacją: *Krypt. „Dama" oraz TW Hermes* („Hermes" do pseudonim, jaki nadała SB tajnemu współpracownikowi Ryszardowi Zielińskiemu). Adnotacja może wskazywać, że SB chciała pokazać tę instrukcję Zielińskiemu, prawdopodobnie celem uzyskania jego opinii. Być może SB podejrzewała, że Zieliński współpracuje z KPN w tym czasie?

Oto obszerny fragment tego dokumentu: *Konfederacja Polski Niepodległej przechodzi do całkowitej konspiracji, ściśle zorganizowanej na wypróbowanych wzorach Polski Walczącej w latach 1939-1948, ale uwzględniającej obecnie zmienione realia wewnętrzne i międzynarodowe. W związku z tym ocaleli z pogromu członkowie Rady Politycznej, podjęli decyzję o uchyleniu mocy obowiązującej Tymczasowego Statutu jako podstawowego dokumentu organizacyjnego ze względu na nieprzydatność szeregu jego postanowień w obecnym stanie działalności.*

W związku z powyższym Centralne Kierownictwo Akcji Bieżącej, które występować będzie odtąd pod kryptonimem „Konwent" (w dokumentach wewnętrznych) postanawia co następuje, z mocą bezwzględnie obowiązującą od momentu otrzymania Dyrektywy przez poszczególne komórki organizacyjne i jednostki:

1. (...) Każdy składa przysięgę wg formuły stanowiącej załącznik do Dyrektywy, przyjmując obowiązujący w systemie łączności wewnętrznej – zarówno w pionie, jak i w poziomie – pseudonim. Dopuszczalne są wyłącznie pseudonimy imienne lub nazwiskowe.

2. Osoby nowo przyjęte w szeregi KPN winny rekrutować się spośród ludzi dorosłych, w pełni zdających sobie sprawę z celów i zasad naszej działalności, znających i w pełni aprobujących treść Deklaracji z 1 września 1979. Złożenie przysięgi winny poprzedzić rzeczowe i wyczerpujące rozmowy, a także (poza przypadkami bardzo dobrej osobistej znajomości) dyskretne, ale rzetelne rozpoznanie danej osoby, poprzez jej środowisko rodzinne czy zawodowe (...).

3. Ewidencja członków winna być prowadzona od szczebla najniższego, tj. grup działania przez jedną, wytypowaną osobę w postaci całkowicie zaszyfrowanej, wg dowolnego, ale trudnego do złamania klucza (...).

4. Przechodząc do pełnej konspiracji, pozostajemy nadal partią polityczną. Stwierdzenie to ma charakter fundamentalny, gdyż wyklucza możliwość przekształcenia się Konfederacji w organizację paramilitarną, charakteryzującą się działaniami bojówkarskimi, czy też – używając oficjalnej nomenklatury – terrorystycznej. Byłoby to swoistym prezentem dla reżimowej propagandy i aparatu represji, narażałoby – zwłaszcza młodzież – na zbędne prześladowania i więzienie, marnowało polską krew, serca i umysły tak potrzebne w decydującej fazie walki o niepodległość, a później w pracy dla odrodzonej Rzeczypospolitej. Z przebiegu wydarzeń 1 i 3 maja oraz 13 czerwca, a także doświadczeń całego półrocza stanu wojennego wynika niezbicie, że młodzież polska ożywiona wspaniałą legendą Szarych Szeregów i pokolenia Polski Walczącej, pragnie w znacznym stopniu jakby powtórki z historii. Ale historia się nie powtarza i prawdę tę należy wbijać do zapalonych głów. Z naszych dziejów walki o niepodległość, zwłaszcza z lat II wojny światowej należy czerpać wzory postaw ideowości, odwagi, poświęcenia dla sprawy, dyscypliny wewnętrznej nie zaś kopiować działania w sferze dywersji (...).

Wszystko, co stwierdzone zostało powyżej w punkcie 4, nie kwestionuje w najmniejszym stopniu konieczności kształcenia odpowiednich umiejętności fizycznych i technicznych przez młodszych członków Konfederacji, w celu samoobrony własnej i narodowej, ze szczególnym uwzględnieniem takiego wariantu rozwoju wydarzeń, kiedy nastąpiłoby zagrożenie biologiczne naszego bytu narodowego i tożsamości Polski. Zostało to bez niedomówień stwierdzone przez naszego przywódcę Leszka Moczulskiego w pracy „Rewolucja bez rewolucji", mającej fundamentalne znaczenie dla współczesnej myśli niepodległościowej w Polsce (...).

5. Podstawową komórką jest grupa działania (GD). Składa się ona z 3 do 5 osób. Kierownikiem tej grupy jest jej organizator, wyznaczony przez kierownictwo wyższego szcze-

bla. On też dokonuje zaprzysiężenia pozostałych członków grupy. Łączność i koordynacja w pionie, a także ewentualnie poziomie, tj. z inną GD jest przez niego lub przez stale wyznaczonego przezeń innego członka GD (...).

6. Sprawą o podstawowym znaczeniu jest system łączności wewnętrznej. Każda GD, rejon, okręg muszą opracować go we własnym zakresie. Przestrzegać przy tym należy bezwzględnie następujących zasad: nie wolno w przekazach pisemnych lub telefonicznych używać tzw. otwartego tekstu. Klucz szyfrowy do podstawowych pojęć i określeń sytuacyjnych musi być opracowany wewnętrznie, nauczony bezbłędnie przez wszystkich zainteresowanych nie później, niż w ciągu 23 dni, wypróbowany testowo i odtąd obowiązujący w użyciu. Każda komórka organizacyjna winna w możliwie najkrótszym czasie uruchomić tzw. awaryjną skrzynkę kontaktową. Zaleca się, aby był to w miarę możności lokal zamieszkały przez osobę przebywającą często w domu (np. emeryt), obdarzoną pełnym zaufaniem (chociaż niekoniecznie zaprzysiężoną), poprzez którą w sytuacjach awaryjnych lub alarmowych można przekazać wiadomość na miejscu.

Komentarz Leszka Moczulskiego (e-mail w zbiorach autorów): *Dokument jest autentyczny, ale zawiera dopiski i rozwinięcia nieznanego autorstwa. Nie zmieniają one jednak ogólnej wymowy. Nie jest kompletny. O ile mnie pamięć nie myli, powinien mieć 8 punktów – i na pewno jakiś podpis, zapewne „Krajowe Kierownictwo KPN" – jakim posługiwaliśmy się w latach 1981-83, gdy nie chcieliśmy sygnować bardziej precyzyjnie, np. przewodniczący czy CKAB.*

Od nas z więzienia ten tekst nie wyszedł w formie maszynopisu, w dodatku wielostronicowego. Ktoś go przepisał. Przy przepisywaniu doszło do drobnych przeinaczeń, zabrakło niektórych słów.

Oto okoliczności powstania tekstu. W połowie 1982 udało się doprowadzić do zliberalizowania postawy sądu, do „deprawacji" milicjantów z eskorty itp., dzięki czemu mieliśmy względną swobodę, m.in. poza rozprawami, na nasze żądanie, przewożono nas do gmachu sądu na cały dzień, gdzie formalnie pracowaliśmy na aktach sądowych. W tym czasie mogły nas odwiedzać rodziny, przynoszące obiad, pojawiali się obrońcy. Sąd rozpoczął już przesłuchiwanie świadków, a gdy złożyli zeznania, podczas przerwy w posiedzeniu mogliśmy się z nimi spotykać. Jandziszak był już zwolniony z więzienia ze względu na stan zdrowia, ale przyjeżdżał na rozprawy i niejednokrotnie również uczestniczył w tym „korzystaniu z akt przez oskarżonych". W tym czasie przygotowaliśmy kilka osobnych dokumentów wewnętrznych, m.in. ocenę sytuacji politycznej – międzynarodowej i krajowej, instrukcje polityczne, wytyczne dotyczące kierunków propagandy, także instrukcje organizacyjne. W zasadzie wszystkie omawialiśmy w trójkę lub czwórkę (z Jandziszakiem), ale ostateczny kształt nadawała im jedna osoba. Instrukcje organizacyjną przegotowywał Tadek Stański.

Głównym kanałem na zewnątrz byli adwokaci, ale w praktyce nie tylko. Przypuszczam, że w wypadku tego tekstu Tadek dodatkowo przekazał go Gąsiorowskiemu, który został dowieziony z internowania jako świadek. Obaj – jako typowi działacze pionu organizacyjnego, od początku z sobą współpracowali i wytworzyli już pewne nawyki, żargonowy szyfr porozumiewania się itd. Nie pamiętam, czy Stański mówił mi, że przekazał tę instrukcję Gąsiorowskiemu – tak, że to jest moje przypuszczenie. Przygotowany przez Stańskiego tekst, który dostał mec. Jurek Woźniak i przekazał dalej, był na pewno krótszy, choć miał więcej punktów. Być może ten krótszy tekst Tadek uzupełnił ustnie, albo napisał dla Gąsiorowskiego dłuższą instrukcję. Uprawdopodabnia to fakt, że nie ma w niej części końcowej. Być może Stański napisał tylko tę część, a końcówkę miał dać Gąsiorowskiemu później, ale już nie mógł się z nim spotkać. Sam Gąsiorowski też mógł ją uzupełniać, aby była klarowniejsza. W pierwotnym tekście nie mógł być podany kryptonim CKAB – bo to

było niedopuszczalne, wymagało innej procedury. Ponadto, kryptonimem tym nie mógł być KONWENT – bo oznaczał coś zupełnie innego.

Instrukcję organizacyjną omówiliśmy wspólnie, opierając się w znacznej części na instrukcji przejścia do konspiracji w wypadku zmasowanego uderzenia SB, stanu nadzwyczajnego itd., przygotowanej w ostatniej fazie przygotowań do ujawnienia KPN, czyli w okolicach 1 września 1979. Śladem po tym jest użycie określenia Tymczasowy Statut KPN. W lipcu 1980 I Kongres KPN zastąpił go (przy niewielkich zmianach) przez normalny. Przy tej instrukcji z 1979 nie było stwierdzenia, że zawieszony zostaje statut, a tylko część postanowień statutu. O ile pamiętam, tę pierwszą instrukcję również przygotowywał Stański. W wersji omówionej przez nas w więzieniu na pewno nie było argumentu, że ostrzejszych akcji nie należy podejmować, bo mogą zaszkodzić siedzącym w więzieniu. Taką argumentacją nigdy nie posługiwaliśmy się. Zawsze bardzo stanowczo twierdziłem, że wyrok nie ma żadnego znaczenia, bo trzymali będą nas tak długo, jak mogą – a wypuszczą, gdy będą musieli, pod presją międzynarodową albo krajową. Oczywiście, poszczególni ludzie mogli myśleć inaczej i przejmować się wyrokami.

Z wypowiedzi Króla na II Kongresie KPN wynika, że Gąsiorowski tylko przez pierwszy miesiąc zachowywał się zgodnie z instrukcjami. W listopadzie 1982 roku w rozmowie z Królem Gąsiorowski wyznał, że nie widzi sensu dalszego działania Konfederacji. Spodziewał się, że stan wojenny będzie trwał wiele lat i KPN nie uda się przetrwać w konspiracji. Uważał, że każda próba działalności podziemnej skazana jest na niepowodzenie. Dowodem na to były wpadki KPN w Krakowie: wpadka „Niepodległości" (chodzi zapewne o surowe wyroki wydane 8 października 1982 roku na Bika i Tosia) oraz wpadka „Robotnika Polskiego w walce" (chodzi zapewne o internowanie Bociana i innych działaczy na przełomie lata i jesieni 1982 r.). Dlatego Gąsiorowski uważał, że trzeba zrobić coś nowego. Myślał o rozwiązaniu KPN-u.

K. Król: *Na kolejnym spotkaniu Gąsiorowski zaczął mi opowiadać o koncepcji nawiązującej do koncepcji Rzepeckiego, tzn. aby zachować KPN jako komisję likwidacyjną KPN, tak jak była komisja likwidacyjna WiN. A więc działamy, zachowujemy substancję organizacyjną, tylko przed władzą udajemy, że się likwidujemy. Wydawało mi się to gigantycznym absurdem.*

Znamienne, że w zeznaniach złożonych przez Gąsiorowskiego latem 1983 roku w związku z ujawnieniem, podał on, że inicjatywa rozwiązania KPN wyszła od kogo innego. Gąsiorowski: *We wrześniu 1982 przyjechał do mnie z Warszawy Andrzej Szomański, z propozycją rozwiązania KPN-u. Odpowiedziałem mu, że w tym momencie wydanie przez nas takiej decyzji nie będzie respektowane, natomiast struktura wyrwie się spod naszej kontroli. W związku z tym musimy poczekać na jakiś bardziej dogodny moment, a on sam ma za zadanie, w miarę możliwości, jak najszersze kontrolowanie działalności struktur KPN na terenie Warszawy, by nie wyszły poza działalność statutową.*

Z wykonanego przez SB zapisu obrad II Kongresu KPN wynika, że Król (z pomocą mecenasa Woźniaka) skonsultował pomysł rozwiązania KPN z przebywającymi w Barczewie przywódcami KPN i przyszła odpowiedź – nikt nie ma prawa tego zrobić. Król przekazał tę decyzję Gąsiorowskiemu, a ten się z tym zgodził. Równocześnie – jak wynika z Komunikatu Rady Politycznej z 1 września 1983 roku, opublikowanego w „Przeglądzie" nr 1 (15 listopada 1982) *Rada Polityczna* [przez co należy rozumieć więzionych przywódców KPN: Moczulskiego, Szeremietiewa i Jandziszaka] *zawiesiła Krzysztofa Gąsiorowskiego w prawach członkowskich KPN, urlopując na okres nieograniczony. Decyzja taka została podjęta ze względu na stan jego zdrowia, a zwłaszcza znaczny spadek odporności*

psychicznej. Od tej pory Krzysztof Gąsiorowski nie miał żadnego prawa w jakikolwiek sposób działać w KPN ani w jej imieniu.

***

Jesienią 1982 roku nastąpiła duża aktywizacja struktur KPN w Krakowie. Dotyczyło to głównie poligrafii i kolportażu. Bocian (*Stan wojenny w Małopolsce. Relacje i dokumenty*): *W końcu sierpnia 1982 struktury krakowskiej KPN zdołały znowu okrzepnąć, tak, że mogliśmy aktywnie się włączyć w obchody rocznicy powstania Solidarności. „Niepodległość" przedrukowała odezwy RKW i program obchodów. Wydawaliśmy okolicznościowe ulotki. Później KPN starała się już bardziej akcentować swoją odrębność.*

1 września 1982 roku Centralne Kierownictwo Akcji Bieżącej Konfederacji Polski Niepodległej wydało następującą odezwę („Niepodległość" nr 13 z 6 września 1982): *Rodacy! W trzecią rocznicę zawiązania Konfederacji Polski Niepodległej cały kraj ogarnięty jest żałobą. Pod kulami zomowskich oprawców padli za sprawę polską i robotniczą nasi bracia ze Śląska i Wybrzeża. Wyobcowana ze społeczeństwa, antynarodowa władza po raz kolejny użyła broni przeciwko własnemu narodowi. Zaatakowano pokojowe pochody ludzi pracy wychodzących z bram zakładów. Napadnięto na ludzi uczestniczących w nabożeństwach w intencji Ojczyzny i związków zawodowych. Nie zawahano się strzelać i zabijać młodych Polaków, którzy w rozpaczy sięgnęli po kamienie przeciwko pojazdom pancernym rozbijającym spokojne robotnicze pochody.*

Nie znamy jeszcze liczby wszystkich ofiar 31 sierpnia 1982. Napływające z całego kraju wiadomości budzą rozpacz i gniew. Zabici, setki rannych, tysiące pobitych, tysiące aresztowanych Polaków – oto odpowiedź komunistycznej władzy na robotnicze żądanie przywrócenia praw pracowniczych i ludzkich.

Konfederacja Polski Niepodległej, która za swój cel najwyższy przyjęła przywrócenie Niepodległości Państwa i Wolności Obywatela, zawsze pragnęła realizacji tego celu bez sięgania do gwałtownych działań, bez przelewu krwi polskiej. „Polska rewolucja narodowa dokonać się winna stopniowo, obejmując nowe dziedziny życia, w miarę możliwości unikając eksplozji i dramatycznych spięć i konfrontacji". (L. Moczulski) (…).

W drugiej połowie września 1982 roku KPN aktywnie włączyła się także w ważne w życiu miasta wydarzenie religijne – nawiedzenie katedry wawelskiej przez obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Przy tej okazji przypomniano akt zawierzenia Matce Boskiej Konfederacji i Polski 17 września 1981 roku (zob. tom 1).

Z „Niepodległości" nr 14 z 17 września 1982: *Służbę Ojczyźnie i obronę wiary myśmy na Jasnej Górze ślubowali...*

17 września 1981 pod ogromną nawą Sanktuarium Matki Boskiej na Jasnej Górze w Częstochowie stanęła wielotysięczna rzesza członków KPN, przybyłych w delegacjach z całego kraju. Przed cudownym obrazem Maryi Matki Bożej – Królowej Polski Konfederaci oddali siebie i Ojczyznę w Jej macierzyńską opiekę.

Dziś, gdy tysiące najlepszych synów i córek Ojczyzny zapełnia więzienia a przemoc i niesprawiedliwość w obcej, moskiewskiej służbie szaleje w całym kraju, poddajemy się mężnie tej próbie, z nienaruszoną ufnością powtarzamy słowa Aktu oddania się Konfederacji Matce Bożej:

Matko Boża, Królowo Polski, Konfederacja Polski Niepodległej staje przed Twoim Jasnym Obliczem i składa Ci hołd, oddając się w Twoje święte dłonie.

Matko, powierzamy Ci wszystkie nasze działania, powierzamy Ci Polskę – Rzecz Pospolitą – Ojczyznę naszą. Powierzamy Ci wszystkich Polaków. Prosimy gorąco, weź w opiekę

i ochraniaj tych, którzy walczą o Wolność i Niepodległość Ojczyzny, o sprawiedliwość społeczną. Oświeć tych, którzy błądząc, omijają drogi prawdy wskazane nam przez Syna Twojego Jezusa Chrystusa. Na dowód wierności składamy Ci Matko votum – trwałe świadectwo naszego oddania Tobie. Słowa na nim wyryte: „Królowo Polski – Konfederacja Polski Niepodległej – Zawsze wierna" czynią z nas Twoich rycerzy, Hetmanko nasza.

Powtarzamy za Konfederatami Barskimi: „Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi, bo u Chrystusa my na Ordynansach, słudzy Maryi". Amen.

I nie ugniemy! Nie z obcej nam nienawiści do wrogów Kościoła i Ojczyzny, lecz z miłości do braci naszych, do Ojczyzny i Wiary, my Konfederaci rzucamy dziś na stos naszą wolność i życie, wszystkie nasze siły, ażeby przywrócić niepodległość tej ziemi, której jesteś Królową, Matko nasza. Zachowaj nas Maryjo w swej opiece.

Służbę Ojczyźnie i obronę wiary
myśmy na Jasnej Górze ślubowali
Królowo Polski, my pod Twe sztandary
los swój oddali.

Dziś, gdy przybywasz do swej starej stolicy, przyjdziemy wszyscy przed Twój Obraz Cudowny do naszej Katedry, gdzie z duchami świętych i męczenników, bohaterów i królów, wieszczów i wodzów naszych, błagać Cię będziemy:

Umocnij wiarę Narodu Polskiego w jego siłę i prawo do Niepodległości i Wolności! Wesprzyj nas o Pani Jasnogórska w walce o święte prawa naszego Narodu! A gdy Ty, o Pani, zechcesz nas wspomóc, spełnią się słowa Poety:

Pękną kajdany, przemoc się przełamie
Mocą ofiary i nadzieją męstwa
Runą więzienia i z mroków powstanie
Polska Zwycięska!

Komentarz Ryszarda Bociana: *Zapamiętałem kolejne dwie zwrotki tej potężnej pieśni Konfederacji Polski Niepodległej śpiewanej na melodię pieśni konfederatów barskich.*

Nawiązuje nasza pieśń do ślubowania KPN na Jasnej Górze w 1981. Nigdy nie udało mi się ustalić z całą pewnością, kto jest jej autorem. Wiele wskazuje na autorstwo wielkiego poety Jerzego Narbutta.

Dziś nas ścigają całe armie wraże
Kują w kajdany nas i naszych braci
Lecz my wytrwamy, tak jak honor każe
Konfederaci!

Pękną kajdany, przemoc się przełamie
Mocą ofiary i potęgą męstwa
Runą więzienia i z mroków powstanie
Polska Zwycięska!

Przy okazji tych uroczystości KPN przeprowadziła wielką akcję ulotkową w Krakowie i w Nowej Hucie.

Z „Niepodległości" nr 15 z 7 października 1982: *Kopia Jasnogórskiego Obrazu na Wawelu i w Mogile.*

W dniach 16-22 września 1982 gościliśmy w Krakowie i Nowej Hucie kopie Cudownego Obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej. Takich mas ludzkich nie widział Kraków i Nowa Huta od czasu pamiętnej wizyty Ojca Świętego. Lud Boży naszej archidiecezji pięknie przyjmował swoją Królową. Na trasie z Krakowa do Mogiły nie było chyba drzewka i krzaczka, których nie udekorowano by na Jej cześć. Szczególnie gorąco witał swą Matkę lud Nowej Huty – tak bezwzględnie doświadczony bolszewickim terrorem i tak nieustępliwie walczący o prawa narodu. Obraz cudowny opuścił nasze miasto – Matka Boża pozostała z nami – umocnionymi w wierze i nadziei. Z Chrystusem i Maryją – zwyciężymy!

Po nabożeństwach 16 września na Wawelu i 19 września w Mogile Sekcja Kolportażu rozprowadziła po kilkaset egzemplarzy „Niepodległości" nr 14.

W tej wielkiej akcji kolportażowej brali udział m.in. Bocian i Onyszko.

Sławomir Onyszko: *Z Mirkiem Lewandowskim jesienią 1982 pojechaliśmy do Mogiły w Nowej Hucie (od Ryśka Bociana dostałem chyba z 500 egzemplarzy „Niepodległości"). Bibułę miałem ukrytą pod swetrem. W klasztorze Cystersów była wielka msza w związku z nawiedzeniem Obrazu. Po mszy bibułę położyłem w widocznym miejscu przy ołtarzu, skąd ludzie mogli ją zabrać. Byłem zaskoczony, bo sądziłem, że w Mogile nikogo znajomego nie spotkam, a tymczasem, gdy odwracałem się po położeniu pisma, to obok mnie zobaczyłem kolegę ze studiów (o ile pamiętam, nazywał się Noga). W ten sposób w środowisku studenckim AGH stało się wiadome, że jestem związany z KPN.*

Bocian: *Wówczas u Cystersów także i ja rozdawałem naszą bibułę – zarówno przed mszą, jak i po mszy św. Zapamiętałem, jak zgromił mnie wzrokiem kardynał Macharski, gdy rozdawałem bibułę w pierwszych rzędach mszy polowej.*

17 września 1982 roku – 43. rocznica sowieckiej agresji na Polskę została upamiętniona przez Konfederację Polski Niepodległej, podobnie jak w poprzednich latach (poczynając od 1978 roku). CKAB wydał oświadczenie, a delegacja KPN złożyła kwiaty pod pomnikiem Nieznanego Żołnierza na placu Matejki.

Z „Niepodległości" nr 14 z 17 września 1982: *Oświadczenie Centralnego Kierownictwa Akcji Bieżącej KPN w rocznicę napaści ZSRR na Polskę. Przed 43 laty, 17 września 1939 ZSRR działając w zmowie z hitlerowskimi Niemcami, łamiąc podpisane przez siebie dobrowolnie traktaty, napadły podstępnie na nasz kraj. W rocznicę tego zbrodniczego najazdu przypominamy główne tezy rezolucji Rady Politycznej KPN, ogłoszonej 17 września 1979: (…).*

Akcja złożenia kwiatów na placu Matejki miała dość niecodzienny przebieg. „Niepodległość" nr 15 z 7 października 1982: *43 rocznica napaści Sowietów na Polskę – Konfederacja Polski Niepodległej składa wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza w Krakowie.*

17 września 1982. Plac Matejki. Obstawiony od rana przez SB. Siedzą na ławkach, czytają książki, przechadzają się.

Godzina 15.15 – szczyt powrotów z pracy. Przybywają ubeckie posiłki (Wypełniona nimi nyska zajmuje pozycję w bramie banku).

Godzina 15.20 – z nyski wybiega ubek w rozchełstanej koszuli i zatrzymuje mężczyznę oczekującego na autobus. Wciągają go do nyski.

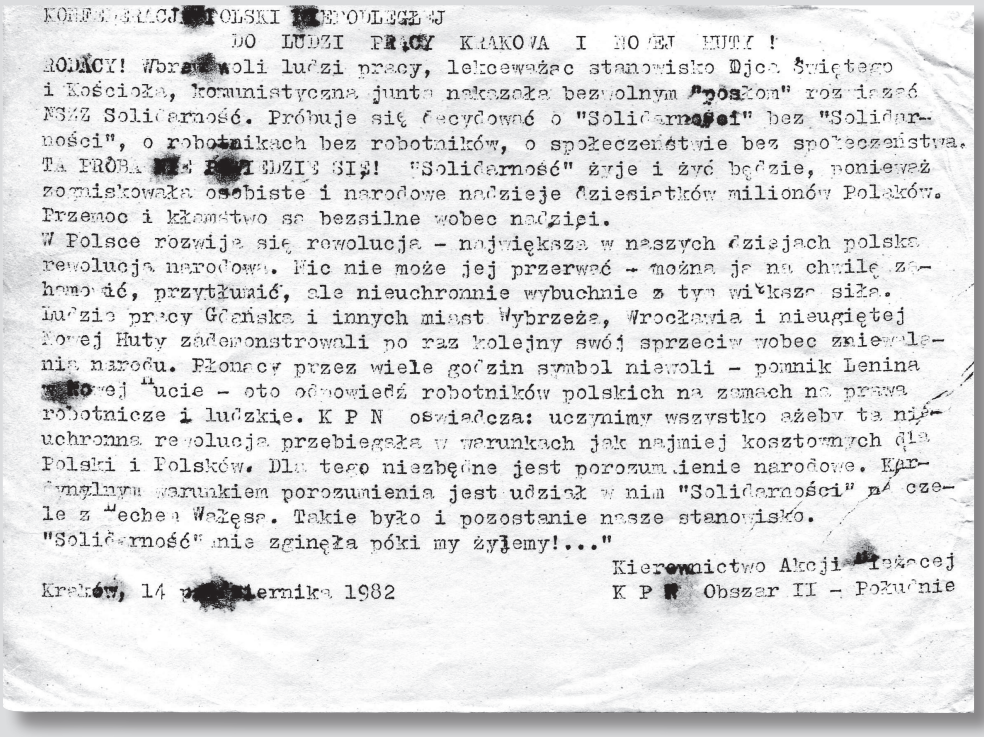
Godzina 15.30 – do Grobu Nieznanego Żołnierza zbliża się kilkudziesięcioosobowa wycieczka, przewodnik objaśnia i nagle wszyscy widzą, że na Grobie złożono wieniec z białych i czerwonych goździków z napisem na szarfach: „W 43 rocznicę napaści Sowietów na Polskę – pomordowanym – Konfederacja Polski Niepodległej – Obszar II". Składający wieniec Konfederaci metodycznie rozprostowują szarfy, pstrykają aparaty fotograficzne. Uczestnicy wycieczki czytają napis, chwilę stoją w zadumie. Wycieczka odchodzi pod Pomnik Grunwaldzki, Konfederaci znikają w bocznych uliczkach.

W tym momencie zauważają wieniec ubecy. Biegiem z dwóch stron ruszają pod Grób. Z wściekłością odrywają szarfy – wieniec pozostawiają.

Akcja pod Grobem odbyła się bez strat własnych.

Kolejną wielką akcję kolportażową przeprowadziła KPN w październiku 1982 roku – nazajutrz po zamordowaniu Bogdana Włosika. Z „Niepodległości" nr 16 z 19 października 1982: *14 października w godzinach porannych sekcja kolportażu rozprowadziła w Krakowie i Nowej Hucie 2000 ulotek „Do ludzi pracy Krakowa i Nowej Huty", podpisanej przez KAB Obszaru II.*

O ulotkach kolportowanych przez KPN 14 października jest wzmianka w wewnętrznej „Ankiecie milicyjnej" z tego dnia: *W rejonie zakładu „Polfa" i Kombinatu HiL rozrzucone zostały ulotki sygnowane przez Kierownictwo Akcji Bieżącej KPN Obszar II Południe, z dnia 14 bm.* Ankieta MO zawierała obszerny fragment tekstu tej ulotki.



DO LUDZI PRACY KRAKOWA I NOWEJ HUTY !

RODACY! Wbrew woli ludzi pracy, lekceważąc stanowisko Ojca Świętego i Kościoła, komunistyczna junta nakazała bezwolnym "posłom" rozwiązać NSZZ Solidarność. Próbuje się decydować o "Solidarności" bez "Solidarności", o robotnikach bez robotników, o społeczeństwie bez społeczeństwa. TA PRÓBA [redacted] DZIŁ SIĘ! "Solidarność" żyje i żyć będzie, ponieważ zgromadziła osobiste i narodowe nadzieje dziesiątków milionów Polaków. Przemoc i kłamstwo są bezsilne wobec nadziei.

W Polsce rozwija się rewolucja – największa w naszych dziejach polska rewolucja narodowa. Nic nie może jej przerwać – można ją na chwilę zahamować, przytłumić, ale nieuchronnie wybuchnie z tym większą siłą. Ludzie pracy Gdańska i innych miast Wybrzeża, Wrocławia i nieugiętej Nowej Huty zademonstrowali po raz kolejny swój sprzeciw wobec zniewolenia narodu. Płonący przez wiele godzin symbol niewoli – pomnik Lenina [redacted]owej Hucie – oto odpowiedź robotników polskich na zamach na prawa robotnicze i ludzkie. K P N oświadcza: uczynimy wszystko ażeby ta nieuchronna rewolucja przebiegała w warunkach jak najmniej kosztownych dla Polski i Polaków. Dla tego niezbędne jest porozumienie narodowe. Kardynalnym warunkiem porozumienia jest udział w nim "Solidarności" na czele z Lechem Wałęsą. Takie było i pozostanie nasze stanowisko.

"Solidarność" nie zginęła póki my żyjemy!..."

Kierownictwo Akcji [redacted]ącej
K P N Obszar II – Południe

Kraków, 14 p[redacted]iernika 1982

Odezwa KAB KPN z 14 października 1982. *14 października w godzinach porannych sekcja kolportażu rozprowadziła w Krakowie i Nowej Hucie 2000 ulotek „Do ludzi pracy Krakowa i Nowej Huty".*

Z archiwum Ryszarda Bociana

***

Analizując działalność kierownictwa podziemnej KPN w 1982 roku należy mieć na względzie specyfikę tamtych czasów. Krakowska KPN w stanie wojennym (a także później – praktycznie do 1989 r.) nie była organizacją o strukturze scentralizowanej. Przypominała raczej sieć funkcjonujących samodzielnie grup. Poza CKAB-em, KAB-em Obszaru i KAB-em Okręgu, były jeszcze działające w dużej mierze samodzielnie grupy, do których należeli Jerzy i Artur Mohlowie, Grzegorz Hajdarowicz czy Wojciech Słowik.

W czasie demonstracji ulicznych współpracowali oni także z ludźmi spoza KPN. Po aresztowaniu Bika i Tosia ludzie ci utrzymywali głównie kontakty „poziome" (między sobą), a także z ukrywającymi się „jastrzębiami" – Żurkiem i Tatarą. Struktury kierownicze KPN w Krakowie praktycznie nie miały wpływu na ich funkcjonowanie. Ten „sarmacki charakter" KPN w Krakowie był jej siłą, ale także źródłem jej słabości.

Bocian (*Stan wojenny w Małopolsce. Relacje i dokumenty*): *Lata 1982-83 to najtrudniejszy okres dla krakowskiej KPN. Od początku działaliśmy w zdecentralizowanym modelu konspiracji. Wynikało to najpierw z faktu, że nie było w Krakowie w początku lat 80. wyraźnego przywódcy. Każdy, kto posiadał jakieś cechy przywódcze, sam organizował sobie siatkę współpracowników, bez informowania „góry" o jej liczebności i składzie. Liczyła się efektywność – ile i co wydrukował, ilu przyprowadził na demonstrację.*

Miało to wady. Agent skompromitowany w jednej grupie mógł zostać przemieszczony przez prowadzącego ubeka do innej grupy. Ale ważne, że w systemie tym, nawet hipotetyczne opanowanie kręgów kierowniczych nie dawało możliwości sparaliżowania całej struktury – a co najważniejsze – nawet największe represje nie umożliwiały jej likwidacji. Zawsze jakieś grupy by przetrwały.

SB zdawało sobie sprawę z tej sytuacji, co paradoksalnie ograniczało rozmiar represji w stosunku do znanych im przywódców II Obszaru. Rozumując racjonalnie, SB wolało mieć na wolności znanych sobie kierowników struktur kapeenowskich, aniżeli oślepić się po wyaresztowaniu nas.



Rozdział 4.
JESIEŃ

Wrzesień 1982 roku na ulicach 497
Proces krakowskiej KPN 503
Październik 1982 roku na ulicach 512
Druga fala internowań działaczy KPN 540
Agentura 556
Zdemaskowanie Gąsiorowskiego 565
Listopad 1982 roku na ulicach 569
W Kielcach, w Łupkowie i w Uhercach 587
Zawieszenie stanu wojennego 592

Wrzesień 1982 na ulicach

2 września odbyło się w Nowej Hucie spotkanie Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej „Solidarności". Jak podaje Friszke („Solidarność Podziemna"): *w TKK zarysował się podział na zwolenników kontynuowania przygotowań do strajku generalnego, postawę taką prezentowali Frasyniuk i Hardek, oraz przeciwników działań radykalnych, którymi byli Bujak, Lis, a także Szumiejko. Dyskusja była dramatyczna, gdyż spodziewano się (i otrzymywano via Kościół sygnały ze strony władz), że szykowana jest delegalizacja Solidarności. Członkowie TKK umówili się na spotkanie w momencie, gdy dotrą wiadomości, że władza podjęła decyzje o delegalizacji (…). Wydano także „Apel" o uczczenie 30 września o godzinie 12 minutą ciszy poległych 31 sierpnia (…). Zalecono powstrzymywanie się od wszelkich akcji nie koordynowanych przez TKK lub związkowe władze regionalne.*

Decyzje te można określić jako zachowawcze.

Paczkowski: *Niektóre organizacje regionalne i zakładowe nie wytrzymały jednak do końca września i w kolejna miesięcznicę doszło do manifestacji ulicznych, z których największe i najbardziej gwałtowne miały miejsce – co stało się już normą – we Wrocławiu i w Nowej Hucie. Demonstracje na mniejszą skalę odbyły się między innymi w Łodzi, Świdnicy i Bielsku-Białej. W Szczecinie do manifestacji dochodziło trzykrotnie (w dniach 11-18 września).*

***

Bitwa stoczona w Nowej Hucie przez demonstrantów z siłami ZOMO 31 sierpnia 1982 roku zapowiadała w Krakowie równie gwałtowne starcia w kolejnych miesiącach. I tak też się stało.

13 września 1982 roku ruszył kolejny marsz hutników spod Kombinatu w kierunku Centrum, przeciwko któremu ponownie użyto sił ZOMO.

Z „Niepodległości" nr 14 z 17 września 1982: *Z ostatniej chwili. Huta odpowiada kłamcy Trzybińskiemu!*

Po 31 sierpnia oberkat Krakowa i Huty płk MO [Adam] *Trzybiński, pojawił się w HiL i łgał w żywe oczy świadkom wydarzeń, że to smarkacze zaatakowali MO, a robotnicy nie przyłączyli się do demonstracji.*

We wtorek 13 września ok. 500 hutników w większości w roboczych ubraniach, ruszyło po pierwszej zmianie od bram Kombinatu. Pokojowy pochód ludzi pracy był entuzjastycznie witany przez mieszkańców. Hutnicy skandowali: „Solidarność!" „My, ludzie pracy!", „Polska to my!", „Uwolnić Lecha!" „Uwolnić Gila!". Śpiewano Rotę.





Czarny marsz 13 września 1982 r. *Ok. 500 hutników, w większości w roboczych ubraniach, ruszyło po pierwszej zmianie od bram Kombinatu. Pokojowy pochód ludzi pracy był entuzjastycznie witany przez mieszkańców. Hutnicy skandowali: „Solidarność!" „My, ludzie pracy!", „Polska to my!", „Uwolnić Lecha!" „Uwolnić Gila!". Śpiewano Rotę.* Fot. SB

ZOMO zaatakowało tym razem po ostrzeżeniach, dopiero w okolicach Placu Centralnego. Baty z 31 sierpnia zrobiły swoje – pałkarze ZOMO nie zapuszczali się w osiedla, wyraźnie się bali, pomimo stalowych, tym razem, tarcz (z wziernikami).

Walki trwały do późnych godzin nocnych. Solidna barykada (na wysokość 1 piętra) na rondzie obok os. XX-lecia obsadzona była przez hutników jeszcze do północy.

Trzybiński (czy jak się tam naprawdę nazywasz) przyjedź znowu do Kombinatu, to ci zaśpiewamy: „Nie lij, dyscu, nie lij...".

Według niepotwierdzonych informacji komisariat MO na Złotej Jesieni został znowu rozbity przez demonstrantów...

Z „Hutnika" nr 25 z 19 września 1982: *Na Placu Centralnym, gdzie miało być zakończenie marszu, część zdyscyplinowanych się rozeszła, a reszta udała się w stronę Arki. Na alei Róż pochód został zaatakowany przez ZOMO gazami i czerwoną wodą. W rejonie teatru wzniesiono barykadę i miała tam miejsce długotrwała bitwa. Późnym wieczorem oprawcy z ZOMO przeprowadzili pacyfikacje dzielnicy, jeżdżąc po osiedlach i gazując wszystkich i wszystko, nie wyłączając prywatnych mieszkań.*

Z szyfrogramu MO wysłanego 13 września 1982 roku z Krakowa do dyrektora Biura Operacyjnego KSMO w Warszawie wynika, że tego dnia użyto do akcji rekordową ilość funkcjonariuszy MO i LWP (prawie 2,5 tys.), którzy byli wyposażeni w 10 armatek wodnych. Zatrzymano 93 osoby.

***

Po tych wydarzeniach władza zdecydowała się na osobliwą demonstrację siły w Krakowie. Na kilka dni przed rocznicą agresji sowieckiej na Polskę w 1939 roku przez Kraków przejechały wojska sowieckie!

„Hutnik" nr 25 z 19 września 1982 : *WRON-ie wciąż mało. 15 września przedefilowała przez Kraków (zapewne na życzenie WRON-y) kolumna sowieckiego wojska w liczbie 35-40 samochodów. Bolszewicy jechali ul. Opolską a w Nowej Hucie al. Rewolucji Kubańskiej w stronę Niepołomic. Juncie nie wystarcza już ZOMO, używa sowietów jako straszaka. Sądzić należy, że defilada ta miała upamiętnić gnębionemu Narodowi Polskiemu rocznice napaści sowieckiej na Polskę 17 września 1939 oraz podkreślić „suwerenność" naszego państwa.*

***

W związku z apelem TKK, aby 30 września uczcić śmiertelne ofiary manifestacji 31 sierpnia, podjęto w Krakowie spektakularną inicjatywę.

„Zomorządność" nr 30 z 8 października 1982: *W nocy z 29 na 30 września 1982 na dziedzińcu kościoła Jezuitów przy ul. Kopernika 26 została wmurowana mosiężna tablica „Pamięci ofiar stanu wojennego". Od wczesnych godzin rannych wokół tablicy gromadzili się ludzie, składali kwiaty, palili świece. Około godziny 11-tej specjalna ekipa SB usunęła tablicę. Na tym miejscu został położony krzyż z kwiatów. Po południu w wypełnionym po brzegi kościele odbyła się Msza Święta żałobna w intencji tragicznie zmarłych ofiar stanu wojennego.*

Krzyże z kwiatów i zniczy, ustawiane często w Krakowie po 13 grudnia 1981 roku, z jednej strony nawiązywały do podobnych akcji organizowanych spontanicznie w Krakowie już wcześniej (np. krzyż ze zniczy na krakowskim Rynku po samobójczej śmierci Walentego Badylaka wiosna 1980 – zob. tom I), ale przede wszystkim była to konsekwencja wydarzeń w Warszawie, które za sprawą prasy podziemnej i rozgłośni zachodnich znane były w całej Polsce. Paczkowski: *Od 15 kwietnia 1982 zaczęła się, mająca trwać*

wiele tygodni, „walka o krzyż", układany z kwiatów i zniczy na ówczesnym placu Zwycięstwa w Warszawie, w miejscu, gdzie w 1979 stał papieski ołtarz, a w 1981 katafalk z trumną prymasa Wyszyńskiego. W nocy krzyż „znikał", od rana był ponownie układany.

Z „Niepodległości" nr 15 z 7 października 1982: *30 września w Krakowie. Apel RKW Małopolska o uczczenie pamięci pomordowanych przed miesiącem robotników Lubina i innych miast jedną minutą milczenia wywołał nastroje przygnębienia wśród załóg pracowniczych Regionu. Nastrojom tym nie poddały się jednak załogi zakładów dzielnicy Grzegórzki w Krakowie. W nocy z 29/30 września Solidarność Grzegórzki wmurowała na placu przed Bazyliką Najświętszego Serca Jezusa przy ul. Kopernika płytę granitową z napisem w metalu „Ofiarom stanu wojennego – 13 XII 1981 – Kraków 30 września 1982". Od wczesnego ranka gromadziły się wokół płyty grupy pracowników pobliskich zakładów, chorzy i personel z klinik AM, przechodnie. Ze zniczy i kwiatów uformowano krzyż. Kilka minut po godzinie 10 nadjechały nyski z zomowcami, pod ich osłoną ubecy wtargnęli na teren kościelny, wyrwali i zrabowali płytę. Ludzie, ignorując kręcących się w okolicach kościoła ubeków, gromadzili się jednak nadal. Krzyż z płonących zniczy i kwiatów rósł z godziny na godzinę. Ubecy próbowali zaczepić gromadzących się pod krzyżem, ale zwymyślani przez składające kwiaty pielęgniarki wynieśli się spod kościoła. Wieczorem krzyż zajmował już niemal cały plac przykościelny.*

O godzinie 15.30 w Bazylice jezuici odprawili koncelebrowaną Mszę Świętą żałobną w intencji wszystkich ofiar stanu wojennego.

Ryszard Bocian: *We wrześniu 1982 w akcji wmurowania tablicy poświęconej „pamięci ofiar grudnia 1981" przed kościołem Jezuitów przy ul. Kopernika odpowiadałem za obsługę fotograficzną. Na czujce stała Maryla Aleksiejew. Całą sprawę zorganizował niezmordowany dr Kutyba. Niestety, tablica przetrwała na swoim miejscu zaledwie kilka godzin, po czym została wyrwana przez SB.*

Trwałą pamiątką po tablicy były jej zdjęcia, w których kolportażu brał udział m.in. Paweł Sabuda: *Tablicę szybko usunięto, ale świadectwem tego wydarzenia były zdjęcia, które kopiując, rozprowadzaliśmy w znacznych ilościach.*

W 1982 i w 1983 roku członkowie „Solidarności" jeszcze dwukrotnie przywracali tablicę, za każdym razem była ona jednak niszczona.

Była to już druga tablica, którą wmurowano w Krakowie w 1982 roku i która została po kilku godzinach usunięta przez SB. Przed 31 sierpnia 1982 roku tablicę poświęconą „Solidarności" wmurowano na płycie Rynku Głównego w Krakowie.

***

Przed 30 września 1982 roku „Hutnik" wezwał, aby nie organizować tego dnia manifestacji ulicznych, a mszę świętą w intencji zamordowanych 31 sierpnia, zamówiono w oddalonym od Kombinatu kościele mistrzejowickim (a nie – jak zwykle – w Bieńczycach). Tymczasem inne pisma podziemne wezwały do tradycyjnego marszu spod Bramy Głównej huty. Jak się zdaje, przyczyną tej sytuacji były partykularne polityki prowadzone przed redakcje poszczególnych czasopism oraz zamieszanie we władzach RKW spowodowane niedawną wpadką Jana Paculi. Być może te nieporozumienia były też echem rozdźwięku w TKK? Nie można również wykluczyć, że za tą dezinformacją stała Służba Bezpieczeństwa.

„Hutnik" nr 25 z 19 września 1982: *30 września – dzień żałoby. Dzień zadumy i pamięci po zamordowanych robotnikach. W dniu tym należy zachować powagę, a swoim ubiorem dać dowód, że jest to dzień żałoby. Zakłady i wydziały dekorujemy flagami naro-*

dowymi przepasanymi kirem oraz czarnymi flagami. W miejscach grudniowych pacyfikacji składamy kwiaty i zapalmy świece. O godzinie 12.00 minutą ciszy czcimy pamięć pomordowanych przez WRON-ę oraz odmawiamy wspólnie „Wieczne odpoczywanie...". Nie należy w tym dniu podejmować żadnych akcji protestacyjnych. Niech ten dzień będzie dniem zadumy.

Msza Święta w intencji ofiar reżimu obędzie się w kościele O. Maksymiliana Kolbe w Nowej Hucie Mistrzejowicach o godzinie 18.00.

„Hutnik" nr 27 z 3 października 1982: *Koordynacja działań. Potęgi słowa pisanego nie sposób przecenić. Niestety w efekcie braku koordynacji działań (czemu, w warunkach konspiracji, nie należy się za bardzo dziwić) wchodzące do Kombinatu bratnie gazetki „Montinowiec" i „Solidarność Zwycięży" pisały zgoła co innego, niż nasze pismo. Jeśli wolno przypomnieć – nawoływaliśmy do zaniechania akcji typu „czarny marsz" w dniu 30 września w myśl zaleceń TKK i RKW.*

Pragniemy zapewnić, że natychmiast nawiązaliśmy kontakt z kolegami, aby w przyszłości w sprawach akcji protestacyjnych nasze pisma mówiły jednym głosem.

Jak można było przypuszczać, msza święta w kościele w Mistrzejowicach nie zgromadziła wielu wiernych. „Hutnik" nr 27 z 3 października 1982: *Planowana przez nas Msza Święta w Mistrzejowicach o godzinie 18.00, odbyła się przy małej frekwencji. ZOMO szczelnie obstawiło okolicę.*

Przy okazji pragniemy przypomnieć wszystkim członkom i sympatykom NSZZ Solidarność, że w tymże kościele co czwartek przy ołtarzu Solidarności odprawiana jest Msza Święta w intencji ofiar reżimu połączona z nauką naszej katolickiej wiary.

Wskutek powstałego zamieszania, „czarny marsz" hutników zakończył się fiaskiem, natomiast tradycyjnie doszło do walk z ZOMO.

Z „Niepodległości" nr 15 z 7 października 1982: *Huta miała wyjść zbiorowo na manifestację z czarnymi chorągiewkami, przemaszerować na os. B-1 i złożyć kwiaty przed wejściem do budującego się kościoła. Tam pochód miał się rozwiązać.*

Na skutek masowej koncentracji ZOMO, ocenianej na najsilniejszą od grudnia, robotnicy przedzierali się na B-1 w niewielkich grupach. Pod kościołem ZOMO rozproszyło manifestantów przy użyciu gazu i wody – znowu różowej. Doszło do starć, budowano barykady z ławek i pojemników wypełnionych płytami chodnikowymi.

Po zmroku walki wybuchły ponownie na os. Niepodległości. Zastosowano potężne reflektory do penetracji terenu, rakiety, gaz.

Manifestanci na Strusia spalili skota, drugi zdołał się ugasić.

Ujęto co najmniej 37 osób.

Z sąsiednich wzgórz Huta przedstawiały widok miasta ogarniętego powstaniem – kanonada, reflektory, rakiety, chmura dymu nad miastem.

Z milicyjnej ankiety, która sporządził ppor. Ryszard Roman (inspektor Wydziału WSK KW MO w Krakowie) oraz z meldunku KW MO wynika, że tego dnia do rozpraszania demonstrantów użyto jedynie ponad 700 funkcjonariuszy. Aby zwiększyć manewrowość sił ZOMO, podzielono je na trzy grupy operacyjne, którymi dowodzili: mjr St. Wypchło, mjr J. Marszałkowski i ppłk Z. Kisiel. Grupy Marszałkowskiego i Kisiela w razie potrzeby mogły być przerzucone do Krakowa, gdzie również spodziewano się zajść. Siły te miały do dyspozycji m.in. 4 armatki wodne. Całością operacji dowodził płk Stefan Łosiak. Operacja trwała 6,5 godziny (od 15.00 do 21.30), co było spowodowane „nadspodziewaną agresywnością demonstrantów i ich uprzednim przygotowaniem się do zaatakowania sił milicyjnych". *Poza kamieniami i kulkami z łożysk tocznych, pododd-*

działy MO zostały zaatakowane butelkami z benzyną i racami fosforowymi oraz butelkami z kwasem. W czasie walk demonstranci wyłączyli oświetlenie w zespołach bloków i oświetlenie uliczne. Grupa Wypchły „w obronie komisariatu używała psów służbowych, organizowała ukryte posterunki obserwacyjne i zasadzki na awanturników". Demonstranci wybili szyby w 19 pojazdach i w transporterze. Zomowcy zużyli ponad 3300 granatów UGŁ, prawie 2200 enerdowskich metalowych granatów gazowych – RWK, prawie 200 rakiet oświetlających, ponad 4500 naboi ćwiczebnych, ponad 800 ładunków miotających gaz w aerozolu i 250 nabojów pistoletowych łzawiących, kaliber 26 (NPŁ-26). Rannych zostało 21 funkcjonariuszy, z czego 6 wymagało leczenia szpitalnego ponad 3 tygodnie. Zatrzymano 41 osób, z czego 30 zostało ukaranych przez kolegia, a wobec 2 wszczęto postępowanie prokuratorskie.

W walkach ulicznych tego dnia w Nowej Hucie nie zabrakło konfederackiej młodzieży.

Grzegorz Hajdarowicz: *30 września 1982 odbyła się jedna z większych demonstracji w Nowej Hucie. Po brutalnej interwencji ZOMO miesiąc wcześniej, przyszliśmy już bardzo dobrze przygotowani. W toku walk zdobyliśmy skrzyżowanie przy Arce, ale wiedzieliśmy, że nie damy rady długo utrzymać tego miejsca i ludzie nam się rozejdą. Spontanicznie postanowiliśmy więc podpalić komisariat milicji, który był w pobliżu* [chodzi o komisariat na os. Złotej Jesieni]. *Było już ciemno (godzina 19 albo 20). Ktoś wrzucił butelki z benzyną do środka (wszystkie szyby były już wybite), ktoś podpalił firanki, ktoś wrzucił do środka dyktę, żeby to się lepiej zajęło. Zjawiły się wtedy takie ilości milicji, że zostaliśmy szybko rozbici. Musieliśmy uciekać. Uciekając, zleciałem wtedy na twarz z jakiś schodków osiedlowych i zerwałem ścięgna w nodze. Był wtedy z nami mój kolega „Jaszczur" i on mnie wyprowadził stamtąd.*

Jerzy Dobrowolski: *Na os. Jagiellońskim była barykada szturmowana przez ZOMO. Ja i jeszcze paru ludzi postanowiliśmy obejść zomowców i zaatakować ich kamieniami od tyłu, by dać wytchnienie tym na barykadzie.*

Nagle z krzaków wyskoczyli na nas zomowcy z psami bez kagańców. Pies poszarpał mnie do krwi, potem zaczęło się bicie. Ponieważ byłem wysoki i wyglądałem jak dorosły, to dostałem jak dorosły. Było to takie klasyczne „składanie". Najpierw cios w żołądek, kuliłem się z bólu. Wtedy dostawałem cios w zęby i się prostowałem. I tak kilka razy.

W końcu sierżant ich powstrzymał. Wtedy zrewidowali mnie. Znaleźli przy mnie kamienie i milicyjną petardę, których nie zdążyłem się pozbyć. Wtedy dostałem drugą porcję bicia – z tym, że najpierw od sierżanta.

Zawieźli nas na Mogilską, potem trafiłem do milicyjnej izby dziecka. Od razu, choć był to środek nocy, zostałem przesłuchany. Ubek pytał o szkołę, kolegów, nauczycieli. Z boku siedziała milicyjna psycholożka i obserwowała moje reakcje. Pytania się powtarzały. Rozumiałem, że to socjalistyczna wersja wykrywacza kłamstw. Na koniec poinformowano mnie, że sprawa trafia do sądu dla nieletnich, a potem (gdy osiągnę wiek poborowy) trafię do karnej jednostki. Był to jeden z powodów, dla których unikałem wojska. Rozumiałem także – po wielu spotkaniach z partyzantami od „Ponurego" czy „Robota" – czym jest wojskowa przysięga. Wiedziałem, że przysięgi na wierność socjalizmowi i sojuszowi ZSRR w żadnym wypadku nie złożę.

Ostatecznie sędzia sądu rodzinnego po rozmowie ostrzegawczej umorzył postępowanie.

W walkach tych uczestniczył także Stanisław Tatara: *Byłem z Wiesławem Mazurkiewiczem, który przyszedł z reklamówką z kamieniami. Na moje pytanie, po co mu one, powiedział: „Zobaczysz, co się będzie działo". W chwili, gdy nastąpił atak zomowców przy*

użyciu polewaczek, Wiesiek z dużą siłą uderzył jedną z milicyjnych nysek. Kamienie rzucało wielu manifestantów. Nasz tłum został dopiero rozpędzony między blokami przez pędzące milicyjne wozy.

Poza Krakowem manifestacje uliczne 30 września 1982 roku odbyły się jeszcze jedynie w dwóch miastach Polski. Dudek, Marszałkowski: *Manifestacje 30 września miały miejsce także w Elblągu i Wrocławiu, gdzie po demonstracji 1,5 tys. ludzi na cmentarzu Grabiszyńskim (pochowano tam zabitego Kazimierza Michalczyka) zatrzymano m.in. 14 zachodnich dziennikarzy. Jednak w skali całego kraju apel TKK spotkał się z niewielkim odzewem. Fala wzburzenia społecznego, tak wyraźna 31 sierpnia, zaczęła gwałtownie opadać.*

W ten sposób, za sprawą radykalnej młodzieży, jesienią 1982 roku Kraków stał się miejscem największych protestów przeciwko porządkowi stanu wojennego.





Sprzątanie Nowej Huty jako kara za udział w demonstracji. Złapani sprzątają miasto pod nadzorem milicji. Jak widać na filmie, nie wkładają w tę pracę dużo serca... Z filmu SB

Proces krakowskiej KPN

Jeszcze na początku sierpnia prok. Gąciarz postanowił rozdzielić sprawy Bika i Tosia oraz Papieża. Dzięki temu fortelowi Papież został 7 sierpnia przesłuchany jako... świadek w sprawie Bika i Tosia i te jego zeznania wykorzystano na rozprawie. Z akt sprawy Bika i Tosia (do których mieli oni wgląd przed rozprawą) usunięto szereg dokumentów, m.in. kolejne protokoły przesłuchań Papieża jako oskarżonego z 21, 22 i 23 czerwca, z 2, 13, 14, 15, 16, 21, 28 oraz 29-30 lipca, a także z 3 sierpnia.

Stanisław Papież sądzony był w trybie zwykłym. 4 października 1982 roku został skazany na 1 rok więzienia w zawieszeniu na 5 lat.

Tymczasem prokurator wojskowy zarzucił Bikowi, że *od 4 listopada 1981 roku do chwili zatrzymania, tj. do dnia 24 czerwca 1982, działając w celu obalenia przemocą ustroju Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej w nielegalnej organizacji występującej pod nazwą Konfederacja Polski Niepodległej, wspólnie i porozumieniu z innymi osobami podjął czynności przygotowawcze dla urzeczywistnienia tego celu, w których między in-*

nymi gromadził, przechowywał, rozpowszechniał oraz metodą sitodruku w mieszkaniu Grzegorza Szatana w Krakowie wykonał w celu rozpowszechnienia kilkaset pism i ulotek o treści zwierającej fałszywe wiadomości mogące wywołać niepokój publiczny lub rozruchy.

Toś miał podobny zarzut – jego działania polegały także na tym, że *dostarczał wrogich materiałów propagandowych wykorzystywanych przez Stanisława Papieża i innych do redagowania nielegalnych ulotek i pism o treści antypaństwowej, zawierających fałszywe wiadomości mogące wywołać niepokój publiczny lub rozruchy i podżegał te osoby do powielania tych pism i ulotek w celu rozpowszechniania.*

Postępowanie w trybie doraźnym powinno się zakończyć w ciągu trzech miesięcy. I rzeczywiście, już we wrześniu 1982 roku akt oskarżenia przeciwko Tosiowi i Bikowi wpłynął do sądu.

Marek Bik: *Gdy siedziałem na Monte w celi nr 259, byłem tylko dwukrotnie przesłuchiwany przez śledczego i jeden raz miałem kontakt z prokuratorem – na zakończenie śledztwa i okazanie materiału dowodowego* [20 września 1982]. *Był to por. Stanisław Wolicki, trzeci już po Gąciarzu i Chwiałkowskim prokurator wojskowy, z którym miałem kontakt* [W aktach sądowych Bika i Tosia wymieniony jest jeszcze prokurator wojskowy mjr Ryszard Myczkowski]. *Wolicki później został szefem wojskowej prokuratury garnizonowej w Krakowie.*

Z zachowanych akt wynika, że ten sam prokurator (por. Stanisław Wolicki) postanowieniem z 13 września 1982 roku zmienił kwalifikację prawną czynu zarzucanego Bikowi i Tosiowi na przestępstwo z art. 128 par. 1 kk, w związku z art. 123 kk, w zbieżności z art. 48 ust. 2 dekretu o stanie wojennym. Oznaczało to, że Bik i Toś zostali oskarżeni o to samo przestępstwo, o które oskarżono przywódców KPN w procesie warszawskim i że groziła im kara do 10 lat więzienia.

Postanowienie z 25 września 1982 roku o zastosowaniu trybu doraźnego wydali: por. Roman Dryk (sprawozdawca), płk Henryk Laska oraz por. Leszek Piętniewicz.

Bik: *W naszej sprawie Staszek występował jako świadek. Wydaje się, że bez jego zeznań nie zostalibyśmy skazani. Witek Tukałło cały czas zaprzeczał wszystkim zarzutom. Podobnie my z Witkiem Tosiem – dopóki nie przedstawiono nam obciążających nas zeznań Papieża. I Papież wyszedł, a my z Witkiem Tosiem zostaliśmy skazani.*

Zachowane materiały SB dowodzą, że Toś i Bik ostatecznie przyznali się do tych zarzutów, które SB im postawiła na podstawie obciążających ich zeznań Papieża (w przypadku Bika – także zeznań Szatana).

Jerzy Mohl: *Byłem na ogłoszeniu wyroku w procesie Marka Bika i Witka Tosia. Nie wszedłem na salę, bo nie miałem przepustki, ale stałem na korytarzu. Wiedziałem, że do ich skazania przyczynił się Papież. Być może go bili w śledztwie albo szantażowali i dlatego sypał, ale na rozprawie mógł odwołać swoje zeznania. Nie zrobił tego. Bez jego zeznań trudno było skazać Marka i Witka.*

Stanisław Papież: *Pod koniec przenieśli mnie z Mogilskiej na Montelupich. Tam siedziałem do rozprawy. Na moją sprawę doprowadzono Marka i Witka. Obaj odmówili składania zeznań. Moim obrońcą był mec. Buczkowski.*

Rozprawa Marka i Witka była później. Odpowiadałem już z wolnej stopy. Nie wiedziałem, że mogłem na rozprawie odwołać swoje zeznania, które ich obciążały. Nie zwrócił mi na to uwagi mój obrońca. To był błąd. Nie miałem wiedzy prawnej.

Na rozprawie Papież odmówił odpowiedzi na większość pytań, które stawiał mu sędzia. Odczytywano mu jego zeznania ze śledztwa. Na pytanie przewodniczące-

go: „Czy tak zeznawał?" – Papież podtrzymał swoje zeznania. Na pytanie: „Czy tak było?" – odmawiał udzielenia odpowiedzi.

Z uzasadnienia wyroku: *Realizując zebrany w sprawie materiał dowodowy, Sąd dał wiarę zeznaniom świadka Stanisława Papieża, uznając, że wyjaśnienia oskarżonych są niepełne i zmierzają do zminimalizowania ich konspiracyjnej roli. Świadek Papież składał kilkakrotnie wyjaśnienia w charakterze podejrzanego oraz (…) zeznania w charakterze świadka. Podawane przez niego okoliczności w pewnym stopniu potwierdzili oskarżeni, chociaż w pierwszych złożonych przez siebie w śledztwie wyjaśnieniach zaprzeczyli nawet, że znają Stanisława Papieża. Zdaniem Sądu największy walor dowodowy mają zeznania Stanisława Papieża złożone w charakterze świadka. Potwierdza on w nich fakty ujawnione we wcześniejszych wyjaśnieniach, nadto dodaje nowe obciążające dane...*

Marek Bik: *Staszek na rozprawie był całkowicie załamany. Jąkał się, zeznając. Był blady i nie patrzył nam w oczy. Zakłopotanie to za słabe słowo. Nie wiem, jak się czuł, bo nigdy nie byłem w takiej sytuacji, w jakiej on się znalazł. Mogę się tylko domyślać.*

Stanisław Papież: *Po wyjściu na wolność spotkałem się z Wojciechem Aleksandrowiczem. Nie mam do niego pretensji za to, że powiedział o mnie SB. On nie był zaangażowany ideowo w działalność podziemną, a jedynie użyczał nam piwnicę, na moją prośbę.*

Po tej wpadce nie działałem już w KPN. Uznałem, że to nie ma sensu, skoro SB ma tak dużą wiedzę o tej organizacji. W drugiej połowie lat 80. współpracowałem z FMW, m.in. z Robertem Kubiczem.

Robert Kubicz potwierdza zaangażowanie Papieża w FMW: *W drugiej połowie lat 80. kolportował pisma i ulotki, pisał jakieś teksty, przygotowywał wydawanie nowego biuletynu, który jednak nie ukazał się. Nikt w Federacji nie wiedział o zachowaniu się Papieża w śledztwie przeciw KPN.*

Marek Bik: *Papież załamał się, wysypał. Poszliśmy siedzieć. Dziś nie mam do Staszka pretensji. Po chrześcijańsku mu wybaczyłem. Miał wtedy 17 lat. Został poddany wielkiej presji i nie wytrzymał... Zdumiewam się tylko, że po 1989 roku wrócił do świata polityki, po tym wszystkim, co zrobił i jeszcze pisał w swoich ulotkach wyborczych o swojej kombatanckiej przeszłości...*

Stanisław Papież był posłem z listy Ligi Polskich Rodzin – Sejmu IV kadencji (2001-2005) oraz V kadencji (w latach 2006-2007, zastępując Marka Kotlinowskiego).

Dziś, po szczegółowej analizie wszystkich danych, wiemy więcej niż wiedział Marek Bik. Wszystko wskazuje na to, że Papież nie sypał – tak, jak się to dotychczas wydawało, a SB miała informacje ze źródeł operacyjnych. Jego główną winą było potwierdzanie wiedzy, jaką miała SB, do protokołu. To dużo lżejszy zarzut.

Stanisław Papież: *Wbrew obietnicom SB, zostałem wyrzucony ze szkoły Pijarów. Maturę zdawałem wieczorowo.*

Marek Bik: *Kuria zapewniła mi obrońcę. Został nim mec. Kazimierz Ostrowski* [Tosia bronił mecenas Stefan Kosiński]. *Mówił, że skoro nie udało się nam ominąć trybu doraźnego (tj. przeciągnąć sprawy ponad 3 miesiące od daty aresztowania) to wyroki będą bezwzględne. – „Dostaniecie po trzy lata".*

Prokurator Wolicki był bardzo gorliwy na sali sądowej i za wszelką cenę chciał się przypodobać sędziemu.

Ja okazywałem prokuratorowi i sądowi pogardę, żułem gumę i kłóciłem się z prokuratorem. Nie chciałem mówić do sądu, tylko przez całą salę zwracałem się bezpośrednio do niego. Byłem zmęczony i chciałem, aby to wszystko już się skończyło. Na sali sądowej powiedziałem, że póki będę żył, to będę walczył z komuną.

Na rozprawy przychodziło dużo ludzi. Była wśród nich żona Witka Tosia w widocznej ciąży.

Ogłoszenie wyroku wyznaczono na 8 października 1982 po południu. Tego samego dnia rano w Warszawie ogłaszano wyrok w sprawie Moczulskiego i innych przywódców KPN. Wyroki w Warszawie były bardzo surowe, a adwokat mówił, że nasz wyrok zależy od wyroku w Warszawie. Dostaliśmy obaj z Witkiem po trzy lata więzienia. Na mniej nie liczyłem. Wyrok przyjąłem z ulgą.

To nie był wyrok za te kilkaset ulotek, które przy nas znaleźli. Wszyscy sądzeni za ulotki dostawali wyroki w zawieszeniu. To był wyrok za KPN. Za to, że domagaliśmy się niepodległości. SB chciała wszystkim pokazać, że dla takich jak my nie będzie taryfy ulgowej. I nie obchodziło ich to, że jednym z oskarżonych był maturzysta, a żona drugiego z oskarżonych była w ciąży. Chcieli udowodnić swoją bezwzględność w stosunku do KPN. Byliśmy ostatnimi w Krakowie skazanymi w trybie doraźnym na więzienie.

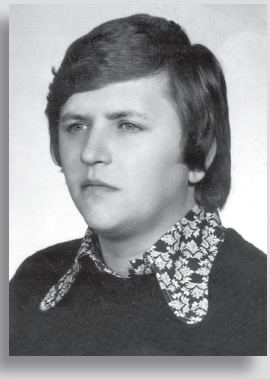
Składowi sędziowskiemu, który orzekał w sprawie Tosia i Bika, przewodniczył por. Roman Dryk. Ponadto do składu sędziowskiego wchodzili ppłk Mieczysław Przyboś oraz por. Janusz Sobczyk. Ten ostatni zgłosił zdanie odrębne do wyroku. W uzasadnieniu wskazywał, że istniały podstawy do odstąpienia od doraźnego trybu postępowania i wymierzenia oskarżonym łagodniejszych kar więzienia. Podkreślał m.in. młody wiek Marka Bika (który był młodocianym w rozumieniu art. 120 par. 4 kk), szczególną sytuację rodzinną Witolda Tosia (żona w 9 miesiącu ciąży) oraz bardzo dobre opinie, którymi się cieszyli.

Marek Bik: *Z perspektywy czasu jestem zadowolony, że tak się skończyło. Tego, że nie muszę się wstydzić swojego zachowania w śledztwie i w czasie procesu. Jedyne, czego żałuję, to że w śledztwie potwierdziłem w końcu część stawianych mi zarzutów. Należało wszystkiemu zaprzeczać. No, ale nikt nie jest doskonały...*

***

Witold Toś
Przyznaję się...

...że będąc członkiem nielegalnej
organizacji występującej pod nazwą
miałem na celu pozbawienie oderwanie
obalenie a może i osłabienie mocy
nie zaprzeczam że podjąłem w porozumieniu
z innymi by urzeczywistnić przyznaję się bo co się
będę nie przyznawał jakby to co mogło
zmienić dajcie mi wyrok wysoki najlepiej
karę śmierci jak tyle przewiduje ten,
no kodeks karny
nie będę musiał już oglądać więcej swojej
bezczelnej gęby wroga ludu i ojczyzny
jak mi nie dacie to jeszcze kiedy co zrobię
znieważę uszkodzę albo wezmę udział
w zbiegowisku żeby się zamachnąć wspólnymi
siłami na organ lub innego funkcjonariusza
PRL i krajów zaprzyjaźnionych co na jedno
wychodzi w internacjonalistycznych pryncypiach
się nie rozumiem tak mi Panie Boże dopomóż
Amen



Por. Leszek Szczepkowicz przyczynił się walnie do skazania Marka Bika i Witolda Tosia – prowadził przesłuchania na Monte, wykorzystując raporty agentury celnej, gromadził materiał dowodowy umożliwiający skazanie. Czy mógł nie wiedzieć o pobiciu Marka Bika w celi przez „Hiszpana"? Agenci celni na Monte byli tak skuteczni, m.in. dlatego, że korzystali osłony funkcjonariuszy SW i SB. Fot. SB

***

Ryszard Pyzik: *Byłem na ogłoszeniu wyroku. W ławie dla widzów siedział też Stolarczyk. Witek i Marek wyrok przyjęli spokojnie. W ustnym uzasadnieniu wyrok, sąd wymienił ich współpracowników. Były to zarówno osoby znane sądowi tylko pod pseudonimami (m.in. sędzia wymienił „Igłę", czyli mój pseudonim), jak i znani sądowi z nazwiska: Krzysztof Stolarczyk i Stanisław Papież. Papieża osądzono wcześniej w osobnym procesie, a Stolarczyk w ogóle nie miał sprawy karnej, nie był ani oskarżonym, ani nawet świadkiem! To wzbudziło jeszcze większe podejrzenia i nieufność wobec niego. Stolarczyk został całkowicie odsunięty od działań konspiracyjnych po procesie Witka. Dopiero gdy Witek wyszedł na wolność, to Stolarczyk wrócił do pracy konspiracyjnej, bo Witek miał do niego zaufanie.*

Z pisemnego uzasadnienia wyroku jednoznacznie wynika udział Stolarczyka w działalności podziemnej KPN: *Teksty do powielanych przez Papieża ulotek dostarczali Marek Bik i Krzysztof Stolarczyk i – rzadko – Witold Toś. Nie ustalono, które konkretnie teksty dostarczali oskarżeni. W końcu kwietnia 1982 obywatel Witold Toś wyłączył się z pracy w Sekcji Informacji i Propagandy. Jego miejsce zajął Krzysztof Stolarczyk, pseudonim „Damian" (...). Wymierzając karę, sąd wziął pod uwagę jako okoliczności obciążające obydwu oskarżonych, działanie w rozległej strukturze (oprócz oskarżonych: (…), „Damian", „Kruszyna", „Dewajtis", „Rita", powiązania z (…) „Swarożycem".*

Na ogłoszeniu wyroku w sprawie Tosia i Bika była też Małgorzata Słowik. Nie była to jedyna sprawa sądowa, w której uczestniczyła w tym czasie jako widz.

Małgorzata Słowik: *Chodziliśmy na rozprawy sądowe w sądzie wojskowym przy ul. Rakowickiej. Na ostatniej rozprawie, gdy ogłaszano wyroki, byliśmy zawsze z biało-czerwonymi kwiatami, żeby okazać solidarność z oskarżonymi z powodów politycznych. Chodziło o to, aby pokazać, że kogoś to jeszcze obchodzi poza rodziną. Wielu ludzi chodziło na te procesy, m.in. Wojtek Pęgiel.*

Marek Bik: *Po ogłoszeniu wyroku konwojenci milicyjni, którzy się przysłuchiwali procesowi i nie bardzo chyba mogli zrozumieć, że można było dostać tak surowe wyroki za druk ulotek (oni jedynie nie lubili „kamieniarzy" – oskarżonych o rzucanie kamieniami w czasie walk ulicznych), umożliwili mi nieformalne widzenie. Dostałem wtedy mnóstwo papierosów, bo każdy na ogłoszenie wyroku zabrał dla mnie i dla Witka papierosy. Miałem ich dwie reklamówki, ze 40-50 paczek. W więzieniu było to bogactwo niesłychane!*

Gdy mnie przywieźli na Monte, było już dość późne popołudnie, zrobiło się zamieszanie, ciekawscy klawisze interesowali się tym, jaki wyrok dostałem, a nie tym, co miałem

w siatce. Przyszedłem na oddział i nawet mnie nie zrewidowali. W celi nikt nie chciał uwierzyć, że dostałem tak wysoki wyrok. Z tej okazji poczęstowałem wszystkich papierosem.

A potem zacząłem rządzić tymi papierosami. Po pierwsze, wybrałem sobie najlepsze łóżko (bo spałem na jaskóle, gdzie było duszno, a poza tym, co rano trzeba było skakać). Najlepsze łóżko to była „szuflada" i to tak położone, że można było na nim położyć się w ciągu dnia, bo strażnik go nie widział przez lipo. Na dźwięk klucza trzeba było błyskawicznie się poderwać i zasłonić ciałem pomięte łóżko, które zdradzało naruszenie regulaminu więziennego. Zamiana łóżka kosztowała mnie chyba 5 papierosów. Jak przyszedł mój dyżur sprzątania celi (pastowanie podłogi, szorowanie stolików), to zapytałem: :Kto to zrobi za pięć papierosów?". Ktoś się zgłosił od razu, ale inny powiedział, że to zrobi za cztery papierosy. A jeszcze ktoś inny powiedział, że za trzy. I licytacja skończyła się na trzech papierosach. Takie były realia więzienne. A potem, jak sam paliłem, to częstowałem też innych. Ale nie wszystkich. Nie częstowałem np. takiego więźnia, który łamał grypserę, tzn. nie przestrzegał zasad obowiązujących w więzieniu. Na przykład korzystał z toalety, gdy ktoś jadł. Raz nawet został za to ciężko pobity. Wyglądał na jakiegoś partyjniaka, który nakradł w magazynie i go wsadzili. Jemu się ciągle wydawało, że mu wszystko wolno. Nawet w kryminale!

Po wyroku moje miejsce w hierarchii więziennej wyraźnie się polepszyło, nie tylko za sprawą papierosów. W więzieniu jest tak, że jak ktoś dostanie surowy wyrok, to znaczy, że został doceniony przez sąd i to go w jakiś sposób nobilituje wśród więźniów. Przyszedł nawet do mnie jakiś strażnik i dał mi gazety, w których były notatki o skazaniu nas. Także w więzieniu atrakcją jest ktoś, kto jest popularny, ktoś, o kim piszą w gazetach albo pokazują go w telewizji. 14 października 1982 (a więc z pewnym opóźnieniem) w Dzienniku Telewizyjnym także podano informację o tym, że skazano mnie i Witolda Tosia. Ponieważ niecodziennie się zdarza, że mówią o nas w Polskim Radiu i w TVP oraz piszą w gazetach, więc z tej okazji rozpieczętowałem paczkę Dunhilli z Peweksu, którą dostałem od Gośki Słowik. Co trzeci współwięzień, którego częstowałem, mówił, że wolałby dwa sporty zamiast tego Dunhilla...

Informacje o skazaniu działaczy KPN zamieściła 14 października 1982 roku krakowska prasa: „Dziennik Polski" („Za druk i rozpowszechnianie „bibuły". Wyrok w krakowskim procesie KPN") oraz „Gazeta Krakowska" („Wyrok na krakowskich członków KPN").

***

Marek Bik był jedynym licealistą w Krakowie, który został w 1982 roku skazany na bezwzględną karę więzienia. W całej Polsce takich wypadków było więcej.

Anna Stawicka (ur. 1964) została 22 kwietnia 1982 roku skazana na 3 lata więzienia za to, że: *po wprowadzeniu na terytorium PRL stanu wojennego, działając wspólnie i w porozumieniu ze swoimi kolegami i koleżankami, podobnie jak i ona biorącymi udział w związku przestępnym mającym cele przestępne czyli organizacji mającej charakter bandy, posługującej się nazwą Ruch Młodej Polski, po wydrukowaniu w mieszkaniu techniką powielania w dniu 30 grudnia 1981 około 1000 ulotek tytułowanych jako „Oświadczenie", podpisanych „Ruch Młodej Polski", w treści których Wojskową Radę Ocalenia Narodowego określano mianem Hunty Zniszczenia Narodowego oraz stwierdza się, że osoby internowane przetrzymywane są w obozach koncentracyjnych, a rządy w kraju sprawuje dyktatura wojskowa, rozpowszechniała te fałszywe wiadomości w dniu 3 stycznia 1982 (...) rozdając między godz. 13.00 a 17.00 około 300 egzemplarzy wytworzonych wymienianych ulotek pasażerom Szybkiej Kolei Miejskiej w kolejce elektrycznej na trasie Gdańsk Główny – Gdańsk Oliwa, co mogło wywołać niepokój publiczny*". W areszcie siedziała od 10 stycznia 1982 roku. Wraz z nią wyroki od 3 do 4,5 roku więzienia otrzymało trzech studentów w wieku 19-21 lat. Sąd Najwyższy wy-

mieniony wyżej drakoński wyrok uchylił i przekazał sprawę do ponownego rozpoznania. W ponownym postępowaniu Stawicka została uniewinniona wyrokiem z 4 lipca 1983 roku.

Dziś Anna Kołakowska (z domu Stawicka) podaje inne przykłady uczniów szkół ponadpodstawowych więzionych w stanie wojennym: *Sąd Marynarki Wojennej w Gdyni wydał wobec młodych ludzi, uczniów gdańskich szkół, bardzo wysokie wyroki. Osiemnastoletni Arek Makar został skazany na cztery lata pozbawienia wolności, z czego blisko rok spędził w więzieniu w Potulicach (...), podobnie jak aresztowany 13 grudnia 1981 r. 17-letni Tomasz Bednarczyk, ciężko pobity w wiezieniu w Iławie (...). W Lublinie za udział w nielegalnej organizacji „Młodzi Piłsudczycy" i kolportowanie ulotek sąd zasądził karę więzienia dwóm młodziutkim dziewczynom: dziewiętnastoletniej Uli Maziarz – 9 miesięcy i osiemnastoletniej Marzenie Pędzisz – 6 miesięcy. Przykłady można by mnożyć – jest ich bardzo wiele, a wyroki skazujące wobec młodych ludzi zapadały w całej Polsce. Trudno dziś znaleźć dokładne dane na ten temat, ale skalę zjawiska można ocenić choćby na podstawie osadzonych w więzieniu w Mielęcinie, gdzie utworzono specjalny oddział dla chłopców z Pomorza Gdańskiego i Kujaw w wieku 17-21 lat. W 1982 r. przebywało ich tam prawie dwudziestu, z wyrokami od jednego do trzech i pół roku.*

Wysoką cenę za działalność Bika i Tosia zapłaciły ich rodziny.

Gdy żona Tosia urodziła dziecko, on siedział w więzieniu. Po wyjściu na wolność nie mógł znaleźć pracy, a musiał utrzymać nie tylko siebie, ale także żonę i dziecko. Ich życie wkrótce zmieniło się w piekło, także dlatego że te ciężkie przeżycia odbiły się na zdrowiu obojga.

Rodzice Bika byli szykanowani w pracy.

Marek Bik: *Kiedy siedziałem, moją mamę przeszeregowano na najniższe stanowisko w Biurze Studiów i Projektów Budownictwa Wiejskiego, gdzie pracowała, a ojca zwolniono z pracy w Przedsiębiorstwie Rewaloryzacji Zabytków.*

Franciszek Bik: *Wiedziałem, że Marek zaangażował się w działalność opozycyjną. Takich jak on były tysiące w skali kraju. Nie usiłowałem go powstrzymać, bo to by nic nie dało. Matka bezskutecznie usiłowała...*

Jak przyszli aresztować Marka, to byłem akurat w piwnicy. Gdy wychodziłem, ubecy mnie zatrzymali i kazali się zaprowadzić do naszej piwnicy. Mieliśmy dwie piwnice. W jednej Marek trzymał swoje rzeczy (archiwum i sprzęt do drukowania), a druga była „czysta". Zaprowadziłem ich do tej drugiej piwnicy i nic tam nie znaleźli. Jak poszedłem na górę, to już trwała rewizja.

W moim zakładzie pracy (pracowałem wtedy w Przedsiębiorstwie Rewaloryzacji Zabytków Krakowa) wpadką mojego syna nikt się nie zainteresował, nawet przewodniczący „Solidarności". Nie wiem czemu. Albo się bali, albo nie chcieli się angażować. Tylko jedna pani z pracy przyszła do mnie i dała mi swoje kartki na papierosy, abym mógł wysłać Markowi paczkę do więzienia. A dyrektor, który był taki trochę „po linii", ciągle miał do mnie pretensje i dawał do zrozumienia, że mnie nie chce u siebie w pracy. W końcu w pierwszych miesiącach 1983 musiałem się zwolnić i założyłem firmę budowlaną.

Dużej pomocy po aresztowaniu Marka udzieliła mi Pelagia Potocka (z linii krzeszowickiej Potockich) – dawna właścicielka pałacu w Rynku Głównym w Krakowie (róg ul. Brackiej i Rynku). W tym czasie miała ok. 90 lat, ale była bardzo żywotna. Mieszkała na poddaszu pałacu w urągających godności warunkach. Władze komunistyczne chciały się jej pozbyć. Reszta pałacu została przekazane Towarzystwu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Trochę jej pomagałem. Na przykład projektant, który na zlecenie władz przygotował remont budynku, przewidział w jej mieszkaniu grzejniki żeliwne, takie jak się instaluje w halach fabrycznych. Ja zamontowałem jej porządne, aluminiowe. Potem się okazało, że

ona ma kontakty z kurią, a kuria – z jakąś organizacją we Francji, która pomagała Potockiej. Pani Potocka wielokrotnie dawała mojej żonie różne rzeczy, aby można było zrobić paczkę i wysłać Markowi do więzienia. Jak Marek wyszedł na wolność, to pani Potocka zaprosiła go do siebie, zaprowadziła do piwnicy, dała puszkę farby niebieskiej, puszkę żółtej i poleciła, aby wymalował rury gazowe na żółto, a rury z zimną wodą na niebiesko. Zajęło mu to godzinę, a ona za to zapłaciła mu tyle, ile wynosił miesięczny zarobek. On się głupio czuł, ale ona powiedziała, że się obrazi, jeżeli nie przyjmie zapłaty, podkreśliła, że nie daje mu za darmo, tylko za robotę i kazała sobie pokwitować tę sumę.

Radosław Huget: *Moja teściowa* [mama Marka Bika] *była kreślarzem. W latach 70. i 80. kreślarzy w Krakowie, którzy mogli kreślić geodezję, było kilku. To jest skomplikowana praca. Zarabiała wtedy dobre pieniądze. Jak Marek poszedł siedzieć, to ją przeszeregowali, potem zwolnili. Ma teraz 700 czy 800 złotych emerytury. I nie protestuje. A z drugiej strony, jest jakiś bałwan w banku, który zarabia milion złotych rocznie i opowiada, jaki to on jest biznesmen, a jego rola polega na tym, że zna pana Józia, pana Krzysia, pana Donalda czy pana Bieleckiego. Ja po prostu nie mogę takiego kraju zaakceptować...*

***

Koledzy Marka Bika ukarali Papieża za jego postawę w czasie śledztwa oraz na rozprawie. Była to inicjatywa oddolna. W akcji brały udział 4 osoby. Wszyscy byli zamaskowani. Akcja była niebezpieczna, bo w pobliżu mieszkania Papieża był komisariat MO. Pierwsze dwie próby się nie powiodły. Trzecia zakończyła się powodzeniem. Było to wieczorem. Jedna z osób, która znała Papieża, wskazała go dwóm innym. Dziś jeden z uczestników akcji wspomina: *We dwójkę doskoczyliśmy do niego. Wszystko trwało bardzo krótko. Dostał z główki, potem parę ciosów w głowę i kopniak w klatkę piersiową. Nikt mu nie łamał rąk. Jeżeli miał je złamane, to być może wskutek upadku na ulicę. Musieliśmy szybko uciekać, bo jakaś kobieta zaczęła krzyczeć, myśląc, że to napad chuligański. Uciekliśmy w stronę ul. Szwedzkiej. Tu miał czekać samochód. Natknęliśmy się tam jednak na dwuosobowy patrol ORMO. Podeszli do nas a jeden z nich powiedział: „ORMO, proszę dokumenty!". Od razu dostał cios. Wtedy ten drugi uciekł. Już bez przeszkód odnaleźliśmy samochód i odjechaliśmy.*

Papież: *W listopadzie lub grudniu 1982 zostałem pobity przez nieznanych sprawców na os. Podwawelskim. Gdy wieczorem szedłem do domu, dwóch nagle wyszło z bramy. Mieli czapki na głowach, nie potrafiłbym ich rozpoznać. Pobili mnie, wywrócili na ziemię. Nie pamiętam, co krzyczeli. Pamiętam, że mnie wyzywali.*

Nigdy nie rozmawiałem później z Markiem i z Witkiem. Nigdy nie przeprosiłem ich za moje obciążające ich zeznania, na podstawie których zostali skazani. Wiem, że Witek nie żyje, słyszałem, że zginął w jakimś wypadku. Z Markiem chciałbym się spotkać, aby go przeprosić. Jeżeli jest to możliwe, jeżeli jest kontakt z Markiem, to chciałbym to uczynić.

Witold Toś
„W galerii"
– fragment

tak wiele do zniszczenia
zostało kwiatów
całych łąk
myśli nieujarzmionych

płoniemy
i w tej pożodze trwamy
czekamy

***

Z zachowanych materiałów krakowskiej SB wynika, że Witold Toś był „opracowywany" jako kandydat na tajnego współpracownika.

Podstawą do podjęcia przez SB próby zwerbowania Tosia była, jak się zdaje, informacja operacyjna pozyskana przez SB 4 grudnia 1981 roku: *Uzyskano informację, że w dniu 26 listopada br. ob. Toś Witold przyniósł na teren KZPN „Bonarka" plakaty informujące o Marszu Wolności w dniu 29 listopada br. oraz plakaty wydane przez Komitet Obrony Więzionych za Przekonania. W/w przeprowadził rozmowę z przew. KZ NSZZ Solidarność Bogdanem Andrzejem, której celem było uzyskanie zezwolenia na rozlepianie plakatów na terenie zakładu. A. Bogdan w ostrym tonie wyraził dezaprobatę na tego typu posunięcia. Jednak W. Toś sam rozwiesił plakaty. Wtedy A. Bogdan osobiście zerwał wszystkie plakaty i zniszczył je.*

Obecnie na dzień 8 grudnia br. z inspiracji W. Tosia planowane jest otwarte zebranie członków Solidarności, którego celem ma być utworzenie KZ Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania przy KZPN „Bonarka". Na zebranie został zaproszony jeden z przedstawicieli KOWzaP działającego w Krakowie [był to Zygmunt Łenyk]. *Mł. Insp. Wydziału III-A ppor. Aleksander Jurasz.*

Na tej podstawie ppor. Jurasz już po wprowadzeniu stanu wojennego spotkał się z Tosiem (prawdopodobnie w esbeckiej akcji „Klon", o której była mowa wcześniej). W papierach SB brak jest informacji na ten temat, ale można przypuszczać, że rozmowa odbyła się w miejscu pracy Tosia. *Z KTW „WT" przeprowadzono rozmowę w dn. 19 grudnia 1981 w związku z prowadzeniem przez niego działalności przed wprowadzeniem stanu wojennego w KOWzaP. W/w posiadał powiązania z Zygmuntem Łenykiem, działał w ZR NSZZ Solidarność Małopolska, rozlepiał plakaty na terenie Krakowa. Podczas rozmowy zachowywał się swobodnie, udzielając szczegółowych informacji. Były one potwierdzeniem informacji będących w naszym posiadaniu. Podpisał zobowiązanie zachowania w tajemnicy treści przeprowadzonej rozmowy oraz wyraził zgodę na dalsze spotkania.*

W aktach SB jest pismo napisane, jak się zdaje, własnoręcznie przez Tosia i przez niego podpisane. Brzmi ono: *Kraków, 19 grudnia 1981. Oświadczam, że zobowiązuję się do zachowania w tajemnicy treści rozmów dotyczących nieprawidłowości zachodzących z KZPN „Bonarka". W. Toś.*

W materiałach SB jest odręczna adnotacja kpt. Eugeniusza Filipka (zastępcy naczelnika Wydziału V) z 10 lutego 1983 roku, której adresatem był ppor. Jurasz, „opracowujący" Tosia: *Tow. Jurasz! Proszę wyjaśnić w formie raportu, dlaczego przerwano opracowywanie kandydata od m-ca lutego 1982. Proszę opracować plan lub złożyć akta do archiwum. Termin – 12. lutego 1983.*

Raport ppor. Jurasza: *Opracowanie zostało przerwane, ponieważ KTW ps. „WT" trzykrotnie nie przybył na spotkanie mimo telefonicznego potwierdzenia. Wpływ na to mogło mieć wezwanie w/w przez Wydział III-1 w styczniu 1982. W marcu 1982 teczka personalna została przekazana tow. Więckowskiemu. Teczkę otrzymałem w październiku 1982. W tym czasie KTW „WT" otrzymał 3 lata pozbawienia wolności.*

Przez wiele miesięcy SB pracowała nad pozyskaniem TW, jego osoba była formalnie wytypowana, oficer słał raporty o tym, że kTW chętnie udziela informacji, a w efekcie okazało się, że kandydat siedzi w więzieniu z wysokim wyrokiem za działalność w KPN. To pokazuje, jak charakterystyki ludzi czy opisy ich zachowań, sporządzane przez SB, dalekie były nieraz od rzeczywistości.

***

Trzecia wpadka krakowskiej KPN, podobnie jak dwie poprzednie, pozytywnie odróżniają się od wielu podobnych wpadek w stanie wojennym.

W kwietniu 1982 roku zatrzymano Grudniewicza, Głowackiego i Ewę Tukałło i tylko oni stanęli przed sądem. W maju 1982 roku zatrzymano Załuskiego, Czyża i Witolda Tukałłę i tylko Załuski stanął przed sądem. W czerwcu 1982 roku zatrzymano Papieża, Tosia i Bika i tylko oni stanęli przed sądem. W żadnej z tych spraw nie doszło do masowych aresztowań, a na ławie oskarżonych zasiadali jedynie ludzie, którzy wpadli na samym początku, złapani przypadkowo (jak Załuski, Czyż i Tukałło) lub wydani bezpiece przez przypadkowych donosicieli (jak w pozostałych dwóch wypadkach). A przecież mogło być zupełnie inaczej...

13 września 1982 roku milicja drogowa zatrzymała Janusza Barańskiego i Zbigniewa Fijaka – działaczy podziemnej „Solidarności". 17 lutego 1983 roku na ławie oskarżonych zasiadło 8 osób: Janusz Barański, Zbigniew Fijak, Waldemar Głąb, Jaromir Grącki, Aleksandra Gumuła, Jan Pacula, Jerzy Petlicki i Józef Polak.

W styczniu 1983 roku SB zatrzymała Barbarę Bąk, a kilka dni później Jarosława Krawczyka – działaczy podziemnego NZS. 18 sierpnia 1983 roku na ławie oskarżonych zasiadło 19 osób: Lucjan Baran, Barbara Bąk, Jarosław Bąk, Jakub Bodziony, Mirosław Gaczoł, Anna Galicka, Michał Garapich, Adam Kalita, Dorota Koczwańska, Jarosław Krawczyk, Ryszard Małusecki, Lucyna Marszałek, Jakub Rzeszut, Bogdan Sułkowski, Tomasz Szewczyk, Jacek Tomaszewski, Wiesław Wazl, Małgorzata Wilkosz, Paweł Zechenter.

Październik 1982 roku na ulicach

Dudek, Marszałkowski: [Kierownictwo WRON] *postanowiło dokonać ostatecznej rozprawy z „Solidarnością" w sferze formalnoprawnej. Zgodnie bowiem z postanowieniami towarzyszącymi wprowadzeniu stanu wojennego, działalność związków zawodowych została jedynie zawieszona. W piątek, 8 października, Sejm PRL, przy 12 głosach przeciwnych i 10 wstrzymujących się, uchwalił nową ustawę o związkach zawodowych. W art. 55 stanowiła ona, że tracą moc prawną akty rejestracji wszystkich związków zawodowych dokonane przed jej wejściem w życie. W praktyce oznaczało to definitywną delegalizację „Solidarności" i przejęcie jej majątku.*

Członkowie TKK, mimo że wiedzieli o przygotowaniach władz, zaskoczeni zostali szybkością, z jaką wcielono w życie plan ustawowej likwidacji związku. Sytuację pogorszyło dodatkowo aresztowanie 5 października Władysława Frasyniuka, osłabiające Region Dolnośląski – jeden z filarów podziemnej „Solidarności". Ostatecznie TKK wydało 9 października odezwę nawołującą do bojkotu mających powstać związków zawodowych oraz niezbyt przemyślany apel o czterogodzinny strajk protestacyjny dopiero 10 listopada

(w drugą rocznicę rejestracji „Solidarności"). Tak późne ustalenie daty ogólnokrajowego protestu sprawiło, że spontanicznie wybuchające, począwszy od poniedziałku, 11 października, strajki i manifestacje nie miały skoordynowanego charakteru. Do najpoważniejszych demonstracji ulicznych w drugiej dekadzie października doszło w Gdańsku, Nowej Hucie i Wrocławiu.

Friszke: *Zbigniew Bujak wspominał w 1983, że aresztowanie Frasyniuka rozbiło przyjętą pierwotnie koncepcję reakcji, sparaliżowało tryb decyzyjny TKK, ale też „sparaliżowało nas, bo myśmy wtedy nie wiedzieli, jak głęboko sięga wpadka, jak wiele namierzono".*

Paczkowski: *Tajna Komisja Zakładowa Stoczni Gdańskiej podjęła decyzję o rozpoczęciu strajku – każdej pierwszej zmiany – od poniedziałku, 11 października.*

Lis („Konspira"): *Stoczniowcy przychodzili rano do firmy, strajkowali przez 8 godzin, wracali do domu i następnego dnia znów strajk do fajrantu. Utrudniało to rozbicie zakładu siłami ZOMO, a jednocześnie dawało strajkującym poczucie solidarności.*

Paczkowski: *Kierownictwa regionalne w Krakowie, Wrocławiu i Warszawie dowiedziały się o tym wówczas, gdy akcja w Gdańsku już się rozpoczęła, a każde z nich musiało mieć 2-3 dni na podjęcie działań na swoim terenie, gdyż na ten termin – zresztą na żaden inny także – nie były przygotowane. W rezultacie manifestacje protestacyjne rozpoczęły się zgodnie z wezwaniem władz regionalnych 13 października, czyli tego dnia, w którym po ogłoszeniu przez Komitet Obrony Kraju militaryzacji Stoczni Gdańskiej i wejściu na jej teren silnych oddziałów ZOMO, prowadzony tam strajk już się załamał. Wedle oceny gen. Stachury – przedstawionej na spotkaniu z sekretarzami komitetów wojewódzkich PZPR – to właśnie szybka likwidacja strajku w stoczni była głównym powodem zahamowania akcji protestacyjnych w całym kraju.*

Robotnicy ze Stoczni Gdańskiej byli jedynymi, którzy podjęli regularny strajk, choć ograniczony do jednej zmiany i angażujący tylko część załogi (…). [Ponadto] *według danych MSW do strajków doszło w 27 zakładach na terenie 10 województw, a uczestniczyć w nich miało 16 tysięcy osób (zapewne strajkujących było więcej). Pewna część strajków przeszła jednak niezauważona, gdyż uczestniczyło w nich za mało osób, a same przerwy –w pracy były krótkotrwałe (...).*

Protesty z 11-15 października należało uznać za porażkę. Był to, jak oceniał później Bogdan Lis, „moment zwrotny", bowiem „wyszło na jaw, że jeśli władza uderza szybko i zdecydowanie, nie jesteśmy w stanie kontratakować, ani nawet zasłonić się przed ciosem". „Nasz model oporu – konkludował – nie przetrwał chwili próby".

W „Konspirze" przytoczono samokrytykę innych liderów podziemnej „Solidarności". Hall: *Nie połapaliśmy się w porę. Proces był już daleko zaawansowany, a my przy całej niesprawności organizacyjnej ciągle w tyle za wydarzeniami.* Borusewicz: *Rozumowano tak: skoro strajk już wybuchł, to trudno, ale ponieważ nie wiadomo, co z nim zrobić, niech sam zgaśnie. Przyjęcie owego punktu widzenia wynikało z niewiary we własne siły (…). Kiedy trzeba improwizować, żeby sprostać wymogom chwili, nie można szukać łączników. Trzeba wstać od biurka, bo na siedząco widać tylko blat.*

***

Z „Niepodległości" nr 16 z 19 października 1982: *Już od poniedziałku 11 października krążył po wydziałach Kombinatu „Hutnik" nr 28 datowany 10 października 1982. Pismo Solidarności HiL wezwało robotników do marszu protestacyjnego przeciwko rozwiązaniu Solidarności na 13 października: od wydziałów – przez Bramę Główną – do Placu Centralnego.*

Tego dnia część konfederackich „harcowników” była w Hucie nieobecna lub była jeszcze kontuzjowana po walkach wrześniowych.

Wojciech Słowik: *Wtedy zaczęły się już „prawdziwe” walki z użyciem proc i kulek metalowych.*

Grzegorz Hajdarowicz: *W październiku 1982 byłem na kolejnej zadymie, wtedy gdy zginął Bogdan Włosik. Byłem nawet niedaleko tego miejsca, gdzie to się stało. Pamiętam, że wtedy słabo chodziłem, bo w demonstracji 30 września uszkodziłem nogę i miałem zerwane ścięgna. Po 10 dniach doprawiłem moją nogę dokumentnie, wylądowałem na pogotowiu i noga trafiła na pięć tygodni do gipsu.*

W Nowej Hucie był natomiast Jerzy Mohl: *Delegalizacja „Solidarności”, która zbiegła się z kolejną miesięcznicą wprowadzenia stanu wojennego, wywołała niesamowitą erupcję niezadowolenia. Efektem były gwałtowne demonstracje, które przerodziły się w trzydniowe rozruchy o skali, jakiej ani wcześniej, ani później już nie widziałem. Z tego trzydniowego maratonu walk ulicznych uczestniczyłem tylko w dwóch pierwszych dniach, bo jako mieszkaniec Śródmieścia Krakowa z dotarciem i późniejszym powrotem z miejsca demonstracji miałem duże kłopoty.*

Demonstracje rozpoczęły się tradycyjnie marszem hutników spod Kombinatu w kierunku Centrum. Do maszerujących pracowników HiL dołączali inni demonstranci.



13 października 1982 r. – podział zadań między siły ZOMO ściągnięte z różnych miast. *Delegalizacja „Solidarności”, która zbiegła się z kolejną miesięcznicą wprowadzenia stanu wojennego, wywołała niesamowitą erupcję niezadowolenia. Efektem były gwałtowne demonstracje, które przerodziły się w trzydniowe rozruchy o skali, jakiej ani wcześniej, ani później już nie widziałem.*

Plan WSK KW MO





13 października 1982 r. w Nowej Hucie. *Pochód ruszył ok. 14.30. W pierwszym szeregu wszyscy ze znaczkami „Solidarności" trzymają się pod ręce, niosą duży bristol i biało-czerwona chustę z napisami „Solidarność". Około 15.00 na wysokości THM następuje pierwszy atak. Rozbity tłum w kilka chwil formuje się na nowo.* Fot. SB

Z „Niepodległości": *Pochód ruszył ok. 14.30. W pierwszym szeregu wszyscy ze znaczkami Solidarności trzymają się pod ręce, niosą duży bristol i biało-czerwoną chustę z napisami Solidarność. Niosący chustę mają trójkątne biało-czerwone chusteczki na twarzach (zabezpieczenie p. gaz, maskowanie). Wieczorem wśród walczących i grup malujących napisy na obrzeżach walk widzieliśmy więcej takich chustek.*

W tym czasie na B-1, w okolicach Orbisu i na Placu Centralnym gromadzi się tłumnie ludność (w tym pracownicy III zmiany). Stopniowo spływali w tę okolice pracownicy I zmiany, wywożeni z wydziałów przez inne bramy.

„Hutnik" nr 30 z 14 października 1982: *Około 15.00 na wysokości THM następuje pierwszy atak. Rozbity tłum w kilka chwil formuje się na nowo. Na czele pochodu powiewa flaga narodowa i Solidarności. Niesione są przez zamaskowanych robotników transparenty. Manifestanci wznoszą okrzyki: „Solidarność!", „Zwolnić Lecha!", „Reżim precz!" oraz nowe: „Łączymy się z Gdańskiem!", „Precz z komuną!", „Jaruzelski, będziesz wisiał!".*

„Niepodległość": *W tym samym czasie kolumny ZOMO ruszające do ataku na pochód z B-1 i os. Stalowego zostały zaatakowane od tyłu, co odciążyło grupę idącą od Bramy Głównej.*





13 października 1982 r. w Nowej Hucie. ZOMO przed atakiem na pokojową demonstrację. Widać fiata na cywilnych numerach, w którym znajdowali się tajniacy oraz zomowców przygotowujących ręczne wyrzutnie gazów. Z filmu SB

Grupa ta przedostała się w rejon ulicy Struga, gdzie połączyła się z oczekującymi mieszkańcami. W tym momencie w demonstracji uczestniczyło ok. 6-7 tys. [ludzi]. *Skandowano: „Solidarność!", „Polska to my!" (najdłużej), „Zwolnić Lecha!", „Zwolnić Gila!", „Rozwód z Moskwą!", „Niech żyje Reagan!", „Reżim precz!", „Łączymy się z Gdańskiem!", „Chodźcie z nami!" (do czekających pod Orbisem). Spora ich część dołączyła do pochodu – liczył on teraz ponad 10 tys.*

Jerzy Mohl: *Przyłączyliśmy się do głównej demonstracji „Solidarności", która szła od Kombinatu w stronę Centrum Nowej Huty (dzisiejsza aleja Solidarności) na wysokości Zalewu. Było już po pierwszym starciu załogi huty z ZOMO. W wodzie pływały tarcze, a ludzie mówili, że część zomowców musiała się salwować ucieczką na „małpią wyspę" na środku zalewu.*

„Niepodległość": *Kolejny atak ZOMO przed Orbisem – w chwili, gdy demonstranci śpiewali hymn narodowy. Część demonstrantów schroniła się w najbliższym podwórku Centrum B i przeszła bezpośrednio pod pomnik Lenina. Przystąpiono natomiast do budowy pierwszej w tym dniu barykady (skrzyżowanie Al. Róż z Al. Przyjaźni, pomiędzy*





13 października 1982 r. w Nowej Hucie. *Manifestanci wznoszą okrzyki „Solidarność!", „Zwolnić Lecha!", „Reżim precz!" oraz nowe: „Łączymy się z Gdańskiem!", „Precz z komuną!", „Jaruzelski, będziesz wisiał!". Widoczny wyraźnie duży plakat z wizerunkiem Wałęsy i napisem „Nie oddamy Sierpnia", niósł wraz z kolegą z Huty Bogdan Włosik.* Fot. SB

„Stylową" a Salonem Wystawowym). Barykada porządna, antyskotowa (ławki, przez jakiś czas osinobus Transbudu). Na Placu Centralnym oczekiwały kolejne grupy.

Jednak po ataku działka wodnego pochód rozdzielił się na kilka grup, które rozeszły się w różnych kierunkach. ZOMO przystąpiło to metodycznego gazowania Placu Centralnego, a po ustawieniu się w tyralierę między Arkadią a Domem Książki zaczęło gazować także Lenina. Manifestanci spod barykady początkowo mało skutecznie obrzucili tyralierę kamieniami.





13. października 1982 r. w Nowej Hucie. *Skandowano: „Polska to my!" (najdłużej), „Zwolnić Lecha!", „Zwolnić Gila!", „Rozwód z Moskwą!", „Niech żyje Reagan!", „Reżim precz!", „Łączymy się z Gdańskiem!", „Chodźcie z nami!". Spora część oczekujących dołączyła do pochodu – liczył on teraz ponad 10 tys.*

Fot. SB

Jeszcze przed godz. 16-tą samozagazowana tyraliera ZOMO zwinęła się i rozpoczęła odwrót w stronę Al. Rewolucji Październikowej. Część demonstrantów ruszyła za nimi.

„Hutnik": *Zaczyna się polowanie. Złapanych zomowców ludzie rozbierają do naga i po odpowiedniej porcji „klapsów", błagające o litość bohaterskie nagusy uciekają do swoich, przy ogromnej radości gapiów i okrzykach starszych ludzi: „Zabij drania!", „To nawet nie zwierzę!". Na kolumnie domu zostaje namalowany napis „Tu mieliśmy zomowca 15.40. 13.10. Solidarność.*

Jerzy Mohl: *Komuna nie dała za wygraną i przypuściła kolejny atak od strony Centrum, rozdzielając nas na dwie części. Jedną zepchnęli w stronę osiedli Szkolnego i Szklanych Domów, drugą, w której znalazłem się z Grześkiem Pirowskim, na osiedle Hutnicze.*

Zaczęła się ostra łomotanina kamieniami w stronę zomowskich kolumn, które starały się, aby nie dopuścić demonstracji do placu Centralnego. Pamiętam, że przewróciliśmy dużą przyczepę, aby mieć z niej barykadę i był to dobry pomysł, bo zablokowaliśmy możliwość wdarcia się milicji w głąb osiedla. Przez około 1,5 godziny odpieraliśmy ataki lub sami robiliśmy wycieczki w stronę nieprzyjacielskich pozycji. Niestety, nie pamiętam jakichś spektakularnych sukcesów.

Następnie przez Centrum A i Centrum D przeszliśmy na osiedle Handlowe. W pobliżu rozjazdu pl. Centralny – aleja Róż doszło do kolejnych walk.

Grzesiek dał mi prototyp procy, którym wcześniej ćwiczyliśmy na boisku, bo miał już nowszy model z naciągiem na cztery gumy i naciągał to bez żadnego problemu – przy wzroście 185 cm ważył 115 kg. Postanowiliśmy wypróbować skuteczność proc. Obok nas kilkunastu demonstrantów oddawało się „sztuce kamieniarskiej", więc my mieliśmy poczucie wyższości technologicznej, ale nie na długo. Okazało się, że wprawdzie zasięg naszego ostrzału w stosunku do osiągów „kamieniarzy" był nieporównywalny, jednak w warunkach bojowych, gdzie obowiązuje zasada, „kto nie biega ten ginie", uzyskanie dogodnej pozycji na wykonanie idealnego strzału wcale nie jest takie proste. Konieczność powtórzeń, aby prawdopodobieństwo superstrzału zwiększyć, powoduje dość szybkie zużywanie amunicji. Ze względu na zapadające ciemności i dymną atmosferę trudno było ocenić dokładność naszego ostrzału, ale musiało być coś na rzeczy, bo zomowcy, którzy na początku byli rozproszeni, zaczęli się zbijać w grupę i częściej osłaniali się tarczami

Przed sobą, w stronę kina Świt, mieliśmy kolumnę zomowskich pojazdów, która kierowała się w stronę osiedla Zgody. Milicyjna ariergarda wiązała nas walką i zaczęła się opóźniać w stosunku do swoich głównych sił. Na naszym kierunku znajdowało się pięciu zomowców – dwóch z tarczami plus trzech, którzy strzelali do nas gazami i rzucali gazy z ręki. W pewnym momencie jeden z zomowskich strzelców wybiegł kilkanaście kroków, aby odstrzelić któregoś z demonstrantów. Nie trafił. Kiedy odwrócił się w stronę swoich, dostał kamieniem w plecy. Chwilę wcześniej skończyła się nam amunicja (zapas był w worku Pirowskiego i nie było czasu na jej poszukiwanie), a więc z zaawansowanych technologii wróciliśmy do kultury kamienia rzucanego. Nie pamiętam, czy to Grzesiek trafił tego zomowca, czy któryś z innych demonstrantów, w każdym bądź razie upadł on na kolana i wydawało się, że za moment padnie na twarz, ale jego koledzy rzucili mu się na pomoc. Dwaj chwycili go pod pachy, a ci z tarczami osłaniali siebie i wlekących rannego. W stronę ewakuujących się milicjantów na wstecznym ruszyła „buda", a my ruszyliśmy za nimi w pogoń. Ten ranny zgubił torbę, taką wojskową, jak na maskę p. gaz. Grzesiek krzyknął do mnie „osłaniaj" i ruszył szybciej w stronę uciekających zomowców. Złapałem za kamienie, które były pod ręką i biegłem tuż za nim, aby go asekurować, gdyby któremuś z uciekających przyszła ochota zawrócić. Po chwili torba była w naszym posiadaniu. Widząc, że ładują się

do „budy", rzuciłem w ich kierunku oba kamienie, które miałem w rękach. Jeden uderzył w siatkę osłaniającą migacz, a drugi zaliczył światło tylnych drzwi, kiedy wciągali rannego. Trudno ocenić, czy ktoś na pokładzie oberwał, ale na pewno utwierdziło ich to w przekonaniu, że będziemy atakować dalej. Zdobycz, która stała się naszym udziałem, to były trzy RGŁ-200, które później wróciły do komuny w nieco innej formie.



13 października 1982 r. – armatka wodna na ulicach Nowej Huty. *Po ataku działka wodnego pochód rozdzielił się na kilka grup, które rozeszły się w różnych kierunkach.* Fot. SB

„Hutnik": *Około 16.00 na Placu Centralnym główne siły manifestantów łączą się przy barykadzie w alei Róż z kolejną grupą liczącą ok. 3-5 tysięcy. Następuje kolejny atak ZOMO. Zawiązują się ciężkie walki. Zdeterminowany tłum walczy zajadle o każdy metr Placu. Pomnik Lenina zostaje zdobyty i zaczynają się igraszki z Wodzem, który najpierw dostaje pod pupę krzesło i butelkę z benzyną między nogi. Potem zaczęło się malowanie „Włodka urwipięty" – z tyłu napis Solidarność, z przodu „Uwolnić Lecha" oraz kotwice na kolanach, fantazyjne maźnięcia, sznur na szyi, próba ściągnięcia. Następuje rozbieranie cokołu, znikają litery informujące, kto zacz ten pan, oraz rozlega się gromkie „Jeszcze Polska nie zginęła".*

Około 17.00 następuje pierwsza odsiecz ZOMO, wkrótce potem ponowny atak naszych. U stóp „brzydala" zaczynają płonąć stosy ławek. Dolewanie benzyny, śpiewy, śmiechy.

Druga odsiecz zomowców zostaje przerwana, ponieważ inna grupa manifestantów atakuje skutecznie Komendę Dzielnicową MO na os. Zgody. Wódz zostaje ponownie podpalony.



13 października 1982 r. – tyraliera ZOMO blokująca dostęp do pomnika Lenina. *ZOMO przystąpiło do metodycznego gazowania Placu Centralnego, a po ustawieniu się w tyralierę między Arkadią a Domem Książki, zaczęło gazować także Lenina.*

Z filmu SB

„Niepodległość" : *W tym czasie walki toczyły się już na B-1 (Nowohucki Trójkąt Bermudzki: Al. Przyjaźni – Al. Rewolucji Październikowej – Al. Lenina), w okolicy ul. Marksa, Engelsa, Demakowa, Wiśniowy Sad itp. W Trójkącie tym ustawiono przed laty metalową figurę przedstawiającą Lenina. Ten symbol moskiewskiego panowania otaczany jest gorącą nienawiścią mieszkańców Huty. Próbowano go wysadzać w powietrze, był wielokrotnie na różne sposoby postponowany, jest nieustającym tematem dowcipów.*

Ok. godz. 17-tej demonstranci przystąpili do kolejnej próby kasacji pomnika. Gdy nie powiodła się próba ściągnięcia go z cokołu, przez wiele godzin podpalano go. Stos ławek, opon samochodowych i innych materiałów łatwopalnych płonął wesoło w okolicach pomnika od 17-tej do 21-ej. Wyrwano kilkadziesiąt płyt z cokołu. Reszty dokonali strażacy, polewając po odejściu manifestantów cokół pomnika wodą, która w zetknięciu z rozpalonymi płytami kamiennymi dokonała kasacji kilkunastu płyt. Od następnego ranka ściągały z całej Huty i Krakowa – po raz pierwszy dobrowolnie – tłumy uradowanych krakowian...









Pomnik Lenina zniszczony po walkach 13 października 1982 r. *Na Pl. Centralnym ZOMO próbowało bronić pomnika Lenina, ale kiedy dotarła tam główna fala demonstrantów, milicjanci zostali pobici i przegnani. To, co się wydarzyło później, przeszło najśmielsze oczekiwania. Pomnik wodza proletariatu oblano farbami w różnych kolorach (farba była w użyciu niektórych demonstrantów, bo chodziło o zamazanie szyb w armatkach wodnych i innych pojazdach, więc rzucano ją w słoikach na siatki, które osłaniały szyby). Pomnik został obłożony ławkami i podpalony. Powstało ogromne ognisko, a w środku niego stał upiorny (ze względu na kolory) przywódca komuny. Było super! Ludzie zaczęli nawet tańczyć.* Fot. SB

Jerzy Mohl: *Postanowiliśmy wrócić na pl. Centralny, gdzie ZOMO próbowało bronić pomnika Lenina, ale kiedy dotarła tam główna fala demonstrantów, milicjanci zostali pobici i przegnani.*

To, co się wydarzyło później, przeszło najśmielsze oczekiwania. Pomnik wodza proletariatu oblano farbami w różnych kolorach (farba była w użyciu niektórych demonstrantów, bo chodziło o zamazanie szyb w armatkach wodnych i innych pojazdach, a rzucano ją w słoikach na siatki, które osłaniały szyby), a następnie tłum rzucił się do rozwalania cokołu, na którym stał Lenin. Oczywiście, największym trofeum było zdobycie którejś z liter napisu.

Ja w tym nie brałem udziału, bo przeszukiwałem przepastny wór mojego kolegi w poszukiwaniu amunicji dla naszych proc. W tym czasie właściciel worka walczył o swoją literkę z cokołu, i w końcu zdobył bodaj „W".

Po kompletnej dewastacji cokołu, pomnik został obłożony ławkami i podpalony. Powstało ogromne ognisko, a w środku niego stał upiorny (ze względu na kolory) przywódca komuny. Było super! Ludzie zaczęli nawet tańczyć.





Zniszczony cokół pomnika Lenina po walkach 13 października 1982 r. *Tłum rzucił się do rozwalania cokołu, na którym stał Lenin. Oczywiście największym trofeum było zdobycie którejś z liter napisu. Ja w tym nie brałem udziału, bo przeszukiwałem przepastny wór mojego kolegi w poszukiwaniu amunicji dla naszych proc. W tym czasie właściciel worka walczył o swoją literkę z cokołu, i w końcu zdobył bodaj „W".*

Fot. SB

Jerzy Mohl: *Po kilku minutach demonstranci, którzy stali na zewnętrznych rubieżach, zaczęli nas wołać na pomoc. Koniec zabawy. Ruszyliśmy w stronę Centrum B i zajęliśmy tam pozycję przy przewróconym słupie ogłoszeniowym. Od strony Centrum E i Nowohuckiego Centrum Kultury milicja rozwijała szyk do ataku. Tyraliera ruszyła, wyginając się w wachlarz. Szeregi zomowców były dwa, oddalone od siebie o parę kroków, a za nimi w naszą stronę jechał gazik z wyrzutnią.*

Gdy jeszcze byli daleko, zaczęli strzelać gazami, bo chyba liczyli, że zagęszczą atmosferę i sami się wycofamy. Nie wyglądało to dobrze, bo ich pociski gazowe odbijały się od budynków i spadały za naszymi plecami. Część z demonstrantów starała się je odrzucać. Nie było dosłownie czym oddychać. Obok nas kamieniarze rzucali co sił, ale ich kamienie nie sięgały celu, bo ZOMO było za daleko. Mieliśmy tylko po kilkanaście kulek, co przy szybkostrzelności procy rzędu 2-3 strzały na minutę, na długo nie wystarczyło. Niemniej jednak przez moment tylko nasze dwie proce studziły zapał zomowców. Starałem się trafić któregoś w przyłbicę kasku, bo wiedziałem, że taki celny strzał był w tej chwili wiele wart, ale w bitewnym zgiełku jest to bardzo trudne. Raz trafiłem jednego w kask, ale kulka zrykoszetowała. Za następnym razem trafiłem w tarczę zomowca na lewym skrzydle i odpadła z niej prawie połowa. Nie przeceniam wartości tego strzału, bo tarcza mogła być uszkodzona wcześniej, np. od uderzenia kamieniem, a wystrzelona przeze mnie kula rudy postawiła kropkę nad „i". Mój kompan miał więcej szczęścia, bo trafił jednego w rękę.

Niestety, amunicja się wyczerpała i musieliśmy przejść na kamienie. Nadciągnęły armatki wodne i zomowcy zmienili taktykę, bo zamiast gazów, zaczęli strzelać do nas racami. Jedni strzelali w górę, inni na wprost. Obok mnie jakaś kobieta (amunicyjna?) dostała taką racą w małą torbę podróżną, tzw jamnik, którą miała na ramieniu, ale jej samej na szczęście nic się nie stało.

Armatki wodne w ciągu może pół godziny utorowały drogę zomowcom do pomnika i płonącego wokół niego stosu, mimo że obrońcy Nowej Huty rzucali z dachów kostką brukową i butelkami z benzyną.

Po spędzeniu demonstrantów w stronę osiedla Zgody, milicyjne armatki zaczęły gasić „wodza", a że mieli wodę zabarwioną, musiał wyglądać jeszcze koszmarniej po wizycie takich strażaków.

Tego, niestety, już nie widziałem, bo ze względu na późną porę musieliśmy maszerować do domu.

„Niepodległość": *Inni zaatakowali komendę dzielnicową MO na os. Zgody. Zomowcy uciekli z zaparkowanych pod komendą suk i schronili się do komendy. Demonstranci skasowali porzucone pojazdy i szyby w oknach komendy. Komenda, wyraźnie nieprzygotowana na atak (pierwszy w historii Huty), odpowiadała rzadkim ogniem gazów łzawiących. W czasie walki pod drzwiami komendy podeszła grupa demonstrantów niosąca nieprzytomnego zomowca. Bitwa została przerwana. Zomowcy z komendy uchylili drzwi, odebrali z ręki do ręki „ciało" i po kilku chwilach walka rozgorzała na nowo.*

Dudek, Marszałkowski: *Broniący budynku 60-osobowy pododdział ROMO został rozbity. „Około 15.30 zauważyłem – zeznał później ochraniający drzwi wejściowe Komendy milicjant Marek Karaś – że do budynku KD MO nagle zaczęli wbiegać funkcjonariusze MO w umundurowaniu polowym, przy czym wszyscy wg mnie byli ranni – niektórzy kulejąc skakali niemal na jednej nodze, inni nie mogli nawet trzymać wyrzutni w dłoniach. Nieśli je za nimi koledzy – wbiegła ich mała grupa. (...) Według mnie »byli porozbijani« i najprawdopodobniej uciekali przed atakującą ich grupą – tak przynajmniej mogłem się zorientować z chaotycznych wypowiedzi tych ludzi. W związku z tym, nie*

wyglądając przed budynek, zamknąłem metalowe drzwi wejściowe do Komendy, gdy na budynek zaczął się już sypać grad kamieni. Gdy tylko zamknąłem drzwi, zjawiło się przy mnie dwóch funkcjonariuszy w mundurach i powiedzieli abym nie zamykał, bo jest na chodniku przed drzwiami ranny funkcjonariusz. Wyskoczyli przed drzwi i wtedy dopiero zobaczyłem, że na chodniku leżał tuż przed drzwiami jeszcze jeden ranny funkcjonariusz MO. Zabrali go we dwóch i wnieśli do budynku. Ja zaraz zamknąłem drzwi, gdyż w dalszym ciągu na Komendę sypał się grad kamieni".

Rozmiary zamieszek i determinacja manifestantów zaskoczyły lokalne władze. Komendant Wojewódzki MO płk Adam Trzybiński zwrócił się do Biura Operacyjnego KG MO o przydzielenie posiłków. Wkrótce do Krakowa zaczęły przybywać pododdziały MO z Katowic, Bielska-Białej, Tarnowa, Kielc, Rzeszowa i Radomia (...).

„Niepodległość": *Zomowcy uciekający spod Arkadii zostali skutecznie skasowani przez goniących ich demonstrantów. Wielu zomowców ciężko pobito, jeszcze więcej rozbrojono z tarcz, pałek i kałasznikowów. Natomiast uciekającym przed demonstrantami zomowcom udało się pobić pijanego staruszka, który zawieruszył się na trasie ucieczki.*

Pobitych zomowców opadły kobiety, drapały, dusiły, na jednym z nich znaleziono sztuczne zęby. Młodzi mężczyźni wracający z pościgu za zomowcami odpędzili napastliwe osoby.

Ok. 17-ej demonstranci przystąpili do skutecznej tym razem kasacji komitetu dzielnicowego PZPR-u. Nie zostało w nim jednego całego biurka. Nie podpalono go tylko dlatego, że w budynku tym znajdowały się „żywe tarcze", w postaci mieszkań porządnych ludzi (zawsze święte obrazy w oknach w dniach naszych świąt).

Dudek, Marszałkowski: „*Pod budynkiem przebiegają kilkunastoosobowe grupy młodych ludzi – opisywał swoje wrażenia reporter „Polityki – z trzaskiem pęka szyba. Duży kamień strąca z biurka telefon. Skaczemy pod ścianę. Pod Komitetem rośnie tłum. Ktoś krzyczy: „Wszyscy na swoje stanowiska!". Dwudziestu kilku mężczyzn i jak zauważyłem jedna kobieta, ustawiają się z gaśnicami i granatami łzawiącymi w korytarzu. (...) Na korytarzu ktoś krzyczy: „Są już na parterze. Wyłamali drzwi. Pali się parter" (...) W pewnym momencie słychać huk pękającej petardy. Pod wpływem detonacji z okien lecą resztki szyb. Takie piekło trwało 20 minut. Wreszcie są milicjanci. Przyjeżdżają armatki wodne. Przychodzą ławą ubrani jak kosmici zomowcy".*

„Niepodległość": *Kolejnym miejscem walk był urząd dzielnicowy przy ul. Marksa – otoczony licznym kordonem zomowców obgazowujących okolice. Późnym wieczorem widziano w tym rejonie licznych zomowców wracających z wypadów w podwórkach w samych gaciach – i mocno poturbowanych. Około północy, gdy ostatni manifestanci porozchodzili się do domów, ostatni zomowcy ruszyli w podwórka w poszukiwaniu „najbardziej aktywnych uczestników zajść" w postaci przypadkowych przechodniów, pijaków itp.*

Walki o mniejszym natężeniu miały miejsce w tradycyjnym rejonie os. Niepodległości i na os. Kalinowym.

„Hutnik": *Na ul. Kocmyrzowskiej zostaje zbudowana solidna barykada z unieruchomionych tramwajów, ławek, podkładów tramwajowych i płyt chodnikowych. Pomimo przybycia nowych posiłków, zomowcy uciekają w popłochu. Zagubionych, ukrytych w piwnicach wyłapywano, rozbierano, rozbrajano i puszczano. Zdobyte tarcze, hełmy, pociski gazowe, pałki służą przy obronie barykad. Nagminne staje się wyłapywanie filmujących i fotografujących esbeków, którym niszczono taśmy i filmy. Krąży mnóstwo karetek pogotowia – świadkowie twierdzą, że w większości z rannymi zomowcami. Jednakże zauważono, że SB wykorzystywało karetki pogotowia jako środki lokomocji oraz jako wozy łączności.*

Około 22.15 II zmiana (po raz pierwszy o tej porze) przeszła od Bramy Głównej w liczbie 2,5 tysiąca ludzi do B-1, gdzie została owacyjnie powitana przez biwakujących przy ogniskach demonstrantów z I-ej zmiany. Wspólnie ruszyli skandując Solidarność, w kierunku Placu Centralnego, gdzie zostali w sposób brutalny zaatakowani. Walki trwały do 1-ej w nocy.

Dudek, Marszałkowski: *O godzinie 0.50, kiedy w Nowej Hucie zapanował przejściowy spokój, na podkrakowskim lotnisku Balice wylądowały samoloty transportowe, którymi przybył I Batalion Operacyjny ZOMO z Łodzi.*

Jerzy Mohl: *Na Czyżynach załapaliśmy się na kolejną młóckę „kamieniarską" z ZOMO, ale nie pamiętam, abyśmy odnieśli jakieś zwycięstwo, poza kilkunastoma trafieniami w karoserie milicyjnego sprzętu.*

Rozpoczęliśmy powrót do domu na piechotę, bo komunikacja miejska nie jeździła. W domu byłem około 1.00, a Grzesiek dotarł do siebie jeszcze później. Mieszkał wtedy przy ul. Kijowskiej.

***

Najbardziej tragiczne wydarzenia tego dnia (13 października 1982) miało miejsce poza głównym obszarem walk – pod kościołem Arka w Bieńczycach, gdzie tradycyjnie została odprawiona msza święta.

Z „Niepodległości": *O godzinie 18-tej rozpoczęła się w kościele NMP Królowej Polski na Bieńczycach Msza Święta, a po niej Nabożeństwo Fatimskie. Schodzących się do ko*



13 października 1982 r. – przed Arką Pana w Bieńczycach. *O godzinie 18-tej rozpoczęła się w kościele NMP Królowej Polski na Bieńczycach Msza Święta, a po niej Nabożeństwo Fatimskie. Schodzących się do kościoła parafian, niekiedy po pokonaniu olbrzymich trudności (zomowcy, przerwana komunikacja, zagazowane ulice) księża kierowali prosto do wnętrza świątyni. Również przez cały czas podczas mszy i nabożeństwa kilku księży dyżurowało na zewnątrz świątyni. W ten sposób skutecznie zapobiegano tworzeniu się grupek wiernych przed kościołem. Pod koniec nabożeństwa ks. proboszcz J. Gorzelany ogłosił: „Przed chwilą pod kościołem postrzelono człowieka. Zmówmy w jego intencji ostatnią cząstkę różańca".* Fot. SB

ścioła parafian, niekiedy po pokonaniu olbrzymich trudności (zomowcy, przerwana komunikacja, zagazowane ulice) księża kierowali prosto do wnętrza świątyni. Również przez cały czas podczas mszy i nabożeństwa kilku księży dyżurowało na zewnątrz świątyni. W ten sposób skutecznie zapobiegano tworzeniu się grupek wiernych przed kościołem. Pod koniec nabożeństwa ks. proboszcz J. Gorzelany ogłosił: „Przed chwilą pod kościołem postrzelono człowieka. Zmówmy w jego intencji ostatnią cząstkę różańca".

Według relacji godnych zaufania osób, które były bezpośrednimi świadkami zdarzenia, staraliśmy się odtworzyć przebieg tragedii. Po godzinie 19-ej przed blokiem nr 11 na os. Dąbrowszczaków (dokładnie naprzeciwko wejścia do kościoła, po drugiej stronie ulicy), stał samotnie młody chłopak w wieku ok. 20 lat. Przed 19.30 pod blok podjechał samochód osobowy, z którego wysiadł mężczyzna ubrany po cywilnemu. Mężczyzna ten zwrócił na siebie uwagę m.in. chłopca, ponieważ wyjął ładunek z gazem łzawiącym, tak jakby się przygotowywał do jego odpalenia.

Należy w tym miejscu zwrócić uwagę na fakt, że mieszkańcy Huty uczuleni są na prowokacje pod kościołem w Bieńczycach. Poczynając od pasterki w 1978, kiedy je zapoczątkowano, odbywają się one wg. podobnego scenariusza. W wychodzący z kościoła tłum rzuca „ktoś" ładunek z gazem łzawiącym, petardę dymną lub tym podobne. Wybucha panika, ludzie uciekają, potrącają się, padają – sprawcy nie można odnaleźć. Od wiosny 1982 tak właśnie rozpoczynały się prawie wszystkie walki w okolicy kościoła. Nieodmiennie prasa komunistyczna pisała następnego dnia o „centrum dowodzenia zamieszkami w kościele", o wywoływaniu przez „część kleru" niepokojów itp.

Wróćmy do relacji świadków. W tym miejscu są one bez wyjątku zgodne. Chłopiec miał wg. wszystkich świadków zawołać do przechodzących w pobliżu i stojących na skrzyżowaniu ludzi: „Uwaga! To ubek!". Wówczas mężczyzna oddał do chłopca strzał z pistoletu. Chłopiec upadł. Świadkowie zmartwieli z przerażenia. Mężczyzna wsiadł do samochodu, który szybko odjechał.

Chłopca przeniesiono na pobliską ławkę przed blokiem nr 11, gdzie ksiądz udzielił mu rozgrzeszenia. Ostatniego namaszczenia udzielono mu w Szpitalu Wojskowym, gdzie wkrótce skonał.

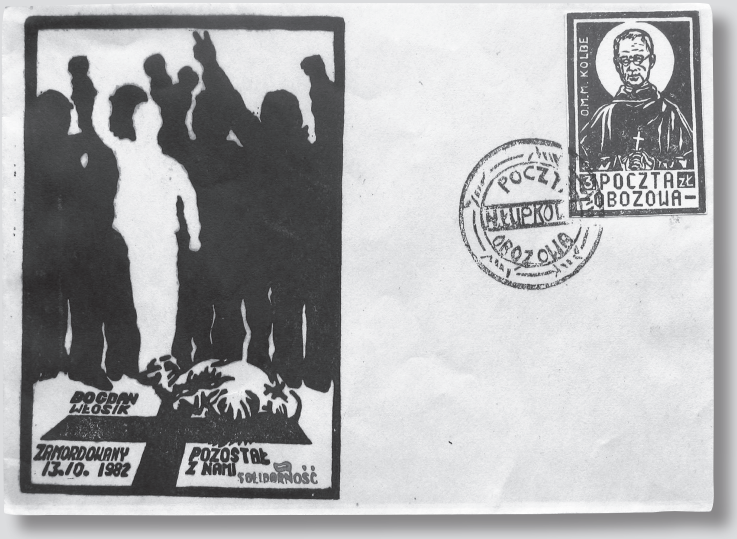
Zamordowany chłopiec nazywał się Bogdan Włosik, lat 20, elektryk, pracownik HiL, członek „Solidarności", zamieszkały, jak informowała następnego dnia kartka na ławce, na której dogorywał, przy os. 2 Pułku Lotniczego [...]. Już tego samego wieczoru na klombie, na którym padł Bogdan Włosik, pojawiły się znicze, świece i kwiaty układane w znak krzyża oraz biało-czerwona szarfa w kształcie „V".

***

„Niepodległości": *Nazajutrz miejsce morderstwa stało się celem pielgrzymek mieszkańców Huty i Krakowa. Niewielki trawiasty klomb przekształcił się w kopiec kwietny. O 18-tej odprawiono przed klombem nabożeństwo, które zgromadziło tysiące ludzi.*

Maciej Gawlikowski: *Byłem wtedy codziennie w Hucie. Robiłem zdjęcia. Sporo czasu spędziłem w miejscu śmierci Bogdana, gdzie cały czas gromadzili się ludzie, było pełno kwiatów, zniczy, świec, młodzież kładła odręcznie pisane kartki z wierszami, tarcze szkolne. Ta śmierć była wstrząsem, bo mieliśmy świadomość, że każdy z nas mógł być na miejscu Włosika.*

Fragment informacji przesłanej z Krakowa do dyżurnego operacyjnego MSW 15 października: *W dniu dzisiejszym w miejscu wypadku postrzelenia B. Włosika (…) od godzin porannych gromadziły się grupy osób składających tam kwiaty i palących tam*



Nieobecny w szeregu. Koperta wykonana techniką linorytu (stempel) przez jednego z internowanych w obozie odosobnienia w Nowym Łupkowie.
Z archiwum Leszka Jaranowskiego

znicze. W miejscu wypadku ułożony został z wypalonych granatów gazowych krzyż oraz położona flaga narodowa i emblemat Solidarności. Około godz. 10.00 w miejscu tym zatrzymał się i odmówił krótką modlitwę kard. F. Macharski, który po powrocie z Rzymu w dniu wczorajszym, złożył dzisiaj wizytę w parafii Bieńczyce.

W godzinach popołudniowych ilość gromadzących się w miejscu postrzelenia B. Włosika systematycznie wzrastała. Śpiewano pieśni religijne, hymn narodowy, wznoszono okrzyki Solidarność. Przed godz. 18.00, kiedy liczba zgromadzonych wynosiła około 2 tys., wśród kwiatów ustawiono metalowy krzyż i zabezpieczono miejsce krawężnikami (...). O godz. 18.00 część zgromadzonych przeszła do kościoła w Bieńczycach na nabożeństwo, w którym uczestniczyło około 1000 osób. Przed rozpoczęciem nabożeństwa proboszcz ks. Gorzelany stwierdził, że jest zaniepokojony niewielką ilością wiernych, dodając, że jeśli zgromadzeni na zewnątrz chcą się modlić, powinni wejść do kościoła. Oznajmił, że wśród zgromadzonych na zewnątrz rozpoznał twarze ludzi spoza parafii, przybyłych „nie wiadomo po co i dlaczego", oraz że widział wśród nich osoby pijane. Dodał również, że stała się rzecz tragiczna i należy potraktować ją poważnie. Podczas wygłaszania intencji modlitw mających charakter wyłącznie religijny jeden z obecnych w kościele krzyknął: „A za Bogdana?!", po czym grupy młodzieży (ponad 100 osób) opuściły kościół. Dalsza część nabożeństwa przebiegła bez zakłóceń.

Przyczyny opisanego wyżej zachowania ks. Gorzelanego (zakładając, że dokument milicyjny w tym zakresie odpowiada rzeczywistości) wyjaśnia kolejny fragment cytowanego dokumentu: *W dniu 15 bm. w KW MO w Krakowie przeprowadzona została rozmowa z proboszczem parafii Bieńczyce ks. J. Gorzelanym, który w trakcie rozmowy ocenił sytuację w Nowej Hucie jako zapalną i grożącą wybuchem. Zobowiązał się do wpłynięcia w dniu dzisiejszym na wiernych, tak aby nabożeństwo o godz. 18.00 przebiegało w spokoju i aby przygotowany do umieszczenia w miejscu śmierci B. Włosika krzyż został pozostawiony w kościele. Rozmówca nie zgodził się z sugestią usunięcia kwiatów z miejsca postrzelenia B. Włosika.*

Władze starały się wywierać presję także na arcybiskupa krakowskiego, czego dowodem jest informacja przekazana 16 października 1982 roku dyżurnemu operacyjnemu

MSW: *W dniu 16 bm. Prezydent Miasta Krakowa dr J. Gajewicz spotkał się z kardynałem F. Macharskim. W spotkaniu uczestniczył Komendant Główny MO gen. bryg. Józef Beim. Przebieg rozmowy przekazano innym kanałem.*

Z informacji przekazanych do Warszawy 17 października wynika, że SB dokładnie monitorowała niedzielne msze święte w kościołach krakowskich tego dnia: *O godz. 9.00 w kościele Dominikanów odbyła się uroczysta inauguracja roku duszpasterstwa akademickiego w Krakowie. Pomimo zapowiedzi nie wziął w niej udziału bp I. Tokarczuk, którego nieobecność usprawiedliwił na wstępie uroczystości o. T. Pawłowski, stwierdzając, że biskup „nie chce powodować jeszcze jednego nowego napięcia, które jest groźne i nawet może prowadzić do rozlewu krwi" (…).*

W kościele w Bieńczycach-Nowej Hucie podczas wszystkich nabożeństw w dniu dzisiejszym nie stwierdzono żądnych negatywnych akcentów.

W niektórych kościołach w trakcie dzisiejszych nabożeństw duchowni w kazaniach nawiązywali do ostatnich wydarzeń w N. Hucie.

W kościele Misjonarzy ks. Jachimczak zacytował hasło „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się", stwierdzając: „Te hasła i idee są dziś wypaczane, dlatego już nie dziwi nas śmierć człowieka w Hucie – jest to tylko przyczynek do nieprawości".

W kościele w Mistrzejowicach duchowny głoszący kazanie, nawiązując do śmierci B. Włosika, powiedział: „Śmierć ta jest znakiem zwycięstwa nad całym systemem nienawiści człowieka (...). Śmierć jego nie pójdzie na marne (…) przyniesie prawdziwą wolność.

W kościele w Bieżanowie ks. A. Chojnacki stwierdził: „Społeczeństwo polskie z wielką niecierpliwością zlicza pomordowanych w Poznaniu, Gdańsku, w Lublinie, na Śląsku, a także w Krakowie, gdzie kilka dni temu zamordowany został niewinny chłopiec". W kościele tym w bocznym ołtarzu umieszczono flagę narodową z emblematem Solidarności.

W Kościele Mariackim duchowny wygłaszający kazanie stwierdził: „W 1980 swojego rodzaju misję spełniła Solidarność, która przemieniła Stocznię Gdańską i inne zakłady pracy w kościół (…). Tej misyjnej działalności nigdy nie zapomnimy".

W kościele św. Anny o godz. 17.00 odbyła się uroczystość inauguracyjna roku akademickiego Papieskiej Akademii Teologicznej. Inauguracyjny wykład wygłosił prof. UJ W. Bartel. Zamiast kazania kard. F. Macharski odczytał list Jana Pawła II przesłany z okazji inauguracji.

Z informacji z dnia 19 października 1982: *Z naszej inicjatywy Wydział ds. Wyznań w dniu dzisiejszym przeprowadził rozmowę z kanclerzem kurii ks. Br. Fidelusem, w trakcie której zwrócono uwagę na negatywne wystąpienia księży w ostatnią niedzielę oraz zasugerowano podjęcie przez kurię starań o utrzymanie religijnego charakteru przebiegu uroczystości pogrzebowych B. Włosika. Kanclerz zobowiązał się do omówienia tej sprawy z kard. F. Macharskim i proboszczami w N. Hucie.*

Z informacji z 20 października: *W dniu 19 bm. Kard. F. Macharski telefonicznie poinformował Prezydenta m. Krakowa, że zgodnie z ustaleniami z ostatniego spotkania podjął stosowne kroki celem zapewnienia spokojnego i religijnego charakteru imprez religijnych na terenie miasta oraz uroczystości pogrzebowych B. Włosika.*

***

Zamordowanie Bogdana Włosika spowodowało zacięte walki w Nowej Hucie.

Jerzy Mohl: *Na drugi dzień po zamordowaniu Bogdana Włosika po południu wybraliśmy się z powrotem do Nowej Huty. Mieliśmy mało kulek, więc walczyliśmy za pomocą*



Sytuacja operacyjna w Nowej Hucie 14 października 1982 r., w godzinach: 20.00-22.30.
Ok. 19-tej bardzo liczne oddziały ZOMO zaatakowały zgromadzonych gazami i bombami ogłuszającymi. Armatka wodna skierowała strumienie na kwietny krzyż i okalający go wał kwiatów. Po przejeździe armatki, pomimo zagazowania terenu, kobiety ułożyły ponownie kwiaty i zapaliły świece. Rozproszone grupy uczestników nabożeństwa były atakowane przez ZOMO w różnych rejonach Huty. Kanonadę słychać było m. in. z rejonu DMR i Mistrzejowic (os. Kalinowe). Plan WSK KW MO

kamieni na osiedlu Spółdzielczym i w okolicy kina Świt. Stężenie gazu było ogromne. Nie pomagały chusty na twarz. Oczy mieliśmy czerwone jak króliki. Po kilku godzinach wycofaliśmy się.

Nazajutrz nie poszedłem do szkoły, bo miałem sforsowane mięśnie nóg od nieustannego biegania i zawroty głowy od gazu.

Aby ograniczyć zakres walk i nie dopuścić do niekontrolowanego wybuchu, siły milicyjno-wojskowe realizowały w Nowej Hucie kolejne operacje o kryptonimach: „Osiedle" (14 października), „Tereska" (15 października), „Magnes" (od 16 października), „Wariant-1" i „Kleopatra" (obie – 20 października).

„Niepodległość": *14 października. Ok. 19-tej b. liczne oddziały ZOMO zaatakowały zgromadzonych gazami i bombami ogłuszającymi. Armatka wodna skierowała strumienie na kwietny krzyż i okalający go wał kwiatów. Po przejeździe armatki, pomimo zagazowania terenu, kobiety ułożyły ponownie kwiaty i zapaliły świece.*

Rozproszone grupy uczestników nabożeństwa były atakowane przez ZOMO w różnych rejonach Huty. Kanonadę słychać było m.in. z rejonu DMR i Mistrzejowic (os. Kalinowe).

15 października. Znowu od rana gromadzili się na miejscu morderstwa ludzie, by w nastroju powagi i zadumy oddać hołd zabitemu robotnikowi i znowu zostali brutalnie

rozpędzeni przez ZOMO wg zwykłego scenariusza (atak gazowy, wodny, ogłuszający, napaści na ludzi na osiedlach). Tym razem pojawił się w tym bandyckim scenariuszu nowy element – ZOMO wpadało do mieszkań i wyciągało z nich ludzi.

W dniu tym okrucieństwo ZOMO przeszło zwykłe granice – bito nawet dzieci z niższych klas szkół podstawowych. Zlikwidowano wszelkie oznaki pamięci o Bogdanie Włosiku na miejscu morderstwa – krzyż metalowy, kwiaty, znicze, krzyż z łusek po nabojach z gazem łzawiącym, a nawet zabrano ławkę, na której chłopak skonał. Miejsca pilnują przez 24 godziny patrole w rynsztunku bojowym – nie dopuszczono nikogo.



Sytuacja operacyjna w Nowej Hucie 15 października 1982 r., w godzinach: 19.00–22.30. *W dniu tym okrucieństwo ZOMO przeszło zwykłe granice – bito nawet dzieci z niższych klas szkół podstawowych. Zlikwidowano wszelkie oznaki pamięci o Bogdanie Włosiku na miejscu morderstwa – krzyż metalowy, kwiaty, znicze, krzyż z łusek po nabojach z gazem łzawiącym, a nawet zabrano ławkę, na której chłopak skonał. Miejsca pilnują przez 24 godziny patrole w rynsztunku bojowym – nie dopuszczono nikogo.*
Plan WSK KW MO

„Hutnik": *15 października w czasie starć wieczornych około 300 osób schroniło się na terenie kościoła NMP w Bieńczycach, nocując. ZOMO zażądało na podstawie pisemnej decyzji prokuratury doręczonej księżom, wydania wszystkich osób ze świątyni i plebanii. Księża odmówili mimo groźby użycia przemocy. Jeden z nich został zatrzymany, gdy usiłował swoim samochodem wywieźć kilka osób. Przetrzymano go 10 godzin na os. Złotej Jesieni. ZOMO weszło na teren budynku Technikum Budowlanego, bijąc bez żadnej przyczyny uczniów klas wieczorowych i dwóch nauczycieli, którzy stanęli w ich obronie. Niektórzy uczniowie uciekali wyskakując oknem na boisko szkolne. Na os. Dąbrowszczaków ZOMO spacyfikowało dwa budynki, wdzierając się do wszystkich mieszkań i wyciagając z nich osoby, które tam się schroniły. Osoby te, jak i domownicy, byli bici pałkami.*

„Niepodległość": *16 października. Od rana ulice i osiedla Huty nasycone były zomowcami w niespotkanych ilościach. W okolicy kościoła w Bieńczycach i Placu Centralnego legitymowano wszystkich przechodniów. Wieczorem ZOMO zagazowało os. Tysiąclecia i akademiki na Mistrzejowicach w odwet za wygwizdanie kolumny ZOMO.*



Sytuacja operacyjna w Nowej Hucie 16 października 1982 r. w godzinach: 21.00-22.30. *Od rana ulice i osiedla Huty nasycone były zomowcami w niespotkanych ilościach. W okolicy kościoła w Bieńczycach i Placu Centralnego legitymowano wszystkich przechodniów. Wieczorem ZOMO zagazowało os. Tysiąclecia i akademiki na Mistrzejowicach w odwet za wygwizdanie kolumny ZOMO.*

Plan WSK KW MO

„Hutnik": *17 i 18 października SB przeprowadziło akcję pacyfikacyjną, w czasie której bez powodu zatrzymano kilkuset młodych ludzi. Zabierano ich z ulicy i z domów według specjalnej listy. W Komendzie Wojewódzkiej MO przy ul. Mogilskiej ustawiono ich na korytarzach twarzą do ściany i z podniesionymi rękami, bijąc ich pałkami. Następnie każdy z nich był przesłuchiwany. Siedzących na taboretach bito pałkami po plecach i udach. Robili to zomowcy, którzy chodzili od pokoju do pokoju, nie pozwalając się swoim ofiarom oglądać, aby nie zostać rozpoznanym (jednak się, dranie, boją!). Pod wpływem tortur wielu chłopców przyznało się do niepopełnionych czynów lub złożyło zeznania obciążające swoich kolegów, których następnie aresztowano. Tych, którzy byli lektorami lub ministrantami zmuszano w wyrafinowany sposób do składania zeznań obciążających księży z parafii nowohuckich, a także skłaniano do współpracy z SB.*

17 października 1982 po każdej Mszy Świętej ZOMO otaczało zwartym szykiem skwer, na którym zamordowano Bogdana Włosika. Na miejsce zbrodni dopuszczono jedynie rodziców Bogdana, którzy złożyli kwiaty. W tym czasie ludzie składali kwiaty i palili znicze pod klepsydrą na murze.

„Niepodległość": *18 października. Znowu w podobnych okolicznościach zagazowano os. Tysiąclecia i akademiki na Mistrzejowicach. W całej Nowej Hucie oraz w Krakowie pojawiły się klepsydry ś.p. Bogdana Włosika, które zaciekle zrywało ZOMO i MO. Pojawiły się również liczne nalepki z napisem: „Zaufajcie nam, to już nasza ostatnia zbrodnia – PZPR" (...).*





Pogrzeb Bogdana Włosika 20 października 1982 r. *Na nowohuckim cmentarzu w Grębałowie ludzie pracy Nowej Huty i Krakowa pożegnali swego brata, niewinną ofiarę ubeckiej nienawiści. 20-letniego robotnika odprowadziła na wieczny spoczynek kilkunastotysięczna rzesza tych, którzy nie ulękli się niespotykanej w naszym mieście demonstracji przemocy i nienawiści. Zwiezione z całego kraju ZOMO patrolowało Hutę w dzień i w nocy, nieustannie legitymowało przechodniów, masowo wywlekano po nocy młodzież z domów, bestialsko katowano zatrzymanych. W kondukcie pogrzebowym, na zdjęciu z prawej strony, wyraźnie widoczny ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski (przed księdzem w ciemnych okularach).*

Z filmu TVP Kraków

Pogrzeb Bogdana Włosika. Na nowohuckim cmentarzu w Grębałowie ludzie pracy Nowej Huty i Krakowa pożegnali swego brata, niewinną ofiarę ubeckiej nienawiści. 20-letniego robotnika odprowadziła na wieczny spoczynek kilkunastotysięczna rzesza tych, którzy nie ulękli się niespotykanej w naszym mieście demonstracji przemocy i nienawiści. Zwiezione z całego kraju ZOMO patrolowało Hutę w dzień i w nocy, nieustannie legitymowało przechodniów, masowo wywlekano po nocy młodzież z domów, bestialsko katowano zatrzymanych.

20 października w dniu pogrzebu, od rana wstrzymano komunikacje publiczną w stronę cmentarza, zatrzymywano samochody prywatne. Przedarło się na cmentarz kilkanaście tysięcy ludzi. Tam już nie było widać znienawidzonych drelichów ZOMO.

Z meldunku mjr. Hryniewicza z 20 października 1982: *Uroczystości rozpoczęły się o godzinie 9.30 nabożeństwem żałobnym w kaplicy cmentarnej (...), w czasie którego wygłoszone zostało okolicznościowe kazanie niezawierające treści pozareligijnych. Pod koniec kazania głoszący je dwukrotnie zaapelował do zebranych, aby „nie przyłączali się do ludzi o złych zamiarach i intencjach" (...). Po nabożeństwie uformował się kondukt, który udał się w kierunku grobu (...). Zdecydowana większość uczestników na trasie przemarszu od kaplicy do grobu miała uniesione ręce z palcami dłoni w kształcie litery V z wyjątkiem – co zwróciło uwagę – rodziców zmarłego (...). Całość filmowana była przez ustalone trzy ekipy filmowe.*

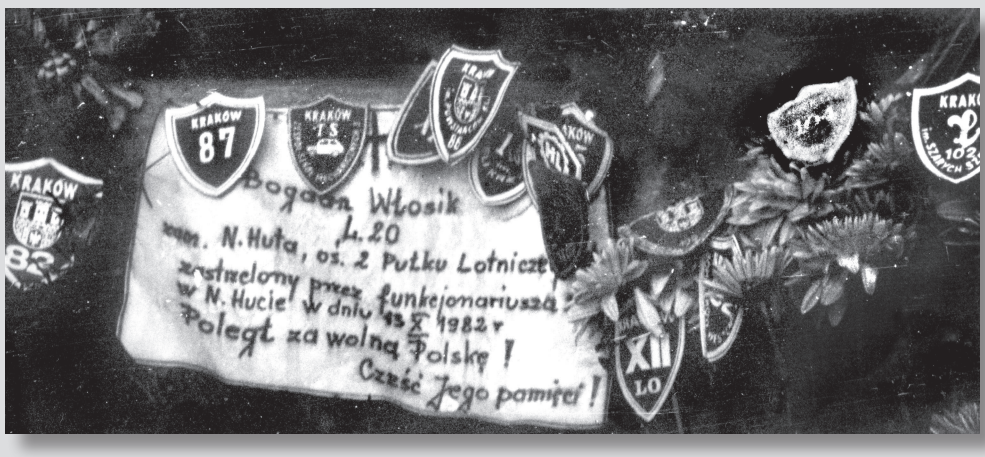
Wojciech Słowik: *Było mnóstwo kwiatów, ale nie doszło do żadnych incydentów. Ludzi było dużo, ale nie było warunków, aby się zgromadzili w jednym miejscu. Trzeba było uważać, aby nie deptać grobów. Nie pamiętam, aby były jakieś przemówienia na cmentarzu.*

Maciej Gawlikowski: *Aby ułatwić sobie rozpoznanie uczestników pogrzebu, SB zleciła Telewizji Kraków rejestrację konduktu przy pomocy profesjonalnego sprzętu. Na budynku*






Pogrzeb Bogdana Włosika 20 października 1982 r. Aby ułatwić sobie rozpoznanie osób uczestniczących w pogrzebie, SB zleciła Telewizji Kraków rejestrację konduktu przy pomocy profesjonalnego sprzętu. Na budynku cmentarza ustawiono dużą kamerę z mocnym zoomem, używaną do transmisji sportowych, obraz rejestrowano na wielkim magnetowidzie na szerokie taśmy. Nie ma wątpliwości, jaki był cel tego zapisu – obraz jest zrealizowany cały czas w jednym planie, dzięki czemu dobrze widać twarze osób idących w przesuwającym się przed kamerą kondukcie. Z filmu TVP Kraków



Miejsce śmierci Bogdana Włosika nazajutrz po morderstwie. Fot. M. Gawlikowski

cmentarza ustawiono dużą kamerę z mocnym zoomem, używaną do transmisji sportowych, obraz rejestrowano na wielkim magnetowidzie na szerokie taśmy. Nie ma wątpliwości, jaki był cel tego zapisu – obraz jest zrealizowany cały czas w jednym planie, dzięki czemu dobrze widać twarze idących w przesuwającym się wolno przed kamerą kondukcie.

Niektórzy byli represjonowani na podstawie zdjęć i materiałów filmowych z tego pogrzebu. W notatkach KW MO jest informacja, że Wojciech Szumowski (przypadkowa zbieżność nazwisk z Maciejem Szumowskim), uczeń IV klasy Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie, został 22 października 1982 roku skazany przez Kolegium do spraw Wykroczeń na karę 2 miesięcy bezwzględnego aresztu za to, że *w dniu 20 października w godzinach 10-12, w Nowej Hucie przy os. Grębałów – niosąc za konduktem pogrzebowym dwie flagi z napisami „Solidarność" i „Solidarność żyje"* [chodziło o wstęgi przy wieńcu] *a następnie umieszczając jedną z nich na grobie – publicznie rozpowszechnił chorągiew, znak – organizacji, związku – prawnie nie istniejącego. Ponadto w tym samym czasie – nosił publicznie wpięte w kurtkę znaczki – plakietki Solidarność i "Konfederacja Polski Niepodległej" – przez co rozpowszechniał organizacje – prawnie nie istniejące*. Zabłocki: *Chłopca po zatrzymaniu traktowano niesłychanie brutalnie. Bito go podczas całego przesłuchania, po czym na 48 godzin zamknięto w celi z łóżkiem o samych deskach, bez koca, przy otwartym oknie (...). Po złożeniu odpowiednich zaświadczeń, w związku z nieuleczalną chorobą matki, uchylono karę aresztu wobec niego do czasu rozprawy.*

***

Po zamordowaniu Bogdana Włosika stopniowo narastało napięcie także w Miasteczku Studenckim. Warto zauważyć, że środowisko NZS z uwagi na sesje egzaminacyjne w czerwcu i we wrześniu oraz wakacje w lipcu i sierpniu, praktycznie zawiesiło swoją aktywność na kilka miesięcy, co odnotowała także SB w swoich „Ocenach sytuacji operacyjno-politycznej".

Z cytowanej już „Analizy sytuacji operacyjnej w środowiskach rozpracowywanych przez Wydział III-l KW MO w Krakowie" z 2 stycznia 1983: *W dniu 15 października* [1982 r.] *doszło ponadto do zakłócenia porządku na terenie Miasteczka Studenckiego, gdzie przeprowadzono akcję gaszenia świateł, zapalenia świeczek i wznoszenia okrzyków „Solidarność", „Uwolnić Lecha" itp.*

Z informacji KW MO w Krakowie przesłanej do Warszawy z 19 października: *Na znak protestu przeciwko postrzeleniu B. Włosika ok. godziny 21.00 w obrębie Miasteczka Studenckiego na placu przed DS „Kapitol" zgromadziło się ok. 2000 studentów. W tym czasie z ulokowanego w jednym z okien głośnika nadano melodię poloneza Ogińskiego. Studenci stali z palcami rozwartymi w kształcie litery V z rękoma uniesionymi w górę. Wznieśli kilka okrzyków „Solidarność!". Po około 40-tu minutach rozeszli się do poszczególnych DS-ów. Powiadomiono rektorów uczelni, których studenci zamieszkują w obrębie Miasteczka Studenckiego – zobowiązując ich do wzmożenia czynności i zapobieżenia tego rodzaju akcjom studenckim. Ponadto na terenie WSP, AGH ujawniono nekrologi wykonane ręcznie informujące o pogrzebie B. Włosika. Informacji o zamierzeniach zorganizowanego udziału studentów w pogrzebie dotychczas nie uzyskano. Ustalono natomiast, że zamierzają się tam udać byli działacze Solidarności – J. Kutyba z AM oraz L. Kuzaj z UJ celem złożenia wieńców, w związku z czym w godzinach rannych w dniu 20 bm. zostaną zatrzymani.*

Z „Niepodległości": *ZOMO 20 października zaatakowało w późnych godzinach wieczornych Miasteczko Studenckie przy ul. Piastowskiej. Strzelano do okien gazami łzawiącymi, użyto bomb ogłuszających.*

Z meldunku mjr. Hryniewicza z 21 października: *W dniu wczorajszym o godzinie 21 przejazd wozów milicyjnych ul. Reymonta spotkał się z gwizdami studentów zamieszkujących w DS nr 14 „Kapitol". Ok. godz. 21.20 w kierunku pomieszczeń radiowęzła „Brzęczek" w bloku nr 5 przy ul. Reymonta 17 została wystrzelona petarda. Mieszkańcy DS-u twierdzili, że wrzucona ona została z przejeżdżającego samochodu milicyjnego. Informacja o powyższym rozeszła się bardzo szybko po DS-ach zlokalizowanych przy ul. Reymonta i na terenie Miasteczka. Spowodowało to dużą falę gwizdów, tłuczenia o parapety. Wtedy domy studenckie na terenie miasteczka zlokalizowane wzdłuż ul. Reymonta zostały ostrzelane petardami z gazem łzawiącym. Były to DS nr 8, 13, 14 i 5. W efekcie tej akcji rozbitych zostało kilkanaście szyb oraz pewne uszkodzenia w pokojach. W sumie straty są oceniane przez władze administracyjne Miasteczka, na kwotę ok. 10 tys. W związku z użyciem środków chemicznych, w dniu dzisiejszym nieczynny jest żłobek mieszczący się w DS nr 14.*

Kolejnego dnia doszło do wtargnięcia grupy zomowców na teren miasteczka i pobicia kilku studentów. Informował o tym reżimowy „Dziennik Polski" z 28 października 1982 roku w charakterystyczny dla rządowej propagandy mętny sposób: *W dniu 21 października br. po kolejnym napastliwym zachowaniu się części studentów w godzinach wieczornych na terenie miasteczka doszło do godnego ubolewania incydentu między studentami i 8-osobową grupą funkcjonariuszy MO i żołnierzy WP. W wyniku tego zajścia kilku studentów doznało powierzchownych obrażeń (...). W związku z zaistniałym w dniu 21 bm. incydentem prowadzi się czynności wyjaśniające, zmierzające do ustalenia przebiegu i okoliczności zdarzenia oraz wszystkich jego uczestników.*

Z meldunku mjr. Hryniewicza z 22 października: *W dniu 21 bm. w godzinach od 21 do 21.30 ponownie został zakłócony spokój w rejonie Miasteczka Studenckiego. Zakłócenie to polegało na tym, że studenci z poszczególnych bloków wywoływali hałas, tłukąc o parapety okien, gwiżdżąc i wznosząc okrzyki: „Gestapo!", „Solidarność!", „NZS!", „Naród – partia!". Zaczepiali samochody (karetki pogotowia, straż) oraz w niewielkiej ilości migotali światłami.*

Po tej akcji ok. godz. 21.35-21.45 na tyłach DS nr 8 znalazł się patrol MO w mundurach polowych, który najprawdopodobniej był zaczepiany okrzykami przez studentów z okien domów akademickich. W chwilę potem patrol ten w składzie 8 osób wbiegł do DS nr 8 i przy użyciu pałek i gazu interweniował na wyższych kondygnacjach budynku. Mieszkańcy tego budynku twierdzili, że funkcjonariusze znajdowali się pod wpływem alkoholu. W momencie przebywania patrolu w DS nr 8 z DS nr 13 rozległy się okrzyki pod adresem funkcjonariuszy. Stało się to przyczyną, że patrol ten udał się następnie do DS nr 13, gdzie podjęta została podobna interwencja. Nadmienić tutaj należy, że DS nr 13 zamieszkują małżeństwa studenckie z dziećmi. Podobna sytuacja miała miejsce w DS nr 14. W związku z tym, że w DS nr 13 zamknięte były drzwi wejściowe funkcjonariusze zastosowali wejście siłowe, rozbijając pałkami szyby w drzwiach. Dowódca tego patrolu przedstawił się nazwiskiem Lewandowski. Patrol krążył po terenie Miasteczka Studenckiego do godziny 22.30.

W tym samym czasie w Klubie „Zaścianek" odbywało się spotkanie studentów z prorektorem AGH doc. Zabierowskim i po zakończeniu tego spotkania studenci pozostali w pomieszczeniach tego klubu, gdyż doszła do nich informacja, że działania milicji odbywają się na terenie całego Miasteczka Studenckiego. Ok. godziny 22.00-22.30 na terenie Miasteczka pojawił się Rektor UJ prof. J. Gierowski.

Jeszcze tego samego dnia komendant wojewódzki MO (gen. bryg. J. Beim) i członkowie kierownictwa KW MO oraz prezydent miasta Krakowa spotkali się z rektorami

krakowskich wyższych uczelni „uzgadniając wielopłaszczyznowe działania zmierzające przede wszystkim do zdyscyplinowania w środowisku akademickim".

Władze miały jednak świadomość, że działania rektorów mogą być niewystarczające i obawiały się szturmu studentów na położone w pobliżu akademików budynki GTS „Wisła", w których stacjonowały oddziały MO sprowadzone ze Szczytna. Z tego powodu 22 października 1982 roku podjęto „działania blokadowo-zabezpieczające" w rejonie Miasteczka Studenckiego w operacji o kryptonimie „Wisła". W akcji brało udział 80 funkcjonariuszy SB oraz kilka kompanii MO. Obawy te były jednak na wyrost, bo do żadnej bitwy przy ul. Reymonta nie doszło.

Z meldunku mjr. Hryniewicza z 23 października: *W związku z podjętym w dniu dzisiejszym rozpoznaniem operacyjnym na terenie Miasteczka Studenckiego ustalono, że (…) poczynione są (…) przygotowania do ewentualnej obrony. W tym celu gromadzone są kawałki płyt chodnikowych w DS nr 14 (Kapitol). Nastroje na Miasteczku cechuje duża bojowość oraz oburzenie na dotychczasowe dwukrotne wejścia ZOMO do DS-ów. Wczorajsza interwencja MO w kilku DS-ach spowodowała pogorszenie możliwości uzyskiwania informacji z tereniu Miasteczka poprzez kontakty operacyjne i służbowe.*

***

Z analizy zgromadzonych w IPN akt operacji milicyjnych wynika, że w tygodniu od 13 do 20 października zatrzymano ponad 450 osób (nie odnotowywano zatrzymanych na parę godzin czy tylko przesłuchiwanych, a wyłącznie przetrzymane w areszcie), a siły użyte do pacyfikacji dzielnicy liczyły w szczytowym momencie ok. 4000 funkcjonariuszy.

***

Śmierć Bogdana Włosika spowodowała ostry konflikt na linii KK PZPR – KW MO. 17 października doszło do burzliwych obrad Wojewódzkiego Komitetu Obrony, po których I sekretarz KK PZPR podał się do dymisji. Przebieg posiedzenia WKO relacjonuje Jan Broniek. Trzeba jednak pamiętać, że był on stroną konfliktu, do jakiego doszło na tym zebraniu, a więc jego relacja nie jest obiektywna. Przytaczamy ją jednak, bo daje obraz sytuacji, do jakiej doszło po śmierci Bogdana Włosika, gdy KW MO i KK PZPR nawzajem obciążały się odpowiedzialnością za to wydarzenie. Niewykluczone, że był to tylko pretekst, użyty w sporze dwóch zwaśnionych grup, walczących o władzę w Krakowie.

Jan Broniek: *Po długiej rozmowie, mając świadomość politycznej, osobistej odpowiedzialności za rozwój wydarzeń, uzgodniliśmy z Krystynem Dąbrową, że ja przedstawię bardzo krytyczną ocenę sytuacji na najbliższym posiedzeniu WKO (17 października 1982), na które miał przybyć gen. Józef Beim – Komendant Główny MO. Opracowałem tezy wystąpienia i skonsultowałem je z Dąbrową. Istotnie, Beim przyjechał (znaliśmy się dobrze, razem kończyliśmy studia podyplomowe na AE). W posiedzeniu uczestniczyli: Krystyn Dąbrowa, gen. Leon Sulima, płk Ryszard Dmochowski, płk Adam Trzybiński i płk Wiesław Działowski, płk Kazimierz Garbacik – członek WRON. Przewodniczył Józef Gajewicz. Tradycyjnie, zaproszono grupę robotników z MPK z dyrektorem Tadeuszem Trzmielem na czele (pracownicy MPK byli narażeni na przykre skutki nowohuckich zamieszek).*

Ocenę sytuacji przedstawił płk Trzybiński [W nawiasach kwadratowych – komentarz Brońka do tez Trzybińskiego], *stwierdzając m.in., że sytuacja rozwija się niepomyślnie, a przeciwnik staje się coraz bardziej agresywny. Mamy do czynienia z nowohucką chuliganerią i organizatorami z Krakowa. Potrzebne są większe siły [W Krakowie zgrupowane*

były znaczne siły ZOMO i ROMO (rezerwiści wojskowi) zgrupowani byli w bazie przy ul. Łokietka (Tonie), przy ul. Mrozowej koło kombinatu, na os. Złota Jesień, w „Domu Turysty", w hali Wisły, na pl. Wolności, przy ul. Siemiradzkiego i ul. Mogilskiej]. MO i ZOMO działają dobrze. Śmierć Bogdana Włosika to nieszczęśliwy wypadek [Początkowo Trzybiński zaprzeczał, że miał miejsce wypadek śmiertelny. Ale po telefonie od dyrektora szpitala wojskowego już nie można było mieć wątpliwości, ranny młody człowiek zmarł (...)]. Oficer SB, który zabił, wcześniej został rozpoznany i groził mu lincz ze strony tłumu. Funkcjonariusz nie wykonał rozkazu o pozostawieniu broni w sejfie, lecz zabrał ją z sobą. Dzisiaj, na podstawie doniesień prasy, wiemy, że Bogdan Włosik go poznał, bo niegdyś mieszkali na tej samej klatce, w domu przy ul. Straszewskiego w Krakowie. Fakt ten ogłosił tłumowi.

Zabrałem głos. Przedstawiłem własną ocenę. Powiedziałem m.in., cytuję z notatek: „W Nowej Hucie mamy do czynienia z głęboką niechęcią i wrogością do władzy, do MO i wojska. Dzieje się tak, bo nie potrafimy rozwiązać trwającego od miesięcy konfliktu. Ludzie pracują pod strachem. W czasie manifestacji w Nowej Hucie, nie tylko w miejscach zamieszek, panuje lęk. Ludzie boją się wyjść na ulicę. Lękają się o dzieci, czasem bite i zatrzymywane bez podstaw przez ZOMO. Siły porządkowe postępują brutalnie, ostrzeliwując okna. Administratorzy wymienili już setki szyb. W Nowej Hucie już po raz 9. mieliśmy zamieszki, w tym 7 razy według tego samego scenariusza. Ludzie uważają, że bijemy i gazujemy w rewanżu za ich aktywność sprzed 13 grudnia". Nie zgodziłem się z oceną przedstawioną przez płk. Trzybińskiego, zwłaszcza w punkcie mówiącym, że robotnicy HiL sprzeciwiają się manifestacjom i nie biorą w nich udziału. Zapytałem: – Jeśli tak jest rzeczywiście, to dlaczego wśród 46 osób zatrzymanych było aż 36 młodych robotników z walcowni HiL? Jeżeli manifestacje organizują wysłannicy z Krakowa, to dlaczego ich nie ma wśród zatrzymanych? Nie zgodziłem się również ze statystyką osób poszkodowanych. Niektórych rannych zawożono do szpitali w Proszowicach i Myślenicach, statystyki obejmowały tylko szpitale w Krakowie. Niestety, duże straty ponoszą również oddziały ZOMO. Milicjanci zostali trwale okaleczeni, sam ich odwiedzałem w szpitalach. Widziałem w szpitalu wojskowym także poszkodowanych uczestników manifestacji. Uważam – powiedziałem – że na całą sytuację należy spojrzeć inaczej, także pod tym kątem, czy sił porządkowych używa się profesjonalnie i czy nie popełnia się rażących błędów? Izolowany, osamotniony aktyw partyjny nie był w stanie podjąć stanowczych kroków dla zaprzestania tej „nowohuckiej wojny". Wypowiedziałem jeszcze zdanie, „że w Nowej Hucie sytuacja jest na granicy buntu ludowego, nie przeciw obcemu wrogowi, lecz przeciw naszej władzy" (...).

Moje przemówienie wywołało zdumienie Beima, niezadowolenie Trzybińskiego i Działowskiego, zakłopotanie Gajewicza i aprobatę Dmochowskiego (...).

21 października 1982 roku odbyła się nadzwyczajna sesja Dzielnicowej Rady Narodowej w Nowej Hucie. Relację z jej przebiegu zamieścił podziemny „Serwis Informacyjny" nr 33 z 8 listopada 1982. W zebraniu wzięli udział sekretarze KK PZPR, prezydent miasta, przedstawiciele MO i wojska. Głos zabrał m.in. Aleksander Kalmus (członek Komisji Zdrowia i Ochrony Środowiska DRN, bezpartyjny). *Przyznał, że manifestacje były wykroczeniem wobec ustawy o stanie wojennym, ale represje były niewspółmiernie brutalne i bezmyślne. (...). Ucierpiała głównie niewinna ludność, zamieszkująca te dzielnice, przede wszystkim dzieci, starcy i chorzy (...). Winą za coraz ostrzejsze starcia w kolejnych miesiącach obarcza się demonstrantów, rodzimą reakcję i ośrodki propagandy na Zachodzie. „To bardzo łatwe, ale trzeba krytycznie spojrzeć na siebie" - powiedział. „Czy nie było innej drogi?" (...). Manifestacje, choć nielegalne, nie były agresywne, np. 16 czerwca po przejściu spod bramy HiL do kościoła w Bieńczycach i mszy św. wie-*

lotysięczny tłum rozszedł się spokojnie. Również w czasie pogrzebu śp. Bogdana Włosika 20 tysięcy ludzi potrafiło zachować powagę i spokój, gdy nie byli atakowani przez milicję. W pozostałych wypadkach władze wybrały drogę represji. - „A może są dwa ośrodki władzy w Polsce? Jedni nawołują do porozumienia narodowego, a drudzy robią wszystko, by je uniemożliwić?" (...). Najwięcej strat materialnych spowodowały działania ZOMO. Wiele płyt chodnikowych i ławek zostało połamanych przez ciężki sprzęt bojowy, a szyby powybijane przez petardy z gazem łzawiącym. Petardy spowodowały tez liczne pożary w mieszkaniach. Mówi się o prowokatorach ze strony demonstrantów, ale prowokatorzy są też po drugiej stronie. „Czy pałowanie dzieci powracających ze szkoły z popołudniowych lekcji nie jest prowokacją? Czy należy się dziwić, że potem ludzie wychodzą na ulicę?" (...). Wystąpienie Aleksandra Kalmusa spotkało się z długotrwałym aplauzem sali (oczywiście nie w pierwszych rzędach, gdzie siedzieli prominenci) (...).Kolejno zabrał głos sekretarz KW PZPR Broniek. Było to przemówienie z pozycji siły i impertynenckiej władzy. - „Trzeba wreszcie położyć tamę zajściom na ulicy. Władza ma dość siły, by każdą demonstrację zdławić. Jak nie będzie demonstracji, to nie będzie interwencji. Jeśli nie będzie przestrzegane prawo wojenne, to jakie prawo będzie przestrzegane?". Wystąpienie A. Kalmusa ocenił jako „głęboko naiwne i nierozważne". Na koniec zaapelował o współpracę z FJN i z OKON-ami.

Kilka dni później Dąbrowa przestał być I sekretarzem KK PZPR.

Stefan Maciejewski tak to opisał w swoim dzienniku: *26 października. Dziś odbyła się farsa z zachowaniem partyjnego rytuału. Otóż WRON uznała, że sekretarz KK PZPR w Krakowie, Krystian Dąbrowa, zawiódł jej oczekiwania, gdyż nie poradził sobie ze spacyfikowaniem buntowników, szczególnie w Nowej Hucie. W tej sytuacji podjęto na górze decyzję zwolnienia go z zajmowanego stanowiska, a powołania na to miejsce dotychczasowego prezydenta Krakowa, Józefa Gajewicza.*

Zachowując bizantyjski rytuał, aby odwołać Dąbrowę ze stołka, musiało odbyć się najpierw plenum (z jednym punktem obrad: „sprawy organizacyjne"), na którym skazany na odstrzał delikwent miał obowiązek wyjaśnić towarzyszom, dlaczego to podjął właśnie decyzję podania się do dymisji. Oczywiście, w drętwej mowie nie może być mowy o faktycznych przyczynach rzekomo osobistej rezygnacji ze stołka. Ważne, aby pozory demokracji wewnątrzpartyjnej zostały zachowane: plenum tow. Dąbrowę na stanowisko powołało (kłamstwo, bo został przywieziony z KC w teczce), więc niby tylko plenum może go odwołać. Oczywiście, nikt nie ośmieli się stanąć w obronie spalonego w KC faceta.

Więc komedia się rozwija. Członkowie plenum z powagą wysłuchali „samodzielnej" decyzji Dąbrowy, który chce odejść ze względów osobistych. Plenum składa mu podziękowanie za owocną pracę dla dobra Krakowa i całego społeczeństwa małopolskiego, które mu wiele dobrego zawdzięcza. Wszyscy są wzruszeni.

Następnie prowadzący komedię ujmuje teczkę przywiezioną z Warszawy przez jakiegoś kacyka, w której jest nominacja Józefa Gajewicza. Nie wyciągając jej jeszcze z teczki, wysuwa przed towarzyszami kandydaturę na I sekretarza KW tow. Gajewicza. Ten udaje mile zaskoczonego, chociaż od paru dni już wie o swej nominacji (na tę okoliczność na wczorajszej sesji Rady Narodowej podał się do dymisji). Plenum klaszcze, kandydaturę przyjmuje i natychmiast teleksem zawiadamia KC, że chce wybrać na I sekretarza tow. Gajewicza. W KC niby się zastanawiają nad tym, co już ustalili przed paru dniami, i teleksują, że nie mają nic przeciw tej kandydaturze. Następują wybory, do których staje jeden kandydat, tow. Gajewicz. Przy kilku wstrzymujących się głosach kandydat zostaje wybrany. To się nazywa demokracja socjalistyczna!

Aliści jeszcze farsy nie koniec. Trzeba przecież tumanionym obywatelom pokazać na szklanym ekranie spławionego nomenklaturowca i zaprezentować jego następcę. Tu zaczyna się aktorska rola tow. red. Andrzeja Urbańczyka. Kamery włączone:

Urbańczyk: Biuro Polityczne przychyliło się do waszej decyzji podania się do dymisji (kłamstwo, bo nie przychyliło się, lecz podjęło decyzję – S.M.). Dlaczego towarzyszu rezygnujecie? (drugie kłamstwo, bo nie rezygnuje, lecz zmuszony został do rezygnacji).

Dąbrowa: Jestem w Krakowie I sekretarzem od dwu lat i ośmiu miesięcy. To w sensie kalendarzowym może nie jest długo, ale warto zwrócić uwagę, że w tym czasie przeżyłem trzy epoki (aluzja, że służył Gierkowi, Kani i teraz Jaruzelskiemu – S.M). Poza tym uważam, że człowiek – i tę zasadę wyznaję – tak długo winien pracować na danym stanowisku, jak długo starcza mu sił do sprostania zadaniu (sił by mu starczyło, gdyby KC go nie wykopało, więc kolejne kłamstwo – S.M.). (...)

Urbańczyk: Co może nam towarzysz powiedzieć, oceniając swą pracę w Krakowie?

Dąbrowa: Zostawiłem tutaj wiele pracy.

Urbańczyk: I szacunku dla siebie, towarzyszu! – zakończył lizusek i przeszedł do rozmowy z Gajewiczem. Towarzysz Dąbrowa znika z ekranu. Na razie koniec jego kariery.

Urbańczyk: Towarzyszu sekretarzu, KC dało wam rekomendację, a plenum wysunęło na stanowisko (kolejne przekłamanie Urbańczyka). Z jakim uczuciem je przyjęliście?

Gajewicz: Z myślami jak pomóc ludziom. Żyje się im ciężko, potrzebne są ludziom zapasy na zimę, warzywa, ziemniaki...

Urbańczyk: Ale to jest trochę prezydencki punkt widzenia.

Gajewicz: Po części tak. Wykonywałem do dzisiaj, a właściwie do sesji Rady Narodowej obowiązki prezydenta.

No cóż, wykonywał obowiązki prezydenta, a teraz będzie wykonywał obowiązki partyjnego nadzorcy stanu wojennego w województwie.

Potężne demonstracje w Nowej Hucie wykorzystano w walkach wewnątrz PZPR. Nowy szef KK PZPR był człowiekiem „frakcji wojskowej" Kiszczaka i Jaruzelskiego. Jego prawą ręką przez prawie 8 lat rzadów był ppłk Janusz Kusztelak, oddelegowany z wojska. *A Janusza to bali się nawet na Mogilskiej, co było mi bardzo na rękę* – mówi dziś Gajewicz.

Druga fala internowań działaczy KPN

Późnym latem i jesienią 1982 roku SB zdecydowała się ponownie uderzyć w krakowską KPN. Licząc internowania w grudniu 1981 roku oraz trzy kolejne wpadki (13-14 kwietnia – drukarni w mieszkaniu Załuskich i aresztowanie Waldemara Czyża, Witolda Tukałły oraz Andrzeja Załuskiego, 12-14 maja – aresztowanie Wiesława Grudniewicza, Bogdana Głowackiego i Ewy Tukałło, 19-28 czerwca – wpadka drukarni przy ul. Findera

i kolejne aresztowania: Stanisława Papieża, Marka Bika i Witolda Tosia) było to już piąte uderzenie SB w krakowską KPN po wprowadzeniu stanu wojennego.

Wbrew nadziejom ubeków, żaden z internowanych w grudniu 1981 roku co najmniej 24 działaczy (lub byłych działaczy) krakowskiej KPN nie załamał się w wyniku izolacji i nie zdecydował na współpracę z SB ani nawet nie złożył publicznej deklaracji lojalności wobec władz. Dotyczyło to także internowanych, którzy ze względu na swoją sytuację rodzinną (Kahl-Stachniewicz, Macedoński, Palczewski) czy zdrowotną (Bożena Huget) mogli okazać się podatni na propozycję uwolnienia w zamian za jakiś kompromis. Bzdyl, zanim został internowany (a potem aresztowany), zdążył zorganizować na nowo strajk w zajezdni MPK w Łagiewnikach. Żurek uciekł z obozu internowania w Załężu. Huget, Tatara czy Majdzikowie sprawiali w internacie potężne „problemy wychowawcze", pociągając do buntów innych internowanych.

Ku zaskoczeniu SB, internowanie działaczy KPN – organizacji kadrowej, a nie masowej jak „Solidarność", działającej jawnie, i to jeszcze przed Sierpniem, więc dobrze rozpoznanej przez SB – nie przerwało działalności tej partii w Krakowie. Przeciwnie. Okazało się, że przed 13 grudnia organizacja przygotowała drugi garnitur działaczy, głównie bardzo ideowej młodzieży, który po wprowadzeniu stanu wojennego kontynuował działalność. Już 17 grudnia 1981 roku powstało TTKAB, najpóźniej w lutym 1982 roku powstało CKAB, od marca 1982 roku podziemna KPN wydawała pismo „Niepodległość", w 1982 roku wydano także cztery obszerne numery „Opinii Krakowskiej", wydawano i kolportowano w wielotysięcznych nakładach ulotki Konfederacji. SB zdobyła też przypadkowo informacje, że KPN usiłuje prowadzić działalność dywersyjną w stacjonującej w Krakowie jednostce wojskowej „czerwonych beretów". Mimo zlikwidowania dwóch drukarń oraz aresztowania kilku osób KPN prowadziła działalność poligraficzną i kolportażową.

Młodzież konfederacka aktywnie uczestniczyła w manifestacjach ulicznych organizowanych w Krakowie i w Nowej Hucie, a w przypadku pierwszych manifestacji krakowskich (13 marca i 13 kwietnia 1982 roku w Rynku Głównym) młodzi konfederaci pod kierunkiem Witolda Tukałły (m.in. Witold Toś, Marek Bik, Artur Mohl) byli ich współorganizatorami i idąc w pierwszym szeregu, prowadzili ludzi w marszu wokół Rynku. Były to pierwsze zorganizowane demonstracje publiczne w Krakowie po 13 grudnia. O tej roli Konfederacji Polski Niepodległej w Krakowie SB nigdy nie uzyskała wiedzy (choć po treści wznoszonych okrzyków oraz po treści kolportowanych ulotek mogła się domyślać znaczącej roli KPN w organizacji tych manifestacji).

Frustracja SB musiała być tym głębsza, że przez ponad pół roku (od grudnia 1981 do lipca 1982 roku) miała ona szczątkową wiedzę o działających w konspiracji kapeenowskiej. W tym czasie SB nie miała agentury, która pozwalałaby na dostęp do wnętrza środowiska zakonspirowanej Konfederacji („starzy" agenci nieznający nowych ludzi, słabo nadawali się do tego celu). O stopniu determinacji SB w rozpracowaniu podziemnego środowiska krakowskiej KPN, świadczy skala działań podejmowanych w SOS „Kawiarze", które objęły w pewnym momencie ponad 160 osób. A przy tym SB działała zupełnie na oślep, o czym świadczą nazwiska zatrzymanych do tej sprawy – w dużej części byli to ludzie nie związani z podziemną KPN lub związani w bardzo luźny i przypadkowy sposób. Ubecki wykaz „osób przechodzących" w SOS „Kawiarze" obejmuje 22 nazwiska, z czego tylko 4 ludzi rzeczywiście związanych z KPN (Głowacki, Grudniewicz, Ewa Tukałło, Zachara). Można sobie wyobrazić, że kierownictwo SB w Warszawie nie było zadowolone z działań krakowskiej SB wobec KPN, zwłaszcza jeżeli porównywać stopień

rozpracowania podziemnej KPN ze stopniem rozpracowania w tym czasie podziemnej „Solidarności" czy podziemnych struktur studenckich. Brak sukcesów SB w stosunku do KPN był oczywisty, co pewnie źle wróżyło sbeckim karierom kapitana Kulisia czy poruczników: Celbana, Czopka i Burzawy.

Kluczowe (choć niepełne) informacje o podziemnej krakowskiej KPN, SB uzyskała dopiero w połowie 1982 roku za sprawą kombinacji operacyjnych z udziałem agentury celnej. W tym czasie do aresztu trafili kolejno: Witold Tukałło, Załuski, Głowacki, Grudniewicz, Ewa Tukałło, Toś i Bik. Niestety, Grudniewicz i Toś dali się rozpracować agenturze celnej, jak również dali się sprowokować do wysyłania grypsów.

***

30 sierpnia 1982 roku SB zatrzymała Krzysztofa Stolarczyka oraz Jacka Szeremetę.

Stolarczyk: *Nie pamiętam okoliczności, w jakich zostałem ponownie zatrzymany przez SB i internowany.*

Jeżeli ufać materiałom SB, jeszcze tego samego dnia (30 sierpnia 1982 r.) Stolarczyk został zwerbowany przez Wydział III-1 jako TW „Krzysztof". Kasprzycki („Konfederacja Polski Niepodległej w Krakowie. Zarys działalności...") przypuszcza, że Stolarczyka internowano, pomimo że został wcześniej zwerbowany, bo – z jednej strony, SB chciała go uwiarygodnić w środowisku KPN, a z drugiej – chciała sprawdzić jego zachowanie w internacie: *Gdy* [SB] *zyskała pewność, że Stolarczyk nie zdekonspirował się przed współwięźniami, sformalizowała jego współpracę.* 18 września 1982 roku Krzysztof Stolarczyk został formalnie zarejestrowany w charakterze TW.

Drugi z internowanych (Jacek Szeremeta) nie był w ogóle związany z KPN (natomiast jego córka, Małgorzata, należała do Konfederacji i współpracowała z Witoldem Tosiem). Być może SB była jednak przekonana, że Jacek Szeremeta odgrywa w krakowskiej KPN istotną rolę. W uzasadnieniu wniosku do komendanta wojewódzkiego MO w Krakowie o internowanie Jacka Szeremety kpt. Więckowski napisał m.in.: *Po wprowadzeniu stanu wojennego kilku jego uczniów podjęło działalność w Konfederacji Polski Niepodległej. Sam Jacek Szeremeta po wprowadzeniu stanu wojennego był organizatorem konferencji prasowej z redaktorami BBC odbytej w „Jamie Michalika", w trakcie której udzielał wywiadu członek Kierownictwa Akcji Bieżącej Konfederacji Polski Niepodległej – Witold Toś. Ponadto utrzymywał kontakty organizacyjne z Markiem Bikiem i Stanisławem Papieżem – członkami KPN.*

W dokumentach SB jeszcze w 1984 roku pojawiały się brzmiące poważnie informacje o bliskich kontaktach krakowskiej KPN z Kościołem, w czym pośredniczyć miał Jacek Szeremeta. Oto fragment relacji kpt. Marka Kani (datowanej na 26 marca 1984) z SOR „Konspiratorzy", „Dama" i „Gniazdo": *Działacze KPN z terenu Krakowa starają się utrzymywać bliski kontakt z Kościołem. Do tego celu wykorzystywany jest Jacek Szeremeta, s. Emila, ur. […] 1939 r. we Lwowie, żonaty, 1 dziecko, wykszt[ałcenie] wyższe, nauczyciel w XV Liceum Ogólnokształcącym w Krakowie. Znajduje się on pod bezpośrednim wpływem ks. Tischnera, który ma bezpośredni kontakt z Kurią Metropolitarną w Krakowie. Pełni on rolę jakby opiekuna duchowego członków KPN. Nie bierze bezpośredniego udziału w nielegalnej działalności, niemniej jednak za jego pośrednictwem kilka osób wstąpiło w szeregi KPN.*

W analizie materiałów operacyjnych wyłączonych z SOR „Konspiratorzy" (5 stycznia 1985) kpt. Zdzisław Celban napisał: *Ustalono ponadto, że głównym przywódcą KPN w tym czasie, oraz osobą umożliwiającą kontakt członków KPN z krakowskim klerem i kurią biskupią był Jacek Szeremeta...*

W mieszkaniach Stolarczyka i Szeremety przeprowadzono przeszukanie, o czym 31 sierpnia 1982 roku informował naczelnika Wydziału I Departamentu III MSW kpt. Więckowski: *W związku z przygotowywanymi akcjami protestacyjnymi zmierzającymi do uczczenia w ten sposób drugiej rocznicy powstania Solidarności, tut. Wydział w prowadzonej sprawy dokonał zatrzymania w dniu 30 sierpnia 1982 figurantów sprawy Krzysztofa Stolarczyka i Jacka Szeremetę. U w/w zostały również przeprowadzone przeszukania śledcze. W trakcie przeszukań nie znaleziono materiałów mających znaczenie procesowe. K. Stolarczyk i J. Szeremeta przewidziani są do internowania.*

Jacek Szeremeta: *Początkowe dni po zatrzymaniu mnie 30 sierpnia 1982 spędziłem w celach nr 8 i 12 przy Mogilskiej. Pierwszego wieczora zaczęto mnie przesłuchiwać. Trwało to kilka godzin. W budynku Komendy Wojewódzkiej do późnych godzin nocnych panował niezwykły ruch. Zorientowałem się, że tego dnia było wiele zatrzymań. Wciąż przybywali nowi, w większości uczestnicy bądź jedynie świadkowi, demonstracji ulicznych, z centrum Krakowa i z Nowej Huty. Dochodziły do mnie sygnały, że zaczyna brakować miejsc „na dołkach" w krakowskich i nowohuckich komisariatach.*

Wśród licznych funkcjonariuszy MO i SB wchodzących, wychodzących i przechodzących przez pokoje i korytarze na najwyższym piętrze komendy, gdzie mnie przesłuchiwano, spostrzegłem z wielkim zaskoczeniem byłego nauczyciela fizyki Zbigniewa Jaglarza, do niedawna mojego kolegę z grona pedagogicznego XV LO.

Po pewnym czasie, może kilkunastu miesiącach, przechodząc wzdłuż parku Krakowskiego, zauważyłem go wśród ekipy funkcjonariuszy SB, która trzema samochodami zajechała pod jedną z kamienic przy ul. Szymanowskiego, uskuteczniając jakąś szybką akcję. Pan wyprowadzający z tej kamienicy pieska na spacer skomentował zdarzenie następująco: „Znowu huzia na KPN-owców" [Przy ul. Szymanowskiego mieszkała rodzina Hugetów].

10 września 1982 r. przewieziono mnie do Uherzec Mineralnych. Przy kompletowaniu składu osobowego „kibitki" spotkałem m.in. Krzysia Stolarczyka i poznałem Ryszarda Pyzika.

Krzysztof w obozie internowania zachowywał się jakby był na wczasach. Była piękna pogoda, prawdziwie polska złota jesień. Całymi godzinami leżakował na przywięziennym skwerku. Zdawał się być obojętny i niezainteresowany bogatym życiem obozowym. Uczestniczył jedynie w moich zajęciach z matematyki, które prowadziłem dla grupki chętnych z tzw. Uniwersytetu Niezależnego.

***

Pierwotnie SB nie planowała chyba internowania Ryszarda Pyzika w tym czasie, o czym świadczy pismo kpt. Więckowskiego do naczelnika Wydziału I Departamentu III MSW z 31 sierpnia 1982 roku, w którym poinformowano kierownictwo bezpieki o zatrzymaniu i przeznaczeniu do internowania – w SOR „Konspiratorzy" tylko dwóch osób: Stolarczyka i Szeremety. Zastanawiają plany SB wobec Pyzika, bo w tym czasie (koniec sierpnia 1982 r.) SB wiedziała już, że był on członkiem TTKAB i ma dostęp do „Korczyńskiego" (co wynika z treści dokumentu SB z 31 lipca). Prawdopodobnie (na co wskazuje plan z 31 lipca) – po internowaniu Szeremety i Stolarczyka – SB chciała poddać Pyzika intensywnej inwigilacji, aby przez niego dotrzeć do szefa TTKAB. Jednak gdy Pyzik został przypadkowo zatrzymany w czasie walk w Nowej Hucie 31 sierpnia 1982 roku, SB postanowiła go internować, uznając, że jego zwolnienie byłoby podejrzane.

Ryszard Pyzik: *W areszcie na Siemiradzkiego siedziałem kilka dni. Potem zorientowali się, że jestem z KPN (mieli mnie na zdjęciach z manifestacji) i zawieźli mnie na Mogilską.*

Gdy jechałem na przesłuchanie na dziesiąte piętro, w windzie spotkałem koleżankę ze strajku na AE przed 13 grudnia 1981. Jesienią 1982 pracowała już na Mogilskiej: „Cześć". – „Cześć".

Ubecy cieszyli się, gdy mnie przesłuchiwali. „Nareszcie cię mamy!". Bawili się ze mną w dobrego i złego glinę. Ten zły na powitanie uderzył mnie w twarz, ale po wcześniejszym biciu przez milicję, nie robiło to już na mnie wrażenia, więc dali sobie spokój. Pytali mnie o „Igłę" [był to jeden z pseudonimów Pyzika] *, natomiast w ogóle nie pytali o „Korczyńskiego".*

6 albo 7 września 1982 wywieźli mnie do Uherzec w Bieszczadach, gdzie zostałem internowany. W budzie, która nas wiozła, zobaczyłem Krzysztofa Stolarczyka. Był potem ze mną w celi. Z nami siedział też Jacek Szeremeta. Jego córka – Małgorzata była w grupie Witka. Może bezpieka podejrzewała, że to Jacek Szeremeta jest „Korczyńskim"? Mimo wspólnego pobytu w więzieniu Krzysztof Stolarczyk nie odzyskał mojego zaufania.

***

Druga część tej fali internowań działaczy KPN odbyła się 29 października 1982 roku. Internowano wtedy 7 członków Konfederacji. Kilka dni wcześniej, 23 października, internowany został związany z KPN Ryszard Kuś (zwolniono go 27 listopada tego roku). Powodem była jednak inna działalność opozycyjna.

Z szyfrogramu, który kpt. Więckowski wysłał 29 października 1982 roku do naczelnika Wydziału II Departamentu III MSW: *29 października br. tut*[ejszy] *Wydział III-1 podjął w stosunku do aktualnie działających członków KPN-u działania profilaktyczno-ostrzegawcze. W wyniku tych działań dokonano lustracji pomieszczeń mieszkalnych i zatrzymano następujących członków KPN-u:*

1. *Ryszard Bocian,*
2. *Jerzy Żebrowski,*
3. *Wojciech Oberc,*
4. *Krzysztof Kwiatkowski,*
5. *Piotr Świder,*
6. *Stanisław Kuś,*
7. *Zdzisław Wilczkiewicz.*

W ciągu lustracji pomieszczeń nie stwierdzono, aby znajdowały się w nich materiały mające znaczenie procesowe. W wyniku decyzji Komendanta Wojewódzkiego MO osoby te zostały internowane.

Pierwsi czterej z tego wykazu działali aktywnie w podziemnych strukturach KPN po 1981 roku. Wymienieni w punktach 5. i 6. mieli związek z KPN przed grudniem, nie byli jednak później zaangażowani w podziemne struktury. Natomiast internowanie Wilczkiewicza, jak się zdaje, miało go uwiarygodnić w środowisku KPN, aby w dalszej perspektywie zdobyć za jego pośrednictwem informacje agenturalne.

Potrafimy precyzyjnie ustalić, kiedy SB powiązała Ryszarda Bociana z działalnością w KPN. W aktach SOR „Konspiratorzy" pierwszym dokumentem, w którym pojawia się nazwisko Bociana, jest prośba oficera SB z 28 lipca 1982 roku o udzielenie informacji o Ryszardzie Bocianie. Z tego samego dnia pochodzi także notatka służbowa por. Czopka, wymieniająca imiona i nazwiska osób zameldowanych w mieszkaniu Bociana. Uprawdopodabnia to hipotezę, że ktoś opisał SB miejsce zamieszkania Bociana. Natomiast 14 września 1982 roku kpt. Więckowski skierował prośbę do naczelnika Wydziału III w Krakowie o charakterystykę Ryszarda Bociana, który „aktywnie angażuje się w działalność

tzw. Konfederacji Polski Niepodległej". Wcześniej bowiem Bocian był już „w zainteresowaniu" Wydziału III jako działacz podziemnej „Solidarności" (już w lutym 1982 r. o jego działalności donosił TW „Grzegorz" – Andrzej Grzywacz).

We wrześniu SB wiedziała już także, że „Igła" to drugi pseudonim Ryszarda Pyzika. Nadal jednak bezpieka nie miała wiedzy o tym, kto ukrywał się pod pseudonimami: „Korczyński", „Abdul", „Zbigniew", „Kasia". SB nie miała też żadnych informacji o Mirosławie Dziewońskim.

Bocian (*Stan wojenny w Małopolsce. Relacje i dokumenty*): *Internowanie moje i szeregu kolegów z KPN i jego obrzeża właśnie w październiku 1982, mogło mieć jakiś związek z aresztowaniem w tym czasie szefa grupy kapeenowskiej o kryptonimie „Legion Polski" z Wodzisławia Śląskiego – Leszka Zubika. Otóż w nocy z 29 na 30 kwietnia wysadził on przy pomocy ładunku wybuchowego blaszany, monstrualnych rozmiarów pomnik „Sierpa i Młota" w swoim mieście (w Wodzisławiu był chyba jedyny taki pomnik w Polsce – postawiono go tam może z powodu bliskości granicy z Czechosłowacją, w której wybudowano wiele takich monumentów). Zubik wysadził ten pomnik tak skutecznie, że z sierpa nic nie zostało, z młota ostał się tylko kikut, a betonowy postument z gwiazdą się rozsypał. Już go komuniści nigdy nie odbudowywali. Esbecy długo nie mogli Zubika namierzyć. Wpadł przez to, że gość, od którego pożyczył budzik potrzebny do założenia ładunku czasowego, miał długi język i chwalił się po knajpach swoim udziałem w tej akcji. Przyciśnięty przez SB wygadał, komu pożyczył ten budzik. Zubik został aresztowany, katowany był strasznie w śledztwie. Wyznał wtedy, że za zamachem stoi grupa kapeenowska. Ponieważ w tym czasie w Polsce struktury KPN-u poza naszymi, praktycznie nie istniały, to próbowali nas podłączyć do tej sprawy. Okazało się, że ludzie z Wodzisławia tworzyli samozwańczą grupę, która uważała się za część szerszej struktury nam podporządkowanej, bo KPN w Katowicach był rozbity. Poza Teresą Baranowską, do której dotarłem po jej wyjściu z internowania, całe katowickie kierownictwo KPN siedziało. Nie mieliśmy pojęcia o tym zamachu. Wiedzieliśmy tyle, co przeczytaliśmy w gazetach. Ostatecznie Zubik dostał pięć lat i odsiedział wyrok we Wrocławiu. O wszystkim dowiedziałem się od niego podczas strajku w kopalni Manifest Lipcowy w 1988 roku.*

Rankiem 29 października 1982, ok. godz. 6.15 przyszło do mnie do domu SB. Ku ich nieskrywanej uciesze, zastali u mnie Mirka Lewandowskiego, na którego od dłuższego czasu polowali, ale nie mogli go namierzyć. Mieli go na fotografii, którą zrobili nam podczas jednej z demonstracji. Chcieli go zabrać, ale on miał mocną legendę, bo powiedział, że przyniósł książki prawnicze, które mu pożyczyłem. Zatrzymali go, ale wypuścili po kilku godzinach. Ja zostałem internowany.

Najpierw trzymali nas na Mogilskiej. Stamtąd po tygodniu wywieźli nas do Kielc. Zabrali z nami Staszka Kusia, który w tym czasie nie był formalnie członkiem KPN, ale z powodu radykalizmu i kontaktów z działaczami KPN, za takiego w SB uchodził.

Stanisław Kuś: *Po wypuszczeniu mnie z internatu latem 1982 miałem wielokrotne rewizje w mieszkaniu. Przyszło raz czterech gości. Byłem sam w domu. Puk, puk. – „My tu na przeszukanie". – „Proszę bardzo, ale warunek – wszyscy razem w jednym pokoju. Ja niczego nie mam, ale nie chcę, żebyście mi coś podrzucili". Poszukali, nic nie znaleźli, niezadowoleni zabrali jakieś przedwojenne książki dotyczące Piłsudskiego. Kazałem sobie dać pokwitowanie.*

Tydzień później przyszli drugi raz. Tym razem w domu były także dzieci. Syn miał trochę bibuły. Ale wziąłem ubeków znowu do jednego pokoju, a w tym czasie Maciek całą bibułę zapakował do siatek i dziewięcioletnia córka wyniosła wszystko do sąsiadów zanim rozpoczęto rewizję w drugim pokoju. Znowu nic nie znaleźli, chociaż znowu coś zabrali.

Potem byli jeszcze trzeci raz, z podobnym skutkiem.

Stanisław Kuś swoją twardą postawą wobec bezpieki musiał zwracać ich uwagę.

Janusz Kutyba: *Jesienią 1982 nawiązaliśmy kontakt z utworzonym wtedy MKS Grzegórzki, reprezentującym przedsiębiorstwa tej dzielnicy. Delegatem z Zakładów im. Szadkowskiego był Adam, nazwiska już nie pamiętam. Przychodził także ktoś z biura projektów. Bardzo aktywny był Stanisław Kuś, jego syn Maciej Kuś drukował „Zomorządność", dzięki czemu to pismo docierało do nas w dużych ilościach. Jako MKS Grzegórzki spotykaliśmy się w I Klinice Kardiologii albo w mieszkaniach uczestników. Kontaktowaliśmy się również z Andrzejem Fusem. Naszym przedstawicielem w krakowskim MKS był Stanisław Kuś. Współpraca z nimi układała się źle, gdyż my stale mieliśmy propozycje demonstrowania czegoś, przeprowadzania akcji ulotkowych, robienia demonstracji, a takie formy aktywności w miejskim MKS nie zyskiwały aprobaty. Wśród jego działaczy dominowały postawy zachowawcze, a swą aktywność ograniczali do wydawania oświadczeń. Z tych zebrań Stanisław Kuś przychodził zawsze bardzo przygnębiony, gdyż okazywało się, że nasze propozycje nie zyskują aprobaty, bo albo nie było środków, potrzeby, w ogóle pojawiały się tysiące argumentów na „nie".*

Stanisław Kuś: *Na 28 października 1982 dostałem wezwanie do komendy na Mogilską. Jak tam poszedłem, to zostałem internowany po raz drugi. Tym razem umieścili mnie w Kielcach. Jak sądzę, przyczyną tego drugiego internowania były plany delegalizacji „Solidarności". W Kielcach zetknąłem się z Jerzym Żebrowskim. Był wówczas szefem CKAB-u, ale tak konspirował, że chyba nikt z uboli tego nie wiedział. Zwolniono mnie na początku grudnia.*

Wojciech Oberc: *27 października wieczorem młody mężczyzna dostarczył mi wezwanie na SB na następny dzień. Spodziewałem się tego, ponieważ Rysiek Pyzik został zatrzymany podczas manifestacji w sierpniu tego roku i podczas przesłuchania zorientował się, że SB zna moje nazwisko, o czym mnie poinformował po wypuszczeniu go z internatu we wrześniu.* [Prawdopodobnie SB, gdy przesłuchiwała Pyzika na przełomie sierpnia i września 1982, nie miała pewności, czy Oberc działa w kierownictwie KPN (w dokumentach SB z tego okresu nie jest bowiem wymieniane jego nazwisko, a SB nie wiedziała, kto używał pseudonimu „Abdul"). Wiedzę, że Oberc działał w kierownictwie podziemnej KPN, bezpieka uzyskała w drugiej połowie września lub w październiku]. *W trakcie przesłuchania na SB konsekwentnie zaprzeczałem jakiejkolwiek działalności w KPN po 13 grudnia 1981, odmówiłem podpisania tzw. notatki. Grożono mi więzieniem, pobiciem i innymi represjami. W efekcie zostałem zatrzymany.*

W celi spotkałem Krzyśka Kwiatkowskiego. Był tam także Rysiek Kuś i dwaj inni, których nazwisk nie pamiętam. Wieczorem umieszczono w naszej celi Zdzisława Wilczkiewicza.

W następnym dniu zostałem ponownie przesłuchany i ponownie zaprzeczałem stawianym mi zarzutom. Kilka godzin później dostałem decyzję o internowaniu. Ponieważ odmówiłem jej podpisania, zabrano mi ją.

W areszcie śledczym KW MO w Krakowie trzymali mnie tydzień, po czym zostaliśmy przewiezieni do więzienia w Kielcach. W samochodzie, w którym nas wieziono, spotkałem Ryśka Bociana, Jurka Żebrowskiego, Piotrka Świdra, Stanisława Kusia. Jechał z nami także Czesław Robotycki.

W więzieniu umocniła się moja determinacja. Odmówiłem spotkania z funkcjonariuszem SB, który do nas przyjechał. Wobec klawiszy zachowywaliśmy dystans, piętnując jednak nadgorliwość niektórych z nich (np. tych, którzy robili tzw. kipisz przed pójściem na widzenie).

Krzysztof Kwiatkowski: *Około południa zostałem w pracy zatrzymany przez SB. Przyszedł do mnie kierownik wydziału. Był cały blady. Kazał mi zgłosić się do kierownika drukarni. Ten powiedział: „Chodź. Zejdziemy na dół. Musimy coś obgadać". Zeszliśmy, a tam było dwóch ubeków. Przedstawili się: „Milicja Obywatelska". Przebrałem się i pojechaliśmy na Mogilską. Wcześniej nie byłem znany SB. Ktoś mnie musiał zasypać.*

W celi spotkałem Zdzisława Wilczkiewicza. Pracował razem ze mną w drukarni, w magazynie papieru. Nieraz brałem od niego papier dla naszych potrzeb, mówiąc, że potrzebuję go dla dzieci, do rysowania. Nigdy się nie dopytywał. Powiedział mi, że zabrali go z domu tego samego dnia co mnie, tylko wieczorem. Wiele mówił o Łenyku – że zna go i współpracował z nim.

SB wiedziała o nas dużo. Znali mój pseudonim „Max". Dziś uważam, że SB mnie namierzyła przez Stolarczyka. Nie mieli przeciwko mnie dowodów. Rewizję w mieszkaniu zrobili mi dopiero na drugi dzień. Miałem dwa tysiące „Niepodległości", ale jeden z moich współpracowników, Robert Filipek, jak się dowiedział, że wpadłem, przyszedł do domu, zabrał tę bibułę i zakopał w parku. Gdy SB przyszła na drugi dzień na rewizje, nic ważnego nie znalazła.

W aktach SOR „Konspiratorzy" zachował się donos TW „Elsner" (pseudonim Zdzisława Wilczkiewicza) spisany 2 listopada 1982 roku przez por. Krzyszkowskiego – jak wynika z treści dokumentu – na podstawie rozmowy z TW „Elsner" 30 października 1982 roku w budynku KW MO. *W czasie rozmowy TW „Elsner" przekazał mi następujące informacje.*

- *Krzysztof Kwiatkowski spodziewał się po zatrzymaniu, że otrzyma sankcję prokuratorską, natomiast Oberc Wojciech wiedział, że będzie internowany i w trakcie rozmowy dał do zrozumienia, że wie, kto podał jego nazwisko.*
- *Oberc z Kwiatkowskim znali się wcześniej, gdyż Kwiatkowski powiedział mu, iż wie, że był on bokserem.*
- *Kuś Ryszard wie, że został również zatrzymany Kuś Stanisław, gdyż poznał go po głosie.*
- *Wg TW „Elsner" Kuś Ryszard pełni jakby rolę osoby, która realizuje i rozpracowuje problemy organizacyjne i obecnie to czynił, lecz zatrzymanie przeszkodziło mu w realizacji tego zadania.*
- *Kwiatkowski Krzysztof robi wrażenie najbardziej mściwego i twierdzi, że jeżeli nadejdzie chwila „rozprawy z czerwonymi", zgłosi się jako pierwszy do ich likwidacji. Oberc natomiast wypowiadał się, że najchętniej przyjąłby rolę dozorcy więziennego. Uważają, że internowanie przywódców miało ścisły związek z dniem 10 listopada br. Są jednak przekonani, że osoby pozostałe na wolności są w stanie wykonać to zadanie, gdyż uzyskają poparcie ze strony robotników.*
- *Oberc W. i Kuś R. znają St. Palczewskiego.*
- *Kuś R. zna jeszcze Świtonia i Macedońskiego, wie o jego ślubie.*
- *Z rozmowy wywnioskował, że był okres, kiedy sądzili, że Łenyk i Żurek sypią, lecz na ten temat Kuś R. i Oberc W. mają jeszcze rozmawiać po przyjeździe do ośrodka internowania.*
- *Kuś R. i Oberc W. znają Paculę, gdyż Oberc wymienił jego imię („Elsner" nie pamięta, jakie to było imię).*
- *Kwiatkowski stwierdził, że w czasie rozmowy był pytany o „Igłę" i „Kaśkę", lecz odpowiedział, że ich nie zna, na co Kuś R. powiedział: „Przecież ich znasz".*
- *Kuś R. powiedział, że również spodziewał się sankcji, dlatego jest zadowolony z internowania.*
- *Kuś R. proponował „Elsnerowi", że po jego wyjściu skontaktuje go z księdzem, dla którego narysowałby on Wałęsę z różą w ręku trzymaną przed sobą jak karabin, za kratami na tle krzyża.*

Informację przyjąłem na polecenie Naczelnika Wydziału III-1 w zastępstwie por. Celbana. Wykorzystanie informacji: SOR „Konspiratorzy".

***

Ciąg dalszy cytowanego wyżej szyfrogramu: *W dniach 28-29 października 1982 przeprowadzono 27 rozmów profilaktyczno-ostrzegawczych z następującymi osobami:*

1. *Stanisław Zamojski,*
2. *Andrzej Samek,*
3. *Anna Zachara,*
4. *Ewa Tukałło,*
5. *Stanisław Smoczyński,*
6. *Ryszard Pyzik,*
7. *Waldemar Czyż,*
8. *Witold Tukałło,*
9. *Stanisław Papież,*
10. *Adam Nowocień,*
11. *Zbigniew Nowocień,*
12. *Maciej Szaszkiewicz,*
13. *Jerzy Mohl,*
14. *Stefan Baliński,*
15. *Włodzimierz Kwaśniak,*
16. *Antoni Sarna* [Prawdopodobnie chodzi o Andrzeja Sarnę],
17. *Stanisław Palczewski,*
18. *Zygmunt Łenyk,*
19. *Anna Toś,*
20. *Jacek Hałat,*
21. *Tomasz Pawełek*,
22. *Robert Filipek,*
23. *Albin Janik,*
24. *Mieczysław Banduła,*
25. *Anna Jazgar,*
26. *Stanisław Jazgar* [brat Anny],
27. *Małgorzata Maj* [a więc w tym czasie SB ustaliła już tożsamość „Rity"].

Spośród wymienionych, jedynie część była rzeczywiście członkami KPN, lub – nie należąc do niej – blisko z nią współpracowała. Z tym, że np. Stanisław Papież po wpadce w czerwcu 1982 roku wycofał się z działalności w KPN, wręcz unikał kontaktu z dawnymi kolegami.

Szczególną uwagę SB poświęciła rozmowie z Zygmuntem Łenykiem, o czym informowano w uzupełnieniu meldunku operacyjnego z 14 grudnia 1982 roku: *W dniu 28 X 1982 r., z fig*[urantem] *Zygmuntem Łenykiem została przeprowadzona rozmowa profilaktyczno-ostrzegawcza, w wyniku czego w*[yżej] *w*[ymieniony] *podpisał stosowną notatkę urzędową, w której zobowiązał się do zaniechania wszelkiej działalności godzącej w porządek prawno-publiczny.*

Wg aktualnego rozeznania, fig[urant] *nie podejmuje aktualnie żadnej działalności politycznej. Znamienny jest fakt, że w środowisku internowanych członków KPN-u panuje korzystna dla nas dezintegracja. Jest to podyktowane faktem, że doprowadzenie do procesu i skazanie członków KPN działających w tajnych strukturach, tj. Marka Bika, Witolda Tosia i Stanisława Papieża, wywodzących się z grupy Zygmunta Łenyka, działających przed*

wprowadzeniem stanu wojennego, skierowało wiele podejrzeń na jego osobę jako współpracownika SB. Na dzień dzisiejszy, kontakt fig[uranta] *z pozostałymi członkami KPN-u, tj. Krzysztofem Gąsiorowskim, Romą Kahl-Stachniewicz, Bożeną Huget jest sporadyczny.*

Jak możemy przeczytać, SB miała nadzieję na kontynuację planu dezintegracji środowiska krakowskich konfederatów, który to plan z takim powodzeniem był realizowany przed Sierpniem (zob. tom I).

Światło na przebieg rozmowy z Łenykiem rzuca jego pismo do komendanta wojewódzkiego MO w Krakowie z 29 października 1982 roku, wysłane także do wiadomości Kurii Metropolitalnej w Krakowie oraz do zakładu pracy, w którym Łenyk był wówczas zatrudniony: *Szanowny Panie Komendancie, dnia 28 bm. stawiłem się na wezwanie w KW MO. Na podstawie wezwania zorientowałem się, że mam się stawić w charakterze strony do sprawy KR 144/82. Przesłuchujący mnie funkcjonariusz poinformował mnie, że znane są milicji próby kontynuowania przeze mnie działalności przestępczej. Wezwał do zaniechania tej działalności i zagroził odpowiedzialnością karna w razie nie zastosowania się do wezwania. Następnie odczytał mi druk, w którym wypowiedziane przez niego sformułowania były zawarte na piśmie i polecił podpisać mi ten druk. Zdawałem sobie sprawę z absurdalności zarzutów. Nigdy nie prowadziłem bowiem działalności przestępczej i działalnością taka się brzydzę. Jednakże na skutek presji psychicznej złożyłem swój podpis na podanym mi druku. Obydwaj funkcjonariusze obecni przy przesłuchaniu traktowali mnie właściwie. Momentem presji było samo wezwanie na przesłuchanie i jego okoliczności. Przede wszystkim tę presję stworzyły sformułowania proponowanego mi do podpisu druku. Wynikało z nich, że nie podpisanie oznacza brak mojej zgody na zaniechanie przestępczej działalności, co w warunkach stanu wojennego oznaczałoby więzienie. Przesłuchujący mnie funkcjonariusz nie zgodził się na uzupełnienie go kilkoma zdaniami moich wyjaśnień ani na przeredagowanie tekstu. Pragnę więc tą drogą wyjaśnić okoliczności mojego podpisu, a tym samym odwołać go.*

***

Z konfederatów internowanych późnym latem i jesienią 1982 roku najwcześniej wyszedł Pyzik (decyzja o jego zwolnieniu nosi datę 22 września). Stosunkowo szybkie jego zwolnienie było związane być może z zamiarem SB inwigilowania go, dla ustalenia z kim się spotyka po wyjściu na wolność. Wbrew oficjalnej dokumentacji, Stolarczyk został zwolniony razem z Pyzikiem, a nie (jak podano na decyzji o zwolnieniu) 3 tygodnie później (tj. 15 października). Wypuszczenie Pyzika i Stolarczyka w tym samym dniu wskazuje, jakie zadania mógł otrzymać Stolarczyk – rozpracowanie Pyzika i jego kontaktów.

Daty zwolnienia kolejnych konfederatów podane na decyzjach o zwolnieniu wypadają w listopadzie i w grudniu 1982 roku: Krzysztof Kwiatkowski i Zdzisław Wilczkiewicz – 18 listopada, Wojciech Oberc – 24 listopada (faktycznie zwolniony 30 listopada), Piotr Świder – 26 listopada, Ryszard Bocian, Stanisław Kuś i Jerzy Żebrowski – 6 grudnia, Jacek Szeremeta – 15 grudnia (faktycznie zwolniony 27 listopada).

Po wypuszczeniu internowanych działaczy KPN wielu z nich SB nakazała cotygodniowe meldowanie się przy Mogilskiej. Prawdopodobnie miało to na celu zniechęcenie ich do podejmowania działalności.

Ryszard Pyzik: *Po wyjściu z internowania w dalszym ciągu współpracowałem przy redagowaniu i wydawaniu różnych materiałów podziemnych. Były to: „Niepodległość", „Opinia Krakowska", a od 1985 roku „Robotnik Polski". Odsunąłem się jednak od tajnych struktur, bo byłem już zdekonspirowany.*

Poza tym po wyjściu z internowania byłem przez pierwszy miesiąc co tydzień wzywany na komendę. Potem także, tylko trochę rzadziej. O tych wezwaniach opowiadałem wszem i wobec. Meldowałem się na Mogilskiej. Była krótka rozmowa („No i co dzisiaj?". – „No jestem. Przyszedłem". – „No to idź do domu"). Raz jak byłem na Mogilskiej na takiej rozmowie, to słyszałem w sąsiednim pokoju głos Bożeny Huget, która coś krzyczała na esbeków.

Zdekonspirowana była też duża część naszej struktury. Wojtek Oberc i Krzysiek Kwiatkowski zostali internowani w tym samym czasie co ja. Z naszej grupy SB nie wiedziała nic jeszcze tylko o Mirku Dziewońskim i o „Kaśce", czyli o Agacie Dziadowiec, no i nie miała wiedzy o szefie TTKAB, czyli o Marianie Gucie.

W dalszym ciągu brałem udział w manifestacjach i mszach za Ojczyznę, z których przekazywałem informacje do działających w podziemiu.

Wojciech Oberc: *Bodaj dwa dni po powrocie do domu zostałem ponownie wezwany na SB. Esbek zapytał: „Jak ci tam było?". Odpowiedziałem: „Nie narzekam". Co on skomentował: „Więc to dobre takie wczasy na koszt państwa". Odparłem: „Ja się tam nie prosiłem". Potem poinformował mnie, że w przypadku kontynuowania działalności zostanę zamknięty, bo mają dość dowodów przeciwko mnie. Chciał, abym podpisał lojalkę, ale odmówiłem.*

Po krótkiej przerwie wznowiłem działalność. Pracowałem m.in. w Sekcji Informacji i Propagandy, brałem udział w manifestacjach, pisałem artykuły, drukowałem „Niepodległość".

Represje przeciwko mnie polegały na cenzurowaniu korespondencji, ciągłej inwigilacji, wzywaniu na przesłuchania, także do Komendy Dzielnicowej MO (zwłaszcza w okresach przed wizytami ważnych osobistości, np. pielgrzymkami Jana Pawła II). Pytali mnie wówczas o moje plany. Odpowiadałem wymijająco: „Nie mam sprecyzowanych planów".

Kwiatkowski: *Potem było jeszcze parę wezwań na Mogilską. Nieraz mnie przesłuchiwali, a innym razem nie. Na przykład ubek przynosił mi do domu wezwanie, żebym zgłosił się na Mogilską. Przychodziłem o wyznaczonej porze. Kazali mi czekać. Po pewnym czasie przychodził ubek. Mówił: „Jesteś? To możesz iść do domu". Była jedna próba werbunku, ale odmówiłem. Nadal kolportowałem, ale trochę ostrożniej. Działałem też pod innym pseudonimem – „Zuzia".*

***

Ostatnim działaczem KPN, którego internowano, był Antoni Piekałkiewicz, który ukrywał się od 17 grudnia 1981 roku (od pacyfikacji strajku w HiL). Początkowo schronił się wraz z Eugeniuszem Kochem w mieszkaniu jego znajomego. Jednak na początku 1982 roku Koch został internowany (decyzja o internowaniu go nosi datę 25 stycznia 1982 roku, a decyzja o zwolnieniu – 13 lipca 1982 r.). W tym czasie Piekałkiewicz ukrywał się na os. Tysiąclecia u pracownika MPK Władysława Tarki oraz (po 1-2 dni) w mieszkaniach innych pracowników MPK. Nawiązał kontakt z Janem Paculą. Poprzez Paculę poznał Bociana, który znalazł mu kolejne mieszkania: u Krystyny Wassus-Kydryńskiej przy ul. Ziai, a potem u Michała Żaka przy ul. Wrzesińskiej. Latem przebywał u swojej siostry w Konstancinie oraz u matki Kocha pod Lublinem. Od października 1982 roku ukrywał się w mieszkaniu, które znalazł mu Koch – u Elżbiety Kościelniak.

Zdzisław Celban przedstawia okoliczności, w jakich SB zdobyła informację o miejscu ukrywania się Piekałkiewicza. Nie jesteśmy w stanie informacji tej zweryfikować. Nie podajemy więc nazwiska człowieka, którego opisuje dziś były funkcjonariusz SB. Osoba ta już nie żyje. Zamieszczamy jego relację, bo ukazuje ona mało znane aspekty pracy SB. Sam fakt dobrowolnego zgłoszenia się do SB, aby donieść na kogoś, wydaje się prawdopodobny, bo znamy okoliczności wpadki Bogdana Głowackiego czy Stanisława Papieża.

Oto relacja Celbana: *Piekałkiewicza wystawił ktoś, kto jeszcze nie był TW. Akurat miałem po południu dyżur w Wydziale* [przy Mogilskiej]. *Przyszedł do mnie znajomy, nie pracujący w Firmie, przyniósł flaszkę i tak żeśmy sobie gadali. Nagle zadzwonił oficer dyżurny z WSK* [Wojewódzkie Stanowisko Kierowania] *i powiedział, że miał telefon od jakiegoś faceta, który chciał rozmawiać z oficerem, który zajmuje się KPN-em. Trochę się wkurzyłem, bo tu już ćwiartka poszła, a ten z WSK mi głowę zawraca. Bałem się jakiejś prowokacji. Zadzwoniłem na WSK, żeby mi dali samochód, a kolegę wziąłem do obstawy. Powiedziałem mu: „Pojedziesz ze mną. Mamy się spotkać z facetem. Tylko nic się w samochodzie nie odzywaj – ani do mnie, ani do kierowcy! Jedziesz jako pracownik SB. Jak już facet wsiądzie, to patrz tylko, czy nie wyciąga z kieszeni granatu, czy czegoś ostrego!". Podjechałem w określone miejsce, facet wsiadł. Podjechaliśmy pod komendę. Powiedziałem do kierowcy, wskazując na kolegę: „Porucznika proszę zawieźć do domu. A my sobie pójdziemy". I facet mi opowiedział o tym, co wiedział. Mnie zatkało. Podszedłem do szafy, wziąłem ze 20 lewych zdjęć i dałem temu facetowi: „Może pan kogoś rozpozna na tym zdjęciu. To są ludzie, którymi się zajmujemy". A to była gówno prawda. On nikogo nie rozpoznał, bo nie miał prawa rozpoznać. Taki mały test na szczerość intencji. Podał mi rysopis gościa z KPN-u, który się ukrywa i adres meliny. Tylko tyle i nic więcej! Musiałem tydzień chodzić, żeby ustalić, że chodzi o Piekałkiewicza! Ustaliłem na 70-80%, że to on. Wystawił go nam.*

Spotkałem się wkrótce z tym informatorem, a on ciekawe rzeczy gadał. Takie ciekawe, że znowu mnie zatkało, drugi raz! Szukałem w głowie motywu, dlaczego to robił. Nic mi nie spasowało. Odbyłem z nim ze trzy spotkania i „sprzedałem" go Wróblowi. A Wróbel na pierwsze spotkanie z nim wziął zdjęcie Bociana. Jak mu pokazał, to facet mało z krzesła nie spadł, bo nie sądził, że my wiemy, że Bocian jest w KPN. Potem ten facet został TW. Nie należał nigdy do KPN, ale kręcił się koło jej działaczy. Dużo później, jak Moczulski przyjeżdżał do Krakowa, to widziałem go w jego pobliżu. To było 11 listopada 1986, gdy byłem na tzw. punkcie zakrytym na ulicy Grodzkiej, skąd obserwowaliśmy zbiórkę kapeenowców przed mszą.

O tym, co było dalej z Piekałkiewiczem, dowiadujemy się z „Uzupełnienia do planu przedsięwzięć operacyjnych Wydziału III-1" z 25 października dotyczacego Eugeniusza Kocha – dokument ten zatwierdził szef krakowskiej SB, płk Wiesław Działowski: *Według potwierdzonych informacji tut*[ejszego] *Wydziału, Eugeniusz Koch jest aktywnie zaangażowany w działalność konspiracyjną b. Solidarności oraz w działalność na rzecz KPN. Utrzymywał on organizacyjne kontakty w KPN m.in. z Ryszardem Bocianem – aktualnie internowanym.*

W działalności na rzecz Solidarności skupia się nad jej rozwijaniem w odniesieniu do Kombinatu HiL.

Utrzymuje ścisłe kontakty m.in. z Elżbietą Kościelniak, zam. w Nowej Hucie i zatrudnioną w „Budostalu-3" (na terenie Kombinatu). Mieszkanie jej stanowi punkt kontaktowy dla grupy osób prowadzących działalność konspiracyjną z terenu HiL.

Aktualnie w jej mieszkaniu ukrywa się figurant tut[ejszego] *Wydziału V* [ochrona gospodarki] *Piekałkiewicz. W/w poprzednio ukrywał się w miejscach zorganizowanych przez E. Kocha.*

Według źródła KO „Marek" – Koch, Piekałkiewicz i Kościelniak odgrywają istotną rolę w organizowaniu nielegalnej działalności w Kombinacie HiL, dysponują dużymi ilościami nielegalnych wydawnictw oraz poligrafią w nierozpoznanych miejscach.

W/w są nieufni, kontrolują swoje otoczenie, ograniczają się do przekazu niezbędnych informacji dla współpracowników.

Ostatnie działania w stosunku do KPN – wg nich – spowodowały unieruchomienie wydawnictwa „Niepodległość" oraz „Robotnik Polski w Walce". Zamierzają oni kontynuować te wydawnictwa i w tym celu chcą przeszkolić kilku poligrafów. KO „Marek" ma być jednym z nich.

Mając na uwadze stopień zaangażowania w/w w nielegalną działalność i płynące z tego zagrożenie planuje się następujące przedsięwzięcia, celem wyeliminowania w/w osób ze szkodliwej działalności:

1. *Przeprowadzić przeszukanie w miejscu zamieszkania E. Koch, zam. Nowa Huta, os. Wandy […]*
2. *Przeprowadzić przeszukanie w miejscu zamieszkania Elżbiety Kościelniak, zam Nowa Huta os. Ogrodowe […]. Będzie się to łączyło z zatrzymaniem Elżbiety i Marii Kościelniak oraz A. Piekałkiewicza (...).*
3. *Przeprowadzić przeszukanie w miejscu zamieszkania Andrzeja Kościelniaka zam. Nowa Huta, os. Ogrodowe […]. Będzie się to łączyło z zatrzymaniem w/w w areszcie śledczym (…).*
4. *Z w/w zostaną przeprowadzone rozmowy operacyjne na okoliczność ich działalności.*

Zgodnie z tym planem, 9 listopada 1982 roku SB wkroczyła do mieszkania Elżbiety Kościelniak i zatrzymała tam m.in. Antoniego Piekałkiewicza.

Piekałkiewicz: *Potrzymali mnie ok. 2-3 tygodni na Mogilskiej. Dostałem decyzję o internowaniu. Zawieźli mnie do Kielc na kilka godzin, prawdopodobnie w celu okazania mnie innym osobom. Kazali mi samemu siedzieć w pustej celi na krześle. Potem przewieźli mnie do Krakowa i zwolnili. Jak siedziałem, to SB „wypożyczyła sobie" mój dowód osobisty.*

Rzeczywiście, 11 listopada 1982 roku kpt. Więckowski złożył wniosek do komendanta wojewódzkiego MO w Krakowie płk. Adama Trzybińskiego o internowanie Piekałkiewicza. W uzasadnieniu wniosku napisano: *W czasie ukrywania się, aktywnie działa w tajnych zakonspirowanych strukturach KPN, będąc odpowiedzialnym wspólnie z Ryszardem Bocianem za sprawy poligraficzne. W okresie trwania stanu wojennego wydaje biuletyny pod nazwą „Niepodległość", „Robotnik Polski w Walce" i „Opinię Krakowską".*

Piekałkiewicz: *Przeceniali moje możliwości. Nie wydawałem, a nawet nie drukowałem w tym czasie żadnych pism kapeenowskich.*

Jeszcze tego samego dnia zostaje wydana decyzja o internowaniu Antoniego Piekałkiewicza (z datą 11 listopada 1982).

Na odwrocie nakazu osadzenia Piekałkiewicza w areszcie z 9 listopada 1982 roku por. Marek Dwuraźny napisał: *W dniu 10 listopada 1982 wypożyczyłem dow. os. na nazwisko Antoni Piekałkiewicz.*

23 listopada 1982 roku kpt. Więckowski złożył wniosek o zwolnienie Piekałkiewicza z internowania z następującym uzasadnieniem: *Do chwili obecnej przeprowadzono z nim kilka rozmów operacyjnych, na podstawie których można stwierdzić, że przyczyny internowania ustały. Również z uwagi na poszerzenie naszych możliwości operacyjnych, istnieje możliwość kontroli operacyjnej w/w.*

Tego samego dnia została wydana decyzja o uchyleniu internowania Piekałkiewicza oraz wydano świadectwo jego zwolnienia, podając jako miejsce odosobnienia – Kraków.

Piekałkiewicz: *W grudniu 1982 ponownie mnie zamknęli. Zawieźli mnie do więzienia do Łodzi i do innych miast. Nie wiem, po co. Sadzali mnie w komisariatach i jacyś ludzie mnie oglądali. Wozili mnie też na Monte, gdzie siedziałem w otwartej celi, koło której przechodzili wciąż jacyś ludzie. Może chcieli im zasugerować, że ja jestem z SB? W ogóle nie mieli do mnie pytań. Byłem traktowany jak małpa w klatce. I tak do połowy stycznia 1983. Potem jeszcze kilka razy mnie tak zamykali. W marcu 1983 to się skończyło.*

Przyczyny i cel takiego traktowania Piekałkiewicza przez SB nie są jasne. Niejasność tę dodatkowo nasila następujący fragment analizy SOR „Konspiratorzy" z 10 października 1983 roku, autorstwa por. Celbana, z którego wynika, że Piekałkiewicz w ogóle nie był internowany! *W miesiącu listopadzie 1982 dokonano zatrzymania ukrywającego się członka KPN od chwili ogłoszenia stanu wojennego Antoniego Piekałkiewicza. Po przeprowadzonej z nim rozmowie, po 48 godz*[inach] *został zwolniony. W wyniku przeprowadzonych działań ustalono, że utrzymywał on kontakt organizacyjny z R*[yszardem] *Bocianem, Elżbietą i Marią Kościelniak i innymi członkami KPN-u.* Być może w tym czasie jakiś agent SB, posługując się „wypożyczonym" przez SB dowodem osobistym Piekałkiewicza, działał na jego konto w innych miastach? Za taką hipotezą opowiada się sam Piekałkiewicz: *Chyba w 1984 przyszedł do mnie do mieszkania człowiek, który w progu powiedział, że chce rozmawiać z Antonim Piekałkiewiczem: „Słucham". – „Ale ja chcę rozmawiać z Antonim Piekałkiewiczem". – „Słucham. To ja jestem Piekałkiewicz". Ale on zaprzeczał, żebym to ja był tym Piekałkiewiczem, z którym on chciał rozmawiać. Potem dowiedziałem się, że ten człowiek, który był u mnie, działał w podziemiu w Łodzi.* Nie mamy jednak żadnych bliższych informacji, które pozwoliłyby w pełni odczytać działania SB w tej sprawie.

***

Na koniec warto wspomnieć o jeszcze jednym członku KPN, wobec którego zastosowano surogat internowania.

21 października 1982 roku dyrektor Departamentu V MSW płk Józef Sasin wysłał do zastępców komendantów wojewódzkich MO do spraw SB pismo, w którym nakazał do 23 października 1982 roku wytypować głównie pracowników dużych zakładów pracy, podejrzanych o inspirowanie i organizowanie strajków i zajść ulicznych, o druk i kolportaż bibuły, nie nadających się (z braku dowodów) do internowania lub zatrzymania. Oto fragment tego pisma, które dotyczyło tej swoistej branki: *Krótką charakterystykę uzasadniającą powołanie (charakteryzującą jego dotychczasową działalność wraz z podaniem KWMO, którego wymieniony jest figurantem lub pozostaje w zainteresowaniu) proszę przekazać szefom WSW na Waszym terenie. Nie należy typować jedynych żywicieli rodzin oraz prowadzących gospodarstwa rolne. Inne reklamacje nie będą uwzględniane.*

Branka miała objąć także osobowe źródła informacji (OZI, czyli współpracowników SB), co można interpretować albo jako sugestię wysłania do obozów czynnych tajnych współpracowników, albo jako dowód, że kategoria OZI (TW, KO) obejmowała także tych, którzy mogli stanowić dla władz realne zagrożenie. Oto odpowiedni fragment tego pisma: *Jednocześnie proszę poinformować szefa WSW, czy wśród wytypowanych osób znajdują się osobowe źródła informacji. W przypadku posiadania takowych na okres ćwiczeń lub zasadniczej służby wojskowej proszę przekazać na kontakt wskazanym oficerom WSW. Wytypowani, zgodnie z decyzją kierownictwa MON i MSW, zostaną powołani na ćwiczenia w dniach 2 i 3 listopada 1982. Część jako rezerwiści na okres trzech miesięcy zostanie zgrupowana w jednostkach pontonowych i OTK w Chełmie, Rawiczu i Dęblinie. Natomiast poborowi zostaną wcieleni do służby wojskowej na okres 2 lat.*

29 października 1982 roku Departament III MSW sporządził wykaz wytypowanych do odbycia zasadniczej służby wojskowej lub ćwiczeń wojskowych. Tego rodzaju wykazy trafiły do kilkudziesięciu WKU w całym kraju. Zgłoszono łącznie 386 osób, w tym zaledwie jednego tajnego współpracownika (ps. „Karol"), którego zgłosił Wydział III Komendy Stołecznej MO. Wśród zgłoszonych byli m.in.: Zbigniew Bujak (z adnotacją „ukrywa się od 13 grudnia 1981)", Janusz Pałubicki („ukrywa się"), Donald Tusk („prac.

Zrzesz. Pomors. Koszal.") i Lech Kaczyński („nie pracuje – prawnik"). Z Krakowa na liście były 23 nazwiska, w tym 8 osób w jakiś sposób związanych z KPN: bracia Ryszard i Zygmunt Majdzikowie, Tomasz Baranek, Andrzej Załuski, Jerzy Mohl, bracia Adam i Zbigniew Nowocieniowie i Bogdan Samborski. Jak podaje na swojej stronie internetowej Leszek Jaranowski, z Krakowa branka objęła ostatecznie co najmniej 120 osób, w tym około 40 pracowników HiL. Z wymienionych, związanych z KPN, powołanie dostał tylko Tomasz Baranek (do odbycia zasadniczej służby wojskowej), a także Jerzy Krawczyk z MPK, który należał jeszcze do KPN przed Sierpniem (zob. tom I) – trafił do Wojskowego Obozu Specjalnego nr 6 w Czerwonym Borze.

Tomasz Baranek: *5 listopada 1982 zostałem powołany. Po uzgodnieniu z Jerzym Żebrowskim przekazałem kierownictwo grupy do zadań specjalnych Wojciechowi Albińskiemu.*

Fragmenty relacji Tomasza Baranka z pobytu w karnej kompanii: *W październiku 1982 dostaję wezwanie do WKU Kraków-Śródmieście. Tam zostaję poinformowany, iż w związku z moją działalnością antypaństwową, a także przeszłością mojego ojca Stanisława (…) zostaję skierowany do jednostki wojskowej o charakterze karnym. Bez stosownych badań wojskowej komisji lekarskiej o przydatności do odbywania zasadniczej służby wojskowej mam się zgłosić 5 listopada 1982 roku w J. W. 1991 w Chełmie Lubelskim (...).*

Na dworcu w Chełmie Lubelskim spotykam Romana Pezdę z Bystrej, jak się później okaże, będziemy razem w jednej drużynie do końca mego pobytu w wojsku. Kiedy się zgłaszam w dyżurce jednostki, jeden z żołnierzy zadaje mi pytanie: „To ile siedziałeś?". Jestem zdziwiony tym pytaniem. Kilka dni później spotykam tego żołnierza, który mi mówi, że dowództwo jednostki informowało wszystkich, że jesteśmy byłymi więźniami skierowanymi do odbywania służby wojskowej. Dowództwo zaleciło także, żeby się z nami nie kontaktowali. Po wejściu na teren jednostki przeprowadza ze mną rozmowę oficer. Wymieniam swoje nazwisko, a on ze sterty teczek wybiera jedną, wtedy też pada z jego strony stwierdzenie: „W ciekawym towarzystwie obracacie się w cywilu". Każdy z przyjeżdżających miał swoją teczkę informacyjną. Jest nas około 150 osób z różnych rejonów Polski, najliczniej jest reprezentowany wschodni rejon naszego kraju. Dopiero potem okazało się, że to ludzie związani z niezależnym ruchem związkowym, NZS-em, KPN-em lub przez jakiś czas zatrzymani przez SB za udział w manifestacjach (m in. 3 maja 1982 w Warszawie, 31 sierpnia 1982 w Nowej Hucie). Mieliśmy też niewielką grupę, która przebywała w więzieniu za kradzież lub rozboje – wiadomo, w jakim celu byli z nami.

Zostajemy podzieleni na trzy plutony. Dowódcą kompanii jest por. Roman Zarembas, zwany później przez nas „Zomozą". Moim plutonem dowodzi ppor. Wrzeszcz (młodszy ode mnie), a dowódcą drużyny jest kpr. Koza. Cała kadra do naszej II Kompanii została oddelegowana z jednostki w Wesołej koło Warszawy. Rozpoczynamy życie w jednostce ze szkoleniem wojskowym i zwiększoną dawką zajęć politycznych (pranie mózgu). Podczas jednego ze szkoleń, w trakcie głośnej wymiany zdań z oficerem politycznym, do sali wpadł por. Zaremba i stwierdził: „Was wszystkich z Solidarności trzeba postawić pod ścianą, i rozstrzelać". Pewnego dnia przyjechał oficer Wojskowej Służby Wewnętrznej z Lublina. Po kolei byliśmy wzywani do niego na rozmowę (przesłuchanie), korzystał wtedy z naszych teczek. W kompanii była grupa ludzi, którzy nie nadawali się do służby wojskowej. Jednym z nich był Dariusz Tuzinowski, u którego stwierdzono 30% utraty zdrowia. Ale wojskowa komisja lekarska stwierdziła, że może przebywać w koszarach. Następnym powołanym był jedyny żywiciel rodziny. Na należącym do niego gospodarstwie rolnym została niepełnoletnia siostra, która je prowadziła, ponieważ oboje rodzice zmarli. 13 grudnia, w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, ustalony zostaje strajk głodowy.

Idziemy do stołówki i przechodzimy obok wydających śniadanie, a następnie wychodzimy przed budynek. Chwilę później zostaje ogłoszony alarm bojowy. Zabieramy ze sobą pełne wyposażenie i w trybie alarmowym idziemy na odległy o kilka kilometrów poligon. Tam dostaliśmy największy wycisk podczas naszego pobytu w Chełmie Lubelskim. Z końcem grudnia, gdy byłem w świetlicy, zaczął ze mną rozmowę W., górnik ze Śląska. Stwierdził, że dostał zaszyfrowaną wiadomość na kartce pocztowej i pokazał mi ją. Na karcie tej miało być napisane, że w Warszawie nastąpiła duża wsypa w kierownictwie KPN. Spytał mnie, co sądzę o tym. Odpowiedziałem mu, że nic mnie to nie interesuje, widać było po nim, że oczekiwał innej reakcji z mojej strony (zatrzymania w KPN rzeczywiście miały miejsce).

Wigilia 1982. Każdy w tym dniu chciałby być w domu ze swoimi. Organizujemy sobie świąteczne przyjęcie, zsuwamy w stołówce stoły i przybieramy je. Mamy opłatek, którym się dzielimy, robi się świąteczna atmosfera. Śpiewamy kolędy i prowadzimy rozmowy na różne tematy.

Z początkiem stycznia 1983 roku przyjeżdżają do nas rodzice i do niektórych żony z dziećmi, ma odbyć się przysięga wojskowa. Nareszcie mamy prawdziwe informacje z kraju. Oficer czyta rotę przysięgi, a tu cisza i jakoś marnie, jeszcze tylko przemarsz i po ceremonii. Nie została wpuszczona na teren jednostki dziennikarka prasy zagranicznej, która chciała zobaczyć, jak to wszystko będzie przebiegać.

W połowie stycznia całą kompanią jedziemy samochodami ciężarowymi z Chełma do miejscowości Łazy. Jest tam zgrupowanie polowe J. W. 1039 z Przemyśla, która jest jednostką kolejową. Mamy tutaj szkolić się i przygotowywać do pracy przy torach kolejowych. Dowódcą mojego plutonu zostaje por. Ignaszewski, a dowódcą st. kpr. Jan Matykiewicz z Wieliczki. Na terenie zgrupowania nie było lekarza, a część z nas potrzebowała jego pomocy. Po naciskach z naszej strony, nareszcie zaproponowano nam wyjazd do niego. Zostaliśmy załadowani na dwie ciężarówki i ruszyliśmy na objazd, jak się okazało, prawie całego Śląska. W każdym szpitalu wojskowym czy przychodni odmawiano nam przyjęcia. Tak jak w poprzedniej jednostce i tutaj mieliśmy zwiększone szkolenia polityczne, które często kończyły się kłótniami z oficerem politycznym.

Przechodziliśmy na terenie węzła kolejowego Łazy szkolenie praktyczne z zakresu budowy i naprawy torów kolejowych. Jak nam powiedziano, jest to wychowanie przez pracę, żeby nam wybić z głowy różne niepotrzebne rzeczy. Szkolenie kończyło się egzaminem, na salę wchodziliśmy w grupach kilkuosobowych. Komisja po zadaniu nam kilku pytań stwierdziła, że zdobyliśmy wspaniały zawód. Wtedy powiedziałem, że mam średnie wykształcenie i ta nowa umiejętność jest mi niepotrzebna. Egzaminujący spytali wszystkich z grupy o wykształcenie. Okazało się wtedy, że wszyscy mają średnie. Byli bardzo zdziwieni, bo poinformowano ich wcześniej, że mamy ukończone tylko szkoły podstawowe. Po świętach wielkanocnych zostajemy przewiezieni do zgrupowania polowego w Strzemieszycach, tak jak w Łazach są tam baraki, bardzo wilgotne. Rozpoczynamy pracę przy torach w Jaworznie-Szczakowej, jesteśmy codziennie dowożeni. Nie mamy w zasadzie już ćwiczeń wojskowych, liczy się tylko wykonanie planu. Jesteśmy od początku w tej grupie, która stopniowo się wykrusza. Część kolegów zostaje zwolniona do cywila ze względu na stan zdrowia. Kompania do końca mego w niej pobytu nie jest uzupełniana. Podczas przemarszów śpiewamy pieśni legionowe i patriotyczne. Wzbudza to duże zainteresowanie wśród innych żołnierzy. A w trakcie wolnego czasu, którego mamy mało, jest festiwal piosenki niezależnej. Przez cały czas pobytu w karnej kompanii mieliśmy kilka zajęć na strzelnicy, podczas strzelania oficerowie ostentacyjnie trzymali ręce na otwartych kaburach swoich pistoletów osobistych. Tak jakby chcieli tym samym sugerować, że w razie jakichś okoliczności użyją broni w stosunku do nas. Nigdy też żaden z nas nie pełnił służby wartowniczej (...).

Agentura

W analizie SOR „Konspiratorzy" z 28 września 1982 roku oficer SB (prawdopodobnie por. Celban, ale dokument nie jest podpisany) wymienił 9 tajnych współpracowników, przez których SB jakoby „kontrolowała działalność" KPN w tym czasie.

Dwaj z tych współpracowników, którzy według autora dokumentu „mieli dostęp bezpośredni do ogniw kierowniczych", to starzy agenci, zwerbowani jeszcze w latach 60., donoszący na różne środowiska (w tym na KPN) już przed Sierpniem. Była o nich mowa w tomie I. Jeden to TW „Mikołaj Ataman", czyli Krzysztof Gąsiorowski, o którym jeszcze będzie mowa dalej. Drugi to TW „Winiarski", czyli Mikołaj Jaszczyński (1916-1991), pozyskany do współpracy już w 1956 roku, a zarejestrowany jako TW Wydziału III SB (walka z działalnością antypaństwową w kraju) w 1965 roku. Po 13 grudnia nie miał konspiracyjnych kontaktów z działaczami drugiej KPN i wiedzy o konspiracyjnej działalności Konfederacji. Mógł jedynie donosić na znanych sobie ludzi z pierwszej KPN, z których większość (z powodu internowania, a także z tego powodu, że byli znani bezpiece) nie uczestniczyła w działalności konspiracyjnej. W aktach SOR „Konspiratorzy" nie ma jego donosów z tego okresu ani wzmianek o tym, że na podstawie jego donosów ustalono jakiekolwiek fakty w związku z inwigilacją KPN w stanie wojennym. Natomiast „Sprawozdania dzienne SB z 1982 na temat sytuacji w środowiskach i obiektach ochranianych przez Wydział III-1" zawierają informacje pochodzące od TW „Winiarski". Dotyczą one Adama Macedońskiego (po jego zwolnieniu z internowania) oraz nastrojów w Ukraińskim Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym w Krakowie.

Trzeci z agentów „mających dostęp do ogniw kierowniczych" to TW „Marek", którego nie udało się do tej pory zidentyfikować. W SOR „Konspiratorzy", poza tym jednym dokumentem, TW „Marek" nie jest wymieniony. Oczywiście, nie ma też żadnych jego meldunków.

Czwarty z tajnych współpracowników wymienionych w omawianym dokumencie, i jedyny, który miał naprawdę dostęp do konspiracyjnej KPN (chociaż nie potrafił dotrzeć do szefa TTKAB, a potem KAB Okręgu – Mariana Guta), to świeżo pozyskany TW „Krzysztof", o którym będzie dalej mowa.

Wśród pięciu agentów, którzy według SB mieli dostęp do dalszych struktur KPN, był TW „Stefan", czyli Jerzy Kawiński (1950-2005) pozyskany przez kpt. SB Henryka Rojka i zarejestrowany jako TW 23 stycznia 1980 roku. Była o nim mowa w tomie I. W aktach SOR „Konspiratorzy" dotyczących roku 1982 nie ma donosów „Stefana" ani nie ma wzmianek o dostarczeniu przez niego informacji SB. Prawdopodobnie nie miał on dostępu do działaczy drugiej KPN.

Kolejny to TW „Grzegorz". Może tu chodzić o Tomasza Widła, o którym również była mowa w tomie I. Był on związany z Radosławem Hugetem. Widła zwerbował 23 grudnia 1981 roku por. Celban. Niemal przez cały stan wojenny Huget był internowany (od 13 grudnia 1981 do listopada 1982 roku). Wideł mógł mieć kontakty z jakimiś innymi działaczami z pierwszej KPN ze środowiska Hugeta, jednak prawdopodobnie nie miał żadnej wiedzy o drugiej KPN. W aktach SOS „Kawiarze" jest wzmianka, że *uzyskano od TW ps. „Grzegorz" oraz KO „PR" informację operacyjną wskazującą, że na terenie Krakowa istnieje i działa na rzecz KPN grupa osób, do której między innymi należą: Zachara Anna, Pierzycki Robert, Głowacki Bogdan, Smoczyński Stanisław, Chwałek Andrzej, Chwałek-Dudek Elżbieta, N.N. Wiesław.* Wideł nie miał kontaktu z grupą Głowackiego, natomiast mógł mieć z Anną Zacharą (koleżanką Hugeta). Zachara nie należała do grupy Głowackiego, rewizja u niej nie dała SB żadnych rezultatów. Informacja, że ma ona związek z grupą Głowackiego była dla SB bezwartościowa. W papierach SB nie znaleźliśmy innych wzmianek o działalności tego agenta na szkodę KPN w 1982 roku.

Następnym konfidentem wymienionym w omawianym dokumencie SB jest TW „Elsner", czyli Zdzisław Wilczkiewicz (ur. 1956) – magazynier w Drukarni Narodowej w Krakowie, zarejestrowany jako TW 13 marca 1981 roku. Mógł przekazać (i zapewne przekazywał) SB wiedzę o działaczu KPN Krzysztofie Kwiatkowskim – swoim koledze z pracy. Donosił także na internowanych wraz z nim działaczy KPN (o czym już była mowa w tym tomie). Sam nie był członkiem Konfederacji. Odnaleźliśmy Wilczkiewicza w jednym z uzdrowisk na Dolnym Śląsku, gdzie mieszka pod zmienionym nazwiskiem. Maluje obrazy, które sprzedaje kuracjuszom. W sposób widoczny nadużywa alkoholu i nie cieszy się poważaniem sąsiadów. Wygląda jak kloszard, zaczepia ludzi i prosi o drobne na piwo. Rozmowa o tym, co robił 30 lat temu, mija się z celem...

Kolejną osobą ewidencjonowaną przez SB jako TW i wymienioną jako źródło informacji, przez które SB „kontroluje" krakowską KPN, jest „Roxana", czyli Beata Sieprawska (ur. 1953) – zarejestrowana jako TW 19 sierpnia 1982 roku. Rozmawialiśmy z nią. Szczerze opowiedziała swoją historię. Była pracowniczką zajezdni MPK w Czyżynach od 4 maja 1981 do 11 stycznia 1983 roku. W 1981 r. w zajezdni Michał Żurek zapisał do KPN bardzo wielu pracowników, w tym ją. Ani przed grudniem, ani tym bardziej po grudniu nie prowadziła jednak żadnej faktycznej działalności w KPN. Do stanu wojennego zajmowała się działalnością charytatywną w zakładowej „Solidarności". Działacz KPN z MPK, Kazimierz Krauze, powiedział, że po rozbiciu strajku w grudniu 1981 r., uwięzieniu jego przywódców oraz internowaniu większości działaczy, działalność tak „Solidarności", jak i KPN w zajezdni MPK w Czyżynach zamarła. Sieprawska, nawet gdyby chciała, nie mogła donosić na KPN. Wśród ludzi, których znała w zakładzie, wymienia Krauzego, ten jednak jej w ogóle nie pamięta. Wszystko wskazuje na to, że jej kontakty z funkcjonariuszami SB nie miały charakteru tajnej współpracy, a jej rejestracja miała charakter fikcyjny. Celban utrzymuje, że nie prowadził fikcyjnej agentury, jednak na pytanie o to, o czym mogła go informować Sieprawska, i za co wypłacał jej często wysokie kwoty z funduszu operacyjnego, odpowiada ze śmiechem: *Po spotkaniach z „Roxaną" pisałem raporty o nastrojach w różnych środowiskach. Takie informacje ogólne.* Historię kontaktów Celbana i Sieprawskiej przedstawimy szeroko w kolejnym tomie.

Ostatnim agentem wymienionym w omawianym dokumencie SB jest TW „Domino", który – według autora tego dokumentu – miał dostęp jedynie do dalszych struktur KPN. Kasprzycki: *Pod tym pseudonimem ukrywał się Antoni Ostrowski (1945-2003), z zawodu fotograf. Zarejestrowany jako tajny współpracownik (…) 15 czerwca 1981 (…).*

Materiały zakończono 15 grudnia 1983 z powodu nadużywania alkoholu i dekonspiracji. W sprawozdaniach dziennych SB o „sytuacji w środowiskach i obiektach ochranianych przez Wydział III-1" są informacje pochodzące od TW „Domino". Dotyczą one rodziny Gąsiorowskich, nastrojów w środowisku b. żołnierzy AK, nastrojów w środowisku starych członków i sympatyków KPN oraz w środowisku członków ZPAP. Jak się wydaje, Ostrowski nie miał żadnych kontaktów z konspiracyjną KPN. Nie znaleźliśmy w dokumentach SB żadnego dokumentu, który by na to wskazywał.

***

Krzysztof Stolarczyk jeszcze przed wpadką drukarni przy ul. Findera (19 czerwca 1982 r.) kontaktował się z kpt. SB Markiem Kanią. Kontakt ten dostał od Witolda Tosia. Toś był przekonany, że udało mu się szantażem nakłonić Kanię do współpracy z KPN. Rzeczywiście, Kania za pośrednictwem Stolarczyka przekazał Tosiowi informację o wpadce Papieża, a następnie o tym, że SB wie o Tosiu, Biku i Małgorzacie Szeremecie. Potem Kania przekazał Stolarczykowi informację, którego dnia Toś zostanie aresztowany. Następnie dzięki agenturze celnej SB dowiedziała się wiele o charakterze i psychice Stolarczyka, ustaliła też jego miejsce pracy. To przez niego podstawiony przez SB człowiek przekazywał grypsy Tosia do żony, do Małgorzaty Szeremety i do „Korczyńskiego". Postępowanie doraźne przeciwko Tosiowi i Bikowi, zakończone skazaniem ich na więzienie, nie objęło Stolarczyka, chociaż jego nazwisko, jako współpracownika skazanych, było wymienione w uzasadnieniu wyroku. Wszystkie te okoliczności miały z pewnością wpływ na zwerbowanie Stolarczyka przez SB. Bliższych okoliczności tego werbunku nie znamy. Sam Stolarczyk współpracy z SB zaprzecza: *Jeżeli chodzi o insynuacje, że współpracowałem z SB, to one pojawiły się jeszcze przed moim internowaniem, a także potem, gdy wróciłem z Uherzec. Mam dość mówienia o tym. Przestało mnie to interesować. Nie miałem prywatnych spotkań z milicjantami. Nie chcę już do tego wracać, ale mogę spotkać się z ludźmi, którzy uważają, że zostali przeze mnie pokrzywdzeni.*

Materiały dotyczące współpracy z SB Krzysztofa Stolarczyka zostały zniszczone 23 stycznia 1990 roku. Trudno jest więc ustalić, czy i jakich informacji dostarczył on SB tuż po zwerbowaniu. W aktach SOR „Konspiratorzy" nie zachował się żaden donos TW „Krzysztofa" z roku 1982, nie ma też wzmianki w dokumentach o informacjach uzyskanych z tego źródła w 1982 roku. Zachowały się natomiast jego donosy z późniejszego okresu, które dostarczyły SB cennych informacji i wyrządziły realne szkody środowisku KPN. Więcej na ten temat w następnym tomie.

***

Podczas internowania Gąsiorowski nie dostarczał SB wszystkich wiadomości, które miał (podobną praktykę stosował także wcześniej, zob. tom I). Stanisław Kuś: *Gdy byłem internowany, mój syn Maciej zaangażował się w wydawanie „Zomorządności". Był bardzo związany z tym pismem, traktował je niemal jak swoje dziecko (chociaż inicjatywa jego utworzenia wyszła od Tukałły). Pamiętam, że jak byłem internowany, to przemycili do Załęża jeden numer tego pisma i wszyscy je czytali. O tym, że mój syn wydaje to pismo, powiedziałem Gąsiorowskiemu (do którego miałem zaufanie) i Ryśkowi Majdzikowi. Jakoś SB przez wiele lat się o tym nie dowiedziała.* Wszystko wskazuje też na to, że grypsy wysyłane przez Gąsiorowskiego z obozu internowania do Żebrowskiego czy do Tukałły nie były kontrolowane przez SB.

Jak się zdaje, po zwolnieniu z internowania, Gąsiorowski stwarzał SB coraz większe problemy. Prawdopodobnie to było powodem, że SB rozważała rozwiązanie z nim

współpracy już we wrześniu 1982 roku. Anna Kęszycka: *19 września 1982 p.o. naczelnik Wydziału III-1 kpt. Andrzej Więckowski napisał raport w sprawie TW ps. „Rawicz" do zastępcy komendanta wojewódzkiego MO ds. służby bezpieczeństwa w Krakowie ppłk. Józefa Biela, w którym zwrócił się z wnioskiem o wyłączenie „Rawicza" z czynnej sieci osobowych źródeł informacji, przy jednoczesnym poddaniu jego osoby rozpracowaniu operacyjnemu.* Współpraca SB z Gąsiorowskim nie została jednak w 1982 roku rozwiązana.

Tymczasem jesienią 1982 roku doszło do dekonspiracji Gąsiorowskiego w środowisku krakowskiej KPN. Na początku 1983 roku dokonano zamachu na jego mieszkanie (o czym dalej). Wkrótce po tym bezpieka usunęła go z listy współpracowników.

***

Pod koniec października i w listopadzie 1982 roku pojawia się w materiałach SOR „Konspiratorzy" jeszcze jedno źródło osobowe, które dostarczało SB informacji o działaczach pierwszej KPN (Łenyka i Gąsiorowskiego). Był to TW „Jankowski" prowadzony przez por. Zdzisława Czopka. Z niejasnych przyczyn ten tajny współpracownik nie został wymieniony w omawianej wyżej analizie SOR „Konspiratorzy" z 28 września 1982 roku. Prawdopodobnie został on pozyskany dopiero po tej dacie albo też zwerbowano go wcześniej do innej sprawy, a dopiero po tej dacie zdobył jakieś informacje o KPN.

Na podstawie tych meldunków można zrekonstruować ówczesną ocenę sytuacji ze strony Gąsiorowskiego i Łenyka, a także poznać atmosferę rozmów z nietrzeźwym Gąsiorowskim, który opowiada „Jankowskiemu" nieprawdopodobne historie (np. wg raportu z 22 listopada 1982 r. Gąsiorowski miał powiedzieć TW „Jankowskiemu", że tajnym członkiem KPN jest… Władysław Frasyniuk). Donosy są też świadectwem wysiłków SB, zmierzających do dezintegracji kierownictwa pierwszej KPN (co przynosiło SB znakomite efekty przed Sierpniem 1980). Dowiadujemy się z nich także o narastających obawach Gąsiorowskiego, które – jak można przypuszczać – wiązały się z jego zdemaskowaniem w środowisku krakowskiej KPN i mogącymi stąd wynikać konsekwencjami, choć być może SB interpretowała te obawy opacznie.

Fragment dokumentu z 8 listopada 1982 roku (z którego wynika, że 30 października tego roku SB uzyskała wiarygodną informację o Krzysztofie Gąsiorowskim; autorem dokumentu jest por. Zdzisław Czopek, ten sam, który prowadził TW „Jankowskiego"; w treści dokumentu nie podano źródła informacji): *Na temat zadań, które stoją przed KPN-em w chwili obecnej, K. Gąsiorowski wyraził następujący pogląd:*

1. *Powstrzymanie się od działalności „zewnętrznej" do chwili zakończenia stanu wojennego,*
2. *Odbudowa struktur,*
3. *Wydawanie prasy w celu „wyrabiania" ideowego członków i sympatyków tejże organizacji,*
4. *Oczekiwanie na kryzys w łonie władz państwowych, który wg niego ma nastąpić w okresie 2-3 lat,*
5. *Zawarcie porozumienia z władzami (choćby „koślawego" – jak to określa), które uważa za potrzebne,*
6. *Po realizacji pkt 5 nastąpi realizacja celów programowych.*

Motywacja w/w punktów przez ob. K. Gąsiorowskiego jest następująca.

Ad. 1. W chwili obecnej chodzi głównie o „przetrwanie". Odżegnuje się jednak w dużym stopniu od koncepcji „społeczeństwa podziemnego" proponowanej przez TKK Solidarność z Bujakiem na czele, jako takiej, która nie zda egzaminu.

Ad. 2. Chodzi mu w tym przypadku o odbudowanie struktur mocno w ostatnim czasie naruszonych. Żal mu każdego zatrzymanego człowieka, gdyż wszyscy są dla niego wartościowi.

Ad 3. Prasa ma być wyłącznie do celów wewnętrznych. Twierdzi, że otwarta działalność konspiracyjna nie zda egzaminu, gdyż może się to przyczynić do rozbicia struktur.

Ad 4. „Kryzys" – zdaniem Gąsiorowskiego – powstanie w chwili, gdy „cywilna" część partii będzie miała dość części „wojskowej". Gąsiorowski wychodzi z założenia, że armia „upoiła się władzą". Widzi też możliwość rozłamu między generalicją a średniego szczebla aparatem wojska (przez „średni szczebel" rozumie część oficerów starszych oraz większość oficerów młodszych, chorążych i podoficerów).

Ad 5. W sytuacji kryzysu uznaje za konieczny „kompromis" choćby miał on być kosztownym (w tym wypadku K. Gąsiorowski uznaje cynizm jako nieodłączną cechę wielkiej polityki). Kompromis ten uważa za konieczny dla rozpoczęcia działalności programowej na szeroką skalę.

Ad 6. Realizacja celów programowych ma być powolna, lecz systematyczna. Gąsiorowski potępia KSS KOR i trockistów w ogóle, za doprowadzenie do przegranej Solidarności, poprzez zbyt szybie działanie.

(…) Koncepcję K. Gąsiorowskiego można częściowo porównać z AK-owską koncepcja „stania z bronią u nogi". Jego też zdaniem, w oparciu o przedstawiony wyżej scenariusz – należy czekać , aby kiedy przyjdzie na to czas – odetchnąć. Ale jak sam twierdzi, ma to być oddech świadomy.

Gąsiorowski jest zaciekłym krytykiem podziemia i strategii KSS KOR. Jego zdaniem Zachód usiłował rozsadzić Układ Warszawski za pomocą trockistów, co okazało się koncepcją błędną, do czego w głównej mierze przyczyniła się nierozważna strategia i taktyka KSS KOR. Uważa on także, że konspiracja w wydaniu po 13 grudnia 1981 nie ma sensu, gdyż może być rozbita przez współpracowników SB, a szkoda każdego „wartościowego człowieka".

Fragment donosu TW „Jankowskiego" z 26 listopada 1982 roku (w kawiarni przyjął por. Z. Czopek): *Przyczyna wystosowania przez PRON w/w apelu ob. Z.Ł.*[Zygmunt Łenyk] *widzi w „chęci władz do ruszenia z miejsca gospodarki". Generalnie jednak jego zdanie jest następujące.*

Hołdując obłędnej tezie rzekomego wasalstwa Polski wobec ZSRR, ob. Z.Ł. wyprowadza wniosek, jakoby wskutek pogarszania się sytuacji gospodarczej – Polska miała przechodzić od pozycji – jak to określa Z.Ł. – „wasala" do pozycji „utrzymanka ZSRR". W tej sytuacji – idąc za rozważaniami Z.Ł. – ZSRR miał jak gdyby „wywrzeć nacisk" na Polskę, aby zakończyć stan wojenny, „aby ludzie zaczęli pracować". W tym widzi ob. Z.Ł. przyczynę powstania apelu PRON do Sejmu PRL.

W zakończeniu stanu wojennego Z.Ł. widzi duże szanse. Przede wszystkim widzi w tym szansę „zrobienia czegoś na stopie legalnej, na tyle, na ile będzie można".

Jeśli chodzi o ocenę ob. Z.Ł. zmian na szczeblu centralnym w ZSRR (śmierć L. Breżniewa i powołanie J. Andropowa) – to wypowiada się on bardziej pozytywnie na temat J. Andropowa. L. Breżniewa uważa on za „bardzo sprytnego człowieka" i zarzuca mu „nieszczerość" w stosunkach z Zachodem. Twierdzi, iż linia polityczna KC KPZR będzie „łagodniejsza" niż przedtem.

Ocena przywództwa partyjno-państwowego PRL przez ob. Z.Ł. Ob. Z.Ł. za „najporządniejszego" – jak określa – z przywódców partyjnych uważa S. Kanię. Tłumaczy to mo-

tywami „on nikogo nie zamordował, ani nikomu nie zaszkodził". Wł. Gomułkę określa jako „człowieka ideowego, który popełnił błędy, lecz nie wykorzystał okazji, aby się oczyścić przed narodem". Najgorzej ocenia ob. Z.Ł. gen. Jaruzelskiego, czyniąc to w sposób, nie nadający się do zacytowania.

Ogólnie Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą określa jako „sowiecką agenturę" oraz jako „jedyne oparcie ZSRR w Polsce". Jest jednak zdania, iż są tam i porządni ludzie, określając ich jako „otumanionych przez propagandę".

Ocena i prognozy dot. przyszłości. Wielką szansę ob. Z.Ł. upatruje w zakończeniu stanu wojennego oraz w amnestii. Twierdzi jednak, jakoby marksizm-leninizm był „utopią". Powołuje się przy tym na rzekomy „brak osiągnięć" ZSRR i innych państw socjalistycznych. Uważa jednak, iż potrzebny będzie jakiś „kompromis z władzami", jednak – jak się zastrzega Z.L – tylko na krótką metę i tylko ze względów taktycznych.

Jeśli chodzi o wizje ob. Z.Ł. Realizacja celów programowych KPN – uważa, iż „jest to do zrobienia", jednakże uważa, iż może to odbyć się po jakimś czasie „kompromisu z władzami". Uważa za wykluczoną „liberalizację" ustroju PRL przez obecny system polityczny. W takim razie – mówi – kłania się nam rok 1968 (myśli tutaj o Czechosłowacji).

***

Wymieniona wyżej analiza SB z 28 września 1982 roku pomija najważniejsze osobowe źródła informacji, które odegrały kluczową rolę w rozpracowaniu przez SB krakowskiej KPN. Tego typu źródła są także niedoceniane w badaniach historycznych dotyczących tego okresu.

Należy tu wymienić przede wszystkim agenturę celną (w przypadku krakowskiej KPN – szczególnie TWC „Hiszpan" oraz TW „Combi").

Dalej – pominięto agentów Wydziału III, przede wszystkim agentów ze środowiska NZS, którzy donosili na KPN, między innymi TW „Marco" (Marka Płaszewskiego) i TW „Grzegorza" (Andrzeja Grzywacza).

O Marku Płaszewskim była już wcześniej mowa. W aktach SOR „Ważny" założonej przeciwko działaczom NZS UJ, którzy kontynuowali działalność konspiracyjną po 13 grudnia, jest informacja operacyjna pochodząca od TW „Marco", datowana na 21 kwietnia 1982 r., zatytułowana „Dane dot. tzw. Tajnego Tymczasowego Kierownictwa Akcji Bieżącej Obszar II KPN". Oto treść tego dokumentu: *Jak wynika z uzyskanych informacji, tzw. TTKAB – KPN tworzą głównie uczniowie szkół średnich, studenci młodszych lat studiów, młodzi robotnicy – głównie z MPK. Podobny skład mają komórki organizacyjne KPN. Działalność wszystkich tych struktur opiera się przede wszystkim na sporządzaniu i rozpowszechnianiu szeregu pism ulotnych, docierających w przeważającej części do młodzieży szkół średnich (zwłaszcza licealnej) lub kolportowanych w dużych imprezach masowych typu msze. Komórki organizacyjne KPN nie są luźnymi, niezależnie od siebie działającymi strukturami, lecz tworzą pewną całość koordynowaną. Stwierdzono ponadto, iz punkty poligraficzne KPN wykonują prace poligraficzne pism Solidarności (np. pismo „Zomorzadność" finansowane przez NSZZ Solidarność Koło Oporu Społecznego 241 Obszar Południe oraz odezwy tzw. Kierownictwa Walki Konspiracyjnej NSZZ Solidarność). Prace te są wspólnie koordynowane i istnieje bardzo ścisły kontakt między nielegalnymi strukturami Solidarności i KPN. W chwili obecnej wychodzi w Krakowie ok. 10 tytułów różnych pism, np. „Aktualności", „Veto", „Niepodległość", „Serwisy informacyjne" itp., z których większość jest drukowane bezpośrednio, bądź też kopiowane wtórnie przez komórki uczniowskie*

KPN. Nowa struktura jest spójna i zawiera organizacyjnie współdziałające ze sobą jednostki Solidarności, NZS i KPN. Pozostałe grupy działają niezależnie od tej struktury. Jak można się zorientować wartość merytoryczna tego doniesienia TW „Marco" jest znikoma.

Również o Andrzeju Grzywaczu z NZS była już mowa w tym tomie. Niektóre z donosów Grzywacza zawierają ogólne informacje o KPN. Na przykład w donosie z 21 grudnia 1981 roku czytamy: *Mówi się, że KPN ma wszędzie swoich ludzi, łącznie z milicją, którzy pomagają im w ujawnianiu agentów SB. W czasie spotkania w kościele Franciszkanów, jeden z obecnych powiedział, że KPN do wiosny będzie miał broń i amunicję.* W donosie z 14 kwietnia 1982 r. (błędnie datowanym na 13 marca) czytamy: *W Mszy Świętej uczestniczyło dużo ludzi (pełny kościół plus po ok. 40 osób przy obu wejściach na ulicy). Grupa 4 osób (3 mężczyzn i kobieta), z których jednego zna jako organizatora strajku w HiL (13-15 grudnia 1981), to (wg Adamusa) członkowie KPN.* Grzywacz doniósł SB o kontaktach Ryszarda Bociana ze środowiskiem studenckim i z Jerzym Vavrušákiem. Były to kontakty solidarnościowe, a nie kapeenowskie.

Omawiany tu dokument por. Celbana pomija też kontakty operacyjne SB. W przypadku krakowskiej KPN byli to: KO „Timur" (dzięki któremu SB miała potwierdzenie informacji, że Toś bierze aktywny udział w działalności drugiej KPN, co przyczyniło się do tego, że Toś został skazany na 3 lata więzienia), KO „Marek", (który pojawia się w dokumentach z końca 1982 r. jako osoba, która wydała SB Antoniego Piekałkiewicza) oraz dwóch donosicieli, którzy nie mieli wówczas nawet pseudonimów, a których donosy spowodowały wpadkę Głowackiego, Grudniewicza i Ewy Tukałło oraz wpadkę Papieża, Bika i Tosia.

Należy też podkreślić kluczowe znaczenie, jakie prawdopodobnie odegrało wykorzystanie towarzyskiej znajomości z Małgorzatą Szeremetą przez kapitana SB Marka Kanię.

Warto też pamiętać, że krakowska KPN była rozpracowywana również przez służby wojskowe (WSW). Mamy pewność, że tak było w przypadku sprawy Grudniewicza, Głowackiego i Ewy Tukałło. WSW miała własną agenturę oraz stosowała środki techniki operacyjnej także wśród cywilnych działaczy KPN. Będzie jeszcze o tym mowa.

***

Dzięki wymienionej wyżej agenturze i innym środkom pracy operacyjnej, SB była w stanie okresowo paraliżować działania KPN w Krakowie (czego dowodem jest druga fala internowań działaczy KPN na przełomie sierpnia i września, pod koniec października oraz w listopadzie 1982 r., a także rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze 28 i 29 października 1982 r., co czasowo zdezorganizowało działalność kierownictwa krakowskiej KPN).

SB nie mogła jednak zlikwidować poligrafii KPN, bo nie poznała adresu stałej drukarni (w domu Edwarda Postawy), ani nie dała rady namierzyć grup drukujących na ramkach – techniką łatwą do ukrycia, do przenoszenia z miejsca na miejsce. Internowanie Bociana nie wstrzymało też wydawania „Niepodległości" (wydawał ją wtedy Onyszko).

SB nie miała pojęcia o większości kolporterów bibuły kapeenowskiej (nie znała np. grup Agaty Dziadowiec i Mirosława Dziewońskiego ani kanałów kolportażu Bociana).

Zupełnie poza sferą wiedzy SB pozostawała znaczna i aktywna grupa kapeenowskiej młodzieży (Jerzy Mohl, Artur Mohl, Wojciech Słowik, Grzegorz Hajdarowicz i inni).

Przede wszystkim jednak SB nie była w stanie zmusić tych co najmniej kilkudziesięciu – w Krakowie – ludzi do zaniechania propagowania programu niepodległościowego. Z tego punktu widzenia bezpieka była całkowicie bezradna.

***

Metody pracy SB z agenturą są mało znane, bo funkcjonariusze i tajni współpracownicy nie chcą z reguły mówić o szczegółach. Niewiele zachowało się dokumentów, które dają wiedzę na ten temat. Oto „Kierunkowy plan zadań „dla tajnego współpracownika o pseudonimie „Andrzej" z 13 marca 1982 roku, sporządzony przez por. Ryszarda Strączka i zatwierdzony przez naczelnika Wydziału III KWMO.

Z dokumentów wynika, że chodzi o osobę, która studiowała na II roku teatrologii UJ i działała w NZS. W gronie znajomych miała interesujących SB aktywistów Zrzeszenia, w tym Jacka Rakowieckiego, Marka Lasotę, Adama Kalitę, Katarzynę Zimmerer. 14 grudnia 1981 r. została zatrzymana na Rynku Głównym w czasie kolportowania ulotek wzywających do protestów przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Przewieziono ją do KW MO przy ul. Mogilskiej, gdzie została nakłoniona do współpracy z SB. Napisała własnoręcznie zobowiązanie do współpracy, w którym zapisała, że będzie otrzymywać wynagrodzenie i przyjęła pseudonim „Andrzej". Opowiedziała SB o swoich znajomych aktywnych w NZS, za co nagrodzono ją kwotą 500 złotych, której przyjęcie potwierdziła podpisem.

Oto fragment wymienionego wyżej dokumentu:

II. Kierunki pracy i wykorzystania TW:

- *ujawnienie osób aktywnie zaangażowanych w działalności opozycyjnej na rzecz KPN, RMP, NZS i tzw. „Podziemnej Solidarności", rozpoznanie ich zamierzeń, stopnie zaangażowania, cech charakterologicznych itp.,*
- *ujawnienie grup nieformalnych o podłożu antysocjalistycznym,*
- *uczestniczenie w spotkaniach, zebraniach tych grup, przekazywanie każdorazowo pisemnych relacji dot. omawianych tam tematów i problemów,*
- *uzyskiwanie informacji dot. planów i zamierzeń tych grup: aktualnych i perspektywicznych,*
- *ujawnienie osób aktywnie zaangażowanych w działalność D*[uszpasterstwa] *A*[kademickiego] *przy kościołach Krakowa a wykorzystujących tę działalność w inspirowaniu i preferowaniu linii antysocjalistycznej,*
- *ujawnianie kurierów i osób przewożących względnie kolportujących literaturę antysocjalistyczną: na uczelniach, w kraju i ewentualnie za granicą,*
- *ustalanie miejsc, w których są drukowane bądź powielane materiały antysocjalistyczne, rozpoznanie osób dostarczających te materiały,*
- *ustalanie terminów ich odbioru, sposobu przekazywania itp.,*
- *ustalenie miejsc przechowywania wydawnictw i druków ulotnych oraz całej dokumentacji,*
- *ustalenie miejsc przechowywania maszyn, powielaczy, matryc i innych środków technicznych służących do powielania, druku tekstów,*
- *powiadomienie na bieżąco o każdej bytności w Krakowie przedstawicieli w/w grup z innych ośrodków w kraju (ustalać ich kontakty, miejsca spotkań, punkty docelowe i cele przyjazdu) (…).*

Taktyka postępowania TW.

- *TW może angażować się do niektórych działań podejmowanych przez w/w grupy nieformalne, ale tylko działań drobnych i mało znaczących,*
- *w sprawach bardziej istotnych (o dużym stopniu społecznego niebezpieczeństwa) przez swoją osobę ma neutralizować działania wewnątrz grup i proponować inne rozwiązania lub kierunek działania. O takich działaniach ma nas na bieżąco in-*

formować wcześniej w celu przygotowania i podjęcia przedsięwzięć operacyjnych zmierzających do zlikwidowania zagrożenia.

III. Kierunki szkolenia TW:

Biorąc pod uwagę powyższe kierunki pracy i wykorzystania TW planuje się przeprowadzić z nim szkolenie o następującej tematyce:

- *samokontrola tajnego współpracownika przed dojściem i w trakcie dojścia na umówione spotkanie,*
- *samokontrola TW przed wejściem na LK i MK* [lokal kontaktowy i mieszkanie kontaktowe] *i po wyjściu,*
- *sposoby uzyskiwania informacji,*
- *sposoby nawiązywania kontaktów z osobami nieznanymi,*
- *pozyskiwanie zaufania osób,*
- *sposoby zachowania się w grupie osób, tak aby nie zwracać na siebie uwagi,*
- *sposoby zabezpieczenia uzyskanych materiałów rzeczowych, kompromitujących lub obciążających,*
- *zachowanie się TW przy legitymowaniu, zatrzymaniu przez funkcjonariuszy MO w Krakowie lub na terenie kraju,*
- *sposoby uzyskiwania próbek pisma ręcznego, maszynowego bez zwracania na siebie uwagi,*
- *sposoby identyfikacji osób nieznanych,*
- *sposoby przekazywania informacji,*
- *sposoby neutralizacji bądź wyłączania poszczególnych osób z działalności grupy,*
- *działania celem paraliżowania pracy grupy,*
- *nawiązywanie kontaktów w wypadkach nagłych,*
- *przekazywanie informacji w sytuacji jw.*

Opracował: por. Ryszard Strączek

Ciekawych informacji o metodach pracy z TW dostarcza też adnotacja ręczna na tym dokumencie.

W pracy z TW jest luka między 15 grudnia 1981 a 19 lutego 1982 i dalszym okresem. Chociaż jest to spowodowane częściowo czynnikami obiektywnymi, to może jednak rzutować na stopień związania TW z naszym aparatem, jego aktywność, szczerość itp. Stąd w pierwszym okresie należy dążyć do zapewnienia właściwej dyscypliny współpracy oraz bliższego rozpoznania możliwości TW. W tym celu powinien on przygotować pisemną informację dot. interesujących nas zjawisk za okres, kiedy nie był utrzymywany kontakt oraz sporządzić charakterystyki zasługujących na uwagę osób, będących w jego zasięgu. Dopiero bowiem na tej podstawie będzie można stopniowo wdrażać TW do realizacji zadań przewidzianych w pkt II (...). Proszę również przewidzieć zadania kontrolne dla TW oraz wynagrodzenie za właściwą realizację zadań. Ponadto zwrócić się do KW MO w miejscu zam. o opinie o rodzinie i ew. wyjazdy za granicę TW.

13 marca 1982. Podpis nieczytelny

W tym wypadku współpraca nie układała się po myśli SB. Jak odnotował por. Strączek 23 stycznia 1985: *w trakcie spotkań widać było, że jest załamana, nie mogąc przełamać do siebie samej nienawiści i pogardy współpracując z SB. Na czwartym spotkaniu prosiła, aby zrezygnować z jej „usług". Motywowała taką decyzję swoim światopoglądem katolickim, otrzymała poradę prawną, jak również w trakcie częstego pobytu w kościele św. Anny przystąpiła do spowiedzi, w trakcie której ujawniła fakt współpracy.* Do akt do-

łączono własnoręcznie napisane oświadczenie, rozpoczynające się od słów: *Zwracam się z prośbą o rozwiązanie mojej współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa, którą rozpoczęłam w grudniu 1981...*

TW „Andrzeja" wyeliminowano z sieci agenturalnej. Dokumentacja, ujawniająca tajniki planowanej pracy z agentem, zachowała się dzięki temu, że teczka TW trafiła do archiwum już w połowie lat 80. i nie była poddana żadnym zabiegom podczas brakowania akt w końcówce PRL-u i na początku III RP.

Zdemaskowanie Gąsiorowskiego

Zdemaskowanie Gąsiorowskiego jest związane z działalnością Stanisława Tatary i Michała Żurka jesienią 1982 roku. Żurek uciekł z Załęża na początku kwietnia 1982 roku i od tego czasu ukrywał się. Przejawiał wówczas dużą inicjatywę i opowiadał się za radykalnymi formami działania.

Tatara: *Gdy Żurek uciekł z Załęża, to mówił, że tworzył jakieś grupy paramilitarne w Miechowskiem (tam, gdzie się ukrywał).*

Zygmunt Łenyk: *Po moim wyjściu z internowania zjawił się u mnie wraz z Bożeną Huget Michał, który uciekł z więzienia i ukrywał się. Zapytałem go, czy będzie dalej pracował w Wydziale Robotniczym* [zob. tom I]. *Odpowiedział: „Będę walczył z komuną do śmierci". Poinformował mnie, że drugi raz nie pójdzie do więzienia. Jest uzbrojony i nie da się zamknąć. Przestrzegłem Michała, by tych radykalnych form nie propagował wśród pozostałych członków Wydziału Robotniczego. Wyraził na to zgodę, uznając, że każdy ma prawo do własnej, odrębnej formy postępowania. Natomiast domagał się, bym wyraził zgodę na zaostrzenie formy dotychczasowej walki z systemem o sabotaż w zakładach pracy. Byłem przeciwny sabotażowi, ale uzgodniliśmy, że będzie on mógł być stosowany jedynie jako forma wsparcia dla strajku, któremu groziłaby pacyfikacja przez milicję. Obiecałem mu wsparcie w jego działalności, którą planował realizować metodami ściśle konspiracyjnymi, ukrywając się.*

Ze wspomnień ukrywającego się Antoniego Piekałkiewicza wynika, że także on spotykał się z Żurkiem w tym czasie. W lipcu wyszedł z Załęża Tatara i wkrótce Żurek nawiązał z nim kontakt.

Tatara: *Zaraz po wyjściu z Załęża wziąłem zaległy urlop, a po nim zgłosiłem się do pracy. Wbrew ustawie o stanie wojennym, nie wróciłem na dawne stanowisko w warsztacie mechanicznym, lecz skierowali mnie do działu zaopatrzenia. Nie wyraziłem na to zgody, odwoływałem się do komisji rozjemczej, a następnie do sądu pracy. Nie pracowałem tam długo i zostałem przeniesiony do bazy sprzętu jako dyspozytor. Po kilku dniach pracy lekarz wystawił mi dłuższe zwolnienie.*

Szybko włączyłem się w działalność konspiracyjną. Odnowiłem kontakty głównie z ludźmi KPN. Byłem wtedy blisko z Michałem Żurkiem, braćmi Mohlami, Krzysztofem Gąsiorowskim, Witoldem Tukałło.

Z Żurkiem po raz pierwszy spotkałem się u Wiesława Mazurkiewicza [który blisko współpracował z KPN]*, natomiast z Mohlami i Tukałłą spotykaliśmy się w różnych miejscach, m.in. w okolicach kopca Piłsudskiego i na działkach w Bieńczycach.*

Tatara uczestniczył w walkach ulicznych z ZOMO 31 sierpnia i 30 września 1982 roku. W październiku 1982 roku zaczął się ukrywać, co wiązało się ściśle ze zdemaskowaniem Gąsiorowskiego.

Tatara: *Na drugie spotkanie z Żurkiem umówiłem się na Azorach, w bloku w mieszkaniu znajomego Żurka. Żurek wysłał mnie do Gąsiorowskiego, który miał Żurkowi coś przekazać. U Gąsiorowskiego był działacz KPN z Katowic – chyba był to Karwowski. O podejrzeniach wobec Gąsiorowskiego mówili mi w Załężu Majdzik i Miodowicz. Majdzik mówił, że Gąsiorowski pije z ubekami i wtedy im przekazuje informacje. Ale ja w to nie wierzyłem. Gąsiorowski dał mi reklamówkę, w której były dwa ćwiczebne granaty, które miałem zanieść Żurkowi. Taki granat wygląda jak prawdziwy, ale nie ma wewnątrz materiałów wybuchowych. Zaniosłem to Żurkowi i dyskutowaliśmy o potrzebie ćwiczeń wojskowych z młodzieżą.*

Kolejne spotkanie odbyło się 11 października 1982 o godzinie 11 w tym samym mieszkaniu na Azorach. Na tym spotkaniu był także Gąsiorowski. Chcieliśmy z Żurkiem wymusić na nim zgodę na prowadzenie zajęć przygotowujących młodzież do działań partyzanckich. Gąsiorowski absolutnie nie chciał się na to zgodzić. On miał inne plany – po wyjściu z internatu chciał rozwiązać KPN, aby komuna nie miała pretekstu do aresztowania ludzi za sam fakt przynależności do KPN. Chyba mówił mi o tych planach już w Załężu. Po długiej dyskusji i naszych namowach Gąsiorowski w końcu powiedział: „Jak już tak strasznie chcecie to robić, to róbcie". I mianował mnie szefem podziemia zbrojnego na Kraków, a Żurek został moim zastępcą. Na koniec Gąsiorowski przekazał Żurkowi jeszcze jakieś materiały i zebranie się zakończyło. Umówiliśmy się jeszcze tego samego dnia z Żurkiem, że ja mu dostarczę łom, który mógł służyć m.in. do wyważania drzwi. Miałem mu ten łom zawieźć na os. Tysiąclecia. Razem z kolegą pojechaliśmy z tym łomem, ale Żurek już nie przyszedł w umówione miejsce. Ukryłem łom pod balkonem, koło jednego z bloków.

Niebawem wyjaśniły się przyczyny nieodebrania łomu przez Żurka.

Tatara: *Po tym spotkaniu wyszedłem razem z Gąsiorowskim, a Żurek pozostał tam jeszcze podobno około trzech kwadransów. Po czym wyszedł z bloku i poszedł na przystanek MPK, gdzie został natychmiast otoczony przez czekających na niego tajniaków i zatrzymany. Przewieźli go do Załęża, gdzie dostał decyzję o zwolnieniu, wydano depozyt i odwieziono do Krakowa, gdzie go zwolniono, powiadamiając jednocześnie, że ma sprawę karną za ucieczkę.*

Żurek, mimo tej wpadki, dalej się ukrywał. Równocześnie przeprowadził śledztwo mające na celu ustalenie, kto go wydał.

Tatara: *Na drugi dzień przyszedł do mnie Jurek Mohl i zaczął mnie wypytywać. Opowiedziałem mu wszystko. Pojechaliśmy razem sprawdzić, czy ten łom jest. Ale łomu nie było w tym miejscu, gdzie go zostawiłem, ktoś go zabrał.*

Mimo braku łomu w miejscu wskazanym przez Tatarę, Żurek dał wiarę Tatarze, natomiast uznał, że wysypał go Gąsiorowski.

Tatara: *W wyniku tego dochodzenia Żurek oskarżył o współpracę z SB Gąsiorowskiego.*

Być może przyczyną, dla której Tatara znalazł się poza podejrzeniami, była próba jego zatrzymania przez SB jeszcze tego samego dnia.

Tatara: *12 października 1982 wieczorem, gdy byłem w domu z mamą, do drzwi zapukali tajniacy, pytając o mnie. Poprosiłem mamę, aby powiedziała, że mnie nie ma i zabroniłem otwierać drzwi. Zaczęli się dobijać i grozić, że wyważą drzwi, jeśli natychmiast nie otworzy. Mama odmówiła i zaczęła się odgrażać, żeby nawet nie próbowali, bo wtedy poniosą koszty, a poza tym, żeby uważali na sąsiadów, którzy nas obronią. Na klatce schodowej zaczęli gromadzić się zaciekawieni sąsiedzi. Postanowiłem uciekać przez okno. Mieszkanie znajdowało się na 3 piętrze. Wychyliłem się i uchwyciłem piorunochron. Schodząc, obawiałem się, czy wytrzyma mój ciężar. Na szczęście wytrzymał. Zsunąłem się po nim szybko, zdzierając jedynie rękawice. Pobiegłem do mieszkającego kilka ulic dalej Janka Szelesta, aby powiadomił kolegów, że zaczynam się ukrywać.*

Tatara (a pewnie i Żurek) próbę zatrzymania przez SB 12 października 1982 roku powiązali ze spotkaniem z Gąsiorowskim w poprzednim dniu: *Kojarząc fakty, byłem przekonany, że najście SB na moje mieszkanie jest związane ze spotkaniem z Żurkiem, ukrywającym się po ucieczce z Załęża, i Gąsiorowskim.* W innym miejscu swoich wspomnień Tatara przyznaje, że może też być inne wytłumaczenie wizyty SB u niego w mieszkaniu 12 października 1982: *Nie wiem, czy to było skutkiem donosu Gąsiorowskiego, czy też przyszli do mnie przed 13, aby mnie prewencyjnie zatrzymać.*

Zdemaskowanie przez Żurka miało dla Gąsiorowskiego przykre konsekwencje.

6 stycznia 1983 roku Gąsiorowskiemu podpalono mieszkanie. W akcji wzięło udział czterech kapeenowców.

Hajdarowicz: *To było późną jesienią 1982 lub na początku 1983 roku. Była informacja, że Gąsiorowski wydał ludzi i przez niego były aresztowania. Poza osobami biorącymi udział w akcji zapadła decyzja, że trzeba go nastraszyć. Chodziło o to, żeby przestał donosić. Nie chodziło o to, żeby go zlikwidować. Nie brano pod uwagę sytuacji, że może dojść do tragedii.*

Gąsiorowski mieszkał w bloku na szóstym lub siódmym piętrze. Dwie osoby, których Gąsiorowski nie znał, weszły do klatki. Na twarzach mieli chusty. Polali benzyną drzwi za pomocą strzykawek. Wstrzyknęli też benzynę do przedpokoju. Następnie podłożyli ogień i zbiegli ze schodów. Nie jechali windą, bo gdyby ktoś się dosiadł, to mógł ich zapamiętać. Dwóch, których Gąsiorowski mógł poznać, stało na czatach przed blokiem, żeby w razie czego pomóc w jakiejś bijatyce, gdyby podjechała suka.

Łenyk*: O zamachu dowiedziałem się kilka dni później, gdy byłem w Nowej Hucie, u ks. Jancarza. Zaraz pojechałem do Gąsiorowskiego. Gąsiorowski mieszkał wysoko, na VI albo VII piętrze w wieżowcu na Białym Prądniku. Opowiedział mi cały przebieg zajścia.*

Około północy, przez próg mieszkania człowiek lub ludzie, którzy znajdowali się na klatce schodowej za drzwiami mieszkania, wlali do środka substancję palną, wybuchową. Opary szybko uniosły się do góry. Podpalili i w przedpokoju huknął w górze, pod sufitem, wielki płomień. Gąsiorowski akurat nie spał, tylko oglądał telewizję. Dostał właśnie paczkę z kurii z darami. Były tam m.in. dwie kołdry. Gdy zobaczył płomienie, rzucił te kołdry i zdusił ogień. To trwało bardzo krótko. Miał dużo szczęścia. W mieszkaniu była jeszcze jego żona i dwójka dzieci...

Gąsiorowski nie miał żadnych podejrzeń. Zamachowcy na ścianie korytarza przed wejściem do mieszkania Gąsiorowskiego napisali dużymi literami: „Ubek" i „Wyrok". Po tym podpaleniu kontakty Gąsiorowskiego z KPN były pełne lęku i nieufności.

Akcja nie znalazła żadnego odzwierciedlenia w zachowanych dokumentach SB. Krótko po niej SB rozwiązała współpracę z Gąsiorowskim i ta zbieżność czasowa nie jest chyba przypadkowa.

31 stycznia 1983 roku por. Zdzisław Celban dokonał analizy materiałów operacyjnych dotyczących TW „Mikołaj Ataman". Charakterystyczne jest, że w analizie nie wspomniano o uzależnieniu Gąsiorowskiego od alkoholu. *TW ps. „Mikołaj Ataman" został pozyskany do współpracy dnia 15 marca 1960 roku przez kpt. Mariana Heretyka, b*[yłego] *pracownika tut*[ejszej] *Służby, na zasadzie lojalności, do wyjaśnienia kradzieży broni, jaka miała miejsce w tym okresie czasu z magazynu Studium Wojskowego UJ* [zob. tom I].

W tym okresie czasu przekazał on szereg informacji, na podstawie których założono kilka spraw operacyjnych i dokonano wielu realizacji. Przekazywane przez TW informacje polegały wówczas na prawdzie. Był solidny w wykonywaniu powierzonych mu zadań i wykonywał je z pełnym poświęceniem. Informacje przez niego przekazywane były zawsze sporządzane osobiście w formie pisemnej.

W dalszej współpracy był kolejno wykorzystywany do rozpoznania sytuacji w środowisku akademickim, następnie rozpoznania i rozpracowywania nielegalnych grup i organizacji młodzieżowych, z którymi miał kontakt.

Przez ten okres współpracy był kilkakrotnie sprawdzany przez inne osobowe źródła informacji i nie stwierdzono, aby przekazał on odmienną relację lub niesprawdzone materiały.

W ostatnich kilku latach wykorzystywany był do rozpracowywania nielegalnych grup, np. Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz Konfederacji Polski Niepodległej. TW chętnie przychodził na spotkania, sporządzał osobiście informacje, przy czym stwierdzono, że identyfikuje się on z programem opozycyjnym, a konkretnie Konfederacji Polski Niepodległej. Pomimo przeprowadzonych z nim kilkakrotnych rozmów ostrzegawczych w tym względzie, stwierdzono w dalszym ciągu, że TW zatajał pewne fakty z działalności organizacji KPN, a także przejawiał inicjatywę własną, wykraczającą poza zadania w współpracy, co stawia go w rzędzie aktywnych działaczy tej grupy opozycyjnej.

13 grudnia 1981 został on internowany razem z innymi członkami KPN w Ośrodku w Załężu, gdzie przebywał do lipca 1982.

Po wyjściu z ośrodka dla internowanych, z własnej inicjatywy potwierdził pozostającym na wolności członkom KPN swój udział w tej nielegalnej organizacji, gdzie z wcześniejszego upoważnienia Leszka Moczulskiego pełni funkcję przewodniczącego Centralnego Kierownictwa Akcji Bieżącej.

Jego poglądy stoją na gruncie, że KPN jest organizacją, z którą władza winna podjąć dialog w imię poprawy sytuacji i nastrojów społecznych.

Z uwagi na emocjonalne zaangażowanie Krzysztofa Gąsiorowskiego na rzecz programu KPN, a także formalne podejście do współpracy z naszą Służbą, zgodnie z decyzją Z[astęp]*cy Komendanta Wojewódzkiego MO zostanie on poddany rozpracowaniu operacyjnemu w sprawie operac*[yjnego] *rozpr*[acowania] *krypt*[onim] *„Gniazdo". Ponadto zostanie zarejestrowany do sprawy jako figurant z dalszą kontynuacją przez nas dialogu operacyjnego z ww., co pozwoli na jego kontrolę w pewnym stopniu, a także ograniczy jego ewentualne negatywne inicjatywy.*

Listopad 1982 roku na ulicach

Friszke: *Wydane z datą 20 października oświadczenia* [władz podziemnej „Solidarności"] *musiały być przyjęte albo „obiegiem", albo były wcześniej uzgodnione, nie doszło bowiem w tych dniach do zebrania TKK. A były to oświadczenia ważne, wręcz o znaczeniu strategicznym (…). Wobec załamania się nadziei na ugodę społeczną, TKK zapowiadała podjęcie przygotowań do strajku generalnego, który powinien nastąpić wiosną 1983 (…). Strajk 10 listopada powinien trwać nie cztery a osiem godzin. Przewidywano też manifestacje 13-17 grudnia.*

Dudek, Marszałkowski: *Władze, podobnie jak przed 31 sierpnia, podjęły działania o charakterze politycznym, ekonomicznym oraz policyjnym, których zadaniem było ograniczenie zasięgu akcji protestacyjnej. 8 listopada gen. Jaruzelski spotkał się z prymasem Glempem, a w komunikacie wydanym z tej okazji znalazła się zapowiedź pielgrzymki Jana Pawła II do kraju w czerwcu 1983 r.. „Podanie tej wiadomości – zauważa Jakub Karpiński – miało zapewne świadczyć o dobrej woli władz i przyczynić się do zapobieżenia strajkom i manifestacjom wyznaczonym na 10 listopada. Przed 10 listopada wiele osób aresztowano, internowano, powołano do wojska. W zakładach pracy pojawiły się patrole wojskowe i cywilni funkcjonariusze SB".*

Jak podkreśla Leszek Jaranowski częścią tych pacyfikacyjnych działań władz przed 10 listopada 1982 r. była wspomniana już w innym miejscu branka – pobór do wojskowych obozów specjalnych „elementów niebezpiecznych".

Dudek, Marszałkowski: *Ci ostatni aresztowali 8 listopada kolejnego członka TKK Piotra Bednarza oraz 11 innych działaczy dolnośląskiej „Solidarności". Jak wynika z danych milicyjnych, władze zdecydowane były zlikwidować ewentualne strajki okupacyjne metodą wypróbowaną w grudniu 1981. Pododdziały ZOMO i WP, wspierane przez wozy pancerne, zdobyć miały szturmem zakłady pracy, a następnie zatrzymać i izolować strajkowych przywódców. Okazało się to jednak niepotrzebne, bowiem protesty 10 listopada okazały się największą porażką w działalności podziemnej „Solidarności". Do krótkich przerw w pracy (trwających od 10 minut do 2 godzin) doszło w zaledwie 28 zakładach na terenie 13 województw. Przodował Wrocław, w którym strajki odnotowano w dziewięciu przedsiębiorstwach.*

Paczkowski: *Po październikowej porażce w miarę spokojnie było tym razem w Gdańsku.*

Friszke: *Strajk 10 listopada okazał się spektakularną klęską podziemia.*

Borusewicz („Konspira"): *Koncepcja odłożenia spontanicznego gniewu ludu na miesiąc, do 10 listopada, i nieodwołanie tego pomysłu już po upadku strajku w Stoczni, dowodziło niskich kwalifikacji i zwykłego strachu przywódców (…).*

Bujak („Konspira"): *Nie stanęliśmy na wysokości zadania, co spowodowało wielką demobilizację społeczną (...). Po wszystkich tych klęskach nastąpił trudny okres. Sporo ludzi odeszło (choć wielu po pewnym czasie wróciło), szczególnie ci, którzy myśleli, że tylko kopnąć WRON-ę, a ona zaraz odleci.*

Jak zwykle nie zawiodła młodzież w Krakowie i we Wrocławiu, z tym że – jak podkreśla Paczkowski – *demonstracje się odbyły i były stosunkowo liczne, ale przebieg ich był mniej gwałtowny niż tych z października czy sierpnia.*

***

Na początku listopada pojawiła się w Krakowie kolejna „nielegalna tablica". Z informacji mjr. Hryniewicza z 2 listopada 1982: *W dniu 2 listopada br. stwierdzono, że przed głównym wejściem do kościoła Jezuitów przy ul. Kopernika jest wkomponowana w chodnik tablica marmurowa o wymiarach 40x50 cm, na której jest wyryty napis o następującej treści: „Pamięć – poległym ofiarom stanu wojennego". Wokół w/w płyty ułożono kwiaty i palące się znicze.* Pierwsza tablica w tym samym miejscu została wmurowana w nocy z 29 na 30 września 1982 roku i została po kilku godzinach usunięta przez SB.

„Aktualności" nr 43 z 15 listopada 1982: *Już na parę dni przed 10 listopada w Krakowie panowała napięta atmosfera. Dyrektorzy otrzymywali ciągle nowe instrukcje od WRON-y jak przeciwdziałać strajkom. Wiele osób, w tym kilkaset z Kombinatu HiL otrzymało powołanie do wojska. W Kombinacie komisarze WRON-y wraz z kierownikami wydziałów zastraszali robotników. Wzywano ich i grożono, że w przypadku strajku na wydziale zostaną natychmiast internowani, aresztowani lub wyrzuceni z pracy. Ogłoszono też, że każdy strajkujący zostanie pozbawiony 13-tej i 14-tej pensji i zdegradowany o dwie grupy płacowe. Kombinat obstawiły oddziały wojska i ZOMO. Tym razem zastraszenie okazało się skuteczne. Obawa przed represjami i zbiorową odpowiedzialnością spowodo-*







Symboliczny krzyż ze zniczy przed kościołem Jezuitów przy ul. Kopernika. *W dniu 2 listopada br. stwierdzono, że przed głównym wejściem do kościoła Jezuitów przy ul. Kopernika jest wkomponowana w chodnik tablica marmurowa o wymiarach 40 na 50 cm, na której znajduje się wyryty napis o następującej treści: „Pamięć – poległym ofiarom stanu wojennego". Wokół w/w płyty ułożono kwiaty i palące się znicze. Pierwsza tablica w tym samym miejscu została wmurowana w nocy z 29 na 30 września 1982 r. i została po kilku godzinach usunięta przez SB.* Fot. SB

wały, że Kombinat nie strajkował. Próby podjęcia strajku nastąpiły tylko na paru wydziałach i zostały szybko stłumione.

W Krakowie 9 listopada SB puściła plotkę, że strajk został odwołany. W tę plotkę uwierzono w części zakładów pracy. W wielu zakładach strajk odbył się, chociaż – według posiadanych przez nas informacji – nigdzie nie strajkowano pełnych 8 godzin.

Pełnym sukcesem zakończył się strajk na krakowskich wyższych uczelniach. Instrukcja przewidywała tu 15-minutowe zgromadzenie o godzinie 10 na terenach uczelnianych, a następnie strajk absencyjny do godziny 14.00. Podobne zalecenia dla studentów wydał podziemny NZS. Na AGH, w UJ, Akademii Ekonomicznej, Politechnice i ASP odbyły się tylko nieliczne zajęcia. W pozostałych uczelniach było ich więcej.

Strajkowano też niemal we wszystkich instytucjach naukowych PAN i branżowych. W krakowskim WSK-PZL, za udział w strajku wyrzucono dyscyplinarnie 22 osoby, a w Fadom-ie w Bieżanowie, rozwiązano karnie jeden zakład, wyrzucając ponad 100 osób.

Informacja dzienna z 10 listopada 1982 roku dotycząca sytuacji w obiektach ochranianych przez Wydział V: *Na terenie Fabryki Domów „Fadom" 105 robotników utrzymania ruchu nie podjęło pracy. „Fadom" zatrudnia 348 osób, w tym 64 umysłowych. Do fabryki udali się przedstawiciele dyrekcji oraz organizacji partyjnej, chcąc przekonać do podjęcia pracy i przypominając o grożących konsekwencjach. Ze względu na stanowczy opór tych pracowników dyrektor podjął decyzję o zwolnieniu dyscyplinarnym w/w. Do 105 robotników doszło 3 pracowników umysłowych tj. kierownik warsztatu oraz 2 mistrzów jako solidaryzujących się z załogą.*

Organizatorem jednego z nielicznych strajków w Polsce 10 listopada 1982, strajku w Fadomie, był ukrywający się w tym czasie Stanisław Tatara, który tak to wspomina: *Znałem ludzi i nastroje w Fabryce Domów w Bieżanowie, uważałem, że powinienem być z nimi, byłem pewien, że beze mnie strajk się nie odbędzie. Poparcie dla „Solidarności" było tam ciągle duże. Na znajdującym się w zakładzie kilkudziesięciometrowym kominie kotłowni ktoś zawsze w czasie ogłaszanych przez podziemie akcji protestacyjnych wywieszał flagę narodową. Powstawał wtedy problem, kto ma ją ściągnąć, bo nigdy nie było chętnych. Ludzie tłumaczyli się, że nie są uprawnieni do pracy na wysokości.*

W zakładzie pojawiłem się już o 6 rano. Dojechałem do niego zakładowym autobusem, odjeżdżającym z Kleparza. Koledzy z pracy byli zaskoczeni moim widokiem. Na teren zakładu wszedłem jakby nigdy nic, głównym wejściem. Na portierni nikt nie próbował mnie zatrzymać. Byłem w kilku miejscach, informując ludzi o zarządzonym przez podziemną „Solidarność" strajku; pytałem, czy zamierzają w nim wziąć udział i zachęcając do przyjścia na warsztat mechaniczny, gdzie planowałem przemówić do załogi. Inni koledzy, m.in. Jan Szelest robili to samo. Praktycznie od rana na pierwszej zmianie nikt nie podjął pracy. Ludzie zbierali się w grupy i dyskutowali.

Początkowo nie widziałem u nich zbytniego entuzjazmu, część nie była zdecydowana strajkować. Około godziny 7 rano prawie cała zmiana zgromadziła się na warsztacie mechanicznym. Byli zarówno robotnicy, jak i część pracowników administracyjnych i dozoru. Tam przemówiłem do nich. Starałem się trochę rozładować atmosferę, m.in. opowiadając żartobliwie o internowaniu, o różnych protestach i starciach w Załężu. Podgrzałem tym nastrój, a w końcu poinstruowałem, co mają zrobić, jeśli zechcą strajkować. Widząc, że są zdecydowani, doradziłem im, aby w przypadku wkroczenia milicji lub ZOMO wszyscy zgromadzili się w budynku betonowni, bo było tam dużo miejsca, a równocześnie trudno się tam było dostać. Ponadto istniała możliwość odcięcia palnikami prowadzących na górę metalowych schodów, przez co byliby zupełnie niedostępni. Uczciwie powiedziałem, że istnieje

możliwość siłowej pacyfikacji strajku, ale według mnie jest to mało prawdopodobne, bo zakład należy do stosunkowo niewielkich. Byłem wówczas przekonany, że ciężar tego protestu przejmą duże zakłady pracy. Mówiłem jeszcze, że gdyby próbowali z nimi negocjować, to najlepiej zrobią, jeśli będą milczeli i nie podejmą żadnej dyskusji. Każdy, kto podejmie rozmowy, może potem zostać uznany za prowodyra. Na koniec stwierdziłem, że skoro się ukrywam, to jest mi obojętne, że mogę zostać obarczony winą organizacji tego strajku.

W tym czasie zdenerwowany kierownik zakładu próbował interweniować, nawołując ludzi do rozejścia się i podjęcia pracy. Zwróciłem się do niego ze słowami: „Pan tu w tej chwili nie decyduje, bo jest strajk". Widząc panujący nastrój, szybko się wycofał.

Wiec zakończył się około 9.00, zakład w tym czasie nie pracował, ludzie udali się zgodnie z moją radą na betonownię. Byłem pewny, że protest się powiedzie.

Koledzy oraz przewodniczący oddziałowej „Solidarności" Andrzej Grabowski nalegali, abym opuścił już zakład, bo wszyscy wiedzą, że tu jestem i ktoś może zawiadomić milicję. Uspokajałem ich, że władza ma poważniejsze problemy w innych, większych zakładach i tak szybko nikt tu nie dotrze, ale w końcu posłuchałem i dyskretnie, boczną bramą kolejową, opuściłem Fadom.

Postanowiłem zorientować się, jak wygląda sytuacja w innych jednostkach przedsiębiorstwa. Z Bieżanowa doszedłem na Prokocim, gdzie mieszkał mój znajomy. On podwiózł mnie samochodem na naszą bazę sprzętu w Płaszowie.

Na bramie portier nie chciał mnie wpuścić. Dowiedziałem się od niego, że wcześniej byli tutaj z SB i czekali na mnie. Okazał się być porządnym człowiekiem, bo powiedział mi, że ci z bezpieki kazali mu natychmiast ich zawiadomić, gdybym się pojawił. Był trochę przestraszony, ale jednak udało mi się go namówić, aby mnie wpuścił. Obszedłem różne miejsca, byłem na warsztacie, gdzie rozmawiałem z przewodniczącym oddziałowej komisji „Solidarności" w bazie sprzętu, Paluchem. Tam robotnicy pracowali. Gdy poinformowałem ich, że Bieżanów stoi, widziałem, że było im trochę głupio z tego powodu. Nawet nie próbowałem ich nakłaniać do strajku. Nie miałem też do nich pretensji, wiedząc, że bali się utracić pracę oraz że w obawie przed uwięzieniem nie miał kto wziąć na siebie odpowiedzialności za zorganizowanie strajku. Nie byłem u nich długo.

Pojechałem jeszcze do Prokocimia, gdzie nasze przedsiębiorstwo również prowadziło budowę. Dotarłem, gdy już kończyła się pierwsza zmiana. Tam także praca przebiegała normalnie.

O przebiegu strajku po moim wyjściu z oddziału w Bieżanowie dowiedziałem się później z relacji kolegów. Wypadki potoczyły się mniej więcej tak, jak to przewidziałem. Nie użyto jedynie siły. Przyjechała bezpieka i jacyś komisarze, którzy wraz z dyrekcją starali się nakłonić ludzi do podjęcia pracy. Początkowo próbowali polubownie załatwić sprawę, obiecując pracownikom, że jak przerwą strajk, to nie będą wyciągnięte żadne konsekwencje. Ponieważ nikt nie podjął z nimi rozmowy, zaczęło się straszenie. Szczególny nacisk wywierano na zatrudnione u nas kobiety, licząc, że najłatwiej będzie je złamać. Pułkownik, który przyjechał namawiać załogę do zakończenia strajku, pytał kolejno kobiety, czy są mężatkami i czy mają dzieci. One, uprzedzone przez mnie, wszystkie odpowiadały, że nie. To wywoływało wybuchy śmiechu strajkujących i doprowadziło do irytacji wyższego oficera, który w końcu powiedział: „To same panny u was pracują?". Nastąpił wybuch śmiechu i nie osiągnęli niczego. Załoga zachowywała się zgodnie z moimi zaleceniami, bo okazało się, że argumentacja komisarza była taka, jaką przewidziałem. Gdy komisarz się zirytował po raz kolejny, jeden z grających w kącie w karty rzucił kartę na stół z okrzykiem: „Dupkiem go!". Spowodowało to salwę śmiechu i opuszczenie betonowni przez komisarza.

Do 14.00, czyli do końca zmiany, strajkujący nie podjęli pracy. W konsekwencji następnego dnia przeszło sto osób, w tym ja, otrzymało wymówienia.

W sytuacji dużej bierności członków „Solidarności" zatrudnionych w krakowskich zakładach pracy dobrze się stało, że w środowisku konfederackiej młodzieży nie zdecydowano się na bardziej radykalne działania. Zawisłyby bowiem w próżni, spowodowanej brakiem szerszego poparcia.

Wojciech Słowik: *Przed 10 listopada 1982 miałem poważne rozmowy z Jurkiem Mohlem, który miał plan zatrzymania autobusów wyjeżdżających z zajezdni. „Solidarność" wezwała wówczas do strajku. Jurek proponował, abyśmy deski nabite gwoździami rzucali łamistrajkom pod koła. Doszło między nami do dyskusji, bo ja byłem zdecydowany przeciwko takiej akcji. Uważałem, że akcja ma sens, gdy sami kierowcy nie wyjadą na trasę, a nie, gdy będziemy ich zmuszać do pozostania w zajezdni. Poza tym obawiałem się, że motywy naszego działania mogą nie być jasne i będziemy odpowiadać jako zwykli chuligani, o których nawet „Solidarność" się nie upomni. W końcu Jurek dał się przekonać i odpuścił sobie tę akcję. Zresztą okazało się, że strajk, do którego wezwała „Solidarność", był zupełnym niewypałem – autobusy jeździły normalnie, Huta pracowała normalnie. Nie było tego dnia poważniejszych przerw w pracy w innych krakowskich zakładach.*

A jednak z informacji przekazanych 10 listopada 1982 roku z Krakowa do dyżurnego operacyjnego MSW wynika, że ktoś zrealizował plany Jerzego Mohla: *Ponadto w godzinach rannych stwierdzono rozrzucenie w rejonie zatok przystanków autobusowych MPK kolczatek, które spowodowały przebicie opon 14 autobusów. Uruchomiono wozy rezerwowe.*

***

Mimo niepowodzenia akcji strajkowej na ulicach Nowej Huty po raz kolejny doszło do walk ulicznych.

„Aktualności" nr 43 z 15 listopada 1982: *Nowa Huta – 10 listopada 1982. Ok. godziny 10.00 przed Główną Bramą Kombinatu zgromadził się tłum robotników. Tylko niektórzy skierowali się do autobusów i tramwajów. Na twarzach stojących hutników malowała się uległość i strach. Przed godziną 15-tą ludzie niepewnie zaczęli się rozchodzić. Wówczas 150 osób zaczęło schodzić chodnikiem na dół. Nad Zalewem oczekiwał ich tłum zomowców z chmarą rozwścieczonych psów. Zomowcy obstawili również całą ulicę Bulwarową. Na szczęście ta nieliczna grupa ludzi rozproszyła się sama.*

W tym czasie na B-1 ponownie zgromadzili się robotnicy. Stali oni na chodnikach wokół skrzyżowania. Patrole legitymowały ludzi, spisując ich i nakazując rozejście się. Po godzinie 15.00 na wysokości os. Hutniczego sformowała się grupa ok. 300 osób i z okrzykami: „Solidarność!", „Polska to my!", „Reżim precz!" przeszła przez Plac Centralny a za nią tłumnie ludzie bez okrzyków. Na Placu Centralnym manifestanci usunęli dekorację (…) oraz zrywali WRON-ie plakaty „Dosyć!". Przed radą dzielnicową zebrała się grupa młodych osób, obrzucając budynek kamieniami. Manifestanci doszli do Ronda Kocmyrzowskiego, gdzie zostali zaatakowani petardami z gazem łzawiącym i świecami dymnymi. Walki między ZOMO a mieszkańcami Nowej Huty trwały aż do północy.

Jerzy Mohl: *Od rana pogoda była paskudna – typowy krakowski kapuśniaczek z domieszką mgły. W szkole spotkałem się na przerwie z Grześkiem Pirowskim, od którego dowiedziałem się, że w Nowej Hucie planowana jest duża demonstracja „Solidarności", ale nie wiadomo, z jakiej okazji. Początkowo myślałem, że coś pokręcił, ale pomny na bardzo udaną zadymę w poprzednim miesiącu, postanowiłem dłużej nie dociekać prawdy i na*

zasadzie „ryzyk fizyk" wybrać się z Grześkiem do Huty. Mój kompan miał ambitny plan użycia w sprzyjających okolicznościach nunczaku, czyli dwóch pałek połączonych krótkim (ok. 10 cm) łańcuchem, w którego to posiadanie wszedł parę dni wcześniej (niestety, nie pamiętam, w jakich okolicznościach).

Umówiliśmy się po południu, bo na takie wyjście trzeba się było odpowiednio ubrać. Te przebieranki zajęły nam trochę czasu, więc zanim dotarłem do domu Grześka, było już po piątej. Kiedy już dojeżdżaliśmy tramwajem na miejsce, poczuliśmy w wagonie zapach gazu łzawiącego i musiałem przyznać koledze rację, że jest coś na rzeczy. Na placu Centralnym wysiedliśmy tylko my, ale za to jak! Prosto niemal na całą kompanię ZOMO, która stała na trawniku .

Na całe nasze szczęście byli zwróceni frontem do wodza Rewolucji Październikowej, którego monument już częściowo odnowiony po dewastacjach z poprzedniego miesiąca majaczył w oddali.

W powietrzu unosił się swąd z petard i w oczy szczypał gaz, ale nie było widać ani słychać odgłosów żadnej demonstracji. Błyskawicznie zorientowaliśmy się, że przyjechaliśmy za późno i jest już po wszystkim. Jedyne, co można było zrobić w takiej sytuacji, to ulotnić się jak najszybciej.

***

Tego samego dnia niemrawe próby zorganizowania manifestacji ulicznej podjęto także w „starym" Krakowie, a okolicznościowe msze święte odbyły się w kilku krakowskich kościołach.

„Aktualności" nr 43 z 15 listopada 1982: *Po południu ludzie z krakowskich zakładów udali się na Msze Święte z intencji Ojczyzny i Solidarności. Dla dzielnic Śródmieście i Grzegórzki Msza odbyła się w kościele Jezuitów, a dla Krowodrzy i części Śródmieścia w kościele Misjonarzy.*

Po nabożeństwach część osób w małych grupach udała się na Plac Matejki, gdzie miała odbyć się manifestacja. Ok. godziny 17.00 pod Pomnikiem Grunwaldzkim zebrało się ok. 500 osób (drugie tyle zgromadziło się pod murami budynków otaczających Plac Matejki i na Plantach – widać było, że bali się dołączyć do manifestacji). Zebrani na Placu odśpiewali „Boże coś Polskę", hymn oraz skandowali „Solidarność!". Po ok. 20 minutach ludzie rozeszli się.

Przyczyną tak nikłego udziału ludzi w manifestacji była informacja pochodząca z niewiadomego źródła, rozpowszechniana m.in. w AGH, AR i UJ, że RKW odwołała marsze i manifestacje. Jako przyczynę podawano przyjazd do Krakowa gen. Oliwy, który podobno demonstracje w Krakowie i w Nowej Hucie ma zamiar utopić we krwi, co ma być pretekstem do usunięcia Jaruzelskiego.

Informacja wysłana 10 listopada 1982 roku z Krakowa do dyżurnego operacyjnego MWS w Warszawie wspomina o nabożeństwach w trzech krakowskich kościołach: *Zapowiadane w ulotkach nabożeństwa w dn. 10 bm. w intencji ojczyzny i Solidarności o godz. 16.30 w kościołach zgromadziły:*

- *Jezuitów – ok. 1200 osób. Wygłoszone kazanie zawierało liczne aluzje o wyraźnym wydźwięku politycznym typu: „Byliśmy okłamywani, nękani przemocą, byliśmy świadkami bezprawia";*
- *Misjonarzy – ok. 1500 osób, w większości studentów. Kazanie bazujące na tendencyjnie wybranych przykładach z historii świata, Kościoła i Polski stanowiło aluzję do trwającego stanu wojennego;*
- *św. Józefa – ok. 1000 wiernych. Kazanie* [które wygłosił zapewne proboszcz,

ks. prałat Franciszek Kołacz] *poświęcone Solidarności, akcentujące zasługi związku dla ludzi pracy.*
Na zakończenie nabożeństw we wszystkich kościołach odśpiewano pieśń „Boże coś Polskę" wznosząc ręce z literą V.

Z tej samej informacji wynika także, że 10 listopada doszło do zamieszek w Miasteczku Studenckim. *O godz. 17.30 w Rynku Głównym przy płycie T. Kościuszki zgromadziło się ok. 500 osób, które śpiewały pieśni oraz wznosiły wrogie okrzyki. Na płycie złożono wiązanki kwiatów. Większość zgromadzonych stanowili młodzi ludzie (...). O godz. 18 zainicjowany został pochód ok. 500 osób, a w końcowej fazie ok. 1 tys., który ulicą Grodzką, koło Wawelu przeszedł w rejon Miasteczka Studenckiego i ponownie skierował się w stronę centrum miasta. O godz. 19.30 na ul. Dzierżyńskiego oddziały ZOMO rozproszyły tę grupę przy użyciu armatek wodnych, a następnie podjęły działania porządkowe w tym rejonie.*

Z dokumentu wynika, że w działaniach rozpraszających i „profilaktycznych" w Krakowie tego dnia wzięło udział ponad 3200 funkcjonariuszy ZOMO, ROMO, Kompanii Interwencyjnej, pracowników operacyjnych KW MO, żołnierzy WP Garnizon Krakowskiego oraz żołnierzy KBW i WOP. Użyto 11 armatek wodnych. Liczby te wskazują na dużą mobilizację ze strony władz. Zatrzymano 111 osób.

***

Następnego dnia przypadała 64. rocznica odzyskania niepodległości.

Paczkowski: *Demonstracji w rocznicę 11 Listopada było mniej i były znacznie mniej gwałtowne. Odbyły się – nie licząc (...) Krakowa – w Warszawie Toruniu i Częstochowie.*

Władze podjęły dodatkowe działania, które dzisiaj nazwalibyśmy piarowskimi, które spacyfikowały nastroje społeczne.

Paczkowski: *Prawdziwym „hitem jesieni" było podanie w komunikacie, odczytanym 11 listopada w popołudniowym wydaniu „Dziennika Telewizyjnego", informacji o zwolnieniu Lecha Wałęsy. Odczytano też list, jaki (z datą 8 listopada) skierował on do gen. Jaruzelskiego. Był to parowierszowy tekst, w którym nadawca proponował „spotkanie i poważne przedyskutowanie interesujących tematów" oraz wyrażał przekonanie, że „rozwiązanie przy dobrej woli na pewno znajdziemy". List kończył się kuriozalnym podpisem – „kapral Lech Wałęsa".*

Dodatkowym elementem, który wpływał na nastroje społeczne, była informacja o śmierci sekretarza generalnego KPZR – Leonida Breżniewa (10 listopada), co zapowiadało okres walki o władzę w Sowietach i rodziło pytanie o to, kto obejmie po nim schedę i czy zmieni się polityka sowiecka wobec wydarzeń w Polsce.

***

W Krakowie od 1978 roku, początkowo głównie jako ROPCiO i AN, a potem głównie jako KPN, środowisko niepodległościowe organizowało – po tradycyjnej mszy świętej na Wawelu i po uroczystym złożeniu kwiatów na grobie Marszałka Piłsudskiego – przemarsz ulicami Krakowa z Wawelu pod pomnik Nieznanego Żołnierza na placu Matejki, gdzie uroczyście składano kwiaty. Podobne plany miała krakowska KPN na 11 listopada 1982 roku.

„Aktualności" nr 43 z 15 listopada 1982: *11 listopada w Krakowie. We wczesnych godzinach popołudniowych główne siły ZOMO zgrupowane były w Nowej Hucie. Bardzo dokładnie obstawiono miejsce zabójstwa Bogdana Włosika i al. Lenina.*

Około godziny 17.00 zomowców przerzucono do Krakowa, głównie w okolice Plant. W pobliżu Wawelu pojawiły się sfory zomowców z psami.

W Katedrze na Mszy Świętej zebrało się ok. 10 tysięcy osób.

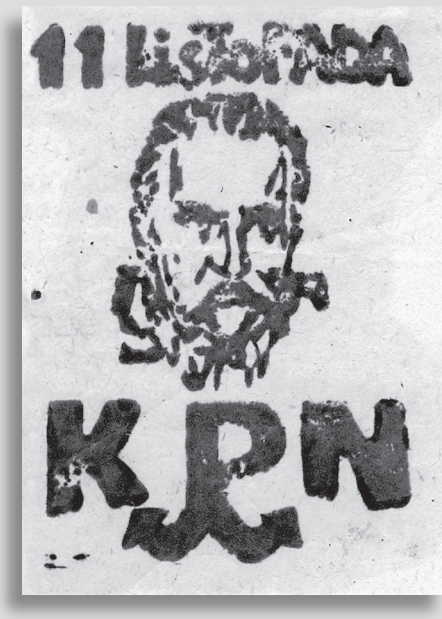
Jan Godłowski: *Już przed mszą pod Wawelem zgromadziły się oddziały milicji i o ile dobrze pamiętam, chyba też był kordon utworzony z wojska, stojący w poprzek Plant i Straszewskiego.*

Jerzy Mohl: *Demonstracje w Krakowie, jakkolwiek częste i posiadające swój symboliczny wymiar ze względu na miejsce, z którego brały swój początek, miały jednak w stanie wojennym oraz w latach kolejnych niekorzystną aurę. Wzgórze wawelskie ma wąskie dwa zejścia. Aby rozwinąć jakąkolwiek akcję zaczepną, należy szybko wydostać się poza otaczający je układ wąskich ulic, stanowiących naturalną zasadzkę dla każdej demonstracji, która musi się liczyć z brutalną pacyfikacją. Jedyne pole manewru dla demonstracji stanowi pas Alej Trzech Wieszczów i dalej okolice Błoń, parku Jordana w kierunku Krowodrzy lub druga opcja w kierunku ul. Dietla z wykorzystaniem nasypu kolejowego przy Hali Targowej.*

Obie te opcje mają jeden zasadniczy minus – trzeba najpierw tam dotrzeć. Demonstracja 11 listopada 1982 pokazała, że czas ma tutaj decydującą rolę. Oczywiście, przy założeniu, że główny trzon demonstracji stanowią przeciętni ludzie, a nie parazawodowi zadymiarze, do której to specjalizacji w pewnym momencie doszła młodzież w Nowej Hucie.

Na Wawelu zgromadziła się chyba cała znana mi z poprzednich demonstracji ekipa (Grzesiek Hajdarowicz, Grzesiek Pirowski, Wojtek Słowik, „Słoneczko", ja, mój brat Artur i bardzo wielu mocnych gości z całego Krakowa, nie tylko naszych znajomych). Ponieważ mieliśmy ulotki okolicznościowe, wykonaliśmy z rozgrzewki rozrzut, aby pozbyć się ładunku, który mieliśmy przy sobie. Akcję ulotową robiłem ja, Wojtek Słowik i chyba „Słoneczko", z tego co pamiętam.

Wojciech Słowik: *Rozrzucaliśmy po raz pierwszy ulotki z Piłsudskim i napisem KPN, które potem wykorzystywaliśmy przez trzy kolejne lata.*



Ulotka KPN na Święto Niepodległości. 11 listopada 1982 r. *na Wawelu, po mszy rozrzucaliśmy po raz pierwszy ulotki z Piłsudskim i napisem KPN, które potem wykorzystywaliśmy przez trzy kolejne lata.*
Z archiwum Wojciecha Słowika

Małgorzata Słowik: *Po mszy świętej składaliśmy w krypcie z Witkiem Tukałłą wieniec w imieniu Komitetu Opieki nad Kopcem, a moja siostra z Wojtkiem Pęgielem składała drugi wieniec w imieniu studentów UJ (choć siostra studiowała na AM, a nie na UJ, ale Wojtek Pęgiel poprosił ją o udział w delegacji UJ). Z tego powodu byłyśmy obie idiotycznie jak na późniejszą manifestację ubrane: na wysokich obcasach i w sukienkach.*

Jan Godłowski: *Po mszy manifestacja – naprawdę tłumna, schodziła pomału w dół, zatrzymując się co chwila.*

Jerzy Mohl: *Kiedy ludzie po wyjściu z katedry zaczęli kierować się w kierunku zejścia w stronę ul. Kanoniczej, wiedzieliśmy, że czoło ewentualnej demonstracji będzie się formowało przy wejściu na Planty. Nastąpiło gwałtowne przemieszczenie się do czoła, bo dla wszystkich, którzy mieli doświadczenie z przebiegu dotychczasowych demonstracji, stało się jasne, że na Plantach na dłuższą metę jesteśmy bez szans. Nie pamiętam czy na ul. Kanoniczej stało ZOMO, ale na pewno niezbyt liczne siły stały na wysokości placu Na Groblach zaraz przy budynku I LO.*

Nie wiem, czy to widok tych zomowców, czy też nasze nawoływania, aby nie posuwać się pochodem Plantami w stronę ul. Zwierzynieckiej, spowodowały, że pochód, który, o dziwo, uformował się dość sprawnie – jak na krakowskie warunki – ruszył przez Powiśle w stronę DH Jubilat. Z tego, co widziałem, kiedy spojrzałem za siebie, gdy dotarliśmy do ul. Zwierzynieckiej, szło ok. 1,5-2 tysięcy ludzi. Początkowo obawiałem się, że uderzą na nas od strony Zwierzynieckiej i placu Na Groblach, spychając do Wisły (a kąpiel w listopadzie nie należy do przyjemności), ale najwidoczniej oni też potrzebowali czasu na przegrupowanie.

Jan Godłowski: *ZOMO nie atakowało. Na pewno pamiętam Jurka Mohla zamaskowanego chustką i Grześka Pirowskiego, którzy z większą zwartą ekipą byli gotowi do boju (było nas trochę – chłopaków z liceum Pijarów).*

Jerzy Mohl: *Jak na demonstrację posuwaliśmy się wyjątkowo szybko. Podejrzewam, że większość uczestników zdawała sobie sprawę, że nie jesteśmy w najlepszym miejscu. Kiedy dochodziliśmy do DH Jubilat, przed nami wiała tylko drogówka. Czoło pochodu skierowało się w stronę ul. Piłsudskiego i cała demonstracja znalazła się na prawym pasie, chociaż część ludzi posuwała się pasem zieleni, pas drogowy z lewej strony był wolny. Aby utrzymać w miarę jako taki szyk kolumny, chwyciliśmy się pod ręce, tworząc żywy łańcuch i zwalniając nieco kroku, aby demonstracja stała się bardziej zwarta.*

Jan Godłowski: *Poszliśmy pod Zarząd Regionu „Solidarności" przy Alejach. Naprawdę był duży tłum – nie tak, jak w późniejszych latach.*

Małgorzata Słowik: *Tam była siedziba Zarządu Regionu, choć przecież związku z 11 listopada nie miało to żadnego. Ludzi było mnóstwo, bo pamiętam, że jak obejrzałam się, to zobaczyłam, że ludzie ciągle schodzą ze wzgórza i dołączają do pochodu. Byłam bliżej czoła. Przez pewien czas szłam z Mieczysławem Majdzikiem, który jednak bardzo źle się czuł i został w jakiejś wiacie przystanku.*

Jan Godłowski: *Skandowaliśmy różne hasła i ruszyliśmy całą szerokością Alej w stronę kina Kijów. W sumie nie wiem, gdzie chciano dotrzeć – czy okrężną drogą na pl. Matejki, czy tak po prostu przed siebie.*

Wojciech Słowik: *Wszyscy byli bardzo podnieceni, że udało się wyprowadzić zomowców „w krzaki", bo demonstracja uszła chyba z kilometr zanim została rozbita.*

Jerzy Mohl: *Kiedy dochodziliśmy do dawnej siedziby ZR „Solidarności", od strony Muzeum Narodowego pojawił się „komitet powitalny", który bardzo sprawnie rozwinął swoje linie. Naprzeciw nam, od strony skrzyżowania posuwały się dwa szeregi zomowców. Pierwszy z pałami i tarczami, o które uderzali, aby zrobić większe wrażenie, a drugi tradycyjnie*

z pałami za pasem i z tymi swoimi „garłaczami" do miotania gazu. Kolejną linię stanowiły gaziki z zamontowanymi wyrzutniami granatów gazowych. Jednym słowem klasyczny szyk, klasyczny atak. Dla wszystkich było jasne, że lada moment ZOMO ruszy z kopyta.

Nasz łańcuch trzymał się dobrze, ale miało to swoją złą stronę, bo nie mieliśmy okazji do pozyskania amunicji, a poza naszą falangą usytuowaną w pierwszych dwóch, może trzech pierwszych szeregach, na tyły demonstracji w razie bezpośredniego starcia nie było co liczyć. Miałem co prawda procę, ale nie zdążyłem jej wyjąć (schowałem ją głęboko pod ubraniem), a kilkanaście kulek rudy, które miałem w kieszeniach kurtki, nie nadawało się do rzutów z ręki.

Pamiętam, że tuż przed atakiem milicji wychyliłem się do przodu i zobaczyłem mojego brata o kilka kroków w bok z prawej strony. Powiedziałem mu, aby się cofnął, ale on stwierdził, że zostaje z nami do końca. Miał wtedy 16 lat i, rzeczywiście, jak powiedział, tak zrobił, chociaż wielu dorosłych brało nogi za pas, nim cokolwiek się zaczęło.

Małgorzata Słowik: *Gdy już minęliśmy dawną siedzibę „Solidarności", zaczął się atak ZOMO.*

Jan Godłowski: *Wyraźnie widać było ich czarne sylwetki poruszające się w naszą stronę i raz po raz oddające salwę z wyrzutni.*

Jerzy Mohl: *Niemal równocześnie z salwą od czoła (dość rachityczną), demonstracja została zaatakowana od tyłu i szpica zomowska ruszyła wolnym pasem jezdni od strony mostu Dębnickiego, tak aby odciąć drogę odwrotu w stronę ul. Syrokomli. Tłum, który wpadł w panikę, rozerwał nasz łańcuch pierwszego szeregu w jednej chwili, bo wielu zdało sobie sprawę, że muszą zdążyć, nim ZOMO zamknie pierścień okrążenia.*

Jan Godłowski: *Tłum rozpierzchł się. Część wbiegła w przewiązkę między domami i tam przez jakieś płoty przedostała się na ul. Retoryka (w tej grupie był mój ojciec), część poszła do przodu i przed samą tyralierą zomowców pobiegła w lewo, przed Kijowem w kierunku placu Na Stawach (tam byłem ja), jeszcze część wycofała się w stronę mostu Dębnickiego. Rozpoczęły się drobne utarczki, poszły w ruch butelki z benzyną.*

Jerzy Mohl: *Część z nas rzuciła się w stronę ul. Smoleńsk, a nasze lewe skrzydło, na którym byłem ze „Słoneczkiem", pognało w stronę kina Kijów. Zomowcy, którzy atakowali od strony skrzyżowania, też obrali ten kierunek, także starając się połączyć ze swoimi kamratami, którzy posuwali się od strony mostu. Szybkość z jednej i drugiej strony miała decydujące znaczenie.*

W okolicy bocznych wyjść z kina (dzisiaj to ulica rtm. Dunin-Wąsowicza) „na dochodzenie" wyminąłem zomowca z tarczą, ale w pogoń za mną ruszyło dwóch z garłaczami. Pamiętam, że znalazłem się przy budynkach, które są jakby na zapleczu hotelu Cracovia. Były tam jakieś (chyba dwie) siatki rozdzielające te posesje, tak więc miałem bieg z przeszkodami. Ścigający mnie zomowcy biegli bliżej hotelu. W biegu strzelali. Granat odbił się od muru nade mną, kiedy przeskakiwałem jedną z tych siatek. Ten drugi zomowiec miał problem ze swoim miotaczem. Słyszałem tylko, jak krzyczeli do siebie: „Celuj w łeb". Po przesadzeniu ostatniej przeszkody wpadłem na jakieś krzaki. Za nimi był żywopłot, który oddzielał trawnik od ulicy. Po kilku krokach zaległem pod nim, aby zgubić pogoń. W kilka sekund dotarli do mojej pozycji i zatrzymali się dosłownie 2 metry ode mnie. Jeden z nich powiedział: „On tu gdzieś jest!", a ten drugi stwierdził, że sprawdzi drugą stronę ulicy, po czym odbiegł do tyłu jakieś kilkanaście kroków. Pomyślałem sobie. „Teraz albo nigdy!" (sprzyjały mi ciemności, słabo oświetlona ulica i to że się rozdzielili). Wystartowałem zza tego żywopłotu. W sekundę byłem przy tym zomowcu, który pozostał. Pchnąłem go z całej siły w żywopłot tak, że wykonał niemal przewrót w tył. Postanowiłem pobić rekord

świata w sprincie na co najmniej 100 metrów. Drugi zomowiec ruszył za mną w pogoń. Po przebiegnięciu kilkudziesięciu metrów zdał sobie sprawę, że jest bez szans. Wygarnął więc z tego swojego garłacza. Pocisk minął mnie i odbił się od dachu zaparkowanego przy jezdni samochodu. Silny charakter w nogach pozwolił mi wyrwać się z matni.

Wojciech Słowik: *Lali wodą z jakimś trwałym barwnikiem i te ślady nie zeszły z mojej kurtki mimo kilku prób w pralni chemicznej. Szliśmy prawym pasem jezdni (patrząc w stronę hotelu Cracovia). Sikawka wjechała prosto na demonstrantów. Myśmy uciekli na drugi pas, ale tam też nadjechała sikawka. Było bardzo nieprzyjemnie, bo były zaledwie dwie czy trzy bramy, do których można było uciec, a oni walili tymi strumieniami wody z dużą intensywnością. Zanim weszliśmy do środka, to wszyscy byli dość poważnie przemoczeni. Na szczęście nie było ZOMO z pałami. Widać nie zdążyli się przegrupować.*

Małgorzata Słowik: *Pamiętam, że mieli ze sobą reflektory lotnicze, a z bocznych ulic wypadli zomowcy w pełnym rynsztunku. Atakowali z dwóch stron: od strony Cracovii i od strony Jubilata. Wyglądała to na zaplanowaną pułapkę. Polewali kolorową, czerwoną wodą. Było mnóstwo gazu łzawiącego.*

Usiłowaliśmy uciec ulicą Senatorską, koło kina Kijów, ale tam było bardzo dużo zomowców, którzy szli i walili pałkami w tarcze. Pamiętam też, że zomowcy mieli ze sobą psy. To powodowało panikę, bo baliśmy się, że je spuszczą. Ich szczekanie, wręcz ujadanie bardzo wyraźnie pamiętam.

Pamiętam scenę, jak koło kina Kijów zomowiec ciągnął dziewczynę za długie włosy i okładał ją pałą. Moją siostrę aż zmroziło. Nie mogliśmy biec, aby jej pomóc, bo tam stało dużo zomowców.

Pamiętam też mrożący krew w żyłach straszny ryk syren, który wyprowadzał nas z równowagi. Ludzie uciekali do klatek schodowych i chowali się po mieszkaniach, ale wpadali tam za nimi zomowcy z psami. Słychać było szczekanie psów na klatkach oraz krzyki ludzi – a więc musieli być bici.

Jan Godłowski: *Na placu Na Stawach i w okolicy był jakiś duży remont, głębokie wykopy i rozebrane chodniki. Oddział ZOMO szedł Kraszewskiego na grupę na placu. Był w niej Janusz Kruk (archeolog, obecnie profesor w PAN – chodził na większość zadym i w Krakowie, i w Nowej Hucie, czynnie w nich uczestnicząc), który rozbijając płyty chodnikowe, krzyknął w stronę ZOMO: „Chodźcie tu!". Zomowcy uciekli z powrotem ulicą Kraszewskiego.*

Wojciech Słowik: *Potem wyszliśmy na zewnątrz i w grupie kilkudziesięciu osób przeszliśmy kilka ulic w stronę Salwatora.*

Małgorzata Słowik: *Uciekaliśmy przez jakieś podwórko. Z siostrą byłyśmy w wizytowych strojach i na obcasach, a tu trzeba było przeskakiwać przez mur. Najpierw trzeba było skoczyć na śmietniki, a stamtąd wspiąć się na mur. Pomagali nam jacyś obcy chłopcy, którzy się wrócili, aby pomóc nam przejść. Potem musieliśmy jeszcze przeskoczyć przez jakąś siatkę. Znaleźliśmy się przy ulicy równoległej do Alej. Było tak dużo gazu, że niewiele było widać.*

Wojciech Słowik: *Zauważyliśmy jednak, że zomowcy zaczynają zamykać ulice z obu stron, wpadają do bram i wyłapują. Zrobiło się niebezpiecznie.*

Małgorzata Słowik: *Już było słychać psy milicyjne. Wpadliśmy do jakiejś klatki i uciekliśmy na samą górę. Jak byliśmy na ostatnim piętrze, to na parterze już słychać było bicie. Zdawało się, że zomowcy są tuż za nami.*

Zadzwoniliśmy do drzwi, otworzyła nam jakaś starsza pani. Moja siostra, cała w czerwonym ubraniu – nawet twarze mieliśmy czerwone od kolorowej wody – zapytała: „Czy może nas pani wpuścić?". I ta pani trzasnęła nam drzwiami przed nosem. Potem się okazało, że to była wdowa po znanym działaczu PZPR.

Zadzwoniliśmy do kolejnych drzwi. Otworzył nam pan z orłem w koronie na piersiach. „Bardzo przepraszam. Czy możemy wejść?". Wpuścił nas od razu. A było nas 6 czy 7 osób.

Wojciech Słowik: *Trafiliśmy na bardzo porządnych ludzi, którzy byli dumni, że mogą nam pomóc. Zaraz poczęstowali nas herbatą, a potem przygotowali jakieś jedzenie. Była wspaniała atmosfera.*

Małgorzata Słowik: *Po pewnym czasie przyszedł dozorca z dołu, niby cukier pożyczyć. Jak nas zobaczył, to powiedział: „O, widzę, ci wasi siedzą z wami przy stole. A ci moi to leżą na podłodze". U niego też było dużo ludzi. Zomowcy zaglądali przez okna, czy w mieszkaniach nie ma uczestników demonstracji.*

Wojciech Słowik: *Musieli leżeć na podłodze, bo się bali, żeby zomowcy ich przez okna nie zobaczyli. Pamiętam, że tematem naszych rozmów – oprócz demonstracji – była śmierć Brežniewa, z czego wszyscy się cieszyli i zastanawiali się, co będzie dalej.*

Małgorzata Słowik: *Zostaliśmy u tych ludzi dość długo. Późno w nocy syn gospodarzy odwiózł nas do domu samochodem. Potem przyszliśmy do nich oddać rzeczy, które nam pożyczyli.*

Wojciech Słowik: *Odwiedzaliśmy ich jeszcze jakiś czas później. To były inne czasy niż dzisiaj. Teraz można byłoby się raczej spodziewać, że gdy ktoś nieznajomy zacznie stukać do drzwi, to nikt mu ich nie otworzy.*

Tymczasem uczestnicy demonstracji, którzy pozostali na wzgórzu wawelskim, bez przeszkód dotarli na plac Matejki. „Aktualności" nr 43 z 15 listopada 1982: *W tym czasie część ludzi będących w katedrze oczekuje na wejście do grobów królewskich, aby oddać cześć Józefowi Piłsudskiemu. Śpiewają pieśni patriotyczne i kościelne. W krypcie, gdzie spoczywa I Marszałek Niepodległej Polski, płoną świece, dużo kwiatów i wieńców. Wartę pełnią harcerze.*

O godzinie 20.15 można przejść spokojnie ul. Grodzką, przez Rynek Główny, ul. Floriańską do Placu Matejki. W okolicach Błoń słychać wybuchy. Żołnierze pełnią wartę pod zniczem (…). Około 200 osób zebranych wokół Grobu Nieznanego Żołnierza zaczyna śpiewać „Pieśń konfederatów barskich", „Pierwszą Brygadę", „O mój rozmarynie". Z tłumem mieszają się esbecy. Ludzie śpiewają „Polonię". W pewnym momencie słychać słowa pieśni z III części Dziadów Adama Mickiewicza recytowane mocnym kobiecym głosem. Obecni zaczynają powtarzać: „Tak! Zemsta, zemsta, zemsta na wroga. *Z Bogiem i choćby mimo Boga!". Rozlegają się oklaski, a trzy nyski z zomowcami okrążają Plac Matejki. Pod Barbakan podjeżdża radiowóz i ogłaszają, że Lech Wałęsa został zwolniony. Ludzie śpiewają „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!". Manifestacja kończy się odśpiewaniem hymnu. Milicja do końca manifestacji nie używa przemocy i ludzie rozchodzą się spokojnie.*

W tym czasie walki z sektora od Alej do Salwatora przeniosły się na teren Miasteczka Akademickiego. Jerzy Mohl: *Skierowałem się w stronę wałów nad Rudawą, aby nimi przejść do Błoń, a następnie via Cichy Kącik, na teren Miasteczka Studenckiego. Kiedy dotarłem nad Rudawę, spotkałem innych uciekinierów z demonstracji. Większość stanowili studenci i oni też kierowali się stronę miasteczka. Wyjąłem zza pazuchy procę. Okazało się jednak, że wychodząc z okrążenia, zgubiłem większość z – i tak niezbyt licznych – kulek rudy. Zostały mi tylko – o ile dobrze pamiętam – cztery pociski. Postanowiłem, że procy nie schowam. Zawsze to jakaś broń, choć dozbrojenie się z terenu nie rokowało dobrze. Na obrzeżu Błoń raczej trudno znaleźć kamień.*

Posuwaliśmy się grupą ok. 40-osobową i raczej był to trucht niż marsz. Kiedy zbliżaliśmy się do pętli tramwajowej na Cichym Kąciku, dostrzegliśmy tam stojące dwie nysy milicyjne. W takich sytuacjach „narady wojenne" mają błyskawiczny przebieg. Korzystając z tego, że oni stoją w miejscu jako tako oświetlonym przez lampy uliczne, a my wychodzimy

z ciemności, postanowiliśmy ich zaskoczyć i zaatakować jako pierwsi, aby przedrzeć się zanim ochłoną. Do przodu wysunęli się ci, którzy mieli kamienie oraz ja z procą. Ruszyliśmy biegiem w stronę tych nysek z takim wrzaskiem bojowym, jakby nas była co najmniej setka. Milicja jak zobaczyła, że atakujemy, a kulka z mojej procy z dość dużej odległości rozwaliła szybę, wskoczyła do tych suk i uciekła w stronę mostu na Rudawie. My pognaliśmy w stronę miasteczka.

Na skrzyżowaniu ul. Piastowskiej i Nawojki stał radiowóz drogówki i postanowiliśmy z paroma chłopakami, którzy zostali, przepędzić go, bo sprawne kierowanie ruchem drogowym pomagało ZOMO w przemieszczaniu się, a zator na ulicy działał na naszą korzyść. Nie wiem dlaczego, może pozostali szukali kamieni, ale nagle zostałem sam z jakimś nieuzbrojonym pacyfistą. Miałem ostatnie dwie kulki. Przy tym radiowozie stał pojedynczy milicjant w zwykłym mundurze. Mogłem „zdjąć" go bez problemu. Jednak ponieważ to była drogówka i gość nie miał żadnego ochronnego ekwipunku, wycelowałem w karoserię. Kiedy rzucił się do ucieczki, ruszając z piskiem opon jak na gangsterskim filmie, moja ostatnia kulka trafiła w tylną szybę tuż przy dachu, powodują powstanie „pajączka".

Ta moja wstrzemięźliwość strzelecka opłaciła się. Innym razem milicjant z drogówki na motorze, z największego młyna w czasie demonstracji w Nowej Hucie, wywiózł mojego brata.

Po tej akcji skierowałem się pomiędzy akademiki, gdzie kilkunastu wcześniej zaginionych w akcji wołało do studentów: „Chodźcie z nami". Szło to dość opornie i po około godzinie nawoływań zebrało się może 150-200 osób, wśród nich sporo dziewczyn. Taką grupą ruszyliśmy z miasteczka ul. Reymonta w stronę Alej. Schowałem procę głęboko za pazuchę, bo bez amunicji była całkowicie nieprzydatna. Po drodze, kiedy mijaliśmy jakąś budowę, pobraliśmy z jej terenu amunicję.

Pamiętam, że znalazłem otoczak czy krzemień, który wyglądał jak duże jajko i idealnie leżał w dłoni. Pod pachę do drugiej ręki wziąłem fragment (3/4) płyty chodnikowej, która miała ubite narożniki tak, że wyglądem przypominała kamienny dysk. Była idealna do wywalenia kraty osłaniającej szybę w milicyjnym ciężkim sprzęcie. Największym osiągnięciem „sztuki kamieniarskiej" w tamtym czasie było rozwalenie kraty i szyby w armatce wodnej. Udało się to niewielu, ale zawsze można było mieć fart...

Kiedy dotarliśmy do Alej, panowały całkowite ciemności. Na skwerze przy Akademii Rolniczej i AGH rozegrała się bitwa z ZOMO. Tak naprawdę to głupio wpadliśmy w zasadzkę. Cała kolumna milicyjna stała naprzeciw AGH, a druga na wysokości wejścia do Akademii Rolniczej, tam gdzie przystanek autobusowy. Wpakowaliśmy się w sam środek. Zomowcy, którzy stali przy AR, mieli chyba reflektor albo jakiś mocny szperacz zamontowany na samochodzie, bo oświetlili nas dokładnie i ruszyli ku nam z pałami i tarczami. Było oczywiste, że – ze względu na dzielącą nas odległość – nim zdążymy odskoczyć na dystans rzutu kamieniem, dojdzie do zwarcia. Dziewczyny, które były z nami, zaczęły tak krzyczeć ze strachu, że coś okropnego. Na dodatek studenci – z całym dla nich szacunkiem – to nie to samo, co bojownicy z Nowej Huty. Większość rzuciła się do ucieczki, niektórzy wiali wcześniej niż dziewczyny.

Zostało nas po pierwszym oświetleniu sceny może 30-40 gości zbrojnych w kamienie, chcących podjąć walkę. Ktoś krzyknął: „Otaczają nas!". Rzeczywiście, ZOMO odcinało nam odwrót przez ul. Reymonta (jedyny w tej sytuacji) i była to ostatnia chwila na odskok. Rzuciłem moim kamiennym jajkiem przed siebie w kierunku nadbiegających zomowców i trafiłem jednego w kask. Pierścień okrążenia zamykał się szybko i trzeba było wiać, a tu nadbiegał następny zomowiec. Na całe szczęście miałem tę moją płytkę, więc z odległości 2-3 metrów rzuciłem w niego torem płaskim na wysokości pasa. Zasłonił się tarczą i pró-

bował uderzyć mnie pałą w głowę. Uchyliłem się w ostatniej chwili, ale pałka trafiła mnie w czubek głowy i zdmuchnęła mi czapkę. W tym samym momencie ktoś uciekający zderzył się z tym zomowcem i powalił go na ziemię.

Ruszyłem pędem za moim przypadkowym wybawicielem. Przez sto kilkadziesiąt metrów biegliśmy razem, ale później on odbił w stronę parku Jordana, a ja biegłem co sił w stronę miasteczka. Za nami i innymi niedobitkami ruszyła pogoń nyskami i w pewnym momencie jedna z nich wysadziła desant tuż przy mnie. Akurat dobiegałem do budowy, z której wcześniej pobieraliśmy amunicję, więc skręciłem na nią, bo tam miałem większe szanse. Zomowiec, który ruszył za mną w pogoń, wywalił się na jakiejś przeszkodzie i słyszałem tylko, jak siarczyście przeklinał.

W czasie tej demonstracji zdaje się, że „Słoneczko" albo jakiś jego kolega wystąpił z dużą procą á la Dawid i podobno odniósł sukcesy w okolicy Salwatora, ale nie znam szczegółów. Rozważaliśmy użycie takiej procy, bo była łatwiejsza w przenoszeniu i nie uzależniała od drobnej amunicji. Można z niej było rzucać zwykłymi, nawet całkiem sporymi kamieniami albo słoiczkami z farbą lub benzyną. Miała jednak jeden minus – aby osiągnąć perfekcję w rzutach, trzeba było ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć, i to na początku w kasku motocyklowym, bo można było zupełnie stracić głowę.

Na Miasteczku Studenckim walczył tego dnia także Krzysztof Kopeć:

Krzysztof Kopeć: *Byłem z grupą moich ludzi (ok. 8-9 osób). Mieliliśmy proce. Kamienie się znajdowało po drodze, używaliśmy też płyt chodnikowych tłuczonych na kawałki. Już po drodze na Miasteczko Studenckie trafił na nas radiowóz. Wyszkliliśmy go za pomocą kamieni. Krzyczeliśmy „Chodźcie z nami!". Zrobił się pochód – ze 200 osób. Maszerowaliśmy ul. Reymonta koło stadionu Wisły.*

Zaatakowali nas z dwóch stron, gdy byliśmy obok Domu Studenckiego „Nawojka". Zomowcy ruszyli z boku i od strony Alej. Zaczęliśmy uciekać z kolegą, ale wpadliśmy jedną nogą do tego samego kosza na śmieci, wywróciliśmy się i nas złapali.

Na szczęście nie połamaliśmy nóg, ale dostaliśmy ostry łomot: pały, kopniaki. W pewnym momencie doleciał sierżant i krzyknął: „Dość!" Potem zabrali nas na Mogilską, wsadzili „na dołek" i wlepili kolegium.

Rozprawy przed kolegium odbywały się gdzieś w okolicach Rynku [przy ul. Grodzkiej]. *Dostaliśmy grzywny po 15 milionów złotych. Ludzie z komitetu pomocy, z kurii, od razu nas wykupywali.*

Potem nas zawiesili na UJ, ale nie wylecieliśmy. Mogliśmy chodzić na zajęcia, a potem wpisali nam oceny z egzaminów. Po 22 lipca 1983 zostałem formalnie przywrócony w prawach studenta na mocy amnestii. Po tej wpadce nadal uczestniczyłem w demonstracjach, ale w kominiarce. I nie pchałem się na czoło.

***

Wydarzenia 10 listopada 1982 roku były porażką „Solidarności", a zwłaszcza stanowiły porażkę zwolenników „krótkiego skoku". Po raz kolejny okazało się, że członkowie „Solidarności" nie są skłonni podejmować ryzyka osobistego i biorą udział tylko w takich akcjach, które nie są powiązanie z niebezpieczeństwem bezpośrednich represji.

Wydarzenia 10 i 11 listopada 1982 roku potwierdziły natomiast, że radykalna krakowska młodzież, do której zaliczała się także młodzież konfederacka, należała do najodważniejszych i najbardziej niepokornych w kraju. Jesienią 1982 roku Kraków (a zwłaszcza Nowa Huta) był areną regularnych bitew młodzieży z ZOMO. W tym czasie (31 sierpień – 11 listopada 1982 r.) żadne miasto Polski nie mogło pochwalić się takim

poziomem oporu ulicznego. W Nowej Hucie było kilkanaście ekip harcowników, w „starym" Krakowie zaledwie kilka. Ekipa kapeenowska wyróżniała się wśród nich wysokim poziomem ideowym i wyrazistością politycznego programu. Środowisko KPN miało więc swój udział w walkach ulicznych w Krakowie – najbardziej niepokornym mieście Polski jesienią 1982 roku.

***

O skali walk ulicznych w Krakowie w 2. półroczu 1982 roku dają wyobrażenie zsumowane dane o użytych w nich siłach („Ocena działań sztabowych i sił zwartych MO w przypadku zakłóceń bezpieczeństwa i porządku publicznego..."): ponad 33 tys. funkcjonariuszy MO, ponad 9 tys. ROMO, prawie 4 tys. żołnierzy i niecały tysiąc ormowców, co daje łączną liczbę prawie 50 tys. funkcjonariuszy użytych do pacyfikacji demonstracji. W tabelce „Straty": po stronie MO – 142 rannych, po drugiej stronie – 73 rannych i jeden zabity.

Ten sam dokument formułuje zaskakująco trafne wnioski z akcji siłowych prowadzonych w Krakowie w stanie wojennym:

1) *Wszystkie przeprowadzone akcje odblokowań strajkujących zakładów pracy* [13-16 grudnia 1981] *przeprowadzone były bardzo efektywnie, na co w głównej mierze wpłynęło: (…) właściwy wybór pory działania (pora nocna), co przy równoczesnym użyciu reflektorów świetlnych i sygnałów dźwiękowych skutecznie oddziałało na psychikę strajkujących (…).*
2) *(…) W przypadku operacji prowadzonych wspólnie z siłami LWP – celowym okazało się połączenie sztabów MO i LWP, co umożliwiło bieżącą koordynację działań.*
3) *Bardzo przydatna okazała się wypracowana w toku działań metoda opracowania przez Sztab KW MO planów działania całości sił MO, (…) z określeniem zadań dla poszczególnych związków taktycznych i odwodów oraz zapoznawanie z nimi dowódców działań w toku przeprowadzanych każdorazowo odpraw sprawozdawczo-instruktażowych. Dużą rolę w powyższym przedsięwzięciu spełniło specjalnie przygotowane przez WSK* [Wojewódzkie Stanowisko Kierowania] *urządzenie do rzutowania na podkładach magnetycznych planów miasta lub wybranych dzielnic i nanoszenie znaków taktycznych ogólnie stosowanych w opracowaniach sztabowych, z możliwością dowolnego ustawienia przewidywanych sytuacji, jak również dynamiczne nanoszenie zmian w trakcie prowadzonych operacji, co dawało znakomity obraz całości spraw związanych z przemieszczaniem zarówno pododdziałów MO jak i strony przeciwnej.*
4) *Znaczny wpływ na prawidłowość podejmowania decyzji sztabowych miała jakość i częstotliwość dopływających do sztabu KW MO informacji o aktualnej sytuacji w rejonie działań. Informacja ta była weryfikowana w oparciu o dane dotyczące tego samego zdarzenia, napływające z różnych źródeł* [Niektórzy funkcjonariusze oszukiwali przełożonych, zatajając rzeczywisty przebieg zajść]. *W świetle uzyskanych w tym względzie doświadczeń celowym wydaje się być prowadzenie specjalistycznego szkolenia dla funkcjonariuszy działających w punktach obserwacyjno-meldunkowych pod kątem umiejętności prawidłowej oceny ilości uczestników zajść, selekcji informacji istotnych, właściwego sposobu prowadzenia korespondencji radiowej itp.*
5) *W przypadku zaistnienia potencjalnego zagrożenia demonstracjami ulicznymi,*

przydatna okazała się taktyka nasycania zagrożonego regionu patrolami oraz ustawiania na przypuszczalnych kierunkach pododdziałów zwartych MO.

6) *Po zawiązaniu się nielegalnej demonstracji najwłaściwszą taktyką okazał się schemat działania: rozpraszanie – penetracja terenu dużymi siłami – pozostawienie w rejonie działań wzmocnionych patroli milicyjnych.*
7) *Bardzo efektywny w działaniach, szczególnie na terenie Nowej Huty okazał się sposób wielowariantowego prowadzenia operacji, w którym siły patrolujące najbardziej zagrożone rejony dzielnicy stanowiły jednocześnie odwód drugiego rzutu dla pododdziałów prowadzących akcje przywracania naruszonego porządku publicznego.*
8) *Z analizy działań wynika, że najwłaściwszym okazało się utworzenie pierwszego odwodu tzw. interwencyjnego „szybkiego reagowania", wyposażonego w samochody lekkie, co w istotnym stopniu wpłynęło na jego mobilność.*
9) *Przy dużej ilości sił (w przypadku uzyskania sił przydzielonych), skutecznym w działaniu okazało się podzielenie ich na związki taktyczne – każdy w sile jednego batalionu – zdolne do samodzielnego prowadzenia działań tak prewencyjnych, jak i rozpraszających w wyznaczonym rejonie działania.*
10) *Porównując formę prowadzenia akcji milicyjnej z sytuacją zagrożenia ładu i porządku publicznego w okresie następującym po akcji, trzeba stwierdzić – biorąc pod uwagę jedynie milicyjny punkt widzenia – że im akcja była przeprowadzana bardziej zdecydowanie, z większym zastosowaniem środków przymusu bezpośredniego, tym okres spokoju po niej był dłuższy* [Wniosek ten pozostaje w sprzeczności z cytowaną opinią Aleksandra Mleczki, który twierdzi, że brutalne rozbijanie demonstracji było błędem, bo zwiększało szeregi zdeterminowanych w walce przeciwko władzy]. *W przypadku akcji przeprowadzonej w dniu 13 maja 1982 w Rynku Głównym w Krakowie – praktycznie na terenie Śródmieścia nie podejmowano później znaczących demonstracji.*
11) *W przypadku działań przebiegających w Nowej Hucie, ich efektywność w zasadniczej mierze uwarunkowana była ilością użytych sił. Przy znacznie mniejszej ilości uczestników zajść niż np. w Śródmieściu Krakowa – użycie takich samych sił porządkowych okazywało się mało skuteczne. Związane to było z różną topografią tych dzielnic Krakowa oraz znacznie bardziej agresywnym zachowaniem uczestników zajść w Nowej Hucie. Agresywność ta przejawiała się między innymi faktem wcześniejszego ich przygotowania się do prowadzenia walki z siłami milicyjnymi poprzez uzbrojenie się uczestników zajść w kamienie, śruby, kulki z łożysk tocznych, butelki z benzyną i race fosforowe.*
12) *Skutecznymi w działaniu okazało się użycie pododdziałów zwartych ZOMO, natomiast pododdziały ROMO w działaniach rozpraszających były mało przydatne, co prowadziło do nadmiernego przeciągania się akcji i w konsekwencji stanowiło powód do żartów wśród społeczeństwa – przykładowo akcja w dniu 3 maja 1982 – lub do ponoszenia znacznych strat osobowych i w sprzęcie – np. w dniu 13 października 1982. Wpływało na to: brak odpowiedniego wyszkolenia pododdziałów ROMO do prowadzenia akcji tego typu, błędy dowodzenia poszczególnymi pododdziałami (znaczna część kadry ROMO pochodziła spoza ZOMO), słabsze wyposażenie w sprzęt bojowy oraz znacznie mniejsze zaangażowanie lub wręcz niechęć w wykonywaniu poleceń.*
13) *Analizując problem zastosowania sankcji w stosunku do osób zatrzymywanych*

w toku zajść, można stwierdzić, że im ilość zatrzymanych była większa, tym procent osób zwolnionych był wyższy. Świadczy to o niedostatecznym dokumentowaniu przez funkcjonariuszy powodu i okoliczności zatrzymania, bądź zatrzymywaniu osób, których obecność na miejscu zdarzenia była przypadkowa lub mało znacząca.

14) *W zasadzie każde poważne naruszenie porządku i bezpieczeństwa publicznego, poprzedzone było aktywną działalnością wśród pasywnego tłumu osób, grupy inicjującej zajścia. W oparciu o posiadane informacje, między innymi materiały fotograficzne, można stwierdzić, że w szeregu zajściach w skład tych grup wchodziły te same osoby* [Potwierdza to pogląd wyrażony w naszej książce, że decydującą rolę w walkach ulicznych odgrywały nieliczne grupy harcowników]. *Świadczy to o niewłaściwym osobowym rozpoznaniu operacyjnym, co spowodowało, że prewencyjne zatrzymywanie wytypowanych w oparciu o nie osób okazało się mało skuteczne. Ponieważ uaktywnienie osób inicjujących zajścia, następowało dopiero gdy sformowała się odpowiednio duża grupa osób, stanowiąca dla nich „osłonę", próby ich wcześniejszego zatrzymania przez funkcjonariuszy pododdziałów zwartych działających w terenie były skazane na niepowodzenie.*

15) *W świetle przeprowadzonej analizy na negatywną ocenę zasługują następujące nieprawidłowości, które ujawniły się w toku przeprowadzanych operacji:*

– *nie zawsze prawidłowo dokonane rozpoznanie operacyjne, co powodowało konieczność nagłych przegrupowań sił, adekwatnie do pojawiającego się zagrożenia* [Przykładem takiej sytuacji może być przebieg demonstracji 11 listopada w Krakowie] *lub nadmierne ich grupowanie w sytuacjach potencjalnie niegrożących naruszeniem porządku i bezpieczeństwa publicznego,*
– *nieutrzymywanie przez pododdziały właściwej dyscypliny ognia – częstokroć nadmierne używanie szczególnie środków chemicznych, wrzucanie RGŁ-ów* [ręcznych granatów łzawiących] *do mieszkań i obiektów użyteczności publicznej, stosowanie AW* [armatek wodnych] *i gazów łzawiących w stosunku do grup nie biorących udziału w zakłóceniach porządku, np. stojących spokojnie na przystanku komunikacji miejskiej. Stosowanie tego typu praktyk budziło z jednej strony uzasadnione niezadowolenie społeczne, z drugiej zaś zbyt szybkie wyczerpywanie się zapasów środków chemicznych i powstawanie tych braków w sytuacjach, gdy zachodziła rzeczywista konieczność ich użycia,*
– *incydentalne przypadki stosowania bez potrzeby w obiektach MO środków przymusu bezpośredniego w stosunku do zatrzymanych osób w czasie zamieszek. Odnotowano przypadki urządzania tzw. „ścieżek zdrowia" w trakcie przekazywania z konwoju do aresztu przy ul. Mogilskiej 109* [Nie mamy żadnych informacji, że funkcjonariusze MO bijący w komendzie zatrzymanych zostali ukarani, mimo że władze miały świadomość takich przypadków].

W Kielcach, w Łupkowie i w Uhercach

Pod koniec sierpnia 1982 roku ponad stuosobową grupę internowanych z Załęża przewieziono do Łupkowa.

Radosław Huget: *Internowani stawali się coraz bardziej radykalni. Pod koniec sierpnia 1982, jak wywieźli nas do Łupkowa w Bieszczadach, to tam już była naprawdę ostra ekipa z Wrocławia. W tym czasie w skali kraju już zostało tylko koło 1000 internowanych. Żeby klawisze nas surowiej traktowali, zwierzchnicy powiedzieli im, że 31 sierpnia będziemy ich mordować. Niewiele to dało, nikt w to już nie wierzył.*

Łupków to nie było więzienie tylko OPS (ośrodek przystosowania społecznego). Tam się odsiadywało końcówki wyroków. Były trzy pawilony, każdy po jakieś 20 cel. Część cel miała zwykłe, domowe drzwi, a jedynie część takie normalne, więzienne. W oknach nie było bled, tylko normalne szyby i kraty zrobione z prętów zbrojeniowych. Kiedyś, jak nas nie wyprowadzono na spacer, to wziąłem ławkę i tę kratę wyłamałem. Potem klawisze do mnie przybiegli i krzyczeli: „Pan zniszczył mienie! Co pan zrobił?". A ja odpowiedziałem: „Żadnego mienia nie zniszczyłem. Jest powiedziane, że od 8 mamy spacer. I chciałem, żeby regulamin był respektowany. A więc chroniłem prawo, a nie łamałem. Więc odpierdol się człowieku!". To już było całkowite rozluźnienie dyscypliny.

Świadectwem dość luźnej atmosfery, która panowała w Łupkowie, były chrzciny dzieci internowanych: córki Antoniego Macierewicza (Kensy: *Jak przystało na tatę – „nuworysza" w wierze, w chwili chrzcin córka Macierewicza miała 8 lat. Ojcem chrzestnym był Antoni Lenkiewicz*) oraz małych dzieci Czesława Szewczuka (współorganizatora i członka KRH) i Wojciecha Samolińskiego (współpracownika KOR, a potem działacza „Solidarności" w Lublinie).

Tadeusz Kensy: *We wrześniu pod bramą obozu w Łupkowie pojawił się Jan Kułaj wraz z ks. Czesławem Sadłowskim ze Zbroszy k. Grójca. Kułaj został wygwizdany* [Jan Kułaj to działacz „Solidarności" Wiejskiej, internowany od 13 grudnia do 28 kwietnia 1982 r., który po wyjściu z internatu złożył w telewizji samokrytykę]. *Ks. Czesław opowiedział nam, że byli u Wałęsy w Arłamowie (Sadłowski nie chciał jechać, ale dostał wyraźne polecenie od prymasa Glempa). Kułaj miał namawiać Wałęsę, by chciał wyjść, dając świadectwo, że jemu samemu (w końcu też szefowi związku) komuchy nic nie zrobiły. Sadłowski był tym bardzo zniesmaczony i cieszył się ze złego potraktowania Kułaja.*

Huget: *Siedział z nami Antek Lenkiewicz* [działacz „Solidarności", KPN i SW z Wrocławia]. *Był schorowany i mu w więzieniu bardzo często odbijało. Nie mogli sobie z nim poradzić.*

Współwięźniowie, którzy z nim wcześniej siedzieli, opowiedzieli mi taką sytuację. Działo się to albo w Strzelcach, albo we Wronkach, albo w Rawiczu – nie pamiętam. W więzieniu tzw. starszy celi melduje wieczorem i rano przy apelu, że cela taka i taka, tylu więźniów i wszyscy obecni. Tę samą metodę wprowadzili w stosunku do internowanych. Wjechali więc do celi – dowódca zmiany i pięciu czy dziesięciu klawiszy z tyłu, a tu Antek Lenkiewicz leży na łóżku. Starszy celi coś tam melduje, a ten leży dalej. Dowódca zmiany przyczepił się do Lenkiewicza: „Czemu ty, kurwa, leżysz?". A Antek wstał i strzelił go w mordę, po czym się położył na łóżku. I drzwi się zamknęły. Bo co mógł klawisz zrobić? Nie było w regulaminie takiego punktu, że więzień uderzył dowódcę zmiany. Normalnie, w więzieniu, to by takiego więźnia tak okręcili, żeby nie tylko kupę, ale także mózg z siebie wypuścił. A tutaj? Nic.

Potem Antka przewieźli do Łupkowa. Tam był taki kretynek wychowawca. Przyszedł do tych wrocławian. Ich była chyba ośmiu w celi, a on w pojedynkę przyszedł. Przedstawił się: „Dzień dobry ja nazywam się Organ. Ja tu jestem waszym wychowawcą. Ze wszystkimi sprawami proszę do mnie się zwracać". Antek chwycił tego wychowawcę dwoma palcami za nos, tak jak to się robiło kolegom w szkole, zgiął go do ziemi, pyskiem go położył na podłodze i powiedział mu: „Słuchaj, chuju! Ja mam 48 lat, jestem doktorem prawa konstytucyjnego i ty mnie chcesz, kurwa, wychowywać? Nie przychodź tu więcej, bo cię zapierdolę!". I Organ zniknął nam z oczu na zawsze.

Kensy: *W Łupkowie był jeden bydlak (choć wobec internowanych starał się hamować), starszy, niedbale ubrany kapitan. Był też młody podporucznik – idiota: od czasu gdy podpadł, ulubioną rozrywką internowanych było składanie niedwuznacznych propozycji jego młodej i dość ładnej żonie – w konsekwencji przestała przychodzić na obiady do stołówki, mąż musiał jej nosić do domu. Kapitanowi, który wieczorem lubił zaglądać do okien, wylano kiedyś na głowę wiadro pomyj.*

Huget: *W Łupkowie to już można było walnąć klawisza, tak jak ja zrobiłem, i to się rozchodziło po kościach. Albo na przykład strzelaliśmy do latarni, które stały na majdanie. Zrobiliśmy proce z gumy modelarskiej, którą przysłała mi mama i z anten telewizyjnych, które tam były. W nocy strzelaliśmy albo do tych latarni, albo do klawiszy. Jako naboje służyły nam nakrętki z drzwi, które odkręcaliśmy. I wydarzyła się taka scena. Marek Tumidajewicz, z tej ekipy z Wrocławia, miał kieszonkę w koszuli. Wsadził do niej procę i tylko guma mu dyndała na zewnątrz. Podszedł do niego klawisz i powiedział: „Widziałem, co pan zrobił! Będzie pan musiał pokryć szkodę". A Marek roześmiał mu się w nos i odpowiedział: „Chętnie bym co pokrył, ale nie szkodę". I klawisz zniknął.*

Żeby zrobić rewizję, musieli ściągnąć ekipę z zewnątrz. Nie byli w stanie sami. Więc ściągnęli atandę (ze 120 gości – kompanię klawiszy). Myśmy wtedy na kraty wejściowe zarzucili łańcuch i od środka się zamknęliśmy. Przez chwilę nie mogli wejść. Oczywiście, mieli sprzęt i otworzyli. Rozbiegli się w dwie strony korytarza, który miał może z 50-80 metrów. Ja zobaczyłem, że pędzą na mnie z tymi tarczami i stanąłem sobie na środku korytarza, ciekaw byłem, co będzie. I ręką pchnąłem tego pierwszego, który biegł na mnie. Jak pchnąłem tego pierwszego, to tych 30 hoplitów, bęcwałków, którzy byli za nim, stanęło.

Kensy: *Jurek Zając z Częstochowy wywiesił flagę „Solidarności" na wysokiej lampie oświetleniowej. Klawisze proponowali więźniom kryminalnym nagrodę za jej zdjęcie – żaden się długo nie odważył. Powiewała nad obozem ze dwa tygodnie. Niezła impreza była po ogłoszeniu informacji o śmierci Breżniewa – klawisze też się szczerze cieszyli – był w Łupkowie radosny apel.*

Huget: *Innym razem wpadł do mnie do celi kapitan, który się nazywał Wąsek, a z nim z pięciu klawiszy. Zawołał: „Wszystko wywrócić do góry nogami, a Huberta rozebrać!". Przekręcił moje nazwisko. Z dwoma kolegami graliśmy w karty. I ja zapytałem kolegi: „Ty, kto to jest Hubert?". A Rafał Szymoński powiedział: „Nie znam. Jak podskoczy, to zaraz mu zapierdolimy w mordę!".*

Kensy: *Nakłady były ogromne – sięgały dziesiątków tysięcy sztuk. Między sierpniem a grudniem 1982 r. w Łupkowie działały trzy największe manufaktury: „Połeć i s-ka", „Kopidoły" vel „Hanysy" (górnicy, oni produkowali najwięcej) i grupa chełmsko-siedlecko-(może) kielecka. Wymieniano między sobą matryce, uzgadniano harmonogramy druku, próbowano nawet limitować nakłady. Jeszcze wcześniej, w Załężu, była próba bardziej profesjonalnego zorganizowania poczty obozowej: katalogowania pozycji, emisji i wielkości nakładów.*

Huget: *Klawisz Wąsek mnie nie lubił. Kiedyś byłem w celi u Jurka Stępnia (późniejszy przewodniczący Trybunału Konstytucyjnego), a był akurat apel. Jurek siedział w celi z normalnymi drzwiami, z klamką. Przytrzymałem klamkę i dowódca zmiany – Wąsek – nie mógł wejść do środka. Najpierw nie spodziewał się, lekko nacisnął i nie mógł otworzyć. Ale potem czułem, że się spiął, więc odsunąłem się od drzwi. A on wskoczył do celi tak gwałtownie, że mi stanął na nodze. A był ode mnie o głowę niższy. I widać było, że będzie awantura i że się pobijemy. Wtedy do celi wskoczył szybko major, żeby nas rozdzielić. Powiedzieliśmy do tego majora: „Panie majorze, niech ten chuj więcej do nas nie przychodzi na oddział!". I major go zabrał.*

Kensy: *W trakcie mojego internowania w Nowym Łupkowie, na początku października 1982 esbecja przeprowadziła prowokacyjną „kombinację", wykorzystując do tego moją żonę. Pod koniec września było już wiadomo, że w pierwszej dekadzie października WRON-a zdelegalizuje „Solidarność". Z inicjatywy kielczan: Jurka Stępnia (prawnika, sędziego i radcy prawnego), Staszka Żaka i (chyba) Mundka Sarny, został napisany protest – „list otwarty" do społeczeństwa i członków związku. O ile pamiętam, były napisane odręcznie trzy identyczne egzemplarze, pod wszystkimi złożyliśmy oryginalne podpisy (czasem posługiwaliśmy się też taką „igłową" metodą kopiowania, Andrzej Chojnowski z Olsztyna, który był w obozie do 29 października „igłował" nawet kilka numerów gazetki o tytule „Nasza Krata", ale te teksty były odręczne). O ile pamiętam jeszcze dokładnie wszystkie tamte zdarzenia, to jedna z kopii miała być zgodnie z intencją organizatorów akcji dostarczona do biskupa kieleckiego Stanisława Szymeckiego. Wydawało się, że nie powinno być z tym problemu, w tym czasie zwalniani internowani nie byli już „kipiszowani", szli prosto do bramy, wszystko było widać (nie było murów, tylko siatki), tam dostawali zawartość depozytu oraz dokumenty i żegnani długo śpiewami i pokazywaniem palców znikali na drodze do wsi. Jednak gdy wychodził „chłopak z Kielc" (to było chyba we wtorek 28 września) – Przemysław Witek – został z bramy zawrócony do budynku administracyjnego, gdzie przebywał dość długo. My wszyscy staliśmy naprzeciwko pod siatką i zaczęliśmy się denerwować. Wtedy któryś z klawiszy podszedł i spokojnie powiedział, że jest jakiś problem z depozytem i wyjaśniają to w administracji. Kiedy wreszcie Przemek wyszedł, było widać, że jest zdenerwowany (myśleliśmy, że go po prostu okradli, to się zdarzało, także i mnie), jednak pytany, co się dzieje odpowiedział, że nic, że wszystko jest w porządku, że chodziło o depozyt. W rzeczywistości w budynku administracyjnym byli już wcześniej esbecy z Krosna, zrobili mu rewizję osobistą i znaleźli (musieli wiedzieć o tym od jakiegoś agenta wśród nas) egzemplarz zbiorowego protestu. Pisanie zbiorowych protestów było według prawa stanu wojennego przestępstwem. Przemek się musiał nastraszyć i zgodził na taką*

„współpracę". Ostatecznie został o to skarżony Jurek Stępień, 23 grudnia 1982 aresztowany, przewieziony do Załęża i skazany w lutym lub marcu 1983 przez rzeszowski sąd wojskowy na karę 3 lat więzienia w zawieszeniu.

Huget: *Wieczorem robili apel. Cele były wszystkie pootwierane, nawet na noc. Więc wieczorem stawali na korytarzu, żeby pilnować, czy nikt nie przechodzi i szybko liczyli więźniów celami. A ja robiłem taki kawał, że się chowałem za szafą. I jak klawisz stał w drzwiach (bo on nie wchodził do celi), to mnie nie widział. Więc mnie nie liczył. I na koniec mu się nie zgadzało. Potem się wycwanili – drugi klawisz chodził na zewnątrz i zaglądał przez okna, czy nikt się nie chowa. Pokazywał tamtemu drugiemu palcami, ilu jest faktycznie więźniów w celi.*

Tak to już było pod koniec. Trzeba było szukać jakichś rozrywek. Nie można było bez przerwy grać w brydża.

Wyraźną oznaką spadku dyscypliny w internatach jesienią 1982 roku była nasilająca się dostępność alkoholu w obozie. Kensy: *Pamiętam, że w obozie, jak i w życiu, alkohol się czasem pijało, szczególnie w Łupkowie. Wódka była wielkim rarytasem, najpierw wymyślnie przemycana (puszki z sokiem „Dodoni"), w chwilach poluzowania dyscypliny (brak rewizji rodzin przed widzeniami) przynoszona czasem w niezbyt wielkich ilościach. Dość szybko niektórzy internowani nauczyli się pędzić bimber.*

Już w Załężu pachniało czasem „nastawem" i zacierem. Zaczęło się w celi, w której siedział zamknięty bimbrownik z woj. tarnobrzeskiego. Pamiętam takie zdarzenie: zaraz po obiedzie (chyba w maju 1982) zaczął się (przy otwartych drzwiach) ostry „kipisz". Nagle ktoś wstawił do celi garnek z zacierem, przykryty pokrywką. Paweł Szałaj niewiele myśląc, wstawił garnek do „kibla", opuścił spodnie i usiadł. Po chwili wpadli klawisze z atandy. Gdy zobaczyli Pawła na kiblu, niewiele szukali i szybko wyszli. Jak było po wszystkim, właściciel garnka go odebrał i bardzo dziękował.

W Łupkowie widziałem kiedyś Włodka Jackowskiego (KPN-owca z kryminalną przeszłością z Tarnowskich Gór, był pocieszny i dość sympatyczny) kompletnie pijanego. To było w dniu wizyty misji MCK. Jackowski i ktoś tam jeszcze byli przed południem na badaniach w szpitalu w Sanoku. Wracając, podjechali pod sklep monopolowy (klawisze zapewne wiedzieli, kogo muszą naprawdę pilnować) i dali internowanym 15 minut na zakupy. Jackowski wrócił i sam wypił ileś tam. Z celi do łazienki szedł dosłownie „po ścianie". I w tym właśnie momencie do baraku weszli ludzie z misji MCK. Pamiętam przerażenie tym widokiem w oczach subtelnej, eleganckiej i pachnącej pani. Rafał Szymoński z TVP Katowice (późniejszy wieloletni jej szef) wykazał się refleksem i zaczął coś pleść jako taką angielszczyzną, tłumacząc, że Włodek jest chory i ma poważne zaburzenia równowagi. Tenże „Jacek" (tak był nazywany) potrafił też wykorzystywać chwile do spotkań sam na sam z żoną w łazience.

Zbliżał się dzień 28 października – imieniny Tadeusza. Akurat było „ostro" – chyba to było po ucieczce Bogusia Szybalskiego, rodziny przed wejściem na widzenie były mocno „kipiszowane". A Tadeuszów było aż trzech: Jedynak, Buranowski i Kensy. Zebraliśmy owoce i ziemniaki na nastaw, ale nie było tego zbyt wiele. Więc do wielkiego gara poszedł też cały… twarożek z cebulą z jednej kolacji (śniadania i kolacje były przynoszone, ale prócz chleba nikt niczego nie jadł). Więc serek poszedł na nastaw. Wyszła z tego wódka mocna, przezroczysta i okropnie śmierdząca sfermentowaną cebulą. Nie bardzo nadawała się do przygotowywanej wystawnej kolacji – bigosu ugotowanego pod celą.

Huget: *Z internowania wyszedłem jako jeden z ostatnich, 4 grudnia 1982* [Decyzja o zwolnieniu Hugeta z obozu ma datę 24 listopada 1982]. *W Łupkowie zostało jeszcze z 60 osób ze Śląska. Ich trzymali dłużej, potem ich zawieźli na Śląsk i jeszcze ich tam trzy-*

mali aż do samych świąt. Gruba, który był wtedy komendantem MO na Śląsku, to był kompletny wariat.

***

Internowanych na początku września 1982 roku Pyzika, Stolarczyka oraz Szeremetę umieszczono w obozie w Uhercach.

Pyzik: *W zakładzie karnym Uhercach Mineralnych poznałem górników z różnych kopalń, np. z KWK „Wujek". Byli dobrze zorganizowani. Gdy przyjechaliśmy, powitali nas słowami: „Witajcie w wolnym kraju".*

Przez „wolny kraj" rozumieli to więzienie, bo tam była wolność, tylko zamknięta. Bliscy na widzeniach przynosili górnikom pilniki, bibułę, a nawet przemycali radia. Oni potrafili za pomocą tych pilników zrobić z monety dwu- lub pięciozłotowej krzyżyk z orzełkiem. A w nocy, gdy była cisza, to w więzieniu słychać było… tarcie pilników o metal! To górnicy piłowali kraty w oknach. W tym więzieniu było wszystko, co zakazane. Wyszedłem stamtąd po miesiącu, z końcem września 1982 (skorzystałem z amnestii Kiszczaka dla studentów).

Konfederatów internowanych 28 i 29 października 1982 roku przewieziono do obozu dla internowanych w Kielcach.

Ryszard Bocian (*Stan wojenny w Małopolsce. Relacje i dokumenty*): *Na początku siedzieliśmy w zamkniętych celach, ale po kilku dniach je otworzyli. Nie było tam najgorzej. Więzienne budynki nowe, bez porównania ze śmierdzącymi celami poniemieckiego wrocławskiego więzienia na Kleczkowskiej, gdzie krótko siedziałem w 1988 roku (mówiło się: „siedzimy na klęczkach").*

Poznałem w Kielcach-Piaskach ciekawych ludzi z Kielc, Radomia, Skarżyska-Kamiennej, Wrocławia, m.in. Krzysztofa Labudę, syna znanego historyka i męża Barbary. Z kapeenowców spoza Krakowa był tam m.in. Krzysztof Goławski, syn Zygmunta. W tym czasie z kapeenowskiej rodziny Goławskich z Siedlec w różnych więzieniach internowani byli ojciec, dwaj bracia i siostra Krzysia Goławskiego. W domu została tylko matka.

23 grudnia 1982 roku, w związku z zawieszeniem stanu wojennego, minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak polecił zwolnić wszystkich internowanych.

W areszcie pozostało jednak 7 członków Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" (byli to: Andrzej Gwiazda, Seweryn Jaworski, Marian Jurczyk, Karol Modzelewski, Grzegorz Palka, Andrzej Rozpłochowski i Jan Rulewski) oraz 4 byłych członków KSS KOR (Jacek Kuroń, Adam Michnik, Henryk Wujec oraz Zbigniew Romaszewski).

W więzieniach pozostali także skazani na kary więzienia z dekretu o stanie wojennym (władze nie zdecydowały się na ogłoszenie amnestii, pozostawiając jako jedyną możliwość wcześniejszego wyjścia na wolność poprzez skorzystanie z prawa łaski), a także skazani z powodów politycznych na podstawie przepisów kodeksu karnego (np. przywódcy KPN). Holzer i Leski podają, że na początku stycznia 1983 roku w więzieniach znajdowało się około 1500 skazanych na podstawie dekretu o stanie wojennym.

W ten sposób władza realizowała (w wersji zmodyfikowanej) linię znaną już z okresu „karnawału Solidarności". Chodziło o oddzielenie „nurtu zdrowej odnowy", określanego teraz „zdrowym, robotniczym nurtem" od „politycznych graczy", zwanych teraz „ekstremą". Komunistyczna propaganda głosiła, że „ekstrema" to „brudna antysocjalistyczna piana" – cyniczni politykierzy, którzy oszukali zwykłych robotników, chcąc zbić kapitał polityczny na ich usprawiedliwionym niezadowoleniu. Dlatego ci, których zaliczono do „zdrowego nurtu", pozostali „warunkowo" na wolności, zaś „ekstrema" pozostała w więzieniach.

Co ciekawe – Wałęsa zaliczany był ciągle jeszcze do „zdrowego nurtu". Władze nadal miały nadzieję, że odcinając go od doradców z b. KOR uda się go przeciągnąć na swoją stronę (co z punktu widzenia władz okazało się błędną rachubą). Pisał o tym wyraźnie Jaruzelski w swoich wspomnieniach, które dotyczą jeszcze roku 1981: *4 marca odbyło się spotkanie całej delegacji polskiej z kierownictwem radzieckim. Głos zabrał Breżniew, a po nim Ustinow, Susłow, Andropow. Ogólna tonacja: niepokój związany z sytuacją w Polsce rośnie. Siły kontrrewolucyjne działają bezkarnie (...). Michnik i Kuroń wciąż nie aresztowani. Te dwa nazwiska oraz Wałęsy i Moczulskiego przewijały się w różnej kolejności, z różną częstotliwością i różną ostrością w bardzo wielu rozmowach z sojusznikami. Przyznaję, że poza Wałęsą, którego staraliśmy się na ogół oszczędzać, pozostałych ocenialiśmy bardzo źle. Robiliśmy jednak uniki w sprawach aresztowań czy sądzenia (…). Po prostu mieliśmy świadomość, że polityka represyjna wywołać może niekorzystne społeczne reperkusje.* Jak widać, w warunkach stanu wojennego Jaruzelski zmienił zdanie – Moczulski został skazany, a do aresztu trafili m.in. Michnik i Kuroń.

Zawieszenie stanu wojennego

Grudzień 1982 roku (mimo grudniowych rocznic: wprowadzenia stanu wojennego w 1981 oraz masakry na Wybrzeżu w 1970) upłynął w Krakowie i w całej Polsce stosunkowo spokojnie. Przyczyną była zarówno pora roku i zbliżające się święta, jak i listopadowe niepowodzenia.

Dudek, Marszałkowski: *Niepowodzenie akcji strajkowej i protestacyjnej 10 listopada wyraźnie poprawiło samopoczucie władz PRL. 22 listopada TKK, nie chcąc narażać się na ryzyko kolejnej porażki, odwołała zaplanowany na dni od 13 do 17 grudnia tzw. Tydzień Protestu Robotniczego. Wprawdzie 16 grudnia doszło do manifestacji w Gdańsku oraz rozproszenia niewielkiej grupy demonstrantów w Częstochowie, zaś dzień później miała miejsce krótkotrwała manifestacja w Szczecinie, ale generalnie, rok po wprowadzeniu stanu wojennego, na ulicach polskich miast panował spokój.*

W Krakowie 13 grudnia 1982 roku w kilku kościołach odprawiono msze święte w intencji ofiar Grudnia ,70 i Grudnia ,81.

Małgorzata Słowik: *Pamiętam tylko mszę w kościele Mariackim. Po niej – jeżeli dobrze pamiętam – przeszliśmy do kościoła przy ul. Kopernika, aby ułożyć krzyż ze zniczy. I potem co rok krzyż był układany w tym miejscu.*

Z „Niepodległości" nr 19 z 10 stycznia 1982: *16 grudnia. W dwunastą rocznicę krwawych zajść na Wybrzeżu i pierwszą rocznicę śmierci górników w kopalni „Wujek" odbyła się Msza Święta w kościele w Bieńczycach.*

Z „Hutnika" nr 39 z 20 grudnia 1982: *Uroczysta Msza Święta w intencji wszystkich ofiar stanu wojennego, która zgromadziła wielkie rzesze wiernych, jak również sporo „bijącego serca partii". Budująca i głęboko patriotyczną homilię wygłosił ks. Palmowski. Podkreślił znaczenie ofiary życia złożonej przez naszych braci robotników w obronie ideałów wolnej i niepodległej Ojczyzny.*

Z informacji mjr. Hryniewicza z 17 grudnia 1982: *W intencjach modlono się: za papieża jako obrońcę pokoju, za Ojczyznę sprawiedliwą, bez przemocy i terroru, za Lecha Wałęsę, jako przywódcę Solidarności, za samorządne niezależne związki zawodowe, aby robotnicy mogli się w nich zrzeszać nie tylko w Polsce, za ofiary Lublina, Wrocławia, Gdańska, Radomia, Poznania, Krakowa i kopalni „Wujek". W nabożeństwie uczestniczyło ok. 1,5 tys. wiernych w różnym wieku, w tym grupy młodzieży szkolnej.*

Z „Hutnika": *Na zakończenie wierni na kolanach z podniesionymi rękoma odśpiewali „Boże coś Polskę" oraz „Rotę", po czym na wezwania księdza spokojnie udali się do domów, wcześniej układając kwietny krzyż wraz ze zniczami.*

„Niepodległość": *Po mszy kilkusetosobowa grupa mieszkańców Nowej Huty dała wyraz swojej dezaprobaty wobec poczynań Sejmu w związku z zawieszeniem stanu wojennego i* [wobec] *bezprawnego zatrzymania Lecha Wałęsy przez SB. Skandowano: „Polska to my!", „Solidarność!". ZOMO nie interweniowało. Ta mała acz znamienna demonstracja jeszcze raz udowodniła, że środowiska robotnicze Nowej Huty nie akceptują poczynań WRON-y.*

Z cytowanej już informacji mjr. Hryniewicza: *O godz. 18.30 w Kościele Mariackim odbyło się nabożeństwo w intencji Ojczyzny. Kazania nie wygłaszano. W nabożeństwie uczestniczyło ok. 600 wiernych w różnym wieku. W trakcie śpiewu pieśni Boże coś Polskę większość uczestników wzniosła ręce do góry w kształcie litery „V". Po zakończeniu obu wymienionych nabożeństw uczestnicy rozeszli się w spokoju. Nie odnotowano faktów zakłócenia porządku publicznego.*

***

Dudek, Marszałkowski*: Jeszcze 28 listopada komisja inicjująca utworzenie PRON zwróciła się do Sejmu o uchwalenie zakończenia stanu wojennego. 12 grudnia, w przemówieniu telewizyjnym, gen. Jaruzelski poinformował, że zdaniem WRON powstały warunki dla zawieszenia stanu wojennego.*

19 grudnia 1982 roku Rada Państwa podjęła uchwałę o zawieszeniu stanu wojennego. Przyczyn tej decyzji należy szukać w uwarunkowaniach międzynarodowych. Klarownie wyłożył je Leszek Moczulski w tekście, który został opublikowany w „Niepodległości" nr 8 z 17 maja 1982 r., pod tytułem „Analiza sytuacji politycznej i prognoza na najbliższe miesiące z dnia 30 kwietnia 1982".

Okoliczności publikacji tego tekstu wspomina Ryszard Bocian: *„Niepodległość" z datą wydania 17 maja 1982 była już chyba w całości robiona przeze mnie. Zamieściłem tam sprawozdanie z procesu Leszka Moczulskiego, na który udało mi się jakoś przedostać. Od żony Moczulskiego, Majki, dostałem napisaną przez niego w więzieniu analizę sytuacji politycznej, ale bałem się ujawniać autora bez jego zgody i podpisałem ją pseudonimem „Żubr".*

Oto analiza „Żubra": *W obecnej sytuacji ekonomicznej, dla ZSRR konieczne jest jak najszybsze porozumienie z USA. Wstępnym elementem tego porozumienia będą ustalenia w czasie spotkania dwóch mocarstw, którego termin przewidywany jest w październiku lub listopadzie br. Przed spotkaniem dwóch przywódców muszą zostać spełnione rozmaite warunki polityczne. Pierwszym z nich jest normalizacja sytuacji w Polsce. Do tej normalizacji*

dojdzie wówczas, gdy zniesiony zostanie stan wojenny, zostaną wznowione lub rozpoczęte rozmowy z przedstawicielami autentycznych ugrupowań, a do tego musi zostać odwieszona Solidarność, czy to w dotychczasowej, czy w nowej formie.

Junta będzie próbować albo podmienienia przywódców Solidarności przez podstawienie ludzi dyspozycyjnych, albo zwabić lub złamać dotychczasowych przywódców, albo też znaleźć nową formę wyłaniania reprezentacji związku (np. branżową), która pozwoliłaby partii na kontrolę nad tą reprezentacją.

Oczywiście muszą zostać rozwiązane obozy, dlatego w najbliższym czasie należy się spodziewać wzmożonej akcji represyjnej wobec opozycji – szczególnie wobec najbardziej czynnych społecznie i politycznie jednostek (nie tylko ściśle z opozycji) – doprowadzając do ich aresztowania i skazania na mocy Dekretu [o stanie wojennym] *za działalność przed odwołaniem stanu wojennego. Pozwoli to uniknąć nasilonej działalności opozycji w momencie odwołania stanu wojennego – zwłaszcza wpływów opozycji związkowej.*

Nie wolno przestać funkcjonować, natomiast należy wykazać ogromną ostrożność, żeby nie wyłapano przywódców – ideowych i bezkompromisowych.

ZSRR ma prawo liczyć na to, że po odwołaniu stanu wojennego i rozpoczęciu normalizacji w kierunku „porozumienia narodowego" w Polsce, USA zadowoli się tym elementem odprężenia sytuacji i nie będzie mocniej naciskać na uwolnienie osób skazanych, ponieważ będzie to stosunkowo nieliczna grupa. ZSRR nie może dopuścić do przetargów na temat sprawy polskiej i „odkręcania śruby" w PRL w trakcie przygotowania, czy w trakcie samego spotkania na szczycie, ponieważ byłoby to jednoznaczne z przyznaniem się do kierowania władzami polskimi. Dlatego też przed dyspozycjami ostatecznymi dotyczącymi spotkania na szczycie sprawa polska musi zostać całkowicie wyciszona. Okres lipca-sierpnia, w którym przewidywane jest wycofanie stanu wojennego i powrót do normalnego życia, mógłby być w PRL okresem niebezpiecznym i manewry, które odbywałyby się na terenie Polski z przypuszczalnym dwukrotnym przejściem przez nasze terytorium, byłyby doskonałym elementem psychologicznym zabezpieczenia spokoju i uległości społeczeństwa mimo cofnięcia rygorów tak zwanego Dekretu.

O ile Jaruzelski pozostanie na stanowisku przywódczym można się spodziewać, że ustępstwa w stosunku do narodu będą znaczniejsze niż w wypadku, gdyby został on poświęcony. Jego poświęcenie w oczach opinii publicznej zarówno w kraju jak i na Zachodzie mogłoby stanowić pozorną rekompensatę, czy też odcięcie się [nowej] *ekipy kierowniczej od zaszłości stanu wojennego. Można by było przy kolejnych zmianach na stanowisku przywódczym na odchodzącego przywódcę przelać całe odium związane ze stanem wojennym i z nieszczęściami, które spotkały w tym czasie całe społeczeństwo. Z ostatnich doniesień, wiadomości, relacji, sprawozdań można ostrożnie wnioskować, że pozycja generała jest* [jednak] *pewna. Od dawna bowiem na wzór bizantyjskich dworów drobne ceremonialne gesty oznaczają w sposób dokładny, w każdym momencie, pozycję poszczególnych prominentów. Vide za czasów Gierka wizyta Babiucha w ZSRR, w czasie której przyjmowany był z ceremoniałem należnym pierwszemu sekretarzowi – co było pogróżką pod adresem Gierka i wskazaniem następcy. Według wszelkich znaków, gwiazda Olszowskiego, która w pewnych okresach błyszczała bardzo jasno, zaczyna przygasać i w sposób bardzo znaczny odbiega jasnością od gwiazdy Jaruzelskiego. Mówi się o odprawieniu Kociołka na ambasadora do Moskwy.*

Pisząc ten tekst w kwietniu 1982 roku Moczulski pomylił się – nie przewidział pogorszenia się stanu zdrowia Breżniewa i jego śmierci (w listopadzie 1982 r.), co opóźniło zawieszenie stanu wojennego w Polsce o kilka miesięcy.

Realizacja scenariusza „porozumienia narodowego" opóźniła się jeszcze bardziej. W latach 1982-1985 w Moskwie rządziło się trzech genseków (Andropow, Czernienko, Gorbaczow). W imperium sowieckim nastał okres tymczasowości, który spowodował m.in. „zamrożenie" sytuacji w Polsce. W rezultacie opóźniła się o kilka lat realizacja przedstawionego wyżej scenariusza porozumienia władzy z częścią opozycji. Dopiero wtedy, gdy Gorbaczow umocnił się na fotelu generalnego sekretarza w 1986 oku, władze PRL wypuściły ostatnich więźniów politycznych i rozpoczęły przygotowania do manewru, który w roku 1989 wiązał się z rozmowami w Magdalence i przy Okrągłym Stole.

Na razie celem władz było formalne zawieszenie stanu wojennego (czego żądali Sowieci) przy pozostawieniu sobie dalszych możliwości prawnych prześladowania opozycji. Możliwości takie stworzyła, uchwalona przez Sejm 18 grudnia 1982 roku ustawa „O szczególnej regulacji prawnej w okresie zawieszenia stanu wojennego".

Zabłocki: *Ustawa z 18 grudnia (...) uchyla jedynie stosowanie pewnych rygorów, przewidzianych w dekrecie z dnia 12 grudnia 1981 r, o stanie wojennym (...), lecz inne przepisy dekretu obowiązują nadal, a niektóre przepisy uległy wręcz zaostrzeniu. Dotyczy to zwłaszcza praw pracowniczych.*

Holzer, Leski: *Ustawą o szczególnej regulacji prawnej w okresie zawieszenia stanu wojennego wprowadzono (…) przepisy wyjątkowe, które zapewniały władzom ogromną swobodę działania. Mogły one jeszcze w ciągu półrocza utrzymać stowarzyszenia i organizacje w stanie zawieszenia, a nawet ostatecznie je zdelegalizować* [Jak zrobiono w 1982 roku m.in. z Solidarnością, NZS, SDP czy ZASP]. *Ograniczono uprawnienia samorządów w zakładach pracy i umożliwiono ich rozwiązanie.*

Paczkowski: *Ostatecznie nie zdecydowano się na ogłoszenie amnestii, pozostawiając jako jedyną możliwość skorzystanie z prawa łaski.*

Do kodeksu karnego wprowadzono artykuł 282a, który brzmiał: „Kto podejmuje działanie w celu wywołania niepokoju publicznego lub rozruchów, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3". Ten „gumowy paragraf" lub „paragraf – worek" zastąpił kilka przepisów karnych dekretu o stanie wojennym.

Bartłomiej Kozłowski: *Art. 282a kodeksu karnego tworzył dość rzadki rodzaj przestępstwa, które można popełnić wyłącznie z zamiarem kierunkowym – jego sprawcy musiał przyświecać określony cel. Tyle tylko, że ów cel, jakim musiało być „wywołanie niepokoju publicznego lub rozruchów", sformułowany był w sposób w najlepszym razie niedookreślony. Pod pojęcie „niepokój publiczny" można było pociągnąć bardzo różne rzeczy – demonstracje, strajki i w ogóle wszelkie przejawy niezadowolenia z polityki władz, sytuacji społecznej bądź w ogóle czegokolwiek. Pojęcie „niepokoju publicznego" nie musiało zresztą oznaczać jakichkolwiek zachowań, objawiających się w jakiś sposób w świecie zewnętrznym – mogło oznaczać jedynie pewien stan psychiczny, zaniepokojenie się czymś. Dodatkowo, użyte w tym przepisie pojęcie „działania" w celu wywołania niepokoju publicznego lub rozruchów nie było w żaden sposób sprecyzowane – mogło to być działanie jakiekolwiek, również takie, które do osiągnięcia takiego celu zmierzało w sposób co najwyżej pośredni – byleby tylko jego ostatecznym celem było spowodowanie czegoś, co prokurator, a następnie sąd uznał za „niepokój publiczny lub rozruchy".*

Co w latach 80. zeszłego wieku uznawano za zagrożone karą nawet 3 lat więzienia przestępstwo „podjęcia działań w celu wywołania niepokoju publicznego lub rozruchów"? Ano – przede wszystkim, wszelkie drukowanie, powielanie, kolportowanie, a nawet posiadanie (w celu rozpowszechniania) wydawnictw niezależnych. Dalej – nawoływanie do strajków, demonstracji i innych akcji protestacyjnych. Podobnie – wzywanie do nieuczest-

nictwa w wyborach (które samo w sobie nie było zagrożone żadną karą) i uwolnienia więźniów politycznych albo uchwalenia statusu więźnia politycznego. Jak dalece „giętki" był art. 282a, świadczyć mogą niektóre z wyroków sądowych i prokuratorskich decyzji powołujących się na ten przepis. I tak np. jakiś prokurator z (bodajże) Białej Podlaskiej na podstawie właśnie art. 282a aresztował pewnego działacza podziemnej „Solidarności" za posiadanie... czystego papieru maszynowego. Powód? Na papierze tym – co dla owego prokuratora było przecież jasne – miały być drukowane ulotki. Rozpowszechnienie ulotek w oczywisty sposób było „działaniem w celu wywołania niepokoju publicznego" – a więc również posiadanie papieru stanowiło przestępstwo „działania w celu wywołania niepokoju publicznego" – jeśli nie rozruchów. Wiadomo też, że w Warszawie na podstawie art. 282a skazywano ludzi uczestniczących w nabożeństwach w kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu (gdzie wikarym był ks. Jerzy Popiełuszko). Uzasadnienia tych wyroków były banalnie proste – jak stwierdził prokurator, który dla pewnego uczestnika jednego z takich nabożeństw domagał się kary pół roku więzienia – „wszyscy doskonale wiedzą, co tam się dzieje".

Jak wiele było ofiar art. 282a kodeksu karnego? Na pytanie to nie jestem w stanie odpowiedzieć – nie jest mi znana żadna statystyka na ten temat. Pomocne w oszacowaniu tej liczby mogą być jednak dane zebrane niegdyś przez Komitet Helsiński, a dotyczące generalnie represji przeciwko opozycji politycznej w okresie od między amnestiami dla więźniów politycznych w 1984 i 1986. Według tych danych między 21 lipca 1984 r. a lipcem 1986 r. postępowaniem karnym z przyczyn politycznych objęto w Polsce co najmniej 898 osób. 829 spośród nich aresztowano, a 296 skazano – z czego 130 we wprowadzonym w 1985 r. trybie przyspieszonym. Jak można przypuszczać, największą część tych osób stanowiły właśnie osoby aresztowane i skazane na podstawie art. 282a k.k.

***

Rachunek zysków i strat za czas stanu wojennego wypada dla krakowskiej KPN pozytywnie. Mimo kilku fal represji organizacja przetrwała i zajmowała silną pozycję wśród krakowskich ugrupowań opozycyjnych. Jej liczebność, szacowana przez SB na ok. 100-150 osób aktywnych, była niewiele mniejsza, niż w bardzo pomyślnym dla KPN okresie poprzedzającym wprowadzenie stanu wojennego (gdy liczebność KPN w Krakowie można szacować na około 200 czynnych osób). Miejsce starych przywódców zajęli nowi.

Przywódcy pierwszej KPN zachowali kontakt z partią, choć zeszli z pierwszej linii.

Romana Kahl-Stachniewicz: *Nawiązałam kontakt z żoną Leszka Moczulskiego, Marią Moczulską, zaoferowałam swoją pomoc oraz udostępniłam swoje mieszkanie. Kiedy przyjeżdżała do Krakowa, zatrzymywała się u mnie – a po wyjściu z więzienia przyjeżdżał również przewodniczący. Mieszkanie nieraz było wykorzystywane do spotkań z nim różnych osób z opozycji.*

Łenyk i Palczewski weszli w skład podziemnych władz partii, choć z racji namierzenia przez SB, ich bieżąca działalność była niewielka. Bzdyl – siedział.

Kontakty ze środowiskiem KPN utrzymywali także jej byli członkowie. Adam Macedoński: *Po wyjściu z internowania miałem potężne kłopoty materialne. Dopiero w 1989 roku dostałem rentę... Nadal organizowałem prelekcje. Odbywały się one niemal co tydzień. Ich tematyka dotyczyła najczęściej zbrodni katyńskiej, obrony Krzyża w Nowej Hucie oraz samobójstw Ryszarda Siwca i Walentego Badylaka. Jeździłem z tymi prelekcjami po całej Polsce. Ponieważ nie miałem pieniędzy, to często jeździłem autostopem. Najczęściej była to Polska Południowa (m.in.: Wadowice, Andrychów, Rzeszów, Sanok, Przemyśl, Dębica – tam gdzie miałem znajomych, zwykle byli to księża lub osoby z duszpasterstwa akademickiego). Byłem także m.in. w Gdyni czy w Poznaniu.*

Spotkania z Macedońskim w latach 80. dobrze pamięta Maciej Gawlikowski: *Bardzo dużo mi dało spotkanie i rozmowy z Adamem Macedońskim, którego poznałem przez Danutę Maryjowską na początku 1983 roku. Byłem pod ogromnym wrażeniem jego osoby.*

To samo można powiedzieć o Mieczysławie Majdziku, którego opowieści (zwłaszcza w czasie Kadrówek) robiły wielkie wrażenie na młodzieży o niepodległościowych przekonaniach, o czym wspominali m.in. Marek Bik i Jerzy Mohl.

Rolę przywódców pierwszej KPN po 1981 roku charakteryzuje Maciej Gawlikowski: *Ludzie się wypalali, bo nie można żyć tak długo na wysokich obrotach. Odsuwali się, zawieszali działalność, ale nie uciekali z Polski, choć przecież by mieli na Zachodzie zapewnione dostatnie życie. Byli tu, służyli radą, pomagali w sprawach, które były ważne, ale nie pociągały za sobą ostrych represji.*

Wiele dobrego zrobili po odsunięciu się wtedy od centrum wydarzeń starsi stażem działacze: Roma Kahl-Stachniewicz, Adam Macedoński, Staszek Palczewski.

Cały czas byli – pomagali, a to coś napisali, a to przenocowali gości z Warszawy, a to wsparli finansowo, wygłaszali prelekcje dla młodzieży. Odsunęli się, nie narażali się na natychmiastowe zamknięcie, a swoje robili.

Byli dla nas punktem odniesienia.

Trwali.

Pokazywali, że komuna ich nie złamała i nie złamie.

Patrzyliśmy na nich z podziwem, wiele się od nich uczyliśmy. Taką osobą był też śp. Mietek Majdzik. Bylibyśmy innymi ludźmi, gdybyśmy nie spotkali ich wtedy na swojej drodze, mając wówczas po 16 czy nawet 20 lat.

Sukcesy drugiej KPN w Krakowie były niepodważalne: aktywny udział w demonstracjach ulicznych oraz działalność poligraficzna i kolportażowa („Niepodległość", „Opinia Krakowska", „Robotnik Polski w walce", ulotki) powodowały, że mimo represji hasło Polski Niepodległej było ciągle obecne w świadomości krakowskiego społeczeństwa, co siłą rzeczy promieniowało na resztę Polski. Samodzielnym i ważnym aktywem KPN w skali ogólnopolskiej, wzmacniającym jej pozycję także w Krakowie, była postawa przywódców partii w pierwszym procesie kierownictwa KPN, a zwłaszcza wystąpienie końcowe Leszka Moczulskiego.

Cena tych sukcesów była wysoka. Skazanych na kary więzienia zostało 8 krakowskich konfederatów: Bik, Toś, Bzdyl, Głowacki, Grudniewicz, Pacula, a także Stach i Kowalówka (choć ci ostatni – za działalność związkową, a nie konfederacką). Internowano 36 osób ze środowiska krakowskiej KPN (w dwóch falach: zimą 1981 oraz późnym latem i jesienią 1982 roku).

15 grudnia Kierownictwo Akcji Bieżącej Konfederacji Polski Niepodległej – Obszar II wystosowało list otwarty do członków i sympatyków („Niepodległość" nr 19 z 10 stycznia 1983): *Konfederaci!*

Minęło dwanaście miesięcy od najważniejszej decyzji jaką podjęliśmy wspólnie po szoku czarnej niedzieli 13 grudnia 1981. Zdając sobie sprawę z konsekwencji wynikających z represyjnych ukazów o stanie wojennym, wzięliśmy w swoje ręce i na swoje sumienia dalsze losy Konfederacji.

Sytuacja była bardzo skomplikowana nie tylko w kraju, ale obiektywnie należy stwierdzić, również wśród nas.

Główny aktyw Konfederacji znalazł się w ośrodkach odosobnienia dla internowanych, część Konfederatów wcześniej głośno manifestujących swoje postawy wobec KPN całkowicie zamilkła, inni zerwali wszystkie więzy łączące ich z Konfederacją.

Pamiętamy wszystkie burzliwe dyskusje i co dalej?

Istotną sprawą dla nas była wyreżyserowana przez los weryfikacja ludzi związanych z Konfederacją – odeszli słabi, niezdecydowani i niepewni. Najprościej było pójść po linii najmniejszego oporu. Większość pamiętała słowa – „Przysięgamy Bogu i Ojczyźnie...".

Teraz po przeszło dwunastu miesiącach zwracam się do tych, którzy byli wtedy, w tamtych pamiętnych dniach w pierwszym szeregu. Nadszedł czas, by każdy z Was zdał sobie sprawę z tego, że to dzięki Wam Konfederacja Polski Niepodległej w Obszarze II nie zawiesiła swojej działalności lub też nie uległa rozwiązaniu, lecz kontynuowała swoją działalność i działa w dalszym ciągu. Dziękujemy Wam za to! Dziękujemy w imieniu Roberta Leszka Moczulskiego, w imieniu Tajnego Tymczasowego Kierownictwa Akcji Bieżącej działającego od grudnia 1981 do czerwca 1982 roku, w imieniu Centralnego Kierownictwa Akcji Bieżącej reprezentowanego w stanie wojennym przez Lecha Konrada Abramskiego. Dziękujemy wszystkim kolporterom, drukarzom, redaktorom i łącznikom. Dziękujemy aktywistom Sekcji Informacji i Propagandy oraz Sekcji Pomocy Społecznej. Składamy podziękowania tym, którzy moralnie i materialnie wspomagali nas i naszą działalność, narażając się na represje.

Praca Wasza nie poszła na marne. Raz jeszcze udowodniliśmy oponentom, że idea Konfederacji Polski Niepodległej żyje i żyć będzie. Droga, która wskazał nam L.R. Moczulski, okazuje się drogą całej opozycji polskiej.

Najpierw nieśmiało, a głośno w ostatnim czasie, wszystkie grupy opozycyjne skłaniają się ku koncepcji niepodległościowej Przewodniczącego Rady Politycznej KPN. Rok stanu wojennego okazał się rokiem potwierdzającym słuszność tez, założeń i dokumentów programowych Konfederacji.

„Historia zmiecie tę władzę" – zapowiedział w ostatnim słowie na procesie przed sądem wojskowym L.R. Moczulski. Tak będzie!

Nasza działalność w tym ciężkim i trudnym okresie przybliża tę chwilę. Zrobiliśmy potężny krok naprzód na szlaku do niepodległości.

Osobne podziękowanie składam tym, którzy poświęcili swą wolność dla idei niepodległości Polski: internowanym, aresztowanym i skazanym. Wasze poświęcenie, Wasz trud, Wasz ból i cierpienie dopingowały nas wszystkich, tu poza drutami więzień i ośrodków odizolowania do kontynuowania naszej pracy. Mimo, że teraz jesteście inwigilowani i represjonowani a przez to odizolowani od bezpośrednich działań Konfederacji, wiemy, że jesteście razem z nami.

Konfederaci!

Został zamknięty kolejny tom w historii Konfederacji Polski Niepodległej. Czas potwierdzi słuszność naszych decyzji i działań. Zawieszenie stanu wojennego nie wnosi nic nowego w naszych działaniach. Otwiera się jedynie nowy etap naszej drogi i kolejny marsz naprzód.

Wytrwamy! Zwyciężymy!

Niech żyje Wolna Demokratyczna i Sprawiedliwa Polska!

***

W 1982 roku cztery opozycyjne ośrodki nadawały ton wydarzeniom w kraju: Warszawa, Gdańsk, Wrocław i Kraków. W każdym z tych ośrodków liczebnie i finansowo dominowała „Solidarność". Związek był jednak słabo sterowalny. Przywódcy związkowi, z racji swej politycznej niedojrzałości i naiwności, nie decydowali o kierunku działań opozycji. Większy wpływ miały środowiska polityczne, wywodzące się zwykle z opozycji przedsierpniowej. W Warszawie byli to działacze byłego KSS KOR, w Gdańsku –

działacze RMP, we Wrocławiu – środowisko „Biuletynu Dolnośląskiego" zaś w Krakowie – działacze KPN.

Z punktu widzenia programu niepodległościowego, nowym, ważnym i korzystnym czynnikiem było powstanie we Wrocławiu Solidarności Walczącej. Proces tworzenia się tej organizacji przedstawiają Łukasz Kamiński i Grzegorz Waligóra: *W trzeciej dekadzie maja 1982 odbyło się spotkanie czołowych działaczy RKS* [Kierownictwo podziemnej „Solidarności" we Wrocławiu]*, podczas którego doszło do burzliwej debaty na temat metod dalszej walki. Władysław Frasyniuk odrzucił wówczas propozycję zorganizowania 13 czerwca marszu (lub tylko złożenia kwiatów) pod tablicą pamiątkową „Solidarności" przy ulicy Grabiszyńskiej we Wrocławiu. Jego zdaniem oznaczało to „pchanie ludzi pod karabiny maszynowe". Morawiecki i grupa jego zwolenników opuścili zebranie. Przeszli do innego zakonspirowanego lokalu, gdzie zapadła decyzja o utworzeniu nowej organizacji. Do ostatecznego rozłamu w RKS doszło w początkach czerwca 1982 r. 1 czerwca Kornel Morawiecki złożył formalną rezygnację (na ręce W. Frasyniuka). Stopniowo z Komitetu odchodziły kolejne osoby, w tym prawie cała dotychczasowa redakcja „Z dnia na dzień". Około 6-7 czerwca przystąpiono do przygotowania nowego pisma, które ukazało się w kolportażu już 9 czerwca (z datą pierwszego numeru – 13 czerwca). Jego tytuł „Solidarność Walcząca" wkrótce stał się nazwą całej organizacji. Podtytuł jednoznacznie określał samoidentyfikację redakcji – „Pismo Solidarności Podziemnej". Numer zawierał dwa ważne teksty programowe: K. Morawieckiego „Jeśli chcemy żyć" oraz P. Falickiego (pod pseudonimem Piotr Kminkiewicz) „Dlaczego ulica?". Pierwszy z nich miał charakter ideowy, odwoływał się do Ewangelii wg św. Mateusza, Morawiecki wzywał do walki rozumianej jako gotowość poświęcenia własnego życia w obronie słabych i prześladowanych. Falicki z kolei, przywołując przykłady udanych demonstracji majowych w wielu miastach, uzasadniał przewagę walki prowadzonej na ulicach nad strajkami w zakładach pracy; według autora manifestacje zapewniają anonimowość uczestników, dają im poczucie siły, pozwalają odnieść sukces w bezpośredniej walce, podczas gdy strajki prowadzą do represji, rozbicia struktur konspiracyjnych i nie dają nadziei na ustępstwa reżimu.*

Kornel Morawiecki („Głos w sprawie Pawła"): *Paweł Falicki ps. „Tumor" kolporter „Biuletynu Dolnośląskiego" i prasy niezależnej przed Sierpniem '80, oddany działacz RKS-u w pierwszym półroczu stanu wojennego, jeden z głównych współorganizatorów Solidarności Walczącej (członek Rady SW) był, (co podaje wydany przez IPN tom pt. „SW w dokumentach SB") zarejestrowany w roku 1976 jako TW przez Wydział IV SB pod kryptonimem „Barnaba". Wyrejestrowany został po aresztowaniu w 1984 roku z powodu „dwulicowości".*

Fakty te zostały odkryte i ujawnione przez pracownika IPN Pawła Piotrowskiego po kwerendzie w archiwach przeprowadzonej wiosną 2007. Dr Piotrowski poszukiwał materiałów o SW na naszą prośbę przed jubileuszem 25-lecia. Kilka lat wcześniej Falicki złożył, jako jeden z pierwszych w kraju, wniosek do IPN o status pokrzywdzonego i status taki otrzymał. Jeszcze przed ujawnieniem rejestracji jako TW, Paweł opisał, jak doszło do jego kontaktów z SB, po studenckim żarcie kpiącym z komuny i tow. Lenina. W opinii Pawła nie była to żadna zgoda na współpracę ani tym bardziej współpraca. Całą sprawą jeszcze pod koniec lat 70. podzielił się z przyjacielem, który go wciągnął do konspiracji. Ów przyjaciel, Kazimierz Suszyński, bliski mój druh i pomocnik w prowadzeniu „Biuletynu Dolnośląskiego", potwierdza tę wersję. Tym niemniej wybitni archiwiści IPN, którzy na moją osobistą prośbę całą kwestię badali, łącznie z wielogodzinnymi rozmowami z Falickim, wyrażają wątpliwości, co do przejrzystości tłumaczenia Pawła. Za zasadnicze obciążenie uważają długą, ośmioletnią rejestrację oraz to, że przy dalszych badaniach znaleźli ślad, bodajże

z 1980, przekazania TW „Barnaba" przez jednego esbeka prowadzącego drugiemu oficerowi prowadzącemu. O takich szczegółach byłem i jestem na bieżąco informowany przez niezależne, wiarygodne osoby z IPN-u (...).

Paweł, gdy działaliśmy w RKS, a później zakładali i rozwijali SW, nie mówił o swym uwikłaniu. Nie potrafię powiedzieć, czy dlatego że uważał to za wstydliwe, za nieistotne, lub może wyparł tamto zachowanie ze swej pamięci.

Rejestracja Pawła związana była z wrocławskim Klubem Inteligencji Katolickiej. Według badaczy IPN akta KIK-u i szerzej wrocławskiego Kościoła zostały zniszczone i najprawdopodobniej niczego więcej o tej kwestii z akt SB się nie dowiemy (...).

Jedno jest pewne – wszystkie dostępne SB-ckie dokumenty o SW i RKS świadczą pośrednio, że Paweł Falicki, uczestnicząc w centrach tych konspiracyjnych struktur, nie donosił na nas ani nie przekazywał informacji o naszych planach i zamierzeniach. Taka jest zgodna opinia najlepiej zorientowanych, krytycznych badaczy IPN.

Kamiński i Waligóra w swym obszernym opracowaniu historii SW z niezrozumiałych powodów nie ujawniają faktu zaewidencjonowania Pawła Falickiego jako współpracownika SB. Oto dalszy ciąg ich tekstu: *Pierwszy numer „Solidarności Walczącej" zawierał wezwanie do protestu ulicznego w dniu 13 czerwca, pół roku po wprowadzeniu stanu wojennego. Kolportowano je także w formie ulotek. Demonstracja okazała się dużym sukcesem, na wezwanie stawiły się tysiące; zwycięskie walki z ZOMO trwały do późnych godzin nocnych, na wielu ulicach Wrocławia wyrosły barykady. W praktyce potwierdziło się przekonanie, że walka czynna ma sens i nie musi automatycznie pociągać za sobą licznych ofiar. Ze sporym odzewem spotkały się również apele o manifestację 16 i 28 czerwca. Pierwsza rozpoczęła się po mszy w intencji górników zamordowanych w kopalni „Wujek" i przebiegała według tak zwanego modelu gliwickiego. Polegał on na chodzeniu dużych milczących grup po chodniku, co jednak nie zapobiegło interwencji ZOMO. Manifestacja 28 czerwca ponownie przerodziła się w zacięte walki uliczne, w toku których zatrzymano 257 osób.*

Aby znaleźć szerszą formułę działania, z dniem 1 lipca 1982 powołano Porozumienie Solidarność Walcząca. W wydanym z tej okazji komunikacie czytamy: „Środowiska skupione wokół pisma >Solidarność Walcząca< powołały w dniu 1 lipca 1982 Porozumienie. Jego celem jest tworzenie nowego ładu społecznego, jest walka o Rzeczpospolitą Solidarną. Podstawowym środkiem naszego działania jest budowa sieci informacyjnej, służącej propagowaniu idei solidarności społecznej w kraju i za granicą. Porozumienie jest otwarte dla wszystkich, którym idea ta jest bliska". W założeniu Porozumienie miało stanowić luźną federację grup, środowisk i osób złączonych wspólnymi ideałami i programem działania. Wkrótce powołano jego pierwszą agendę – Agencje Informacyjną Solidarności Walczącej.

Porozumienie wystąpiło z ostrą krytyką nieudolnej polityki władz podziemnej „Solidarności". Oto fragmenty „Apelu do TKK" Porozumienia Solidarność Walcząca, opublikowanego 1 lipca: *Dotychczasowe działania NSZZ Solidarność nie spełniły swojej roli, stan wojenny trwa. Gospodarka upada, Związek jest zawieszony, działacze uwięzieni. W tej sytuacji rezygnacja z podstawowych metod walki bez osiągnięcia jakichkolwiek ustępstw z drugiej strony jest nie tyle „kolejnym wyrazem naszej gotowości do porozumienia", ile wyrazem naszej bezsilności. Zamiast poszukiwać nowych form walki (...) TKK oczekuje „od władz konkretnych kroków świadczących o woli wznowienia dialogu". Ale władza nie chce dialogu, chce dyktatu nad społeczeństwem. Naiwny jest pogląd, że to, czego nie udało się osiągnąć naciskami społecznymi, osiągnie się właśnie przez ich zaniechanie. (...) Miast koordynacji akcji mamy koordynację braku akcji.*

Kamiński, Waligóra: *Luźna formuła Porozumienia SW szybko ujawniła swoje wady, w tym przede wszystkim zły wpływ na zwartość konspiracji oraz możliwość skutecznego działania w podziemiu. Dlatego też 11 listopada 1982 (data oczywiście została wybrana nieprzypadkowo) ogłoszono przekształcenie Porozumienia w jednolitą organizację podziemną Solidarność Walcząca.*

Jedną z inspiracji dla twórców tej organizacji była Konfederacja Polski Niepodległej oraz tekst Leszka Moczulskiego „Rewolucja bez rewolucji", co podkreślał Kornel Morawiecki w trakcie uroczystości jubileuszowych KPN w Warszawie i w Katowicach w roku 2009. *Gdy powstawała Konfederacja Polski Niepodległej, było to dla mnie coś niesamowitego* – wspominał Morawiecki, który spotkał się z Moczulskim w grudniu 1979 roku. Przeprowadził z nim wywiad dla niezależnego „Biuletynu Dolnośląskiego", którego był redaktorem. Biuletyn był pierwszym niezależnym pismem w Polsce, nie licząc pism KPN, które opublikowało obszerny tekst poświęcony programowi KPN.

Z uwagi na okoliczności swego powstania SW działała cały czas w konspiracji, a wielu jej przywódców ukrywało się aż do roku 1990. Struktura SW była zbliżona do faktycznej struktury KPN w pierwszych latach po 13 grudnia (ponowna centralizacja KPN nastąpiła po wyjściu na wolność Leszka Moczulskiego – praktycznie dopiero od 1987) – były to działające samodzielnie grupy, faktycznie bez centralnego kierownictwa. SW wypełniła „konfederackie luki", tzn. zdobyła silną pozycję głównie w tych miastach, w których KPN była słaba. Były to przede wszystkim Wrocław i Poznań. W miastach tych działacze Konfederacji Polski Niepodległej przechodzili do Solidarności Walczącej lub też działali w obu tych organizacjach.

W 1982 roku nie było SW w Krakowie, choć była kolportowana jej bibuła. Mateusz Morawiecki: *Jesienią 1982 r. wydany został i rozprowadzony w kilkunastotysięcznym nakładzie pierwszy numer miesięcznika „Wolni i Solidarni" – pisma oddziału katowickiego SW. W „WiS" drukowane były wszystkie oświadczenia władz (krajowych i regionalnych) SW oraz już od pierwszych numerów zaczęły się ukazywać artykuły analityczne, polemizujące z linią NSZZ „Solidarność" reprezentowaną przez TKK. „WiS" rozprowadzany był w Katowicach, w innych miastach Górnego Śląska i w Krakowie. Jego kolportaż prowadzony był nie tylko przez członków i sympatyków Solidarności Walczącej, ale też (dzięki wymianie czasopism z innymi środowiskami) przez osoby z SW niezwiązane. W taki sposób „WiS" trafiał do grupy Mirosława Dzielskiego (w zamian za kolportaż „13 grudnia") lub do grupy redagującej pismo „Niepodległość" (w zamian za kolportaż „Niepodległości").*

O początkach struktury SW w Krakowie możemy mówić dopiero kilka lat później. Jak podają Kamiński i Waligóra *w 1985 w Krakowie została zaprzysiężona grupa działaczy skupionych wokół pisma „Solidarność Zwycięży", od pewnego czasu utrzymujących kontakt z SW. Nie ujawniono jednak faktu istnienia krakowskiej struktury, która funkcjonowała nadal jako Porozumienie Prasowe „Solidarność Zwycięży". W działalności małopolskiej SW było zaangażowanych kilkanaście osób...*

Piotr Hlebowicz w Encyklopedii Solidarności podaje, że Porozumienie Prasowe Solidarność Zwycięży to *organizacja założona we wrześniu 1982 w Nowej Hucie przez Mariana Stachniuka (biuletyn „Solidarność Zwycięży") i Jerzego Karpińczyka (biuletyn „Montinowiec"). Motto organizacji brzmiało: „Aby nie zatracać się w biernym oporze, ale wspomagać go czynem". Główne cele: współpraca informacyjna, pomoc poligraficzna w sytuacjach awaryjnych i dodruk doraźny, koordynacja kolportażowa, wspomaganie w zdobywaniu materiałów poligraficznych (papieru, farby, blach, matryc i in.). PPSZ pomagało również ukrywać się poszukiwanym oraz rodzinom represjonowanych.*

Ważnym wydarzeniem z puntu widzenia niepodległościowych aspiracji Polaków było także powstanie środowiska skupionego wokół miesięcznika politycznego „Niepodległość", wydawanego w Warszawie od stycznia 1982 roku. Włodzimierz Domagalski w Encyklopedii Solidarności: *Środowisko, z którego wyłoniła się pierwsza redakcja pisma, było skupione wokół asystenta w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, Jerzego Targalskiego. Związany z miesięcznikiem „Głos" i wydawnictwem „Krąg", latem 1981 r. założył pismo „Obóz", poświęcone problematyce krajów obozu komunistycznego. Równocześnie, w wyniku długotrwałych dyskusji w gronie najbliższych współpracowników, m.in. Doroty i Marka Safjanów, Witolda Gadomskiego, Jacka Kraussa, Wiesława Sendka, Tadeusza Pawlickiego, Tomasza Kołodziejskiego i innych, w połowie listopada 1981roku narodził się pomysł stworzenia pisma antykomunistycznego. Miało nazywać się „Przyszłość". Wprowadzenie stanu wojennego przyspieszyło decyzję o wydaniu pierwszego numeru, który ukazał się już w styczniu 1982r. jako „Niepodległość". Nazwę zaproponował Witold Gadomski. Większość najważniejszych założeń programowych była wypracowana wcześniej.* Jerzy Targalski (ur. 1952) miał szansę zostać „drugim Morawieckim", niestety, w 1983 roku zdecydował się na emigrację do Francji (wrócił do Polski dopiero w 1997 r.), co w sposób naturalny pozbawiło go autorytetu w kraju.

Za programem niepodległościowym opowiadał się także Czesław Bielecki, publikujący pod pseudonimem „Maciej Poleski" na łamach warszawskich pism „CDN" oraz „Tygodnika Mazowsze".

Co przyświecało tym nielicznym w skali kraju ludziom, którzy podejmowali duże ryzyko osobiste i decydowali się na działalność niepodległościową, za którą groziły surowsze represje niż w przypadku działalności związkowej? Można sądzić, że niewielka część z nich szczerze wierzyła w realność odzyskania niepodległości przez Polskę w perspektywie ich życia. Zdecydowana większość motywowana była imperatywem, o którym pisał autor wiersza „Idziemy ku tobie" (prawdopodobnie Jerzy Narbutt):

Gwiazdo zaranna wśród szczytów
idziemy ku tobie
chwilo zwycięskiej ciszy
idziemy wciąż
uparcie
krok w krok
rok po roku
i tylko to się liczy

Spis treści części I-szej

Wstęp 5
Od autorów 7

Rozdział 1. Zima 12
- Akcja „Jodła” 13
- Na Mogilskiej 32
- Pierwsze dni wojny polsko-jaruzelskiej 45
- Strajk w HiL 72
- 17 grudnia 1981 roku w Krakowie 93
- W Nowym Wiśniczu 99
- „Wigilia na Syberii” 118
- TTKAB i CKAB 127
- Początki podziemnej poligrafii 163

Rozdział 2. Wiosna 174
- W internatach dla kobiet w Kielcach i w Gołdapi 175
- W Załężu (I) 180
- Pierwsze miesięcznice w Krakowie 215
- Pierwsze wpadki 229
- „Zima wasza, wiosna nasza!” 266
- Wpadka drukarni przy ul. Findera 310

Rozdział 3. Lato. 331
- Na Monte 332
- Jiri Vavrušák 388
- „Śledztwo trwa” 422
- Kadrówka w 1982 roku 431
- W Załężu (II) 436
- Samoobrona 442
- Sierpień 1982 roku 451
- Władze krakowskiej KPN w 2. połowie 1982 roku 478

Rozdział 4. Jesień 496
- Wrzesień 1982 roku na ulicach 497
- Proces krakowskiej KPN 503
- Październik 1982 roku na ulicach 512
- Druga fala internowań działaczy KPN 540
- Agentura 556
- Zdemaskowanie Gąsiorowskiego 565
- Listopad 1982 roku na ulicach 569
- W Kielcach, w Łupkowie i w Uhercach 587
- Zawieszenie stanu wojennego 592

RZECZPOSPOLITA rp.pl

„Rzeczpospolita”



Wiarygodne źródło informacji